Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Gi 719

PO PRACY:

bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

1909 nr 1-52

KATOWICE

Gi. 719

Do pracy.
1909 N 1-52

Nr. 1. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 2 stycznia 1909.

MARJA KONOPNICKA.

Z Nowym Rokiem!

Ten rok, co idzie światu,
On nie jest ludom nowy!
Też same niesie krzywdy,
Też same w nim okowy.

Taż sama dusz niewola,
Też same łzy daremne,
Tych samych bezpraw nocy
Też same mroki ciemne.

A przecież piersi ludów
Przewiewa skroś otucha,
Że bliży się już ranek,
Że noc przemija głucha...

I prężą się ramiona,
By zrzucić stare brzemię,
I wiosny pożądanie
Przenika całą ziemię,

I budzą się z letargu
Odwiecznych snów — mogiły,
I duch już światem chodzi
I rusza ziemnej bryły.

Tę iskrę, co rozpali
Jutrzenkę wieku nową,
Narody z serc swych stali
Wykrzeszą piorunową.

Tę jasność, co zadnieje
Na lądy i na morza,
Wolności wieszcząc słońce,
Roznieci ludów zorza.

. . . . . .

Idziemy w nowe świty,
Dni nowych — idziem — straż...
Nie dany, lecz zdobyty —
Rok Nowy będzie nasz!

Львівська Бібліотека
АН УРСР

TEODOR SOŁŁOGUB.

Polityczne bajeczki.

(Z rosyjskiego).

1. Asekurowany grzyb.

Grzyb ubezpieczył się. Pojechał do stolicy, zapłacił taksę asekuracyjną za lato i wrócił do lasu. Na kapeluszu przybito mu małą tabliczkę z napisem, który obwieszczał: „Towarzystwo asekuracyjne, Rosja“. Grzyb rósł tedy i pysznił się. Wszystkie grzyby spoglądały na niego razem, pełne trwogi.

Gdy przyszły krowy do lasu, żarły trawę, raczyły się grzybami, machały ogonami, aby odpędzić muchy i czuły się dobrze, coraz lepiej, jak gienerałowie na letniem mieszkaniu. Skoro jednak przybyły w obręb zaasekurowanego grzyba, zawróciły z powrotem.

— Muuu, tego nie można zjeść — ryczały — asekurowany — mruczały — lepiej się trzymać o dziesięć kroków zdaleka — przestrzegały.

— Inaczej, Boże broń i zachowaj, nadepnie mu kto na pięty i nieszczęście gotowe.

Aż oto nądchodzi krowa, całkiem zwyczajna krowa, widzi grzyb i ślinka jej przychodzi do gęby. Stoi i myśli po krowiemu:

— Muuu, a gdy zaryzykuję i zjem go? Co się stanie?

Innych krów jednak pyta:

— Gdzie może być asekurowany grzyb?

Pokazano jej.

— Muuu — pyta — jak wielką jest asekuracja?

— Buuu — odburknięto — wisi na nim tabliczka.

— On na to nie wygląda, lecz zacznij z nim, a przekonasz się.

Krowa pomyślała chwilę, próbując polizała językiem tabliczkę, połechtała ją lekko rogami, a wtedy tabliczka odskoczyła na sąsiedni pień.

— No — odezwała się krowa — teraz asekuracja jest przeniesiona na zgniły pień. Na dziesięć kroków przed zbutwiałym pniem. Teraz ten jest asekurowany.

— Co nas obchodzi twój zgniły pień! — łajały ją krowy. — Nie potrzebujemy zgniłych pni! Chcemy grzybów!

Podczas gdy się krowy tak rozwodziły, krowa nie ociągała się i zniszczyła z zadowoleniem asekurowany grzyb.

Poczem rzekła:

— Ubezpiecza się, a cóż mu z tego przyszło?

Szybko załatwiła się i poczłeptała w dal.

Na tem koniec.

2. Nieopalony piec.

W pewnym domu były zimne piece. Nie opalono ich, gdyż obawiano się pożaru. Gospodyni była także skąpa. Nie omieszkała mówić:

— Są ściany, sufit i dach, podłoga jest także, drzwi są obite wojłokiem, podwójne okna zamknięte, szpary są starannie pozatykane, zalepione kitem i zamazane farbą. Zimny wiatr nie wedrze się do wnętrza, nie wpadnie przeciąg. I czegóż chcecie więcej?

126931

Lecz dzieci gospodyni, głupiutkie brzdące, prosiły:

— Ach, mamo, żebyś ty raz jeden kazała napalić w dziecinnym pokoju, jedyny raz, jest niemożliwie zimno, zęby szczękają!

Skąpa gospodyni odpowiadała im bardzo spokojnie, z lekką ironią:

— Pocieszcie się owieczki, na co wam piec. Jesteście jeszcze młodzi, macie wszystko przed sobą. Nie poruszajcie powietrza, nie róbcie przeciągów, siedźcie grzecznie, przytulcie się ładnie do siebie, to ogrzejecie się wzajemnie, przecierpicie zimę. A skoro przyjdzie wiosna, zaprowadzę was na łąkę. Ani mnie nic z tego, ani wam, wydawać na drogie drzewo, pakować pieniądze w komin, ogrzewać wronom dzioby; nie, moi kochani, jak długo ja żyję w tym domu, nic z tego, a na wasze lamenty kładę krzyż!

Sama jednak włożyła lisie futro, owinęła głowę w pluszowy czepek, na nogi wciągnęła ciepłe pończochy i futrzane trzewiki, pyszniła się na wszystkie strony i gderała na dzieci.

— Mnie — mówiła — jest zupełnie ciepło!

Dzieci, jak zwykłe dzieci, były lekko i nędznie ubrane. Wielu guzików brakło u wszystkich części garderoby, sukienki miały porwane i podziurawione. Drżały od zimna jak listki osiki, zęby szczękały, czasami płynęły łzy.

Aż raz najstarszemu chłopcu przyszedł taki pomysł i odezwał się do rodzeństwa:

Na co właściwie mamy marznąć? Zamarznie nam nasza dusza. Skoro wreszcie przyjdzie wiosna, będziemy małymi, zasuszonymi trupkami. Lepiej więc porąbmy na drobne kawałki stoły i krzesełka, włóżmy je do pieca i ogrzejmy się.

— Mama będzie krzyczeć — wtrąciły dziewczynki. — I bicie także dostaniemy.

Jednak były tak zmarznięte, że dłużej nie mogły się namyślać, połamały na kawałki stoły i krzesła i wrzuciły je do pieca. Zabłysł wesoły ogień, dzieci śmiały się i skakały z radości i mówiły do siebie:

— Teraz możemy zawołać także i mamę. Niech ona się też ogrzeje.

3. Promień w więzieniu.

Promienie zgromadziły się wokół słońca, aby otrzymać rozkaz, gdzie biec mają.

Jeden promień powiedział:

— Chcę dzisiaj biec do pałacu.

Drugi:

— A ja na bulwary.

Trzeci zaś:

— Ja znów na pola.

Czwarty rzecze:

— Chcę igrać na rzece.

Wszystkie wyszukały sobie najpiękniejszych miejsc i pospieszyły tam. Słońce jednakowoż zawołało je z powrotem:

— Czekajcie przyjaciele, pozostało jeszcze jedno miejsce; ciemna cela więzienna, w której siedzi biedny skazaniec.

Wszystkie promienie zaczęły jęczeć!

— W ciemnej celi jest wilgotno, w ciemnej celi jest brudno, w ciemnej celi jest źle, nie chcemy do ciemnej celi.

Słońce chwyciło jeden promień i rzekło:

— Wczoraj bardzo brykałeś, zaglądałeś do zakazanych miejsc, i za to zabaw w ciemnej celi, chociażby tylko pięć minut.

Biedny promień zaczął płakać, lecz nic to nie pomogło. Musiał usłuchać rozkazu słońca, pięć minutek siedział przy skazańcu w ciemnej celi, zły, nadęty, chmurny.

A dla biednego skazańca dzień ten był wielkiem świętem.

4. Zawadjaka.

Żył raz ogromny zawadjaka. Bił ciągle swoich małych braciszków. A nie było nikogo, ktoby się wziął do niego; ile się razy skarżyli na niego, nic mu nie robiono.

Ojciec mówił:

— Wybił was? Coście mu zrobili? Płaczecie? Krzyczycie? Jak śmiecie zakłócać spokój i porządek? Wynoście się.

Matka mówiła:

— Mam dosyć utrapienia z gospodarstwem, nie mogę się wami zajmować!

Stryj „wojskowy" wołał:

— Subordynacja! baczność! Piersi naprzód, brzuch w tył! w lewo zwrot! marsz!

Dziadek mówił:

— Bądź sam dobrym i nie krzywdź drugich. Nie zwracaj uwagi na to, że cię skubią, myśl o tem, aby być lepszym; kiedy napada na ciebie z kułakami, ty przyjmij go serdecznem słowem.

W tym tonie ciągnęło się coraz dalej. Oby dziadek wreszcie dał spokój; braciszkowie zawadjaki i tak go już nie słuchali: on jednak ciągle utrzymywał się w stylu.

Raz zawadjaka idąc przez ulicę, rozpoczął bójkę z dziećmi sąsiada. Ci atoli obalili go i nabili mu pełno guzów. Zawadjaka jęcząc wrócił do domu. Jego braciszkowie przyglądali się całej scenie przez okno i mówili:

— No, teraz pewno troszkę przycichnie.

Jednak omylili się w swoich przeczuciach. Zawadjaka tłukł ich jeszcze brutalniej. Przytem mówił:

— Zostajecie w zmowie z dziećmi sąsiada... Poznajcie teraz, kim jestem!

Socjalistki posłami do sejmu finlandzkiego.

W sejmie finlandzkim zasiada obecnie 13 towarzyszek, są niemi:

Ida Zofja Aalle, ur. 6 maja 1875 r., była wpierw piekarką, po wstąpieniu do ruchu socjalno demokratycznego wyjechała do Szwecji i Danji celem poznania tamtych stowarzyszeń robotnic, odtąd działa niestrudzenie, jako mówczyni partji. Jest osobą zaufania licznych organizacji i już zasiadała w pierwszym sejmie.

Hilda Hevrala gorliwie pracuje w organizacjach swego zawodu. Jest krawczynią i również już po raz wtóry wybrana do sejmu. Liczy lat 27.

Anna Huotari, ur. 13 czerwca 1874 r., po ukończeniu szkoły ludowej została krawczynią. Jest jedną z najgorliwszych organizatorek w swoim zawodzie i wielokrotnie reprezentowała organizację krawców na kongresach socjalistycznych. Była od r. 1902 do 1905 r. sekretarką centralnej organizacji robotnic, a od 1906 r. jest przewodniczącą tejże. Działa słowem i piórem.

Najmłodszą wiekiem wśród kobiet posłów jest Alma Jokinen, ur. w 1882 r. z domu Malandra. Była służącą, potem robotnicą fabryczną i już w 21 r. życia rozpoczęła swą agitatorską działalność w duchu socjalno-demokratycznym. Wraz z nią zasiada w sejmie mąż jej, redaktor jako reprezentant ludu roboczego.

Olga Karolina Jokijalo, ur. 12 grudnia 1879 r., również tylko szkołę elementarną ukończyła, potem była służącą i robotnicą fabryczną a od 20 r. życia swego należy do najgorliwszych bojowniczek.

Mimmi Kanerwo ma lat 38, zasiadała i w pierwszym sejmie. Przed zamążpójściem była służącą, cieszy się ogólnem poważaniem, jako jedna z najbardziej zasłużonych około obudzenia ruchu wśród kobiet.

Aura Kiis Ninen po ukończeniu szkoły ludowej zarabiała zrazu w służbie domowej, potem jako krawczyni na chleb. Ma lat 30. Jest świetną mówczynią i w organizacjach pełni urząd sekretarki i skarbniczki.

Sandra Lehtinen lat 35 liczy. Bierze żywy udział od początku ruchu socjalistycznego, zasiadała też i w pierwszym sejmie. Była służącą, następnie krawczynią.

Frina Pielikäinen, urodzona wśród nędzy, od 11 roku życia służyła i utrzymywała się o własnych siłach, potem została praczką. Chociaż obecnie jest matką 9-ga dziatek, należy do najżarliwszych działaczek. Dawniej głównie organizatorskiej pracy się oddawała, obecnie występuje i w roli mówczyni.

Hilja Pärssinen, współpracowniczka „Równości", znana delegatka na międzynarodowych kongresach socjalistycznych kobiet, jest egzaminowaną nauczycielką. Powiększyła du-

chową spuściznę swej ojczyzny jako autorka i poetka. Jest zamężną, poświęca całą swą istotę pracy nad wyzwoleniem ludu roboczego.

Marja Baumi tylko szkołę ludową ukończyła i została krawczynią. Żyła przez pewien czas w Ameryce, gdzie straciła męża. Bojkotowana z powodu swych przekonań przez klientelę burżuazyjną wróciła w 1905 r. do kraju. Jej zasługi najlepiej wyraża fakt, że już po raz wtóry wybrano ją do sejmu.

Anna Savolainen ma lat 33. Życie jej to typowy obraz losu proletarjuszy. Tylko przez 3 tygodnie mogła korzystać z nauki szkolnej, bo już od ósmego roku życia była skazaną na własną pracę. Była zrazu służącą, potem krawczynią. W ruchu brała udział w szarej, codziennnej robocie, a od strejku gieneralnego w 1905 roku występuje jako mówczyni.

Miina Fillanpää, wybrana ponownie w sejmie, jest seniorką wśród towarzyszy, bo liczy lat 42. Była służącą i robotnicą fabryczną, dzięki gorliwości i niezwykłemu darowi organizacyjnemu, stworzyła organizację sług w Helsingfors i jest kierowniczką biura pośrednictwa pracy i redaktorką organu. Zajmuje wiele urzędów w charakterze osoby zaufania i jest też członkiem prezydjum partji.

Dumą napełnia fakt, że prawie wszystkie wyżej wymienione wzniosły się z nizin życia społecznego i same wykuły wartość swego życia. Czem zostały, czego dokonały dla wyzwolenia klasy roboczej, zawdzięczają niespożytej energji i pełnemu oddaniu siebie sprawie. Siłę, którą im matka natura w kolebce do ubóstwa dodała powiększyły stokrotnie po lichwiarsku. Zawdzięczają to twórczej sile socjalizmu, która, budząc proletarjat do walki, rozwija w nim duchowe i moralne zdolności.

Walka klasowa pod znakiem socjalizmu jest matką-ziemią, z której masy robocze czerpią żywność, pogłębienie i moc.

Kto wie, po jakich kamieniach i cierniach prowadzi droga do samokształcenia i samowychowania, dlatego skromne dane biograficzne o parlamentarzystkach Finlandji będą porywającą pieśnią bohaterską, która jest czemś więcej od losu poszczególnych jednostek: bo kawałem historji współczesnej, kawałem historji klasowej proletarjatu!

Przechodzą one do porządku nad „damami", kręcącemi nosem nad „sługami, praczkami i szwaczkami" — posłami. One swe wykształcenie zdobywały bez trudu i ofiar, a kosztem niedoli wyzyskiwanych.

Kiedy staną do walki nasze „sługi, praczki, szwaczki" i cała rzesza niewolnic?

Inkwizycja w Polsce.

Z „Myśli Niepodległej" wyjmujemy następujący ciekawy przyczynek do św. inkwizycji:

Nawet przeciętnie inteligientny polak ma do tej chwili wątpliwości, czy godna inst tucja męczań za przekonania istniała w krajach „złotej wolności"t Średniowiecze, ten straszny, ponury okres życia narodów, dzięki zupełnemu brakowi popularyzacji i wyjaśnień realnych zawsze przedstawia się nam ciemno u innych a jako stare dobre czasy u nas.

Tylko brak dostępu do archiwów włożył Tadeuszowi Czackiemu (O prawach polskich i litewskich) słowa w usta: „Szczęśliwy nasz kraj, że pisząc jego dzieje, można pisać o I kwizycji, świętą zwanej, bez liczenia ofiar nabożnego okrucieństwa". Optymizm zatrważający! Przedewszystkiem Inkwizycja istniała u nas, nawet obecnie są usiłowania ku podźwignięciu tej instytucji. Panienki obywatelskie, wychowywane po klasztorach Galicji, wygłosiły wobec piszącego te słowa zdanie: „szkoda, że gorszycieli i zgorszenia nie można już ogniem karać".

Istnieli inkwizytorowie, mamy tego ślady już w 1318 r. gdy zlecono (Jan XXII) Peregrynowi zakonu Dominikanów oraz Mikołajowi zakonu Franciszkanów, aby we wrocławskiej i krakowskiej dyecezji urząd censorum fidei (stróżów wiary) sprawowali.

W procesie między Krzyżakami a Kazimierzem Wielkim jako świadek zapisany jest brat Mikołaj „inquisitor haereticae pravitatis" w Wielkiej Polsce (był to prior klasztoru w Sieradzu).

Statut wieluński 1424 r. Władysława Jagiełły zaleca, aby każdy przybywający z Czech był badany przez biskupów i czł nków inkwizycji. Za Zygmunta I z rozkazu zakonnik Mikołaja Dominikanina, doktora teologji, spalono pewnego żyda w Krakowie. Abraham Bzowski w dziele Propago D. Hyacinthi, Venezia 1606, przytacza ustanowienie 1326 r. inkwizytorem Piotra z Kołomyi, oraz przywilej Władysława III z 1436 r., aby inkwizytorom we wszystkiem pomagać a oskarżonych karać. W bibliotece Corsinich w Rzymie jest obwieszczenie Marcina de Brzeście, inkwizytora, 1437 r. 15 kwietnia, aby mu dostawiono heretyków.

Za Kazimierza Jagiellończyka pod rokiem 1454 mamy rozkaz, aby inkwizytorowie w całem Królestwie urząd swój wypełniali, aby na ich rozkaz obwinionych więziono, oraz, dokąd inkwizyt r wskaże, odstawiano. Gdy zaś ich sądowi świeckiemu odda mają być sądzeni i niezwłocznie karani. Takiż rozkaz 1464 r. dostaje dominikanin krakowski Marcin de Kace.

Bzowski wykazuje, iż każdy prowincjał dominikański był inkwizytorem i takich wymienia 44. Ostatni z tych inkwizytorów, dominikanin lwowski Melchjor z Mościsk, umiera około 1591 roku. Mamy ślady, że istniały akta Inkwizycji świętej u Dominikanów w Krakowie i Płocku. Ważne jest dzieło księdza Sidoka Barącza (Lwów 1861 r. 2 tomy) „Rys dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce". Duchowny ten naturalnie występuje z twierdzeniem, iż inkwizycja ani hiszpańska ani włoska nie była u nas znaną — (słusznie, bo była nasza polska). Jednak tenże autor wymienia, o dziwo inkwizytorów i ich czyny u nas: Jan Polak inkwizytor, 1305 r. przejęty gorliwością o rozszerzenie prawdziwej wiary katolickiej (aha!) w Polsce, jak najmocniej opierał się nowym krzewicielom błędów zastarzałych a zbijając takowych (czy nie zabijając?!), oczyścił całą przestrzeń obrębu swego od tej nieszczęsnej zarazy". „W 1326 r. papież wysłał inkwizytorów do Polski, aby oparli się napływowi z Niemiec Beguinów, Fratzycelów i t. d. Roku 1327 prowincjał dominikanów polskich mianował inkwizytorów, którzy kazaniami nawracali (obecnie są to owe sławne misje), „przekonanych zaś o kacerstwo mieli wedle ustaw trybunału świętego surowej poddawać karze".

Jan z Wrocławia, inkwizytor, zamordowany został 1341 r.

Wacław Polak, inkwizytor, upór bezwstydnych niewiast rozpalonemi stosy tłumił (tu już wyraźnie mowa o ogniu i stosach).

W 1348 r. Piotr, mistrz teologji, krakowski inkwizytor, walczy przeciw naśladowcom Czecha Piotra z Pirano, przywodzi jednych do uznania błędów, „drugich uporczywie trwających przy fałszywych zdaniach swoich mieczem i ogniem karze.

Jan Chryzostom, poznański inkwizytor, „wielu pojedn.ał z kościołem katolickim, upartych zaś, osobliwie niewiasty, publicznie spalić rozkazał".

W 1349 r. wykopano ciało czecha Piotra piraneńskiego i przez kata publicznie spalono. Czyn ten stał się za sprawą porozumienia polskich i niemieckich inkwizytorów. Piotr i Stanisław, inkwizytorowie, przebiegają ziemie polskie, wyszukując starannie heretyków, jednych nawracają, opornych zaś „na publicznie rozpalone stosy skazują" (około 1365 r.). Jakób Grzymała, inkwizytor gieneralny w Polsce, 1453 r. husytów czeskich wraz z ich żonami w Krakowie na.azał chwytać, za bezbożnych osądzić i w przytomności pospolstwa publicznie spalić.

Między 1464 – 1466 bronili interesów kościoła Grzegorz Heicze w Wrocławiu, Mikołaj Gruneb w Toruniu, Maciej Conradi na Rusi, Djonizy i Albert z Łęczycy w Krakowie.

R. 1505 Albert z Płocka, inkwizytor krakowski, dowiedziawszy się o przybyłych z Chech fossarjuszach, kazał ich wojskiem otoczyć niewiasty wszystkie z obnażonemi piersiami przez miasto wiedzione chłostano, nareszcie żywcem spalone zostały.

We Lwowie Jędrzej, najczujniejszy inkwizyt[illegible] fossarjuszów publicznie spalić kazał.

Za Zygmunta I pracowali nad interesem kościoła: Felix w Krakowie, Dominik Małachowski, kaznodzieja [illegible]owski, Marcin Szporna, Wrocławczyk, Walerjan de Warso, Jakób Russius, Piotr z Sochaczewa, Jakób, przeor krakowski, Hieronim, inkwizytor krakowski, Paweł Sarbinjusz z Poznań-

nia, „którego rozwścieczona szlachta chce w Warcie topić, ale cudem Bożym zniknął jej z oczu i uszedł niechybnej zguby.“

Od r. 1254 do 1571 wedle księdza Barącza uszczęśliwiało nasz kraj 55 inkwizytorów.

Pobieżny ten zarys oparliśmy na arcy-lojalnej pracy Leona Rogalskiego, zamieszczonej w 12 ym t mie str. 579 do 585 Wielkiej Encyklopedji Orgelbranda z 1863 r. Jakież światło na obronę interesów kościoła katolickiego u nas rzucić powinny bezstronne, ale sumienne studja postępowego badacza! A przecież lat temu 17 pewien wybitny warszawski literat uparcie twierdził w gronie młodych Polaków za granicą, iż w Polsce Inkwizycji świętej nigdy nie było.

Szperacz.

Rozmaitości

Jaki jest rodowód wyrazu bojkot? Wyjaśnia to nam lektor uniwersytetu paryskiego Seignobos w znanem swem dziele „Dzieje polityczne Europy współczesnej“. Otóż w walce wygłodniałych irlandczyków przeciw rozpanoszonym posiadaczom większych własności ziemskich, wynaleźli irlandczycy nowy sposób na nieprzyjaciół ich ligi; poddawano ich kwarantannie. Żaden irlandczyk nie powinien był mieć z nimi stosunku, nie mogli oni znaleźć ani służących, ani robotników, ani pośredników w sprzedaży. Sposób ten, zastosowany zrazu do kapitana Boycotta (listopad 1880 r.), otrzymał nazwę „bojkotowania“.

* * *

Masowy proces przeciw 10000 kobiet. W Bilbas toczy się obecnie proces przeciw 10000 kobietom o zachwalanie czynów karygodnych. Podpisały one mianowicie adres do modniarki Pajany, która zabiła swego narzeczonego, przyłapanego na wiarołomstwie i zasądzoną zato została na 8 lat więzienia. Z powodu tego adresu wytoczono wszystkim paniom proces. Śledztwo trwa już cały rok. Prokurator żąda ukarania autorki adresu czteromiesięcznym aresztem, zaś każdej, która adres podpisała, jednodniowym aresztem.

* * *

Interesujące wykopalisko. Dyrektor paryskiego muzeum przyrodniczo-historycznego ogłasza, że w okolicy Chapelle aux Saintes w departamencie Corrége znaleziono szkielet człowieka, pochodzącego z doby jeszcze wcześniejszej, aniżeli szkielet znaleziony w dolinie Neauderskiej. Oprócz czaszki, zachowały się kości i dolne części ciała.

* * *

Liczenie ludności w Chinach. Dokładnej liczby ludności „państwa niebieskiego“ dotychczas nie znano. Obecnie rząd chiński podaje wynik spisu ludności i podług tego liczba mieszkańców Chin wynosi 438 miljonów 214 tysięcy. Jestto prawie jedna trzecia część ludnosci na kuli ziemskiej. Liczba obcokrajowców wynosi blisko 70 tysięcy głów.

* * *

Tajemnicze węże. Przed paru dniami w paryskim ogrodzie zoologicznym padł stary wąż, z którym związaną była następująca ciekawa historja:

Przed 50 laty oddał pewien spedytor w zamku królewskim pudło, które miało taki napis: „Dla króla! Otworzyć wolno tylko królowi! Zawartość: tajemnica rządowa“. Ponieważ domyślano się piekielnej maszyny, odesłano pudło nietknięte na policję, gdzie po otworzeniu znaleziono w niem cztery węże. Wysyłający tajemniczą przesyłkę naturalnie adresu swego nie podał. Węże powędrowały do ogrodu zoologicznego i figurowały tam jako podarek prefekta policji. Ostatni z tych wężów padł na uwiąd starczy przed kilku dniami.

* * *

Dziwna reklama powieści. Z Berlina donoszą: Tysiące berlińczyków otrzymało przed kilku dniami listy mniej więcej następującej treści:

„Właśnie czytałem powieść tendencyjną. Wprost nie do uwierzenia. Skandal w najgorszym rodzaju. Tu widzi się znowu, że tam gdzie potrzeba prokuratora, nie wkracza on wcale, inaczej taka książka nie dostałaby się do publiczności. A może to ma być polityczny spryt? Ciekawa rzecz, kto się ukrywa poza anonimem autora? R. i H. są strasznie skompromitowani i wprost zmuszeni do wdrożenia procesu. Czy i pan wniesie skargę? Ja niestety również jestem wmięszany. Jest to straszne. Piszę w wielkim pospiechu. Z szacunkiem... Podpis nieczytelny.

Cel tego manewru był dosyć wyraźny. Chodziło o to, aby pobudzić ciekawość i przez to zwiększyć pokup książki. Sprzedano też rzeczywiście w ciągu przedpołudnia wiele egzemplarzy odnośnej powieści. Podobną reklamę zainscenizowano też w innych niemieckich miastach, jak Hamburg, Kassel i Frankfurt. Powieść nosi tytuł „Podwójna moralność“ i wyszła w Monachjum nakładem Piotra Gantera Policja wdrożyła śledztwo przeciw autorowi, który został aresztowany w Monachjum, w osobie Piotra Gantera byłego administratora jednego z berlińskich banków.

* * *

Dwadzieścia tysięcy marek z wiatrem. Z Berlina donoszą: Posłańcowi pewnego banku berlińskiego, który 8 b. m. wsiadał do omnibusu w Burgstrasse, w pobliżu giełdy, porwał wiatr papiery wartościowe wartości 20000 marek i rozsypał je na wszystkie strony. Jednemu z przechodniów udało się zebrać papiery wartości 12000 marek, reszta może jeszcze dotychczas jest igraszką wiatru.

Z literatury i sztuki

Wznowienie „Promyka“. W Krakowie powzięło grono postępowych osób zamiar wydawania „Promyka“, pisma dla dzieci. Współpracownictwo przyrzekli: W. Sieroszewski, Janusz Korczak, St. Krauz, M. Markowska, J. Mortkowiczowa, R. Minkiewicz, Władysław Orkan, R. M. Judymowa i inni. Kierownictwo artystyczne pisma objął artysta Jan Bukowski.

Treść pierwszych numerów „Promyka“ stanowić będą: oryginalna powieść Róży Marji Judymowej pt. „Na Maciejówce“, ilustrowana samodzielnie przez dzieci; Janusza Korczaka „Joski, Moski i Srule“ — wrażenie z życia na kolonjach letnich: Opowiadanie przyrodnicze Romualda Minkiewicza pod tytułem: „Historja ogona“; Historyczne obrazki Heleny Orszy; szereg najcelniejszych utworów z literatur obcych, wybranych i przełożonych przez Janinę Mortkowiczową, artykuły przyrodnicze przez E. B. L. i t. d. — Numer pierwszy wyjdzie dnia 15 stycznia 1909 roku. — Warunki prenumeraty: Rocznie 8 koron, kwartalnie 2 korony.

Adres dla listów i zamówień: Bronisława Bobrowska, Kraków, Podgórze, ul. Mickiewicza l. 24.

* * *

Bolesław Limanowski: **„Historja powstania narodu polskiego w r. 1863 i 1864“.** Wydanie drugie przerobione. (Z portretem autora). Lwów, Polskie Towarzystwo Nakładowe. Cena 6 Koron.

* * *

„Lamus“. Pod tym tytułem wyszedł z druku pod redakcją p. Michała Pawlikowskiego (Lwów) i kierunkiem artystycznym p. Feliksa Jasieńskiego (Kraków) pierwszy zeszyt wytwornego kwartalnika literackiego, zawierający poezje i nowele Kasprowicza, Staffa, Wł. Tetmajera itd., artykuły z dziedziny literatury i sztuki, oraz liczne niedrukowane dotąd rzeczy Ujejskiego, Norwida, Anczyca, Wyspiańskiego itd., wydobyte z ich papierów pośmiertnych.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 2. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 stycznia 1909.

Włos Madonny.

Tłomaczone z rosyjskiego.

Przechadzaliśmy się ze starym Jerominem po zielonej równinie około maleńkiego francuskiego miasteczka St. Julien, położonego niedaleko szwajcarskiego miasta Gienewy.

— Czy domyśla się pan gdzie jesteśmy — zagadnął mnie stary, rozstawiając szeroko nogi.

— Jak to gdzie — odpowiedziałem zdziwiony.

— Na jakiej ziemi — roześmiał się stary Jeromin.

— Myślę, że we Francji.

— Nie.

— Więc gdzie jesteśmy?

— We Francji i w Szwajcarji — odpowiedział z dumą stary.

Widząc zdziwienie, malujące się na mojej twarzy, zaczął mnie objaśniać poważnym głosem:

— Jedna noga jest we Francji, druga w Szwajcarji. Widzi pan ten kamień między mojemi nogami, to granica. Mogę się tak położyć, żeby głowa moja była w Szwajcarji, a nogi we Francji, i odwrotnie.

Zadowolony ze swego wyjaśnienia, stary popatrzył na mnie. Tak panie, ten kamień między mojemi nogami, to granica.

I ja patrzyłem na ten kamień, na ten smok, który Jeromin nazwał granicą. Po obydwuch stronach tego kamienia jednako zieleniły się pola, poważne odwieczne drzewa dumnie wznosiły swoje korony ku przestworom niebieskim. Te same winne latorośle zasłaniały ogromne przestrzenie. Ani kwiaty, ani drzewa, ani ptactwo swobodnie latające, nie zwracały zupełnie uwagi, że między nimi granice, że jest coś, co je rozdziela...

I mnie się zdawało. że na ludzi rzucono czar, że widzą to, czego w rzeczywistości wcale nie ma. Martwy kawałek głazu potrafił opanować ludzkie umysły, rozdzielić braci, mieszkających na jednym skrawku ziemi.

Żal mi się zrobiło starego Jeromiego, i on widział to, czego ja zobaczyć nie mogłem, i jego opanował czar głupoty.

— Panie Boże pozdrów — odezwał się niespodzianie głos za nami.

— A, jak się masz stary sąsiedzie — zapytał Jeromin.

Przed nami stał wysoki czerstwy staruszek, odziany w niebieski kaftan.

— Jak ci się powodzi — i wyciągnął na powitanie kościstą rękę do Jeromina.

— A jak widzisz. A tobie?

— Nie mogę narzekać.

— Pokazuję temu obcemu panu nasze miasta. Właśnie mu tłomaczyłem, jak to jest u nas: jedna noga we Francji, druga w Szwajcarji... Cha! cha! cha! Stary Jeromin francus, a stary Jakób szwajcar, a pola mają jedno koło drugiego.

— Tak jest — odpowiedział stary Jakób, nasuwając słomiany kapelusz na oczy. Posiedzimy może chwileczkę, wygrzejemy się na słońcu, dobrze stary sąsiedzie.

Usiedli, a ja między nimi. Zaczęli opowiadać sobie o kłopotach gospodarskich, o cenach zboża itd. Przecież mieli tyle wspólnego, a jednak... Jeromin był francusem a Jakób szwajcarem.

Patrzyłem na tych dwuch starców, jak w zgodzie i miłości razem siedzieli. Gdyby jednak w tej chwili zabrzmiała pobudka wojenna, syn Jeromiego podpaliłby dom Jakóba, a synowie Jakóba strzelaliby do starego sąsiada i jego rodziny, jak do wróbli... A powodem takich wypadków jest ludzka głupota. Wmówili w siebie, że widzą granice, których wcale nie ma i zamiast sobie być braćmi, są nieprzyjaciółmi.

Przypomniało mi się opowiadanie o włosie Madonny, który podobno przechowują w jednym z włoskich klasztorów. Włos ten pokazywali każdemu, ale w rzeczywistości nikt go nigdy nie widział.

Pewnego dnia przyszła do klasztoru prosta kobieta, a pomodliwszy się prosiła mnicha, żeby i jej pokazał drogą pamiątkę. Mnich nie dał się długo prosić, wyciągnął złoty woreczek, otworzył, wyjął coś z niego i podniósł w górę.

— No widzisz.

Kobieta szeroko otworzyła oczy, ale nic nie widziała.

— To znak, żeś tego niegodna. Idź i modlij się dalej.

Kobieta modliła się z całą żarliwością, koniecznie chciała dostąpić tej łaski, żeby włos zobaczyć, i ciągle nic nie widziała.

Kiedy kobieta po raz dziesiąty do niego przyszła i prosiła żeby jej włos pokazał, stracił nareszcie cierpliwość. E, kobieto ja tu już jestem lat 30 i jeszcze tego nie widziałem, co innym pokazuję, a ty chcesz odrazu to zobaczyć.

Już tysiące lat chytrzy oszuści pokazują ludziom nieistniejące granice, a im się zdaje, że je widzą.

Gdy jednak z oczu ich spadnie łuska ślepoty, gdy się wyswobodzą z pęt, którymi ich omotano, zobaczą, że nie ma żadnych granic, że nie ma żadnych cudów i że mogli by żyć w braterstwie, gdyby tylko chcieli.

Chciało mi się zawołać do starców spokojnie rozmawiających:

„Jerominie, Jakóbie, przetrzyjcie oczy, nie ma żadnej granicy, rzucono na was czar“. Ale w tej chwili podniósł się Jeromin i wyciągnął rękę do Jakóba i rzekł:

— No, z Bogiem stary sąsiedzie, już dosyć długo zabawiłem za granicą, trzeba iść do domu. Cha! cha! cha!

— Szwajcarję pan już widział, chodźmy teraz do Francji — powiedział do mnie.

— No chodźmy. — Pożegnałem się z starym Jakóbem, i zwróciliśmy nasze kroki ku domostwu Jeromina, które stało o jakie pięćdziesiąt kroków od kamienia granicznego między ziolonymi topolami i kwitnącym bzem.

Dr. Henryk Kłuszyński.

Gminna polityka mieszkaniowa.

Znaną jest aż nadto nędza mieszkaniowa klas pracujących. W wielkich miastach setki i tysiące rodzin nie znajdują pomieszkania dla siebie, a te które znalazły, gnieździć

się muszą w małych, ciasnych i dusznych klatkach, płacąc wysoki czynsz. Nie lepiej się dzieje w małych miasteczkach lub nawet na wsi. Z jednej więc strony brak mieszkań, z drugiej niedostateczne, niezdrowe.

Gminy są powołane, by rozmiary nędzy mieszkaniowej zmniejszyć. Aczkolwiek zarządy jej, przez klasy posiadające opanowane, nie są przejęte duchem socjalnym, i z wielkim trudem od nich wymusić można jakieś reformy dla klasy pracującej, to przecież na polu gminnej polityki mieszkaniowej w krajach o wyższej kulturze społecznej widoczne są pierwsze próby rozwiązania tej palącej kwestji. A czyni to burżuazja nie z miłości do klasy pracującej, ale w pierwszym rzędzie poważna troska i opieka o swoje własne zdrwwie pchają do tego. Dzielnicen robotnicze z nędznemi mieszkaniami są ogniskiem nieustającej epidemji, która nie zatrzymuje się pod sklepieniem robotniczych izdebek, ale śmiało dostaje się do zbytkowych sal pałaców i zamków.

Nędza mieszkaniowa to obciążenie budżetu gminnego dla ubogich, to źródło zwyrodnienia fizycznego i moralnego, to droga do pijaństwa i występku. Niejedna ustawa karna nie znajdzie zastosowania w życiu, gdy przestanie istnieć nędza mieszkaniowa.

Śmiertelność klasy robotniczej, a przedewszystkiem dzieci proletarjatu stoi obok innych także czynników w najściślejszym związku z nędzą mieszkaniową. Im mniejsze mieszkanie, tem śmiertelność większa. Statystyka wszystkich miast wykazuje, że największa śmiertelność znajduje się w mieszkaniach o jednej izbie, a cyfra jej zmniejsza się w miarę zwiększania się ilości izb, należących do jednego mieszkania. Jeżeli przyjmujemy śmiertelność w mieszkaniach o jednej izbie 63 na 1000 osób, to cyfra ta strasznie wysoka odrazu maleje na 22 na 1000 w mieszkaniach o 2 pokojach, a na 7 na 1000 o 3 pokojach. Taką ogromną rolę dla życia ludzkiego odgrywa jakość mieszkania*).

Dzieci robotnicze już często z zarodkami chorób przychodzą na świat, jakże mogą się rozwinąć w ciasnem, duszną atmosferą przesiąkniętem mieszkaniu. Śmierć zbiera obfite żniwo w mieszkaniach robotniczych. Nie mniej do niosły wpływ wywiera złe mieszkanie na tak zwaną „chorobę proletarjatu“ — suchoty. — Przepełnione mieszkania ludzi ubogich, niedostateczne przewietrzanie, wilgoć i inne wady takiego mieszkania są właściwemi ogniskami tej choroby. Robotnik, który miał wrodzone skłonności do tej choroby, łatwo jej nabędzie. I nie pomogą żadne towarzystwa zakładane przez arystokratów, mające za cel zwalczanie suchot, jeżeli w pierwszym rzędzie nie nastąpi gruntowna reforma mieszkania, jeżeli się rodzinie robotniczej nie da obszernego i zdrowego mieszkania. To jest warunek, bez którego wszystko inne jest pustą frazeologją i czczą zabawką lub sportem „antituberkulicznym“ dla zabijania aż nazbyt wolnego czasu.

Rozmaitemi drogami idzie we współczesnym ustroju kapitalistycznym fizyczne zwyrodnienie klasy pranującej. Nadmiar pracy fizycznej podkopuje przedwcześnie jej zdrowie, jedyny i najdroższy skarb rodziny robotniczej, praca kobiet zamężnych zabija dziecko w łonie matki, a co nie dokonała praca i złe odżywienie, uzupełnia niezdrowe mieszkanie, dziesiątkując ludność robotniczą i zabijając więcej jak połowę dzieci robotniczych.

Ptzypatrzmy się rozmaitym obrazkom mieszkaniowym z życia wziętym, a przedstawi nam się obraz piekła, którego szukać po świecie nie trzeba, gdyż pali i źre nas za życia. „Oto maleńka izba, w kącie znajduje się jedno łóżko na 5 osób. W łóżku śpi matka, obok niej jedno dziecko, w nogach jej dwoje. Na barłogu na wilgotnej podłodze śpi ojciec“.

„Oto znowu inna izdebka, w której mieszka wdowa i sześcioro dzieci, z których dwie córki mają 29 i 21 lat, a syn 27 lat“.

I takich obrazków naliczyć byśmy mogli tysiące. W wszystkich miastach, wielkich zbiorowiskach ludzkich, w okolicach przemysłowych, Berlinie, Wiedniu, Lipsku, Łodzi, M. Ostrawy, Witkowic, Trzyńca, Krakowa itd. znajdujemy podobne obrazy strasznej nędzy mieszkaniowej. A syce we wilkach i pałacach mieszkający, reprezentanci zarządów gminnych są ślepi, nie chcą widzieć, co się naokół dzieje.

Skąd się wziął brak mieszkań robotniczych, w jaki sposób wytworzyła się nędza mieszkaniowa i jakie żądania stawia socjalna demokracja, by zło zmniejszyć — tę sprawę rozpatrzymy następnie.

*) Najwięcej osób zamieszkuje jeden pokój. Florisdorf 60%, Kraków-Podgórze 68%, Morawska Ostrawa-Witkowice 74% mieszkań o jednym pokoju.

Szkice z historji socjalizmu.

Poprzednicy socjalizmu.

Kto chce poznać dokładnie nowoczesny ruch robotniczy i istotę dążeń międzynarodowej socjalnej demokracji, ten musi koniecznie zapoznać się z historją powstania, jej przemianami i rozwojem idei socjalistycznej.

Jakkolwiek socjalizm naukowy, tak, jak my go dziś pojmujemy na podstawie nauk Karola Marxa, jest nietylko stosunkowo młody, lecz nie da się też bezpośrednio wyprowadzić z żadnej starszej teorji społecznej, ponieważ jest on właśnie dopiero wytworem istniejącego obecnie systemu wyzysku kapitalistycznego, to przecież miał on swoich licznych poprzedników. Kautsky powiada, że nowoczesna, międzynarodowa socjalna-demokracja ma historycznie dwa korzenie. Obydwa te korzynie tkwią we wspólnym gruncie, a gruntem tym są istniejące stosunki gospodarcze i formy posiadania. Oba one mają wspólny cel — uwolnić biednych i wydziedziczonych z nędzy, wyzysku i ucisku przez zniesienie własności i istniejących porządków gospodarczych. A jednak obydwa różnią się znacznie co do swej istoty.

Korzeniami tymi są: utopje komunistyczne i komunizm równościowy. Utopje komunistyczne są to piękne, lecz nieziszczalne wierzenia jednostek szlachetnych i bardzo wykształconych, które pragnęły ludzkość uszczęśliwić za zgodą i przy czynnej pomocy panujących i bogaczów, bez wiedzy, bez współdziałania a nawet choćby wbrew woli wydziedziczonych, którzy mieliby więc być niejako przemocą uszczęśliwieni. — Otóż taki filantropijny (dobroczynny), burżuazyjny komunizm utopijny początek swój bierze od Tomasza Morusa, o którym innym razem będzie mowa. — Komunizm zaś równościowy bywa gruby, dziecinny; nie stwarza go sumienie społeczne, ani rozum, ani uczucie, lecz ojcem mu głód a matką walka o własne interesy klasy wydziczonych. Po raz pierwszy zjawia on się w dziejach w czasie rewolucji angielskiej XVII wieku.

Lecz i utopiści burżuazyjni i komuniści wśród kapitalistycznego proletarjatu mieli znów swych poprzedników. Jak pierwsze początki komunizmu równości noszą na sobie jeszcze ślady pierwotnych komunistycznych sekt chrześćjańskich, tak nie da się zaprzeczyć, że ideał państwa, nakreślony wieszczym duchem wielkiego myśliciela i poety greckiego Platona przed dwa i pół tysiącami lat, wywierał wrażenie na twórczość utopistów. Prawdą bowiem jest, że Morus, zanim napisał swą „Utopję“, przedtem napisał obronę „Republiki“ Platona.

Tym więc sposobem, idąc ciągle wstecz, porównując, powierzchownie jedno z drugiem, możnaby dla dzisiejszej socjalnej demokracji stworzyć wspaniałe, bardzo starożytne drzewo gienealogiczne (rodowodowe), sięgające od Karola Marxa, aż do Platona. — I tak też czynią najczęściej uczeni i badacze burżuazyjni, nie troszcząc się o to, że rodowód taki jest sztuczny a zatem zupełnie nieprawdziwy. Wysnuwają na jego podstawie najfałszywsze wnioski. A o to im właśnie chodzi.

Każdy rodzaj komunizmu miał swe źródło i oparcie we współczesnych mu stosunkach gospodarczych, sposobach wytwarzania i formach posiadania. A ponieważ wszystko to w ciągu wieków ulegało ciągłym i znacznym przeobrażeniom, więc nietylko zewnętrzna forma, ale i treść poszczególnych idei komunistycznych zasadniczym ulegała zmianom. O to nie boli jednak głowa niby uczonych krytyków, zwalczających nowoczesny socjalizm. Powiadają oni krótko: socjalizm jest naśladowaniem komunizmu Platona a ponieważ ideał państwa Platona okazał się nieorzecznością, której nigdy i nigdzie nie spróbowano nawet urzeczywistnić, więc też i wszystko, czego chce socjalna demokracja jest niedorzecznem.

Z tych dwóch tedy przyczyn: po pierwsze aby poznać, jak się rozwinęła myśl socjalistyczna i powtóre aby poznać zasadnicze różnice, istniejące między socjalizmem naukowym a utopijnym, zajmiemy się krótko opisaniem ideałów Platona, oraz stosunków z jakich one powstały.

Plato i jego ideał państwowy.

Plato urodził się w Atenach lub Aeginie około roku 429 przed Chrystusem, umarł około roku 347 przed Chr. Jako syn zamożnej rodziny arystokratycznej spędził młodość w dostatkach, poświęcając się nauce, zwłaszcza filozofji. Nauczycielem jego był sławny filozof grecki Sokrates. Odbywszy kilka wielkich podróży do wszystkich nieomal krajów ówczesnego świata cywilizowanego, poświęcił się Plato sam nauczaniu. Badając stosunki społeczne i polityczne w swej ojczyźnie, Atenach, i u narodów, które zwiedził, ułożył Plato nowy system państwa, opartego na czystej cnocie i filozofji. Nigdy jednakowoż nie występował Plato czynnie, jako polityk, i nigdy też nie spróbował ideał swój we własnej ojczyźnie w czyn wprowadzić. Na to był on za nadto arystokratą, aby się zwrócić do ludu, do „demosu", o poparcie. Wolał szukać urzeczywistnienia swych ideałów u panujących i możnych. W tym celu zwrócił się dwukrotnie do Dionizjusza (młodszego), tyrana w Syrakuzach. Dionizjusz przyjął go zraau bardzo łaskawie i obdarował hojnie, lecz następnie, obawiając się, aby „przewrotowe" nauki natrętnego ateńczyka nie zbuntowały mu jego poddanych i niewolników, wypędził Platona sromotnie i zagroził mu śmiercią w razie powrotu. Na tem skończyła się reformatorska działalność Platona. Ponieważ projekty jego nigdy nie były urzeczywistnione, ani wypróbowane, więc już z tej przyczyny trochę zbyt śmiałe już twierdzenie tych, którzy je piętnują, jako niedorzeczne. Teraz przypatrzmy się, jakie były owe projekty Platona i jak one powstały.

U kolebki wszystkich pierwotnych ludów znajdujemy komunizm, to jest zupełną własność wspólną wszystkich bogactw. Komunizm nietylko nie jest wrogiem ludzkości, lecz na najniższym szczeblu kultury jest to jedyna broń człowieka w walce o byt. Człowiek pierwotny ma małe bardzo potrzeby, lecz i te małe potrzeby może on zaspokoić tylko przy wspólnej pomocy wszystkich członków swojej hordy. Dziki rybołówca, myśliwy lub pasterz koczujący nie zna, co to własność prywatna. Las, zwierzyna w lesie, pastwisko i trzoda na niem są wspólną własnością hordy. Dopiero z chwilą osiedlenia się człowieka i rozpoczęcia rolnictwa zaczyna powoli wyłuszczać się własność prywatna rodzinna. Odtąd powstaje też prawo dziedziczności a w ślad za niem fizyczna przewaga mężczyzny nad kobietą stwarza także małżeństwo jednożenne. Powstają rzemiosła i handel wymienny, który rodzi pieniądze a pieniądz można już gromadzić i zamieniać z czasem na kapitał. Tak stopniowo znikał u wszystkich starożytnych ludów cywilizowanych, jak assyryjczycy, babilończycy, egipcjanie, żydzi i grecy, komunizm, który zapewniał wszystkim względny dobrobyt a na miejsce jego wstępowała własność przywatna, ze wszystkiemi swemi zaletami i wadami, których niestety jest znacznie więcej.

Za czasów Platona państwo i naród w Atenach znajdowały się w stanie największego upadku. Podczas gdy w innych miastach Grecji, zwłaszcza w Sparcie, gdzie panowały surowe prawa Likurga, dochowały się jeszcze resztki komunizmu, w Atenach nie było po nim już ani śladu. Garść potężnych arystokratów zagarniała tu niezmierne bogactwa z pracy niezliczonej szerzy niewolników a reszta wolnych obywateli żyła w największej nędzy i niedoli. Ludowi groziło wygłodzenie, państwo czekał upadek i zagłada.

Otóż, aby temu zapobiec, wystąpił Plato ze swoimi projektami, zawartymi w dwóch księgach „Politeia" i „Kritias". W dziełach tych oświadcza on, że „własność prywatna, przeciwieństwo między bogatym a biednym, jest przyczyną upadku państw... Gdzie bogactwo i bogacze są czczeni, tam cnota bywa w poniewierce... W takiem państwie są właściwie dwa państwa, jedno państwo ubogich, drugie bogatych,... które się wzajemnie zwalczają". Tylko komunizm może kres położyć tym sprzecznościom. Ale Plato był arystokratą i lud prosty, pracujący mało go obchodził. Po nadto był on filozofem i bałwochwalczym, aż do przesady, czcicielem cnoty. Dlatego domagał on się zniesienia własności prywatnej, ale tylko dla klasy rządzącej, którą Plato nazywa „stróżami państwa". Dla rzemieślników, chłopów, kupców, którzy mieli być na zawsze od rządów wyłączeni, miała pozostać nadal własność prywatna, jako podnieta do pracy i oszczędności. Klasa rządząca miała być uwolniona od wszelkiej pracy zarobkowej, aby mogła tem lepiej zająć się pieczą około dobra powszechnego. Rządzić mieli tylko filozofowie; inni członkowie klasy rządzącej mieli być wojownikami. Klasa rządząca w idealnem państwie Platona nic zatem nie wytwarza, bo utrzymuje ją klasa pracująca. Komunizm jej nie jest tedy wspólną własnością środków produkcji, lecz wyłącznie środków spożycia i użycia.

Owych „stróżów państwa" dobiera się z nadzwyczajną starannością. Przedewszystkiem należą do tej klasy potomkowie poprzednich stróżów, lecz także z pośród klasy pracującej mogą jednostki wybitne, odznaczające się urodą, zdrowiem, rozumem lub zdolnościami być podwyższone do tej klasy. Aby cel ten w zupełności osiągnąć, małżeństwa w klasie stróżów, do której należą oczywiście także kobiety, zawiera się pod dozorem państwa. Kobiecie wolno rodzić dla państwa jednak tylko między 20 a 40 rokiem życia, mężczyźnie wolno płodzić tylko między 30 a 55 rokiem. Po zatem panuje zupełna wolność w stosunkach płciowych. Dzieci spłodzone lub urodzone w innym czasie, podobnie, jak dzieci słabe, mają być gubione. Dzieci i młodzież wychowuje się na koszt państwa. Pod tymi tylko warunkami może ród stróżów pozostać nieskazitelny i szlachetny, powiada Plato.

Wzór do tych urządzeń wziął Plato ze Sparty, gdzie one po części istniały. W oczach ówczesnych spartan i wogóle greków nic w tem nie było złego ani niemoralnego. Wspólność kobiet, jaka z tych urządzeń wypływała, była zresztą zgodnem z prostem rozumowaniem wynikiem komunizmu środków użycia, którego się domagał Plato dla swoich stróżów.

Ta wspólność kobiet nie stoi jednakowoż w żadnym związku, ani jako warunek, ani jako wynik do wspólnej własności środków wytwarzania, będącej programem socjalnej demokracji.

Uwagą, że Plato obok tego domagał się także zupełnego równouprawnienia kobiety z mężczyzną — ale tylko w klasie stróżów, kończymy niniejszy szkic.

Tadeusz Reger.

Rozmaitości

Gazety w Austrji. Według urzędowych zestawień statystycznych wychodzi w Austrji 48 gazet politycznych i 1804 niepolitycznych w języku niemieckim, w języku czeskim 320 politycznych, 530 niepolitycznych, w języku polskim 95 politycznych, 202 niepolitycznych, w języku ruskim 22 politycznych, 26 niepolitycznych, w języku słowieńskim 27 politycznych, 50 niepolitycznych, w jezyku chorwackim 16 politycznych, 19 niepolitycznych, rumuńskim 6 politycznych, 2 niepolityczne, w języku włoskim 45 politycznych, 64 niepolitycznych. — Jedna gazeta polityczna przypada na 18,832 niemców, na 18,510 czechów, na 44,762 polaków, na 153,706 rusinów, na 44,177 słowieńców, na 44,461 chorwatów, na 16,157 włochów i na 38,494 rumunów. Ze zestawienia tego wynikałoby, że czytelnictwo pism politycznych najbardziej rozwinięte jest u włochów, dalej u czechów, a następnie u niemców.

* * *

40 miljonów na napiwki noworoczne. W żadnem innem mieście zwyczaj dawania napiwków noworocznych nie jest tak rozpowszechniony, jak w Paryżu. Tysiące kategorji ludzi, oddających usługi publiczne i prywatne ma już zwyczajowe prawo domagania się i otrzymania na Nowy Rok gratyfikacji, której wysokość zależy od rodzaju i ilości oddanych usług. W armji, pobierającej napiwki, pierwsze miejsce zajmują listonosze i dozorcy domów. Listonosze mają w Paryżu zwyczaj inkasować swe napiwki już od świąt

Bożego Narodzenia, a wymiar ich jest dość wysoki. Tak np. banki płacą stałą taksę od 100 do 1000 franków, która przychodzi do rozdziału między listonoszy ich rejonu; w domach prywatnych, gdzie listonosze nie stykają się bezpośrednio z lokatorami, oddając całą pocztę portjerowi, w dniu Nowego Roku robią wyjątek; sami wchodzą do mieszkań, a datkami dzielą się z portjerami.

Najlepsze interesa robią dozorcy domów. Ci pobierają wedle utartego zwyczaju stałe noworoczne w wysokości $^1/_2$ do 1% czynszu rocznego, a żaden lokator — najbogatszy i najbiedniejszy — nie uchyli się od tego obowiązku, z obawy przed przykrymi następstwami, wynikającymi z niełaski wszechwładnego stróża domu.

Jeden statystyk obliczył, że mieszkańcy Paryża wydają na noworoczne 40 miljonów franków; na jednego mieszkańca wypada najmniej 10, a najwyżej 800 franków.

* * *

Zjedzony przez węże. W Sanzon-Bell, miejscowości kąpielowej we Francji, zatrzymał się jeden z pacjentów, nazwiskiem Felie de Goberteau, ażeby tamtejszymi kąpielami wyleczyć się z reumatyzmu. Wybrzeże morskie tej miejscowości jest bezroślinne i skaliste, pełne głazów i wielkich kamieni. Goberteau nie wiedział, że między nimi przebywa mnóstwo węży piaskowych jadowitych, ciekawych tem, że barwa ich skóry niczem nie rożni się od barwy kamieni i ziemi, dlatego trudno je bardzo spostrzec. — Jedno ukąszenie takiego węża jest już śmierlelne. Pomimo, że przestrzegano przed nimi Goberteaua, ten codziennie, wynalazłszy wysokie odpowiednie miejsce, wychodził na wybrzeże po kąpieli i wystawiał, leżąc, zreumatyzmowane ciało, na działanie promieni słonecznych. Pewnego dnia leżał znów na swoim zwykłym miejscu i zasnął, zagrzebany do połowy ciała w piasku. Podczas snu, widocznie przez nieuwagę nogą potrącił i odchylił jeden z kamieni. A właśnie pod nim znajdowało się gniazdo węży piaskowych. Zakłócone w spokoju gady rzuciły się z wściekłością na Goberteaua, a gdy się ten obudził, ujrzał się dokoła otoczonym syczącemi wężami, które poczęły kąsać jego nagie ciało, w mgnieniu oka został pokryty wężami. Na rozpaczliwy krzyk jego nadbiegli inni kąpiący się i zastali nieszczęśliwca zupełnie nieprzytomnego. Szybko działający jad skutkował piorunująco. Pomimo wszelkich antidotów i środków leczniczych, było już zapóźno. Wszystkie lekarstwa okazały się za słabe wobec olbrzymiej ilości jadu, jaka weszła już w krew napadniętego. — Goberteau w kilka minut wśród okropnych boleści umarł.

* * *

Przeciwko mgle. Z wielkiem zaciekawieniem śledzą w Londynie próby systemu sir Cliwer-Lodge dla zwalczania mgły. Utworzył się specjalny komitet, który przeznaczył pięć tysięcy funtów szterlingów na te doświadczenia. Wynalazca usiłuje rozproszyć mgłę za pomocą silnych wyładowań elektrycznych. Małe tarcze, osadzone na wysokich masztach, wprowadzają bezpośrednio elektryczność do atmosfery. Prąd oddziaływa na gęstą warstwę i rozprasza ją. Mgła opada w postaci „czarnego śniegu".

W Londynie od kilku dni czynione są próby w pobliżu Grossvanor-canal. Doświadczenia przedsięwzięte w Liverpolu, oczyściły atmosferę w promieniu 20 metrów.

* * *

Bakterje w jelitach ludzkich znajdują się w tak olbrzymiej ilości, że laikowi na samą myśl o tem robi się zimno. Obawa przed bakterjami jest jednak w znacznej części nieuzasadnioną. Nie wszystkie bakterje są szkodliwe, są takie, którym zawdzięczamy bardzo wielkie korzyści. Do tych należą bakterje, żyjące w glebie i przyczyniające się do jej użyźniania, a także bakterje, powodujące fermantację. Tym ostatnim np. zawdzięczamy rzeczy tak powszechnego użytku, jak barszcz, kwaśne mleko, kiszone ogórki, drożdże i mnóstwo innych rzeczy.

We wnętrzu człowieka, szczególnie w kiszkach znajdują się miljardy bakterji, które nietylko nie przynoszą szkody organizmowi, ale jelita tak przystosowały się do ich obecności, że każą im spełniać znaczną część czynności trawienia. W jelicie cienkiem niema bakterji, bo je tam zabija żółć, zato obficie znajdują się one w jelicie grubem, gdzie rozkładają chemicznie włóknik, którego pożywne części mogą być skutkiem tego przez organizm asymilowane. Dowodem tego, że właśnie bakterje przyczyniają się do trawienia cellulozy czyli włóknika, jest fakt, że kurczęta żywione karmą wolną od bakterji nie rosną ani nie przybierają na wadze ponieważ pożywienie ich (ziarna otoczone powłoką z włóknika) nie może być przez organizm asymilowane. Dopiero gdy do jelit ich dostaną się bakterje kur dorosłych, chude zwierzęta zaczynają tyć. Tak więc odgrywają bakterje rolę w trawieniu cellulozy. Ciało korzysta z ich obecności, dając im w zamian „wikt", mieszkanie i opiekę.

* * *

Czy dym tytoniowy stanowi dezynfekcję ust? Zastanawiano się nad tem nieraz, a obecnie dr. Arnold, po wielu doświadczeniach, doszedł do wniosku, że istotnie dym tytoniowy niszczy mikroby, znajdujące się w jamie ustnej. Gatunek tytoniu nie gra w tem żadnej roli, najlichszy tytoń jak i najdroższy działa z jednakowym skutkiem; wrażliwe są bardzo na dym tytoniowy bakcyle dyfterytu, a na bacyle tyfusowe podobno silniej działa dym siana. Już dawniej p. Tessinari, włoch, robił doświadczenia nad dezynfekcją za pomocą dymu i też doszedł do przekonania, że dym działa niszcząco na bakcyle choleryczne, oraz chorób przewodu oddechowego. Działanie antyseptyczne dymu pochodzi z pewnej ilości formaldechydu, który wydziela się z tytoniu przy paleniu.

* * *

Przenoszenie światła i głosu bez pomocy drutu. Fizyk Christian Berger i prof. fizyki na uniwersytecie budapeszteńskim, dr. Eugenjusz Klupathy, demonstrowali wobec szczupłego grona osób dokonany przez siebie wynalazek, który możnaby nazwać przenoszeniem światła i głosu bez drutu.

Dwaj ci uczeni na doświadczeniach wykazali, że zapomocą tonów, można wywołać pewne zjawiska siły na znaczną odległość. Zapalali oni mianowicie lampki żarowe i powodowali eksplozję prochu zapomocą gwizdu z małej gwizdawki mosiężnej. Podobną zdolność przenoszenia można również skonstatować odnośnie do fal świetlnych. Ma to mieć wielkie znaczenie szczególnie w kierowaniu torpedowcami. Torpedowce mianowicie zostałyby zaopatrzone w aparat, czuły na pewne fizykalne zjawiska otoczenia. W ten sposób moznaby torpedowcowi nadać kierunek wprost na okręt nieprzyjacielski.

Kierunek ten zmieniałby się automatycznie w razie zmiany kierunku okrętu nieprzyjacielskiego, tak, że nastąpiłoby ściganie okrętu nieprzyjacielskiego.

System ten umożliwia także wprowadzenie automatycznych sygnałów ostrzegawczych na kolei, przy fałszywem ustawieniu rozjazdu.

Wieś umarłych. Na Syberji sroży się obecnie ogromna zima. Przed kilku dniami kilku mieszkańców z Ameryki z Alaski wyprawiło się w szalupie na wybrzeże syberyjskie w odwiedziny do swych współplemieńców. W jednej ze wsi eskimosów znaleźli wszystkich mieszkańców, mężczyzn, kobiety i dzieci, zamarzniętych. Nieszczęśliwi zginęli z zimna i głodu; przed śmiercią pozjadali nawet swoje kapelusze, ze skóry rybiej sporządzone. Trupy umarłych zmarznięte wyglądały jak posągi z marmuru, świeże i błyszczące.

* * *

Sensacyjne odkrycie. Dyrektor historyczno-kulturalnego muzeum w Paryżu, Perrier, odkrył kopalny szczątek stworzenia, będącego jakoby pośrednim gatunkiem pomiędzy człowiekiem a małpą. Owe odkrycie jest bardzo sensacyjnem, niewątpliwie, lecz doniosłość jego zależna od wielu okoliczności, przedewszystkiem od dokładnego zbadania szczątków, następnie od zbadania wieku warstwy podziemnej, w której została odgrzebana. Homo princigenius był przedmiotem poszukiwań wielu uczonych. Kroacki gieolog Gerjanowic Kromberger odgrzebał w Krapinie (Kroacja) szczątki stworzenia rasy nieznanej, pośredniej między człowiekiem a małpą. Żywe okazy, bardzo zbliżono do tej rasy, istniejące dotychczas w Australji, odkrył i opisał prof. uniwersytetu Heidelberskiego, Klatsch. Owi ludzie mają czoła niskie i płaskie, jak u małpy. Kości, odgrzebane przez p. Perrier, zostaną poddane badaniom naukowym, tak jak wykopaliska w Spy, w pobliżu Namur (Belgja), jak wydobyte niedawno w grotach Szypka, w pobliżu Stramberga na Morawach.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 3. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 16 stycznia 1909.

Jak nauka dzisiejsza patrzy na trzęsienia ziemi?

Straszny wybuch wulkanu Pelée na Martynice przed kilku laty, Wezuwjusza, zburzenie doszczętne niemal wielkiego miasta San Francisco i Valparaiso w r. 1906, wreszcie bezprzykładna w dziejach katastrota we Włoszech, którą się na innem miejscu zajmujemy, dowodzą niezbicie, że siły podziemne nietylko nie osłabły, ale przeciwnie prowadzą swoję podziemną pracę z podwójną gorliwością.

Istotnie, do dziś dnia siły górotwórcze wydźwigają nad powierzchnię ziemi nowe łańcuchy, to co się nazywa „skorupą ziemską“ znajduje się w ciągłym ruchu, olbrzymie pokłady skalne w łonie ziemi zmieniają swoje położenia: jedne zapadają się głębiej, drugie natomiast wynoszą się, słowem odbywają się tam głęboko, o dziesiątki kilometrów pod naszemi stopami, ciągłe przekształcenia.

Czułe przyrządy wahadłowe (seismografy), które bardzo dokładnie zapisują lekkie nawet wstrząśnienia kory ziemskiej, przekonały nas, że niema dnia, niema godziny, żeby gdzieś na ziemi nie zdarzyło się lżejsze, czy silniejsze trzęsienie, które nieraz nie dochodzi do naszej świadomości. Takie wstrząśnienia skorupy ziemskiej, mające za przyczynę ruch olbrzymich pokładów skalnych, są nazywane „tektonicznemi“ w odróżnieniu od trzęsień wulkanicznych, nie obejmujących znacznych obszarów, ani też nie sięgających bardzo głęboko. Zwyczajne tektoniczne trzęsienia mają nieraz swoje ogniska na ośmdziesiąt i więcej kilometrów głęboko. Wulkaniczne zaś są miejscowemi.

Dawniej przypuszczano, że siły wulkaniczne są jedyną przyczyną trzęsienia ziemi, dziś jednak wiemy już dobrze, że pomiędzy trzęsieniami tektonicznemi a wybuchami wulkanów nie ma żadnego związku przyczynowego.

Strasznemu wybuchowi Wezuwjusza, który omal nie zalał lawą i nie zasypał popiołem kilku miast, tak, jak niegdyś Herkulanum i Pompeę, nie towarzyszyło, jak wiadomo, silne i rozchodzące się daleko trzęsienie ziemi; San Francisco natomiast runęło w gruzy, chociaż w pobliżu niego nie ma żadnego czynnego wulkanu.

Jak sobie wytłomaczyć takie fakty?

Montessus de Sallore, znany badacz trzęsień ziemi, który zebrał niezliczoną liczbę danych, powiada, że jeśli jakiś kraj ma profil niesymetryczny, to wstrząśnieniom podlega strona, posiadająca większą stromość. I rzeczywiście zachodnie stoki Kordyljerów bardzo stromo opadają ku oceanowi Spokojnemu, tam też leżą krainy najsroższej trapione przez niszczące siły podziemne.

Po drugiej zaś stronie Ameryki, w pobliżu oceanu Atlantyckiego, zjawisko to jest radkie.

Ten sam badacz doszedł do ciekawego wniosku, że skorupa ziemska ulega wstrząśnieniom w obrębie dwóch wąskich obszarów. Pierwszy z tych obszarów leży koło morza Śródziemnego, drugi obejmuje ocean Spokojny, który, jak wiadomo, jest otoczony wieńcem wulkanów czynnych.

W tych to właśnie okolicach skorupa ziemska posiada największe wklęśnięcia, które schodzą się z dwiema linjami największych wyniosłości. Tutaj skały pochodzenia wodnego t. zw. osadowe, leżą najpotężniejszemi warstwam, cisnąc na starsze skały; tutaj znajdują się „najsłabsze“ miejsca skorupy ziemskiej i formują się pod działaniem sił podziemnych nowe łańcuchy górskie.

Tam, gdzie stoją po dziś dzień, albo gdzie dawniej stały stare góry spłukane juz działaniem wody, skorupa ziemska okrzepła i rzadko podlega silniejszym wstrząśnieniom. Tam zaś, gdzie wznoszą się młode góry, jak Alpy,, albo gdzie dopiero siły górotwórcze zaczynają pracować trzęsienia ziemi są silne i częste. Kraje równinowe są także rzadziej nawiedzane przez te klęski, aniżeli kraje górskie.

Nie podobna się więc dziwić temu, że San Francisco padło w gruzy, leży ono bowiem na skraju zaklęśnięcia Indo-Japońsko-Malajskiego. Tak samo uczony uważa za rzecz naturalną trzęsienie ziemi, które świeżo nawiedziło tak straszną klęską południowe Włochy i Sycylję, które leżą w zaklęśnięciu Alpejsko-Kaukasko-Himalajskiem.

Na linjach najsilniejszego załamywania się powierzchni ziemi przeważnie rozsiadły się czynne wulkany. Skorupa ziemska składa się prawdopodobnie ze skał o wysokiej temperaturze, znajdujących się pod wielkiem ciśnieniem. Głęboko położone warstwy skał nie mogą jednak z powodu tego olbrzymiego ciśnienia przejść w stan ciekły, pomimo, że są bardzo gorące. Jeżeli jednak skutkiem zmian w położeniu warstw skalnych utworzy się gdzieś pusta przestrzeń albo szczelina i ciśnienienie się zmniejszy, natychmiast część skał gorących przechodzi w stan ciekło-ognisty; wydziela z siebie wielką ilość gazów i cała ta, jak ją nazywamy, magma, toruje sobie drogę na zewnątrz i wypływa z kraterów wulkanicznych w postaci lawy.

Działalność wulkaniczna byłaby zatem raczej skutkiem wstrząsnień podziemnych, aniżeli ich przyczyną.

Zarówno wulkaniczne wybuchy, jak i trzęsienia ziemi mają zatem wspólną przyczynę: jest nią ciągły ruch w pokładach, tworzących skorupę ziemską — kurczenie się i fałdowanie tejże skorupy na podobieństwo skórki jabłka, które schnąc, zmniejsza swoją objętość. Jądro ziemi nie wysycha, ale, stygnąc powoli, ciągle zmniejsza swoją objętość; zbyt obszerna skorupa osiada więc, marszczy się.

Ponieważ stacje, przeznaczone do notowania drgań skorupy ziemskiej, są dziś rozrzucone po całym globie, więc łatwo można zauważyć każde wstrząśnienie, zwłaszcza w obrębie krajów cywilizowanych. Z danych, dostarczanych przez seismografy, czyli przyrządy, zapisujące wstrząśnienia, można wyprowadzać bardzo ważne i ciekawe wnioski, można np. określać głębokość ogniska, jego położenie w łonie ziemi. Każde uderzenie podziemne, każdy ruch wytwarza w łonie skorupy ziemskiej podobnie, jak kamień, rzucony na wodę, fale, które rozchodzą się szybko we wszystkich kierunkach. Im głębiej leży ognisko, tem dalej rozchodzą się owe fale. Biegną one z szybkością kilku klm. na sekundę; fale, spowodowane ostatniemi trzęsieniami we Włoszech, biegły nawet z szybkością 8 klm. na sekundę. Sięgają one bardzo daleko, biegnąc dwiema drogami przez skorupę ziemską, po warstwach skalnych i przez tajemnicze „jądro ziemskie“.

Doliczając szerokość rozchodzenia się fal dwiema drogami i porównywując te szybkości, uczeni doszli do przekonania, że owo jądro musi być stałem to raz, po drugie bardzo ścisłem i sprężystem, inaczej bowiem fale nie mogłyby się w nim rozchodzić z tak wielką szybkością. Potrzebują one na przebieg z jednej strony globu ziemskiego

na drugą, tj. na przebycie średnicy ziemskiej, 17 minut. Dobiegłszy do przeciwnego punktu, odbijają się one i wracają tą samą drogą, wywołując wtórne wstrząśnienia, które następują po pierwotnych w 34 minuty, takie następne wstrząśnienia niszczą zwykle to, co pozostawiły pierwsze.

Porównywując wskazówki seismografów, umieszczonych w rozmaitych odległościach od ogniska, spostrzegamy, że przed nadejściem głównych fal, dążących po korze ziemskiej, przybywają inne fale, t. zw. zwiastuny, które dochodzą krótszą drogą, bo przez jądro ziemskie.

Bliższe zastanawianie się nad szybkością i sposobem rozchodzenia się tych fal doprowadziło nas do bardzo interesujących wniosków, dotyczących istoty tajemniczego wnętrza ziemi. Nasz glob składa się z dwóch części, z grubego płaszcza skalistego i z twardego, stałego jądra żelaznego.

Co do ostatniego trzęsienia ziemi, to było ono natury tektonicznej, ogniska jego nie zdołano jeszcze oznaczyć, ale leży ono zapewne pod Sycylją, w znacznej głębokości. Seismografy zanotowały do 500 drgnień, które od Włoch dały się odczuć w bardzo odległych miejscowościach. Co ciekawe, że jednocześnie odczuto silne trzęsienie ziemi w Ameryce Północnej w Stanie Montana, w Virginia City. Podobnie działo się w r. 1906 w pół godziny po silnem trzęsieniu ziemi, którego ognisko znajdowało się w pobliżu wysp Alenckich, na oceanie Spokojnym, nastąpiło straszne trzęsienie ziemi, które zniszczyło Valparaiso. Wstrząśnienia, rozchodząc się, wyzwoliły snać i pobudziły do działalności drzemiące pod Valparaiso siły podziemne.

Nie ulega wątpliwości, że nauka wyniesie cenne dane ze strasznej katastroiy, która okryła żałobą świat ucywilizowany.

„Kurjer Lwowski". Władysław Umiński.

Jak powinni socjaliści wychowywać swe dzieci?

Dwie są główne przyczyny, które zmuszają rodziców socjalistów do głębszego zajęcia się wychowaniem swych dzieci. Jedna — to zaostrzająca się wciąż walka klas, która stawia walczącym jednostkom coraz wyższe duchowe i moralne wymagania, więc wcześnie już odpowiadające temu zadaniu właściwości charakteru budzić w dzieciach należy. Druga przyczyna — to braki i błędy naszych szkół publicznych. Rządzące sfery polityczne coraz brutalniej i coraz bezwzględniej spychają szkołę ludową do poziomu warsztatu, w którym kuć chcą narzędzia swej reakcyjnej polityki. Na nieszczęście nauczyciele w większości wypadków, zamiast zlać się z ludem i mieć sobie za zaszczyt stanowisko szerzycieli prawdziwej oświaty i wolnościowych idei, stają się z roku na rok coraz bardziej uległymi względem kliki rządzącej i dopomagają do tego, aby system szkolny wyrobił w dzieciach ducha poddańczej pokory i ślepej wiary.

Socjalistyczni rodzice nie mogą spokojnie patrzeć na takie zatruwanie ducha swych dzieci — i nietylko prawem ich, ale i obowiązkiem względem partji i młodego pokolenia jest przeciwdziałanie tym szkodliwym wpływom szkoły.

Co prawda, nie wszyscy rodzice są w możności przeciwstawienia silnego oporu wrogim postępowi zakusom systemu szkolnego — niedostateczne właśnie wykształcenie, albo brak absolutny czasu na zajmowanie się dziećmi staje tu najczęściej na przeszkodzie. Jednak gdy rodzice-socjaliści silnie przejmą się przekonaniem, że są zobowiązani do takiego wychowawczego współdziałania, a raczej przeciwdziałania szkole, to coś więcej przecież, niż dotąd, da się w tym kierunku zrobić. Zyskają na tem i sami rodzice, co chcąc dzieciom np. daną epokę historyczną zgodnie ze swym światopoglądem przedstawić, muszą przedtem cośkolwiek przeczytać, aby na pytania dzieci byli przygotowanymi.

Ale nietylko chodzi o prostowanie przekręconych lub błędnie oświetlonych faktów — szkodliwszym od tego jest ów duch, który przenika dziś szkołę ludową we wszystkich jej czynach i przejawach działalności: jest to duch posłuszeństwa bezwzględnego, duch, który żąda pełnego czci ukorzenia się przed wszelkim autorytetem, czyli przed wszystkim, co uznane jest przez ogół za wyższe i lepsze.

Trzeba nam raz zerwać z temi popularnemi zasadami pokory, poddaństwa, wdzięczności, skromności i posłuszeństwa. Przez wieki pielęgnowane w szkole i niestety w domu doprowadziły ludy do tego, że poczucie godności własnej niezmiernie jest upośledzone.

Każdy myślący socjalista, opierając się li tylko na własnym światopoglądzie, łatwo dojdzie do uświadomienia sobie kilku głównych zasad, które w wychowawczej swej działalności w czyn wprowadzać będzie.

Na czele postawić należy wymaganie, aby dzieci wychowywane były w duchu socjalistycznym. Nie znaczy to, żeby robić z nich gotowych już małych towarzyszy partyjnych — wprost już szkodliwem byłoby kazać im wyuczać się na pamięć zasad programu socjalistycznego i tym podobnych niezrozumiałych dla nich rzeczy.

Nie — wszak poza polityczny program czynu, który daje partji socjalistycznej — sięga socjalizm jako światopogląd o wiele dalej. Zapala on głowy, porywa serca ludzi i napełnia je nowymi pojęciami, nowymi ideałami, pragnieniami, nowym duchem. Przed tą falą postępu musi zadrżyć wszystko, co stare, co z burżuazyjnej przeszłości pochodzi. Dotychczasowe pojęcia o moralności wraz z wymaganiami stawianymi przez nie ludziom, w części tylko ostać się mogą wobec socjalistycznego światopoglądu. I właściwie rodziców obowiązkiem jest w dzieciach rozwijać od małego te przymioty i właściwości charakteru, które z socjalistycznym poglądem na świat są zgodne.

Z duchem socjalizmu między innymi nie zgadza się niewolnicze poddawanie się jednego człowieka drugiemu, jako też wszelkie brutalne akty przemocy, jak np. chłosta, która jednak w burżuazyjnych szkołach jest dotąd jeszcze środkiem pomocniczym w wychowywaniu. To też socjalny-demokrata, chcąc wychować dzieci, musi zasadniczo wyrzec się używania chłosty wobec nich. To wymaganie nie jest łatwe do spełnienia, gdyż trzeba tu walczyć z bardzo zakorzenionym pośród ludzi zwyczajem. A jednak bicie jest niczem innem, jak brutalnym aktem przemocy, który przedewszystkiem łamie i niszczy w człowieku — dziecku poczucie godności ludzkiej, dumę i miłość wolności.

Chłosta jest przytem środkiem, który do właściwego celu nigdy nie prowadzi, a więc i z pedagogicznych względów jest niedopuszczalna. Socjalizm nie potrzebuje tchórzów i pokornych, całujących kij, który ich bije, — on wymaga charakterów dzielnych, męskich, któreby przez wszelki akt przemocy czuły się głęboko w swej ludzkiej godności dotknięte. Ojciec, który bije dzieci, nie potrafi im wszczepić miłości do idei socjalistycznej, gdyż dzieci będą aż nadto skłonne ideę te utożsamić z brutalnym swym ojcem!

Przez chłostę pragną może rodzice w dobrej wierze wszczepić w dziecko posłuszeństwo. Przedmiot ten niezmiernie cenionym jest w burżuazyjnej rodzinie i w szkole — a jest nawet niezbędnym w burżuazyjnem wychowaniu, gdyż bez przyzwyczajenia do ślepego posłuszeństwa, żołnierz w krytycznej chwili nie strzeliłby przecie do własnego ojca lub matki! Ale socjaliści inaczej mają rozumieć posłuszeństwo. Naturalnie, że i dzieci powinny słuchać starszych, tak jak i my, socjaliści poddajemy się bez szemrania przepisom, któreśmy sobie sami ustanowili w interesie ogółu. Ale nie tresujemy dzieci w bezmyślnem posłuszeństwie — lecz pozwólmy im roztrząsać nasze rozkazy, niech je rozumieją zawsze, niech wiedzą dlaczego coś robić mają, a przekonawszy się, że rodzice nie wymagają od nich nic złego ani szkodliwego, będą posłuszne im i wtedy, gdy rozkazu na razie nie rozumieją.

Jak bardzo nieraz narzeka się na upór i zarozumiałość dzieci! A jednak to są cechy charakteru bardzo pożyteczne, tylko nie można im dać się rozwinąć w złym kierunku, lecz wyrobić trzeba z dzieci takich — ludzi o silnej woli, stałym charakterze i ufnych w swe siły.

Dziecko niepowinno nikomu robić krzywdy, ani też znieść żeby w jego obecności krzywdzono kogokolwiek; musi mówić zawsze prawdę, mieć odwagę poniesienia następstw swoich czynów. Słowem, trzeba się starać wychować dzieci na takich ludzi, jakimi by się chciało widzieć swych

współtowarzyszy, jakim się samemu być pragnie i jakim się za młodu być marzyło.

Ale najważniejszą tajemnicą dobrego wychowania dzieci jest osobisty przykład ojca i matki. Nie można pod tym względem być dość na siebie uważnym: dzieci obserwują starszych bardzo pilnie, a kochając rodziców, uważają je za wzory godne naśladowania i naśladują chętnie. Stąd urasta dla socjalistów wielkie i świetne zadanie, postępować tak, aby nie potrzebowali się wstydzić za czyny swych dzieci, które stanowią zwierciadło ich własnego życia. Osiągną wówczas i to, że dzieci, gdy dojdą do wieku, w którym same sobą rozporządzać będą mogły, śladem rodziców swych w życiu społecznem pójdą.

Pogadanka przyrodnicza.

O kometach.

We wszystkich czasach komety wywoływały w umyśle ludzkim szczególne skojarzenia. We wiekach średnich widziano w nich groźne zwiastunki klęsk elementarnych: głodu, zarazy lub wojny. Panikę powszechną obudziło ukazanie się komety Halley'a w r. 1456. Przedstawiciele obu zwalczających się podówczas światów religijnych uważali ją za objaw gniewu Bożego. Wyznawcy proroka widzieli w komecie znak krzyża, chrześćjanie — krzywą szablę turecką. W obliczu tak poważnego niebezpieczeństwa papież Kalikst III. nakazał codzień w południe bić we dzwony we wszystkich kościołach, przyczem wierni obowiązani byli odmawiać modlitwę, w której wyklinano kometę i turków. Zwyczaj ów przetrwał w krajach katolickich do dnia dzisiejszego, jakkolwiek nie obawiamy się już komet ani turków.

Strach zabobonny roztaczał przed oczami ludzi ówczesnych fantastyczne widziadła, których polem rzekomo miały być komety. Oto w jakich wyrazach opisuje kometę r. 1528 jeden ze współczesnych: „Przedstawiała ona ciało ogromnej długości i krwawej barwy. Na szczycie jego widniała pięść zaciśnięta, dzierżąca długi miecz, gotowy do cięcia; na końcu ostrza błyszczały trzy gwiazdy. Po obu stronach promieni komety widniała wielka ilość toporów, noży, mieczów zakrwawionych, a pośród nich straszliwe twarze ludzkie o brodach potarganych i najeżonych włosach". Wobec tego możemy się nie dziwić zapewnieniom tegoż autora, że „kometa owa była tak przerażająco potworna, iż wielu ludzi zachorowało, niektórzy zaś poumierali ze strachu".

Niestety, wszystkie owe lęki musimy dziś położyć na skarb bujnej wyobraźni średniowiecza. Nauka mówi nam, że komety są to ciała kosmiczne, nie mające nic wspólnego z gniewem Bożym, których wygląd zewnętrzny odbiega daleka od dantejskich obrazów starych kronik.

Wielkie, widzialne gołem okiem komety składają się zazwyczaj z trzech części: jądra, powłoki i ogona. Jądro przypomina bladą gwiazdę lub planetę; otacza je mglista, słabo świecąca powłoka. Jądro razem z powłoką przyjęto nazywać głową komety. Od niej wystrzela jasna smuga, skierowana stale w stronę przeciwną słońcu — ogon komety. Z wielkich komet szczególnie pamiętną jest w Polsce kometa r. 1811. Ona to była owym „niebieskim cudem", o którym wzmiankę znajdujemy w „Panu Tadeuszu", na tle nadziei, związanych z wyprawą Napoleona do Rosji. Jądro tej komety przedstawiało czerwoną tarczę, powłoka seledynowa obejmowała ją z przodu, wysyłając dwa promienie w kierunku ogona. Wedle obliczeń Herschla, olbrzymia jej głowa ciągnęła się na przestrzeni 1800 tysięcy kilometrów. Liczba powyższa niemal pięciokrotnie przenosi odległość ziemi od księżyca. Istniały jednak komety o jeszcze bardziej imponujących wymiarach. Ogon komety r. 1843 posiadał długość około 300 miljonów kilometrów. Znane są komety z kilkoma ogonami. Kometa r. 1744 posiadała sześć ogonów, rozchodzących się nakształt promieni olbrzymiego wachlarza.

Znacznie skromniej prezentują się drobne, teleskopiczne komety. Postać ich przypomina kulistą mgławicę o niejasno zarysowanem jądrze, pozbawionem ogona. Atoli różnice, spostrzegane między wielkiemi a małemi kometami są tylko pozorne. Każda kometa, będąca na znacznej odległości od słońca, posiada kształt jednolitej mglistej masy. Dopiero w miarę zbliżania się do słońca ulega różnorodnym przekształceniom. Ukazuje się wyraźnie jądro, występuje powłoka, wyciąga się długa miotła ogona, która z każdym dniem przybiera większe rozmiary. Nareszcie kometa opisała łuk wokoło słońca i poczyna oddalać się. Następuje obecnie ponowna serja przekształceń w kierunku odwrotnym; po pewnym czasie widzimy znowu bladą mgławicę, która zmniejszając się stopniowo, rozpływa się nareszcie w ciemnej przestrzeni wszechświata.

Prawa, wedle których owe dziwne ciała poruszają się w przestrzeni, przez długie lata były zagadką, jakkolwiek astronomowie już w początku XVII stulecia podejrzewali, że komety poruszają się po linjsch krzywych, tak zwanych pabolach. Przypuszczenie to pokazało się prawdziwem. Komety ulegają tym samym prawom ciążenia, co i planety, z tą różnicą, że orbity ich istotnie przedstawiają parabole. Parabola jest to linja krzywa niezamknięta: oba jej końce przy przedłużenia coraz bardziej oddalają się od siebie. Znaczyłoby to, iż komety odgrywają w układzie słonecznym rolę przelotnych gości, którzy raz jeden tylko odwiedzają nas, aby więcej nie powrócić. Po zatoczeniu łuku wokoło słońca, każda kometa, poruszająca się po linji ściśle parobolicznej, musi z każdym dniem oddalać się od niego.

Czy wszystkie jednak komety poruszają się po parabolach? Może orbity niektórych przedstawiają jedynie niezmiernie rozciągnięte elipsy, które w pobliżu słońca z trudnością dają się odróżnić od paraboli. Badania astronomiczne wykazały, że pewna liczba komet istotnie porusza się po nader wydłużonych elipsach, zatem co pewien czas powraca do słońca. Komety takie, których znamy kilkanaście, noszą miano perjodycznych.

Powstaje pytanie, jaka może być przyczyna dwojakich ruchów tych ciał? Innemi słowy: czy kometa, która zbliżyła się do nas po orbicie parabolicznej, nie może w pewnych warunkach zmienić swej drogi na zamkniętą elipsę? Przekształcenia podobnego, rzecz prosta, nie jest w stanie dokonać sama kometa, spowodować je mogłaby tylko siła zewnętrzna — przyciąganie innego ciała np. wielkiej planety. Jeżeli kometa nieperjodyczna po zbliżeniu się do słońca wejdzie w sferę przyciąganie takiej planety — parabola może przejść w elipsę. Do planet tego rodzaju należy przedewszystkiem największy z towarzyszów naszego słońca — Jowisz, nazwany przez astronomów „łowcą komet". Obliczenia wykazują, iż każda kometa, która zbliży się do Jowisza na odległość mniejszą od jednej trzeciej promienia ziemskiej orbity, poczyna z jego strony odczuwać większe przyciąganie, niż ze strony słońca. Następuje, że tak powiemy, wykolejenie się komety, która z błędnej wędrownicy staje się odtąd stałym członkiem układu słonecznego.

Do komet perjodycznych należy wspomniana kometa Halley'a, nosząca imię uczonego angielskiego, który pierwszy zbadał jej drogę i obliczył, że kometa owa co 75 lat powraca do słońca. Ponieważ ostatnim razem miało to miejsce w r. 1835, następnego jej powrotu należy oczekiwać za półtora roku. W maju 1910 r. będziemy mogli widzieć jej błyszczącą miotłę, która przed kilku wiekami taką trwogą napawała naszych przodków.

Rozmaitości

Słońce a gruźlica. Powszechnie znana własność słońca zabijania bakterji ma wielkie znaczenie dla leczenia gruźlicy. Szczególnie t. zw. stacje klimatyczne mogą korzystać z tego dobrodziejstwa. Dr. Oskar Bernard w St. Moritz przez wiele lat czynił badania co do własności leczniczych słońca. Badania te odnoszą się do zakażonych ran, gruźlicy skóry, gruczołów, stawów i kości, raka skórnego i do innych chorób skórnych. We wszystkich tych wypadkach poddanie działaniu promieni słonecznych wywarło

znakomity skutek. Chorych poddawano na znacznej wysokości 1300 do 3000 m. ponad pow. morza działaniu słońca, co wraz z nadzwyczaj suchem powietrzem bezwątpienia bardzo sprzyja leczeniu. Silne przekrwienie, wywołane podrażnieniem zapomocą promieni świetlnych, z pewnością jest czynnikiem leczniczym. Pierwszymi, którzy udowodnili siłę bakterjobójczą słońca, byli angielscy lekarze Downez i Blunt, w r. 1877. Dr. Bernhard używa giętkich metalowych zwierciadełek celem leczenia fistuł rozmaitej średnicy i głębokości. Także i francuski lekarz dr. Rollier otrzymał bardzo pomyślne rezultaty pod względem leczenia gruźlicy zapomocą promieni słonecznych.

* * *

Wielkie miasta. Świeżo biuro statystyczne w Amsterdamie ogłosiło dane „z porównawczej statystyki demograficznej wielkich miast świata za r. 1907".

Według jej zestawień, z wielkich miast polskich, Warszawa, licząca 751595 mieszkańców, zajmuje 17 miejsce.

Co do liczby urodzeń, pierwsze miejsce zajmuje Buenos-Ajres (36,6 na 1000 mieszkańców).

Co do liczby dzieci nieprawych — pierwszy jest Wiedeń 30,8.

Liczba ślubów przypada: największa na Nowy Jork 23,8 na 1000, najmniejsza na Petersburg 13,8, Moskwę 13,4 i Rio de Janeiro.

Pod względem śmiertelności pierwsza jest Moskwa 27,7; po niej idą: Petersburg 24,7, Budapeszt 20,2 (Warszawa 19,2) ostatnie są Hamburg i Londyn po 14,8.

* * *

Ciekawe cyfry. Podczas rozpraw w izbie francuskiej nad budżetem wojennym, poseł Gervais podał niezmierne ciekawe cyfry: ile kosztuje „pokój" zbrojny? Materjał statystyczny zebrany przez p. G., tyczy się sześciu wielkich mocarstw: Niemiec, Francji, Austrji, Rosji, Stanów Zjednoczonych i Japonji. Ogółem wydają te państwa rocznie 5 miljardów franków. W razie wojny razem wystawić mogą 38 miljonów żołnierzy. W czasie pokoju armja niemiecka liczy 602 tys. żołnierzy i 34 tys. oficerów. Koszt utrzymania jednego żołnierza przeciętnie wynosi w Niemczech 1398 franków. Ogółem Niemcy wydają rocznie 1067 miljonów franków. We Francji utrzymanie jednego żołnierza kosztuje nieco mniej, bo 1150 franków. Armja francuska liczy 511 tysięcy żołnierzy i 27 tys. oficerów i kosztuje 742 miljony. Tyle kosztuje jedynie utrzymanie wojsk. Cyfry te nie wyczerpują jednak tych ofiar, jakie pochłania nasz militaryzm. Do kosztów utrzymania dodać bowiem należy czas, jaki młodzież traci służąc w wojsku. Gervais oblicza, że przeciętny zarobek dzienny we Francji i Niemczech wynosi 10 franków przy 250 dniach roboczych. Według takiego obrachunku armja francuska kosztuje w czasie pokoju rocznie 2 miljardy, niemiecka zaś 2 i pół miljarda franków.

* * *

Jak wygląda w Ameryce reklama? Amerykanie uchodzą powszechnie za największych pomysłowców na polu reklamy kupieckiej, która też przybiera tam najdziwaczniejsze formy, do jakich w Europie jeszcze nie doszła.

Niedawno czytelnicy gazet, goście w kawiarniach, podróżni na kolejach i w tramwajach w całych Stanach Zjednoczonych spotykali się z hieroglifem, złożonym z 2 liter i z 2 cyfr, których znaczenia nie mogli odgadnąć. Wszędzie widniał tajemniczy napis:

S. T. 1860 X,

budząc ogólne zainteresowanie i domysły, co się za tą zagadką kryje. Zwyczajem amerykańskim zaczęto robić zakłady za tem lub owem wytłomaczeniem, a wkrótce wszędzie mówiono tylko o nieznanym wypadku, kryjącym się za tym hieroglifem. Nareszcie, gdy ciekawość doszła już do najwyższego naprężenia, ukazało się objaśnienie. Powyższe znaki miały oznaczać: (S) tarted, (T) rade 1860, (X) 10 dolarów, to znaczy: „Zacząłem mój interes w r. 1860 z 10 dolarami". Była to reklama właściciela fabryki likierów, a rezultatem jej był pałac, który sobie fabrykant wkrótce wystawił.

Pewien fabrykant w Brooklynie (koło Nowego Jorku) zaopatrzył swój automobil w obręcze gumowe, których powierzchnia zewnętrzna była szeregiem reklam, utworzonych wystającemi literami. Koła miały pomysłowe urządzenie, które podczas jazdy automobilu smarowało napisy na kołach tłustą farbą, tak, że automobil pozostawiał za sobą całe smugi reklam na wszystkich drogach publicznych. Manipulacji tej położyła policja koniec, konfiskując automobil na sprzedaż celem pokrycia kosztów oczyszczenia „zadrukowanych" przez niego ulic.

Nawet farmerzy posługują się reklamą dla pomnożenia zbytu swych produktów rolnych. Jeden pomysłowy farmer sprzedał handlarzowi jarzyn w Nowym Jorku kilka wagonów dyń, z których każda miała na łupinie napis: „Dynie farmera X są najlepsze". Zrobił on to w ten sposób, że młodym dyniom wyrył na skorupie ten napis, który powiększał się równocześnie z rozrastającym się owocem.

Pewien rzeźnik w Chicago kazał przepędzić przez ulice miasta stado świń, które na dobrze wypasionych bokach miały wypisane farbą słowa: „Kiełbasy Swifta (adres rzeźnika) są najlepsze".

Rozumie się, że i w świecie teatralnym reklama odgrywa wielką rolę. I tak pewien dyrektor teatru rozesłał raz do kilku tysięcy ludzi, których stać było na kupno biletu, następujący list: „W przypuszczeniu, że masz pan 15000 dolarów rocznego dochodu, co na minutę czyni 2 centy, załączam czek na 4 centy z prośba o poświęcenie 2 minut na przeczytanie załączonej treści najnowszej sztuki, którą niebawem wystawię". Rozumie się, że takie oryginalne zaproszenie zaciekawiło adresatów; czytali treść sztuki i dla poznania jej poszli do teatru.

Nawet śmierć nie jest dla amerykanina rzeczą dość poważną, aby nie miał jej użyć dla celów reklamy. Pewna dama, której mąż umarł, kazała na jego nagrobku wyryć następujący napis:

„Tu spoczywa mój mąż X. Y., opłakiwany przez młodą i przystojną wdowę, dla której był drugim ojcem".

Drobne reklamy sklepowe obracają się mniej więcej w następujących granicach:

W składzie koszul widniał w oknie wystawowem napis: „Te koszule powinny leżeć na twem sercu".

W piwiarni: „Jeżeli już zdecydujesz się być alkoholikiem, pijże piwo z browaru p. Browne".

W składzie sera: „Spokojny ser o poważnem zachowaniu się. Nie wtrąca się do cudzych interesów, gdyż jest skromny. Nie ucieknie on z twego stołu (aluzja do sera, który ma tyle robaków, że „sam chodzi"); słowem — ser tylko po 20 centów za funt, wierny i przywiązany".

Najnowszy sposób reklamy polega na posługiwaniu się balonami. Pewien fabrykant wódki urządził raz na ruchliwym placu w Nowym Jorku wzlot balonu; rozumie się, że tłumy ludzi przyglądały się. Gdy balon wzniósł się o kilka metrów w górę, zaczęły z niego spadać między tłumy blaszanki z wódką i z adresem fabrykanta. Ludzie chwytali, kosztowali i kupowali potem wódkę pomysłowego reklamisty.

Z literatury i sztuki

Anatol France: **Wybór pism.** Tłomaczył Jan Sten. Tom V i VI: „Dzieje współczesne". I. „W cieniu wiązów". II. „Trzcinowy manekin". Lwów, Polskie Towarzystwo Nakładowe. Cena każdego tomu 3 mk. 50 f. — W wybornym przekładzie Jana Stena zaczęła się ukazywać słynna serja powieści, znakomitego francuskiego powieściopisarza socjalistycznego. Zewnętrzny jej łącznik stanowi historja profesora Bergeret'a; jednakowoż fabuła jest tu tylko ramą dla niezmiernie mądrych uwag o świecie i życiu, o duszach ludzkich, o polityce, o nauce i sztuce, o religji i filozofji, o kościele i państwie, o obecnym ustroju i o socjalizmie, które stanowią główną wartość tego cyklu powieściowego, pełnego subtelnej psychologji, a osnutego na tle życia społecznego współczesnej Francji. Humor i ironja, melancholja i pogoda wieją naprzemian z kart tego spokojnego, harmonijnego, mądrego opowiadania, zaludnionych typowemi, ale nie mniej indywidualnemi, żywemi, plastycznemi postaciami ze wszystkich sfer społecznych. Dotąd ukazały się w polskim przekładzie pism France'a dwa pierwsze tomy tej serji, a wkrótce mają wyjść i dalsze.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 4. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 stycznia 1909.

Do chat! Do chat!

Do chat! do chat!
Gdzie chleb w popiele czarny,
Gdzie pracy pot ofiarny,
Gdzie w bólu zgięty brat,
Krzyż dźwiga swój codzienny —
Do chat! do chat!...

Tam nieśmy siew promienny,
W ten szary biedny świat!
Przez lud! przez lud!
Z harf naszych pieśnią brzmiącą,
Z pochodnią socjalizmu lśniącą —

By pierzchła bieda i głód,
By pierś rozegrzać skrzepłą,
Wiekowy otrząsnąć brud,
Skrę światła rzućmy ciepłą
W wielką potęgę — w lud!

Słowiańszczyzna południowa.

Przybyłe do Europy około VI wieku po Chr. ludy słowiańskie rozszczepiły się na trzy gromady: zachodnią, południową i wschodnią. Południowa przekroczyła Karpaty i Dunaj i posunęła się hen daleko w głąb bałkańskiego półwyspu, opierając się z jednej strony o Adrjatyk, z drugiej o morze Czarne.

Dziś, po wielu dziejowych przejściach i klęskach, granica południowo-słowiańskiego osiedlenia cofnęła się na północ, a dawne słowiańskie siedziby zajęli grecy, albańczycy, turcy.

Na trzy grupy narodowościowe rozpada się dzisiejsza południowa Słowiańszczyzna. Składa się ona z 1) serbochorwatów, 2) słoweńców i 3) bułgarów.

Nie sposób w krótkim, informacyjnym artykule rozpisać się szeroko o dziejach tych trzech grup słowiańskich i sięgać aż po dawną zamierzchłą przeszłość.

Bułgarzy, w których żyłach płynie krew przybyłego na południe V stuleciu fińskiego plemienia, przyjęli w drugiej połowie IX wieku chrzest wedle obrządu greckiego. Podlegali władzy bizantyjskich cesarzy, z pod której jednak wcześnie się wyemancypowali, tak, że Simeon, władca ich, przybrał tytuł „cara“ (888—927). Państwo Symeona obejmowało naddunajskie krainy, Trację, Macedonię, Tesalję, Epir, Albanję. Serbowie podlegali także zwierzchniej władzy Symeona i płacili mu haracz. Cesarstwo bułgarskie trwało aż do XIV stulecia, ale upadek dawnej świetności zaczyna się już w początkach XIII wieku. W r. 1366 car Iwan Sisman III stał się lennikiem sułtana Murada I i odtąd Bułgarja opłacała haracz Turcji. Bajazet I położył w r. 1389 koniec samodzielności Bułgarji i włączył ją w swe państwo.

Odtąd aż po XIX wiek bułgarzy pozostawali pod jarzmem tureckiem. Po wojnie turecko-rosyjskiej 1828/9 r., podczas której armja rosyjska przebywała długo w ziemiach bułgarskich, zaczyna się odrodzenie Bułgarji, budzenie się wśród bułgarów poczucia narodowego i dążenie do odzyskania niepodległości. Ale dopiero wybuch zwróconego przeciwko turkom powstania w Bośnji i Hercegowinie w r. 1875 był sygnałem wybuchu powstania także w Bułgarji. Wojska tureckie tłumiły powstanie, dopuszczając się niepojętych okrucieństw i rzezi.

Postępowanie rządu tureckiego obudziło oburzenie w Anglji, która też zainicjowała konferencję mocarstw dla zbadania sprawy i przyniesienia ulgi bułgarom; jednak wybuch wojny rosyjsko-tureckiej położył kres pracom konferencji. Po wojnie, kongres berliński postanowił utworzyć napół samodzielne, bo opłacające haracz Turcji i pod wielu względami zawisłe od niej księstwo bułgarskie.

W r. 1879 zebrał się pierwszy parlament bułgarski i obrał księciem Aleksandra Battenberskiego, który w r. 1885 przyłączył do księstwa wschodnią Rumelję; w tymże samym roku odniósł świetne zwycięstwo nad wojskami zazdrosnej o zwiększenie obszaru i potęgi sąsiada, Serbji, ale w r. 1886 abdykował, zmuszony do tego przez niezadowolony z niego rząd rosyjski.

W następnym roku bułgarzy wezwali na wakujący tron księcia Ferdynanda koburskiego. Mimo wszelkich trudności finansowych, Bułgarja pod rządami tak wytrawnego polityka, jak książę Ferdynand, rozwijała się nieustannie. Ciężyć jej zaczęła formalna tylko, bo nie rzeczywista i w niczem niekrępująca zawisłość od Turcji, która wcale należnego jej haraczu nie widziała, ani też o wypłatę tegoż nalegała.

Z biegiem lat coraz to potężniej wzrastała dążność do rozszerzenia granic księstwa i zagarnięcia należnych do Turcji, a zamieszkałych przez bułgarską ludność okręgów Macedonji.

Zaznaczyć należy w tem miejscu, że prócz zamieszkałych we własnem państwie bułgarów, których ilość wynosi 3,200,000, w Macedonji zamieszkuje ich 1,140,000, reszta zaś w wijalecie adrianopolskim i w Konstantynopolu (630.000), w Rosji (220.000), Rumunji (100.000) i Serbji (30.000). Na 5.400.000 bułgarów, przeszło 5.000.000 jest prawosławnych, około 350.000 mahometańskiego wyznania, zaś 50.000 wyznaje katolicyzm *).

Agitacja bułgarów, mająca na celu przyłączenie do obecnego królestwa, podległych Turcji, a zamieszkałych przez bułgarów ziem w Macedonji, trwa już od lat sporo, ale przybrała wielkie rozmiary dopiero po utworzeniu specjalnego „komitetu macedońskiego“ pod przewodnictwem Borysa Sarafowa. Oddziały powstańcze grasowały po Macedonji nieustannie, walcząc z bandami wysyłanemi przez greków i serbów, roszczących sobie równe prawa do Macedonji; nie brak też ciągłych walk z wojskami tureckiemi i okrutnych spustoszeń.

*) Dane statystyczne wyjmujemy z pracy p. Leona Wasilewskiego o słowiańszczyźnie południowej, która jest już pod prasą i wnet ukaże się w wydawnictwie „Książek dla wszystkich“.

A jednak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ludność słowiańska, zamieszkująca Macedonję, stanowi samodzielną narodowość, pokrewną bułgarom i serbom, ale zupełnie odrębną. Że jednak macedończycy nie mają wyrobionej samowiedzy narodowej, więc i bułgarzy i serbowie i także grecy i rumuni chcą im narodowość swą narzucić. I tak, szkoły utrzymywane w Macedonji przez bułgarów, wychowują patrjotów bułgarskich; szkoły utrzymywane przez serbów wychowują patrjotów serbskich i t. d. Wynikiem tego jest panujący dziś w Macedonji chaos, którego nie usunie wprowadzenie w Turcji konstytucyjnego ustroju. Bądź co bądź, bułgarzy działają najenergiczniej, i dzięki temu obecnie Macedonja najbardziej ciąży do Bułgarji.

Dziwić się temu nie można wcale, porównywując obecny stan kulturalny Bułgarji ze stanem kulturalnym i politycznym Serbji. Bułgarja szybkim krokiem dąży naprzód, starając się dorównać zachodniej Europy pod względem kultury intelektualnej; o Serbji tego powiedzieć nie można.

Tak samo jak bułgarzy tak też i serbowie wcześnie utworzyli samodzielne państwo. Pierwotnie poddani zwierzchnictwu bizantyńskich cesarzy, wnet wyzwolili się z pod przewagi Bizancjum (1043). Pierwszym władcą wszystkich serbów był Stefan I Nemania (1165), który połączył w jedno wszystkie księstwa serbskie. Nemanidzi panowali w państwie serbskiem do drugiej połowy XIV wieku, a największym z nich był Stefan Duszan (1331–1355) pierwszy car serbski. Po wygaśnieniu dynastji tej, Serbja zaczęła się rozpadać, ponosić klęski od napierających coraz bardziej turków. Coprawda, książę Lazar wypędził turków, ale ci wnet powrócili i zadali mu niepowetowaną klęskę na Kosowym polu (1389). W r. 1459 sułtan Mohamed II położył kres niepodległości Serbji i uczynił ją prowincją turecką.

Od tej pory zaczyna się imigracja serbów do Węgier i Austrji, która w początkach XVIII wieku zagarnęła Banat i — coprawda nie na długo — Bośnję. Od r. 1804 zaczęli serbowie walkę o wyzwolenie się z pod władzy tureckiej; zaczął ją „czarny Jerzy“ Karadżerdżje. Walka trwała nieustannie, a zakończyła się — po obwołaniu dziedzicznym księciem Serbji Miłosza Obrenowicza r. 1817, — nadaniem Serbji autonomji pod tureckiem zwierzchnictwem (1830); rząd turecki uznał Obrenowicza jako dziedzicznego władcę. Po nieustannych walkach wewnętrzych pomiędzy Karadżerdżiewiczami a Obrenowiczami, przyczem wciąż jedni drugich strącali z tronu i mordowali, Serbja w r. 1876 zaczęła z Turcją wojnę o niepodległość zupełną, ale wojska serbskie pobite zostały na głowę. Wtedy wybuchła wojna rosyjsko-turecka, zakończona kongresem berlińskim, uznającym zupełną niepodległość Serbji.

Od tej pory, obok niezawisłego już od XVII wieku Czarnogórza, istnieje drugie samodzielne państwo serbskie. Reszta ludności serbskiej podlega panowaniu austrjackiemu, węgierskiemu i tureckiemu. W obrębie królestwa węgierskiego, w Chorwacji, Bośnji i Hercegowinie, oraz Austrji żyje 5.500.000 serbów; w królestwie serbskiem żyje ich 2.600.000, zaś w Czarnogórzu 240.000 i w Turcji 530.000.

Ale od czasu odzyskania samodzielności, nigdy nie zanikają wśród serbów marzenia o stworzeniu zjednoczonej „wielkiej Serbji“, pod berłem królów serbskich. czy to z dynastji Karadżerdżiewiczów, czy książąt czarnogórskich. Agitacja w tym kierunku nie zanika ani na chwilę i doprowadza do nieustannych konfliktów z Austro-Węgrami, państwem, które w granicach swych zjednoczyło największą ilość serbów, większą, niż ją mają oba niepodległe kraje serbskie.

Ale tu wysuwa się wewnętrzny rozdział serbów na dwa kierunki, dwie grupy, różniące się i politycznym kierunkiem i wyznaniem. Połowa serbów wyznaje prawosławie, mahometanizm wyznaje około 9%, reszta zaś wyznaje katolicyzm. Prawosławie przeważa w Serbji i Czarnogórzu, podczas gdy natomiast w Bośnji zaledwie 43% ludności należy do tego wyznania.

Katolicy i mahometanie ciążą do Austrji, dążąc do przemiany ustroju monarchji z dualistycznego na tryalistyczny, czyli do stworzenia państwa samodzielnego, połączonego z Austrją i Węgrami tylko osobą monarchy. Prąd ten jednoczy całą prawie ludność serbską, zamieszkałą pod berłem Habsburgów. A jest to najkulturalniejszy odłam serbów. Chorwacja korzystając z szerokiej autonomji, przdouje oddawna umysłowemu życiu całej południowej słowiańszczyzny, posiada w Zagrzebiu uniwersytet i akademję umiejętności, akademję sztuk pięknych i wysoko rozwiniętą literaturę i prasę. Nie dorosła do jej poziomu współzawodnicząca z nią niepodległa Serbja.

Ale największą przeszkodą ku zjednoczeniu serbochorwatów jest ich wysoko rozwinięty partykularyzm prowincjonalno-plemienny i kulturalno-wyznaniowy. Przedewszystkiem już sama nazwa ogólna narodowa, jakiej używamy w zastosowaniu do serbo-chorwatów jest nazwą sztuczną, nie używaną nigdzie przez ludność. Katolicy nazywają siebie chorwatami, prawosławni — serbami, a obie te grupy, mimo że mówią jednym i tym samym językiem, uważają się za dwa odrębne narody, a ich stosunki wzajemne cechuje niechęć, graniczącząca z nienawiścią. Ludność Bośnji i Hercegowiny, w miarę podnoszenia się świadomości narodowej, poczęła uważać się za chorwacką, budząc tem gniew serbów, którzy pragną usilnie otoczyć pobratymców bośnjackich swą opieką.

Jak się te wzajemne stosunki wszystkich grup narodowości serbsko-chorwackiej ułożą w najbliższej przyszłości, przesądzić dziś nie sposób, tembardziej, że pod tym względem coraz ważniejszą rolę odgrywać zaczynają czynniki obce, mające na oku zwiększenie zawikłań politycznych.

Nie sposób wreszcie zamilczeć, że pomiędzy bułgarami także nie ma zgody i sympatji; przeciwnie, prastara niechęć wzrasta ustawicznie i doprowada do nieustannych konfliktów.

Bądź co bądź, w życiu południowej Słowiańszczyzny zaczęła się nowa epoka. F. L.

Pogadanka przyrodnicza.

Światło przyszłości.

Chwila pierwszego zapoznania się człowieka z ogniem miała nieskończenie doniosłe następstwa dla całego późniejszego rozwoju kultury. Nic też dziwnego, że zdarzenie to uwieczniło się w podaniach i pieśniach wszystkich ludów ziemi. Pełną treści głębokiej jest zwłaszcza grecka legienda o Prometeuszu, utożsamiająca dawcę ognia z krzewicielem światła w znaczeniu przenośnem. Jako źródło światła, początkowo równoznaczne ze źródłem ciepła, przez długi szereg wieków służyło ognisko domowe. Dopiero wątły płomień łuczywa, pochodnia smolna iub napojony tłuszczem szpagat zapoczątkowują znamienny rozdział światła i ciepła, rozdział do chwili obecnej częściowo jedynie dokonany, jakkolwiek technika nowoczesna coraz bardziej dąży do tego, by sprawę oświetlenia całkowicie oddzielić od zjawisk cieplnych.

Rozpowszechnione dzić źródła światła — czy to płomień świecy, lampy naftowej, czy też elektrycznej żarówki — posiadają pewien rys wspólny: promieniowanie powstaje tu skutkiem silnego ogrzania ciał stałych i gaśnie równocześnie z obniżeniem temperatury. Przy podobnem sposobie oświetlenia wytwarzanie światła z natury rzeczy związane jest ze znacznem wydatkowaniem energji cieplnej. To ostatnie atoli, zrozumiałe w urządzeniach służących do ogrzewania, traci swoją rację bytu przy oświetleniu, podnosząc jego koszta i czyniąc je niehygjenicznem. Z tego powodu technika oświetlenia coraz poważniej zastanawiać się poczyna nad potrzebą gruntownego zreformowania współczesnych źródeł światia i stworzenia nowej techniki — „zimnego światła“. Klasycznego wzoru takiego zimnego światła dostarcza nam sama przyroda w postaci znanego robaczka świętojańskiego. Podobny charakter nosi świecenie morza, zawdzięczające swe pochodzenie również istotom żyjącym. Miljardy mikroskopijnych żyjątek, pływających na powierzchni oceanu, łączy swe blade światło w takie blaski, że wspaniałości tego zjawiska, wprawiającego w zdumienie podróżników na morzach południowych, najjaskrawszy opis uzmysłowić nie jest w stanie. Świat zwierzęcy obfituje w tego rodzaju urządzenia świetlne. Znane są zoologom pewne gatunki ryb głębokowodnych, opatrzonych w „latarkę“, która rozświeca im mrok, wieczyście zalegający niedostępne otchłanie morskie

Pochodzenie owych szczególnych świateł jest dla nas również zagadkowe, jak świecenie próchna drzewnego, jak świetlne zjawiska, obserwowane w rurkach Geisslera pod działaniem promieni Röntgena.

Jeżeli przez rurkę Geisslera, po wypompowaniu znacznej części powietrza, przepuścimy prąd elektryczny, pozostałe w rurce cząsteczki rozrzedzonego gazu świecą niebieskawo-fioletowem światłem. Przez cały czas trwania doświadczenia temperatura rurki pozostaje niezmienioną. Zjawisko powyższe nazywamy fluorescencją, obejmując tem mianem wszystkie wypadki świecenia ciał zimnych, którego istota pozostaje dotąd dla nas zagadką. Wewnątrz podobnej rurki, z odjemnego bieguna elektrycznego (tak zwanej katody) wychodzą szczególnego rodzaju „promienie katodalne". Jakkolwiek widzieć ich wprost nie możemy, o istnieniu tych promieni upewniamy się przez rzucanie ich na ciała fluoryzujące. Szklana ściana rurki fluoryzuje w miejscu, gdzie padają na nią promienie katodalne. Miejsce to jest znów punktem wyjścia promieni x (Röntgena), które ze swej strony powodują intenzywne świecenie różnorodnych ciał. Świecenie rurek Geisslera wywołuje się zazwyczaj przez doprowadzenie do wnętrza rurki prądu elektrycznego z cewki Rumkorfa. Gdy jednak zastosujemy na to miejsce prąd zmienny o miljonach zmian na sekundę, jaki otrzymujemy np. przy wyładowaniu butelki Lejdejskiej, rurka Geisslera świecić poczne nawet przy prostem zbliżeniu drutu, bez mechanicznego z nim połączenia.

Cechę swoistą wszystkich pomienionych zjawisk świetlnych stanowi całkowita niemal przemiana zużytej energji elektrycznej w światło, wyłączającą nieprodukcyjną stratę na wytwarzanie zbytecznego w tym wypadku ciepła. Na tej drodze szukać należy rozwiązania zagadnienia oświetlenia sztucznego — zimnego światła przyszłości.

Że ideał ów wyszedł już z fantastycznych rojeń gabinetowych, świadczą o tem lampy systemu Cooper Hewitta, które przed paru laty ukazały się w Ameryce. Opisowi tego wysoce ciekawego wynalazku poświęcimy kilka słów następnych.

W lampach, skonstruowanych przez Cooper Hewitta, źródłem światła jest para rtęciowa, w której przypływający prąd elektryczny wywołuje nad wyraz intensywną fluorescencję. Lampa składa się z rury szklanej, z której usunięto powietrze, i posiadającej na obu końcach zakończenia metalowe z wtopionemi drutami platynowymi. Druty owe doprowadzają prąd do elektrod, utworzonych z rtęci. Para rtęciowa w warunkach, w jakich znajduje się w lampie, stawia początkowo silny opór prądowi elektrycznemu. Opór ów musi zostać pokonany, zanim lampa zacznie świecić. Z różnych dróg, prowadzących do powyższego celu, wymienimy jedną. Lampa w ten sposób jest zbudowna, że jedna z elekrod nieco wyżej leży, niż druga. Przez poruszanie odpowiednio zawieszonej lampy, trochę rtęci z wyżej położonej elekrody przelewamy ciekim strumieniem do niższej; ów strumień rtęciowy stwarza właśnie połączenie metaliczne między obiema elekrodami, połączenie, które natychmiast się urywa. W miejscu przerwania rtęci powstaje światło rozszerzające się w miarę opadania rtęci na całą lampę. Długość palenia się lamp Cooper Hewitta teoretycznie jest nieskończona, w praktyce po upływie 2000 godzin zauważyć się daje osłabienie siły świetlnej. Światło tych lamp jest niezmiernie białe, skutkiem zupełnego niemal braku promieni czerwonych. Okoliczność powyższa jest źródłem ciekawej właściwości, stanowiącej ich cechę ujemną.

Ciała barwne, jak wiadomo, sprawiają na nas odpowiednie wrażenie dlatego, że odbijają tylko promienie pewnego rodzaju; np. niebieski kolor danego ciała pochodzi od odbicia promieni niebieskich, czerwony — czerwonych i t. d. Ciała, odbijające promienie wszystkich barw, zwiemy białemi, wreszcie ciała, pochłaniające wszystkie promienie, są czarne. Skoro więc dane źródło światła promieni pewnej barwy nie posiada, oświetlony zaś przez nie przedmiot te promienie wyłącznie odbija, musi on nam wydać się czarnym, dla tej prostej przyczyny, że nie może odbić promieni nieistniejących, wszelkie zaś inne pochłania. Nietrudno stąd zrozumieć, iż w świetle lampy Cooper Hewitta, nie wysyłającej czerwonych promieni. wszystkie tego koloru przedmioty będą się wydawały czarnymi: czerwień warg i policzków zniknie i twarze ludzkie okryją się trupią bladością.

Właściwość powyższa tej skądinąd pełnej zalet lampy czyni ją całkiem nieużyteczną we wszystkich wypadkach, gdzie zależy na dokładnem rozróżnianiu kolorów.

Od czego zależy śmiertelność?

Że zdrowie człowieka i długość życia ludzkiego zależy w wysokim stopniu od warunków, wśród których się żyje, to potwierdzają dowodnie statystyczne dane, zebrane na ostatniej wystawie przyrodniczo-lekarskiej. Z zestawień tych przekonaliśmy się, że wcale nie jest obojętną rzeczą dla zdrowia, jakie kto najmuje mieszkanie, ile osób mieszka razem, w jakim pracuje zawodzie itd.

Wiemy, że najniezdrowsze mieszkania są w sklepach, gdzie panuje wilgoć i skutkiem niskiej powały jest mało powietrza. W wielkics miastach, gdzie są kamienice po 4 i 5 pięter, mieszkania na poddaszu są również niezdrowe, w lecie zbyt wielki żar, w zimie na mróz narażone, pominąwszy już, że chodzenie po schodach dla niezbyt silnych jest bardzo wyczerpujące.

Potwierdzają to następujące cyfry:

Na 1000 ludzi umiera rocznie z mieszkających:

W sklepach . . .	35,6	procent
Na parterze . . .	29,4	„
„ I piętrze . .	28,6	„
„ II „	29,2	„
„ III. „	32.9	„
Na IV, V piętrze .	36,5	„

Śmiertelność roczna na 1000 mieszkańców wynosi, jeżeli na jeden pokój przypada:

Osób 1	11	procent
„ 2	20	„
„ 3	27	„
ponad 3	34	„

Na 1000 ludzi umiera rocznie z tych, co płacą za mieszkanie:

300 marek . . .	20,7	procent
750 „	11,2	„
1500 „	10,7	„
ponad 1500 „	6,5	„

Bardzo zajmujący jest wykaz śmiertelności, zestawiony podług zawodów. Okazuje się, że najwięcej umiera służby w szynkach, potem przy stopniowem zmniejszaniu się śmiertelności następują po kolei: wyrobnicy, pilnikarze, browarnicy, rzeźnicy, lekarze, krawcy, kowale, piekarze, młynarze, szewcy, garbarze, robotnicy w kopalniach węgla, stolarze rybacy, nauczyciele wiejscy, ogrodnicy. A czy wiecie, w którym zawodzie umiera stosunkowo najmniej ludzi? W tym, w którym najmniej pracują, a najlepiej się odżywiają — t. j. w zawodzie księży.

Dodamy jeszcze kilka dat, odnoszących się do zbytniego użytku alkoholu i szkodliwego wpływu, jaki on wywiera na zdrowie i życie człowieka:

Stwierdzono, że bicie serca zwiększa się w ciągu 24 godzin, u ludzi po wypiciu:

pół litra słabego piwa	o 4000	uderzeń
„ „ mocnego piwa	o 8000	„
„ „ wina . . .	o 13.000	„
„ „ wódki . . .	o 18.000	„

Ale i moralny wpływ alkoholu jest najgorszy. I tak na 100 przestępców przypada:

	W stanie pijanym	W stanie trzeźwym
Na przestępstwo przeciw moralności .	77 proc.	23 proc.
„ opór przeciw władzy	76 „	24 „
„ ciężkie skaleczenie	63 „	37 „
„ zabójstwo	63 „	37 „
„ podpalenie	57 „	43 „
„ morderstwo	46 „	44 „

Ostatnia rubryka wykazuje więcej morderców w stanie trzeźwym; pochodzi to stąd, że przy zamierzonem morderstwie potrzebną jest pewna ręka i rozwaga, co u pijaka jest rzeczą rzadką.

Zajmującą jest także następująca tabelka, zestawiona przez dra Bayera, który badał w szkołach wiedeńskich, jaki wpływ wywiera alkohol na postęp uczniów.

Na 100 uczniów,	Otrzymali postęp dobry	dostateczny	niedostatecz.
Nie używając alkoholu	42	49	9
Niekiedy używających	34	56	10
Którzy co dzień jeden raz pili piwo	28	58	14
Co dzień dwa razy pili piwo	24	38	18
Którzy co dzień trzy razy pili napoje alkoholiczne	1	33	64

Z tablic statystycznych o alkoholiźmie dowiedzieliśmy się także, że alkoholicy zapadają najczęściej na następujące choroby: Chroniczny katar żołądkowy, otłuszczenie serca, przerost serca (ze zbytniego użytku piwa), zapalenie wielkiej tętnicy, otłuszczenie wątroby, zapalenie nerek i zapalenie płuc.

Choroby te występują u alkoholików z daleko większą gwałtownością niż u innych ludzi i częściej kończą się śmiercią.

I tak n. p. z ludzi, którzy zachorowali na zapalenie płuc, umarło na 100:

W wieku	wogóle	alkoholików
Od 20 do 30 lat	7	61
„ 31 „ 40 „	14	59
„ 41 „ 50 „	29	54
„ 51 „ 60 „	28	85
„ 61 „ 70 „	38	100

Tak więc, jeżeli ktoś w wieku od 61 do 70 lat zachoruje na zapalenie płuc, a jest alkoholikiem, niema dla niego ratunku, gdyż na 100 chorych umiera 100!

Rozmaitości

Jedwab z pajęczyny. Jedwab, wytwarzany przez gąsienicę jedwabnika i pajęczyna, wytwarzana zwłaszcza przez niektóre rodzaje pająków, mają bardzo wiele podobieństwa. Co prawda, morfologiczne funkcje tych organów, wydzielających lepką ciecz są odmienne, chemicznie jednak zachodzi między obiema wydzielinami znaczne podobieństwo. Różnicą główną jest to, że pajęczyna nie zawiera rozpuszczalnego w wodzie kleju, którego jedwab ma znaczną ilość i tak np. surowy jedwab lombardzki aż 30 procent. Próby technicznego spożytkowania pajęczyny dla fabrykacji tkanin podobnych do jedwabnych są już bardzo dawne. Rozprawa Reaumura, która pojawiła się w r. 1710 pod tytułem „Examen de la soie des araigneés“ wymienia jako pierwszego wynalazcę sposobu fabrykacji jedwabiu z pajęczyn niejakiego Bonna. W ośmnastym wieku zajmował się tą samą ideją bardzo żywo niejaki Reymond de Termeyer, który używał do tego celu pająków podzwrotnikowych, metodę fabrykacji ulepszył znacznie w r. 1865 B. G. Wilder. Na wystawie paryskiej w r. 1900 były wystawione tkaniny pod nazwą „soie d' araignée de Madagaskar“.

Były one zrobione z nitek pająka „Nephila madagascariensis“, żyjącego w lasach madagaskarskich na drzewach, szczególnie w pobliżu miast, np. w starych ogrodach królewskich w Tananarivo. Misjonarz francuski O. Camboné zajął się próbami technicznymi na większą skalę i w tym celu założył zakład doświadczalny w Tananarivo, gdzie hoduje się pająki z rodzaju Nephila. Każdy pająk dostarcza za każdym razem od 150—600 mtr. nitki i można go w miesiącu zmusić sztucznie pięć do sześciu razy do wydzielania, poczem ginie. Nephila odznacza się tem, że samiczka jest ogromnie duża, pająk ten jest w krajach podzwrotnikowych bardzo rozpowszechniony. Naturalną barwą pajęczyny jest żółta, u „Nephila madagadascariensis“ przechodzi w pomarańczową i jest szczególnie piękna. Przez domieszkę alkaloidów nabiera jeszcze intenzywniejszej pomarańczowej barwy. Obecnie grono przemysłowców zamierza rozpocząć produkcję tkanin na większą, fabryczną skalę.

* * *

Bogactwa naturalne Ameryki. Pomimo, że Stany Zjednoczone posiadają niezmierną ilość bogactw naturalnych w ziemi, to jednak bogactwa te, jeżeli w używaniu ich nie nastąpi oszczędność, zostaną wyczerpane w przeciągu jednego stulecia.

Według sprawozdania kongresmana Johna Dallzella z Pensylwanji, przewodniczącego komisji dla zachowania naturalnych bogactw kraju, w Stanach Zjednoczonych obecnie znajduje się w ziemi 1,400,000,000,000 (kwadryljon czterysta tryljonów) ton minerałów, wydobywanych codziennie z wielkiej ilości kopalń.

W ciągu ubiegłego roku wydobyto z łona ziemi minerałów, w postaci węgla, rudy żelaznej, złota, srebra, miedzi i innych metalów wartości około dwuch miljardów dolarów. Z tego prawie szósta część idzie na marne, przeważnie wskutek wadliwego systemu kopalni.

W wielu szybach węglowych eksploatuje się węgiel jedynie z żył większych, poboczne zaś się pozostawia. Z opuszczonej kopalni pozostałego węgla wydobyć nie można, ze względów na koszta, któreby nie opłaciły skórki na wyprawę.

Połowa gazu naturalnego, wydobywającego się z ziemi, czyli około miljona sześciennych stóp dziennie, ulata w powietrze bez żadnego pożytku dla dobra publicznego. Gdyby gaz ten zużyto, wtedyby można nim stale oświetlać wszystkie miasta w Stanach Zjednoczonych, liczące przeszło 100 tys. mieszkańców.

Zapas kamienia fosforowego obliczony jest na 150 miljonów. W ostatnich trzydziestu latach zużyto około 30 miljonów ton, z czego przeszło 40 procent zostało wysłane do innych krajów. Ze względu na doniosłe znaczenie fosforu w używaniu roli należałoby wywozu zaprzestać, a pozostawiać każdy funt dla farm amerykańskich.

Sprawozdanie Dallzella kończy się odezwą do kongresu, ażeby ten przez uchwałę odpowiednich ustaw położył tamę nierozsądnemu marnowaniu tych bogactw naturalnych, w które Stany Zjednoczone najlepiej są uposażnione ze wszystkich krajów na całej kuli ziemskiej.

Z literatury i sztuki

„Krytyka“, miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt I na styczeń. Treść: 1. Cele i drogi. — 2. Stan. Tad. Grabowski: Serbowie i chorwaci wobec aneksji Bośnji i Hercegowiny. — 3. Dr. Wł. Gumplowicz: O pojęciu cywilizacji. — 4. A. Wrzesień: Poezja więzienna. — 5. Współcześni politycy polscy. I. Junius: Dr. Michał Bobrzyński. — Charaktarystyka. — 6. Dr. Adolf Gross, poseł do Rady państwa: W sprawie żydowskiej. — 7. K. Srokowski: Przed drugą konferencją słowiańską. — 8. Przegląd: I. Z prasy polityczno-społecznej. II. H. Orsza: Ze spraw wychowawczych. III. Dr. Zofia Daszyńska-Golińska: Przegląd gospodarczo-społeczny. IV. Junius: Z trzech zaborów. — 9. Sprawozdania z nowości wydawniczych.

Część druga: 1. Winc. Brzozowski: Apoteoza. Sprzeczność. Fale. Park. Epitaphium. Poezje. — 2. M. Sobeski: Przędziwo Arachny. — 3. Wł. Orkan: Wesele Prometeusza. — 4. Kar. Mustafa: Historje naiwne. Poezje. — 5. W. Feldman: „Współczesna literatura polska“ w oświetleniu krytyków i pseudo-krytyków. — 6. Tad. Dąbrowski: Scholia i schol(i)astycy. (Z najnowszych prac o Wyspiańskim). 7. Włodz. Piński: List z Niemiec. (Reforma sceny współczesnej). — 8. Przegląd: I. Z prasy artystyczno-literackiej. II. Be-Wu: Ruch muzyczny w Polsce. III. Stan. Pieńkowski: „Grosz czynszowy“ Jacka Malczewskiego. IV. (x): Rzeźba W. Szymanowskiego. V. Ad. Zagórski: Teatr lwowski. V. J. Kleczyński: Życie artystyczne w Warszawie. — 9. Sprawozdania: Tres: Nowe powieści. Dr. W. Moraczewski: Ostatnie utwory Anatola France'a.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 5. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 stycznia 1909.

Pieśń katorżnika.

(Z rosyjskiego.)

Z ciemnicy wilgotnej wzrok tęskny ślę w dal,
Spragnioną wolności pierś gryzie mi żal;
Za kratą szum skrzydeł pochwycił mój słuch:
Tam ostrzy swój krzywy dziób orzeł, mój druh.

Dziób ostrzy i strawę szponami ptak rwie
I w okno spojrzenie z wezwaniem mi śle;
W ciemnicę mą cichą rozgłośny krzyk wpadł — —
To ducha wolnego duch bratni już zgadł:

„O bracie, pójdź! Skrzydła roztoczym dziś wraz,
Nam dzieciom wolności polecieć już czas,
Gdzie kąpie się w chmurach śnieżystych gór szczyt,
Gdzie wichry hulają, gdzie wzywa nas świt“.

Przełożył Czesław Wrocki.

Siostra Beatryx.

(Kartka z pamiętnika.)

Wieczór był jesienny, trochę mroźny, ale pogodny i cichy.

Powracaliśmy z teatru.

Dnia tego grano „Siostrę Beatryx“ Maeterlinka. Byliśmy oboje pod wrażeniem tylko co widzianych cudnych obrazów, tylko co słyszanych przepięknych słów. Jasna, legiendarna postać, rozdzielająca jałmużnę łaknącym, otwierająca swe miłosierne ramiona ze słodkiem wyzwaniem: „Chodźcie wszyscy, zabierajcie wszystko“. I ta wspaniała apoteoza miłości, tej grzesznej, ziemskiej, potępionej, która „strasznym jest ciężarem.“ Mówiliśmy o tem ze czcią i wzruszeniem. Snuliśmy dalej boską myśl wielkiej, ogólnej, wszystko ogarniającej, wszystko przebaczającej miłości. W uszach brzmiały nam jeszcze słowa:

„Chodźcie wszyscy, wspomagajcie się wzajemnie, przebaczajcie sobie urazy i w życiu swojem zlewajcie razem szczęście i łzy wasze“.

W tej atmosferze czystych uniesień ducha czuliśmy się zadowolnieni, szczęśliwi, weseli. Szliśmy prędko, trzymając się pod rękę, wyczuwając ramieniem drogą bliskość.

Stopniowo jednak rozrzewnienie i podniosły nastrój ustępować zaczęły miejsca jakiejś, Bóg wie skąd powstałej pustocie i figlarnemu usposobieniu.

Na ulicach rojno jeszcze było. Wielkie kule elektrycznych lamp rzucały księżycowe odblaski, z łoskotem przelatywały dorożki, unosząc w dal takie same, jak my, szczęśliwe, rozbawione pary. Śmieliśmy się, patrząc sobie w oczy.

Byliśmy już blisko domu, gdy uszu naszych doleciał głos chrapliwy, cyniczny. Pod drzewami, z których żółte i szkarłatne liście sennym ruchem odrywały się od gałęzi i kładły pod nasze stopy, stała dziewczyna, jedna z tych, których wielkie miasta wyrzucają tysiące o zmierzchu na swoje ludne ulice.

Zapewne wiele ich już przesunęło się dziś obok nas, ale zajęci sobą, nie zauważyliśmy ich wcale. Ta jednak natrętnie narzucała się naszym spojrzeniom. Stała po środku chodnika, trzymając się w bok, zaczepiając przechodniów i wywołując co chwila cyniczne słowa zachęty. Ubrana była nędznie, chociaż pretensjonalnie. Z pomiętego kapelusza brudną szmatą zwieszał się gazowy welon, zaszargana spódnica ledwie sięgała zdeptanych trzewików, osłaniających płaskie, szerokie stopy, duże ręce znaczyły się czerwonemi plamami na tle jasnego ubrania.

Otarłam się prawie o nią i nagle niezdrowa, bezmyślna szarpnęła mną ciekawość.

— Chcę jej się przyjrzeć — szepnęłam.

Mąż mój niechętnie się odwrócił.

— Po co ci to, po co?

— Chcę — powtórzyłam uparcie. — Nigdy nie widziałam z bliska takich kobiet.

W tej chwili zauważyłam, że dziewczyna, goniąc za jakimś jegomością, weszła do pobliskiej owocarni i natychmiast podążyłam za nią. Gdy wchodziłam, napastowany jegomość odtrącił ją brutalnie i szybko wybiegł ze sklepu. A ona stała w pośrodku nagle ogłuszona, oświecona z góry padającym światłem, ohydna i śmieszna zarazem w swoich pomiętych, barwnych łachmanach.

Kazałam sobie podać winogron. Dobre być mają i soczyste — polecałam, a patrzałam wciąż na nią.

I w pewnej chwili spotkały się nasze oczy: moje — pytające, ciekawe, badawcze z jej spojrzeniem, ach! jakiem dziwnym. Z pod powiek opuchłych i zaczerwienionych błysnęły ku mnie źrenice ironiczne, zuchwałe, wyzywające, a skrofuliczne, ukarminowane usta wykrzywiły się uśmiechem gorzkim, nienawiści i pogardy pełnym.

Lecz już mąż mój płacił za winogrona, uprzejmy subjekt wsuwał mi paczkę do ręki. Odwróciłam się. Wyszliśmy.

— Wstrętna — rzekłam — i mimowolny dreszcz odrazy wstrząsnął mojem ciałem. Mąż mój nic nie odpowiedział.

Za kilka minut byliśmy w domu. Ogarnęła nas ciepła, miła atmosfera. Na stole syczał samowar, błyszczał przybór do herbaty, obrus lśnił białością, nęciły ciastka, mięsiwo i owoce. W sąsiednim pokoju spał mój synuś jedyny, malutki. Pobiegłam go uścisnąć, całowałam rumianą buźkę, tłuściutkie, drobne rączki. Rozkoszny — miły — mój.

Przy herbacie gawędziliśmy wesoło, wracaliśmy znowu do wrażeń, odniesionych w teatrze, do Maeterlinka, do jego wzniosłego mistycyzmu, do siostry Beatryx, tej cudownej miłosnej legiendy...

O prostytutce nie było mowy.

Usnęliśmy późno, trzymając się w objęciu.

. . . . . .

Zbudziłam się w nocy nagle, jakby mną jakaś niewidzialna dłoń szarpnęła. Usiadłam na łóżku. W ciszy słyszałam wyraźnie gwałtowne kołatanie własnego serca, miarowy oddech męża i lekkie, senne sapanie synka. Doznawałam uczucie jak gdyby ktoś był tu w pokoju, jakby czy-

Львівська Бібліотека
АН УРСР

jeś złośliwe, chytre oczy śledziły za mną z ukrycia. Obawa i niczem niewytłomaczona troska wzięły w posiadanie moją duszę, trzymały ją drżącą i storturowaną w swej żelaznej pięści, precz odpędzały słodkie zapomnienie i rozkoszną omdlałość. Sen odbiegł daleko. Próżno przymykałam powieki, liczyłam do stu, przewracałam się z boku na bok. Srogie władczynie nie cofały swej nieubłaganej dłoni.

Ktoś idzie... szepce... wzdycha... Kto tam?...

Ach, to ona!... Stoi tam w kącie, ohydna i śmieszna w pomiętych, barwnych łachmanach i naigrawa się uśmiechem obrzmiałych, ukarminowanych warg. Do duszy mi patrzy, zagląda do sumienia i pyta... pyta...

— Co? Dobrze ci?... Ciepło!... Wygodnie?... Syta jesteś?... Jakie smaczne były winogrona, jak pachniały ciastka i mięsiwo. Nigdy nie byłaś głodna, nie wiesz, jak strasznym jest głód, kiedy rozpaloną żmiją wkręca się we wnętrzności i szarpie je i targa i wznosi się do gardła kłębem lepkiej, przaśnej śliny i czaruje przed oczy widzenie olbrzymich, biesiadnych stołów, przy których dla głodnych niema miejsca...

Tak, syta jesteś — ty i mąż twój i dziecko... Dobrze wam, kochacie się... cha, cha, cha!... To miłość, miłość!...

Wielka, mistyczna, wszystkich ogarniająca, wszystko przebaczająca — włócząca się po nocy, czyhająca w każdym ciemnym zaułku, ssąca krew, duszę, ciało, straszna, potworna miłość!... cha, cha, cha!

Czemuż nie możesz zasnąć? Śpij, śpij spokojnie! Sumienie masz czyste, czystą duszę i ciało. Nie wlókłaś się poprzez kałuże błota, po stromych, ciernistych ścieżkach, na których obolałe nogi odmawiają posłuszeństwa, a spieczone usta mówią: pragnę!

Śpij, śpij spokojnie!... Złóż głowę twoją, jasną, drogą głowę na piersi ukochanego człowieka i śpij, śpij spokojnie!...

Cicho tak, ciepło...

Słyszysz?... Wicher się zerwał, z jękiem przeleciał po pustych ulicach, szarpnął okienicami wysokich kamienic.

Zima się zbliża... chłód... mróz... Są podziemia, do których nigdy nie zagląda słońce, gdzie nie rozpala się nigdy jasne, ciepłe ognisko, gdzie ze ścian powoli sączy się wilgoć i opada kropla po kropli na brudną, ceglaną podłogę. Słyszysz szmer kropel opadających wilgoci?...

Ach, nie! To tylko liście jesienne szeleszczą. Osuwają się zwolna, jasno-żółte, amarantowe, ogniste i purpurowe, purpurowe — jak krew serdeczna...

Nagle krótko, przez sen zapłakał synuś mój malutki. Zerwałam się przerażona i pobiegłam do łóżeczka. Lecz dziecinka znowu już spała spokojnie. Poprawiłam kołderkę, otuliłam nią miękkie, ciepłutkie ciałko, przylgnęłam ustami do jasnego czółka.

Śpij, śpij kochanie moje, śpij skarbie mój jedyny, moje ty szczęście!...

Wróciłam do łóżka i starałam się zasnąć, lecz — daremnie. Znowu obległy mnie widziadła. Z ciemnego kąta znów patrzały na mnie wymownie opuchłe oczy, śmiały się wykrzywione, ironiczne usta.

— Cha, cha, cha!.., Skarb... szczęście... kochanie... Dziecko twoje, rodzone dziecko... Matka — wielkie słowo, święte słowo — matka! A wczoraj, za miastem znaleziono garnek gliniany, duży, osmolony garnek, napełniony brudnemi szmatami, a pod niemi — trupek nowonarodzonego dziecięcia — mały, nędzny trupek. Główkę miał wtuloną w ramionka, nóżki i rączki przełamane i cały ociekał krwią, krwią...

A onegdaj z mostu, z tego pięknego, żelaznego mostu, dokąd tak chętnie jeździsz na spacer, skoczyła do rzeki dziewczyna młodziutka, lat szesnaście zaledwie mająca, i utonęła — nie sama. Na piersi, pod chustką, tuliła chłopczyka małego, ot, takiego, jak twój, złotowłosego. Wydobyto ich z wody i złożono razem na brzegu, a ludzie, patrząc na nich, kiwali głowami i mówili, że głupia była dziewczyna. Bo kto jest tak młody i ładny, ten nie powinien umierać z miłości, a tylko żyć dla niej. Ach, jaka głupia, głupia dziewczyna!... A dziecko można było oddać do domu podrzutków. Tyle ich tam jest! Takich smutnych dzieci, których wielkie oczy wciąż pytają: dla czego? takich biednych dzieci, nie całowanych nigdy na dobranoc, dzieci o wątłych od wewnętrznego chłodu drżących ciałkach, o bladych usteczkach, co nigdy nie wołają: mamo!..

A matka — wielkie, święte słowo! Cha, cha, cha!...

„Nie mam już dzieci moich. Troje najpiękniejszych zmarło, kiedy już nie byłam piękną. Ostatatnie zabiłam — raz wieczorem, kiedy oszalałam i kiedy ono krzyczało z głodu"...

Cha, cha, cha!...

Usiadłam na łóżku i już nie próbowałam zasnąć, nie odganiałam precz szyderczej mary. Patrzyłam jej w oczy wprost, odważnie; rozszerzały się w ciemności moje źrenice, aby wchłonąć tę całą nędzę ludzkich istnień, serce uderzało boleśnie, wzbierało lękiem, zgrozą wobec tej bezdennej przepaści, która się u stóp moich rozwarła.

A tam, w kącie, ona wciąż śmiała się i śmiała. Rozrzuciły się po ramionach ubogie kosmyki splątanych, na szpilce fryzowanych włosów, brudny łachman woalu opadł wraz z kapeluszem, krzywiła się ohydna maska w stłumionym śmiechu, aż łzy spływały z pod zaczerwienionych powiek.

Kto to? Czyż to ona? Nie, nie, to ktoś inny! Wiem już, wiem, przypominam sobie: to twarz żebraczki, widziana przed kilku dniami u wrót przytułku. Długi, długi szereg nędzarzy stał przed tym zbyt małym domem. Otwarły się wrota i wpłynęła do wnętrza ta cała fala ludzkiej niedoli, pozostawiając za sobą ostry zapach brudu, potu i zgnilizny i tę starą żebraczkę, dla której już miejsca zabrakło. Usiadła na kamieniu, skurczywszy się we dwoje i zapłakała tym cichym, beznadziejnym płaczem istot, skazanych na zagładę. Potem podniosła pięść, mruczała coś i wygrażała w stronę miasta, nad którem rozpalały się właśnie opalone łuny elektrycznego światła, skąd płynął gwar i turkot dorożek i śmiech i życie... Ach, jakże była straszną!

Twarzy, pokrytej ropiącemi, cuchnącemi strupami, nos do połowy zżarty przez chorobę, nadawał prawie zwierzęcy wyraz, brudny łachman opadł ze skudłanej głowy, ręką drobną zwiędłą groziła miastu, ludziom, światu całemu a z oczu jej, obłąkanych bólem, płynęły łzy... łzy...

I tak ją zastała noc u zamkniętych wrót przytułku. A teraz przyszła bezdomna, stanęła w kącie mego zacisznego pokoju, aby wygrażać mnie, śmiać się i płakać krwawemi swemi łzami. Nawet nie wiem już teraz, która to tam stoi, — czy ta, co ochrypłym głosem wykrzykiwała cyniczne słowa zachęty dzisiaj tam, pod drzewami, czy tamta, którą objęły noc i cień... i śmierć...

I ta, i tamta. A może obie w jednej osobie? Śmieją się, szydzą, płaczą, grożą, znęcają się nademną...

O Boże! Kiedyż skończy się ta noc nieprzejrzana?... Kiedyż różany świt odpędzi te okropne mary od mojego łoża!... Kiedyż złote oblicze słońca ogrzeje wszystkie nędzne, zamierające z bólu ciała, a jasne jego, ożywcze promienie zstąpią do wszystkich dusz?... „Dokąd zamierzają dobroć i miłość"?...

O Boże. Boże!... Kiedy pierzchnie mrok... i lęk... i ból...

Kiedy? Kiedy?...

Cóż to, już świt? Już?

Z ciemnego kąta, kędy się straszne czaiły widziadła, idą różane blaski, strzeliste promienie wokoło ciemnej skupiają się postaci. Zda się, rośnie ona, wzmaga się, potężnieje.

Przybrana w blaski zaziemskiego świata, z błyszczącą koroną na złocistych włosach, jasna, niepokalana stoi siostra Byatryx, Boskie swoje, w zachwyceniu tonące oczy opuściła ku ziemi łez, hańby i grzechu, miłościwe ramiona otwarła szeroko, a słodkie usta szepcą:

„Chodźcie wszyscy! Oto jest godzina miłości, a miłość nie zna granic... Chodźcie wszyscy... Bóg nie widzi zła, gdy je spełniono bez nienawiści... Chodźcie wszyscy, przebaczajcie — niema grzechu, któregoby nie dosięgło przebaczenie!"

J. Grudzińska.

Rosyjscy męczennicy.

22-go stycznia upłynęło cztery lata, kiedy pewnej niedzieli, kilka set tysięcy ludzi pełni wiary w dobroć cara pociągnęło przed jego pałac, aby mu opowiedzieć o nędzy i ucisku, które lud cierpieć musi i zażądać wprowadzenia przez cara przedstawicielstwa ludu w rządach. Car odpowiedział szablami i kulami. W krwi niewinnych ludzi utopiono na rozkaz cara słuszne żądania ludu, a trupy wrzucono do Newy.

Proletarjat odpowiedział ogólnym strejkiem, car widział się zniewolonym zrobić ludowi pewne ustępstwa i ogłoszono znany manifest. Najlepsi synowie Rosji, którzy musieli opuścić ojczyznę, jeżeli nie chcieli zginąć w więzieniach albo na Syberji, wrócili w progi ojczyste. Ale zwycięstwo rewolucji nie było zupełne, reakcja podniosła głowę, a jak straszną jest jej zemstwa na rewolucjonistach, niechaj opowiedzą dzieje swoje kilka męczenników.

Dwa samobójstwa przestępców politycznych w moskiewskiem więzieniu.

Paweł Botszorow chłop z guberni stawropolskiej został zasądzony na 12 lat robót przymusowych, za uwolnienie uwięzionego przestępcy politycznego.

Umiał zaledwie czytać i pisać, ale odznaczał się umysłem bystrym i bolał z całej duszy nad nieszczęściem swego narodu.

W więzieniu zetknął się z ludźmi wykształconymi, przysłuchiwał się ich rozprawom, i zapałał dziką nienawiścią do istniejącego porządku społecznego. Stał się nadzwyczaj wrażliwym na wszystkie niesprawiedliwości, w które tak obfituje życie więzienne. Pewnego dnia odkryto w jego celi wydrążenie w murze. Siedmiu towarzyszy i Botszorow, ulegli wskutek tego strasznej karze knuta. Kiedy po egzekucji wrócił chwiejąc się na nogach do celi, dojrzała w nim myśl o samobójstwie. Widział on na tej drodze jedyną możność uwolnienia się od swoich prześladowców. Kiedy pewnego dnia wyprowadzono więźniów na spacer na podwórzu więziennem, skoczył Botszorow z wysokości trzeciego piętra i zabił się na miejscu.

Na drugi dzień powiesił się rewolucjonista Jan Kolbaśnikow. Był urzędnikiem kolejowym w Moskwie. Przy aresztowaniu stawiał opór z bronią w ręku i zasądzono go na 10 lat robót przymusowych.

Był to człowiek nadzwyczajnej dobroci, który wszystkie udręczenia więzienne znosił spokojnie. Nie mógł tylko przyglądać się strasznym prześladowaniom swoich towarzyszy więziennych. Wmięszał się właśnie w sprawy tych towarzyszy, im nie pomógł, a swoje położenie pogorszył. Został skazany na 84 dni ciemnicy, które spędził w podziemnej mokrej celi, dręczony zimnem, o chlebie i wodzie. Nie pozwolono mu się oczyścić przez cały czas tej strasznej kary. Trudno zrozumieć, jak mógł wytrzymać wszystkie te męczarnie. Po za tą nadzwyczajną karą nie wolno było Kolbaśnikowi ani pisać, ani otrzymywać listów, odebrano mu jedyne połączenie ze światem zewnętrznym. Nie wolno mu było otrzymywać pieniędzy od rodziny, co dzień przeszukiwano jego celę i musiał się zawsze do naga rozbierać, przyczem nie żałowano mu szturchańców i przezwisk. Gdyby taki nieszczęśliwy odważył się położyć wcześniej na łóżku, jak pozwalał regulamin więzienny, nie wolno mu było za karę całą noc na łóżku się położyć.

Takie życie wytrzymał Kolbaśnikow sześć miesięcy! Kiedy pewnego razu zaszła między nim a zarządcą więzienia mała utarczka słowna, wymierzono mu 150 uderzeń knutem. Strasznie zmieniony wrócił do celi, nie mógł oddychać, a na drugi dzień powiesił się, żeby ujść swoim prześladowcom.

Anna Rospoutinowna należała już od dziesięciu lat do partji rewolucyjnej. Pierwszy raz aresztowano ją w tajnej drukarni i wysłano na Syberję. Miała lat 32 i była matką dwójga dzieci. Po powrocie z Syberji oddała się najniebezpieczniejszym czynnościom dla partji rewolucyjnej, chociaż wiedziała, że śmierć czycha na nią na każdym kroku. W przeddzień aresztowania pożegnała się z dziećmi, chociaż nie wiedziała jeszcze, co ją czeka jutro. Rzeczywiście powieziono ją razem z innemi sławnemi rewolucjonistkami.

Lidja Petrowna Stowre pochodziła z szlacheckiej rodziny. Wychowana w zakładzie dla szlacheckich dziewcząt, studjowała później wyższą matematykę. Wypadki w dniu 22-gim styczniu wywarły na nią decydujący wpływ, odczuła straszne krzywdy, jakie ludowi wyrządzono i wstąpiła do partji socjalno-rewolucyjnej. Wkrótce powierzono jej pracę w tajnej drukarni w Petersburgu, gdzie ją też aresztowano 1905 r. Dzięki amnestji carskiej po strejku gieneralnym, wypuszczono ją z więzienia, po dwumiesięcznym pobycie. Rozpoczęła zaraz agitację wśród chłopów a później oddała się pracy terorystycznej, chcąc pomścić śmierć swoich towarzyszek. 20 lutego 1906 r. zasądzono ją na śmierć i umarła na szubienicy.

Szkice z historji socjalizmu.

Idee komunistyczne, jako wynik upadku społeczeństwa rzymskiego.

W owym czasie, kiedy garść apostołów, pierwszych uczniów Chrystusa rozprószyła się po świecie, aby ludom, uciemiężonym w jarzmie rzymskiem, głosić „dobrą nowinę“ o przyszłem „tysiącletniem państwie“, państwo rzymskie znajdowało się w stanie zupełnego rozkładu. Jeszcze stało ono wprawdzie silne i wielkie, a opanowawszy i podbiwszy wszystkie kraje położone dokoła morza śródziemnego, znajdowało się u szczytu swej potęgi zewnętrznej, lecz wewnątrz budowa jego społeczna była już na wskroś zbutwiała i przegniła. Krwią ociekające oręże płatnego żołdactwa, które zbudowały państwo rzymskie, nie były już w stanie uchronić je od upadku. Owszem, one to same stworzyły właśnie warunki tego upadku i przyspieszały go. — Wśród ciągłych wojen i szczęku oręża gotowała się powoli, nieunikniona katastrofa, która miała być końcem starego a początkiem nowego porządku świata. —

Rdzeń ludności rzymskiej, wolni i zamożni niegdyś obywatele rolnicy, marniała i z każdym dniem znikała; wielkość i sława Rzymu wzrosły kosztem wolnego chłopstwa. Podczas gdy wieczne wojny, prowadzone we wszystkich częściach znanego wówczas świata, wyludniały kraj i sprowadzały za sobą upadek drobnego rolnictwa, rosło bogactwo wielkich właścicieli ziemi Legjony, czyli armje rzymskie, składały się z początku z samych drobnych rolników. Gdy chłop wojował, gospodarstwo jego szło na marne, gdy po długoletniej wojaczce wracał do ojczyzny, łupem obładowany i ranami pokryty, nie chciało się mu już powracać do pracy na roli, zresztą najczęściej nie było do czego wracać. Osiadał więc w stolicy, w Rzymie lub w nielicznych miastach, gdzie rychło spadał do rzędu proletarjuszy, to jest wydziedziczonych. Od niewolników różnił się tylko tem, że był wolny i posiadał prawa obywatelskie lub pozór tych praw. Równocześnie zaś patrycjusze, posiadacze wielkich obszarów ziemi, bogacili się niezmiernie. Przedewszystkiem ich gospodarstwa nie upadały, lecz kwitły i rozwijały się świetnie. Wprawdzie i oni nie chodzili sami za pługiem, ale też nie potrzebowali tego wcale. Każdy wódz, powracający z wojny, przyprowadzał ze sobą liczne tysiące jeńców wojennych, których zamieniano na n i e w o l n i k ó w.

Niewolnicy pracowali na roli, niewolnicy trudnili się rzemiosłem, oni spełniali wszelkie posługi, byli nawet nauczycielami i artystami. Wyzysk niewolników nie znał żadnych granic; za łyżkę lichej strawy, nie wystarczającej często do utrzymania życia, za łachman na grzbiet, zbity od razów nastawnika, musiał niewolnik pracować aż do zupełnego wyczerpania sił. O zdrowie i życie jego nikt nie dbał. Były czasy, gdy w Rzymie dzienne wyżywienie człowieka więcej kosztowało, aniżeli wynosiła cena zwykłego niewolnika. Za wołu można ich było nabyć tuzin, jeden zaś niewolnik kosztował 3 do 4 koron lub marek na nasze pieniądze.

Wobec tego nic dziwnego, że praca niewolników wyparła z czasem w zupełności nietylko pracę chłopa na roli, ale też pracę wolnego rzemieślnika. Praca chłopa i rzemieślnika nie opłacała się już, nie mogli oni współzawodniczyć z niewolnikami. Znikli tedy drobni chłopi i rzemieślnicy, a powstały wielkie gospodarstwa rolne i wielkie ręko-

dzielne, częściowo nawet z podziałem pracy, na wzór nowoczesnych fabryk, prowadzone wyłącznie niezmiernie tanią siłą roboczą niewolników. Niejednokrotnie też prowadzili rzymianie wojny w tym celu jedynie, aby zaspokoić zachłanność bogaczy na te tanie ręce robocze. Wojna przeistoczała się w proste polowanie na niewolników.

Jak jednakowoż zupełnie niemal bezpłatna praca niewolników była źródłem bajecznych wprost bogactw nielicznej garści patrycjuszów i magnatów rolnych, tak z drugiej znów strony stała się ona przyczyną ostatecznego zubożenia, pauperyzacji szerokich mas ludu, wywłaszczonych z wszelkiej posiadłości, bo odebrała im możność jakiegokolwiek zarobkowania. Głód i najstraszniejsza nędza, zupełna niepewność jutra, stały się codzienną strawą olbrzymiej większości ludu.

Dopiero, gdy w kilka set lat później nieustające groźne bunty ludów granicznych i wędrówki narodów barbarzyńskich, wdzierających się co raz natarczywiej w granice państwa, spowodowały konieczność używania zdolniejszych jeńców wojennych do uzupełniania luk w szeregach legjonów, jak rzymianie nazywali swe armje, i gdy skutkiem tego zmniejszył się napływ niewolników na targi rzymskie, nastała pewna zmiana w tych stosunkach. Właściciele olbrzymich obszarów ziemi, tak zwanych latyfundjów, przestali je uprawiać sami za pomocą całych chmar niewolników, a podzieliwszy je na drobne działki, czyli parcele, zaczęli je wydzierżawiać pachciarzom, których nazywano kolonami lub kolonistami. Byli to wydziedziczeni poprzednio chłopi, żołnierze, a niekiedy także obdarzeni wolnością niewolnicy, czyli tak zwani libertyni.

Ekonomiczne podstawy społeczeństwa rzymskiego, — to znaczy gospodarka oparta na niewolnictwie, — były źródłem upadku tego społeczeństwa. Klasy panujące gardziły pracą, którą pozostawiano niewolnikom; bogacz uważał, że jedynie godnem zajęciem człowieka wolnego jest używanie rozkoszy życia i nadużywanie ich, aż do przesytu. Gdyby ujarzmionym masom ludu pozwolono korzystać z niezmiernych bogactw, nagromadzonych w Rzymie, byłby się niezawodnie podniósł olbrzymio kulturalny poziom całego narodu. Ponieważ jednak bogacze chcieli wszystko sami tylko zużyć, przeto zapanowały niesłychane marnotrawstwo, przepych bezgraniczny i szalona wprost rozpusta, a w końcu jako korona wszystkiego — okrucieństwo i zezwierzęcenie, jakich dowody dał Rzym Cezarów i Neronów w cyrkach i prześladowaniach pierwszych chrześćjan.

Ten stan rzeczy, który trwał już blisko na sto lat przed początkiem naszej ery, to jest przed narodzeniem Chrystusa, tłómaczy nam, dlaczego chrześćjanizm tak szybko się rozszerzał i znalazł tylu i tak gorliwych zwolenników. Miljonom niewolników i proletarjuszy przynosił chrześćjanizm pociechę i nadzieję lepszej przyszłości. Lud wierzył w bliskie przyjście antychrysta i wierzył, że wtedy powróci także na ziemię, czyli zmartwychwstanie Chrystus, aby go zwalczyć i utworzyć swoje „tysiącletnie państwo", w którem nie będzie już panów, ani niewolników, nie będzie ubogich ani bogaczy, nie będzie nędzy i głodu, a wszyscy ludzie będą sobie równi i będą braćmi. — Wierzenia takie były powszechne w licznych sektach chrześćjańskich, a nazywamy je chiljastycznemi.

Lecz siła i znaczenie pierwotnego chrześćjanizmu nie opierała się bynajmniej na tych nieuchwytnych marzeniach i złudnych oczekiwaniach chiliastów. Lecz podobnie, jak potęga i wpływ socjalnej demokracji nie zależą od wymarzonych obrazów „przyszłego państwa socjalistycznego", ale opierają się na jej organizacyjnej pracy i codziennych praktycznych zdobyczach dla ludu, tak też i pierwszy chrześćjanizm wzrósł do potęgi, bo nie ograniczył się na samych przepowiedniach chiljastów, lecz zabrał się do praktycznej roboty. Chrześćjanizm pierwotny stał się niezwyciężonym, bo stał się dla ludu niezbędnym. Wyrósł on z ówczesnych stosunków ekonomicznych, jako konieczność dziejowa, a do zwycięstwa dopomogły mu nie żadne pobożne marzycielstwo, lecz praktyczna i wówczas dla mas ludności potrzebna i pożyteczna jego działalność.

Tadeusz Reger.

Rozmaitości

Koszta utrzymania szkół w Austrji. Austrja wydaje wogóle bardzo mało na szkoły. Na każdego człowieka przypada na wydatki szkolne: w Czechach 7·12, na Śląsku 6·57, na Morawach 6·45, w Austrji Dolnej 6·03, w Styrji 3·84, w Przedarulanji 3·60, w Austrji Górnej 3·27, w Tyrolu 2·18, w Galicji 1·60 koron rocznie.

* * *

640.000 dzieci szkolnych w jednem mieście. W bieżącym roku szkolnym zgłosiło się w Nowym Yorku, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, 640.000 dzieci do szkół ludowych. Sześćset budynków szkolnych, które miasto posiada, nie starczy na pomieszczenie tej olbrzymiej liczby, wobec czego przystąpiono w obecnym roku do budowy 26 nowych gmachów szkolnych. Na razie 60.000 dzieci pobiera naukę półdniową. Obowiązki nauczycielskie pełni 17.000 nauczycieli stałych i 1000 pomocniczych. Budżet nowo-jorskiej Rady szkolnej wynosi 33 miljony dolarów (około 205 miljonów koron, lub 137½ miljona marek); w tym roku wzrósł on o 6 miljonów dolarów. — 140 lekarzy czuwa ustawicznie, jako inspektorzy władz hyjgeny szkolnej nad zdrowiem tej olbrzymiej armji malców, przyszłych obywateli dumnej republiki amerykańskiej.

* * *

Nowa planeta. Profesor Pickering z uniwersytetu Harvarda (Cambridge Massachausets) odkrył nową planetę poza sferą Neptuna. Uczeni od dawna przypuszczali istnienie jeszcze kilku planet za Neptunem. Prof. Pickering udał się do wszystkich obserwatorów z prośbą o współpracownictwo w celu bliższego określenia tej nowej siostry naszej ziemi.

* * *

Doniosły wynalazek z dziedziny hygjeny. W paryskich kołach lekarskich z wielkiem uznaniem powitano niedawno wynalazek inżyniera Patina, dotyczący odkażania wody za pomocą przyrządu nader prostej konstrukcji, w którym dzięki elektryczności wytwarza się „ozon", mający nieomylny wpływ na wodę. Woda, choćby najgorsza, zarażona nawet zarazkiem cholery i tyfusu, przepuszczona przez aparat pomysłu Patina, staje się absolutnie czystą i najzupełniej zdolną do picia, nie zatracając przytem smaku, ani też dodatnich swoich własności. „Le Journal" i inne pisma francuskie wysoko podnoszą wynalazek swojego rodaka.

* * *

Nauka japońska wobec następstw trzęsienia ziemi. Ks. Alfari, kierownik „obserwatorjum ximenianum" we Florencji, udzielił pewnemu dziennikarzowi następujących informacji o sposobie, w jaki japończycy zabezpieczają się od następstw trzęsienia ziemi:

W Japonji na każdym uniwersytecie jest obowiązkowy kurs seismologji a znakomity profesor Omori w Tokjo ma 3000 słuchaczów takiego kursu. Dla znalezienia formy architektonicznej, która najskuteczniejszy stawiać może odpór trzęsieniom ziemi, czynione tam były tysiączne próby sztucznych trzęsień. Sporządzają wielką wibrującą płytę, którą za pomocą dynamomaszyny można wprawić w dowolne wstrząśnienia i poruszenia. Na tej płycie umocowują konstrukcje, mające być zbadane, jako to: najrozmaitsze kolumny, rusztowania i modele całych domów. Poruszenia płyty automatycznie znaczone są piórem na papierze. Rezultatem tych prób było, że najlepiej wytrzymują trzęsienia mury o przekroju parabolicznym, utrzymane w pewnych proporcjach. Taki mur jest u podstawy 6—7 razy szerszy niż u góry i wznosi się dwiema łagodnemi krzywiznami. Konstrukcja podobna daje charakterystyczny dla dalekiego Wschodu kształt pagody. Doświadczenia, zrobione przy istotnych trzęsieniach ziemi, najzupełniej stwierdziły słuszność tych spostrzeżeń naukowych.

Książę Alfari sądzi, że obecnie, gdy we Włoszech trzeba będzie przystąpić do ponownego zabudowywania miejscowości zniszczonych przez trzęsienie ziemi, a ewentualnie i nadal zagrożonych, należy skorzystać z naukowych wskazówek japończyków.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 6. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 6 lutego 1909.

Niedziela.

Obrazek humorystyczny przez Klemensa Junoszę.

— Żono! ja ci powiadam sprawiedliwe, postaw miotłę w kącie i awantur mi nie rób, bo wiesz ty, która godzina? akurat druga po północy... słowo honoru. Jak to czas prędko schodzi; zdaje mi się, że dopiero co wyszedłem z domu...

— Mówisz, żem stary pijak... Kobieto, upamiętaj się, bo kłamiesz dwa razy... jak cię kocham. Nie jestem stary, bo mam dopiero lat... niech je tam! ile mam to mam... moje własne, nikomu nie ukradłem — a pijak też nie jestem, tylko mi trochę we łbie zaczmerało. Człowiek nie święty... bo żeby był święty, toby nie siedział w warsztacie, tylko w niebie.

— Józiu, żono, kochanie, nie urągaj... miotłę odstaw, ja nie taki... Mam dla ciebie coś... Pić piłem — nie zapieram się, ale o tobie pamiętałem... Aha! ciekawaś? Poczekaj... dam, nie bój się. — Co to dzisiaj jest? Niedziela... Rano poszedłem do felczera, żeby mi gębę oskrobał do czysta — bo to niedziela; potem byłem w kościele, ma się rozumieć, przecież niedziela; potem poszliśmy na flaki... Juścić wiesz dobrze, Józiu, żono, kochanie, że niedziela bez flaków nie znaczy nawet tyle co piątek... Był Ignacy, Józef, Michał, Antoni i ja — piąty... Ten kolejkę, ten kolejkę: po pięć gorzkich, flaki swoją drogą, po pięć piwa, a Antoni zaczął przyśpiewywać: „Jeszcze raz, ptaszku mój, jeszcze raz!“ Zdrowy chłop i porządny człowiek... Jeszcze raz to jeszcze raz... Był Ignacy, Józef, Michał i Antoni... ja piąty. Ten kolejkę, ten kolejkę, każdy kolejkę, ja kolejkę — i było znowu po pięć... a Józef się rozochocił i powiada: „Jedźmy, chłopcy, na Kępę! — Dobra!“

— Józiu, mówię ci, nie urągaj, miotłę odstaw. Widzisz, co ci przyniosłem?... patrz, flaszeczka, malinowa, z Kępy... honorowe słowo ci daję! Widzisz, ja nie jestem taki... Kępa żoną, a żona Kępą... to jest... chciałem powiedzieć Kęda Kępą, a żona żoną... Żebym ja nie wiem gdzie był, zawsze o tobie myślę... A co, cacy wódzia?! Malinowa, honorowe słowo ci daję... Jeszcze raz, Józiu, kochanie, jeszcze raz!

— Chcesz wiedzieć jak to było? Żałuj, żeś nie widziała... Był Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja. Karuzela... Posiadaliśmy na konie i do pierścieni — jazda! Ja miałem takie szczęście... co moment: partja! partja! Powiadam ci, grałem, jak z nut... niech się Modrzejewska schowa! Aż ten od karuzeli kręciciel za łeb się złapał... Powiada: „Dwadzieścia cztery lata już kręcę, na Kępie kręcę, na Ujazdowie — powiada — kręcę... a jeszcze takiej zgrabności nie widziałem“. Jak cię kocham, Józiu, nie łżę! Był Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja... Ten kolejkę, tamten kolejkę, każdy kolejkę... ja kolejkę... wszyscy kolejkę... Pamiętam, że na moim zegarku była czwarta...

— Ty, Józiu, kochanie, miotłę odstaw, a skosztuj jeszcze malinówki... anielski trunek...

— Tedy, to było pod krzakiem, w trawie... Budzę się... księżyc, panie, świeci, wielki jak patelnia; słyszę, muzyka różnie, tańcują... powiadam ci. Budzę się, wstaje Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja — w tym nadchodzi jeszcze Marcin, Stanisław i ten gruby Kuba z Dunaju, sąsiad... Ano — gadu, gadu... ten kolejkę, ten kolejkę... osiem kolejek... Ochota wzięła — poszliśmy tańcować...

— Tylko Józiu, kochanie, nie warjuj. Znam swój honor i byle z kim nie tańcowałem. Kompanja była porządną — możesz się jutro grubego Kuby spytać... Trochę mnie zmorzyło i już dalej nic a nic nie pamiętam... Coś mi się przypomina, jakby krzaki.. jakby Wisła, jakby coś ciężkiego do łodzi nieśli... Może mnie, nie zakładam się, ale pewnie nie kogo, tylko mnie, bo pamiętam, jakby mnie coś kołysało a po gębie chłodzące przechodziło, jakby mnie kto dobrą brzytwą golił... Potem przemawiałem się z kimś... potem coś mi się majaczyło, jakbym niby komuś dał w łeb... potem jakby niby stójkowy, nie, zdaje się dwuch stójkowych — jakby niby cyrkuł... i Kuba mnie tu przywiózł w dorożce, do bramy zadzwonił, drzwi mi pokazał i powiada: „Teraz sam idź, bo ja się twojej żony boję.“ Widzisz, Józiu, on się ciebie boi, choć taki gruby chłop!

— Ty, Józiu, kochanie, nie urągaj, miotłę odstaw... Zgrzeszyłem, w piersi się oto biję: moja wina, grzeszny jestem... Kto z nas sprawiedliwy?... Boże miłosierny, kto sprawiedliwy?... To ci zaś, Józiu, kochanie, przyrzekam, że jeżeli mnie drugi raz pokusa weźmie niby według Kępy... to pojedziemy oboje... Będzie Ignacy, Józef, Michał, Antoni — no i my...

Próby komunistyczne w dawnej Polsce.

Wiadomą jest rzeczą, że wszystkie sekty heretyckie, jakie podnosiły się w kościele rzymsko-katolickim, a więc włoscy i francuscy waldensi, bracia apostolscy, flamandzcy begardzi, angielscy lollardzi, husyci i Bracia czescy, pod osłoną religijną podnosili radykalne żądania reformy społecznej, mianowicie głosili zniesienie własności prywatnej, a żądanie wspólności dóbr, za co też, bardziej niż za swą wiarę, ogłaszani byli za heretyków i bezwzględnie tępieni mieczem i ogniem przez nieubłaganych papieży i cesarzów. Najdonioślej sztandar komunistyczny rozwinęli w wieku XVI. niemieccy anabaptyści czyli nowochrzczeńcy.

Masy rękodzielnicze i robotnicze z fabryk sukna i kopalń srebra rozniosły po całych Niemczech hasło własności wspólnej, występując tak przeciw panom świeckim jak dostojnikom kościelnym i to nie tylko rzymskim ale i protestanckim. Jako zaś oznakę zewnętrzną swych dążności przybrały postulat chrztu dorosłych. Sekta anabaptystyczna zaprotestowała przeciwko temu, aby przez chrzest dzieci już niemowlęta, nie rozumiejące zasad wiary i nie mające żadnej woli, z góry zapisywano do jakiejś społeczności; żądała ona, aby każdy wtedy dopiero przyjmował chrzest, kiedy na tyle będzie dorosły, aby mógł zrozumieć zasady swej wiary. To na pozór czysto religijne hasło, którego wyznawcy, rekrutujący się z biedaków samych, mieli jako program swój społeczny zniesienie własności prywatnej, spotkało się z stra-

sznem prześladowaniem rządów i kościołów. Wszystkich, przyznających się do sekty nowochrzczeńców, katowano i palono na stosie, na który oni szli bez protestu, poświęceniem swem stwierdzając głębokie przywiązanie do swych zasad.

Wieść o tych prześladowanych głosicielach prawdziwej miłości bliźniego, opartej na słowach Chrystusa i Pisma św. rozeszła się po całym świecie, budząc dla męczenników współczucie a zarazem jednając zwolenników ich zasadom.

Wiedziano o nich dokładnie i w Polsce, gdzie w tych właśnie latach (po r. 1530) krzewiło się odszczepieństwo od kościoła rzymsko-katolickiego, a umysły wykształceńsze i szlachetniejsze odrzucały hierarchję i ceremonje rzymskie, pragnąc oprzeć swe życie tylko na zasadach czystej etyki chrześćjańskiej, nakazujących bezwzględną miłość bliźniego. Odezwały się więc w Polsce sympatje ku nowochrzczeńcom, męczonym za to tylko, że w życie wprowadzić chcieli to, co Chrystus nauczał i czego pierwsi chrześćjanie się trzymali. Zwłaszcza między mieszczaństwem wywierały wpływ idee nowochrzczeńców. Nieznani z nazwiska zwolennicy tych haseł wypuszczali w obieg jedno za drugiem pisemko ulotne, w którem propagowali zasadę równości stanów i wspólności dóbr. Pisma te wywoływały żywe dyskusje, których ślady znajdujemy w ówczesnych drukach, same jednak nie doszły do naszych czasów, gdyż zapalczywie tępiła ją ręka obrońców Rzymu.

Wtedy zwłaszcza bliżej zainteresowali się polacy postulatami nowochrzczeńców, gdy garstka tychże, uszedłszy mściwej ręki prześladowców, dostała się na Spiż, a stąd do Polski, gdzie rozpierzchła się po różnych stronach, a inna znów gromada, liczebnie silniejsza osiedliła się kilkanaście mil od Krakowa, w sąsiednich Morawach. Ta to grupa, nazwana Braćmi morawskimi, stała się przedmiotem uwielbienia dla wielu polskich różnowierców, pragnących przebudować ustrój społeczny na podstawach litery pisma św. Co raz wstępował tam któryś z polaków, wracając ze studjów zagranicznych, i umyślnie też wybierał się niejeden na Morawy, aby przypatrzeć się, a czasem i dłuższą chwilę spędzić wśród tych biednych rękodzielników, żyjących w gminie komunistycznej, składających każdy grosz do wspólnej kasy, pracujących wspólnie i wspólnie się żywiących, wychowujących dzieci wzorowo i po chrześćjańsku na przyszłych doskonałych obywateli swej gminy. Ich poświęcenie, prostota i surowość obyczajów, pracowitość, spokój imponowały polskim przybyszom, budząc w nich chęć stworzenia podobnego życia w swej ojczyźnie.

Wszyscy ci sympatycy Braci morawskich utworzyli w Polsce najskrajniejszą z ówczesnych sekt religijnych, znaną pod nazwą arjan; pod względem dogmatycznym główną ich cechą było odrzucenie Trójcy św., a wiara w jednego jedynego Boga, pod względem zaś społecznym jak najdalszy radykalizm, podsycany przez ideje napotkane w gminie morawskich komunistów. Idee te szerzyli u siebie w domu przedewszystkiem ci, którzy ich urzeczywistnieniu na Morawach się przypatrzyli.

I tak z wybitniejszych a znanych nam postaci pierwszym agitatorem anabaptyzmu a więc komunizmu wraz z jago symbolem zewnętrznym chrztem dorosłych był Piotr z Goniędza, zwany Giczkiem. Zwiedziwszy braci morawskich w powrocie ze studjów włoskich dał się porwać ten Podlasianiu z rodu ich urządzeniom i cały swój talent namiętny poświęcił ich propagandzie. Zaraz po powrocie do kraju wziął udział w kalwińskim synodzie w Seceminie w r. 1556, gdzie malował zebranym życie w komunie i napadał gorąco na państwo, wykonywujące prawo miecza wobec poddanych. W osobnej książce „De primatu" rozwijał swoje idee socjalne, w innej zaś „O ponurzaniu krystjańskiem" wystąpił za wprowadzeniem w Polsce chrztu dorosłych, tego widomego znaku radykalizmu społecznego na ówczas. Oczywiście, że Piotr jako wyznawca takich poglądów został natychmiast ze zboru kalwińskiego wyrzucony, a poszedł za nim jeden z najwybitniejszych polskich teologów protestanckich i polemistów Grzegorz Paweł, zagorzały wróg państwa i urzędników, przeciw którym kilkakroć ostro pisał.

Drugim wybitnym gościem polskim w gminie morawskiej był wracający tamtędy z Szwajcarji Marcin Czechowic, najznakomitsza głowa między arjaństwem polskiem i bodaj czy nie najtęższy stylista polski wieku XIII., człowiek ogromnej wiedzy. W swych dziełach rozwijał on zasady moralności anabaptystów, wykluczając każdego z prawdziwej gromadki chrystjańskiej, ktoby wojnę pochwalał, urząd przyjmował, albo państwo za instytucję boską uważał.

Na dłuższy czas zamieszkał u braci morawskich radny miasta Wilna uczony Łukasz Mundius. Rozmiłowawszy się w ich życiu po powrocie do Polski nalegał on, aby w zborach arjańskich też same reguły stosować, jakich się morawianie trzymają. Za jego też wpływem wybrali arjanie polscy deputację z pomiędzy siebie, która udała się w r. 1569 na Morawy, jakby jakaś komisja, aby zbadać tam tejże urządzenia wyczerpująco i orzec, czy się nadają do wprowadzenia ich w ojczyźnie.

Wyjechali więc na Morawy szlacheccy ministrowie Filipowski, Jerzy Szoman i kilku innych. Przypatrzyli się urządzeniom i większość uznała je za dobre i zupełnie z pismem zgodne. Pewne szczegóły nie podobały się niektórym, wszystkich za to zraziły ważne różnice w rzeczach wiary (morawscy anabaptyści uznawali Trójcę św.). To też po powrocie delegatów, kiedy złożyli swoje sprawozdanie, rozgorzała obszerna dyskusja w kraju. Dawnych zwolenników komunizmu poparł jeden z delegatów, Szoman, wydając o wspólności dóbr osobne pismo, które niestety nas nie doszło. Są liczne ślady, że ideę komunistyczną polecało wiele broszur i książek, zwłaszcza sporo rzeczy w tym duchu drukowano na Litwie i między innymi donosi wójt wileński Rotundus pod datą 13 września 1567 r. Hozjuszowi, że czytał w Grodnie drukowane książki polskie, zwalczające urząd, głoszące komunizm i zrównanie stanów; o takich książkach wspominają też kalwini wileńscy w liście do kalwinów w Brześciu, wszystko to jednak zdołali z kretesem wytępić przeciwnicy. Za to natrafiamy dziś jeszcze na stare druki i rękopisy, też ze skrajnego obozu pochodzące, lecz sprzeciwiające się komunizmowi, odradzające wprowadzania go w Polsce. Taki np. traktat rękopiśmienny, zachowany w bibljotece w Lejdzie, przedrukował Rocznik Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu w 1887 r.

Autor trahtatu jest sam arjaninem i zajmuje się pilnie kwestją komunizmu, aby się należycie poinformować o urządzeniach braci morawskich, rozmawiał wiele z ich wysłannikami w Krakowie bawiącymi w r. 1569, jakoteż z polskimi deputatami po ich powrocie z Moraw. Dowiedział się więc, że sposób życia jest tam następujący:

„W każdym mieście albo wsi, wedle wielości osób i przestrzeństwa miejsca, mają domy jeden, dwa albo kilka, w których pospołu mieszkają, mężczyźni osobno, białogłowy też osobno w gmachach robiąc, a łoża, gdzie legają tylko płótnem między sobą zaprzesłaniali albo zacienili. Mają winnice, ogrody, role, majętności, jako i inni ludzie na świecie, pieniądze i skarb niemały, w tem tylko różnica od ludzi innych, iż tam nie szafuje żaden własnego zarobku, jednego, którego oni obiorą do tego, ani władnie żaden tym, kto tam co przyniesie do nich z sobą, tylko ci, którym ten urząd zlecą". Ci urzędnicy, zwani senjorami, rządzą wszystkiem. „Ci, co starszejsi co rozkazą, kędy kogo, tak uboższego jako bogatszego, który między nimi mieszka, obrócą albo poślą, choć do posług, choć do roboty, to czyni każdy z wielką pokorą i posłuszeństwem, a próżnującego żadnego nie chowają, ale każdy robi robotę sobie naznaczoną, jeśli nie rzemiosło, których się uczą między sobą, do którego kogo obrócą (nie jakieby sobie obierał), albo w młynie albo na roli, albo na winnicy robi, tedy albo młóci albo drwa rąbie, jeśli kto mocniejszy albo do innych posług obracają".

To pracowite i karne życie ludności rękodzielniczej nie mogło zanadto zachwycić arjan polskich, mimo całego przejęcia się duchem ewangielicznym będącym szlachcicami, wyrosłymi w swobodzie, a przyzwyczajonymi więcej do życia politycznego i umysłowego niż do robót ręcznych. To też niektórym z polaków nie podobało się, że morawscy pracownicy „jakoteż i nasze młodzieńce, godne w nauce i w językach do cep obrócili, gdy do nich przyszli i do siekiery". Nie podobała się polskiej szlachcie ta zbytna karność komunistów, gdzie starszyzna rządzi ostro, a bezwzględnie, wszyscy jej zaś ulegle słuchać muszą. Zaczęli też dopatrywać się ciemniejszych stron ustroju komunistycznego na Morawach: raziło ich zbijanie pieniędzy w komunie, zbytnie odcięcie się od reszty świata („co robią, tylko sami żywią z tego, a obcemu od ich społeczności ani ubogiemu ani bogatemu nic nie dadzą), folgowanie swoim przyjemnościom i wygody starszyny, a uciskanie pracami i

kłopotami młodszych. „Z tych to robotników czynią prawie narzędzia, nie dopuszczając ich do oświaty. Wzajemnie sobie nie dowierzają, do pewnych spraw niektórych tylko wtajemniczą, „które już na jakiś gradus postawili, jako i Franciszkanie, Bernadyni i inni mnisi w rzymskiej sekcie czynią. Nad naszą bracią, gdy u nich mieszkali kilka dni, sprawę z nimi mając, wszędy przystawy by nad tatarskim posłem mieli".

Dość że autor naszego traktaku nie godzi się na taki sposób życia, jaki prowadzą komuniści, owszem, woli, by każdy miał swoją własność i na niej pracował w miłości bliźniego.

Takie samo zdanie o ustroju komunistycznym podzielał ogół szlachty, skłaniającej się ku wierze arjańskiej. Pragnęli oni stosowania w praktyce zasad pisma św., nie uznawali różnicy stanów, obywatele ziemscy łagodzili poddaństwo chłopskie a niektórzy (np. Samuel Przypkowski) uwolnili chłopów na zawsze od pańszczyzny i wyposażali ziemią, rozdawali majętności swoje ubogim (Niemojowski, Brzeziński) — ale gminy komunistycznej nie chcieli nikomu narzucać. Tylko gromadka znalazła się takich, którzy utrzymali się wiernie przy swoim ideale wspólnej własności. Byli to zw. „Rakowianie".

Właśnie bowiem wówczas zakładał magnat Siemieński miasteczko Raków w lasach sandomierskich, w okolicy pięknej, pełnej łąk, kwiecia i strumieni; wnęt ściągnęli tu nękani arjanie z różnych stron, aby sobie wspólną gminę chrystjańską stworzyć. Nadeszła najpierw grupa krakowska z Grzegorzem Pawłem, Szomanem, Siekierzyńskim, Albinusem Iwanowickim, za nią najradykalniejsi i najmędrsi, Kujawianie, Marcin Czechowic, Jan Niemojewski, który złożył urząd sędziego ziemskiego i majątek rozdał, i spora gromada szlachty zamożnej, Brzezińskich, Bielowskich, Siemianowskich, wreszcie nadciągła gromada z Litwy pod wodzą rajcy Łukasza Mandiusza i ministra Jakóba z Kalinówki. Wszyscy zgodnie przyjęli za uprawnienie do wstępu do gminy, ponowny chrzest, a właściwie ponurzenie w wodzie, skąd też ich nurkami nazwano, a potem uchwalili zasady organizacji gminnej na wspólnym wiecu.

Główną było: „Nie dbać o ozdoby ciała, nie mieć urzędów ani godności, nawet duchownych, gdyż się to sprzeciwia doskonałości i równości chrześćjańskiej, zaprowadzić spólność majątku". Gmina ta rakowska rozwijała się znakomicie. Każdy jej uczestnik oddawał wszystko, co posiadał, na własność wspólną, prócz tego członkowie jej pracowali gorliwie w różnych rzemiosłach, a cały wolny czas spędzali na rozprawach religijnych i etyczno-społecznych. Wykształceńsi, a tych było wielu, rozwinęli potężną działalność literacką, pisząc moc dzieł, które w własnych drukarniach wybijali. Znakomita szkoła kształciła w zasadach gminy młode pokolenie. Raków przez długie lata był ogniskiem najwyższej, choć jednostronnej, kultury polskiej i stanowił przynętę dla arjan, prześladowanych w całej Europie. Gmina ta komunistyczna dotrwała do r. 1638, w którym to roku reakcja katolicka wymogła zniesienie jej i zniszczenie.

Wzorem Rakowa organizowały się gminy komunistyczne w Lublinie i Bełzycach koło Lublina, lecz upadły po krótkiem, jakkolwiek chlubnem istnieniu.

Gminy komunistyczne, które w warunkach przychylniejszych wśrod warstw rękodzielniczych po Niemczech i Morawach z trudem tylko się utrzymywały, nie miały oczywiście podstawy do rozwoju w stronach polskich, gdzie do komunizmu rzuciła się garść szlachty, nie przystosowanej do takiej formy organizacyjnej, a skłaniającej się ku niej jedynie z powodu wskazówek Pisma św. i przejęcia się hasłem biblijnej miłości bliźniego. Toteż zarysowane powyżej próby nie mogły ani wywrzeć głębszego wpływu ani same ugruntować się należycie, skoro tylko przeminęła pierwsza fala nastroju religijnego a do wyznawców arjaństwa zabrała się energicznie reakcja katolicka, oparta na jezuitach i władzy rządowej. Nieudolne te jednak i z góry na niepowodzenie skazane kroki gromadki polskiej, pragnącej oprzeć swe życie na najpiękniejszych hasłach etyki chrześćjańskiej, zasługują na pamięć i wyrwanie z zapomnienia, w które je usiłowali pogrążyć nienawistni wrogowie, zataić pragnący przed światem, że i Polska miała w swych dziejach wyznawców radykalnej reformy społecznej, głosicieli zniesienia własności prywatnej.

Stanisław K.

Rozmaitości

Jak w Anglji dbają o robotników. Anglja rozpoczęta rok 1909, uzbrojona w dwa nowe prawa, charakteryzujące znakomicie nowe prądy socjalne. Obywatel angielski staje się odtąd na obu końcach swej wędrówki doczesnej przedmiotem specjalnej troski i opieki ze strony państwa. Starość zabezpieczona zostaje przez odpowiednią pensję, młodość zaś otrzymuje obronę przed niebezpieczeństwami fizycznemi i moralnemi, przed cierpieniami i niedostatkiem.

Pensje starcom, którzy ukończyli 70 lat, płacone były po raz pierwszy w sam dzień Nowego Roku. Dzienniki przepełnione są opisami scen wzruszających, jakie się rozgrywały przy odbieraniu pensji tych przez setki tysięcy starców i staruszek w urzędach pocztowych po wsiach i miasteczkach. Zgłosiło się ogółem w dniu tym po pensję 700 000 osób, przyznano je jednak tylko 500 000; decyzja co do pozostałych zapaść ma później.

Ustawa pensyjna dla starców ulegnie niewątpliwie w najbliższej przyszłości poważnym zmianom, praktyka bowiem pierwszego już roku stwierdziła, że niektóre z ograniczeń jej są niesprawiedliwe. Tak np. ustawa zastrzega, że prawo do pensji posiadają osoby w odpowiednim wieku, o ile są obywatelami Anglji conajmniej od lat 20 i tyleż lat w Anglji zamieszkują. Ograniczenie to doprowadziło np. w roku bieżącym do takiej anomalji, że wypłaty pensji starczej odmówiono staruszce 70-letniej, która nigdy w życiu nie opuszczała Anglji, dlatego tylko, że przez wyjście zamąż za niemca, utraciła poddaństwo angielskie.

Mimo jednak niewątpliwych braków, ustawa o pensjach starczych jest jednym z najdonioślejszych kroków, jaki kiedykolwiek zdziałano w Anglji w kierunku reform socjalnych. To też pierwszy dzień zastosowania jej obchodzony był w wielu miejscowościach, jak święto narodowe. Przed urzędami pocztowymi, które wypłacały pensje, grały orkiestry wojskowe. Wieczorem palono ognie, podejmowano ucztą pensjonorzy, urządzano pochody i t. p.

Jeżeli sama ustawa przyjęta została wszędzie z wielkiem uznaniem, jako bezprzykładny dotąd w dziejach świata cywilizowanego dowód troski ze strony państwa o tych, którzy na usługach jego spędzili długi szereg lat dziesiątków, to imponować już wprost musi doskonała organizacja państwowa, która umożliwiła wzorowe wykonanie ustawy w pierwszym już roku zastosowania jej. Nie utworzono żadnych nowych godności i instytucji, nie utrudniono otrzymania pensji żadnemi formalnościami biurokratycznemi. Zgłoszenia o pensji rozpatrzone zostały i rozstrzygnięte bez apelacji w ciągu kilku dni; nierozstrzygnięto ostatecznie niewielkiej tylko ilości takich, co do których zachodziły pewne wątpliwości. W wigilję Nowego Roku każdy z pensjonarzy miał już w ręku książeczkę czekową, według której wypłaconą będzie miał pensję w ciągu roku. Tak świetne rezultaty osiągnięte być mogły tylko dzięki temu szerokiemu samorządowi miejscowemu, jakim szczyci się Anglja, oraz dzięki brakowi biurokratyzmu, co sprawia, że każdy obywatel jest sługą państwa, każdy zaś urzędnik przedewszystkiem jest obywatelem.

* * *

Jak szybko można czytać? Podczas czytania zachodzą bardzo skomplikowane procesy fizjologiczne i psychologiczne, które zostały wyjaśnione dokładnemi doświadczeniami i bogatą literaturą w ostatnich latach. Przy czytaniu musi wpadać w oko nadzwyczajna szybkość, z którą wprawny czytelnik przebiega linję po linji. W jednej minucie można wygodnie przeczytać 500, a nawet 800 słów, czyli 60 wierszy średniej długości. Przytem wypada na pojedyńczą literę zaledwie czas 0,03 sekundy, a przy bardzo szybkiem czytaniu 0.02 sekundy. Oczywistą rzeczą jest, że tak mała cząstka czasu nie może wystarczyć na dokładne rozpoznanie kształtu każdej litery. Nie chodzi więc przy szybkiem czytaniu o dokładne widzenie, tylko częściowo o zgadywanie lub rozpoznawanie liter po bardzo prostych oznakach. Aby przejść litery z takim pośpiechem, oczy nasze nie poruszają się po wierszu z jednakową szybkością, ale niejako skokami, przedzielonymi pauzami. Skoki i pauzy

następują po sobie na przemian; pauzy jednak są o wiele większe, niż skoki. Im powolniej się czyta, tem dłuższe są owe przerwy. Przy zwykłem czytaniu są dwadzieścia razy dłuższe, niż skoki; przy powolnem, starannem czytaniu korekty, sto razy dłuższe. Obliczono, że w czasie jednej setnej sekundy obejmuje się wzrokiem kilka słów, a nawet w jednej pięćsetnej sekundy można dobrze rozpoznać wyraz, złożony z siedmiu liter. Przytem, oczywiście, ważną rolę odgrywa forma, w jakiej wyraz jest przedstawiony.

* * *

Symfonja walki klasowej. Kompozytor belgijski Duquesnes skomponował dzieło symfoniczne, w którem przedstawia za pomocą muzyki epizod walki między kapitałem a pracą. Symfonja ta, p. t. „Strejk", odegrana została w brukselskim „Maison du Peuple" przez orkiestrę robotniczą, złożoną z 70 osób. W wspaniałej tej kompozycji przesuwają się, wywołane wymowną muzyką przed oczyma duszy naszej obrazy: zgromadzenia ludowego, wkroczenia wojska, starcia. Największe wrażenie jednak wywierają finale, wyrażające pewność zdobycia świata, w jakiejś radosnej, z wszystkich motywów złożonej „międzynarodówce".

* * *

1000-letni jubileusz pisma. Żadne z czasopism europejskich nie może się poszczycić takim jubileuszem, jaki obchodziła w roku ubiegłym urzędowa gazeta chińska King-Tun, założona w r. 908 po narodzeniu Chrystusa. Pierwsze jej roczniki, kreślone tuszem na pergaminie, zachowały się do dziś dnia w stanie pierwotnym. Komplety zawierają wszystkie rozporządzenia rządowe, wyszłe w ciągu tych lat tysiąca. Już w owych czasach w Chinach oświata stała mniej więcej na tym samym poziomie, co dzisiaj i pismo King-Tun było bardzo rozpowszechnione. Jubileusz obchodzono uroczyście, brali w nim udział przedstawiciele rządu i ciała dyplomatycznego.

* * *

Ile kosztuje balon. Miljony, zebrane w ciągu kilku tygodni dla odbudowania balonu hr. Zeppelina, świadczą o żywem zainteresowaniu aeronautyką. Wiek XIX był wiekiem pary, wiek XX będzie stuleciem dziecka i balonów.

Ile też kosztuje budowa takiej maszyny napowietrznej? Moglibyśmy się łatwo dowiedzieć o tem w chwili międzynarodowego wyścigu o nagrodę Gordona Benetta. Najmniejszy balonik o pojemności 150 metrów kubicznych gazu kosztuje 2000 mk. Stosownie do wielkości, oraz gatunku jedwabnej powłoki, ceny wzrastają. „Ballons captifs", wzbijające się w górę do wysokości 250 metrów, można już mieć w cenie 12 tysięcy marek. Lecz balony na uwięzi, mieszczące 30 osób o pojemności 6000 metrów kubicznych i wysokości wzlotu 5000 metrów, kosztują do 60 tysięcy marek. Istnieje taryfa wzlotów, obliczana tak ściśle jak dorożkarska taksa. Za podróż w wehikule o pojemności 600 metrów kubicznych, płaci się 250 marek. Miejsce w omnibusie, zawierającym 2200 metrów kubicznych gazu i pomieścić mogącym 30 osób, kosztuje 600 marek. Takie są ceny balonów, używanych do wycieczek, balony, w których dokonywane są wzloty aeronautów kosztują od 600 tysięcy marek do kilku miljonów.

* * *

Kara śmierci w Ameryce. Wzbudzające zgrozę szczegóły o sposobie elektrycznego tracenia zbrodniarzy w Ameryce, podaje w jednym z ostatnich numerów „Umschau" dr. Jerzy Buschan. Tracenie za pomocą elektryczności, czyli tak zw. „elektrodukcja" — jak je obecnie nazywają — wprowadzono w Ameryce przed przeszło 10-ciu laty. W r. 1888 wydano pierwszą odpowiednią ustawę w stanie nowojorskim. Pierwszym, którego w ten sposób stracono, był morderca Wiliam Kemmler. System elektrodukcji okazał się tak dobry, że niebawem poszły za tym przykładem inne stany: Ohio (1886), Massachusetts (1898), New Jersey (1907) i Wirginja (1907 r.). W samym stanie nowojorskim wykonano w tym czasie przeszło 100 straceń za pomocą elektryczności. Urządzenie składa się z dużej dynamomaszyny, wytwarzającej prąd zmienny o sile 2000 wolt, z „krzesła śmiertelnego" (death chair) z poręczą do oparcia głowy, wreszcie z bandaży, służących do przymocowania ciała skazańca i z elekrodów. Przed każdą elektrodukcją inżynier, kierujący jej przebiegiem, stwierdza, czy aparat funkcjonuje należycie. Następnie sadza się skazańca na krześle, głowę, tułów, ręce i nogi przymocowuje się szerokiemi opaskami, jedną zwilżoną dobrze elektrodę przykłada się do głowy, drugą do nogi. Opowiadania o goleniu głowy są — jak twierdzi dr. Buschan — fantazją. Fantazją jest również pogłoska, jakoby ciało skazańca płonęło lub jakoby znosił straszne męczarnie. W chwili, gdy lekarz obecny przy egzekucji zauważy, że w płucach skazańca znajduje się najmniejsza ilość powietrza, daje znak, a maszynę elektryczną włącza się do aparatu. Chwilę tę obiera się z następujących powodów: Gdy prąd przebiegnie przez ciało skazańca, popada ono w stan kurczów, które obejmują także mięśnie strun głosowych: Gdy po przerwaniu prądu mięśnie się rozluźnią, otwierają się także struny głosowe, resztka powietrza z płuc uchodzi, przyczem odzywa się jakby głębokie westchnienie, mogące sprawiać na obecnym wrażenie, że skazaniec jeszcze żyje.

W chwili puszczenia prądu całem ciałem wstrząsa skurcz mięśniewy. Wspomniane wyżej opaski służą do tego, aby skurcz ten nie był tak widoczny dla obecnych. W razie zmniejszania siły prądu, zmniejsza się także skurcz; po przerwaniu prądu, mięśnie wracają do spokoju. Jeden z najlepszych badaczów elektrodukcji, Spitzka, miał zawsze wrażenie, że śmierć musi następować natychmiast i bez żadnego bólu. Jednocześnie z puszczeniem prądu ustaje obieg krwi i oddychanie, świadomość zanika w tej samej chwili, a przedłużone użycie prądu ma tylko ten cel, aby dawało gwarancję, że żadna z życiowych funkcji nie może już powrócić.

Z literatury i sztuki

Nr. 1 (na styczeń) **„Przewodnika zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Nieco z anatomji i fizjologji serca (3 ryc.). — Powstanie bicia serca podczas stanu zapalnego worka sercowego (2 ryc.). — Źródło duchowo czynnych promieni (5 ryc.). — Djetetyczne wychowanie, według dra Kelloga. — Jak się zachować w porze obecnej? — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

* * *

Stanisław Lack, znany literat krakowski, zmarł w Wiedniu w nocy z 19 na 20 stycznia w 33 roku życia.

Stanisław Lack rozpoczął pracę literacką w „Życiu" pod redakcją St. Przybyszewskiego i odrazu zwrócił na siebie uwagę swym niezwykłym stylem. Jako krytyk literacki i artystyczny odznaczał się Lack głębokością spostrzeżeń i odczucia, wyrażał jednak swe myśli w formie zawiłej, poplątanej, niezrozumiałej dla szerszego ogółu. Z czasem styl jego zaczął nabierać więcej jasności. Po upadku „Życia" pisywał w „Krytyce". Wydał też kilka broszur z dziedziny sztuki. Cenione są jego studja o Wyspiańskim. Nazwisko Lacka związane jest z historją „Młodej Polski".

Lack należał do charakterystycznych postaci krakowskich. Wątłego zdrowia z natury, w ostatnich czasach coraz ciężej chorował. Gruźlica podkopywała jego organizm. Nie pomogły wyjazdy do Włoch, ani dłuższy pobyt w Zakopanem. Wracając z San-Remo zmarł w Wiedniu.

Był to szlachetny idealista, który pozostawi po sobie w szerokiem gronie tych, co go znali, szczery żal i piękne wspomnienie.

Zwłoki jego zostały przewiezione do Krakowa.

„Naprzód".

* * *

Zgon polskiego uczonego. Dnia 20 stycznia umarł we Wrocławiu profesor dr. Władysław Nehring. Stworzył wiele dzieł i prac z dziedziny językoznawstwa słowiańskiego. Był także już rektorem uniwersytetu wrocławskiego, co jak na polaka jest wielką rzadkością w zaborze pruskim.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 7. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 lutego 1909.

Rudjard Kipling.

Jak powstała skóra nosorożca.

Przed dawnymi, bardzo dawnymi laty na bezludnej, pustej wyspie na wybrzeżu morza czerwonego żył pers, którego kapelusz mienił się w słońcu blaskiem więcej niż wschodnim. I pers ten żył nad morzem czerwonem, nie posiadając nic, prócz kapelusza i noża i piecyka do gotowania — piecyka, do jakiego nigdy się nie wolno zbliżać. Pewnego dnia pers ów wziął mąki i wody i rodzynków i śliw i cukru i innych podobnych rzeczy i zrobił sobie piernik na dwie stopy długi, a na trzy szeroki. Był to istotnie przysmak nadzwyczajny (kto wie, czy nie było w nim nawet jakich czarów!) Pers położył go na piecu, bo jemu wolno było zbliżać się do pieca i piekł piernik dopóty, aż się stał bronzowy i rozkosznie pachniał. Lecz w chwili, gdy pers zabierał się właśnie do skosztowania piernika, z głębi bezludnej i pustej wyspy nadbiegł nagle nosorożec, z rogiem na nosie i małemi, świńskiemi oczkami, nie mający przytem żadnego wychowania. W owych czasach skóra doskonale na nim leżała. Nie dostrzegłbyś na niej najmniejszego fałdu. Jednem słowem nosorożec ten wyglądał tak samo, jak jego przodek z arki Noego, tylko był oczywiście znacznie większy. I tak samo jak wówczas nie miał żadnego wychowania, tak go nie ma obecnie i nigdy go już chyba nie nabędzie.

Zbliżywszy się tedy do piecyka, nosorożec warknął: hau! a pers przerażony, rzucił piernik i wydrapał się na sam wierzchołek palmy, nie mając na siebie nic, prócz kapelusza, który w słońcu mienił się jeszcze ciągle blaskiem więcej niż wschodnim. Nosorożec tymczasem przewrócił piecyk nosem, że piernik stoczył się na piasek, a zwierz pochwycił przysmak na róg nosa i połknął go; poczem wymachując ogonem, odszedł w głąb rozpaczliwie bezludnej i pustej wyspy, graniczącej z wyspą Sokotorą i pogórzem Równika.

Wówczas pers zsunął się z palmy, napowrót ustawił piecyk i zadeklamował wierszyk, którego nigdy nie słyszałeś i dlatego postaram ci się go powtórzyć. Brzmiał on, jak następuje:

Kto raz persowi piernik skradł;
Nie będzie już łakoci jadł;
Ale wyć będzie i żałować,
Że się nie umiał pohamować.

I zapowiedź ta zawierała więcej prawdy, niż się obecnie możesz domyślać!

W pięć tygodni później, gorący prąd wody przypłynął do morza czerwonego i stało się tak gorąco, że mieszkańcy pozdejmowali z siebie ubrania. Pers zdjął z głowy kapelusz; zaś nosorożec ściągnął z siebie skórę i przerzuciwszy ją przez ramię, ruszył na brzeg morza, by się wykąpać.

W owych czasach skóra nosorożca zapinała się na trzy guziki i wyglądała jak płaszcz gumowy. Przyszedłszy na brzeg morza, ani słówkiem nie spomniał o pierniku, bo go przecież zjadł doszczętnie; zresztą nie miał on nigdy wychowania i nie ma go obecnie i chyba go już nigdy nie będzie. Skoczył tedy prosto do wody i zaczął parskać i bryzgać na wsze strony. Skórę zostawił był na wybrzeżu.

W tejże chwili nadbiegł pers, zobaczył skórę i zaśmiał się po dwakroć, że twarz rozszerzyła się mu od ucha do ucha. Następnie obtańczył skórę trzy razy dokoła i zatarł ręce. Poczem ruszył do swej siedziby i po same brzegi napełnił kapelusz okruszynami z piernika; bo pers nie jadał nic innego prócz piernika, a nigdy nie wymiatał okruszyn. Z temi okruszynami wrócił nad morze, chwycił skórę nosorożca i nakruszył i napruszył, i w garść zbierał i powcierał w nią tyle okruszyn starych, twardych, suchych i tyle rodzynków spalonych, zasuszonych, ile się tylko dało. Uczyniwszy to, napowrót wdrapał się na palmę i czekał, aż nosorożec wyjdzie z kąpieli i włoży na siebie skórę.

Tak się też stało. Nosorożec niebawem wyszedł z wody, ubrał się w skórę i zapiął ją pod brzuchem na trzy guziki. W tej chwili jednak zaczęto go coś kłuć i gryść i łaskotać tak samo, jakby ciebie łaskotały okruszyny, rozsypane na pościeli w twem łóżeczku. Więc nosorożec począł się drapać i skrobać, lecz to powiększało tylko jego świerzbienie; rzucił się tedy na piasek i tarzał i tarzał, a okruszyny tymczasem coraz głębiej się wcierały i kłuły go coraz mocniej. Wówczas pobiegł pod palmę i zaczął o jej pień trzeć i trzeć świerzbiącą skórę tak mocno i tak długo, że skóra na grzbiecie zbiegła mu się w potężny fałd, a taki sam fałd utworzył się pod brzuchem, gdzie były guziki (które skutkiem długiego tarcia odpadły) a kilka fałdów powstało też na nogach. Nosorożec wpadł w gniew okropny, lecz okruszyny nic sobie z tego nie robiły. Siedziały wewnątrz i gryzły i kłuły i łaskotały. Więc nosorożec poszedł ostatecznie do domu, strasznie zły i rozdrapany; a od tego dnia wszystkie nosorożce mają na skórze wielkie fałdy i bardzo łatwo wpadają w gniew, a wszystko skutkiem tych dręczących okruszyn.

Pers po odejściu nosorożca zsunął się z drzewa, mając na głowie kapelusz, który w słońcu ciągle się jeszcze mienił blaskiem więcej niż wschodnim, zapakował swój piecyk i ruszył w świat w kierunku Orotawa, Amygdali i łąk Amantariva.

Praca.

„Praca jest źródłem wszelkiego bogactwa“. Znane i utarte to zdanie, któremu nikt dzisiaj nie przeczy, a wszyscy uznają za prawdę. I rzeczywiście praca jest źródłem wszelkich bogactw świata, więcej nawet, ona jest twórczynią wszystkich istniejących wartości, podstawą każdego społeczeństwa ludzkiego. Ale tak samo prawdą jest, że praca jest źródłem bogactw dla innych, dla tych, którzy jak rok długi nie przyłożą ręki do najmniejszej nawet pożytecznej roboty, pędząc swój żywot w zbytku i dostatku. Ci jednak, którzy dzień po dniu i rok po roku zapracowują się od wczesnego ranka do późnego wieczora, którzy nie mają jednej chwili spoczynku i całe swe życie spędzają na uciążliwej pracy, zabijającej ich siły fizyczne i duchowe, ci są tylko biedakami i pozostają nimi przez całe swe życie, dopóki śmierć łaskawa nie uwolni ich od nędzy i cierpień. Dla tych praca nie jest źródłem bogactwa; nie opłaca ona

ich znoju krwawego, nie stwarza dla nich bogactw ani zbytku, nie pozwala im zakosztować nic z tego, co na świecie piękne i wspaniałe, a daje im tylko możność pędzenia nędznego żywota w ciasnem i wilgotnem mieszkaniu, przy niedostatecznej strawie, wśród trosk i zgryzot daje im choroby i śmierć przedwczesną, jako jedyną nagrodę za całe życie, spędzone w trudzie i znoju, przy ciężkiej i zabójczej pracy.

Praca jest źródłem wszelkiego bogactwa; i rzecywiście ona umożliwia życie człowieka i stwarza wszystko to, co dla utrzymania życia jest potrzebnem. Ona jest zatem tym pierwszorzędnym czynnikiem, bez którego życie człowieka nie mogłoby istnieć. Wyobraźmy sobie, w jaki sposób ukształtowałoby się życie, gdyby naraz zamarła wszelka praca; gdyby nie było nikogo, ktoby z łona ziemi wydzierał węgle, gdyby naraz odmówili pracy rzeźnicy i piekarze, gdyby stanęły przędzalnie i tkalnie, gdyby nie było szewców, krawców, murarzy itd. Niedźwiedzi, których skórami nasi przodkowie się odziewali, dziś już bardzo mało, a ogólna wędrówka na południe, celem schronienia się przed zimnem i mrozem byłaby dziś niemożliwą, gdyż kraje te nie byłyby wstanie dostarczyć tak wielkiej masy środków spożywczych. Wprost nie można sobie wyobrazić, jakie skutki pociągłoby za sobą takie ogólne zaprzestanie pracy. Bez pracy robotników, którzy bez przerwy tworzą potrzebne wartości i materjały surowe przerabiają na środki spożywcze, nie mogłoby ani na chwilę istnieć społeczeństwo ludzkie.

Jeżeli tedy praca jest nietylko źródłem wszelkiego bogactwa, lecz również pierwszym warunkiem istnienia społeczeństwa ludzkiego, to ci, w których znalazła ona swój wyraz, którzy są ucieleśnieniem tej pracy, robotnicy i robotnice są najpotrzebniejszymi członkami tej ogromnej rodziny, która zwie się społeczeństwem. Robotnicy powinni też w tem społeczeństwie, które pracy ich zawdzięcza swoje istnienie, być najbardziej szanowani i kochani, powinni być otaczani dostatkiem i wszelkiemi rozkoszami, któreby podniosiły ich twórczą chęć do pracy i ich siłę roboczą zrobiły jaknajwydajniejszą. Tymczasem jednak widzimy, że jest wręcz przeciwne; że tych najbardziej pożytecznych członków rodziny traktuje się jak najgorzej. Spogląda się na nich z góry, jak na coś znacznie niższego i gorszego, mając dla nich jedynie szyderstwo, obelgi i barbarzyńskie często obchodzenie się. A tam nawet, gdzie uznaje się doniosłość i znaczenie klasy robotniczej, traktuje ją się jako pewnego rodzaju konieczne zło. Robotnicy są wszędzie źle wynagradzani, muszą też wskutek tego źle się odżywiać, mieszkać w nędznych lepiankach lub norach wielkomiejskich, muszą odmawiać sobie korzystania i używania wszystkich zdobyczy dzisiejszej kultury i wogóle być bardzo zadowolonymi, jeżeli nie przyjdzie im głodować lub marznąć od zimna. A dzieci robotnicze? Już w zaraniu ich życia grozi im śmierć lub choroby wskutek niehygjenicznych warunków, w których się wychowują, a następnie bezbarwna, bez radości i uśmiechów młodość w fabryce wśród maszyn, lub straszniejsza jeszcze praca domowa. Całe życie familijne robotnika zatrute jest wieczną troską o chleb, a bardzo często zostaje wprost zburzone, gdyż i żona dla uniknięcia nędzy musi iść do fabryki i dopiero po całodziennej pracy może zająć się trudami gospodarstwa domowego. Zupełne zaniedbanie rozwoju sił fizycznych, obojętność dla wszelkich rozrywek duchowych, kłótnie i spory w rodzinie, zdziczenie, występki i pijaństwo stają się w takich warunkach jedynymi towarzyszami życia ludzi, którzy w zupełności poświęcili się pracy. Bez jednego jasnego promyka słońca i radości mijają lata całe tych, którzy pracą swą stwarzają bogactwo, rozkosze i zbytki dla innych.

Tak więc praca jest źródłem wszelkiego bogactwa — dla innych. Dla tych, którzy rzeczywiście pracują, jest jedynie źródłem nędzy, rozpaczy i głodu. A teraz jedno pytanie: Czy tak być musi? Czy stan taki, że inni spożywają owoce pracy, a dla tych, co pracowali nic nie pozostaje, uwarunkowany jest jakimiś naturalnemi czy społecznemi prawami?

Nie, i miljon razy nie. Tysiące i miljony tych, którzy pojęli i zrozumieli krzywdę swą i niesprawiedliwość takiego ustroju społecznego i ramię przy ramieniu złączyli się w zawodowych i politycznych organizacjach, odpowiedziało już na to pytanie i podjęło walkę z systemem, który opiera się na wyzysku człowieka przez człowieka, na rabunku owoców pracy innego. Stan taki nie musi trwać wiecznie. Jest on produktem rozwoju stosunków społecznych i od klasy robotniczej zależy, by rozwój ten tak pokierować, ażeby praca naprawdę stała się źródłem bogactwa i szczęścia nie innych, lecz tych, którzy naprawdę pracują. W rękach robotników samych spoczywa ich los i cała ich przyszłość. Jeżeli walka o zmianę tego ustroju ograniczy się do usiłowań jednostek lub drobnych grup robotniczych, to wszechpotężna pięść kapitalizmu związdży walczących, a kapitał dalej święcić będzie swoje tryumfy. Gdy jednak do walki tej staną wszyscy, cała klasa robotnicza i przypuszczą szturm do tej twierdzy wyzysku i niesprawiedliwości społecznej, natenczas krok za krokiem będą posuwać się naprzód, zdobywając jednę pozycję za drugą, aż wreszcie dojdą do upragnionego celu, że praca stanie się źródłem ich bogactwa i ich szczęścia.

Początek na tej drodze już dawno zrobiony. Setki tysięcy i miljony tych białych niewolników przemysłu stanęło dziś w wspólnych szeregach organizacyjnych, by walczyć o swe prawa, o swą godność ludzką. I trzeba przyznać, że od czasu, kiedy klasa robotnicza rozpoczęła walkę, dużo już zdobyto. Tysięcy, setki tysięcy i miljony jest jednak jeszcze tych, którzy jęczą w jarzmie kapitalizmu, a nie chcą stanąć w szeregach walczących swoich współkolegów. A walka klasy robotniczej prawdziwie skuteczną stanie się wtedy dopiero, gdy i ci nieświadomi dziś zbudzą się i chwycą za oręż, wstępując do swych związków i organizacji.

Nie pomogą skargi, ni żale, nie pomogą przekleństwa ni groźby, nie pomoże nikt, jeżeli sami robotnicy sobie pomóc nie zechcą. Wszyscy muszą współdziałać w tej walce o wyswobodzenie wszystkich, o wyswobodzenie pracy. Tylko w organizacji leży siła i potęga, leży przyszłość klasy robotniczej.

Praca stanie się źródłem wszelkiego bogactwa i szczęścia wtedy dopiero, gdy robotnicy sami nią owładną i skierują na właściwe tory. Dopomożcie do wyzwolenia pracy, gdyż w ten sposób wyzwolicie siebie.

Trzęsienia ziemi w Polsce.

Trzęsienia ziemi w Polsce zdarzają się bardzo rzadko i nigdy na szczęście nie pociągają za sobą następstw poważniejszych.

W ostatnich czasach, przed laty kilkudziesięciu, zauważono kilka lekkich trzęsień lokalnych na Podkarpaciu, które pozostawiły po sobie na powierzchni ziemi niewielkie wydęcia, zwane przez lud „djablemi kotłami".

Wszakże w ubiegłych wiekach Polska nieraz była widownią groźnych trzęsień ziemi. Szczegóły o nich podaje „Kronika" Długosza. Tak „w roku 1201 dnia 5 maja, trzęsienie ziemi w Polsce i krajach przyległych, przypadłe w samo południe i w następnych dniach po kilkakroć powtarzające się, wiele powywracało wież, domów i ogrodów, co, iż w polskim kraju rzadko się wydarza, wzięte było za dziw wielki, a niektórych przesądną napełniło trwogą".

O wiele jednak poważniejsza była katastrofa, która się zdarzyła dnia 5 czerwca 1443 r. Długosz pisze, iż to trzęsienie ziemi „w Polsce, Węgrzech, Czechach i krajach sąsiednich było gwałtowne, że wieże i gmachy murowane upadały na ziemię i najtrwalsze waliły się budowy; rzeki powystępowały ze swoich łożysk i wylawszy na obie strony ukazały dna suche, a wody wszystko zamuliły; ludzie nagłym strachem zdjęci, od zmysłów i rozumu odchodzili. Runęło od tego trzęsienia ziemi w nocy sklepienie św. Katarzyny przy klasztorze braci pustelniczych św. Augustyna na Kazimierzu (w Krakowie) i wiele innych rozwaliło się budynków. Mocniejsze jednak było trzęsienie ziemi na Węgrzech, gdzie się nawet zamki niektóre powywracały."

W Polsce powszechne było mniemanie, że od tego trzęsienia ziemia stała się mniej urodzajną i przez wiele lat potem oprócz kąkol, chwasty i pszenicę ze śmiecią rodziła.

Oprócz powyższych katastrof w Polsce, Długosz wspo-

mina jeszcze o trzęsieniach ziemi w latach: 1000, 1259, 1328 i 1348.

Również w roku 1786 Polska nawiedzona była przez trzęsienie ziemi.

Profesor Wacław Laska w artykule, zamieszczonym w czasopiśmie „Kosmos“ w roku 1908, oblicza, iż w okresie od roku 1000—1876 było ogółem 66 trzęsień ziemi w Polsce; te, które się wydarzyły w XIX wieku, nie miały groźniejszych następstw i zaliczyć je należy do niewielkich, ściśle miejscowych wstrząśnień, wywołanych przez osadzanie się skorupy ziemi.

EDMUND LIBAŃSKI.

Człowiek i maszyna.

Jeśli uprzytomnimy sobie typ życia i pracy, sposoby produkowania dóbr powszechnego zapotrzebowania współczesnych cywilizowanych społeczeństw — jeśli w umyśle naszym odtworzy się obraz potężnej pracy setek i tysięcy żelaznych organizmów — przedziwnie pomysłowych maszyn, oswabadzających żywą istotę ludzką od ciężkiej pracy fizycznej, to mimowoli zarysuje się w umyśle obraz o dziwnym rozdźwięku.

Oto przez wiek XIX i XX kroczy w spaniałym tryumfie postęp techniki; gromadzą się dzieła genjuszów, badaczy i uczonych, szukających praw przyrody i mnożą usiłowania do ziszczenia najśmielszych marzeń, rozbrzmiewają hymny pochwalne i zachwyty dla cudów nowoczesnej techniki, nauczono się przesyłać słowa i myśli na setki i tysiące mil w sposób dziwnie zagadkowy (telegraf bez drutu) — promienie Röntgena dają nam widzenie rzeczy niewidzialnych — mikroskop odsłania światy niedostrzegalne bakterji, rozszerzyło się poznanie świata i życia ludzkiego; mnożą się potrzeby i środki zaspakajania tych potrzeb tak materjalnych jak i duchowych, a jednak idzie przez świat cały, głuchy, coraz bardziej rosnący pomruk niezadowolenia... szalona tęsknota do zmiany, do reformy... do innego lepszego bytowania.

Oto życie ludzkie, życie setek tysięcy, życie miljonów wcisnął wiek XX w jarzmo maszyn.

Maszyna, oswabadzająca od ciężkiej parcy, przykuła człowieka jak niewolnika, nie dla siebie wprawdzie, ale dla rozkwitu ustroju kapitalistycznego, pełni życia niewielu — a nędzy miljonów.

Maszyna — zysk z pracy maszyn i z armji niewolników maszyn — wziął górę nad wartością istoty ludzkiej.

I jeśli kilka wieków temu — przy wprowadzeniu maszyn na widownię produkcji — buntowały się tłumy robocze, nie rozróżniając, że to nie maszyna winna ich niedoli, lecz posiadacz tejże i uświęcony, chroniony przez państwo współczesne, system wyzysku pracy ludzkiej, to dziś możemy zauważyć ciekawe zjawisko, jak właśnie te „górne dziesięć tysięcy“, sfery estetyzujące, odwracające się od „nizin życia“, głoszą, iż maszyny zbrutalizowały życie ludzkie, niwecząc harmonję istnienia — zgodne patrjarchalne pożycie wyzyskujących i wyzyskiwanych.

Bo maszyna w pełni znaczenia tego pojęcia — ten „zespół sztuczny“, wykonujący pracę, którą przedtem wykonywać musiała istota żyjąca — jest wcieleniem rewolucji ducha — znakiem buntu istoty myślącej i czującej...

Mówi wprost niejako: Człowiecze, widzisz, czoło twe zlewał pot rzęsisty od ranka do nocy, utrudziły się ramiona twe i ległeś wieczorem jak kamień na posłaniu, a dzień każdy twój był dniem „woła roboczego“, pędzącego życie w zaprzęgu z krótkiemi przerwami przy żłobie lub na barłogu... gdzież było twoje człowieczeństwo? Ja to spełniam bez znużenia — bez wypoczynku, bez myślenia, bez czucia — gdyś mi się jednak zaprzedał, nie jesteś człowiekiem, lecz bezmyślną maszyną...

I tę mowę słyszą, rozumieją „niewolnicy maszyn“ i dusza ludzka podnosi bunt! — nietylko idzie tu o chleb, ale o światło, o człowieczeństwo.

Człowiek pragnie pracę swą kochać — jeśli każe mu być maszyną bezmyślną — nienawidzi jej i nienawidzi instynktownie siłę, która go zmusza do stłumienia swego człowieczeństwa.

I dlatego każdy czujący i widzący, jak ta siła, ten potworny bożek Mamona, „współczesny kapitalizm“ depce w człowieku to, co jest najczystsze i najświętsze w duszy, co rozwijać się winno i panować — pożądanie prawdy, dobra, piękna, sprawiedliwości; jak deprawuje i pana i niewolnika — z radością wita bunt duszy ludzkiej — każdy głos protestu, każdy objaw świadomości krzywdy i niesprawiedliwości — i bliską mu jest każda myśl i dążenie do „zaprowadzenia nowego ładu“.

Ten świat maszyn, przekształcający współczesne życie materjalne, przekształca i życie duchowe ludzkości, ma on swoją potężną wartość materjalną i siłę nieraz brutalną na usługach „kapitalizmu“, ma jednak i moc duchową, bo otwiera podwoje do nowych jaśniejszych dróg życia i wyprowadza na widownię dziejów olbrzymie zastępy dusz młodych, nieznużonych, zapatrzonych w cudowne słońce promiennej przyszłości.

A ideały palą się na to w duszach ludzkich, by wcielały się w oporną rzeczywistość!

I oto wre bój!

A kto nie jest maszyną bezmyślną — i nie bezdusznym wołem roboczym — i nie zdeptały go brutalne szyderstwa życia, idzie z nami pogodnie na ten bój z szczęsną piosnką: „Będziemy razem pracowali i wspólnym będzie pracy plon“.

Rozmaitości

Konsumcja tytoniu we Francji dochodzi obecnie do ogromnych rozmiarów. Jak statystyka urzędowa wykazuje, w roku ubiegłym wydali francuzi na tytoń 480 miljonów franków. Czysty zysk państwa wynosi okrągło 370 miljonów. Każdy francuz puścił więc z dymem przeciętnie 13 franków. Na ogół cygara cieszą się we Francji wcale znacznym pokupem, w r. 1907 wypalono ich 596 miljonów sztuk, podczas gdy roczna konsumcja papierosów dochodzi tylko 60 miljonów sztuk.

W Austrji dochód państwa z monopolu tytoniowego wynosi 243 miljonów koron i stanowi jedną z największych pozycji w dochodach budżetu. Loterja daje 30 miljonów, monopol solny 47 miljonów i t. d.

* * *

10 000 000 na sobie. Podczas wielkiej uroczystości, którą miljonerzy amerykańscy w „Plara Hotel“ w Nowym Jorku urządzili, mrs. Guinness, żona jednego z nich, miała na sobie klejnotów za 10 000 000 koron. Wystąpiła ona jako żywy obraz Semiramidy, i według relacji pism amerykańskich, pozostawiła niezatarte wrażenie. Miała suknię złotą, usianą klejnotami, która przedstawiała największą wartość. Pozatem djadem oceniano na 500 000; perły, zdobiące szyję, na 800 000; brylanty, rubiny, szmaragdy zdobiące bransolety i t. d. na 200 000. Na to przedstawienie pewne panie nowojorskie użyczyły mrs. Guinness swych najcenniejszych klejnotów.

* * *

Dziennikarstwo japońskie. W jednym z czasopism specjalnych, poświęconych grafice, znajdujemy następujące szczegóły o druku dzienników japońskich.

Najpoczytniejszy dziennik „Osak Mainischi“ wychodzi w liczbie 220 000 egzemplarzy; podobną liczbę biją wychodzące w Tokio „Hoschi Shimbun“ (Nowiny). Inne dzienniki wychodzą w liczbie od 50 000 do 180 000 egzemplarzy. Druk, układ, a zwłaszcza nagłówki wzorowane są ściśle na angielskich. We wszystkich prawie dziennikach japońskich spotykamy liczne ilustracje i dodatki artystyczne; wspomniany powyżej dziennik „Hoschi“ daje zwykle całą stronę ilustracji, wykonanych barwnym drukiem. Układem treści zbliżone są dzienniki japońskie do europejskich; cała różnica polega tylko na tem, że podczas, kiedy te ostatnie już z natury samego przedmiotu zmuszone są przerywać

druk utworów beletrystycznych, powieści, nowel, opowiadań i t. d., dzienniki japońskie dzielą także na części druk aktualnych artykułów politycznych i społecznych, ażeby tem więcej „zainteresować" czytelnika i zjednać sobie jak największą liczbę stałych prenumeratorów. Druk pism japońskich jest niesłychanie mozolny i uciążliwy ze względu na niepodobieństwo zastosowania maszyn do składania. Powodem olbrzymia wprost liczba znaków, która podobnie jak w języku chińskim wynosi blisko 50 000, w tem około 28 000 koniecznych do codziennego użytku. Nasi drukarze nie mają nawet wyobrażenia, jakiej zręczności i wytrwałości wymaga zawód składacza japońskiego. Dziennik składa się w wielkiej sali; pod jej ścianami stoją regały z kasztami, a składacz biega od jednej do drugiej, chcąc odszukać potrzebny mu znak. Że po ukończeniu takiej pracy upada ze znużenia, to łatwo pojmie każdy, kto wyobrazi sobie chociażby w przybliżeniu, jak wiele uwagi, skupienia i nakładu energji fizycznej wymaga praca w tych warunkach.

* * *

Małżeństwa w Stanach Zjednoczonych. Statystyka stwierdza stałe zmniejszanie się liczby małżeństw i urodzeń w Stanach Zjednoczonych. Na 10 000 ludności zaledwie 93 osoby zawierają związki małżeńskie. Sytuację ratuje poniekąd emigracja z Europy, w przeciwnym bowiem razie krajowi groziłoby wyludnienie. Celibat staje się regułą wśród społeczeństwa amerykańskiego, zwłaszcza w klasie wykształconej. Życie amerykańskie jest tak skomplikowane i bije tak szybkiem tętnem, że coraz bardziej uciążliwem czyni wychowanie dzieci. Objaw ten budzi poważny niepokój w amerykanach, dbających o przyszłość kraju.

* * *

Bohater wobec lwów, tchórz wobec żony. Zabawną historję opowiada śpiewaczka francuska, Amelia de l' Enclos. Artystka podczas swej ostatniej gościny w Holandji występowała w teatrze Rozmaitości, w którym popisywał się także pogromca lwów ze swą niebezpieczną trupą.

Gdy skończył swoje przedstawienie i wyszedł z klatki, aby podziękować publiczności za oklaski, którymi go obdarzono, przyjęła go po odejściu ze sceny za kulisami jego połowica gradem zarzutów, wyrzutow i wymyślań, z których wynikało, że jest może dobrym pogromcą lwów, ale najniegodziwszym mężem na obu półkulach świata.

Besztany w ten sposób, przysłuchiwał się spokojnie temu potokowi słów i nie wychodził z równowagi. Gdy mu jednak tego było już za dużo, odważył się na zrobienie pokornej uwagi, iż to przecież nie uchodzi, aby jego żona wyprawiała mu taką scenę wobec całego towarzystwa.

Podrażniona tem jeszcze więcej, wpadła baba w ścieklość i przeszła do czynu. Pochwyciła z kąta miotłę i rzuciła się z nią na nieszczęśliwego męża.

Wtem stało się coś nadzwyczajnego. Jednym susem znalazł się pogromca lwów na scenie, otworzył drzwi do klatki, wskoczył do niej, zamknął czemprędzej drzwiczki za sobą i znajdował się w doskonałem schronisku wśród swoich przyjemnych zwierząt.

Żona jego spojrzała z tryumfem po obecnych i zawołała:

— Widzieliście państwo w życiu kiedykolwiek takiego tchórza?!

* * *

Więcej na wojnę, niż na oświatę wydają pieniędzy poszczególne państwa. W r. 1907 wynosiły wydatki państw europejskich ogółem 28 miljardów marek, na głowę ludności 70 marek, długi tych państw wynoszą 120 miljardów marek. Z wydatków państwowych pochłonęło oprocentowanie i umorzenie długów 21 proc., wydatki na armję i marynarkę 22 proc., na oświatę 6 proc.

Wydatki wszystkich państw na kuli ziemskiej wynoszą rocznie ogółem 40 miljardów marek, około 25 marek na głowę, długi zaś 160 miljardów marek.

Wydatki państwowe w stosunku do ludności najwyższe są w Australji (192 marek na głowę), następnie w Niemczech (179 marek na głowę), w W. Brytanji 100, Francji 79, Argentynji 77, Belgji 70, Szwajcarji 66, Austro-Węgrzech 60, Norwegji 56, Włoszech 49, najniższe w Chinach 0,9 mk. na głowę.

Napadnięty przez orła. Między Chalon a Fontaines, w pociągu pośpiesznym, dążącym na jasny brzeg Riviery, zdarzył się wielce oryginalny i ciekawy wypadek. Nadkonduktor pociągu, p. Lecourt, podczas drogi, gdy badał sygnały, ujrzał wielkiego ptaka, szybującego koło pociągu. Na raz ptak gwałtownem uderzeniem dzióba potężnego zdruzgotał szybę i dostał się do wnętrza wagonu. Wtedy Lecourt poznał, że jest to orzeł niezwykłej wielkości, bo przeszło 2 metry. W pierwszej chwili przestraszony orzeł uderzał wielkimi skrzydłami na prawo i na lewo, rozbijając wszystko, co napotkał na drodze. Nareszcie znalazł przedmiot, na którym pragnął wywrzeć swój gniew na skutek przymusowego więzienia. Ofiarą napadu stał się Lecourt, który na szczęście miał się na baczności. W chwili, gdy ptak rzucił się na niego, Lecourt zręcznym skokiem w bok uniknął napaści, tem samem ustrzegł się niebezpieczeństwa utraty oczów. Poczem zawrzała walka zacięta pomiędzy człowiekiem a orłem. Szybki bieg pociągu uniemożliwił wszelką pomoc. W końcu wszakże udało się p. Lecourt pokonać orła, którego po skrępowaniu dowiózł do stacji najbliższej

* * *

Trzęsienia ziemi w państwie rosyjskiem. Silniejsze trzęsienia ziemi w XIX wieku przechodziły granicę rosyjską, na szerokości 800 wiorstowej przestrzeni między Lwowem a Nowo-Czerkaskiem, z południo-zachodu na północno-wschód, przyczem objęta przez nie przestrzeń zwęża się pomiędzy Czernihowem a Kijowem do linji szerokości 250 w. Najsilniejszem było trzęsienie ziemi w r. 1802, które przedostało się poza tę linję, w kierunku Kiszyniów-Moskwa do rejonu centralnego. Siła trzęsienia ziemi jeszcze w Moskwie była dość znaczna, gdyż zawaliło się tam kilka domów, lecz po zawróceniu na północny wschód, osłabła do tego stopnia, że w Petersburgu tylko zachwiały się niektóre sprzęty w domach. Zaznaczyć należy, że jedyne podobne trzęsienie ziemi w r. 1238 miało taki sam charakter i kierunek.

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt II na luty. Treść: Część pierwsza: 1. (f) Czy się odradzamy. — 2. M. Markowska: Wigilje. Przyjdę... — 3. Dr. Wł. Gumplowicz: O pojęciu cywilizacji. — 4. Dr. Adolf Gross, poseł do rady państwa: W sprawie żydywskiej. — 5. A. Wrzesień: Poezja więzienna. — 6. Junius: Współcześni politycy polscy. II. Jan Stapiński. — 7. S. J.: Nadprowokator. — 8. Przegląd: I. Z prasy społeczno-politycznej. II. K. Este: Listy z Królestwa. III. Skiba: Ruch kobiecy. IV. Junius: Z trzech zaborów. — 9. Sprawozdania z nowości wydawniczych.

Część druga: 1. Leopold Staff: Odbicie w wodzie. Kiedy spotykam cię... Pszczoła. Skarb mój... Obudził mnie dziś rano... Duszy tęsknica... Poezje. — 2. Bolesław Wallek-Wallewski: Muzyka polska w analizie i syntezie literackiej. — 3. M. Sobeski: Przędziwo Arachny. — 4. Kaz. Rychłowski: Przekłady z nowszej poezji francuskiej. — 5. Wł. Orkan: Wesele Prometeusza. — 6. W. Feldman: „Współczesna literatura polska w oświetleniu krytyków i pseudokrytyków. — 7. St. Pieńkowski: „Matejko" Stan. Witkiewicza. — 8. Stanisław Lack. Wspomnienie. — 9. Bohdan Ł.: Listy ukraińskie. — 10. Przegląd: I. Dr. L. Z.: Dziesięciolecie „Przeglądu Filozoficznego". II. Maskaron: Życie artystyczne we Lwowie. III. J. Kleczyński: Życie artystyczne w Warszawie. IV. Masque: Teatr poznański. V. (x). Teatr krakowski. — 11. Sprawozdania: Tres: Nowe powieści.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 8. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 20 lutego 1909.

Szłapski.

— Jestem z pana zadowolony, panie Szłapski!

Dyrektor pulchny, różowy, radosny, mimo siwiejących wąsów i czupryny — wyświeżony kokieteryjnie i pachnący potężnie... klepał go łaskawie po ramieniu.

— Potrafię ocenić waszą dla mnie życzliwość.

Rzeczywiście była już mowa o przyjęciu człowieka lub przynajmniej panny do pisania na maszynie, ale Szłapski z Zejdlicem zawinęli się, przysiedli fałdów i robotę na czas wykończyli.

Nic tak ludzi nie zobowiązuje, jak ciepłe, serdeczne słowo, jak wytworzenie tej miłej atmosfery wzajemnej ufności i życzliwości. Kiedy się z nimi pogada po przyjacielsku o ich sprawach, troskach, strapieniach...

Dyrektor przysiadł nonszalancko na biurku, głowę oparł o krzesło Szłapskiego i wyciągnąwszy z zanadrza grube cygaro, podawał je z giestem zachęcającym.

— No, zapal pan, panie Szłapski, nie żenuj się pan.

Szłapski jednak zawahał się.

Obwąchał cygaro ze znawstwem, uśmiechnął się do niego lubieżnie i chciał je schować do kieszeni „na później“, ale dyrektor ośmielał go tonem, pełnym dobrotliwej wyrozumiałości.

— No, no, panie Szłapski...

Dobre cygaro zawsze wprawiało Szłapskiego w stan jakby ekstatyczny. Kiedy się zaciągnął wolnym dymem, oczy zaszły mu łzami rozrzewnienia. W błogim zachwyceniu podniósł na dyrektora wzrok, przepełniony niewysłowioną wdzięcznością, ale zarazem mignął tam jakby zły promień zawiści.

— Są jednak jeszcze ludzie szczęśliwi — myślał sobie — ludzie, którzy mogą palić takie cygara.

Dyrektor uszczypnął go figlarnie w policzek.

— Filut z pana! Lubisz pan dobre cygara!

Westchnął smutnie.

— Ba, ciężkie czasy...

— Wieleż pan u mnie zarabia?

— Siedemdziesiąt pięć rubli.

— Ależ to nędza! — zawołał dyrektor, zrywając się gwałtownym ruchem z biurka — ależ... tak istnieć!... No, nie!... Siedemdziesiąt pięć?! To Zejdlic ma więcej?

— Dziewięćdziesiąt...

— To pana musi nawet drażnić — mówił dyrektor ze współczuciem — musi pan tego... tak — dotykać jego miłość własną... jego ambicję... Taki smarkacz! Zejdlic jest smarkacz w porównaniu z panem, panie Szłapski!

— Cóż, panie dyrektorze...

— Pan jest pewnie w moim wieku?

— Pan dyrektor tak młodo wygląda.

— Pan ma dzieci?

— Całą kupę, panie dyrektorze.

— No, widzi pan, no ,widzi pan... Przytem pan jest już u mnie od lat przeszło dziesięciu.

— Od dwunastu.

— A tamten zaledwie od roku! No, nie; no, nie — wołał głęboko przejęty — to trzeba będzie wyrównać... To się wyrówna, panie Szłapski!

Paznogciem średniego palca kręcił szybko koło krótkich, zadartych do góry wąsików, jakby chciał na nich sprawę całą dla pamięci namotać.

— To się zrobi, upewniam pana — zakończył i wytoczył się z biura, jak kula, szybko, gładko i posuwiście.

Szłapski był w siódmem niebie. Nawiasem mówiąc oddawna koniec z końcem związać nie mógł. Dzieciska podrastały. Wprawdzie żona kalkulowała: nie pójdziesz raz drugi do kawiarni, i będzie można Wacka do szkoły oddać; nie pójdziesz raz drugi do kawiarni, i Julci nauczycielkę do domu wezmę, buty sprawię, kupię sobie okrycie na zimę, tobieby też przydał się jaki płaszcz porządniejszy...

Do kawiarni tedy wcale nie chodził, a Wacka do szkoły nie było za co oddać, Julka nauczycielki nie miała, ani butów... Ha, trudno...

Wszystko z tych oszczędności na kawiarni.

Dnia tego nie mógł wytrzymać. Radość go poprostu rozpierała, wstąpił do znanej knajpki na rogu.

— A, Szłapsio — dawno niewidziany!

Ktoś postawił mocną z kroplami, trzeba się było zrewanżować. Zmienił ostatnie trzy ruble. Nic to — pojutrze wypłata dwutygodniowa...

. . . . . ,

Pan się chyba omylił — mówi nieśmiało do kasjera który mu odliczył trzydzieści siedem rubli, kopiejek pięćdziesiąt.

— Warjat! — oburzył się tamten — kasjer się myli, uważasz pan.

Ze ściśniętem gardłem, z uczuciem przykrej goryczy w ustach wychodził z kasy. Na schodach spotkał dyrektora. Biegł on ku niemu, uśmiechnięty, radosny, życzliwy.

Objął go w ramiona serdecznie.

— No, zadowolony pan ze mnie, panie Szłapski?

— ?

— Zejdlicowi kazałem obciąć piętnaście rubli. Macie teraz pensje jednakowe.

Tadeusz Jaroszyński.

Z historji gilotyny.

Z okazji ostatnich egzekucji wykonanych we Francji, przypominają pisma paryskie w dłuższych artykułach historję powstania gilotyny. Zabrali też w tej sprawie głos i uczeni francuscy, a wywody ich zasługują na uwagę. Okazuje się z nich przedewszystkiem, że sławny wynalazek dr. Guilotin jest oparty na pomyśle stosowanym już w wiekach średnich, a nawet w czasach przedhistorycznych. W miejscowości Limè we Francji, odkryto w roku 1865 wśród innych zabytków epoki kamiennej, także ogromny nóż krzemienny, w którym archeologowie upatrują rodzaj mechanicznego odcinacza głów. Jak twierdzi Peigno-Delacourts, nóż ten kamienny obciążony mniejwięcej stoma kilogramami, zawieszano na linie i z jego pomocą łatwo odcinano głowy ułożonych poniżej ofiar. Pierwsze wiadomości historyczne o maszynerji w rodzaju gilotyny w Czechach, pochodzą z XIII i XIV wieku.

W kronice Jana d'Anthon z r. 1507 znajduje sie nawet dokładny opis przebiegu egzekucji. Graficznie przedstawił stracenie Tytusa Manliusa za pomocą gilotyny rysownik norymberski Jerzy Pencz. Delikwent klęczy między dwoma pniami drzewa, głowa jego jest umieszczona między dwiema deskami, na szyi skazańca opiera kat topór, lewą ręką przytrzymuje linę, na której wiszący blok wbije za chwilę topór w szyję skazańca. Takie samo stracenie przedstawia także inny miedzioryt Aldegreversa z r. 1552, jednak w innej formie. Włoską gilotynę, znaną w wiekach średnich pod nazwą „Mannaia", uwiecznił na rysunku włoch Bonasone. W starych dokumentach włoskich znajduje się wzmianki, że używano tej machiny już w XIII wieku; tracono tym sposobem jedynie szlachtę. Także Cenci Beatrix została stracona za pomocą machiny, która tylko w drobnych szczegółach różni się od gilotyny.

W Szkocji używano do wykonywania egzekucji machiny, przezwanej „panną". Główną jej częścią składową była wyostrzona siekiera, zawieszona na linie i obciążona. W ten sposób stracono w roku 1578 hrabiego Mortona, podobną egzekucję przedstawia też znany rysownik Callot w jednym ze swoich obrazków wojennych. O zgilotynowaniu księcia Montmorency w roku 1632 w Tuluzie, opowiada jeden ze współczesnych kronikarzy w następujących słowach: „Księcia wyprowadzono przez otwarte okno na szafot, ustawiony na podwórzu ratusza. Do stracenia użyto ostrego noża, umieszczonego między dwiema belkami. Gdy skazaniec oparł głowę na pniaku, spuszczono z góry ciężar, który natychmiast oddzielił głowę od tułowia".

Dr. Guilotin nie potrzebował więc wynajdywać swej machiny. Nie przypisuje on też sobie autorstwa wynalazku, we wniosku przedstawionym zgromadzeniu narodowemu w dniu 10 października 1789 roku powiada tylko, że proponuje wprowadzenie możliwie pewnej i szybkiej metody tracenia. Słowa, któremi podczas obrad polecił swój projekt: „W dnym momencie spadnie każda głowa, przyczem nie doznacie żadnego bólu" wywołały w sali obrad niezmierną wesołość i od razu zapewniły pomysłowi popularność: Słowa dr. Guilotina rozeszły się po całym kraju, budząc tak wielką barbarzyńską wesołość, że nawet organ urzędowy „Moniteur" uznał za stosowne zaprotestować przeciw naśmiewaniu się i wyszydzaniu nowej metody tracenia. „Jednym z najbardziej potępienia godnych zwyczajów jest radość ze straceń. Od miecza Karola Wielkiego, który nazywano „wesołym", aż do nazwiska „wdowy", jakiem określono aparat dr. Guilotin, daje się widzieć w naszym narodzie słabość ducha". Nad wnioskiem dr. Guilotina przeprowadzono obszerne narady i po wysłuchaniu sprawozdania dr. Antoniego Louisa o zaletach metody i aparatu, ogłoszono odpowiednią ustawę w dniu 20 marca 1791. Maszynerja otrzymała zrazu nazwę od dr. Louisa „petite Louisson" lub „Louisett". Poemat satyryczny o dr. Guilotin wprowadził nazwę gilotyny, która przyjęła się szybko. Guilotin bardzo nad tem ubolewał, co znalazło wyraz także w mowie pogrzebowej, wygłoszonej nad jego grobem w roku 1814.

„Nie mają gdzie głowy skłonić".

We większych środowiskach ludzkich, robotnik musi przeznaczać jedną trzecią część swojego zarobku na opłacenie czynszu za mieszkanie. I w tym wypadku — jak zresztą w wielu innych — występuje jaskrawo zbrodniczy wyzysk, karygodna niesprawiedliwość i brak ludzkiego uczucia u tych, którzy posiadają i rządzą.

Jeżeli chcemy znaleść przyczynę pijaństwa i moralnego upadku u biednych, to jedną z najgłówniejszych przyczyn jest brak ludzkiego pomieszkania dla robotnika, boć i gdzież dziś mieszkają po miastach robotnicy jak nie w suterynach wilgotnych i ciemnych, w chorobotwórczych ruderach.

Bezkarny wyzysk mieszkaniowy nie pozwala nawet jednej rodzinie takiej nory zamieszkać, bo chcąc sobie ulżyć, przyjmuje robotnik podnajemców. I oto nora, w której nie starczy powietrza dla dwojga osób, mieści w sobie ośm lub dziewięć osób. I nie dziw, że wśród takich warunków nic nie wiąże robotnika z ogniskiem domowem, że po pracy nie spieszy do domu, lecz wstępuje do knajpy, że pije, że zamiast odpoczynku po pracy, ktorego w mieszkaniu znaleść nie może, zatruwa organizm alkoholem.

Cały dzień wyczerpującej pracy czyni robotnika mało odpornym na pokusy niezdrowej rozrywki i pijaństwa, a gwar, brak spokoju i miejsca w mieszkaniu, popycha go do knajpy, gdzie wódką „zalewa robaka", gdzie chuczna częstokroć muzyka i pijacki animusz panuje nad troską istnienia.

Dzisiejsze mieszkania robotnicze, to przyczyny wielkiej śmiertelności i chorób, to przyczyny pijaństwa i prostytucji. Możnaby w tem miejscu przytoczyć groźne przykłady ze statystyki prostytucji; bo czyż można przypuszczać, że młoda dziewczyna po całodziennej, wyczerpującej pracy zechce siedzieć w smrodliwej izbie, obok płaczących dzieci, pijanego podnajemcy i t. p.? Do mieszkania nic ją nie ciągnie, a nędza, wyzierająca z każdego kąta, wrzask i zatęchłe powietrze wypychają ją na ulicę, gdzie zaczyna się jej droga ku moralnemu upadkowi.

Nie pomoże wcale budowanie dobroczynnych przytułków dla bezdomnych, alkoholików i prostytutek, bo dzieci ludu z powodu nędzy mieszkaniowej zmuszone są przebywać na ulicy lub w szynkowni, bo jedna izba robotnika służy za wspólne mieszkanie dla kilkorga obcych sobie osób, różnego wieku i płci.

Jakżeż obłudnie brzmią, wobec tej strasznej nędzy, nawoływania faryzeuszy do cnoty, jakie szyderstwo wypełza z ust wypasionych, w jedwabie i szkarłaty wystrojonych rzekomych nauczycieli cnót, gdy grzmiącym głosem potępiają i na dno piekła strącają nieszczęśliwych, których nędza zepchnęła na drogę upadku.

Niechaj ci odstąpią trochę chleba, który ich rozpiera, oddadzą złota, jedwabiów i szkarłatów na bawełniany przy odziewek dla nędzarzy. Niech bez pożytku stojące strojne i bogate salony przerobią na mieszkania dla nędzarzy, a odniesie to lepszy skutek, niż jak najpiękniej i najobłudniej wygłaszane kazania.

Jak wszędzie, tak i w walce z wyzyskiem mieszkaniowym odniosą zwycięstwo biedni tylko przez wspólne złączenie się, przez zorganizowanie i uświadomienie. Świadoma akcja zorganizowanych a wyzyskiwanych robotników zgniecie sytych leniuchów, którzy dziś silni i popierani przez ciemnotę i jej apostołów, na barki ludu zepchnęli straszne ciężary, którzy stali się przyczyną dziś panującej nędzy.

Środek przeciw gruźlicy.

Przed dwoma laty zajmowała się żywo prasa włoska nowym środkiem przeciwgnilnym (antisepticum) wynalezionym przez młodego samouka Nello Pignotti. W nadzwyczaj tani i prosty sposób można konserwować trupy. W żyły lub jamy ciała trupów wstrzyknięty przechodzi ów środek przez osmozę (przenikanie) we wszystkie tkanki i utrzymuje trupa lub poszczególne części ciała niezmienione przez przeciąg lat. Mimo wysoce naukowego znaczenia, jakie to antisepticum mieć mogło, gdyż umożliwiało konserwowanie preparatów nie zmieniając histologicznych własności tkanek, nie mógł Pignotti ani naukowego uznania dla niego wyrobić, ani swego wynalazku przemysłowo wyzyskać. Jako samoukowi bez studjów gimnazjalnych i uniwersyteckich stawały na drodze liczne przeszkody.

Nie zrażał się jednak, uprawiał dalej chemiczne studje i obecnie twierdzi, że posiada środek przeciw gruźlicy. Nie jestto serum lecznicze, lecz preparat chemiczny, który niszczy prątki Kocha (gruźlicze), nie wyrządzając organizmowi najmniejszej szkody. Przed rokiem począł Pignotti środek swój przeciwgruźliczy wstrzykiwać gruźliczym świnkom morskim. Podczas gdy zwierzęta kontrolne ginęły w zwykłym czasie, to jest w 40 do 50 dniach, pozostawły świnki leczone pre-

paratem Pigniottiego przy życiu. Przy sekcji znajdowano wyleczone ogniska gruźlicze. Nim się jednak odważył środek swój podawać ludziom, chciał się wprzód o nieszkodliwości przekonać. W tym celu wstrzyknął sobie samemu bardzo wysokie dawki, które mimoto żadnych objawów trujących nie wywołały. Służba instytutu anatomicznego rozgłosiła wynik sekcji przeprowadzonych na świnkach morskich, a już w krótkim czasie zgłosiło się kilku suchotników u Pignottiego z prośbą, by ich wziął w leczenie. Młody chemik odmówił, zwrócił się jednocześnie do lekarzy tamtejszego sanatorjum, by mu pozwolili w sanatorjum pod ich osobistym nadzorem środek swój u tych chorych stosować. Odmówili mu i dopiero później lekarz dr. Vella z Rzymu przedsięwziął wspólnie z Pignottim leczenie tych chorych.

Rozumie się, że rozchodziło się tu o najcięższe, wprost rozpaczliwe przypadki. Wzięto w leczenie suchotników w ostatnich okresach choroby — prawie wszyscy z gorączką i nocnymi potami i u wszystkich stwierdzono prątki gruźlicze w plwocinach. Leczenie ograniczało się wyłącznie na wstrzykiwaniu preparatu Pignottiego bez stosowania jakichkolwiek innych środków hygjenicznych. Chorzy ci byli bez wyjątku nędzarzami, dla których już końskie mięso było łakocią. Niektórzy z nich byli tygodniami całymi — a więc i przez czas leczenia — bezdomni, a prawie wszyscy na duszną atmosferę masowych noclegów skazani. Mimo tych nieprzychylnych warunków czuli się chorzy subjektywnie już po pierwszych wstrzyknięciach silniejszymi, oddechali lżej, nadzieja i chęć do życia wracały; przedmiotowo stwierdzono: miejscowe objawy w płucach, jakoteż rzężenia ustępowały, nacieki zmniejszyły się prawie do zaniku, prątki w plwocinach coraz rzadziej było można stwierdzić, a po dłuższem leczeniu wynik badania na prątki stawał się ujemnym. Wyniki te potwierdzają prowadzone przez dr. Vella historje chorób, jakoteż orzeczenia profesorów, którzy chorych tych przed rozpoczęsiem leczenia badali. Pignotti oświadcza gotowość, każdej chwili swych chorych przedstawić.

Środek jego, który w wysokich dawkach się wstrzykuje — niektórzy chorzy dostawali 900 wstrzyknęć po 4 do 7 cm^3 jednoprocentowego rozczynu — jest zupełnie nieszkodliwym. Nigdy nie zauważono jakichkolwiek powikłań ze strony nerek, okazuje się jedynie zwiększenie fosforanów. Część chorych reaguje natychmiast wysoką gorączką, u innych skutkiem wstrzykiwań podnosi się zwolna ciepłota. W gruczołach nie stwierdzono żadnych zmian. Wstrzykuje się w tkankę podskórną. Pignotti sądzi, że w przypadkach ostrych np. przy gruźliczem zapaleniu opon mózgowych możnaby wstrzykiwać wprost w żyły. Zwierzętom wstrzykano duże ilości w jamę brzuszną, mimoto nie zauważono innych zmian, jak te, które wprowadzenie odpowiedniej ilości płynu w krążenie z czysto mechanicznych względów wywołuje.

Pignotti jest synem kowala, chodził 3 lata do szkoły, następnie pracował u kowala. Już jako chłopak zajmował się sporządzaniem prochu strzelniczego, który sprzedawał myśliwym, a za osiągniętą ze sprzedaży kwotę kupował książki wchodzące w zakres nauk chemicznych i lekarskich. Brak przez „państwo uznanych" studjów i egzaminów utrudnia nadzwyczaj temu młodzieńcowi stanowisko. Jeśli wogóle nie dowierza się wynalazcom, cóż dopiero jemu, który nie posiadając ani studjów gimnazjalnych ani stopnia „doktora", ośmiela się rozwiązania jednego z największych problemów ludzkości próbować. Lekarze i profesorowie uniwersytetu, którzy przed leczeniem badali chorych, nie chcieli nawet wyniku leczenia stwierdzić! Pignotti starał się o to, by mógł na jakiejś klinice pod nadzorem zdolnych lekarzy swój środek wypróbować, a dopiero po wielu odmownych odpowiedziach z różnych stron, zdecydował się nareszcie profesor Taussig w szpitalu Santo Spirito na ten cel jedną salę odstąpić. Pignotti zamierza przepis swego środka podać do ogólnej wiadomości w chwili, gdy jego specyficzne działanie zostanie naukowo stwierdzonem. Sposób wyrabiania środka jest bardzo prosty i nadzwyczaj tani. Można się spodziewać, że przedstawiciele nauki dadzą wynalazcy możność do dalszych doświadczeń, gdyż osiągnięte przez niego wyniki są tego rodzaju, że nie można dłużej preparatu jego ignorować.

Rozmaitości

Reorganizacja egzaminów abiturjenckich. Rozporządzeniem, wydanem do prowincjalnych kolegjów szkolnych, przeprowadziła wyższa administracja szkolna reorganizację egzaminów dojrzałości przy wyższych zakładach naukowych. Najważniejsza zmiana regulaminu egzaminacyjnego odnosi się do tak zwanych kompensacji, czyli do wyrównania stopnia „niedostatecznie" w głównym przedmiocie przez „dobrze" w jakimkolwiek innym głównym przedmiocie. W miejsce dotychczasowych odnośnych przepisów, obowiązywać więc będzie następujący:

Egzamin uważać należy jako zdany, jeżeli ogólny jego wynik we wszystkich obowiązkowych przedmiotach zasługuje na stopień „dostatecznie" lub „zadowalająco". Komisja egzaminacyjna może jednak po dokładnem rozważeniu zadecydować, czy i o ile niedostateczna praca w jednym przedmiocie da się wyrównać pracą w jakimkolwiek innym przedmiocie.

Tym sposobem więc mogą celem wyrównania uwzględnione być także przedmioty poboczne lub nie obowiązujące. Co się tyczy świadectwa dojrzałości rozporządzono także, że wciągnięty do niego być może także stopień z nauk przyrodniczych, stwierdzony na podstawie prac klasowych, jeżeli kandydat naukę z działów przyrodniczych pobierał w wyższych klasach.

Reorganizacja regulaminu egzaminacyjnego obowiązywać będzie począwszy już od przyszłych egzaminów abiturjenckich na Wielkanoc.

* * *

Smierć pod lawiną śnieżną. W Tatrach znalazł śmierć jedyn z wybitniejszych talentów komedjopisarskich Mieczysław Karłowicz. Zamieszkiwał w Zakopanem. Często urządzał wycieczki w góry. Ostatnio wybrał się do Czarnego Stawu. Przestrzegano go, aby zaniechał wycieczki, ponieważ z Hali Gąsienicowej grozi usunięcie się potężnej lawiny śnieżnej. Mimo przestrogi poszedł. W drodze atoli został zasypany lawiną śniegu i znalazł śmierć. Mijał jeden dzień i drugi a muzyk nie wracał. Wówczas wysłano kilka oddziałów ludzi na poszukiwania. Zwłoki znaleziono wreszcie po blisko trzydniowych poszukiwaniach. Głowa leżała zwrócona kn dołowi, nogi z nartami zwrócone ku górze, ręce wyciągnięte przed głową, a cała twarz zabita śniegiem. Górale odkopawszy zwłoki, przenieśli je natychmiast do zarządu dóbr w Kuźnicach. Próby odratowania trwały do godziny 6 wieczorem. Zwłoki znajdowały się pod lawiną kilka dni. Przeniesiono je do domu matki w Zakopanem, stąd będą przewiezione do Warszawy, gdzie odbędzie się pogrzeb.

Jak się obecnie okazało, Karłowicz szedł ponad ścieżką idącą wzdłuż drogi z Hali Gąsienicowej ku Czarnemu Stawowi; nagle usunęła się z góry potężna, zbita lawina śniegu, licząca przeszło 60 metrów długości. Lawina ta, lecąca z wielką szybkością, porwała go z sobą tak że nie miał już czasu uciec. Lawina spadła wraz z nim na drogę, grzebiąc go pod sobą.

* * *

Walka z wilkami. Nadzwyczajnie surowa zima zmusza zwierzęta, zwłaszcza drapieżne, do opuszczania lasów i zbliżania się do mieszkań ludzkich, gdzie zawsze prędzej napotykają jakiś żer dla siebie. Takie napół zgłodniałe drapieżniki stają się postrachem całych okolic, jak to się dzieje obecnie na Węgrzech. Niejeden chłop, który rano wyszedł w pole, nie powrócił więcej, a tylko ogryzione kości świadczą o tem, jak straszną zginął on śmiercią. — Chłop z Bereczke, Jan Kandl, został napadnięty przez stado wilków na drodze, a zdążył uratować życie tylko dzięki temu, iż wdrapał się na wysokie drzewo. Przesiedział na niem 17 godzin, zanim chłopi z jego wsi pośpieszyli mu na pomoc, zaniepokojeni jego długą nieobecnością.

* * *

Podróż Roosevelta. Roosevelt, którego czynność kończy się 4 marca b. r. i który w tym dniu kończy 25-letnią działalność publiczną, wybiera się w podróż zagraniczną na 2 lata.

Pierwszy rok zamierza przepędzić w Afryce i razem z synem oddać się badaniom naukowym. Ekspedycja ta wyruszy 13 marca b. r. Następnie Roosevelt chce objeżdżać Europę i w niektórych miastach wygłosić na uniwersytetach wykłady.

* * *

Nagła utrata pamięci. W ubiegły piątek miała koncertować w Londynie utalentowana pjanistka rosyjska Łegińska. Koncert jej jednak nie odbył się, gdyż pjanistka znikła bez śladu. Wszczęto energiczne poszukiwania, umieszczono portrety pjanistki w gazetach londyńskich, ale bezskutecznie. W całym Londynie nie można było jej odnaleźć. Dopiero w niedzielę wieczorem jeden z przechodniów w Birmingham zatrzymał na ulicy osobę, która uderzająco była podobna do zaginionej pjanistki. Zawezwany mąż przybył do Birmingham i w kobiecie poznał swą żonę. Pjanistka, silna neurasteniczka, w ostatnich czasach pracowała bardzo wiele, co u niej sprowadziło powolny zanik pamięci. W jaki sposób dostała się do Birmingham, co tam robiła, co się z nią działo przez parę dni ostatnich, nie wie i nre może sobie przypomnieć.

* * *

Zemsta lokatorów. Jeden z budapeszteńskich kamieniczników-lichwiarzy podniósł swym lokatorom, których było ogółem 56 z uboższej klasy, czynsz tak, że zwyżka wynosiła prawie 40 procent. Dotknięci tem postępowaniem odwołali się do całej dzielnicy i zwołali zgromadzenie. Po zgromadzeniu tłum liczący przeszło 1000 osób rzucił się na kamienicę wyzyskiwacza i zdemolował najzupełniej całe urządzenie, zanim policja zdołała przeszkodzić. Cała prasa usprawiedliwia sprawców i domaga się położenia tamy lichwie mieszkaniowej.

* * *

Książęca zabawka. Niepoczytalny młokos, ks. Jerzy serbski, który tyle już przykrości wyrządził nietylko swemu ojcu Piotrowi, ale już kilkakrotnie na pośmiewisko wobec Europy wystawił Serbję, ciągle choruje na wielkiego wodza wojennego, który majaczy o krwawych bitwach i zwycięstwach. Młokos ten, zapewne pod wpływem lektury o surowości dyscypliny wojskowej w średnich wiekach i barbarzyńskich figlach carów groźnych ze swymi żołnierzami wpadł niedawno na zbrodniczy pomysł. Kazał on wyrąbać przyręblę na Dunaju w pobliżu twierdzy i 20 żołnierzom kąpać się w zimnej wodzie. Bojących się spychano przemocą do wody, a młodociany książę, ubrany ciepło, stał na brzegu i zanosił się od śmiechu.

Skutki tej zimowej kąpieli były dla biednych żołnierzy straszne. Wyciągnięto ich z wody na pół skostniałych. Żołnierze zachorowali. Jeden z nich, odważniejszy, wniósł skargę do przełożonych. Oczywiście, że Jerzemu nic się nie stanie. Półgłówek dalej będzie płatał figle.

* * *

Zastrzelenie żony z miłości. Straszny dramat rozegrał się w Paryżu, o którym sam sprawca doniósł policji. Niejaki Alfons Baudin, mechanik, zastrzelił swą żonę, kobietę 36-letnią, podając następujący powód swego czynu: Kobieta chorowała od kilku lat na astmę i kilkakrotnie prosiła męża, ady zadał jej śmierć dla wybawienia jej od cierpień. Baudin ostatecznie spełnił to żądanie, gdy lekarze uznali chorą za nieuleczalną. Od zeszłej jesieni stan chorej tak się pogorszył, że ciągle lamementowała i prosiła o śmierć. Zeszłej soboty nie mógł dłużej znieść tego widoku i zastrzelił żonę.

Sąsiedzi zeznali, że małżeństwo żyło zawsze w najlepszej zgodzie. Lekarze, pytani, czy ktoś ma prawo zabić chorego na jego prośby, odmawiają mu tego prawa, sądząc, że lekarze są w stanie różnymi środkami chwilowo ból uśmierzyć, ewentualnie sprowadzić lekką śmierć. W Paryżu są przekonani, że przysięgli uwolnią Baudina.

Na przezimowaniu. Z okolicy Pychnowa w Prusach Zachodnich donoszą: W czasie odlotu bocianów zeszłej jesieni jeden z nich pozostał na starych pieleszach, bo zbrakło mu sił do dalekiej podróży. Długi czas błąkał się „inwalid" po tutejszych nizinach. Gdy atoli ostra zima nadeszła, udał się na kwaterę do rzeźnika Filippsena w Tychnowie, który „wosiowi" chętnie udzielił schronienia. Bocian tak się oswoił, że pozwala się schwytać, a podczas ostatnich mrozów ulokował się w stajni, gdzie obrał sobie jednego z koni za serdecznego przyjaciela, z którym razem sypia, korzystając z ciepła jego ciała.

* * *

Zemsta za krowy na nieboszczyku. W węgierskiej gminie Isky, niedaleko od galicyjskiej granicy, zmarł w lecie pewien gospodarz-wdowiec. Pochowano go na cmentarzu obok dzwonnicy. Jakoś po jego śmierci, wybuchła we wsi zaraza, wskutek której zaczęło rogate bydło w gminie padać, tak, że w przeciągu czterech tygodni, prawie co druga chałupa miała stratę w bydle. Zwalono winę na nieboszczyka i urządzono go z grobu wykopać co i zrobiono — a wykopawszy go, wyjęto z trumny porąbano w kawałki i spalono. Po spaleniu zebrano popiół i pozostałe kości i złożono napowrót do trumny a trumnę włożono w grób i przysypano ziemią.

Z literatury i sztuki

Zgon komedjopisarza. W sobotę, dnia 13 lutego rano umarł w Warszawie Zygmunt Przybylski, autor „Wicka i Wacka".

* * *

Catulle Mendés. Charakterystyczną postać dzięki ślepemu wypadkowi stracił francuski świat literacki ze śmiercią Catulle Mendésa. Cechowało go nieco cyganerji, niezatartej, przechowanej z lat młodzieńczych, a równocześnie niezmordowany komercjalizm, wyrzucający na rynek księgarski co parę miesięcy jakiś tom — poezje, romanse, nowele, dramaty, teksty operowe, pisma krytyczne... Trwało to niemal pół wieku...

Być może, że i rozgłos jego nazwiska podtrzymywał się tym sposobem: dźwięk tegoż rozbrzmiewał na nowo, nim zamilkło echo poprzedniego występu Mendésa.

Raz zdobyta renoma nie ginęła w niepamięci... Ale oczywiście taka hiperprodukcja znacznie wpływała, a ujemnie, na jakość jego utworów. Łatwość wierszowania, łatwość pisania wogóle sprzyjała w tych warunkach wytworzeniu się płytkości. Ceniono w nim poetę, władającego formą i wszystkiemi subtelnościami języka, lecz w utworach jego brakło harmonji: obok patetycznego liryzmu, przebijała to trzeźwa pospolitość, to cynizm rażący. Miał on wogóle pewną skłonność do pornografji.

Najsłabszym działem w jego przeobfitej twórczości były jego utwory sceniczne.

W ostatnich latach walczył Catulle Mendès zażarcie z symbolistami, zwolennikami wolnego wiersza. Walka owa znalazła wyraz i w jego turnée odczytowej po Europie, przedsiębranej przed kilku laty (zawadził był wówczas i o Kraków). W odczycie, poświęconym nowszej twórczości poetyckiej we Francji, piętnował on heretyków, zrywających z tradycjonalną formą wiersza francuskiego. Równocześnie przywoził w swoim tłómoczku podróżnym zachwyty dla Wagnera. Brzmiało to nieco naiwnie poza granicami Francji, gdzie gienjusz Wagnera od dawna został uznanym, lecz Catulle Mendés chciał przypomnieć światu swoją zasługę, iż na gruncie francuskim pierwszy kopje o Wagnera kruszył, w czasie, gdy wymagało to pewnej odwagi, a nie snobizmu.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 9. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 27 lutego 1909.

Skąd się wzięli robotnicy czyli stajnia Ewy.

(Tłomaczone z hiszpańskiego).

Stary Korechola o kościstej twarzy z otwartą na owłosionej piersi koszulą zaczął opowiadać. Robotnicy folwarku otoczyli go kołem, i słuchając jego opowieści, rzucali łakome spojrzenia w stronę dymiącego kotła z rosołem. Czerwone, słońcem opalone twarze błyszczały w blaskach płomieni, które syczały na kominie, a z ciał tych ludzi, którzy cały dzień ciężko pracowali, wydobywała się ostra woń potu, która razem z wyziewami kuchennymi, tworzyła ciężką atmosferę.

Stary skarżył się na ból w kościach. Jak ciężko trzeba pracować na kawałek chleba!... Nic na to poradzić nie można, zawsze będą bogaci i biedni, a kto urodził się w biedzie, musi ją spokojnie znosić. Od swego dziadka dowiedział się, że Ewa pierwsza kobieta winną jest, że na ziemi jest bieda i nędza. Tak, te kobiety, czemu one nie są winne!

Oczy siedzących koło starego robotników pałały ciekawością. Kiedy stary to zauważył, zaczął co żywo opowiadać o psocie, jaką pierwsza kobieta biednym wyrządziła.

Kiedy pierwszą parę wypędzono z raju za nieposłuszeństwo Najwyższemu, musieli biedacy w pocie czoła na chleb pracować. Adamowi schodzał czas na uprawie roli, siał, orał, a Ewa łatała swoje podarte suknie uszyte z liści figowych. Tak schodził jeden rok za drugim, a z każdym przybywało jedno dziecko. Z czasem było ich poważna liczba, i dzieciaki z całą bezwzględnością dopominały się o chleb, tak, że biedny Adam nie wiedział co robić, żeby tę zgraję wyżywić.

Od czasu do czasu pokazywał się niebiański serafin, któremu w „górze“ polecono dowiedzieć się, co się dzieje na dole i musiał Panu zdawać z tego dokładne sprawozdanie.

„Halo mały“ zawołała Ewa i uśmiechnęła się najładniej jak umiała: „Czy przychodzisz wprost z góry? Co robi Pan? Jak będziesz z Nim mówił, powiedz Mu, że żałuję moje nieposłuszeństwo... Ach, jak dobrze było nam w raju!... Powiedz mu jeszcze, że musimy się męczyć pracą i mamy jedyne życzynie zobaczyć Pana, żeby się przekonać, czy ma do nas jeszcze urazę“.

„Powiem mu wszystko“ odpowiedział serafin, poruszył skrzydłami i zniknął w obłokach.

Takie rozmowy odbywały się często, ale życzenie Ewy zawsze zostawało nie spełnione. Pan był zawsze niewidzialny, a według pogłosek, bardzo był zajęty sprawowaniem rządu w swojem ogromnem państwie.

Pewnego dnia stanął przed Ewą niebiański posłaniec: „Słuchaj Ewo: Jeżeli dzisiaj wieczorem pogoda dopisze, Pan przyjdzie do was. Wczoraj wieczorem rozmawiał z archaniołem Michałem i zapytał go: Co porabiają grzesznicy? Ewa była oszołomiona nadzwyczajnym zaszczytem, jaki miał jej przypaść w udziale. Z ogromnym krzykiem zawołała Adama, który w pobliżu pracował. Zaczęło się robienie porządków w domu, jak przed wielkiem świętem, wybieliła izby, pomyła krzesła, stoły, nawlekła świeżą pościel, zamiotła w sieni i przed sienią. Nareszcie zaczęła się ubierać, włożyła najpiękniejsze suknie, a Adam musiał uszyć sobie ubranie z zupełnie świeżych liści.

Już Ewa pełna wesela, chciała odpocząć przed przybyciem gościa, gdy nagle piekielny krzyk przeszkodził jej pięknym zamiarom. Zgraja dwudziestu, trzydziestu, a może i więcej dzieci wpadła na podwórze. Nie umyte, nie czesane, brudne, w obdartych ubraniach, cisnęły się do matki.

„Co poczne z tą gromadą“ zawołała Ewa z rozpaczą. „Pan mnie zgromi, że jestem złą i niedbałą matką. Gdyby mężczyźni rozumieli, co to znaczy taką gromadę dzieci wychować!“

Zaczęła rozważać, co zrobić i po chwili wybrała troje najtłuściejszych i najładniejszych dzieci, umyła je, uczesała, ubrała z wielką starannością. Resztę, mimo strasznego krzyku wepchnęła do stajni i zamknęła dobrze drzwi.

Był już najwyższy czas. Śnieżnej białości obłok zniżał się ku ziemi, szmer licznych skrzydeł i niebiański śpiew zapełniły powietrze. Niebiański pochód poruszał się na polach Adama. Naprzód kroczył szereg archaniołów, swoje ogniste miecze schowali do pochew, a kiedy stanęli przed Ewą, zaczęli jej prawić różne grzeczności, zapewnili ją, że równie pięknie i młodo wygląda jak w raju. Po chwili rozeszli się po polach, niektórzy siedli na drzewach daktylowych i figowych i zaczęli smacznie zajadać. Adam widząc, że całe zbiory przepadły, mruczał pod nosem najgorsze złorzeczenia.

Teraz ukazał się Pan; srebrna pełna broda okrywała jego twarz, na głowie korona, która lśniła jak słońce. Za nim szedł święty Michał, wszyscy ministrowie i urzędnicy niebiańskiego dworu. Pan uśmiechnął się do Adama, Ewę zaszczypnął w brodę i zapytał: „Jak ci się powodzi dzierlatko? Czyś zawsze jeszcze taka ciekawa“. Zachwyceni łaskawością Pana, małżonkowie podali mu krzesło, najlepsze jakie mieli, szerokie, miękkie i bardzo wygodne. Pan usiadł i zaczął wypytywać Adama, jak mu się powodzi. Adam skarżył się, że ciężko musi pracować na chleb powszedni. „Dobrze ci tak“ — powiedział Pan — „odejdzie cię ochota drugim razem słuchać rad twojej żony. Myślałeś pewnie, że no ziemi będzie ci się tak powodziło jak w niebie. Pracuj i poć się mój synu, a w przyszłości namyśl się dobrze, nim wypowiesz posłuszeństwo twoim przełożonym.“

Pan żałował jednak swego surowego przemówienia. Odezwał się zatem w tonie łagodniejszym: „Co się stało, to się nie odstanie. Klątwa moja musi się spełnić. Skoro jednak przekroczyłem próg waszej chaty, nie chcę odejść, nie dając wam dowodu mojej dobroci. Ewo ustaw mi w rząd tych chłopców“. Chłopcy stanęli przed Wszechmogącym, który im się chwilę przypatrywał.

„Ty“ — powiedział do pierwszego tęgiego chłopca, który z poważną miną i zmarszczonem czołem dłubał w nosie — „ty będziesz sędzią twoich bliźnich. Będziesz tworzył ustawy, będziesz określał, co jest zbrodnią, będziesz twoje przekonania zmieniał co jedno stulecie i wszystkich przestępców mierzył jedną miarą, jak lekarz, któryby wszystkich chorych chciał uzdrowić jednem lekarstwem.“

Później wskazał na drugiego, opalonego dzikusa, który w rękach miał pręt, którym zwykle okładał swoich braci. „Ty będziesz wielkim bojownikiem, dowódzcą. Będziesz lu-

dzi prowadził na wojnę, jak stado owiec, a mimo tego tłumy będą cię uwielbiały i jak półboga podziwiały. Pola napoisz krwią, uprawne pola i osady ludzkie zniszczysz ogniem i mieczem, niszcz i zabijaj, poeci będą cię opiewali, a historycy uwiecznią twoje imię. Tych wszystkich, którzy nie będą chcieli tak postępować jak ty, nazwie się mordercami i przestępcami, i zakuje się ich w kajdany."

Patrząc na trzeciego, Pan kilka chwil się zastanawiał: „Ty będziesz kupcem, będziesz gromadził bogactwa całego świata, pieniądze królom pożyczał i będziesz z nimi za pan brat. Będziesz niszczył ludzi, miasta, narody, a twoja zręczność będą podziwiali i pod niebiosy wynosili".

Biedny Adam płakał z radości, ale Ewa miała minę bardzo zakłopotaną, widocznie coś ją martwiło. Niespokojnie rzucała spojrzenia na wszystkie strony. Jej serce macierzyńskie gryzły wyrzuty, myślała o gromadzie dzieci, tych w stajni, które sama dobrowolnie pozbawiła łaski Najwyższego.

„Zawołam je prędko", szepnęła mężowi. Adam jak zwykle, ulegający żonie, szepnął nieśmiało: „Jest to rzecz ryzykowna. Pan będzie się może gniewał". Właśnie w tej chwili archanioł Michał przypomniał Panu, że już najwyższy czas do odejścia. Z wielką niechęcią przestąpił wogóle próg tych grzeszników. Pan podniósł się i stanął przed domem. Archaniołowie zeszli z drzew figowych i daktylowych i ustawili się w szeregu przed Panem.

Ewa pędzona żalem ogromnym pobiegła do stajni, oderwała drzwi, wypuściła dzieci i zawołała: „Mam jeszcze więcej dzieci, o Panie! bądź dla nich łaskaw i obdarz je także".

Wszechmocny patrzył z zdumieniem na brudną zgrają dzieci, które jak mrówki po gnojowisku łaziły. „Nie mam nic więcej do rozdania", powiedział Pan, „ich bracia dostali wszystko. Może kiedy później".

Święty Michał odsunął Ewę na bok, żeby się Panu nie naprzykszała. Pobiegła jednak za nim i jeszcze prosiła: „Gdybyś im chciał dać choćby jaki drobiazg, o Panie! Co będą ci biedni robili na ziemi?"

Pan odwrócił się.

„Mają już swoje przeznaczenie" — powiedział. „Będą na to na ziemi, aby tamtym obdarzonym służyli i na nich pracowali".

„I od tych nieszczęśliwców — skończył stary Korechola swoje opowiadanie — których pierwsza matka zamknęła do stajni, my wszyscy pochodzimy i musimy żyć w jarzmie niewoli, pochyleni aż do ziemi!"

Szkice z historji socjalizmu.

Gminy komunistyczne pierwszych chrześćjan.

Przypatrzmy się teraz tej praktycznej działalności pierwotnego chrześćjanizmu.

Widzieliśmy powyżej, że pauperyzm, to jest zubożenie masowe, było najważniejszą kwestją socjalną za czasów cesarstwa rzymskiego. Wszelkie usiłowania państwa i niektórych światlejszych cesarzów, lub szlachetniejszych bogaczów, aby w drodze dobroczynności publicznej lub prywatnej przeciwdziałać temu, okazywały się bezsilnemi wobec masowej nędzy, Ogół zaś sytych bogaczy uważał ją za dopust boży, czyli jak wówczas mówiono za nieuniknione zrządzenie losu, i bawiąc się i używając sam, pozwalał tysiącom i miljonom ginąć z głodu u progu swych pałaców.

Oczywista rzecz, inaczej, a właściwie wprost przeciwnie czuli i myśleli rozgorączkowani zapaleńcy oraz proletarjusze, którzy na własnych barkach dźwigali to brzemię. Oni nie mogli przypatrywać się ze spokojem temu, co się działo, lecz musieli działać, aby nędzy koniec położyć. Ponieważ chiljastyczne widziadła nikogo nasycić nie mogły, więc wnet obmyślono radykalniejsze sposoby, aby zwalczyć głód i biedę. — Ponieważ dalej, od czasu upadku republiki i ugruntowania się w Rzymie despotycznych rządów cesarskich, lud nie miał najmniejszego wpływu na państwo i naodwrót znów zepsucie i sprzedajność biurokracji, to jest urzędników carskich, pozbawiło państwo wielkiej powagi u ludu, przeto nie pozostawało nic innego, jak utworzyć niezależną organizację, a ratunek oprzeć na samopomocy.

Przypominamy, że klasa ludności, którą należało zorganizować w celach samopomocy, składała się z jednostek od dawna zupełnie nic nie posiadających i od dawna pozbawionych wszelkiej możności zarobkowania, z jednostek, które żyły nie wiadomo jak i nie wiadomo z czego. Proletarjat w rzymskich miastach w niczem zatem nie był podobny do dzisiejszej klasy robotniczej, był to duchowo, moralnie i cieleśnie zupełnie wyniszczony i zepsuty „Lumpenproletariat", dla którego praca i wytwarzanie były rzeczami obojętnemi, a ważnem było tylko spożywanie i używanie. Ideałem tych biedaków byli owi „ptacy niebiescy, którzy nie orzą i nie sieją, a jednak zbierają". To też, ile razy zaczęli mówić o zmianie istniejącego podziału i posiadaniu dóbr, nie mieli nigdy na myśli narzędzi do pracy i środków produkcji, lecz przed oczami ich stawały zapasy do życia. Wspólne posiadanie, czyli komunizm środków żywności nie był dla proletarjuszy w gałganach w owych czasach niczem nadzwyczajnem.

W ostatnich czasach rzeczypospolitej i w pierwszych latach cesarstwa publiczne masowe biesiady biedaków na koszt skarbu państwa czy miasta były częstem zjawiskiem. Cóż więc prostszego, jak dążyć do tego, aby takie publiczne żywienie ludu na koszt państwa ująć w stały system, w regularny komunizm środków żywności?

Powstały więc komunistyczne idee tego rodzaju a w ślad za niemi potworzyły się gminy komunistyczne, które ideały te wprowadzały w życie. Pierwsza taka organizacja powstała na 100 lat przed Chrystusem między żydami, jako tajny związek komunistyczny pod nazwą Esseńczyków. Dziejopis żydów Josephus donosi o nich, że żyli między sobą, jako bracia, wszyscy równi sobie, a nie było między nimi bogatych ani ubogich, bo co kto miał, oddawał na użytek ogółu. Dlatego, gdy który z nich udawał się w podróż, nie brał ze sobą nic, oprócz broni. Esseńczycy w każdem mieście mieli wspólny dom, gdzie braci swoich gościli. — Esseńczycy żyli w celibacie, to jest w bezżenności.

Komunizm środków żywności jest bowiem zasadniczym wrogiem familji i małżeństwa jednożennego. Znosi on je zupełnie i zaprowadza wspólność kobiet, tak, jak to widzieliśmy u Platona, albo też zakazuje swym członkom zupełnie mnożyć się, a w tym celu zmusza ich do bezżenności.

Pierwsze gminy chrześćjańskie były zorganizowane zupełnie na wzór Esseńczyków. Badania historyczne wykazały zresztą, że założyciele kościoła chrześćjańskiego, jak Jan Chrzciciel, Jezus z Nazaretu, syn cieśli, i kilku z pomiędzy apostołów, byli członkami związku Esseńczyków.

Esseńczycy jednakowoż pozostali drobną sektą żydowską, podczas gdy chrześćjanizm opanował z czasem całe państwo rzymskie a później świat cały.

Zrazu dążyli chrześćjanie do zaprowadzenia zupełnej własności wspólnej. „Chcesz być doskonałym, to idź, sprzedaj co masz, a rozdaj ubogim" — nauczał Chrystus. W historji apostołów zaś znajdujemy taki opis pierwszeej gminy chrześćjańskiej w Jerozelimie: „Nikt z nich nie mówił o swoich dobrach, że są jego, lecz wszystko mieli wspólne... Nie było też między nimi nikogo, ktoby biedę cierpiał; albowiem wiele ich było, którzy mieli role lub domy, sprzedali je a pieniądze za sprzedane dobra przynosili i składali u stóp apostołów; i dawano z tego każdemu, ile potrzebował."

Tego rodzaju komunizm miał jednakowoż tą złą stronę, że wszystkie środki produkcji zamieniono na środki do życia, które rozdawano między ubogich, i że, gdyby metodę tę zastosowano powszechnie, rychło musiałaby ustać wszelka produkcja, to jest ustałoby jakiekolwiek wytwarzanie nowych środków codziennego utrzymania i musiałoby nastać ogólne zubożenie.

Oczywiście nawet najbardziej fanatyczny zwolennik nowej nauki nie mógł tego chcieć. Ówczesne warunki wytwarzania, brak przemysłu fabrycznego i zrzeszonej pracy, przy zastosowaniu maszyn i nowoczesnych środków komu-

nikacji, a powszechne panowanie drobnego rzemiosła, czyniły niezbędnem istnienie prywatnej własności środków produkcji, dlatego też komunizm pierwszych chrześćjan musiał doznać wyłomu; środki produkcji musiały pozostać własnością prywatną, a wspólnem, czyli komunistycznem mogło być tylko używanie wytworzonych dóbr użytkowych.

Ponieważ gmina komunistyczna, zbudowana na takich podstawach, sama na własny rachunek nic nie posiada i nic nie wytwarza, a wszystkie dobra użytkowe zdobywa wyłącznie drogą jałmużny, więc byt jej jest bardzo niepewny i nietrwały. Chcąc się utrzymać jak najdłużej, musi ona oszczędzać i dbać o to, aby liczba osób, które trzeba utrzymywać, nie rozmnażała się zanadto. Dlatego też widzimy, że, podobnie jak u Esseńczyków, komuniści chrześćjańscy odnoszą się dość wrogo do familji i starają się ją ograniczyć, głosząc ascetyzm jako cnotę, a niejednokrotnie wymagają od swoich członków zupełnego celibatu, czyli bezżenności.

Nie da się zaprzeczyć, że tego rodzaju urządzenia komunistyczne pierwotnych chrześćjan miały w istniejących wtedy warunkach doniosłe znaczenie gospodarcze i że przyniosły one licznym rzeszom zbiedzonych proletarjuszy pomoc i ratunek od śmierci głodowej. Lecz długo utrzymać się one nie dały. W miarę wzrostu chrześćjaństwa i równoczesnego polepszania się także warunków gospodarczych i zarobkowych, znikały one stopniowo a utrzymały się do dziś dnia pod postacią licznych klasztorów.

Porównując komunizm pierwszych chrześćjan z żądaniami socjalnej demokracji widzimy, że nie ma między nimi, — prócz nazwy może — najmniejszego podobieństwa. Podczas gdy tam zasadą było prywatne posiadanie środków wytwarzania a tylko wspólne spożywanie owoców cudzej pracy, to nowoczesny socjalizm żąda wspólnej własności środków produkcji i społecznie zorganizowanego wytwarzania, a owoców wspólnej pracy ma otrzymać każdy tyle, ile jego własna praca była warta.

O ile komunizm chrześćjański był z góry skazany na bankructwo, bo jest na gospodarczo niewykonalny a społecznie niesprawiedliwy, o tyle właśnie komunizm socjalistyczny nietylko możliwy, ale jest on koniecznym i niezawodnym stopniem w rozwoju społecznym.

Tadeusz Reger.

Słów kilka o szkodliwości alkoholu.

(Według profesora Weygandta).

Szkodliwy wpływ alkoholu na zdrowie ludzkie jest rzeczą dowiedzioną. Zmniejsza u ludzi zdrowych wydajność sił, a alkoholicy nie wytrzymują żadnej cięższej choroby.

Jednakże wpływ alkoholu jest nie tylko dla tych, którzy go używają, szkodliwy, ale dziedzicznie przechodzi na dzieci. Dzieci alkoholików ulegają ogromnej śmiertelności, na sto żywo urodzonych dzieci umiera 41 procent ślubnych, a 57 procent nieślubnych. Duży bowiem procent dzieci bywa spłodzonych w pijanym stanie jednego albo obojga rodziców. Dzieci pijaków bywają przeważnie dziedzicznie obciążeni, a dr. Aschaffenburg wykazał, że z pięciorga dzieci pijaka przeciętnie dwoje bywa zdrowych, a troje ulega różnym chorobom umysłowym, epilepsji, a 10 procent przychodzi na świat z zarodkami suchot, gdy dzieci rodziców nie używających alkoholu, tylko w 1 proc. z tymi zarazkami na świat przychodzą. Tak samo potomstwo pijaków skłonne jest do angielskiej choroby, ma miękkie kości i t. d. Doktór Demme porównał dziesięć rodzin nie używających alkoholu, z dziesięcioma rodzinami pijaków i znalazł, że u pierwszych było 81 procent dzieci zdrowych, gdy u pijaków było tylko 17 procent.

W rodzinach, gdzie ojciec i matka byli pijakami z 37 dzieci tylko dwoje było zdrowych. Zbadano, że większa część dzieci chorych umysłowo pochodzi z rodzin pijackich, a Bourneville wykazał, że na 1000 ludzi chorych na umyśle, 471 miało ojców pijaków, 84 dzieci matki pijaczki, a 65 dzieci oboje rodziców pijakami.

Pani Tarnowska wykazuje, że na 150 prostytutek i 100 złodziejek 69 procent miało rodziców pijaków.

Pewien amerykański rolnik używał dziennie 1/4 litra wódki, ale był zdrowy i dożył 91 lat. Jego zaś dzieci wszystkie były już obciążone różnemi chorobami.

Fournier dowodzi, że kobieta, która miała dwóch mężów, jednego pijaka a drugiego trzeźwego, z pierwszym mężem miała dwóch synów chorych na umyśle, a dwóch zdrowych, a z drugiem mężem dzieci zupełnie zdrowe. Alkohol zatem jest największym wrogiem dzieci, które przyszedłszy na świat chore stają się ciężarem dla rodziców i często długie lata muszą wnieść swój męczeński żywot, nim litościwa śmierć położy koniec ich niedoli, której nie zawinili wcale.

I rodzinne życie rodzin pijackich jest godne pożałowania, często wydają takie rodziny 30 do 60 procent zarobku na napoje alkoholowe. Najbardziej cierpi na tem dziecko, bo pijani rodzice biją i katują niewinne dzieci, że często są ranami okryte. Pijactwo rodziców jest także przeszkodą w uczęszczaniu dzieci do szkoły, wogóle rodzice pijący nie mogą być dobrymi wychowawcami dzieci.

A ile jest rodziców, którzy dzieciom dają alkohol, już maleńkie dostają piwo a często i wódkę. Niektóre matki nalewają małym dzieciom wódkę na chleb i dają im na noc, żeby lepiej spały.

Grojatszkin z Moskwy wykazuje, że na 1671 dzieci do lat 12, 30 procent było pijących, niektóre dostawały dwa do trzech razy dziennie alkohol.

Dużo rodziców wierzy w alkohol jako środek wzmacniający i w chorobach dają dzieciom pić wino albo wódkę. Odnosi się to tak do rodziców biednych jak bogatych.

Tymczasem alkohol nietylko nie pomaga w chorobach, ale owszem często szkodzi. Zwłaszcza dzieci po użyciu alkoholu stają się niespokojne, złe a często dochodzi to aż do szału jak i u dorosłych. Ludzie trzeźwi nie są zdolni do takich występków i zbrodni jak w stanie pijanym, i ogromny procent zbrodni właśnie pod wpływem alkoholu ma miejsce.

Jak należy zwalczać tego strasznego wroga, któremu na imię alkohol? Przedewszystkiem działa dobry przykład; ci, którzy już przyszli do przekonania o szkodliwości alkoholu nie powinni go sami używać i zakazywać swoim najbliższym.

Wielkie pole działania otwiera się dla nauczycieli, którzy już w szkołach mogliby wielki wpływ na młodzież wywierać. W Anglji odbywają się trzy razy w tygodniu wykłady dla młodzieży z obrazami na temat alkoholu. 4 miljony dzieci należy tam do związków abstynenckich a 127 tysięcy nauczycieli prowadzi tę pracę.

U nas jeszcze mało się na tem polu pracowało, a musimy otwarcie powiedzieć, że tylko lud trzeźwy jest zdolny do walki o wolność i postęp.

Dr. Henryk Kłuszyński.

Gminna polityka mieszkaniowa.

II.

Przyczyny nędzy mieszkaniowej i środki zaradcze.

Z rozwojem wielkiego przemysłu i handlu postępuje skupienie się ludności w ogniskach przemysłowych. Każdy robotnik chce jak najbliżej fabryki, kopalni mieszkać, byleby nie potrzebował codziennie kilkugodzinnej drogi pieszo odbywać. Zyskuje w ten sposób dużo na czasie i może się oddać życiu codziennemu i brać udział w życiu politycznem swej klasy. Kamienicznicy wyzyskują to przymusowe położenie klasy pracującej i śrubują czynsze za mieszkanie do niemożliwej wysokoski. Robotnik chcąc nie chcąc musi płacić, ile lichwiarz mieszkaniowy zażąda, a ponieważ zarobek nie wystarcza na zwiększony w ten sposób wydatek, oszczędza na chlebie, na mięsie, na mleku dla dzieci, czyli rodzina robotnicza musi się gorzej odżywiać.

Lichwiarze mieszkaniowi chcąc się usprawiedliwić z wysokich cen mieszkań tłomaczą się obłudnie, że płaca robotnicza jest wyższa a czas pracy krótszy, że materjały budowlane są droższe, domy muszą być lepiej wykończone i że prawo cywilne nie pozwala na fantowanie wszystkich przedmiotów, jeżeli lokator czynszu nie zapłaci. Są to tylko wymówki, nie wytrzymujące krytyki.

Wprawdzie prawdą jest, że płaca robocza jest nieco wyższa, materjały droższe, przepisy budowlane ostrzejsze, domy wybudowane z zastosowaniem nowoczesnych wymagań, ale mimo to zwiększone koszta budowy nie stoją w żadnym związku z wysokością czynszu.

Faktyczną przyczyną nędzy mieszkaniowej jest spekulacja placami budowlanymi i wogóle ziemią. Już sam rozwój przemysłu sprowadza podrożenie gruntów, renta gruntowa się podnosi, ale właściciele spekulują gruntami, nie zabudowują ich, tylko sprzedają je z ręki do ręki, naturalnie za coraz wyższą cenę. A jeżeli ostatecznie taki właściciel zdecydował się wystawić dom, to zapłacił za grunt tak wysoką cenę, że wskutek tego koszta budowy domu znacznie się zwiększyły a zwiększony ten wydatek muszą ostatecznie przyjąć na siebie lokatorzy w postaci wyższych czynszów. Właściciele takich gruntów stali się nieraz przez noc bogaczami. Metr kwadratowy ziemi, który w r. 1850 lub 60, mógł kosztować 10 koron, dziś kosztuje 250 koron albo nawet jeszcze więcej. Takie ceny są na porządku dziennym w Berlinie, Wiedniu, Krakowie i t. d.

Ale nietylko cena gruntów, ale także wadliwa ustawa budowlana, pozwalająca na wyzyskiwanie najmniejszego kawałka gruntu na budowę wielkich piętrowych domów, jest również przyczyną drogich mieszkań. Gdyby bowiem ustawa budowlana nie pozwalała na budowanie wielkich domów na małej przestrzeni, nie mogliby właściciele placów żądać za nie wysokich cen, dom byłby w ten sposób tańszy a czynsz niższy. Ale ponieważ właściciele gruntów znają tę ustawę korzystną dla swych kieszeni, mogą też śrubować ceny swych gruntów i powodować wysokie czynsze mieszkaniowe.

* * *

Ilekroć podnoszono żądanie, by gmina, miasto wglądnęły w te straszne stosunki mieszkaniowe i przez budowanie domów i tanich mieszkań nędzę mieszkaniową zmniejszały, odpowiadano zawsze, że to do gminy nie należy, że to przechodzi jej zakres działania. Tak samo broniła się dawniej gmina przeciwko budowaniu wodociągów, gazowni, kolei elektrycznej, teatru a dziś chyba nie znajdzie się nikt w radzie gminnej, któryby stanął na tem stanowisku, że wszystkie te urządzenia nie należą do jej zakresu działania. A jeżeli dziś rady miejskie i gminne stoją w kwestji mieszkaniowej na tem wstecznem stanowisku, to dlatego, że opanowana jest przez właścicieli domów, którzy z nędzy mieszkaniowej ciągną wielkie zyski dla siebie.

Ale coraz bardziej gruntuje się przekonanie, że stan taki dłużej się utrzymać nie da i że gmina musi wejść na drogę racjonalnej reformy mieszkaniowej zwłaszcza, że zachód daje nam piękne przykłady, co rozumna i zdrowa polityka mieszkaniowa zdziałać może. Anglja już od r. 1866 zajmuje się uzdrowieniem kwestji mieszkaniowej, usuwaniem niezdrowych dzielnic, zrywaniem złych i nieodpowiednich domów i stawianiem nowych na ich miejscu.

Miasto Birmingham, Manchester, Liverpool, Londyn i inne odznaczają się ruchliwą działalnością na polu polityki mieszkaniowej. Opinja publiczna w Anglji żywo się zajmowała kwestją mieszkaniową i pod jej wpływem parlament dał gminom obszerne pełnomocnictwo do uregulowania tej piekącej sprawy.

Gmina londyńska zabrała się radykalnie do pracy. Zakupiła całe dzielnice, zrywała w nich stare, niehygjeniczne domy i na ich miejscu wystawiła nowe według wymagań najnowszej techniki i hygjeny budowlanej. Londyn wydał w ten sposób w ostatnich 12 latach 108 miljon koron (90 mil. marek) i 50000 osób mógł umieścić w swych domach. Gmina jednak nie ograniczyła się na tem. Zakupiła dalsze place i wkrótce powstaną nowe domy, w których mieścić się będzie jeszcze 57000 osób.

Następstwem tej zbawiennej polityki gminnej były zmniejszenie się mieszkań o jednym pokoju o 80000.

Czy przez to może inicjatywa prywatna upadła lub zmniejszyła się? Bynajmniej. Przeciwnie prywatni przedsiębiorcy zaczęli naśladować gminę i budowali również domy zbliżone do typu domów gminnych.

Poza Londynem głównie w wiejskich gminach wydano 38 mil. koron (32 mil. marek) na budowę domów robotniczych. W ten sposób gminy zatrzymały u siebie ludność, któraby z powodu braku mieszkań wywędrowała do miasta i do przemysłowych okolic, do czego przyczyniła się również rozumna polityka komunikacyjna, że za tani grosz mógł robotnik z najdalszej fabryki do miejsca swego mieszkania w krótkiem przeciągu czasu przybyć.

Obok Anglji zajmowano się w Niemczech budową mieszkań robotniczych.

W Galicji i na Śląsku gminy w tym kierunku jeszcze nic nie zrobiły. Lwowskie towarzystwo hygjeniczne zamierza w r. 1910 urządzić kongres mieszkaniowy, by dać w ten sposób impuls do rozpoczęcia energicznej akcji w tym kierunku.

Rozmaitości

Honorarjum autorskie Tołstoja. Petersburska firma nakładowa „Polza“ („Korzyść“) nabyła prawo wydawnictwa dzieł zbiorowych Lwa Tołstoja za 500.000 rubli, czyli 1 miljon marek. Pozwolenie na to wydawdictwo podpisał sam Stołypin. Egzemplarz zbiorowych dzieł będzie kosztował około 30 rubli. Charakterystycznem jest to, że umowę z nakładoą zawarła żona hr. Tołstoja, on sam bowiem odmawia przyjęcia jakiejkolwiek płacy za swe utwory. Hrabina Tołstoj wogóle często pomaga mężowi w wywikłaniu się z trudnej sytucaji.

* * *

Olbrzymie honorarjum. Ze Sztokholmu, stolicy Szwecji, donoszą, że pewne amerykańskie czasopismo ofiarowało 380.000 koron za nowe dzieło Sven Heddina. Sven Heddin mianowicie w czasie ostatniej swej wyprawy do Tybetu, w Azji centralnej, poczynił ważne bardzo odkrycia gieograficzne. Między innemi odkrył on w głębi wyżu tybetańskiego nieznane dotąd pasmo olbrzymich gór, których wierzchołki sięgają do wysokości 10.000 metrów i przewyższają nawet najwyższe szczyty Himalajów.

* * *

Stuletnie trojęta. Z tęgiego rodu widocznie pochodzą trojęta, które niedawno w małej gminie Asnieres we Francji obchodziły setną rocznicę swoich urodzin. Wszyscy trzej są chłopami i prócz kilku drobnych wycieczek nie wydalili się ze swej gminy. Każdy z nich posiada swoje obejście, na którem gospodarują już ich potomkowie w drugiem i trzeciem pokoleniu, a czwarte się do pracy wkłada. Wszyscy trzej są wdowcami, a posiadają potomstwo, złożone z 340 osób, z których jeszcze 80 mieszka w domu. Prezydent rzeczypospolitej francuskiej przesłał temu szczególnemu rodowi trojęt swoje życzenia.

* * *

Szczep ludzi pierwotnych. Szczep ludzi, którzy nigdy jeszcze nie zetknęli się z ludźmi białymi, odkrył niedawno Howard na wyspie Mornington, należącej do archipelagu wysp Wellesley w zatoce Karpentarskiej. Ta dotychczas zupełnie niemal nieznana wyspa, jest przeszło 200 kilometrów długa, natomiast w najszerszem miejscu tylko 14 klm. szeroka. Tryb życia jej mieszkańców jest trybem życia ludzi pierwotnych. Nie posiadają domów mieszkalnych, a zadawalają się tylko otoczeniem swojego legowiska płotem dla ochrony przed wiatrem. Żywią się orzechami pandanu, rybami a korzonkami.

* * *

Samosąd. Z Atkarska donoszą: Sąd przysięgłych uniewinnił 8 włościan, oskarżonych o udział w rozszarpaniu bogatego lichwiarza Puszkarnego. Puszkarnyj werbował młodzież włościańską do związku narodu rosyjskiego. Młodzież bardzo często odpowiadała na to gradem kamieni... Puszkarnyj użył wówczas broni palnej i zranił kilku. Tłum w obecności policji rozszarpał go.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 10. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 6 marca 1909.

A. Niemojewski.

PRZED JUTREM.

Nie wiesz, co jutro szelmowskie da?
Co z nami wszystkimi będzie?
A z naczelnikiem gadałeś w urzędzie?
Ten przyszłość jak wróżka zna.

Naczelnik właśnie w karty gra...
To idź odwiedzić sędzię,
On ruszy głową. W każdej kwerendzie
Wykazał, że łeb ma!

Sędzia się upił... Ot, była pora!
To idź wybadać gubernatora,
On umie uszami strzydz!

Wyjechał?... Widzisz, to sztuka bystra!
Co? Chcesz samego zapytać ministra?
Ten nigdy nie wie nic!

Powinszowanie.

Opowiadanie starego dziada ze zdarzenia prawdziwego.

Spisał W. T.

...Było to dawno, dawno — jeszcze za pańszczyzny. Byłem ja wtedy młodym dzieckiem, ale wszystko tak dobrze pamiętam, jakby to zdarzyło się tylko wczoraj.

Przyszedł — nie daj Boże — jaki chłodny i głodny rok. Chleba w chatach mało, a tu jak na biedę zaczęli w naszej wiosce tak chorować i umierać, że gorszych czasów — jak mówili starzy ludzie — i nie pamiętają. Ot i czekaliśmy wszyscy niecierpliwie Nowego Roku, bośmy myśleli sobie: pójdziemy do pana (dziedzica) z powinszowaniem i przy tem poprosimy o cośkolwiek. Może zlituje się i pomoże w biedzie! A trzeba wiedzieć, że pan nasz był bardzo zły, to i każdy bał się iść do niego: czekaliśmy — powiadam — święta jak zbawienia.

Przyszedł Nowy Rok. Zmówiliśmy się wszyscy, że najstarszy z pomiędzy nas, Mikojaj, będzie winszował panu, a potem my wszyscy gromadą hukniemy. Raniutko zebraliśmy się w piekarni (dom na folwarku, gdzie służba jada i sypia. Przyp. tłum.) i długo czekaliśmy, póki nie przyszedł lokaj i nie powiedział, żeby iść do kancelarji.

Poszliśmy. Lokaj otworzył drzwi do kancelarji, gdzie pan już siedział. Pchnęliśmy się tam hurmą, pokłonili panu do nóg, a Mikołaj nasz chrząknął, wytarł nos — i nie czekając, zaczął mówić.

Ale w ten sam moment zrobiła się taka sztuka, że musić do śmierci jej nie zapomnę!

Janko, mój sąsiad, który szedł ostatni, jakoś zamarudził się we drzwiach, a lokaj, zamykając przyciął mu drzwiami sznurek od łapcia. I tylko co Mikołaj otworzył gębę, kiedy Janko, pchnąwszy się naprzód, gruchnął się brzuchem o ziemię i jak nie huknie: „Ażebyś ty zdechł, gadzino! Ażebyś ty świata bożego nie widział! Ażeby ciebie nie wiem co!...“

Myśmy aż struchleli ze strachu! Co będzie, kiedy pan pomyśli, że to jego łają? A ono to i tak wyszło! Pan ze złością popatrzył na nas, jakby szukał winowajcy, ale jak nigdy nic, spokojnie powiedział:

— Dziękuję, dziękuję! A czego to chcecie?

Tu jednogłośnie huknęliśmy:

— Panoczku, złocieńki, zmiłujcie się! Zły rok. Widać z głodu przyjdzie umierać! Darujcie coniebądź: grochu, czy jęczmienia!..

— Dobrze, dobrze — odpowiedział pan — i coś nagremzał na karteluszku.

— Weźcie to i idźcie do ekonoma, a on już wam da to, co tu napisano.

Pokłoniliśmy się do ziemi, podziękowali i poszli bardzo radzi, że wszystko dobrze skończyło się i każdemu dostanie jaka ośmina grochu, czy jęczmienia albo jeszcze co. Na dziedzińcu pośmieliśmy się dobrze z Janka, że on tak pięknie winszował panu, i dalej na wszystkie strony oglądać kwitek, co tam napisane.

Na biedę nikt z nas czytać nie umiał. Aż tu wyrwał się Zmitiok i, pokazując na jedną literę, mówi:

— Ten znak całkiem okrągły, pewnie, że to groch będzie!

Wszystkim podobało się takie tłomaczenie Zmitroka. Okrągły znaczek, to czemuż nie groch ma oznaczać? Groch taksamo okrągły. A Zmitrok nabrał odwagi i dalej tłomaczy:

— A ten ostry znak to pewnie jęczmień! Nam jeszcze więcej spodobały się jego słowa. — Prawda, jęczmień taksamo ostry, jak i ten znak, powinien to być jęczmień! Patrzcie, jaki on mądrala: choć i nieuczony, a czytać może!

Zmitrok znowu dalej:

— A tu oto jakoś bardzo zakręcony znak — czy czasami nie bat?

Zlękliśmy się: a może i naprawdę bat? I nie wiemy, czy iść do ekonoma, czy nie, bo bata nikt nie chciał próbować.

Ale ktoś przypomniał, że Maciej ma synka, Michałka, który jedną zimę uczył się czytać.

Zawołali go.

Przyszedł Michałko, patrzy na kartkę jak na ścianę — bekał, mekał, a nakoniec powiada, że pisanego czytać nie umie.

— Może to i bat będzie, ale bodaj że to pańskie przyzwyczajenie tak pisać. Pany zawsze piszą takie gryzmoły. Wiadomo fanaberja!

— No, kiedy nie bat, to idziemy do ekonoma — krzyknęli wszyscy.

I poszli; dali jemu pański kwitek.

Przeczytał ekonom, pokręcił głową, popatrzył na nas zukosa.

— Poczekajcie — powiada — a sam poszedł do piekarni.

No, myślimy sobie, pewnie pan tak obdarzył nas hojnie, że aż parobków trzeba wołać do pomocy. Słuchamy — aż tu ekonom krzyczy:

— Hej, chłopcy, przynieście no rózgi!...

. . . . . .

Co było dalej, mówić nie będę. Wyszło tak, że dobrze jednak przeczytał Zmitrok pański karteluszek: był tu i jęczmień, i groch, były i baty...

Z białoruskiego przełożył Józef Moc·

Ileby kosztowała ludy wojna europejska?

Niezmierny rozwój urządzeń publicznych w przeszłem stuleciu wpędził wszystkie państwa europejskie w długi, do tego stopnia, że przeciętnie dług europejskiego państwa wynosi dziś 10 miljardów franków, zaś na opłatę procentów od tych długów wydają poszczególne państwa 40—46 proc. wszystkich swoich dochodów. 21—26 proc. dochodów idzie na armję i marynarkę, reszty zaś dopiero, a więc najwyżej 40 proc. używa się na pokrycie innych państwowych potrzeb, jak szkolnictwa, sprawiedliwości, administracji, przemysłu, handlu, rolnictwa i t. d.

A teraz popatrzmy na koszta ostatnich wielkich wojen. Wojna francusko-niemiecka w roku 1870, w której brało udział 2 miljony 200 tysięcy żołnierzy, kosztowała 3 miljardy 279 miljonów marek, czyli 11 miljonów 940 tysięcy marek dziennie. Tyle pochłonęła sama wojna, doliczyć jednak trzeba do tego jeszcze zapłacone przez Francję odszkodowanie wojenne w kwocie 5 miljardów franków. Jeśli wojnę prowadzi się w dalekich krajach, koszta jej wzrastają niezmiernie. Tak np. wojna południowo-afrykańska od 11 października 1899 do 31 maja 1902, mimo, że Anglja wysłała w pole stosunkowo maluczką, bo tylko 200 tysięczną armję, kosztowała 4 miljardy 407 miljonów 582 tysięcy 400 marek. — Wojna rosyjso-japońska kosztowała oba państwa 3 miljardy 297 miljonów marek.

Statystycy obliczają koszt utrzymania jednego żołnierza w polu na 6 marek dziennie. Na wypadek wojny europejskiej stanęłoby pod bronią 10—11 miljonów ludzi — w tem 3 miljony niemców. Wyniósłby więc koszt ich utrzymania dziennie 60 miljonów, miesięcznie 1800 miljonów, rocznie zaś 22 miljardów! A ponieważ wedle obliczeń Leroy Baulieu suma corocznych oszczędności na całym świecie wynosi 12 do 14 miljardów marek, pożarłaby całoroczna wojna europejska niemal dwa razy tyle.

Jednak koszt wojny nie jest ten sam we wszystkich jej okresach, najdroższym bowiem jest okres mobilizacyjny. Należy więc przygotować zawczasu środki transportowe dla wojsk, węgiel, konie, zapasy żywności i amunicji, materjał na budowę mostów i t. d., które we wojnach współczesnych są dla armji kwestją życia. Zadanie to dokonanem być musi w znacznej części jeszcze przed rozpoczęciem wojny, ponieważ zaś dużo kosztuje, mobilizacji armji odpowiadać musi mobilizacja gotówki. Oznacza to, że państwo musi uruchomić wszystkie swoje zapasy kasowe, swe pretensje realizować w złocie, a przytem baczyć, by kredyt, na którym cała współczesna gospodarka jest zbudowana, nie zbyt ucierpiał.

Cóżby więc kosztował początek europejskiej wojny? Obliczono, że sama tylko trzymiljonowa armja niemiecka połknęłaby w ciągu pierwszych sześciu tygodni wojny 2 miljardy 450 miljonów marek. — W wojnie europejskiej, pierwszych 6 tygodni kosztowałyby 8 miljardów 170 miljonów. Aby wyrobić sobie pojęcie o relatywnej wartości tej sumy, należy wziąć na uwagę, że wedle ostatniej amerykańskiej statystyki zapasów złota w całym świecie, wynoszą te zapasy 35 miljardów, z czego 21 miljardów przypada na Europę. Pierwsze więc 6 tygodni europejskiej wojny pochłonęłyby około 40 proc. znajdującego się w Europie złota.

Z kolei nasuwa się pytanie, w jaki sposób pokrywano koszta dotychczasowych wojen. Otóż od napoleońskich czasów po dzień dzisiejszy, dwie trzecie pokrywano pożyczkami, jedną trzecią z podatków. Przynajmniej 60 proc. pożyczek lokowanych bywa za granicą; ponieważ jednak w czasie powszechnej wojny europejskiej, „zagranicy" w ścisłem znaczeniu tego słowa nie będzie, gdyż żadne z państw prowadzących wojnę nie zechce drugiemu pożyczać pieniędzy, w ciągu pierwszych 8 do 12 tygodni wojny, najważniejsze źródła pieniężne państw zostałyby zupełnie wyczerpane.

Wyobraźmy też sobie, że nagle w całej Europie zapanował stan wojenny. Papiery państwowe spadają wówczas od razu na 15 do 20 proc. wartości. We wszystkich państwach wprowadza się kurs przymusowy, jednak państwowe kwartalne i półroczne zobowiązania wobec zagranicy, płacone być muszą złotem, a nie papierami. Powstaje więc między państwami i ludami straszliwa konkurencja o posiadanie złota. Ruch międzynarodowy ustaje, bilanse wykazują niedobory, wszystkie papiery tracą wartość zupełnie.

W kilka miesięcy po wypowiedzeniu wojny, następuje powszechny krach we wszystkich państwach. Nie mogą one ponosić kosztów wojny, z czystej więc niemożliwości utrzymania armji pod bronią, rozbrajają ją.

Okazuje się więc ostatecznie z tego, że najpewniejszą drogą do powszechnego rozbrojenia, byłaby — powszechna europejska wojna!

Zamach na Plehwego.

(Z pamiętników Bakaja).

W pamiętnikach swoich, drukowanych w „Matin" tak opowiada Bakaj o zamachu na Plehwego:

Ponieważ wątpliwości nasze skupiły się na Azewie, zaczęliśmy sobie przypominać, czy i w jakim zamachu narażał się on na osobiste niebezpieczeństwo. Doświadczenie moje służbowe nauczyło mnie, że prowokatorzy, biorący udział w zamachach, urządzają się zwykle w ten sposób, żeby nie być narażonymi na śmierć albo areszt. Stwierdziliśmy też, że w wielu zamachach, w których brał Azew udział, trzymał się zwykle na rozsądnej odległości. Nigdy bezpośrednio nie brał udziału w niebezpieczeństwie, a nawet zamach na Plehwego był przez niego dyrygowany aż z Warszawy.

Z Warszawy wysłał do Petersburga Sazanowa, Kalajewa, Sikorskiego. Przez wiele tygodni Kalajew, ten, który potem zabił wielkiego księcia Sergjusza, tropił dyktatorra Plehwego. Robił to wprost artystycznie — bądź przebrany za sprzedającego na ulicy papierosy, bądź za stangreta dorożek, potrafił on dokładnie obznajmić się ze zwyczajami Plehwego, nie zwracając na siebie uwagi policji.

On, człowiek wykształcony, poeta, całe tygodnie spędzał wśród wszelkiego rodzaju roznosicieli i nędzarzy. Ani na chwilę nikt nie wątpił o jego autentyczności, tak umiał się zmienić, przystosować — tak znał ich żargon. Umiał się tak urządzić, że nawet z policjantami żył dobrze, ofiarując im od czasu do czasu kilka dobrych papierosów.

W tym czasie widywał się jednak z terorystami i dawał im informacje o tem, kiedy Plehwe wyjeżdża i wraca.

Co się tyczy Sazanowa, to ten nieraz znajdował się w tych miejscach, któremi Plehwe powinien był przejeżdżać. Miał bombę przy sobie i gotów był w każdej chwili do rzucenia jej. Prócz niego znajdowali się tam jeszcze inni, gotowi również dla swego celu z rozkoszą życie poświęcić. Wszyscy oni działali podług wskazówek Azewa, który, trzymając w swem ręku wszystkie nici konspiracji, przebywał w Warszawie.

To samo miało miejsce przy wszystkich innych zamachach. Terorystom się zdawało, że taki wielki człowiek, taki genjusz rewolucyjny, powinien oszczędzać swoje życie,

ale my z Burcewem mieliśmy inny pogląd na tę sprawę i inne z tego wyciągnęliśmy wnioski.

W końcu przyszliśmy do przekonania, że tajemniczy Raskin, który zdradził w Warszawie urzędnika kolejowego i Azew, to jest jedna i ta sama osoba.

Cały szereg większych i drobniejszych faktów przekonanie to nasze utwierdził. Nie ulegało też wątpliwości, że podczas, gdy całe masy jego towarzyszy dostawały się w ręce policji, on jeden zostawał wolny.

W spisku naprzykład przeciwko Trepowowi — policja ujęła wszystkich, prócz jego jednego, który tem wszystkiem kierował, znała wszystkie postępki wszystkich jego spólników, tylko o Azewie nic nie wspominała, natomiast w akcie oskarżenia była wyraźnie mowa o „tajnym współpracowniku", który dopomógł policji w jej poszukiwaniach.

Któż inny mógł być tym tajnym współpracownikiem, jak nie Azew?

Teatry robotnicze.

Życie świadomego proletarjatu nie jest tak jednostajne i szare jak okropne bytowanie ciemnych mas pracujących. Skazany na takiż sam wyczerpujący siły mozolny trud od świtu do wieczora, na ową twardą służbę w jarzmie kapitalizmu, która pozbawia go radości życia rodzinnego i towarzyskiego, i nic mu wzamian prócz nędzy i brutalnego odsunięcia od źródeł kultury nie daje, ma przecież socjalista bogaty świat ideałów ogólnoludzkich, co go nieprzeparcie pcha w kierunku bujnej i twórczej działalności społecznej na rzecz wyzwolenia proletarjatu. Intensywny prąd ku oświacie masowej, ku zdemokratyzowaniu zdobyczy cywilizacyjnych, staje się zazwyczaj dominującym przejawem głębiej sięgającego uświadomienia klasowego.

Ale jak znojna orka dla pomnożenia zysków przedsiębiorcy nie może wypełnić całego życia najemnika kapitalistycznego, tak samo działalność polityczna, partyjna i gorączkowa praca nad samokształceniem, zwłaszcza przy ciągłem znużeniu fizycznem, nie jest w stanie zaspokoić bezustannie rosnących i coraz różnorodniejszych potrzeb duchowych robotnika-obywatela. Szczególnie dotyczy to młodzieży robotniczej.

I dlatego wszędzie tam, gdzie istnieją ogniska pracy partyjnej, gdzie krzewi się idea socjalistyczna, gdzie część choćby proletarjuszów prostuje zgięte grzbiety, wszędzie tam czynione są również próby nowego, szlachetniejszego zużytkowania tej trochy wolnego czasu, która pozostaje poza pracą w fabryce i warsztacie i poza działalnością polityczno-społeczną.

Przejęci wstrętem do orgji karczemnych, do pospolitych, a nieraz nawet upadających bec rozrywkowych, zasadniczo, a żarliwie unikając wszelkiego sprostytuowania się, młodzi socjaliści organizują zabawy towarzyskie, któreby nie stały w sprzeczności z dojrzałem poczuciem godności ludzkiej i zarazem wniosły w monotonię życia robotniczego, żywszy takt wesołości młodzieńczej. Ma to niezmiernie doniosłe znaczenie dla szerszych warstw młodzieży, która pomimo różnorakich pokus zepsucia, intuicyjnie lgnie do wyższych, kulturalniejszych form towarzyskich i tem samem nasiąka atmosferą idealizmu społecznego.

Jeżeli jednak urządzanie zabaw tanecznych z odczytami, lub organizowanie koncertów z popisami chórów robotniczych rzetelnie służą dążności odciągania robotników od różnych niegodnych rozrywek, to przecież pozytywne zadanie ukulturalnienia życia proletarjackiego najskuteczniej obok instytucji oświatowych spełniają teatry robotnicze

Amatorskie przedstawienia teatralne, umiejętnie dobierane, i co lepiej jeszcze, poprzedzane krótkimi referatami, wprowadzają naszą młodzież robotniczą w sferę artystycznej twórczości, udostępniają jej świat piękna, otwierają przed nią rozległe horyzonty duchowych walk i szczytnych dążeń, znajomią z dramatyzmem życia indywidualnego, wreszcie zespala z kulturą narodową i ogólnoludzką. Rzecz prosta, poczynić należy zastrzeżenie, że to wszystko nastręczają nieprzezwyciężone trudności pod warunkiem nie robienia z tych przedstawień farsiarsko-błazeńskich występów.

Sprawa repertuaru jest i długo jeszcze pewno będzie najrudniejszą do uregulowania i urozmaicenia. Niestety nasza literatura oryginalna i przekładowa wiele pozostawia do życzenia. Tak zwanych „ludowych" sztuk słusznie socjaliści nie lubią, bo ich nie potrzebują, a inne w wykonaniu swoim często nastręczają nieprzezwyciężone trudności techniczne. Z tego też względu przedstawienia w teatrach robotniczych winny składać się ze stanowiących ideową i artystyczną całość fragmentów wybitniejszych dzieł sztuki. Nasuwa się nawet pilna potrzeba opracowania takiego repertuaru i rozpowszechnienia go z rozumowanym uzasadnieniem w kółkach amatorskich. A w takim razie wspomniane wyżej referaty wstępne, tem niezbędniejsze, że musiałyby dostarczyć widzom potrzebnej na przedstawieniu orjentacji literackiej.

Rozmaitości

Domy z siatek drucianych. W ostatnich czasach rozpoczęto w Indjach i Cejlonie na wielką skalę budowę domów wedle nowego całkiem systemu, mogącego mieć doniosłe znaczenie, zwłaszcza dla okolic, gdzie trudno o cegłę i kamień. Szkielet domu, tak jak w coraz liczniejszych domach amerykańskich, tworzy rusztowanie żelazne. Poszczególne słupy łączą się z sobą plecionką drucianą, podobną do zwykłej drucianej siatki, lecz znacznie od niej sielniejszą i trwalszą. Powierzchnię siatki pokrywa się z zewnątrz i z wewnątrz warstwą cementu dowolnej grubości, wewnątrz domu narzuca się jeszcze gips lub umieszcza stiuki, jak przy zwykłej budowie. Zbudowane w ten sposób domy odznaczają się niezwykłą taniością i trwałością. Mury są wprawdzie wewnątrz puste, ale niezmiernie silne, opierają się wszelkim wpływom niepogody, wilgoci i wiatrom i dają zupełne bezpieczeństwo przed ogniem. Zaletą ścian ma być i to także, że tłumią one zupełnie wszelki głos, wskutek czego nawet najbliżsi sąsiedzi nie przeszkadzają sobie nawzajem.

* * *

Premjowanie małżeństwa. Ponieważ opodatkowywanie kawalerów projektowane, a nawet zaprowadzone w niektórych krajach, nie zniewoliło jeszcze ani jednego kawalera do wstąpienia w związki małżeńskie, rząd francuski wpadł na myśl premjowania małżeństw. Początek zrobiono w Nantes. Rada miejska chce na początek każdemu ze swych urzędników, który się ożeni, wypłacić tytułem premji 80 franków, a na każde dziecko chce mu wypłacać aż do czternastego roku życia po 20 franków miesięcznie. Gdy pensja ojca dojdzie do 5000 franków rocznie, zapomoga ta ustanie. Liczba urzędników miejskich w Nantes nie jest wcale mała i suma zapomóg będzie też poważną. Wyniku tego doświadczenia oczekują we Francji z wielkiem zajęciem, gdyż od tego zależeć będzie, czy i inne miasta pójdą za przykładem Nantes, aby się przyczynić do wzrostu ludności.

* * *

4000 słów na godzinę. Wielką zmianę w stosunkach ludzkich może wprowadzić wynalazek uczonego amerykańskiego dra Lee Forest. Udoskonalił on system telegrafu bez drutu do tego stopnia, że aparat będzie mógł przesyłać 4000 słów na godzinę. Ten sam aparat da się użyć do telefonów bez drutu. Każdy okręt przepływający przez Ocean Atlantycki da się połączyć telefonicznie z wybrzeżem. Wkrótce już, jak twierdzi wynalazca, pasażerowie na pokładzie transatlantyckich parowców będą mogli słuchać przedstawień teatralnych we wszystkich stolicach Europy. Bankierowie i kupcy będą mogli podczas przeprawy statkami prowadzić osobiście swe interesy.

O ile te obietnice i nadzieje urzeczywistnią się...

* * *

Jak się usuwa grzyb z domu? Grzyb usuwa się przez ustawiczny dostęp powietrza, to jest przez powiew powietrza w miejscu, gdzie grzyb się znajduje. Trzeba więc najpierw usunąć starą podłogę i drzewo z pod niej — li-

gary lub beleczki — dalej usunąć zarażoną grzybem ziemię na sztych, a może i głębiej, wreszcie zrąbać mur, jeżeli grzyb weń się dostał. Po takiem przygotowaniu trzeba w sąsiedztwie podłogi i gdzie tylko podejrzywa się mur, że mógł być oblęgnięty niteczkami grzyba, wysmarować tenże mur także doskonale gorącem karbolineum. Nową podłogę wypada przynajmniej od spodu napuścić także karbolineum, beleczki pod nią tak samo. Wreszcie w miejsce wybranej ziemi nasypać jednę warstwę suchego żwiru nie piasku, a tuż pod podłogą na cal lub dwa zostawić próżnię, aby powietrze przechodzić mogło wzdłuż podłogi. Dla dostępu powietrza pod podłogą, pozostawia się z boków w murze na zewnątrz otwory 4 cale w kwadrat, zamknięte dziurkowaną blachą. W mieszkaniu — przy murze, bezpośrednio nad owym otworem w murze, robi się w podłodze otwory na 3 cale w kwadrat zabite również dziurkowaną blachą, którą wpuszcza się gładko z powierzchnią podłogi. Stolarz to tak wykona, iż nawet w salonach urządzenie to przeprowadzić można.

Wykonując wszystko, jak przepisano wyżej, z pewną dokładnością ręczyć można za radykalne usunięcie grzyba.

Usuniętą z pod podłogi ziemię, trzeba wywieść na pole.

* * *

Pieśń o strejkach i burżujach. W styczniowym numerze krakowskiej „Krytyki" znajdujemy interesujący artykuł o poezji więziennej w Królestwie Polskiem. Autor artykułu, p. A. Wrzesień przytacza wiele piosenek, śpiewanych przez więźniów. Przytaczamy tu jedną z nich, która — jak podaje autor — ułożoną podobno została przez jednego z literatów:

Tak się martwią cne burżuje,
Jak ten strejk nasz kraj rujnuje,
Oj to bida, oj to bida, oj to to,
Oj bida, bida, niedola!
Stoi warsztat i fabryka
Drzyj tu skórę z robotnika,
Oj to bida etc.
Wzdycha burżuj, klnie dobrodziej,
Takie strejki to w nas godzi!
Oj to bida etc.
Walczcie sobie inną bronią,
Wasze strejki skarby trwonią,
Ludu, własny kraj swój palisz,
Taki strejk — ach! — to paraliż!
My ni nogą już ni ręką,
I śpiewamy chórem cienko.
Już ci poznasz z tych tu zgliszczy,
Jak ten strejk kraj do cna niszczy.
Jak tu słychać śród kozery,
Grzmią tak „Gońce" i „Kurjery".
Tylko kto nie widział słońca,
Ogorzeje od miesiąca.
Jak się znajdzie głupszy który,
Woła: Strzeżcie swej kultury,
My wam zaśpiewamy wzajem,
Stu burżujów nie jest krajem!
Kto kultury nie szanuje,
Woła z nami: Precz burżuje!

* * *

Atlantyda znaleziona. Podanie o zaginionej wyspie siedlisku cywilizacji kwitnącej i dobrobytu, zajmowało stale umysły starożytnych. Platon kilkakrotnie w swych pismach o niej wspomina i głównie dzięki niemu, tradycja o Atlantydzie przechowała się do naszych czasów. Uczeni próbowali określić jej położenie, lecz hypotezy były zarówno sprzeczne, jak nieuzasadnione. Jedni szukali jej w Ameryce, drudzy w Palestynie, inni w Arabji, w Szwecji na Sardynji, na Cejlonie. Obecnie „Times" przynosi nową hypotezę, najbardziej ze wszystkich prawdopodobną. Owa Atlantyda — to Kreta. Jej cywilizacja — to cywilizacja Krety za czasów króla Minosa. Mr. Evans, któremu zawdzięczamy odkrycie dawnej cywilizacji kreteńskiej, odkopał pałac w Konossosie przed 10,000 lat. Ogromne biblioteki z dziesiątkami tabliczek, (jak dotychczas nie odcyfrowanych zupełnie), wspaniałe zabytki i liczne skarby świadczą o bogatej cywilizacji wyspy. Przedewszystkiem utrzymywała wyspa ścisłe stosunki z Egiptem i prawdopodobnie padła ofiarą wyprawy Ramzesa III. Hypoteza jest o tyle prawdopodobną, że wiadomości Platona zaczerpane są ze źródeł egipskich. To, co wiemy o Atlantydzie, o jej położeniu, o cywilizacji i obrządkach religijnych, zgadza się z wynikami poszukiwań na Krecie w zupełności. Nagłe jej zniknięcie z areny dziejów, musiało później otoczyć ją nimbem mytu, a ślady tej katastrofy dają się odnaleźć w podaniu o Minotaurze. Dokładne uzasadnienie tej ciekawej hypotezy musi czekać chwili, kiedy uczeni zdołają odcyfrować alfabet kreteński.

* * *

Martwe Morze służy obecnie za przedmiot gruntownych badań naukowych osobnej ekspedycji, która niedawno wyruszyła do Palestyny. Ekspedycja składa się z 20 przeszło osób, przeważnie z zakonu Dominikanów, a kierują nią profesorowie biblijnej szkoły dominikańskiej w Jerozolimie. Morze Martwe zostanie zbadane pod względem topograficznym, przyrodniczym i archeologicznym. Badania te posuną bardzo dotychczasowe nasze o tem morzu wiadomości, które zebrali Lortet, Wilhelm Rey i Vugüe. Pomiędzy innemi ekspedycja ma orzec, czy i w jakich warunkach możliwem będzie założenie na brzegu Morza Martwego zakładów leczniczych i kąpielowych — woda bowiem tego morza posiada podobno cenne właściwości lecznicze.

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt III na marzec. Treść: Część pierwsza: 1. (f). Czy się odradzamy. — 2. K. Stefański: Rzeczpospolita czy Polska. — 3. Dr. Wł. Gumplowicz: O pojęciu cywilizacji. — 4. Dr. Zofja Daszyńska-Golińska: Dwie kooperatywy. — 5. Andrzej Baumfeld: Religja w nauczaniu i wychowaniu. — 6. Junius: Współcześni politycy polscy. III Wł. Studnicki. — 7. Przegląd: I. Z prasy społeczno-politycznej. II. K. Este: Listy z Królestwa. III. H. Orsza: Ze spraw wychowawczych. IV. Junius: Z trzech zaborów. — 8. Sprawozdania z nowości wydawniczych.

Część druga: 1. St. Wyspiański: Z teki pośmiertnej: To Polska! Polska! to ojczyzna nasza. Do „Nocy Listopadowej". Część muzyczna. — 2. M. Sobeski: Przędziwo Arachny. — 3. A. Szczęsny: Grody obłoków. Dusze słoneczne. 4. St. Antoni Müller: Dyonizos. Nowella. — 5. Kaz. Błeszyński: Przedśmiertne słowa. — 6. Mich. Mutermilch: Listy francuskie. I. Dziś. — 7. Sydor Twerdochlib: Z najmłodszej pieśni ukraińskiej. — 8. Przegląd: I. Z prasy literackiej. II. Bol. Walewski.: Nowa opera polska. III. Gustaw Baumfeld: Teatr polski w Łodzi. IV. Be-Wu: Mieczysław Karłowicz. Wspomnienie. — 9. Sprawozdania: Tres: Nowe powieści. Emil Breiter: B. Shaw, jako krytyk.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

* * *

Nr. 2 (na luty) **„Przewodnika zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Tłomaczenie objawów czyli symptomatów chorób sercowych. — Główne przyczyny częstych chorób serca. — Wskazówki hygieniczne na luty i marzec. — Przestrogi i rady. — Piśmiennictwo.

* * *

„Poradnik teatrów i chórów włościańskich" organ „związku teatrów i chórów włościańskich" przynosi w 12 zeszycie (na grudzień) następującą treść: Od redakcji. — Pacierz za zmarłych. — Sejm krajowy a Teatry włościańskie. — Program wieczorków włościańskich, urządzonych w Lutczy. — Przegląd sztuk do grania. — Ojcowizna. — Korespondencje. — Sprawy związku. — Kronika.

Adres: Lwów. ul. Chodorowskiego 5, I. Rocznie 2 kor.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 11. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 marca 1909.

Ada Negri.

ULICZNIK.

Kiedy go widzę, jak błotnistą drogą
Brudny a śliczny się zwija —
Łachman na grzbiecie, na wiatr goła szyja,
Wpółboso, ani dbając tam o kogo;

Jak między wozy nagością swą widny,
W zdartych porciętach się kręci;
Jak w psy kamienie ciska bez pamięci,
Jak złodziej, srogi już i już bezwstydny;

Gdy widzę, jak się śmieje i weseli,
Biedny kwiatuszek cierniska,
I gdy pomyślę, że dom bez ogniska,
Matka w fabryce — ojciec więzień w celi!

Jakiś mi przestrach tłumi serca bicie,
I pytam: Co będzie z ciebie?
Ty, co bez światła na ziemi i niebie,
Głodny, obdarty idziesz tak wprost w życie?

Za lat dwadzieścia — czem będzie słowiczek
Co dziś tak śpiewa, nieboże?
Siewcą zepsucia, oraczem, czy może
Łotrem dojrzałym na stryczek?

Uczciwą bluzę będziesz miał na grzbiecie,
Czy galerniczną obrożę?
Warsztat, więzienie, czy szpitalne łoże
Zbliży nas znowu, o dziecię?

I zaraz biec chcę na uliczne błoto,
I objąć chłopię w ramiona,
Do serca tuląc, co w smutku mi kona,
Z śmiertelną trwogą, z bolesną pieszczotą.

Pocałunkami chcę okryć moimi
Pierś jego, usta — już zmięte,
I szeptać słowa stłumione i święte,
Siostrzanym głosem, z oczyma łzawymi:

— I jam tak dziko rosła, w nędzy, w brudzie,
I jam cierniska jest kwiatem,
I moją matkę sługą zwali ludzie,
I ja znam boleść! Dziecię, tyś mi bratem!

Władysław Reymont.

Sąd.*)

Naraz drzwi się z hukiem ozwarły, i wiater buchnął na izbę, a z ciemnej sieni jęli się cisnąć chłopi jakąś groźną, milczącą kupą, nie rzekłszy nawet pochwalony, że młynarz jaże łyżkę puścił na stół i, przytrzymawszy lampę, rozbujaną od pędu, wodził po nich zdziwionemi oczyma.

— Coś was sporo! — mruknął.

— A jeszcze więcej czeka na dworze — rzekł Jędrzej, wysuwając się naprzód.

— Sprawę to jaką macie?

— Juści co nie na pogwarę przyślim — ozwał się któryś, drzwi przywierając.

— To siadajcie, migiem skończę kolację.

— Niech wam pójdzie na zdrowie. Poczekamy ździebko...

Młynarz jął pojadać śpiesznie, chlipający, a chłopi usadzili się po ławach, to plecy nagrzewali pod piecem, pilnie jeno spozierając na Jędrzeja, który zasiadł podle stołu i, sparty o niego łokciami, srodze się zadeliberował.

— Psi czas, co? — zagadnął młynarz.

— W marcu, jak w garncu!

— Jak zawżdy przed zwiesną.

I na tem się urwało, że w cichości, jeno młynarzowa łyżka skrzybotała po wrębach, zaś na dworze ktosik o przyciesie buciary obijał z błota, i czasami wiater ciepał się z szumem o ściany, aż pojękiwały, a deszcz bębnił w zapotniałe szyby.

— Jadwiś! — krzyknął młynarz, ocierając garścią wąsiska.

Z bocznej izby jawiła się tęga pannica, wielce urodna i przybrana z miejska, przejrzała bystro chłopów i, zebrawszy miski na naręcze, wyszła, kolebiąc szerokiemi biodrami.

— Cóż to za sprawa? — zaczął młynarz, prztykając w tabakierę.

Ale ni jedna ręka wyciągnęła się do tabaki, bowiem twarze się nagle zmroczyły, jaki taki chrząkał i drapał się frasobliwie, a wszyscy patrzyli w Jędrzeja, któren się wyprostował i, wparłszy blade, nieustępliwe oczy w młynarza, powiedział wolno:

— Przyślim, abyście nam wydali złodziejów...

Młynarz rzucił się w tył, oczy wystrzeszczył, ręce rozwiódł i zabełkotał:

— W imię Ojca i Syna! A skądże to ja wiem?

— Miarkujemy, że wy jedni wiedzieć o nich musicie! — rzekł ciszej Jędrzej i powstał, chłopi się też z ław dźwignęli, a stając kołem, kiej ścianą twardą, wbili w niego chciwe i ostre ślepie, niby te pazury jastrzębie, aże poczerwieniał.

— Przyślim do was po prawdę! — szepnął z mocą Jędrzej.

— I musice nam powiedzieć, musice! — przywtórzyli głucho a srogo.

*) Ze znakomitej powieści Władysława Reymonta p. t. „Chłopi“, pozwalamy sobie przytoczyć ten z niezwykłą siłą napisany ustęp, przedstawiający sąd chłopski nad wsiowymi złodziejami.

— Jaką prawdę? We łbach wam się troi! Skądże to ja mam wiedzieć? Spółkę trzymam ze złodziejami czy co? — gadał prędko, przykręcając światło roztrzęsionemi rękami.

— Wiadomo, żeście poczciwy, ale złodziejów znacie. Jakże? Ukradli wam jesienią konie, a wy nic, ukradli wam niedawno pieniądze, złapaliście pono nawet w komorze, a wy znowu nic, ani do sądu żeście nie podali, ni nawet strażnikowi nie powiedzieli.

— A po co? żeby jeszcze dołożyć? Cóż mi pomoże sąd albo strażniki? Złapią pewnie ten wiater w polu i na postronku mi go przywiedą. Niech im ta na sądzie ostatecznym zapłacą za moją krzywdę.

— Z tego jeno to widać, że się boicie wydać złodziejów.

Bym wiedział, to darowałbym straty i nie wydał? Darmo mi pewnie...

— A wy cięgiem jedno w kółko — przerwał mu ostro Jędrzej. — Nie na sprzeciwy z wami przyślim, jeno po prawdę, a że nam pilno, bo tam cały naród czeka na dworze i po chałupach, to po przyjacielsku prosimy, powiedzcie, kto wam ukradł pieniądze.

— Żebym wiedział, to jużby o tem sądy wiedziały i cała wieś — tłómaczył się żarliwie, z trwogą patrząc na zacięte, podejrzliwe twarze, ale Jędrzej rzucił się niecierpliwie, błysnął groźnie oczami, a przytrzymując go niechcący za orzydle, rzekł krótko i twardo:

— Coście rzekli, nieprawda! Ale jak na to przysięgniecie w kościele, wiarę damy i ostawimy was w spokoju.

Młynarz aże przysiadł i gadał niby to ze śmiechem:

— He! he! żarty, widzę, się was trzymają, jakby w zapusty... pewnie, jak do kogo przejdziecie hurmą, a zniewolicie kijami, to gotów wam przysięgać na wszystko, co jeno zechcecie... Prawdę wam mówię, nie wiem nic i żadnych złodziejów nie znam. Chcecie, to wierzcie, a nie to nie, ale do przysięgania mnie nie zmusicie, boście nie sąd... — podniósł się, bardzo tocząc oczami.

— A właśnie, sądem tu przyślim, sprawiedliwie karzącym! — powiedział Jędrzej tak mocno, że młynarz porwał się zestraszony, nie mogąc nawet słowa wykrztusić.

Chłopi stali w ponurej cichości, wpatrzeni w niego rozgorzałemi ślepiami, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, a tak groźni, tak pełni jakiejś srogiej powagi, że nie wiedział, co począć, jeno rzęsisty pot ścierał z łysiny, i latał przerażonemi oczami po ich twarzach zaciętych i nieustępliwych, zrozumiał bowiem, że to nie przelewki, że to się coś strasznego zaczyna.

Przysiadł wreszcie na ławie i, zażywając raz po raz tabaki, skrzepiał się, by coś postanowić, gdy Jędrzej przystąpił do niego i rzekł uroczyście:

— I prawdy wyznać nie chcecie, przysięgać wam straszne. Z tego prosto wychodzi, żeście ze złodziejami w zmowie!

Kieby piorun pobok trzasnął, zerwał się tak gwałtownie, jaże ławka rymnęła na podłogę.

— Jezus, Marja! Ja w spółce ze złodziejami! Mnie to powiadacie!

— Rzekłem i jeszcze przywtórzę.

— I my powtórzym to samo! — huknęli społem i wszystkie ręce groźnie wychlusnęły ku niemu, a srogie twarze pochyliły się, kiej te ostre, sępie dzioby, gotowe do darcia.

Ale na hałas wpadła Jadwiś i stanęła jak wryta.

— Co się tu wyprawia? — pytała zalękniona.

Opadły pięście, zaczęli chrząkać, a ktosik powiedział gniewnie:

— Nic tu po babach, podsłucha i z ozorem poleci.

— Niech sobie idzie, skąd przyszła.

— Gęsi macać, a nie w chłopskie sprawy nos wtykać! — wrzeli coraz głośniej, że Jadwiś srodze rozgniewana, wybiegła, trzasnąwszy drzwiami.

Zaś Jędrzej, wytrząchając ręką, znowu rzekł:

— To mówię wam, młynarzu, co przyszła już pora sądzić i karać!

— I robić porządek na świecie.

— I złe wypleniać, a zaprowadzać sprawiedliwość — padały groźne, ciężkie słowa, i zaciśnięte pięście trzęsły się przed jego twarzą posiniałą.

— Bójcie się Boga! Ludzie, czego wy chcecie? Cóżem to winien? — jąkał wystraszony, obzierając się na wszystkie strony, ale Jędrzej, nie bacząc na niego, jął mówić prędko, cicho i tak twardo, jaże mróz przechodził:

— Kiej wyznać nie chce, winien i na sąd go bierzta, chłopy, pod kościół... Na sąd pójdą wszyscy, którzy naród krzywdzili, na sąd sprawiedliwy i na ciężką karę. Bierzta go, chłopy!

— Jezus, Marja! Ludzie!... — bełkotał w trwodze śmiertelnej, rozglądając się nieprzytomnie, gdyż chłopi ruszyli ławą ku niemu. — Ludzie... jakże to powiem?... Przysiągłem. Spalą mnie albo zabiją, jak wydam... Jezu miłosierny! Puście mnie! Powiem wszystko, powiem! — charczał, bo go już chyciło kilkanaście rąk i wlekło do drzwi.

Długo nie mógł przemówić, zwalił się na stół i dyszał, otoczyli go, ktosik mu wody dał się napić, a drudzy mówili przyjaźnie:

— Nie bójcie się niczego, kto z narodem idzie, temu włos z głowy nie spadnie.

— Jeno całą prawdę wyznajcie.

— Wiedzielim, żeście poczciwy i zbójów nazwiecie.

Młynarz wił się w sobie, kiej ten piskorz przydeptany, ognie go przejmowały i mrozy lute, bladł bowiem i czerwieniał naprzemian, naraz wyprostował się, gotowy już na wszystko, ale nim rzekł, zajrzał do sąsiedniej izby.

Jadwiś mignęła we drzwiach, jakby odskakując z podsłuchów, a potem wyjrzał oknem na świat i dopiero, stanąwszy przed gromadą, przeżegnał się i szepnął:

— Jak na świętej spowiedzi mówię prawdę, że oba Gajdy i Starszy.

Cichość padła, stanęli, kiej wryci, przezierając po sobie w zdumieniu, że jeno wznosiły się sapania i przydechy chrzypiące, aż pierwszy Jędrzej się ozwał:

— Jakeśmy i miarkowali, jeno pewności nie było. Ale teraz wiemy już, co nam potrza. Wiemy, psiachmać! A, zbóje piekielne — gruchnął pięścią w stół. — Trza chwasty wyrwać z korzeniami, bych się nie rozpleniły. Oba Gajdy, ojciec ze synaczkiem, a na trzeciego Starszy? Ano, to w imię Boże pójdziemy do nich, a wy, panie młynarzu, z nami, byście im z prawdą stanęli do oczów...

— A pójdę i rzeknę! Jakby mi kamień spadł z piersi. A stanę i powiem, jako są zbóje i złodzieje. Boże, wiedziałem, co wyprawiają, a bałem się pisnąć słówka. Ażeby was kołem łamali za mój grzech, toć w oczy wstydziłem się ludziom patrzeć, jak wyrzekali za złodziejstwa... Szelmy, konie mi wyprowadzili, okup dałem przez Starszego... nie oddali... A potem zdybałem ich w komorze... wyłuskali mnie co do grosza... nożem zagrozili... jeszcze musiałem przysięgać, że ich nie wydam! O zbóje!

— Cała okolica cierpiała przez nich.

— Wiela to koni wzięli ludziom, wiela krów, wiela dobra!

— Mogli wszystko, bo Starszy patrzał przez palce i dzielił się...

— Balowali se naszym kosztem, niechże teraz zapłacą...

— Kiej wszyscy mówią, to i ja rzeknę — wyrwał się któryś — oto wiem, że księdza za te śluby, co je dawał Podlasiakom, Gajdy wydały naczelnikowi...

— Cie... księdza nawet zdradzili.

— To i panny z poczty, co dzieci nauczały, też oni wydać musieli?

— A oni! oni! wiadomo — przytwierdzał młynarz zajadle.

— To i tych żydów w lesie nie kto inszy oporządził.

— A juści, że Gajdy! A oni!... Ścierwy! Zdrajce... Zbóje... — jęli wymyślać, kląć, tupać a trzaskać kijami, gniew srożył się w sercach i ponosił, ślepie gorzały, a zaciśnięte pięści trzęsły się nad głowami.

— Skończyć z nimi! pokarać psubratów! Na sąd ich! na sąd...

— To chodźmy prędzej, by nam nie uciekli — wołał Jędrzej.

— Pasy drzeć z takich.

— I kołami, jak psów wściekłych, zakatrupić! — pokrzykiwali, tłocząc się we drzwiach.

Młynarz zgasił światło i poszedł z drugimi.

A skoro się jeno wysypali przed dom, Jadwiś wybiegła przyczajona pod ścianą, patrzyła wylękle, kaj się to wleką w taką noc i po co?

Bo noc była prawdziwie marcowa, zimna, wietrzna i mokra. Skołtunione ciemnice oblatały cały świat, deszcz ze śniegiem zacinał w twarze, aż dech zapierało, wiater przelewał się po sadach i podwiewał ze wszystkich stron, a z pól przemiękłych, kaj się jeno z czarniawy bieliły grzbiety zagonów ośnieżonych, ciągnął wilgotny zamróz i przejmował ziąbem do szpiku, ale chłopi, nie bacząc na porę przygniłą, szli ostro i mocno, jaże się błoto roztwierało pod nogami. Ciągnęli chyłkiem, gęsiego, pobok niskich chałup, co, kiej kumy utrudzone, przysiadły nade drogą, kuląc się w sadach, że jeno dachy ośnieżone, niby te czepce białe, widniały skróś drzewin rozkołysanych.

Jędrzej szedł na przodzie i z cicha zarządzał, że co trochę ktosik wyrywał się z rzędu, leciał do okien bił pięścią i wołał:

— Wychodź! Pora!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Darwinizm.

Darwinizmem nazywamy teorję — jeśli nie samodzielnie przez sławnego przyrodnika angielskiego Karola Darwina postawioną, to w każdym razie przez niego sumiennie, wyczerpująco i jasno ujętą — teorję, tłomaczącą konieczne, nieugięte prawa, rządzące rozwojem organizmów na ziemi. I tak przez wskazanie tych praw oraz podanie naturalnych przyczyn rozwojowych zjawisk przyrody, przeciwstawił się Darwin mistycznemu sposobowi patrzenia na świat i życie. Oto dlaczego dziełami swemi wywołał i do dziś dnia wywołuje protesty u ludzi, przesiąkniętych mistycyzmem i cudownością.

Darwin rozwinął dwie teorje, a to rozróżnienie dwóch teorji jest nader ważne. Zasadniczą i tą, którą powinniśmy zawsze mieć na myśli, mówiąc pokrótce: „teorja Darwina", jest tak zwana teorja ewolucyjna czyli rozwojowa, nazwana także descendencyjną czyli pochodną. Druga: to teorja selekcji czyli teorja doboru naturalnego. Rozpatrzmy z kolei obie.

Pierwsza teorja ewolucyjna — rdzeń darwinizmu — mówi nam, jak powstawały ożywione formy, jak się istoty żyjące zwolna i stopniowo poprzez wiekowy okres czasu zmieniały i rozwijały; jak się poprzez lat miljony nieznacznie, powoli przekształcały z niższych istot żyjących w wyższe.

Podobnie pojmowało i przed Darwinem wiele filozofów i przyrodników rozwój form żyjących; ograniczymy się w tym krótkim szkicu do wymienienia tylko jednego z najwybitniejszych poprzedników Darwina, francuza Jana Lamarck'a.

Nie zatrzymując się więc dłużej nad historyczną częścią tej nauki, zapytajmy: jakie dowody przemawiają za słusznością teorji rozwoju? Co przytoczyć możemy na poparcie tej tezy długowiekowego, powolnego, postępowego rozwoju i przeobrażania się istot żyjących? Dlaczego nie przyjmiemy raczej za podstawę naszych w tym kierunku mniemań — powstanie jednorazowe, nagłe, cudowne, gotowych już gatunków zwierzęcych?

Z niezmiernie licznych faktów dowodowych, świadczących na korzyść teorji ewolucyjnej, podamy najważniejsze.

Obserwując świat roślinny i zwierzęcy, widzimy, że warunki świata zewnętrznego wywierają olbrzymi wpływ na istoty żyjące. Jeśli te warunki zewnętrzne są normalne to i rozwój normalny organizmu może być osiągnięty. Zmieńmy te normalne warunki i mniej dajmy np. światła żyjącej istocie, mniej ciepła, niestosowne pożywienie i t. p., a już przez to samo zmienimy normalny tryb życia danego zwierzęcia czy rośliny. Jestestwa te zmienią się, przystosowując się do nowych warunków bytu. Wystarczy uprzytomnić sobie te olbrzymie zmiany warunków zewnętrznych, jakie zachodziły w ciągu długich, gieologicznych okresów na ziemi, aby sobie uświadomić, do jakiego stopnia musiały zmieniać się równocześnie istoty żyjące. Oto dlaczego nie możemy uznać jednorazowego powstania jestestw stałych, gotowych, niezmiennych, natomiast uznać musimy ich stopniowy, powolny, postępowy rozwój (stąd nazwa: „teorja rozwoju").

Doniosłe i nadzwyczaj ciekawe dowody na korzyść teorji ewolucyjnej podaje nam tak zwane prawo biogienetyczne (E. Häckel). Dało się mianowicie sprawdzić, że zarodek niektórych zwierząt, dojrzewając, powtarza w swoim indywidualnym stopniowym rozwoju te fazy i zmiany, przez jakie przechodziły przodki jego w poprzedzającym, długim okresie czasu. Np. jedna z form rozwojowych żaby, t. zw. kijanka oddecha skrzelami; z czasem skrzela znikają a wytwarzają się płuca. Możemy z tych pojedyńczych stadjów rozwojowych — opierając się na prawie biogienetycznem — wyciągnąć wniosek o pochodzeniu żaby; możemy ogólnie wnioskować, że różnorakie formy zwierzęce rozwijały się z siebie, że się przeobrażały (stąd druga nazwa: „teorja descendencyjna" czyli pochodna).

Do bardzo ważnych dowodów na poparcie teorji ewolucyjnej należą t. zw. organy szczątkowe. Są to organa, które u przodków były bardziej rozwinięte, u potomków zaś są w stanie zaniku i to albo zdolne wykonywać czynności w sposób niezupełny (u człowieka np. jedenasta i dwunasta para żeber, ślepa kiszka i t. p.) albo zupełnie nieużyteczne (np. kość ogonowa, trzynasta para żeber u dorosłego, mięśnie ucha, i t. p.) Istnienie tych szczątkowych organów tłomaczy się tem, że tylko organa użyteczne przekazują się i zachowują, natomiast organa, których się nie używa więcej z powodu zmienionego trybu życia — zanikają zwolna (np. oczy u zwierząt, żyjących w ciemnych jaskiniach). O czem świadczą tedy te organa? Czyż nie o zdolności organizmów do przystosowywania się do warunków bytu? A oprócz tego są one dokumentami, odsłaniającymi rodowód organizmów, bo są śladami organów, które ongiś spełniały użyteczne czynności u przodków.

Poparta niezmierną ilością faktów, teorja ewolucji tłomaczy nam powstanie bogactwa form zwierzęcych i roślinnych na ziemi.

Wykopaliny najróżnorodniejszych form zwierzęcych, dziś już nie istniejących — potwierdzają na prawdzie oparte twierdzenia ewolucjonistów.

Tej teorji rozwoju przeciwstawiają się rozmaite hipotezy mutacyjne, to znaczy wierzenia w jednorazowe, nagłe stworzenie skończonych i gotowych organizmów. Rośliny i zwierzęta z tego punktu widzenia uważane są za twory niezmienne.

Ta cudowna legienda o stworzeniu świata nie wnika w zawiły związek zjawisk życiowych, nie wskazuje przyczyn, nie odkrywa koniecznych praw.

To zadanie przypada w udziale teorji rozwoju.

Druga teorja Darwina, teorja selekcji czyli doboru naturalnego, jest uzupełnieniem niejako i tłomaczeniem ewolucji. Darwin zastanawia się mianowicie nad przyczyną wspomnianego rozwoju organizmów. Jako przyczynę podaje: walkę o byt. Z powodu tej walki o byt zachowują się przy życiu tylko te organizmy, które są lepiej uposażone, odporniejsze na warunki zewnetrzne. Te dodatnie znamiona drogą dziedziczności przekazują się i w następnych pokoleniach wzmacniają się jeszcze. Słabsze organizmy giną.

Ta teorja, teorja doboru naturalnego — nie teorja ewolucji — jest dziś jeszcze dyskutowana.

Ważnem dla Darwina zagadnieniem było pochodzenie człowieka. Zrozumienie tej kwestji pozwoli nam wyrobić sobie pogląd na stanowisko człowieka w przyrodzie.

Jeśli porównamy człowieka co do rozwoju, co do budowy szkieletu, mięśni i organów wewnętrznych — z pewną grupą małp t. zw. małpami wyższemi, antropomorficznemi czyli człekokształtnemi (goryl, szympans, orangutan, gibon) — to odnajdziemy uderzające podobieństwo w wielkich i drobnych szczegółach. Uczony angielski Huxley mówi, że „różnice między człowiekiem a gorylem są mniejsze niż te, które zachodzą między gorylem a innemi małpami". Pomiędzy gatunkiem ludzkim a małpami antropomorficznemi istnieje nietylko ta powierzchowna analogja co do budowy ciała i organów, ale — co jest rzeczą niezmiernie ważną —

istnieje i głębsze, wewnętrzne powinowactwo, pokrewieństwo krwi.

Nie możemy w tym krótkim szkicu przedstawić metody, na mocy której ta tak doniosła wiadomość została zdobyta; zaznaczmy jednak, że przeprowadzona z całą ścisłością jest ta metoda stosowaną bardzo skutecznie w medycynie sądowej, gdzie chodzić może np. o zbadanie czy plama jakaś pochodzi z krwi ludzkiej.

A więc — niewątpliwie — człowiek jest zwierzęciem z działu naczelnych (prymatów), spokrewnionem z dzisiejszemi małpami wyższemi.

Wspomniane już powyżej prawo biogienetyczne — łącznie z teorją ewolucji — pozwala nam na wnioski jeszcze ciekawsze. I tak zarodek ludzki w pewnem swem stadjum rozwojowem wykazuje... skrzela, które później zanikają. Świadczy to o pokrewieństwie człowieka z rybami. Ryba jednak nie przedstawia nam wcale praformy zwierzęcej. Najniższe twory — ameby, bakterje — są organizmami elementarnymi czyli jednokomórkowymi. I jajo zwierząt ssących — z którego powstać może zarodek — jest tylko jedną komórką.

Od ameby, gołem okiem niewidzialnej, aż do człowieka, dokonał się rozwój.

Przez niższe twory przeszła organizacja człowieka. Posiada ona w swojej budowie liczne ślady przebytej drogi. „Nadzwyczajna liczba organów szczątkowych u człowieka, daje jeden jeszcze dowód jego pochodzenia zwierzęcego i oddaje do rozporządzenia wiedzy: dane wielkiego znaczenia dla filozoficznego pojęcia natury ludzkiej". (Miecznikow).

Wstecz patrzącemu oku myśliciela uwidaczniają się stadja długiej, odwiecznej, przebytej drogi, a naprzód w przyszłość patrzącemu: postępowy rozwój w równej mierze.

„Głos". Józef Bl—g.

Ruchy ziemi.

Astronom francuski Kamil Flammarion donosi w „New Jork Herald" o nowem odkryciu naukowem, które zachwiewa legiendą, jakoby ląd stały na ziemi był czemś niewzruszonem. Dotychczas sądzono, że przypływ i odpływ ogranicza się tylko do morza. Jak wiadomo podnosi się dwa razy dziennie woda morska pod wpływem przyciągania księżyca i słońca. Na podstawie długoletnich badań doszedł astronom Hecker w Potsdamie do przekonania, że przyciąganie księżyca i słońca oddziaływa także i na ląd stały. Ląd stały podnosi się dwa razy dziennie blisko o 20 cm. Nasuwa się pytanie, dlaczego nie możemy bezpośrednio zaobserwować tych ruchów. Oto dlatego, że podnosi się całe otoczenie, wobec czego nie mamy żadnego stałego punktu, na którym moglibyśmy ruch ten mierzyć. Tak samo nie możemy obserwować przypływu i odpływu na pełnem morzu. Dopiero przy brzegu możemy zaobserwować zmianę wysokości powierzchni morza.

Znamy już 12 niewidzialnych dla nas ruchów ziemi, których większość jest dla naszego życia rozstrzygającą. Znaliśmy dotychczas:

1. Codzienny obrót ziemi (rotację) naokoło swej osi w 24 godzinach 56 minutach.
2. Roczny obrót ziemi (rewolucję) naokoło słońca w 365 dniach i 6 godzinach.
3. Posuwanie się zrównań dnia i nocy w 25 765 latach.
4. Miesięczny obrót ziemi naokoło centrum grawitacyjnego ziemi i księżyca.
5. Zmiany wywołane przyciąganiem księżyca, zachodzące w $18^1/_2$ lat.
6. Stuletnie zmiany pochyłości ekliptyki.
7. Stuletnie zmiany oddalenia środka drogi ziemskiej od słońca.
8. Przesunięcie największej osi drogi ziemskiej odbywające się w ciągu 21 000 lat.
9. Zmiany, powstające przez zmienne przyciąganie planet.
10. Zmiany centrum grawitacyjnego systemu słonecznego, około którego ziemia w ciągu roku się obraca.
11. Ogólny ruch systemu słonecznego w kierunku gwiazdy Pi, konstelacji Herkulesa.
12. Ruch biegunów ziemskich, których wahania się wynoszą około 12 metrów.

Z powyższego zestawienia widać, jak bardzo nauka odbiegła od dawniejszych twierdzeń, wedle których ziemia była czemś absolutnie stałem i niewzruszonem.

Rozmaitości

Niebezpieczna przygoda. W pewnym wiedeńskim teatrzyku występowała tancerka indyjska, która podczas tańca obwijała się olbrzymim wężem. Przez kilka wieczorów artystka zauważyła, że wąż więcej ją ściskał, niż zwykle, skoro to uczuwała, chwytała zaraz głowę węża i silnie ją ściskała. Wreszcie podczas jednego przedstawienia opasywania węża stały się jej nieznośnemi, wąż usiłował ją zgnieść, a artystka tylko z wielkim wysiłkiem poskromiła swą niewdzięczną ozdobę. Chwyciła węża rzucającego się wściekle za głowę i trzymała tak długo, dopóki nie nadbiegli posługiwacze. Kazała urżnąć wężowi głowę, gdyż obawiała się występować z tak niebezpiecznem stworzeniem.

* * *

Smierć z głodu. Do Algieru w Afryce przybył parowiec „Austria", który przywiózł ze sobą łódź ratunkową z pięciu trupami ludzkimi. Jak przypuszczają, chodzi tu o łódź ratunkową z okrętu żaglowego „Kondor", który zatonął. Część załogi „Kondora" uratowała się do łodzi ratunkowej, lecz nie mając skądinąd ratunku, umarli z głodu na morzu.

Z literatury i sztuki

Aleksander Charpentier. W Paryżu zmarł w wieku lat 53 znakomity rzeźbiarz francuski Aleksander Charpentier.

Pochodząc z rodziny robotniczej, dużo musiał zwalczać trudności, nim udało mu się wstąpić do akademji sztuk pięknych. Pomimo jednak niedostatku i ciężkiej pracy zarobkowej, szybko zdobył uznanie w świecie artystycznym swojemi miniaturowemi wypukłorzeźbami na bronzie i w cynie. Zaniedbaną w nowszych czasach sztukę plakiety podniósł znowu na wyżyny artyzmu; niemal wszystkie znakomitości współczesne były przezeń w ten sposób portretowane.

Wielkie jego prace, do których czerpał tematy głównie z życia robotniczego, zdobyły mu słusznie nazwę „artysty proletarjatu". Szczególnie zasługuje na uwagę najlepsza jego kolosalna płaskorzeźba „Chleb", znajdująca się na „Place St. Germain-des-Près. Drugiem, najbardziej znanem jego dziełem jest grupa pomnikowa na cmentarzu Montmartre.

Zmarły artysta pod względem ideowym stał bardzo blisko obozu socjalistycznego i brał czynny udział w pracach kulturalnych partji. Kiedy Antoine założył swoją wolną scenę, Charpentier stał się jednym z najgorliwszych jego współpracowników w kierunku odnowienia i zdemokratyzowania teatru.

Ostatnio był wraz ze znakomitym belgijskim rzeźbiarzem Meunierem, również niedawno zmarłym i tak samo „artystą proletarjatu", powołany do stworzenia pomnika Zoli. Dzieło to nie zostało doprowadzone do końca.

Charpentier był także członkiem sądu konkursowego, drogą zaproszeń mianowanego przez komitet budowy pomnika Chopina w Warszawie.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 12. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 20 marca 1909.

Adam Asnyk.

NIE MÓW.

Nie mów! chociażbyś miał zginąć z pragnienia,
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów! — chociażbyś umierał z tęsknoty,
Że niema czystej miłości na ziemi:
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając biednemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu — marą jest zwodniczą!
Zdrój czystych uciech innym będzie szumiał
I inne serce poił swą słodyczą!

Władysław Reymont.

Sąd.

(Ciąg dalszy.)

Wnet gasły światła, i drzwi skrzypiały, a czarne cienie sunęły z pod chałup i, macając kijami drogę, łączyły się z gromadą w cichości.

Szli coraz gęściej i ostrożniej, pilnie bacząc na wszystkie strony.

Naraz Jędrzej obejrzał się lękliwie, bowiem wyraźnie dosłyszał chlapanie błota, jakby ktoś leciał za nimi, a jakiś cień przesunął się chyłkiem pod płotami, lecz skoro przystanęli, wszystko ucichło i przepadło, wiater jeno szumiał, i psy kajś nie kaj z pod przyźb naszczekiwały zajadle.

Ruszyli jeszcze wolniej, ale niejeden już się żegnał trwożliwie, niejeden wzdychał, a niejednemu mróz przechodził kości, mimo to nikt nie wyrzekł ani słowa, ni też się cofnął, parli się jednakowo naprzód, niby ta niepowstrzymana groźna chmura, co to, ciągnąc zwolna, rośnie w cichości, nim raptem trzaśnie piorunem lub gradem ziemię stratuje.

Ale gdy wymijali karczmę, rzęsiście oświetloną, jaki taki pociągał nosem wiatru lubego i chciał wstąpić na rozgrzewkę, jeno Jędrzej nie popuścił nikogo, zagarnął wszystkich w kupę i wywiódł na środek drogi, bo prawie obok stał ano dom strażnikowy. Już z daleka bielały jego ściany, a przez okna rozjarzone huczała skoczna nuta harmoniki.

Wstrzymali się naprzeciw, prawie dech tając, zaś Jędrzej szeptał parobkom:

— Pilnujcie dobrze, jak jeno uderzą dzwony, to kupą do izby i zaraz go z miejsca za łeb i w postronki. Jeno niech się wam nie wypsnie, narobiłby biedy... A cicho, by się nie spłoszył.

Kilkunastu parobków rozpełzło się milczkiem w ciemnościach.

Gromada zaś ruszyła już prosto i prędzej, na wielki plac, leżący w końcu wsi, kaj jeno błyszczało parę światełek, a we wyrwie między niemi, na tle pól ośnieżonych, wynosiły się mury kościoła wraz z gąszczem drzew, niby góra ciemniejąca i ździebko rozkolebana od wiatru.

Dom Gajdów stał pobok kościoła, jeno nieco od drogi i przysłonięty sporym sadem, że światła okien wierciły się skroś gęstych krzy i gałęzi, kiej wilcze ślepie; nawrócili już prosto ku niemu, ale że błoto było miejscami po kolana, że kałuże rozlewały się, kiej stawy, i kępy zlodowaciałego śniegu zagradzały drogę, to szli noga za nogą, wymijając przeszkody, kołując i jakby z rozmysłem nakładając drogi, ale mimo to w jakieś Zdrowaś przystanęli pod płotem. Jędrzej zalecił cichotę i sam, chyłkiem, bokami podsunął się pod okna i zajrzał.

W białej, a sporej izbie, obwieszonej obrazami, świeciła się lampa, zwieszona od pułapu, a pod nią, przy stole, siedziało kilkoro ludzi, jedząc kolację i pogwarzając z cicha. Na kominie buzował się tęgi ogień, że pół izby tonęło w czerwonych blaskach, a jakaś dziewczyna chodziła, huśtając na ręku dziecko rozkrzyczane...

— Są w domu, są — szepnął Jędrzej, wróciwszy do gromady, trząsł się cały i ledwie zipał, ledwie poradził mówić, by połowa ludzi poszła, strzegąc dom od strony pól i podwórza.

Ale wnet, ochłonąwszy, ruszył śmiało w opłotki, już podchodzili do ganku, gdy gdzieś w podwórzu psy zaskkowyczały tak żałośnie, iż jęli przystawać.

— To nasi sprawiają się z nimi. Chodźmy! A jakby się bronili, kijami hyclów, nie żałować! — szepnął Jędrzej, pociągnął młynarza, przeżegnał się i wszedł ostro do sieni, chłopi parli się tuż za nim, ramię przy ramieniu.

Weszli do izby hurmą, mocno a posępnie.

Rumor się uczynił, Gajdy porwali się od stołu z rozdziawionemi gębami, lecz w mig stary pierwszy się opamiętał, opadł na stołek, pociągnął syna i zawołał, niby to z prześmiechem przyjacielstwa:

— Witajcie! Ho! ho! jakie goście! i młynarz! i Jędrzej! Cała kompanja.

— Siadajcie, gospodarze! — dorzucił Gajdziak, obiegając wystrachanemi ślepiemi chłopów, bezwolnie sięgając łyżką po jedzenie.

Ale nikto nie przysiadł, ni rękę wyciągał do przywitania, stanęli, kiej słupy, bez ruchu, tylko Jędrzej się wysunął i rzekł surowo:

— Ostawcie jadło, mamy pilniejsze sprawy.

— Sprawy? Nam pilniejsza kolacja! — warknął hardo stary.

— Mówię ci, ostaw, to ostaw! — zagrzmiał Jędrzej.

— Cie... jaki naczelnik... w cudzej chałupie rozkazuje...

— A rozkazuję, i posłuchać musisz, hyclu jeden!

Gajdy skoczyły na równe nogi, strach ich obleciał, pobledli, łby się im trzęsły, ale szczerzyli ostre kły, kiej wilki, gotowe na wszystko.

— Czego chcecie? — spytał młodszy zduszonym, syczącym głosem.

— Sądu na was, zbóje, i kary! — krzyknął strasznie

Jędrzej. Te słowa zwaliły się na nich, kiej pułap, że pochylili się ździebko.

Luta cichość wionęła tchem śmierci, że na mgnienie zamarły nawet oddechy, dzieciak jeno płakał coraz głośniej, ale naraz, raptem Gajdy rzuciły się ku drzwiom, młodszy błysnął nożem, a stary porwał siekierę, lecz nim zdążyli uderzyć, chłopy runęły na nich, kiej burza, kije spadły z głuchym trzaskiem, kilkadziesiąt rąk chyciło za łby, za orzydla, za szpondry a karki i wyrwało ich z miejsca, kiej te krze nikłe.

Wichura się zakręciła po izbie, krzyk się zerwał i rumor, stołki, ławy, a sprzęty poleciały na wszystkie strony, kobiety uderzyły w płacz, zwił się kłąb i wśród przekleństw, szamotań i ryków zwalił się na podłogę, zakotłował, przetoczył, raz i drugi ciepnął się o ściany i rozprysnął.

Gajdy leżeli na ziemi, skrępowani w powrozy, niby barany, ryczeli z całych sił, szarpiąc się a klnąc straszliwie.

— Pod kościół z nimi, tam ich osądzim — rozkazał Jędrzej.

Wyciągnęli ich z chałupy i prawie wlekli przez plac, gęsto popędzając kijami, bo się opierali, krzycząc w niebogłosy, kobiety leciały po bokach, lamentując i skamląc o zmiłowanie, że odpędzali je nogami, kiej suki.

— We dzwon bić, niech się cała wieś zbierze! — krzyknął młynarz.

Śnieg jął sypać gęsty, iż na świecie widniej się stało. Dzwon zahuczał głucho, jak na pożar, i już bił bezustanku, posępnie i strasznie, i aże wrony porwały się z dzwonnicy z krakaniem, kołując nad kościołem, a od wsi leciały z krzykiem całą gromadą kobiety i dzieci.

— Ludzie, zmiłujcie się! Ratunku! Loboga! — ryczały Gajdy, szarpiąc się rozpaczliwie, ale nikt im nie odpowiadał, cała gromada szła w głębokiem milczeniu. W cichości tej weszli na cmentarz i rzucili powiązanych przed próg kościelny.

— Cośmy winni? Za co? Ratunku! — znowu zakrzyczeli, usiłując powstać, ale czyjeś nogi spadły na nich, że się zwalili, kiej kłody, przeklinając i grożąc zemstą straszną wsi całej.

Zaś Jędrzej stanął na progu kościoła, wsparł się grzbietem o drzwi, zdjął czapę i zawołał wielkim głosem:

— Braty rodzone, polaki!

Umilkły babie wrzaski, naród się zwarł kołem, a przychylając głowy, gdyż śnieg bił gęsty i mokry, słuchał uważnie.

— To wam powiem, bracia: jako na wiosnę gospodarz wychodzi z broną ostrą na podorówkę jesienną, bych ją z chwastów oczyścić przodzi, nim dorodne ziarno rzuci na plon, tako i na świecie pora teraz nastaje, by złe wypleniać... Już się do tego przykładają po drugich gminach i parafjach: już wypędzili pisarza w Olszy, zabili złodziejów we Woli, a wygnali z Grabicy. I sami se to robią, sami, bo już takie złe urządzenie jest na świecie, że ty chłopy pracuj, gnaty wyciągaj, podatki płać, rekruta dawaj, a jak ci się krzywda dzieje, to ci jeno ten Bóg ostaje, albo to próżne skamłanie.

— Oj prawda! prawda! — przytwierdzieli, wzdychając.

— To wam mówię, jako już przyszedł czas, co naród niema się oglądać na nikogo, jeno sam na siebie! Sam se radzić musi, sam bronić przed krzywdą i sam se brać sprawiedliwość! Czekalim długie lata i cierpielim od wszelkiego złego, a nikto nas nie poratował i nie wspomógł! Jakże, sądy nie la sprawiedliwych, urzędy nie la chłopów, opieka nie la pokrzywdzonych! To każden wie, któren rozum ma. Kieć już rady jenszej niema, jeno robić tak, jako drugie wsie robią.

— Zabić ścierwy! Zakatrupić! Koniami rozedrzeć! — jęli zaraz wykrzykiwać zapamiętale, rzucając się z kijami na Gajdów.

— Cichojcie! Stójcież, psiekrwie! — ryknął Jędrzej, osłaniając ich sobą. — Poczekajcie! Wiadomo, że zbóje to, złodzieje i zdrajce, których trzeba pokarać, ale przódzi któren co ma do nich, niechaj oblicznie wystąpi, a powie im do oczów. Sąd tu bowiem robimy, a nie zbójectwo. Nie na pomstę ich wzielim, jeno na karę sprawiedliwą.

Skłębił się naród, bo jakoś nieraźno było każdemu wysuwać się na pierwszego, gwar huknął, wszyscy naraz mówić zaczęli, wypominać swoje krzywdy, a cisnąć się groźnie do powiązanych; dopiero młynarz wystąpił naprzód, rękę podniósł i rzekł uroczyście:

— Świadczę przed Bogiem i ludźmi jako ukradli mi konie i czterysta rubli. Złapałem ich... Nożem zmusili mnie przysięgać, że ich nie wydam! Pomstą zagrozili. Zbóje to są najgorsze!

— A ja świadczę, co Gajdy ukradli mi krowę — rzekł drugi.

— A mnie wzięli maciorę.

— A mnie kobyłę ze źrebięciem — świadczyli podobnie.

Naród słuchał w groźnej cichości.

Śnieg z nagła ustał, natomiast wiater rozbijał się o kościół i targał drzewami, jaże się przyginały z jękiem, po niebie leciały wielkie, bure chmury, zaś głosy oskarżeń, mocne a ciężkie, padały nieustannie, że już chwilami zrywał się z tłumu pomruk złowieszczy i trzask kijów, lub Gajdy krzyczały:

— Nieprawda. Przez złość świadczy! To wzieni złodzieje z Woli! Nie wierzcie!

Ale stawali coraz nowi, a coraz cięższe rzeczy powiadali.

A na ostatku wypomnieli im żydów pozabijanych, wypomnieli te panny wydane i księdza zdradzonego i podpalenie jakieś i pijatyki ze strażnikami i niechodzenie do kościoła, jakie kto wiedział grzechy, zbierał skwapnie, a walił z wściekłością na ich głowy skowyczące, że już straszny wrzask się uczynił, gdyż jeden przez drugiego krzyczeli, a każden pomstował i klął, każden się srożył i każden darł się do bicia, jaże Jędrzej, nie mogąc ich powstrzymać, wrzasnął rozgniewany:

— A zawryjcież pyski, bym swoje powiedział.

Jakoż przycichło ździebko, baby jeno po swojemu jazgotały swarliwie.

— Czy się przyznajecie? — zapytał, pochylając się nad nimi.

— Nie! Myśma nie winowaci! Nieprawdę mówią, przez złość! Przysięgniemy — zakrzyczeli rozpaczliwie.

— Przyznajcie się, to mniejsza kara was spotka — namawiał łagodnie.

— Zabić psubratów! Kijami zatłuc! Zbóje są, złodzieje, zdrajce! Śmierć hyclom — zawrzeszczeli naraz wszyscy, podnosząc drągi i pięście, że Gajdy zawyły ze strachu, jęli się rzucać i, chwytając zębami za buty, to całując nogi, skamleli oszalonymi głosami o zmiłowanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowe sposoby mordowania ludzi.

Niema dnia prawie, aby pisma nie donosiły o jakimś nowym wynalazku najszybszego mordowania ludzi w czasie wojny. Teraz z powodu ruchawki w Serbji i wojennych przygotowań Austrji są gazety przepełnione opisami tych nowych sposobów, które mają wytępić nieprzyjacielską armję.

Tak np. jeszcze przed kilku laty sądzono, że walka na bliskość, potykanie się żołnierza z żołnierzem, już należy do niepowrotnej przeszłości. Po zaprowadzeniu zwłaszcza karabinów repetjerowych dowodzono powszechnie, że nadzwyczajna doniosłość strzałów tej najnowszej broni palnej wykluczy na zawsze walkę na bliskość, a prowadzenie wojny oprze na zręcznych obrotach. Powiadano: „Zwycięży armja posiadająca lepsze buty".

Przyszła wojna rosyjsko-japońska i gruntownie zadała kłam tej teorji. Pod portem Artura, pod Mukdenem i w licznych innych bitwach tej niesłychanie uciążliwej wojny, rosjanie i japończycy walczyli piersią w pierś, a bagnet, na który spoglądano z lekceważeniem, odzyskał napowrót swoje prawa.

W wojnie tej używali japończycy także granatów ręcznych, które już od stu przeszło lat poszły w zapomnienie. Po wojnie rosyjsko-japońskrej wszystkie prawie mocarstwa zaczęły zajmować się bronią do walki na bliskość, czyniąc na tem polu rozległe próby, co znowu dało pochop do nowych wynalazków. Obecnie w armji serbskiej zaprowadzone zostały granaty ręczne, którym przypisują niebywałe zalety.

Przypominamy sobie stare obrazy z czasów wojny siedmioletniej. Grenadjerzy, posiadający bomby ręczne z płonącemi lontami, siali postrach naówczas. Ale od owego czasu granaty ręczne przestały być postrachem dla żołnierza. Granat tego rodzaju jest z reguły dla rzucającego i jego otoczenia równie groźny, jak dla nieprzyjaciela.

Niedawno czyniono w armji austrjackiej doświadczenia z granatami ręcznemi nowego rodzaju. Granat ten ma mniej więcej wielkość i kształt cylindra od lampy, napełniony jest ekrazytem (bardzo silnie rozrywający, nowy materjał wybuchowy) i wybucha skutkiem uderzenia. Na dnie granatu przytwierdzony jest sznur, za pomocą którego można granat puścić w ruch obrotowy, a następnie rzucić na odległość około 100 metrów. Jeżeli sznur wypuszczony zostanie z ręki w niewłaściwej chwili, granat paść może w szeregi rzucającego i zamiast nieprzyjacielowi, przynieść szkodę własnemu wojsku. Równie zgubne skutki powstają, gdy żołnierz padnie od kuli, zanim wyrzuci granat, który wybucha na miejscu i zabija stojących w pobliżu towarzyszów.

W ostatnich czasach ulepszono także bomby ręczne, które mogą stać się rzeczywiście bronią bardzo skuteczną. Bomby te mają oddawać małym oddziałom, nie mającym artylerji, takie usługi, jak działa. Bomba taka ma kształt kuli średniej wielkości, a na dnie ma wypuszczony cienki pręt. Napełniona jest nową, nieznaną dotąd materją wybuchową, której działanie ma być niszczącem i zaopatrzona jest w zapalnik. Za pomocą wielce misternego przyrządu, żołnierz przytwierdza taką bombę do lufy karabinu przy jej otworze, poczem wkłada do karabinu specjalny do tego celu nabój. Żołnierz mierzy, pociąga za kurek, a skutkiem strzału bomba leci na odległość około 60 metrów i uderzając o ziemię, wybucha, niszcząc wszystko w promieniu dziesięć metrów.

Nowym środkiem wojennym innego rodzaju są pociski balonowe. Balon na uwięzi jest niejako okiem armji nowożytnej. Unosi się na wysokości kilkuset metrów, a w łodzi jego znajduje się kilku oficerów sztabu gieneralnego, które mają na swoje usługi telefon. Z tej wysokości oficerowie donoszą gienerałom swoim o ruchach wojsk nieprzyjacielskich. Oczywiście obie strony walczące usiłują nawzajem zniszczyć te balony celnemi strzałami. Dotąd używano do tego celu armat o lufach, dających strzały w górę, ale nie zawsze jest możliwie działa takie umieścić na odpowiednich pozycjach. Prócz tego mierzenie do balonu nie jest rzeczą tak łatwą. Wobec tego powstała myśl zaopatrzenia tak piechoty, jakoteż i konnicy w pociski balonowe, wyrzucane za pomocą karabinów Mannlichera.

Pocisk ten ma zajmującą konstrukcję. Tylna jego część jest wydrążona i zawiera materję palną, przeznaczoną do wywołania wybuchu gazu, którym jest balon wypełniony. Ażeby zaś pocisk, mający wielką szybkość, przebiwszy powłokę balonu, nie poleciał dalej bez wywołania pożądanego skutku, na końcu jego jest umieszczony następujący przyrząd: Cztery sprężyny przylegające ściśle do podłużnych ścian pocisku, umieszczone są za nim. W chwili, gdy kula opuszcza lufę, sprężyny owe otwierają się i wirują razem z kulą naokoło jej osi podłużnej skutkiem tego, że wnętrze lufy karabinowej nie jest gładkie, lecz ma wypukłe, wokoło idące paski. Kula taka rozdziera powłokę balonu mniej więcej na przestrzeni metra kwadratowego, a równocześnie materja palna w tyle pocisku powoduje wybuch gazu w balonie i zupełne jego zniszczenie. Załoga znajduje śmierć, spadłszy na ziemię.

Noc, jak powiada poeta, jest wrogiem człowieka. Podczas wojny każda armja obawia się ciemności nocnych. Pod osłoną nocy nieprzyjaciel zazwyczaj przygotowuje niespodziewane ataki i wtedy górą jest ta strona, która zna lepiej teren. Podczas wojny w Afryce południowej anglicy w taki sposób ponosili najcięższe straty. Wobec tego zarząd armji austrjackiej zwrócił uwagę swoją na pociski świetlne, zaopatrzone w materję świecącą i przyrząd spadochronowy, skutkiem czego dosyć długo unoszą się w powietrzu i rzucają światło na znaczną odległość.

W najnowszych czasach wynaleziono pociski świetlne dla karabinów. Wypełnia je masa, złożona głównie z magnezji, która paląc się, daje intenzywne światło. W ten sposób także małe oddziały mogą w nocy oświetlać teren. Na ostatek wspomnieć należy o nowych granatach, które przeznaczone są dla dział, strzelających w górę. Granaty te napełnione są również nową materją wybuchową, której skład chemiczny jest tajemnicą. Dotychczas używane granaty rozpryskują swoje odłamki w kierunku strzału, to znaczy naprzód. Skutkiem tego pociski podobne nie mogą przynieść wielkich strat oddziałowi, ukrytemu za szańcem dostatecznie wysokim. Nowy granat zapobiega temu, gdyż odłamki swoje rozrzuca w kierunku odwrotnym, to jest w tył. W ten sposób oddział, ukryty za wysokim szańcem, wcale już nie będzie ochroniony przed działaniem podobnych granatów. Na przyszłość ochronę przed tymi granatami będą mogły dać tylko dachy betonowe.

Ostatnim zaś wynalazkiem w tej dziedzinie, jest mały przyrządzik przymocowany do końca lufy, który ma za zadanie zupełne stłumienie huku, jaki karabin przy strzelaniu wydaje! — Tak więc wynaleziono proch bezdymny — teraz zaś aparat do tłumienia huku strzału. Padać więc będą trupy, a ginący nie będą wiedzieć, gdzie się wróg ukrywa!

Zaiste człowiek jest najokrutniejszem zwierzęciem! A do tego za te wszystkie nowe, podane mordercze narzędzia płacić muszą ludy przeolbrzymie sumy — któreby, użyte na rzeczy pożyteczne, tyle szczęścia mogły dać ludzkości.

Ale teraz już taki porządek na świecie, że lud musi umierać, aby żyć mogli bogacze!...

Rozmaitości

(r) Alkoholizm pomiędzy dziećmi w Niemczech. Lekarz obwodowy dr. Scheef w Rottenburgu (w Wirtembergji) rozesłał do nauczycieli swego obwodu listę statystyczną celem stwierdzenia rozmiarów używania alkoholicznych napojów pomiędzy szkolnemi dziećmi. Dochodzeń podjęto w 68 klasach z 4240 dziećmi. Z tych dzieci używało wogóle alkoholu 4178, t. j. 98 procent. Codziennie pije trunki alkoholiczne 71 procent wszystkich dzieci. Pół litra i więcej (piwa, moszczu, wina) pije codziennie 549 dzieci; ćwierć litra 3214 dzieci (76 na sto); dziesięciu uczniów piło codziennie litr piwa, jeden nawet półtora litra. Co do używania wódki, nie stawiono w liście osobnego pytania, w mniemaniu, że tego rodzaju nadużycie jest niemożliwem. Tymczasem jeden z nauczycieli doniósł, że z jego 71 uczniów w wieku od siódmiu do dziewięciu lat 21 piło już wódkę. Inny nauczyciel pisał, że na pytanie, kto już pił wódkę, wszystkie dzieci podniósły palce w górę. Dr. Szeef orzekł, że wynik badań, rzuca jaskrawe światło na przewrotność obyczajów i bezmyślność szerokich kół ludności.

* * *

Ekspedycja do bieguna północnego. Przygotowuje się w Ameryce na wielką skalę ekspedycja do bieguna północnego. W Nowym Jorku studjuje mechanikę i naukę nawigacji eskimos Meme Wallace, który został przywieziony do Ameryki jsko 6 letni chłopak, przez słynnego badacza ziem podbiegunowych, Peary'ego. Meme Wallace jest przekonany, że uda mu się namówić swych współplemieńców do tej ekspedycji, która musi się z ich pomocą zakończyć pomyślnie, albowiem Peary tylko dlatego nie dotarł do bieguna, że mu eskimosi odmówili wskazówek. Jest to pierwszy eskimos, który poddał się cywilizacji. Przedstawia on dobrze rozwinięty typ eskimosa o ciemno-żółtej skórze, o oczach w kształcie migdała i czarnych, jak smoła, włosach. Amerykański badacz polarny, Radford, pokłada w nim wielkie nadzieje i twierdzi, że odegra on wśród swoich rodaków rolę pierwszego pjoniera cywilizacji.

Żydowski szczep „Falasza" w Abisynji. „Jedność" przytacza z pracy niemieckiego dyplomaty Rosena „o niemieckiem poselstwie w Abisynji" trochę ciekawych danych o nieznanym prawie szczepie żydowskim „Falasza".

Nieliczny ten szczep o typie etjopsko-murzyńskim skutkiem prześladowań przenosi się z miejsca na miejsce i obecnie zamieszkuje pewną liczbę niezależnych prawie wiosek w odległych kotlinach górskich. „Falasza" zajmują się rolnictwem, garncarstwem; cieszą się też dobrą opinją jako kowale i stolarze.

Według własnej tradycji, „Falasza" są niby potomkami żydów, sprowadzonych rzekomo do Etjopji przez Menileka, syna Salomona i królowej Saby, roszczą więc pretensję do tego samego pochodzenia, którem się szczyci panująca w Abisynji dynastja, albowiem dom negusa ma właśnie być pochodzenia judejskiego... Jakkolwiek nie wiadomo, kiedy „Falasza" przyjęli religję żydowską, jednakże to jest pewne, że nie są one żydami w znaczeniu etnograficznem i nie są też semitami. Należą oni bez wątpienia do starszej ludności hamickiej w górach abisyńskich, która przez przybyszów semitów została wyparta ze swych siedzib.

Były czasy, kiedy „Falasza" tworzyli drobne państewka pod własnymi książętami, szczególnie w wysokich, niedostępnych górach Semien. Stamtąd też pochodzić ma bajeczna księżniczka Judyta (według innej wersji Estera), która równie piękna jak ambitna i okrutna, około r. 900 po Chr. usiłowała obalić dynastję Salomonową i wykorzenić chrześćjaństwo w Etjopji. Legienda ta niesie, że wówczas zginęli wszyscy członkowie rodziny cesarskiej, rzekomo około 400 osób; jeden tylko książę zdołał umknąć do Szoa i kontynuować ród Salomonowy, który w r. 1270 zdobył na nowo tron abisyński. Zresztą późniejsi następcy Judyty (dynastja „Zague") sami przyjęli chrześćjaństwo. Jeden z nich, król Labibala, który kazał wykuć w skałach owe znane kościoły w Amhara, dla swej pobożnej gorliwości czczony jest jako święty.

„Falasza" aczkolwiek wyznają judaizm, jednakże języka hebrajskiego wcale a wcale nie znają. Biblja ich (urywkowa) spisana jest w narzeczu Goez (język kościelno-etjopski), tak samo jak biblja rdzennych chrześćjan. U „Falaszów" z Gondar „szum" (starosta), sędziwy, niewidomy starzec, był zarazem także kapłanem. Po usilnej namowie udało się podróżnym europejczykom wymódz na nim, aby im pokazał synagogę. Była to okrągła chata, podobna do innych chat wiejskich, lecz zupełnie pusta, bez żadnych sprzętów; podłoga tylko posypana była świeżą trawą, a kwitnący bez rzucał cień na słomiany dach. Nakoniec starzec pokazał też należącą do gminy biblję; naczyń lub szat, służących do nabożeństw, „Falasza" nie posiadają.

* * *

Pamiętniki Degajewa. Korespondent nowojorski dziennika „Gołos Moskwy" komunikuje o śmierci Sergiusza Degajewa, głośnego ze swej zdrady w 1882/3 roku człowieka, który się zaprzedał departamentowi policji i stał się prowokatorem i prawą ręką słynnego naczelnika żandarmerji Sudiejkina. Gdy partja „Narodnaja Wola" wykryła tę ohydną zbrodnię, Degajew, by uniknąć niehybnej śmierci, ułatwił zabicie Sudiejkina, poczem zbiegł za granicę.

„Niedawno — pisze rzeczony korespondent — nadeszła wiadomość z Nowej Zelandji, że Degajew umarł w sierpniu 1908 roku, znany jak wybitny profesor matematyki w uniwersytetach Ameryki, Australji i Nowej Zelandji i jako były dziekan jednego z uniwersytetów australskich". Korespondent znał Degajewa osobiście, już po jego ucieczce za granicę — utrzymywał przez dłuższy czas z nim stosunki, ale przed kilku laty stracił go z oczu. Dopiero przed miesiącem doszła go wieść o nim. Pewien profesor chemji w jednym z amerykańskich uniwersytetów nadesłał mu list i pamiętniki zmarłego. „Gołos Moskwy" już zaczął drukować owe pamiętniki. Widoczne w nich usiłowanie zrehabilitowania się zdrajcy.

* * *

Statystyka wdowców i wdów. Dzienniki paryskie ze świeżo ogłoszonej statystyki ruchu ludności podają następujące dane o wdowcach: 73 proc. wdowców jeszcze przed upływem roku od śmierci żony wstępuje w nowe związki małżeńskie, gdy tymczasem 15 proc. czeka przynajmniej do końca tego terminu. Dziesięciu wdowców żeni się już po sześciu tygodniach od pogrzebu!.. Niewiadomo, czy wdowy nie spieszyłyby się również, ale prawo francuskie zabrania im wychodzić za mąż przed upływem trzech kwartałów od śmierci męża. Koniec końców, ku zawstydzeniu wdowców, tylko 25 proc. wdów zawiera nowe małżeństwa po upływie 10 miesięcy, 50 proc. czeka rok, a nawet dwa lata. Te, które dłużej zostają „wiernymi", liczą średnio około 50 lat.

Nie mniej skwapliwi do wiązania się węzłami hymenu są rozwiedzeni. Tu jednak rozwódki są nieco ostrożniejsze: tylko 5 proc. z nich wychodzi zaraz za mąż, a 60 proc. czeka niekiedy dwa lata. Wreszcie 35 proc. nie wychodzi już powtórnie za mąż.

Natomiast mężczyźni są „niepoprawni". Pomimo przykrych doświadczeń, 76 proc. z nich odrazu szuka nowych przygód w małżeństwie, 2 proc. odbiera sobie życie z rozpaczy, 9 proc. uważa swobody kawalerskiej 5 do 6 lat, a tylko 11 proc. ma już dosyć małżeństwa...

* * *

Jak się „bawią" w Rosji? Petersburska „Riecz" zwraca uwagę na zastraszające objawy rozkładu w życiu społeczeństwa rosyjskiego i regiestruje fakty następujące: Ostatnimi dniami gazety zakomunikowały szereg okropnych wypadków. Chłopiec 10 letni, przywiązawszy ręcznik do łóżka, a zrobiwszy z drugiego końca stryczek, który zarzucił na szyję, zaczął kręcić się w kółko. Uratowany przypadkowo od śmierci, objaśnił, że słysząc ciągle o stracenia h, chciał doświadczyć wrażeń, odczuwanych przez wieszanych.

Nazajutrz w gazetach można było przeczytać wiadomość, która ścina krew w żyłach i która wydaje się raczej maligną. „Świet" donosił, że w Petersburgu zawiązano klub do gry w tygrysa i myśliwego. Późnym wieczorem członkowie zbierają się i ciągną losy. Na jednym napisano „myśliwy", na drugim „tygrys", inne są puste. Swiatła się gaszą, tygrys z dzwoneczkiem umyka, a myśliwy strzela doń z rewolweru, pozostali są widzami. Jeśli po 6 wystrzałach tygrys pozostał całym, zamieniał rolę z niefortunnym myśliwym.

Niedawno w Petersburgu grupa inteligientnej młodzieży zabawiała się w następujący sposób: Po drogiej wieczerzy, wśród kwiatów i pięknych kobiet, na stole znalazła się srebrna taca z 7 puharami szampana. Jeden z nich był zatruty, o czym jednak nikt nie wiedział. Sześć młodych rąk sięgnęło po puhary, siódmy tylko pozostał na stole... Puhary wypito do dna... Ten siódmy był zatruty... Młodzieńcy doznali silnego wrażenia i strachu śmierci, ale wszyscy pozostali przy życiu.

We wszystkich tych zabawach miejsce centralne zajmuje śmierć. Nietylko nie zastrasza ona ludzi, ale chorobliwie nęci ich ku sobie. Ku niej zwracają się wszystkie myśli, ona pociąga ku sobie uwagę, drażni i wabi swoją tajemniczością. Takie są wyniki owego zastraszenia, przy którego pomocy chcą wprowadzić uspokojenie.

Z literatury i sztuki

„Poradnik teatrów i chórów włościańskich" organ „związku teatrów i chórów włościańskich" przynosi w 1 i 2 zeszycie następującą treść: Bolesławicz: Jutermedja. — Cyprjan Norwid: Do wroga. — Adam Piątek: Przegląd sztuk do grania. — Fr. Domnik: Ojcowizna (sztuka ludowa). — Korespondencje. — Sprawy związku. — Wiadomości z teatrów i chórów. — Teatry i chóry włościańskie. — Kronika.

Adres: Lwów. ul. Chodorowskiego 5, I. Rocznie 2 korony.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 13. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 27 marca 1909.

W wilję zbawienia.

A. Viliers de l'Isle-Adam.

W Saragosie zapadał wieczór, kiedy czcigodny ojciec Arbuez z zakonu dominikanów i wielki inkwizytor Hiszpanji, wstępował w podziemie więzienia inkwizytorskiego, w towarzystwie dwóch sędziów i mistrza inkwizytorskiego. Kiedy uchylili tajemniczo zamknięte drzwi jednej z cel, owiało ich duszne, zgniłe powietrze, a padający słaby promyk światła oświecił na chwilę wnętrze tej strasznej celi. W ścianach tkwiły obręcze żelazne, na środku stała ławka ze śladami zaschniętej krwi, naczynia z węglami, opodal dzban z wodą. Na zgniłym tapczanie leżał szkielet ludzki, z łańcuchem na około karku, odziany w rozpadającą się odzież.

Więźniem tym był rabin Aser, żyd aragoński, którego posądzono o lichwę i od roku codziennie poddawano mękom inkwizycyjnym. Ale mimo tego trwał z uporem przy swojej wierze i przekonaniach. Z dumą opowiadał, że przodkowie jego, już od tysiąca z górą lat piastowali pierwsze urzędy między żydami.

Czcigodnemu ojcu Arbeuz oczy napełniły się łzami, że ten stanowczy człowiek uchyla się z takim oporem od zbawienia. Zbliżył się do drżącego rabina i powiedział uprzejmie:

„Mój synu, ciesz się, zbliża się koniec twoich ziemskich doświadczeń. Jesteś podobny drzewu figowemu, które, skoro stało się nieurodzajnem, należy je ściąć i spalić. Jednak tylko Bogu wolno twoją duszę osądzić. Może Bóg w swojej wielkiej dobroci oświeci cię w ostatniej chwili. Spoczywaj zatem dzisiejszego wieczora. Jutro zabiorą cię na autodafé, spoczywać będziesz na rozpalonych węglach, będziesz miał przedsmak wiecznego ognia, który cię czeka za twój upór. Wiesz mój synu, ogień ten pali wolno i w należytej odległości. A że czoło i serce otoczymy troskliwie mokremi chustami, śmierć nie nastąpi, aż za dwie, do trzech godzin. Ty będziesz ostatnim z czterdziestu trzech grzeszników, będziesz miał zatem czas przypatrzeć się ich śmierci i błagać Boga, żeby twój ogniowy chrzest przyjąć raczył. A teraz odpoczywaj w spokoju“.

Po tych słowach rozkazał nieszczęśliwemu zdjąć łańcuchy i czule go uścisnął. To samo uczynił mistrz inkwizycji, który go cicho prosił, żeby mu darował i nie miał żalu do niego za te wszystkie męki i boleści, których był przyczyną. Po tych słowach wszyscy wyszli i zostawili go w ciemnościach...

Zupełnie znieczulony z przerażenia, z zaschniętemi wargami patrzył rabi Aser na zamknięte drzwi...

Zamknięte?... Słowo to obudziło nagle w nieszczęśliwym myśl jedną, zdawało mu się, że widzi między murem a drzwiami małą szparkę i światło latarni.

W wycieńczonym głodem i mękami mózgu, obudziło się słabe uczucie nadziei. Odważył się przyczołgać do drzwi, a włożył palce w szczelinę i o dziwo! — drzwi otworzyły się. Klucz wprawdzie obrócono, ale nim drzwi się domknęły.

Rabin odważył się wyjść z celi.

Na czworaku wypełz z celi, przed nim korytarz nieskończonej długości, słabo oświetlony lampkami. W odległości migotały cienie i ta przerażająca cisza! Ale może droga ta prowadziła do wolności! Żyd czołgał się pod murem, a kiedy dotknął się rozschłej rany, z której krew popłynęła, zdusił z wszystkich sił okrzyk bólu.

Nagle usłyszał echo zbliżających się kroków. Drżał z przerażenia, zadławiło go. Zwinął się w kłębek, przylgnął do muru i czekał na pół martwy ze strachu. Jeden ze sędziów inkwizycyjnych przeszedł prędko koło niego, niosąc w rękach narzędzie męki. Kaptur wciągnął na twarz, widok jego był straszny...

Upłynęła prawie godzina, nim biedny żyd mógł członkami poruszać. Chwilę rozważał, czy nie lepiej zaraz wrócić do celi, gdyby go tutaj odkryli, poddaliby go dobrzy ojcowie strasznym mękom. Jednak tliła w nim nadzieja.

Znowu zaczął czołgać się ku wyjściu. Wyczerpany głodem i smagany strachem, zbliżał się jednak do wyjścia, chociaż zdawało mu się, że ten korytarz końca mieć nie będzie.

O straszna chwilo! Znowu odezwały się kroki, teraz zupełnie pewne i wolne. Postacie dwóch inkwizytorów wyłoniły się z ciemności. Rozprawiali i giestykulowali żywo, zajęci zdawało się ważną rozmową.

Na ich widok rabin Aser przymknął oczy, serce mu ledwo nie pękło. Oblał go zimny pot przerażenia. Prawie martwo i bez oddechu stanął pod ścianą. Właśnie nad nim płonęła mała lampka, nieszczęśliwiec modlił się do Boga Dawida. Kiedy przechodzili koło żyda, nagle stanęli, pochłonięci rozmową. Jeden z nich utkwił wzrok w żydzie. Pod wpływem tego spojrzenia zdawało się biedakowi, że rozpalone obcęgi wyrywają mu po kawałku ciała, jak to już bywało. Habit inkwizytora otarł się o rabina, dziwne jednakże, a raczej zupełnie naturalne, inkwizytor żyda nie widział, chociaż na niego patrzył, bo go widzieć nie chciał.

Po kilku minutach, które wydawały się wiekiem, ciemne postacie zniknęły w korytarzu. Odetchnął, przecież go nie widzieli.

Naprzód! musiał się spieszyć, aby osiągnąć cel, który miał go wybawić z tych wszystkich męk. Oddalił się jeszcze jakie trzydzieści kroków od owego miejsca spotkania, czołgając się ciągle na brzuchu, gdy nagle uczuł lekki powiew wiatru. Zauważył małe drzwi, które prowadziły do ogrodu. Gdyby i te drzwi były otwarte! Oszołomiony zupełnie zaczął szukać zamku, albo zasuwy, ale o cudzie, drzwi zamykały się na zwyczajną klamkę. Podniósł się, nacisnął klamkę i małe drzwi otworzyły się przed nim...

Chwala o chwała, zawołał żyd, prostując swoją nędzną postać. Drzwi otwierały się na dalekie ogrody, nad którymi migotały miljony gwiazd. Dziękując Bogu, podniósł ręce i oczy w górę. Wiosna, wolność, życie otwierało się przed nim. Za ogrodami ciągły się pola i łańcuchy górskie, tam, tam był ratunek. Całą noc będzie biegł lasem cytrynowym, raz w górach, będzie uratowany.

Wciągał w chore płuca wspaniałe, świeże powietrze. Nagle zdawało mu się, że z za drzew wyłania się znowu jakiś cień, który wyciągając do niego ramiona, czule go obejmuje. Rzeczywiście ktoś go serdecznie przycisnął do piersi. Pełen zaufania podniósł oczy na tę postać... Zadrżał, zdawało mu się, że stracił zmysły, lodowy dreszcz wstrząsnął jego nędznem ciałem, piana wystąpiła mu na usta. O zgrozo! leżał w objęciach wielkiego inkwizytora,

czcigodnego ojca Arbuez, który patrzył na niego bardzo czule. Łzy stanęły mu w oczach, patrzył na żyda, jak pasterz na zbłąkaną owieczkę.

Straszny ksiądz przyciskał nieszczęśliwego żyda tak silnie do swoich piersi, że tenże mdlał prawie z bólu. I kiedy rabin spoczywał w tych ramionach, wstrząsany dygrawkami, zrozumiał, że wszystko, co przeżył tego wieczora, było dobrze obmyśloną przez inkwizytorów dla niego męką, męką nadziei.

Wielki inkwizytor szepnął mu czule i tonem wymówki w ucho: „Jakto moje dziecko, w wilję zbawienia, chciałeś nas opuścić?“

Dr. Henryk Kłuszyński.

Gminna polityka mieszkaniowa.

III.

Środki zaradcze.

Kwestja mieszkaniowa jest ściśle złączona z dzisiejszym ustrojem, z prywatną własnością ziemi i gruntów, i dlatego zupełne jej rozwiązanie przez obecne społeczeństwo jest niemożliwe. Ale i w ramach kapitalistycznego ustroju może być ogrom nędzy mieszkaniowej znacznie zmniejszony i reforma mieszkaniowa w wielkim stylu przeprowadzona. Już rozwój hygjeny, ugruntowanie się jej zasad zmusi gminy do uchwycenia sprawy mieszkaniowej w swoje ręce. Albowiem kwestja mieszkaniowa jest to sprawa czysto lokalna, obchodząca dane miasto lub wieś i tylko gmina ma możność rozwiązania palącego tego problemu. Jedynie gmina może zrzec się zysków, bez których prywatny przedsiębiorca obejść się nie może. Gmina może zrezygnować z renty gruntowej. Ona posiada nadto techniczne siły, budowniczych, inżynierów, którzy mogą wypracować plany i wykonywać budowle. Ona zna najlepiej stosunki mieszkaniowe i dokładnie wie, ile i jakie mieszkania są potrzebne. Naturalnie przeciwnicy nasi, ledwie występujemy z żądaniem, by gmina przystąpiła do budowy domów robotniczych i dla małych urzędników, podnoszą gwałtowny okrzyk rozpaczy: to komunizm. Toż przecież gminy dziś dostarczają wody, gazu, elektryczności, czemuż nie mogą produkować mieszkań? Czyż one są mniej potrzebne? Czyż nie mają głębokiego wpływu na zdrowie i obyczajowość ludu i na cały jego charakter?

Zakres działania gminy w sprawie mieszkaniowej jest dwojaki. Musi rozciągnąć ścisłą kontrolę nad istniejącymi domami i nad projektowanemi budowlami, mającemi powstać z prywatnego przedsiębiorstwa, a nadto, co najważniejsze, musi sama budować.

Większe miasta winny przeto utworzyć inspektoraty mieszkaniowe złożone z fachowców i między nimi ma się znajdować także lekarz.

Inspektorat taki ma się zajmować badaniem mieszkań, czy mają dosyć światła i powietrza, czy są suche i czyste i wogóle badać, czy odpowiadają wymogom techniki budowlanej i hygjeny.

Nadto winien badać i kontrolować, czy mieszkanie, w którem z powodu braku powyższych zasadniczych przepisów zabroniono mieszkać, mimo to jest przez niesumiennego właściciela wynajmywane.

W małych miasteczkach lub wsiach jest utworzenie takiego fachowego inspektoratu wprost niemożliwe. Ale i tu przy dobrej woli jest droga wyjścia. Można utworzyć wydziały mieszkaniowe pod kontrolą zarządu gminnego przy współudziale lekarza gminnego i mogą kontrolną i zapobiegawczą czynność wykonywać.

Obok tego winne gminy tworzyć biura wywiadowcze mieszkań. W Pradze znajduje się takie biuro przy urzędzie pośrednictwa pracy. Właściciel domu płaci od 50 hal. do 5 koron zależnie od wysokości czynszu zgłoszonego mieszkania, wynajmujący zaś 40 hal. Gminne biura mieszkań powinny być dla lokatorów bezpłatne, opłaty tylko dla właścicieli domów, gdyż oszczędzają na ogłoszeniach w publicznych pismach.

Zwolennicy prywatnej działalności budowlanej sądzą, że kwestję mieszkaniową najlepiej rozwiąże się w ten sposób, jeżeli gmina, kraj lub państwo popierać będą prywatnych przedsiębiorców. Byłaby to najbłędniejsza droga postępowania, albowiem z publicznych funduszów, kosztem wszystkich mieszkańców podatek opłacających, ciągnęliby zyski prywatni spekulanci i to bez należytej gwarancji, czy zamierzony cel byłby osiągnięty. Drogę subwencjonowania prywatnej inicjatywy należy raz na zawsze porzucić i wyłącznie gminy winny przystąpić do budowy tanich i zdrowych mieszkań.

Domy robotnicze przez gminy wystawione nie będą naturalnie na zysk obliczone, czynsz mieszkań tak oznaczony, aby kapitał się amortyzował i oprocentował. Tylko w ten sposób może gmina skutecznie zwalczać lichwę mieszkaniową i przyczynić się do podniesienia stopy życiowej robotnika.

Często jednak się zdarza, że gminy nie przestraszone już widmem komunizmu skłonne są ująć w swoje ręce sprawę mieszkaniową, obawiają się jednak ludności i kłopotów złączonych z administracją tych domów: jak ściąganiem czynszu, utrzymywaniem czystości i wykonywaniem rozmaitych innych czynności. Nie ulega wątpliwości, że administracja domami robotniczymi mogłaby gminie przysporzyć pewną sumę kłopotów i trudności, ale można je usunąć w ten sposób, że gmina oddaje zarząd domów robotniczych stowarzyszeniu lokatorów o charakterze współdzielczym. Domy pozostają własnością gminy a zarządza nimi stowarzyszenienie współdzielcze i ono całą administracją się zajmuje. Stosunek taki jest najracjonalniejszy i pod względem społeczno-politycznym jedynie moralny, albowiem swoboda polityczna lokatrów wobec gminy byłaby w ten sposób zagwarantowana i gmina nie miałaby możności przy rozmaitych sposobnościach zużytkować lub nadużywać swego politycznego wpływu. I robotnicy w gminach, a zamieszkali w domach robotniczych w powyższy sposób administrowanych, mieliby też więcej osobistej wolności.

Ale gmina, chcąca na wielką skalę reformę mieszkaniową przeprowadzić, musi do niej z pewnym planem przystąpić. Pierwszym warunkiem zdrowej polityki budowlanej jest, by gmina miała na własność dużo gruntów. Przeto nie wolno gminie własnych placów budowlanych prywatnym osobom sprzedawać. Nadto winna gmina sama zakupywać place budowlane a zwłaszcza w obwodzie miast i gmin, gdzie grunta są jeszcze tanie. Równolegle z polityką budowlaną musi iść gminna polityka komunikacyjna: rozszerzać linje tramwajowe, które również muszą być w rękach gminy. Albowiem prywatny przedsiębiorca buduje linje tam, gdzie spodziewa się wielkich zysków, a nie tam gdzie one są rzeczywiście potrzebne zwłaszcza dla klasy pracującej. To też gmina przystępując na obwodzie miasta do budowy domów robotniczych, musi je równocześnie z miastem połączyć zapomocą linji tramwajowej. Ale spekulacja gruntami przez prywatnych spekulantów utrudnić może nieraz gminie do przeprowadzenia gruntownej reformy mieszkaniowej. Przeto winny gminy wywalczyć sobie prawo wywłaszczania gruntów dla publicznej użyteczności. Prawo to nie jest już żadną nowością, otrzymały je gminy w Danji ustawą z 26 lutego 1898 r. mają je gminy angielskie ustawą z r. 1890 a nawet miasto w Kroacji Zagrzeb ustawą z r. 1876 otrzymało prawo wywłaszczenia gruntów ze względu na publiczne dobro miasta.

Tylko drogą wywłaszczenia prywatnych gruntów będzie gmina mogła zapewnić sobie potrzebną ilość placów budowlanych, wytrąci z rąk lichwiarzy broń spekulacyjną i politykę mieszkaniową z pożytkiem dla ogółu pracującej ludności przeprowadzi.

Rozchodziłoby się jeszcze o kwestję pieniężną. Nie ma pieniędzy, brzmi zawsze odpowiedź burżuazyjnych reprezentantów miast i gmin, ilekroć partja socjalnodemokratyczna występuje z żądaniem budowy domów robotniczych. Jest to tylko obłudny wykręt, gdyż na cel tak ważny pieniądze się znajdą i znaleść się muszą. Małym gminom dostarczyć mogą towarzystwa asekuracyjne, większym miastom banki komunalne lub krajowe. W przyszłości, gdy budowa

domów robotniczych będzie stałym programem gmin, będą się mogły utworzyć specjalne banki krajowe hipoteczne, które będą miały za zadanie zaopatrywanie gmin w gotówkę. Kwestja pieniężna może być zatem przy dobrej woli bardzo łatwo rozwiązana.

Nie ma jednak nadziei, by nasze żądanie było tak prędko przez burżuazyjnych reprezentantów gminnych spełnione. Za dużo kamieniczników w radach gminnych, którzy pazurami bronić się będą przeciwko wszelkiej polityce mieszkaniowej i prawu wywłaszczania. By przecież piekącą tą sprawę na porządek dzienny postawić i przecież rozpocząć jakąć akcję saniacyjną należy gminy zmusjć, by weszły na pośrednią drogę polityki budowlanej. Gminy winny przynajmniej popierać stowarzyszenia budowlane mające na celu budowanie tanich domów robotniczych, jednak pod tym tylko warunkiem, że domy te będą małe, a czynsz nie wysoki, a gmina będzie miała prawo kontroli a nawet prawo oznaczenia wysokości czynszu. Ale i tym stowarzyszeniom gmina gruntów swych ani darować ani sprzedawać nie będzie, jedynie je wydzierżawi na 70—100 lat z tem zastrzeżeniem, że grunta te wraz z domami po upływie tego czasu przejdą na własność gminy.

Oto jest nasze żądanie od współczesnej gminy. Oto droga, po której gmina kroczyć winna w interesie zdrowia i życia klasy robotniczej.

Dzisiejsze spelunki, zwiące się mieszkaniami robotniczemi a będące siedliskiem brudu, choroby i niemoralności, winny zniknąć z powierzchni ziemi.

Albowiem „najkosztowniejszym materjałem państwa i społeczeństwa — powiedział tragiczną śmiercią zmarły austrjacki następca tronu Rudolf — jest człowiek. Każde pojedyńcze życie reprezentuje pewną oznaczoną wartość. Ją utrzymać i do ostatecznej granicy zachować nietkniętą, jest przedewszystkiem obowiązkiem gminy w jej własnym interesie."

Burżuazyjni reprezentanci gmin powinni sobie te słowa dobrze zapamiętać.

Dlaczego ludzie nie wierzą w zaraźliwość chorób?

Wszyscy jesteśmy do pewnego stopnia „niewiernymi Tomaszami." Póki dotyk lub wzrok nie przekona nas o istnieniu jakiegoś tworu, dotąd niechętnie uznajemy bytność jego w naszem otoczeniu. Zmysły jednak nasze są niedoskonałe. Poza granicami ich zdolności rozpoznawania istnieją całe światy nieskończone. Np.: z powodu wielkiej odległości od ziemi gwiazdy przedstawiają się dla naszego wzroku jako drobne punkty świetlne.

Gdybyśmy zaufali tylko gołemu oku, nie zechcielibyśmy przypuścić, iż te drobne gwiazdki są olbrzymiemi ciałami, obszarem swym przekraczającemi nieraz wielokrotnie ziemię całą; wierzyćby nam było trudno, iż na niejednem z tych ciał gwiazdzistych rozwija się i wre życie, podobnie jak na ziemi.

Olbrzymia odległość, dzieląca nas od ciał niebieskich, nie pozwala niedoskonałemu oku dojrzeć wszystkie wspaniałe zjawiska na gwiazdach i planetach.

Usiłowaniom ludzi uczonych udało się zbudować przyrządy, teleskopami zwane, które zbliżają obrazy ciał niebieskich do naszego oka. Narząd wzroku, uzbrojony teleskopem, o wiele więcej może dojrzeć, spostrzec i poznać tych zjawisk, które przedtem stanowiły dla nas tajemnicę.

Jak odległość przeszkadza wzrokowi rozpoznać oddalone przedmioty, chociażby olbrzymich rozmiarów, tak też przedmioty bardzo drobne wymykają się oku naszemu nawet wówczas, gdy są bardzo do nas zbliżone. Lecz i tę przeszkodę w wielkiej mierze udało się usunąć uczonym. Przyrząd, zwany z grecka mikroskopem (po polsku drobnowid), powiększyć może obraz drobnego, niewidzialnego przedmiotu o tysiąc i więcej razy. Ten właśnie przyrząd, który powiększa pyłek ze skrzydła motyla do wielkości główki od szpilki, lub każdej cząstce, pyłkowi mąki najdrobniej zmielonej nadaje rozmiary ziarnka piasku, pozwolił nam odkryć cały, nieznany dotąd świat drobniutkich żyjątek.

Niewidzialne te twory napełniają całe nasze otoczenie: powietrze, ziemię i wodę. Dla swych znikomych rozmiarów żyjątka te nazwano d r o b n o u s t r o j a m i (z cudzoziemska b a k t e r j a m i.

Między ogromną ilością gatunków drobnoustrojów znajduje się wiele takich, które się dostają z powietrzem wdechanem do płuc, z wodą wypitą, lub z jedzeniem spożytem do przewodu pokarmowego itd. Znajdując tam ciepło, wilgoć i soki odżywcze, które sprzyjają ich rozwojowi, szybko bardzo się rozmażają, zatruwając organizm jadami z siebie wydzielanymi.

To zatrucie organizmu objawia się jako c h o r o b a. W organizmie chorego człowieka nagromadza się wielka ilość drobnoustrojów chorobotwórczych, czyli bakterji, skąd się wydostając do naszego otoczenia z moczem, kałem, plwociną itd., łatwo się mogą dostać do innego organizmu, tam się rozmnożyć i znów sprowadzić tą samą chorobę, na którą cierpiał organizm przez nie opuszczony.

Takie przejście drobnoustrojów chorobotwórczych z jednego organizmu do drugiego, od chorego człowieka do zdrowego, nazywa się z a r a ż e n i e m, choroba zaś przez drobnoustroje spowodowana zwie się z a k a ź n ą czyli z a r a ź l i w ą. Teraz jasnem się staje, dlaczego od chorego może zakazić się zdrowy.

Jednakże w umyśle niedowierzających powstać może pewna wątpliwość. Zapytać możecie, jak się ten pierwszy mógł zarazić, kieby nie było koło niego chorego zaraźliwego?

Zaraz to wyjaśnię.

Wspomniałem, iż drobnoustroje znajdują się w powietrzu, wodzie, ziemi. Rozsiane po wielkiej przestrzeni, niezawsze mogą natrafić na grunt, rozwojowi swemu sprzyjający. Jedne z nich spadną, jak owo ziarno w podaniu biblijnem, na grunt skalisty, tam zniszczeją i zmarnieją; inne znów spadną w środowisko dla siebie trujące i znów się nie rozmnożą itd. Organizm ludzi zresztą posiada cały szereg urządzeń ochronnych, które go bronią przed owymi drobnoustrojami. Gdy się przeto o pomyślniejszych dla siebie warunkch do ciała ludkiego one dostają, to i tak nie zawsze muszą się w nim rozplenić, rozmnożyć. Dla tego też człowiek długo może chodzić po świecie i skutecznie się bronić przed tymi nieproszonymi gośćmi.

Gdy się jednak zdarzy, że dzięki chwilowemu osłabieniu organizmu ludzkiego, np. podczas zaziębienia, upicia się i t. p. ochronne jego urządzenia, nazwijmy je odpornością, osłabną, organizm ludzki ulega, zapada na chorobę.

Drobnoustroje mnożą się, nabierają siły.

I ten sam wróg niewidzialny, który dawniej w pojedynkę, rozproszony po świecie, czychał na swoją ofiarę, teraz w zbitej masie znajduje się w chorym i jego otoczeniu.

Oczywiście, z tego obfitego źródła drobnoustrojów, jakie przedstawia człowiek chory, stokroć łatwiej może spłynąć rój zarazków na każdy inny zdrowy organizm i wywołać w nim chorobę.

Z pewnością żaden z was, czytelników, nie wątpi, iż jeden człowiek od drugiego może „zarazić" się wszami. Nie wątpicie o tem, bo żyjątka te ujmujecie swym okiem, możecie śledzić przejście ich z jednego organizmu na drugi.

Przypuśćmy jednak, że wesz ma rozmiary niewidoczne dla gołego oka, wówczas z pewnością i w tym wypadku niejeden nie chciałby wierzyć, że wszy są „zaraźliwe". Niejeden by też pytał niedowierzająco, skąd pierwszy człowiek dostał tej pasożytniczej choroby? Niech ten jeden przykład ostatecznie rozproszy wątpliwości co do istnienia chorób zaraźliwych, a wówczas łatwiej będziecie mogli się chronić przed „zarazą". Później pomówimy o tem, jak się chronić przed zaraźliwemi chorobami.

R. K.

Rozmaitości

Walka z paleniem tytoniu szkolników. W szkołach Zgromadzenia kupców w Warszawie wywieszono z pobudki lekarza szkolnego następujące przestrogi pod adresem tych uczniów, którzy się oddają nałogowo paleniu: „Palenie tytoniu zwłaszcza przed młodzież przed ukończeniem rozwoju fizycznego powoduje u niej, jak wykazały liczne badania lekarskie, następujące zaburzenia w organizmie: 1) nerwowe kołatanie i niepokój serca, przedwszesne stwardnienie tętnic; 2) zaburzenia żołądkowe, brak apetytu; 3) osłabienie władz umysłowych, zwłaszcza pamięci, ogólne rozdrażnienie, bezsenność; 4) chroniczny katar gardzieli, tchawicy i oskrzeli, skłonność do chorób piersiowych i do suchot". Skutek był widoczny, znaczna część młodzieży, zwłaszcza wrażliwej i więcej dbałej o swe zdrowie, zarzuciła palenie.

* * *

Zgubny wpływ alkoholu na zachowanie i zdolności dzieci szkolnych. Przy badaniach, dokonanych przez nauczycielskie Towarzystwo wstrzemięźliwości w Niemczech nad 7338 uczniami szkół ludowych w wieku od 6—11 lat, okazało się, że z pomiędzy tych wszystkich dzieci tylko 2—3 % nie używało jeszcze nigdy upajających napojów, 13 % było raz lub więcej razy pijanych, 11 % pijało codziennie jakieś trunki wyskokowe, a z tego 2 % już wcześnie, przed rozpoczęciem nauki szkolnej. Dzieci, używające napojów upajających, należały tak pod względem zachowania, jako też pojmowania, do najgorszych.

* * *

Chirurgja amerykańska robi zadziwiające postępy. Dziś dokonywane są w Ameryce takie operacje, o jakich chirurg z przed laty kilku nie śmiał nawet marzyć.

Jak donoszą pisma amerykańskie, cudów w tej dziedzinie dokonywa dr. Lesse, chirurg z Nowego Jorku.

Niedawno według świadectwa towarzystwa naukowego w Filadelfji, zjawił się u dr. Lesse młodzieniec, który stracił wzrok wskutek rany na jedynem swem oku (drugie stracił w dzieciństwie po przebyciu odry). Dr. Lesse skonstatował u niego leucomle — która ogólnie uważana jest za nieuleczalną, i zaproponował swemu pacjentowi zamianę uszkodzonego oka na oko żywego królika. Chory, nie mając nic do stracenia, zgodził się na tę oryginalną propozycję. Przed operacją choremu nałożono specjalny bandaż na oko i znieczulono je za pomocą kokainy. Następnie dr. Lesse zrobił specjalnym instrumentem otwór w rogówce, a przekonawszy się, iż wnętrze oka nie było uszkodzone, usunął tylko całą rogówkę i na jej miejsce natychmiast przyłożył rogówkę, wykrojoną z oka królika. Po 48 godzinach bandaż został zdjęty i skonstatowano całkowite przyrośnięcie przyłożonej rogówki. Tylko powierzchnia jej była cokolwiek zamglona. Następnie pomiędzy powieką a okiem swego pacjenta umieszcza dr. Lesse wypukłe szkiełko w celu zapobieżenia przesunięciu się przyrośniętej rogówki. Po upływie 6 dni w miejscu, gdzie przyklejono rogówkę, zjawiły się dwie krwawe żyłki, które wkrótce znikły, poczem szkiełko zostało wyjęte. W ciągu pewnego czasu nowa rogówka była jeszcze zamglona, w końcu jednak stała się normalnie przeźroczystą. Chorego przyzwyczajono stopniowo do światła, a w rezultacie młodzieniec zaczął widzieć, rozróżniając nawet litery, których formy już przez czas swej choroby zapomniał.

* * *

Kolebka ludzkości. Nie od dziś już stara się ludzkość odnaleźć kolebkę swą, w której się była zrodziła, praojczyznę, z której potem w licznych wędrówkach rozeszła się po całym świecie.

Jak dotąd kolebki ludzkości wskazać jeszcze nie możemy. Nauka nie mówi nam pod tym względem nic; mamy tylko domysły, hypotezy, przypuszczenia, które umieszczają niemowlęctwo ludzkości gdzieś w Azji — dolinie dwu rzek, Mesopotamji, w Iranie i t. p.

Zupełnie gdzieindziej jednak przerzucił śmiałym rzutem kolębkę ludzkości świeżo pewien uczony indyjski o wykształceniu europejskiem Tillok. Mianowicie uczony ten wyprowadza ludzkość z dalekiej północy, każe się człowiekowi zrodzić gdzieś w okolicach podbiegunowych, będących dziś pod wodą, pomiędzy Europą a Grenlandją. Popiera zaś domysły swe cytatami z najstarożytniejszych ksiąg ludzkości: indyjskich Wed i perskiej Awesty.

Dane biologiczne i gieologiczne mianowicie pouczają nas, iż od ostatniego okresu lodowego upłynęło 10—12 tysięcy lat. Owóż wspomnienia z tych zamierzchłych czasów, z czasów, gdy człowiek był współczesny okresowi lodowców, przechowały się w tradycji ustnej śród kapłanów hinduskich, aż ze zdumiewającą obecnie ścisłością zapisane zostały w Wedach na 8 tysiący lat mniejwięcej przed narodzeniem Chrystusa.

Niejasne dotąd i niezrozumiałe ustępy Wed wyjaśnił obecnie uczony hindus, wykazując, iż pierwsze księgi Wed ułożone zostały w tradycji ustnej wówczas jeszcze, gdy praprzodkowie hindusów i całej ludzkości przemieszkiwali kiedyś w krajach podbiegunowych. W Wedach bowiem czytamy wyraźnie, iż narody starożytne (dla Wed) widziały gwiazdę Polarną wprost ponad głowami, co jest zupełnie prawdziwe, jeśli chodzi o mieszkańców odległej północy, gdzie przedłużenie osi ziemskiej przechodzi przez gwiazdę Polarną właśnie. Widzą też mieszkańcy północy obrót postępowy gwiazd dokoła nieba, podczas gdy południowcy widzą jedynie część drogi, jaką przebiega układ gwiezdny. Wedy i Awesta wspominają dalej o roku człowieka, równym jednemu dniowi i jednej nocy, co potwierdza naszą hypotezę, w krainach bowiem podbiegunowych noc trwa przez 6 miesięcy w roku, dzień zaś przez drugie 6 miesięcy.

Obrządki dalej tegoczesnych hindusów, np. na cześć bogini zórz odwierciadlają życie ludzkości na dalekiej północy i dopiero w tem tłomaczeniu stają się zrozumiałe.

Wreszcie jeden jeszcze dowód: oto w najstarszej części Awesty znajdujemy spis krajów, w których zamieszkiwał człowiek starożytny. Z 15 nazw krajów uczeni 7 ostatnich odgadli; między innemi są to Baktrja, Herat i Samarkanda. W pierwszym z owego spisu, w starożytnej praojczyźnie życie — jak głosi Awesta — ustało z chwilą pojawienia się śniegu i lodów, co jest wyraźnem zupełnie wskazaniem na okres lodowcowy.

Takiemi mniejwięcej dowodami popiera uczony indyjski swą zajmującą nader hypotezę.

* * *

Trumny papierowe. Przed kilkunastu laty odbył pewien wydawca amerykański podróż wzdłuż wybrzeża północnoamerykańskiego w łodzi, sporządzonej z papieru i gazet. Długość drogi wyniosła 10 klm., z czego około 2 klm. na pełnem morzu. Ten niezwykły statek, na którego zbudowanie użyto 3000 gazet, miał być dowodem, że przedmioty z papieru mogą posiadać nadzwyczajną trwałość i wytrzymałość. Jak wiadomo, przemysł papierowy rozwinął się ogromnie w tym kierunku. Od długiego już czasu są w użyciu koła z masy papierowej, beczki, flaszki i t. p. Obecnie donoszą o nowem zastosowaniu masy papierowej. W Ameryce rozpoczęto od pewnego czasu wyrabiać — trumny z papieru „mache", a trumny te mają być i trwalsze i tańsze od trumien ze zwykłego miękkiego drzewa.

* * *

W pazurach lwa. Na rozległym placu budowlanym w Charlottenburgu przy Sophie Charlottenstr. ustawiali niedawno rozmaici przedsiębiorcy budy swoje i karusele. Zjechał tam również właściciel menażerji, który począł rozbijać tam swoje namioty.

Ostatnio przed południem zabawiał się robotnik Rafael, zatrudniony przy rozstawianiu bud, przed klatką z lwami, drażniąc je nieustanie. W końcu wsunął rękę przez dziurę w sztachetach, gdy naraz pochwycił ją wspaniały lew abesyński i wciągnął całe ramię do klatki. Gdy na rozpaczliwy krzyk robotnika przybiegli inni i odepchnęli rozgniewane zwierzę, bijąc w nie drągami żelaznemi, stracił Rafael przytomność. Pokazało się, że ramię było zupełnie porozdzierane, tak że ciało od kości odpadło. Robotnikowi odjęli lekarze ramię aż do połowy.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 14. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 3 kwietnia 1909.

MY...

My w życie idziem przy kajdan swych dźwiękach,
Złamani od chłodu, niewoli i znoju,
Skrwawieni od nędzy, w torturach i mękach,
My w życie idziemy, idziemy do boju...

Złamani od chłodu, niewoli i znoju,
Upiory, przez wszystkich oplwane, przeklęte,
My w życie idziemy, idziemy do boju
O prawa człowieka, o prawa swe święte...

Upory, przez wszystkich oplwane, przeklęte,
Walczymy o wolność, o życie, o słońce,
O prawa człowieka, o prawa swe święte,
My — armji potężnej zwiastuny i gońce...

Em. Es.

Władysław Reymont.

Sąd.

(Dokończenie.)

Osłaniał ich jeszcze młynarz, Jędrzej i paru spokojniejszych, usiłując powstrzymać rozjuszonych, którzy parli się, kiej burza, krzycząc a kołami wymachując, zaś baby najzajadlej doskakiwały z pazurami.

Robiło się już strasznie, zakotłowało się pod kościołem, rozwścieklony krzyk miotał się i huczał ponuro, jak ten dzwon, bijący nieustannie.

— Księdza trzeba przed śmiercią! Księdza! — zakrzyczał naraz młynarz.

Wstrzymali się. Ktoś poleciał po proboszcza.

— Albo i do jutra poczekajmy z pokaraniem — proponował młynarz.

Zakrzyczeli, trzaskając drągami:

— Skończyć z nimi! Nie potrzeba zbójom księdza! Niech zdychają, jak psy. Nie czekać! a to uciekną jeszcze i kozuniów sprowadzą! Zakatrupić!

Ale Gajdy, poczuwszy, skąd może przyjść ratunek, jęli błagać rozpaczliwie:

— Miłosierdzia, ludzie! Spowiadać się chcemy! Księdza dajcie... Księdza...

Na ich nieszczęście księdza nie było w domu, wyjechał jeszcze na odwieczerzu.

— To niech się spowiadają przed całym narodem! — ktosik rzucił.

— Dobra! Tak! Niech się wyznają. Niech prawdę powiedzą — przytwierdzali.

Któryś rozciął im postronki na rękach i podniósł na kolana przed progiem.

— Otworzyć kościół! Spowiadać się będą! Otworzyć! — rwały się głosy gęste, ale Jędrzej zawołał:

— Nie potrzeba! Grzech wprowadzać do domu Bożego takich zbójów, dosyć la nich, iż pozwalamy im na poświęcanem miejscu. Cic ho tam — krzyknął na babie mamroty i, przychylając się ku Gajdom, rzekł:

— To się wyznajcie, a jeno szczerą prawdę! Naród mocen darować wam przewiny! — przyklęknął pobok, a za nim zrobili toż samo wszycy z westchnieniami a żegnaniem.

Gajdy zabełkotały coś niewyraźnie, rozglądając się na strony.

— Wyraźnie mówta! Głośno! Pana Boga chcą oszukiwać! — zawrzeli na nich.

Stary Gajda, jakby mu dusza stajała ze strachu, zaczął się trząść, buchnął płaczem i wśród ciężkich łkań wyznawał swoje grzechy.

Grobowe milczenie się rozsiało, nawet dech powstrzymywał, nawet kaszle ustały, że jeno ten głos płaczliwy brzmiał w ciemności, rozpływając się, kiejby strugą krwi, a górą huczał dzwon i szumiały rozkolebane drzewa.

Zgroza padła na dusze, włosy powstawały, ludzie bili się w piersi z przerażenia, kajś niekajś jęk się rwał żałosny, jakiś strach okropny przejmował serca lodowatym ziąbem, bo Gajda, choć spędzając cięgiem winy na syna i strażnika, przyznawał się nie tylko do tego, co mu wypomnieli, ale i do wielu jeszcze gorszych rzeczy...

A gdy skończył, padł rozkrzyżowany i, bijąc łbem o próg, tak jęczał o zmiłowanie, jaże wiele zawtórowało mu płaczem, ale chłopi zawrzeszczeli:

— Kacper niech teraz wyznaje, Kacper! Prędzej, zbóju! A nuże! — i jęli go macać kijami po bokach a kopać, że uniósł się rozwścieklony:

— Samiśta zbóje! Niewinowatych mordować chceta! Samiśta złodzieje i zdrajce... Wszarze! Ścierwy! Paroby! — klął i wygrażał strasznie, aż go stary zabłagał:

— Ukorz się synu! Wyznaj się, to może ci darują! Ukorz się!

— Nie chcę! Łaski u zbójów prosił nie będę! Psy wściekłe! Paroby! Nie potrza mi spowiedzi! Niech mnie zabiją! Niech się ważą, psubraty! Wojsko tu jutro odpłaci im za mnie! Niech mnie jeno tkną! — ryczał, jak zwierz, i naraz porwał się na nogi, rypnął pięściami najbliższych i rzucił się oszalały na wszystkich, stary rymnął tuż za nim, przedzierając się milczkiem, jak wilk.

Podniósł się straszny wrzask, ale zmogli ich w mig i rzucili, kiej kupę łachmanów na dawne miejsce, a Jędrzej zakrzyczał gniewnie:

— Uciekać chciały! pomstą grożą! Zbóje są i złodzieje najgorsze! Pokarzcie ich, ludzie! Zatłuczcie, kiej psów wściekłych! A wszystkie bijta! Wszystkie! Bij, kto w Boga wierzy! — wrzeszczał rozsrożony.

Naród się zakołysał kiej biór, i runął na zbójów, sto drągów się podniosło i spadło z głuchym łomotem, ryk buchnął niebosiężny, jakby się wszystek świat zawalił, zakotłowało się straszną wichurą i znagła przycichło, że jeno słychać było w ciemnicy łomotanie kijów, tupoty, babie piski, charczenia, klątwy, a niekiedy dzikie, okropne, wstrząsające krzyki zabijanych.

Zaś po ch wili pod progiem kościelnym jeno czerniała

bezkształtna masa, wbita w śnieg i błoto, i rozchodził się mdły zapach krwi...

Dzwon umilkł, ale ludzie jeszcze nie odzipnęli, gdy od wsi zaczęły się roznosić krzyki, że strażnik uciekł.

Parobcy nadlatywali jeden przez drugiego, rozpowiadając i wrzeszcząc:

— Strażnik uciekł. Jak dzwon zabił weszlim do izby, a jego już nie było...

— Przez komorę uciekł! Młynarzówna go ostrzegła!

— Juści, widzielim, jak wchodziła! Ona go przestrzegła! Ona!

— Nieprawda! — zaryczał młynarz, przyskakując z pięściami.

— Wszyscy wiedzieli, że była strażnikową kochanicą, wszyscy! — wrzeszczały baby, i każden, co wiedział, tez powiadał swoje, gdy Jędrzej znowu się odezwał:

— Ludzie, słuchajcie! Braty! Pokaralim jednych, ale najgorszy nam uciekł! Zgonić go trzeba... Pokarzem tak samo każdego, któren naród krzywdził będzie, któren kradł będzie i zdradzał. Na konie siadać i gonić! Na konie, chłopaki! Do miasta uciekł! Gonić go — i, żywego czy umarłego, trza dostać! Prędzej, ludzie! By nam psoty nie wyrządził! Prędzej...

Wywalili się i wdyrdy pobiegli ku wsi, a w jakiś pacierz kilkadziesiąt chłopów już gnało różnemi drogami ku miastu, jaże koniom grały wątroby i błoto się otwierało pod kopytami.

Wieś prawie całkiem opustoszała.

Jeno na cmentarzu kobiety jakieś lamentowały żałośnie.

A środkiem drogi, nie bacząc na deszcz ze śniegiem, trzepiący po twarzy, wlókł się ku domowi młynarz, przystawał często, z trudem łapał powietrze, wzdychał ciężko, niekiedy się potaczał, niekiedy stawał, kiej martwy, a niekiedy szeptał cicho, boleśnie, z głębi umęczonego serca:

— Takaśto, córko! Taka! Strażnikowa kochanica! — powtarzał bezwolnie.

I kij srogo zaciskał w garści, jeno się trząsł jak we febrze i łzy gęstym gradem sypały mu się po twarzy.

Zjadacze gliny.

Najważniejszą zaletą pokarmów ludzkich jest ich strawność. Nierzadko jednak głód zmusza ludzi i zwierzęta do spożywania takich rzeczy, które zupełnie strawić się nie dadzą i dlatego też są dla odżywienia ciała zupełnie bez znaczenia. Różne materjały używane bywają w tym celu, bo w miarę potrzeby, a raczej od biedy, każde ciało dające się rozdrobnić, może być użyte do zapchania głodnego żołądka. Od czasów starożytnych spożywano najczęściej różne gatunki gliny, raz dlatego, że dość łatwo wszędzie o ten materjał, a powtóre, że jako dający się dobrze rozdrobnić i nie zawierający piasku, może być bez wstrętu spożywany. Pan Miś nie wzdraga się wcale przełknąć w potrzebie grudki gliny, dla przygłuszenia dręczącego uczucia głodu, puma i inne dzikie zwierzęta też uciekają się nieraz do tego samego środka.

Człowiek zaś w chwilach głodu najchętniej wybiera ziemie okrzemkowe, tj. glinki, złożone z resztek drobniutkich mikroskopowych zwierzątek, gdyż ich wygląd, czasem łudząco podobny do mąki zbożowej, przyczynia się do zmniejszenia wstrętu przy spożywaniu ich.

Ale nietylko najcięższy głód zmusza człowieka do takiego pożywienia — są wypadki, że ciała mineralne bywają stałymi dodatkami do codziennej strawy niektórych narodów.

Tak np. mieszkańcy Kirmanu, wysoko położonego solnego stepu w południowej Persji, dodają do ciasta przy pieczeniu chleba rodzaj ziemi magnezjowej, zwanej tam „ghel-i-giveh"; finnowie mieszają z mąką żytnią nieznany nam bliżej gatunek ziemi okrzemkowej; lapończycy na półwyspie Kola używają do tego samego celu rozdrobnionego łyszczyku potasowego czyli miki; nawaje w Texas spożywają wraz z tłuczonymi kartoflami rodzaj gliny z magnezją, a indjanie południowej Ameryki żując liście koka, mieszają je z gliną lub ze świeżo wypalonym wapieniem, zawierającym muszle.

Zwyczaj ten pochodzi zapewne z czasów, gdy panowały w tych okolicach wielkie głody, a przetrwał aż do obecnej chwili, dzięki temu powszechnemu u ludzi przywiązaniu do przeszłości.

Jeszcze bardziej dziwnym, niż to przyzwyczajenie, wyda nam się fakt, że takie ciała kopalne uważane są przez niektórych ludzi za przysmaki i poszukiwane bywają w tym celu. — Tych szczególnych smakoszów właśnie określamy nazwą „zjadaczy gliny". Trzeba ich jednak odróżniać od tych nieszczęśliwych, którzy wskutek ciężkich chorób organizmu lub systemu nerwowego mają nienormalny popęd do jedzenia bez wyboru ciał, zupełnie do odżywiania się nieodpowiednich, jak kreda, węgiel, ziemia, mur itp. Właściwi „zjadacze gliny" (po łacinie glitivores — od glis — glina) wyszukują sobie i wybierają starannie rodzaj gliny, którą chcą spożyć, i używają jej stale jako przysmaku, ciesząc się przytem zupełnem zdrowiem duchowem i fizycznem.

Najwięcej szczegółów o tem dziwnem upodobaniu zawdzięczamy uczonemu Aleksandrowi Humboldtowi — zebrał on odnośne do tego dane u narodu ottomaków, żyjących nad rzeką Orinoko w południowej Ameryce. Ci dzielni czerwonoskórcy spożywają w ciągu całego roku, ale najobficiej w porze deszczowej, kiedy wysoki stan wody w rzekach utrudnia im rybołówstwo — duże ilości tłustej, czarnożółtej gliny, zawierającej dużo skorupek okrzemkowych. Glina ta znajduje się całemi ławicami na wybrzeżach rzek; każda rodzina ottomaków wyszukuje sobie latem taką ławicę i strzeże jako swej własności. Kobiety, starannie wypróbowawszy glinę na „smakowitość", urabiają z niej spore kule, wypalają w słabym ogniu, tak, aby nabrały na powierzchni czerwonawego koloru i w tej postaci przechowują na zapas zimowy. Przy użyciu smakosze kulę taką zwilżają wodą i powoli zeskrobują glinę zębami. Mniej kłopotu zadają sobie indjanki nad rzeką Magdaleną. I poprostu wyrobiwszy dobrze glinę, palcem zagarniają do ust porządne porcje tego przysmaku. Wogóle spożywanie gliny spotyka się często u południowo-amerykańskich indjan. W Indjach Zachodnich zwyczaj jadania gliny także jest bardzo rozpowszechniony, nawet stanowi ona artykuł handlu na targach tamtejszych w postaci kul, pałek długich lub nieregularnych kawałków. W Chinach rodzaj gliny, bielutkiej jak śnieg i niezmiernie lekkiej, jak pianka, używany jest po każdem jedzeniu jako deser, a zarazem jako środek przedłużenia życia i zabezpieczenia przeciw wszelkim chorobom. Nawet w Europie spotykamy zapalonych jadaczy gliny, a to mianowicie w Styrji i w górnych Włoszech, w okolicach Treviso. Używają oni na ten cel twardej, obficie z okrzemkami zmieszanej gliny, której nietylko przypisują odżywcze własności, ale z pewnym zachwytem sławią jej „doskonały smak".

W rzeczywistości o smaku nie może być mowy tam, gdzie spożywane są ciała nierozpuszczalne, a do takich właśnie należy glina. Prawdopodobnie ci, którzy chwalą sobie „smak" gliny, odczuwają tylko przy żuciu jej pewną przyjemność czysto dotykową, z powodu tego, że bardzo miałka glina w zetknięciu z czułym końcem języka, sprawia miłe wrażenie gładkości. Zresztą tu także jest tylko „rzecz gustu".

Aleksander Humboldt zwraca uwagę na to, że spożywanie gliny prawie wyłącznie rozpowszechnione jest w gorących krajach. Zgadza się to z ogólnie znanym faktem, że mieszkańcy okolic podzwrotnikowych jadają mało, pracując też względnie bardzo niewiele, gdyż upały wpływają wogóle rozleniwiająco na ciało, zmniejszając zarazem chęć do przyjmowania pokarmów. Przy jedzeniu jednak przyjemność sprawia nietylko zaspokojenie głodu, ale i uczucia dotykowe, połączone z żuciem i przełykaniem; i dla tej właśnie przyjemności „zjadacze gliny" uciekają się do owego przysmaku, którym mogą zapełniać żołądek bez obawy o fatalne w gorącym klimacie skutki przejedzenia się i niestrawności.

Rozwój stosunków ludzkich.

Najniższe szczepy z pośród istniejących odłamów rodzaju ludzkiego, utrzymujące się jedynie z polowania i zbierania płodów, przebywają bardzo niewielkiemi gromadkami. W pojedyńczej gromadzie znajduje się kilka, najwyżej kilkanaście osób. Same gromady rozrzucone są od siebie na znacznej odległości. Rozstrzelenie to sprzyja zróżniczkowaniu językowemu i wogóle społecznemu: w okresie dzikim co kilkaset osób, a tem bardziej co kilka tysięcy, to inny istnieje język, inne zwyczaje społeczne. Obliczano na 10 tys. głów ludność archipelagu andamańskiego; znajdowało się tam 10 plemion, nauka zaś wyróżniła aż trzy rodziny lingwinistyczne, rozpadające się jeszcze na gwary. Gwary te różniły się między sobą tak, że mieszkaniec północnego Andamanu nie pojmie tubylca z wschodniego Andamanu, tak, jak włościanin angielski nie zrozumie rosyjskiego.

Na lądzie Nowej Holandji przebywało około 30.000 tubylców, istniało zaś według oceny E. Curra około 500 języków i narzeczy. Każda grupa mniemała, że żyła pośrodku ziemi, która w jej pojęciu rozciągała się na 100 do 120 mil angielskich wokoło. Każdy z tych niewielkich narodów do kraju swego przywiązany był tak samo, a może bardziej, niż każdy z nas do swego i nie przystałby na to, aby go przeniesiono dalej. Plemiona mieszkające w pewnej od siebie odległości są zawsze na stopie nieprzyjaźnej.

Z biegiem czasu i rozwojem dziejowym ukazują się rozleglejsze jednie: plemię, tj. całość wiążąca pewną liczbę ościennych gromadek wspólnością mowy, zwyczajów, nazwą zbiorową, wreszcie wspólną więzią społeczną. Plemię istnieje w charakterze zorganizowanej, a wyraźnej jedni społecznej już na najniższych szczeblach kultury, jakie dzisiaj oglądamy na powierzchni globu. Rozmiary jego, tj. liczba członków, wzrastają nieustanie, w miarę tego, jak od dzikości podnosimy się na wyższe szczeble kultury. W okresie dzikości, z jakim badacz ma do czynienia na lądzie Nowej Holandji, największe plemię prawdopodobnie nie przekracza liczby 2 do 3 tysięcy osób, a niekiedy wynosi zaledwie 200 lub 300 głów. Na poziomie niższego barbarzyństwa, które jest właściwe plemionomczerwonoskórym Ameryki północnej, rozmiary przeciętne plemiona wynoszą 2,000 głów niekiedy zawierają kilkanaście, a nawet parę dziesiątków tysięcy członków. W okresie wyższego barbarzyństwa, w jakim przebywały plemiona giermańskie podczas wielkiej wędrówki ludów — plemię składało się z kilkaset tysięcy członków. Aż wreszcie za dni naszych liczba głów w narodach cywilizowanych wynosi kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt miljonów osób, innemi słowy, w okresie dzikości, mieszkańcy wielkiej kamienicy dużego miasta stanowiliby już plemię odrębne, posiadające własny język, religję i własną nazwę plemienną; za niższego barbarzyństwa mała mieścina powiatowa, a nawet większa osada, przedstawiałaby sobą taką niezależną grupę plemienną, wreszcie większe miasto, jak Łódź, zmieściłaby w swoich murach każde z plemion Galji za czasów Cezara, giermanów za czasów wielkiej wędrówki ludów, lub słowian w chwili powstawania państwa czeskiego, polskiego lub ruskiego. W miarę postępu społecznego wzrasta liczba rodaków, zamiast zwyczajnych setek pojawiają się tysiące, setki tysięcy, miljony, życie ludu płynie w potoku wielkich mas.

Żyjące na pewnym terytorjum plemię — rozproszone nawet na pewne gromadki — posiada poczucie łączności. To poczucie uwydatnia się w nazwie, jaką plemię nosi, oraz w niedostępności obszaru plemiennego, dla cudzoziemców t. j. członków innego plemienia.

My, żyjący w otoczeniu społecznem, w którem swobodnie możemy sobie podróżować po krajach ościennych, nie jesteśmy zdolni zdać sobie sprawy z tego, jak daleko odbiegliśmy od swoich przodków. Pradziadowie nasi urodzeniem swoim przymocowani byli do pewnego obszaru, z którego granic mieli możność wydalić się tylko z orężem w ręku. Cywilizacja nowoczesna wcieliła w życie sporą cząstkę komunizmu międzynarodowego, w postaci dróg, po których obcokrajowcowi wolno chodzić. Jedynie paszporty, żądane w niektórych krajach, przedstawiają ostatnią spuściznę dawnego odgraniczenia i nieufności. W okresie dzikości i barbarzyństwa, obszar plemienny był świętością, na której nie mogła postać noge obcoplemieńca. Na lądzie Nowej Holandji nikt nie mógł wstąpić na ziemię obcego plemienia, nie narażając się na śmierć, w paru wypadkach, gdy pojedyńczy czarni w towarzystwie białych weszli na obszar plemienny obcego plemienia, czatowano na nich i przeszywano dzirytem. To odosobnienie przetrwało wieki barbarzyństwa i pozostawiło ślady nawet u ludów cywilizowanych: Egipt starożytny, Chiny dzisiejsze i Japonja długo nie wpuszczały w swoje granice obcokrajowców. Plemiona polskie przed Piastami znajdowały się w stanie barbarzyństwa, które niewątpliwie hołdowało takim zasadom odsosobnienia nietylko w stosunkach do obcych, ale nawet do pobratymców, pochodzących z innych plemion polskich. „W latach po Kazimierzu W. — pisze Szajnocha — nie przyjmowano w Wielkopolsce na urzędy obywateli małopolskich, jako nie ziemian, cudzoziemców".

Plemię posiada własną nazwę, w której zaznacza swą wyższość nad sąsiadami, oraz nazwy dla sąsiadów, zawierające w sobie zawsze pierwiastki szyderstwa. W spisie nazw ludów spotykamy wiele obelg i wymyślań. Nazwa eskimosów wzięta z algonkinskiego języka oznacza — „pożeracze surowego mięsa" — sami eskimosi nazywają siebie „ludźmi". Duńczycy słyną u nich jako „Kublunek" — wyraz mający u nich bardzo obelżywe znaczenie. Rosjanie noszą miano „fajczarzy" (od fajek), indjanie „wszarzy" itd. Wogóle nazwa własnego plemienia w większości wypadków oznacza „szlachetnych ludzi", „rzetelnych ludzi", „ludzi nad ludźmi", „tych, co posiadają mowę" (dosłownie). Obce plemiona, zwłaszcza posługujące się zgoła odmiennym językiem, słyną, jako „barbarzyńcy", „niemi" (Niemcy) — itd.

Nazwy te świadczą o wrogości i odosobnieniu. Każde plemię sądzi, że góruje nad innemi pod każdym względem, że zostało stworzone na skutek specjalny aktu stworzenia, że jego bogowie są jedynie prawdziwi, że ono jest ludem wybranym i patrzy z pogardą na cudze zwyczaje, potrawy, ubiory, posądza cudzoziemców o stosunki z mocą nieczystą (nasze pojęcia, iż djabeł pokazuje się w niemieckiem ubraniu, a pojęcie małoruskiego chłopa, że czart przybiera postać szlachcica polskiego — oto szczątki tych uprzedzeń), każdy cudzoziemiec uchodzi za nicponia, nasze wyrazy „oszwabić", „ocyganić" — to spuścizna takiej nieufności. Względem obcego ustawały wszelkie obowiązki, zamordowanie przestawało być zbrodnią — kradzież grzechem. Całokształt tych stosunków i poglądów żłobił przepaść między plemionami ościennymi. Nienawiści wzajemne były głębokie, obrachunki liczne.

Rolę dźwigni, która pomiędzy ludami rzuciła pomost stosunków pokojowych, niszczyła odosobnienie, ścierała nienawiści i uprzedzenia, odgrywały pospolicie czynniki zewnętrzne, które mocą przynoszonego obu stronom pożytku wiązały sąsiadów. Taką dźwignią była rozwijająca się wymiana produktów — handel. Handel zaważył w sposób wpływowy na powstanie sojuszów pomiędzy pierwotnemi plemionami; on to wyprowadził je z odosobnienia, osłabił uprzedzenia, starł nienawiści. Na targach poczęła się praca uspołeczniania ludów w ich stosunku wzajemnym; za sprawą handlu rozwinęły się warunki, które wreszcie w naszych czasach zrodziły wielką i wzniosłą ideę zbratania ludów rozumie się na podłożu poszanowania praw bytu i rozwoju każdego z uczestników.

L. Krzywicki.

Rozmaitości

Odkrycie geograficzne. Donoszą z Władywostoku: Gazeta „Dalnij Wostok" komunikuje, że podróżnik japoński Matsuszima odkrył nieznaną dotąd wyspę na północ od Sachalinu rosyjskiego. Tej wyspie japończycy przypisują wielkie znaczenie dla rozwoju japońskiego rybołostwa. (Odkrycie to jest też znamiennem dla niedołęstwa Rosji, która, władając Sachalinem od połowy zeszłego wieku, nie zdążyła zbadać otoczenia tej wyspy. — Przyp. Red.).

* * *

Zakaz pracy niewiast na budowlach wydała Bawarja i od 1-go marca nie wolno zatrudniać niewiast noszeniem materjałów budowlanych oraz na rusztowaniach. Jak wiadomo, zakaz taki zawiera także nowela prawa procederowego, lecz zakaz ten wnijdzie dopiero w życie w roku 1912.

* * *

Zamarznięty Bałtyk. Niezwykły widok przedstawia obecnie morze Bałtyckie. Widz, stojący na wybrzeżu w zatoce trawemuendzkiej, ma wrażenie, że przeniesiony został na morze Lodowate. Jak daleko sięgnie okiem, nie widzi nic prócz lodu i śniegu. Pas lodu a właściwie kry lodowej, ciągnie się na szerokości kilku kilometrów; mroźny wicher północny tak ściśle spiętrzył tę krę, że w ostatnich dniach żaden parowiec do portu zawinąć nie mógł. A na tej puszczy lodowej roi się od ptactwa morskiego kaczki, mewy, nurki i inne są tak mrozem i głodem osłabione, że rybacy rękami je chwytają.

* * *

Zanikłe zamczyska polskie. Na północ od miasta Gubinia (Guben) znajduje się naprzeciw ujścia Nisy łużyckiej do Odry wieś Szydłowo na wyspie tegoż nazwiska. Już w czasach Bolesławów wznosiła się na tym ostrowie polska warownia Szydłowo. W około twierdzy osiadła ludność polska, którą później wyparli koloniści niemieccy.

O posiadanie zaś warowni, po ustąpieniu załogi polskiej, ubiegali się „kochani" sąsiedzi. Panami Szydłowa byli więc z kolei: Henryk, margrabia miśnieński, potem wetyńczycy, brandenburczycy, czesi, wreszcie elektorzy sascy.

Dla ostatnich mianowicie służyło Szydłowo w 18 stuleciu jako pomost do Polski. Król August II nieraz tam w podróżach swych się zatrzymywał. W umowach i traktatach z tego wieku znajdujemy nazwę „Schidelawe" często wymienianą. Lecz dopiero w r. 1815 przeszła wyspa ta w stałe posiadanie Prus. Zamek zaś był już wtenczas w upadku. Na jego miejscu i po części z jego materjałów pobudowano ewangielicki zbór św. Jerzego.

W ostatnich lat dziesiątkach fale Odry raz po raz zalewały płaską tę wyspę. Rząd zrazu udzielał powodzianom zapomóg, lecz te stawały się zbyt uciążliwe. Uznano więc wreszcie, iż Szydłowo nie da się nawet przez kosztowne ogroblenie stale zabezpieczyć przeciw powodziom, dlatego rząd postanowił właścicieli Szydłowa wykupić, a całą osadę znieść. Padły więc domy prócz kilku jeszcze chałup, a w dniu 1-go grudnia zeszłego roku sprzedano na publicznej licytacji nawet kościół na rozbiórkę. I tak, w niezadługim czasie, na pustej wyspie nie będzie śladu warowni, która kiedyś wrzała życiem przechodzących polskich hufców.

* * *

Ile kosztuje banknot tysiącmarkowy? Łatwa jest odpowiedź na pytanie to, gdy się banknot taki posiada w kieszeni, trudno jednak odpowiedzieć, gdy chodzi o koszta jego sporządzenia. Uwzględnić tu bowiem trzeba koszta rysunku, zużycie drogich płyt, jako też pensje urzędników i robotników oraz koszta papieru. Po uwzględnieniu tego wszystkiego, wykonanie jedynego banknotu tysiącmarkowego kosztuje 26 fenygów. Banknot stumarkowy, mniejszy pod względem formatu, papieru i rysunku, kosztuje 11 i jednę czwartą część fenyga. Najtańszem jest wykonanie banknotów dziesięciomarkowych, które też ze względu na ich wygląd, zaś przedewszystkiem, że wartość ich obiegowa stanowi tylko jednę setną część tysiącmarkówki — są mniej lubiane u publiczności, aniżeli owe, pod każdym względem systematyczne tysiącmarkówki. Koszta sporządzenia dziesięciomarkowego banknotu wynoszą 8 fenygów.

* * *

L. Tołstoj i M. Gorkij. P. Posse opowiada o spotkaniu pierwszem Tołstoja z Gorkijem 1900 r. Gorkij miał występować na wieczorze literackim.

— A czy Aleksy Maksymowicz jest dobrym lektorem — zapytał Tołstoj Possego.

— Nie szczególny...

— Po co w takim razie pan występuje publicznie — zwrócił się on do Gorkija — by zrobić z siebie widowisko?

— Z przykrością się zgodziłem... Młodzież tego zażądała...

— Młodzież! Młodzież! Dobrą jest młodzież gdy nie myśli o tem, że jest „młodzieżą" czyli że jest czemś szczególnem. Po wsiach są takie dziewczęta, które się chełpią swą niewinnością. Grosz jest warta taka niewinność. Niewinność dziewczyny jest wtedy dobrą, gdy dziewczyna ani myśli, ani wie o niej. To samo z młodzieżą. Nie, czy kto żąda czy nie, widowiska z siebie robić nie należy.

Ja raz jedyny w życiu byłem w takiem położeniu i też pomimo mej woli. Był w Moskwie zjazd lekarzy i przyrodników. Poszedłem z Timiriaziewem, by posłuchać, a on, niecnota, poprowadził mię na estradę. Publiczność zauważyła mię... Rozległy się rzęsiste oklaski... Timiriaziew szepnął mi: „Ukłoń się pan, to panu biją brawo!"

Zaprotestowałem. Nie zawiniłem przed nikim. Za cóż miałbym się kłaniać.

Na Gorkiju spotkanie z Tołstojem sprawiło wrażenie nieszczególne. Na zapytanie Possego odpowiedział:

— Coś w rodzaju... Finlandji... Ani swoje, ani obce, a zimne.

Natomiast Gorkij sprawił na Tołstoju wrażenie bardzo dobre.

— Jest w nim coś chłopskiego!

W ustach Tołstoja jest to największa pochwała.

O talencie Gorkija Tołstoj też wyrażał się bardzo pochlebnie. Ma on olbrzymią zasługę. Odsłonił przed nami żywą duszę „bosiaka". Dostojewskij uczynił to w stosunku do przestępców, Gorkij zaś w stosunku do „bosiaka".

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt IV na kwiecień. Treść: Część pierwsza: 1. (f): Polityka polska.. — 2. Leon Wasilewski: Sprawy Litwy — 3. Dr. Wł. Gumplowicz: O pojęciu cywilizacji. — 4. Junius: Współcześni politycy polscy. Sztab narodowo-demokratyczny we Lwowie. Dr. St. Głąbiński. J. G. Pawlikowski.. — 5. Dr. Zofja Daszyńska-Golińska: Dwie kooperatywy. — 6. Marja Aleksandra Walewska: (hr. W.): Religja w nauczaniu i wychowaniu. — 7. Przegląd: I. Kaëm: Z życia młodzieży akademickiej we Lwowie. II. H. Orsza: Ze spraw oświatowych III. Junius: Z trzech zaborów. — 8. Sprawozdania z nowości wydawniczych.

Część druga: 1. Stan. Miłaszewski: *** — Niepotrzebny kościółek. Dzieci w ogrodzie. Jesień. W wagonie. Poezje. — 2. Jan Ustrzycki: Nietzszego „Ecce homo". — 3. Tad. Nalepiński: Opowieść o smutnym człowieku. — 4. M. Mutermilch: Djalog. — 5. Ign. Radliński: Narodziny bogów i ich dzieje. — 6. Zygmunt Godlewski: Smutek. A kiedy jasny wzejdzie dzień. Poezje. — 7. K. Błeszyński: Debiuty poetyckie. — 8. Zofia Rygier-Nałkowska: Śpiew kobiet. — 9. T. N.: List z Rosji. — 10. Przegląd: I. Z prasy artystyczno literackiej. II. Tad. Bezimlenny: Z życia i sztuki. Feljeton miesięczny. III. A. Zagórski: Z teatru lwowskiego. IV. Teatr krakowski. — 11. Sprawozdania: Nowe powieści. W. F.: Utwory Jerzego Żuławskiego.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

* * *

Nr. 3 (na luty) **„Przewodnika zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera:

Treść: Sport a serce. — Hygieniczne zachowanie się osób chorych na serce. — Czy można szybko usuwać różne cierpienia działaniem ręcznem? (Podług dra Naegelego. — Rolnicy, uprawiajcie rośliny lekarskie! — Walka z paleniem tytoniu szkolników. — Próby głodzenia się w berlińskiej Charité. — Ponowne zachorowania w lazarecie im. Virchowa. — Kongres balneologów. ev. — Zdrowotne wskazówki na porę obecną. — Przetrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 15. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 10 kwietnia 1909.

Piosnka biedaka.

Wychudła twarz, zapadły brzuch,
Głębokie oczodoły —
Hej! ze mnie chwat! Hej — ze mnie zuch!
Wesoły ja, wesoły!
Ja nie znam łez, rozpaczy łez,
Obcy mi płacz zwątpienia,
Bo wierzę w to, że przyjdzie kres,
Że skończą się cierpienia.
Na ustach mych wesoły śpiew,
Chociaż mię bieda gnębi;
I śmieję się tym słowom wbrew,
Że bieda serce ziębi.
Szalony ten, głupiec i kiep,
Kto spodlić mnie się sili;
Bo tylko pies chyba swój łeb
W obrożę twardą chyli.
Bo wolny duch jak drugi Bóg
On tylko światem włada;
Nie schodzi on z wytycznych dróg
I nigdy nie upada.

Chachar.

Stracenie na gilotynie.

Zamieszczamy niniejszem wstrząsający opis stracenia na gilotynie z powieści znakomitego pisarza rosyjskiego Dostojewskiego pt. „Idjota“.

...Był w więzieniu i oczekiwał stracenia przynajmniej dopiero za tydzień; liczył na zwykłą formalistkę; myślał, że papier musi jeszcze gdzieś być wysłany i wróci dopiero za tydzień. A tu nagle z jakiegoś tam powodu sprawę skrócono.

O piątej rano spał. Było to pod koniec października; o godzinie piątej chłodno jeszcze i ciemno. Wszedł komisarz więzienny, po cichu, ze strażą i dotknął ostrożnie jego ramienia; on podniósł się, oparł się na łokciu, widzi światło: „Co takiego?“... „O godzinie dziesiątej stracenie“. Na razie, ze snu, nie uwierzył, zaczął się spierać, że papier przyjdzie dopiero za tydzień, ale gdy się zupełnie rozbudził, przestał i umilkł... tak opowiadano... potem powiedział: „Jednak to ciężko tak nagle“... i znów umilkł i nic więcej mówić nie chciał.

Następnie trzy do czterech godzin upływa na znanych sprawach: ksiądz, śniadanie, do którego podają mu wino, kawę i pieczeń (no, czy nie kpiny? Przychodzi na myśl, że to okrucieństwo, ale z drugiej strony, Boże drogi, ci ludzie robią tak z dobrego serca i są przekonani, że to miłość bliźniego), potem toaleta, nareszcie wiozą przez miasto na szafot... Przypuszczam, że i teraz, dopóki wiozą, ma się wrażenie, iż pozostaje jeszcze życie długie, bez końca. Zdaje mi się, że on napewno myślał w drodze: „Jeszcze długo, jeszcze przez trzy ulice będę żył; oto przejadę tą, potem zostanie jeszcze ta, potem jeszcze ta, na której jest po prawej stronie piekarz... zanim jeszcze dojedziemy do piekarza!“ Dokoła lud, krzyk, hałas, dziewięć tysięcy par oczów... wszystko to trzeba znieść, a przedewszystkiem tę myśl: „Oto ich jest dziewięć tysięcy, a nikogo z nich nie stracą, a mnie stracą!“

Ale wszystko to rzeczy przedwstępne. Na szafot prowadzą schodki, tu, przed schodkami nagle rozpłakał się, a był to człowiek silny i odważny, był to, jak mówiono, wielki zbrodniarz. Przez cały czas był przy nim kapłan, na wózku jechał, i ciągle do niego mówił... ale czy on co słyszał; już zachnie słuchać, ale trzeciego słowa nic już nie rozumiał. Tak to być musi. Wreszcie zaczął występować na schodki; nogi ma związane, -więc idzie maleńkimi krokami. Kapłan, widocznie człowiek rozumny, przestał mówić, dawał mu ciągle krzyż do całowania. Wchodząc na schodki, był bardzo blady, a gdy wszedł na górę, na szafot, stał się nagle białym jak papier, zupełnie jak biały papier do pisania. Nogi jego musiały słabnąć i skostnieć i dusił się, jak gdyby go coś dławiło w gardle i łaskotało... czuje się to niekiedy w strachu, lub w chwilach bardzo strasznych, kiedy się jest zupełnie przytomnym, ale rozum już nie ma żadnej władzy. Zdaje mi się, że jeśli się naprzykład stoi wobec nieuniknionej zagłady, dom się wali, wtedy chciałoby się usiąść, zamknąć oczy i czekać... niech się co chce dzieje... Otóż tutaj, gdy nadchodziła taka chwila słabości, kapłan czemprędzej, prędkim ruchem i w milczeniu, podsuwał mu krzyż do samych ust, taki maleńki krzyżyk, srebrny, czteroramienny... podsuwał mu go często, co chwila. I jak tylko ustami dotykał krzyża, otwierał oczy i znów na parę sekund, jakby się ożywiał i nogi niosły go dalej.

Całował krzyż chciwie, całował z pośpiechem, widocznie spieszył się, aby zdobyć na drogę na wszelki wypadek pokrzepienie, ale wątpię, czy on w tej chwili odczuwał coś religijnego. Tak było aż do samej deski... Dziwna rzecz, że w tych ostatnich chwilach rzadko ludzie mdleją! Przeciwnie, głowa strasznie żyje i pracuje i to pewno mocno, jak maszyna puszczona w ruch; wyobrażam sobie, że się tak walą różne myśli: „Oto ten patrzy... na czole ma brodawkę, oto zardzewiał dolny guzik przy ubraniu kata“... a tymczasem człowiek wszystko wie i wszystko rozumie; jest pewien taki punkcik, którego w żaden sposób zapomnieć nie można i zemdleć nie można i wszystko do tego punktu wraca i koło niego się kręci. I pomyśleć, że to tak do ostatniej ćwierci sekundy, kiedy już głowa leży na rusztowaniu i czeka... i wie, że nagle usłyszy nad sobą, jak zgrzytnęło żelazo! To się napewno usłyszy! Gdybym ja tak leżał, słuchałbym umyślnie i usłyszałbym! Chodzi tu, być może, o jedną dziesiątą cząsteczkę chwili, ale napewno się usłyszy. Ludzie dotychczas jeszcze dowodzą, że może, gdy już głowa odpadnie, wie może jeszcze przez sekundę o tem, że odpadła... co za uczucie! A jeżeli przez pięć sekund!...

L. KRZYWICKI.

Apostołowie cywilizacji.

W zetknięciu z cywilizacją europejską ludy pierwotne znikają szybko. Zanikanie to wydaje się z pozoru tym dziwniejszym, że w dzisiejszej europejskiej cywilizacji znalazłoby się miejsce dla przedstawicieli najbardziej nawet nieuzdolnionych pod względem umysłowym ludzkości. (W Anglji w zakładach tkackich zatrudniają idjotów i kretynów). Zdawałoby się, że wsiąknięciu żywiołów barbarzyńskich i dzikich stoją na zawadzie tylko tego rodzaju względy, jak odruchliwość i niesystematyczność natury. Ale cywilizacja, stwarzając olbrzymią a ruchliwą hodowlę bydła w kolonjach, tem samem usunie te przeszkody, wypływające z niesystematycznego charakteru. A jednak zetknięcie się cywilizacji europejskiej z dzikimi ludami wywołuje masowe unicestwienie grup pierwotnych. Okoliczność ta jest następstwem przeciwstawności nie antropologicznej, lecz społecznej. Rzecz cała polega na tem, że dziki i barbarzyniec odrzucają naszą cywilizację, bo żyją w ustroju, wydającym pod pewnym względem wyższe moralnie jednostki. Twierdzenie to na pozór brzmi dziwnie, tem niemniej jednak jest słusznem. Często przyjęcie naszej cywilizacji byłoby właśnie zrzeczeniem się tego stanu rzeczy, gdzie „wolność, równość i braterstwo, chociaż jasno nie określone, są zasadami społeczeństwa". Przedstawiciele nawet najdzikszej grupy rodu ludzkiego (prócz gabinetowych mędrców Europy) zrobili to, bo nawet australczycy wolni w swym prostym ustroju, równi, związani spójnie solidarnością, odpowiadają, że nie chcą zostać białymi, bo są i chcą być „dżentelmanami". W istocie cóż cywilizacja im ofiaruje w zamian za wolność i swobodę? Wszak niosła im jedynie najemnictwo z pracą całodzienną u najezdników lub ze służbą w policji przeciw dzikim współbraciom. Najazd cywilizowany przyniósł wolnym hotentotom europejską „adscriptionem glebae" (przywiązanie do ziemi) wraz z napisami na kościołach: „Nie wolno tutaj wchodzić psom i hotentotom". Barbarzyńcy protestują z zupełną świadomością, a wzorów takiej odporności daremniebyśmy poszukiwali śród cywilizowanych. Czyż w bohaterskiej Helladzie słyszano, aby 99 procent ginęło w obronie swej niepodległości, jak to widzimy u marjańczyków? (mieszkańcy wysp Marjanny w Oceanji).

W chwili najazdu białego było tutaj do 30 tysięcy ludności i nie upłynęło stulecia, a pozostało zaledwie kilka tysięcy najpodlejszego rodzaju wybiorków; reszta zginęła. „Choroby porywały ich masowo, całe rzesze odbierały sobie życie z rozpaczy, swoboda bowiem była dla nich najwyższem dobrem, obce zaś jarzmo uważali za złe najdotkliwsze; mężczyźni i kobiety umawiali się, by nie rodzić dzieci, żeby te ukochane biedactwa ustrzec od jarzma, uciskającego rodziców; urodzone zaś rzucano do wody. Najezdnicy hiszpańscy zapisali mowy tych nagich czarnych bohaterów: „Hiszpanie zarzucają nam nędzę naszą, niezręczność, ciemnotę. Lecz czegóż u nas nędzarze szukają? Mówią, że pragną naszego szczęścia. W czem jeśli nie w nędzy, chorobach, robactwie zawiera się to ich szczęście? Żelazo i wszystko, co przynieśli, nie powetuje tego... Urodziliśmy się wolnymi, uchowajmy więc wolność, otrzymaną od przyrody i odziedziczoną po praojcach. Coby dziadowie powiedzieli, widząc nas niewolnikami białych?" „Może obawiacie się wystąpić przeciw białym z powodu ich broni (palnej), lecz czy też śmierć bohaterska nie jest lepszą niż życie w hańbie? Czyż niewolnicy bez duszy walczyć potrafią o wolność?" Z drugiej strony ich ustrój pierwotny odznacza się niezmierną solidarnością i braterstwem. Kiedy „król" wysp Tonga w rozmowie z europejczykiem dowiedział się, że w Europie wszystkie przedmioty potrzebne do życia trzeba kupować, że obiad w obcym domu je się wyjątkowo, kiedy się otrzyma zaproszenie, wybuchnął śmiechem, kpiąc z sobkostwa białych ludzi. Twierdził, że panujący na wyspie Tonga zwyczaj jest daleko wyższy: jeśli ktoś głodny, wolno mu wejść do najbliższej chaty, w której jedzą i piją, i usiąść obok towarzystwa, nie czekając zaproszenia". Dodajmy do tego, że dziki barbarzyniec śmiało spogląda w przyszłość, nie obawiając się o losy swego potomstwa. Zbiorowa własność gruntów i źródeł pożywienia, wzajemne braterstwo usunęły możliwość nędzy u jednych, zbytku u drugich. Ustrój pierwotny nie zna żebractwa i nędzy, opuszczenia i głodu, jeśli ktoś śród plemieńców posiada bogactwo. Braterstwo i uczucie równości, prawdomówność i poświęcenie, użycie i samowola, są rysami pierwotnego społeczeństwa. Jakiem okiem musiał człowiek pierwotny spoglądać na przybysza kłamliwego, samolubnego, goniącego za marą gromadzenia zysków?"

Zetknięcie z tymi przybyszami przywiązało go jeszcze bardziej do tradycji przodków, a krzywdy, doznane od najezdników, jeszcze silniej kazały nienawidzieć cywilizację. Pogardzają białymi, ponieważ są pełni bezustannej troski o swoje mienie, aż do tego stopnia, że stali się niewolnikami własnego majątku; wyrzucają im chciwość i sobkostwo, a ich uczucia moralne wzdrygały się na widok ustroju społecznego, w którym tak nisko cenią męskość i charakter osobisty i w którym tak silnie wpływały na czyjeś znaczenie, tytuł, majątek i inne rzeczy zewnętrzne". Waitz, z którego przytaczamy ten ustęp, dodaje od siebie ironicznie, że jeśli ktoś czuje się na siłach, niech usunie te zarzuty z umysłowości czerwonoskórych.

Dodajmy do tego, że na te krańce, gdzie cywilizacja styka się z ludami pierwotnymi, udają się w pierwszej chwili najgorsze męty cywilizacyjne, wysyła się zbrodniarzy, lub wychodzą awanturnicy, żądni prędkiego wzbogacenia się i nie przebierający w środkach. Cywilizacja, jak gdyby siliła się, aby pokazać ludziom pierwotnym swoje najwstrętniejsze łachmany. Zetknęcie to bywa jednym krwawym, nieustannym dramatem. Weźmy naprzykład wojnę tasmańską, która wytępiła tasmańczyków doszczętnie. W r. 1803 Anglja objęła wyspę w posiadanie na tej zasadzie, że tubylcy, nie pędząc osiadłego trybu życia, nie mają niby do niej żadnego prawa!(?). Z 7000 głów, stanowiących podówczas całą ludność tubylczą, w 1832 r. zostało tylko 400, w 1883 umarł ostatni potomek tego szczepu wydziedziczonego. Cywilizacja ukazała się pod postacią 40 kryminalistów i załogi. Ci „prawowici" posiadacze zrazu zostali przyjęci po przyjacielsku przez czarnych, lecz przyjaźń trwała krótko. W roku 1804 gromada dzikich z 900 ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci, bez oręża wojennego polowała na kangury, pijany oficer kazał dać ognia — padło 50 osób. W dwa lata później, z powodu braku żywności rozpuszczono kryminalistów. Rozpoczynają się kradzieże dzieci, zabijanie mężczyzn, celem zabrania kobiet, którym przywiązuje się do szyi głowę zamordowanego męża, mężczyzn pozbawia się organów płciowych, strzela jak do celu do kobiet ciężarnych, niemowlęta wrzuca się w ogień. Włóczędzy zabijali tubylców, żeby ich mięsem karmić swoje psy. Nadto przybywający z Europy koloniści zajmują grunta przybrzeżne. Czarni, odcięci od morza, pozbawieni środków utrzymania, uciekli się do odwetu, kradnąc trzody, puszczając z ogniem ustronne osady, zabijając najezdników. Biali ogłosili wtedy systematycznie obławę na „zwierzynę czarną", myśliwi podzielili wyspę na działy i w mordowaniu czarnych znaleźli źródło zarobkowania. Sprawozdania urzędowe ogłaszają o tych obławach: „10 zabito, dwuch wzięto", dziewięciu zabito, trzech wzięto... Dzicy walczyli zacięcie. 3000 przybyszów drżało przed 150 tubylcami! Wtedy występuje jako pośrednik między tubylcami, a białymi rabusiami mularz, Robinson; drogą układów, obiecując, że dostaną nowy, a cudowny kraj, pełen kangurów, skłonił szczątki tasmańczyków, do poddania się. Garstkę tę wysadzono na wyspę bez lasów i zwierzyny i oddano pod dozór starszego sierżanta, zastąpionego później przez misjonarzy; batami wtłaczano moralność cywilizacyjną. W 1848 roku pozwolono ostatnim 44 wygnańcom powrócić do Tasmanji, dano im jałowe ustronie do uprawy. W kilkadziesiąt lat zginął ostatni przedstawiciel ograbionego szczepu. Obraz ten skreślony w ogólnych zarysach, daje naturalnie przybliżone tylko pojęcie o codziennym przebiegu walki. Swoją drogą jest on wzorem, wedle którego kształtują się wszelkie stosunki białych do ludów pierwotnych; jedynie rozmiary, odpowiednie do liczebności najechanego ludu, są odmienne. Sprawozdania z obław na hotentotów będą brzmiały silniej: „wzięto pierwszy kraal: zabito 75, zabrano do niewoli 21; wzięto drugi: zabito 85, zabrano 22".

Odmienne pojęcie o własności (własność zbiorowa) i o sprawiedliwości (zemsta krwawa) zaostrzają nienawiść i stają się powodem mnóstwa starć. Różnice w pojęciach o

własności najlepiej uwydatni nam mowa wodza australijskiego do anglików. „Czemu wy, biali ludzie, przyjeżdżacie na okrętach do naszej ziemi, zabijacie czarnych, którzy nie rozumieją, czego chcecie od nich? Posłuchajcie! moi dzicy, czarni, ziomkowie nie znają i nie pojmują praw waszych. Każde zwierzę — chodzące po ziemi, każdy korzeń wrośnięty w grunt należą do wszystkich. Czarny uważa za swoje tylko odzież, broń i imię, które nosi. Nie może pojąć, dlaczego jeden człowiek ma posiadać więcej praw do rośliny i zwierzęcia, niż jakiś inny. Głodna i wynędzniała tłuszcza krajowców zstępuje z gór i spotyka nieznane zwierzęta, które wy zowiecie owcami. Rozumie się, rzucamy oszczepy, urządzamy ucztę; wtedy wy, biali ludzie, pojawiacie się i strzelacie do nas. Lecz w odwet za każdego zabitego czarnego, zamordujemy jednego białego! Nasze biedne czarne kobiety przyzwyczajone są do wyrywania z ziemi każdego jadalnego korzenia, przychodzą na pole zasadzone kartoflami! Im potrzeba yamu, wyrywają więc roślinę. Przybywają biali i zabijają czarną kobietę. Ja też wezmę życie za życie!“ Naturalnie, wobec odmiennych pojęć o własności powodów do walki i wzajemnej nienawiści nie zbraknie. Co ważniejsze: obie strony sądzą, że bronią swoich „słusznych“ praw: zarówno australczyk, zabijający barany, jak biały, mszczący się na rabusiach. Australczyk, którego biały pokrzywdzi, nie uda się do sądów, bo nie rozumie tej instytucji, lecz będzie poszukiwał wedle rodzimych zwyczajów samowolnie krwawej zemsty, wskutek czego uznany bywa przez europejczyków za „zabójcę i złoczyńcę“, ścigany i karany.

Przyczyn do walki nie braknie: leżą one w charakterze odmiennych ustrojów społecznych, stykających się z sobą, i ludzi, którzy występują jako ich przedstawiciele. Tą drogą wiele pierwotnych ludów już wyginęło, inne zaś szybko zmierzają ku temu, wywołując u ludzi nauki sporo współczucia.... że wymierają niezbadane! W ostatnich czasach pocieszyli się nieco: fonograf przechowa chociaż mowę tych rozbitków walki rasowej i przekaże ją dalekim wiekom.

Najazd białych cywilizatorów jest tępieniem na wielką skalę ludów dzikich i myśliwskich barbarzyńców, ubożeniem i dezorganizowaniem rolników, demoralizowaniem, oszukiwaniem i rozpojeniem każdego. Żywiono ongi płon na nadzieję, że misje zapobiegną temu wszystkiemu, jakby mogły one zmienić charakter naszej cywilizacji i jej podstawy ekonomiczne! Chrześćjaństwo na krańcach cywilizacji systematycznie przybiera postać znaną u nas z dziejów Krzyżaków i Rycerzy Mieczowych. W 1863 roku w londyńskiem Towarzystwie antropologicznem uznano, że pieniądze na misje są funduszami zmarnowanymi, że same misje ani na krok nie posuwają cywilizacji, moralności, umysłowości i techniki ludów nawracanych.

Jasnowidzenie w świetle krytyki naukowej.

Okultyści i spirytyści zazwyczaj jasnowidzenia używają jako dowodu wobec przedstawicieli ścisłej wiedzy doświadczalnej, że dusza ludzka posiada tajemnicze jakieś własności nad naturalne i że na świecie dzieją się rzeczy, o których się nie śniło filozofom, a więc których zapomocą nauki wytłomaczyć ani wyjaśnić nie można. Co do samej istoty jasnowidzenia, zapatrywania są podzielone. Jest to bądź „jasnowidzenie“ w przestrzeni, polegające na dostrzeganiu rzeczy równoczesnych, zbyt jednak oddalonych, by je można uchwycić zmysłami (tak zwana telepatja) albo też jasnowidzenie w czasie, polegające na tem, że się „widzi“ rzeczy przyszłe, albo przeszłe, których wiadomość musi być zakrytą dla zwykłego śmiertelnika.

Którekolwiek z tych zjawisk rozumieć będziemy pod nazwą „jasnowidzenie“, w każdym razie mamy do czynienia z problemem psychologicznym, którego istota nie jest jeszcze wyjaśniona. Z jednej strony bowiem nauka ścisła ani nie dowiodła niemożliwości jasnowidzenia, ani też nie zdołała wytłomaczyć w sposób naturalny wszystkich dotychczasowych jego wypadków, z drugiej zaś strony okultyzm i spirytyzm, który ilościowo rozporządza olbrzymim materjałem dowodowym, nie może poszczycić się ani jednem doświadczeniem, które co do szczegółów swoich odpowiadałoby w zupełności wszystkim wymogom nauk ścisłych.

Wraz z postępem psychologji doświadczalnej znikają cuda, tak zwane jasnowidzenia, i rozpływają się w mgłę nicości. W każdem wielkiem mieście istnieją w większej lub mniejszej liczbie tak zwane wróżki lub prorokinie, które chwalą się tem, że mogą przepowiedzieć naprzód wielkie katastrofy, lub zdarzenia historyczne. Pomijając te, które praktyki swoje zupełnie świadomie opierają na szalbierstwie i oszukaństwie, zajmijmy się tylko temi, które same wierzą w swą zdolność przewidywania przeszłości.

Jedna z takich prorokiń berlińskich chwaliła się w swoim czasie, że przepowiedziała naprzód śmierć wielkiego księcia Sergjusza, która miała nastąpić po ukończeniu budowy berlińskiego tumu, co — jak wiadomo — spełniło się co do joty. Skoro jednak jasnowidzącą tę wróżkę wzięto w ogień krzyżowy pytań, okazało się, że „proroctwo“ jej nie orzekało wyraźnie jakości wypadku, ale brzmiało tak: „Po ukończeniu tumu berlińskiego, zdarzy się w Europie wielkie nieszczęście“.

Proroctwo takie mógłby z równie dobrym skutkiem wypowiedzieć także każdy z czytelników, gdyż przepowiednia, że np. w danym miesiącu jakiegoś roku zdarzy się wielkie nieszczęście, nosi w sobie taksamo zarodek prawdy, jak „przepowiednia“, że w tym samym miesiącu mieszkańcy miasta Katowic skonsumują wielką ilość alkoholu. Wielkie nieszczęście, którego istota nie jest bliżej określoną i o którem nie powiedziano w jakiej okolicy ma się ono wydarzyć, można znaleźć zawsze, bo nieszczęść jest tyle, że wystarczy ich nietylko na każdy miesiąc, ale nawet na każdy dzień miesiąca. Proroctwo powyższe, post factum, zupełnie dowolnie skierowano na śmierć wielkiego księcia Sergiusza. Gdyby morderstwo to nie zostało dokonane, proroctwo i takby się spełniło, możnaby je mianowicie z równie dobrym skutkiem odnieść do rzezi w Petersburgu, albo do bitwy pod Mukdenem, albo trzęsienie ziemi w Japonji, albo do bitwy morskiej pod Cuszimą, albo wreszcie do któregokolwiek z tych licznych wypadków, które się zdarzyły po ukończeniu tumu w Berlinie.

Proroctwa, wypowiedziane zazwyczaj w sposób ogólnikowy i nieokreślony, muszą się spełniać, ponieważ dowolnie do nich naciągają i naginają fakta. Gdyby jednak kiedykolwiek jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności proroctwo jakieś w żaden sposób nie chciało się sprawdzić, to i to nic nie szkodzi. Znaną bowiem jest rzeczą, że ludzie pamiętają tylko te proroctwa, które się potem spełniły, fałszywych zaś nigdy się nie pamięta, i nigdy się o nich nie mówi.

Inaczej zupełnie ma się rzecz z jasnowidzeniem w przeszłość, lub na daleką odległość. W tych wypadkach odgrywa rolę pewna właściwość pamięci ludzkiej, zwana pamięcią utajoną. Pamięć utajona jest to zdolność zachowywania raz odebranych wrażeń, chociażby dany osobnik wrażeń tych na pozór zapomniał i nie miał o nich żadnej świadomości. Istnieją one gdzieś ukryte i jakby przyczajone na dnie duszy człowieka i w danej chwili pojawiają się w sposób najbardziej nieoczekiwany w formie przeczucia, jasnowidzenia, lub snów, t. zw. proroczych. Snów takich można przytoczyć bardzo wiele, a wszystkie są dowodem tego, że niektóre przedmioty wrażają się w pamięć człowieka bez jego wiedzy i pozostawiają w mózgu jego niezatarty ślad, który czasami bez żadnego zewnętrznego powodu nagle wraca do świadomości.

Przykładem snów tak zwanych proroczych jest sen następujący: Pewien kasjer, zajęty w bardzo dużem przedsiębiorstwie angielskiem, zapomniał raz wciągnąć do książek pozycji 6 funtów szterlingów, wypłaconych pewnemu natarczywemu klientowi. Po 8 miesiącach brakło w księgach niezapisanej sumy, a nieszczęśliwy kasjer, spędziwszy na poszukiwaniach jej kilka dni i nocy, położył się wreszcie wyczerpany do łóżka. Zaledwie zasnął, ukazał mu się we śnie ów natarczywy klient i odbyła się scena wypłacania mu pieniędzy, dokładnie jak przed 8 miesiącami. Kasjer z łatwością już mógł wykazać, gdzie się podziała brakująca suma.

I jeszcze jeden podobny sen „proroczy“. Pewna gospodyni nie mogła wieczorem znaleźć pęku kluczy, który w ciągu dnia miała. Naprożno szukała wszędzie i cały dom przetrząsnęła — kluczy jak nie było tak nie było. Skoro, stroskana i zmęczona, udała się na spoczynek, śniło jej się, że siedzi na ławeczce w ogrodzie i wiesza klucze na jedną z gałęzi krzaku, rosnącego przy ławce. Po przebudzeniu się rano przypomniała sobie sen swój, udała się na to miejsce i rzeczywiście znalazła klucze.

Tak w jednym, jak i w drugim wypadku, wchodzi tu w grę pamięć utajona. Obie przytoczone powyżej osoby — kasjer i gospodyni — straciły zupełnie świadomość czynności, którą wykonały poprzednio, może w zamyśleniu (gospodyni), może w pospiechu (kasjer), świadomość ta jednak zachowała się w pamięci utajonej i w danej chwili wystąpiła na jaw.

W „jasnowidzeniu“ właśnie największą rolę odgrywa pamięć utajona, jak to na podstawie bardzo cennej samoobserwacji stwierdziła jedna z angielskish „jasnowidzących“, miss Goodrich. Można wogóle śmiało powiedzieć, że największa część wypadków t. zw. jasnowidzenia, da się wytłomaczyć na podstawie złudzeń pamięciowych i pamięci utajonej. Te wypadki, których w ten sposób wyjaśnić nie podobna, są to zwykłe wypadki niekontrolowane, które przyjęto tylko na wiarę, bezkrytycznie, stanowią więc przez to samo materjał niestosowny do badań naukowych.

Do takich wypadków należy najsławniejsze, w literaturze tak często cytowane proroctwo Svedenborga o pożarze Sztokholmu: Dnia 1-go września 1759 wrócił Svedenborg do Szwecji i wylądował w Gotenburgu. Zaproszono go zaraz w grono przyjaciół, Svedenborg o 6 godzinie opuścił jednak towarzystwo. Skoro po chwili wrócił, był blady, przerażony i zakomunikował wszystkim wiadomość, że Sztokholm się pali. Wiadomość o tem rozeszła się po mieście lotem błyskawicy, a gubernator pchnął kurjera do Sztokholmu, dla zdobycia wiadomości. Następnego dnia wyprawił też posłańca do Svedenborga, który opisał pożar ze wszystkimi szczegółami. Dopiero nazajutrz wieczorem przybyła sztafeta z Sztokholmu do Gotenburga, która opowiadania Svedenborga w zupełności potwierdziła.

Przykład ten „jasnowidzenia“ został nam przekazany nie przez kogo innego, jak przez Kanta. Cała historja jednak nie zyskuje przez to bynajmniej na wiarygodności, Kant bowiem nie był sam świadkiem powyższego zdarzenia, ale świadomość o niem doszła do jego uszu przez liczne usta pośredników. Trudno więc świadectwo tego „faktu“ użyć jako materjału dowodowego dla badań naukowych.

A zaznaczyć trzeba, że historja ta, wzięta z życia Svedenborga, jest jeszcze jednym z najwiarogodniejszych przykładów „jasnowidzenia“, inne przy bliższem badaniu okazują się wprost zmyślonemi.

Mimo to nie można jeszcze na wsze strony rozgłaszać zupełnego zwycięstwa sceptycyzmu. Istnieją jeszcze zagadnienia, będące w związku z jasnowidzeniem, które ciągle jeszcze opierają się naukowemu zbadaniu i dają dużo do myślenia. Może być, że kiedyś nauka będzie się musiała liczyć z jasnowidzeniem jako z faktem uznanym; tymczasem jednak, wobec braku dostatecznego materjału dowodowego, nie ma do tego najmniejszego powodu.

Rozmaitości

Nowe działa przeciw żegludze napowietrznej. Okręty powietrzne i maszyny do latania w powietrzu jeszcze nie są ku zadowoleniu gotowe i użytek ich w życiu praktycznem przynajmniej zagadkowy, a już niemieckie lejarnie dział, Krupp i Erhardt, pracują gorliwie nad konstrukcją specjalnych dział przeciw żegludze napowietrznej. Oprócz nowych dział wyda firma Erhardta nowy nabój szrapnelowy, którego odległość strzału wynosi 5600 metrów. Ponieważ okręty powietrzne tylko 2 tysięce metrów wysokości osięgają, stałby się nowy nabój wielkiem niebezpieczeństwem dla wojennej żeglugi napowietrznej.

Nie są to wcale wesołe widoki dla nowoczesnych żeglarzy.

* * *

Tysiąc nieważnych małżeństw. W dziwacznem położeniu znalazło się obecnie około tysiąca par małżeńskich w Anglji, które wzięły ślub w Stantonburry. Pokazało się mianowicie, że małżeństwo ich jest nieważne, gdyż kościół, w którym wzięli ślub, nie miał licencji na dawanie ślubów. Obecny pastor zrobił to odkrycie niedawno, przy sposobności przeglądania archiwum. Na zapytanie jego u naczelnych władz kościoła anglikańskiego odpowiedziano, że istotnie kościoł w Stantonburry nigdy nie miał prawa udzielania ślubów małżeńskich. Wobec tego ubiegłej niedzieli pastor ogłosił z ambony, że wszystkie małżeństwa, od pięćdziesięciu lat wstecz zawarte w Stantonburry, są nieważne. Dodał jednak, że wdrożono już kroki celem legalizacji tych nieważnych, lecz w dobrej wierze zawartych małżeństw.

* * *

Niezwykła odporność na prąd elektryczyny. W Nowym Jorku popisuje się obecnie niejaki Karol Quill, który przez ciało swe przepuszcza prąd elektryczny o sile 1800 wolt, nie odnosząc przy tem żadnego uszczerbku dla swego ciała, kiedy przy traceniu przestępców za pomocą elektryczności używa się prądu o sile tylko 1700 wolt. Quill wytrzymuje ten niezwykły silny prąd przez minutę. Chustka nasycona alkoholem, zapala się płomieniem na jego ciele. Przyjmując prąd jedną ręką, zapala lampę elektryczną, którą trzyma w drugiej ręce. Bierze w usta kawałek węgla, dotyka nim drugiego węgla związanego drutem i wytwarza światło łukowe.

* * *

Samobójstwo żony miljardera. W Waszyngtonie wywołało wielką sensację samobójstwo żony „króla tytoniowego“, Lorillarda, miljardera, dzierżącego w ręku losy trustu fabryk wyrobów tytoniowych w Stanach Zjednoczonych. Na pozór szczęśliwa i wesoła pani ta, wróciwszy z obiadu proszonego, zamknęła się w łazience pałacu swojego i tam zaczadziła, poodkręcawszy wszystkie kurki świeczników gazowych. Jak się okazało z zeznań męża i służby, powodem samobójstwa było zdenerwowanie w najwyższym stopniu skutkiem uczestniczenia w ciągłych zabawach i przyjęciach towarzystwa waszyngtońskiego, oraz urządzaniu przyjęć u siebie. Podniecona i żywa w towarzystwie, pani Lorillardowa stawała się ponurą i apatyczną w chwilach samotności, nie miała jednak dosyć siły woli, aby zerwać z „targowiskiem próżności“.

* * *

Wyprawa do bieguna południowego, Korespondent „Timesa“, który wyjechał naprzeciw powracającej wyprawy Shackletona do Nowej Zelandji, nadesłał następujące szczegóły o przebiegu tej wyprawy: Gdy podróżnicy przybyli do stóp wulkanu Erebus, był on w stanie czynnym. Z krateru wydobywały się wciąż gęste pary i dymy siarczane. Dokoła krateru leżały potężne bloki zakrzepłej lawy, które zawierały znaczną ilość siarki. Pokłady węgla, które znaleziono daleko na południe, blisko już bieguna, są prawdopodobnie jeszcze z przed trzeciego okresu, powstało może nawet w okresie paleozoicznym.

Uczestnik wyprawy, prof. Dawid. opowiadał korespondentowi „Timesa“ następujące szczegóły o powrocie Shackletona: Udał się on z trzema towarzyszami w głąb kraju podbiegunowego, ponieważ zaś długo nie wracał, załoga „Nimroda“ zaniepokojona tem, udała się na jego poszukiwanie. Niebawem spostrzeżono Shackletona wra z Wildem na brzegu. Spuszczono łódź ze statku i obu przewieziono na pokład. Obaj wyglądali okropnie. Twarze ich były blade sine, oczy zapadnięte, skóra pomarszczona i zawiędła. Shackleton zjadł szypko posiłek, i natychmiast, mimo, że nie spał dwie noce, udał się z kilku ludźmi, by zabrać dwóch innych swych towarzyszów, których zostawił chorych w oddaleniu 50 mil angielskich.

Po trzech dniach udało się ich sprowadzić na okręt i wówczas Shackleton dał rozkaz zakończenia ekspedycji. Shackleton w ostatnim tym okresie podróży stworzył jedyny w swoim rodzaju rekord, mianowicie po zrobieniu 2700 kilometrów sankami, przebył jeszcze na nartach w przeciągu trzech dni 160 kilometrów, przez trzy dni nie śpiąc prawie zupełnie.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 16. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 17 kwietnia 1909.

Idzie wiosna!

Idzie wiosna... dzwoni
Skowrończaną pieśń!
Złote słonko goni
Pozimową pleśń!
Z świetlanych warkoczy
Bije ciepło w dół,
Budząc po roztoczy
Pęki traw i ziół!
Wietrzyk pieści niwy
Pije wilgoć brózd —
Szumią brzozne grzywy
Gra wierzbowy chróst!

Idzie wiosna! wiosna!
Zmartwychwstania siew!
Ziemia kwietnie krosna,
Pod błękitem — śpiew!
Wstaje serca życie,
Rzeźwą wznosząc skroń!
Cały świat w zachwycie
Rozświetl! kwiaty! woń!
Cały świat — kobiercem
Szczezł martwoty krok!
Płynie ziemi sercem
Nowych bytów sok!

El.

EDMUND DE AMICIS.

Chrzest.

Dziesięcioletni Albert bawił się właśnie w pokoju swego ojca, gdy weszła służąca i oznajmiła:

— Przyszedł pan X... Czy mam go wpuścić?

— A do stu piorunów! — zaklął ojciec, odłożył książkę, którą właśnie czytał — była to rozprawa prawnicza Garofala o tem, co usiłował on określić jako socjalistyczny zabobon — i skoczywszy na równe nogi z krzesła, zawołał: „Po pięciu miesiącach więzienia! Proszę go wpuścić natychmiast!“

Przy słowach „pięć miesięcy więzienia“ wypuścił przestraszony chłopiec z rąk zabawkę, cofnął się w sam kąt pokoju i spoglądał stamtąd szeroko rozwartemi oczyma w drzwi, przez które wejść miał zapowiedziany gość za chwilę. W jego główce zawrzało naraz od myśli i pytań. Dla niego pojęcie więzienia było równoznacznem z pojęciem zbrodni spełnionej. Lęk nie opuścił go nawet wówczas, gdy zobaczył, jak ojciec podbiegł ku nadchodzącemu i serdecznie go uściskał. Gość był mężczyzną w wieku około lat trzydziestu pięciu, o twarzy bladej, lecz energicznej, ubrany ubogo, lecz czysto; ruchy jego były proste, lecz swobodne.

Stanęli obaj tuż przy oknie i poczęli żywo rozmawiać. Pytania i odpowiedzi biegły raz wraz po sobie bez przerwy i bez końca.

Chłopiec przysłuchiwał się zrazu rozmowie ze swego kąta z natężoną uwagą. Lecz gdy w toku rozmowy posłyszał opowiadanie, że przyjaciela jego ojca zakutego w kajdany prowadziło przez rodzinną wioskę do więzienia czterech żandarmów, zupełnie tak, jak pewnego słynnego mordercę, którego niedawno w ten sam sposób z budynku sądowego w jego oczach wyprowadzano, zajęło w młodej jego duszy miejsce poprzedniego lęku nie dające się już opanować ni ukryć przerażenie, które zwróciło nawet uwagę rozmową zajętego gościa. Lecz ten stan duszy swego syna już wcześniej zauważył ojciec.

Pewnej chwili wyjął z szuflady stolika paczkę dzienników i podał je przyjacielowi, mówiąc:

— Wszystko, co mógłbym ci jeszcze opowiedzieć, znajdziesz w tych pismach, które dla ciebie zbierałem i zachowałem. Przeczytaj, a zobaczysz, że podczas twej nieobecności myśleliśmy ciągle o tobie. Poznasz z tych druków i moje uczucia i wszystkich innych — zbrodniarzów.

Gość zasiadł tyłem do okna i zagłębił się w odczytywaniu druków. Gospodarz zaś domu zwrócił się tymczasem do swego syna, oczekując z jego ust pytania, które, widział to wyraźnie, już oddawna jego duszę męczyło.

I istotnie chłopiec zwrócił doń błagające swe oczy, a z drżących ust wybiegło mu szeptem pytanie:

— Tatku, co ten pan... złego zrobił?

Ojciec uśmiechnął się:

— Co zrobił złego? Odsiedział pięć miesięcy więzienia.

Chłopiec milczał przez chwilę zmieszany. Lecz za chwilę znów zapytał:

— A kim jest ten pan?

Ojciec usiadł, a chłopca posadził na swych kolanach:

— O widzisz — rzekł — na to pytanie odpowiedź już jest łatwiejsza.

Ja boję się jednak, że ty mnie i tak nie zrozumiesz. Słuchaj więc uważnie.

Otóż musisz wiedzieć, że we wszystkich państwach i krajach jest pewna ilość ludzi, między którymi jest dużo uczonych, ludzi z wielkimi talentami, a nawet wielu ludzi bogatych, którzy sądzą, że ta nędza bezgraniczna i okropna niesprawiedliwość, która rządzi dziś jeszcze światem, dałaby się w znacznej mierze zmniejszyć, a nawet usunąć. Otóż ci ludzie są zdania, że sposobem, lekiem na to, byłoby, gdyby dzisiejsze społeczeństwo, w którem każdy poszczególny człowiek zachowuje swe życie tylko przez walkę przeciwko wszystkim innym, swym bliźnim, przekształciło się w jedną wielką gminę, w którejby wszyscy wspólnie pracowali. W tem nowem społeczeństwie, w tej wielkiej gminie, celem pracy nie mogłaby już być korzyść jednostki, ani też człowiek nie mógłby zależeć materjalnie od człowieka drugiego, a tem bardziej ogromna większość od znikająco drobnej mniejszości, lecz społeczeństwo musiałoby potrzeby wszyst-

kich i każdego z osobna w równej mierze zaopatrywać. Musiałoby to więc być społeczeństwo, w któremby obok tej ogromnej przewagi ludzi, którzy się dziś nadmiarem pracy zamęczają, a jednak są biedakami obok równie dziś wielkiej ilości ludzi, co wogóle nawet pracy znaleźć nie mogą i którym ciągle śmierć głodowa grozi, nie mogli istnieć ci nieliczni, co wcale nie pracują, a mimo to żyją zbytkownie. Zrozumiałeś to, co powiedziałem? A więc widzisz, moje dziecko, wszyscy ci właśnie, co chcą i mają nadzieję, że przyjdzie kiedyś dzień, od którego rozpocznie się wspólna praca wszystkich ludzi dla własnego i wspólnego dobra i szczęścia, era, w której nikt nikomu nie będzie wydzierał z rąk chleba i w której wszyscy w równej mierze będą mieli dostęp i możność zdobycia najwyższej duchowej kultury, jak gdyby dzieci do jednej należący rodziny, jednakowo kochani i między sobą się kochający i wzajem się ochraniający, ludzie, którzy tego chcą i do tego dążą, zwią się socjalistami.

Cóż więc oni robią?... Oto wszystkie swe siły wytężają, aby innym udowodnić, że takie przekształcenie społeczeństwa nietylko jest możliwe, ale nawet istotne, przyrodzone prawa natury tego wymagają i rozwój naturalny tych praw zdąża do tego; lecz że ludzie rozwój ten przyspieszyć sami winni, przygotować się doń i pragnąć go i ażeby uniknąć zbyt gwałtownego jego przyjścia, ludzie ci uświadamiają masy o obowiązkach i prawach człowieka względem człowieka i całego społeczeństwa.

Cóż czynią ci ludzie więcej? Oto przekonują ludzi z tej klasy społecznej, do której przynależą sami, że cel ten, dla którego oni życie poświęcili, da się osiągnąć tylko wtedy, gdy zastępstwo swych praw i żądań złożą w ręce ludzi, którzy również do tej wielkiej rodziny wydziedziczonych należą, lecz w obronie tak własnej, jak i całej klasy, występować odwagę mają i umieją.

Cóż, czy dość jasno rzecz ci wyłuszczyłem? Zrozumiałeś, o co nam chodzi? Otóż widzisz, chłopcze, ten pan, który tam siedzi, jest właśnie socjalistą. A przytem jest to sobie zwykły robotnik, który ciężko na chleb codzienny pracuje. Lecz wszystką, tak skąpą resztę czasu poza swą pracą zawodową poświęca pracy nad uświadomieniem swych towarzyszów, nad ich nauczaniem i przelaniem w nich tej wiary, która w jego własnej duszy tak mocnym ogniem płonie. A przytem człowiek ten nie budzi w nich nienawiści przeciwko nikomu, nawet przeciw najzaciętszemu swych dążeń wrogowi. Przeciwnie, nawet tam, gdzie nienawiść tę w sercach spotyka, usiłuje ją stłumić, uleczyć, jak chorobę. Namiętnych uczy umiarkowania. Ciemnych zachęca do nauki i sam ich uczy. W strejkach występuje jako pośrednik, usiłujący doprowadzić do zgody. Biedakom wskazuje na przyszłość jaśniejszą, która przyjść wreszcie musi, gdy siła prawdy wszystkie przezwycięży przeciwności, gdy sprawiedliwość na drodze pokojowej i prawnej wszystkich do uznawania jej i wprowadzenia w życie przymusi.

Pomyśl tylko, mój chłopcze, wszystkie te trudy i troski wziął ten człowiek na swe barki w służbie li powszechnego dobra, choć wie dobrze o tem, że sam owoców swej pracy spożywać nie będzie. Żyje ubogo, a mimo to, wszystko, bez czego obejść się tylko sam może, a co dla innych jest do życia prawie niezbędnem, on uważa za zbytek i rozdaje innym. Gdyby był bogaczem, rozdzieliłby z pewnością cały swój majątek pomiędzy biedaków. Gdyby zażądano odeń życia, oddałby swe życie, boć go i tak w całości swemu ideałowi poświęcił. Cała jego przeszłość ni jednej nie zawiera plamki. Ma duszę czystą i serce bezbronnego dziecięcia. Ty wiesz, że wielu znam ludzi. Możesz więc zdać sobie sprawę z tego, gdy ci powiem, że człowiek ten jest najczystszym, najszlacsetniejszym, najlepszym z ludzi, jakich kiedykolwiek znałem. Dlatego też kocham go i podziwiam.

Chłopiec zamyślił się. Po chwili spojrzał z zakłopotaniem na gościa i znów pytający wzrok utkwił w twarzy ojca. Wkońcu rzekł:

— Tak, lecz... Czemuż więc zamknięto go do więzienia.

— Właśnie za to, co myślał i mówił głośno, a o czem ci dopiero co opowiedziałem.

— Tak? Więc i ciebie tatku mogliby w więzieniu zamknąć, bo przecież myślisz tak samo, jak on?

— Pewnie!

— Więc czemuż ciebie nie zamknęli?...

Bo on dobitniej i otwarciej wyznawał swoje myśli i uczucia, niż ja, bo jest o wiele uczciwszym odemnie, bo kocha ludzkość o wiele silniej, niż ja, bo jest szlachetniejszym i odważniejszym odemnie!

Chłopiec zamilkł. Szeroko rozwartemi oczyma spoglądał na przybysza, który siedział wciąż zagłębiony w pismach i nie zwracając uwagi na rozmowę ojca z synem.

— Moje drogie dziecko — rzekł chłopcu szeptem do ucha — wszak dobry z ciebie chłopiec; otóż widzisz, gdy pan ten wszedł do pokoju, zauważył z pewnością twój cały strach poprzedni, jakby na widok rozbójnika. Idź więc do niego i napraw to wrażenie niemiłe, które mógł odnieść. Zapytaj go, jak się miewa, czy zdrów, lub coś takiego.

Chłopiec poszedł zwolna, jak gdyby z ociąganiem się, ku przybyszowi i wcisnął się ostrożnie między kolana jego. Nie wyrzekł ni słowa, lecz przytulił do niego swą jasną główkę, jakby prosił o pieszczotę.

Gość odłożył pisma, spojrzał najpierw pytająco na ojca, potem na syna i zrozumiał... Uśmiech zadrżał mu na ustach. Dzielne jego serce, nie znające słabości pośród najsroższych prześladowań, zabiło mu w piersiach mocniej. Nieświadomy hołd dziecka przywiódł mu piękny obraz przyszłości przed oczy duszy; wydało mu się, jak gdyby w tej chwili młode pokolenie składało przysięgę na ideał, któremu on życie swe poświęcił.

Patrzył przez chwilę w twarz młodziutkiego przyjaciela swego z oczyma, błyszczącemi radośnie, a potem ująwszy jasnowłosą główkę w sprawane mocne swe dłonie, wycisnął na ustach chłopca długi, gorący pocałunek, który mu dziecko z równą siłą oddało.

Gdy chłopiec wrócił do ojca, wzkazał mu ze zdziwieniem mokre swe czoło.

— Nie ścieraj tego, synku! nie ścieraj! — rzekł ojciec. — To twój chrzest!...

Przeł. Cz. Wrocki.

Szkice astronomiczne.

Pierścień Saturna.

I.

Dziwne i niespodziane rzeczy zobaczył Galileusz, gdy w początku wieku siedmnastego zwrócił na niebo skromną swą lunetę pierwotną, która nam teraz jedynie jako lornetka teatralna służy. Odkrył góry na księżycu i plamy na słońcu, blask jednostajny drogi mlecznej rozwiązał się na zbiorowisko gwiazd drobnych i nieprzeliczonych. Wenera ukazała zmiany swej postaci, jakby fazy księżyca naśladowała, a cztery gwiazdy medycyjskie, czyli księżyce Jowisza, dału mu argument potężny na poparcie nauki Kopernika.

Śród wszystkich tych wszakże odkryć uderzających zdumienie największe sprawił mu Saturn, który oku nieuzbrojonemu przedstawia się jako gwiazda pierwszej wprawdzie jeszcze wielkości, ale blaskiem swym znacznie ustępuje najjaśniejszym gwiazdom nieba, Saturn wydał się Galileuszowi gwiazdą trójdzielną, z trzech części złożoną, obok większej tarczy środkowej, po obu jej stronach widział dwa kółka mniejsze. Zdziwił się jednak bardziej jeszcze, gdy po dwuletniej obserwacji, w roku 1612, boczne te dodatki znikły zupełnie, a Saturn stał się krążkiem pojedyńczym, jak wszystkie inne planety. Przypuszczał wtedy Galileusz, że poprzednie jego dostrzeżenia mogły być mylne, spowodowane błędami i brakami jego lunety; ale gdy po kilku latach planeta w innej jeszcze ukazała mu się postaci, jakby wydłużonemi i wązkiemi ramionami opatrzona, tak go te mniemane złudzenia zraziły, że podobno nigdy już potem spojrzeć nie chciał na Saturna. Ciężkie zresztą koleje jego życia oraz choroba oczu, która się zupełnem zaniewidzeniem skończyła, rychło kres obserwacjom jego astronomicznym położyły.

Już jednak najbliżsi następcy Galileusza, astronomowie pierwszej połowy siedmnastego stulecia: Scheiner, Gassendi, Heweljusz, Riccioli, nieco lepszemi opatrzeni lunetami, przekonali się, że osobliwa postać Saturna ne jest bynaj-

mniej złudzeniem, a w różnych czasach planeta ta rzeczywiście w rozmaitej ukazuje się formie. Na rysunkach owoczesnych widzimy ją najczęściej w postaci kuli, posiadającej po obu stronach wyrostki podobne do rękojeści półksiężycowych, które wszakże rozwartość mają zmienną, a niekiedy zwężają się tak dalece, że tworzą tylko przysadki linijne.

Zagadkę tych uderzających przeobrażeń rozwikłać zdołał dopiero Huygens, który tak potężnie przyczynił się do budowy fundamentów nauki nowoczesnej. W r. 1655 widział on Saturna z wązkiemi po obu stronach ramionami, które znikły zupełnie w początkach roku następnego, a planeta wydała się dokładnie okrągłą, jak ją obserwował Galileusz w r. 1612. Po upływie jednak kilku miesięcy ramiona wróciły znowu, a wtedy w umyśle jego rozwiązanie zadania odrazu zabłysło. Oczekując jednak potwierdzenia od dostrzeżeń dalszych, podobnie jak Galileusz, pogląd swój rozesłał zaprzyjaźnionym astronomom w formie anagramu, zamieszczonego na końcu niewielkiej rozprawy, jaką w tym czasie ogłosił o odkryciu pierwszego satelity Saturna.

W treściwym tym i dokładnym opisie całe zjawisko zagadkowe zyskało wyjaśnienie zupełne: Jest to pierścień cienki, płaski, planetę swobodnie otaczający i pochylony względem drogi, po której ziemia krąży.

Po tem wyjaśnieniu pojmujemy już łatwo, skąd w widoku planety tak uderzające zachodzą przeobrażenia, są to bowiem tylko kolejne fazy czyli odmiany, zależne od położenia pierścienia względem ziemi i słońca. Dzieje się tu jak z kartką papieru, którą na wysokości oka trzymamy, jeżeli jej rozmaite nadajemy pochylenia. Gdy płaszczyzna pierścienia przechodzi przez ziemię, czyli przez oko obserwatora ziemskiego, widzieć możemy wązki jego brzeg, który tworzy wtedy smugi prostolinijne po obu stronach planety; z powodu wszakże nieznacznej grubości pierścienia, która zapewne dwustu kilometrów nie przechodzi, wązkie te smugi przez lunety słabe zgoła dostrzedz się nie dają. W podobnej wszakże fazie ukazuje się nam też planeta, gdy płaszczyzna pierścienia przez słońce przechodzi, wtedy bowiem oświetlony jest tylko brzeg jego, inne zaś jego strony, w ciemnościach pogrążone, są dla nas niewidoczne. W położeniach natomiast pośrednich, gdy płaszczyzna pierścienia jest względem ziemi pochylona, widzimy pierścień otwarty mniej lub więcej, a to zależnie od stopnia tego pochylenia; przytem ukazuje się nam naprzemian powierzchnia jego północna i południowa, podobnie jak karty przed oczyma pochylonej dostrzegamy kolejno stronę górną i dolną.

Pierścień Saturna jest dziś powszechnie znany, choćby z rysunków, które się łatwo nastręczają. Widok ten budzi zaciekawienie każdego. Co znaczy ten utwór osobliwy, jedyny w całem układzie słonecznym, jak utrzymuje się w równowadze ta obręcz zdumiewająca, opasująca dokoła planetę, nigdzie jej nie dotykając? Zanim jednak pytanie to rozbierzemy, przyjrzyjmy się choć pobieżnie i samej planecie.

II.

Oku nieuzbrojonemu przedstawia się Saturn jako gwiazda żółtawa, połyskująca światłem spokojnem, jakby matowem, a chociaż jasnością ani w części nie dorównywa Wenerze lub Jowiszowi, zaliczyć go można do gwiazd pierwszej wielkości. Blask ten zresztą jest nieco zmienny, zależnie od niejednakiej zawsze jego od nas odległości, a również i od obfitości światła, jaką nadsyła nam pierścień, w różnych czasach rozmaicie ku nam pochylony. Przesuwa się między gwiazdami nader opieszale, w ciągu bowiem całego roku przebiega zaledwie 13 stopni, takąż samą drogę w mierze kątowej, jaką księżyc nasz przez jednę dobę zakreśla, z czego już wypada, że na obieżenie pełnej swej drogi dokoła słońca tyleż lat łoży, ile dni księżyc na okrążenie ziemi potrzebuje. Kończy zatem pełną swą wędrówkę wokoło słońca dopiero po upływie $29^1/_2$ lat, a przeciąg ten czasu wiąże się ze znaczną odległością Saturna od słońca, jest bowiem od niego dziesięć prawie razy bardziej oddalony, aniżeli ziemia nasza. Słońce, z Saturna widziane, wydaje się kręgiem sto razy mniejszym, aniżeli mieszkańcom ziemi, i w tymże samym stosunku słabiej go oświetla i ogrzewa. Wielkością śród wszystkich planet Jowiszowi tylko ustępuje, a w zestawieniu z Ziemią istnym jest olbrzymem, siedmset bowiem prawie razy przewyższa ją swoją objętością; pomimo wszakże wymiarów tak wielkich waży dziewięćdziesiąt tylko razy więcej, aniżeli Ziemia, ze wszystkich bowiem planet ma gęstość najmniejszą: jest lekki, jak korek. Natomiast wiruje dokoła swej osi daleko szybciej, aniżeli Ziemia, doba jego trwa bowiem dziesięć godzin naszych, a stąd też i daleko znaczniejsze posiada spłaszczenie podbiegunowe.

Z podobną dokładnością, jak o stosunkach matematycznych Saturna, o jego budowie fizycznej mówić nie możemy. Im przedmiot bardziej jest od Słońca odległy, tem słabiej jest oświetlony, a im dalej od Ziemi przypada, tem wydaje się mniejszym; z obu tych powodów rozpatrywanie planet dalekich nastręcza trudności wielkie. Już słaba gęstość Saturna świadczy, że napróżno upatrywalibyśmy w nim analogji do Ziemi naszej; olbrzymia ta masa nie jest to zapewne bryła skorupą zakrzepłą ujęta, ale raczej potężna powłoka par i gazów zgęszczonych, utworów obłokowatych, otaczających jądro wewnętrzne, niewielkie stosunkowo, może niezastygłe jeszcze zupełnie. Tak przynajmniej sądzić należy o Jowiszu, który nam lepiej jest znany, a powierzchnie obu planet przedstawiają niejakie między sobą podobieństwo. I względy zresztą teoretyczne wykazują, że wnętrze obu planet posiada gęstość znacznie większą, aniżeli warstwy ich wierzchnie, co z poglądem powyższym dobrze się zgadza.

W wędrówce swej dokoła Słońca prowadzi Saturn liczny orszak ośmiu księżyców, posiada ich zatem więcej, aniżeli którakolwiek inna planeta. Pierwszy z tych księżyców, jak wspomnieliśmy wyżej, odkryty został przez Huygensa w roku 1655; ponieważ obok Księżyca ziemskiego i czterech księżyców Jowisza, przez Galileusza odkrytych, był to księżyc szósty w całym układzie słonecznym, a znanych było wówczas także sześć planet, wyobraził sobie Huygens, że odkryciem tem uzupełnił system słoneczny, przypisując mu liczbę trabantów jednaką z liczbą planet. Uprzedzenie to zapewne powstrzymały go od poszukiwań dalszych, ale wkrótce potem Cassini, w ciągu lat 1671—1684, odkrył jeszcze cztery księżyce Saturna. Dwa następne zobaczył dopiero Herschel po upływie stulecia, w roku 1789, a ostatni wreszcie dostrzeżony został w roku 1848, prawie jednocześnie przez Bonda i Lessella. Rozmieszczone są w różnych oddaleniach od planety; najdalszy przypada w odległości przechodzącej sześćdziesiąt razy promień Saturna, stosunkowo zatem również daleko, jak nasz Księżyc od Ziemi. Wymiarów satelitów Saturna dakładnie oznaczyć nie zdołano, w kazdym razie, odpowiednio do ogromu planety, nie są to bryły wielkie; największy z nich nawet, Tytan, Księżyca naszego może nie przerasta.

Liczny ten zastęp księżyców, rozrzuconych w różnych swych fazach jednocześnie na nocnem niebie Saturna, wynagradza mu dnie mroczne i ponure, dalekiem Słońcem słabo zaledwie rozjaśnione. Okazałość zaś widoku podsyca smuga błyszcząca pierścienia, rozciągająca się ponad równikiem planety i przebiegająca niebo od wschodu ku zachodowi, widzialna jest wszakże z ograniczonej tylko części jej powierzchni. Przedewszystkiem nie znają zgoła pierścienia okolice podbiegunowe Saturna, unosi się on bowiem niezbyt wysoko ponad równikiem i kryje pod poziomem stron dalekich. Ukazuje się dopiero w szerokościach niedochodcących 63^0, ale i tam widzialny jest tylko w ciągu półrocza letniego, Słońce bowiem oświetla naprzemian jego stronę północną i południową. Gdy w pozornej swej wędrówce z północy na południe i z południa na północ Słońce przejedzie za równik, łuk pierścienia gaśnie na niebie natychmiast dla półkuli, której dotąd przyświecał, by zabłysnąć jej znowu z brzaskiem wiosny, co wszakże następuje dopiero po upływie naszych lat piętnastu. Podczas miesięcy zimowych pierścień przedstawia swą powierzchnię ciemną i jest w nocy niewidzialny, a obecność swą ujawnia jedynie brakiem gwiazd w pasie, który przysłania; w ciągu zaś dnia nieraz zapewne kryje się Słońce poza tą arkadą olbrzymią, co sprowadza często długotrwałe zaćmienia, a w niektórych okolicach Saturna gwiazda dzienna przez długie okresy zgoła się nie ukazuje. Dla planety zatem dodatek taki bynajmniej się pożądanym nie wydaje i możemy być zadowoleni, że zdala go tylko obserwujemy.

Badanie krwi.

Krew się bada nie w tym celu, żeby się przekonać, czy jest błękitną, mniej błękitną, czy całkiem pospolitą, lecz w celach djagnostycznych w medycynie. Są choroby i to ciężkie, których rozpoznanie bez zbadania krwi jest niemożliwe. Wiadomo z fizjologji, że krew składa się z części płynnej, zwanej osoczem i z pływających w osoczu ciałek czerwonych i białych. Ciałka czerwone zawierają w sobie barwnik krwi, t. j. hemoglobinę, która pośredniczy w przenoszeniu tlenu z powietrza do tkanek. Ciałka białe to są te drobne istoty, które występują do boju, skoro tylko w organizmie ukaże się największy wróg ludzkości: bakterja. Z bakterjami gruźlicy, tyfusu, dżumy walczą ciałka białe w ten sposób, że je pochłaniają i nie jedna bakterja na nasze szczęście już tą drogą zginęła. Mając tę zdolność ciałek białych na względzie, znany uczony rosyjski, zamieszkały w Paryżu, Miecznikow, nazwał ciałka białe fagocytami, a samo zjawisko pożerania fagocytozą.

Krew normalnego człowieka zawiera w jednym sześciennym milimetrze krwi 5 miljonów ciałek czerwonych i 6 tysięcy ciałek białych. Widzieć te ciałka i liczyć można oczywiście tylko pod mikroskopem przy powiększeniu kilkaset razy. Większe odstępstwa od podanych liczb spotyka się w chorobach.. Miejskie panny nie mają 5 miljonów ciałek czerwonych Są anemiczne, niedokrewne. Ilość ciałek spada tu znacznie 4,3 miljonów i niżej, a jeszcze znaczniej spada ilość barwika w ciałkach. Stąd panny są blade, interesujące, nie takie jak wiejskie, czerwone, ale za to też nie takie zdrowe, jak one: cierpią na bóle głowy, zawroty, senność, niechęć do pracy, łatwo się męczą. Ta choroba, choć jest dukuczliwa, rzadko bywa niebezpieczną.

Gorszą o wiele jest anemja osób starszych. Bywają tu takie rodzaje niedokrewności, które w szybkim tempie prowadzą do śmierci. Rozpoznanie tej niebezpiecznej anemji mozliwe jest tylko przy pomocy dokładnego badania krwi. Ilość ciałek czerwonych może tu spaść do miljona, a nawet niżej; ciała przybierają dziwne kształty; ilość barwnika nie spada tak szybko, przeciwnie, na jedno ciałko krwi wypada więcej barwnika, niż normalnie. Ta choroba jest zwykle nieuleczalną i w ciągu roku może człowieka zabić.

Ilość ciałek białych w wielu chorobach się zwiększa. W chorobach zakaźnych, pochodzenia bakteryjnego, najczęściej ilość tych ciałek jest zwiększona. I nic dziwnego. Przecież to są fagocyty, pożeracze bakterji. Lekarz, stwierdzający u chorego zwiększenie ilości ciałek białych, nie smuci się, lecz się cieszy, fagocyty bowiem są jego pomocnikami. Są jednak choroby, w których ilość ciałek białych dochodzi do kolosalnych cyfr: do 200—300 tysięcy i wyżej, zamiast 6 tysięcy w jednym sześcienym milimetrze.

To zwiększenie jest nietylko bez korzyści dla organizmu, ale przeciwnie przedstawia bardzo ciężką chorobę: białaczkę. Choroba ta jest nieuleczalna.

Jak się odbywa to badanie krwi? Zasadą liczenia ciałek jest rozcieńczenie krwi odpowiednim płynem w dokładnie kalibrowanej rurce i oglądanie mieszaniny pod mikroskopem w minjaturowej kamerze, podzielonej na mikroskopijne komóreczki, z których każda jak najdokładniej mieści $^1/_{4000}$ jednego sześciennego milimetra. Znając rozcieńczenie krwi, łatwo można wykonać całe zadanie.

Rozmaitości

Fonograf przy telefonie. Dawno już wynurzył się wynalazek, przy pomocy którego w nieobecności abonentu telefonu fonograf przyjmował i utrwalał wszystkie telefoniczne zgłoszenia i żądania. Wynalazek ten nie przyjął się, gdyż wzywający do telefonu, nie odbierając żadnej odpowiedzi, nie byli skłonni, by nieodpowiedzialnemu aparatowi powierzać swe zlecenia. Obecnie aparat ten ulepszono o tyle, że fonograf sam odpowiada powołującemu do telefonu. Gdy posiadacz fonografu wychodzi z domu, mówi do fonografu, dokąd wychodzi, i kiedy wróci do domu, a może też powierzyć fonografowi jakieś zlecenie, które aparat ten natychmiast, skoro odezwie się dzwonek, powołujący do telefonu, powtarza powołującemu. Aparat ten jest pewny i nigdy nie zawodzi tak, że może znaleźć zastosowanie.

* * *

Czary indyjskie szwindlem. Z Indjami, krajem czarów, łączy się pojęcie o tajemniczych zdolnościach ciała i siłach duchowych, które posiąść mogą pojedyńczy ludzie przez ascezę i samozaparcie. Od czasu do czasu zjawiają się i w Europie indyjscy fakirzy, którzy popisują się różnymi czarnoksięskiemi sztuczkami i w zdumienie wprawiają widzów, nadzwyczajną wytrzymałością na cierpienia fizyczne. W rzeczywistości powinno się im z góry niedowierzać, ponieważ świątobliwi mężowie Indji, którzy z żarliwością wierzą w swą cudotwórczą siłę, która ma głęboki podkład religijny i filozoficzny, nie wychodzą z zamkniętych świątyń, aby się produkować za pieniądze.

Co się więc tyczy t. zw. cudów indyjskich, to wiele jest w nich szwindlu i oszustwa. Pewne pismo angielskie podało wytłomaczenie niektórych z tych sławnych w świecie tajemnic. Jedna z nich polega na tem, że taki czarownik wsadza w grudkę ziemi, zwilżoną wodą, nasienie pewnego drzewa i swą siłą cudowną każe w krótkim czasie wyrość drzewu, a czyni to pod chustą. Najpierw ukazują się delikatne pędy, które po ponownem przykryciu chustą zamieniają się w młode drzewko. Ten „cud" robi się w ten sposób, że w środku wcale wielkiego nasienia ukryte są sztucznie latorośle, które się w stosownej chwili rozwija. Z nich robi się następnie pod chustą przez rozwinięcie liści, nadających się znakomicie do tego celu, małe drzewko.

Podobnie ma się rzecz z nagłem zniknięciem chłopca z małej wanny, która jest tak duża, że go może pomieścić i umożliwić jego nagłe ukazanie się. Po jego zniknięciu wbija czarownik z całą siłą miecz w dno wanny. Rozwiązanie tej sztuki jest bardzo proste. Chłopiec zwija się na kształt pierścienia, jak wąż około ściany wanny, tak, że dno jej jest wolne i można je do woli dziurawić mieczem, a chłopiec, który się gzieindziej ukazuje, ma te same suknie, jest to jednak w rzeczywistości inny chłopiec.

Sztuk tego rodzaju, które w istocie wiele mają wspólnego z cudownościami cyrków lub teatrzyków variete, jest bardzo wiele. Należy do nich także następująca: zanurza się garść piasku w naczyniu z wodą, tak, że piasek przy tem nie moknie. Inną jest natomiast rzeczą, czy taką samą wartość mają także dostające się do Europy cudowne opowieści o hypnotycznych eksperymentach fakirów.

* * *

Elektryczna łapka na szczury. Praktyczny aparat do tępienia szczurów za pomocą elektryczności wynalazł A. F. Biederheim, a rozpowszechnieniem go zajęła się fabryka elektryczna w Charlottenburgu. Aparat można włączyć za pomocą zwykłego kontaktu do każdego przewodu elektrycznego. Szczury lub myszy zwabione przynętą, wchodzą do łapki tak skonstruowanej, że w chwili ich przejścia stają się częścią przewodu i padają, zabite prądem. Można kilka łapek ustawić obok siebie, włączając je w jeden przewód, można również nabyć aparat, który bądź dzwonkiem, bądź światłem elektrycznym sygnalizuje potrzebę nastawiania łapki na nowo, przez proste usunięcie trupa zabitego zwierzęcia.

Z literatury i sztuki

Helena Modrzejewska. W czwartek dnia 8-go b. m. umarła w Nowym Jorka utalentowana artystka polska Helena Modrzejewska. Modrzejewskiej zawdzięcza teatr polski podniesienie repertoaru przez wprowadzenie na scenę utworów Szekspira, Schillera, Wiktora Hugo i rozbudzenie śród publiczności gorącego zajęcia dla dramatu i komedji wyższej. Pierwsza też stworzyła na scenie polskiej typ polskiej dziewczyny.

Występowała w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, w Stanach Zjednoczonych Północ. Ameryki i Anglji, zyskując szczególniej w Ameryce wielkie powodzenie.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 17. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 24 kwietnia 1909.

DAJCIE IM CHLEBA!

Nieście ciemnym światła blaski,
Przychylajcie smutnym nieba,
Godźcie swary i niesnaski,
Lecz wpierw — głodnym dajcie chleba!

Ludziom biednym w progi chaty
Nieść nauki plon potrzeba,
Goić rany, koić straty,
Ale najpierw — dać im chleba!

Nam tu dnie wesoło płyną,
Nam jaśnieje cała gleba,
Tym — co głód mrą wraz z rodziną,
Powszedniego dajcie chleba!

Faustyn Samecki.

PAWEŁ MARGUERITTE.

Ratunek.

Od rzeki ozwał się przeraźliwy krzyk. Korpulentna dama w pięknym negliżu, z białą parasolką w ręku, biegała tam i sam po brzegu, krzycząc z całej siły:

— Na pomoc! tonie! na pomoc!

W tym czasie nie było nad rzeką nikogo. Mieszkańcy nadbrzeżni jedli właśnie obiad. Na krzyk damy poczęły się otwierać okna jedno za drugiem, wyglądnęły z nich twarze zdziwione. Z jednego domu wyszedł robotnik i stanął, spoglądając, skąd pochodzi wołanie. Po nim ukazał się mieszczanin Noury, wskoczył do łodzi, stojącej u brzegu, gdyż z niej lepiej widać było i przysłonił ręką oczy od słońca. Dama z białą parasolką krzyczała coraz silniej.

— Na pomoc!

— Co czynić? — ozwał się p. Noury i wychylił się z swej łodzi — co czynić?

Począł machinalnie rozplątywać sznur, którym łódź do brzegu była przywiązana. Czynił to powoli i rozmyślał. Im zaś więcej rozmyślał, tem powolniej rozwikływał linę. Czy to nie łatwo jest utonąć samemu, gdy się kogoś ratuje.

O dwa kroki od niego stał robotnik i śledził przebieg dramatu. Nagle zawołał:

O tam, widzicie... głowa z czarnymi włosami! Nie bój się — wołał do tonącego — trzymaj się jeszcze chwilę!

I nie zważając na żonę, która go namawiała, by wrócił do przerwanego obiadu, zdjął surdut i kamizelkę.

Krzyk damy na przeciwległym brzegu rzeki nie ustawał. Był straszny, jakby wycie zwierzęcia, dźwięk bezsłowny, rozdzierający uszy, szeroko i daleko się rozlegał po wiklinach nadbrzeżnych.

Cała rodzina pana Noury, szanowana w miasteczku wystąpiła przed dom. Gapili się. Serwety mieli zawiązane na szyjach. Pani Noury zawołała na męża:

— Podpłyń łódką, a Jan niech jedzie z tobą!

Żona robotnika uarzekała:

— Wstrzymajcież mego męża. Może się zdarzyć wypadek. Kto naraża się na niebezpieczeństwa, ginie w nich. Cóż nam do tej damy?

P. Noury wreszcie łódź odczepił, chwycił wiosło i popłynął ku damie z parasolką, która wymachiwała rękami i przybierała tragiczne pozy. Na dziubie łodzi stał robotnik. Rozebrany był, gotowy skoczyć do wody. W postaci miał coś jastrzębiego i we wzroku, który wytężał, śledząc po rozchwianej fali wód za głową tonącego.

— Nie bój się pani! wołał p. Noury.

— Co za nieszczęście! — odezwał się Jan — głowa z czarnymi włosami zginęła pod wodą, ot tam, w szuwarach.

Rozległ się plusk i za chwilę robotnik pruł silnem ramieniem wodę. Z tamtego brzegu dochodziło rozpaczliwe wołanie jego żony, łamiącej ręce:

— Janie wróć! Janie wróć!

Ale Jan płynął dalej. Zanurzał się, szukając topielca i znów wypłynął na powierzchnię. Nagle nogi jego oplotły porosty wodne. Szarpnął raz, drugi, zanurzył się, wypłynął znowu i krzyknął rozpaczliwie:

— Ratunku!

Począł bić obiema rękami wodę. Zanurzał się coraz bardziej, wybełkotał głosem stłumionym „Jezus Marja“ i znikł.

— Tyki! Tyki! — począł wołać p. Noury. Twarz jego zbladła strasznie. Dama z parasolką ucichła, przerażona katastrofą, skamieniała i patrzała bezmyślnie na wodę.

A od tamtego brzegu szło ciągle wołanie:

— Janie, wróć się!

I straszne, złowieszcze było to wołanie człowieka, który wrócić już nie mógł. Nie znaleźli go nawet, choć pilnie przeszukali miejsce, gdzie znikł, choć badali dalej, czy go woda nie poniosła w dół. Pojawiły się inne łodzie. Na jednej z nich przyjechała żona robotnika.

— Mówiłam — łkała — nie chciał słuchać! Czyż to możliwe, mówcie, czy to podobne, by utonął, pływał przecież jak ryba!

P. Noury przybił łodzią do miejsca, gdzie dotąd dama z białą parasolką stała skamieniała z przerażenia. Nikt jej tu nie znał, pochodziła widać z innego miasta. Gdy pan Noury znalazł się przed nią, skłonił się i rzekł grzecznie:

— Co za nieszczęście... Dwie ofiary naraz. Ów biedny ojciec rodziny, który się poświęcił dla ratunku drugiego...

Zdziwiony milczeniem damy ciągnął dalej:

— Czy to był członek rodziny pani? Zapewne mąż, lub syn?

Dama milczała. Nie wiedząc już co mówi, p. Noury powtórzył:

— Ten biedny ojciec rodziny przerwał jedzenie, by ratować bliźniego... ale oplątały go porosty. To było też zapewne przyczyną katastrofy z... jakżeż... z krewnymi pani!

Dama odparła:

— To nie był mój krewny, to był mój pies.

I poszła szybko, ale słyszała pewnie, jak zawrzały głosy:

— Pies! pies!

Litowano się nad osieroconą rodziną, a złorzeczono zwierzęciu.

— Hm — mruczał pan Noury przez zęby — gdybyśmy to byli wpierw wiedzieli!

Szkice astronomiczne.

Pierścień Saturna.

III.

W miarę, jak wzrastała potęga lunet, szczegóły pierścienia ujawniały się wyraźniej. W r. 1665 dostrzegł Ball przebiegającą wzdłuż jego powierzchni czarną smugę, a w kilka lat później przekonał się Cassini, że występuje tu podział istotny, rozgraniczający dwa oddzielne pierścienie współśrodkowe. Obecnie niewielka już luneta ukazuje ten przedział w skrajnich przynajmniej częściach pierścienia, na całej jednak długości śledzić mogą jego pasmo jedynie lunety potężne w sprzyjających warunkach pogody. Z ogólnej szerokości obu pierścieni przypada na tę przerwę zaledwie część piętnasta, wynosi bowiem 3100 kilometrów, gdy szerokość pasa zewnętrznego czyni 16 600, a wewnętrznego 29 700 kilometrów; od powierzchni Saturna jest ten ostatni oddalony o 27 600 kilometrów, co wyrównywa niespełna połowie promienia planety. W różnych zresztą czasach różni obserwatorowie dostrzegali inne jeszcze przedziały, zwłaszcza w pierścieniu zewnętrznym; jeżeli przerwy takie istnieją rzeczywiście, są to zapewne utwory przechodnie, które niekiedy powstają i znowu giną, prawdopobobniej jednak były to objawy pozorne, z dostrzeżeń błędnych wynikające.

Odstęp między pierścieniem a powierzchnią planety nie jest wszakże pusty, ale zajęty jest przez trzeci jeszcze pierścień, wewnętrzny, daleko słabiej od pierścieni zewnętrznych świecący i dlatego pierścieniem ciemnym nazwany. Widział go najpierw Galle w r. 1838, ale opisy jego nie są dosyć jasne i stanowcze, dostrzeżenia dopiero jednoczesne Bandta w Ameryce i Dawesa w Anglji 1850 roku wykazały obecność niewątpliwą trzeciego pierścienia, który tak jest przejrzysty, że brzeg planety daje się skroś niego wyraźnie dostrzegać. Prawdopodobnie też niema rozgraniczenia ścisłego między tym pierścieniem ciemnym a pierścieniem jasnym i niepodobna wskazać dokładnie, gdzie się jeden kończy, a drugi zaczyna. Być więc może, że pierścień ciemny narasta kosztem wewnętrznego pierścienia jasnego, albo nawet z niego się rozwinął dopiero w ciągu ostatnich lat dwustu. Domysł ten mógłby tłomaczyć, dla czego nie pozostawili o nim wzmianki astronomowie dawniejsi, choć narzuca się wyraźnie oczom obserwatorów. Kres jego wszakże nie daje się dokładnie uchwycić, sięga mniej więcej do połowy odstępu, dzielącego pierścień jasny od planety.

Niejednokrotnie dostrzegano na pierścieniu plamy, a ze zmian, w ich położeniu zachodzących, wniesiono już w początkach wieku ośmnastego, że pierścień wiruje dokoła środka planety; dokładnych rezultatów spostrzeżenia te nie wydały, przeważna jednak liczba obserwatorów przyjmuje, że na dokonanie pełnego obrotu pierścień łoży około $10^1/_2$ godziny.

IV.

Legienda mahometańska, która zresztą jest może tylko bajką w Europie skomponowaną, opowiada, że trumna żelazna proroka unosi się w powietrzu, między dwoma magnesami zawisła. Dla wiernego muzułmanina jest to może objaw cudowny, my wszakże nie mamy obowiązku wierzyć cudom proroków obcych: w tak osobliwem osadzeniu trumny żelaznej nie widzimy zgoła objawu nadprzyrodzonego, dwa bowiem magnesy jednakiej mocy ciągną ją w strony wręcz przeciwne, a pod wpływem ich współdziania trumna utrzymuje się w równowadze. Jeżeli nas co w opowiadaniu owem zdumiewa, to chyba trudność wyszukania dwu magnesów potężnych, tak doskonale wyrównanej mocy.

Dzisiejsze nasze sposoby wyrabiania magnesów może dozwoliłyby otrzymać dwa magnesy zupełnie jednakie, naprożno jednak usiwołalibyśmy zawiesić między niemi drobną nawet igłę stalową. Chociażby się zdołała przez krótką chwilę w równowadze utrzymać, byłaby to w każdym razie równowaga chwiejna, a najdrobniejszy już ruch zewnętrzny, powiew najsłabszy, odchyliłby ją natychmiast z tego położenia i na jeden lub drugi magnes przerzucił. Trwałość i bezpieczeństwo jedynie tylko równowaga stateczna zapewnić może.

Pierścień jednak Saturna utrzymuje się trwale w położeniu niemniej osobliwem, aniżeli bajeczna trumna Mahometa, bujając swobodnie dokoła planety i nigdzie się na niej nie wspierając. Jakżeż się dzieje, że w warunkach tak niezwykłych równowaga stateczna zachować się może?

W ciągu dwu stuleci po odkryciu pierścieni Saturna astronomowie pytania tego nie podejmowali zgoła; podziw ich budził samą formą swoją ten jedyny w całym układzie słonecznym towarzysz kołowy planety, ale w swobodnem jego zawieszeniu trudności mechanicznych nie dostrzegali. Laplace dopiero, w wielkim swym traktacie Mechaniki nieba, zajął się rozbiorem tego zagadnienia, ale rezultat jego badań okazał się zgoła niespodziewany; świadczył, że otaczający planetę pierścień jednorodny i jednostajny w równowadze statecznej utrzymywać się nie może, stan taki ulegałby bowiem zakłóceniu pod wpływem najsłabszej siły zewnętrznej. Przyciąganie sąsiedniego księżyca lub planety odległej musiałoby go wytrącić z położenia pierwotnego; środek pierścienia oddalałby się wciąż od środka planety, aż wreszcie pierścień opadłby na jej powierzchnię i z nią się zespolił. Z tych wywodów teoretycznych wypływa zatem, że pierścień Saturna nie może być to obręcz na całej swej rozległości jednolita, o ileby wszakże do utrwalenia równowagi mogły się przyczynić pewne nieregularności budowy, tego Laplace nie rozbierał bliżej. Silniejsze zagęszczenia, jakie dostrzegli w niektórych miejscach Herschel i inni obserwatorowie, nie przedstawiają znaczenia większego.

Wspomnieliśmy wyżej, że w różnych czasach widziano w pierścieniu przerwy chwilowe, które powstawały i znowu znikały; dostrzeżenia te nie są wprawdzie dostatecznie pewne, niektórzy jednak astronomowie ukazywanie się takich przerw znikomych uznali za dowód ciekłego stanu pierścienia, ale trudności okazały się tegoż samego rodzaju, co w rachunkach Laplace'a; podobnie jak pierścień stały, tak też i ciekły nie mógłby się utrzymać bez współdziałania siły zewnętrznej. Kwestja więc pozostała nierozstrzygniętą, a obrót pierścienia wydawał się nadal tak zagadkowym, jakby na Saturnie rządziły prawa ruchu z zasadami Mechaniki naszej niezgodne; rozjaśnienia doczekała się cała ta sprawa dopiero w r. 1857, gdy zajął się nią Clerk Maxwell, profesor w Cambridge, który potem silniej jeszcze utrwalił pamięć swą w dziejach nauki przez powiązanie teorją wspólną objawów światła i elektryczności.

Badania swe nad ruchem Saturna rozpoczął Maxwell od punktu, na którym je pozostawił Laplace, a mianowicie oznaczył wielkość masy, jaką należałoby przyczepić do pierścienia stałego i jednolitego, by zapewnić ruch jego stateczny dokoła planety. Bez dokładnego uzasadnienia rachunkowego wydaje się wprawdzie rzeczą niepojętą, jak przywieszenie ciężaru ocalić może pierścień od upadku, ale podobny poniekąd objaw przedstawia nam figurka, która stoi i kołysze się bezpiecznie, dopóki dźwiga równoważące ją kule, pada zaś natychmiast po ich odjęciu.

Bryła wszakże, którąby podobne zrównoważenie dawała pierścieniowi, dokoła planety wirującemu, musiałaby go masą swoją, ciężarem $4^1/_2$ raza przechodzić, a wtedy nie byłby to już pierścień samodzielny, ale raczej księżyc wielki, lekkim stosunkowo pierścieniem opatrzony. Podobnej niejednostajności w budowie pierścieni Saturna szczegół żaden bynajmniej nie okazuje, jest przeto rzeczą ze względów teoretycznych nader nieprawdopodobną, by z materjału stałego mogły być utworzone.

Hypoteza ta nadto wydać się musi niedorzeczną, jeżeli olbrzymie wymiary pierścieni zestawimy z nieznaczną ich grubością, nie mogłyby się bowiem oprzeć potędze sił na

nie działających i w stanie stałym pozostać. Chociażby z żelaza utworzone były, doznawałyby ciągłych przeinaczeń swej postaci, jak masa miękka i plastyczna; odkąd zaś wiemy, że wszystkie bryły układu słonecznego z jednakich złożone są pierwiastków, nie mamy zasady do przypuszczeń, by pierścienie Saturna ukute były z materjału oporniejszego i wytrzymalszego. Podobnież ocalić się nie da i domysł stanu ich ciekłego, pod wpływem bowiem przyciągania okolic gęstszych i bardziej skupionych dążyłyby tam ruchome części ze stron dalszych; tem samem niweczyłoby się pierwotne obciążenie ustalone, które było warunkiem równowagi statecznej, a wreszcie pierścień straciłby swą ciągłość i rozproszył w zbiorowisko drobnych i oddzielnych części.

Z psychologji służących.

Drezdeński prokurator Erich Wulffen wcale nie jest podobny do swych kolegów zawodowych, a już najmniej do galicyjskich. Wszyscy oni w obwinionym widzą jedynie zbrodniarza, którego należy za wszelką cenę ukarać, choćby ich zbrodnia była w rzeczywistości błahostką, a nie chcą w nim uznać człowieka. Prokurator drezdeński tem się od nich różni, że stara się wniknąć w życie duchowe przestępcy, poznać antropologiczne i społeczne przyczyny zbrodni, domagając się odpowiedniej kary dla skazanego. Spostrzeżenia swoje i poglądy na prawo karne spisuje i rozszerza drukiem. Niedawno ogłosił w pewnem piśmie prawniczem bardzo cenną pracę pt. „Z psychologji służących".

Służbodawcy z t. zw. wyższych sfer zazwyczaj bynajmniej nie troszczą się o duszę swoich służących. Jak bezduszne automaty mają oni spełniać wszystkie życzenia i zachcianki państwa, a jeżeli nie „skaczą na jednej nodze", krzyczy się zaraz na ich złośliwe nieposłuszeństwo, lenistwo, lekkomyślność itd. Wykwintna dama, która zwraca baczną uwagę, na każdy swój nastrój, stara się uniknąć wszelkich zgrzytów wewnętrznych, która zajmuje się żywo zagadnieniami psychologicznemi, rozstrząsanemi na deskach teatralnych, nie myśli o tem, że służąca jej ma także najróżnorodniejsze wzruszenia wewnętrzne, które wpływają na jej zachowanie się, nie uwzględnia jej potrzeb psychologicznyh.

Posłuchajmy, co mówi prokurator Wulffen: Według niego — w istocie umowy służbowej leży, że służący całą swoją siłę roboczę, od rana aż do nocy, ma w zupełności poświęcic swym służbodawcom, a nie wolno mu zajmować się własnemi sprawami (o ile ustawa lub służbodawca na to nie zezwala). Praktycznem następstwem tych i innych surowych przepisów jest społeczne odosobnienie od służbodawców, które nie dopuszcza zaufania do nich, a zwykle nawet wytwarza głęboką nieufność.

Jeszcze ważniejszem jest towarzyskie odosobnienie. Służbodawcy zazwyczaj wcale nie troszczą się o prywatne sprawy czeladzi i niechętnem okiem patrzą, gdy się niemi zajmują, tak, że nie może ona uczynić zadość swym wewnętrznym potrzebom, które przecież ze stanowiska ludzkiego i społecznego musi się uznać. Dzieje się to dlatego, że gospodynie nasze są za mało społecznie wychowane i wykształcone, aby mogły uwzględniać te okoliczności w traktowaniu służby.

Wulffen przytacza szereg złych następstw tego odosobnienia dla stosunków służbowych i zwraca jeszcze na to uwagę, że służące podczas menstruacji okazują niekiedy nadzwyczajną wrażliwość, która niekiedy jest przyczyną porzucenia służby, ponieważ gospodyni nie rozumie jej i fałszywie ją osądza. Wogóle rzadko kiedy zwraca ona uwagę na małe dolegliwości służby.

Według przepisów służbowych, służący obowiązany jest do wierności dla służbodawcy i ma go chronić według sił od szkody. Stosownie do tego powinnaby służba mieć zapewnioną ochronę i ubezpieczenie społeczne. O tem jednak milczy ustawa! Dlatego uskarżamy się zwykle bez powodu — mówi Wulffen — że służąsy spraw służbodawcy nie uważa za swoje sprawy, jak służbodawca postępuje względem niego. Nic dziwnego też, że służba, uświadamiając sobie ten stan, niezbyt gorliwie wypełnia polecenia i jakby mechanicznie wykonuje swe powinności.

Wulffen objaśnia następnie jeszcze niejedno, co bezmyślnym i kapryśnym gospodyniom daje powód do gderania na służbę. Jest to np. upodobanie do częstej zmiany służby.

Co do rzekomego gonienia służących za uciechami, na co często użalają się damy, którym zabawa rzeczywiście wypełnia życie, mówi Wulffen, że większość służących może się oddać zabawie tylko w niedzielę. Czy można się więc dziwić, że taniec, muzyka, teatr, jeżeli u nas słążąca może sobie pozwolić na taki „wybryk", działają na nią tak nęcąco? Przy tej sposobności wspomina autor także o stronie seksualnej. „Kto przez cały tydzień, lub dłużej od wczesnego ranka do późnej nocy krzątać się musi około cudzych interesów, potrzebuje podczas rzadkiego wypoczynku bardzo silnej podniety nerwowej".

Stwierdza także, że zwiększyły się wymagania co do wydatności pracy służących i twierdzi, że ich zdolność do pracy zmniejszyła się, odkąd ich mniej pochodzi z silniejszego pod względem fizycznym stanu włościańskiego. Służące, które się rekrutują przeważnie z klasy robotników przemysłowych, są słabe.

Zmianę w położeniu służby, jak w położeniu robotników wogóle, sprowadzić może jedynie organizacja i uświadomienie.

Rozmaitości

Zegary elektryczne. Elektryczność coraz więcej wdziera się do przemysłu i rzemiosła. W oświetleniu, opaleniu, w pędzie maszyn i samojazdów już od dawna jest koniecznie potrzebna. Ale i w prądzie słabym, przy telegrafach, telefonach i sygnałach bardzo dobrą służbę czyni. Nawet pozłacanie, posrebrzanie itd. wykonuje się już zapomocą elektryczności.

Od długich czasów także próbowano elektrycznością opędzić najważniejszą rzecz, która tak jak elektryczność wszędzie jest koniecznie potrzebną — zegary.

Według historji zegarmistrzowskiej były już w roku 1859 zegary elektryczne, a w roku 1885 zaprowadzone zostały pierwsze na niektórych dworcach niemieckich. Dotychczasowe zegary były jednak tylko poboczne i były pędzone przez zegar główny, który zaś otrzymywał siłę przez sprężynę albo ciężarki. Do jednego zegaru głównego można przypiąć zegary poboczne w każdej ilości.

Takie zegary są dzisiaj na każdym niemal dworcu, na więżach itd. Największy taki zegarowy zakład ma w Niemczech uniwersytet w Jena; tam pędzi jedyny główny zegar 200 zegarów pobocznych. W Berlinie znajduje się spółka pod firmą „Normalzeit", która na całe miasto Berlin ma swe prądy elektryczne rozszerzone i ciągną one przeszło 1000 zegarów z jednego miejsca, chciaż nie od jednego zegaru głównego pędzone.

Jak już wiemy, są wszystkie te zegary tylko poboczne i idą tylko za przypięciem ich do zegarów głównych, które idą mechanicznie. Zakład taki można tylko z trudem i nie wszędzie zaprowadzić, koszta takiego zakładu są znaczne.

Dlatego rozmyślano już od dawna nad wynalezieniem zegaru, któryby sam jedyny można elektrycznością pędzić, co się jednak długo nie udało, aż w roku 1898 wynalazł dawniejszy profesor Aron zegar, który się naciągał za pomocą elektryczności. Aron też jest, który się najwięcej stał zasłużony we fabrykacji zegarów elektrycznych. Założywszy fabrykę, miał 24 robotników, a dzisiaj już tysiące robotników jest zajętych w dwóch jego fabrykach zegarów elektrycznych.

Ale i inne wielkie fabryki, jak Siemens-Schuckert, „Allg. Elektr. Ges." itd., zatrudniają się fabrykacją zegarów elektrycznych. Systemy ostatnich fabryk są jednak tylko przeróbką i poprawką systemu Arona.

W ostatnim czasie stanął właściciel fabryki Möller na pierwszem miejscu we fabrykacji zegarów elektrycznych. Zegary Möllera są dziś najlepsze i są też dwa razy patentowane.

Ceny zegarów elektrycznych są dzisiaj już tak tanie, że niemal każdy może sobie taki zegar kupić i jest też prawdziwa uciecha i wygoda, gdy zegar idzie punktualnie długie lata bez naciągania.

* * *

Największy las na świecie. Jako największy na świecie las uchodzi puszcza Calaveras w Kalifornji, w którym zeszłego roku wybuchł pożar, który pochłonął kilka największych na świecie drzew. Dla uniknięcia takich niespodzianek na przyszłość, zarządził Roosevelt w ostatnich dniach swej prezydentury, aby las ten uznano za własność narodową, co mu zapewnia większą opiekę. Główną część lasu obejmuje 1850 hektarów, na których znajduje się 1473 olbrzymich drzew z gatunku „Seguoja". W liczbie tej mieszczą się tylko drzewa, których pień ma najmniej 5 i pół metrów obwodu. Obok tych olbrzymów rosną sosny, dochodzące do 85 metrów wysokości, o obwodzie do 3 m. Na jednem miejscu rośnie 10 drzew, których obwody wynoszą 7 i pół metra. Drzewa te mają swe imiona, a największe nazywa się „ojciec lasów". Przed kilku tygodniami burza zwaliła jednego z tych olbrzymów o 135 m. wysokości, z którego uzyskano 118 tysięcy sążni drzewa opałowego.

* * *

Uwolnienie bandyty włoskiego. Słynny brygant Salomone został 3 b. m. przez przysięgłych w Perugji uwolniony. Salomone, z zawodu szewc, zastrzelił w r. 1905 w miasteczku Barafranca na Sycylji burmistrza miejscowego; przedtem jeszcze odsiedział 10 lat więzienia za zbrodnię, którą według zeznania owego burmistrza miał popełnić. Ostatni proces w Perugji trwał od 17 listopada z. r.; przesłuchano 350 świadków, 12 adwokatów broniło, odczytano 52 tomów aktów. Razem z Salomonem było oskarżonych 6 osób o udzielanie mu schronienia.

Przysięgli 4 uwolnili, 2 zasądzili na drobne kary, a co do Salomona zatwierdzili pytanie co do czynu, a zaprzeczyli winę. Sąd osobno za niedozwolone noszenie broni zasądził go na 4 lata więzienia. Po tym procesie czeka bryganta jeszcze dalszych 7 procesów: 4 o zabójstwo a 3 o ciężkie uszkodzenie ciała. Ponieważ przed ostatnim procesem siedział 3 lata w więzieniu śledczem, to za 7 czekających go procesów zapewne całe życie będzie siedział w śledztwie.

* * *

Epidemja samobójcza w Krakowie. Słuchaczka filozofji Malwina Reinelówna, zamieszkała przy ul. Smoleńsk, popełniła samobójstwo przez zażycie sinku potasu. Zmarła pozostawiła list do komisarza policji następującej treści:

„Uprzejmie proszę o nieszukanie w moim pokoju jakichkolwiek dokumentów. Zniszczyłam wszystko. W szufladzie biurka jest tylko trochę mniej ważnych dowodów mego istnienia — nie jest to ciekawe i nie przyczyni się do wyświetlenia mego czynu, o co policji w tym wypadku chodzi. Otrułam się sinkiem potasu. Ponieważ nie znajdzie pan dokumentów i liczę, że wcale szukać nie będzie, komunikuję potrzebne o osobie szczegóły: Mam lat 26, pochodzę z rodziny żydowskiej z Warszawy. Proszę uprzejmie ciało moje pochować, nie czekając przybycia rodziny lub czyjichkolwiek wskazówek. Koszta pokryje siostra moja Natalja Grünkrautowa, gdy wróci z Warszawy. Liczę, że przychyli się pan do mych żądań. Malwina R."

Samobójstwo to — ośmnaste z rzędu, w serji samobójstw i zamachów samobójczych wśród młodzieży akademickiej w Krakowie od samobójstwa Drozdowicza — wywarło wielkie wrażenie w kołach młodzieży.

* * *

Ochraniajmy wzrok. Zachowanie dobrego wzroku należy w pierwszym rzędzie od odpowiedniego oświetlenia przy pracy. Zasada ta odnosi się przedewszystkiem do młodzieży, gdyż narządy oczne u dzieci nie są jeszcze zupełnie rozwinięte. Niestety jak często się to zdarza, że dzieci nie mają ani za dnia, ani wieczorem dostatecznego oświetlenia przy pracy. Nic więc dziwnego, że z pokolenia na pokolenie mnożą się wady wzroku; krótkowidzów, zezujących, słabowzrocznych mamy coraz więcej.

W ostatnich czasach zwracają po szkołach wiele więcej uwagi na to, lecz pozostaje jeszcze dużo do zrobienia. Prz dewszystkiem rodzice i starsi powinni uważać w domu na dzieci, ażeby nie pisały nigdy i nie czytały o szarej godzinie, przy dwojakiem oświetleniu.

* * *

Walka z orłem. Ze St. Charles w stanie Illinois w Ameryce północnej donoszą: W gospodarstwie Piotra Johnsona bawił się w podwórzu jego 3 letni synek. Ojciec bawiący w domu usłyszał przeraźliwy krzyk dziecka, a wybiegłszy na podwórze ujrzał olbrzymiego orła, który zapuściwszy swoje szpony w suknie chłopczyka, chciał go unieść z sobą w przestworza. Johnson rzucił się na orła. Rozpoczęła się zacięta walka, gdyż orzeł puściwszy chłopca rzucił się na Johnsona, drapiąc go szponami i dzióbem. Na krzyk Johnsona nadbiegło kilku sąsiadów, i ci pochwyciwszy za kije, widły i kamienie, rzucili się na „króla ptaków", który zażarcie przez dwie godziny walczył ze swoimi przeciwnikami. Ulecieć nie mógł, gdyż mu skrzydło przetrącono na początku walki. Ostatecznie, zmęczony walką i przyciśnięty do ziemi dwoma widłami, poddał się. — Orzeł ten mierzy 12 stóp od jednego końca skrzydła do drugiego i jest silnie zbudowany. Chłopcu farmera nic się nie stało, lecz Johnson jest boleśnie pokaleczony, chociaż nie niebezpiecznie. — Orzeł żyć będzie i po wyleczeniu Johnson zamierza go ofiarować do miejscowego ogrodu botanicznego.

* * *

Połącznenie balonem z Ameryką. Z Nowego Jorku nadchodzi wiadomość, że utworzyło się tam „Europe-Amerikan-Nac Navigation-Society", stowarzyszenie, które zamierza wprowadzić stałe połączenie między Europą a Ameryką zapomocą balonów ze sterem. Na czele stoi niejaki Józef Brucker, który przed niedawnym czasem rozgłosił, iż chce podjąć podróż balonem do Ameryki drogą odbytą przez Kolumba, z Palos w Hiszpanji, przez Maderę, Teneryfę, do wysp Bahamskich, w sześciu dniach. Twierdzi on, że hr. Zeppelin uznał ten plan za wykonalny.

Z literatury i sztuki

„Promyk", illustrowany dwutygodnik dla młodzieży i dzieci. Treść nr. 6: G. Daniłowski: Pan Jacenty. Jadwiga Klemensiewiczowa: Co to jest seismograf? — Ernest Seton Toupson: Bingo, tłóm. J. Kl. — Janusz Korczak: Joński, Moński i Srule. — Zofja Wójcicka: Kwiat paproci. — J. Lazarusówna: Na Maciejówce. — Wesoły kącik. — Łamigłówki. — Rebus. — Rozwiązania. — Odpowiedzi od Redakcji.

„Promyk" redaguje komitet, wskład którego wchodzą: Bronisława Bobrowska, Stanisława Buraczewska, Jadwiga Klemensiewiczowa, dr. Zygmunt Kramsztyk, Stanisław Kranz, Marcelina Kulikowska, Janina Martkowiczowa, Helena Radlinska, dr. Iwelina Wróblewska. Kierownik artystyczny: Jan Bukowski. Adres Redakcji: Br. Bobrowska, Kraków-Pogórze (Galizien) ul. Mickiewicza 24. Kwartalnie koron 2 (mk. 1.70).

* * *

„Poradnik teatrów i chórów włościańskich" organ „związku teatrów i chórów włościańskich" przynosi w 3 zeszycie następującą treść: Do ludu polskiego, wiersz Ferd. Kurasia. — Słowacki na scenie ludowej, napisał dr. Wiktor Hahn. — Udział rad powiatowych w rozwoju teatrów włościańskich przez Edwarda Webersfelda. — Ojcowizna, sztuka ludowa w 3 aktach, napisał F. Domnik (ciąg dalszy). — Przegląd sztuk do grania przez A. Piątka. — Korespondencje i wiadomości z teatrów i chórów włościańskich, (Osiek k. Żmigrodu, Płotycz, Pietrzykowice). — Zmiana mieszkania. — Sprawy Związku. — Kronika. — Teatry i chóry włościańskie. — Wykaz członków Związku. — Od Redakcji.

Adres: Lwów. ul. Ossolińskich I. 9. Rocznie 2 kor.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 18. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 1 maja 1909.

Koń roboczy.

W pewnej kopalni, głęboko pod ziemią, gdzie nigdy promienie słoneczne nie dochodzą, ciągnie się szeroki chodnik, łączący różne pokłady, z miejscem, gdzie znosi się wszystkie wykopane kruszce, aby je wydobyć na światło dzienne.

Na tym chodniku słyszy się godzinami regularne uderzanie kopyt końskich po wilgotnych kamieniach. Małe kosmate koniki ciągną cierpliwie ciężkie wózki, pełne ogromnych głazów przez te chodniki, w których żółtawy blask latarni zastępuje światło słoneczne. A gdy nadejdzie wieczór — ludzie i zwierzęta wychodzą na światło dzienne, które rani im oczy, ponieważ przyzwyczaili się do ciemności. Małe konie są po całodziennej ciężkiej pracy zmęczone. Z pochylonymi łbami stoją na polu; mrugają oczyma patrząc na zachodzące słońce, niknące na krajach widnokręgu. Powoli idą do stajni, gdzie w mocnym śnie spoczywać będą na cienkiem posłaniu ze słomy.

Starzy górnicy opowiadali, że dawno przed latami, przyszedł do kopalni młody rasowy koń. Zaprzągnięto go do wózka i musiał razem z małymi końmi wozić wydobyte kruszce. Pierwotnie był przeznaczony do innej roboty, zaprzągano go do powozu właściciela kopalni. Kiedy jednak połamał kilka razy dyszel, i wywrócił powóz, oddano go do kopalni, aby w ciężkiej pracy i w ciemnościach uspokoić jego gwałtowne porywy.

Rasowy koń chodził spokojnie zaprzągnięty do ciężkiego wózka, bał się ciemności i słuchał z obawy przed ciężkiemi uderzeniami bicza Pod ziemią straciła jego sierść piękny połysk, oczy były bez połysku a pełna grzywa skudłaczyła się i była szarą z brudu.

Szerokie chodniki były jednak niskie, a kiedy rasowy koń miał przechodzić w najniższem miejscu, gdzie małe koniki codziennie przechodziły ciągnąc ciężary i nie przeczuwając bliskości ściany kopalnianej, kaleczyły wystające, twarde kamienie delikatną skórę rasowego konia.

Gdy koń zbliżał się do tego miejsca, przystawał i drżał na całem ciele. Ale natychmiast świsnął bat i jakby w szale leciał koń naprzód, żując wędzidło, z taką gwałtownością, że piana mięszała się z krwią. Gdy koń pochylał się, upadał na przednie nogi pod naporem ciężkiego wózka, a gdy wstawał, wbijały się ostre kamienie w jego świecącą sierść, rozdzierając skórę.

Starzy ludzie opowiadają, że pewnego dnia, gdy go wyciągnięto na powierzchnię, położył się, zraniony grzbiet odwrócił do zachodzącego słońca i rżał ciągle. Spojrzenie jego było pełne tęsknoty, jak u człowieka.

Tej samej nocy wyrwał się ze stajni, gdzie małe kudłate koniki spały spokojnie, po ciężkim dniu pracy. Wyleciał galopem przez otwarte drzwi na wolne powietrze, a gdy nadszedł ranek, leżał jego wielki czarny kadłub nad brzegiem morza. Woda wypłukała brud z jego pięknej grzywy i oczyściła krwawe rany. Wspaniale odcinał się jego zgrabny tułów od białego piasku, który oblewały fale. Starzy ludzie mówili, że rasowy koń z rozpaczy się utopił.

Ten koń był za duży, kopalnia dla niego za mała, rozumowali. Dlatego musiał koń umrzeć. Robotnicy kopalniani jeszcze opowiadają o czarnym koniu, który nie mógł żyć bez powietrza i światła słonecznego.

Podanie zachowuje pamięć tych wszystkich, którzy wolą raczej umrzeć, jak poddać się w jarzmo niewoli.

Szkice z historji socjalizmu.

Komunizm sekciarski, czyli kacerski w wiekach średnich.

Przeciwieństwo między ubogimi a bogaczami nie było w wiekach średnich jeszcze tak wielkiem, jak w dzisiejszem społeczeństwie o wysoko rozwiniętym kapitalizmie, lecz za to występowało ono bardziej jaskrawo, rzucając się każdemu w oczy. Wówczas, tak samo, jak dziś można było do społeczeństwa ludzkiego zastosować zdanie Platona o dwóch narodach. Lecz aż do schyłku 16 stulecia te dwa narody nie były od siebie tak odgraniczone, jakby murem chińskim, jak to jest dzisiaj, były to jeszcze dwa narody sąsiednie, które się znały i wzajemnie rozumiały. Dziś naród bogaczy i naród ubogich, nie znają się zupełnie, są sobie obcy. Dziś, gdy naród burżuazji chce poznać stosunki panujące w narodzie proletarjuszów, musi urządzać formalną wyprawę naukową, jakby chodziło o zbadanie wnętrza Afryki lub krajów podbiegunowych. O ile jednak wyprawa do Afryki daje burżuazji nadzieję zdobycia nowych skarbów lub nowych rynków zbytu dla jej wyrobów, to badanie i poznanie życia mas proletarjatu może dostarczyć tylko materjału oskarżającego wyzysk i ucisk kapitalistyczny, co wyszłoby na korzyść jedynie socjalnej demokracji. Dlatego to rządy burżuazyjne nowoczesnych państw kapitalistycznych nigdy się z tem nie kwapią i dlatego też urzędowe dane o rzeczywistem położeniu klasy robotniczej są tak skąpe a sprawozdania statystyczne co do tego pojawiają się z reguły z kilkoletniem opóźnieniem.

Inaczej było w wiekach średnich. System gospodarczy był przeważnie naturalny i samodziałowy, to znaczy, że wszelkie daniny i spłaty uiszczano w naturze, w płodach ziemi lub wyrobach przemysłu rękodzielniczego a wszystkie potrzeby życia codziennego wytwarzano na miejscu, u siebie w domu. Handel był wówczas jeszcze nie wielki a ograniczał się wyłącznie niemal do rzeczy zbytkowych. Pieniądz był rzeczą rzadką. Nie było też banków, ani przedsiębiorstw akcyjnych, w których kapitalista mógłby gromadzić miljony na miljony a równocześnie na zewnątrz nie różnić się niczem od pierwszego lepszego ze swoich robotników.

Średniowieczni bogacze — potężni książęta kościoła, magnaci wiejscy, czy kupcy lub zamożne mieszczuchy — nie mogąc olbrzymich swych dochodów zamienić od razu na kapitał, musieli je obracać na spożycie i użycie. Bogactw swoich nie zagrzebywali oni w ziemi, ani też nie ukrywali swych dochodów przed rysim wzrokiem egzekutorów podatkowych, lecz pysznili się niemi jawnie. Bogactwo dawało im potęgę i było jawną odznaką tej ich potęgi. Podobnie,

lub religja
sztuka.

jak w starożytnym Rzymie praca niewolników, tak w wiekach średnich przymusowa praca chłopów pańszczyźnianych na wsi, była niewyczerpanem — zdawało się — źródłem olbrzymich dochodów, które marnowano lekkomyślnie na przecudne konie, złotem, srebrem i drogiemi kamieniami wyszywane stroje, szczero-złote naczynia, wspaniałe zamki i pałace, huczne zabawy i tłumne biesiady. Nowoczesny burżuj używa może znacznie większych, bardziej wyrafinowanych rozkoszy dzięki swoim miljonom, lecz czyni to, w niedostępnym dla oka tłumu głodnego, wielkomiejskiem chambr separée, w salach jokey-clubu, w zameczku myśliwskim lub w nadmorskich „badach". W wiekach średnich życie całe było więcej publiczne a bogacze cały swój przepych rozwijali przed oczami podziwiającego ich i zazdroszczącego im tłumu nędzarzy.

Lecz i nędza ludu nie kryła się w zaułkach wielkich miast, których jeszcze nie było. Każdy widział ją jawnie i chciał, czy nie chciał, musiał zastanowić się nad jej przyczynami i musiał przemyśliwać nad jej usunięciem.

Cóż dziwnego, że taki stan rzeczy rodził zarówno w klasach niższych, jak też i wśród ludzi szlachetniejszych i wykształceńczych z klas zamożnych, chęć walczenia przeciwko tej nierówności i dążenie do wyrównania istniejących różnic. — A do tego celu nadawał się wybornie komunizm pierwotnego chrześćjaństwa. Jeszcze rozwój stosunków gospodarczych nie wytworzył wtedy warunków do powstania wyższej formy komunizmu wytwarzania, dlatego nie mogło być mowy o innym komunizmie, jak tylko o pewnego rodzaju komunizmie wyrównującym, dzielącym, albo raczej przydzielającym, któryby część nadmiaru bogaczów rozdawał między tych, którzy nic nie mają i głód oraz nędzę cierpią.

Podstawą tedy średniowiecznych dążności komunistycznych był chrześćjanizm; mimo to jednakowoż wkrótce okazało się, że dążności te nie zgadzają się z interesami kościoła panującego, który między bogaczami był najbogatszym i dawno już żądanie powszechnej wspólnej własności uznał, jako wynalazek djabła, a przy pomocy najbardziej wykrętnych tłomaczeń i dowodzeń usiłował przekręcić i zaciemnić nauki komunistyczne, zawarte w pismach pierwszych chrześćjan.

Tak więc z pobudek ogólnoludzkich i na brzmieniu ewangelji oparte dążenie do przerobienia społeczeństwa na zasadach komunistycznych musiało z konieczności rzeczy doprowadzić do odszczepieństwa od kościoła papieskiego, czyli do kacerstwa. Z drugiej zaś strony kacerstwo, walka przeciwko kościołowi, walka przeciwko biskupom, klasztorom i odpustom, przyczyniała się mimowoli do powstawania i szerzenia zasad komunistycznych.

W ciągu całych wieków średnich, we wszystkich krajach i u wszystkich narodów chrześćjańskich powstawały liczne sekty religijne, których wspolną cechą były: mistycyzm czyli wiara w przesądy i nadziemskie potęgi, ascetyzm, to jest dobrowolne wyrzekanie się rozkoszy cielesnych i pogardzanie miłością oraz pożyciem małżeńskiem i rodzinnem, a w końcu międzynarodowa solidarność i pewien duch rewolucyjny, który komunistów średniowiecznych tak korzystnie odróżnia od komunistów z czasów pierwotnego chrześćjaństwa.

Około roku 1179 utworzył Piotr Waldus, bogaty kupiec z Lyonu, bractwo religijne Humiljatów, zwanych „Ubodzy z Lyonu", darowawszy mu cały swój majątek. Sekta ta rozszerzyła się w krótce w całej Francji południowej i północnych Włoszech i wzrosła w końcu do znacznej potęgi, pozakładawszy liczne gminy komunistyczne także w Francji północnej, w całych Niemczech a nawet w Czechach. Papieże rzymscy prześladowali zaciekle Waldeńczyków, aż w końcu ogłosili przeciwko nim wyprawę krzyżową, znaną w historji pod nazwą wojny z Albigenzami, ponieważ obronne miasto Albi było ich główną siedzibą. Przy pomocy francuskich rycerzy rabusiów udało się wprawdzie zgnieść i wytępić ogniem i mieczem nieszczęśliwych Waldeńczyków, lecz komunizm sekciarski nie został wcale przez to we Francji i we Włoszech wytrzebiony. Owszem w sto lat później mnich zakonu Franciszkanów Dolcino utworzył znowu we Włoszech pod nazwą Braci apostolskich nowe gminy komunistyczne a zgromadziwszy około 5000 dobrze uzbrojonego ludu rozpoczął energiczną walkę z papiestwem, z kościołem, z państwem i przeciwko wyzyskiwaczom wszelkiego rodzaju. Osaczony w górach Piemontu przez wojska krzyżowe został ostatecznie w r. 1307 wzięty do niewoli i po strasznych męczarniach dnia 2 czerwca 1307 spalony, zaś nieliczne niedobitki „Braci apostolskich" rozpłynęły się bez śladu w innych sektach komunistycznych.

Podobny los, jak we Francji i Włoszech Albigenzów, Braci apostolskich, spotkał w Niemczech Beghardów, w Anglji Lelhardów a w Czechach i na Morawach Taborytów, zaś w krajach alpejskich Anabaptystów. Wszędzie kościół i państwo połączonemi siłami tępili bez litości rewolucjonistów. Mimo to jednak duch buntu przeciwko nędzy i uciskowi, pragnienie upowszechnienia szczęścia na całą ludzkość, wyrażające się w ideach komunistów, znajdowały zawsze nowych zwolenników i przechowały się aż do obecnej doby, w której stały się one przewodnią myślą nowoczesnego ruchu socjalistycznego.

Tadeusz Reger.

Międzynarodowość i patrjotyzm.

Międzynarodowość jest to świadomość wspólnych spraw robotników wszystkich krajów i narodów. Bez względu bowiem na to, że robotnicy należą do różnych krajów i narodów sprawy ich czy to ekonomiczne, czy też prawnopolityczne są wspólne: wszędzie robotnicy znajdują się pod uciskiem kapitalizmu, który nie zna granic państwowych lub narodowych i organizuje się międzynarodowo, wszędzie są jednak upośledzeni pod względem politycznym i prawnym. Z tego wynika, że i walka robotników o pozyskanie praw sobie należnych musi być międzynarodowa: jednoczesne strejki, walka w sprawie ochrony pracy, wzajemna pomoc pieniężna podczas strejków itp. Międzynarodowość wytwarza ścisłe więzy braterstwa pomiędzy robotnikami nowego i starego świata. Tworzy ona zupełne przeciwieństwo nacjonalizmu, czyli szowinizmu mieszczańskiego.

Szowinizm natomiast, czyli pycha narodowa powoduje nienawiść i walki między narodami, jest ona źródłem wszystkich wojen, a zatem także militaryzmu. Podczas gdy szowiniści, dzingoiści i imperjaliści, z których się rządy wszystkich krajów składają, w swoim ciasnym interesie toczą wojny krwawe kolonjalne i ekonomiczne dla pozyskania korzystniejszych rynków dla swoich kapitałów, proletarjusze urządzają manifestacje przeciwko tym wojnom i podają sobie dłonie na znak przymierza, jak to pomiędzy innymi miało miejsce na kongresie w Amsterdamie podczas wojny rosyjsko-japońskiej.

Pomimo międzynarodowość proletarjuszowi-socjaliście nie jest obcem uczucie patrjotyzmu; pomimo że ojczyzna jest mu macochą, kocha ją. Socjaliści wszystkich krajów dążą do tego, by tę macochę przemienić w czułą proletarjuszy opiekunkę, któraby i dla nich skarbiec kultury i dobrobytu otworzyła. Stają wszędzie w obronie uciśnionych mniejszości narodowych, wychodząc z założenia, że kultura może się skutecznie rozwijać tylko na podłożu narodowem. Socjaliści są wszędzie i zawsze przeciwnikami wojny i walk międzynarodowych i sprzeciwiają się zwyrodnieniu patrjotyzmu w szowinizm. Ten ostatni jest pogardą obcych narodowości i dąży do wywyższenia swojej kosztem podeptania praw innej.

Z powyższego wynika, że „patrjotyzm socjalnych demokratów" jest zasadniczo odmienny od „patrjotyzmu klas panujących". Patrjotyzm tych ostatnich jest urzędowy, dążący do zachowania ustroju państwowego dla nich korzystnego, do zachowania przywilejów mniejszości kosztem większości.

Patrjotyzmowi urzędowemu przeciwstawia socjalna demokracja swój patrjotyzm, dążący do skruszenia pęt, powstrzymających rozwój naturalny i swobodny klas pracujących, które stanowią główne jądro każdego społeczeństwa.

Widzimy wyraźnie, że międzynarodowość i patrjotyzm bynajmniej się nie wykluczają i mogą współistnieć bez obrazy wzajemnej. Z. K.

Co to są nauki społeczne?

Zjawiska otaczającego nas świata mogą być podzielone na kilka kategorji i stosownie do podziału tego, nauki, badające poszczególne ketegorje zjawisk, stanowią również specjalne działy ogólnego systematu wiedzy. Istnieją nauki, badające przyrodę, i istnieją nauki, badające życie człowieka w jego duchowych i społecznych przejawach; nauki pierwszej kategorji nazywają się przyrodniczemi w rozległem tego słowa znaczeniu, drugiej zaś humanitarnemi.

Zasadnicza różnica pomiędzy naukami przyrodniczemi a humanitarnemi polega na tem, że pierwsze mają do czynienia z przedmiotami materjalnymi, tj. z rzeczami lub zjawiskami, odbywającemi się w tych rzeczach, zarówno, jak i pomiędzy niemi, podczas, gdy drugie dotyczą jedynie osobistości i tych wszystkich procesów, które się w nich, z niemi i pomiędzy niemi, wyłącznie, jako osobistościami, odbywają.

Zarówno względem rzeczy, jak i osobistości, rozróżnić można trzy rodzaje stosunków, w jakich do nich pozostajemy, a mianowicie: utylitarny (o ile dążymy do osiągnięcia jak największych korzyści i pożytku materjalnego) emocjonalny, czyli wzruszeniowy (o ile dany objekt w ten, lub inny sposób działa na nasze uczucie) i teoretyczny (gdy w stosunku do pewnej rzeczy, lub osobistości, kieruje nami rozbudzana w nas przez nieoderwana chęć poznania ich i zgłębienia).

Podczas, gdy wszystko co nas otacza, możemy traktować z punktu widzenia utylitarnego, emocjonalnego, lub teoretycznego, w stosunku do człowieka musimy się jeszcze kierować względami etycznymi.

Etyczny, tj. moralny, obyczajowy, stosunek istnieć może jedynie względem osobistości, nigdy zaś względem rzeczy i cała różnica polega na tem, że z etycznego punktu widzenia, osobistość wszelka już przez sam fakt istnienia posiada wartość i nie może być traktowana jedynie jako środek do osiągnięcia pewnego celu, dla niej zupełnie obojętnego i że tylko w stosunku do osobistości, nigdy zaś do rzeczy, możliwą jest moralna ocena zjawiska.

Pozostawiając na kiedyindziej ogólny przegląd nauk humanitarnych w całem tych słów znaczeniu, zastanowimy się obecnie nad tymi argumentami, na których opieramy się zwykle przy stwarzaniu oddzielnej kategorji nauk socjalnych, czyli społecznych.

Właściwie mówiąc, wszystkie zjawiska, któremi zajmują się nauki humanitarne, z wyjątkiem jedynie indywidualnego życia duchowego, są zjawiskami społecznemi, gdyż odbywają się w łonie społeczeństwa. I rzeczywiście, to wszystko, co stanowi całą treść duchowego życia ludzkości, a więc język, literatura, sztuka, filozofja, religja i nauka, po za obrębem społeczeństwa istnieć nie może i dlatego szeroko pojęte nauki humanitarne mogą być ochrzczone mianem nauk społecznych. Idzie jednak o to, że wśród przejawów współżycia pojedyńczych ludzi, przejawów, które składają się na całokształt życia społecznego, jedne posiadają charakter czysto psychiczny, czyli duchowy, inne zaś są natury praktycznej. I te właśnie przejawy współżycia pojedyńczych ludzi, które opierają się na praktycznych ich potrzebach, stwarzają i ustanawiają pomiędzy poszczególnymi członkami społeczeństwa wyraźne i określone stosunki wzajemne, ujmując ich całokształt w pewną organizację stałych systemów zjawisk społecznych, które my nazywamy gospodarką narodową, prawem, państwem.

Otóż te nauki, które badają i zastanawiają się nad praktycznymi stosunkami członków społeczeństwa i tworzącymi się z tych stosunków wzajemnych, systemami porządków społecznych, czyli innemi słowy — nauki, obejmujące zjawiska organizacji społecznej, nazywamy naukami społecznemi. Zarówno sztuka, jak i gospodarka narodowa, są zjawiskami społecznemi, nie mniej też stanowią zjawiska społeczne, literatura i prawo — z jednej strony, lub religja i państwo — z drugiej; takie jednak pojęcia, jak sztuka, literatura, religja itp. zaliczamy do dziedziny kultury duchowej, zaś pojęcia gospodarki narodowej, prawa, państwa — do dziedziny organizacji społecznej.

A więc nauki społeczne są to te nauki, które zaznajamiają nas i objaśniają nam wszelkie przejawy zorganizowanego współżycia ludzi, czyli organizacji społecznej. Zasadniczą zaś cechę, która wydziela je z ogólnej kategorji tak zwanych nauk humanitarnych, jest istnienie w badanych zjawiskach pewnego związku, pewnej organizacji pomiędzy członkami społeczeństwa na gruncie wzajemnych stosunków praktycznych. M. Sachs.

Rozmaitości

Falowanie skorupy ziemskiej. Jeden z dzienników berlińskich zamieścił wiadomość o odkryciu naukowem, z którego dowiadujemy się, że i skorupa ziemska, podobnie jak morze, ulega pod wpływem księżyca falowaniom. Odkrycie to zawdzięczamy prof. Heckerowi, który przez dłuższy czas robił swe badania w szybie na 25 mtr. głębokim, a więc zdala od ruchu wielkomiejskiego. Badania te robił za pomocą wahadła, które, jak wiadomo, zawsze ku środkowi ziemi jest zwrócone. Pomimo chwiania się gruntu pod niem koniec wahadła zawsze wskazuje środek ziemi, inne zaś przedmioty zmieniają swe poprzednie położenie. Za pomocą odpowiednich narzędzi daje się nawet określić wysokość tych wzniesień. Skorupa ziemska jest elastyczna a więc falowania udzielają się całej powierzchni ziemskiej. Przypuśćmy, że księżyc znajduje się tuż ponad biegunem północnym, w takim razie kula ziemska, w tem miejscu, ulegając przyciąganiu księżyca, wzniesie się, ruch ten udzieli się natychmiast biegunowi południowemu, na równiku zaś jednocześnie kula ziemska się spłaszczy. Dokładne o tem pojęcie daje piłka: gdy dwa jej przeciwległe boki ściśniemy palcami, dwa inne boki się wzniosą. Dwa wzniesione boki będą w tym razie biegunami, dwa zaś ściśnięte — równikiem.

Do badań tych Hecker posługiwał się wahadłami poziomemi.

* * *

Z fizjologji włosów. Uczeni lekarze (dermatolodzy) często zastanawiali się nad przyczynami wypadania włosów, które zwykle widzieli w obcinaniu ich. Potwierdzenie tej teorji znalazł pewien lekarz francuski, który się tą kwestją zajmował i przez 75 dni mierzył wzrost różnych włosów na głowie. Mianowicie czynił to w ten sposób, że naznaczył poszczególne włosy farbą, a kilka innych w ich sąsiedztwie obcinał co 14 dni jaknajniżej przy korzeniu. Po 11 tygodniach ustalił długość obciętych kawałków i przekonał się, że po 5-krotnem obcięciu odnośne kawałki nie wykazywały większej długości, aniżeli włosy nieobcinane, które nawet niekiedy były krótsze. Lekarz ów nie umiał zrozumieć tego zjawiska, wytłomaczył je dr Pohl w Berlinie, który zbadał, że obcinanie czy golenie wcale nie wpływa na porost włosów, przeciwnie, opaźnia je o 4 tygodnie. Szybkość wzrostu włosów jest różna, zależnie od wieku i w pewnym stopniu zależy od pory roku. Nie wszystkie też wzrastają jednomiernie. Okazało się, że 2 lub 4 sąsiednie włosy na głowie stoją w ściślejszym związku ze sobą, tak, że zawsze włos do takiej grupy należący przez jakiś czas szybciej wzrasta aniżeli inne, poczem ten szybszy wzrost przenosi się na inne włosy i dlatego właśnie łysina nie pojawia się w różnych miejscach czaszki. Po zbadaniu tej okoliczności można było dopiero racjonalnie mierzyć wzrost włosów. Stwierdzono więc, że wzrost ten wynosi w wieku od 11 do 17 lat przeciętnie 12,5 milimetra w miesiącu, od 20 do 24 lat 15 milimetrów a do 60 roku 11 milimetrów. Jeżeli cały organizm dotknięty jest jaką chorobą, wzrost włosów się zmniejsza, a przy niektórych chorobach, jak np. przy tyfusie, zupełnie wypadają. Po chorobie jednak różnica się wyrównuje i włosy same ponownie wyrastają bez

jakiegokolwiek środka na porost, którym się niejeden w obawie przed łysiną posługuje. Sprzedający te środki wykorzystują te przypadki w celach reklamy.

Głównym powodem agitacji przeciw obcinaniu włosów, jest gęsty porost włosów u kobiet, które ich nie obcinają. Sądzono bowiem, że częste obcinanie wysiła organa wytwarzające włosy i to jest przyczyną przedwczesnej łysiny. Jak wynika z poprzednich uwag, mniemanie to jest błędne. Strzyżemy jednak włosy ze względów praktycznych i wskutek przyjętego zwyczaju.

* * *

Mięso wielbłądzie. Mięso w miastach gęściej zaludnionych stało się dla warstw ubogich niemal niedostępnem. To też od dłuższego czasu czynione są rozmaite próby, celem zastąpienia kosztownego mięsa wołowego produktem tańszym. Pootwierano tedy jatki z mięsem końskiem, którego cena jest znacznie niższa od wołowego. W południowych okolicach Francji czynią doświadczenia z hodowlą wężów, ponieważ ich mięso ma być smaczne i pożywne. Ukazało się też w Paryżu w ostatnim czasie mięso wielbłądzie, które również ma się zalecać przyjemnym smakiem. Na ten ostatni produkt francuzi zwrócili uwagę podczas ostatniej wyprawy do Maroka, gdzie wielbłądzina cieszy się wielką popularnością i uznaniem tamtejszych smakoszów, zwłaszcza mięso z garbu sztuk młodych, które ma podobno smak pośredni pomiędzy wołowizną a dziczyzną. W pierwszych jatkach paryskich z mięsem wielbładziem — produkt ten jest bardzo drogi — płaci się 12 franków za kilogram przedniejszej jakości, a na taką cenę zdybyć się mogą tylko ludzie bogaci. Są jednak zdania, że jeżeli się uda zaprowadzić i rozwinąć hodowlę wielbłądów we Francji, to mięso tych zwierząt może istotnie stać się pokarmem ubogich. Cenę więsa wielbłądziego utrzymuje wysoko transport nader kosztowny. Czy jednak próby hodowli wielbłądów dadzą rezultaty pomyślne? Trudno przewidzieć.

* * *

Chyżość zwierząt. Czasopismo „Kosmos" podaje kilka szczegółów o szybkości różnych czworonogów i ptaków.

Gazela afrykańska potrafi przebiedz około 27 metrów w przeciągu sekundy przecięciowo, oczywiście tylko na krótki dystans. Wybitny koń angielski, również w krótkim parokilometrowym wyścigu, przebiegnie około 25,3 met. na sekundę. Pewien gatunek psów rosyjskich, będących jakoby odmianą wilka, robi na sekundę 25 metr. Charty angielskie, krótkowłose, niewielkiego wzrostu, używane do specjalnych wyścigów charcich, robią od 18—23 mtr. na sekundę. Psy eskimoskie, używane do zaprzęgu, posiadają szybkość biegu imponującą: podróżnik Haiss podaje, że przebył psami temi 11 kilometrów w przeciągu 28 minut. Przeciętny koń wyścigowy angielski robi od 1200 do 1300 mtr. na minutę. Zając w biegu normalnym przebiega około 400 mtr. na minutę, lecz w ucieczce i pod wpływem strachu może dojść do 1080 mtr. na minutę. Żyrafa swym kołyszącym się krokiem przebywa 980 mtr. na minutę, tygrys — 860 mtr., renifer — 850 mtr., wilki stepowe — 570 mtr. na minutę, jeśli zaś głód je zmusi do dalszej wycieczki, to potrafią w ciągu jednej nocy przebiedz około 100 kilometrów.

Z pomiędzy ptaków najszybszy chyba lot posiada jaskółka, mogąca w przeciągu godziny przebyć 494 kilometrów stosunkowo, licząc po 137,5 metrów na sekundę. Dalej idzie wilga amerykańska, robiąca 415 kilometrów na godzinę, po niej najszybszy lot ma kobuz, przebywający 260 kilometrów w ciągu godziny. Wrona przy największym wysiłku przeleci około 250 kilometrów na godzinę. Gołębie, które podobno daleko szybciej lecą pod wiatr, niż w kierunku wiatru, przelatują przecięciowo od 60—100 kilometr. na godzinę; najszybszy gołąb pocztowy, jakiego obserwował pułkownik Gaedke na Helgolandzie, przelatywał po 185,5 kilometrów na godzinę, czyli po 51 metr na sekundę. Struś afrykański, którego nie każdy koń dogonić może, przebiega, pomagając sobie skrzydłami około 33 mtr. w ciągu sekundy.

Z ryb największą szybkością ruchów odznacza się delfin, który przepływa w przeciągu godziny 24 kilometry, śledź zaś w tymże czasie robi około 22 kilometry.

Tępicielka mężów. W Bałakławie, jak donoszą dzienniki rosyjskie, znajduje się obecnie w więzieniu zbrodniarka, która obrała sobie za specjalność na prośbę żon tępić niekochanych przez nie mężów. W ciągu 30 lat jej „praktyka" nie wywoływała podejrzeń. Dopiero niedawno wpadła w ręce policji. Na śledztwie przyznała się, że tępiła mężów, ale do winy się nie poczuwa, gdyż czyniła to, ulegając prośbom żon. Na pytanie, jakiej do tego używała trucizny, początkowo odpowiedziała, że żadnej, że poiła ich jedynie wodą „zamówioną", czyli tylko odpowiedniemi zaklęciami „zmienioną", potem przyznała się jednak, że prócz tych zaklęć używała trucizny, którą sama przygotowywała przez wygotowywanie różnych owadów i robaków. Ta trucizna działała bardzo powoli, ale skutecznie. Wynagrodzenie zbrodniarka otrzymywała „od sztuki" — po 30 rubli. Zapłata z góry.

* * *

Z życia „króla zbożowego". Pisma nowojorskie donoszą: Na najwyższem piętrze „drapacza chmur" w Chicago siedzi w eleganckiem biurze mężczyzna ze słuchawką telefoniczną przy uchu. Jest to Jim Patten, król zbożowy, który teraz całemu światu dyktuje ceny zboża. Wczoraj nikt go nie znał, dziś jest znakomitością światową. Zaczął on swą karjerę jako chłopak do posług w sklepie w Chicago, potem otworzył do spółki z swym bratem mały handel zbożowy, a dziś jest największym spekulantem zbożowym w Ameryce. Liczy teraz 54 lat. W r. 1902 utworzył trust zbożowy, który mu przyniósł kolosalne zyski. W r. 1907 zmonopolizował w swych rękach cały handel zbożowy Stanów Zjednoczonych, zaś w następnym roku kosztem 40 mil. pochłonął firmę Armour, największą swą konkurentkę. Przed 5 miesiącami przyszedł Patten do przekonania, że obecny zapas zboża w Ameryce nie wystarcza na zaspokojenie potrzeb; zaczął więc zakupywać kolosalne ilości, aby wyśróbować ceny w górę i pozbyć się konkurentów. Przeciwnicy zaczęli z nim walkę na noże i teraz waha się sprawa: albo Patten zarobi miljony albo zostanie żebrakiem.

Przy wszystkich swych zajęciach ma spekulant czas do zajmowania się zwalczaniem alkoholu, na który to cel wydaje wielkie sumy.

* * *

Poszukiwania w Messynie. Jak donosi „Messagero", zarządca magazynu monopolów państwowych, otrzymawszy pozwolenie na poszukiwania sprzętów w gruzach domu swojego w Messynie, rozpoczął tę czynnnść przy pomocy najętych robotników. Po odwaleniu jednego z kamieni wyskoczyła suczka, wyhudła jak szkielet, ale dająca oznaki radości. Zwierzę przez tak długi czas zdołało utrzymać się przy życiu. Nawiązując do tego faktu, „Messagero" powiada, że bardzo wiele zagrzebanych osób żyło pod gruzami przy pomocy znalezionych prowjantów, ale zginęło następnie po ich wyczerpaniu z tego powodu, że akcja ratunkowa była ospała. Obecnie rząd włoski zapomniał o żyjących na terenie katastrofy. Pobudował, jak twierdzi owo pismo, liche baraki, które za kilka miesięcy runą. Wyznaczono nową komisję śledczą i na tem poprzestano. Dopiero gdy król wyraził swoje niezadowolenie ze stanu rzeczy podczas nowego pobytu swojego w Messynie, zaczęto uprzątać główną ulicę tego miasta.

* * *

Neapolitańscy łupiezcy trupów. Bezimiennem doniesiem zwrócono uwagę władz w Neapolu na opłakane stosunki w zarządzie tamtejszych cmentarzy. Natychmiast wdrożone śledztwo wykryło zajścia nie do uwierzenia. Grabarze i stróże cmentarni trudzili się rozległym handlem szat zdjętych z trupów i wykopywali nocami zmarłych z grobów. Respektowali pogrzeby jedynie wtenczas, gdy krewni opłacili ich sowicie. W jednej trumnie znaleziono nawet jak donoszą gazety neapolitańskie, zamiast zwłok, głowę jakiegoś zwierzęcia. Ludność oburzona jest na niegodziwców do żywego.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski Katowice.

Nr. 19. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 8 maja 1909.

Znasz-li ten kraj?...

Znasz-li ten kraj,
Kraj renów, mrozu, biedy,
Gdzie słońca blask
Zagląda rzadko kiedy?

Gdzie wątły mech
Pod śniegiem się ukrywa;
A główny gród
Archangielsk się nazywa?

Znasz-li ten kraj?
Ach, tam całą gromadą
Z Warszawy dziś
Na osiedlenie jadą.

Znasz-li ten kraj,
Gdzie winny krzew dojrzewa,
Zielony liść
Majowe zdobi drzewa?

Gdzie słońca żar
Z fal Donu wodę pije,
Gdzie wyje wilk
I kozaczyzna żyje?

Znasz-li ten kraj?
Ach, tam, o moja miła,
Z Warszawy się
Na pobyt ludzi zsyła.

Znasz-li ten kraj,
Na kresach Europy,
Gdzie Ural hen,
Pod niebios pnie się stropy?

Gdzie w górze raj
Dla orła, sępa, kruka,
A w dole człek
Ukrytych skarbów szuka?

Znasz-li ten kraj,
Posępny, dziki, niemy?
Tam ja i ty
Znaleźć się wnet możemy.

MAKSYM GORKIJ.

Szary.

Na ziemi — tak rozpoczyna się powiastka — spór toczą Czerwony i Czarny. Nienasycona żądza władzy nad ludźmi stanowi siłę Czarnego.

Czerwony zaś gorąco pragnie widzieć życie wolnem, rozumnem i pięknem. W tem życzeniu jego siła.

Jego myśl zawsze drżąca od wzruszenia, oświetla ciemność życia gorącym płomieniem piękna, groźną łuną prawdy, cichem światłem miłości. Jego myśl zapaliła wszędzie potężny płomień swobody i ten ogień radośnie i gorąco obejmuje naszą ciemną, ślepą ziemię wielkiem marzeniem o szczęściu dla wszystkich.

Powiada on:

— Wszystko — dla wszystkich! Wszyscy są równi, w sercu każdego jest ukryty cały świat piękna, nie można kaleczyć istotę ludzką, zamieniając ją na tępe narzędzie bezmyślnej siły. Nikt nie powinien ulegać, nikt nie ma prawa zmuszać do uległości, władza dla władzy jest występkiem.

Pomiędzy Czarnym i Czerwonym nieśmiało i prędziutko szwęda się malutki, jednostajny Szary. On lubi tylko ciepło syte, wygódek pełne życie i dla swojego zamiłowania trzepie swą duszę, jak zgłodniała kobieta uliczna swe znikome ciało. Gotów jest on służyć niewolniczo wszelkiej sile, aby tylko zapewniła mu dostatek i spokój. Całe życie jest dla niego lustrem, w którem widzi on tylko siebie. On jest bardzo żywotny, gdyż posiada wszystkie talenta pasożyta. Wszystko mu jedno od kogo otrzymuje jadło — od człowieka, czy zwierzęcia, gienjusza lub idjoty. Jego dusza jest tronem śliskiej żaby, która zwie się podłością, jego serce jest rezerwoarem tchórzliwej ostrożności. On chce używać rozkoszy i zarazem niepokoi go obawa — to go robi fałszywym i podwójnym.

Jeżeli w walce o władzę zwycięża Czarny, Szary ostrożnie podjudza Czerwonego: „Patrz jak rośnie reakcja.“ Jeżeli zwycięstwo odnosi rycerz wolności i prawdy, Szary donosi Czarnemu: „Strzeż się — rozwija się anarchja!“ Jego cielcem jest zawsze jedno: spokój i porządek — dla siebie. I bodaj za cenę duchowej śmierci całego kraju. Gdy czuje on, że Czarny zmęczył się walką, miesza się do sporu, który toczył pomiędzy sobą Czarny i Czerwony i zawsze oszukuje obydwu. Z uszanowaniem, ostrożnie powiada on Czarnemu: „Ma się rozumieć, to bydło, i pastuch jest dla nich niezbędny, ale zdaje mi się, już pora zwiększyć pastwisko! Jeśli do tego, co mają, dodać jeszcze troszeczkę, to chociaż mniej będą mieli, aniżeli to, czego sobie życzą, ale zawsze więcej, niż teraz. To ich uspokoi i Czerwony przestanie być niebezpiecznym — przecież cała siła jego polega na tem ich niezadowoleniu. Proszę mi pozwolić, ja pomogę to urządzić.“

Pozwalają mu i on urządza dla siebie życie dostatnie, ciepłe, pełne zadowolenia.

Czarny, zlewając się z Szarym, staje się jak gdyby mniej okrutnym, ale bardziej głupim i podłym. Czerwony rozpala się gorącej.

Wówczas Szary przemawia pouczająco do Czerwonego. „Naturalnie, już czas życie zatosować do ideału, ale odrazu

nie można przecie zadowolnić wszystkich! Troszeczkę dziś, troszeczkę jutro, koniec końców ludzie będą mieli wszystko. Rachunek — to entuzjazm mędrca... Czarny ustąpi, jeżeli będziemy działać ostrożnie... pozwólcie, ja pomówię z nim szczerze..."

I pozwalają mu, czy też odmawiają, on urządza dla siebie życie ciepłe, wygodne, zaciszne...

Czerwony staje się coraz bledszym. Czarny szerzej roztacza skrzydła swej władzy, życie staje się ciemniejszem, życia oddech wolnieje... Szary napawa się szczęściem spokoju. Może on zdradzić i sprzedać, zdolny jest do wszystkiego, ale nigdy nie działa uczciwie i nigdy pięknym nie jest.

Ta mała dwuduszna gadzina zajmuje zawsze środek pomiędzy ostatecznościami, przeszkadzając im swojem samolubnem krzątaniem się, rozwinąć się do końca, do absurdu, do ideału. Rozpływając się pośrodku, bezkarnie mięsza on dwa zasadnicze kolory życia w jeden kolor bezbarwny, nudny, brudny...

Szary zatrzymuje śmierć tego, co już żyć przestało, utrudnia rośnięcie tego co żywotne, on to jest wiecznym wrogiem wszystkiego, co jaskrawe i śmiałe.

Czy alkohol jest pokarmem?

Zanim przystąpimy do rozpatrzenia jego zagadnienia, postarajmy się wprzód odpowiedzieć sobie na pytanie, co to jest pokarm? W tym celu należy sięgnąć do faktów, aby w świetle nauki, wykazującej czynności życiowe w organiźmie, to jest fizjologji — zbadać, na czem polega zużytkowanie materjałów, powszechnie uważanych za pokarmy, jak chleb, mięso, jaja, mleko.

Nazwijmy je pokarmami typowymi. Te pokarmy są to mieszaniny, zawierające prócz wielkiej ilości wody, małej ilości soii, trzy grupy substancji chemicznych: białko, tłuszcz i węglowodany.

Ciałka białkowe lub białka ścinają się pod wpływem ciepła; dlatego też białko, zawarte w jajku, twardnieje przy gotowaniu. Mięso zawiera najwięcej białka i w mięsie stanowi ono istotną jego część pożywną. Pokarmy roślinne, jak chleb, niektóre owoce, również zawierają większą lub mniejszą część białka.

Tak zwane węglowodany odnajdujemy przeważnie w pokarmach pochodzenia roślinnego. Spożywamy je w postaci mąki. Kartofle i wszystkie owoce mączyste zawdzięczają mące swe własności pożywne.

Wszelkiego rodzaju cukry należą również do węglowodanów.

Tłuszcze istnieją zarówno w świecie zwierzęcym, jak roślinnym; wystarczy wspomnieć: masło, oliwę i łój barani, wołowy, słoninę itp.

Pokarmy pod wpływem rozmaitych soków podlegają w przewodzie pokarmowym przemianom więcej lub mniej gruntownym, dzięki którym mogą następnie być wchłonięte przez ścianki kiszek i zużytkowane przez organizm.

Przechodzą one tylko przez krew, lecz w niej nie nagromadzają się, ze krwi przedostają się do różnych narządów ciała, aby w nich stanowić tak zwany materjał zapasowy; węglowodany np. osadzają się w wątrobie i mięśniach — tłuszcze przeważnie w tkankach tłuszczowych; białka osadzają się również, lecz nie wiemy dotychczas w jaki sposób to się odbywa,

Ten materjał zapasowy, o którym wspominaliśmy, służy organizmowi do naprawy zużywających się narządów, do wytwarzania ciepła i pracy. Fizjologja uczy nas ponadto, że można zamienić część przynajmniej pewnego pokarmu na odpowiednią część innego pokarmu, naprzykład można zamienić część mięsa, pokarmu, jak nam już wiadomo, bogatego w białka, na pewną część chleba, pokarmu mącznego, należącego do grupy węglowodanów.

* * *

Doświadczenie uczy, że spożywanie tych pokarmów: chleba, mleka, jaj itp. nie wywołuje żadnych objawów zatrucia, ani ostrych, ani przewlekłych.

Z pobieżnego tego przeglądu pokarmów typowych możemy wysnuć następujące wnioski:

1. Pokarmy typowe, spożyte, strawione i wchłonięte przez tkanki kiszek, są zużytkowane przez organizm dla naprawy zużywających się tkanek, dla wytwarzania ciepła i pracy.
2. Pokarmy typowe nie wywołują w organizmie żadnych objawów zatrucia.
3. Pokarmy typowe mogą zamieniać się wzajemnie.
4. Pokarmy typowe nie nagromadzają się we krwi, lecz osadzają się w tkankach w postaci materjału zapasowego.

Rozumie się, alkohol powinien odpowiadać wymienionym warunkom, abyśmy mogli uznać go za pokarm. Jak więc jest w rzeczywistości?

* * *

Zwróćmy się do faktów:

1. Gdy wstrzykniemy pod skórę człowiekowi lub zwierzęciu nieznaczną ilość alkoholu i następnie badamy jego mocz lub powietrze wytchnięte z płuc, nie odnajdujemy w nich ani śladu alkoholu lub zaledwie szczątki; po wstrzyknięciu znacznej dozy, powodującej stan odurzenia, zwany upiciem, odnajdujemy w nich pewną ilość alkoholu.

Znaczyłoby to, że w pierwszym wypadku spożyty alkohol znikł całkowicie, w drugim — zaledwie częściowo. Badania wykazały, że to znikanie alkoholu polega na zmianie jego na kwas węglany i wodę, to jest że spala się on w organizmie, z czego wynika, że dostarcza organizmowi paliwa.

2. Alkohol, przyjęty jednorazowo w większej ilości, wywołuje stan odurzenia, zwany upiciem, przyjmowany stale w większej ilości, wywołuje przewlekłe, to jest chroniczne objawy alkoholizmu, a więc nie odpowiada drugiemu warunkowi: nie jest pokarmem, lecz trucizną.

3. Czy alkohol może zastąpić pewną część pokarmu innego? Kwestja ta dotychczas jest sporna. Wyniki doświadczeń, dokonanych przez niektórych badaczów, przemawiają za tem, jakoby alkohol, przyjmowany w postaci wina w dozach umiarkowanych i podczas posiłku, mógł zastępować odpowiednią ilość innego pokarmu. Należy jednak wiedzieć, że ten wniosek ma tylko wartość w specjalnych warunkach, które były urzeczywistnione w odnośnych badaniach: doświadczenia były robione nad człowiekiem dorosłym, młodym i silnym, ważącym 70 kilogramów, spożywającym nie więcej nad litr wina dziennie, częściowo i przy jedzeniu.

4. Czy alkohol wytwarza materjał zapasowy? Alkohol spożyty i następnie wchłonięty przez ścianki kiszek, odnajdujemy we krwi i w tkankach w postaci alkoholu, w ilości odpowiedniej do ilości spożytej. Jest on zużytkowany, lecz tylko w swej postaci naturalnej, to jest nie podlega żadnym przemianom przejściowym, dzięki którym mógłby osadzać się w tkankach, a więc nie wytwarza materjału zapasowego i pod tym względem różni się zasadniczo od pokarmów typowych.

Weźmy człowieka dorosłego, spożywającego około 200 gramów pokarmu mącznego. Przeobrażają się one w organizmie prawie na 200 gramów cukru, który pozostaje szybko wchłonięty przez kiszki. Krew zawiera około półtora grama cukru na litr, to jest na 6 litrów krwi, zawartej w człowieku dorosłym, 9 gramów.

Otóż, pomimo jednorazowego napływu tak wielkiej ilości cukru (200 gramów), ilość cukru w obiegu ogólnym krwi pozostaje niezmienną; podczas trawienia jest taka sama jak naczczo.

Gdzie więc podziewa się ta wielka ilość cukru? Otóż krew przechodząc przez naczynia krwionośne kiszek, zabiera z nich cukier, zanosi go do wątroby i tam uwalnia się od jego nadmiaru. Cukier osadza się więc w wątrobie, jako materjał zapasowy, który następnie stopniowo w miarę potrzeby jest zużywany przez organizm przy pracy mięśniowej.

To samo możemy powiedzieć o tłuszczach: one również bardzo krótko pozostają we krwi i osadzają się następnie w tkankach tłuszczowych, jako materjał zapasowy —

zbadanym jest, że białka również wytwarzają materjał zapasowy. Jedynie alkohol nie staje się tym materjałem; on jeden gromadzi się we krwi i tam pozostaje w swej postaci naturalnej, on jeden zmienia zwykłą, to jest normalną wartość krwi.

Odmawiając alkoholowi własności pożywnych, czy współczesna wiedza może go uznać za środek wzmacniający, dodający ciału jędrności i rzeźkości? Główną cechą tych środków wzmacniających jest ich sposób działania; nigdy nie działają one raptownie: aby być skutecznymi, powinny być używane wielokrotnie, przez dłuższy czas; można nawet powiedzieć, że skuteczność ich działania zależy więcej od trwania kuracji, niż od wielkości dozy jednorazowo przyjętej.

Tego powiedzieć nie można o alkoholu; działa on raptownie, wywołuje, jak wiadomo, stan podniecenia, po którym następuje przygnębienie. Alkoholik zwykle zwalcza to przygnębienie za pomocą nowej dawki alkoholu; w ten sposób nie wzmacnia się, lecz sztucznie podnieca. Alkohol więc nie jest środkiem wzmacniającym, lecz podniecającym — oto jego prawdziwa cecha!

O ile istotnie prosty stan podniecenia, to jest zatrucia alkoholem, wywołuje jednorazowe przygnębienie i z powodu tego nie może mieć zabójczego wpływu na zdrowie, o tyle stany zatrucia, powtarzające się często, wznawiane, z konieczności pociągają za sobą stany przewlekłe, to jest chroniczne przygnębienia, stępienia umysłowego, apatji, które zwalcza się zwykle za pomocą nowych porcji alkoholu, coraz większych i w ten sposób jednostka podąża ku zwyrodnieniu i obłędowi.

Niektórzy utrzymują, że napoje wyskokowe zaostrzają apetyt, pobudzając działająco na błonę śluzową żołądka. Twierdzenie to nie ma podstaw. Możliwem jest, że alkohol w pewnej ilości i pod pewną postacią pobudza wydzielanie się soku żołądkowego, pewnem zaś jest, że przyjmowany stale i w niewielkiej nawet ilości, podrażnia błonę śluzową żołądka i wytwarza zapalenie chroniczne tego organu.

Ten fakt, że alkohol wywołuje obfitsze wydzielanie się soków, nie oznacza jeszcze, że te soki posiadają własności normalne; ilość nie jest współmierna z jakością. Zresztą człowiek zdrowy nie powinien uciekać się do sztucznych środków, aby wywołać wydzielanie się soku żołądkowego; wszystkie pokarmy, chleb, mięso, jaja itp. czynią to same bez pomocy alkoholu, wywołują wydzielanie się soków, doskonale przystosowanych pod względem jakości i ilości pokarmów spożytych.

Streśćmy się:

1. Alkohol nie jest pokarmem.
2. Alkohol nie jest środkiem wzmacniającym.
3. Alkohol jest typowym środkiem podniecającym.

Powszechne używanie alkoholu, wbrew wynikom wiedzy, która coraz więcej zbiera faktów, dowodów, dla wykazania jego szkodliwości, błąd ten podtrzymuje z jednej strony zakorzeniona tradycja i nierozumne przyzwyczajenie, — z drugiej zła wola wszystkich tych, którzy z tego wielkiego wytwarzania i sprzedaży alkoholu, choć kosztem zatruwania ludu — czerpią ogromne zyski.

Szkice astronomiczne.

Pierścień Saturna.

(Ciąg dalszy.)

W takiem właśnie rozproszeniu materji pierścienia mieści się rozwiązanie jego zagadki. Już Dominik Cassini, w początkach wieku siedmnastego wyobraził sobie pierścień Saturna, jako zbiorowisko satelitów zbyt drobnych, by mogły być oddzielnie przez lunetę widziane. a zbyt bliskich, by odstępy ich dojrzeć się dały. Dawny ten pogląd, o którym zresztą zapomniano, Maxwell rozwinął i uzasadnił. Pojmujemy łatwo, że rozpatrzenie biegu takiego roju satelitów przedstawia trudności niesłychane, każdy z nich bowiem przyciągany jest przez bryły sąsiednie, zarówno jak i przez planetę, wszystkie zaś pozostają w ruchu, skąd uporządkowanie ich ciągłej ulega zmianie. Zadanie wszakże tem się ułatwia, że nie idzie tu przecież o znajomość ruchu każdej bryły oddzielnie, ale jedynie o rozpoznanie efektu ogólnego, czy pomimo wiru drobiazgów utrzymują się warunki trwałości całego roju pierścieniowego. Rezultat rachunku okazuje się korzystnym dla tego poglądu. Jeżeli są to satelity jednakiej wielkości, każdy z nich, biorąc udział w ruchu ogólnym, kołysze się nadto w jednę i drugą stronę przypadającego mu stanowiska; stąd w każdej chwili satelity w jednych miejscach skupiają się gęściej, w innych rozsuwają się między sobą, a fale tych zagęszczeń i rozrzedzeń rozprzestrzeniają się po wirującym pierścieniu, w podobny sposób, jak to się dzieje w drgającym słupie powietrza, w fujarce zamkniętym.

Niepodobna wprawdzie przypuszczać, by to zbiorowisko drobnych satelitów składało się z brył jednakiej wielkości, ale zatrzeżenie to okazuje się zbytecznem, jeżeli bowiem satelity nie są między sobą równe, fale nie biegną już tak prawidłowo jedne po drugich, jak w przypadku poprzednim, ale również nie prowadzą do wzrastającego wciąż bezładu, nie sprowadzają zamętu zagrażającego pierścieniom zagładą. Według tego należy przyjąć, że pierścienie składają się z cząstek rozproszonych, które się poruszają z prędkością różną, zależną od ich odległości od planety. Zapewne, bryły tak samopas biegnące narażone na częste starcia, na potrącania się wzajemne, których następstwa, same przez się drobne i nieznaczne, sumują się jednak i narastają zwolna do potęgi groźnej dla całości systemu. Tą drogą wszakże przygotowujące się zniszczenie pierścienia obejmuje długi okres astronomiczny, wobec którego stulecia i tysiącolecia nasze nikłemi tylko stają się chwilami. Zresztą, w tym biegu bez ładnym cząstek rozrzuconych wytwarza się może dążność do uporządkowania w szereg pierścieni współśrodkowych; w takim razie słabnie sposobność uderzeń wzajemnych, a trwałość systemu znacznie się wzmaga.

Brył oddzielnych, z których się pierścień składa, rozróżnić nie możemy; porównać je można do drobnych kropel wody, tworzących mgłę lub chmurę, naprzód jednolitą i ciągłą zupełnie.

Pierścień jednak wewnętrzny świeci o wiele słabiej, aniżeli oba pierścienie skrajne, i wydaje się ciemnym stosunkowo; pochodzi to stąd zapewne, że unoszące się w nim cząstki zbyt są między sobą oddalone, by odbite od nich promienie słoneczne jasność dawały dostateczną. O znacznem ich rozproszeniu świadczy nadto przezroczystość promienia ciemnego, jak już bowiem nadmieniliśmy wyżej, nie zasłania on bynajmniej brzegu tarczy Saturna.

Gdyby promienie przebiegały przez atmosferę gazową, ulegałyby w niej załamaniu, a brzeg planety ukazywałby się poszarpany lub w jakikolwiek inny sposób przeinaczony; ponieważ wszakże żadna podobna zmiana nie zachodzi, znaczy to, że promienie nie przedzierają się przez jakikolwiek środek łamiący, ale znajdują przejście w odstępach między bryłami, z których jest pierścień złożony. Jest to więc jakby potwierdzenie optyczne poglądu, przypisującego pierścieniowi budowę złożoną z cząstek rozdzielonych i wzajemnie niezależnych. W promieniach zewnętrznych, gdzie cząstki są bardziej skupione, a odstępy między niemi mniejsze, promienie światła nie napotykają już dróg równie otwartych i przedostać się nie mogą.

W teorji tej znajduje wyjaśnienie nawet wielka przerwa, rozdzielająca oba pierścienie jasne. Jeżeli bowiem składają się z drobnych brył, obiegających planetę po drogach własnych, to drogi te ulegać muszą zakłóceniom pod wpływem księżyców Saturna, działanie zas to najsilniej wywierać się musi na bryły, których czas obiegu pozostaje w stosunku jaknajprostszym do czasu obiegu któregokolwiek z tych księżyców, a tak się właśnie dzieje w tej odległości, gdzie wielka przerwa pierścieni przypada. W okolicy tej przeto drogi satelitów drobnych najłatwiej ulegały przeinaczeniom, satelity nie mogły tu pozostawać trwale i wytrącone stąd wreszcie zostały.

Co nas najbardziej w widoku pierścienia Saturna uderza, to jego postać niezwykła, wyjątkowa, w układzi słonecznym jedyna; jeżeli w nim jednak dostrzegamy rój nieprzejrzanego mnóstwa satelitów drobnych, wyłączność ich ginie, znajdujemy bowiem utwory tegoż samego rodzaju w rojach meteorytów, które po drogach wydłużonych krążą dokoła słońca i zarzucają atmosferę naszą gwiazdami spadającemi, gdy ziemia w rocznej swej wędrówce na swym

torze je napotyka. Odrębność ogranicza się może tylko do gęstości skupienia. Niemniej wybitną analogję nastręczają i drobne planety, biegnące dokoła słońca szerokim pasem pomiędzy Marsem a Jowiszem; potężne teleskopy ukazały nam ich dotąd pół tysiąca prawie, niewątpliwie jednak daleko liczniejsze są w tym pasie planety tak drobne, że dla najsilniejszych nawet przyrządów optycznych na zawsze utajone pozostaną.

Pierścienie planet, księżyców, meteorytów nie są to utwory przypadkowe, osobliwe igraszki przyrody, ale stanowią zapewne ogniwa prawidłowe w wielkiej budowie wszechświata.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości

Kiedy będzie skończony kanał Panamski? Od wielu już lat najwybitniejsi inżynierowie pracują nad przekopaniem kanału Panamskiego, a jednakmimo to, końca robót, „ani nawet nie widać.“ Kanał Panamski przeżył już jeden skandal, jedną „panamę“, teraz to przedsiębiorstwo zdaje się znów wchodzi w okres nowego skandalu, nowej „panamy“. Sądzac z wiadomości ze Stanów Zjednoczonych, powstała tam bardzo poważna „kwestja panamska“, tem poważniejsza, że zachodzi obawa, aby całego przedsiębiorstwa nie trzeba było zaczynać na nowo. W każdym razie Stany Zjednoczone teraz z powodu kanału bliskie są takiego przesilenia, jakie przeżyła już Francja.

O cóż idzie?

Pomiędzy oceanem Atlantyckim i Spokojnym, w tem miejscu, gdzie chcą je połączyć kanałem, przechodzi pasmo gór Kulebru. Od strony oceanu Spokojnego pasmo to kończy się doliną rzeki Rio-Grande; od strony oceanu Atlantyckiego doliną rzeki Rio-Gagres.

Kiedy Stany Zjednoczone kupiły kanał, ich inżynierowie postanowili zamienić obie doliny w dwa ogromne jeziora, oddzielone od morza Chagres lub Hatuni, w pobliżu Kolonu, i groblą przy Grande, w pobliżu Panamy, i następnie połączyć oba jeziora wałem przez Kulebru.

W projekcie tym nie było nic nowego: był on ułożony przez inżyniera francuskiego Godina de Leninais w roku 1879, kiedy technika nie rozporządzała jeszcze dzisiejszymi wynalazkami.

Od samego początku główny dyrektor Towarzystwa Panamskiego zapewniał, że zamiar inżynierów amerykańskich zbudowania grobli jest szaleństwem, ponieważ, biorąc pod uwagę ogromną masę wody, którą groble będą musiały powstrzymywać, nie można zaręczyć, czy grunt nie ulegnie ich ciężarowi.

Amerykanie nie zwracali na to uwagi i wzięli się do urzeczywistnienia wspomnianego projektu. Pracowali cztery lata i teraz przekonali się, że główny dyrektor towarzystwa francuskiego miał słuszność.

Budowa grobli od strony oceanu Spokojnego jeszcze nie została rozpoczęta, lecz to, co zrobiono od oceanu Atlantyckiego, już się zapadło. Sztuczna skała wysokości 18 metrów, która miała podtrzymywać groblę, nie zdołała się ostać: gliniasty grunt pod nią zachwiał się i grobla opadła o trzy sążnie.

Trzeba się było przeto zająć gruntowną zmianą całego projektu, choć na jego urzeczywistnienie wydano już około 400 miljonów marek.

Przewodniczący wyznaczonej przez senat komisji w sprawie przekopania kanału Panamskiego, oświadczył jednemu z dziennikarzów, że wszystko będzie trzeba przerabiać. Groble, które chciano zbudować, na nic by się zdały. Po $4^1/_2$ rocznej pracy nad budową kanału śluzowego, nieuniknioną może będzie budowa kanału jednego poziomu z morzem.

Główny inżynier amerykański Hetals, pomimo nader optymistycznego tonu swych doniesień, przyznaje, że nie może określić sumy niezbędnych wydatków, lecz przypuszcza, że będzie potrzeba około miljard marek.

Zdaniem innych członków komisji kanał pochłonie jeszcze co najmniej 2 miljardy marek.

* * *

Lekarskie badanie narzeczonych. Związek kobiet w Stavanger w Norwegji wniósł do storthingu podanie, aby zaprowadżono ustawowe badanie lekarskie narzeczonych przed ślubem. Na związek małżeński ma być pozwolenie udzielone dopiero wówczas, gdy ze świadectwa lekarskiego wyniknie, iż jedno i drugie jest zdrowem i nie naraża swego potomstwa na różne choroby dziedziczne. Wydaje nam się, iż takie świadectwo rzadko który lekarz będzie w stanie wystawić. Kobiety spodziewają się jednak, iż storthing uchwałę taką poweźmie, tem więcej, iż kobiety w Norwegji posiadają prawo wyborcze i bezpośredni wpływ polityczny wskutek tego.

* * *

Ruch kobiecy w Turcji. Ruch młodoturecki dał początek ruchowi kobiecemu w Turcji, będącemu tam do niedawna dopiero w zawiązku. Emine Semie Hanoum, żona adryjanopolskiego gubernatora, Reszida baszy, a córka byłego ministra sprawiedliwości Dżewdela baszy, tudzież siostra jej, Fatma Alie Hanoum są pierwszemi pjonierkami ruchu kobiecego w Turcji, a zarazem najbardziej cenionemi autorkami młodej Turcji. Obie otrzymały europejskie wykształcenie. Fatma Alie zyskała sobie sławę swoją odpowiedzią na pismo ulemy Mahmuda Essada p. n. „Poligamja u muzułmanów“. Emine Semie stała się popularną przez powieść swoją p. n. „Bezbronne małe“, osnutą na tle życia haremowego. Ona to założyła tajny związek kobiecy, który podczas prześladowań okazał wielką odwagę. Obie siostry są młode, gdyż przekroczyły zaledwie trzydziestkę.

Pierwszym żądaniem ruchu kobiecego w Turcji było zakładanie szkół żeńskich. Od czasu zaprowadzenia konstytucji, panie tureckie założyły liczne stowarzyszenia dobroczynne. Urządzano nawet bazary i przedstawienia teatralne. Powoli kobiety tureckie zaczęły się pokazywyć wbrew zwyczajowi na ulicy w licznem towarzystwie. Dawniej turek, spotkawszy swoją żonę na ulicy, nie śmiał jej pozdrowić, ani z nią mówić, obecnie chodzi z nią i jeździ. Zasłona na twarzy stawała się coraz bardziej przezroczystą, a czasem nawet spadała. Ale wnet zjawiły się w Konstantynopolu plakaty następującej treści: „Od dzisiejszego dnia każdy, kto ujrzy kobietę, ubraną w sposób, zwracający uwagę, ma prawo zedrzeć z niej suknie“. Podpisany był: „Naród“. Plakaty owe roznosiciele obnosili po ulicach miasta. Roznosicieli uwięziono — ale fanatyzm rozbudzono, zwłaszcza, że ulemowie i softowie podburzali ciemne masy.

Przyszła kontrrewolucja i fanatyzm ciemnych mas zwrósł jeszcze więcej. Kobiety, z obawy przed pobiciem, powróciły do dawnych strojów, a nawet przestały się pokazywać na ulicy. Brutalne indywidua bezkarnie napadały w oczach policji na kobiety, idące ulicą. W piśmie Serat Mustagin zjawił się artykuł, którego autor twierdził, że kobiety, jsko mniej wartościowe, należy „trzymać pod kluczem“. Artykuł ten czytano i chwalono nawet w kołach, mających pretensje do inteligiencji. Kobiety tureckie z utęsknieniem wyczekiwały zwycięstwa młodoturków.

Z literatury i sztuki

„Promyk“, illustrowany dwutygodnik dla młodzieży i dzieci. Treść nr. 7: Marja Konopnicka: Jaś nie doczekał (wiersz). — J. Kl.: Wspomnienie. — Janusz Korczak: Jośki, Mośki i Srule. — R. C.: Dalszy ciąg „Serca“. — H. O.: W prastarej puszczy. — Jadwiga Olszewska: Ptak rajski. — Władysław Syrokomla: Kradzione (wiersz). — F. Lazarusówna: Na Maciejówce. — Wesoły kącik. — Łamigłówki. — Rozwiązania. Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Redakcji: Br. Bobrowska, Kraków-Podgórze (Galizien) ul. Mickiewicza 24. Kwartalnie 2 korony (1.70 mk.).

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski Katowicach.

Nr. 20. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 15 maja 1909.

Jak to bywa.

Włóczęgą mnie nazywają,
A włóczęgą niepoprawnym;
A więc w gmachu swoim sławnym
Mieszkanie mi darmo dają.

Apartament, jak kloaka,
Okna koszem przygrodzone,
Grubą kratą zasłonione:
No — mieszkanie dla biedaka.

Zacne serca, ani słowa!
O czeladzi swojej radzą,
Dziś wypuszczą, jutro wsadzą:
Rzecz to stara, rzecz nie nowa.

„Brak przytułku, utrzymania,
Wstręt do pracy!... No — aż zgroza,
Gdy się robić nawet wzbrania...
Będzie, bratku, będzie koza“.

Wstręt do pracy!... Ha — los taki
Trzy miesiące już nie robię,
Jak pan jaki chodzę sobie,
Jak pan jaki ladajaki.

Wstręt do pracy!... Mądre głowy
Rozsądzają rzecz wspaniale:
Za brak pracy przymusowy
Siedzieć muszę w kryminale, A. P.

JULJUSZ RENARD.

Szalona Stefka.

(Z francuskiego).

1. Lalka ze śniegu.

Śnieg pada, a przez ulicę biegnie, jak postrzelona, z gołą głową, szalona Stefka. Bawi się tem, chwyta fjoletowemi rękami padające płatki, wyciąga język i pozwala lotnym gwiazdkom, które zaledwie się czuje, rozpływać się na nim i kreśli końcem palca pałki i kółeczka na błyszczącym całunie.

Po chwili spostrzega, że mały płatek wygląda jak pazur ptasi, duży, jak noga gęsia i że niewiadomo dlaczego, ale prawdopodobnie spadają z nieba.

Potem robi sobie lalkę ze śniegu.

Ma pokrzywione i skurczone członki od zimna. Oczy są wydłubane, tam, gdzie nos, znajduje się dziura, lecz tak duża, że wystarcza za dwie, ma usta bez zębów i czaszkę bez włosów, gdyż włosy i zęby to nieco za trudno.

— Słodka szelma — mówi Stefka.

Przyciska ją do serca, kołysze, gwiżdżąc przytem; a tylko trochę zaczyna łajać, ubiera ją szybko inaczej, tacza po macierzyńsku w śniegu, otula czystą pieluszką.

2. Zabłąkana Stefka.

Stefka wychodzi kiedy i gdzie chce, niewinność jej broni. Biegnie szybko. Nie wychodzi, aby się przejść. Zdaje się jej ciągle, że jest ściganą.

Dziś rano wyszła z domu przed dobrą godziną. Wkrótce przystaje i mówi:

— Mój Boże, zabłądziłam.

Z osłupieniem ogląda się dokoła, myśli i szuka siebie samej.

Pole ginie pod białym kobiercem. Drzewa są pełne śniegu; każde przystroiło się jak podróżny, czekający na pocztę.

W tem odkrywa swoje własne, jeszcze świeże ślady, i przychodzi jej na myśl iść za sobą, aby się odnaleźć.

Ostrożnie stawia stopy w zagłębienia, wyciśnięte jej stopami, a skoro inne ślady krzyżują się z jej śladami, schyla się, aby odnaleźć swoje. Wkrótce biegnie zadyszana, jakby ją wilki goniły.

Skoro przybywa do wsi, poznaje śród stłoczonych chat swój dom i myśli:

— Teraz z pewnością jestem już w domu.

Nie spieszy się już. Głęboko oddycha, zrzuca niepokój, jak chustkę, która ciśnie jej barki, szeroko otwiera drzwi i mówi spokojnie:

— Teraz już wiem: oto jestem znowu!

3. Rózga.

Stefka obraca rózgę między palcami, oskrobała ją gwoździem dokoła, z łatwością przegryza ostrymi zębami i odziera z niej korę. Potem idzie wzdłuż drogi, mówiąc do drzew:

— Wiecie, że dzisiaj moje wesele? Z pewnością! Kocha mnie! Czekam na niego!

Śmieje się do nich, pozdrawia na wsze strony, ćwicząc się do uroczystego obchodu.

W tem z poza drzew rozlega się głos i nakazuje: „Zdejmij kapelusz, Stefko!“

Waha się, spogląda po szumiących drzewach i szepce:

— Czy to ty — napewno?

— Tak, Stefko, zdejmij kapelusz.

Niedbale zrzuca kapelusz, tak jak liście zerwała z rózgi.

— Ściągnij kaftanik, Stefko!

Słucha, zdejmuje kaftanik, jak zdarła z rózgi najpiękniejsze listeczki.

— Zrzuć spódniczkę, Stefko!

Jedną ręką chce odwiązać tasiemki, w tem w drugiej widzi pręt nagi, bez kory — nagle przytomnieje, podnosi szybko kapelusz i kaftanik i ucieka daleko od nicponia, który tam, za drzewem, śmieje się i wcale nie myśli jej gonić.

Alkoholizm i choroby duchowe.

Statystyki rozmaitych krajów kulturalnych dostarczają nam obfity materjał cyfrowy, który rzuca jaskrawe światło na coraz bardziej potęgujący się wpływ nadużywania alkoholu na powstawanie chorób duchowych. Poniżej uwzględnimy statystyczny ten materjał dla Niemiec, Szwajcarji i Włoch. Zauważyć jednak winniśmy, że danych cyfrowych z tych krajów porównywać pomiędzy sobą nie można, gdyż zbierane one są nie według jednolitego sposobu.

W Niemczech*) w domach dla chorych i obłąkanych było umieszczonych osób z powodu:

	pijaństwa	obłędu opilczego
1877—1879	12,836	2556
1880—1882	13,346	3574
1883—1885	26,359	4605
1886—1888	34,767	4435
1889—1891	33,035	3809
1892—1894	35,736	4454
1895—1898	40,792	5250
1899—1901	65,433	7394

W okresie 25-letnim liczba osób, umieszczonych w szpitalach i domach dla obłąkanych, z powodu pijaństwa wzrosła pięciokrotnie, umieszczonych z powodu obłędu opilczego poskoczyła trzykrotnie. Tymczasem ludność w tym samym czasie powiększyła się tylko o jedną trzecią część.

O stosunkach w Szwajcarji informuje nas ostatnia publikacja związkowego biura statystycznego. W okresie pięcioletnim 1900—1904 umieszczono w Szwajcarji po raz pierwszy w 22 zakładach dla obłąkanych 5504 mężczyzn. Z tego w 1165 wypadkach (21,2 procent ogólnej cyfry) formą choroby było zatrucie alkoholem (obłęd opilczy). Pomiędzy kobietami odsetek zatrucia alkoholicznego wynosił tylko 3,8 proc. Przeszło piąta część wszystkich mężczyzn, jacy w okresie 5-letnim zostali umieszczeni w zakładach dla obłąkanych, zawdzięczają swoje choroby alkoholowi.

Biuro związkowe uwzględniło jeszcze, że na stwierdzeniu alkoholicznych chorób duchowych wpływ gorących napoi na powstawanie tych chorób nie ogranicza się. Dlatego też zbadano jeszcze, jaka przyczyna okolicznościowa spowodowała wybuch choroby. Dane te odnoszą się do 3126 mężczyzn i 2296 kobiet, przyczem okazało się, że w 1796 wypadkach (46,2 proc.) u mężczyzn i w 327 wypadkach (11,9 proc.) u kobiet alkoholizm był właśnie taką przyczyną okolicznościową.

Dalsza współzależność pomiędzy alkoholizmem a chorobami duchowemi wykazuje się, jeżeli weźmiemy pod uwagę, w jakim stopniu chorzy duchowo byli dziedzicznie zalkoholizowani. Z pośród 5504 mężczyzn było 1748, z pośród 4868 kobiet 1170 dzieci rodziców-alkoholików.

Pomiędzy epileptykami było według sprawozdań lekarzy szwajcarskich zakładów dla epileptyków w ostatnich dziesięciu latach do 30 proc. osób, pochodzących od rodziców-alkoholików.

Według dalszych danych, zebranych przez tow. Ottona Langa, sędziego w Zurychu, naród swajcarski wydaje rocznie 250 mil. franków na napoje alkoholiczne, na chleb tylko 200, a na mleko tylko nawet 160 mil. franków.

We Włoszech według sprawozdań, przedstawionych na kongresie włoskich lekarzy w domach dla obłąkanych, 13,8 proc. mężczyzn, umieszczonych w tych zakładach, chorowało na obłęd opilczy, natomiast tylko 1,9 proc. wszystkich kobiet. W przecięciu wynosi to 8,8 proc. wszystkich chorych Razem z chorymi, którzy wprawdzie cierpią na inne choroby psychiczne, u których jednak nadużywanie alkoholu współdziałało przy powstawaniu choroby, mamy nawet 18,2 proc. czyli blisko piątą część wszystkich obłąkanych, którzy zawdzięczają we Włoszech swoją chorobę alkoholowi. W poszczególnych prowincjach odsetek ten waha się pomiędzy 40, 5 i 4,6 proc. Liczba chorych na obłęd opilczy w ostatnich latach powiększyła się. Recydywa nastąpiła w 33 proc. wypadków, (w pojedyńczych zakładach pomiędzy 54 i 24 proc.). W 19,1 proc. wypadków istniała bezpośrednia dziedziczność obłąkania alkoholicznego, w 25,1 proc. wypadków inne choroby psychiczne były dziedzicznemi. Przy postępowym paraliżu, przyczyną jest — jak wiadomo — syfilis, było 48 proc. mężczyzn i 38,4 proc. kobiet alkoholikami.

Dla nieuprzedzonego badacza jasnem jednak jest, że przyczyn panoszącego się dziś alkoholizmu szukać należy w stosunkach społecznych. Ciekawem jest w tym względzie doniesienie, jakie uczynił w jednej ze sekcji rosyjskiego stowarzyszenia techników znany rosyjski polityk socjalny Prokopowicz. Na mocy wywiadów, dokonanych wśród członków związków zawodowych, klubów robotniczych i kooperatyw, dało się stwierdzić, jaka ścisła zależność istnieje pomiędzy stosunkami mieszkaniowymi a wydatkami robotników na napoje alkoholiczne. Znaczny odsetek robotników petersburskich wynajmuje jedynie miejsce do spania. Otóż wśród takich robotników wydatki na alkohol stanowią niesłychanie wielką część ogólnych rocznych wydatków. Wydają oni bowiem 20 proc. swoich dochodów na wódkę i karty. Im większem natomiast jest mieszkanie tem mniejsze stają się wydatki na alkohol.

*) Patrz: „Das deutsche Reich in gesundheitlicher und demographischer Beziehung", Festschrift für den XIV Internationalen Kongress für Hygiene".

Szkice astronomiczne.

Pierścień Saturna.

(Ciąg dalszy.)

V.

Jak widzieliśmy dotąd, teorja budowy pierścieni Saturna z cząstek rozdzielonych w tem głównie poparcie swe miała, że obręcz jednolita, stała lub ciekła, nie mogłaby się w równowadze dokoła planety utrzymać. Do podobnegoż wszakże wniosku prowadzi wzgląd inny jeszcze, również z zasad mechaniki wypływający: że w tak bliskiem sąsiedztwie planety, w jakiem się pierścienie mieszczą, nie mógłby przetrwać w całości istotny, wielki jej księżyc. Aby to uzasadnić, odwołać nam się należy do przypływów i odpływów morskich.

Przypływy i odpływy, jak wiadomo powszechnie, dziełem są księżyca przeważnie; słońce ma w tym razie znaczenie podrzędne, z powodu bowiem znacznej swej odległości od ziemi jednakie prawie przyciąganie na różne jej okolice wywiera, gdy natomiast pobliski księżyc znacznie silniej pociąga zwrócone ku niemu wody oceanu, aniżeli wody w tejże chwili po przeciwległej stronie ziemi przypadające, a ta właśnie różnica fale przypływu i odpływu powoduje. Podobnież wszakże, jak księżyc na ziemię, oddziaływa też ziemia na księżyc, dla większej swej masy znacznie nawet silniej, a w czasach, gdy zakrzepły i zamarły teraz nasz towarzysz pokryty był wodą, albo raczej, gdy jeszcze ognisto płynną bryłę tworzył, na powierzchni jego podnosiły się potężne i burzliwe fale przypływu. Ponieważ zaś księżyc w ten sposób dokoła swej osi wiruje, że ku ziemi wiecznie jednę i tęż samą swą stronę zwraca, fala przypływu utrzymywała się na nim nieruchomo, utrwalała się i utworzyła wydłużenie, nadała równikowi jego postać eliptyczną. Objawy te nie naszego tylko tyczą się księżyca, w ten sam sposób wirują niewątpliwie i księżyce inne, jeżeli dostatecznie są do planet swych zbliżone, podobnemuż tedy przeinaczeniu swej postaci ulegać muszą; w miarę zaś, jak księżyc coraz bliżej planety przypada, wydłużenie jego wzrasta w szybkim bardzo stosunku, aż wreszcie następuje kres, gdy księżyc ulega doszczętnie przemożnemu działaniu niweczącej go planety, zostaje rozerwany na strzępy i rozpada się na okruchy. Dopiero, gdy bryły są tak drobne, że raczej głazami, aniżeli satelitami nazwane być mogą, spójność ich oprzeć się może szarpiącym siłom planety.

Granica krytyczna, której księżyc pod grozą zagłady przekroczyć nie może, przypada w każdym razie bardzo blisko planety, według obliczeń Edwarda Roche, w oddaleniu zaledwie dwu lub trzech jej promieni od jej środka; drobne różnice zależą od stosunku, jaki zachodzi między gęstością planety i księżyca. Jeżeli są to bryły gęstości jednakiej, księżyc nie mógłby już krążyć bezpiecznie w ob-

rębie koła, zatoczonego promieniem 2.44 razy większym od promienia planety; gdy księżyc ma gęstość mniejszą, koło to nieco się rozsuwa. Nasz księżyc posiada gęstość słabszą, aniżeli ziemia, w stosunku 5:8, a granica krytyczna rozciąga się dla niego w oddaleniu 2.86 promienia ziemskiego; gdyby więc przesunięty został na odległość 17,600 kilometrów od środka ziemi, musiałby się w gruzy rozsypać. Pozostaje wszakże w odległości bez mała 400,000 kilometrów, jest więc pod tym względem dobrze zabezpieczony.

W całym układzie słonecznym dwa tylko księżyce przebywają w takim obszarze niebezpieczeństwa, a mianowicie Pobos, drobniutki księżyc Marsa, i niedawno odkryty piąty czyli najbliższy księżyc Jowisza, odległości ich bowiem od środków planet nie dochodzą trzykrotnej długości promieni tych planet. Nie znamy wszakże ich gęstości, a tem samem obliczyć nie możemy dokładnie, gdzie kończy się możność ich istnienia. Jeżeli pokolenia przyszłe widzieć ich już nie będą, wniosą stąd, że księżyce te wtrącone zostały pod wpływem pewnych zawikłań w zakres koła fatalnego, gdzie kres bytu swego znalazły.

To wszakże stać się już mogło w układzie Saturna. Odległość skrajnego brzegu pierścienia przenosi zaledwie 2.2 razy długość promienia planety, pierścień więc przypada całkowicie w obrębie niebezpieczeństwa; jeżeli znajdował się tam księżyc, rozpaść się musiał na okruchy, z których się pierścienie wytworzyły. W każdym razie układ Saturna przedstawia w świecie słonecznym przykład jedyny, gdzie satelity krążą tak blisko planety, że materja istnieć tam może jedynie w stanie rozproszenia. I ta więc teorja, jak widzimy, prowadzi do wniosku, że pierścienie składają się z odłamków, części rozproszonych.

Badanie swoje ogłosił Roche w r. 1848, na dziesięć lat zatem przed Maxwellem; nie zwróciły wszakże wtedy uwagi i przeszły niepostrzeżone. Później dopiero oceniono doniosłe ich dla fizyki kosmicznej znaczenie.

VI.

Teorja każda, chociażby dobrze ugruntowana i dokładnie rozwinięta, zyskuje potwierdzenie wtedy dopiero, gdy wnioski z niej wysnute okazują się zgodne z dowodami widocznymi, z doświadczeniem i obserwacją.

Teorji pierścieni Saturna dowodów takich brakło, najpotężniejsze bowiem nawet teleskopy nie mogły jednolitego ich pasma na części składowe rozwiązać. Możemy wszakże żądania nasze w odmienny sposób sformułować. Gdybyśmy wykazać mogli, że każda część stałego na pozór pierścienia obiega drogę swą z prędkością różną, zależną od odległości, w jakiej od środka planety przypada, byłoby to świadectwo wyraźne, że pierścień składa się z cząstek oddzielnych, z brył rozproszonych, w całość spójną między sobą nie związanych. Pożądane to świadectwo posiadamy już obecnie; złożyć je zdołał spektroskop, czyli przyrząd służący do rozpatrywania widm ciał świecących, a któremu astronomja tyle już wielkich usług zawdzięcza. Aby jednak rozumieć, w jaki sposób widmo ciała świecącego ruch jego ujawnić nam może, zboczyć musimy do analogji, jaka zachodzi między objawami światła i głosu.

Światło, podobnie jak głos, jest objawem drgania. Jak struna brzmiąca pozostaje w ciągłem drganiu, które się nawet dostrzec daje, tak też cząstki ciała świecącego ulegają żywemu niesłychanie ruchowi, dla nas wprawdzie niewidzialnemu, co się wszakże dostatecznie tem po prostu tłomaczy, że ani drobnych tych cząstek, ani odstępów między niemi nie widzimy. Dopóki drgania struny są bardzo powolne, nie sprawiają wrażenia głosu; przy 30 drganiach na sekundę słyszymy ton nader niski, który się podwyższa w miarę, jak szybkość drgań wzrasta; przy 4000 drgań następuje kres tonów używanych w muzyce, a przy 40,000 drgań na sekundę przestajemy je słyszeć. Jest to granica drgań głosowych, a wysokość tonu jedynie od szybkości ich zależy.

Podobnież zachowują się i ciała świecące. Cząstki wszystkich ciał pozostają w ruchu niewypowiedzianie żywym, wykonywując w ciągu sekundy całe tryljony drgań. Dopóki liczba ta nie przechodzi 200, 300, 400 tryljonów drgań, ciało nie świeci, ruch ten objawia się wszakże wysyłaniem promieni ciepła; gdy szybkość wzrasta i dochodzi 430 tryljonów drgań na sekundę, ciało zaczyna świecić barwą czerwoną, a w miarę, jak czystość drgań rośnie dalej jeszcze, od promieni czerwonych przybywają żółte, zielone, niebieskie, przy 800 tryljonach fjoletowe; tu następuje kres promieni widzialnych, a szybsze jeszcze drgania objawiają istnienie swe działaniami jedynie chemicznemi. Podobnież przeto, jak ton, tak też i barwa podwyższa się w miarę wzrostu szybkości drgań; wysokość, powiedzieć można, jest barwą dźwięku, tak samo, jak barwę nazwać można wysokością światła, rozumiejąc tę wysokość w kierunku od czerwieni do fjoletu.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości

Hodowla zwierząt z kosztownemi futrami. Na północy Rosji w pobliżu wsi Szyrsza, w powiecie archangielskim, powstaje niezwykłe przedsiębiorstwo, zakładane kapitałem niemieckim.

Przedstawiciel spółki poddany niemiecki Rożenow, z zawodu leśnik, przez czas długi szukał miejsca, gdzieby można prowadzić racjonalną hodowlę zwierząt, których futra mają największy zbyt na jarmarku lipskim. P. Rozenowowi bardzo się podobała miejscowość w pobliżu Rzyrszy i jeszcze w roku zeszłym poczynił starania, aby mu tę miejscowość wydzierżawiono.

Rozenowi wydzierżawiono na 24 lat 503 dziesięcin gruntu rządowego, za opłatą po 25 kop. od dziesięciny. Wydzierwiając grunta te na założenie na nich zwierzyńca, główny zarząd rolnictwa postawił przedsiębiorcy warunek, aby corocznie składał dokładne i wyczerpujące sprawozdanie o stanie zwierzóstanu i pozwalał na zwiedzenie przedsiębiorstwa urzędnikom głównego zarządu rolnictwa i osobom prywatnym, interesującym się hodowlą.

Przedsiębiorczy dzierżawca zajął się już czynnościami przygotowawczemi, urządził niewielkie parki dla lisów i kun, zbudował dom dla służby i przygotował materjały dla ogrodzenia parku naokoło. Na urządzenie przedsiębiorstwa potrzeba będzie 130,000 rubli. Prowadzona będzie hodowla wydry kamczackiej, lisów czarnych, soboli, kun itd.

* * *

Scinanie drzew za pomocą elektryczności zaczęto stosować z dobrymi wynikami w Ameryce. Próbowano tam zrazu ścinać drzewa przy pomocy piły, poruszanej siłą pary, lecz motor ten był za ciężki i łatwo mógł spowodować pożar. Spróbowano więc przecinać drzewa drutem platynowym, rozżarzonym do białości elektrycznością, a próby te dały tak dobre wyniki, że nowy ten sposób ścinania drzew szybko się rozpowszechnia. Potrzebną do tego maszynę dynamo ustawia się w miejscu, gdzie nie grozi niebezpieczeństwo pożaru, prąd zaś sprowadza się według potrzeby przewodami. Aparaty te są o wiele lżejsze i mniej skomplikowane od pił parowych, a przytem elektryczność funkcjonuje tak doskonale i szybko, że ścinanie drzew tym sposobem pociąga znaczne zmniejszenie się kosztów wyrębu.

* * *

Ogólna liczba polaków. Z pracy ś. p. Witolda Załęskiego pt. „Ze statystyki porównawczej Królestwa Polskiego" podajemy parę cyfr, dotyczących ogólnej ilości polaków — według istniejących najnowszych obliczeń.

W Austrji (w roku 1900) było polaków 4,259,152, w Prusiech (r. 1905) 3,646,446, w Rosji (r. 1897) 7,931,407 — czyli, nie uwzględniając przyrostu naturalnego od lat powyższych, tworzyłoby to w sumie powyżej 15 miljonów 800 tysięcy.

Z emigracji polskiej — naczelne miejsce zajmują przebywający w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Tu w roku 1900 naliczono 1,071,306 polaków. Oczywiście dziś już ta liczba nie jest ścisłą, gdyż od tego czasu przyrost emigracji polskiej był znaczny.

* * *

Ruch młodo-egipski. W lecie w Genewie odbędzie się II kongres młodo-egipcjan. — W wezwaniu, które z tego powodu komitet rozesłał, czytamy: „Naszym celem jest

niepodległość Egiptu i zaprowadzenie konstytucji". Program kongresu ma na celu zdemaskowanie przed całym światem egoistycznych dążeń Anglji do zawładnięcia Doliną Nilu, jak również zbadanie wszystkich spraw dotyczących Egiptu i egipskiego Sudanu. Komitet gorąco wzywa całą młodzież egipską, żeby się połączyła dla tego celu. Wzywa on również do tego nietylko patrjotów egipcjan, ale nawet anglików, którzy współczują egipskiej młodzieży w jej dążeniu do niepodległości.

* * *

Płaszcz proroka. W ubiegłym tygodniu, kiedy cała Europa mówiła tylko o Abdul Hamidzie, wytworzyła się w prasie mnóstwo anegdot i legiend o „płaszczu proroka". Zupełnie serjo donoszono, że na krótki czas przed detronizacją Abdul Hamid biegał po swym pałacu ubrany w płaszcz proroka, a to w celu uchronienia się przed mordercami. — W istocie jednak płaszcza tego nie mógłby sułtan ubrać na siebie nawet wówczas, gdyby mu wolno było wydobyć tę relikwję z oszklonej skrzyni w Starym Seraju i zarzucić ją sobie na plecy. „Zielony płaszcz proroka" przedewszystkiem nie jest wcale zielony. Być może, że był takim kiedyś, tj. przed 1200 laty. Dziś on jest czarny z leciutkim zielonkowatym odcieniem. Nie jest zresztą takze płaszczem, ale suknią z czarnego włosienia wielbłądziego, którą prorok ofiarował w darze poecie Kaab Ben Soheirowi w dziewiątym roku po swej ucieczce z Mekki. Kalif Mowia kupił tę suknię od potomków Kaaba na wagę złota. Kolejno, z posiadania Omajadów przeszła w posiadanie Abbasydów, a następnie Fatymidów w Egipcie.

Po zdobyciu tego kraju przez Selima I-go, uwiózł on ze sobą jako łup suknię, jakoteż chorągiew proroka. Tak chorągiew, jak i suknia, okryte są 40 jedwabnymi pokrowcami, które zdejmuje się raz na rok tylko, w 15 dniu „ramazanu" w obecności sułtana. Wraz z innemi relikwjami proroka, jak zieloną chorągwią, szablą, łukiem, z mieczem i dywanikiem kalifa Abubekra i mieczami drugiego i trzeciego kalifa Omara i Osmana, przechowuje się ów święty płaszcz w „Chirkai szerife Odassi", ij. w „sali szlachetnej sukni". Straż przy drzwiach tej sali pełni 40 kamerdynerów i 40 sułtańskich gwardzistów przybocznych. „Płaszcz proroka" raz na rok całuje sułtan. Po złożeniu pocałunku Silachdor Aga obciera muślinową chusteczką pocałowane miejsce poczem pocałowaną część płaszcza płucze się w wielkiem srebrnem naczyniu. Następnie Kislar Agassi, tj. naczelnik czarnych eunuchów, zlewa wodę z tego naczynia do flaszeczek i zapieczętowuje je. Każdy dworski i państwowy dostojnik, który brał udział w tej ceremonji, otrzymuje następnie w darze fiaszeczkę tej wody. Również nieobecni książęta i księżniczki otrzymują podobnież flakoniki, roznoszący zaś je ludzie otrzymują sute napiwki. Wodzie tej przypisują cudowne skutki lecznicze. Między wojska, które w czasie ceremonji adoracji relikwij proroka pełnią służbę w Starym Seraju, rozdzielają następnie papierosy i ciasta.

* * *

Ludność miast galicyjskich. Wedle obliczenia austr. komisji statystycznej we Wiedniu, dokonanego z dniem 1 kwietnia br. liczą obecnie mieszkańców: Lwów 185,546, Kraków 106,961, Przemyśl 54,594, Kołomyja 36,715, Stanisławów 36 078, Tarnów 34,759, Tarnopol 42,849, Stryj 28,722, Jarosław 26,131, Rzeszów 23,111, Podgórze 22,527, Nowy Sącz 22,455, Drohobycz 20,714, Sambor 19,418, Brody 17,361, Złoczów 12,741, Borysław 10,903.

* * *

Dziesięć morderstw na sumieniu. Z Paryża donoszą: Przed sądem karnym w Bordeaux rozegrała się niedawno sensacyjna scena. Niejaki Grau, indywiduum karane już wielokrotnie, odpowiada przed sądem za gwałt publiczny i dostaje rok ciężkiego więzienia. Grau podczas całej rozprawy przysięga się z ręką na sercu, że jest niewinny. Kiedy jednak ogłoszono mu wyrok, naraz, jakby go ruszyło sumienie, staje przed sędziami i woła zmienionym głosem:

— Wszystko, co mi zarzucacie, to prawda... dość mi już tego psiego życia! Żądam gilotyny! Zasłużyłem na nią aż nadto, gdyż mam na sumieniu dziesięć morderstw.

Zbrodniarz opowiedział następnie ze wszystkimi szczegółami historję spełnionych morderstw i zakończył:

— Badaj pan tylko, panie prokuratorze, a zobaczysz, że wszystko, co tu powiedziałem, to rzetelna prawda!

Trzeba sobie wyobrazić, z jakiem zdumieniem słuchali sędziowe tej straszliwej spowiedzi!

Natychmiast po zeznaniach Graua wdrożono śledztwo.

Cuda w Lourdes przed sądem.

Przed sądem przysięgłych w Metz odbyła się w ubiegłym tygodniu ciekawa rozprawa, która wyjaśniła cuda z Lourdes, rozgłaszane tak krzykliwie przez klerykalny światek. Do najgłośniejszych cudów należało w ostatnich czasach cudowoe wyleczenie z wilka niejakiej pani Rouchel, której przed pielgrzymką do Lourdes, dr. Ernst, będący także przewodniczącym Związku centrowego w Lotaryngji, wystawił świadectwo, że „p. R. cierpi od dwunastu lat na wilka twarzy, nosa i górnej wargi. Wszystkie dotychczasowe środki były bezskuteczne; choroba zdaje się być nieuleczalną".

Gdy pani Rouchel powróciła z Lourd, stał się cud: nieuleczalny wilk był wyleczony, rany zabliźniły się. Dr. Ernst skonstatował na piśmie to cudowne wyleczenie, opisując je szczegółowo.

Pismo to skłoniło organizację lekarzy w Metz, do której należy także dr. Ernst, do zajęcia się cudownem wyleczeniem pani Rouchel. Zbadano więc pacjentkę i wydano jednogłośnie następujące orzeczenie: 1) Wyleczenie nie nastąpiło. 2) Polepszenie, które się okazało, dokonać się mogło w sposób natujalny, niekoniecznie cudowny.

Oczywiście, orzeczenie to wywołało w obozie klerykalnym ogromne oburzenie, zwłaszcza wśród tych, którzy ciągną olbrzymie zyski z cudów w Lourdes. Spór przeniósł się na szpalty pism. Wreszcie 15 marca 1908 organizacja lekarzy zebrała się ponownie na posiedzenie w tej sprawie przy udziale dra Ernsta i innych klerykalnych lekarzy. Zbadano i stwierdzono ponownie, że pani Rouchel oprócz wilka cierpi także na zastarzały syfilis, o czem dotąd nie mówiono. Jeden z obecnych na posiedzeniu lekarzy, dr. Müller, dowodził, że rany, mające pokład syfilityczny, można w krótkim czasie wyleczyć w drodze naturalnej, bez uciekania się do pomocy cudów, co potwierdził także dr. Ernst.

Na posiedzeniu organizacji lekarzy w Metz powzięto po raz wtóry uchwałę, w której stwierdzono, że wilk nie został wyleczony i że wygojenie dwóch fistół w przeciągu 12 dni, nie jest czemś nadzwyczajnem. Nadto twierdził dr. Müller, że jeżeli dr. Ernst przedtem stwierdził u pacjentki syfilis, to w swem świadectwie lekarskiem chorobę tą świadomie i rozmyślnie przemilczał, na co się również zgodzono.

Dopiero po trzech latach uczuł się dr. Ernst dotknięty tem twierdzeniem gremjum lekarzy i wniosł przeciw nim skargę prywatną, na skutek której odbyła się w ubiegłym tygodniu rozprawa. Przy wywoływaniu świadków brakło pani Rouchel, najważniejszej osoby w procesie! Sąd zarządził sprowadzenie jej przez policję.

Przewodniczący trybunału starał się sprawę załatwić ugodowo. Część lekarzy skłaniała się ku temu i złożyła odpowiednie oświadczenie, dr. Müller zaś i pięciu innych lekarzy żądali przeprowadzenia rozprawy. Tymczasem zjawiła się pani Rouchel. Kobieta, o której cudownem wyleczeniu mówił cały świat klerykalny, przedstawiała głębokie współczucie wzbudzający widok. Twarz zeszpecona strasznemi chorobami do niepoznania. Kto ją widział, ten pytał zdumiony, jak klerykali mogą rozgłaszać cudowne „wyleczenie" tej nieszczęśliwej istoty. Pani Rouchel miała być badana przez grono rzeczoznawców-lekarzy, oświadczyła jednak stanowczo, że nie da się badać. Ponieważ sąd nie może jej do tego zmusić, wskutek tego odpadła ta część dowodu.

Mimo to rozprawa zakończyła się uwolnieniem oskarżonych lekarzy. Klerykali ponieśli dotkliwą porażkę.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 21. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 22 maja 1909.

Pójdźcie do nas!

Do nas, tu do nas! Tu w nasze szeregi,
Kto z utęsknieniem jaśniejszych dni czeka!
Bowiem świętymi są nasze zabiegi
O lepszą przyszłość, o prawa człowieka.

Och! u nas życie żwawszem tętnem bije,
Krew jakoś raźniej przepływa żyłami;
W naszych szeregach człek czuje, że żyje,
Wiara, nadzieja i miłość jest z nami.

My tu nie znamy, co mrok i ciemnota,
Bo słońce Prawdy w ciemnościach nam świeci,
Bo święty zapał i zbożna ochota
Płomienny ogień w sercach naszych nieci.

Z wiarą gorącą kroczymy do celu,
Nigdy zwątpienie serc nam nie ogarnie;
A jeśli trzeba stanąć do apelu,
Stajem odrazu wszyscy zgodnie, karnie,

Do nas więc, do nas! Wy, biedni tułacze,
Dla których życie stało się ciężarem!
Raz już porzućcie swe żale i płacze,
Pójdźcie do walki pod naszym sztandarem.

Chachar.

STEFAN ŻEROMSKI.

Zmierzch.

Między grube pnie kilku świerków, co sterczą samotnie na skraju poręby, plamiącej mnóstwem czarnych pniaków zgniło-zielony upłaz wzgórza, zsuwało się słonnce, pławiąc się w miedzianym blasku, podobnym do przejrzystego kurzu, nieruchomą warstwą nawisłego nad daleką widownią. Odblaski jego lśniły jeszcze na krawędziach chmur, wyzłacając je i zabarwiając szkarłatem, wrzynały się między fałdy szarych kłębów i szkliły na wodach.

W bruzdach ściernisk i podorywek jesiennych, na sapowatych niwkach i świeżych karczowiskach, gdzie stały smugi wody po niedawnej nawałnicy, mieniły się rude plamy, jak kawałki szyb przepalonych. Na szare, przyklepane skiby padał uciążliwy dla oczu, zwodniczy cień fjoletowy, piaszczyste wydmy żółkły — zielska na przykopach, krzaki na miedzach miały jakieś nieswoje, chwilowe barwy.

W głębokiej kotlinie, otoczonej ze wschodu, północy i południa podkową wzgórz, obdartych z lasu, płynęła struga, rozlewając się w zatoki, bagna, płanie i szyje, powstająca tam właśnie ze źródlisk zaskórnych. Dokoła wody, na torfiastym kożuchu rosły gąszcze trzcin, wysmukłe siły, tatarki i kępy niskiej rokiciny. Nieruchoma, czerwona woda świeciła się teraz z pod wielkich liści grzybienia i szorstkich wodorostów w postaci bezkształtnych plam blado-zielonych.

Nadleciały stadkiem cyranki, krążyły kilkakroć z wyciągniętemi szyjami, przerywając ciszę melodyjnym, dzwoniącym świstem skrzydeł, zataczały w powietrzu elipsy coraz mniejsze — wreszcie zapadły w trzciny, z łoskotem rozbijając wodę piersiami. Ucichł dudniący lot bekasów, głuche wołanie kurki wodnej, ustało dowcipne pogwizdywanie kulików, poznikały nawet szklarze i modre świtezianki, wiecznie trzepoczące siateczkowatemi skrzydłami dokoła badylów sitowia. Błądziły tylko jeszcze po świetlanej powierzchni głębin niestrudzone muchy wodne na swoich szczudlastych nogach, cienkich, jak włosy, a zaopatrzonych w kolosalne i nasycone tłuszczem stopy — i pracowało dwoje ludzi.

Błota należały do dworu. Dawniejszy młody dziedzic taplał się po nich z wyżłem za kaczkami i bekasami póty, póki wszystkich lasów nie wyciął, pól nie zostawił odłogiem i, wyleciawsze nagle z dziedzictwa, nie oparł się aż w Warszawie, gdzie teraz wodę sodową w budce sprzedaje.

Gdy nastał nowy, mądry dziedzic, biegał po polach z kijkiem i często nad błotami stawał.

Gmerał w bagnie rękami, dziury kopał, mierzył, wąchał — aż wreszcie wymyślił rzecz dziwną. Kazał karbowemu najmować dzień w dzień chłopów do kopania torfu, szlam na pola wywozić taczkami, na kupy składać, a dziury kopać precz, póki się nie wybierze miejsca na sadzawkę; wówczas groble fundować, dół na drugą sadzawkę wybierać niżej, aż ich się kilkanaście uzbiera; wtedy rowy rżnąć, wody napuszczać, mnichy wstawiać i ryby sadzić...

Do wywożenia torfu najął się zaraz Walek Gibała, bezrolny wyrobnik, na komornem siedzący w pobliskiej wiosce. Gibała u dawnego dziedzica służył za fornala, ale u nowego się nie utrzymał. Nowy dziedzic i nowy rządca po pierwsze ordynarję i pensję zaraz zmniejszyli, a powtóre szukali w każdej rzeczy złodziejstwa. U dawnego dziedzica każdy fornal pół garnca owsa swojej parze koni ujmował i niósł wieczorkiem do szynkarza Berlina za tytoń, za bibułkę, za kapkę gorzałki. Jak tylko nowy rządca nastał, zaraz ten interes zmiarkował, a że na Walka właśnie wina padła, w pysk mu dał i wygnał ze służby.

Odtąd Walek z babą siedział na komornem we wsi, bo służby znaleźć nie mógł: rządca wydał mu takie świadectwo, że niepodobna było zgłaszać się nawet gdziekolwiek do służby. We żniwa tu i owdzie po chłopach zarabiali oboje; ale zimą i na przednowku marli głód straszliwy, nieopisany. Ogromny, kościsty z żelaznymi mięśniami chłop wysechł jak wiór, zczerniał, zgarbił się, zesłabł. Baba — jak baba, u kumoszki się pożywi, grzybów, malin, poziomek nazbiera do dworu, albo do żyda zaniesie i choć na bułkę chleba zarobi, a chłop przy młocce bez jedzenia nie podoła. Gdy karbowy zapowiedział kopanie na łące, obojgu aż się oczy zaświeciły. Sam rządca trzydzieści kopiejek od wyrzucenia sążnia kubicznego obiecał.

Walek babę do kopania zajmował dzień dnia. Ona

taczki naładowuje, on po tarcicach, rzuconych przez bajora, wywozi szlam na pole. Robota pali im się w rękach. Mają dwoje wielkich i głębokich taczek, nim Walek puste przyciągnie, już drugie naładowane; — szlę na ramiona narzuca i pcha pod górę. Żelazne kółko skrzypi przeraźliwie; rzadkie, czarne, cieknące, przerośnięte korzonkami błoto pierzcha i flejtuchami pada na obnażone do kolan nogi chłopa, gdy taczki z deski na deskę przeskakują, szla wrzyna mu się w kark i ramiona, wyciskając na koszuli czarną pręgę cuchnącego potu, ręce mdleją w łokciach, nogi cierpną i drętwieją od zanurzania ich w szlamie — ale dwa kubiki na dużym dniu wybrane — to znaczy kawał grosza w kieszeni.

Mieli nadzieję, że pod koniec jesieni trzydzieści rubli odłożą, komorne zapłacą, beczkę kapusty zakupią, ziemniaków z pięć korcy, sukmanę, buty, zapasek ze dwie, szorc dla baby, płótna na koszule, że przebiedują do wisny, to młocką, to tkactwem u ludzi dorabiając.

Aż tu rządcy po trzydzieści kopiejek od kubika wydało się znienacka za wiele. Zwąchał, że nie każdy się złakomi od świtu do nocy w błocie gmerać, że im tam widać dobrze dojadło, kiedy bez namysłu do takiej roboty się kwapią; po dwadzieścia kopiejek, powiada, to dobrze, a nie, to nie.

Po chłopach w taki czas nie zarobi, dwór się swoimi ludźmi przy młockarniach i maszynach obywa — przebierać niema w czem. Walek po takiej zapowiedzi poszedł do karczmy i schlał się ze złości jak bydlę. Na drugi dzień babę wyprał i pojął ze sobą do roboty.

Od tego czasu — na małym dniu — te same dwa kubiki wyrzucają, od rannego brzasku do szczerej nocy nie ustępując w robocie.

I teraz oto z dala noc idzie: dalekie, jasno niebieskie lasy zczerniały i rozpływają się w pomroce szarej, na wodach blask przygasa, od stojących przed zorzą świerków padają niezmierne cienie, na szczytach wzgórz, po porębach, czerwienią się tylko gdzieniegdzie to pniaki, to kamienie. Od tych punktów świecących odbijają się małe i nikłe promyki, wpadając w głębokie pustki, jakie tworzy pośród przedmiotów ciemność niezupełna, wibrują w nich, łamią się, drżą przez drgnienie oka i gasną, gasną po kolei. Drzewa i krzewy tracą wypukłość, bryłowatość, kolor naturalny i tkwią w szarej przestrzeni tylko jako płaskie kształty o dziwacznych zarysach, czarne zupełnie.

W nizinie zsiada się już mrok gęsty i pociąga chłód nawskroś przejmujący człowieka. Pomroka idzie niewidzialnemi falami, pełznie po zboczach wzgórz, wciągając w siebie jałowe barwy ściernisk, wykrotów, osypisk, głazów.

Na spotkanie fal mroku wstają z bagien inne, białawe, przejrzyste, ledwo — ledwo widzialne, czołgają się smugami, kłębami okręcają się dokoła zarośli, dygocą i miętoszą ponad wód powierzchnią. Zimny powiew wilgoci mięsi je, tłucze po dnie doliny, rozciąga na płask, jak postaw zgrzebnego płótna.

— Mgła idzie... — szepce Walkowa. Jest to ta chwila zmierzchu, kiedy wszystkie kształty widoczne zdają się rozsypywać w proch i nicość, kiedy rozlewa się nad powierzchnią gruntu szara próżnia, zagląda w oczy i uciska serce jakaś nieznaną zgryzotą. Walkową strach ogarnia. Włosy jeżą jej się na głowie i mrowie przechodzi po skórze. Mgły idą, jak żywe ciała, podpełzają do niej chyłkiem, zabiegają z tyłu, cofają się, czają i znowu ławą suną coraz natarczywiej. Kładą na niej wreszcie wilgotne swe ręce, wsiąkają w ciało aż do kości, drapią w gardzieli i łechcą w piersiach. Wtedy przypomina jej się jej dziecko. Od południa go nie widziała: śpi samo jedno w zamkniętej izbie, w kolebce lipowej, zawieszonej u stragarza na brzozowych wiciach. Płacze tam pewno, zachłysta się, łka... Matka słyszy ten płacz przedziwny, żałosny, jak pisk kani na pustkowiu. Rozlega się on w jej uszach, nęka jakiejś jedno miejsce w mózgu i drażni w sercu. Przez cały dzień nie myślała o niem, bo twarda robota rozprasza wszelkie myśli, unicestwia je prawie i mąci, ale teraz strach wieczorny zniewala ją do skupienia się, zaczepiania myślami o tę kruszynę...

— Walek — mówi trwożliwie, gdy chłop taczki przyciągnął — polecę do chałupy, naskrobię ziemniaków?...

Gibała nie odpowiada, jakby nie dosłyszał, zabiera taczki i rusza, przysiadając, jak wór żyta na wadze dziesiętnej. Gdy powrócił, kobieta błagała znowu:

— Waluś, polecę?

— Ej... — mruknął od niechcenia.

Zna ona jego gniew, wie, jak on umie chwycić pod żebro, zebrać w garść skórę, trząsnąć raz, drugi, a potem cisnąć człowiekiem, jak kamieniem między szuwary. Wie, jak on potrafi zedrzeć jej szmatkę z głowy, omotać sobie pięść włosami i przewlec struchlała kobietę kawał drogi, albo w zapamiętałości wyrwać z błota rydel i ciąć przez łeb bez namysłu — zabije, czy nie zabije.

Ale nad bojaźnią kary góruje niecierpliwa troska, podniecająca aż do bólu. Chwilami baba zamierza uciec: tylko się na bałyku zsunąć w wąwozik, skoczyć przez strugę, a potem po roli, po zagonach, na przełaj. Schylając się i napełniając taczki, leci myślami, skacze jak łasica, wyczuwa już prawie ból, gdy boso biec będzie po ścierniach, zarosłych drobną tarniną i jeżynami... Te ostre kolki kłują nietylko jej nogi, ale przebijają serce. Dopada chaty, odmyka zasuwę drewnianym kluczem, bije jej na twarz ciepło i zaduch izby — spina się do kolebki... Zabije ją Walek, gdy przyjdzie do chaty, skatuje — a to i cóż: to tam już potem...

Skoro jednak Walek wynurzy się ze mgły, ogarnia ją lęk jego pięści. Znowu się modli pokornie, aczkolwiek wie, że jej ten zbój nie puści.

— A tam dziewucha może uświerkła...

Nie odpowiedział nic, zrzucił z ramienia szelkę od taczek, zbliżył się do żony i wskazał ruchem głowy palik, do którego muszą dziś dokopać. Potem ujął za rydel i raz za razem narzucać szlam na swoje taczki. Robił to zapamiętale, szybko, co tchu. Narzuciwszy pełne taczki, popchnął je, biegnąc cwałem i rzekł na odchodnem:

— Pchaj i ty swoje, próżniaku...

Pojęła to łaskawe ustępstwo na rzecz jej miłości, tę grubijańską dobroć, te twardą i surową jakby pieszczotę, bo jeśli narzucają ziemię oboje, robotę skończyć można daleko prędzej. Naśladowała teraz szybkie i skwapliwe jego ruchy, jak małpa, narzucała błoto cztery razy szybciej — już nie mięśniami, nie z chłopską, rozważną ekonomją wysiłku, ale mocą nerwów. W piersiach jej rzężało, pod powiekami migały jaskrawe kolory, mdliło w piersiach i leciały z oczu łzy gorzkie, grube, łzy bezmyślnego bólu — w ten gnój zimny i cuchnący. Co wbije w ziemię rydel, to spojrzy, czy do palika daleko: gdy ładunek gotowy, chwyta taczki i biegnie „w dyrdy“, naśladując chłopa.

Mgły wspięły się wysoko, zawlekły szuwary i nad szczytem olszyn murem nieruchomym stoją. Znać w nich drzewa, jak plamy nieokreślonej barwy, dziwacznie wielkich kształtów, a nędzarzy, biegających w przodek rozdołu, jak jakieś potwornie ogromne widma.

Głowy ich opadają na piersi, ręce wykonywają ruchy jednostajne, kadłuby zginają się ku ziemi...

Kółka taczek turkoczą i skwierczą, fale podobne do rozcieńczonego wodą mleka, kołyszą się między wzgórzami czarnemi.

W głębinie niebios roznieciła się gwiazda wieczorna, płonie, drżąc i ciska wprzodek mroków ubogie swoje światełko.

Szkice astronomiczne.

Pierścień Saturna.

(Dokończenie.)

Wyobraźmy sobie teraz, że struna brzmiąca nie pozostaje w spoczynku, ale ku nam się zbliża. Drgania jej następują w jednakich odstępach czasu, odległość wszakże między niemi zmniejsza się ustawicznie, dobiegają tedy częściej do ucha naszego, a stąd w ciągu sekundy uderza je większa liczba drgań i jakkolwiek struna wydaje ton statecznie jednaki, słyszymy ton coraz wyższy. Ton więc ciała brzmiącego podwyższa się, gdy ciało to ku nam się zbliża, a dla tej samej przyczyny ton ciała oddalającego się ulega zniżeniu. Toż samo zjawisko zachodzi oczywiście i wtedy, gdy ciało to pozostaje w spoczynku, a słuchacz do niego się zbliża, lub od niego oddala.

Na zasadę tę zwrócił po raz pierwszy uwagę Doppler,

a dla potwierdzenia jej słuszności przeprowadzono szereg doświadczeń na kolei żelaznej między Utrechtem a Maarsen. Obserwator nieruchomo na drodze stojący słyszał ton trąby sygnałowej, umieszczonej na lokomotywie przebiegającego pociągu, podczas gdy trębacz obok toru drogi żelaznej ton jednostajny wygrywał. Pomimo szumu szybko biegnącej lokomotywy można było zauważyć podwyższanie się tonu, gdy odległość między słuchaczem a źródłem głosu malała; gdy natomiast odległość wzrastała, następowało zniżenie tonu.

Szybkość głosu w zwykłej temperaturze czyni 340 mtr. na sekundę; przyjmijmy, że pociąg przebiega w tym czasie 14 metrów, czyli posuwa się z szybkością, która stanowi $^1/_{24}$ części szybkości głosu. Gdy przeto źródło dźwięku zbliża się ku słuchaczowi, wywołane przez nie drgania dobiegają do ucha o $^1/_{24}$ częściej, na każde 24 drgań przybywa jedno, a częstość drgań wzrasta w stosunku 24:25; przestanek czyli interwal taki nazywa muzyko półtonem małym — ton zatem powyższa się tu o półton mały. Gdy znowu pociąg, unoszący źródło głosu, od słuchacza się oddala z tąż samą szybkością, częstość drgań zmniejsza się w tymże samym stosunku, a ton zniża się o półton mały. W warunkach tych, gdy maszynista na lokomotywie słyszy ton „c", dróżnik słyszy ton „cis" przy zbliżaniu się, ton „ces" przy oddaleniu się pociąga.

Gdy lokomotywa ze świstem obok nas przebiega, zauważyć możemy łatwo wyraźne obniżenie tonu w chwili, gdy zbliżający się pociąg oddalać się zaczyna. Spadek wysokości tonu jest znaczniejszy, jeżeli sami znajdujemy się na pociągu, gdy lokomotywa pociągu biegnącego w stronę przeciwną świst wydaje. Przy szybkości pociągów, jaką wyżej obraliśmy za przykład, przeskok wysokości wynosiłby ton cały.

Według tego, co powiedzieliśmy o analogji objawów światła i głosu, barwy i wysokości, wnieść możemy bezpośrednio, że zasada Dopplera da się słowo w słowo odnieść do ciał świecących. Gdy więc ciało świecące zbliża się ku nam z dostateczną szybkością, barwy jego podwyższaja się, to jest przesuwają w stronę fjoletu; gdy się od nas oddala, barwy zniżają się, to jest, przechodzą w stronę czerwieni.

W istocie rzeczy, bezpośrednia obserwacja barw nie zdołałaby nam zmian takich okazać; chociażby bowiem czerwień zamieniła się na barwę żółtą, to znów promienie ciemne, cieplikowe, szybciej oko uderzając, stałyby się widoczne, wywołałyby w oku naszem wrażenie czerwieni; podobnież na drugim końcu widma barwa fjoletowa stałaby się niewidzialną, ale promienie błękitne spowodowałyby wrażenie fioletowych — w ogólnej tedy barwie ciała nie ujawniłaby się żadna zgoła różnica. Ale tu w pomoc przychodzą nam linje ciemne, przerzynające widmo barwne ciał niebieskich. Gdy gwiazda ku nam się zbliża, którakolwiek linja jej widma, jak w szczególności linja D, znajdująca się w barwie żółtej, z powodu zmiany odcienia tej barwy, wyda się nam przesuniętą w stronę fioletu; gdy gwiazda się oddala, linja ta znajdzie się przeniesiona w stronę czerwieni.

Jakkolwiek prostą w zasadzie jest ta metoda, w przeprowadzeniu przedstawia znaczne trudności już dla tego, że szybkość własna gwiazd nader jest drobna w porównaniu z szybkością światła, podwyższanie się zatem barw, czyli raczej przesuwanie się linji ciemnych, jest bardzo nieznaczne i da się ocenić jedynie przy udziale spektroskopów potężnie rozszczepiających, dających widmo bardzo długie, i przy pomocy nader dokładnych przyrządów mierniczych, pozwalających oceniać drobne ułamki milimetra. Zdołano wszakże drogą tą rozpoznać i zmierzyć ruchy gwiazd, które inaczej pozostałyby zgoła niedostrzeżone.

Podobnie, jak inne ciała niebieskie, wiruje też słońce dokoła swej osi, a gdy na tarczę jego spoglądamy, brzeg jeden od nas usuwa, drugi ku nam wykręca; oba więc brzegi przedstawiają pewną różnicę w rozkładzie linji czarnych widma, a chociaż przesunięcie to niesłychanie jest drobne, dało się jednak wymierzyć.

Tęż samą więc metodę zastosował do obserwacji pierścień Saturna Keeler, dyrektor słynnego obserwatorjum Licka w Kalifornji. Pierścienie oświetlone są promieniami słonecznymi, a jeżeli różne ich części z niejednakową biegną prędkością, to w zabarwieniach ich, a raczej w ich widmach, zachodzić muszą drobne różnice; rzeczywiście też Keeler, rozpatrując promienie od różnych okolic pierścieni odbite, poznał, że linje czarne w widmach ich rozmaicie są przesunięte.

Dokładne nadto pomiary zmian zachodzących w położeniu linji wykazały, że każda część pierścienia porusza się z prędkością taką, jakaby jej przypadała gdyby samodzielnym była księżycem Saturna. Potwierdza to więc w sposób wyraźny, że pierścień składa się z części rozdzielonych, rozrzuconych, w łączną całość niezwiązanych.

Mógłby nas wszakże spotkać zarzut, że dowód ten nie świadczy jeszcze stanowczo o cząsteczkowej, meteorycznej budowie pierścienia, różne bowiem okolice jego tak samo okazywałyby prędkość rozmaitą, jeżeli się składa z szeregu pierścieni wązkich, z obręczy współśrodkowych, między sobą odosobnionych i wirujących oddzielnie. Aby i tę ostatnią tedy wątpliwość usunąć, użył Seeliger, dyrektor obserwatorjum w Monachjum, innej metody optycznej. Rozebrał teoretycznie objawy, jakie pod względem oświetlenia swego przez słońce przedstawiałby pierścień z pyłu, z okruchów utworzony, a pomiary fotometryczne dały mu zgodność tak uderzającą faktów dostrzeżonych z wnioskami teorji, że widzi w tem świadectwo najpewniejsze składu pierścienia z części rozproszonych. Kwestja więc pierścieni Saturna wydaje się obecnie zupełnie załatwioną.

Zbyt długo zatrzymaliśmy uwagę czytelnika nad drobnym urywkiem mechaniki niebia, ale dało nam to sposobność przytoczenia kilku z tych metod nowych, które starą astronomję świeżem tchnieniem ożywiły i dały jej dostęp do dziedzin, dawniej dla wzroku naszego niedostępnych.

Stanisław Kramsztyk.

Rozmaitości

Ile gwiazd na niebie? W końcu ubiegłego miesiąca w paryskiem obserwatorjum pod przewodnictwem jego dyrektora Ballaud obradowała międzynarodowa komisja, zajmująca się sporządzaniem dokładnej mapy nieba.

Na zjeździe astronomów w r. 1887 Manchy, ówczesny dyrektor obserwatorjum paryskiego, przedłożył swój projekt odfotografowania nieba, oraz poczynione już próby w tym względzie. Jego fotografje, odbite na płycie bardzo czułej, uchwyciły gwiazdy i mgławice. Manchy proponował utworzenie międzynarodowej komisji uczonych, celem fotografowania gwiazd aż do 14 wielkości włącznie. Propozycja została przyjęta i przystąpiono natychmiast do jej wykonania. Chodziło ni mniej, ni więcej, jak o uchwycenie aparatami 30 miljonów gwiazd. Podzielono firmament na 18 stref, każdą z nich powierzono jednemu obserwatorjum. W chwili obecnej na mapie jest już oznaczonych 10 mil. gwiazd. Astronomowie spodziewają się, że za 2 lata olbrzymia praca dobiegnie kresu.

* * *

Zdjęcie fotograficzne na dnie morza. Zdjęcia fotograficzne różnorodnie i malowniczo nieraz ukształtowanego dna morskiego doprowadzono w ostatnich czasach niemal do doskonałości. Do tej pory zdejmowano obrazy życia podwodnego, fotografując je z powierzchni morza, przy pomocy specjalnnych aparatów świetlnych. Obecnie znany amerykański uczony i profesor zoologji na uniwersytecie w Michigan, Reighard, tak udoskonalił zastosowywanie fotografji dla celów naukowych, że teraz można już robić dokładne zdjęcie, nie — jak dawniej — z powierzchni morza, lecz wśród niedostępnych nawet dotychczas głębin oceanu. Co do swego nowego sposobu fotografowania zwierząt morskich w ich naturalnem środowisku, podaje on bliższe szczegóły w naukowem piśmie waszyngtońskiem „Bulletin of the bureau of fisheries". Postępowanie jest bardzo proste. Polega ono na tem, że na dnie morskiem ustawia się aparat fotograficzny, a zdjęć dokonywa fotograf w ubraniu, używanem powszechnie przez nurków. Trudności przedstawia tylko ruch wody, gdyż każde wstrząśnienie, każde zmącenie wody odbija się dotkliwie na kliszy. Także oświetlenie fotografowanej przestrzeni wymaga wiele przezorności i wprawy. Wynalazek Reigharda przedstawia dla badań świata podmorskiego niesłychaną doniosłość.

Socjalistyczne nazwy ulic. Rada miejska w Czerniowcach uchwaliła nadać dwom ulicom nazwę Józefa Scheua, kompozytora socjalistycznego i autora „Pieśni pracy", tudzież Jerzego Herwegha, poety rewolucyjnego z roku 1848.

* * *

Wiara w czarownice w XX. wieku. Z Budapesztu donoszą: Przed trybunałem sądowym w Solymor (na Węgrzech) stawał onegdaj stelmach Franciszek Wohlmuth oskarżony o zabicie 67 letniej kobiety, którą uważał za czarownicę. Sprawa miała się następująco: Krowa stelmacha nie chciała dawać mleka. Wohlmuth postanowił wypędzić z krowy czarownicę, która mu ją zepsuła. Wyskrobał więc na skórze krowy tajemniczy znak, zrobił krzyż nad mlekiem, którego krowa dawała bardzo mało, i pokropił niem próg stajni. Przypadek zdarzył się, że właśnie w tym czasie przyszła do jego domu 67-letnia kobieta, nazwiskiem Matkowicz. Skoro ją tylko zobaczył zabobonny stelmach, powalił ją na ziemię i począł tratować nogami, chcąc się na niej zemścić jako na czarownicy, przyczem złamał nieszczęśliwej kobiecie kilka żeber, tak, że po dwóch dniach zmarła. Przed sądem bronił się Wohlmuth, że Matkowiczowa znana była w całej wsi jako czarownica. Sąd skazał go za ciężkie uszkodzenie ciała na 8 miesięcy aresztu; sąd wyższy podniósł mu karę do 18 miesięcy, a najwyższy trybunał odrzucił zażalenie nieważności.

W ten sposób stelmach poniósł karę za zabobon, który odziedziczył po przodkach. Rzeczywistym jednak winowajcą jest rząd batiarów, którzy utrzymują chłopów węgierskich w mrokach ciemnoty, straszniejszej aniżeli w Galicji, i klerykali, którzy za pomocą naleciałych obrządków, nie mających nic wspólnego z nauką Chrystusa, podtrzymują wśród ludu sztucznie tego rodzaju głupie zabobony.

* * *

Żegluga napowietrzna w szkołach. Nauka żeglugi napowietrznej ma być wcieloną w wielu szkołach angielskich do programu szkolnego. Pierwsza tego rodzaju szkoła, jak donoszą z Londynu, powołaną została do życia przez dr. Patricka Aleksandra w „United Service Collega" w Windzorze. Wychowańcy zakładu, którzy interesują się żeglugą napowietrzną, uczęszczają na wykłady dr. Aleksandra w osobno na ten cel urządzonem laboratorjum. Znajdują się tam modele rozmaitych aeroplanów, wykład zaś objaśnia technikę lotu powietrznego. Nadto znajdują się w laboratorjum materjały służące do konstrukcji modelów aeroplanowych. Każdy z uczniów może dokonywać próby budowy aeroplanu według własnych lub cudzych pomysłów. Na wielkim placu zakładowym odbywają się następnie praktyczne doświadczenia z projektowanymi modelami. Dotąd wypróbowano ich już 25, a niektóre zdołały wznieść się o kilka metrów po nad ziemię.

* * *

Wyzyskanie gazu naturalnego w celach przemysłowych. W stanie Oklahoma w Ameryce północnej znajduje się niezwykła, bo naturalna fabryka gazu świetlnego. Często spotyka się tam między wielkimi terenami oleju ziemnego przestrzenie, na których gaz świetlny wydobywa się z pod ziemi w bardzo znacznych ilościach. Gdzieniegdzie wywiercone otwory dają dziennie 20 do 30 miljonów stóp kubicznych gazu, gdzieindziej jeszcze ilość ta dochodziła do 60 miljonów stóp kubicznych. Amerykanie dotąd niewiele korzystali z tego przyrodzonego bogactwa, ogółem spożytkowano zaledwie tylko 10 procent wydobywającej się ilości, a tylko 1 procent ogólnej ilości gazu. Dopiero w ostatnim roku zajęto się intenzywniej tym naturalnym skarbem. Towarzystwo „Oklahoma Natural Gas Co." przeprowadza obecnie gaz rurami długości 100 mil do pobliskich miast, gdzie odstępuje go po cenie 25 centów amerykańskich za 1000 stóp kubicznych. Ta sama ilość kosztuje na miejscu do celów przemysłowych 2 do 3 centów. Obliczają, że podziemne te zapasy wystarczą jeszcze conajmniej na lat 10.

Z literatury i sztuki

Rozstrzygnięcie konkursu na pomnik Chopina w Warszawie nastąpiło onegdaj. Do jury powołano i zagranicznych artystów.

Pierwszą nagrodę (2000 rubli) otrzymał projekt Wacława Szymanowskiego (twórcy pomnika Grottgera w Krakowie) i Fr. Mączyńskiego budowniczego z Krakowa. Drugą nagrodę (1500 rubli) przyznano Wł. Marcinkowskiemu, poznańczykowi, twórcy pomnika Słowackiego w Miłosławiu. Trzecią (1000 rubli) uzyskał projekt dłuta Zygmunta Otto. Ogółem prac nadesłano na konkurs 67.

Promyk. Treść nr. 8. H. O.: Jak przemyślny Lestek został wojewodą. — Janina Porazińska: Jasiek (wiersz). Zofja Wójcicka: Kwiat paproci. — Janusz Korczak: Joski, Moski i Srule. — Z. L.: Przyroda i ludzie. II. Jak urządzić akwarja. — R.: Do czytelników „Promyka". — Ze świata. — F. Lazarówna: Na Maciejówce. — M. Ch.: Niosę wam dzieci (wiersz). — Jan Sokolicz Wroczyński: Zabawa w napad Judjan. — Zagadki. — Rozwiązana. — Odpowiedzi od Redakcji. (Jako dodatek obrazkowy: Portret Tadeusza Kościuszki).

Adres Redakcji: Br. Bobrowska, Kraków-Podgórze (Galizien) ul. Mickiewicza 24. Kwartalnie 2 korony (1.70 mk.).

Wystawa przedhistorycznych zabytków W. Ks. Poznańskiego w muzeum niemieckiem. W oddziale dotyczącym starożytności przedhistorycznych poczyniono przygotowania celem utworzenia specjalnej wystawy z W. Ks. Poznańskiego na kongresie niemieckiego towarzystwa antropologicznego, etnologicznego i zabytków przedhistorycznych, mającym się odbyć w sierpniu bieżącego roku. Wystawa ta przedstawia dla każdego badacza wiele nowego materjału tak co do obfitości, jak też i co dotyczy rzadkości niektórych cennych zabytków z epoki kamiennej, 2000 lat przed Chrystusem i z najdawniejszego czasu z epoki broszowej, 2000—1600 lat przed Chr. Z następnych czasów wypada zanotować wiele znalezionych w W. Ks. Poznańskiem tak pojedyńczo jak i całkimi grupami rzeczy z bronzu, jak sztylety, topory, pierścienie itd. Wiele rzeczy znalezionych pochodzi z najnowszej epoki łacińskiej i czasów rzymskich cesarzy 150 przed do 400 lat po Chr. a także, choć słabo, reprezentowaną jest epoka przejściowa od 500—700 roku. Najważniejszą część przedstawiają jednak bardzo obficie reprezentowane zabytki z czasów 1500—500 przed Chr., jak naczynia gliniane i groby z epoki bronzowej i najstarszej epoki żelaznej.

Zabytki te dowodzą, że w owych czasach w naszych dzielnicach nie były pustki i lasy, jak to z innych stron starano się udowodnić, ale że owszem żywe pulsowało tu życie i rozgrywały się przejścia mające pierwszorzędne znaczenie dla rozwoju kultury świata całego.

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt V na maj. Treść: Część pierwsza: 1. (f): „Rok Słowackiego". — 2. K. Stefański: Niepodległość Polski. — 3. Leon Wasilewski: Sprawy Litwy. — 4. Marja-Aleksandra Walewska (hr. W.): Religja w nauczaniu i wychowaniu. — 5. Ludwik Kulczycki: Legiendy luksemburskie. — 6. Junius: Współcześni politycy polscy. Dr. Leon Biliński. — 7. Przegląd: I. Koroniarz: Z Kongresówki. II. Skiba: Ruch kobiecy. III. Junius: Z trzech zaborów. IV. Sprawozdania z nowości wydawniczych.

Część druga: 1. Antoni Lange: Atylla. — 2. Ign. Radliński: Narodziny bogów i ich dzieje. — 3. Maryla Czerkawska: Nieukrzyżowani. — 4. Jan Grabowski: Pan naczelnik. — 5. Michał Sokolnicki: Tabernaculum Polski. — 6. Savitri: Chore godziny. Powrót. — 7. Tad. Nalepiński: Tad. Micińskiego: Bazylissa Teofanu. — 8. Wł. Piński: List niemiecki. — 9. Przegląd: I. Z prasy artystycznoliterackiej. II. Tad. Bezimienny: Ze sztuki i życia. III. L. Kowalski: Ze sztuki i „Sztuki". IV. (x): Modrzejewska. — 10. Sprawozdania. Nowe książki. St. Wyspiański w świetle prasy obcej.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 22. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 29 maja 1909.

SAVITRI.

Krzywda.

Bujak wziął z rąk sekretarza kancelarji więziennej przepustkę, jeszcze raz ogarnął wzrokiem nudny pokój parterowy, dokąd go przyprowadzano od czasu do czasu dla odczytania papierów urzędowych i skąd przez duże, brudne okna zakratowane widać było trochę ulicy — i wyszedł.

W korytarzu spotkał dyżurującego strażnika i z ulgą uświadomił sobie, że widzi po raz ostatni ostry podbródek z nieogoloną szarą szczeciną i nos o niejednostajnym zabarwieniu czerwonem, rozlewającem się na policzki. Wyszedł na podwórze, poszukał oczyma bramy, której nie zapamiętał tamtej nocy, gdy go przywieźli i z przykrością stał jeszcze przez kilka chwil przed bramą, póki strażnik nie oglądnął dobrze przepustki. Zdawało mu się, że nigdy go nie wypuszczą. Wreszcie furtka ziewnęła krótko i dyskretnie, wyrzucając go z poza siebie. Przeszedł na chodnik przeciwległy, by nie spotkać się z patrolami, krążącymi dokoła więzienia i zmieszał się z wąskim strumyczkiem przechodniów, przeplatając go krętą linją chodu, by prędzej zniknąć, prędzej wcielić się w tłum. Niepokój łopotał mu w piersi, jak nietoperz, zaczepiony za żebra. Zdawało mu się, że od strony więzienia powstanie krzyk, rozpocznie się pogoń i że każą mu wrócić do celi z matą wiszącą, okrytą grubą, wysiedzianą w środku pilśnią.

Lecz nic takiego się nie stało. Oddychał świeżem powietrzem, wyczuwał rozkosz zwiotczałych mięśni rozprężających się w szybkim ruchu. Wchłaniał w siebie mnóstwo nowych wrażeń przez długie niewidzenie rzeczy.

Ale już z pod serca wypełzła pamięć, która tkwiła w nim ciągle przez długie miesiące samotności. Pamięć ta była jak choroba ukryta, która nie objawia się w ostrych bólach, ale ciągle w organiźmie obecna powoduje wyczerpanie, apatję i ciężki nastrój. Lecz czasem, w szare ranki jesienne, pamięć ta otwierała się nagle z rozdzierającem szarpnięciem serca, z nagłem zastygnięciem w żyłach, i nieznośnem gorącem niezręczności — i sączyła się z niej, jak krew z rany, okrutna, niewymowna boleść. I dochodzące do rozpaczy, do bicia głową o mur pytanie: jak należy? — leżało gdzieś na sercu, jak kamień niewzruszony, fizycznie wyczuwalny.

— Matka... co się z nią dzieje? — W początku nie chciał, aby wiedziała, że „wpadł“. Udało mu się przesłać jej list, w którym zawiadamiał, że musi wyjechać na czas nieograniczony, prosząc nie niepokoić się o niego. Potem, gdy mu pozwolono na widzenie, napisał znowu, odsłaniając prawdę, i wzywając ją do siebie. Matka nie przyszła. Pocieszał się nadzieją, że wyjechała do znajomych lub krewnych. Przypominał sobie znane twarze, zgadywał, ktoby to mógł być, z góry czuł dla niego wdzięczność i tajemnie nie wierząc, wynajdywał w tych dawniej znienawidzonych, bezmyślnych twarzach oznaki ukrytej dobroci.

Od czasu, gdy po raz pierwszy oszalał mądrem szaleństwem wolności, ustawiła się w nim jakby niezmiernie czuła waga: na jednej szali leżało życie matki — na drugiej walka. Nigdy te szale nie stały w doskonałej równowadze, nawet wtedy, gdy starał się utożsamić dwie swoje wielkie miłości, rozumując: gdy wszystkim będzie dobrze, to i jej będzie dobrze.

Teraz konieczność zaczerpnięcia skądś pewności wzrosła do rozmiarów takiego doskwierającego, wytężonego cierpienia, że przyspieszał kroku, roztrącając przechodniów i machinalnie zakładał rękę za paltot w zanadrze, przyciskając nią bolące serce. Im było bliżej, tem więcej złych przypuszczeń oblatywało go chłodem, ściskało za gardło.

Znajoma ulica. Zdrewniałymi nogami wszedł na schody, zatrzymał się przy ciemno-brunatnych drzwiach z odłupanym w jednem miejscu pokostem i krzyżykiem wyciętym koło klamki. Namacał koniec drutu od dzwonka. Podzwonił i było coś dziwnie uspokajającego i wzruszającego zarazem w znanem krótkiem i ostrem zadygotaniu dzwonka. Nasłuchiwał z nadzieją suchego kaszlu i jeszcze lekkich energicznych kroków.

Stanęła w drzwiach jakaś kobieta.

— Czy tu już nie mieszka pani Bujakowa? — zapytał obcym dla samego siebie głosem.

— Nie, nie mieszka — odrzekła ze złym humorem i trzasnęła drzwiami.

Zbiegł ze schodów, rzucił się ku mieszkaniu stróża i potrącił we drzwiach wychodzącą stróżkę, która im zawsze usługiwała.

— Wszelki duch Pana Boga. — zaczęła kobieta, lecz Bujak przerwał jej gwałtownie:

— Gdzie moja matka?

— A gdzie ma być? — w szpitalu — odrzekła stróżka, patrząc z ukosa. Nie miał jej kto doglądać, a i pieniędzy nie miała, tośmy ją odwieźli.

— Od jak dawna?

— Ze dwa miesiąse już będzie. A nim się rozchorowała na dobre, to się nacierpiała, naharowała biedaczka! Już nie chodziłam do sprzątania, wszystko robiła sama. Rządca po komorne przychodził, krzyczał, krzesłem stukał, a ona tylko na to: „Syn przyjedzie, wszystko od razu zapłaci“. A pan rządca mówi: „Znamy takich synów!“ Ale widać sam czekał, że panicz przyjedzie, to wolał za wszystkie miesiące odebrać. Tak bywało: idzie pani do sklepiku, a pan rządca staje pośrodku podwórza, kłania się tak niby niziutko i pyta: „A była już depesza od syna? A prędko to pan Bujak w karecie z miljonami zajechać raczy?“ To pani wtedy na to nic, tylko się cała skurczy, taka blada na twarzy się zrobi. Do sklepiku to pani w jednej chuścinie chodziła, bo żydówce z przeciwka i swoją rotundę i sukienki i wszystkie graty sprzedała. A kiedyśmy przyśli do niej, jak zachorzała, puściutko było, jak wymiótł. I zimno, aż woda na piecu zamarzła. Na tym jednym sienniku w kącie leżała biedaczka. Schowałam ten siennik na strychu, myślałam: wydobrzeje, to się jej przyda. Ja tam jestem uczciwa kobieta.

Bujak rozpytał ją o adres i poszedł.

Dręczył się odtwarzaniem w myśli strasznej nędzy i powolnej agonji matki. Dlatego nie przyszła go odwiedzić w więzieniu... dlatego. Cała waga i cały ból świata roztopił się w jednej chwili, dotknąwszy jak rozpalonego żelaza tej jednej, odosobnionej żywej krzywdy. Bujak szedł w dziwnem osłupieniu, nie mogąc pojąć okropnej wiedzy, która w ciężkich skurczach i drgawkach rozpaczy rozchodziła się po nim. I poczuł, że to, co przez długie miesiące zżerało jego korzeń serdeczny, gdzieś głęboko ukryte, wydobyło się

nagle na wierzch przez ziejącą szczelinę, przez rozdwajające się na zawsze pęknięcie. I poczuł się na zawsze niemocnym i złamanym, i poczuł, że nigdy już nie spojrzy na świat dawnymi oczyma.

Stanął przed dużym budynkiem ceglanym i mimowoli pomyślał więzienie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Znaczenie kapitału w gospodarstwie społecznem.

Człowiek przychodzi na świat z całym szeregiem potrzeb, które zaspokoić musi, aby móc egzystować. Musi szukać i wytwarzać pożywienie, aby nie umrzeć z głodu, musi wytwarzać odzież, budowle, aby pod wpływem chłodu, zimna, zdrowie swoje nie narazić na szwank, nie popaść w chorobę, co życie może mu skrócić.

Otóż cały nasz byt na ziemi, całe nasze życie jest tylko ciągłą, coraz bardziej trudniejszą, coraz więcej złożoną walką z naturą o zaspokojenie swoich potrzeb.

W tej walce jednak człowiek, wiedziony instynktem samozachowawczym, wybiera zawsze drogę najłatwiejszą, taką, gdzie znajduje jak najmniejszy opór ze strony otaczającej go natury. To prawo musimy zapamiętać sobie dobrze, jeżeli chcemy zrozumieć dokładnie, czemu w tej walce z naturą, na tej drodze zaspokajania swoich potrzeb, innemi słowy — w sposobie gospodarowania — człowiek przechodził rozmaite okresy i dziś musi gospodarować społecznie.

Bo my dziś gospodarujemy, czyli zaspakajamy swoje potrzeby społcznie: nie każdy wytwarza tylko dla siebie, lecz dla ogółu, i wzamian za to korzysta z usług innych.

Że gospodarstwo nasze jest społeczne, dość jest przyjrzeć się bliżej najpierwszej jakiejkolwiek bądź potrzebie, którą zaspokajamy. Rozpatrzmy np. nasze śniadanie, którem zaspokajamy rano głód. Stoi przed nami szklanka herbaty z cukrem i pieczywo. Ileż to pracy ludzi z rozmaitych części świata złożyło się na to, aby dziś jednostka mogła spokojnie wypić jedną szklankę herbaty! Herbatę wyhodował chińczyk w Azji, a zanim przybyła do naszego kraju, przechodziła przez ręce tatara i rosjanina. Maszynkę „Primus", na której gotujemy herbatę, dostarczył nam szwed; naftę dorczono z Kaukazu; ogień rozpaliliśmy zapałką, do której siarkę dowieziono z Sycylji; szklankę wyrobiono przy pomocy saletry, którą trzeba było dowieźć z Ameryki; łyżeczkę zapewne zrobił niemiec z materjału otrzymanego z Anglji. Co za różnorodność! I mieszkańcy Azji i Ameryki, i wiele ludów Europy złożyły się swą pracą, abyśmy mogli wypić skromną szklankę herbaty!

To już jest zaspokojenie swojej potrzeby nietylko przy współudziale mieszkańców tego samego miasta, okolicy, nietylko przy pomocy ludzi, należących do tego samego narodu, lecz jest współudział całego społeczeństwa; i dlatego nazywamy nasze gospodarstwo społecznem. Musi ono być teraz takiem, choć nie zawsze gospodarował człowiek społecznie.

Pierwotni mieszkańcy prowadzili gospodarkę zamkniętą, indywidualną. Ludzi na ziemi było mało, natura dawała poddostatkiem zwierzyny, ryb, owoców. A że człowiek w gospodarce swojej wybiera drogę najłatwiejszą, korzystał więc też z darów przyrody, zbierając owoce, polując na zwierzynę, która mu dawała pożywienie i odzież.

Był to okres szczęśliwy, człowiek był niezależny, swobodny, mógł z łatwością, tak jak dziś to czynią ptaki, przenosić się z miejsca na miejsce, bo wszędzie mu matka-natura dawała dosyć pożywienia.

Ale ten okres swobody, niezależności, opiewany przez poetów, jako wiek złoty, musiał minąć i to bezpowrotnie! Ludzi mnożyło się coraz więcej, a tymczasem przestrzeń na ziemi, którą zamieszkujemy, nie powiększa się zupełnie. Dlatego, aby człowiek mógł żyć spokojnie, korzystając tylko z darów natury, aby mógł znaleźć poddostatkiem i zwierzyny i owoców potrzeba było, mniej więcej, na jednego mieszkańca tyle przestrzeni, co zajmuje u nas przeciętny powiat w Królestwie.

Przy wzrastającej liczbie mieszkańców trzeba było z konieczności szukać innych sposobów gospodarowania, ażeby na tej samej przestrzeni mogło się wyżywić więcej osób. Zamiast więc polować na zwierzęta, człowiek uczy się je oszczędzać, hodować, szczególniej te, które mu najwięcej przynoszą korzyści, bądź dając nabiał, bądź lepszą skórę na odzież. Z myśliwca staje się pasterzem, już wtedy wystarczy mu dwadzieścia — trzydzieści włók, czyli na tej samej przestrzeni będzie mogło egzystować zamiast jednego mieszkańca — kilkudziesięciu.

Ale w tym okresie zmieni się tryb życia człowieka. Utraci on swoją swobodę — tę łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce. Z konieczności postępować musi za swemi stadami i tą jedyną karmicielką swoją. Gdy w jednem miejscu stada wyjedzą trawę, przenosi się on wraz z niemi na drugie, musi prowadzić tryb życia koczujący — jak to dziś jeszcze czynią niektóre ludy.

Ale i ten sposób gospodarowania nie mógł trwać ciągle. Powtarza się ta sama przyczyna. Ludzie rozmnażają się, a tymczasem powierzchnia ziemi jest ograniczona zamknięta. Trzeba wyszukiwać nowych sposobów gospodarowania, aby zaoszczędzić, zekonomizować to miejsce, na którem żyjemy.

Przez doświadczenie człowiek przyszedł do przekonania, że niektóre rośliny mogą mu tak samo dobrze zaspokoić głód, jak mleko lub mięso jego stad, a tymczasem daleko mniej przestrzeni dla wzrostu wymagają. Będzie się starał te rośliny uprawiać, z pasterza staje się rolnikiem. Już wtedy na tej przestrzeni 20—30 włók będzie się mógł wyżywić nie jeden, ale znów kilkudziesięciu ludzi.

To też i stosunek człowieka do natury nowej ulegnie zmianie. Musi zarzucić koczownictwo i prowadzi tryb życia osiadły. Siejąc zboże, musi on albo powrócić po kilku miesiącach na to samo miejsce, aby zebrać zbiór, aby mu kto inny owoców jego pracy nie zebrał. Bo wtedy walki pomiędzy ludźmi będą miały interes. Daleko już łatwiej stoczyć kilkugodzinną nawet walkę po odbiór plonu, niż samemu długotrwałą i ciężką pracą go wyhodować.

Stosunki pomiędzy ludźmi będą już ze względów gospodarskich wrogie. Będzie się on musiał łączyć w gromady, i dla wspólnej obrony, i dlatego, że z usług innych w okresie rolniczym będzie już musiał korzystać.

W okresie myśliwskim i pasterskim człowiek natychmiast miał rezultat swojej pracy — upolowana lub zabita zwierzyna zaspokajała mu natychmiast potrzebę głodu; a tymczasem przy rolnictwie pracuje on, a na rezultat swojej pracy musi czekać całe miesiące. Tymczasem uczucie głodu co godzina niemal woła, że trzeba je zaspokoić. Musi więc ten rolnik korzystać z usług pasterza. Obiesuje mu, że jeśli go nakarmi w czasie pracy nad rolą, odda mu później wzamian część swego plonu.

Tu już zachodzi wymiana i pewien podział pracy. A ten podział będzie szedł coraz dalej, bo człowiek przekona się, że przy specjalizacji znacznie prędzej i więcej będzie mógł wytworzyć. Jeśli będzie się oddawał pracy na roli, daleko lepiej będzie mógł ją uprawić, przygotuje odpowiednie nawet narzędzia dla lepszego zaorania, dla dokładniejszego zbioru. Tu już człowiek zacznie wytwarzać przedmioty, jak np. pług lub sierp, które bezpośrednio nie przyczynią się do zaspokojenia żadnej potrzeby, bo ani pługiem się nie naje, ani się nie odzieje, ani mieszkać pod nim nie będzie, ale wie, że daleko łatwiej i prędzej pójdzie mu robota, jeśli uprzednio straci dwa, trzy dni dla zrobienia takiego narzędzia, niż gdyby matkę-ziemię miał zaorywać gołymi palcami. Opłaci mu się stokrotnie zrobienie takiego narzędzia, tego pierwszego dla niego kapitału, co mu tak pracę ułatwia. Coraz więcej będzie ich potrzebował, by praca na roli szła lepiej i szybciej.

I tu znów nastąpić musi podział pracy — jedni oddadzą się specjalnie przygotowywaniu narzędzi, wzamian za część plonu; inni tylko siać, orać będą, a praca pójdzie szybciej, prędzej; będzie można więcej wytworzyć, a zarazem i więcej ludzi wyżywić.

Widzimy więc, jak człowiek w gospodarowaniu swem korzystał z rozmaitych czynników; najpierw brał dary z natury, później współdziałał z naturą dla powiększenia wydajności swą pracą, a wreszcie dla większej wydajności pracy swej uprzednio stwarza narzędzia — ten pierwszy kapitał.

Japonja i jej robotnicy.

Od czasu wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej oczy całego świata zwróciły się na grupę wysp oceanu spokojnego zamieszkałą przez lud dotychczas mało znany. Od tego czasu zaczęto coraz więcej pisać i mówić o Japonji, zaczęto badać jej stosunki wewnętrzne i przed światem opowiadać cuda o nadzwyczajnym sprycie, inteligiencji i dobrobycie japończyków.

W wszystkich tych wypadkach popełniono jednak jeden błąd zasadniczy, mianowicie pomijano lud japoński, a mówiąc o sprycie, przedsiębiorczości i dobrobycie japończyków, brano pod uwagę jedynie klasy uprzywilejowane, zamożne, mówiono jedynie i wyłącznie o burżuazji japońskiej.

Chcąc uzyskać ogólny pogląd na stan całej Japonji, musimy najpierw poznać stosunki, panujące wśród miljónów ludu roboczego, który niezaprzeczenie jest głównym składnikiem całego narodu.

W tym celu przejrzymy publiczne sprawozdanie rządu Mikada, które omawia zarobki robotników japońskich:

Najwięcej robotników pracuje w przemyśle jedwabnym, ogółem około 129.000; w fabrykach bawełnianych pracuje 113.000 ludzi, w żelaznych 37.000, a w maszynowych 29.000. Reszta robotników pracuje w kopalniach i innych gałęziach przemysłu.

Pod względem pracy fabrycznej Japonja jest jedynym krajem na świecie, w którym pracuje więcej kobiet i dzieci niż mężczyzn. Jest wiele fabryk w Tokio i Osaka, w których pracuje blisko dziesięć razy więcej kobiet niż mężczyzn, a ograniczeń co do pracy dzieci, nie ma prawie żadnych.

Wprawdzie w roku 1902 przeszło prawo, ograniczające wiek uczni rękodzielniczych do lat 11, przepis ten jednak nie dotyczy kopalń i innych zakładów fabrycznych, to też w kopalniach rudy i przędzalniach bawełny znajdujemy tysiące chłopców i dziewcząt, pracujących ciężko na utrzymanie, choć wielu z nich nie dosięgło jeszcze siódmego roku życia. Jest również prawo, które ogranicza pracę dzieci i kobiet do 12 godzin dziennie, ale prawo to nic nie mówi o robocie nocnej, to też każdy prawie fabrykant łamie je i zmusza pracujące u niego kobiety i dzieci, do roboty trwającej od piętnastu do siedmnastu godzin na dobę. Mężczyźni muszą w niektórych fabrykach pracować od 16 do 19 godzin na dobę.

O ile godziny pracy są niezmiernie długie i zabójcze, o tyle zapłata dzienna jest tak niska, że nie pozwala na należyte odżywianie drobnych dzieci i żon do roboty w fabrykach.

Używaną w Japonji monetą, jest yen, równający się około 2,20mk. a najlepszy fachowy robotnik w Japonji nie zarabia nigdy więcej, jak trzy ćwiercie yena dziennie, czyli, około 1,60 mk.

Kobiety nigdy nie zarabiają więcdj jak 80 fen. dziennie, a dzieci muszą się zadowolnić zapłatą, sięgającą od 6 do 38 fen. za dobę.

Płaca robotników w różnych fachach przedstawia się jak następuje: w przędzalniach w Osaka mężczyźni zarabiają od 40 fen. do 1,30 mk. dziennie, podczas gdy kobiety za tę samą pracę pobierają zaledwie od 30 fen. do 80 fen. a dzieci od 6 do 35 fen.

W fabrykach papieru robotnicy zarabiają przeciętnie: mężczyźni 1,05 mk., kobiety 42 fen. a dzieci 25 fen. dziennie. Najlepiej zarabiają robotnicy w fabrykach maszyn parowych, gdzie otrzymują zapłatę sięgającą aż do 1,60 mk. dziennie.

Zwykli robotnicy drogowi przy kolejach, dostają 60 fen. dziennie, a konduktorzy towarowych pociągów otrzymują 20 mk. pensji miesięcznej.

Wprawdzie zarobki robotników wzrosły w dwójnasób od roku 1887, gdzie np. stolarze zarabiali 47 fen., kamieniarze 60 fen. dziennie itd,. to jednak ceny żywności, ubrań, mieszkania i ogólnego utrzymania wzrosły równocześnie w dwójnasób.

Wobec tego widzimy, że zarobki proletarjatu pozwalające jedynie na odżywianie się ryżem i zmuszające ojca rodziny do pysyłania swych dzieci do fabryk i kopalń w siódmym roku życia.

Sławiony wszędzie dobrobyt japoński nie dotyczy wcale miljonów klasy pracującej, korzystają z niego jedynie bogaci fabrykanci i przemysłowcy, którzy zbierają miljonowe dochody z pracy dzieci, kobiet i mężczyzn japońskich robotników.

Kapitalizm jest zawsze i wszędzie jednakowym, tak samo w Ameryce, jak w Polsce, Chinach i Japonji.

Kwestja kobieca.

Dzieje kobiety zajmują w tej historji ludzkości, jaką nam zwykle podają, bardzo mało miejsca. Najczęściej jest to historja wojen, często historja ludzi, których, jak nas zapewniają, w pamięci winniśmy zachować. Dopiero ostatnie czasy przyniósły zmianę. Obok historji politycznej zjawia się historja kultury; obok czynów i przygód książąt i bohaterów miecza w historji zjawia się życie ludu. Naturalny egoizm ludzki nadał piszącym historję klasowy charakter. Panujący i wykształceni nie widzieli nic i nikogo poza kręgiem swego życia; jak w opisach walk przedstawiano zawsze dowódcę jako zwycięzcę, jemu ofiarowano laurowe wieńce, jemu wznoszono pomniki, a te tysiące, które naprawdę walkę staczały — pomijano milczeniem — tak pomijano lud, którego dzieje tworzą naprawdę dzieje ludzkości — na korzyść tych, którzy szczęśliwsi, lub lepiej obdarzeni wyraźnie z tłumu się podnoszą.

Z rozwojem ekonomicznym te masy ludowe uwolniły się z niewolniczego stanu i gdy z jednej strony różnice między biednymi i bogatymi zaostrzały się, z drugiej strony następowało pewne zrównanie wykształcenia kultury. Ze zniesieniem niewoli i fizycznej zależności znikł absolutyzm; zbudzony do samowiedzy lud podniósł żądanie swego słusznego prawa, stanowienia o swojej doli i wkrótce wrósł do znaczenia czynnika, z którym się liczyć trzeba było. Wtedy dopiero nauka go spostrzegła, odkryła i badać zaczęła jego życie, dolę, myśli, przeszłość i teraźniejszość; otworzyło się dla nauki nowe, nieznane dotąd pole wiedzy.

Takie, same dzieje, jakie przeszedł lud, przejść musiała kobieta. Dziś we wszystkich krajach cywilizowanych staje do walki o równouprawnienie ekonomiczne, prawne i obyczajowe. Z głębi istoty natury kobiecej i z dziejów doli kobiecej wyrosła sprawa kobieca, a kto chce ją rozwiązać, musi poznać ją od źródeł, musi poznać długą i ciernistą drogę, po której kobieta doszła do tego stadjum rozwoju, gdy świadoma siebie stanęła do walki o swe ludzkie prawa.

Lilly Braun.

Rozmaitości

Lombroso o wpływie trzęsienia ziemi na psychologję ludzką. Znany badacz włoski ogłosił artykuł ze swemi spostrzeżeniami w tym kierunku. Twierdzi on, iż tego rodzaju katastrofa jest próbą do rozpoznania tego, co posiada dusza ludzka w swej głębi nieopanowanego i nieuświadomionego i tych tajemniczych sił, jakich nie można w zwykłych warunkach zauważyć. Opisy niektórych ocalonych mają w sobie coś przerażającego w oddaniu strachu, którego byli ofiarą. Jeden mówi, że widział koniec świata i jest pewny, że koniec świata nie może być innym. „Gdy błądziłem w ciemności po masach gruzów — zeznał ten

świadek trzęsienia ziemi — widziałem kiwające się i walące się domy, piętra zapadały się jedno na drugie, otwierały się przepaściste otwory w ziemi, słyszałem wycie bez końca, jakby zabijano mnóstwo zwierząt. Myślałem, że przyszło królestwo śmierci, jakie się w strasznych snach przewiduje; nie miałem poza tem wrażenia, bym był jeszcze żywy — miałem się za umarłego; przypuszczałem, że świadomość moja jest taką, jaką się ma po śmierci".

Żaden z ranionych (a nawet ciężko) nie mówi o uczuciu bólu fizycznego. Przerażenie zupełne zawładnęło centrem nerwowym i całkowicie zgasiło jakiekolwiek uczucie bólu cielesnego. Ludzie ze złamaną ręką biegli całe mile, nie zauważywszy nawet tego. Pewna kobieta z tak zranionem okiem, że je musiano wyjąć, upewnia, że najmniejszego pojęcia o tem nie miała. Ludzie biegali bosо, po większej części tylko w koszulach, nie czując zimna i ran na nogach, gnani instyktem ucieczki z miejsca katastrofy, nie wiedząc dokąd. Wypadek nagłego masowego przymroczenia umysłu zdarzył się przed jedną fabryką. W chwili katastrofy 300 robotników stawało właśnie do pracy. Zawładnął nimi taki stan, że ani jeden nie odezwał się, gdy dyrektor wywołał ich po nazwisku, by się przekonać, czy wszyscy są uratowani. Nie rozumieli brzmienia swych nazwisk.

Lombroso wspomina dalej, że instynkt życia jest o tyle silniejszy od bólu, że pewien człowiek, którego noga była tak silnie przyciśnięta sztabą żelazną, że go ruszyć z miejsca nie można było, prosił o amputację nogi.

Dzieci okazywały największą zdolność oporu. Mała 4-letnia dziewczynka została odnaleziona w stanie zupełnego spokoju po czterech dniach, chociaż cały ten czas była sama i bez pożywienia. Pytana, co robiła, odpowiedziała, że czekała na ojca i spała. Troje innych dzieci w wieku lat 7, 5 i 3 zostały po siedmiu dniach wykopane; znajdowały się one w rodzaju groty, dokąd zostały wrzucone. Znalazły przypadkowo trochę cukru, pomarańcz i chleba. Czekały spokojnie w zupełnej pewności, że ktoś przyjdzie, by je odkopać. Najoczywiściej nie miały świadomości czasu, ani niebezpieczeństwa. Coś podobnego opowiada pewien człowiek, który leżał pod gruzami przez parę dni, myśląc, że to tylko parę godzin. Pojęcie czasu zanika najpierw, nie ma się bowiem zetknięcia z wrażeniami po sobie następującemi. Stan ten rozciąga się, gdy dalej trwa, na ogólny zanik uczuć, niszczący świadomość położenia i chroniący osobę od przerażającego strachu. Zjawisko to jest wprost przeciwne zjawisku bezmyślnej ucieczki i podnieceniu. Co się tyczy zmysłu moralności można powiedzieć, iż katastrofa przyczyniła się do zezwierzęcenia natury ludzkiej. Były więc epizody brutalności i dzikości w walce o życie. Tak np. pewien starzec zabił dziecko, by opanować linę i uratować siebie. Przy podziale chleba mężczyźni odpychali kobiety i dzieci i wyrywali im pożywienie z ust.

Lecz były też wypadki wielkiej ofiarności. Matki myślały pierwej o swych dzieciach, niż o sobie. Znajdywano setki nieżywych kobiet z dziećmi na rękach. Pewien ojciec, który uratował już żonę i troje dzieci, a czwartego uratować nie mógł, umarł wraz z niem, by nie pozwolić mu samemu zginąć.

* * *

Ilość gwiazd. Z dawien dawna od niepamiętnych czasów rozpowszechnione jest przekonanie, ze ilość gwiazd jest nieskończenie wielka. Jeżeli jednak ograniczymy się tylko do gwiazd widzialnych gołem okiem, to ilość ta jest względnie niewielka, bo i najbystrzejsze oko, przy zupełnie pogodnem niebie nie dojrzy północnej i południowej półkuli. Najnowszy opis gwiazd widzialnych gołem okiem, ułożony przez Ambronna wylicza 7.796 gwiazd północnej i południowej półkuli. Najstarszy spis Eudoxusa, ucznia Platona (około 350 roku przed Chr.), wylicza ich 1.025. Ilość gwiazd widzialnych przez teleskop obliczył uczony Bessel-Werse, w r. 1825 na 31.675. Tymczasem już w r. 1885 ukazał się katalog obserwatorjum astronomicznego w Bonn, wymieniający 324,188 gwiazd północnej i 123.659 gwiazd południowej półkuli. Gwiazdy stosownie do blasku swego, siły światła, podzielone zostały na klasy, od pierwszej aż po piętnastą, szesnastą itd.

Przez niezbyt silną perspektywę widać gwiazdy siódmej klasy, a wogóle gwiazd około 70.000. Z gwiazdami 9 klasy wyłącznie obliczono ogólną ilość na blisko 250.000, z gwiazdami dziesiątej klasy włącznie na 600.000; z gwiazdami czternastej klasy ilość ogólna wznosi się naokoło 50 mil., a dalej ustaje już możność ujęcia ogólnej ilości w cyfry. Gore naliczył ich 64.184.757; Littrow włącznie z gwiazdami szesnastej klasy w przybliżeniu na 1.650 mil. Ale tu kończy się możność dalszych obliczeń, oko i umysł ludzki odmawia służby i staje wobec jednej z nieskończonych tajemnic przyrody, które może podziwiać, ale pojąć ich nie jest w stanie.

* * *

Uprawa roli z pomocą elektryczności. W Kościanie, w Ks. Poznańskiem, jak pisze „Gazeta Polska", odbyło się zebranie interesentów w sprawie założenia centrali elektrycznej na Kościan i okolicę. Zebranie uważało kwestję uprawy roli za pomocą siły elektrycznej za rozstrzygniętą, dla tego utworzono zaraz spółkę, która poczyni kroki przedwstępne, aby jak najrychlej założyć elektryczną centralę w tamtejszym powiecie.

Z literatury i sztuki

Krakowska Akademja Umiejętności na dorocznem posiedzeniu, odbytem w sobotę przyznała nagrody z fundacji Probusa Barczewskiego: dr. Stanisławowi Tomkowiczowi za książkę „Wawel" i Jackowi Malczewskiemu za obraz „Grosz czynszowy". Prof. Szymon Askenazy nie otrzymał nagrody za „Łukasińskiego" dlatego, że nie jest katolikiem, co jest wedle woli fundatora nieodzownym warunkiem otrzymania nagrody.

Nagrodę konkursową z fundacji X. Adama Jakubowskiego w kwocie 1,400 koron na temat „Monografja jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej", przyznano pracy p. t. „Jędrzej Śniadecki". Autorem tej pracy jest dr. Adam Wrzosek, docent Uniw. Jagiel.

Nagrodę konkursową z fundacji im. Mikołaja Kopernika w kwocie 1000 mk. na temat „Zbadać metodę wskazaną przez A. Szustera lub podobną, czy okresy zmian szerokości gieograficznych, podanych przez Chandlera, Kimurę i innych, są istotne, czy nie", przyznano pracy pod godłem „Hypotheses non fingo". Autorem pracy jest Jan Krasowski z Krakowa.

Nagrodę z fundacji Konstantego Simona, za prace napisane w języku polskim z dziedziny fizyki i matematyki, w kwocie 900 mk., przyznano prof. Stanisławowi Zarębie za książkę p. t. „Zarys pierwszych zasad teorji liczb całkowitych."

* * *

Sprawa teatru łódzkiego. Teatr łódzki zniszczył niedawno pożar. Obecnie na zebraniu członków polskiego Towarzystwa teatralnego zapadła decyzja w sprawie zabezpieczenia po pożarze lokalu na przyszły sezon zimowy dla towarzystwa dramatycznego p. Zelwerowicza. Mianowicie uchwalono przekształcić na teatr budynek przy ul. Cegielnianej, zaofiarowany bezinteresownie przez p. D. Templa.

* * *

Wystawa sztuki podhalańskiej, która ma się odbyć w lipcu i sierpniu b. r. w Zakopanem, obudziła żywe zainteresowanie.

Wydział Towarzystwa „Sztuka podhalańska" w Zakopanem uprasza wszystkie instytucje i osoby, które posiadają przedmioty, szkice, projekty, fotografje, mogące ilustrować rozwój artystycznego zdobnictwa i budownictwa podhalańskiego ludu i prace podjęte w tym kierunku (zwłaszcza około zakopańskiego stylu) przez ludzi z poza Podhala, a zechciałyby je nadesłać kosztem własnym na wystawę — raczą zgłosić je — najpóźniej do dnia 15 czerwca do wydziału Towarzystwa „Sztuka podhalańska" w Zakopanem, podając zarazem miejsce, jakie na wystawie zajmą.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 23. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 5 czerwca 1909.

Smutki robotników górnośląskich.

Wielu bardzo na tym świecie
Dobrze je i pije.
Bez frasunków i zabiegów,
Wygodnie se żyje.

Inni im się zaś kłaniają,
Nie szczędzą honorów,
Choćby nawet i z niechęcią,
Lecz tylko z pozorów.

A tu człowiek ciągle robi,
Jeszcze z biedą walczy.
Wszystko co ma, jest u niego
Z tych dziesięciu palcy.

Dzieje nam się coraz gorzej
Teraz na tym świecie,
Ubogiego robotnika
Zawsze bieda gniecie.

Chcesz żyć, to też robić musisz!
Fakt to namacalny:
Jedni chodzą do cynkowni,
Drudzy do kopalni.

Na kopalni dobrze robić.
Masz święta, niedziele
Wolne, choć zarobek lichy,
Bo ściągają wiele.

Za chełmisko, za łopaty,
Za niecki, za liny,
Olej, świdry, kilof, grabie,
Nawet za drabiny.

Biksengeltu zaś przynajmniej
Półtora talara,
I do tego często gęsto
Jeszcze jakaś kara.

Wszystko ci poodciągają
Z twojego zarobku,
A dopiero, co zostanie,
To dla ciebie, chłopku.

Skąd najwięcej górnikowi
Przychodzą kłopoty?
„Cel“ jest bardzo wyciągnięty,
Że niemasz ochoty.

Za to żem nie był na szychcie,
(Pęknął byś ze śmiechu)
Onemum się nie meldował,
Miał ci mię na sztrychu.

Każdy miesiąc dyng mi popsuł
Lub beczki kasował,
I za byle jakie bzdury
Niezmiernie strofował.

Bo też to był rajca wielki,
Ten Krawak brodaty.
Nie mogliśmy się pogodzić,
Trza było brać szmaty.

J. P.

SAVITRI.

Krzywda.

(Dokończenie.)

Portjer nie chciał go wpuścić, dowodząc szorstko i gniewnie, że to nie jest oznaczona godzina. Lecz z przyległej poczekalni wyszedł lekarz o śniadej, rozumnej i obojętnej twarzy, mocno odbijającej się od białego fartucha.

— O kogo chodzi? p. Bujakową? — zagadnął znudzonym głosem. — Wpuścić, jest już umierająca. A pan kto? syn? — zapytał z odcieniem zaciekawienia, widząc łamiącą się i stygnącą twarz Bujaka.

Lecz Bujak nie odpowiedział. Szarpnął się ku schodom i biegł w górę, pokonując każdy stopień, jak ciężką przeszkodę. Głos lekarza, wołającego za nim; „Sala szósta, pierwsze piętro!“ utkwił w nim i opanował jego nieprzytomne kroki.

Wszedł do sali, czując fizycznie i bezświadomie zalewającą płuca falę zapachów gryzących. Powiódł oczyma po obszernych, odrażających ścianach. Chodniki płócienne ciągnęły się wzdłuż i wszerz po malowanej podłodze, tworząc duży, biały krzyż. Żałobnie stały czarne, żelazne łóżka, z czarnemi tabliczkami na prętach u wezgłowia, zarzucone szarem suknem. I ten szereg białych głów pod tabliczkami jak pod pręgierzami boleści. Ten długi szereg głów męczeńskich, bezsilnych, na łaskę ludzkiej nieczułości wydanych, ten różaniec głów w agonji...

Cichy jęk doszedł go i popchnął ku łóżku pod ścianą. Zasłaniała mu wezgłowie łóżka postać krępej posługaczki. I prędzej, prędzej chciał usunąć z przed oczu plamę niebieskiej, pasiastej sukni, objętej w tyle końcami białego fartucha i plamą sterczącego na karku pęku ciemnych włosów. Już zdaleka usłyszał szept wysilony: „wody!“ i jadowity, wściekły głos posługaczki:

— Wody! A dałaś mi, ścierwo, choć dziesiątkę zarobić? Zdychajże teraz sobie bez wody!

Bujak odtrącił posługaczkę, aż się zatoczyła, wyrwał z jej rąk kubek rozpluskującej się wody i rzucił się ku matce.

Wyjrzała ku niemu z zapadłych oczodołów straszna niedola matczyna. Usta chciały się uśmiechnąć, lecz już nie mogły i tylko w skrzywieniu bolesnem wymówiły: „dziecko". Zbliżył się do jej warg, lecz tylko oczy przymknęły się wpół i zachodziły bielmem, a brzeg kubka uderzył o zęby nierozwierających się już szczęk. Dwie strużki wody wypłynęły z kącików ust i pociekły w dół — ostatnia nieprzyjęta ochłoda. Trzymał jej rękę, po której przebiegały dreszcze śmiertelne i czuł, jak stygła w jego palcach. Jej oddech trudny i rzadki rżnął jego płuca. Zebrał w sobie całą wolę do życia i chciał ją przelać uściskiem rąk, tchnieniem wzionięte w usta rozchylone. Lecz cud nie stawał. Matka umierała — i umierała, kamieniała na zawsze w nim dusza. Każde słabe uderzenie tętna uderzało w nim, jak młot druzgoczący ostatniej rozpaczy, rozpaczy takiej, gdzie się kończą słowa i ujęcia świadome, a gdzie jest tylko krzyk nieprzytomny i trzeszczenie wszelkich wiązadeł. Rozwarły się jeszcze raz oczy z jakimś pojmującem wejrzeniem i powieki opadły. Uderzyło tętno jeszcze raz... Czekał... Nie czuć... Myślał, że palec ześliznął się z tętnicy... Zaczął szukać, przebierając palcami i naciskając rękę już sztywną. Ktoś zbliżył lusterko do ust matki i powiedział:

— Już koniec.

Bujak odsunął czyjąś rękę i sam przycisnął jeszcze ciepłe powieki matki, zawarł nimi dobre, jedyne na świecie oczy matczyne... Potem wstał i obejrzał się. Ssał wzrokiem nienasyconem te ściany natrętne i ponure, głuche, gołe ściany, wśród których cierpiała jego matka. Wpijał się w rokonwalescentki w żółtych szlafrokach, w zakonnice, w posługiwaczki i rozumną, a nieczułą twarz lekarza wzrokiem takiej nienawiści, że cofali się przed nim. — Tobie tu źle było, mateńko — cicho mówił, skarżąc się przed sobą. — Za późno wrócił twój syn, który bohatersko walczył dla idei, podczas, gdyś ty ginęła z głodu i konała w szpitalu ukamieniowana wszystkimi kamieniami za twój jedyny grzech — nędzę. Tu było ci źle, mateńko.

Dwie posługaczki w białych fartuchach zbliżyły się, tocząc wózek przed sobą. Lekarz dotknął jego ramienia.

— Proszę się usunąć i pozwolić zabrać ciało.

— Dokąd? — zapytał Bujak bezmyślnie.

— Na sekcję. Taki zwyczaj w szpitalu.

— To będą rżnąć jej ciało? Będą znęcać się nad nią jeszcze po śmierci? Ja nie pozwolę.

— Nikt się pana o pozwolenie nie pyta. Mogłeś pan matkę trzymać w domu i nie oddawać do szpitala. A musiałeś pan oddać, to znoś. Kto nie ma pieniędzy, ten płaci nauce swoim trupem. Gdyby nie było biednych, co muszą służyć naszym eksperymentom, toby się nauka wcale nie rozwijała.

Bujak nie znalazł odpowiedzi, bo tą odpowiedzią byłby straszny krzyk i przekleństwo przeciwko komuś i czemuś. Bluzgał mu ten krzyk w piersiach i nie mógł się wyrwać. i złamać sztywnej, skamieniałej maski, okuwającej twarz.

Ciało złożono na wózku i powieziono. Bujak szedł za niem, jak we śnie i kiedy już znikło za drzwiami sali sekcyjnej, stał jeszcze przez chwilę, czując we wszystkich szwach i przegubach ciała nieznośny ból, rozstępowanie się masy mięśniowej pod naciskiem noża. Każde wyobrażalne dotknięcie do ciała matki, każde zagłębienie noża w jeszcze nieostygłe wnętrzności, przeżywał ze wzdrygnięciem i buntem.

Nakoniec poszedł, patrząc przed siebie ciężkim, oszalałym wzrokiem. Ból unieruchomił mu oczy w orbitach i bolały go strasznie w tej nieruchomości, zatrzymane na zawsze na jednym punkcie, który już nigdy z pola widzenia nie zejdzie. Jakimiś schodami zeszedł w ogród szpitalny. Usiadł na ławeczce pod murem. Wiatr szeleścił w suchych badylach na grządkach.

— Jak trzeba było mateńko?... Jak trzeba? — szeptał kołysząc się w tył i wprzód monotonnie.

I nie było odpowiedzi w jego suchej piersi bez łaski, piersi bez łkań...

Wstał nareszcie i poszedł przed siebie.

Z jakiejś przecznicy wyszedł na szeroką ulicę. Z oślepłymi zmysłami, z tępą potrzebą iść naprzód byle iść, spotkał na drodze przeszkodę. I ta przeszkoda wykrzesała w nim słabą, ubożuchną iskrę uwagi.

Środkiem ulicy falowała powoli ogromna, czarna wstęga tłumu, przetykana gdzieniegdzie czerwonym. Przez chwilę w ciszy rozlegały się tylko chrzęsty ubrania, odgłosy kroków, zlewające się w jeden nieokreślony szum. Potem z przednich szeregów wzniosła się znana pieśń...

Bezwiednie zatętniła w nim ciepła, radosna fala krwi, a serce wyprężyło się, jak cięciwa odepchnięta drzewcem strzały. I wlał się w ten potok ogromny, jak kropla, ześlizgująca się ze spieczonych warg południa w bezpieczeństwo rodzinnego żywiołu.

Obudzony ze strasznego letargu, patrzył w twarze czarne i pobrużdżone, ręce chropawe, skaleczone, zabliźnione, na łachmany przesiąkłe znanym odorem przepoconych brudnych ciał, zatęchłych i wilgotnych nor mieszkalnych. Biedne, wysilone oddechy. Stygmaty wieloletniego męczeństwa w smutnych zmarszczkach przedwcześnie zwiędłych twarzy. Ostra rozpacz samotnej agonji w godzinach głodu... Ból i gorycz poniewierki, niezapomniane policzki obelg, piekielnie gorejące w zdeptanem sercu... Szaleństwo i okropność bezsilnej troski o najdroższych... Oczekiwanie aż po trumnę tego, co nie nadchodzi. Trud ponad wszelką możliwość, pękająca ze zmęczenia głowa i mdlejące ciało...

Takie rany wyszarpała ostremi szponami krzywda. Oczyma nagle rozwartemi, jasnowidzeniem boleści odczytywać te rany, nagle zrozumiałe, nagle widzialne. Już nietylko szczęście walki.

Wszechobecna krzywda, niewymowna groza życia wtargnęły nagle w serce. Struchlałemi wargami chciał krzyczeć, że niepodobna żyć, że nie można żyć, że nie można wytrzymać, że trzeba druzgotać i walić, żeby zagłuszyć okropność.

Ciężko dysząc z wyschłemi wargami, ogarnął nagle szereg oczu ludzkich, jak szereg tryumfalnych pochodni.

I były radosne, i były upojone te oczy.

Nadeszła chwila śniona — i szli wszyscy senni, i szli — płynęli zapatrzeni ponad siebie, nie pomnąc o sobie.

A słowo stało się ciałem...

Wielka cisza, wielka, odświętna pogoda.

Pomimo okropnych mozołów, pomimo śmierci i trumien...

Wielka cisza, wielka odświętna pogoda snu przeżywanego na jawie, kładzie białe, świetliste dłonie na umęczone czoło, przesłania wzrok mgłą leciutką, srężogą taką, jaka szczyty śnieżne obłękitnia.

Ostre rznięcie w oczach, jak rznięcie noża.... Rozprę-ża się skurcz gardła...

Łzy, łzy zbawcze na rzęsach...

Na czyimś ramieniu nieznanem a drogiem płacze dobremi gorącemi łzami. Ktoś nagle bratni i bliski pocieszа:

— Matka umarła? Dla prawdy? Mnie dziecko i kobieta umarła. Z tyfusu — przez ten strajk. I nic. Wielka ona, prawda, wielkie ofiary zabiera.

Wielka ona, prawda, w którą oczy ludu zapatrzyły się w ekstazie snu społecznego...

Przeminie ten sen na jawie, a w duszach przetrwa wiekuiście. I znów się wyłoni w wielki dzień godowy...

Wielki dzień nieśmiertelny.

Czarna wstęga zwinęła się i zaczęła znikać we wnętrzu wielkiego gmachu.

Na ławach w przejściach, we drzwiach wielkiej sali stłoczył się tłum. Pod czerwonemi sztandarami stoi mówca. Mocno i śmiało brzmią jego słowa. I wszyscy wpół przytomni z upojenia słuchają tych słów, nie starając się prawie pojąć ich treści. Tu chodzi o to, że te wolne słowa tak mocno i śmiało rozlegać się mogą. Tu chodzi o to, że to słowo uwięzione, nieśmiało wyszeptane, lub półgłosem zanucone w suterenie robotnika, w studenckim pokoju, lub w szczupłej garstce podziemnych zatraceńców, nagle wyszło na ulicę, opanowało gmach publiczny...

I dzwoni, i dzwoni dzwonami radości w sercach.

— My nie boimy się ofiar! — brzmi głos mówcy pod ztandarami.

Wielka jest prawda i wielkich ofiar wymaga.

* * *

Padły ostatnie grudki ziemi, rzucone wprawną ręką grabarza. Pagórek mogilny wyrósł nad trumną matki. W śnie nieprzespanym skończyła się niedola matczyna...

Bujak stał nad grobem, a na jego twarzy był spokój wielkiego przezwyciężenia.

Wszyscy odeszli i nastała cisza. Tylko ptaki ćwierkały wiosennie na gałęziach rozpękujących już od nadmiaru soków żywotnych. Ciche słońce popołudniowe świeciło równie i łagodnie.

Zaczął się modlić przestworom:

— Niech będzie błogosławiona wielkość, która ponad nasz ból wyrasta!

— Niech będzie błogosławiona siła, która nam brzemię najsroższe dźwigać pozwala!

— Oto, w imię twoje, prawdo jutra nieznanego, biorę na barki i poniosę odważnie ciężar ciężarów — tę trumnę, co zawaliła me serce.

— I tak będę iść, aż stanie twój ołtarz zwycięski!

— A wtedy przyjdę przed twój ołtarz, Jutro zwycięskie, Jutro szczęśliwe!

Błagać o jedną jedyną nagrodę:

— Zdejm z mego serca tę trumnę, tę ciężką, okropnie ciężką trumnę...

Głębokość dna morskiego.

Ukształtowanie dna morskiego przedstawia podobnie jak i powierzchnia lądu wielką rozmaitość. Podczas gdy znaczne przestrzenie mórz nie przenoszą nieraz i kilkudziesiąt metrów głębokości, gdy np. morze północne nigdzie prawie nie jest głębsze nad 80 metrów, wyjąwszy nadbrzeżny pas w pobliżu Norwegji, to na ogół, zwłaszcza w oceanach, głębokość ta szybko wzrasta, dochodząc na przestrzeni 62 procent całego obszaru dna morskiego do 3600 metrów, a w wielu wypadkach do znacznie większej głębokości. Znamy dotychczas 43 po większej części bardzo rozległe wgłębienia w różnych oceanach, które dosięgają tej głębokości albo są głębsze; z nich przypada 15 na Ocean Atlantycki, 24 na Ocean Spokojny, 3 na Ocean Indyjski a jedno 5735 metrów głębokie, odkryte w r. 1898 przez wyprawę z Valdivji, na Morze Południowe Lodowate. W Oceanie Indyjskim znajdują się te wielkie głębie dziwnym sposobem nie w środku morza, lecz blisko brzegu, w okolicy wysp Sunda. Na południe od wyspy Sumbawa, pod 11 stopniem 22 min. południowej szerokości, a 116 stopnie 50 min. wschodniej długości spada głębokość morza aż do 6205 m., a znacznie większą jeszcze, bo 7300 m. wynoszącą, jest głębią w pobliżu wyspy Amboiny, wśród zresztą dość płytkiej zatoki Celebes, której cieśniny są tylko 1500 m. głębokie. Największe wgłębienie w Oceanie Atlantyckim, które przez dłuższy czas uchodziło za drugie co do wielkości na całej ziemi, wynosi 8341 m.; znajduje się ono na północ od Porto-Rico pod 19 stop. 39 min. północnej szerokości i 66 stop. 26 min. zachodniej długości, a odkrył je 27 stycznia 1883 r. amerykański parowiec „Blake".

Do r. 1895 znana była na świecie tylko jedna większa jeszcze głębia, którą znaleziono w Oceanie Spokojnym pod 44 stop. północnej szerokości a 152 stop. wschodniej długości niedaleko Kurilów. Ta przeszło 8513 m. głęboka wklęsłość nazywa się od parowca, który ją wymierzył dnia 19 czerwca 1895 r., „Głębią Tuscarora". Wskutek następnych badań znaleziono kilka głębin, wynoszących więcej niż 9000 m., które się znajdują na południu wysp Tonga i na wschodzie wysp Kermadec. Przy tych ostatnich zmierzono 31 grudnia 1895 niemniej jak 9427 m. Kilkaset kilometrów dalej na północ znaleziono dnia poprzedniego głębokość 9412 m., a przy wyspach Tonga 9184 m. Przez kilka lat uchodziła głębokość 9427 za największą, dopiero przy przekładaniu kabli przez Ocean Spokojny ze San Francisco aż do wysp Filipińskich, znalazł okręt mierniczy „Nero" w końcu listopada 1899 r. jeszcze większą, bo 9633 m. wynoszącą głębinę na południowy wschód od wyspy Guam. Jest to największa głębia, znaleziona dotychczas na dnie morskiem.

Ludność Królestwa Polskiego.

Ukazał się świeżo zeszyt „Prac komitetu statystycznego warszawskiego" poświęcony „Ludności 10 gubernji Królestwa Polskiego na dzień 1 stycznia 1908 r.".

W cyfrach stan ludności w Królestwie, według danych w zeszycie zawartych, przedstawiał się w sposób następujący:

Na 1 stycznia 1908 r. było ogółem w Królestwie mieszkańców stałych i niestałych 11,687,853.

Według wyznania ludność ta dzieliła się w sposób następujący:

W r. 1908 w miastach Królestwa było: katolików 1,158,557 osób czyli 46 proc., ewangelików 162,106 czyli 6,5 proc., marjawitów 60,103 czyli 2,4 proc., prawosławnych 89,700 czyli 3,6 proc., innych wyznań chrześćjańskich 8,502 czyli 0,3 proc., żydów 1,021,772 czyli 40,8 proc., innych wyznań niechrześćjańskich 1,284 czyli 0,1 proc.

W osadach w r. 1908 było: katolików 497,716 czyli 49,2 proc., ewangielików 20,768 czyli 2,1 proc., prawosławnych 20,400 czyli 2,0 proc., marjawitów 2,616 czyli 0,2 proc., innych wyznań chrześćjańskich 231 osób, żydów 470,117 czyli 46,2 proc.

W wsiach było: katolików 7,143,915 dusz czyli 87,4 proc., ewangielików 402,275 czyli 4,9 proc., marjawitów 25,707 czyli 0,3 proc., prawosławnych i staro obrzędowców 360,895 czyli 4,4 proc., innych wyznań chrześćjańskich 16,447 czyli 0,2 proc., żydów 223,175 czyli 2,8 proc.

Ogółem w Królestwie było: katolików 8,800,208 osób, czyli 75,29 proc., ewangielików 585,229 czyli 5,1 proc., prawosławnych i staroobrzędowców 471,003 czyli 4,03 proc., marjawitów 88,416 czyli 0,76 proc., innych wyznań chrześćjańskich 25,200 czyli 0,21 proc., żydów 1,716,064 czyli 14,68 proc., innych wyznań niechrześćjańskich 1,713 czyli 0,02 procent.

Gęstość zaludnienia wyraziła się w liczbie 108 ludzi na jedną wiorstę kwadratową, procent przyrostu ludności wyraził się w cyfrze 1,6.

Stan ludności w poszczególnych gubernjach przedstawia się w sposób następujący:

W Warszawie 751,596 i w gubernji warszawskiej bez Warszawy 1,650,793:

w gub.	kaliskiej	1,159,814
„	kieleckiej	955,894
„	łomżyńskiej	623,651
„	lubelskiej	1,497,033
„	płotrkowskiej	1,812,521
„	plockiej	677,955
„	radomskiej	1,048,346
„	suwalskiej	628,770
„	siedleckiej	931,482

Obecnie w obrębie Królestwa znajduje się: 1284 gminy, 359 osad i 110 miast.

Gmin lub miast z ludnością poniżej 1000 w Królestwie nie ma.

Z ludnością od tysiąca do dwóch — jest trzy gminy. Gmin zaś i miast z ludnością od 2 do 15 tysięcy jest 1356. Gmin i miast z ludnością od 15 do 30 tysięcy jest 23, z ludnością od 30 do 50 tysięcy jest — 10 i od 50 do 60 tysięcy — 2. Wreszcie gmin i miast z ludnością powyżej 60 tysięcy jest 6, w tem miasta: Lublin (62,394), Częstochowa (66,961), Łódź (341,416), i Warszawa (751,595).

Dyety poselskie.

W Anglji toczy się obecnie ożywiona dyskusja z powodu projektu wyznaczenia dyet poselskich członkom obu Izb prawdawczych, którzy dotychczas wykonywali bezpłatnie swoje mandaty.

Ciekawe są następujące szczegóły o wynagradzaniu pracy poselskiej w państwach konstytucyjnych: We Francji pobierają posłowie rocznie 15, 000 franków; do niedawna pobierali 9000 fr.; podwyższenie zaś tej kwoty na 15,000 fr. wywołało żywą niechęć, tem bardziej uzasadnioną, że posłowie mogą oprócz tego za cenę 5 fr. jeść i pić tyle, ile im się podoba w doskonale urządzonym bufecie Izby. Na Węgrzech pobierają posłowie 4800 kor rocznie i 1600 kor. kwaterowego. W niemieckim parlamencie, gdzie do niedawna nie było wcale dyet, wypłacają posłom rocznie po 3 tysiące marek, przyczem jednak odlicza się po 20 marek za każdy dzień nieobecności na posiedzeniach plenarnych. W belgijskiej Izbie posłów wynosi ryczałt 4000 fr. rocznie; w niderlandzkiej Izbie niższej 2000 koron niderlandzkich, to jest około 2500 mk. W Izbie niższej królestwa Szwecji wynosi pensja poselska za zwyczajną 4 miesięczną sesję 1200 kor. szwedzkich, oprócz tego zaś po 20 kor. szwedzkich za każdy dzień nadzwyczajnej sesji. W Izbie niższej kongresu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej wypłacają posłom ryczałty w bardzo wygórowanej kwocie 7500 dolarów rocznie, to jest około 32.000 mk., ale też tam udział w kongresie uważany jest oddawna jako interes „bussiness". Prócz tego otrzymują posłowie po 135 dol. rocznie na rekwizyta do pisania. Wreszcie w japońskiej Izbie przedstawicieli wznosi rocznie pauszal 2000 jenów, tj. około 4000 mk.

System drugi, dyety dzienne, ma zastosowanie: w pruskiej Izbie posłów, po 15 mk. przez czas trwania sesji; w szwajcarskiej radzie narodowej (Izbie posłów), po 20 fr. za każdy dzień obecności, posłowie zaś, którzy są zatrudnieni w komisjach, otrzymują drugie 20 fr. dziennie.

W norweskiej Izbie niższej po 12 kor. norweskich dziennie; w Dumie rosyjskiej po 10 rubli dziennie przez czas sesji, z odliczeniem płacy za dni nieusprawiedliwionej nieobecności; w sejmie galicyjskim po 10 kor. dziennie itd.

Żadnych dyet nie pobierają członkowie Izby gmin w Anglji, Izb poselskich we Włoszech, Hiszpanji i Portugalji. Natomiast we wszystkich państwach z wyjątkiem Anglji, mają posłowie znaczne ulgi na kolejach. We Francji otrzymują od 1 stycznia 1905 r. byli posłowie, a nawet wdowy i sieroty po nich, emerytury z osobnego funduszu, do którego sami płacą składki, a który zasilany także bywa darowiznami i legatami.

Na osobną wzmiankę zasługują pobory prezydjów parlamentarnych. W Austrji pobiera prezydent Izby po 40 K, a każdy wiceprezydent po 20 K dziennie przez cały rok. Prezydent węgierskiej Izby deputowanych pobiera oprócz zwykłych i kwaterowego, roczne honorarjum w kwocie 24 tysiące koron.

Prezydent francuskiej Izby poselskiej otrzymuje oprócz zwykłej pensji deputowanego jeszcze na reprezentację 72 tysięcy franków rocznie i wspaniały apartament w gmachu parlamentu „Palais Bourbon", w którym mieszkać musi.

Prezydent angielskiej Izby gmin pobiera rocznie 5000 funtów szterlingów, oprócz tego 1000 funtów przy objęciu urzędowania na urządzenie się: srebra stołowe do dyspozycji, osobne wynagrodzenie za rekwizyta do pisania, wspaniały apartament, w którym mieszkać musi, w gmachu parlamentu (pałac Westminsterski). Po złożeniu urzędowania otrzymuje honorowy dar 4000 funtów rocznie dożywotnie i bywa powołany do Izby lordów. Prezydent Izby posłów Stanów Zjednoczonych pobiera zamiast pensji poselskiej rocznie honorarjum w kwocie 12 tysięcy dolarów.

Żadnych honorarjów, ani pieniędzy na reprezentację nie pobierają prezydenci niemieckiego parlamentu i pruskiej Izby posłów, lecz otrzymują jedynie obszerne i z komfortem urządzone mieszkania urzędowe.

Rozmaitości

Prostytucja w Petersburgu. Dnia 14 maja, w Petersburgu, dr. Zacharow wygłosił referat p. t. „Prostytucja w Petersburgu i walka przeciwko spychaniu kobiet w odmęt rozpusty".

Według zebranych przez referenta danych, 1 stycznia 1909 r. było w Petersburgu zaregistrowanych prostytutek 3240. Jedna z nich miała 14 lat, 55 po 16, najstarsza zaś miała 33 lata. Sześć ukończyło progimnazjum, — 14 gimnazjum. Największy procent prostytutek stanowią służące domowe i szwaczki. Według słów prostytutek — w 31 wypadkach zepchnęli ich na drogę upadku wojskowi, w 64 — robotnicy, w 33 — słuchacze wyższych zakładów naukowych. Jedna z prostytutek utraciła niewinność, mając 5 lat, 1 — 10 lat, 1 — 11 lat, 6 — 12 lat, 30 — 14 lat, 84, mają 15 lat, i t. d.

* * *

Niezwykłe wykopaliska w Pompei. Z Rzymu donoszą, że w pobliżu Pompei wykopano willę, która należy do najlepszego tak zwanego drugiego stylu pompejańskiego a pod względem przepychu i zdobnictwa przewyższa najwspanialsze wille Pompei. Szczególnie zachwycające mają być freski.

Kopanie odbywa się kosztem szwajcarskiego hotelarza, Itema, który otrzymał na to zezwolenie dyrektora wykopalisk pompejańskich. Gdy o wykopalisku dowiedział się zastępca rządu, kazał natychmiast wstrzymać prace, aby przedmioty znajdujące się w willi, nie zostały skradzione lub sprzedane jak się to już niejednokrotnie stało.

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt VI na czerwiec. Treść: Część pierwsza: 1. (f): O człowieka. — 2. J. Kwiatek: Pisma Słowackiego treści ideowo-politycznej. — 3. Ludwik Kulczycki: Legiendy luksemburskie. — 4. K. Stefański: Niepodległość Polski. — 5. Junius: Współcześni politycy polscy. VII. Wł. Żukowski. — 6. Prof. J. Baudouin de Courtenay: Epidemja krwiożerczości. — Przegląd: I. Z prasy. II. Dr. Z. D. G.: Przegląd ekonomiczno-społeczny. — III. H. Orsza: Z ruchu oświatowego. IV. Junius: Z trzech zaborów. (Obecny stan polityki narodowo-demokratycznej). — 7. Sprawozdania literackie.

Część druga: 1. St. Przybyszewski: Kartki z powieści. — 2. K. Błeszyński: Debiuty nowelistyczne. — 3. Józef Strasz: Trzy djalogi. — 4. M. Rakowska: List angielski. — 5. St. Maykowski: Z cyklu „Wrzosowisko". — 6. Marion: Kocham... — Przegląd: I. J. Kleczyński: Słowacki w Warszawie. II. L. Kowalski: Ze sztuki „Sztuki". III. Masque: Teatr poznański. IV. L. K.: Z Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych. V. Tad. Bezimienny: Ze sztuki i z życia. VI. Kaëm: Echo lwowskie. — 7. Sprawozdania: Nowe książki krytyczno-literackie. — W. Feldman: Oświadczenie.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

Promyk. Treść nr. 9. Janusz Korczak: Joski, Moski i Srule — Marja Markowska: Moje skrzypki. (wiersz). — Marja Hantowerówna: Prawdziwa bajka. — H. O.: Jak przemyślny Lestek został wojewodą. — Zofja Wójcicka: Kwiat paproci. — Władysław Anczyc. — F. Lazarusówna: Na Maciejówce. — Według Ilzy Frapan opr. J. M.: W suterynie i na poddaszu. — Janina Porazińska: Przygoda żabek (wiersz). — Wesoły kącik. — Zagadki. — Rozwiązania. — Odpowiedzi od Redakcji.

Adres administracji „Promyka": Kraków, ul. Gołębia 4. Kwartalnie 2 korony (1.70 mk.).

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 24. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 12 czerwca 1909.

ŁOCHWICKA.

A tam-gdzieś...

I wichru jęk... i szmer posępnych dum...
I życia szary mrok...
A tam gdzieś — skwar... i morza cichy szum...
I w słońcu tonie wzrok...

I huczy wichr... i wzbiera w sercu ból
Tajonych długo łez...
A tam-gdzieś... mirt — zielony buja mirt —
I wonny kwitnie bez...

Przemija dzień... bezbarwny, marny dzień —
Bez wrażeń i bez ech...
A tam-gdzieś... ruch... i życia kipi nurt —
I piękna blask... i śmiech...

Tłom. M. Zabłocka.

Troski i nadzieje wielkich ludzi.

(Przedruk z „Wiedzy“.)

Nie ustaje ani na chwilę ruch naukowy, mający na celu zebranie wszystkich materjałów, przy których pomocy uda się z czasem napisać umiejętną biografję Karola Marxa. Wielokrotnie wypędzany z różnych krajów z Niemiec, z Belgji, z Francji, wszędzie aż do ostatecznego osiedlenia się w Londynie, pędząc tymczasowy żywot politycznego emigranta, wszędzie mimo to czynny, zabiegliwy agitator, jednający sobie stronników, polemizujący z przeciwnikami, organizujący nad Renem dziennik demokratyczny i rewolucyjny, a w Londynie Międzynarodówkę — wszędzie, gdzie żył i dokąd go prowadziły losy, Karol Marx nawiązywał liczne osobiste stosunki, które nie zawsze urywały się z biegiem czasu. Niektóre trwały długie lata; były takie, które dopiero śmierć zamknęła na zawsze. Stosunek osobisty podtrzymywała korespondencja, niekiedy urzędowa tylko, to znowu prywatna, bliska aż do zwierzeń dochodząca. Powoli, przechowywana do niedawna przez korespondentów albo ich spadkobierców, staje się własnością ogółu, ogłaszana w druku po czasopismach i w zbiorach specjalnych. Odsłania nam nieznane dotychczas strony charakteru Marxa i jego najbliższych przyjaciół, przynosi nowe szczegóły, często poucza nas, często też wzrusza bezpośredniością zwierzeń. Korespondencja w ostatnich kilku latach ogłoszona w Niemczech ze zbiorów pozostałych po trzech z najstarszych przyjaciół Marxa, po Sorge'm i Weydemeyer'ze — emigrantach 48-go roku zmarłych za oceanem — i po dr. Kugelmann'ie z Hanoweru, przynosi wiele ciekawego i ważnego materjału biograficznego i z ważniejszymi momentami stosunków osobistych Marxa, w których odbijają się stosunki świata, dążenia, nadzieje i rozczarowania najlepszych ludzi owego czasu, chcę zapoznać czytelników naszych. W artykule niniejszym zużytkowuję tylko szczegóły zawarte w listach, pisanych do osób wymienionych. Inne źródła zużytkuję później. Listy do Sorgego ogłoszone zostały przez Mehringa w oddzielnym zbiorze w roku 1906 („Briefe von Becker, Dietzgen, Engels, Marx an F. A. Sorge“, Stuttgart 1906); listy do Weydemeyera i Kugelmanna ujawnione zostały w tygodniku „Neue Zeit“ w ostatnich latach. Podajemy poniżej nietylko listy Karola Marxa, ale i kilka ustępów z korespondencji jego żony, a także najbliższego przyjaciela Engelsa.

Wydalony z Niemiec i Belgji, przyjęty przez rząd tymczasowy republiki francuskiej, Marx nie znajduje na bruku paryskim utrzymania materjalnego. Wciąż walczy z nędzą. Ostatnie fundusze swoje i żony poświęcił na wydawnictwo „Gazety Reńskiej“; współwłaściciele pisma przyrzekli zwrot tych wyłożonych pieniędzy. Nie może zapewnić się, aby przyrzeczenie wykonali. Nosi się z różnymi projektami wydawniczymi, których jednak brak środków i rozpoczynające się we Francji rządy reakcji nie pozwalają w czyn wcielić. W lipcu prosi Weydemeyera, który wydawał jeszcze podówczas „Westfälisches Dampfboot“, aby mu się postarał o paręset talarów w celu wykupienia pozostałych egzemplarzy „Nędzy filozofji“ i zarządzenia edycji ponownej, która, jak mniemał, miałaby w owym czasie więcej powodzenia. Nic nie wyszło z tego projektu, jak również z innego jeszcze pomysłu wydawniczego. Zamierzał bowiem Marx ogłosić w postaci broszur niektóre artykuły, drukowane w „Gazecie Reńskiej“. Ogłoszane później, miały artykuły te znaczne powodzenie; wydawane po dzień dzisiejszy nie przestają znajdować czytelników, tłomaczone i po 60 latach nie utraciły siły agitacyjnej. Podówczas dla braku kilkuset franków uwięzione być musiały w lamusie „Gazety Reńskiej“...

Reakcja francuska, zarzucając czarną swoją gęstą siatkę na pasiekę rewolucyjną w Paryżu, gdzie osiadały pracowite roje rewolucjonistów całego świata — nie oszczędziła Marxa, nie był przecie szerszeniem-filistrem. Już w grudniu pisze do Weydemeyera z prośbą o pomoc z Londynu. Rozpoczynają się najcięższe jego lata, lata prawdziwie głodowe. Kilkoro drobnych dzieci w domu, zarobku prawie żadnego, Engels sam jeszcze nic niema, przyjaciele daleko, sami rozbici i do ciężkiej taczki przykuci, trawieni nędzą i kłótniami emigranci wokoło. List jego żony Jenny (Dżenny) Marx, do Weydemeyera, szlachetnej, pełnej poświęcenia idealistki, wychowanej w arystokratycznej rodzinie ministra niemieckiego, wbrew woli najbliższych małżonki rewolucjonisty, skazanej na wieloletnią nędzę i tułaczkę — odsłania nam rąbek ciężkiego żywota, które wiódł w tych latach Marx na niegościnnym bruku londyńskim.

20 maja 1851 r. pisze Jenny Marx do Weydemeyera: „Rok już blisko minął od chwili, kiedy zaznałam tyle gościnnego przyjęcia od pana i żony jego i od czasu, kiedy się tak dobrze czułam w domu waszym; przez cały ten czas nie dałam znaku życia o sobie. Milczałam, kiedy żona pana tak przyjaźnie pisała do mnie; pozostałam niemą, gdy doszła do nas wiadomość o przyjściu na świat dziecka waszego. Milczenie moje często i mnie przykrość sprawiało,

jednak przeważnie byłam przez cały czas niezdolną do pisania — a i dziś jeszcze z trudnością mi to przychodzi.

Jednak warunki — każą mi wziąć pióro do ręki — zechciej Pan, proszę, pieniądze, zainkasowane dla pisma, wysłać możliwie prędko. Potrzebne nam są nadzwyczajnie. Nikt chyba zarzucić nam nie może, abyśmy wiele hałasu wyprawiali z powodu ofiar od lat ponoszonych, publiczności nie zaprzątaliśmy uwagi osobistemi naszemi sprawami. Mąż mój jest bardzo czuły w tych rzeczach i raczej wszystko do ostatniego grosza poświęci, zanim zgodzi się żebrać w wielkim demokratycznym stylu, jak to czynią wielcy oficjalni mężowie. Miał jednak prawo spodziewać się po przyjaciołach swoich, że poprą jego „Przegląd". Dotyczy to w szczególności przyjaciół kolońskich. Mianowicie, w Kolonji najlepiej wiedziano o jego ofiarach dla „Nowej Gazety Reńskiej". Niestety, z powodu niedbałej, nieporządnej administracji przedsiębiorstwo zostało doprowadzone do zupełnej ruiny i niewiadomo co było najszkodliwsze czy niadbalstwo księgarza albo administratorów i znajomych w Kolonji, czy też zachowanie się demokracji.

Mąż mój ledwo nie został przywalony tutaj drobnemi troskami życia i to w sposób tak okrutny, że trzeba było całej jego energji, całego jego spokojnego, jasnego poczucia siły, aby go w tych walkach codziennych i co godzina staczanych, na powierzchni utrzymać. Pan wiesz, panie Weydemeyer, jakie ofiary poniósł mój mąż dla „Gazety". Wpakował w nią tysiące, przejął własność „Gazety", okrzyczany przez demokratycznych filistrów w czasie, gdy już mało było widoków na powodzenie. Ażeby uratować honor polityczny dziennika i honor osobisty przyjaciół kolońskich, pozwolił narzucić sobie wszystkie ciężary, oddał wszystkie dochody, wyjeżdżając pożyczył 300 talarów, ażeby opłacić komorne i honorarja redaktorów — pomimo, że został wydalony przez rząd. Panu wiadomo, żeśmy nic nie zachowali, pojechałam do Frankfurtu, abz zastawić moją srebrną zastawę z wyprawy; w Kolonji kazałam sprzedać meble. Mąż mój, gdy zaczął się okres kontrrerowolucji, udał się do Paryża, a ja za nim z trojgiem dzieci. Zaledwie stanęliśmy w Paryżu, wydalono nas znowu, nawet mnie i dzieciom nie pozwolono zostać w Paryżu. Udałam się za mężem do Londynu. Zaledwie jesteśmy tam miesiąc, gdy przychodzi na świat czwarte dziecko nasze. Trzeba panu znać Londyn i warunki życia w tem mieście, aby zrozumieć, co to znaczy: troje dzieci i narodziny czwartego. Samo komorne wynosiło 45 talarów miesięcznie. Nasze kapitały wyczerpały się prędko, w szczególności, gdy „Przegląd" zaczął wychodzić. Pomimo przyrzeczeń i układów pieniądze nie nadchodziły wcale, albo w drobnych tylko sumach; popadliśmy w straszną nędzę.

Opiszę Panu jeden dzień tylko takiego życia i zobaczysz Pan, że niewielu może tułaczy przeżyło podobne. Mamki są tu niedostępne, postanowiłam tedy pomimo ciągłego bólu w piersiach i w płucach karmić dziecko sama. Biedny aniołek jednak łykał wraz z mlekiem tyle mojej troski i cichego zmartwienia, że nie przestawał chorować; męczył się dnie i noce. Od czasu, jak żyje, nie przespał jeszcze jednej nocy, co najwyżej 2—3 godzin. W ostatnich czasach zaczął chorować na kurcze, stan jego to wieczne pasowanie się śmierci z najnędzniejszem życiem. Będąc chorym, ssał tak mocno, że ranił mu mi wciąż piersi i często zamiast mleka drżące usteczka wypełniały się krwią matczyną. Siedziałam tak pewnego dnia, gdy weszła gospodyni nasza, dzierżawczyni domu, w którym mieszkaliśmy. Otrzymała od nas w ciągu zimy 250 talarów. Co do reszty stanęła między nami umowa, że zapłacimy ją jej landlordowi (właścicielowi domu), który ją kazał licytować. Wyparła się umowy i żąda, abyśmy natychmiastowo zapłacili pozostałe 5 funtów (100 mk.), a gdy ich nie mieliśmy pod ręką, weszło do mieszkania dwu komorników, opieczętowali wszystko co było w mieszkaniu: łóżka, pościel, suknie, kołyskę dziecka, zabawki dziewcząt, które zalewały się łzami. Gdybyśmy w ciągu dwu godzin nie zapłacili długu — grożą że wszystko sprzedadzą na pokrycie należności. Nasz przyjaciel Schram biegnie do miasta po pomocy. Siada do kabrjoletu, ponoszą go konie, wyskakuje z powozu, łamie nogi, przynoszą go nam do domu, zalanego krwią. Rozpacz nasza, płacz drżących ze strachu dzieci — nie miały, zdaje się, granic.

Nazajutrz musieliśmy dom opuścić. Dzień był zimny i dżdżysty. Karol szuka mieszkania. Nikt nas przyjąć nie chce, gdy tylko wspomni, że przyjdziemy z czworgiem dzieci. Przychodzi z pomocą przyjaciel. Sprzedaję prędko łóżka nasze, aby z otrzymanych pieniędzy zaspokoić aptekarza, piekarza, mleczarza, rzeźnika; wszyscy pod wpływem wiadomości o licytacji zbiegli się z nieopłaconymi rachunkami. Cóż się dzieje? Wóz zajeżdża przed dom. Zaczynają rzeczy ładować. Tymczasem zachodzi słońce. Wychodzi przed dom gospodyni i oświadcza, że nie pozwoli ruszyć się z miejsca. Mogliśmy na wóz i jej rzeczy naładować, chcemy przecie emigrować do obcego kraju. Nie mija dwu minut, gdy przed domem tłoczy się dwieście do trzystu ludzi, urwisy z całego Chelsea. Trzeba wyładować znowu i nazajutrz po wschodzie słońca pakować nanowo. Po zaspokojeniu rachunków przenieśliśmy się do dwu izdebek w niemieckim hotelu 1, Leicester Street, Leicester Squary, gdzie za $5^1/_2$ funtów tygodniowo przyjęto nas jak ludzi.

Wybacz Pan, drogi przyjacielu, że tak szeroko opisałam jeden dzień naszego życia tutaj; nieskromnie to — wiem o tem; musiałam jednak dziś wieczór wypłakać serce swoje przed najstarszym, najlepszym i najwierniejszym przyjacielem. Nie myśl Pan, że mnie te drobne cierpienia złamały; wiem dobrze, że w walce nie jesteśmy odosobnieni — i że ja należę przecie do wybranych, gdy mąż mój, droga podpora życia mego, jest u mego boku. Co jednak najbardziej mnie nęka, co krwawi serce moje, to życie męża, wypełnione drobnemi troskami; tak mało trzeba, aby mu pomóc, a jednak on, który tylu ludziom i tak chętnie pomagał, był tu — pozbawiony zgoła pomocy. Nie sądź Pan, abym kogo winiła. Jedynie czego mąż mój mógł żądać, było więcej zajęcia się „Przeglądem". Jestem tak dumna i twierdzę, że to mu się należało. Niktby na tem nie stracił. To mnie boli. Mąż jednak myśli inaczej. Nigdy jeszcze, w najgorszych nawet chwilach nie stracił pewności i wiary w przyszłość, nie zgubił nawet humoru i był zupełnie zadowolony, gdy widział uśmiech na mojej twarzy i wesołe twarzyczki dzieci. Nie wie wcale, panie Weydemeyer, że ja tak obszernie panu piszę o losie naszym; zachowaj pan te wiadomości dla siebie. Wie tylko, że w jego imieniu proszę pana o zainkasowanie i przesłanie pieniędzy możliwie prędko".

Wiadomości, zawarte w tym szczerym i smutnym dokumencie, uzupełnia następujący ustęp, napisany przez Jenny Marx w jej dzienniku na wiosnę 1852 r.

„Na Wielkanoc zachorowała nasza biedna Franciszka (najmłodsze dziecko, urodzone rok wcześniej w Londynie). Ciężkim złożone bronchitem walczyło biedne dziecko z śmiercią. Tak wiele cierpiało. Drobne bezduszne ciało spoczywało w tylnej izdebce, wszyscyśmy musieli pomieścić się w pierwszej, a gdy noc nadeszła, ułożyliśmy się wszyscy do snu na ziemi. Troje żywych dzieci leżało koło nas i wszyscy opłakiwaliśmy śmierć naszego aniołka, który zimny i zsiniały spoczywał w uaszym pobliżu. Śmierć dziecka spadła na nas w okresie najstraszniejszej nędzy naszej. Pobiegłam do emigranta francuskiego, który mieszkał w sąsiedztwie i który niedawno nas był odwiedził. Ofiarował mi z wyrazami szczerego współczucia dwa funty szterling. Przy ich pomocy zapłaciliśmy trumnę, w której teraz biedne dzieciątko moje spoczywa w spokoju. Nie miało kolebki, gdy na świat przyszło, i długo nie posiadało oddzielnego grobu. Cóżeśmy czuli, gdy je wynoszono na cmentarz..."

W takich warunkach pracował wielki autor „Kapitału" nad znakomitem dziełem swojem. W. S.

(Dokończenie nastąpi.)

Tępcie muchy!

Dr. L. C. Howard, profesor w Ameryce, zajmujący się badaniem życia i rozwoju owadów, wykrył, że prawdziwym wrogiem ludzkości jest mucha domowa, czyli jak on ją nazywa, mucha tyfusowa.

Ów napozór nieszkodliwy owad, który można spotkać prawie we wszystkich częściach świata, a który dotąd uważany był powszechnie za więcej dokuczliwy niż szkodliwy, jest rozsadnikiem wszelkiego rodzaju zaraźliwych chorób. Więc też w Anglji, Francji i w Stanach Zjednoczonych, gdzie każda nowa a pożyteczna idea szybko się przyjmuje, postanowiono tępić muchy wszelkimi sposobami.

Mucha, jako lubowniczka wszelkiego rodzaju zgnilizny (tam się lęgnie, i tam chętnie przebywa), prowadzi swoją zabójcz dla rodu ludzkiego robotę w następujący sposób:

Ciało i nogi muchy pokryte są krótkimi włoskami, do których przyczepiają się mikroby, czyli zarazki chorobotwórcze, pozbierane z miejsc, w których mucha niedawno przebywała, czy to na rozkładających się odpadkach i padlinach, lub też na zaraźliwie chorej osobie. Wprost nie nie do uwierzenia, że zarazków takich pomieścić się może na jej małem ciele od 550 do 6 miljonów. Pełna zarazków osiada mucha na naszem czole lub też policzku, a poruszając skrzydełkami, rozsiewa owe zarazki po naszej twarzy, przez co około kilka tysięcy mikrobów przy wdychaniu dostaje się do naszego organizmu.

Robota jej jednak jeszcze nie jest skończoną. Mucha posiada ssawkę, czyli języczek rozdzielony na dwie części, silnie do siebie przylegające w czasie spoczynku.

Ta to ssawka jest najniebezpieczniejszą dla człowieka.

Dłubiąc zgniliznę i z niej biorąc odżywienie, mucha używa do tego swej ssawki, w której po każdej takiej uczcie pozostają tysiące mikrobów. Z ssawki mikroby przedostają się do jej żołądka, nie szkodząc jednak wcale musze, rozmnażając się w żołądku dopóty, dopóki go zupełnie nie wypełnią. Wtedy mucha, siadając na jakimś przedmiocie (najczyściej na chlebie! mięsie lub wogóle na jakimś produkcie spożywczym), pozostawia tu i owdzie czarne plamki. Jeśli na plamkę taką spojrzymy przez mikroskop, zobaczymy, że zawiera ona miljony bakcyl tyfusowych, cholerycznych, tuberkulicznych, lub trądu (w krajach, gdzie trąd grasuje).

Bakcyle tuberkuliczne wyssane przez muchę z plwocin suchotnika i pozostawione na produkcie spożywczym w formie czarnej plamki, podług doświadczeń dr. L. C. Howarda, zachowują swój jad przez najmniej 15 dni. Człowiek, który spożyje ów produkt, przenosi zarazki do swego organizmu, w którym zaczynają one zabójczą pracę.

Gdzie tylko są muchy, tam nie brak chorób zakaźnych.

Dowiedziono, że najwięcej wypadków tyfusu pochodzi najpierw z nieczystej wody i mleka a potem od much, jako roznosicielek tej choroby.

Gdy w lecie 1898 wybuchła epidemja tyfusu w obozowiskach wojskowych w Stanach Zjednoczonych, rząd wyznaczył specjalną komisję lekarską celem wykrycia przyczyny. Komisja ta orzekła, że muchy były głównym powodem rozszerzania się tej choroby, a to przez wniesienie zarazków tyfusowych do pożywienia. Tam, gdzie namioty i artykuły spożywcze były zabezpieczone siatkami, liczba chorych była uderzająco mniejszą.

Letnia biegunka, której rok rocznie padają ofiarą dzieci rodziców niezamożnych, również w większej części pochodzi od much.

Straszna choroba w Afryce zwana „śpiączką", z której bardzo mało ludzi przychodzi do zdrowia, pochodzi także od muchy zwanej „Tsetse".

Oftalmja, choroba, kończąca się często utratą wzroku u mieszkańców dolnego Egiptu, rozszerza się tam tylko dla tego, iż mucha przenosi zarazki na zdrowych ludzi.

I nie tylko dla ludzi mucha jest wrogiem, ale zabójcza jej działalność rozciąga się na zwierzęta domowe i bydło.

Rodzaj muszy jest wprost przerażającym naszym nieprzyjacielem, nie tylko ze względu na szkodliwość, ale także ze względu na szybkość, z jaką się rozmnaża.

Jedna mucha znosi około 120 do 150 jajek. Ponieważ do rozwoju muchy potrzeba tylko 11 dni, przeto w ciągu lata z każdego jajka może wyjść od 12 do 14 pokoleń, a w czasie, kiedy ostatnia gieneracja wylęga się, liczba much dochodzi już do kwintyljonów.

Jedyny sposób zapobieżenia rozmnażaniu się much, jest utrzymywanie absolutnej czystości. Gdzie panuje czystość w domu i około domu, tam mucha nie ma racji bytu. I na odwrót: w domu, którym unoszą się całe chmary mucu, tam napewno nie ma czystosci, a ilość much daje bardzo złe świadectwo gospodyni domu.

Baczną uwagę trzeba zwracać na naczynia z odpadkami kuchennemi itp. Odpadki te powinny być możliwie szybko zniszczone, a jeżeli tego zrobić nie można, w takim razie należy zalać je jakimś płynem desinfekcyjnym. Naczynia z odpadkami powinny być szczelnie przykryte.

Czy nie jest to wprost zbrodnią z naszej strony, że tej kreaturze, wylęgłej w zgniliźnie i pełnej zarazków pozwalamy tak bezkarnie wdzierać się do naszych domów i rozsiewać choroby, od których nieraz moglibyśmy się ustrzec?

Nie znając jej, cierpieliśmy nieświadomie, ale kiedy znamy jej wrogą działalność, ratujmy się i tępmy ją bez miłosierdzia.

Tępić można muchy w różny sposób przez proszki — papier zatruty, który się cukrem posypuje — przez szkła odpowiednio zbudowane a najnowszym sposobem tępienia w pokojach są łapki na muchy w różnych kształtach rozciągające się jak harmoniki lub podobne do wieży. Całe są obciągane masą lepiącą, która wskutek woni i słodyczy je przyciąga.

Rozmaitości

Konsumcja chleba. Statystyk Sumberg obliczył, ile chleba konsumują różne narody. Do r. 1890 pierwszeństwo dzierżyła Francja, gdzie na jednego mieszkańca przypadało 258 klgr. chleba rocznie, potem Danja 256, Belgja 240, Niemcy 211, Szwajcarja 205, Holandja 201, Rosja 173, Austrja 155, Portugalja 107 klg. — wszystko na jednego mieszkańca. Od tego czasu jednak zwiększył się apetyt, gdyż według słatystyki spożyto w zeszłym roku, licząc na głowę — w Danji 287 klg. w Belgji 274, we Francji 254; na czwartem zaś miejscu stoją Niemcy z 230 klg., a dalej Szwajcarja 212 klg. W innych krajach waga spożytego chleba w ciągu roku przez jednego mieszkańca nie przenosi 200 kilogramów.

* * *

Technika umożliwiła, iż w ręku jedynego człowieka złączyła olbrzymie mocy natury. Olbrzymie siły np. mieszczą w sobie nowoczesne okręty parowe. Maszyny jednego z najnowszych okrętów „Książę Fryderyk Wilhelm" mają 14.000 technicznych sił końskich, które umożliwiają okrętowi poruszyć się z szybkością 19 mil angielkich w godzinie. Zbadano, iż 21 ludzi zdołają to samo zrobić, co jedna techniczna siła końska. Gdyby więc miały ręce ludzkie wykonywać tę samą robotę, co owe powyższe 14.000 technicznych sił końskich, wtedy potrzebaby było 294.000 ludzi ze zdrowymi muszkułami, aby byli w stanie przy bezustannej pracy okręt przewiosłować w tym samym czasie i z tą samą szybkością, co maszyny przez morze. Ponieważ zaś jazda przez ocean trwa co najmniej 7 dni, nie wytrzymaliby ludzie i musieliby się zmnieniać, potrzebaby więc było drugich tyle ludzi, a więc razem 588.000 osób, aby zastąpić maszyny. Okręt, o którym mowa, jest jednym z największych, należących do towarzystwa „Lloyd", lecz nie mieści on w sobie bynajmniej jeszcze największej siły w swoich maszynach. Maszyny następujących parowców pospiesznych są jeszcze silniejsze: i tak parowiec „Cesarzewicz Wilhelm" mieści w sobie maszyny z 35.000, parowiec „Cesarz Wilhelm I" 28.000, parowiec „Cesarz Wilhelm II" 45.000, a parowiec „Cesarzowiczowa Cecylja" mieści w swoich maszynach aż 46.000 technicznych sił końskich. Ostatnio wymieniony parowiec potrzebowałby, gdyby maszyny miały być zastąpione ludźmi 966.000 osób, a ponieważ drugie tyle potrzebowanych by było na zmianę, 1.932.000, a więc blisko 2 miljony ludzi byłyby potrzebne, gdyby miały zastąpić siły maszynowe tego okrętu.

* * *

Elektryczność ze słońca. Z Londynu donoszą: Według wiadomości nadeszłych tu z Bostonu amerykanin nazwiskiem Tode uczynił bardzo ważne odkrycie. Zbudował on przyrząd, którym bezpośrednio z ciepła słonecznego wy-

twarzać można siłę elektryczną. Przyrząd ten składa się z lekkich ram stalowych, w których wnętrzu znajduje się pewna liczba kołeczków metalowych. Jeden koniec każdego kołeczka styka się z płytą szklaną, zaś drugi wystawiony jest na działanie silnego prądu powietrza. Płyta szklana wchłania ciepło słoneczne i rozgrzewa jeden koniec kołeczków, gdy tymczasem drugi oziębia się w prądzie powietrza. Różnica ciepłoty wytwarza prąd elektryczny, którego siła zależy od ilości kółeczków. Sróby z aparatem wydały podobno dobry rezultat. Wynalazek ten, gdyby się okazał niezawodnym, miałby w praktycznem zastosowaniu olbrzymie znaczenie.

* * *

Kłopoty z kalendarzem. Inicjatorzy projektu ograniczenia nadmiernej ilości świąt w Rosji, zachęceni życzliwem przyjęciem, jakiego projekt ich doznał w gabinecie i Izbie wyższej, zamierzają iść obecnie po tej drodze dalej. Opracowali zatem znowu projekt o wprowadzeniu do Rosji kalendarza Gregorjańskiego zamiast dotychczasowego Juljańskiego. Potrzeba ujednostajnienia kalendarza dawała się odczuwać już oddawna, zwłaszcza na kresach zachodnich i północnych: w Królestwie Polskiem, na Litwie i w Finlandji. W Polsce i w Finlandji używany jest styl nowy, a równocześnie w stosunku do władz i ludności rosyjskiej z konieczności stosowany jest styl Juljański. Ta podwójna miara czasu fatalnie wpływa na życie ekonomiczne i handlowe, stwarzając podwójne święta Wielkiejnocy, Bożego Narodzenia itp., a przytem w stosunkach z zagranicą wywołuje ustawiczne nieporozumienia. Ze względu na te trudności ministerstwa wojny, marynarki oraz spraw zagranicznych oddawna używają stylu nowego narówni ze stylem starym Juljańskim. Inicjatorowie tego projektu pełni są dobrej myśli, że uda im się tę reformę nareszcie przeprowadzić.

* * *

Lektura cara. Car ma swoje własne czasopismo, wydawane tylko specjalnie dla niego. Tytuł jego brzmi „Streszczenie informacji departamentu policji". Pismo to jest redagowane przez członków zagranicznego komitetu cenzury, na podstawie informacji, dostarczanych przez policję, a pod naczelnem kierownictwem samego ministra spraw wewnętrznych.

Każdy numer pisma zaopatruje car w odpowiednie uwagi na brzegu, później czyni to samo jeszcze minister spraw wewnętrznych, a wreszcie adjutant cara Hesse, człowiek z całego otoczenia dworskiego najbardziej zbliżony do cara.

Najwyżej zajmuje Mikołaja II walka prowadzona przez rząd przeciwko rewolucji. Zwłaszcza śledzi on bacznie życie rewolucjonistów rosyjskich zagranicą. Często dołączają carowi do jego pisma proklamacje rewolucyjne i odpisy przejętych listów.

* * *

Spożycie mięsa wieprzowego w Niemczech cofnęło się w ostatnim czasie znacznie. Według urzedowej statystyki za pierwszy kwartał r. 1909, oddano w Niemczech na rzeź 10.000 wołów, 16.750 stadników, 20.000 krów i 18.500 sztuk bydła młodocianego, razem 65.000 bydła więcej, niż w tym samym czasie r. z. Ilość zabitych cieląt jest ta sama, co w roku zeszłym, natomiast zmniejszyła się ilość zabitych skopów o 38.000, a świń o blisko 380.000. Wzrost bicia bydła odnosi się głównie do Prus, szczególnie w prowincjach wschodnich. W Prusach zmniejszyła się też najwięcej ilość zabitych świń, prócz tego w Saksonji.

* * *

Analfabetyzm rekrutów rosyjskich. Z raportu rosyjskiego ministerstwa wojny wyjmujemy ciekawe cyfry tyczące się analfabetyzmu w armji rosyjskiej; rekrutów umiejących czytać i pisać jest zaledwie 40,9 proc., umiejących zaś tylko czytać 12,3 proc., reszta zupełni analfabeci. Porównywując te liczby ze statystyką armji niemieckiej, gdzie jest 99,07 proc. rekrutów z elementarnem wykształceniem, w francuskiej zaś 98,63 proc., pojmiemy z łatwością przyczynę główną porażek rosyjskich na Dalekim Wschodzie.

* * *

Największa kobieta na świecie. W panoptikum Castana w Berlinie pokazuje się obecnie olbrzym kobieta, tyrolka Mariedl, która będzie niewątpliwie największą i zarazem najcięższą kobietą na świecie. Mariedl liczy obecnie lat 26, jest 2,45 mtr. wysoką i waży blisko 4 centnary.

* * *

Olbrzymi most. W Nowym Jorku otworzono i oddano do użytku publicznego olbrzymi most, łączący Manchatten z Long Island. Przez most ten przechodzi 8 torów kolejowych, dwa boczne przejścia dla pieszych oraz droga dla wozów 36 stóp szeroka. Most ten jest dwupiętrowy. Na piętrze górnem znajdują się 4 tory dla kolejki górnej i chodniki, oraz droga dla wozów towarowych. Długość rozpięcia mostu wyeosi 3617 stóp.

* * *

Kolej z Londynu do Paryża. Angielski minister Winston Churchill zaakceptował projekt angielskich inżynierów, dotyczący połączenia kolejowego Londynu z Paryżem. Pociągi kolejowe z Londynu wyjeżdżać będą — w myśl tego projektu — w porcie Dower na pokłady potężnych statków i transportowane będą przez kanał La Manche na brzeg francuski. W Calais pociągi dostaną się na szyny kolejowe i pojadą do Paryża. Droga będzie najmniej o półtory godziny krótsza, niż obecnie. W pięciu godzinach będzie można zajechać z Paryża do Londynu lub odwrotnie. Minister Churchil zamierza zmusić kolej południową angielską, by zgdodziło się na ten projekt.

* * *

Skamieniały las. Drzewa skamieniałe napotykać można we wszystkich stronach świata, nigdzie jednak nie znajdują się w tak wielkiej ilości, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, zwłaszcza w dawnej krainie apaszów, w stanie Arizona. Spotkać tam można całe lasy skamieniałe. Spoczywają one przeważnie w piasku, w głębokości kilku metrów.

Czasami wiatry i burze gwałtowne, czasami znów ręka ludzka wydobywa je stamtąd. Jakim sposobem drzewa te skamieniały? — gieologowie dają na to rozmaite odpowiedzi, zasadniczo różniące się między sobą.

Najprawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że kiedyś w owych lasach przedpotopowych wytryskały z pod ziemi źródła gorące, z wodą, zawierające rozmaite krzemiany w stanie rozpuszczonym. Podmyte wodą drzewo padało, a krzem wdzierał się w komórki drzewa; gdy woda wyparowała, krzem został w drzewie, które w ten sposób w kamień się zamieniło.

Pomiędzy drzewami znajdują się przeważnie gatunki iglaste, podobne do naszej sosny.

Z drzewa skamieniałego amerykanie wyrabiają rozmaite przedmioty, odznaczające się prześlicznym połyskiem i rozmaitością barw, od białej, czerwonej, żółtej, niebieskiej, fioletowej, aż do czarnej. Są to skrzynki, gałki do lasek, a nawet stoliki i ławki ogrodowe. Cena tych przedmiotów jest jeszcze bardzo wysoka, gdyż przedsiębiorstwo obrabiania drzewa skamieniałego znajduje się dopiero w zaczątkach rozwoju.

* * *

Dwa arcydzieła szwajcarskie. Na początku maja oddany został w Szwajcarji razem z linją kolejową Filisus Davos do uzytku największy wjadukt kamienny, jaki dotychczas zdołała zbudować technika inżynierska. Olbrzymia budowla wznosi się w pobliżu wioski Wiesen. kuk środkowy wjaduktu ma 55 m. rozpięcia i 90 m. wysokości; trzy łuki dodatkowe mają po 20 m. rozpięcia. Drugiem dziełem szwajcarskiem jest najcieńszy zegarek, wykonany w pracowni pewnego zegarmistrza w Locie. Jak donosi „Neue Züricher Ztg.", jest to zegarek precyzyjny, który przy średnicy normalnej ma razem z kopertą i szkłem tylko 3 milimetry grubości. Zważywszy, że na kopertę i szkło trzeba odliczyć milimetr., pozostaje na mechanizm i wskazówki niespełna 2 mm. Sprężyna ma 0,5 mm. szerokości i porusza mechanizm bardzo skomplikowany. Zegarek wskazuje godziny, minuty i sekundy.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 25. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 19 czerwca 1909.

Troski i nadzieje wielkich ludzi.

(Przedruk z „Wiedzy“.)

(Dokończenie.)

Przejdźmy do spraw ogólniejszej natury.

Marx wbrew temu, co o nim zazwyczaj myślą, był wielkim entuzjastą i optymistą. Nie przestawał nigdy wierzyć w zbliżający się wybuch rewolucji. Każda większa kłótnica w parlamencie czy sejmie, każde żywsze poruszenie umysłów wprowadzało go wnet w nastrój oczekiwania i nadziei. W sejmie pruskim rozpoczyna się walka liberalnej większości z Bismarkiem o przywileje budżetowe parlamentu i wnet spór ten, który się miał zarazem zakończyć zupełną i sromotną porażką liberałów — znajduje oddźwięk w liście do Kugelmanna (28 grudnia 1862): „Oczywiście jesteśmy na drodze do rewolucji, o czem nie przestawałem wątpić ani na chwilę od r. 1850. Pierwszy akt będzie niekoniecznie zachwycającym powtórzeniem błazeństwa z r. 1848—9. Takim atoli jest pochód dziejów świata i trzeba go przyjąć, jakim jest...“ Optymizm ten płynął ze źródeł tak głębokich, że był nieuleczalny. Minął rok 62-gi, Bismarck dokonał anneksji Szlezwiku, szykował się do wojny z Austrją, wciąż nie przestając pobudzać i biczować instynktów zaborczych i szowinistycznych prusaków, nie było zgoła objektywnych danych, świadczących o zbliżającej się „rewolucyjnej godzinie“. Lassale zbliżyć się starał do Bismarka i rządu — a Marx pisał (6 kwietnia 1866) do Kugelmanna: „Czyliż nakoniec zrozumieją nasi filistrzy, że o ile nie zajdzie rewolucja, która zniesie Habsburgów i Hohenzollernów musi przyjść do nowej trzydziestoletniej wojny i do nowego podziału Niemiec!“ Przemawia tu nietylko nieuleczalny optymista, ale i niebardzo przenikliwy polityk, boć przecie wojna szybko zakończona została, a Niemcy nietylko że się nie rozpadły, ale zjednoczone zostały. Minęło znowu lat kilkanaście i w okresie wojny rosyjsko-tureckiej pisał Marx-optymista do Sorgego (27 września 1877): Przesilenie jest nowym punktem zwrotnym w dziejach Europy. Rosja (studjowałem jej stosunki ze źródeł oryginalnych urzędowych i nieurzędowych) już oddawna znajdowała się na progu przewrotu; wszystkie czynniki przewrotu dojrzały. Turcy przyśpieszyli wybuch o lata całe, zadając nieuleczalne rany armji i finansom. Przewrót rozpocznie się, jak należy, od zabawy w konstytucję „et il y aura un beau tapage (i będzie dużo hałasu). Głupstwa (das dumme Zeug), które robią studenci rosyjscy, są tylko symptomatem, same w sobie są te rzeczy bez wartości. Wszystkie warstwy społeczeństwa rosyjskiego znajdują się pod względem ekonomicznym, moralnym i umysłowym w okresie zupełnego rozkładu. Pan Bismarck przyglądał się z rozkoszą walce zabójczej, spostrzegł jednak, że rzeczy zachodzą zbyt daleko. Zbyt osłabiona Rosja nie mogłaby oddać więcej tych usług, jakie oddała Prusom w czasie wojny z Francją, kiedy przy jej pomocy udało się zaszachować Austrję. A gdyby tam wybuchnąć miała rewolucja, gdzież wtedy podzieje się ostatnia gwarancja życia dla dynastji Hohenzollernów? W tej chwili chodzi głównie o to, aby polacy (w Królestwie Polskiem) siedzieli cicho. Oby tylko obeszło się bez powstania w tej chwili! Bismarck natychmiast wkroczyłby do Królestwa... Wtedy wtrąci swoje trzy grosze, jak zbawca Rosji — wtedy Prusy znajdą w Rosji swoją wyprawę meksykańską! Starałem się wbić to rozumowanie w głowy polakom, z któremi mam stosunki a którzy mają wpływ na swoich rodaków“.

Dziś — w odległości trzydziestu lat z górą łatwo ocenić, że całe to rozumowanie było tylko djalektyczną zabawką: z wojny tureckiej Rosja wyszła nietylko osłabiona, ale i ograbiona staraniem Beaconsfielda i Bismarcka. Konstytucji Rosja w tym czasie nie widziała i Marx, który żył do 14-go marca 1883 r., nie dożył chwili odpowiedniej. Wiara w blizki początek zmiany stosunków w Rosji była dogmatem całej emigracji londyńskiej. Engels do końca życia nie przestawał wierzyć, że „za parę miesięcy“ konstytucja rosyjska stanie się faktem i na równi z Marxem wyprowadzał z wojny turecko-rosyjskiej najfantastyczniejsze wnioski. Fakt ten godzien jest zastanowienia. Niewdzięcznemi są wszelkie przepowiednie i od czasów Pytji starogreckiej wiadomo, że trzeba je ubierać w tak cudaczną formę, aby mogły służyć dla każdego użytku i być tłomaczone jak życie będzie chciało. Nigdzie przepowiednie nie są tak trudne jak w stosunku do zjawisk społecznych; nigdzie też, jak w dziedzinie tych złożonych i pogmatwanych, często w skutkach i przyczynach dla współcześnie żyjącego człowieka niezrozumiałych zjawisk błędy nie są tak częste i możliwe. Nie ustrzegł się błędu umysł tak bystry nawet i wyćwiczony a wyszkolony w ciężkich doświadczeniach życiowych, jak Karola Marxa. Ideowi komentatorzy w rodzaju Mehringa starają się błędom tym nadać zgoła swoisty charakter. Marx nie omylił się, zapowiadając wybuch rewolucji na r. 1862. Tylko, że — tak pisze Mehring („Neue Zeit“ XX, 2, 28) — siłą rewolucyjną nie było mieszczaństwo ówczesne (wojujące z Bismarckiem w polityce wewnętrznej), ale „tą siłą rewolucyjną, która doprowadziła do ruiny istniejących stosunków, był Bismarck, to znaczy interes rewolucyjny dynastji Hohenzollernów zrozumiany i wysunięty naprzód...“ Broń nas, Boże, od przyjaciół, gotów zawołać cień Marxa z zaświatów, gdyby mu ten ciemny komentarz wpadł w oko. Nie przynosi on zaszczytu historykowi niemieckiej socjalnej demokracji i lepszym, a także honoru prawdy i Marxa byłoby godniejszem oświadczenie, że się Marx w przepowiadaniu pogody politycznej omylił.

W związku z przepowiedniami Marxa wymienione zostało powyżej nazwisko Lassale'a. Oto w jak surowych słowach charakteryzował Engels genjalnego agitatora (w liście do Weydemeyera 24 listopada 1864):

„Co dotyczy kokietowania Lassale'a z Bismarckiem — to wyprzeć się tego nie sposób. On sam przyznał się do tego w mowie swojej przed sądem przysięgłych w Düsseldorfie wypowiedzianej, którą później wydrukował. Przy wybitnych zdolnościach i zaletach posiadał Lassale żydowskie uszanowanie dla chwilowego powodzenia, co czyniło dla niego niemożliwością nie korzyć się przed Ludwikiem Bonapartem i nie wypowiadać poglądów bonapartystowskich, jakie wygłaszał. Dla ludzi, którzy go bliżej znali, nie było to nic osobliwego. Możesz sobie wyobrazić, jak to dla nas było nieprzyjemnem i samo to jedno wystarczyłoby, aby zerwać stosunki z Lassalem i jego agitacją, pomimo że były i inne jeszcze powody. Jednak minęło to wszystko; niechaj się pokaże, czy jego agitacja była tylko słomianym ogniem, czy

też było poza nią coś głębokiego. („N. Z." r, XXV, t. II, str. 223).

W październiku 1868 r. donosi Marx dr. Kugelmannowi, że ku wielkiemu zdziwieniu swemu otrzymał od księgarza petersburskiego wiadomość, że przekład rosyjski „Kapitału" znajduje się już w druku (oryginał wyszedł 1867 r.). „Ironja losu sprawiła, pisze Marx, że rosjanie, których od lat 25 nie przestaję zwalczać we wszystkich językach, byli zawsze moimi dobrodziejami. 1843–4 nosili mnie w Paryżu na rękach arystokraci rosyjscy. Moje prace przeciwko Proudhonowi (1847), „Krytyka ekonomji politycznej" (1859) nigdzie nie były więcej kupowane, jak w Rosji. I wreszcie pierwszy obcy naród, tłomaczący „Kapitał", są znowu rosjanie. Wszystkiemu temu jednak nie należy przypisywać zbyt wielkiego znaczenia. Arystokracja rosyjska wychowuje się w uniwersytetach niemieckich i w Paryżu. Poszukuje zawsze najbardziej krańcowych opinji i wrażeń, które dać może Zachód. Jest to smakoszostwo, właściwe arystokracji francuskiej XVIII wieku".

Mylił się Marx, przypuszczając, że „arystokraci rosyjscy zajęli się „Kapitałem" i zarządzili przekład w rok po wyjściu oryginału. Historja tego przekładu, nie pozbawiona dramatycznych momentów, dziś jest dokładnie wiadoma. Mikołaj Engelson (pisujący pod pseudonimem Nikołaj-on'a) zajął się bliżej „Kapitałem", wyszukał wydawcę, a tłomacza znalazł w osobie... Mikołaja Bakunina. Przegląd, po długich perypetjach i prawdziwych awanturach, wyszedł znacznie później, bo w r. 1872. Nie zatrzymujemy się dziś bliżej nad tą kwestją, nie chcąc rozszerzać ram artykułu. Należałoby bowiem rozpatrzeć przy tej sposobności stosunek Marxa do Bakunina, złożony nader i niezupełnie, pomimo wielu cennych w ostatnich latach ogłoszonych dokumentów, wyjaśniony. Listy Marxa do Nikołaj-on'a ogłoszone zostały w r. z. i zawierają niejedną ciekawą notatkę. Mówiąc o przekładzie „Kapitału", przepiszmy w tem miejscu z listu Engelsa do Sorgego ustęp, w którym E. przesyła pod datą 26 listopada 1890 r. wiadomość, iż otrzymał z Warszawy polski przekład „Kapitału", wydany w Lipsku pod firmą Kasprowicza.

Z okresu działalności w „Międzynarodówce" zanotujemy ustęp, w którym urażony na przeciwników Marx pisze do Sorgego (9 listopada 1871): „W oczach tych międzynarodowców jest już grzechem, że wpływy niemieckie przeważają w Radzie Gieneralnej..." a w związku z tym mało „międzynarodowem" oświadczeniem posłuchajmy jak Engels skarży się Sorgemu na francuzów (30 grudnia 1893): „Panowie francuzi chcieliby znowu stanąć na czele ruchu. Vaillant (były komunard, obecnie poseł z Paryża do izby deputowanych) wniósł projekt zamiany armji stałej na milicję, a Guesde (wybitny marksista francuski) zamierza wnieść drugi, wzywający do zwołania kongresu europejskiego, który zajmie się sprawą rozbrojenia. Plan polega na tem, aby niemcy i włosi za tym przykładem wnieśli podobne wnioski do swoich parlamentów, poczem naturalnie wydawać się będą naśladowcami kierowniczych francuzów. Co uczyni parę niejasnych (confus) włochów, to pal licho (ist wurst); czy jednak nasi niemcy tak bez zastrzeżeń pójdą na pasku francuzów, to jest mocno wątpliwe. Po zdobyciu stanowiska w dwadzieścia pięć lat trwającej walce i mając za sobą dwa miljony wyborców, mamy prawo przyjrzeć się bliżej smarkaczom (Engels używa silniejszego wyrażenia), którzy nagle chcieliby przewodzić i wykazywać. A to tembardziej, że panowie francuzi są sami bardzo czuli, o ile tylko poczują się dotknięci za sprawą najmniejszego uchybienia przeciwko etykiecie..."

Z powodu przygotowań, czynionych 1887 roku w kierunku zwołania kongresu międzynarodowego w okresie najbliższej wystawy wszechświatowej w Paryżu 1889 r. pisze Engels do Sorgego (16 sierpnia 1887 r.): „Nowa międzynarodówka nie będzie zgoła podobna do starej. Nie będzie to już jednolicie zlutowana masa bez względu na granice terytorjalne, różnice rasy i tradycji zorganizowana, jednemu statutowi normalnemu podlegająca i jeden wyznająca program partyjny, ale nowa międzynarodówka odżyje jak zszeregowanie, powiązanie ściśle zróżnicowanych pod względem narodowym, zarówno teoretycznie, jak taktycznie zgoła niezależnych stronnictw (socjalistycznych), których wspólne, zbiorowe życie ujawni się przeważnie w zwoływaniu kongresów ogólnych. Masy — kończy list ten Engels — dają się wprawić w ruch nie inaczej, jak tylko na drodze właściwej każdemu krajowi i odpowiadającej każdorazowym okolicznościom".

Piękne zdanie, które wpisać winien do notatnika swego każdy centralista.

Z powodu walki, jaka po zniesieniu ustaw przeciwsocjalistycznych w Niemczech toczyła się między większością a mniejszością w partji niemieckiej, pisał Engels (do Sorgego 9 sierpnia 1890 r.): „W Niemczech gotują się do małego skandalu na kongresie. Pan Schippel i inni literaci pragną wytworzyć opozycję. Tego im zabronić nie można. Zarząd partyjny niezręcznie poprowadził walkę, Liebknecht grozi bezustannie wypędzeniem (Herausschmeissen), a Bebel, zazwyczaj taktowny, w gniewie ogłosił w druku trochę niemądry list. Dotknięci krzyczą, że wolność zdania została pogwałcona. Znajdą oddźwięk wśród świeżo nawróconych, którzy dają się jeszcze ogłuszyć frazesami. Zobaczę pewnie Bebla i Liebknechta przed kongresem tutaj i uczynię wszystko, co będą mógł, aby ich przekonać, jak nierozumnem jest wszelkie wypędzanie z partji, nie wywołane czynami, szkodzącemi partji, a oparte na oskarżaniu i szerzeniu opozycji. Największa partja w państwie nie może obejść się bez opozycji; musi objąć wszelkie odcienia; wszystkie odcienia powinny móc się w niej zaznaczyć. Należy unikać pozorów nawet dyktatury „à la Schweitzer" (następca Lassalle'a..."

Większość ówczesna kongresu partyjnego nie poszła za radą mądrego Engelsa. Zastosowała ją w parę lat później, gdy znowu widmo rewizjonizmu płoszyć zaczęło sen z oczu większości partyjnej. Tym głęboko przemyślanym ustępem, posiadającym wartość dla wszystkich czasów i wszystkich terytorjalnie i etnograficznie zróżnicowanych partji socjalistycznych, zakończymy i my rozmowę dzisiejszą z wielkiemi patrjarchami niemieckiego i międzynarodowego ruch robotniczego.

Wik. S.

Dlaczego żądamy skrócenia czasu pracy.

Jednym z najważniejszych żądań, jakie robotnicy od całych lat podnoszą — to żądanie skrócenia czasu pracy. I niestety, mimo że żądanie to jest jednem z najstarszych, bo już w wiekach średnich robotnicy cechowi walczyli o wolne poniedziałki i wogóle skrócenie ilości dni pracy w tygodniu — a dziś w całym cywilizowanym świecie związki robotnicze i robotnicze partje polityczne z niepohamowaną siłą dążą do jak największego skrócenia dnia roboczego, jest dziś jeszcze cała masa robotników, którzy nie umieją należycie ocenić znaczenia, jakie ma dla całej klasy robotniczej każde, choćby najmniejsze skrócenie godzin pracy. W zacofanych okolicach, zwłaszcza tam, gdzie istnieje praca akordowa lub od sztuki, robotnicy uważają częstokroć skrócenie czasu pracy, wywalczone nieraz przez uświadomionych robotników z ogromnym trudem i wysiłkiem, za nieszczęście dla siebie, za ukrócenie ich zarobku, a są i tacy, którzy oświadczają, że wolą dłużej pracować, ponieważ w ten sposób, mając mniej wolnego czasu, mają też mniej sposobności do stracenia pieniędzy. Tymi ostatnimi nie będziemy się zajmować; są to ludzie tak jeszcze zacofani, że myśl ich nie wychodzi jeszcze poza granicę ustawicznej pracy i spania — ci zaś, którzy obawiają się, że skrócenie czasu pracy uszczupli ich zarobku, niech porównają tylko płace robotników, którzy zdobyli sobie krótki dzień roboczy, z tymi, którzy pracują po kilkanaście godzin dziennie, a przekonają się, jak płonne są wszelkie ich obawy.

Żadne z żądań, które w ciągłych walkach o polepszenie swego bytu stawiają robotnicy, nie ma tak doniosłego i trwałego znaczenia, jak właśnie skrócenie czasu pracy. Zdobyte podwyżki płacy można bardzo łatwo odebrać robotnikom przez podniesienie cen na rozmaite środki spożywcze, czego codziennie jesteśmy świadkami. Jakże często wywalczona podwyżka płacy w przeciągu bardzo krótkiego czasu

obraca się w niwecz, nie przynosząc robotnikowi żadnego polepszenia, gdyż w tym samym czasie poszły w górę ceny mieszkań, mięsa, chleba, tak, że na ogólne podniesienie stopy życiowej, na kształcenie się i wogóle bardziej kulturalne życie z osiągniętej podwyżki pozostanie robotnikowi najwyżej parę marek rocznie. A przecież podniesienie kulturalne stopy życia robotników, jest kwestją, której klasa robotnicza ani na jedną chwilę nie może spuścić z oka.

I w tej mierze najlepszą i najskuteczniejszą dźwignią jest właśnie ciągłe skracanie dnia roboczego.

Dwie są drogi, zapomocą których robotnicy dążą do osiągnięcia tego celu. Pierwsza — to droga walki ekonomicznej za pomocą organizacji zawodowej, to pojedyńcze usiłowania ograniczenia pracy przez umowy zbiorowe czy fabryczne. Na samej tej jednak drodze robotnicy nie są dzisiaj w stanie osiągnąć w zupełności swych celów. Pozostaje bowiem zawsze ogromna masa robotników ciemnych, a wskutek tego obojętnych dla tego żądania, pozostają słabi i bezbronni wobec wyzysku kapitału robotnicy młodociani, wreszcie bardzo liczna rzesza, zatrudnionych w przemyśle domowym — którzy sami o własnych siłach skrócenia czasu pracy zdobyć długo jeszcze nie będą potrafili. I tu właśnie pozostaje druga droga — dążenie do skrócenia czasu pracy za pomocą ustawodawstwa. To też polityczne partje robotnicze, socjalna demokracja wszystkich państw cywilizowanych walczą ciągle niezmordowanie o osiągnięcie ustawowego ograniczenia czasu pracy. Krok za krokiem, zwolna, ale ciągle to w tem, to w owem państwie udaje się przeprowadzić znaczne ograniczenie czasu pracy, zwłaszcza w przedsibiorstwach rządowych, górnictwie itd., które bezsprzecznie oddziałują również na długość czasu pracy i w innych przedsiębiorstwach przemysłowych.

Skrócenie czasu pracy to jeden z najskuteczniejszych środków do zmniejszenia choć w części wyzysku, jakiemu podlega robotnik w fabryce czy warsztacie. Podczas, gdy ubytek w dochodach, spowodowany przez podniesienie płac, każdy przedsiębiorca stara się wyrównać przez wprowadzenie bardziej udoskonalonych środków produkcji i podniesienie w ten sposób wydajności pracy robotnika, to skrócenia czasu pracy niczem zastąpić nie można, jest ono bezpośrednią zdobyczą na zysku kapitalisty, jest zmniejszeniem wyzysku, jakiemu podlega robotnik. Mógłby ktoś powiedzieć, że przecie i skrócenie czasu pracy podnosi wydajność pracy, tak, że w obu wypadkach jednakowo przedsiębiorca nie ponosi uszczerbku w swych dochodach. Prawda, skrócenie czasu pracy podnosi fizycznie siły robotnika i pozwala mu bardziej intenzywnie, a zatem bardziej wydajnie pracować, widzimy jednak wszędzie, że ta w ten sposób spowodowana większa wydajność została już zapłaconą w formie wyższych płac, które zawsze i wszędzie towarzyszą skróceniu czasu pracy. Skrócenie czasu pracy, to jedna z najdonioślejszych zdobyczy klasy robotniczej. Doświadczenie samo uczy nas, że krótki dzień roboczy i wysokie płace, to dwa nierozłączne pojęcia. Anglja, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Australja zachodnia, wogóle państwa o najkrótszym dniu roboczym, wykazują zawsze najwyższe płace. Jakże inaczej zarabia np. tkacz angielski, który zdobył sobie ośmiogodzinny dzień pracy od naszych robotników tkackich. A przecież obok podniesienia zarobków, skrócenie czasu pracy przynosi robotnikom inne jeszcze korzyści. Im króciej robotnik przebywa w fabryce w powietrzu, przepojonem wyziewami trującemi i kurzem, wśród maszyn, zagrażających ciągle jego zdrowiu, tem — rzecz naturalna — mniej narażony jest na choroby i kalectwo. Krótki dzień roboczy, jak to niejednokrotnie wykazali fizjologowie, pozwala robotnikowi na zupełne odzyskanie utraconych sił w pracy, zmniejsza śmiertelność wśród klasy robotniczej i jest najskuteczniejszym środkiem przeciw degeneracji, jakiej dzięki pracy w dzisiejszym przemyśle, ulega ciągle klasa robotnicza.

Podniesienie fizycznych i duchowych władz robotnika, uczynienie go zdolnym do myśli i czynu, to wszystko skutki, jakie pociąga za sobą skrócenie czasu pracy. Tak więc każde najdrobniejsze skrócenie czasu pracy dla klasy robotniczej równoważnem jest z osiągnięciem wyższego poziomu kultury, a zatem ze zbliżeniem się do urzeczywistnienia naszych najszerszych ideałów społecznych.

Rozmaitości

Straszny czyn szaleńca. Ulice Nowego Jorku były przed kilku dniami widownią okropnego wypadku. Oto niejaki Antoni Belloni, w nagłym przystępie obłąkania, przebiegał z długim sztyletem ulice miasta. W biegu z parku centralnego do Kolumbio Avenue przebił pierś przechodzącej tamtędy kobiecie. Z minuty na minutę zbierał się tłum ludzi, który biegł za szaleńcem, ale go nie mógł dogonić. W ten sposób jeszcze dwie kobiety padły pod nożem warjata. Około tysiąc ludzi z okrzykiem: „Zabijcie bestję!", „Zlynczować go!" itp., biegło za Bellonim, ale go nikt nie mógł ubezwładnić, bo bano się noża szaleńca. Dopiero na rogu ulicy Zachodniej rzucił się na niego policjant. Nastąpiło wściekłe szamotanie się i policjant byłby uległ w walce, gdyby nie nadbiegła pomoc. Chciano szalonego ubić na miejscu, ale policjanci nie dali. Związano go i pod eskortą 10 tysięcznego tłumu, który musiano rozpędzać, odstawiono szaleńca do więzienia.

* * *

Kobiety adwokatki. Prócz 25 stanów w Ameryce Północnej, Kanady i Australji, tylko w pięciu państwach europejskich dopuszczone są kobiety do praktyki adwokackiej. Mianowicie: we Francji funkcjonują adwokatki od 1 grudnia 1900. Paryż gości ich obecnie w swych murach dziewięć, wszystkie zaś one występują jako obrończynie tylko w procesach karnych kobiet. Kantony szwajcarskie Genewa i Zurych, jakoteż Holandja, posiadają od pewnego czasu również kobiety adwokatki. W Danji dopuszczono kobiety do adwokatury w r. 1906, podobnież w Szwecji. W Niemczech dopuszczone są kobiety adwokatki do obrony w sądach dla małoletnich.

* * *

Jak dawno istnieje ziemia? Gdy Darwin wystąpił ze swemi teorjami, sądzili wraz z nim gieologowie, że ziemia istnieje conajmniej 230 miljonów lat. Postępy fizyki ziemskiej przypuszczenie to obaliły. Uczeni obliczyli czas, jakiego potrzebuje planeta oderwana od słońca, by z ciała ognisto płynnego zamienić się w stałe. Na podstawie tego obliczenia doszli do przekonania, że istnienienie kuli ziemskiej musi być znacznie dłuższe. Wreszcie odkrycie radjum i teorja o działaniu materji rzuciły nowe światło na to zagadnienie.

Angielski fizyk Strutt ogłasza w jednem z fachowych czasopism, że wiek ziemi obliczyć można dziś najdokładniej przy pomocy minerałów, zawierających radjum. Odkrył on w ten sposób, że np. thopianit potrzebuje na swą przemianę 240 miljonów lat, a zatem ziemia musi być jeszcze starsza. Uczony ten przypuszcza długość jej istnia na około 250 miljonów lat.

* * *

Pismo polskie na Syberji. Grono polaków zamieszkałych w Charbinie, powzięło zamiar wydawania pisma polskiego, tymczasowo raz na tydzień. Ma ono nosić tytuł „Gwiazda Syberji", na co już podobno koncesję otrzymano.

Redaktorem ma być jeden z dziennikarzy-polaków, który pracował w rosyjskiej prasie syberyjskiej.

* * *

Fotografowanie na odległość. Przenoszenie pisma czy rysunku na odległość zajmuje już oddawna umysły wielu wynalazców.

Najnowszym wynalazkiem w tym zakresie i rokującym największe nadzieje jest „teleautograveur" pomysłu belga Henryka Carbonnelle. Aparat Carbonnelle'a składa się z dwóch walców, posuwających się wolno w bok podczas obrotu, jak w fonografie. Na stacji nadawczej jest umieszczony naprzeciw walca metalowy sztyfcik, na stacji odbierającej membrana telefoniczna, zaopatrzona w środku zaostrzonym kolcem.

Działanie aparatu jest następujące: Rysunek sporządza się atramentem dobrze przewodzącym prąd elektryczny na cienkim papierze. Papier ten owija się na wałku i zbliża do sztyfcika. Na stacji odbierającej umieszczona jest na walcu warstwa ołowiu, lub tp., membrana ustawia się w ten sposób, że kolec jej wdrąża się nieco w masę Za pomocą elektromotoru wprawia się oba walce w ruch zupełnie równomierny, t. zw. synchronistyczny. Dopóki sztyft przechodzi po papierze nie przewodzącym elektryczności, prąd jest przerwany; kolec odbieracza pozostaje w pierwotnem położeniu i wyżłabia walec. Gdy jednak sztyft zetknie się z kreską rysunku, prąd zostaje zamknięty, membrana zostaje przyciągnięta elektromagnesem, kolec się cofa. W ten sposób otrzymuje się na stacji odbiorczej dokładną kliszę rysunku, gotową do druku. Sposobu tego używa się wtedy, gdy rysunek ma być więcej razy reprodukowany. Jeżeli chodzi tylko o jednorazową kopję, wówczas umieszcza się na walcu papier, nakryty kolorową kalką. W chwilach przerwania prądu kolec wygniata na papierze barwę kalki, w chwilach zamknięcia cofa się, miejsca czarne w oryginale, pozostają tu białe.

Aparat Carbonnelle'a nadaje się równie do przenoszenia fotografji. Jak wiadomo, rozmaite tony fotografji zależą od mniejszego lub większego wydzielenia się metalicznego srebra. Zależnie od ilości wydzielonego metalu prąd krąży z rozmaitą siłą, reprodukując na walcu wszystkie odcienia fotograficznego negatywu.

System Carbonnelle'a może się stać groźnym rywalem dla telegrafji, umożliwia on bowiem przesyłanie na sekundę znacznie większej liczby słów, niż to jest możliwe w telegrafie, pozwala też przysyłać stenogramy i kryptogramy (tajne wiadomości).

Ostatnie godziny Abdul Hamida w Konstantynopolu.

Husni basza, komendant armji operacyjnej przeciw Konstantynopolowi, obecnie gubernator wilejatu Kossowo, opowiada o ostatnich chwilach pobytu Hamida w Ildizie następujące szczegóły:

Dnia 27 kwietnia około 9 wieczór udałem się do Ildizu, aby zawiadomić sułtana o zapadłej co do jego osoby decyzji. W mojem towarzystwie znajdował się pułkownik żandarmerji Galib bej i major Ali Fety bej. W przedpokoju spotkaliśmy pierwszego sekretarza sułtana Dżewada baszę. Oświadczyłem mu, że muszę się widzieć z sułtanem, żeby więc zaraz mnie zaanonsował. Dżewad wzbraniał się to uczynić, tłómacząc się, że sułtan jest doskonałym strzelcem i że niezawodnie będzie strzelał do niego i do deputacji. Odpowiedziałem mu, że głowa jego i bez tego jest w niebezpieczeństwie, gdyż mogę na miejscu kazać go rozstrzelać; niechże idzie i oświadczy sułtanowi, że muszę się z nim widzieć w sprawie dotyczącej jego życia.

Dżewad poszedł, a za kwadrans wrócił i poprowadził nas przez szereg pokoi do jednego salonu w haremie. Tu na progu stał Abdul Hamid z przerażoną twarzą, z rękami w kieszeniach, w których miał ukryte rewolwery. Przystąpiłem do niego, skłoniłem się z szacunkiem i przemówiłem:

— Moja misja znajdzie, jak się spodziewam, posłuch u waszej cesarskiej mości. Przychodzę z polecenia narodu i armji dla omówienia sprawy, dotyczącej przyszłego życia w. ces. mości. Naród nie chce uciec się do czynów gwałtownych, przeciwnie — mam polecenie zapewnić, że życie w. ces. mości będzie szanowane. Nie chcemy w. ces. mości zgotować losu sułtanów Abdul Azisa i Murada, ale jasnem jest, że dwóch sułtanów nie może obok siebie w jednem miejscu przebywać.

— Rozumiem — odpowiedział sułtan. — Co ma się ze mną stać?

— Zaprowadzimy waszą cesarską mość do Saloniki.

Sułtan przestraszył się i zawołał:

— Co się tam ze mną stanie? Jestem stary i chory, dlatego chcę skończyć ostatnie moje dni w Konstantynopolu, w pałacu Czerigen, gdzie się urodziłem, albo pozwólcie mi udać się do Europy.

Musiałem — opowiada dalej Husni — przekonywać sułtana, że to jest niemożliwe. Nie mogłem też użyć gwałtu, gdyż sułtan mógł albo ukryć się w labiryncie Ildizu, albo schować się między kobietami, skąd wydostanie go byłoby połączone z rozlewem krwi.

W. ces. mość powinna poddać się postanowieniom armji, gdyż pozostanie tu byłoby połączone z niebezpieczeństwem. Około jego osoby gromadziliby się spiskowcy, mogłoby przyjść do ponownego wybuchu rewolucji, a wtedy życie w. ces. mości dopiero byłoby w niebezpieczeństwie.

— Co się stanie, jeżeli lud napadnie mnie w drodze.

— O to niema obawy. W mieście panuje stan oblężenia, żołnierze będą tworzyli eskortę. Ręczę mojem życiem za całość osoby w. ces. mości.

Sułtan bez odpowiedzi odszedł do dalszych pokojów haremu; czekałem 3 godziny, aż wrócił i zgodził się na odjazd po długich namowach ze strony synów i kobiet. Wydałem rozkaz przygotowania kilku powozów i tu okazała się nowa trudność: powozów i koni było poddostatkiem, ale wszyscy woźnice pouciekali. Na szczęście przed bramą stał powóz Dżewada, do którego sułtan wsiadł z dwoma synami i dwiema kobietami. Dla towarzyszących mu osób sprowadzono 8 dorożek. Przed tą kalwakadą jechałem ja w automobilu, a otaczał nas szwadron kawalerji.

Z literatury i sztuki

„Promyk“, ilustrowany dwutygognik dla młodzieży i dla dzieci. Treść nr. 10.: Jan Kochanowski: Pieśń świętojańka o Sobótce. — Marja Hantowerówna: Prawdziwa bajka. — Janusz Korczak: Joski, Moski i Srule. — J. Mortkowiczowa: Dzwon. — Zofja Wójcicka: Kwiat paproci. — Marja Konopnicka: Wsiałem ci ja w czarną rolę. — Z chwili bieżącej. — Lazarusówna: Na Maciejówce. — Jan Sokolicz Wroczyński: Panna Zośka. — Łamigłówki i szarady.

Adres administracji „Promyka“: Kraków, ul. Gołębia 4. Kwartalnie 2 korony (1.70 mk.).

* * *

Spór literatów. Od dłuższego czasu toczy się między Wilhelmem Feldmanem a Jerzym Zuławskim spór, który przybiera, zwłaszcza ze strony Zuławskiego formy nieliterackie, Grono pisarzy polskich ogłasza z tego powodu następujące oświadczenie:

Od dłuższego czasu toczy się w pewnym odłamie prasy naszej nie przebierająca w środkach kampanja publicystyczna przeciw p. Wilhelmowi Feldmanowi. Świeżo w artykule, uwłaczającym w wysokim stopniu charakterowi pisarskiemu p. Feldmana, jeden z autorów podsuwa myśl, że opinję jego podziela ogół pisarzy polskich; wobec tego poczuwamy się do obowiązku zaznaczenia, że tak nie jest. Nie podzielając bynajmniej wszystkich zapatrywań i sądów p. Feldmana, cenimy go jako pracownika dobrej woli, który wiedzą swą i talentem zajął w gronie pisarzy polskich godne szacunku miejsce.

Wreszcie zastrzegamy się przeciw napastliwemu sposobowi polemik, jaki zakradł się ostatnimi czasy do literatury polskiej.

Jakób Bojko, Aleksander Brückner, Wincenty Brzozowski, A. Chołoniewski, Gustav Daniłowski, Tad. Dąbrowski, Bol. Gorczyński, dr. Zofja Daszyńska-Golińska, Tad. St. Grabowski, Wacław Grubiński, dr. Michał Janik, T. T. Jeż, Jan Kaczkowski, Jan Kasprowicz, Jan Kleczyński, Ludwik Krzywicki, M. Kulikowska, Bol. Limanowski, Ewa Łuskina, Ign. Matuszewski, Marja Markowska, St. A. Mueller, F. Mirandola, Zofja Rygier Nałkowska, Wład. Orkan, H. Orsza, St. Przybyszewski, Ign. Radliński, Savitri, Wacław Sieroszewski, Artur Śliwicki, Miczał Sobeski, Konst. Srokowski, Marjan Szyjkowski, Leopold Staff, Andrzej Strug, Marja Aleks. Walewska, Helena Witkowska, A. Zagórski, Gabrjela Zapolska, Stef. Żeromski.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław M'eczkowski w Katowicach.

Nr. 26. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 26 czerwca 1909.

Starość nie radość.

Bogaty jestem, bogaty,
Kto ciekaw — spoglądać raczy:
Na barkach dziadowskie szaty,
A w ręku kij mam żebraczy.

I żyję sobie swobodnie,
Spijam życiowe rozkosze,
A mienie swoje wygodnie
Calutkie przy sobie noszę.

Tak sobie żyję na świecie,
Tylko jednego mi trzeba;
Ludkowie moi, czy wiecie?
Oto brakuje mi chleba!

W pracy zniszczyłem swe zdrowie,
Z sił moich cienie zostały,
A włosy moje na głowie
W pracy jak śnieg mi zbielały.

Tak! Przyszło po siewie żniwo!
Na bruk mię dzisiaj rzucono
Z dziećmi moimi i z żoną
Za moją pracę uczciwą.

Do pracy więcej nie zdolny,
Przechodzę nędzy katusze,
I wiodę żywot mozolny,
Bo żebrać, ach! żebrać muszę!

Bogaty jestem, bogaty,
Kto ciekaw — spoglądać raczy:
Na barkach dziadowskie szaty,
A w ręku kij mam żebraczy.

„Prawo Ludu“. *Chachar.*

Wykolejenie.

Było pięć minut przed trzecią, gdy naczelnik Podolski usłyszał dzwonek, wzywający go do szefa oddziału służbowego, radcy Rakowskiego.

— Rozumie się — rzekł z westchnieniem, wsuwając plik papieru pod ramię — pan radca wraca z obiadu, a dla lepszego strawienia zabawia się.

Już na odchodnem zwrócił się ku zbierającym się do odejścia urzędnikom: „Smacznego, moi panowie... ja choć od ósmej siedzę w biurze, wrócę zapewne na kolację do domu!

W kancelarji zastał szefa wygodnie rozpartego w fotelu, wpatrzonego w kłęby dymu, które się tak łagodnie wiły w ciepłej atmosferze pokoju. Lekkiem pochyleniem głowy pozdrowił urzędnika, czekającego koło biurka, a odbierając paczkę aktów, rzekł tonem protekcyjnym:

— Zabierzmy się teraz do roboty.

Zamoczył pióro w atramencie i już miał zamiar podpisać się na jednem podaniu, gdy nagle brwi zmarszczył, zastanawiał się chwilę, a oparłszy głowę na łokciu rzekł: „Hm, hm — czy pan myślałeś nad tą sprawą?

— Nad jaką sprawą, panie radco?

— Ten... ten... jakże się nazywa... ten budnik, aha! tak, Karol Oleski... prosi o kartę... dla... hm... dla swojej jakiejś kuzynki... pan podaje do zatwierdzenia? Panie tego, ta kwestja wydaje mi się podejrzaną.

— On mieszka w górach, żona mu nagle umarła, został z sześciorgiem dzieci...

— Smutne, bardzo smutne, ale to chyba nie dowodzi, że powinniśmy niemoralne stosunki tolerować?

— Niemor... — osłupiały Podolski nie mógł zdania dokończyć.

— Jak widzę, patrzy pan jeszcze bardzo różowo na świat... No, no, to się zdarza; kilka lat pod moim kierownictwem zmieni pańskie poglądy — zauważył złośliwie przełożony i pouczającym tonem mówił dalej: ten Oleski podaje o bilet bezpłatny dla kuzynki, która ma mu gospodarstwo prowadzić. Przeciw temu nie mam nic. Ale kto nas zapewni, że ona jest w rzeczywistości jego krewną? — Widzi pan, teraz się panu rozjaśnia, tak, najpierw musi się wszystko rozważyć, pomyśleć — bo czyż na to jesteśmy, aby popierać konkubinaty...

Nie mogąc podążyć za bujną fantazją swego przełożonego, zdziwiony Podolski, rozwarłszy usta, mówił:

— Brakuje panu słów uznania, wierzę... Odeszlij pan prośbę do dyrekcji, do której Oleski należy, aby się poinformowała w tym rejonie, gdzie to... hm... ta kuzynka mieszka, co do tej sprawy, a potem nas zawiadomiła.

— Ależ panie radco, to potrwą przynajmniej cztery tygodnie, a ten człowiek sam z sześciorgiem dzieci!...

— Naszem zadaniem jest starać się, aby niepowołani nie wykorzystywali kolei! temi słowy sprawiedliwy biurokrata odłożył prośbę.

Ostry wiatr marcowy smagał nagie wierzchołki gór, tylko czasem przekradał się blady cień księżyca przez gęste chmury, które jakby olbrzymy przesuwały się po niebie.

Wązkim przesmykiem przeciskały się szyny; na prawo wznosiły się niebotyczne góry, na lewo przepaść prowadziła do małej wioski, której małe domki jakby w obawie przed burzą się pochyliły i pod skałę schowały. A tam w górze stał domek budnika przylepiony do skały. W zakratowane okna miotał śnieg, czasem się nawet przez szpary drzwi przedzierał, a wtedy mała Mania radośnie chwytała te białe płatki i gdy w małej, ciepłej rączce stopniały, żałośnym płaczem rozśmieszała Hanusię, która, będąc o dwa lata starszą, więcej rozumiała i głupiutką siostrzyczkę wyśmiewała. Przy piecu stał budnik, mieszał coś w garnku, przeglądając przy tem kalendarz. Nagle zwrócił się do najstarszej córeczki: „Kiedy był pogrzeb matki?“

— Na Trzech króli — odpowiedziała Hanusia, która właśnie najmłodszą siostrzyczkę do snu kołysała.

Po zoranej cierpieniem twarzy przeszedł dreszcz boleści.

— Już tak dawno, tak dawno — wzdychał cicho, a jego zmęczony wzrok zawisnął na fotografji zmarłej. — Tak wyglądała, gdy z wojska wrócił... na chwilę wspomnienia zakryły rzeczywistość...

— Czemu mamusia jeszcze nie wróciła? — mówiła, zwracając się do ojca, Mania.

— Ciotka Zofja przyjedzie — odparł ponuro. Niecierpliwie szukał w kalendarzu, aż znalazł grubem pismem spracownej ręki zapisaną datę: 8 stycznia, podanie o kartę dla Zofji.

Zaczął liczyć: teraz marzec — już powinna być. — Nie mógł się już bez niej obejść. Ciężka służba, pełna odpowiedzialności. Nie mógł odpocząć we dnie ani w nocy; gdy przyszedł znużony do domu, dzieci nie pozwalały mu wypocząć, a teraz Paulinka zachorowała na zapalenie gardła. Gdy patrzył na te rozczochrane, nieumyte dzieciaki, serce mu z bólu pękało, lecz mimo, że bez wypoczynku pracował, nie mógł podołać. Czasem, aż się załamywał pod ciężarem obowiązków, a gdy zmęczony musiał walczyć ze snem, zbierał wszystkie siłu, aby nie ulec, nie zasnać, czekał, aż przepędzi pociąg, stał na posterunku. — Teraz, siedział na krześle i marzył o śnie długim, spokojnym — lecz i tę chwilę bezpamięci przerwała mu Hanka, pytając o przysłowie. Musiała w zadaniu kilka podać, a nie pamiętała jak: „Cnota sięga aż w niebiosa". Przetarł czoło i z gorzkim uśmiechem odpowiedział: „Nadzieja głupców zawodzi".

Z łóżeczka zaczęły dochodzić ciche jęki. Zerwał się, a gdy przystąpił do dziecka, zauważył, że policzki są niezwykle rozpłomienione, a z wykrzywionych ust wydobywały się niewyraźne słowa: Duszę się — mamo, duszę się...

Wziął dziecko na ręce, kołysał, głaskał, ale coraz gorętsze ciało kurczyło się po każdym napadzie duszności. Z zeschniętych warg wydobywały się coraz głośniejsze łkania; zwilżał je zimną wodą i ciągle spoglądał ku drzwiom, jakby stamtąd zbawienia oczekiwał.

Za chwilę drzwi się otwarły, wszedł Janek, rzucił wiązkę suchych gałęzi i zaczął rozpalać przygasający ogień.

— Jasiu, musisz jeszcze raz do wsi polecieć.

Zziębnięty malec z przestraszonym wzrokiem na ojca patrzał. — Taki mróz na dworze, tak ciemno — ja się boję, by nie zabłądzić...

— Jasiu, przecież widzisz, jak Paulinka chora, idź przyprowadź Jagnę znachorkę.

— Żebym tylko nie zbłądził — mówił drżący ze zimna Janek, przysuwał się coraz bliżej do pieca i prostował skostniałe palce.

— Hanusia pójdzie z tobą, dobrze Hanuś, ty to zrobisz dla chorej siostrzyczki? We dwoje idzie się raźniej, rzekł przecierając oczy...

Zaspana, drżąca zawinęła się w chustkę matki, zabrała kawałek suchego chleba, poszli... a dwa trwożliwe westchnienia porwał szalejący wicher i uniósł hen za góry...

Leniwie upływały godziny oczekiwania. Już kilka razy gdy pociąg nadjeżdżał, musiał opuścić płaczącą dziecinę, której gorączka coraz się wzmagała. Nareszcie usnął około niego.

Nagle zbudził go przeraźliwy świst. Zerwał się, złapał płaszcz, w tem przypomniał sobie, że szyna, skręcająca nad przepaścią była nadpsuta, najwyższy czas, aby jeszcze raz zobaczyć i ostrzec nadchodzący pociąg pospieszny. Już chwycił za klamkę, chciał wybiec, lecz odwrócił się i zobaczył Paulinkę, stającą nad oknem, chwila — a chwiejąca się na słabych nożkach Paulinka wypadnie. Jednym skokiem był u okna, porwał dziecko w ramiona, które, trzęsąc się we febrze, kurczowym ruchem objęło szyję ojca. Nadarmo próbował uwolnić się z tego objęcia, zimny pot oblał mu czoło.

— Muszę biec, muszę — Boże! co się stało!

Z rozpaczą rzucił dziecko na łóżko i bez czapki wyleciał na dwór. Z wściekłem wyciem objął go wicher, biegł na wpół nieprzytomny.

W tem przeleciały dwa ogniste światła, jak rozwarte, krwawe oczy.

Straszny trzask, łomot, wstrząsające krzyki wołające o pomoc, przeszywały powietrze. W przepaść spadały czarne potwory, przewalając się, miażdżąc, druzgocąc.

Jeszcze zebrał tyle siły, aby zatelegrafować: Wykolejenie, budka 83 i padł zemdlony.

W dniu tego strasznego nieszczęścia stał znowu p. Podolski w kancelarji radcy Rakowskiego.

— Co nowego panie Podolski?

— Dyrekcja zawiadamia, że pani Zofja Brzozowska jest kuzynką budnika Oleskiego.

Oleski — Oleski. Ten, który wniósł podanie o kartę... ma sześcioro dzieci... dla kuzynki. Ach tak, teraz możemy z czystem sumieniem kartę wydać, ale wystarczy zwykły pociąg.

Tłomaczyła S. K.

Czem się zajmuje chemja?

Z własnej obserwacji — mimowolnego codziennego patrzenia na otaczające nas ciała — widzimy w przyrodzie ciągłą zmianę. Patrząc na owe zmiany: na owe zjawiska przyrody, obudza się w nas tęsknota, obudza się w nas pożądanie poznania praw, poznania czynnika, który tego lub owego zjawiska był przyczyną. Badając zjawiska przyrody, nie możemy się zadowolnić opisem przedmiotów — ciał i towarzyszących zjawisk, lecz staramy się owe zjawiska zrozumieć, objaśnić. Nie wystarcza nam spostrzeżenie formy, barwy i innych zewnętrznych własności ciał, ale staramy się do głębi ciała wniknąć, poznać owe ciało; staramy się poznać z czego i jak powstało, staramy się uchwycić zmiany towarzyszące tworzeniu, zjawisku.

Ze smutkiem niekiedy zmuszeni jesteśmy przyznać się, że sami, bez pomocy nauki, zjawisk poznać, zrozumieć nie możemy.

Wiemy np., że ciała niebieskie opisują w przestrzeni swe drogi; że woda przez oziębianie zmienia się w lód; że ogrzane drzewo spala się.

Domagamy się jednak odpowiedzi: dlaczego to zjawisko powstaje?

Wytłomaczenie — pomoc dają nam nauki przyrodnicze, zadaniem których jest podobne zjawiska dokładnie obserwować i opisać, tj. zbadać.

Bardzo ważną gałęzią nauk przyrodniczych jest chemja; ta dokładnie bada składniki ciał i prawa, na mocy których tą lub ową drogą ciała powstają; bada: skąd powstały pewne ciała; do czego służyć mogą lub też dlaczego szkodzą. Chemja to zajmuje się badaniem zjawisk, tj. badaniem zmian, jakim ciała fizyczne (natury martwej, bo naturą żywą zajmuje się biologja) ulegają.

Zjawiska mamy dwojakie; jedne, przy których istota (własność) materji nie ulega zmianie. Np. uderzmy młotem w bryłę skały to rozpryska się w kawałki, z których każdy jest podobny składem do skały pierwotnej. Mamy zmianę ale tylko co do rozmiarów i kształtu zewnętrznego; albo np. woda zamarzła na lód, jest zmianą wody płynnej na stałą; znowu zmiana, ale tylko zewnętrzna, bo istota wody jest ta sama; wystarczy bowiem lód stopić, a znowu mamy płynną wodę.

Na tych przykładach widzimy, że istota ciała, pomimo zmian nie zmieniła się. Zjawiskami podobnej natury zajmuje się fizyka.

Jeżeli weźmiemy siarkę i zapalimy ją, to widzimy światło a w parze z tem idące ciepło, ale nie widzimy siarki, która paląc się „znikła", zamieniając się w nowe ciało: gaz duszący, ciało o całkiem innej istocie i własności; albo np. żelazo w wilgotnem powietrzu pokrywa się warstwą proszku barwy czerwono-brunatnej: rdzą, która niczem nie przypomina żelaza i nie ma nic wspólnego ze zwykłym żelazem. Przykłady powyżej podane (z siarką i z żelazem) ilustrują nam zmiany nieuchwytne, zmiany wewnętrzne; temi to właśnie zmianami wewnętrznemi, przemianami substancji, przemianami ciał w inne zupełnie nowe, do pierwotnego ciała niepodobne, o zupełnie innym składzie, zajmuje się chemja.

Uczeni chemicy badając zjawiska, tj. zmiany, jakim

ciała ulegają, starali się wytłomaczyć, poszukać czynnika, który jest sprawcą zjawiska, że np. żelazo na powietrzu znika zamieniając się w rdzę.

Co się stało ze żelazem?

Odpowiedź, że zrdzewiało, nie wytłomaczy nam zjawiska. Nauka powiada (i ta w świecie nauki teorja została przyjęta), że ciała zmieniają się pod wpływem wzajemnych „sił chemicznych". Siła więc chemiczna sprawiła, że tlen, ciało gazowe, znajdujące się w powietrzu, wniknął pomiędzy cząstki żelaza, z czego powstało ciało nowe: rdza. Wszystkie ciała mają skłonność do wzajemnego łączenia się, wszystkie ciała posiadają siłę chemiczną.

Kamienie, rudy, wodę, powietrze, rośliny, wogóle wszystko to, co tworzy świat widzialny, poddano obserwacji, poddano chemicznemu badaniu. Zbadano jak najdokładniej otaczające nas ciała i przekonano się, że te wszystkie ciała, tak na pozór różne, składają się z takich ciał, które już nie dadzą się zamienić na inne ciała, składają się z pierwiastków.

Pierwiastkiem więc jest ciało, które sposobem chemicznym nie da się rozłożyć na prostsze ciało.

Cały gmach świata, cała przyroda złożona jest z pierwiastków, zapomocą owej siły chemicznej, która sprawia, że owe pierwiastki łącząc się, tworzą poszczególne części świata — przyrody. Pierwiastki posiadają siłę łączenia, siłę chemiczną.

Nauka wykazała około 80 takich pierwiastków, wykazała, że każde ciało składa się z kilku lub kilkunastu połączeń pierwiastkowych, wykazała, że każdy pierwiastek łączy się w pewnych warunkach z każdym innym pierwiastkiem, tworząc nowe ciało nazwane ogólnie związkiem chemicznym.

Jak skutkiem działania siły chemicznej jest wszystko to, co nazywamy budową, taksamo wszelkie niszczenie swego dzieła jest skutkiem owej siły chemicznej pierwiastków, które znowu nie jest niczem innem jak tylko nowem tworzeniem się ciał. Zmienia się tylko forma, treść pozostaje ta sama lub też bogatsza lub uboższa.

O sile chemicznej, jej własnościach, prawach, działaniu, jakoteż o pierwiastkach i ich połączeniach nie możemy teraz mówić; za małe ramy owej pogadanki.

Badaniem więc połączeń, zjawisk, tj. zmian towarzyszących wszelkiemu tworzeniu w przyrodzie, zajmuje się bardzo ładna gałąź wiedzy w przyrodzie: chemja.

J. Łopatka.

Nędza mieszkaniowa w Ameryce.

Bratni nasz organ „Dziennik ludowy", wychodzący w Chicago, zamieszcza wstrząsający obrazek nędzy mieszkaniowej w dzielnicy żydowskiej w Nowym Jorku. Podajemy go niniejszem, gdyż stosunki nasze nie różnią się pod względem zdrowotnym od nowojorskich.

— „Powietrza — powietrza — dajcie mi powietrza" — słychać było w żargonie żydowskim w noc kwietniową 1903 roku w samem sercu nowojorskiego Getto.

Pod numerem 18 Clinton st., w tylnej części domu koszarowego (tenementu) młody żyd rumuński leżał umierający na suchoty. Poszedłem tam z lekarzem żydem. Ilekroć wciągałem powietrze, czułem ciężką zepsutą woń nędzy, ciemnoty, brudu i choroby. W tej ciasnej izbie dziesięć stóp w kwadrat, sześć osób leżało na podłodze, jedna tuż obok drugiej. Przecierając oczy z głębokiego snu, spoglądały na nas przytępionym wzrokiem. Przez dwa małe okna dochodziło powietrze z hałaśliwego podwórza, nory 20 stóp na krzyż, a pięć piętr głębokości. Druga izba była zaledwie wielkości szafy, sześć stóp przez siedm, z zakratowanem oknem, wysoko pod sufitem otwierającem się ku klatce wentylacyjnej (powietrznej), szerokiej na 18 cali.

I w takiej szafie spało kilkoro biedaków — troje w łóżku i dziecko w kolebce.

„Powietrza — powietrza — dajcie mi powietrza". Choroba biedaka była zaraźliwa, a jednak przez dwa tygodnie leżał on tam umierający. Ze swego brudnego łoża, mógł on sięgnąć do stołu, na którym dwie rodziny jadły; piec kuchenny stał zaledwie o sześć stóp oddalony od chorego; pułka z naczyniem kuchennym była nad jego głową; chory mógł nawet sięgnąć jedną z kołysek, w której jego córeczka — niemowlę leżała, patrząc zdziwiona na swego bezsilnego ojca. Chory nie miał już siły, by móc się podnieść, a leżenie było dlań torturą. Jego młoda żona podniosła go, rozbudzeni biedacy przyglądali się zdumieniu w głębokiem milczeniu, a szept biedaka nieustannie przerywał nocną ciszę, teraz już z nowym, coraz straszniejszym wyrzutem:

„Powietrza — powietrza — powietrza, albo zabijcie mnie, och! zabijcie mnie!"

Człowiek ten przybył przed dwoma laty do Ameryki; jeden z 488.000, przybyłych w 1901 r. Przyjechał młody, zdrów i pełen nadziei ze swą żoną i dzieckiem chłopczykiem. Od tej chwili dwoje jeszcze matka wydała na świat. Miał to być dla nich nowy kraj, nowa ojczyzna, nowe życie, ziemia, gdzie można swobodnie oddychać.

„Powietrza — powietrza — dajcie mi powietrza." Chory oddychał tu nie powietrzem, lecz ciężkim, zabójczym zaduchem izby — warsztatu od szóstej rano do dziesiątej w nocy.

„Czasem — wyszeptał — pracowałem do jedenastej." Nie był on wyjątkiem. W Nowym Jorku dziś i tej nocy jest przeszło 50 tysięcy biedaków podobnie pracujących.

Późno w nocy, porzuciwszy gorączkową robotę, w godzinie, kiedy inne rodziny już spały, przechodził on przez ciemne i brudne podwórze, rzucał się na łóżko w ciasnej szafie (sześć stóp przez siedm) i zapadał w niespokojny sen. Nowy Jork ma 361.000 takich mieszkalnych szaf. Jedna z nich była domem tego biedaka.

„Luft — gibt mir luft". — Chory mówił tylko po żydowsku. Nowy kraj obdarzył go suchotami przed daniem mu języka. Bo praca w „wypacalni" (sweatshop) osłabiła go, jego osłabiony organizm nie mógł się bronić, przyszła „biała plaga" i szybko pożerała biedaka. Przez całą zimę pracował on jednak pochylony nad maszyną, w swej ciasnej izbie, zarażając ubranie, które szył, w ciągłej gorączce, wyczerpany, w kłopocie o pożywienie i opał w celu utrzymania „domu", pracował nad siły.

Teraz, w tym ostatnim dniu swego życia, dziesięć już razy błagał szeptem swego brata, prosząc go o opiekę nad żoną i trzema małemi dziećmi.

Obecnie walka już skończona. Rodzina rozprószona. Głuchy szept chorego zamilkł na wieki. Zostało tylko wołanie:

„Powietrza — powietrza — dajcie mi powietrza", powtarzają je tysiące ust.

Rozmaitości

Socjalistyczna literatura dla ślepych. Kongres ślepych odbywał się w Dreźnie w pierwszych dniach czerwca. Z okazji tego właśnie kongresu osobno urządzone zostało zebranie ślepych, wyznających zasady socjalistyczne, a pochodzących z Niemiec. Bardzo ożywione obrady przedewszystkiem miały ten wynik, że postanowiono wydać szereg broszur agitacyjnych, popularyzujących socjalizm drukiem, używanym dla ślepych. Poza tem przyjęto jednomyślnie wniosek o założeniu specjalnego czasopisma socjalistycznego, tymże drukiem wydawanego. Na razie pismo to ukazywać się będzie co kwartał. Dla wprowadzenia powyższych uchwał w życie wybrano specjalny komitet.

* * *

Postęp w budowie maszyn drukarskich. W zakładach maszyn drukarskich Marinoni'ego wykończono maszynę rotacyjną dla dziennika „La Nacion" w Buenos-Aires. Maszyna ma 14 metrów długości, 3 szerokości i 5 wysokości. Składa się ona z dwóch oddzielnych maszyn, których każda drukować może od 4 do 32 stron, a te wychodzą z maszyny złożone i sklejone. Produkcja najwyższa wynosi 12.500 egzemplarzy przy 64 stronach, 100.000 przy 8 stronach i

200.000 przy 4 stronach, co przedstawia pracę 8 zwykłych maszyn rotacyjnych. Kolos ten waży 80.000 kilo, w pełnym biegu porusza 16 cylindrów, 224 walców i zużywa siłę 100 koni.

Fabryka maszyn Koenig i Bauer we Würzburgu zbudowała dla jednej z firm berlińskich kilkukolorową ilustracyjną maszynę rotacyjną, największą z tego rodzaju maszyn w Europie. Specjalnie budowana dla czasopisma ilustracyjnego z okładką, składa się z trzech oddzielnych ilustracyjnych maszyn, połączonych ze sobą. Maszyna drukuje, składa, spina w ciągu godziny 9000 egzemplarzy pisma o 48 stronicach tekstu i 4 stronicach okładki.

* * *

Piorunochrony w starożytności. Kwestja ta niejednokrotnie była poruszana i wielu naprowadzało dowody, że gromochrony znane były starożytnym. Między innemi stwierdzono, że wspominane przez historyka żydowskiego Józefa dzidzy, umieszczone na dachu świątyni Salomona miały za cel ochronę świątyni przed piorunami. Okazało się jednak później, że dzidy te ustawiono w tym celu, by przeszkodzić wielkim ptakom siadaniu na dachu i zanieczyszczaniu go. O wiele lepszym, mniej wątpliwym argumentem na istnienie gromochronów w starożytności, są cytowane napisy znalezione w świątyniach Horos w Edfu i w Hator w Denderze. Mówiły te napisy o 2 lub 4 masztach, które podobne bliźniaczej parze wznoszą się ku niebu, a są okute miedzią obcego kraju, dla obrony przed niepogodą nieba". To już poważny dowód, ale zupełnie przekonywującem jest zdanie, znajdujące się w Talmudzie w traktacie Tosefta Sabbath XII, gdzie powiedziano: „Kto stawia żelazo między ptactwo, przekracza zakaz naśladowania pogańskich zwyczajów; dla ochrony jednak przed piorunem, jest to dozwolone". A więc znano gromochrony w starożytności.

* * *

Zabytki starożytne na dnie morza. Na kongresie „Socié é des Antiquaires de France" miał tymi dniami ciekawy odczyt p. F. Matroye o zabytkach starożytnych, wydobytych niedawno z morza przy Machdji, na pobrzeżu tuniskim. P. Matroye przytoczył ustęp z kroniki bizantyńskiego pisarza Prokopa o wojnie wandalskiej. W pierwszej księdze tej kroniki powiada Prokop, że gdy Gejzeryk wracał z łupieskiej wyprawy na Rzym do Afryki, prowadząc wiele okrętów, naładowanych kosztowną zdobyczą, jeden z tych okrętów, mianowicie ten, który wiózł cenne posążki bogów, zatonął u brzegów Afryki; inne zaś szczęśliwie dobiły do przystani, w pobliżu starożytnej Kartaginy. Znalezione obecnie zabytki pochodzą właśnie z czasów późnego cesarstwa, czyli odpowiadają okresowi napadów Gejzeryka, można więc przypuszczać, że są to właśnie szczątki zatopionych łupów. Jest bardzo prawdopodobnem, że przy dalszych poszukiwaniach w tem miejscu na dnie morza, odnaleźć się uda ów okręt ze wszystkiemi nagromadzonemi na nim skarbami.

* * *

Najwięcej bliźniąt wśród narodów europejskich mają zdaje się fińskie kobiety. U nich przypada 32 par bliźniąt na tysiąc narodzin. Po nich następują żydówki z 26·3, rosjanki z 23 wypadkami na tysiąc. Najmniejszą liczbę na tysiąc wykazują francuzki bo tylko 10 i włoszki z 10·36. W Prusiech na 13 miljonów narodzin według ścisłych obliczeń statystycznych wypada 11 na tysiąc. Kobiety narodów pozaeuropejskich częściej zdaje się rodzą bliźnięta; najrzadziej zdarzają się bliźnięta u mongołek.

Największa liczba bliźniąt przypada na okres życia, w którym kobiety są najpłodniejsze, mianowicie w wieku od 25 do 29 lat, jednak liczba niemowląt między 30 a 39 r. w stosunku do liczby ogólnej jest bazdzo znaczna.

Trojaczki są rzadsze aniżeli bliźnięta, na 40 urodzin przypada jedna para bliźniąt, a trojaczki na 8—11.000, a czworaczki aż na 3—600.000 urodzin. Stwierdzono pewnie, że ciąża co do więcej aniżeli jednego dziecka, jest często dziedziczna i to tak w linji męskiej, jak żeńskiej; w linji męskiej zdara się podobno częściej.

Największa liczba ciąży trojaczkami (32,14 proc.) przypada na matki w wieku 30 do 34 lat, między rokiem 35 a 39 spada do 31,34 pr., a ponad rok 40 spada do 10,7 pr., w porównaniu z liczbą urodzin zwykłych i bliźniąt, która wynosi 3 proc., ogólnej liczby urodzin.

Liczniejsze płody zdarzają się przedewszystkiem u kobiet, które co najmniej już raz rodziły, a najczęściej po 3 do 5 porodach.

* * *

Próby przeszczepiania członków udały się chirurgowi francuskiemu Carrelowi, mieszkającemu w Nowym Jorku i zajmującemu tam stanowisko jednego z dyrektorów instytutu lekarskiego.

Pierwsze jego doświadczenia dotyczyły arterji. W r. 1907 wyciął psu połowę tętnicy brzusznej, zastąpił brak kawałkiem błony i kiedy po 22 miesiącach dokonał na psie laporatomji, żyła funkcjonowała normalnie. Nawet śladów operacji znać nie było.

Inne doświadczenia polegały na zastępowaniu części żył zużytych, żyłami zdrowemi. I te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem.

Zachęcony powodzeniem prof. Carrel próbował także przeszczepiać nerki, a w r. 1908 udało mu się zaszczepić nogę zabitego foksterjera psu, któremu ją odjęto. Mięśnie, nerwy, naczynia krwionośne, wszystko było tak połączone, że nastąpił obieg krwi w martwej kończynie.

Do tej chirurgji przyszłości należałoby mieć w pogotowiu pewien zapas członków, gotowych do użycia. Carrel poradził sobie z tą trudnością; utrzymuje bowiem żywotność członków przez pogrążanie ich w płynie, którego skład chemiczny jest jego tajemnicą, i przez trzymanie w temperaturze niżej zera. Używane zaś w tym celu mogą być członki amputowane lub osobników zmarłych gwałtowną śmiercią.

Do słynnego chirurga zgłosiło się już dwu amerykanów, z których jeden chciał mieć zastąpioną chorą nerkę zdrową, a drugi chciał mieć nową rękę na miejscu odjętej. Proponowali, by potrzebne członki wziąć z jakiego skazańca.

Profesor waha się jeszcze.

* * *

Wynalazczyni kołnierzyka. Zasługa wynalezienia jednej z najważniejszych części składowych ubrania męskiego, a mianowicie przypinanego do koszuli kołnierzyka, przypada w udziale amerykance, Annie Montague. Była to żona pewnego szewca, który wielką wagę przykładał do swego ubrania, gdyż miał do czynienia z elegancką klientelą. Martwiło go bardzo, iż drugiego lub trzeciego dnia musiał brać świeżą koszulę, gdyż przez ten czas kołnierzyk, przyszyty do koszuli, brudził się zupełnie. Ponieważ pranie w owym czasie — był to rok 1827 — było dla gospodyni wielkim ciężarem, pani Montague znalazła wyjście: odjęła kołnierzyk od koszuli i uszyła nowe kołnierzyki, które początkowo przy pomocy tasiemki przywiązywano do koszuli. Jedna z siostrzenic wynalazczyni, żyjąca do dnia dzisiejszego, opowiada z zadowoleniem, z jaką troskliwością jej ciotka szyła pierwszy kołnierzyk. Wkrótce praktyczna ta nowość stała się głośną między znajomymi, a pani Montague otrzymała więcej zamówień na kołnierzyki, niż im podołać mogła. Ze swego wynalazku mogła była zebrać sobie przyzwoity majątek, gdyby jej nie był uprzedził kto inny. Był to pastor Ebenezer Brown, który zrozumiał doniosłość wynalazku i otworzył małą fabrykę, w której pewna ilość kobiet szyła kołnierzyki. Pan Drown zatem był pierwszym fabrykantem kołnierzyków.

Z literatury i sztuki

„Ogniwo do ogniwa". Sztuka ludowa w trzech aktach, która wychodziła dotąd w feljetonie w „Górniku", wyszła już z druku w formie książki. Cena egzemplarza 40 halerzy. Zamówienia należy wysyłać na adres tow. Jana Pytlika w Morawskiej Ostrawie (Śląsk austrjacki), Zwierzynowa 20.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław M'eczkowski w Katowicach.

Nr. 27. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 3 lipca 1909.

8 godzin pracy.

W kopalniach, fabrykach, dla nędznej zapłaty,
Bez światła, bez słońca więdniejem, jak kwiaty.
I oto, popatrzcie, choć młodzi latami,
Jesteśmy, jak mumje — jesteśmy starcami.
Wokoło słyszymy radosne okrzyki:
Powrócił nareszcie czas kwiatów, powrócił!
Las szumi zielony i szemrzą strumyki
I ptaszek już w boru pieśń swoją zanucił.
My rzeczy tych pięknych nie znamy, nie znamy!
Ni łąk tych zielonych, ni lasów szumiących
I nigdy nie spoczniem wśród kwiatów kwitnących!
A wiecie dlaczego? Bo — czasu nie mamy.
Od świtu do nocy, do pracy przykuci,
Nie możem znać nigdy tych cudów przyrody;
Jak bydło jesteśmy z praw naszych wyzuci,
Z praw naszych do słońca, wolności, swobody.
Ach! kiedyż zdobędziem te prawa do życia,
Zdobędziem to wreszcie, co mają próżniacy?
Hej, bracia! Wychodźcie z waszego ukrycia
Do walki o ośmiogodzinny czas pracy!

„Prawo Ludu“. *Chachar.*

Wyzysk przy umowie o pracę.

Z niezachwianą stanowczością odsłonił istotę wyzysku Karol Marx, jeden z największych mistrzów ludzkości. Wykazał on, że kapitalistyczny system płacy prowadzi bezwarunkowo do wyzyskiwania najemnej pracy, gdyż kapitalista nie miałby żadnego interesu być przedsiębiorcą, gdyby musiał robotnikowi wypłacić całą wartość jego pracy. Robotnik, pozbawiony narzędzi produkcji, posiadający wyłącznie tylko siłę swą roboczą, musi w kapitalistycznym systemie gospodarczym wytwarzać więcej wartości, aniżeli otrzymuje w formie zarobku. Różnica ta staje się własnością przedsiębiorcy i przedstawia nadwartość. Powstawanie nadwartości jest jednak faktem; przedsiębiorca korzysta z położenia robotnika, rozporządzającego jedynie swą siłą roboczą i zmusza go, by zadawalał się płacą, która daleko odbiega od wartości wytworu jego pracy. Marx, odsłaniając w ten sposób prawo ekonomiczne, które rządzi obecnem społeczeństwem, staje na stanowisku, które przedstawia rozwój ekonomiczny społeczeństw, jako przyrodzony proces. Z tego stanowiska nie można żadnej jednostki robić odpowiedzialną za panujący system, gdyż ona jest jedynie wytworem ekonomicznych stosunków. Wyzyskowi siły roboczej — w tem znaczeniu, że przedsiębiorca dla siebie zabiera nadwartość jej pracy — nie jest winien wyzyskiwacz, lecz kapitalistyczne społeczeństwo i jest niemożliwem wyzysk ten zupełnie usunąć, póki to społeczeństwo trwa.

Zadaniem dzisiejszego prawodawstwa socjalnego jest nałożenie pewnych granic nieuniknionemu wyzyskowi ze strony przedsiębiorcy i strzeżenie, by płaca robotnika nie schodziła aż do poziomu, który wystarcza jedynie na nędzne utrzymanie się przy życiu. To zadanie prawodawstwa socjalnego może jedynie wtedy urzeczywistnić się, gdy klasa robotnicza ma siłę, aby zmusić kapitał do podwyższenia płacy, to znaczy do zmniejszenia nadwartości.

Odrazu trzeba skonstatować, że możliwym jest jedynie wyzysk, uprawiany przez przedsiębiorcę na robotniku; wszelkie narzekania na wyzyskiwanie przedsiębiorcy przez pracującego są świadomem kłamstwem. Przedsiębiorca bowiem ciągnie swój zysk z pracy robotnika, w formie zarobku oddaje mu tylko część wartości tej pracy i inaczej robić nie może, ponieważ zmusza go do tego ustrój ekonomiczny, istota kapitalistycznej produkcji. Jeśli więc prawo bronić ma przed wyzyskiem, przed nadużywaniem kontraktu, zawartego między przedsiębiorcą a pracującym, to bronić ono musi jedyną stronę, na której wyzysku można się dopuszczać, to znaczy robotnika.

Nowoczesna wiedza prawnicza zastanawia się też nad środkami, które wyzyskowi pracy mają położyć pewną tamę. Z wielu stron podnoszą się głosy, że „wyzyskiwanie roboczej siły przez wyzyskiwanie robotnika za głodową płacę jest tylko odmianą lichwy i powinno przez prawodawstwo być traktowano tak samo, jak lichwa pieniężna“ (prof. dr. Ryszard Schmidt). Nie da się zaprzeczyć, że wyzysk i lichwa, jeśli nie znaczą to samo, to jednak są rodzeństwem.

W ustawodawstwie myśl ta nigdzie jednak nie znalazła urzeczywistnienia. Ani niemieckie, ani angielskie, a za niem amerykańskie prawodawstwo nie uchroniły ustawą karną robotnika, strony ekonomicznie słabszej, przed wyzyskiem, któryby z człowieka na podstawie kontraktu najemnego, robił jedynie narzędzie do wytwarzania nadwartości, będącej zyskiem przedsiębiorcy. Bardzo wygodną znajdują w tym względzie wymówkę burżuazyjni prawodawcy, głosząc, że kontrakt między przedsiębiorcą a pracującym jest wolną umową. Taką byłaby, gdyby głód nie zmuszał robotnika do przyjmowania pracy na takich warunkach, jakie mu przedsiębiorca ofiaruje; przedsiębiorca zaś zawsze znajdzie robotników dość, ponieważ potrzebujących pracy jest daleko więcej, i chętnych do pracy, niż mogących ją znaleźć; rezerwa bezrobotnego proletarjatu zapewnia przedsiębiorcy zawsze możność znalezienia dość ludzi, którzy muszą sprzedawać swą pracę, aby zdobyć konieczne środki do życia. Owa więc osławiona „wolność“ umowy o pracę jest fikcją, która jednak jest troskliwie pielęgnowaną, aby uwolnić prawodawstwo od obowiązku obrony strony znajdującej się w położeniu przymusowem.

Kto naprawdę pragnie zwalczania wyzysku, ten musi żądać, by prawo zapewniało moc obowiązującą umowom zbiorowym. Zniesienie nadmiaru wyzysku uprawianego przez: zatrudnienie młodocianych robotników, czas roboczy dłuższy od ustawą oznaczonego, wypłacenie zarobków niższych, niż przyjęte w danej miejscowości, nakładanie kar itd. nastąpić może przy obecnym systemie gospodarczym jedynie przez uświadomienie klasy robotniczej. Jednostka w walce

z przedsiębiorcą musi zawsze ulec, zawód jednak cały zorganizowany i solidarny zawieraniem zbiorowych umów z wszystkimi przedsiębiorcami jakiegoś fachu może zabezpieczyć się przed lichwiarskim wyzyskiem, a walką polityczną i wysyłaniem swoich reprezentantów do ciał ustawodawczych może klasa robotnicza obwarować owe umowy zbiorowe przepisami prawnemi.

Żal proletarjusza.

Najprzód, gdym szczęścia zaznał, zabrał mi los dziecię,
Synka maleńkiego, najmilszy skarb na świecie —
Potem żal wspomnieć — okrutny ściska serce ból —
Zabrał los mnie strapionemu żonę mą lubą,
Jaką nie znajdę z pewnością w świecie już drugą.

Trzy wiosny tylko w małżeńskiej z nią żyłem zgodzie,
Miło mi było od ciężkiej wracając pracy —
Widzieć ją chyżą, wesołą, w czoła pogodzie.
Teraz mam uprzykszone moje młode życie,
Lecz pozostała mi jedna pociecha — dziecie. —

Czyż to — według Was obłudnicy — mnie Bóg karze?
Za to, że posiadam miłość bliźniego w darze?...
Dla mnie na tej oto cierniami usłanej drodze,
Jedno aż do końca życia pytanie będzie,
Kiedy proletarjat wieniec laurów zdobędzie?

Wiktor P.

Shackleton o swej podróży do bieguna południowego.

Porucznik Shackleton, który dotarł — jak już donosiliśmy w swoim czasie pokrótce — prawie do bieguna południowego, przybył wreszcie szczęśliwie do Londynu.

Na Shackletona, skoro tylko stanął w Londynie, rzucili się natychmiast reporterzy, przedewszystkiem z „Daily Mail". To samo spotkało go już w Australji. Najważniejszem z jego wynurzeń jest to, że dotarłby on do samego bieguna, gdzyby nie brak prowjantów. Należy sobie tylko wyobrazić: kilka tuzinów konserw i kilka flaszek zgęszczonego mleka więcej, a ten najniedostępniejszy biegun, do którego tylu śmiałych podróżników, nie zważając na nadludzkie trudy, dążyło wśród wiecznej nocy przez bezbrzeżne, białe pola, przestałby być tajemnicą. Jest w tem coś tragicznego, nie bez przymieszki komizmu.

Według opowiadań Shackletona, ostatni okres wyprawy był jednem nieprzerwanem niebezpieczeństwem, nieskończoną drogą męczeńską. Shackleton opowiadał między innemi: „Zanim dotarliśmy do najdalszego punktu południowego, natrafiliśmy na olbrzymią wyżynę. Byliśmy zupełnie prawie wyczerpani, nasze porcje dzienne były coraz mniejsze, gdyż było trzeba szczędzić prowjant, lecz mimo to założyliśmy mały magazyn, by tylko posunąć się dalej. Dnia 26 stycznia, gdyśmy oddalili się już na 30 mil od magazynu, nasze zapasy wyszły zupełnie i musieliśmy o głodzie wlec się dalej wśród zawiesi śnieżnej. Dwuch z nas upadło z głodu i znużenia. Musieliśmy ich nieść, wreszcie ostatkiem sił zdążyliśmy dotrzeć do naszego magazynu, który nie był wcale obfity. Innym razem oddaliliśmy się od magazynu o 80 mil i również cudem tylko zdołaliśmy powrócić.

Innej grupie naszej wyprawy, która badała zachodnie okolice lądu podbiegunowego, zdarzyło się raz, że lód, po którym posuwano się naprzód, odłamał się od brzegów, a fale poniosły go na północ. Przez 24 godzin płynęli tak, gotując się na śmierć, szczęściem trafili na inny prąd, który zaniósł krę napowrót do lądu.

Dnia 9 stycznia b. r. w odległości zaledwie 97 mil od bieguna, zatknęliśmy flagę angielską na najdalej na południe wysuniętym punkcie, dokąd nikt przed nami nie dotarł. Lecz niestety, musieliśmy wrócić, gdyż siły nasze były tak samo wyczerpane, jak nasze zapasy żywności. Nie było innej rady — musieliśmy wracać. 25 funtów sucharów i 30 funtów konserw mięsnych, a bylibyśmy na biegunie.

Byliśmy wtedy na wyżynie, wznoszącej się na 3300 metrów nad powierzchnią morza, gdzie termometr Celsjusza wskazywał 40 stopni poniżej zera. Od 3 tygodni walczyliśmy z ciągłą zawieją, która uciszyła się nieco dopiero 9 stycznia. Po skromnem, za skromnem śniadaniu, rozpoczęliśmy dalszy marsz na południe. Nagle rozszalała znowu burza tak straszna, iż czułem, że fizyczną niemożliwością byłoby iść dalej. Na 88 stopniu 23 minutach zatknęliśmy flagę osadzoną na silnem drzewcu z bambusu. Wzięliśmy w imieniu króla ląd ten w posiadanie Anglji, zostawiając na miejscu w metalowym walcu odnośny dokument, zrobiliśmy zdjęcie fotograficzne i ze smutkiem zwróciliśmy się na północ. Przedtem przeszukaliśmy okolicę przez szkła i zdobyliśmy przekonania, że biegun leży na tej samej wyżynie, na której staliśmy i że nie otaczają go góry."

Co do naukowych wyników wyprawy, mówił Shackleton: „Stwierdziliśmy z całą pewnością punkt bieguna magnetycznego. Południowy kraj Wiktorji aż po Kap Melbourne został dokładnie wyznaczony na mapie. Odkryliśmy nieznany łańcuch górski, nowe odmiany węgla i wapna".

Porucznik Shackleton nie długo bawić będzie w Europie, gdyż pragnie przedsięwziąć w najbliższym czasie drugą podróż, która, jak wierzy, zaprowadzi go do samego bieguna.

O naukach przyrodniczych.

Ogólnem mianem przyrody obejmujemy otaczające nas nieprzetworzone ręką ludzką ciała wraz z działającemi na nie siłami. Zarówno w budowie wewnętrznej, jak i formach zewnętrznych, w częściach składowych, jak i w własnościach swoich wykazują one wiele najrozmaitszych różnic. I tak: ciało pozbawione życia i ruchu, pokrywające skorupę ziemską, już to w postaci piasku i drobnego żwiru, już jako olbrzymie bryły skał, ciała przeważnie budowy jednolitej, które możemy dzielić na części, nie naruszając przytem ich cech przyrodzonych, zarówno chemicznych, jak i fizycznych, nazywamy ciałami martwemi czyli nieorganicznemi. Ciała te charakterystycznie różnić się mogą pomiędzy sobą na punkcie zachowywania właściwych im form; jedne z ciał tych kształtu określonego nie mają, jest on różnorodny, przypadkowy; jako przykład ich mogą służyć kamienie z dna rzecznego, które wygładzają się wskutek wzajemnego tarcia i najczęściej bywają formy kulistej lub jajowatej. Zupełnie inaczej już na pierwszy rzut oka wyglądają ciała, zwane kryształami, których cechą jest niezmienność kształtów, nie mogących pod działaniem sił przyrody zatracić swych typowych form — płaskich ścian i ostrych krawędzi. Najpospolitszymi i najbardziej znanymi przedstawicielami kryształów są: sól kuchenna, ałun, soda, kryształ górny i t. d. Wszystkie ciała krystaliczne posiadają tendencję do rozpuszczania się bądź w wodzie, bądź też w pewnych kwasach. I tu daje się zauważyć rzecz ciekawa, świadcząca dosadnie o dążeniu ciał tych do zachowania swych właściwych postaci: gdy bowiem poddamy parowaniu rozczyn jakiegoś ciała krystalicznego, otrzymamy je na dnie naczynia w postaci probnych kryształków.

Ciała nieorganiczne różnią się bardzo wybitnie od istot żyjących. Istoty żyjące mają ograniczony czas trwania — porastają, wegietują, umierają; ciała ich ulegają rozkładowi. Ciała nieorganiczne zaś trwają wiecznie, mogą być wprawdzie mechanicznie podzielone na części, lecz każda z nich przedstawia masę jednolitą, od całości różniącą się tylko wielkością i kształtem. Podczas gdy istoty żywe

czerpią ze środowiska zewnętrznego ciała obce, które w wnętrzu swoim poddają zmianom chemicznym i przyswajają je (pokarmy), ciała nieorganiczne nie odżywiają się. Ciała nieorganiczne nie posiadają również zdolności do wydawania potomstwa, t. j. istot podobnych sobie, zdolności właściwej ciałom żywym. Z tego wszystkiego wynika, iż główną cechą, różniącą ciała nieorganiczne od ciał organicznych, jest brak u pierwszych wszelkich przejawów życia. Głównymi zaś przejawami życia są: 1) odżywianie, czyli przyswajanie ciał obcych ze środowiska zewnętrznego w postaci stałej, płynnej lub ulotnej, 2) wzrost, 3) rozmnażanie, 4) czucie oraz 5) ruch. Do pełnienia wszystkich tych funkcji istoty żywe posiadają specjalne organa, czyli narządy.

Do świata istot organicznych należą dwa pnie: zwierzęta i rośliny. Mimo to, iż charakteryzującym oba te typy rysem jest zdolność życia, różnią się one jednak pomiędzy sobą zarówno wyglądem zewnętrznym i ustrojem wewnętrznym, jak i sposobem pełnienia funkcji życiowych, a zatem 1) rośliny żywią się ciałami nieorganicznemi płennymi i gazowemi, lub też stałemi, rozpuszczonemi w wodzie, zwierzęta natomiast nie są w stanie żywić się wyłącznie ciałami nieorganicznemi, podstawą pożywienia ich muszą być zawsze substancje organiczne (zwierzęce i roślinne), 2) rośliny na ogół są przytwierdzone do ziemi, podczas, gdy większość zwierząt obdarzona jest samodzielnym ruchem.

3) rośliny nie zdradzają przejawów czynności psychicznych, które stwierdzone zostały u zwierząt.

Te jednakże zasadnicze różnice nie mogą się stosować bezwzględnie do wszystkich zwierząt i roślin, poczynając od najprostszych istot jednokomórkowych, aż do najwyższych o formach doskonalszych. I tak np. grzyby odżywiają się gnijącemi szczątkami roślin, tj. ciałami organicznemi, chociaż same należą do świata roślinnego. Istnieje też szereg roślin, których ubogo rozwinięty system korzeni zmusza je do pobierania pokarmu żywego w postaci drobnych owadów, chwytanych mechanicznie np. zapomocą lepkiej powierzchni liścia. Ciało ofiary ulega strawieniu w sokach wydzielanych przez roślinę. Najpospolitszemi z tych roślin owadożernych czyli mięsożernych są: rosiczka, pływacz, tłustosz. Uchyleń takich od zasadniczych typów jest więcej. Różnice między roślinami a zwierzętami zanikają zresztą stopniowo u istot budowy prostszej, najbardziej zaś u istot jednokomórkowych.

Stosownie też do tego podziału przyrody, jakiśmy tu nakreślili, istnieją poszczególne nauki, które zajmują się badaniem odpowiednich jej odłamów. I tak: mineralogja traktuje o budowie i własnościach ciał nieorganicznych nie przetworzonych jeszcze, botonika zajmuje się ustrojem, budową, życiem i postaciami roślin, zoologja ma za temat badań — zwierzęta.

Dwa ostatnie działy rozpadają się na anatomję (nauka o budowie roślin oraz zwierząt), fizjologję (nauka o czynnościach życiowych roślin i zwierząt), morfologję (nauka o ustroju roślin i zwierząt), systematykę (nauka o podziale i ugrupowanie roślin i zwierząt na podstawie ich cech charakterystycznych). Całokształt wszystkich tych poszczególnych gałęzi wiedzy, badających naturę w pełni jej przejawów, podciągamy pod ogólne miano nauk przyrodniczych. One to po całym szeregu badań i dociekań, po zmudnej, wieki całe trwającej pracy, zdołały uchylić nam do pewnych granic rąbek tajemnicy o tem, jak powstał świat i rozwinęło się na nim życie. One to mówią nam, jak po całem mnóstwie przeobrażeń i przekształceń z bezkształtnej bryły powstał nasz glob ziemski i jak na nim — pustym, martwym i jałowym — zrodziło się życie, jak z drobnych, pierwotnych itstot jednokomórkowych drogą ewolucji powstało to wszystko, co dziś w ten lub inny sposób żyje — rośliny i zwierzęta — nie wyłączając najdoskonalszego tworu życia, jakim jest człowiek.

mgs.

Rozmaitości

Przemysł futrzany na Syberji, który stanowi przeważne źródło dochodu dla zawodowych myśliwych tamtejszych, powoli, lecz stale zaczyna się chylić ku upadkowi, a to wskutek bezlitosnej trzebieży zwierząt. Przytaczamy poniżej za „Nowoje Wremią" kilka cyfr, świadczących o wielkim dowozie skórek zwierząt syberyjskich na tegoroczny jarmark zimowy w Irbicie. Skóre wiewiórek dostarczono 4.180.000 sztuk, ocenionych na 2.181.150 rb. Skórek zajęcy białych (t. zw. bielaków) przywieziono 1.000.000 sztuk, ocenionych na 300.000 rb. Skórek świszcza popielatego, żyjącego przeważnie w górach Ałtajskich przywieziono z samego tylko okręgu Bijskiego 500.000 sztuk, które łącznie z 150 tys. sztuk świszcza, zwanego „miendiel", dały 384.000 rb. dochodu. Skórek łasiczek przywieziono 160.000 sztuk ocenionych na 112.000 rb. Skórek sobolowych dostawiono 20.175 sztuk w cenie 1.091.150 rb., w tem soboli z Barguzy przywieziono w roku bieżącym tylko 1000 sztuk, podczas gdy jeszcze parę lat temu dostawiano ich jarmarki po 10 tys. Cena skórki sobolowej barguskiej waha się między 100 a 250 rb., bywają jednak wybitne okazy, dochodzące do ceny 300 i 600 rb. Na szczęście spostrzeżono, że moda na futra sobole powoli mija, wobec czego i trzebież soboli nieznacznie się zmniejsza, natomiast olbrzymio wzrasta popyt na lisy syberyjskie, których skórek dostarczono ostatnio 57.600 sztuk, przyczem za skórkę lisią z odcieniem czarnoburym liczono przeciętnie po 100 rb., za lisa czarnego 600 rubli, a trafiały się okazy lisów tak zwanych niebieskich, dochodzące do ceny 4000 rubli za sztukę. Ogółem dostarczono skórek różnych zwierząt 6.300.675 sztuk, które sprzedano za 6.135.125 rubli.

* * *

Pamięć u kur. Dwóch psychologów, niemców, urządziło sobie zabawę w studjowaniu pamięci u kur. Metodę do tego doświadczenia użyli bardzo prostą: na kartonie papierowym umieścili 20 ziarnek ryżu, przyklejonego do kartonu, a pomiędzy niemi rozsiane ziarnka zboża nie przyklejone. Kura zaczyna dziobać ziarna zarówno przyklejone, jak i swobodne. Po pewnym czasie, niesłusznie obmówiona inteligiencja kurza zauważa, że jednak z dziobania ziarnek przyklejonych nie ma nijakiej korzyści, jakoż unika starannie trudu w atakowaniu niewdzięcznych ziarn ryżu. Po trzech, a najwyżej czterech próbach, pamięć kury już się nie myli: wybiera samo zboże, nie zwracając już najmiejszej uwagi na przyklejony ryż. Prócz tego dowcipu uczeni zauważyli, że jeżeli próby są dokonywane w odstępach nie wielkich, to oswojony ptak domowy zdaje się lepiej pamiętać niewdzięczne ziarna ryżu i w trzeciej próbie już się na pewno nie myli. Czyżby w przerwach zastanawiała się nad rozwiązaniem zadania? Prócz tego doświadczono, że w pewnej mierze kura jest zdolną liczyć. W tym colu przedstawia jej się rząd ziarn, w którym co drugie ziarno jest przyklejone, ptak szybko, nie myląc się, atakuje numery 2, 4, 6, 8 itd., nawet orjentuje się, jeżeli przyklei się dwa ziarna, zaledwie trzecie zostawiając swobodne do zjedzenia. Lecz kombinacja przyklejonych trzech a czwartego wolnego ziarnka, już stanowczo wymyka się z pod uwagi kurzej. Biedny ptak głupieje i myli się. Trzeba zaznaczyć, że podobne doświadczenie dokonynane nad dzieckiem, udawało się dopiero po skończonych trzech latach życia.

* * *

970 miljonów listów. Gdy w r. 1874 w Bernie, stolicy Szwajcarji, utworzona została tak zwana światowa unja pocztowa, ruch listów obliczono w owym roku na 99 miljonów sztuk. Obecnie cyfra ta podniosła się do 970 miljonów. Wartość pocztowych przekazów pieniężnych wynosi przeszło 2 miljardy marek, a wartość pakietów prawie $1^1/_2$ miljarda. W r. 1906 międzynarodowa konferencja w Rzymie uchwaliła nowy traktat światowo-pocztowy, który obecnie przez austrjacką Izbę posłów został przekażany komisji ekonomicznej. Ze sprawozdania komisji tej podajemy następujące szczegóły: Konferencja w Rzymie podwyższyła przedewszystkiem wagę zwyczajnych listów z 15 na 20 gr., a zarazem obniżyła należytość za każde 20 dalszych gr. z 25 centimów na 15. W ruchu transitowym taryfa została zniżona z 2 franków na $1^1/_2$, jeżeli odległość nie przenosi 3000 kilometrów. Na dalsze odległości podwyższono nieznacznie opłatę ze względu na te państwa. których przedstawiciele żalili się, że poczta ich służy więcej dla przesyłek transitowych obcych, niż własnych. Ważną nowością jest

zaprowadzenie bonów na odpowiedzi. Kto nie chce, ażeby adresat płacił za markę pocztową na list z odpowiedzią, posyła adresatowi bon, za który adresat otrzymuje miejscową markę pocztową wartości 25 centimów. Bon kosztuje 28 centimów, a więc o 3 centimy więcej, niż marka, a to ze względu na różnicę kursu. Obecnie do światowego Związku pocztowego należy 63 państw, nie należą do niego Chiny, Afganistan i niektóre państwa Afryki środkowej. Przestrzeń państw, należących do unji pocztowej, wynosi 114 miljonów kilomtr. kwadratowych, na których żyje 166 miljonów mieszkańców.

* * *

Ze statystyki Londynu. Olbrzymie to miasto liczy w administracyjnych granicach swoich 4.759.789 osób wedle spisu z 1 listopada 1908 r. Dalsze trzy miljony żyją w przytykających do Londynu przedmieściach, które stanowią odrębne jednostki administracyjne.

Więc Londyn rzeczywisty liczy okrągle 8 miljonów mieszkańców, więcej niż rozmaite królestwa w Europie. Rządy sprawuje 101 rad municypalnych obok innych ciał autonomicznych, które liczą razem 3.783 członków. Każdej godziny rodzi się 14 osób, a umiera 8.

Ulice mają 3, 4 i 5 kilometrów długości, domów jest 611.877, fabryk i warsztatów 28.265. Londyn spożywa rocznie 419,037 ton bitego mięsa importowego, 58.735 wołów, 375.950 baranów, 173.332 ton ryb, 340 miljonów litrów mleka.

* * *

48 godzin pod pociągiem. W ciekawy i niebezpieczny sposób odbył 20 letni Grzegorz Aitsulescu, szewc z Rumunji, podróż z Bukaresztu do Paryża. Oddawna pragnął on dostać się do Paryża, a nie mając pieniędzy na kolej, postanowił odbyć drogę w sposób dawniej w Ameryce praktykowany. Wślizgnął się na peron w Bukareszcie i usiadł potajemnie między kołami wagonu przy pociągu ekspresowym do Paryża. Przez 48 godzin jechał w ten sposób bez jedzenia i napoju, niespostrzeżony przez służbę. Dopiero w Paryżu zauważono go i napół żywego wydobyto z pod wagonu. Postawiono go przed sąd jako włóczęgę i przestępcę przepisów kolejowych. Od zarzutu włóczęgostwa został uwolniony, gdyż pewien szewc, rodak jego, przyjął go do pracy; za drugie przestępstwo skazany został na 25 franków grzywny.

* * *

Hartowanie żelaza w XII wieku. „Mechanik" w nr. 3 z r. b. podaje ciekawy przepis na hartowanie żelaza, zaczerpnięty z rękopisu Teofila Mnicha z wieku XII i charakteryzuje w jaskrawy sposób ówczesne mniemanie. Przepis ten brzmi jak następuje: „Nadaje się hart żelaziwom, którymi szkło i większe kamienie rznąć można, a to w taki sposób: weź trzechletniego kozła, uwiąż go w stajni i nie daj przez trzy dni żadnej paszy, czwartego zaś daj mu paproci na żywność i nic więcej. Gdy tak żywić go będziesz przez dwa dni, na noc następną zamknij go w beczce przedziurawionej u spodu, zaś pod te dziury podstaw inne naczynie całe, w którymby się jego mocz zbierał. Gdy się jej przez dwa lub trzy noce tym sposobem dostateczna ilość zbierze, wypuść kozła, a w jego moczu hartuj swoje żelaziwo. Także w moczu małego chłopczyka, ryżego, hartowane żelaziwa nabierają twardości większej, niż w zwyczajnej wodzie."

* * *

Wojna w przyszłości. Anglja cierpi na manję prześladowczą: żyje w ciągłej obawie przed niebezpieczeństwem napadu zbrojnego ze strony Niemiec. Ci dwaj najpotężniejsi współzawodnicy na rynku wszechświatowym, pilną zwracają na siebie uwagę, aby się nie dać wyprzedzić drugiemu. Każdy nowy okręt, każda nowa armata, a obecnie nowy balon wywołuje panikę u przeciwnika, zwłaszcza w chorobliwie pod tym względem nastrojonej Anglji. Ciągle też rządy tych państw żądają od parlamentu nowych zbrojeń i ulepszeń morderczych narzędzi na podstawie najnowszych zdobyczy techniki i wynalazków. Współzawodniczą ze sobą nie narody, ale rządy, a właściwie kapitaliści obu państw, którzy się boją o swe zyski, koszta zaś tego współzawodnictwa płacą szerokie warstwy ludności, a przedewszystkiem robotnicy.

Przyszła wojna jest obecnie w Anglji najaktualniejszym tematem. W prasie i na scenie mówi się o walkach, których terenem ma być w niedługim czasie Anglja w wojnie z Niemcami. Obawa przed tą wojną wzrosła znacznie, odkąd hr. Zeppelin rozpoczął swoje pomyślne podróże balonem. Anglja starała się zawsze, aby flota stanowiła główną obronę zielonej wyspy. Angielska marynarka wojenna powinna być, zdaniem anglików, tak silna, aby mogła prowadzić wojnę z dwoma innemi flotami. I dziś już flota angielska jest silniejsza, aniżeli niemiecka i francuska razem wzięte. Siła bojowa floty angielskiej przedstawia jednak mniejszą wartość, odkąd Zeppelin rozpoczął w Niemczech pomyślne próby ze swymi balonami, które niewątpliwie zostaną wyzyskane do celów wojennych.

Niebezpieczeństwo więc, które zagraża Anglji od balonów Zeppelina, niepokoi opinję publiczną. Na pewnem widowisku, które się odbyło niedawno w Londynie, przedstawiono już przyszłą wojnę statków powietrznych. Oddział balonów Zeppelinowskich bombarduje z niezmiernej wysokości miejscowość angielską. Wojsko zbiera się, aby zaatakować napowietrzne potwory. Na scenie wywiązuje się ciekawa walka, w której pociski wybuchowe zastępują bomby. W końcu udaje się wojsku, oczywiście na przedstawieniu, rozpędzić nieprzyjacielskie balony. Widowisko to ściąga codziennie tłumy widzów. Zwycięstwo anglików wywołuje burze oklasków.

* * *

Ozdoba głów kobiecych. Doroczny raport gieneralnego konsulatu francuskiego w Hong-Kong informuje, że w r. 1908 wysłano z tego portu 103.207 kilogr. włosów ludzkich zakupionych w Chinach, a przeznaczonych do maskowania łysin pięknych pań w Europie i Ameryce. Zaznaczamy przytem, że ostatnie statystyki podają, że na 100 osób płci żeńskiej w wieku 30 lat, 9 tylko nie nosi wcale fałszywych włosów, 9 zaś jest dotkniętych zupełną łysiną. Opłakany ten stan rzeczy przypisują po części farbowaniu włosów i używaniu różnych podejrzanych wód toaletowych, po części zaś fryzowaniu zbyt gorącem żelazkiem. — Całe szczęście, że ratować sytuację zawsze gotowe są Chiny.

Z literatury i sztuki

„Promyk", ilustrowany dwutygodnik dla młodzieży i dla dzieci. Treść nr. 11.: Fr. Morawski: Giermek (wiersz). — Zygmunt Lorec: Srebrny dzwon i jego mieszkaniec. — Janusz Korczak: Joski, Moski i Srule. — H. O.: W noc sobótkową. Z bajek japońskich przeł. J. M. — Trafiła kosa na kamień. — Jadwiga Olszewska: Czarodziejskie przepowiednie. — Fr. Lazarusówna: Na Maciejówce. — M. Konopnicka: Stefek Burczymucha (wiersz). — Konstanty Aleks. Klejn: Żelazny koń. Wesoły kącik. Zagadki. Rozwiązania. Odpowiedzi od Redakcji. Od Administracji.

Adres administracji „Promyka": Kraków, ul. Gołębia 4. Kwartalnie 2 korony (1.70 mk.).

Edward Czyński: Liczebność i rozsiedlenie ludności polskiej. Wyszedł z druku etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej opracowany przez Edwarda Czyńskiego przy współpracownictwie T. Tillingera. Statystyka obejmuje szczegółowe dane statystyczne ludności polskiej w obrębie trzech państw zaborczych, co się zaś tyczy Ameryki i wogóle kuli ziemskiej, dane są tylko częściowe. Cyfrowa liczebność polaków przedstawia się jak następuje: na dawnem terytorjum państwowem 15,6 miljonów; na terytorjum etnograficznem po za dawnym państwem 1,965 miljonów; w rozproszeniu w trzech państwach zaborczych 0,725 miljonów; ogółem 18,29 miljonów. Z polakami w Ameryce i w innych krajach jest przeszło 20 milj. polaków.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 28. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 10 lipca 1909.

Z moich rozmyślań.

Oj, kiedyż się zbudzi
Biedny lud — z ciemnoty?
Aby wspólną siłą
Wziąć się do roboty...

Kiedyż ta godzina
Wybije — wolności,
Kiedy znikną żale,
Kiedy dzień radości

Zawita do nas —
Z dawna upragniony,
By swobodniej odżył
Ten lud wygłodzony.

Kiej nastąpi wolność
I silne zbratanie
By wreszcie przestało
Próżne narzekanie.

Kiedyż chłopskie serce
Wolnością będzie bić,
By lepiej na świecie
Chłopek biedny — mógł żyć.

Bracia drodzy — wtenczas
Kiedy będzie zgoda,
Gdy do wspólnej pracy
Brat bratu dłoń poda.

Weźmy się raz przecie
Żwawo do roboty!...
Wytępiajmy chwasty...
Wszystkie — co do joty.

Pod „Sztandar Czezwony“
Spieszmy! Bracia mili!
Byśmy ciężkie jarzmo
Z swych barków zrzucili.

Byśmy wreszcie pęta
Niewoli pozbyli,
Bo „stary porządek
„Szlachty — już się wali!“

„Prawo Ludu“. *Klimek od Wieliczki.*

Matka rewolucjonisty.

(Urywek ze wspomnień tow. N.).

Był to młody, może ośmnastoletni chłopiec z kędzierzawą czupryną, rosły, silny, z pogodną twarzą dużego dziecka.

Nie znaliśmy się osobiście, lecz prawdopodobnie musiał wiedzieć, że jestem „w robocie“, jak ja wiedziałem, że należy do „bojówki“, gdyż ilekroć spotkaliśmy się na ulicy, zamienialiśmy ciekawe i sympatyczne spojrzenia.

Interesował mnie ten chłopiec, więc pytałam się o niego towarzyszów.

Mówiono mi, że ostatecznie porzucił robotę zawodową i wszystkie swe siły i cały swój czas oddał na usługi rewolucji.

W styczniu 1906 r., wracając z nieudałej wyprawy na kancelarję gminną, Janek wraz ze swym towarzyszem dostał się w ręce kozackiego patrolu.

Przy rywizji znaleziono przy nich rewolwery i proklamacje; odstawiono ich do miejscowego więzienia, a w dwa miesiące potem zostali przewiezieni do polskiej bastylji w Warszawie na sąd wojenny.

W kwietniu, w środę wielkiego tygodnia, egzekucja została wykonana.

I nie wiem czemu, czy że był on pierwszą ofiarą z szeregów znajomych mi towarzyszów, czy jego miła, dzielna twarz tak silnie wryła się w mą pamięć, dość, że długo, długo nie mogłam zapomnieć o nim.

W kilka dni po egzekucji zupełnie pobocznie dowiedziałam się, że był jedynakiem, że zostawił dwoje sędziwych rodziców, wyrobników, że matka jego, chcąc go pożegnać przed śmiercią, zadłużyła się na podróż, a nawet zwracała się z prośbą o zapomogę do znajomego swego adwokata, narodowego demokraty.

Więc znów dzielna twarz Janka stanęła mi w pamięci i serce napełniła niepohamowana chęć ulżenia doli jego matce w imieniu tych ludzi, wśród których żył i pracował jej jedynak.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności matka mieszkała w jednym domu z rodziną jednego towarzysza, gdzie bywałam bardzo często. Nie chciałam spotykać się z nią; bałam się jej łez gorących, łez bólu, łez, które kamieniem padają na duszę.

Nie chciałam grać roli dobrodziejki, dającej jałmużnę: wstrętna mi była myśl, że chcę jej płacić za bohaterską śmierć jej syna.

Prosiłam więc żonę towarzzsza, by wypytała się dokładnie o jej byt materjalny, jak również o wysokość zaciągniętego długu.

Nazajutrz w tem samem mieszkaniu postanowiłam widzieć się z matką.

Za chwilę do pokoju skromnego wsnunęła się stara, może pięćdziesięcioletnia kobieta, małego wzrostu, wyschła, z pomarszczoną twarzą, która wydawała się jeszcze mniejsza w obramowaniu wielkiej kraciastej chustki.

Kobieta nisko mi się ukłoniła i ostrożnie usiadła na rogu krzesła.

Zapanowało przykre milczenie, więc chcąc je przerwać, zapytałam:

— Czy pani ma dzieci?

Twarz jej drgnęła, jakby przeszło przez nią jakieś bolesne wspomnienie, bezbarwne spłowiałe oczy wypełniły się łzami, które cienkim sznureczkiem toczyły się po jej ciemnej twarzy i głosem stłumionym, pełnym skargi zaczęła:

— Jedyny był panienko kochana, jedyny i to go nie masz, ot skaranie boskie i tyla, z maleńkości to dziwne jakieś było, ni to pogada z człowiekiem, ni coś opowie, wiecznie ino myśli, a myśli. Pochowałam kilkoro drobiazgu, na to patrzyłam jak w obrazek święty, rósł chłopaczysko w lata, a stateczności nijakiej, naganiam go do kościoła, a on mi się w oczy śmieje i mówi: „do kogo się będę modlił, gdyby Bóg był w niebie i taki dobry jak mówicie matusiu, to i nam lepiej byłoby na ziemi; dobry nie chce cierpienia innych". A potem znów latał Bóg wie dokąd, często i na noc nie wrócił, ot złe opętało chłopaka, zaprzepaścił duszę i zginął, a nas biedaków zostawił.

— Pani widziała syna w cytadeli?

— Widziałam, panienko, widziałam. Wprowadzili mnie do jakiegoś pokoju i tam w jakiejsiś szopie postawili Janka, ino aby głowę widziałam; mówią panienko, że im tam pono pazury zdzierają i bez to rąców nie widać, choć mój się tam nie skarzył mi, ino prosił o czystą koszulę, chleb i cukier. „Nie turbujcie się matulu, uściskajcie ojca i proście, by się nie gniewał na mnie". A potem, złocista panienko, Janek gdziesik przepadł, a mnie wyprowadzili do innego pokoju i już go nie zobaczyłam więcej jedynaka mego, pociechy mojej całej.

Głos jej załamał się, zatrząsł, słyszałam w nim jakąś zbiorową skargę, ból beznadziejny, protest bezsilny wszystkich matek, którym fala rewolucji unosi bezpowrotnie ukochane dzieci.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ból jej wydał mi się zbyt silnym, bym mogła zastosować jakąś banalną pociechę.

Patrzyłam na jej zgarbione plecy, pierś wyschłą, głowę pochyloną i milczałam.

Płacz zacichł, otarła twarz chusteczką i skarżącym się głosem ciągnęła:

— Napisali, panienko, żeby jechać, więc zebrałam trochę grosza, uprosiłam, zapożyczyłam się, a pojechałam, a skąd tu oddać mnie biedocie nieszczęśliwej.

Bez słowa otworzyłam woreczek, który miałam na kolanach i dwa złote pieniążki złożyłam na jej dłoni. Twarz jej przed chwilą pochmurna i płaczliwa, wypogodziła się, bezwiednym ruchem, chcąc wyrazić podziękowanie, schyliła się do mej ręki.

Uścisnęłam silnie jej wyciągniętą rękę i cofnęłam ją pospiesznie.

Spojrzała na mnie z podziwem, następnie poprawiła się na krześle i patrząc na pieniądze, mówiła:

— Dobre są ludzie, panienko moja, nie zapomnieli o mym synku, nawet w gazecie o nim stoi, o zaraz pokażę, choć to niby zakazana gazeta, ale panienka chyba nikomu nie powie.

Rozejrzała się po pokoju, rzuciła trwożliwe spojrzenie na drzwi i okno, następnie sięgnęła do spodniej spódnicy, wyjęła złożony arkusz i podała mi go.

Był to ostatni nr. 90 „Robotnika".

Kronika — Kat pracuje!!

„Warszawski sąd wojenny okręgowy pod przewodnictwem Doroszewskiego z niezachwianą systematycznością skazuje na śmierć wszystkie ofiary, które przypadkowo szpieg-prowokator albo ślepy przypadek oddadzą w jego ręce."

Zginął na szubienicy Chojnacki!...

Dalej czytać nie mogłam... Oddałam matce drogocenny nekrolog.

Drżącemi rękoma rozprostowała go, wygładziła, następnie starannie złożyła i z powagą włożyła do kieszeni.

— Nie był on chyba taki zły, gdy o nim gazety piszą? — spytała, podnosząc na mnie oczy, lecz, nie czekając na mą odpowiedź, ciągnęła:

— Tak, tak, niema co mówić, ludzie są dobre, nawet te żandarmy w Warszawie to jakiś jenszy naród, prowadzi grzecznie, nie krzyknie, a najlepszy, panienko moja, to sam adwokat — Patek się nazywa, panienka zna pewno, to prawdziwy anioł z nieba, niech mu tam Bóg wszystko wynagrodzi, taki ci pan możny, a taki niehonorny, nie wstydzi się biednego człowieka. Jakem wyszła od Janka, niby z tego więzienia, wziął ci mnie panienko na swoją dorożkę, taką na gumowych kołach, do siebie zawiózł i uczciwie potraktował, tak miło było jechać, a tu ludzi mrowie dokoła, pędzi to wszystko w różne strony, ulice piękne, domy wysokie, aż serce rośnie, gdy to sobie przypomnę!

Podczas tego opowiadania twarz jej zmieniła się, z pogodnej stała się prawie wesołą, a w końcu wyrażała jakiś zachwyt i zainteresowanie.

Zapomniała o stracie jedynego dziecka, o przypuszczalnych jego cierpieniach, w umyśle jej pozostało tylko wspomnienie przejażdżki, poczęstunku, a może w głębi duszy wyłamał się żal, że podobna chwila więcej się nie powtórzy, gdyż Janek był jedynakiem.

Bez słowa, uścisnąwszy rękę towarzyszki Chojnackiej, szybko wybiegłam na ulicę.

W głowie miałam jakiś zamęt, w gardle ból straszny, a po policzku potoczyła się łza.

Nie wiem, czy padła na straconą młodość Janka, czy może wycisnął ją żal nad biedną, szarą, malutką duszą jego matki!

Ciągłość w przeobrażaniu się kultury.

Częste podróże, odbywane od wieku przeszło przez jednostki odważne, wzbogaciły nas nietylko w obfite szczegóły z najrozmaitszych dziedzin nauk ścisłych, ale i dostarczają nadzwyczaj wiele materjału, dotyczącego sposobu życia ludów dzikich. Nowe dane z życia społecznego, zbadanie przyczyn najrozmaitszych przejawów tego życia, oraz ich skutków, pozwoliły rozpatrzeć i wytłomaczyć dokładnie wiele zjawisk, dotychczas niepojętych lub niejasnych. Stąd też powoli wytwarza się nauka o kulturze, jako całokształcie stosunków społecznych i materjalnych pewnego narodu; wyłaniają się przyczyny, dzięki którym naród ten — niegdyś, być może, stojący na znacznie wyższym szczeblu kultury, strącony został w szeregi ludów, bez porównania mniej od niego kulturalnych. Odwrotnie, uwydatniają się dziwne nieraz podstawy powolnego wzrostu kultury ludu, który przez wiele setek lat w uśpieniu jakby oczekiwał na odrodzenie.

Odbywa się więc bądź powolne przekształcanie się istniejącej już u danego ludu kultury, bądź też nabywanie jej. Podtrzymywanie istniejącej już kultury zależy przedewszystkim od wpływu jednostek bardziej dojrzałych na młodsze, od pewnego wrodzonego pożądania czynu, łspotęgowanego jeszcze przez umiejętne rozwijanie go; wyłaniają się wówczas motywy idealne (logiczne, etyczne, estetyczne) i czysto praktyczne, połączone z korzyścią lub ze stratą społeczeństwa, a pośrednio i jego kultury. Kultura zaś ludu jakiegoś powstaje nie odrazu, nie jako wypływ tego ludu tylko; łączy się ona ściśle z kulturą, istniejącą u innych ludów ościennych, wyłania się na drodze nadzwyczaj złożonej, posiada wielką prahistorję. Zauważyć się daje ciągłość kultury.

Ciągłość ta występuje w dziedzinie rolnictwa w najprostszych sposobach uprawy roli, hodowli bydła i zaspakaniu codziennych potrzeb gospoadrskich, w technice zaś — w początkowem zużytkowywaniu ognia, a o ile zechcemy brać przkłady z nowszych dziejów — w zastosowaniu zasad prostolinijności w konstrukcji technicznej, w udoskonaleniu druku i t. p.

Ciągłość kultury z łatwością dostrzeżemy i w dziedzinie obyczajności, jako ciągłe wzrastanie poczucia wstydu u płci przeciwnych; dostrzeżemy ją także w życiu politycznem i w rozwoju języka. Występuje ona bardzo wyraźnie i w religji, pod którą pojmujemy w danym przypadku całokształt obrządków, wypełnianych dla szeregu bóstw. Okazuje się, że zarówno powstawanie owych bóstw, jak i legiend, mytów, rytuałów it. p. wykazuje pewną ciągłość, że najbardziej oddalone od siebie i niepodobne na pierwszy rzut oka do siebie religje posiadają jednak cechy wspólne. A zbytecznem byłoby chyba starać się udowodnić, jak silnie

przejawia się tak podkreślana przez nas ciągłość w rozwoju sztuki i nauki. Pierwociny sztuki u wszystkich prawie ludów przejawiają się w jednaki mniej więcej sposób, ulegając conajwyżej wpływom warunków etnograficznych lub działaniu właściwości psychicznych każdego poszczególnego ludu; jednowymiarowość, brak jakiejkolwiek perspektywy, niezwykła prostota w odwarzaniu świata zewnętrznego — oto najbardziej charakterystyczne cechy sztuki pierwotnej; z czasem dopiero następuje pewne wydoskonalanie i odchylanie się od podanego prototypu. W rozwoju zaś nauki, każdy nowy szczebel, o który wiedza posunęła się naprzód, ściśle łączy się z poprzednio już zdobytymi; każdy pojedyńczy fakt jest drobnem ogniwem olbrzymiego łańcucha, nowa zdobycz opiera się na pogłębianych i utrwalanych danych.

Bezwątpienia, jedna z najważniejszych podwalin owego prawa ciągłości kultury leży w życiu duchowem człowieka. Kształtowanie się duszy każdego osobnika, powstawanie i związek spostrzeżeń i wspomnień, wogóle cały proces myślenia każą domyślać się ciągłości. Inaczej bowiem nie moglibyśmy sobie wytłomaczyć żadnej twórczości, występującej wówczas tylko, gdy coś dojrzałego w duszy wybucha pod wpływem jakiegoś bodźca zewnętrznego. Małe dziecko, które w pierwszym okresie swego życia działa nieświadomie, nie zdając sobie sprawy ze swych uczynków, powoli zaczyna je pojmować, wkłada w nie pewną dozę świadomości; gromadzi się materjał, który z czasem uzewnętrzni się jako twórczość w pewnym określonym, właściwym dla danej jednostki kierunku.

Staraliśmy się wykazać, że prawo ciągłości występuje w każdym przejawie kultury i że pozwala się ono tłomaczyć założeniami duchowemi jednostek. Zwróciliśmy już jednak na początku uwagę, iż u jedynych ludów kultura wzrasta, u innych — opada. Odbywa się zatem ciągłe przekształcanie się kultury. Ludy, stojące na niższym szczeblu rozwoju kulturalnego, zapożyczają od bardziej kulturalnych najrozmaitsze zdobycze kultury, muszą jednak do tego być dostatecznie dojrzałe, tj. muszą sobie zdawać dokładnie sprawę z potrzeby takiego zapożyczania i pożądać go; kiedy zaś już dany lud znajduje się w stanie dojrzałości takiej, wówczas pojedyńcze, bardziej śmiałe i energiczne lub przedsiębiorcze jednostki wprowadzają cały szereg zmian. Naturalnie, o ile się rozchodzi o rzeczy ważne, przypadek wcale nie wchodzi w grę; przeciwnie, w kwestjach natury podrzędniejszej, przypadek odgrywa rolę bardzo doniosłą, ponieważ im wyżej stoi jakiś naród kulturalnie, tembardziej zastanawia się nad zmianami, które chce u siebie zaprowadzić, tem poważniejszemi kieruje się pobudkami. Przeciwnie, u ludów dzikich, gdzie kultura się dopiero wytwarza lub jest jeszcze w zarodku, najprostsze motywy — a częstokroć czysty przypadek — powodują różne zmiany kulturalne. Nie bez znaczenia jest też fakt, czy cały naród lub przynajmniej większa część jego przyjmie udział w procesie wprowadzenia kultury, czy też pojedyńcza garstka ludzi, którzy muszą wskutek tego walczyć z groźnemi nieraz przeciwnościami; od tych warunków zależeć będzie szybkość, z jaką zmiany kulturalne szerzyć się będą.

Bez względu jednak na szybkość, z jaką nowa kultura szerzyć się będzie, jest ona jakby odbiciem (nie powtórzeniem — ponieważ nawet przy zapożyczaniu powstają różnice między zapożyczoną kulturą a tą, od której się zapożycza) już istniejącej. Następuje dalsze różnicowanie się, które może doprowadzić do niezwykłych udoskonaleń i zmian; prawo ciągłości występuje jednak wszędzie z nadzwyczajną przejrzystością.

Dr. St. St.

„Wiedza".

Rozmaitości

Nowoczesne małżeństwo. „Pall Mall Gaz" drukuje kontrakt małżeński, podpisany niedawno na żądanie młodej i pięknej narzeczonej przed sędzią pokoju w Londynie.

Oryginalny ten dokument opiewa:

1) Przyrzekam uroczyście przed reprezentantem prawa i moją wybraną, że jej każdej soboty oddam do rąk cały mój zarobek; 2) że codziennie o godzinie 9 wieczorem będę w domu, chyba, że moja żona wyjdzie ze mną; 3) że bez niej nie pójdę nigdy na żadną zabawę i bez jej pozwolenia nie będę z żadną kobietą tańczył; 4) że będę przyjaźnie się odnosił do jej matki i braciszka; 5) że nie będę należał do żadnego męskiego klubu, a zapiszę się tylko do tego, do którego moja żona zapisać się zechce; 6) że nie będę palił nigdy papierosów, a cygara tylko trzy w dni powszechnie, a pięć w niedzielę; 7) że nigdy nie użyję niedelikatnego wyrazu; 8) że wytrzepię co roku na wiosnę bez opozycji dywany; 9) że sam będę miał staranie o moją bieliznę; 10) że nigdy nie będzie pił napojów oszołomiających (alkoholicznych) z wyjątkiem dnia wielkiego wiosennego sprzątania trzech szklanek piwa w obecności mej żony; 11) nigdy nie będę trzymał psa, czy to własnego, czy przyjaciela, który chwilowo wyjeżdża; 12) w razie, gdy będziemy mieli dzieci, obejmuję połowę starania około nich tj. w nocy. Zobowiązuję się też rozpalić rano i wieczorem ogień w kuchni.

Młody człowiek kontrakt podpisał: ożenił się, a jego żona ma nadzieję, że ten kontrakt zapewni jej szczęście domowe.

* * *

Szlachetny postępek. W swych pamiętnikach, które się niedawno ukazały na półkach księgarskich, podaje Robert Mitcheli znakomitą charakterystykę wybitnego dziennikarza i męża stanu, Emila de Girardina, jednej z najwybitniejszych osobistości drugiego cesarstwa.

Girardin nie znał żadnych przesądów i w rozmaitych okolicznościach dowiódł, iż stoi ponad konwenansem.

Pewnego dnia poszukiwał służącego. Zjawił się człowiek, który na pierwszy rzut oka nie budził wielkiego zaufania. Girardin poznał odrazu, że człowiek ten zwichnął swoją karjerę, ba, nawet jeszcze gorzej, bo stał się przestępcą. Człowiek ów nie mógł wytrzymać wzroku Girardina, i zakłopotany i zmieszany patrzył w ziemię.

— Skąd pan przychodzisz?

Żadnej odpowiedzi.

— Gdzie pan był ostatnio?

— W więzieniu — odparł przybyły bezdźwięcznie.

Girardin spojrzał mu bystro w twarz i zapytał:

— Dlaczego byłeś pan w więzieniu?

Kandydat na służącego opowiedział ze spuszczoną głową smutną swoją historję. Wypuszczony z więzienia, nie mógł nigdzie znaleźć zajęcia, gdyż wszędzie odprawiano go z niczem. Mimo to chce pracować uczciwie i stać się porządnym człowiekiem, a gdy cały świat odepchnie go od siebie, nie pozostanie dlań nic innego, jak kula w łeb. Powiedziano mu, iż Girardin jest dla biednych ludzi dobrym, i tonącym chętnie podaje rękę z pomocą.

— Jak się pan nazywa? — zapytał Girardin.

— Jan...

— To mi wystarczy. Przyjmuję was zatem Janie do mych usług. Tutaj są klucze od mieszkania.

I Jan, który był wzorem służących, pozostał do śmierci wiernym Girardinowi, który, jako zdrowego człowieka, przywrócił go społeczeństwu.

* * *

Kamienne okręty. Dziwnie to brzmi a jednak jest prawdziwe. Podatnego, taniego i wszędzie dającego się sporządzać materjału, jakim jest beton, używa się z dobrym skutkiem do budowy okrętów. Sposób ten wymyślił włoch Gabellini i przed kilku laty wykonał udałą próbę z lekką łodzią. Robi się rodzaj szkieletu łodzi z lekkich sztabek żelaznych, sztabki łączy się drutami w miejscu gdzie przypadają ściany, na kształt żeber lub też zamiast nich daje się silną siatkę drucianą i na szkielet łodzi ubija się z zewnątrz i wewnątrz beton. Ściany mają być tylko na kilka centymetrów grube, aby były dość silne do celów praktycznych. Cała łódź nie ma ani jednej fugi, jest wykonana jakby z jednej sztuki kamienia. Jeżeli powstanie dziura, na co potrzeba silnego uderzenia, to ją można załatać w jednej godzinie: zakładą się siatkę drucianą i zalepia betonem.

Przy większych statkach, które buduje się już w większej ilości, np. jako węglarki w marynarce włoskiej, robi się kilka piąter o cienkich ścianach betonowych. Zewnątrz są ściany gładkie a można je uczynić tak twardemi jak

marmur. Kilkuletnie doświadczenia wykazały, że betonowe ściany statków są wytrzymalsze na wodę morską, jej zwierzęta i rośliny jak drewniane i miedziane dna okrętowe. Nie należy się spodziewać, ze i ogromne kolosy morskie, okręty wojenne i przewozowe budować się będzie z betonu. Przy wielkich okrętach budowa żelazna ze względu na wytrzymałość jest pewniejsza. W pewnych wypadkach będzie można jednak budować z betonu statki większych rozmiarów. Wobec wzrastających cen drzewa i żelaza, beton będzie coraz więcej używany, zwłaszcza do wielkich mostów (do małych już się go używa), przy kanałach i spławnych rzekach.

* * *

Tunel przez Mont Blanc. W ostatnich latach często zastanawiano się nad śmiałym planem przeprowadzenia tunelu przez największą górę w Alpach, przez Mont Blanc. Francuskie ministerstwo pracy przedsięwzięło obecnie nowe studja, które dają pogląd na trudności i olbrzymie koszta przeprowadzenia tego tunelu. Tunel rozpoczynałby się w miejscowości Chamonix na wysokości 1050 m. ponad powierzchnią morza, a kończyłby się w Entreves na wysokości 1287 m. Długość wynosiłaby 13 klm., tor ma się podnosić 29—30 milimetrów na 1 m., tak, że przewidują potrzebę urządzenia kolei elektrycznej. Koszta przy dwutorowej kolei obliczają na 60 miljonów, tory boczne, dojazdowe kosztowołyby 15 miljonów. Koszta łączne w sumie 90 miljonów poniosłyby wspólnie: Francja i Włochy. Mont Blanc składa się z twardego granitu; szczególnych trudności nie przewidują, ponieważ przekop będzie na wysokości 1000 metrów, tak, że nie ma obawy przed wysoką temperaturą, wybuchu wody gorącej, jak przy przekopywaniu Simplonu. Roboty trwałyby 5 lat. Przez przeprowadzenie tej drogi, skróconoby linję komunikacyjną Paryż-Gienua o 50 klm., a komunikacja pospieszna z Anglji do Indji, która dotąd skierowana była na Niemcy i Szwajcarję, przypadłaby kolejom francuskim.

* * *

Dwieście kilometrów na godzinę. W Berlinie pojawiła się broszura pióra p. Augusta Scherla, zatytułowana: „Nowy system szybkich kolei", w której autor wykazuje braki dzisiejszego systemu w kolejnictwie i rozwija fantastyczne pomysły co do tego, jaką może, a nawet powinna być kolej w dzisiejszem stuleciu. P. Scherl twierdzi, że możliwem jest osiągnięcie szybkości 200 klm. na godzinę, lecz że do tego konieczną jest radykalna reforma w kolejnictwie. Przedewszystkiem proponuje on, aby najzupełniej oddzielić ruch osobowy od ruchu towarowego. Dzisiejsze koleje niechaj dalej służą ruchowi towarowemu, zaś dla ruchu osobowegb potrzeba kolei z pociągami o szybkości 200 klm. na godzinę. Maszyny parowe i system dwuszynowy nie są zdolne do takiej szybkości, musimy więc posiadać jednoszynowe koleje elektryczne, które oczywiście nie mogą znajdować się na poziomie dróg, ale iść w powietrzu. Te linje pospiesznych kolei łączyć będą ze sobą główne miasta najkrótszą drogą, gdyż linją powietrzną, a sieć kolei pobocznych i omnibusów automobilowych dowozić będzie do ognisk ruchu podróżnych z najzapadlejszych zakątków. — Niepodobna tutaj streścić technicznych wywodów broszury, zaznaczamy więc tylko, że już istnieje typ wagonu dla kolei jednoszynowej, idącej w powietrzu.

* * *

Stracenie słonia. W moskiewskim ogrodzie zoologicznym stracono słonia, chorego nieuleczalnie na paraliż. Przed egzekucją zastrzyknięto 20 gramów morfiny. Po godzinie zaczęto go chloroformować. Wylano słoniowi na trąbę 2 i pół kilograma chloroformu. Po upływie pół godziny puls słonia spadł z 70 na 44 uderzeń, następnie słabł coraz bardziej. Po godzinie słoń już nie żył. Na sekcję zgromadziło się około 100 osób ze świata naukowego, przeważnie lekarzy i weterynarzy. Niektóre organy pojedyńczo ważono. Naprzykład serce słonia ważyło 70 funtów, a wątroba 113 funtów.

* * *

Wystawa nędzy. Z Brukseli donoszą, iż na tamtejszej wystawie ma otrzymać dzielnica robotnicza halę centralną z salą wykładową. W hali mają być wystawione prace belgijskiego przymysłu domowego z podaniem płacy, czasu pracy, stosunków zdrowotnych w warsztatach itd.; a oprócz tego mają być umieszczone tablice objaśniające. Dokoła hali ma się znajdować galerja zewnętrzna, na której robotnicy pod przykryciem z dachów płóciennych mogliby być czynni w oczach publiczności. To byłaby rzec można teoretyczna strona wystawy „nędzy". A teraz strona praktyczna. Dokoła hali ma być rozmieszczonych kilka domków robotniczych, skopjowanych tak z zewnątrz jak i z wewnątrz z natury. Mają być domki tkaczów flandryjskich i walońskich kowali i rusznikarzy. W tych dusznych izbach mają robotnicy pracować tak, jak pracują u siebie w domu. Publiczność, która przed chwilą zachwycała się wyrobami wielkiego przemysłu domowego, wtedy dopiero nabierze prawdziwego pojęcia o położeniu społecznem całych okręgów robotniczych. Na razie jest to wszystko tylko projektem, który niewiadomo, czy przemieni się w rzeczywistości.

* * *

Ceny dzikich zwierząt. Wskutek ustawicznego tępienia dzikich zwierząt, cena ich wzrasta z każdym rokiem. Obecnie lew na wolności kosztuje 900 do 2400 marek, podczas gdy lwa urodzonego w niewoli dostać można za 100 marek, za pumę płacą 500 do 600 marek. Tygrys kosztuje 2000 do 2500 marek, nasz ryś 500 do 600 marek. Stosunkowo tanie są wilki, których cena zwykła nie przekracza 50 marek. Niedźwiedzie polarne płacą po 600 do 800 marek, słonie 5000 do 6000 marek. Najdroższe są girafy, których cena w niektórych latach przenosiła 20.000 marek.

Jeśli weźmiemy pod uwagę kosztowuość utrzymania tych zwierząt, to łatwo przyjdziemy do przekonania, że bynajmniej nie jest rzeczą łatwą utrzymanie tych mieszkańców pustyni w naszych okolicach.

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt VII na lipiec. Treść: Część pierwsza: 1. (f): Nie zabijajmy charakterów. — 2. Dr. Zofja Daszyńska-Golińska: Przyszłość Polski. — 3. Wł. Studnicki: Stosunek Królestwa do Rosji. — 4. Junius: Współcześni politycy polscy. VIII. Bernard Chrzanowski. — 5.J. Kwiatek: Pisma Słowackiego treści ideowo-politycznej. — 6. Rom. Minkiewicz: Darwinizm wobec dzisiejszej wiedzy biologicznej. — 7. Przegląd: I. Skiba: Ruch kobiecy. II. Tadeusz Wilski: Bojkot szkół wyższych w Królestwie. III. Junius: Z trzech zaborów. — 8. Sprawozdania literackie.

Część druga: 1. St. Przybyszewski: Kartki z powieści. — 2. Dr. Bron. Biegeleisen: Filozofja Bergsona. — 3. E. Łuskina: Neitaker — „Piękna na różanym wozie". — 4. Edw. Woroniecki: O dramacie i dramatach. — 5. Zygm. Michałowski: Poezje. — 6. T, St. Grabowski: List z Czech. — 7. J. Lipińska: Ukojenie. Wiosną. — 8. S. Twerdochlib: Z poezji ukraińskiej „Młodej Muzy". — 9. Przegląd: I. Z prasy. II. L. Kowalski: Wystawa Tow. „Zero". III. Tad. Bezimienny: Ze sztuki i z życia. — 10. W obronie czci: I. Dwa dokumenty. II. Oświadczenie pisarzy polskich. Nowe powieści.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 29. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 17 lipca 1909.

Savitri.

Jak szeregowiec.

W jaki sposób Roman, porwany falą bezgranicznego upojenia, znalazł się w przednim szeregu demonstrującego tłumu, tego zupełnie nie pamiętał. Dość, żeśtał o parę kroków od robotnika, trzymającego sztandar i że oddzielało go zaledwie kilkunastometrowa przestrzeń od groźnie wycelowanych karabinów żołnierskich.

Złowroga cisza groźnie dyszała przez chwilę między tłumem robotników i żołnierzy. Czarne lufy nieruchomo wisiały w powietrzu, jak wyprężone żmije, gotowe zerwać się i kąsać.

I nagle trysnęła pieśń, jak potok uwięziony w podziemi i popłynęła wolna, potężna, urągając czekającemu złowróżebnie gwałtowi. — A jednocześnie spadł na nią suchy trzak i huk salwy karabinowej — spadł jak drapieżny jastrząb na zdobycz.

Przez chwilę zmagały się ze sobą w powietrzu dwa głosy — dwa wrogie wybuchy. W tłumie coś zajęczało, krzyknęło. Lecz echo wystrzału opadło bezsilne, a pieśń znów się dźwignęła i szumiała, wzbierała, groziła, zataczając się w zwycięzkich współbrzmieniach.

Spiew ugrzązł w gardle Romana, gdy nogą potrącił postrzelonego tuż obok niego robotnika. Ciało podrzucało się w skurczach rozpaczy, ręce napróżno się prężyły, szukając jakoby jakiegoś oparcia, za które mogłyby się uchwycić i zatrzymać na niepodzielnie jedynie umiłowanej ziemi. Ziemia była mu wiarą, walczył, jako wyznawca jej prawdy i mocy, a teraz musiał iść w mglistą, beztreściwą zaziemkość.

Groza śmierci była tak dotykalna, tak bliska. Patrzyła na Romana szyderczo i chłodno oczami otworów karabinowych. Zdawało mu się, że w piuropuszach ognia i dymu krąży nad nim pocisk śmiertelny. I uczuł protest przeciwko bezimiennej śmierci na brukach. Lecz ironicznie zaśmiał się w nim zastarzały wyrzut.

— Przynajmniej na czele zginąć? Jak bohater? Lepszyś od szarego tłumu? Wyższyś od nich — inteligient? Szkoda ci twego „ja?“

— Ja tracę świat wiedzy i piękna, oni tylko bezsłoneczne istnienie, które im samym cięży — zawołał w nim ostatni odruch pychy. Lecz w następnym momencie zeszła na niego cicha pokora zrównania wszystkiego i wszystkich.

Znowu warknęły karabiny. Kula uderzyła w oko Romana, wryła się w mózg.

Ból straszny, nieprzytomny...

— Koniec — zahuczało mu w głowie.

— Towarzysz Roman zabity! — krzyknęło kilka głosów.

Porwano ciało, unosząc je z pośród tłumu.

Pieśń załamała się, upadła, jak ptak ze zwichniętym skrzydłem. Zrywała się jeszcze w kilku miejscach z głuchym jękiem, z nienawistnem przekleństwem. Lecz już tłum drgnął i rozpraszał się. Żołnierze w sfornych szeregach postępowali za nim. Po chwili ich grube buty deptały ślady świeżej męczeńskiej krwi

* * *

Przez mętne, jakby zapłakane szyby izby robotniczej wchodziły odblaski czarnych chmur i kładły żałobne refleksy na umarłą twarz Romana.

Ciało ciemną plamą uwydatniało się w żółtem obramowaniu drewnianego łóżka. Dziwnie odbijała od surowej szarości ubóstwa reprodukcja Boeklinowskiej „Willi nad morzem“. Widać, rzuciło się na tę ścianę odbicie niespokojnych, błąkających się snów i zamieniło się w obraz rwącej tęsknoty, która staje nad morzem, zapatrzona w bezpowrotną dal.

Rozrzucona grupa towarzyszy czerniała w pokoju. Oczy wszystkich uporczywie wpatrzyły się w skrzepy krwi, jakby chcieli w sobie przecierpieć to, co zabiło innego. Młody robotnik zbliżył się do łóżka i w jakiemś martwem zapamiętaniu odmywał z twarzy trupa wyciekłe szkliwo oczne i krew. Duszna cisza cierpienia dławiła obecnych.

— Wszystko jedno! Co tam! Takich szeregowców poległo dziś więcej! — ozwało się czyjeś stłumione, szukające ulgi, zdanie.

— Trzeba zobaczyć, czy pozostały po nim jakie papiery — powiedział starszy towarzysz, z głową przedwcześnie przyprószoną siwizną wielu trudów i wygnań.

— Może rodzinie znać, może komu z bliskich — wtrąciło kilka głosów — kto wie cokolwiek o jego pochodzeniu i stosunkach?

— Nikt nie wie. Mieszkał za nielegalnym paszportem.

— Więc trzeba przejrzeć jego papiery. Zróbcie to Janie!

Jan zbliżył się do prostego stołu drewnianego, otworzył szufladę i szukał w niej przez chwilę.

— Nic tu niema, żadnych adresów, chyba ten list, pisany do kogoś. Może w nim co znajdziemy.

— Więc przeczytajno głośno! — przemówiło kilka głosów.

Wszyscy skupili się koło okna i w milczeniu słuchali czytania. Tylko czasem mimowolna hypnoza przykuwała znowu ich wzrok do męczeńskiej twarzy, która tylekrotnie dziwnym ogniem pałała, mówiąc im o nadchodzącym dniu...

Jan czytał:

— I nowu mi piszesz, żem nie powinien się marnować w masowej robocie? Mówisz, że mam talent? I cóż to jest talent? Jeszcze jedna błystotka, utrwalająca wiekuistą nierówność między ludźmi. Dość mam prowodyrów i masowców, dość wyższych i niższych! Sąd dnia twierdzi: dla większych zasług większe prawa! Każdemu podług wartości! Nieprawda, zasada ta jest równie pierwotna i bezlitosna, jak współzawodnictwo i walka o byt. Czy najprzydatniejszy dla gatunku więcej ma praw? Nie, najwięcej praw ma ten — kto przedstawia wartość najmniejszą. Jego przedewszystkiem powinna nasza cnota darząca ogarnąć. Trzeba sił życiowych przysparzać tym, którym ich brak, nie zaś płonące głównie rzucać już w gorejące ogniska. Wiem, że dokoła setki ludzi nie ma tej pełni sił duchowych, która gra we mnie. Czyż mniej ma przeto praw

do użycia i życia? Czyż większe prawo do zaspokojenia ma pragnienie sił nie rozbudzone, czy też pragnienie, które śpi i które potrzeba dopiero rozbudzić? Czyż rozbudzone pragnienie już samo w sobie nie jest bogactwem?

— Pali mnie zawsze hierarchja doskonalszych i mniej doskonałych. Wyrafinowanie kulturalne nie jest jeszcze prawdziwą wartością. Nawet biorąc ewolucyjnie, ludzie nie są wyżsi i niżsi. Oni są tylko inni. Przyjdzie czas, gdy wszelka hierarchiczność w myśleniu zginie tak dalece, że rozwój społeczeństwa nie wyobrazuje się nam nigdy w myślach w kształcie olbrzymich schodów z ludźmi, poustawianymi na różnych stopniach. Stanie przed nami życie, jako niezmierzona równina, rojna zaproszonemi grupami ludzi. Każdy ma inne miejsce, lecz na opasanej widnokręgiem równinie, jak tarczy doskonałości, nikt nie jest na przedzie, nikt w tyle. Są tacy, co zbliżyli się ku krańcom tarczy i ujrzeli nowe perspektywy wieczności. Są tacy, co wzeszli na wzgórza, lub spoczęli w lesistych zaciszach, lub z pługiem pracowicie przemierzają pola. Lecz nie stanowiskiem są oni dostojni. Działa na tym obszarze potęga, wytwarzająca mnogość kształtów. Radość przepełnia istotę żywych, drga w nich pełnią różnorodności. Lecz niema tu miejsca na naczelników i podwładnych.

— Nietylko zewnętrzną przemocą się włada. A ktokolwiek przewagą myśli swej chce nad tłumem panować, a nie tłumowi służyć, ten, bojując o wolność, służalstwo utwierdza na ziemi. I cóż stąd, że ktoś mocnem słowem do walki dźwiga, gdy jednocześnie zaspokojona pycha w nim woła: — Władam, a wy gnijcie się przedemną, jak kłosy przed wichrem! Trzymam was w dłoniach, zaprowadzę, dokąd zechcę! — Zaiste, nie ci kondjotorowie ambitni gmach przyszłości zbudują.

— Nie tej władzy w sobie się rozkoszującej potrzeba. Niech się wrota serca na oścież otworzą, niech się w wielkiem miłowaniu przewodnik z tłumem jednoczy. Niech się przewodnik staje cichym bratem, dobrowolnie kołpak wodza zdejmie i wsiąknie w szeregi. Niech nie będzie rozkazu, jeno dobrowolne wykonanie słowa.

— Nie, powtarzam ci, nic nie daje mi prawa do życia lepszego od wielu. Szydzą ze mnie, że dobrowolnie obniżam skalę życia. Ależ ja obniżając ją, podnoszę bezgranicznie skalę wewnętrznego życia. Mówisz, że powinienem wystąpić z wielkiej armji, idącej na bój, aby rozwinąć moją naukę o życiu, moje artystyczne pomysły. Komu będą potrzebne te subtelne przędze? Robociarz jeszcze ich nie potrzebuje, on walczy dopiero o biologiczne podstawy życia. Reszta przeczyta dla spędzenia czasu a żadna myśl moja nigdy z przyjemnej emocji nie stanie się u nich czynem. Zaś gromada świetlistych myślicieli znajdzie tylko to, co w nich już kiełkowało.

Naczelnictwem się brzydzę, dlatego moich podziemi oczom ciekawym nie otwieram, by mnie snać wyższym nie okrzyknęli.

Lecz śród rzeźwego życia czynu woła wemnie i łka bezpamiętnie po nocach mój sen zniszczony, mój sen zadeptany.

Mój sen o pięknie...

O powiedz, powiedz, co począć z duszą, która jest tak ogromnie głodna piękna?...

* * *

Zapanowało milczenie. Nie było na twarzy umarłej śladów tych myśli i walk, które po raz pierwszy odsłoniły się światu. I próżno nadsłuchiwano, czy nie ozwie się ostatnie drgnienie duszy, ostatni głos tęsknoty, by przyjąć je na zawsze w pomięć wielbiącą. Rodził się ostry żal nad tą zeszpeconą, przeoraną kulami twarzą...

Aż ozwał się czyjś głos:

Cześć mu za to, że poległ jak szeregowiec.

Warszawa, 1906.

Czem się zajmuje bakterjologja?

Nauka o bakterjach jest częścią nauki o mikrobach, o drobnoustrojach — nauki, ogólnie zwanej mikrobjologją.

W codziennej jednak mowie nazwa „bakterjologja“ przyjęła się i służy na oznaczenie nauki o życiu i działaniu drobnoustrojów. W swej pogadance popularnej nie będę uwzględniał podziałów — klasyfikacji mikrobów — pogadanka taka bowiem stałaby się zbyt nużącą.

Nauka o bakterjach — jedna prawie z najmłodszych gałęzi nauk o przyrodzie — pchnęła nauki lekarskie, nauki farmaceutyczne, a szczególnie chirurgję i naukę o chorobach zakaźnych na nowe tory; nauka ta wprowadziła wiele poglądów na sposób działania środków leczniczych — czy to wewnętrznie, czy zewnętrznie stosowanych. Bakterjologja nauczyła, jak się ma wiele leków przyrządzać, by one nie były rozsadnikiem chorób, a raczej rozsadnikiem bakterji, wywołujących choroby; nauczyła, jak się ma wiele środków lekarskich przechowywać w stanie dobrym, dla rozwoju bakterji niepodatnym. Bakterjologowie mieli i mają trudne zadanie, chcąc bliżej poznać mikroby, czy to roślinne, czy zwierzęce (nauka bowiem jedne bakterje zalicza do roślin, inne do zwierząt — podział ten jednak dziś jeszcze niepewny). Są to bowiem bardzo maleńkie żyjątka — gołem okiem, nieuzbrojonem w mikroskop, niewidzialne. Dokonali jednak swego: zbadali skład chemiczny bakterji; analiza elementarna wykazała, że w skład bakterji wchodzą pierwiastki: węgiel, wodór, azot, tlen, fosfor, siarka, potas, krzem, czyli pierwiastki, wchodząze w skład ciał białkowatych i w skład popiołu. Z tych samych pierwiastków składa się pożywienie bakterji; to też bardzo obficie rozsiane są te żyjątka w powietrzu, ziemi i wodzie. Ze zjawisk fizycznych życia bakterji dobrze znane są: ruchomość bakterji, która to czynność jest wynikiem narządów, zwanych migawkami; drugiem zjawiskiem, ale to tylko niektórym bakterjom wspólnem, jest własność wytwarzania światła (bakterje fosforyzujące); światło to niekiedy jest tak silne, że można bakterje w ich własnem świetle fotografować.

Bakterje, chcąc się rozwinąć, muszą (jak wszystkie twory życiowe) mieć odpowiedni grunt życiowy.

Nie wszystkie organizmy są zdolne hodować mikroby. Organizm wielu ludzi, czy też zwierząt, uzbrojony jest w własność, którą znamy pod nazwą odporności. Odporność bywa wrodzoną, naturalną, i taka odporność bywa często w wielkim stopniu u danego osobnika rozwiniętą. Organizm naturalnie odporny jest zdolny ignorować kilka gatunków bakterji chorobotwórczych. Silna odporność organizmu jest bardzo „cenną“ zaletą zdrowotną.

Odporność wobec bakterji można także i sztucznie uzyskać. Odporność sztuczna jednak jest specyficzną dla bakterji wysuszonej. Jeżeli n. p. chcemy organizm uodpornić przeciwko ospie, to szczepimy „krowiankę“; krowianka zaś nie jest niczem innem, jak tylko zarazkiem ospy, osłabionym przez przejście przez ustrój krowy. Zarazek ten (w formie krowianki), przeniesiony do ustroju ludzkiego, nie jest w stanie wywołać pełnego obrazu ospy, ale tylko lekką jej postać, która to objawia się (lokalnie) w miejscu szczepienia, w postaci krosty. Ten przebieg ospy, wywołany sztucznie (przez szczepienie) czyni organizm odpornym na naturalne zakażenie ospowe. Sztuczne uodpornienie organizmu ma bardzo wielkie znaczenie; ustrój bowiem, który raz przejdzie chorobę zakaźną, nie zapada na tę samą chorobę zakaźną (naturalnie, jeżeli pierwsze zakażenie zostało wyleczone (usunięte). Organizmy zaś szczepione przechodzą zakażenie (sztuczne), przezco właśnie stają się odpornymi. Niestety, nie mogą badacze dla wszystkich bakterji wyszukać „krowianek“. Ogólnie znany podział drobnoustrojów jest: na mikroby: chorobotwórcze i na fermenty (roztocze).

Bakterje wywołać mogą zakażenie bądźto lokalne, bądź też ogólne. Przy zakażeniu ogólnem albo mikroby dostają się do całego ustroju, albo pozostają w miejscu pierwotnem, a do organizmu przedostają się trucizny, które one wytwarzają.

Bakterji chorobotwórczych jest bardzo wielka ilość, w tej pogadance poznamy ważniejsze i to tylko z nazwy cho-

roby, jąką dane bakterje wywołują; brak miejsca nie pozwala omówić poszczególnych gatunków bakterji.

Więcej znane są bakterje: róży, dyfterji, szkarlatyny, gruźlicy płuc (suchot), trypra, przymiotu (sifilis), tyfusu brzusznego, czerwoniki, nosacizny, cholery.

Bakterje te swem zakażeniem wywołują często a raczej prawie zawsze niespodziane szalone spustoszenia w najzdrowszym organizmie.

Uchronić się od zakażenia bakterji można zapomocą desynfekcji (odkażenie). która to właśnie działa zabójczo na bakterje. Czystość ulic, parków, to pierwsze warunki desynfekcji, bo np. typowe zamiatanie (ręczne) ulic tak sobie na sucho jest tylko pomocnem dla bakterji, które wraz z pyłem unoszą się w powietrze a z niem do naszego organizmu.

Dobrymi środkami desynfekcji są: ług potasowy i sodowy, mydło, kwas karbolowy, lysol itp.; środkiem desynfekcyjnym miaszkań najlepszym jest formalina. Wodny roczyn formaliny 5% lub 10% użyty przez rozpylanie, działa zabójczo dla bakterji.

Powietrze jednak w mieszkaniu nie może być zbyt suche, formalina bowiem najlepiej działa w obecności pary wodnej a tę łatwo otrzymuje się przez gotowanie wody w odkrytych naczyniach, z których właśnie uchodzi w powietrze.

Baczniejszą uwagę musimy zwrócić na czystość rąk, o co nie bardzo trudno. Mydło i gorąca woda, to środki desynfekcyjne (tanie a dobre) dla rąk. Czystość bowiem mieszkań, mebli i czystość organizmu przeciwdziałają rozwojowi i rozpowszechnianiu się bakterji. Jul. Łopatka.

Z za kulis handlu dziewczętami.

Wstrętny handel dziewczętami jest handlem międzynarodowym i doskonale zorganizowanym. Handlarze żywym towarem mają nietylko umówione znaki telegraficzne, lecz i swój specjalny język, w którym prowadzą listowną korespondencję. Oto niektóre wyrażenia: 5 beczek wina węgierskiego, 3 worki ziemniaków, 2 paki jedwabiu, 7 pak kiełbasy. Pod kiełbasą i ziemniakami rozumieją się rosjanki i rusinki, pod winem węgierskiem mieszkanki Węgier i Kroacji. „Młode lwice" oznaczają przybyłe z Afryki, a „białe niedźwiedzie" — dziewczęta przywiezione z Kaukazu.

Sposoby, za pomocą których handlarze i ich ajenci wciągają dziewczęta w swe sieci, są nader różnorodne, zależnie od kraju. Na wschodzie Europy, gdzie pojęcie o Ameryce jest nader małe, ajenci opowiadają cuda o Ameryce. Dziewczęta umawiane są do teatrów, lub jako kielnerki na wystawy i do restauracji. Na zachodzie Europy wielką pomoc okazują handlarzom niektóre biura małżeństw. Właściciele tych biur pozostają w ścisłych stosunkach z handlarzami amerykańskimi, którym też zbywają swój towar. Dziewczęta zwabiane są w ten sposób, że przedstawia im się młodzieńców gładkiej i przyjemnej powierzchowności, którzy, dopóki tego potrzeba, starają się niby o rękę tych dziewcząt.

Oprócz biur stręczeń małżeństw ręka w rękę z handlarzami idą niektóre biura najmu służby, dla których interes ten jest nader korzystny, ponieważ za nastręczenie kucharki lub pokojówki biura te pobierają zaledwie 2 do 4 marek, gdy tymczasem na dziewczęciu sprowadzonem w ten lub inny sposób z prostej drogi, zarabiają od 100 do 400 marek.

W wielu miastach Europy pełnomocny handlarzy amerykańskich przabywają jako ajenci towarzystw okrętowych i rozpowiadając niebywałe rzeczy, namawiają do przesiedlenia się do Ameryki. Inni są znowu specjalistami do zwabiania dziewcząt na pocztach wielkich miast; tam czyhają na dziewczęta, przychodzące po listy lub inne sprawy na pocztę. Ajenci wszczynają z niemi rozmowę, lub wchodzą w korespondencję listowną, poczem wciągają je pod tym lub innom pozorem we swe sieci.

Korespondencje między handlarzami są czemś tak brutalnem, że samo czytanie ich jest obrazą ludzkiej godności. Dziewczęta są w listach tych handlarzy traktowane nie jak towar, lecz jak zwierzęta. A co najciekawsze, że te potwory handlarskie mówią przytem najspokojniej o swej „uczciwości" i „sumienności".

Rozmaitości

Majątki ziemskie lordów angielskich. Projektowany przez angielskiego ministra skarbu podatek od przyrostu wartości majątków nieruchomych, wydobył znowu na jaw sprawę rozdziału ziemi w Wielkiej Brytanji. Cztery piąte użytkowanej gleby w Anglji oraz w Irlandji należy do 7 tysięcy właścicieli. Pięciu parów w Szkocji posiada razem 1/4 kraju. Połowa Anglji należy do 150, połowa Szkocji do 75, połowa Irlandji do 35 osób. Największy właściciel ziemski Albjonu posiada około pół miljona hektarów ziemi. Jest to znany ks. Sutherland.

Dawni lennicy Wilhelma Zdobywcy z biegiem lat przywłaszczyli sobie na nieograniczoną własność dobra lenne i dopiero w r. 1692 rząd angielski zaprowadził jako tako uregulowany kataster ziemski. Od tego czasu wartość ziemi wzrosła niesłychanie skutkiem pomnożenia się ludności, rozwoju miast, odkrycia skarbów kopalnianych, ulepszenia środków komunikacyjnych itd. Do jakiego stopnia podniosła się wartość ziemi w niektórych okolicach, wykaże najlepiej przykład rodziny margrabiego Bute. Była ona od dawna bogata, ale krezusem stał się dopiero ojciec ich, dzięki przypadkowemu odkryciu pokładów węgla w dobrach, położonych w południowej Walji. a zwłaszcza koło Cardiffu. Przed laty 40 Cardiff było nędznem gniazdem, dzisiaj ma przeszło 250.000 mieszkańców i ładuje na okręty więcej węgla, niż jakikolwiek inny port świata. Domy, które przed 40 laty można było kupić za 500 funtów, płacą dwa razy tyle samego podatku. Ponieważ przeważna część domów znajduje się na gruntach margrabiego Bute, więc pobiera on około 400 000 funtów szterlingów czynszu. W środku miasta Cardiff, wśród ogromnego parku, wznosi się potężny zamek margrabiów o wieżach gotyckich, otoczony murami i rowami, przedstawiający wartość kilkunastu miljonów; płaci jednak zaledwie 924 funt. szterl. podatku gruntowego, W odległości 200 kroków, krawiec, posiadający kamienicę o bokach mniej więcej po 18 mtr. płaci — 947 funt. podatku gruntowego.

Jeszcze lepiej wyszli lordowie, posiadający grunty w obrębie dzisiejszego Londynu, który pochłonął całe kompleksy okolicznych wsi. Ks. Bedford oraz lordowie Northampton, Portman i Howard posiadają przeszło 400 morgów najcenniejszych gruntów w Londynie, a ks. Westministeru ma nawet 650 morgów. Jak wzrosła wartość tych gruntów, obecnie parcel budowlanych, tudzież kamienic, które na nich stoją, świadczą czynsze, których wysokość jest jeszcze przez lordów starannie ukrywana. Gdy przed laty zjawiła się książka, której autor zebrał daty odnoszące się do tych czynszów, już po kilkunastu dniach nie było w księgarniach ani jednego jej egzemplarza. Rozchwytali ją oczywiście lordowie, nie lubiący tego rodzaju niedyskrecji. Ale zupełna tajemnica jest niemożliwa i od czasu do czasu zjawiają się obliczenia, podając w przybliżeniu owe dochody. Tak np. książęta Bedfordu i Westminsteru mają z tego źródła po 3 do 4 miljonów funtów szterlingu (82 do 96 mil. marek).

* * *

Ochrona dzieci w Anglji. Z dniem 1 maja obowiązywać zaczęło w Anglji nowe prawo, mające na celu ochronę dzieci przed zepsuciem, wyzyskiem i nieszczęśliwymi wypadkami.

Według prawa tego zabrania się dzieciom, liczącym mniej niż lat 16, palenia tytoniu pod jakąkolwiek postacią. Na policjantów nakłada prawo obowiązek zabraniania dzie-

ciom palenia na ulicach, a nawet rewidowania i konfiskowania znalezionego tytoniu, papierosów lub cygar. Właściciele sklepów z wyrobami tytoniowymi podlegają wysokim karom pieniężnym za sprzedawanie dzieciom towarów swoich.

Drugi paragraf tego prawa zawiera zakaz posyłania lub wprowadzania dzieci poniżej lat 14 do lokali, w których sprzedawane są trunki alkoholiczne do wypicia na miejscu. Nawet usiłowanie zniewolenia dziecka do przekroczenia progu takiego lokalu, uważane jest za karygodne.

Obok tych dwuch paragrafów głównych nowe prawo obejmuje jeszcze cały szereg innych.

I tak zabrania się zostawiać dzieci bez opieki w mieszkaniu, w któerm płonie ogień dla nich dostępny. Ponieważ zaś w Anglji dotychczas w użyciu powszechnem są kominki zamiast piecyków, przeto prawo powyższe anglicy uważają za bardzo uciążliwe. Niemniej obie Izby parlamentu angielskiego zgodziły się na nie.

Dalej prawo rozciąga nadzór bardzo ostry nad osobami ubezpieczającemi życie na korzyść własną. Jeżeli dowiedzionem będzie, że dziecko ubezpieczone odniosło obrażenia lub zmarło skutkiem niedbalstwa albo też złego niedbalstwa albo też złego obchodzenia się ze strony ubezpieczającej, to osoba ta podlega karze 200 funt. szterl. lub do 5 lat więzienia.

Inny paragraf naznacza kary pieniężne na osoby, zniewalające dzieci do żebraniny. Za żebraninę uważane jest także wysyłanie dzieci, aby grały i śpiewały na ulicach dla wzbudzenia litości wśród przechodniów.

W końcu prawo zabrania pod groźbą kar wysokich handlarzom starzyzny pouczać je dla kradzieży. W Londynie np. stwierdzono liczne kradzieże klamek, rączek od dzwonków i kołatek, znajdujących się przy wszystkich drzwiach wchodowych domów angielskich, przez dzieci, pragnące zdobyć pieniądze na kupno łakoci.

Prawodawstwo więc angielskie zdobyło się na krok ważny w kierunku opieki nad dziećmi i przypuszczać należy, że znajdzie naśladowców chętnych w innych państwach europejskich.

* * *

„Miedziane miasto" na Saharze. Pod przewodnictwem znanego amerykańskiego egiptologa, Dow Covingtona, wyruszyła w tych dniach ekspedycja do wnętrza Sahary, celem zbadania „miedzianego miasta". Wiadomości o tem tajemniczem mieście nadeszły po raz pierwszy ubiegłej zimy za pośrednictwem arabów ze szczepu Somussi. Arabi przypadkiem zabłądzili w tę stronę, bardzo odległą od zwykłych dróg karawanowych. Aczkolwiek opowieści ich brzmiały jak bajka z tysiąca i jednej nocy, mimo to Dow Covington wysłał w tę okolicę kilku zaufanych ludzi. Ci powróciwszy z długiej, pełnej trudów i niebezpieczeństw wyprawy, potwierdzili wieść. Daleko w głębi pustyni ujrzeli nagle kopuły i wieże jakiegoś miasta. Zrazu sądzili, że łudzi ich fata morgana; podszedłszy bliżej przekonali się, że istotnie widzą przed sobą miasto, opuszczone od wieków. Wszystkie kopuły i wieże były zbudowane z miedzi, którą suchy piasek pustyni doskonale zakonserwował. Znajdujące się wewnątrz domów przedmioty miedziane, z których kilka przywieźli egiptologowi, są wyraźnie pochodzenia egipskiego. Widzieli też w pobliżu wiele grobowców miedzianych z bronzowemi drzwiami. Uczeni z Kairo sądzą, że wieści są nieco przesadzone, lecz że opierają się na prawdzie. Znaleziono też w starych manuskryptach wzmianki, które mogą się odnosić do „miedzianego miasta". Wedle tych źródeł historycznych miasto pochodziłoby z epoki Ptolomeuszów.

* * *

Odbudowanie San Francisca. Prezydent Izby handlowej w San Francisco, Charles Morre, ogłasza następujące szczegóły o odbudowaniu miasta: Twierdzi on, że największą szkodę wyrządził pożar, powstały po trzęsieniu ziemi; podczas gdy szkody wyrządzone trzęsieniem wynoszą 3 miljony dolarów, to pożar wyrządził szkodę na 500 miljonów. Rozszerzenie się pożaru stało się możliwe wskutek pęknięcia rur wodociągowych, co odcięło dopływ wody do miasta. Ogółem ogień zniszczył 28.000 domów, stanowiących trzy czwarte części miasta. Odbudowanie miasta nastąpiło w krótkim stosunkowo czasie 3 lat, a uroczysty obchód otwarcia ruchu w nowem mieście odbędzie się 19 października b. r. przy udziale prezydenta Tafta. Nowe miasto powstało wedle planów starego; ulice i place pozostały te same, tylko domy są ładniejsze z zupełnem wykluczeniem budynków drewnianych. Ogółem włożono w odbudowanie miasta 200 miljonów dolarów (miljard marek). Obok wodociągu, sprowadzającego do miasta wodę do picia, urządzono specjalny wodociąg, sprowadzający wodę morską na cele straży ogniowej.

Uroczystość odbędzie się przy udziale gości z całego świata; kilka państw przyrzekło też wysłać okręty wojenne.

* * *

Z tajemnic Yildizu. Yildiz-Kiosk, wspaniała rezydencja sułtana nad Bosforem, który Abdul Hamid zamieszkiwał od wstąpienia na tron, musiał obecnie odkryć wszystkie swoje tajemnice, które przez dziesiątki lat odbywały się w jego wnętrzu. Młodoturcy rozdarli zasłonę, która pałac sułtański kryła przed oczyma świata, a gdy usunięto wszystko, co stało w związku z krwawymi rządami sułtana, przeszukali najskrytsze miejsca pałacu, aby je nawet uczynić dostępnymi dla publiczności za odpowiednią opłatą.

W przepysznych komnatach, które Abdul Hamid zajmował ze swym haremem, znaleziono niezmierzone skarby, które skonfiskowano na rzecz państwa, ale znaleziono tam także straszne ślady tyrańskich rządów byłego sułtana. W części Yildiz-Kiosku, zajmowanej przez policję, która czuwała nad bezpieczeństwem wszystkich mieszkańców pałacu, wykryto podziemne więzienia, w których w okrutny sposób kończyły swe życie osoby, nie podobające się sułtanowi. Komisja sporządzająca inwentarz Yildizu, zastała w nich straszny widok. Dokoła wilgotnej, ciemnej nory leżały szkielety ludzkie, a jeden z nich oparty był o ścianę.

W starożytnej skrzyni leżała czaszka ludzka, która miała należeć do Midata baszy, który pierwszy zaprowadził w Turcji konstytucję i dlatego później na rozkaz Abdul Hamida został zamordowany. Później miało się okazać, że nie była to czaszka Midata baszy.

* * *

Wódka w Austrji. W r. 1901 podawały urzędowe źródła ilość miejsc sprzedaży wódki w Austrji na 132.248, z czego było 92,364 szynków, 5222 sklepików uprawnionych do szynkowania i 34.622 handlów, sprzedających wódkę we flaszkach. W r. 1906 było już 148.977 szynków, czyli że w przeciągu 5 lat przybyło 16.729 szynków. Licząc wedle ludności, przypada jeden szynk na 269 mieszkańców.

Z literatury i sztuki

„Promyk", ilustrowany dwutygognik dla młodzieży i dla dzieci. Treść nr. 12.: H. O.: Pod Grunwaldem. — Adam Mickiewicz: Konrad Wallenrod. — (wyjątek). — Janusz Korczak: Joski, Moski i Srule. — Marja Hantowerówna: Prawdziwa bajka. — Zofja Wójcicka: Kwiat paproci. — E. W.: Strejki szkolne w Poznańskiem. — Z chwili bieżącej: Bojkot towarów pruskich. Trzęsienie ziemi we Francji. Fr. Lazarusówna: Na Maciejówce. — Jan Sokolicz-Wroczyński: Imieniny Panny Zośki. — Wesoły kącik. Zagadki. Rozwiązania. Odpowiedzi od Redakcji.

Adres administracji „Promyka": Kraków, ul. Gołębia 4. Kwartalnie 2 korony (1.70 mk.).

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 30. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 24 lipca 1909.

JAN STRAUSS.

Kuba Toporek.

(Ciąg dalszy.) *

— Co będziema robić, Kubuś, co będziema robić?... — szepnęła zgnębiona.

A Kuba podniósł się, westchnął głęboko, serdecznie, aż w piersiach odpowiedział jęk.

— Idę do dwora!.. — wyrzekł stanowczo.

— Idź, biegej, Kubuś, biegej!... — zachęciła go błagalnym spojrzeniem spłowiałych oczów.

Podrapał się w głowę i wyszedł. Do dworu było ze trzy wiorsty; Kuba nie chciał iść drogą, jeno ruszył na przełaj, przez pola, aby ominąć chaty sąsiadów. Szedł ciężko, leniwie, z musu, jakby kto pchał go z tyłu. Mróz był tęgi, suchy, szczypał mu policzki, nikiej szczypcami — nie zważał, nie czuł zimna, zapomniał zupełnie, że mróz i zimno istnieje na świecie. Szedł boso po śniegu twardym i śliskim jak kryształ. Rozmyślał, jak to ma dziedzicowi mówić, by mu dał na odrobek ze ćwiartkę kartofli, trochę kaszy, grochu; po drzewo poleci do lasu, nocą, obłamie nieco gałęzi, to może się ta przebiduje do zwiesny; robota w polu, a i w Kielcach pewnikiem się ruszy. Szedł, medytował, kalkulował na wszystkie strony, snuł plany na przyszłość i prawie się trochę rozweselił, bo...

— Kuba! z drogi, psi synu! — huknął silny, niski głos z tyłu.

Obejrzał się flegmatycznie i usunął się trochę na bok. Szybko, jak błyskawica, mignęły sanki, lekkie, śliczne angielskie sanki, zaprzęgnione w czwórkę gniadych ogierów, przykrytych gęstą, niebieską siatką. Na koźle siedział stangret Wojciech i zaczerwieniony z wysiłku, trzymał ze wszystkich sił konie, bo szły, jak wściekłe. W sankach zoczył Kuba młodą dziedziczkę; była piękna, jak z bajki. Wiatr rozwiał jej cudne, złote włosy i buzię zarumienił, jak wschodzącą jutrzenkę; panna śmiała się młodą, wesołą, rozbawioną duszą, a dźwięczny, miły jej głosik drżał w mroźnej przestreni, jak srebrny, melodyjny dzwonek sygnaturki.

— Jak to se, juchy, używajom — mruknął bezmyślnie Kuba — bogać im ta źle!...

I szedł dalej, przez pola, z duszą zatrutą, bo srebrny głos panny wsączył mu się w serce i zrodził robaka zazdrości, który począł kąsać mózg i budzić ordynarną refleksję, żreć dotąd, dopóki chamskie nie zbudzi się uczucie pełne nienawiści i chęci odwetu za krzywdy życia. Szedł szparko i twardemi stopami rozgniatał grudki skostniałego śniegu. W oddali zoczył dworskie zabudowania — ścisnęło mu coś gardło i serce zapłakało naturalnym wstydem nędzarza; głowę opuścił na piersi i wlókł się bez myśli, jak głodne i spragnione cielę. Z lękiem w płowych oczach i z drżeniem przekroczył bramę wielkiego podwórza, jak senny i ogłuszony — skierował się w stronę dworu, podszedł i stanął przed pańskim dworem. Oparł się plecami o słup ganku i wodząc głupkowatym wzrokiem po placu, czekał długo, prawie do zmroku, do słońca zachodu, który był prześliczny. Bajeczny zachód słońca na polskiem niebie.

Zachodnia strona nieba gorzała w cudnych barwach, jak tęczowy, rajski ptak, w oświetleniu miljarda ogromnych, oślepiających gwiazd, możnaby przysiąc, że to płomienna krew bojowników wszechludzkiej idei rozlana jest po stropie i tak rozpala każdego dnia nad polską ziemią niegasnące błyskawice swoich najświętszych uczuć. Lekki, sypki wiatr płynął nieco ponad ziemią, jak sunie gołąb biały w słodkie południe wiosny. Kiedy niekiedy, jak w struny harfowe, uderzał w szkielety nagich grusz i głuchym szlochem nucił ponurą kompozycję zdeptanych w życiu istot. Wplatał jakieś smutne, żałosne skargi, szarpiące duszą, jęki, cierpienia, piołunowe szamotania się duszy, ścieranie się zgrzytów, bezprzykładną męką krainy od wieków skrwawionej w kajdanach niewoli, w kagańcach milczenia, w bólu nieszczęsnej ciemnoty.

Tuż, przy samym dworze, stało kilkanaście mocarnych topoli, niby żołnierze na warcie, i olbrzymiemi konary okrywały cały budynek, niby opadłemi z ciała ramionami przedpotopowych tytanów, którzy od niepamiętnych czasów utracili już moc życia, butę ataków i potęgę muskułów, jeno grozą nagich kości odpędzają złych duchów w ludzkiej skórze, szakali głodnych ścierwa, wietrzących wszędzie krew, zamach lub zdradne plany na czyjeś głupie, haniebnie głupie życie!

Więc stoją topole i bronią i zasłaniają majestatem śmierci, tchnieniem zniszczenia, strachem zagłady okropnej straszą rozhukanego w szale zbrodni, w zezwierzęceniu, w rozpasaniu siły w dzikiego wroga.

Kuba, z religijnem namaszczeniem, czekał na ukazanie się jaśnie pana. Przed nim ciągnęło się rozległe dworskie podwórze, pokryte śniegiem, stratowanym przez czworo i dwunożne bydło — świętą, prawą własność dziedzica. Na samym środku podwórza był widny żóraw, wkoło niego stały spróchniałe koryta do pojenia zwierząt. Nieco na uboczu, z południowej strony, rozsiadły się zabudowania folwarczne: szopy, stajnie, obory, chlewy; budynki na pół zgniłe i zapadające się w ziemię piersiami, jak przygarbieni starcy. Od jasnego tła śniegu odrzynały się boleśnie szaremi plamami, jak wstrętnie poszarpane łachmany — oznaki niemocy, brudu, niechlujstwa i rozkładu. Z otwartych drzwi obory, jak ciche westchnienie sieroty spłakanej, sunęła po szarym śniegu anielskimi kroki smętna, łkająca melodja skrzypców — popłynęła aż do ścian dworu i tam skonała w milczeniu, jako niemy a straszny, przepojony lękiem niedoli, nabrzmiały zastygłemi łzami wyrzut sumienia dnia dzisiejszego. Daleko, na horyzoncie nieba, wiła się turkusowa wstęga sosnowych lasów, dobroczynna rzeka wszechmocnego zapomnienia. Słońce drgało ostatnimi promieniami, które jak długie warkocze, splecione z rozpalonej miedzi i mosiądzu, spływały na ziemię. Tarcza już znikła za daleką górą Karczówki, jeno kiedy niekiedy, jak meteor złoty, falował w przestrzeni zbłąkany, jaśniejszy błysk i marzł na śniegu zduszony przez nadciągający zmrok.

Jak dym rajskich kadzideł, jak wonność balsamu, rozlana była rzewna, melodyjna cisza w naturze; najmniejszy dysonans nie zakłócał błogiej ciszy; ukochanej ciszy wieczornego zmroku, raju pełnego siły i zachwytu, zdroju pięknа i mocy, i wypoczynku, wytchnienia zbrukanej duszy. A na zachodzie, jak znicze, paliły się ostatnie zorze: prze

* Patrz nr. 75 „Gazety Robotniczej“.

śliczny ton barw; długi, niezmiernie długi, zmięty ton przygaszonego światła, niedbale a estetycznie rzucony, amarantowy, to znów fioletowy, zlekka różowy, zlekka szkarłatny welon, tkany w szafirowe lilje i jakby rubinowo-złote szlaki ogromnych kwiatów. Cudne wstęgi ciemnego błękitu lśniły się barwą starego bronzu; a od wschodu ciągnął się wieczór księżycowej nocy i bolesną sinością ścierał tęczowe arabeski zórz. Niebieskawa mgła otulała całą okolicę.

Kuba stoi pod dworem; nie widział cudów natury mętnemi oczyma — myślał o wyjściu dziedzica.

Czekał i łykał łzy, pospolite łzy głodu, przeklęte łzy zwierzęcia; był jak na szpilkach. Mróz na noc brał wielki, że i pies urwałby się z łańcucha; o północy wiatr dął zastraszająco i prał tak jakoś wściekle, że ziemia zdawała się przed nim uciekać w bezsilnej panice, w trwożliwym, idjotycznym popłochu pędziła, jak żywa istota w zabobonnym lęku przed druzgoczącą siłą zniszczenia i śmierci. Kuba, przygwożdżony potrzebą, stał, i nie zwracał najmniejszej uwagi, że wiatr chłoszcze mu ciało, bije jednym siarczystym płomieniem zimna, parzy, jakby szczelnie zamknięta forma z rozpalonej blachy, aż szpik przepala się w gnatach i staje się podobny kieleckim marmurom. Stoi z chamską wytrwałością, z zapamiętaniem nędzy, z uporem nieugiętym, jak stał; w piersi ma bezlitosną zmorę, co wyszczerza ostre kły i grozi, jak średnowieczny siepacz-inkwizytor narzędziami tortur; ma jęk rozpaczy tępej i bezradnej, niemocy okrutnej a ciemnej, jak dno górskiej przepaści; ma zduszony szloch, ma noc nieprzejrzaną, jak była godzina jego urodzenia, na mrok gęsty i gorzki tak, jak jego przeszłe i przyszłe życie — ma drogi a bolesny, przeklęty a bezcenny widok spłakanych dzieciaków, pragnących kęsa chleba. Przestępuje z nogi na nogę, jak spracowana szkapa i opuchłemi wargami szepce, jakby w odpowiedzi na dokuczliwe zimno.

— W chałupie dzieciaki płaczom... nimajom co w gębę wrazić... w chałupie zimno... — i patrzy przed siebie zamglonym wzrokiem i czeka nieruchomie.

Skrzypnęły drzwi, ze dwora wyszedł ciężkim, dużym krokiem karbowy; chłop wielki i silny, jak drugiego nie znaleźć i w całej wsi. Zbliżył się do Kuby i zaglądając mu w oczy, nikiej wilkowi, pytał grubym głosem, a z góry, z pańska, jakby i sam dziedzic jaki.

— Bacze, przyglundom się, a to wy, jedryna pałka; Kuba Toporek, co to kciołeś tu, kiele dwora i pod samym progiem?... Pewnikiem żebrać do dziedzica przyszedeś — no, moiściewy, ktoby się to spodziół, na co woma przyjdzie. Na trzech morgach siedzi, a hunorny, jucha, jak jaki cysorz, albo i kto jensy!

Kuba z razu nie odpowiedział, bo mu się tak zrobiło, jakby go kto grabką w samo serce dziabnął, aż zębami zgrzytnął, a pięści to same mu się zacisnęły i zadrgały tak mocno, aże w ramionach chrupnęły kości. Ino, ino miał karbowego zdzielić w morde, aż by się, łajdusowi, dziadek z babką piątego dnia przyśnił. Znał przeciek Mateusza dobrze, wiedział, że jest zdrajcą biednego narodu, że chłopa to utopiłby w łyżce ciepłej wody, bo z panem w jednom trąbkę trąbi na pokrzywdzenie i zatracenie całej wsi, co nieraz z dziedzicem wodził się po sądach. Alek się pochwycił krzepko i zmógł w sobie złość okrutną, jak żmiję, zgryzł chęć bitki, bo wyrzekł z cicha a potulnie:

— Czegóż to, Mateuszu, tak zarok wyzywacie, kiej wom nic nie pedom. Kuždy ma swoje jenteresa i kuždy szuka swego. Na ten przykład, wy, karbowy, swego — a ja, tyż swego.

— Pewnikiem woma kiśki marsia nieźle grajom, inaczej byśta tu nie przyszli — szydził Mateusz — znom jo wos dobrze. Wiem, że jesteście hardy, jak szatan — no, ale pedajcie, co woma jest, a może woma się zaradzi, ty waszy bidzie. Pedajcie, po bożemu, po ludzku — rzucił karbowy nieco przyjaźniejszym tonem.

Kuba stał, jak nie swój, skubał jeno łaty u portek, tępo patrzał w ziemię, to na śnieg, to na budynki, albo i na szare niebo, jeno na twarz wystąpiły mu sine żyły, jak powrozy, grubachne; coś go dławiło, nikiej cienki stryczek; przeciek nie dziwota, bo to i wstyd i nijako tak odkrywać bidę i nędzę przed sobie równym chłopem, przed odszczepieńcem, trzymającym się pańskiej klamki, nikiej mokrego ciała piasek, przed lizusem dziedzica i fałszywym człekiem.

— Przyszedem prosić dziedzica — wykrztusił — o jakom ćwiarteckę grochu, ziemnioków — i spodełba patrzał na Mateusza, jak patrzy pies na kota, a boi się rzucić nań i zdusić i schrupać wszystkie kości, wycharchać parszywe ścierwo do dołu, na gnojówkę.

A Mateusz, jucha, nikiej graf jaki, jeden kulos wysunął naprzód, łapę wsunął do portek, drugą ujął się pod bok i patrzał na Kubę, jak na dziadoka, i począł pedać głosem, od którego Kubę lichoradka zatrzęsła, nikiej we fybrze, nikiej w boleściach.

— Pedocie to, że przyszliście prosić dziedzica, a wiecie, co to jest prosić?... — i łeb przechylił i patrzał wyzywająco — wiecie, co to jest prosić?... to je, to znaczy ziebrać, to molestować, jo woma to mówie — i buchnął się pięścią w dekę — tak, ziebrać, łape wyciągać, jak ostatni omełtuch, jak bosak, jak dziad, lubo jak jaka sobaka ostatnia. Ale biegiej, jucho, chamie, do pana, chyć za nogi, pokłoń się pięknie, pocałuj buty, to może i będzie miał nad tobom, mizerokiem, politowanie. Jeno to ci pedom, bacz dobrze i pielnie, że to będzie jego łaska, darowizna, a dla ciebie wstyd i ochfiara; radze ci społecznie, jak rodnymu bratu, albo i ojcu swemu.

Kuba stał, jak skamieniały, tak go słowa Mateusza ogłuszyły. Zrazu się zatrząsł ze strachu przed prośbą i ochfiarą, później opuścił uszy i myślał, czy to prawda, co karbowy mówił, a w końcu chłopski rozum krzyknął, że to nieprawda, że fałsz, że to kłamstwo, że Mateusz breszy, jak nie człek krześćjański, jeno jak keretyk; zawzięty gniew buchnął, jak smoła w piekielnym tyglu. Zęby zacisnął i wyrzekł tak jakoś rozpacznie i strasznie, że karbowego przeszły zimne ciarki, a rude kłaki podniosły się na ogromnej, kanciastej głowie, nikiej szczecina na chudem prosięciu.

— Psiakrew! milczta i nie kładźta nosa do cudzygo kosza, bo go woma może kto uciąć. Przyszedem nie do wos, a do dziedzica, nie zebrać, a pożyczyć na odrobek, na krwawicę. Jo nigdy nie krod i krod nie będę. Jo charuje od świtu do nocy, a pedom, jo krod nie byde, jak wy kradnieta! — podsunął się ku Mateuszowi i łeb pochylił, chcąc go wziąć na siebie, jak rozjuszony byk bierze owczarskiego kundysa.

A na karbowego, jakby kto ogniem rzucił.

— A kto, co, jo krodem?... jo krodem?...

— Może dobrodziej? — odparł Kuba twardo.

— Możesz mi tego dowieść, psi narodzi?...

— Bogać ta nie!

— To biegiej do jaśnie pana, biegiej i powiedz, że Mateusz kradnie, biegiej, może ci uwierzy! — wzięna go kolerna pasja i święte oburzenie na głodomora, co żryć czego nimo, ale zato gębę, nikiej wrota rozdarte od stodoły, od ucha do ucha — ścierwo, zatraceniec. A widząc przed sobą pochylony łeb Kuby, w głupiej niemocy, niewiele myśląc, rymnął go kluczami z całej siły, z wierzchu, choć nieco na odsiepke — raz... drugi... trzeci i czwarty poprawił jak należy.

(Dokończenie nastąpi.)

„Oszczędzajcie!“

Odkąd tylko rozpoczął się ucisk człowieka przez człowieka, odkąd jeden zapanował nad drugim, starano się zawsze tych uciśnionych i wyzyskiwanych łudzić rozmaitemi mrzonkami, stawiając im przed oczy wspaniałe fatamorgana, by tylko odwrócić ich uwagę od rzeczywistego stanu rzeczy. W dawnych czasach pocieszano lud pracujący nadzieją na lepszą przyszłość w drugim świecie, w życiu pozagrobowem za cierpienia, trudy i krzywdy, doznane tu na świecie, obiecywano życie pełne rozkoszy i przyjemności w raju. I jakkolwiek te obietnice, któremi starano się osłodzić cierpienia jęczących pod jarzmem wyzysku, nie mogły na trwałe ludzi zaspokoić, to przecież jedne z nich było prawdziwe — przyznanie, że ogromna część ludności tu na świecie cierpi nę-

dzę i doznaje krzywdy, za które, wedle wszelkiej sprawiedliwości, należy się jej nagroda.

W miarę jednak rozwoju — z jednej strony organizacji robotniczej, która rzuciła ziarna świadomości między szerokie masy, z drugiej strony kapitalizmu, który coraz bardziej staje się nienasyconym i chciwym — dawne wierzenia w pozagrobową nagrodę za doznane tu cierpienia, coraz mniej mogły zastąpić dążenie do istotnego usunięcia krzywd i niesprawiedliwości społecznych. Uczucie religijne klasy robotniczej kapitalizm z dnia na dzień coraz bardziej burzył. Robotnik, który jak rok długi musi pracować w fabryce czy warsztacie, by zarobić nędzne parę groszy na utrzymanie siebie i swojej rodziny, zaczyna wierzyć, że żadna moc nadziemska nie da mu jeść, jeżeli nie będzie pracował. Nie pomogą jego gorące modły i posty i nie uchronią go przed śmiercią głodową, jeżeli z jakiegokolwiek powodu utraci miejsce swej pracy. I kiedy w ten sposób zawiodły owe nadzieje na pozagrobową nagrodę i klasa robotnicza, która stwarzając bogactwa, sama żyje w nędzy, zaczęła zwracać swą wolę w kierunku poprawy swej doli już tutaj na ziemi, wymyślono inną fatamorganę, pozornie bardziej rzeczywistą, zaczęto obiecywać robotnikom raj już tu na ziemi, jeżeli będą... oszczędzać. Któż z nas nie słyszał tych tysiącznych kazań na temat oszczędności?

Już w szkole gorliwi nauczyciele starali się w nas wpoić tę cnotę, przytaczając przykłady, gdzie ludzie przez pracę i oszczędność doszli do miljonowych majątków. Dziadek zmarłego niedawno Kruppa rozpoczął przedsiębiorstwo z dwoma tylko czeladnikami i przez „własną pracę i oszczędność“ doszedł do tego, że przedsiębiorstwo jego wzrosło do obecnych rozmiarów i przez cały szereg „dobroczynnych urządzeń“ stało się „błogosławieństwem“ dla tysięcy istnień ludzkich. A o amerykańskich miljonerach opowiada się już najbardziej fantastyczne baśnie. Z niczego, pracą rąk własnych, oszczędnością i zapobiegliwością tylko mieli oni dojść do zawładnięcia niezliczoną ilością pieniędzy i tych kolosalnych majątków, które dają im dziś władzę nad setkami tysięcy robotników.

Lassalle, ów gienialny agitator i bojownik ruchu robotniczego, który całe życie swe poświęcił stworzeniu organizacji robotniczej, za największą zaporę i przeszkodę w dążeniu klasy robotniczej do poprawy swej doli uważał właśnie oszczędność i poprzestawanie na małem. „Historja świata nie zna chyba bardziej nędznego szyderstwa, jak kazania o oszczędności“, mówił on „podczas gdy kapitał jak gąbka wsysa w siebie cały płon pracy robotnika, jego krew i pot, zostawiając mu tylko nędzę i trudy, są ludzie, którzy mają czelność zysk kapitalisty przedstawiać jako oszczędność; robotnikom, biednym robotnikom, którzy przez całe życie swe pracują, ma się odwagę rzucać w twarz publicznie podobne szyderstwo“. I dziś od tego czasu nie wiele się zmieniło, powstanie kapitału dotąd tłomaczy się gorliwą pracą i oszczędnością. Do dziś dnia mówi się robotnikom, że każdy z nich może zostać kapitalistą, jeżeli zamiast pić i trwonić pieniądze, zamiast płacić do towarzystw i kupować pisma, będzie pilnie pracował i oszczędzał.

I iluż to robotników sądząc, że uda im się w ten sposób dojść do jakiegoś majątku — z nędznego swego zarobku odkładają oszczędności, a sami żyją — nie żyją, bo tego życiem nazwać nie można — lecz męczą się jak ostatni nędzarze, odmawiając sobie najniezbędniejszych potrzeb. A za ich oszczędzone pieniądze kapitaliści powiększają swe przedsiębiorstwa i zapomocą tych krwawych pieniędzy gromadzą coraz to nowe zyski. Ci biedni robotnicy, którzy od ust sobie ujmują, by tylko „oszczędzać“, nie rozumieją, że rzemienie, którymi wiąże ich kapitalizm, wycina wprost z ich własnej skóry.

A czyż naprawdę niemożliwem jest, aby robotnik w dzisiejszych czasach oszczędnością mógł dojść do majątku? Tak, jeżeli zrzeknie się wszelkich wyższych dążeń, jeżeli żyć będzie jak bydlę robocze, odmawiając sobie nawet ludzkiej strawy — jeżeli całe jego jestestwo polegać będzie na własnym wyzysku, jeżeli dobrowolnie nędzne swe położenie zrobi jeszcze nędzniejszem — ale niemożliwem jest, jeżeli chce żyć jak człowiek i brać udział we wszystkich zdobyczach dzisiejszej kultury.

Dzisiejszej klasie robotniczej absolutnie nie można robić zarzutu, by nie umiała gospodarować. Człowiek wprost z podziwem spogląda czasem, jak robotnicy, przy obecnych zarobkach mogą prowadzić przyzwoite życie i mimo biedy i niedostatku kształcić swój umysł i piąć się na coraz wyższy szczebel kultury. Od tej klasy robotniczej wymagać jeszcze oszczędności, kiedy brak na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb, kiedy ogromna jej część ginie z powodu złego odżywiania się — to jest ironja. Oszczędzać, to znaczy odkładać to, co jest zbyteczne — cóż więc odłożyć i oszczędzić można z płacy robotnika?

Inna rzecz z kapitalistami, którzy do posiadania swych miljonów mieli przyjść przez oszczędność. Ci pasożyci na klasie robotniczej, ci próżniacy, którzy w rozkoszy i uciechach wśród wyrafinowanego zbytku, we wspaniałych pałacach i wilach pędzą swe szczęśliwe życie, na których usługi stoi nauka i sztuka, ci wszyscy mogą odkładać i gromadzić oszczędności, patrząc na wzrastający swój majątek, prawić kazania o poprzestawaniu na małem i skrzętnej oszczędności. To szyderstwo pojmują dziś coraz szersze koła robotnicze i skupiają się do skutecznej walki przeciwko swym wrogom. Klasa robotnicza chce oszczędzać, lecz nie martwy pieniądz, ale niepotrzebnie zużywane siły swe i pracę. Tu należy z całą ścisłością przeprowadzić metodę oszczędzania. Chcemy pracować tyle tylko ile potrzeba dla uprzyjemnienia i upiększenia życia, ile wymaga dobro ogółu, ale nie chcemy trwonić swej pracy na przysparzanie zysków pasożytom, którzy tucząc się, rzucają nam szyderstwo, każąc oszczędzać z swych głodowych zarobków.

Dlaczego kobiety i dziewczęta powinny się organizować.

Jest rzeczą dowiedzioną, że liczba kobiet, zajętych w przemyśle, stale wzrasta, bo każdy przedsiębiorca szuka taniej siły roboczej, a tą jest kobieta.

Obecnie jest niemożliwością, żeby kobieta z ludu oddała się tylko wychowaniu dzieci i pracy koło gospodarstwa, bo zarobek męża nie wystarcza na wyżywienie rodziny i kobieta musi swoją pracą zarobkową pomagać do jej utrzymania. Stale wzrastająca drożyzna przyczynia się do tego, że kobieta musi opuścić dom i dzieci i iść w świat za zarobkiem. Wroga polityka klas posiadających wygania po prostu kobietę z domu, wydzierając jej ciężko zapracowane pieniądze, któremi opłaca do niemożliwych cen wyśróbowane artykuły spożywcze.

Wobec tego ucisku stoją kobiety zupełnie bezbronne. Bramy wszystkich ciał ustawodawczych przed nimi zamknięte. Gdy kobiety wołają o prawa, odsyła się je do domu, tam ma być ich świat cały zamknięty w czterech ścianach często nędznego mieszkania!

Kobiety i dziewczęta! Pracą waszą przysparzacie państwu i społeczeństwu ogromne bogactwa, a wy macie z tej pracy ledwo chleb powszedni. Państwo nie zna rozdziału między kobietą i mężczyzną, gdy nakłada podatki, pod którymi ugina się klasa pracująca.

Gdy synowie biednych matek dorastają, muszą oddać tych swoich najmilszych na trzy lata potworowi militarnemu, właśnie wtenczas, kiedyby pomocy tych synów najbardziej potrzebowały.

Dużo mają kobiety obowiązków, ale żadnych praw, ani politycznych, ani społecznych. Cała klasa pracująca jęczy pod obuchem kapitalizmu, ale najbardziej uciśnioną jest kobieta. Kobiety i dziewczęta! Jeżeli chcecie zmienić wasze położenie na lepsze, jeżeli chcecie się stać ludźmi wolnymi, to musicie wkroczyć na drogę jedyną i pewną, która wiedzie do celu, a tą drogą, **to polityczna i zawodowa organizacja kobiet.**

W tej organizacji miejsce dla kobiety klasy robotniczej! Żądanie kobiet o przyznanie im praw politycznych jest wynikiem dzisiejszego stanowiska kobiet. Nie chcą, żeby o nich stanowiono bez nich. Dla kobiet pracujących nie jest obojętnem brzmienie każdej ustawy, odnoszącej się do długości dnia roboczego, odszkodowania na wypadek

choroby, trwałej niezdolności do pracy itd. Rozumowanie, że dużo dziewcząt nie zawsze pracuje czy to na kopalniach, fabrykach, bo później wychodzą za mąż, nie wytrzymuje krytyki. Jeżeli nawet pewna część kobiet poza mążpójściu już nie pracuje w fabrykach, to na ich miejsce przyszły ich siostry, które będą tak samo cierpiały pod obuchem wyzysku, a niedługo własne ich dzieci staną przy warsztacie pracy zarobkowej.

Do walki z wrogami klasy pracującej potrzebne jest pewne wyszkolenie, pewne uświadomienie. Właśnie w organizacjach kobiecych nabierają kobiety i dziewczęta śmiałości i odwagi do stawienia czoła wszystkim przeciwnościom. Przedewszystkiem powinniśmy się starać, żeby nasze szeregi organizacyjne zapełniały się młodzieżą żeńską. Obowiązkiem naszych towarzyszek jest właśnie staranie się, żeby młode dziewczęta należały do naszej organizacji w pokaźnej liczbie. One niech przychodzą na zgromadzenia i odczyty, nasze sale domów robotniczych niech roją się od młodzieży, ale nietylko na zabawach, niech będą i przy poważnej pracy. To przyszłe matki i wychowawczynie klasy robotniczej. Zdobyciem młodzieży żeńskiej dla naszej organizacji zrobimy ogromny krok naprzód. Bo wiadomo, że „kto posiada młodzież, do tego należy i przyszłość".

Rozmaitości

Kultura i cholera. Rosyjska gazeta „Słowo" pisze, w jaki sposób zwalczono cholerę w Hamburgu w tym samym roku, w którym Baranow w Niższym Nowogrodzie zwalczał ludność szubienicami.

Rząd niemiecki wysłał do Hamburga znakomitego bakterjologa, prof. Kocha i zrobił go pod tym względem dyktatorem. Kochowi wolno było robić wszystko, co uważał za potrzebne dla zwalczania cholery i uzdrowienia miasta, natomiast nie wolno mu było zmuszać kogokolwiek, by został np. posługaczem szpitalnym. Wojskowemi siłami Koch nie rozporządzał i kar nakładać nie mógł.

Więc cóż zrobił?

Wiadoma rzecz, że w Hamburgu, jak zresztą w każdem kulturalnem zbiorowisku ludzi, istnieją wszelkiego rodzaju stowarzyszenia, począwszy od politycznych, do śpiewackich i religijnych. Samych socjalno-demokratycznych stowarzyszeń było w Hamburgu około tysiąca, a wszystkich stowarzyszeń razem było około 6000.

Jeżeli przypuścimy, że każde stowarzyszenie takie miało tylko 50 członków — co stanowczo jest za mało — to armja ta liczyła 150 tys. ludzi.

Do tej armji, wyszkolonej w zbiorowem życiu, zwrócił się prof. Koch z prostem wezwaniem:

„Obywatele! Wasza policja, wasze instytucje sanitarne, wasze szpitale i lazarety, przygotowane są na zwykłą miarę chorób i śmiertelności. Obecnie Hamburg musi walczyć z wyjątkową biedą. Bez waszej pomocy nie zdziałają nic ani rządowe, ani miejskie instytucje. Potrzebna jest pomoc stanowcza, natychmiastowa!"

Taka była proklamacja Kocha do związków.

Na to wezwanie zmobilizowała się cała armja pod wodzą znkomitego uczonego. Politycy i sektanci, stenografowie i foot-baliści, zbieracze marek i archeolodzy, stali się sanitarjuszami, tragarzami, agientami sanitarnej policji, braćmi miłosierdzia itp.

W ciągu kilku dni Hamburg był oczyszczony, wymyty, zdezynfekowany; nie było kąta, do któregoby armja ta nie zajrzała.

Nic dziwnego, że w ciągu kilku tygodni epidemja zmuszona była złożyć oręż przed odważnymi żołnierzami medycznego generała-feldmarszałka, Roberta Kocha. On cholerę zdusił na miejscu, ani na krok nie pozwolił się jej ruszyć z Hamburga.

* * *

Z życia amerykańskich miljarderów. Przed sądem w Nowym Jorku toczył się proces rozwodowy, który rzuca ciekawe światło na zwyczaje, panujące w domach amerykańskick miljarderów.

Katarzyna Gould, żona miljardera Howarda Goulda, wytoczyła mężowi proces rozwodowy pod pozorem, że się z nią źle obchodził. Dla obrony swej przytacza Gould następujące fakta:

Żona jego wydawała rocznie na stroje 200.000 marek, a w przeciągu 8-letniego pożycia małżeńskiego wydała na swe potrzeby ogółem 3 i pół miljona mk. Na codzień miała ona: szlafrok za 1000 mk., suknię spacerową 2500 marek, suknię wizytową za 2000 mk., suknię balową za 2500 mk. i kostjum do teatru za 5000 mk. Kapelusza nie nosiła poniżej ceny 400 mk. a — jak zeznała słuchana jako świadek — „dobry ton" nie pozwolił jej nosić jednej sukni dwa razy.

Przebierała się ona 3 do 6 razy dziennie, za każdym razem po 2 godziny, tak, że na robienie toalety potrzebowała 6 do 12 godzin dziennie.

Mąż jej bronił się głównie tem, że żona często — upijała się. Przesłuchiwana służba zeznała, że pani bardzo często była tak pijaną, że nie mogła utrzymać się na nogach, a w tym stanie obdarzała zarówno męża jak i służbę najordynarniejszemi przezwiskami. Raz 14 dni ciągle piła, a służba musiała jej przez ten czas przynosić do buduaru po 7 butelek koniaku dziennie. Normalną jej porcję dzienną stanowiły: 2 kieliszki koniaku, flaszka wódki z wodą sodową, kilka flaszek wina i szampana, a przed pójściem do łóżka wypijała potężny kielich wódki.

Sędzia wydał wyrok orzekający rozwód z winy obojga małżonków i przyznał Gouldowej alimenta roczne w kwocie 625.000 mk.

* * *

Statystyka małżeństw. W roku 1872 przypadało w Niemczech na 100.000 mieszkańców 1029 ślubów, w r. 1907 natomiast było już tylko 812. Z najrozmaitszych powodów liczba małżeństw wogóle w Niemczech z roku na rok się zmniejsza i tak coraz mniej mają nasze panny widoków dostać się szczęśliwie pod czepek. Statystyka podaje niektóre wcale ciekawe liczby. W r. 1902 wyszło za mąż 28 dziewczyn niżej lat 16, 4 lata później było tych szczęśliwych podlotków już tylko 20. W 20 roku życia wstąpiło w stan małżeński 43,012 kobiet czyli dwunasta część wszystkich kobiet uszczęśliwionych w roku tym węzłem małżeńskim. Najwięcej szęścia miały w tymże roku panny od 20—34 lat, liczba ich wynosiła 240.985.

Od 25—29 lat znalazło męża już tylko 236.821 panien, bądź co bądź, zawsze jeszcze bardzo pokaźna liczba, w każdym razie miały więcej szczęścia aniżeli 20-letnie. Z tego wynika, że z 25 laty nie jest się jeszcze bynajmniej starą panną. Nawet na lata od 30—34 liczba małżeństw przypadła dość znaczna, bo aż 41.529. Od 35—39 było już tylko 16.704; od 40—49 15.065; od 50—59 4045. Matronom 60-letnim i starszym udało się zdobyć męża jeszcze w 829 przypadkach, były więc jeszcze szczęśliwsze od 16 letnich.

* * *

Pomnik praojca Adama. Trochę zapóźno przypomniano sobie, że „pirewszemu człowiekowi" należy się pomnik, jak tylu innym, mniej sławnym ludziom. Inicjatywa wyszła od amerykańskiego budowniczego Bradyego, który po długiem rozmyślaniu przyszedł do wniosku, że najlepszym sposobem uczczenia praojca rodu ludzkiego będzie wystawienie mu pomnika w kształcie obeliska z zegarem słonecznym na szczycie. Napis będzie opiewał: „tak przemija sława" z jednej a z drugiej strony wyrytą zostanie scena biblijna przedstawiająca „stworzenie" Adama.

Pomnik ma stanąć w Brooklynie pod Nowym Jorkiem.

Z piśmiennictwa.

Nr. 7 i 8 (na lipiec i sierpień) **„Przewodnika Zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera: Treść: Z pogadanek hygjenicznych w lecznicy dra Tarnawskiego w Kosowie. — Zęby a choroby zakaźne. — Wskazówki przy używaniu kąpieli świetlano-powietrznych. — Djeta zastosowana do pór dnia i roku. — Kto zatrąca fuszerką — szczepiciele czy przeciwnicy przymusu szczepienia? (Odprawa warszawskiemu tygodnikowi etycznemu „Czystość"). — Samobójstwa osób młodocianych. — Wskazówki na lipiec i sierpień. — Przestrogi i rady. Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 31. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 31 lipca 1909.

RUDOLF KOWOLIK.

Cud.

Niedaleko źródeł Odry, rzeki, biorącej początek w Beskidach, leży duża góralska wieś, Istebno. Niebardzo w dawnych czasach, żył tam ksiądz, Józef Djabeł, który mimo swego szatańskiego nazwiska, był człowiekiem pobożnym, bardzo dbałym o dobro kościoła, tak bardzo zagrożonego, przez różnych nieprzyjaciół. Gazeta, którą razem z leśniczym przedpłacał, przynosiła co tydzień straszne wiadomości o wzrastającej bezbożności, o czynach grzeszników i bluźnierców. Pobożny i dobry ksiądz, ciągle zadawał sobie pytanie, dlaczego Pan Bóg nie daje widocznego znaku, dlaczego nie karze bluźnierców. „Jeżeli rozmawiał z Mojżeszem, jeżeli szemrzących żydów ukarał, i żałującym za grzechy przebaczył, jeżeli za pośrednictwem własnego Syna cuda czynił, dlaczego teraz nie daje wyrazu swemu gniewowi?“ Tak szarpała się stroskana dusza ks. Djabła. I chociaż modlił się gorąco, ojciec niebieski nie usłuchał jego modlitwy i nie dawał znaku. Wtenczas postanowił pobożny sługa, który z powolności Pana był niezadowolony, rozpocząć jakie działanie na własną rękę, któreby się przyczyniło do wzmocnienia panowania Wszechmogącego, a kościołowi dodało blasku i sławy. Kiedy na długich przechadzkach i podczas bezsennych nocy rozmyślał, zdawało mu się, że wynaleziony przez niego plan działania był dobrym i prowadzącym do celu. Zawołał do siebie kościelnego, biednego człowieka, który, oprócz dziesięciu palców do pracy, nie miał innej własności. Nazywał się biedak Jakób Chudko, ale ludność nazywała go krótko: Kuba. Jemu opowiedział ksiądz o ciężkiem położeniu kościoła, o niezrozumiałem dla niego zachowaniu się Ojca niebieskiego. „Ty Kuba wiesz, że zawsze spełniałem sumiennie moje obowiązki. I teraz nie wolno mi czekać bezczynnie, kiedy grzech niewiary się szerzy, który sprowadzić może koniec świata i sąd ostateczny. Sam jednak nic zrobić nie mogę, bo jestem grzesznym człowiekiem jak i ty, chociaż piastuję godność kapłańską. Potrzebuję pomocnika, a ponieważ ty Kubo, pośród moich owieczek jesteś mi najbliższym, i ponieważ piastujesz urząd, który nakłada i na ciebie obowiązek uświetnienia religji, dlatego wybrałem ciebie właśnie jako pomocnika. Powiem ci co masz czynić, posłuchaj Kubo!“

Kuba nawet nie starał się zrozumieć, co ksiądz mówił, potakiwał we wszystkiem. Jemu wystarczało, że mówił ksiądz, należało wierzyć, słuchać jego rozkazów. Kiedy nareszcie kościelny, któremu ks. Djabeł zalecił najsurowiej zupełne milczenie, wybrał się do domu, mruczał ciągle: „Stanie się cud, cud“. Kuba mówił to zupełnie obojętnie, nie odczuwał wcale tajemniczych dreszczy, jakie ludzi nawiedzają, kiedy słyszą o cudach.

— — — — — — — — — — — — — —

Nadeszła niedziela, i jak zwykle mały drewniany kościołek wypełniony był po brzegi pobożnymi mieszkańcami wioski. Po jednej stronie mężczyźni świeżo ogoleni, włosy wysmarowane tłuszczem, po drugiej stronie kobiety z czerwonemi chustkami na głowach. Siedzieli albo stali, modlili się i śpiewali, przyklękiwali, bili się w piersi, jak nakazywał święty obrządek.

Po pół godzinie skończyła się msza św. Ksiądz Djabeł odszedł od ołtarza, śpiew ucichł, a górale, szeptali, poprawiali się i w ten sposób przygotowywali się do kazania. Za chwilę stanął na kazalnicy ks. Djabeł, a po odczytaniu ewangielji zaraz przystąpił do spełnienia wielkiego dzieła. „Kochani bracia i siostry!“ zaczął podniesionym głosem, „opowiem wam dzisiaj o cudownem zdarzeniu, które w naszej wiosce miało miejsce. Pewnie nikt z obecnych czegoś podobnego nie widział. Stało się wielkie nieszczęście; ale nie płaczcie kochani parafjanie, bo kiedy bieda największa, to pomoc boska najbliższa. Jego wola znowu wszystko ku dobremu zwróci. Słuchajcie! Pewnie zauważyliście, że wierny mój pomocnik Jakób Chudko, którego Kubą nazywacie, nie służył mi dzisiaj podczas nabożeństwa. On nie świecił świec, nie podał mi wina, które ja mocą mego urzędu zamieniam w krew Chrystusa Pana. Wszystko to robił dzisiaj krawiec Siwy, bo Kuba jest — chory. Nawiedziło go straszne nieszczęście, od którego niechaj nas Pan Bóg broni: Nikt nie wie, co mu najbliższa godzina przyniesie, czy zupełnie zdrowy człowiek za chwilę nie będzie kaleką“. Ksiądz Djabeł przerwał na chwilę swoje wywody, chciał dać czas swoim parafjanom, żeby ochłonęli z ogromnego wzruszenia, które ich opanowało. „Kochani bracia i siostry! Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie Jakób Chudko, którego nazywacie Kubą, aby odebrać polecenia na dzień dzisiejszy. Siedzieliśmy i rozmawiali, nagle pada biedak z okrzykiem: Jezus, Marja, Józef. Chcę go podnieść, ale nie mogę, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nogi jego martwe, porażone. Przerażenie moje było ogromne, ale czyniłem wszystko, żeby mu pomóc. Położyłem go do mego łóżka, robiłem okłady i zacząłem się modlić i to było najlepsze. Kiedy z największą żarliwością zanosiłem modły przed tron najwyższy, nagle wielka łaska spłynęła na mnie. Pan przemówił święty głos z nieba powiedział: „Nie bój się! chcę go uzdrowić, żeby moi przyjaciele kochali mnie jeszcze gorącej, a moi nieprzyjaciele żeby we mnie uwierzyli. Idźcie na pielgrzymkę, a Jakób Chudko będzie uzdrowiony!“ Tak mówił do mnie Pan. Jego imię niechaj będzie pochwalone!“

Tajemnicze słowa ks. Djabła zrobiły na obecnych piorunujące wrażenie. Jeszcze nigdy tyle łez nie wylano w kościółku istebnańskim. Ksiądz widząc jakie wrażenie jego słowa zrobiły, chciał rzecz odrazu na gorąco załatwić. „Pielgrzymkę polecił nam Pan urządzić, Jego wola będzie dla nas rozkazem. Pójdźiemy wszyscy na pielgrzymkę, zaniesiemy naszego brata Chudka na miejsce takie, gdzie będziemy czekali cudu, zapowiedzianego przez Boga! Znam was i wiem, że każda chałupa w Istebnie wyszle męża albo żonę. A że cierpienia naszego biednego Chudka są wielkie, oznaczyłem dzień pielgrzymki do Kalwarji, (bo tam zaniesiemy naszego chorego) na wtorek. Jutro jest targ w mieście, możecie sprzedać co kto ma pod ręką i przygotować się do podróży, a we wtorek wyruszymy. Za dwa dni wrócimy, a między nami ten, którego łaska boska uzdrowi, i z przekonaniem, że słowom Pana uczyniliśmy zadosyć, będziemy świadkami Jego siły i wielkości. Amen!

Ksiądz Djabeł opuścił zadowolony kazalnicę, ale górale i góralki nie ruszali się z miejsc. Tyle wrażeń! Choroba biednego Kuby, głos Pana Boga, zapowiedziany cud,

wszystko to spadło na nich zupełnie nieprzygotowanie. Czyżby dawne czasy Mojżesza wróciły! A jakim świętym człowiekiem musiał być ks. Djabeł, jeżeli Pan z nim rozmawiał, a i Kuba musi być bardzo pobożnym, jeżeli właśnie on dostąpić ma takiej łaski. Po chwili dopiero otoczyli wójta, chcąc się upewnić, co czynić należy. „Jedziemy“ powiedział wójt, „mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy pojedziemy, żeby być świadkami cudu“. Jedziemy — odpowiedziała gromada. Tych spokojnych ludzi nagle opanowała gorączka, krzyczeli wszyscy, latali jak opętani. Dopiero po godzinie rozeszli się górale do domów, aby uczynić przygotowania na wielki dzień pielgrzymki. Tymczasem ten, którego pobożność ks. Djabła pasowała na rycerza, leżał na wielkiem łóżku, i cieszył się z swego życia. Tak jak nie skarżył się na ciężki los gdy musiał pracować i biedować, tak samo poddawał się spokojowi, na który skazał go jego dobroczyńca. Owszem, chwilami życzył sobie, żeby się ten stan nigdy nie zmienił, żeby tak trwało aż do śmierci. — Czy mogą takie życzenia być spełnione myślał Kuba Chudko!

— — — — — — — — — — — — — —

Nadszedł wielki dzień, w którym mieszkańcy Istebny mieli być świadkami cudu, a plany księdza Djabła miały się urzeczywistnić. Ale nie ku radości Kuby zaczął się ten dzień!

Na siódmą rano zapowiedział ks. Djabeł mszę św., żeby, jak mówił przypomnieć panu Bogu jego przyrzeczenie. Wszyscy wierni zebrali się, jak rozkazał przełożony gminy i ks. Djabeł. Wszystko, co tylko mogło chodzić, wyruszyło, a tylko starcy, dzieci i zwierzęta zostali w domu. Pustka zaległa pola i łąki, jakby jakie nieszczęście przeszło nad gminą. Kiedy skończona była msza, pielgrzymi odświetnie ubrani, zaczęli się szykować do drogi. Ksiądz zamienił porozumiewawcze spojrzenie z Kubą, którego przyniesiono na noszach. Kiedy tłum spostrzegł Kubę, z tysiącznych piersi wyrwał się okrzyk zdziwienia, przestrachu, bólu. Wszyscy cisnęli się do noszów, każdy chciał zobaczyć Kubę, tego Kubę, w którym może tkwi już jaki święty. Ale ksiądz Djabeł nie pozwolił się zatrzymywać. „Pociąg nie będzie nas czekał, a mamy jeszcze dwie godziny drogi przed sobą! Do szeregów bracia i siostry!“ Tak rozkazał ksiądz, a górale posłuchali. Za chwilę uszykował się pochód. Na czele kroczył krawiec Siwy, niosąc w rękach krzyż z Męką pańską, za nim szedł ks. Djabeł w krótkim surducie i wysokich butach. Buty gniotły go bardzo, ale ksiądz nie miał czasu myśleć o tem. Opanował go niepokój, czy rzecz się uda, czy nie spotka ich jakie nieszczęście. Czy nie sprzeciwił on się woli bożej. Coraz nowe wątpliwości opanowały duszę biednego księdza. Wzdychał ciągle, ale starał się opanować niepokój. Tymczasem gromada śpiewała pobożne pieśni, powtarzając je za nauczycielem i wójtem. Ale biednemu Kubie zaczęło być jakoś markotno. Miał uczucie, że to jego pogrzeb, że śpiewają mu już pieśni pogrzebowe. Nie mógł odpędzić natrętnych, smutnych myśli.

Była może godzina dziesiąta, gdy barwny pochód, zbliżał się do miasteczka. „Jeszcze za chwilę, a odpoczną moje ręce“ — myślał krawiec Siwy. „Jeszcze za chwilkę, a napiję się szklankę piwa, to mi pomoże, naprowadzi na inne myśli — pocieszał się strapiony ksiądz. Biedny Kuba rozmyślał: „Jak długo będzie ta historja jeszcze trwała, ruszać mi się nie wolno, a już męczy mnie to leżenie.“

Przy pierwszym skręcie przed miasteczkiem, nagle spokój i porządek procesji zostały zakłucone.

Uderzenie kopyt końskich obłok białego kurzu, i ukazały się dwa konie, gryzące niespokojnie wędzidła i zrywające dyszle. Jakby piorun uderzył w uczestników pielgrzymki i śpiewy nagle ucichły.

Zdziwiony Kuba podniósł się. Gdy zobaczył pieniące konie, bijące groźnie kopytami, gdy widział jak krawiec Siwy z krzyżem skoczył do rowu i jak kobiety i dzieci w popłochu rozbiegły się na wszystkie strony, gdy zrozumiał grożące mu niebezpieczeństwo, zapomniał o wielkiej misji, włożonej na niego przez księdza Djabła, i myślał tylko o ratunku. Gwałtownym ruchem zrzucił okrywające go koce i skoczył na równe nogi, ten, którego górale mieli za porażonego, chciał z innymi uciekać.

W tej chwili konie uderzone biczem skoczyły i dwa kopyta końskie wbiły się w piersi kościelnego. Upadł, a wóz po nim przejechał.

Krzyk kobiet i dzieci był straszny. Nic to nie pomogło, jak nie pomogło schwytanie koni przez dwuch odważnych górali. „Ten człowiek jest martwy“ — zawyrokował, silny, brodaty pan, który wyskoczył z powozu, żeby zbadać leżącego Kubę w kałuży krwi. „Nie żyje“ powtórzył, a był to lekarz z miasteczka. Drżący a wstrząsani dreszczami, zbliżali się uczestnicy pielgrzymki, żeby zobaczyć nieboszczyka. Ksiądz Djabeł, który razem z krawcem Siwym skoczył do rowu, podszedł do trupa, sam śmiertelnie blady.

„Czy nie ma ratunku, panie doktorze?“

„Nie ma“.

Ale wójt zaprotestował. „Nie ma ratunku, mówi pan? Czy Kuba nie był porażony, a nie widzieliśmy go wszyscy, jak skoczył zupełnie uzdrowiony na ziemię. Pan Bóg dopomógł i znowu dopomoże. Na nosze z nim i do Kalwarji. Pan Bóg tak rozkazał, Pan Bóg uczyni drugi cud“.

I jak dwa dni temu przed kościołkiem rozległ się okrzyk: „Do Kalwarji“, tak i teraz gromada przed chwilą oniemiała krzyczała z wszystkich sił: „do Kalwarji, Bóg tak rozkazał.“

Twarz księdza Djabła oblana potem, zmieniła się bardzo. Widok kościelnego, zbroczonego krwią, wstrząsnął nim do głębi. To straszne nieszczęście wydawało mu się karą Bożą. Zdawało mu się, że śmierć biednego Kuby będzie całe życie ciążyć mu na sumieniu. Zapanował jednak nad sobą całą siłą woli, musiał zacząć działać, aby nie dopuścić do strasznego zgorszenia. Rozumiał, że martwego Kubę żaden cud nie ożywi. Łatwiej było kazać Kubie udawać porażonego i cudem postawić go na nogi. Rozkazał, żeby umilkli i powiedział: „Nie mam żadnej nadziei, wróćmy do domu kochani bracia i siostry! Nasz Chudko nie żyje, dusza lepiej dobrze schowana, lepiej jak nasze. Zostawmy ją w spokoju, zostawmy ją u Pana Boga“.

Górale chętnie zgodzili się na propozycję księdza Djabła. Straszny ten wypadek odebrał im wszelką ochotę do dalszej pielgrzymki. Wprawdzie przed chwilą wołali za wójtem: „Do Kalwarji“, ale tylko usta wołały, bo wójtowi trzeba potakiwać. Teraz, kiedy ksiądz powiedział: „dosyć mamy jednego cudu“, zgodzili się na to, ksiądz miał zupełną słuszność.

I tak wrócili górale tą samą drogą, którą przyszli, z głowami pochylonemi, bez śpiewu, bez jednego słowa. A słońce, które tymczasem odbyło już kawał swojej drogi, śmiało się wesoło.

— — — — — — — — — — — — — —

Od tego dnia ksiądz Djabeł był jeszcze pobożniejszy, postami i modłami starał się przebłagać Pana. Nie myślał już o cudach...

Mózg i dusza.

W starożytności uważano powszechnie, iż siedliskiem procesów duchowych jest serce. Pogląd ten właściwym był zarówno pismu świętemu, jako i czasom grecko-rzymskim, oraz całemu okresowi średniowiecza. Zwolennikiem tego zapatrywania był nawet jeszcze reformator religijny, Melachton, chociaż współczesny mu Luter twierdził, iż siedliskiem czynności duchowych jest mózg. Pewne, choć niejasne pojęcie takiego poglądu posiadał już Hippokrates. Twierdzenie to jednak istniało krótko, głównie dzięki filozofji Arystotelesa, który naukę o mózgu dowodzeniami swemi sprowadził na manowce. O mózgu ludzkim i jego budowie przez długi bardzo czas nie posiadano zupełnie pewnych, stwierdzonych wiadomości. Uważano go za gruczoł, wydzielający ciecz, a rolę jego w organizmie pojmowano, jako obowiązek zrównoważenia czynności serca, a to zapewne wskutek stosunkowo skąpego rozmieszczenia w nim naczyń krwionośnych w przeciwstawieniu do bogatego w krew, serca.

Przewrót w poglądach tych nastąpił dopiero za czasów Salenusa, sławnego lekarza w szkole gladjatorów, który miał sposobność obserwowania zaburzeń umysłowych, wynikających z uszkodzenia czaszki. Mimo to jednak nauka Arystotelesa przez całe prawie średniowiecze zachowała swą niezachwianą powagę. Dopiero w końcu wieku 14, względnie w wieku 15 nastąpiła zupełna zmiana zapatrywań w tej dziedzinie. Ale i nowi badacze stanęli odrazu na fałszywych stanowiskach. Stwierdzili oni, iż mózg nie stanowi jednolitej całości, lecz składa się z dwóch części. Jak się więc może to z jednością niepodzielną duszy pogodzić? Wówczas odkryto między dwiema półkulami wielkiego mózgu mały, podobny do szyszki, organ, który nazwano z powodu jego gruczołowatego kształtu wyrostkiem szyszkowym. Kartezjusz przypuszczał, iż w tym właśnie organie mieści się dusza ludzka.

Wszystkie te błędne poglądy musiały jednak upaść, gdy w 18 wieku poczęto badać właściwą anatomję mózgu, przez co zostało stwierdzonem, iż mózg koncentruje w sobie w rzeczywistości niezliczną ilość ciasno obok siebie położonych subtelnych włókien nerwowych i znajdujące się pomiędzy niemi węzły nerwowe, t. zw. gangljony. Następnie w 19 wieku odkryto, iż wszystkie włókna i węzły nerwowe albo wychodzą, (centryfugalne, odśrodkowe, motoryczne) z mózgu, albo też w nim się kończą (centrypedalne, dośrodkowe). Przez pierwsze zostają wywoływane ruchy, przez drugie zaś, stany wrażeniowe. Zbadano też i inne włókna, ciągnące się pomiędzy węzłami nerwowymi, t. zw. włókna asocjacyjne czyli kojarzące, które służą do wiązania oddzielnych wyobrażeń myślowych w całości, czyli kompleksy wyobrażeniowe. Powszechnie wierzono, iż mózg cały jest siedliskiem działalności duchowej, dalsze badania jednak wykazały, że tylko niektóre części mózgu spełniają to zadanie. Na całej powierzchni mózgu, która składa się z t. zw. istoty szarej, czyli substancji korowej, znajduje się właśnie długi szereg bróżd i zakrętów. Zwierzęta niższej organizacji bróżd tych nie mają wcale, alko też mają w nieznacznej bardzo ilości. Fakt ten stwierdzono już nawet w starożytności za czasów Arystotelesa, przekonano się wówczas, że im wyżej jest uorganizowane zwierzę, tem więcej bróżd i tem bardziej skomplikowane wgłębienia i zakręty znajdują się na powierzchni mózgu jego. W wieku 18 domyślał się już anatom Hisman pewnej zależności pomiędzy zakrętami tymi, a czynnościami duchowemi, a w roku 1800 uczeni francuscy, jak Gall, Forille i inni, stwierdzili, że przy cięższem przejściu duchowem badanego indywiduum, ten właśnie pokład mózgu jego wykazuje wybitniejsze zmiany. Dowiedziono, że owe bróżdy mają zupełnie określony kierunek, tak, że nawet jest możliwem rozeznać po nich pokrewne sobie grupy zwierząt. Przedewszystkiem ma tu znaczenie, jako stwierdzony fakt, iż kora wielkiego mózgu w całości spełnia wszystkie funkcje duchowe.

Stanowisko to przez długi przeciąg czasu w 19 wieku uważano za właściwe, aż do chwili, gdy w r. 1870 doświadczeniami, czynionemi z początku na psach i małpach, potem zaś na ludziach, zostało wykazanem kategorycznie, iż odpowiednie funkcje ciała są skojarzone z odpowiedniemi częściami wielkiego mózgu, i że z chwilą, gdy odpowiednia część mózgu zostaje zburzoną lub uszkodzoną, zupełnie prawidłowo występują oznaczonego charakteru obezwładnienia; wprawdzie odruchy zostają zachowane, ale świadome czynności woli są jednak przerwane. Tym sposobem udało się ustalić na korze wielkiego mózgu zarówno okolicę motoryczną jak i ośrodek mowy, którego uszkodzenia wprawdzie nie przeszkadzają najprostszym ruchom ust, jednakże uniemożliwiają złożone czynności ust, języka, podniebienia i krtani. Godnem uwagi jest to, że miejsca owego w mózgu małpim nie znajdujemy, co dowodzi, że tylko u człowieka rozwinął się ów ośrodek mowy. Obecnie już dość szczegółowo udało się umiejscowić czynności ciała na korze wielkiego mózgu, co nawet oddaje duże usługi medycynie; w licznych operacjach udawało się, po dokładnem określeniu powodu zboczenia, po otworzeniu czaszki kalectwo usunąć.

Gdy po raz pierwszy zaobserwowano to, ogół uczonych wypowiedział się z całą stanowczością przeciwko temu, jakoby duchowe czynności, jak np. widzenie i słyszenie, w taki sam sposób miały być na korze mózgu umiejscowione, a jednak wkrótce przekonano się, drogą doświadczeń na zwierzętach i obserwacji chorych, że i z temi funkcjami tak samo się rzecz ma, jak z innemi. Znaleziono też dla nich na korze wielkiego mózgu (tak np. dla wzroku w tylnym płacie mózgowym) miejsca zupełnie określone. Wkrótce też zostało stwierdzonem, że w trzeciej jeszcze wielkiej dziedzinie funkcji duchowych znajdujemy zależność od kory mózgowej. Munk, na podstawie badań w szkole weterynaryjnej, dowiódł pierwszy, że obrazy pamięciowe, poznawanie po jakimś czasie i możność wyobrażenia sobie widzianych przedmiotów nie leży poza obrębem mózgu, lecz jest związaną z pewną okolicą mózgową. Jeśli okolica ta będzie np. uszkodzona u psa, to wprawdzie widzi on, ale zatracił zdolność poznawania tego, co było mu znanem dokładnie z widzenia, np. pana swego, lub kawałek mięsa. Początkowo sądzono, że z uszkodzeniem owej okolicy następuje ogólne duchowe stępienie, ale doświadczenia wykazały, że jeśli środowisko powonienia zostało nienaruszone, będzie ów pies równie dobrze poznawał, tym razem za pomocą węchu, pana swego i kawałek mięsa. Takie same doświadczenie uczyniono i na człowieku.

Miano sposobność zaobserwować, że wprawdzie człowiek w analogicznym wypadku, pomimo podobnego uszkodzenia, wszystko dokładnie widzi, że to sobie nawet uświadamia, ale poprzednio widzianych osób lub przedmiotów po pewnym czasie poznać już nie może. Zdarza się więc, że człowiek taki w własnym swym pokoju zabłądzi. Sekcja w takich wypadkach ślepoty duszy, jak to nazywają, wykazuje, że w odpowiednich miejscach kory mózgowej rzeczywiście występowało uszkodzenie. Dalsze obserwacje tego rodzaju czynił francuski lekarz chorób nerwowych — Charcot. Wprawdzie chorzy tacy mogą np. uświadamiać sobie, że grzmi, ale nie widzieć błyskawicy, to, że kwiat jakiś pachnie, ale nie móc uświadomić sobie koloru kwiatu. Nawet w snach tego czynnika optycznego całkowicie może brakować. To samo stosuje się i do innych obrazów pamięciowych. Zapewne jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od tego, aby dla wszystkich czynności duchowych znaleźć na korze wielkiego mózgu dokładne umiejscowienie. Odnośnie do niektórych czynności duchowych dokonano tego w przybliżeniu do jednego centymetra, choćby w słuchowych obrazach pamięciowych mowy. Dziecko słyszy przedewszystkiem słowa, zanim treść zrozumie, słyszy najpierw wyraz „róża“ i ten dźwięk pozostaje w jego pamięci. Skoro u człowieka w patalogicznych wypadkach pamieć zanikła, słyszy on wprawdzie wyraz „róża“, ale umysł jego reaguje nań, jak na słowo niezrozumiałe, wypowiedziane w obcym języku.

Jeśli zatem znaleźliśmy już dla trzech rodzajów funkcji duchowych odpowiednie okolice mózgowe: okolicę motoryczną, okolicę wrażeniową i okolicę pamięciową — to możemy też znaleźć analogiczną w stosunku do pojęć bardziej złożonych, ogólniejszych, zarówno konkretnych, jak np. „roślina“, jako też abstrakcyjnych, np. „ojczyzna“, obowiązek“. Psychologja zgadza się z tem dzisiaj, że pojęcia wrodzone nie istnieją, natomiast w znacznej mierze sprowadza wszystko do intuicji. Gdyby tylko udało się w powyższy sposób umiejscowić i uczucia, nie stałoby już nic na przeszkodzie założeniu, że wrażenia bardziej złożone w takiej samej zależności pozostają do kory mózgowej. I w rzeczywistości, doświadczenia na umysłowo chorych dowiodły tego. Obok wypadków, w których wrażenia bardziej złożone jeszcze występują, ale przyjmują tylko mylny kierunek, zdarzają się i takie, gdzie wrażenia bardziej złożone zanikły zupełnie, jak się rzecz ma przy rozmiękczeniu mózgu. W przeciwieństwie do pierwszych, podczas sekcji w ostatnich wypadkach, zostały zauważone uszkodzenia całej powierzchni mózgu. Rzecz prosta więc, że jeśli są zniszczone odnośne kompleksy komórek gangljanowych w okolicach twarzowej, węchowej i czuciowej, tam zatem złożone pojęcie „róży“ zaginęło.

Zgodność między temi różnemi okolicami powstaje przez skojarzenie zapomocą włókien nerwowych różnych gangljonów. Gdy te zostaną zniszczone, wówczas ginie też i łączność poszczególnych procesów. Te więc, t. zw. włókna asocjacyjne, posiadają zatem dla naszego życia duchowego wielką wagę.

Z tego, cośmy powyżej powiedzieli, wynika z dużem prawdopodobieństwem, że i te procesy czucia, które nie są samodzielnymi procesami, lecz towarzyszą naszym uczuciom i wyobrażeniom, muszą również być zlokalizowane na korze

wielkiego mózgu; przynajmniej jest to zupełnie prawidłowo zaobserwowane zjawisko, że przy uszkodzeniach kory mózgowej odcienie uczuć — jak np. takt, moralność i t. p. — giną. Nie inaczej rzecz się przedstawia z procesami myślowymi, które powstają z obrazów pamięciowych i wyobrażeń i przez to zostają wywołane, iż w mózgu bodziec przechodzi od wyobrażenia do wyobrażenia. W każdym razie doświadczenia nad zwierzętami i obserwacje chorych niejednokrotnie dostarczyły wskazówek, że gdy pewne włókno jest uszkodzono, procesy myślowe w pewnej określonej dziedzinie zamierają. Po tem wszystkiem można dziś już powiedzieć stanowczo, że wszystkie nasze procesy duchowe pozostają w zupełnie określonych stosunkach do kory mózgowej i do zupełnie określonych jej miejsc są przywiązane.

Jak wskazuje rozwój ostatnich lat trzydziestu, z twierdzeniem tem jest związane wielkie niebezpieczeństwo, gdyż tu pogląd ten jest jakoby zbyt jednostronnie ujęty w duchu materjalistycznym, że przywiązane do mózgu wrażenia i myśli są stawiane na jednym stopniu z wydzielinami nerek, lub wątroby. Takie postawienie sprawy jest w najwyższym stopniu nienaukowe.

Przez twierdzenie to jest tylko dowiedzionem, że pomiędzy procesami duchowymi i fizycznymi istnieje współrzędność, — pozatem jednak nic. O wiele prędzej dałoby się z tego wyciągnąć wniosek, przeciwny zupełnie zasadom materjalizmu, gdyż dla naszej świadomości w pierwszym rzędzie ważnym jest proces duchowy, nie zaś rzeczy konkretne realnego świata, które jedynie fizycznie uwarunkowują nasze myślenie.

Rozmaitości

Barwa głosu własnego. Zwrócono uwagę na ciekawe zjawisko, że w fonografie z łatwością poznać możemy mowę osób znajomych, lecz własny nasz głos wydaje się nam częstokroć całkiem obcym. Można z powyższego wyprowadzić wniosek, że głos nasz musimy zazwyczaj słyszeć inaczej, niżeli ci wszyscy, do których mówimy. Jakie jednak mogą być tego przyczyny? Dźwięki naszej własnej mowy dochodzą nas nietylko przez powietrze, lecz również przez części głowy, zmieniając swą barwę zależnie od charakteru przewodników. Wszystkie poszczególne barwy dźwięków sumują się w uchu, podczas gdy do osób obcych głos nasz dochodzi, posiadając barwę bardziej jednolitą. Słuszność powyższych uwag sprawdzić można za pomocą nader prostego doświadczenia. Osoba jedna ujmuje zębami koniec linji drewnianej, około pół metra długiej i wymawia pewną samogłoskę — drugi koniec tej linji znajduje się w pobliżu ust innej osoby, która linję kolejno chwyta zębami i puszcza. Nietrudno w ten sposób będzie się przekonać, że dźwięki w pierwszym i drugim słyszane wypadku bardzo się różnią od siebie, gdyż do ucha obserwatora dochodzą raz tylko fale powietrzne — drugi raz fale dźwiękowe przechodzą przez kości głowy osoby mówiącej, przez drzewo, wreszcie przez kości głowy słuchającego.

* * *

Kolporterka bakcyli. Niezwykły wypadek, niezwykły ze stanowiska prawa, a także ze stanowiska medycyny, jak donoszą z Nowego Jorku, rozstrzygnął niedawno najwyższy trybunał w stanie nowojorskim. Mary Mallon, irlandzka kucharka, czterdziestoletnia kobieta, jest od dwóch lat izolowana przymusowo na polecenie urzędu zdrowia, gdyż jest żyjącem ogniskiem bakcylów tyfusu. Najdziwniejszem jednak, że Mallon, mimo, że ciało jej, jak stwierdzili lekarze, roi się od bakcylów, bynajmniej nie jest chora, owszem stan zdrowia jest do pozazdroszczenia. Zdaje się, jak w orzeczeniu swem podał dr. Wiljam Paks, lekarz rzeczoznawca z urzędu zdrowia, że Mallon tyje od tych bakcyli, gdyz mimo, że podczas dwuletniej kwarantanny była na wcale szczupłej djecie, nie tylko nie straciła na wadze, lecz owszem zyskała. Bakcyle jak gdyby rodziły się i wydzielały z jej ciała, gdyż skoro tylko zdołano je wytępić, natychmiast zjawiały się nowe. Amerykański badacz tyfusu, dr. Soper poświęcił Mallon studjom naukowe, w którem podaje, że niebezpieczna ta kucharka zaraziła 27 osób, przeważnie z rodzin swych służbodawców. Gdyby ją wypuszczono i gdyby przypadkiem dostała służbę w mleczarni, wówczas w przeciągu trzech miesięcy ofiarą jej padłoby więcej osób, niż od całej armji nieprzyjacielskiej.

Kwarantanna dokuczyła wreszcie irlandzkiej kucharce. Za pośrednictwem adwokata więc zwróciła się do sądu, żądając, by ją wypuszczono. W sądzie traktowano ją z wielkim respektem, a każdy obchodził ją z daleka. Twierdziła, że w wszystkick wypadkach tyfusu, które powstały u jej służbodawców, przyczyną choroby była zepsuta woda. Przedstawiciel jednak urzędu zdrowia zaprotestował jak najenergiczniej przeciw wypuszczeniu Mallon z baraku izolacyjnego, dodając, że zdaje się, izolacja ta będzie konieczną aż do śmierci izolowanej.

* * *

Zbroje z czasów wojen krzyżowych. Uczony szwedzki F. Martin, przebywający obecnie w Turcji dla studjów naukowych, przysłał do jednego z dzienników w Sztokholmie korespondencję o odkrytych w Konstantynopolu zajmujących zbiorach.

Wschód — pisze — jest krajem cudów i niespodzianek. Któżby uwierzył, że w czasach dzisiejszych odnaleźć można cały arsenał broni i zbrojownię, pochodzącą z czasów wojen krzyżowych? Zbroje te od lat czterystu przechowywane były w ukryciu, zamknięte w skrzyniach. Do Konstantynopola przywiózł je w roku 1517 sułtan Selim I. zdobywca Syrji i Egiptu. Od dawnych czasów wiadomem było, że w kościele św. Ireny, jedynej bizantyjskiej świątyni Konstantynopola, która nie była przerobiona na meczet, znajduje się ogromny zbiór broni niepospolitej wartości, zawierający po większej części saraceńskie zbroje i hełmy z XIII, XIV i XV stulecia, oraz zbiór gotyckich mieczów. Zaznajomienie się z tym zbiorem było jednak niemożliwe, gdyż istniał zakaz zwiedzania go, ściśle przestrzegany.

Gdy przed niedawnym czasem przybyłem do Konstantynopola, by z polecenia rządu szwedzkiego odszukać ślady pobytu Karola XII w Turcji, po wielu trudnościach uzyskałem wreszcie zezwolenie na zbadanie dokumentów, znajdujących się między innemi także w kościele św. Ireny. Dokonałem wtedy zdjęć fotograficznych z najciekawszych przedmiotów, które widzieć miałem sposobność. Już saraceńskie zbroje, zawieszone w kościele św. Ireny, stanowią same przez się muzeum większe od wszystkich europejskich podobnego rodzaju. Ze źródła tureckiego dowiedziałem się następnie, że w podziemiach starego Ildizu znajdowało się kilka tysięcy wspaniałych hełmów. Podziemia te jednak za rządów Abdul Hamida były stale zamknięte z obawy, by nie dokonano przekopu do pałacu sułtańskiego. W Tophane i w arsenale nad Złotym Rogiem znajduje się również bardzo wiele starożytnej broni tego samego pochodzenia. Gdy w zimie przeszłego roku urządzono w szkole wojskowej Pankaldi wystawę prac uczniów, korytarze, westibul i klatkę schodową przystrojono zbrojami i bronią. Wystawione tam przedmioty były pierwszorzędnymi wyrobami średniowiecznej sztuki płatnerskiej europejskiej z 13 i 14 stulecia.

Towarzyszący mi oficer powiedział, że są jeszcze całe skrzynie takich przedmiotów. Setki, może tysiące skrzyń. Nikt ich nie otwiera. Leżą wszystkie w składach broni. Wydobyto stamtąd na chybił trafił, co się dało. Podobno rząd obecny zamierza urządzić z tego wszystkiego wielkie muzeum.

* * *

Tunel pomiędzy Szwecją a Danją. Projekt budowy tunelu, łączącego Danję z południową Szwecją, jest przedmiotem ogólnej uwagi w Kopenhadze. Plan pochodzi od inżyniera szwedzkiego Quistgaarda, a jako punkta wyjścia tunelu proponuje Kopenhagę i Malmö w Szwecji: tunel szedłby pod zatoką Oere, a komunikacja odbywałaby się zapomocą kolei elektrycznej. W fachowem czasopiśmie duńskiem „Inżynier" omawia znany specjalista Winkler ten projekt i dochodzi do wniosku, że plan Quistgaarda jest wykonalny. Szerokość zatoki między Kopenhagą, a Malmö wynosi tylko 16 klm., podróż okrętem trwa obecnie 2 godziny 17 min., podczas gdy koleją elektryczną w tunelu droga trwałaby tylko 41 minut.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 32. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 7 sierpnia 1909.

JAN STRAUSS.

Kuba Toporek.

(Dokończenie.)

Kuba krzynę się zdumiał, nie tyle z bólu, co z podziwu, bo mu czarne płatki, nikiej sadze, latały przede ślipiami; we łbie zrobiło się zimno, jakaś gorącość pociekła po chudej twarzy. Jakaś mdliwość załechtała pod językiem, aże nijako zrobiło się na sercu. Później, jak łuczywo w ciemności, zamajaczyło w mózgu, że to karbowy, Matuś, piekielnik, zdzielił go kluczami, aże mu posoka wytrysła i zalała oczy. A w tym bólu, jak gadziny, odżyły wszystkie urazy, wszystkie zapomniane złości, noszące oddawna na wątrobie jak ogniłe wrzody; wszystkie wymysły, jakie znosił i on i baba i dzieciska nieraz, nie dziesięć, mało sto razy; a wszystko przez tego i od tego świńtucha, więc nim zatrzęsło, aż się bebechy wywróciły do góry nogami w kałdunie. Nienawiść zagrała, rozpłomieniając zgryzotę, posiadła całą jego istność, moc, siłę i władzę świadomości. Sam nie wiedział, jak i kiedy przyskoczył do karbowego, jak się chwycili za bary, nikiej dwa wilki o wieprza zbłąkanego w lesie. Łby się zetknęły i uderzyły, jak kamienie, oczy zaświeciły ciemnym blaskiem wysiłku i chęcią zmożenia przeciwnika; wodzili się po całym obszernym ganku za orzydła, szturgali, gryźli się zębami, jak dwa dworskie brytany, spuszczone z uwięzi.

Dziedzic, siedząc w pokoju, usłyszał churgot i rumotanie, porwał się prędko i wyszedł, ciekaw, co się dzieje. Stanął na progu i ujrzał wodzących się chłopów. Począł przypatrywać się bójce: widział często, jak karbowy, w jego imieniu, prał po mordzie parobków, aż twarze klaskały, jak kacze skrzydła o wodę; był pewny, że zuch karbowy i sielny bijak, któremu nikt nie podoła, zmoże Kubę, jak tygrys jelenia.

A chłopi gnietli sobie żebra, wodzili, prali się po łbach; każdy zdobywał się na zawziętość, zadawał jak najsilniejsze i najboleśniejsze rany przeciwnikowi. Wreszcie Toporek zmógł karbowego i zmęczył: dostał mu się garścią do grdyki i ścisnął krzynę, a drugą pięścią, jak obuchem, puknął trocha pomiędzy oczy. Mateusz, setny chłop, jednak pobladł, nikiej miejski chłystek, zrobił się gibki, mięki i wiotki, i jak woda leciał sam przez ręce: Wówczas krzyknął dziedzic:

— Kuba, psiakrew, bo go zabijesz, puść go, jucho, zaraz!

Toporek w jednej chwili stropił się wielce i wypuścił z ucisku Mateusza, który dyszał ciężko i stał ledwo żywy. Kuba pokłonił się dziedzicowi nisko, do samej ziemi i, obracając koniec paska, bąkał zdyszany, z trudem wciągając powietrze.

— Dziedzicu,jaśnie dziedzicu, przysedem prosić o hela tela zasiłku na odrobek, bo w chałupie bida, aż piscy; dzieciska płacom, co niech Bóg zachowa i broni. Jaśnie dziedzicu, retujcie w bidzie, człek charował i charować będzie, aby oddać robotę, oddać z podziękowaniem, jeno retujcie, jaśnie dziedzicu, dziecioki. Niech tak nie skomlom z głodu, nikiej psioki — jaśnie dziedzicu... dziedzicu drogi i złoty!... I pochylał się i obłapiał nogi i żebrał się ostatnio jak ostatni z ostatnich; kochał Małgoś, kochał dzieci, kochał chałupę przywiązaniem psa; nie zważał, nie baczył na chłopski honor, ani na ambicję, ani na Mateusza, ani na srogą minę jaśnie pana, jeno szeroki grzbiet zgięty trzymał, a molestował sielnie, żeby się i cygan albo kamień ulitował nad nieborakiem.

— O wspomożenie, o ratunek dla głodnych dzieci przyszedłeś prosić — mówił ze złością dziedzic — a ludzi mi rozbijasz i tłuczesz, jak zbój w lesie, jak bandyta na gościńcu. Gadaj mi zaraz, za co pobiłeś Mateusza, co? Za coś go krzywdził?

— A juści, juści, święta prawda jaśnie dziedzicu, ruszyłem go krzynę, bo mi łeb kluczami pomacał, ale jom ta tak wiele nie winien, bo un chuchro, ścierwa, wiecheć, wyciruch pański. Na cudzym chlebie stał się hunorny, jak ogier cugowy; zawzdy człowiekiem bidnym pomiato, słówecka dobrego nie do, uszanowania nijakiego nimo, ten jucha, dziedzic jakiś! — zgrzytnął zębami i mimowoli posuwał się zapamiętale ku Mateuszowi.

— A cóż on ci takiego powiedział? — pytał niedbale pan.

— Pedzioł, żem przyszedł ziebrać do dwora, a to nieprawda, jak mi Bóg miły, nieprawda, jo kce jeno poborgować i odrobie. Panie Boże dopomóż, odrobie szczyrze; znajom me ludzie, znajom me i dziedzic, żem robotny, żem chłop całom gębom, jak należy. Jo ta ochfiary, ani łaski żadny, choćby i od samego dziedzica, to nie kce!...

Dziedzic brwi zmarszczył i począł mówić srogo:

— Więc cóż, że ci tak powiedział, przecież ci korona z głowy nie spadła; takiś, bestjo, honorowy?...

— Juści, takim, dziedzicu, poretujcie, jaśnie panie — wykrzyknął Kuba, jakby oszalały z rozpaczy.

— Głupiś, mój Kubo, kto honorowy, ten nigdy o nic nikogo o nic nie prosi. Rozumiesz mój Kubo?

— Rozumiem, dziedzicu, nie prosi, jeno co robi?...

— Pracuje i stara się, jak Bóg przykazał.

— Pracuje, dziedzicu?...

— Tak.

— Dyć, dziedzicu, jo na moich trzech morgach pracowałem, w Kielcach drzewo rombołem, i u dziedzica sielnie, o sielnie pracowałem we żniwa, a przeciek nimoma z kobitom i dzieciokami co w gębę se powrożać. Cymu to tak, dziedzicu?...

— Głupiś mój Kubo, rzucił nieco gniewnie dziedzic.

— Głupim, dziedzicu, ale poretujcie, panie!

— A będziesz ludzi rozbijał, będziesz się bić z Mateuszem?

Kuba drapał się po glowie, spoglądał zezem w stronę karbowego i nie mógł siebie opanować w wzrnszeniu i złości, nie mógł wyrzec słowa, bo go uraza rozpierała, że aż tchu brakowało w piersiach, więc zagryzł wargi, zaciął się i milczał ciągle.

Dziedzic począł się niecierpliwić.

— No, jakże, będzież ludzi rozbijał?...

— Kiej jo nikomu krzywdy nijakiej nie zrobił.

— Jakto nikomu, a Mateusz — mówił dziedzic.

— Un, dziedzicu, to co inszygo.

— A będziesz się z nim bił?

— Nimogę wiedzieć, jaśnie panie — a w duszy zaklinał się na wszystkie świętości, że karbowemu nie daruje,

że go przydybie gdzie w kącie i zakotrupi, jak Bóg w niebie, tak go zakotrupi. Zamaluje kłonicom w mordę, jeno zipnie i już będzie po nim, jak amen w pacierzu — już mu się przysłuży, już go popamiento.

— Nuże, Kuba, nic nie mówisz więcej?...

— Poretujcie, jaśnie panie — i znowóż chycił pana za kolana.

— A masz złość do Mateusza?

— Mam, panoczku, o mam!

— Więc mu odpuść i daruj, aby i tobie było odpuszczono.

Chłop się zatrząsł.

— Kiej nimoge, nijak nimoge! — odparł z dziwnem zapamiętaniem w całej postaci.

— No, to ruszaj dodjabła, gdyś tak zatwardniały poganin! — wykrzyknął rozgniewany nie na żarty dziedzic.

Kubie zaharczały piersi tłumionem westchnieniem, łzy popłynęły ciurkiem, gorycz, nikiej piołun, uderzyła do gardła i chciała go udusić strasznym kurczem żalu. Coś się w nim oberwało, skonało, zaprzepaściło, zamarło na wieki wieków, jak dusza nie oglądająca światłości anielskiej twarzy. Jakiś dreszcz zbudził się i zasnął w nim snem piekielnie trwałym. Postał jeszcze chwilkę i, niekłaniając się dziedzicowi, pocłapał się wolno do chałupy, jak zmokła kura na grzędę. Jakaś mgła pokryła mu duszę i mózg przysłoniła krwawą płachtą bezwładzy duchowej. Nie myślał nic i nie czuł nic. Był jak ta przydrożną grusza, zwalona przez burzę, rozdarta piorunem, oblana strugami deszczu, obryzgana błotem z cuchnącego rowu. Był jako kwiat polny, wdeptany bydlęcia kopytem w rozmiękłą ziemię. Był jako ta pracowita pszczoła, zimą wyjęta z ula i z urwanemi skrzydły rzucona na zimny śnieg, albo i przytłoczona bryłami lodu. Wlókł się, jak nieszczęście, jak larwa nocna, jak duch cmentarny, jak widmo śmierci i jak przekleństwo pokolenia. Opadła chłopska dusza na dno zapomnienia, w czeluść bezruchu padła, jak kamień, zgalwanizowana tępym bólem znieczulenia, zdrętwieniem odruchów; padła z poszarpanym wrzaskiem, podle, haniebnie zduszonym przez rzeczywistość życia. Dowlókł się do chałupy i stanął przed progiem — bał się wejść, bo tam było ziemskie piekło wraz z chłopską czarną rozpaczą, tam był głód, jęki jego dzieci, był ból, była męka, co żre dusze, jak jadowita żmija słodkie ciało dziecka, jak legiendowy polip, co serdeczną krew pije i zostawia starców w dwudziestej wiośnie, co spycha indywidualność człowieka na zwierzęcą gehennę i uczy już w kolebce przeklinać milczeniem wszystkie cuda, piękno i bożyszcza wszystkie. Stał przygnieciony życiem, zdruzgotany bezradnością i nie wiedział, co ma z sobą począć na ogromnej ziemi, w którą stronę zwrócić zamglone oczy i opuchłe, okrwawione stopy, gdzie zaprzedać w niewolę swe ciało i gdzie posłać umęczoną duszę.

Z chałupy wyszła Kubina — spostrzegła przy progu stojącego męża, więc rzekła z upragnieniem:

— Kubuś, przyszedeś, dyć lo Boga, tak długo cię nie było. Byłeś we dworze... Dziedzic dali co?...

Niemoc odpowiedzi, naprężenie serc, ścisk w piersiach i straszne, grobowe milczenie.

— No, byłeś, dali co?... — powtórzyła niepewnym głosem.

Kuba zaciśnięte pięści podniósł do nieba i wyrzekł ponuro:

— Juści, dali... bodaj ich ogniste pioruny spaliły. Dali kolkę w bok, chorobę na wątrobę!

Stał, dumał długo, coś ciężkiego w sobie ważył i pięściami przyciskał piersi; w wieczornym zmroku słychać było, że mu coś w nich głucho, przeokropnie wyje, jak człowiek pochowany żywcem, że tam coś się łupie, trzaska i pęka w kawały, jak wulkaniczna góra, że tam kraje się serce i złorzeczy sama sobie biedna, stroskana dusza, pędzona bluźnierczo przez możną potrzebę. Wreszcie Kuba przemówił niskim, krwawym głosem, nabrzmiałym bólem i zapiekłemi łzami:

— Małgoś... — i nie mógł odrazu wydobyć z siebie strasznych słów.

— Czegój? — zapytała Magda.

— Małgoś, słuchaj, co pedom i bacz pielnie. Zanieś sukmanę i kożuch i buty do żyda, albo do sklepiku, niech ci dadzom trocha życio, bo jo... jo śmagom... śmagom wieś, śmagom dwór, niech go ta pokręci; ide do Kielc, może ta dostane stróżostwo albo i co inszygo. Ty, miej baczynie na dzieciok i... ostańta z panem Bogiem... Późni krzynę przyjadę po wos... pozdrów dziecioki... jo nimoge iść do chałupy, nimom sił... No, ostańta z Panem Bogiem... ostańta!... ostańta!...

Kubinie, jakby kto nóż w samo serce wraził, albo kołki dębowe na łbie toporem ciosał, taki uczuła ból, słysząc słowa męża; musiała się oprzeć o ścianę, by nie upaść i nie zdechnąć odrazu. Cosik ją tak gniotło, że jakby cały świat walił się na nią w jednem mgnieniu oka, a ona pod tym ciężarem musi żyć, aż do końca swoich marnych dni.

Kuba stał milczący, a ona szeptała cicho:

— To tak... to tak... to tak... Kubuś... śmagosz wieś, śmagosz... śmagosz... śmagggooosz...

A Kuba głowę spuścił na piersi i mówił nie głosem, lecz krwawym zgrzytem, który wychodził jakby z pod ziemi, jakby z grobu.

Cichaj, Małgoś, cichaj, cichaj... kiej mus —to mus!... Lo chleba! Małgoś, lo chleba... lo chleba — znaczy z głodu na wsi z głodu pomrzewa, na wsi z głodu pomrzewa! pocałował ją zsiniałemi usty, raz jeszcze zaharczał i poszedł. Już go widać nie było, jeno głos z ciemności dobiegł stroskany uszów Kubiny.

A pamiętaj o dzieciach, zrób, co pedziołem i ostańta z Bogiem!

— Pamintom... Pamintom... Pamintom — szeptała głucho za odchodzącym.

A Kuba ruszył z miejsca takim krokiem, jakby ziemia paliła mu bose stopy, a ktoś gonił z toporem w dłoni; ani się obejrzał bo noc była ciemna i mróz sielny doskwierał do samej kości. Ziąb był taki, że nikiej zębów w gębie utrzymać. Przystanął, zatrzepał ręce o chude, kościste boki, plunął w garście i szedł dalej w ponurem milczeniu, jeno suchy śnieg skrzypiał nieprzyjemnie pod twardemi nogami; gdy minął ostatnie chałupy, jakaś słabość i niemoc go opanowała wszechwładnie; coś mu łazić zaczęło po sumieniu, po piersiach i po czułem sercu, jak robak plugawy i obrzydliwy — chciał zmódz, ale nie mógł w żaden sposób nie mógł. Doszedł w takiej rozterce do krzyża, stojącego na samym końcu wsi, gdzie rozchodziły się drogi i tu chwycił go niezgłębiony żal, straszny ból rozstania, przeokropny szloch i łkanie głuche, jakby kto żywcem rwał ciało na sztuki, a broczące rany zarzewiem posypywał; runął plackiem na ziemię, jak na podniesienie i objął ziemię, tę swoją ukochaną, biedną ziemię, objął w drogi najserdeczniejszy uścisk zmaltretowanej nędzą duszy, a głuchy, ciężki, fizycznie zwierzęcy bełkot wydobywał mu się z potężnych piersi w urywanych słowach, które, jak wątłe, bezsilne, wyrzucone z gniazdka ptaki, tłukły się i konały u stóp spróchniałego krzyża.

— Panie Jezu Nazareński! nimoge inaczy!... nimogę inaczy... nimoge... lo chleba!... Chryste!... Chryste!... Chryste, lo chleba... — i leżał długo... Była wielka cisza na całym świecie, jeno gwiazdy złote świeciły na szafirowem niebie i od czasu do czasu spadając, rozrywały ciemności ognistą wstęgą, a on leżał i bił głową o ziemię i skomlił, jak nie stworzenie Boże i całował zimny śnieg, zlewał gorącemi łzami i wył na mrozie w noc ciemną, jak wyje zdychający pies bez pana i bez dachu.

Stanowisko społeczne kobiety.

Wynalezienie maszyny, a wszczególności zużytkowanie siły pary i elektryczności wpłynęło na szybki rozwój przemysłu. Coraz to nowe i coraz więcej udoskonalane wynalazki ułatwiały wytwarzanie wszelkich przedmiotów przy stosunkowo niewielkiej stracie czasu i energji. Rękodzielnicy nie mogą wytrzymać konkurencji maszyny i wraz z jej wynalezieniem zaczyna upadać przemysł drobny i domowy. Był to naturalny skutek wyższości maszyny nad pracą ręczną człowieka. Wytwarzanie produktów w domu staje się

zbyteczną stratą sił i czasu, gdyż wszelkie przedmioty, niezbędnie potrzebne do codziennego użytku, można nabywać za tanie pieniądze i mieć znacznie lepsze.

Lecz maszyna nietylko dokonała olbrzyjmiej zmiany w sposobach produkcji, nietylko wpłynęła na rózwój przemysłu, ona wyzwoliła kobietę od uciążliwej pracy koło domu. Cały szereg zajęć, którym się oddawała przed wynalezieniem maszyny, zostaje usunięty z zakresu jej działalności. Dziś nie spotykamy już kobiet gospodyń, któreby wyrabiały w domu takie produkty, jak mydło, świece, ocet. Wszystko to kupują ludzie w sklepach, nie przypuszczają nawet, że jeszcze nie tak bardzo dawno kobiety musiały dużo sił i czasu poświęcać na wyrabianie tych produktów w domu, gdy dziś mamy je znacznie lepsze i bez żadnego kłopotu. Tylko w miejscowościach oddalonych od większych miast i w czasach obecnych nasze wiejskie gospodynie oddają wyrabianiu płótna i tką wełniaki na ubrania. W mieście nikt już nie myśli o produkowaniu tych rzeczy w domu. Fabryki dostarczają tu towary najrozmaitsze i w ilości odpowiedniej do zapotrzebowania. O każdej porze roku znaleźć można wszystko co potrzeba, od najprostszych perkalików do najwykwintniejszych i najdroższych materjałów. Tak rzecz się ma i ze wszystkiemi innemi produktami.

Wielka produkcja wpływa bezpośrednio na zmianę położenia kobiety i jej stosunku do mężczyzny. Kobieta z burżuazji, wyzwolona od pracy domowej i kłopotów, oddaje się wyłącznie rozrywkom; na targowisku świata szuka nabywcy na swe wdzięki, lub sama kupuje męża. Małżeństwo spada do poziomu interesu, spekulacji pieniężnej; powoli moralna zgnilizna podkopuje rodzinę, następuje w niej rozkład i upadek, jak to dziś widzimy. Kobietę ze sfery drobno-mieszczańskiej, zmienione warunki życiowe, zmuszają do szukania pracy na polu dla niej dostępnym jak nauczycielstwo itp. zajęcia. Ten czynnik wreszcie pcha ją na drogę nietylko fachowego, lecz i wyższego wykształcenia. Też same warunki ekonomiczne wpływają na zmianę warunków istnienia i kobiety z ludu. Zostaje ona wciągnięta w wir życia społecznego.

Z początku praca w fabryce pociągnęła kobietę z tego względu, że dawała stosunkowo dobry zarobek i lżejszą pracę niż ta, którą musiała wykonywać w domu, potem konieczność zmusiła kobietę do szukania pracy na tem polu. Z biegiem czasu praca stawała się coraz łatwiejszą i nie wymagała w wielu gałęziach przemysłu siły fizycznej, zaczęto posługiwać się kobietą jako tańszą siłą roboczą. Wreszcie przemysł stworzył całę armję ludzi bez pracy, poszukujących zajęcia — nastąpiło zniżenie płacy, zarobek mężczyzny nie wystarczał już na utrzymanie rodziny. I dziś nie może kapitalista obejść się bez siły roboczej kobiety, jak również rodzina, na której utrzymanie nie wystarcza zarobek ojca, nie może istnieć bez zarobkowej pracy kobiety.

Zmiana, zaszła w sposobie produkcji, spowodowała olbrzymią zmianę w rodzaju pracy kobiety. Praca w fabryce, za którą kobieta otrzymuje pieniądze, praca bardziej samodzielna, dająca możność niezależnej egzystencji, wyzwala kobietę z zależności materjalnej od mężczyzny, co ze swej strony pociąga za sobą nieobliczalne skutki. Przedewszystkiem wpływa dodatnio na umoralnienie małżeństwa, które było do tej pory traktowane jako interes. Kobieta, mając byt zabezpieczony własną pracą, nie będzie sprzedawała się dla chleba, a szersze pole pracy, pracy w społeczeństwie, rozszerzy światopogląd kobiety; zrozumie ona swe zadania i cele — zadania kobiety-człowieka. Do dorobku ludzkości wniesie ona skarby swego serca i ofiarności rozumnej bo wzbogaconej gruntowną znajomością życia i wiedzy.

I tu właśnie występuje kwestja równouprawnienia kobiety, zachodzi potrzeba dostosowania prawa w myśl obecnych potrzeb i wymagań, wysuniętych przez życie samo.

Oprócz kwestji równouprawnienia kobiety, powstaje druga, niemniej ważna. Kobieta, wyzwolona z zależności ekonomicznej od mężczyzny, wpadła pod jarzmo kapitału i jest obecnie w temsamem położeniu, co i robotnik mężczyzna. Ma ona te same zadania i interesy; taksamo, jak i robotnik-mężczyzna musi rozpocząć walkę z kapitałem nietylko w celu polepszenia bytu, lecz i o zupełne zniesienie wyzysku. Wobec tego najważniejszem i najbliższem zadaniem kobiety-proletarjuszki jest połączenie się i zsolidaryzowanie się z mężczyzną-proletarjuszem w celu wspólnej walki z kapitałem.

Równouprawnienie kobiety powinno być zadaniem nietylko jej samej, lecz zadaniem każdego człowieka, rozumiejącego doniosłość przewrotu, jaki się dokonywa.

Szczerze demokratycznym nie może być żaden ustrój społeczny, w którymby nie brano pod uwagę zrównania praw kobiety. Ustrój taki nie uwzględniałby wymagań, wysuniętych przez zmianę warunków ekonomicznych i przeto nie odpowiadałby potrzebom doby obecnej, opóźniałby postęp i utrudniałby stworzenie nowych, lepszych form bytu.

Rozmaitości

Niezwykły potwór morski. Przed kilku miesiącami we włoskich gazetach rozeszła się wiadomość, że w sycylijskich wodach między Messyną i Katanją rybacy złowili anioła morskiego (wielką rybę z gatunku rekinów), w wnętrznościach którego znaleziono szczątki trzech ludzi. Z początku wiadomość tę uważano za kaczkę dziennikarską, lecz obecnie dwóch profesorów katańskiego uniwersytetu naukowo zbadało ten przypadek i przedstawiło o tem referat włoskiemu towarzystwu zoologicznemu. Cały ten wypadek jest bardzo interesujący. Dnia 8 lutego, w parę tygodni po owem strasznem trzęsieniu ziemi w Messynie siedmiu rybaków katańskich wyłowiło w pobliżu przylądka Santa Croco olbrzymiego delfina, ważącego około 100 kilo. Podczas gdy go trzymali jeszcze w wodzie, fala uniosła się i ukazał się jakiś potwór, który z początku odgryzł delfinowi ogon, a potem połknął go całego. Otrząsnąwszy się z pierwszego strachu odważni rybacy uderzyli na potwora harpunem, zabili go i przywieźli do Katanji. Na nieszczęście sami go patroszyli, nie wezwawszy pomocy specjalisty i we wnętrznościach jego znaleźli resztki ludzkie razem z resztkami byka i psa. Gdy wieść o tem się rozniosła, zbiegli się na brzeg ludzie, którzy uciekli z Messyny w nadziei, że odnajdą szczątki bliskich ludzi, którzy zginęli podczas katastrofy. Naturalnie, że o poznaniu mowy być nie mogło. Wtedy do zbadania tych szczątków wziął się dyrektor instytutu medycyny sądowej w Katanji, prof. Perrando. Zbadawszy je wywnioskował, że pozostałości należą do trzech osób: mężczyzny lat około 50, kobiety i dziecka. Być może, że stanowili oni jedną rodzinę, ale tego sprawdzić naturalnie nie można. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa zostali oni zmyci przez fale i żywcem połknięci. Profesor Kondoreli stwierdził, że potwór ten, Carcharodun carcharias Z. jest przedstawicielem osobnej rodziny z gatunku rekinów. Na wodach sycylijskich spotyka się go bardzo rzadko.

* * *

Zabijający pył. W ogłoszonem codopiero sprawozdaniu biura pracy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej za rok 1908 podano wynik badań, jak groźną rolę odgrywa pył (kurz) na zdrowotność człowieka. Stwierdzono, że w kraju tj. w Stanach Zjednoczonych możnaby rocznie uratować życie 22.000 ludziom, gdyby ulepszono wentylację po warsztatach, przesyconych pyłem zabijającym. Wypadki suchot zmniejszyłyby się wtenczas o jedną trzecią. 24,8 procent wypadków śmierci u robotników fabrycznych spowodowanych zostało pyłem z organicznych pierwiastków, a 36,9 proc.pyłem metalowym. Największą liczbę wypadków śmierci spowodowanych pyłem napotkano u robotników pracujących przy maszynach rozcierających, gdzie aż 49.2 proc. umarło na suchoty.

Przytoczone liczby wykazują, że jednym z głównych powodów wielkiej śmiertelności wśród robotników jest brak czystego powietrza. Pył, znajdujący się po lokalach, w których robotnicy zmuszeni są cały dzień pracować, niebezpieczniejszy jest od choroby zaraźliwej i ułatwia w dodatku z powodu zanieczyszczonego powietrza przyjęcie zarazków chorób zakaźnych. Należyta wentylacja lokali fabrycznych i warsztatów obniżyć może zatem w pewnym stopniu szkodliwe skutki pyłu i dlatego koniecznem jest zaprowadzenie

stałej i surowej kontroli hygienicznej w tym kierunku. Jako „pył zabijający“ oznacza się najmniejsze, niewidzialne cząsteczki odpadające od narzędzi albo od obrabianego przedmiotu. Z jakichkolwiek pierwiastków te cząsteczki się składają, zawsze są one szkodliwe, gdyż wchodzą przez usta i nos do płuc i osadzają się w kanałach oddechowych. Na zwalczanie pyłu podaje sprawozdanie biura pracy szereg praktycznych wskazówek na podstawie badań prof. Hoffmana, Richardsohna i Haldana.

Polecenia godnem jest mianowicie wsączanie pyłu rurami zapomocą siły elektrycznej; pył wychodzi na tej drodze, jak dym kominem na zewnątrz. Również zaleca się przeprowadzenie w odpowiedni sposób prądów powietrznych po lokalach pracy. Tyle ze sprawozdania biura pracy w Stanach Zjednoczonych. I u nas nie brak środków ku ulepszeniu warunków hygjenicznych w lokalach pracy, lecz bywają one przez przedsiębiorców rzadko stosowane.

* * *

Bakcylus ospy. Z Rio de Janeiro donoszą, że lekarze tamecznego instytutu bakterjologicznego dr. Beaurepaire, Uragao i czech Powrazek wykryli bakcyla ospy. Stwierdzono bowiem, że przyczyną chorób zaraźliwych są mikpoorganizmy, bakcyle i kokki; wielu badaczy usiłowało również wykryć bakcyle ospy, co się im jednak długo nie udawało i zaczęto już przypuszczać, że rozsadnikiem ospy nie są bakcyle, lecz żyjątka najniższego stopnia, nazwane sporozoami. Od czasu wynalezienia przez Jennera metody szczepienia ospy, znaleziono już potężny środek przeciw tej chorobie, usuwający niebezpieczeństwo. Odtąd kwestja rozsadnika ospy stała się raczej teoretycznie naukową. Nie jest jednak rzeczą wykluczoną, że dzięki wykryciu bakcyla uda się teraz energiczniej zwalczać chorobę, będąca już w stadjum rozwoju.

Na sprawę tę wiedeńskie koła naukowe zapatrują się bardzo sceptycznie, choć zaznaczają, że dr. Prowazek jest jednym z najpoważniejszych bakterjologów. Przez czas pewien był asystentem prof. Roberta Kocha i pomagał mu w badaniach nad malarją w Istrji, potem pracował w Hamburgu w instytucie hygjeny podzwrotnikowej, wreszcie został powołany do Rio de Janeiro.

* * *

Ubezpieczenie na wypadek roztrwonienia. Pisma specjalne donoszą, że jedno ze szwajcarskich towarzystw ubezpieczeniowych od nieszczęśliwych wypadków zaprowadziło ubezpieczenie na wypadek kradzieży lub nadużycia ze strony pracowników. Nowy ten rodzaj ubezpieczenia („Veruntreuungsversicherung“) rozwinął się na zasadzie długoletnich operacji z zabezpieczeniem kaucji. Jeżeli w tym wypadku ubezpieczał się pracownik, który w braku środków osobistych dawał pracodawcy zabezpieczenie ubezpieczenia ewentualnego roztrwonienia, to w nowej formie ubezpieczenia inicjatywa wychodzi od pracodawcy, lub firmy, która zabezpiecza się od strat, mogących wyniknąć skutkiem złej wiary pracowników. Zależnie od organizacji lub rozmiarów danego przedsiębiorstwa, ubezpieczenie może być rozpostarte na pojedyńczego pracownika, lub na jedną kategorję pracowników, zarządzających oddziałami komiwojażerów, magazynierów itp. Stosownie do kwalifikacji pracownika wyznaczają się na osobę odpowiednie sumy zabezpieczeniowe. Możliwe są jednakże ubezpieczenia kolektywne, obejmujące wszystkich pracowników i robotników danej firmy. W tym wypadku podaje się sumę, na jaką ubezpiecza się firma w ciągu roku. W granicach tej sumy w ciągu roku towarzystwo zwraca każdy pojedyńczy wypadek nadużycia. W tych wypadkach premja wypada daleko drożej niż w wypadkach, gdy ubezpieczenie ogranicza się do jednej osoby. Zmniejszenie premji może nastąpić w razie, jeżeli ubezpieczający przyjmuje procentowy udział w stratach, wynikających z każdego nadużycia.

* * *

Szkoła żeglarzy powietrznych. Władze instytutu politechnicznego w Londynie postanowiły utworzyć w najbliższej przyszłości kursy żeglugi powietrznej w celu wykształcenia inżynierów aeronautycznych. Kursy te mają być rozłożone na 4 lata. W roku pierwszym wykładana byłaby matematyka, w drugim miałyby miejsce wykłady z zakresu żeglugi powietrznej, za trzeci poświęcony byłby na rysunki techniczne i wreszcie czwarty i ostatni na prace w laboratorjum. Laboratorjum ma być zaopatrzone w statek powietrzny z motorem siły jednego konia.

* * *

Kto pierwszy latał po powietrzu? Wobec zainteresowania się ogólnego wzlotami Bleriota, braci Wrightów, Farmana i wielu innych, historycy rozpoczęli poszukiwania w celu wykazania, komu po raz pierwszy udało się wznieść ponad ziemię. Okazuje się, że pierwszym latającym człowiekiem był Jezuita portugalski, Bartholomeo de Gusmao, który po kilku próbach, dokonanych z wynalezionym przez siebie przyrządem wobec członków jezuickiego zakonu w 1720 r. w Lizbonie z doświadczeniem publicznem wobec króla Jana V-go i niezliczonych tłumów publiczności. Przeleciał on znaczną przestrzeń, oddzielając dwa największe place w Lizbonie i opuścił się na jednym z nich na ziemię bez żadnego szwanku. Nazwano go „Ovoadorem“ czyli człowiekiem latającym. Lecz powodzenie to nietylko nie przyniosło mu tryumfów i zaszczytów, jak Bleriotowi, lecz przeciwnie, stało się przyczyną jego zguby. Święta Inkwizycja oskarżyła go o „magję“ i skazała go na zamknięcie w lochu więziennym, obostrzone surowymi postami. I chociaż, przy pomocy członków Stowarzyszenia Jezusowego, udało się Gasmaonowi uciec do Sewilli, jednakże wkrótce ze zgryzoty zakończył tam życie w szpitalu i poniósł do grobu tajemnicę swego wynalazku.

* * *

Jubileusz cenzury. „Sowr. sł.“ przypomina 105 rocznicę istnienia cenzury w Rosji, a mianowicie rocznicę wydania pierwszej ustawy cenzuralnej w dniu 22 lipca 1804 r. Pierwsza ta ustawa ustępowała pod względem nastrojów i liczby paragrafów wszystkim następnym. Było w niej ogółem 47 paragrafów. Pierwszymi cenzorami byli profesorowie uniwersytetów. Jeden z twórców ustawy objaśnia, że „postanowienia cenzury bynajmniej nie ograniczają wolności pisania i myślenia; najwyżej przedsięwzięte zostały stosowne środki przeciw nadużyciom tej wolności“. Wogóle pierwsza ustawa była względnie łagodniejsza i więcej wyrozumiała, niż wszelkie zarządzenia późniejsze i obecne.

Ustawa ta zawiera np. takie komentarze: „Cenzura przy zakazywaniu książek i utworów kieruje się rozważną wyrozumiałością, wolna od wszelkiej stronniczości w tłomaczeniu całych utworów lub ich ustępów. Kiedy ustęp wątpliwy ma podwójne znaczenie, w takim razie należy raczej tłomaczyć go w sposób przychylniejszy dla autora, niż odwrotnie“.

Streściwszy późniejszy „rozwój“ cenzury, „Sowr. sł.“ robi następującą uwagę: „Upłynęło przeszło całe stulecie, a pierwsza ustawa cenzuralna wydaje się czemś humanitarnem, gdy spółczesna rzeczywistość robi wrażenie czegoś wysoce archaicznego i przestarzałego. A tymczasem położenie prasy w niczem się nie zmienia i zaledwie zjazd księgarzy oraz wydawców w Petersburgu ośmiela się z całą ostrożnością przypomnieć, że czasby było uwolnić z więzów prasę, a zarazem wyzwolić księgarstwo. Ale mijają dni, dziesięciolecia i całe stulecia, a kwestja cenzury faktycznie czeka i czeka jeszcze rozstrzygnięcia, tak jak czeka także rozwiązania sprawa wolności prasy.“

* * *

Olbrzymi pożar. W Dreznie istnieje t. zw. „Vogelwiese“ — łąka, na której odbywają się zabawy ludowe. W niedziele i święta jest tam bardzo rojno — zbiera się zazwyczaj kilkadziesiąt tysięcy osób w karuzelach i kawiarniach. Ostatniej niedzieli popołudniu wybuchł pożar, który wywołał ogromny popłoch. Pożar rozszerzał się z olbrzymią szybkością. Spłonęło 50 restauracji, 60 karuzeli, 40 namiotów, kilka teatrzyków etc. Szkoda olbrzymia. Pokaleczonych i poparzonych zostało 60 osób.

Szkodę obliczają na 2 miljony marek. Dotychczas nie odnaleziono dwojga dzieci.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Stanisław Mieczkowski w Katowicach.

Nr. 33. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 14 sierpnia 1909.

LEONIDAS ANDREJEW.

ŁAZARZ.

I.

...A gdy Łazarz wyszedł z grobu, w którym przebył trzy dni w tajemniczej mocy śmierci i, jako żywy, wrócił do swej sadyby, długo ludzie nie spostrzegli w nim tych złowróżbnych zmian, które z czasem i samo imię jego uczyniły strasznem. Weseląc się szczęśliwą radością, z powodu powrócenia jego cudem do życia, przyjaciele i bliscy pieścili go bezustannie i, w ciągłych troskach o jaknajlepsze dlań strawy i napoje i uciechy i świetne szaty, ginęła niepostrzeżenie ich ciekawość. Odziali go cudnie, w jasne kolory nadziei i śmiechu, i gdy on, niby oblubieniec w dzień godów, znów siedział pośród nich przy stole i znów wraz z nimi spożywał dary boże i pił wina przepyszne, płakali wszyscy ze wzruszenia i zwoływali sąsiadów, by i ci oczyma własnemi spojrzeli na cudownie wskrzeszonego. Przychodzili sąsiedzi i cieszyli się serdecznie; przychodzili nieznajomi z dalekich miast i wiosek i rozgłośnymi krzykami wyrażali podziw swój i swą korną zbożność przed cudem. I, jak pszczoły, huczał tłum ludzki dokoła domu Marji i Marty.

A to, co zjawiało się powoli i nieznacznie na obliczu Łazarza i w ruchach jego wszyscy zgodnie uważali za ślady ciężkiej choroby i przeżytych wstrząśnień. Niszcząca praca śmierci nad trupem jeno wstrzymana cudotwórczą dłonią, lecz nie zniszczona zupełnie, i to, co śmierć zdążyła już uczynić z twarzą i ciałem Łazarza, było niby rysunek niedokończony, niby dzieło, którego wykonanie na czas jakiś malarz odłożył. Na skroniach Łazarza, pod oczyma jego i w dołach policzków leżała gęsta, ziemista siność; równie sinymi były palce rąk jego, a przy wyrosłych w grobie paznokciach siność stawała się ciemną, purpurową. Gdzieniegdzie na wargach i na ciele pękła skóra, nabrzmiała w zimnym dole mogilnym i na miejscach tych utworzyły się cienkie, czerwonawe blizny, ślniące, jakby pokryte przeźroczystą śliną. I Łazarz stał się tęgi. Nabrzmiałe w grobie ciało zachowało te potworne rozmiary, te straszne wypukłości i opuchliny, z których bije smrodliwa wilgoć rozkładu. Lecz ciężka trupia woń, którą przesiąknięte były śmiertelne suknie Łazarza i, zdało się, nawet ciało jego, zginęła zupełnie, a wkrótca zmniejszyła się także siność rąk jego i twarzy, i zagoiły się różowe pęknięcia skóry; lecz nigdy nie zeszły one całkowicie. Z takiem obliczem stanął Łazarz przed ludźmi w swem drugiem życiu; lecz ono było naturalnem i zwykłem zupełnie dla tych, którzy widzieli go pochowanego.

Prócz twarzy zmieniło się jakby i usposobienie Łazarza, lecz i to nie zdziwiło nikogo i niczyjej nie zwróciło uwagi. Do śmierci swej Łazarz był zawsze wesół i bez troski, lubił śmiech i żarty. Za tę przyjemną i pogodną wesołość, pozbawioną zgryźliwości i drwin, pokochał go właśnie Nauczyciel. Teraz zaś był on poważny i milczący: sam nie żartował i na czyjeś żarty nie odpowiadał śmiechem; i te słowa, które rzadko wymawiał, były to najprostsze, najzwyklejsze i najniezbędniejsze słowa, jednako pozbawione treści i głębi, jak te dźwięki, którymi zwierzę wyraża ból i zadowolenie, pragnienie i głód. Słowa takie człowiek całe swe życie może wymawiać i nikt nigdy dowiedzieć się z nich nie będzie w stanie, co smuci i co raduje jego głęboką duszę.

I oto z obliczem trupa, nad którym trzy dni w nieprzejrzanym mroku mogiły panowała wszechwładnie śmierć, w wspaniałym, weselnym stroju, lśniącym od żółtego złota i krwawej purpury bezcennych kamieni, ociężały i milczący i już aż do okropności inny, niż przed zgonem, straszny i dziwaczny, lecz niezauważony jeszcze przez nikogo, siedział Łazarz przy biesiadnym stole w gronie dawnych przyjaciół swych i bliskich. Szerokiemi falami, cichemi i delikatnemi, to znów burzliwemi i rozgłośnemi, unosił się nad nim pogwar szczęśliwy; i gorące spojrzenia miłościwe, niby strzały biegły ku twarzy jego, wionącej jeszcze zimnem grobu; i zacna dłoń przyjacieia pieściła uściskiem serdecznym jego siną i ciężką rękę. I muzyka grała. Przywiedli muzyków i ci grali wesoło: tympan i flet, cytra i gęśle. I niby brzęczały pszczoły — niby piewiki świerkały — niby ptaki śpiewały nad szczęśliwym domem Marji i Marty...

II.

Ktoś nieostrożny podniósł niebacznie całun. Ktoś nieostrożny jednem tchnieniem rzuconego zuchwale słowa zburzył przejasne czasy i do bezwstydnej, obmierzłej nagości obnażył prawdę. Jeszcze myśl nie stała się wyraźną zupełnie w mózgu jego, gdy usta, uśmiechając się, spytały:

— Dlaczego nie odpowiadasz nam, Łazarzu, co było tam?

I wszyscy zamilkli, rażeni niby piorunem, tem nieoczekiwanem pytaniem. Jakby dopiero teraz domyślili się wszyscy i zrozumieli, że Łazarz trzy dni był martwy, i z ciekawością spoglądali na się, oczekując odpowiedzi. Lecz Łazarz milczał.

— Ty nie chcesz nam odpowiedzieć? — zdziwił się pytający. — Azaliż tam tak strasznie?

I znów myśl jego włóczyła się za słowem, gdyby bowiem szła przed niem, nie zadałby takiego pytania, od którego w tej samej chwili, gdy słowa z warg mu spadały, nieznośny lęk zmiął serce jego. I wszyscy stali się niespokojni. I już z upragnieniem oczekiwali słów Łazarza. Lecz on milczał, ponuro i chłodno, opuściwszy nisko ku ziemi swe oczy. I wtedy jakby poraz pierwszy zauważyli przeraźliwą siność twarzy jego i potworną nabrzmiałość ciała. Na desce stołu niby zapomniana spoczywała nieruchomo sino-purpurowa ręka — i spojrzenia wszystkich utkwiły w niej uporczywie, jakby od niej oczekiwały upragnionej odpowiedzi. A muzykanci grali jeszcze; lecz oto ich uwagę zwróciła na siebie cisza zupełna i ciężka, i jak woda zalewa żarzące sią węgle, tak i ona zgasiła wesołe dźwięki. Zmilkł flet; zmilkły i tympan brzęczący i łkające gęśle, jakby konała pieśń sama — drżącym, rozpaczliwym, urwanym dźwiękiem jęknęła cytra — i zmilkła. I stało się cicho.

— Ty nie chcesz? — powtórzył pytający, niezdolen zmusić do milczenia swój gadatliwy język. Było cicho i nieruchomo leżała sino-purpurowa ręka.. Oto poruszyła się z lekka i wszyscy odetchnęli z ulgą i wznieśli oczy — — wprost na nich, obejmując wszystko spojrzeniem jednem strasznie i okrutnie spoglądał zmartwychpowstały Łazarz.

Było to trzeciego dnia po wyjściu Łazarza z grobu. Od czasu tego wielu odczuwało niszczącą potęgę wzroku jego, lecz ani ci, którzy sami w pra-źródłach życia, równie tajemniczego jak śmierć, znaleźli moc i wolę do oporu —

nigdy nie mogli zrozumieć i nie potrafili objaśnić czegoś strasznego, co nieruchomo leżało w głębi czarnych jego oczu. Łazarz patrzał spokojnie i prosto, bez chęci ukrycia cośkolwiek, lecz i bez chęci powiedzenia i wyjawienia czegokolwiek — patrzał nawet chłodno, jak ten, któremu obcem i obojętnem jest wszystko żyjące...

I wielu beztroskich ludzi spotykało go blisko i nie zwracało nań nawet uwagi swojej i potem dopiero z dziwieniem i lękiem dowiadywali się, kim był ów tęgi, spokojny, strojny w przepyszne suknie, człowiek... Słońce świecić nie przestawało, gdy on patrzał, fontanny nie przestawały szemrać, niebo nie przestawało być jednako czystem i błękitnem, lecz człowiek, na którym spoczął jego tajemniczy wzrok, nie widział już blasków słonecznych, nie słyszał śpiewu fontanny, nie poznawał ojczystego nieba. Niekiedy człowiek płakał gorzko; niekiedy w rozpaczy bezmiernej wyrywał sobie włosy z głowy i bezrozumnymi krzykami wołał innych ludzi na ratunek — lecz najczęściej bywało tak, że obojętnie spokojnie poczynał umierać i umierał przez długie, długie lata, umierał w oczach wszystkich, umierał bezbarwny, nudny, złamany, jak drzewo schnące milcząco na gruncie kamienistym. I pierwsi, ci, którzy krzyczeli i szaleli, niekiedy powracali do zdrowia i życia; drudzy zaś — nigdy!...

— Więc nie chcesz rzec nam, Łazarzu, coś tam widział? — poraz trzeci powtórzył pytający. Lecz głos jego już był obojętny i szary, i martwa, mgława nuda, wyglądała tępo z oczu. I twarze wszystkich pokryła, niby kurz, ta martwa, mgława nuda, i z idjotycznem zdziwieniem spoglądali na siebie wzajem goście i nie rozumieli, poco zebrali się tutaj i dlaczego siedzą przy bogato zastawionym stole. Przestali rozmawiać. Obojętnie myśleli, że pewnie trzeba im pójść już do domu, lecz nie byli w stanie przemóc leniwej i obślizgłej nudy, osłabiającej muskuły, i siedzieli dalej, obcy sobie i oderwani od siebie, jak ślepawe ogniki, rozrzucone w noc ciemną po rozległem polu.

Lecz muzykantom płacili za to, by grali, więc znów ujęli w dłonie instrumenty swe i znów rozbrzmiały i zapląsały wyuczenie — wesołe, wyuczenie — smutne dźwięki. Dźwięczała w nich ta sama, ta zwykła, ta dawna melodyjna harmonja, lecz goście dziwnie rozmyślali: nie wiedzieli poco jest to potrzebne i co w tem jest ładnego, gdy ludzie szarpią struny, wydymając policzki piszczą w cienkie dudki i wywołują dziwaczny, różnogłosy hałas.

— Jak oni źle grają, rzekł ktoś.

Muzykanci obrazili się i odeszli. Za nimi, jeden po drugim, roześli się goście, albowiem zbliżała się noc. I gdy na ulicach ze wszystkich stron otoczył ich spokojny mrok i już lżej było oddychać — naraz przed każdym z nich w złowieszczym i groźnym blasku stanęła postać Łazarza i sina twarz nieboszczyka, suknie gotowe oblubieńca, jasne i piękne, i inne spojrzenie, w głębi którego zastygło coś strasznego. Niby przemienieni w głazy, stali goście w różnych końcach grodu i otaczał ich mrok, i w mroku coraz wyraźniejszą stawała się wizja, nadprzyrodzona postać tego, który trzy dni znajdował się w grobie, w tajemniczej mocy śmierci. Trzy dni był martwy, słońce potrzykroć wschodziło i potrzykroć zachodziło — a on był martwy; dzieci igrały, na kamieniach szemrała woda zdrojowa, palący kurz unosił się na gościńcu szerokim — a on był martwy. A teraz oto znów jest wśród ludzi — dotyka ich — patrzy na nich — i poprzez czarne krążki źrenic jego spogląda na ludzi samo niedosiężne tam...

III.

Nikt nie dbał i nie troszczył się o Łazarza, odeszli odeń bliscy i przyjaciele, i wielka pustynia, otaczająca święte miasto, zdała się przysunąć pod sam próg sadyby jego. I do izby jego się wdarła i na łożu jego się rozgościła, jak nowozaślubiona żona, i zgasiła ognie. Nikt nie dbał i nie troszczył się o Łazarza. Jedna za drugą opuściły go siostry: Marja i Marta — długo, długo nie chciała pozostawić go w samotności Marta, gdyż nie wiedziała, kto będzie go karmić i żałować, płakała i modliła się. Lecz pewnej nocy gdy wicher szalał w pustyni i z wyciem gięły się ku ziemi dokoła domu cyprysy, odziała się cicho i cicho odeszła. Łazarz słyszał pewnie, jak stuknęły drzwi i jak niedomknięte zupełnie, skrzypiąc i mrucząc, biły, szarpane wiatrem, o futrynę — lecz się nie podniósł z posłania, nie wyszedł przed dom, nie wyjrzał. I całą noc — aż do rana późnego — huczały wokół niego miotane cyprysy i żałośliwie jęczały drzwi — i po izbie tłukł się żarłocznie nienasytny zimny wiew pustyni. Jak od trędowatego stronili wszyscy i jak trędowatemu chcieli do szyi przywiesić mu dzwonek, by móc wczas uniknąć spotkania jego. Lecz ktoś zbladł i rzekł, że będzie okrutnie i strasznie, gdy pod oknami domostw w noc głuchą rozebrzmią dźwięki dzwonka Łazarza — i wszyscy zbledli i zgodzili się z tem. A ponieważ i sam Łazarz nie dbał o siebie, prawdopodobnie umarłby z głodu, gdyby sąsiedzi w obawie czegoś strasznego nie przysyłali mu strawy. Przynosiły ją dzieci, one nie bały się Łazarza, lecz i nie drwiły z niego, jak zwykle z niewinną okrutnością drwią z nieszczęśliwych. Były względem niego obojętne, i jednaką obojętnością odpłacał im Łazarz i nie miał chęci podziękować im za przysługę, nie miał chęci pogłaskać i przytulić do siebie czarne głowiny i spojrzeć pieszczotliwie w naiwne, lśniące oczęta. Sadyba jego, oddana na łaskę czasu i pustyni, podupadała z dniem każdym. Wypłowiały barwy gotowych szat jego. Od chwili włożenia ich na siebie — a było to w ów dzień, gdy muzyka grała — nosił je bez przerwy, nie zmieniając, jakby nie spostrzegał różnicy między nowem i starem, całem i podartem. Złe psy uliczne i ostre ciernie pustyni zmieniły w łachmany delikatną tkaninę.

W dzień, gdy bezlitosne słońce stawało się zabójcą wszystkiego żyjącego, i nawet skorpiony wtłaczały się w szczeliny głazów i wiły się w okropnem pragnieniu kąsania, Łazarz siedział nieruchomo pod ogniami blasków jego, wzniósłszy ku górze swą siną twarz i dziką, zwichrzoną brodę. Kiedy jeszcze ludzie mówili doń, ktoś go zapytał:

— Łazarzu, biedny Łazarzu, azaliż przyjemnie jest ci siedzieć w skwarze i spoglądać w słońce?... I on odrzekł:

— Tak, przyjemnie.

Pewnie tak nieprawdopodobnie wielkiem było zimno trzydniowego grobu, tak głębokim mrok jego, że nie było na świecie ani takiego gorąca, ani takich blasków, które byłyby w stanie rozgrzać ciało Łazarza i rozjaśnić mgłę oczu jego — pomyśleli pytający i odeszli, wzdychając.

A gdy purpurowo-krwawa kula słoneczna chyliła się ku ziemi, Łazarz szedł do pustyni i kroczył w kierunku zachodzącego słońca, wprost na nie, jakby je dogonić pragnął. Zawsze wprost na słońce szedł Łazarz, i ci, którzy z ukrycia zobaczyć chcieli, co czyni on w pustyni, zapamiętali po kres życia swego czarną postać wysokiego, tęgiego człowieka na czerwonem tle potężnego koła.

Noc wypędzała ich okropnościami swemi z pustyni i nie dowiedzieli się nigdy, co czyni w niej Łazarz, lecz sama postać w krwawej mgle jakby wypalała się w ich mózgach i nie opuszczała ich już nigdy. Jak zwierz, który sobie zaprószył ślepia i rozpaczliwie trze łapami mordę swą, tak i oni głupio i bezmyślnie tarli oczy swe. Lecz to co było strasznego i dziwacznego w postaci Łazarza, było niezatartem i niezniszczalnem i ustępowało może jedynie wraz z życiem.

Lecz byli ludzie, mieszkający daleko, którzy Łazarza nie widzieli nigdy, lecz jeno słyszeli o nim. Z zuchwałą ciekawością, która mocniejszą jest, niźli strach największy, z utajonym drżącym uśmiechem w duszy, przychodzili oni do siedzącego pod tarczą słoneczną Łazarza i prowadzili z nim gawędy. Wtedy już oblicze jego zmieniało się na lepsze i nie było tak straszne i w pierwszej chwili wędrowcy pogardliwie wydymali wargi i z złośliwością myśleli o głupocie mieszkańców świętego grodu. A gdy kończyli krótkie rozmowy i powracali do domów, mieli wówczas takie twarze, iż mieszkańcy świętego grodu odrazu poznawali ich i mówili:

— Oto idzie jeszcze jeden szaleniec, na którego spojrzał Łazarz — i z współczuciem milkli i w modlitwach wznosili ręce.

Przychodzili, brzęcząc bronią, mężni wojacy, dla których obcym był lęk; przychodzili z śmiechem i pieśniami szczęśliwi młodzieńcy; i zaaferowani zawsze handlarze dzwoniąc złotem i srebrem, przybiegali na krótką chwilę; i gorliwi słudzy pozostawiali przed progiem domu Łazarza swe kije pątnicze — nikt nie powracał takim, jakim przyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Narodowość i jej początki.

Napisał Karol Kautsky.

Niema może wyrazu, któryby odgrywał taką rolę w słowniku politycznym ostatniego dziesięciolecia jak słówko: „narodowy“, lub wywierał wpływ podobny. Narodowi demokraci i narodowo liberalni wiedzą dobrze, dlaczego trzymają się tak mocno swej nazwy — narodowej, pomimo tego, że raczej należałaby się ona obrońcom wszechwładztwa ludowego, — zasady, która napełnia ich okropnym strachem. Jeśli właściciele niewolników z południowych Stanów północnej Ameryki nazywali siebie demokratami, dlaczegoby sojusznicy wrogów ludu nie mieli przyjąć nazwy narodowo-liberalnej? Tak dzieje się nietylko w Niemczech i Austrji, chociaż obłęd wielkości narodowej chyba nigdzie nie jest tak silnie rozwinięty, jak w niektórych warstwach naszego państwa.

Mnóstwo faktów życia codziennego oraz objawów głębszej natury świadczą, że idea narodowa nie jest sztucznym wytworem dziennikarzy i polityków. Skąd ona wzięła się zatem? Czy może sama natura ją dała? Czy wchodzenie w skład jakiegoś narodu jest rzeczą tak samo wyrazistą i widoczną, jak należenie do jakiejś rasy? Spora liczba mieszczańskich ideologów trzyma się tego poglądu. Jak mało twierdzenie to posiada słuszności, dowiódł tego właśnie Dr. Lammer w rozprawie: „O współczesnej narodowości“. (Dowiedziono tam mianowicie, że każda tegoczesna narodowość składa się z pomieszania kilku ras antropologicznych i że to pomieszanie zwiększa się bezustannie. (Prz. tłom.).

Czy jest bowiem coś śmieszniejszego niż kiedy berliński profesor, z pochodzenia nawpół słowianin, nawpół hugonota francuski z niejaką może domieszka krwi semickiej — w czyich żyłach ono dziś nie płynie? — jak taki mieszaniec głosi z katedry o „naszych przodkach“, którzy pod dowództwem cheruska Arminiusza podjęli walkę narodową z „galijskim narodem“, walkę trwającą po dzień dzisiejszy!

Jak mało narodowość tkwi w pochodzeniu rasowem, widać choćby z tego, że nietylko różne plemiona, ale nawet różne rasy wchodzą w skład tego samego narodu. Narodowość naprzykład węgierska składa się z „aryjczyków“, „semitów“ i „mongołów“. Na pozór tak wyrazista narodowość żydowska, zawiera w sobie różne typy, nawet krew murzyńską. Któż z nas nie spostrzegał po murzyńsku kręcących się włosów u wielu żydów? Zauważmy przytem, że „semici“ nie są narodem lub jednolitą rasą, ale wymysłem filologów, nazwą gatunkową, nadaną wszystkim ludom, których język zaliczono do grupy, nazwanej przez Eichorna semicką t. j. posiadającej pewne charakterystyczne cechy lingwistyczne. Jednakowoż plemiona najróżniejszego pochodzenia używają tych języków i nikt nie zdoła dzisiaj powiedzieć z pewnością, jakie ludy oraz w jakim stopniu należą do owego pnia, któremu nadano nazwę semickiego. Zresztą i pochodzenia samych żydów bynajmniej nie wyjaśniono dotychczas.

I.

Dopóki jedność krwi była spoidłem, łączącem ludzi w społeczeństwa, narodowość w dzisiejszem znaczeniu słowa nie była znaną. Zamiast narodowości spotykamy plemiona, które się rozpadają na rody*). Należenie jakiejś osoby do plemienia zawisło wtedy od pokrewieństwa, nie zaś od zamieszkiwania tej lub owej miejscowości. Dopiero kiedy rolnictwo, jako źródło utrzymania, zaczyna przeważać w plemieniu, które wskutek tego przechodzi do osiadłego trybu życia, dopiero wtedy plemieniec (względnie rodowiec) staje się mieszkańcem określonego terytorjum. Małe gminy, utworzone w ten sposób, polegały pierwotnie zarówno na wspólności pochodzenia, jak i na zrzeszeniu pracy rolnej.

Te gminy wystarczały pierwotnie same sobie i były najzupełniej niezależnemi ekonomicznie i od świata zewnętrznego, podobnie jak dawniejsze plemiona i rody koczownicze. Wspólna własność rolna wraz z ogrodami i polami, które z czasem przeszły na własność prywatną, dostarczały środków do życia. Otrzymywano stąd jedne płody z roli, inne — z hodowli bydła; zbierano łupy z polowania i rybołowstwa. Surowe materjały (drzewo, wełna, skóry i t. p.) przerabiano wewnątrz gminy, czem trudniły się oddzielnie rodziny albo rzemieślnicy specjalni. Prócz przedmiotów zbytku nie otrzymywano nic chyba z zewnątrz.

Zupełne zamknięcie się gminy w samej sobie było tego wynikiem. Rzadko, tylko pod wpływem zbyt wielkiego niebezpieczeństwa, te drobne gminy łączyły się z sobą w solidarnem współdziałaniu, lecz gdy niebezpieczeństwo mijało, związek rozpadał się. O jedności narodowej nie mogło być mowy, nawet język narodowy nie istniał. Odosobnienie ekonomiczne sprzyjało wytwarzaniu się i istnieniu mnóstwa różnych narzeczy i nawet różnych języków u sąsiednich plemion i społeczeństw.

Uczeni i politycy niemieccy uskarżają się na swojski „indywidualizm“, dzięki któremu każdy niemiec wystawia swoją osobę ponad interes narodowy i stwarza w ten sposób rozdrobnienie i niezgodę, panujące wśród niemców po dzień dzisiejszy i dające się jakoby wykazać od czasów Arminiusza aż do chwili ostatniej. Lecz to rozdrobnienie nie jest wcale cechą rasową niemców, znajdujemy je bowiem u każdego ludu, którego rozwój ekonomiczny nie przekroczył pewnej granicy. Zjawisko to nie ma nic wspólnego z „indywidualizmem“, gdyż jest ono tem wybitniejsze, im mocniejszem jest spoidło, wiążące członków gminy, i silniejszym pierwotny komunizm.

Póki drobne gminy komunistyczne same sobie wystarczały i żaden materjalny interes nie istniał, któryby je zmusił wejść z sobą w bliższe stosunki i związał, dopóty nie było narodowości.

Z pośród czynników, które doprowadziły do takiego związku, na pierwszym planie należy postawić trzy, z których jeden zawsze jest obecny i działa pospołu z jakimś innym lub obydwoma w tym samym kierunku. Wszystkie wszakże są wynikiem rozwoju systemu wytwórczego. Są to: z jednej strony przewaga wrogów zewnętrznych z drugiej — natury. Obu wpływom małe gminy nie zdołały sprostać własnemi siłami. Wreszcie trzecim i, według nas, najważniejszym jest produkcja towarowa z wymianą towarów.

Póki plemię prowadziło tryb życia koczowniczy i utrzymywało się głównie z polowania, rybołowstwa lub hodowli bydła, potrzeba sojuszu z innemi plemionami celem obrony od wrogów zewnętrznych była bardzo słabą. Rzadko kiedy posiadało ono wielkie bogactwa, na które sąsiadom wartoby się było łakomić; spory o prawo polowania i pastwiska lub zemsta za zabitych towarzyszy były jedynem źródłem starć. Rzadko też jakieś trzecie plemię było zainteresowane w tych zatargach, oprócz bezpośrednich uczestników. Męstwem i uzbrojeniem walczący byli niemal równej siły, nie bardzo także się różnili ludnością, a jeżeli jakieś plemię było słabsze, mogło wyemigrować do dalszych terytorjów, ponieważ nie było jeszcze unieruchomione do gruntu.

Wszystko to uległo zmianie, gdy rolnictwo stało się przeważającą produkcją. Społeczeństwa rolnicze przeniosły się ze wzgórz leśniczych do dolin rzecznych, gdzie ziemia była urodzajniejsza. Tam osiedlały się, rosły w zamożność, ludność się zwiększała wraz z liczbą plemion, zamieszkujących określone terytorjum. Wkrótce jednak ukazała się odwrotna strona takiego stanu rzeczy. Wzrost zamożności zachęcał sąsiednich dzikich koczowników do rabunków i napadów. Tymczasem osiadły włościanin był bezbronną istotą. Otwarta równina nie posiadała naturalnych środków obrony, w które leśne wzgórza obfitują. Wprawne władanie orężem, zręczne dosiadanie konia, pływanie po morzu i t. p. były u dzikich koczowników nieodzownym warunkiem samego utrzymania, pracę zaś około roli pozostawili oni kobietom. Przeciwnie, ćwiczenia wojenne stanowiły dla włościanina przerwę w pracy; mniej też on im poświęcał czasu, niż koczownik, i dlatego był w gorszem położeniu niż dziki najezdnik.

Dlatego to widzimy, że powstające narody rolnicze są wystawione tak często na napady koczujących rabusiów. Co niemców spotkało ze strony hunnów, awarów, węgrów i normanów, to samo działo się w Chinach, Indjach, Egipcie, Mezopotamji w ciągu setek a nawet tysięcy lat. Zagrożone w swem istnieniu gminy zmuszone były do wzajemnego przymierza przeciw wspólnemu wrogowi oraz od-

*) Porównaj Fr. Engelsa „Początki cywilizacji“.

dania swych sił zbrojnych pod rozkazy jednego wodza związkowego. Wraz z częstością najazdów związek utrwalał się i władza wodza związkowego zostawała też podczas pokoju. Sojusz oddzielnych społeczeństw trzyma się mocniej, stosunki między niemi stają się częstszymi, narzecza zbliżają się nawzajem, zjawia się poczucie solidarności, uczucia ogólno narodowe zostają przeciwstawione zaściankowym, język narodowy — miejscowym narzeczom, władza zaś centralna — partykularyzmowi. Jest to zarodek narodowości.

Jeszcze silniej działa u niektórych plemion inny czynnik, mianowicie wspólna walka przeciwko siłom przyrody.

Rolnicze plemiona, gdy zeszły ze wzgórz leśnych na równiny i tam się osiedliły, stały się zależne od wód i rzeki. Tę ostatnią uznawano za boga, który zupełnie dowolnie niby udzielał swej łaski lub karał. Powódź niszczyła dzisiaj wszystkie nadzieje włościanina, po kilku zaś miesiącach posucha robiła to samo. Bezsilni ludzie uciekali się z początku do modłów, ale doświadczenie wskazało niebawem środki skuteczniejsze. Dostrzeżono pewną prawidłowość w powracaniu posuchy i powodzi i wykryto, że zjawiska te znajdowały się w związku ze zmianami w układzie gwiazd. Jednocześnie nauczono się regulować stan wody za pomocą tam, grobli i kanałów. Lecz takie regulowanie wymaga celowego współdziałania mieszkańców nadrzecznych i jak walka przeciwko wrogowi zewnętrznemu, tak samo zapasy z rzeką wytwarzały łączność pomiędzy oddzielnemi gminami. Każda oddawała swe siły robocze pod rozkazy wspólnego zarządu i władzy centralnej. Taką to drogą postawały też zarodki solidarności narodowej.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości

Polak wśród kabylów. Wśrod instruktorów oddziałów kabylów w Marokko, znajdował się także polak, Jan Stoczkowski z Warszawy, były oficer francuskiej legji cudzoziemskiej w Algierze. Ojciec Stoczkowskiego wyemigrował z Warszawy zaraz po roku 1863, zabrawszy ze sobą kilkuletniego synka. Będąc na emigracji, Stoczkowski utrzymywał stosunki z krewnymi, zamieszkałymi w Warszawie. Przed dziesięciu laty stary Stoczkowski umarł, syn jego jednak nie przestał komunikować się z Warszawą, a nawet stamtąd miał żonę, która parę lat temu umarła w Algierze. Podczas pierwszych potyczek kabylów z hiszpanami, Stoczkowski poległ, o czem krewni w Warszawie otrzymali zawiadomienie od przyjaciela jego, również byłego oficera legiji cudzoziemskiej, francuza, przebywającego w Tangerze.

* * *

Odnalezienie zaginionego języka. G. A. Hückel w „Revue des Etudes anciennes“ ogłasza bardzo ciekawe rezultaty badań nad materjałami, znalezionymi w ostatnich czasach w Turkestanie. Najważniejszemi są rękopisy w języku hinduskim, zawierające tłumaczenie dzieł buddyjskich na jezyk nieznany. Po odcyfrowaniu pisma wykryto, że jest to język ułożony niegdyś przez indo-scytów, który ochrzcono niegdyś „tocharyjskim“. Bliższe studja nad językiem tocharyjskim wykazały, że należy on do rodziny języków indoeuropejskich. Teksty pisane w nim zawierają bardzo ciekawe szczegóły, dotyczące historji Azji zachodniej i społeczeństwa indyjskiego.

* * *

Masowe zatrucie trychiną. Z Zyrardowa w Królestwie Polskiem donoszą, iż w osadzie tej zdarzyło się masowe zatrucie trychiną, któremu podległo około sześćdziesiąt osób.

Przed dwoma tygodniami zachorowało tam z objawami zatrucia trychiną 55 osób z personału fabrycznego żyrardowskiego, po spożyciu wędlin ze sklepu Zozunia; oprócz tego w majątku Sokule, o 5 wiorst od Zyrardowa, zachorował p. Gutkowski obywatel, oraz trzech jego domowników. Niezależnie od tego, w Zyrardowie zachorował brat Zozunia, oraz dwie osoby z jego służby. Z ramienia zarządu fabrycznego, dokonano natychmiast rewizji we wszystkich wędliniarniach żyrardowskich. W celu dokładnego zbadania rewidowanego mięsa zawezwano z Warszawy asystenta bakterjologa dra Palmirskiego, który wespół z p. Henryką Kaller, specjalistką od badania mięsa, wychodzącego z rzeźni fabrycznej żyrardowskiej, badał mięso to pod mikroskopem, lecz trychin w nim nie znalazł. Być może, iż mięso zarażone trychinami, zostało bądź skonsumowane, bądź też zniszczone przed rewizją; być może również, że nabyte ono zostało przez Zozunia nie ze sztuki bitej w rzeźni fabrycznej, lecz gdzieś z poza Zyrardowa.

Zarząd zakładów żyrardowskich utrzymuje własną rzeźnię, weterynarza, felczera i specjalistkę do badania mięsa pod mikroskopem, za opłatą 45 kop. Sztuki, podlegające zabiciu, przyprowadzane są do rzeźni i zabijane, poczem mięso podlega badaniu. Zdaniem lekarzy fabrycznych możliwe zatrucie powstało stąd, iż rzeźnicy żyrardowscy, w celu uniknięcia owej opłaty 45-kopiejkowej, biją wieprze potajemnie, i również potajemnie mięso z nich sprzedają. Z osób, które zachorowały, ciężej chory jest p. Walewski, pisarz gminny żyrardowski; inni chorzy powoli przychodzą do siebie. Wypadków śmiertelnych nie było.

* * *

Trzy jubileusze. W tym roku przypada jubileusz trzech przedmiotów, bez których trudno wyobrazić sobie dzisiejsze gospodarstwo domowe. Są to: naparstek, maszyna do szycia i puszka na konserwy.

Naparstek będzie obchodził 200 setną rocznicę swojego powstania, w rzeczywistości jednak jest on starszy o jakie 25 lat, gdyż już w roku 1684 pewien złotnik z Amsterdamu ofiarował pewnej damie kosztowny naparstek, jako podarunek w dniu jej imienin. Naparstki sporządzano zrazu ze złota. Były one prawdziwemi dziełami sztuki i służyły raczej do ozdoby. Dopiero później stały się przedmiotem pożytecznym; zaczęto je wyrabiać z żelaza lub miedzi.

Maszyna do szycia jest młodsza o sto lat. O jej wynalezienie spiera się kilka krajów: Anglja, Austrja i Francja. Tak w Anglji, jak w Austrji, były już one w latach między 1790 a 1807. Wynalazcą był krawiec wiedeński Waftersberger, lecz pierwszym, który ją wydoskonalił, jest francuz Bartłomiej Thimonnier. W Ljonie wzniesiono obecnie na jego cześć pomnik i urządzono wystawę maszyny do szycia w jej rozwoju historycznym.

Sto lat liczy również puszka na konserwy. Wynalazcą jej jest francus François Appert, który pierwszy wpadł na pomysł użycia szczelnie zalutowanych puszek, aby chronić organiczne materje spożywcze od zepsucia.

Z literatury i sztuki

„Promyka“ nr. 13 wyszedł z druku i zawiera: ciąg dalszy powieści Janusza Korczaka p. t. „Mośki, Joski i Srule“; wyjątek z „Pasiecznika“ Pola; dokończenie pięknej baśni Zofji Wójcickiej „Kwiat paproci“, oraz dalsze obrazki z cyklu „Prawdziwa bajka“ M. Hantowerówny, pięknym stylem opisującej żniwa i zakończenie zbiórki — dożynki. W dziale dla starszych znajdujemy jeszcze dwie dalsze „Czarodziejskie przepowiednie“, t. j. w porywający sposób przez p. Jadwigę Olszewską przedstawione ważniejsze zdobycze ducha ludzkiego w kierunku nauk ścisłych — oraz krótkie notatki o tem, co się dzieje w Persji, o pogrzebie Modrzejewskiej, o locie Blériota przez kanał La Manche. — W części dla młodszych dzieci spotykamy: F. Lazurusówny „Na Maciejówce“ i obrazek Sokolicza-Wroczyńskiego „Za granicą“, opisujący dalsze przygody kota, zwanego panną Zośką. Żarciki, rebus, zagadki i odpowiedzi oo redakcji dopełniają treści numeru. Ilustracje, wśród których widzimy parę reprodukcji z obrazów znanych malarzy (Siestrzeńcewicza i Milleta), dobrze się dostrajają do całości.

* * *

Pomnik Słowackiego w Poznaniu. Pomnik twórcy „Króla Ducha“ dłuta Wawrzyńca Marcinkowskiego, odsłonięty został przed 10 laty w parku Józefa Kościelskiego w Miłosławiu drugi stanie wkrótce w Poznaniu w teatrze polskim — na placach publicznych bowiem pomników polskich stawiać tam nie wolno.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 34. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 21 sierpnia 1909.

LEONIDAS ANDREJEW.

ŁAZARZ.

(Ciąg dalszy.)

Tensam ciemny, nieprzenikliwy cień kładł się na dusze wszystkich i przysłaniał oczy i nowy widok nadawał staremu, znanemu światu. Tak określali uczucia swe ci, którzy mieli jeszcze chęć do mówienia:

— Wszystkie przedmioty, widziane okiem i dotykane rękoma, stawały się puste, lekkie, przezroczyste, niby jasne cienie w mroku nocnym; albowiem ową mgłę wielką, obejmującą świat cały, niezdolnem było rozprószyć słońce, ani księżyc, ani gwiazdy; obejmowała ona w uścisk swój, niby matka kochająca dziecię swe jedyne, ziemię całą i otulała ją w płaszcz czarny, i przenikała wszelkie ciała, żelazo i kamień, i odosobnionemi stawały się cząsteczki ciała, gubiące między sobą związek; i wdzierała się w głębie cząstek, i odosobnionemi stawały się cząsteczki cząsteczek;

albowiem ową bezmierną pustkę, obejmującą świat cały, nie było w stanie wypełnić nic dostępnego oku ludzkiemu — ani słońce, ani księżyc, ani gwiazdy, panowała ona wszechwładnie, wszystko przenikając, wszystko odosobniając, ciało od ciała, cząstki od cząstek;

w pustce rozwidlały swe korzenie drzewa, a wnętrza ich puste były; w pustce, grożąc rzekomym upadkiem, wznosiły się świątynie, pałace i domy, a wszystkie były puste; — w pustce poruszał się niespokojnie człowiek i sam był pusty i lekki, jak cień;

albowiem nie stało czasu i początek każdego przedmiotu zlał się w jedno z jego końcem: jeszcze budowano gmach jakiś i robotnicy głośno bili o coś młotami i toporami, a już oko dostrzegało jego ruiny, i pustkę na miejscu ruin; dopiero zrodził się człowiek, a nad głową jego jakaś tajemnicza dłoń zapalała woskowe świece śmiertelne, i już gasły one, i już stawała się pustka na miejscu człowieka i świec;

i, otoczony pustką i mrokiem, beznadziejnie miotał się człowiek przed okrucieństwem oblicza Nieskończoności.

Tak mówili ci, którzy chęć jeszcze mieli do mówienia. Lecz pewnie jeszcze więcej rzeczby mogli ci, którzy mówić nie chcieli i umierali milcząco.

IV.

Naonczas mieszkał w Rzymie pewien sławny rzeźbiarz Z gliny, marmuru i bronzu stwarzał on postacie bogów i ludzi, i tak wielką i przejmującą była ich piękność, że ludzie nazywali ją nieśmiertelną. Lecz sam rzeźbiarz był niezadowolony z tworów swych, twierdził bowiem, iż jest coś, zaprawdę piękniejszego, czego nie może uwiecznić w marmurze, ni w bronzie. Jeszczem nie pochwycił blasku księżyca — mówił — jeszczem nie posiadł promieni słonecznych i brak duszy marmurowi memu i brak życia memu pięknemu bronzowi. I, gdy w księżycowe noce kroczył powoli po drodze, mijając obojętnie czarne cienie cyprysów, spotykani uśmiechali się doń przyjacielsko i pytali.

— Azaliż blaski księżycowe zbierać zamierzasz, Aureljuszu? Czemuś więc nie wziął ze sobą koszyka?

A on, śmiejąc się, wskazywał oczy swe i równie wesoło odpowiadał:

— Oto kosze me, do których zbieram blaski księżyca i promienie słońca.

I było to prawdą: lśnił księżyc w oczach jego i płonęło w nich słońce. Lecz nie mógł przenieść ich na marmur, i to stanowiło jasną mękę jego życia.

Pochodził rzeźbiarz ów z prastarej rodziny patrycjuszów, posiadał dobrą i piękną żonę i dzieci, i nie odczuwał nigdy niedostatku.

Gdy doszły doń niejasne wieści o Łazarzu, poradził się z żoną i przyjaciółmi i przedsięwziął daleką podróż do ziemi Izraelskiej, by ujrzeć cudownie wskrzeszonego. Nudził się w dni owe i przypuszczał, że w podróży zdołę rozerwać się nieco i wyostrzyć zmęczoną i przytępioną uwagę i spostrzegawczość. To, co opowiadali mu o zmartwychwstałym, nie przejmowało go lękiem; często rozmyślał o śmierci i życiu, śmierci nie lubił, lecz jednocześnie byli dlań śmieszni ci, którzy mieszali ją z życiem. Po tej stronie — piękne życie, po tamtej — zagadkowa śmierć, myślał, i nic mądrzejszego niema w życiu człowieka nad radowanie się wszystkiem, co piękne i jasne. I w głębi duszy jego nurtowało zrozumiałe pragnienie: przekonać Łazarza o prawdzie poglądu swego, i powrócić życiu duszę jego tak, jak zostało powróconem ciało. I wydawało mu się to tem lżejszem, im bardziej przekonywał się, że wieści i gadki, krążące o zmartwychpowstałym, nie zawierały istotnej prawdy.

Już Łazarz wstał z kamienia, by pójść za odchodzącem na zachód słońcem, gdy zbliżył się doń bogaty rzymianin, któremu towarzyszył uzbrojony niewolnik, i gromko nań zawołał:

— Łazarzu!

I ujrzał Łazarz piękne i dumne oblicze i barwne stroje i drogocenne kamienie, lśniące oślepiająco. Czerwonawe blaski nadawały głowie i twarzy barwy matowego bronzu — i to zauważył Łazarz. Pokornie siadł na swe poprzednie miejsce i opuścił ku ziemi zmęczone oczy.

— Tak, jesteś niełądny, mój biedny Łazarzu — mówił spokojnie rzymianin, igrając zwisającym łańcuchem złotym. — Jesteś nawet straszny, mój biedny przyjacielu: nie była bezczynną śmierć w on dzień, gdyś wpadł w jej szpony. Jesteś gruby, jak beczka, a grubi ludzie nie bywają źli — tak przynajmniej twierdzi Cezar — nie pojmuję więc, czemu ludzie tak lękają się ciebie. Pozwolisz mi przenocować u siebie? Późno już, a ja nie mam schronienia.

Jeszcze nikt nigdy nie prosił Łazarza, po zmartwychwstaniu jego, o nocleg.

— Nie mam łoża — odrzekł.

— Jestem po części rycerzem i mogę spać, siedząc — odrzekł rzymianin.

— Rozpalimy ogień...

— Nie mam oddawna już ognia...

— W takim razie w mroku, jak dwaj przyjaciele, pogawędzim sobie...

— Ale wina trochę chyba znajdzie się u ciebie?...

— Nie mam wina...

Rzymianin się zaśmiał.

— Teraz rozumiem, dlaczegoś taki ponury i dlaczego nie lubisz swego drugiego życia. Niema wina! Ha, trudno, niech będzie i tak: są przecież rozmowy, które działają na mózgi nie gorzej, niż najmocniejsze trunki.

Władnym ruchem dłoni precz odejść rozkazał niewolnikowi. I pozostali we dwóch. I znów mówić począł rzeźbiarz, lecz zdało się, iż wraz z zachodzącem słońcem nikło życie z słów jego, że stawały się blade i puste, jakby się chwiały niepewnie i słabo, jakby się potykały i padały bezsilnie, pijane winem tęsknoty i rozpaczy. I rozchylały się pomiędzy niemi przepaście, niby zwiastuny złowieszcze czyhającego już blisko wielkiego mroku i wielkiej pustki.

— Jestem gościem twym i nie zechcesz obrazić mnie, Łazarzu! — mówił. — Gościnność obowiązuje tych nawet, którzy trzy dni martwi byli. Ponoć trzy dni, jak wieść niesie, przebyłeś w dole grobnym... Musi być tam zimno i ciemno... Pewnieś tam nabrał zwyczaju obywać się bez wina i ognia... A ja lubię ogień... tu tak szybko mrok zapada... Wiesz... masz nader ciekawy kształt brwi i czoła: są one, niby ruiny jakiś zamków ochronnych, zasypane pyłem.

Lecz czemuś ty tak dziwnie i brzydko odziany? Widziałem w kraju tym oblubieńców w dzień godów — oni, zda mi się, noszą takie stroje — takie śmieszne stroje — takie straszne stroje... Lecz czy i ty żenić się zamierzasz?...

Już zaszło słońce; czarny olbrzymi cień przebiegł przez świat — ze wschodu — niby bose, potężne nogi zaszeleściły po piasku i powiew biegu szybkiego oblał plecy chłodem mroźnym...

— W ciemności zdajesz się być większym jeszcze, Łazarzu, jakbyś przez chwil tych kilka roztył się niepomiernie... Może mrokiem nocnym się żywisz?... A jabym tak pragnął ogniska — choć maleńkiego ognia — choć najmniejszego ognika... I chłodno mi nieco, u was bywają takie zimne, takie potwornie zimne noce... Gdyby nie było tak ciemno, rzekłbym, iż ty spoglądasz na mnie, Łazarzu... Tak, zdaje mi się, że ty patrzysz na mnie... Tak, ty przecież patrzysz na mnie, ja czuję, ja czuję... A teraz się uśmiechnąłeś.

Przyszła noc i ciężka ciemność przytłoczyła ziemię.

— O, jak będzie dobrze, gdy jutro znów zejdzie słońce... Ty przeciesz wiesz, że ja jestem wielkim rzeźbiarzem... tak przynajmniej mówią przyjaciele moi... Ja tworzę, tak, to się nazywa — tworzyć... lecz do tego potrzebny jest dzień. W bezduszny marmur ja zaklinam życie, ja roztapiam w ogniu lśniący bronz, w jasnym, żarnym ogniu... Dlaczegoś ty dotknął mnie ręką?!...

— Pójdźmy — rzekł Łazarz — jesteś wszak mym gościem.

I weszli do izby. I długa, nieprzejrzana noc objęła świat.

Było już późno. Słońce płonęło. Przed izbą, na ławie kamiennej, siedział Łazarz, a przy nim Aureljusz. Spoglądali nieruchomo w rozżarzoną tarczę słoneczną i milczeli. Niewolnik zląkł się z razu. Potem piersią jego wstrząsnął płacz okrutny. Blade usta krzyczały głośno i trwożnie:

— Co ci jest, panie, co ci jest, panie?...

Tegoż dnia wracał do Rzymu. Drogę całą Aureljusz był milczący i zadumany, uważnie przyglądał się wszystkiemu: ludziom, okrętowi i morzu, jakby chciał coś zapamiętać dokładnie. Gdy byli pośrodku morza, zerwała się burza, lecz Aureljusz nie schodził z pokładu, patrzał uporczywie na wznoszące się i opadające fale. Gdy przyszedł do domu przestraszyła wszystkich ta nagła zmiana, jaka zaszła w rzeźbiarzu, lecz on uspokoił ich, rzekłszy wieloznacząco i tajemniczo:

— Znalazłem.

I w tych brudnych sukniach, których przez cały ciąg podróży nie zmieniał, zamknął się w swej komnacie i wziął się do pracy, i marmur zadrżał pokornie pod dźwięcznemi uderzeniami młotka. Długo i chciwie pracował, nie dopuszczając nikogo do siebie, aż wreszcie pewnego poranku rzekł, iż dzieło swe już ukończył, i rozkazał zwołać przyjaciół, bezstronnych sędziów i znawców sztuki. I, oczekując na nich, wdział na się najwspanialsze ze sukien swych, barwne i drogie, żółte od złota i purpurowe od rubinów.

— Oto, com stworzył — rzekł z zadumą.

Spojrzeli przyjaciele jego, i cień głębokiego żalu pokrył ich twarze. Było to coś potwornego, nie posiadającego ani jednej z naszych oczom ludzkim form, ani jednego równego i wyraźnego kształtu. A jednak zawierało w sobie jakiś zagadkowy symbol czegoś nowego, nieznanego i niepojętego. Na cienkiej, wijącej się krzywo gałązce, czy też na jej potwornej karykaturze, leżała w nieładzie ślepa wstrętna, rozbechtana kupa czegoś wkręconego w głąb, czegoś wyzywającego się nazewnątrz, jakichś dzikich strzępów, bezsilnie pragnących uciec przed samemi sobą. I jakby przypadkowo tylko, pod jednym szalonym zrębem, oczy ich ujrzały zgniecionego motyla o przezroczych skrzydełkach, zdających się miotać w niemocnem pragnieniu lotu.

— Poco i skąd wziął się ten dziwny motylek, Aureljuszu? — nieśmiało ktoś zapytał.

— Nie wiem, odrzekł rzeźbiarz.

Lecz, mimo wszystko, należało rzec prawdę, i jeden z przyjaciół, ten, który najbardziej miłował Aureljusza i najsilniej w talent boski jego wierzył, rzekł twardo:

— Jest to wstrętne, przyjacielu. Trzeba zniszczyć. Daj młotek. I dwoma uderzeniami rozbił potworną rzeźbę. Pozostał tylko nietkniętym dziwnie zgnieciony motyl.

I od tego czasu Aureljusz już niczego więcej nie stworzył. Z głęboką obojętnością spoglądał na marmur i bronz i na swe poprzednie boskie twory, w które zaklęte było nieśmiertelne piękno. Chcąc natchnąć go dawną potrzebą tworzenia, obudzić zmartwiałą duszę jego, wiedli go przyjaciele do pracowni innych rzeźbiarzy i pokazywali mu ich dzieła przepiękne — lecz on był nadal obojętny i głuchy, i uśmiech nie rozchylał nigdy warg jego. I tylko raz, gdy długo i dużo i głośno mówili mu o pięknie, odrzekł bezbarwnym i zmęczonym głosem:

— Lecz to wszystko przecież jest kłamstwem.

A w dzień, gdy płonęło słońca, wychodził do swego cudownego, sztucznie urządzonego ogrodu, siadał gdzieś w cieniu drzew, pochylał obnażoną głowę i mętny wzrok wbijał w ziemię. Unosiły się białe i barwne motyle; do marmurowego basenu wpadała woda, biegnąca szybkim i wiotkim sznurem z rozchylonych rozkosznie ust pijanego satyra. I siedział nieruchomo — jak blade widmo tego, który w odległej dali — w stepie pustyni bezdusznej — siedział równie nieruchomo pod palącymi promieniami słońca.

V.

Aż oto przywołał do siebie Łazarza sam wielki, boski August. Przyodziali go w przepiękne, uroczyste szaty weselne — jakby miał on aż do śmierci być wiecznym oblubieńcem nieistniejącej kochanki. I zdało się, że na starą, gnijącą, rozpadającą się trumnę nałożyli nową, złotą powłokę i przystroili w nowe, wesołe, kolorowe kutasy. I uroczyście zawieźli go, wszyscy strojni i lśniący, jakby naprawdę sunął orszak weselny, i witezie dęli w rozgłośne trąby, by przechodnie usuwali się z drogi i przejście czynili posłannikom imperatora.

Lecz puste były drogi, któremi dążył pochód: cała bowiem ziemia ojczysta przeklinała imię cudownie zmartwychpowstałego i w popłochu panicznym biegli do kryjówek ludzie na wieść samą o strasznym zbliżaniu się Łazarza. Dziwnie dźwięczały trąby miedziane i tylko pustynia odpowiadała im przeciągłem swem echem.

Część drogi odbywali morzem. I był to najpiękniejszy i najsmutniejszy okręt, jaki kiedykolwiek pruł lazurowe fale morza Śródziemnego. Wielu na nim ludzi było, lecz był on cichy i martwy, jak trumna, i zdała się płakać beznadziejnie woda, muskająca dziób jego. Samotnie siedział na pokładzie Łazarz, postawiwszy obnażoną głowę pod gorące promienie słońca, przysłuchiwał się szemraniu fal morskich i milczał, a na drugim końcu pokładu majaczały, niby cienie, postaci leniwo i bezczynnie siedzących lub leżących marynarzy i posłanników władcy. Gdyby grom wówczas w maszty uderzył, gdyby podczas burzy wichura liny zerwała, lub okręt dno roztrzaskał o skały podwodne — nikt nie żałowałby go, i zginąłby bez śladu w morskiej toni tajemnej, tak wszyscy, będący na nim, byli bezsilni, obojętni i leniwi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Narodowość i jej początki.

Napisał Karol Kautsky.

(Dokończenie.)

Cywilizacja rozwinęła się w Europie nie wdłuż wielkich rzek, jak na Wschodzie, gdyż posuchy i powodzie nie występują nawet dzisiaj tu z taką siłą i tem mniej czyniły to za dawnych czasów, kiedy las pokrywał wzgórza i regulował stan wód. Wspólna walka przeciwko rzece wpłynęła zatem na łączenie się przeważnie na Wschodzie. Zdaje się, była ona tam najważniejszą przyczyną powstania starożytnych cywilizacji. Podanie zachowało pamięć owych czasów.

Menes uchodzi za założyciala państwa egipskiego. Herodot opowiada ze słów kapłanów egipskich, że Menes zagrodził Nil tamą, sto stadji długą, powyżej Memfisu i przez to zmusił rzekę do porzucenia starego łożyska wzdłuż libijskiego łańcucha gór. Następnie, gdy ląd ogrodzony tamą wysechł, zbudował na nim miasto, które dziś (za czasów Herodota) zowie się Memfis. Na północ i zachód od miasta, Menes wykopał po jeziorze i napełnił je wodą z rzeki. Były to olbrzymie zbiorniki, do których wody się odlewały podczas wylewu i z których nawadniano pola w okresie posuchy.

W Chinach, podobnie jak w Egipcie, dzieje państwa datują się od uregulowania rzek. Menzius, jeden z pisarzów po Konfucjuszu, opowiada: „Za czasów Yana, gdy państwo nie było jeszcze uporządkowane, wody wyszły z łożysk i spowodowały ogólną powódź. Rośliny i drzewa pokryły wszystką ziemię, wszędzie było mnóstwo ptaków i dzikich zwierząt. Pięć owoców polnych nie wyrosło: ptaki i dzikie zwierzęta wyparły człowieka. Drogi wydeptane stopami zwierząt i ślady nóg ptasich krzyżowały się na każdym kroku w państwie Środkowem. Yu (założyciel państwa) odgraniczył 9 różnych rękawów rzeki Ho, oczyścił łożyska rzek Tsi i Ta, oraz zaprowadził je do morza. Otworzył ujście dla rzeki Ju i dla rzeki Han, uregulował bieg rzek Hwai i Szi oraz skierował je wszystkie do rzeki Kiang. Gdy to wszystko ukończono, mieszkańcy państwa Środkowego dopiero wtedy zdołali znaleźć sobie pożywienie."

O państwach, które istniały w dolinach Eufratesu, Tygrysu i Gangesu, wiemy, że budowle, mające na celu uregulowanie rzek, stanowiły materjalną podstawę ich istnienia. Utrzymanie grobli i kanałów było najważniejszym obowiązkiem panującego. Anglicy zupełnie zaniedbywali do niedawna tego obowiązku. Stąd wynikły głód i choroba *).

Panowanie angielskie nie opierało się w Indjach na potrzebie ekonomicznej, ale na wojskowej przewadze.

Walka zbiorowa przeciwko rzece i z wrogiem zewnętrznym toczyły się jednocześnie, jedna wzmacniała wpływy drugiej. Pomimo to jednak oba te czynniki nie stworzyły życia narodowego w naszem pojmowaniu słowa, ponieważ nie podkopywały zależności ekonomiczoej gmin i pozwalały im trwać we swej wyłączności.

Anarchiści marzą o federacji gmin autonomicznych. Każda gmina winna gospodarzyć u siebie zupełnie niezależnie; celem uskuteczniania wielkich prac, do których gmina (lub grupa gmin) nie dorosła, będzie się ona łączyła z innemi w wolne związki. Widzimy obecnie, że ten wzór nie jest ideałem przyszłości. I nie osobista swoboda obywatela, ale despotyzm azjatycki powstał z autonomji pierwotnej.

Rzeczywiście, im walki przeciwko wrogowi zewnętrznemu częściej się powtarzały, im wysiłki, których regulowanie wód wymagało, były większe, tem bardziej wzmagały się potęga i znaczenie władzy centralnej *) w przeciwstawieniu do pojedyńczych gmin. Daniny w postaci robocizny oraz produktów, przeznaczonych do utrzymania robotników, ustaliły się i przyszło do tego, że oddawano je, chociaż roboty wypełniane nie wymagały ich w tak wysokim stopniu. Jednocześnie liczba i ludność oddzielnych społeczności wzrastały, ponieważ nawadnianie czyniło ziemię coraz urodzajniejszą. Zwolna powstał nadmiar siły roboczej i środków do życia, którymi władza centralna rozporządzała dowolnie według swego interesu.

Konieczność pracowania na siebie ustała dla niej. Ukazuje się arystokracja składająca się, stosownie do swych zadań, z wojowników, architektów lub astronomów. Jak olbrzymim był niekiedy ów nadmiar sił roboczych i produktów, które ona posiadała, widzimy jeszcze dzisiaj z niektórych jej dzieł, np. z piramid.

Naturalnie, że rozwój ten nie szedł drogą pokojową. Władza centralna usiłowała wyszrubować do najwyższego stopnia daninę z oddzielnych społeczności, te zaś, przeciwnie, dążyły do zniżenia jej lub raczej utrzymania na poziomie, który prawo zwyczajowe wytknęło. Ale nikt nie marzył o zniesieniu władzy centralnej. Byłoby to bowiem zamachem na całe życie ekonomiczne.

Cały charakter wschodniej kultury znajduje w tem swoje wyjaśnienie. Oddzielne gminy wiejskie żyją własnem życiem; właściwe im metody produkcji nie zmieniają się w ciągu tysiącleci i dlatego tez ich organizacja społeczna pozostaje jednaką. Rolnicy żyją w wiecznej jednostajności, oddają dziesięciny i robocizny, jak to czynili dziadowie, nie dbając, co się dzieje z ich daninami, byleby nie zostały one podwyższone, potrzebne zaś budowle były w dobrym stanie. Wszystko też im jedno, jak sułtan lub szach postępuje z swem otoczeniem, czy jest krwiożerczy lub łagodny, lub rozrzutny, rozpustny lub asceta. Ale gdy niedbałością swoją zrujnuje tamy i kanały, lub podnosić będzie daniny, naówczas tłumy wiejskie szemrzą i gdy się jakiś pretendent pojawi, grupują się koło niego i pomagają mu zdobyć władzę.

Taką tedy jest treść rokoszów na Wschodzie. Nie idzie tam o formę rządu i zdobycie władzy politycznej przez warstwę włościańską, ale tylko o osobę szacha i o mniejsze lub większe daniny. Prawowitości samego urzędu nikt nie poddaje w wątpliwość. Jest to nieodzowne następstwo tamtejszych stosunków ekonomicznych. Władza centralna jest konieczną, jeżeli produkcja ma być nadal prowadzoną. Równie jest ona z samej natury rzeczy nieodpowiedzialną, gdyż nie stoi na czele narodu jednolitego, ale zbiorowiska gmin, z których jedna nie troszczy się o drugą, lecz każda jest autonomiczną i zupełnie niezależną — według ideału anarchistycznego.

Staroczesna więc arystokracja, ta posiadaczka władzy centralnej z często zupełnie nominalnym wodzem na czele, niezbyt udatnie nazwana kastą wojowników i kapłanów, zawdzięcza swoje powstanie konieczności ekonomicznej. Nasi płytcy dziejopisarze cywilizacji zwykle opowiadają to z takimi szczegółami, jak gdyby byli przytem obecni — że pierwotną równość stargano, ponieważ najsilniejsi zeszli się i powiedzieli: „musicie nam być posłuszni, bo inaczej pozabijamy was"; poczem znów najmądrzejsi się zeszli i rzekli: „wymyślmy przesądy, za których pomocą będziemy oszukiwali i wyzyskiwali głupi motłoch!" Te nędzne owoce „badań" ustępują obecnie teorji podboju, która objaśnia powstanie klas niby tem, że jedno plemię zdobywało terytorjum drugiego, podbijało je i stawało się arystokracją.

Nie podlega żadnej wątpliwości, że zwycięska arysto-

*) „Dawni rajahi Indji, oraz zdobywcy afgańscy i mongolscy często bywali okrutnymi względem osób pojedyńczych, a przynajmniej wobec tłumów zaznaczyli swoje panowie dobrodziejstwami mianowicie budowlami godnemi podziwu, które spotykamy jeszcze dzisiaj na każdym kroku i które wyglądają, jak dzieła olbrzymów... Pod niebem, jednostajnie pogodnem, w ciągu 7 -8 miesięcyj w klimacie, przy którem ziemia nie rodzi w ciągu pół roku; tam gdzie nie było wylewów perjodycznych, rolnictwo zdołało istnieć tylko pod warunkami wynalezienia lub zabudowania w miejscach wysoko położonych stawów, z których można byłoby, jak z olbrzymich zbiorników, sprowadzać wodę do nawadniania ziemi... Wszystkie pomniki i budowle użyteczności publicznej pochodzą od miejscowych książąt. Kompanja zaś (wschodnio-indyjska) nie wyszukała ani jednego źródła, nie wykopała stawu, nie przeprowadziła kanału ani nie postawiła mostu dla swych poddanych indyjskich. Nie tylko, że nie stworzono nic nowego, ale nawet dozwolono upaść staremu. Wraz ze stawami i kanałami znikła kulura i ludność i kraj zamienia się na pustynię". E. de Waren L'Inde anglaise en 1843 Paryż 1844).

*) Zwykle, o ile nam się zdaje, dostawała się ona nie oddzielnym jednostkom, ale jednej ze społeczności związkowych, która się znajdowała w wygodnem położeniu, jak np. Memfis, leżący w pobliżu tamy nilowej i zbiorników, albo też innej, która posiadała wyjątkowo korzystne warunki. Taka gmina stawała się stolicą.

kracja państw despotycznych Wschodu była i jest często obcoplemienną. Lecz plemię jakieś zdobywało tylko to, co już istniało, i mogło zawładnąć władzą centralną tylko wtedy, jeżeli ta ostatnia poprzedziła ją swem istnieniem. Jeśli najezdnicy wraz z władzą przyjmowali jej obowiązki, lud znosił cierpliwie obcoplemienne panowanie, ponieważ w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Obie warstwy, panująca i uciśniona, zlewały się z czasem w jednolity naród, ponieważ były jednako częściami tego samego ekonomicznego organizmu.

Kiedy zaś plemię zdobywcze nie wypełniało obowiązków władzy centralnej i chciało tylko panować na podboju, stawało się czemś istotnie obcem, przeciwko czemu powstawano na każdym kroku, aż póki nie zostało usunięte lub lud nie zmarniał.

Egipcjanie znieśli spokojnie liczne panowania najezdników, lecz z hyksami walczyli rozpaczliwie, gdyż ci przyszli do władze właśnie w ten sposób, w jaki nasi historycy wyobrażają sobie powstanie arystokracji. Tłuszcze beduinów wpadły do Egiptu i obchodziły się z tym krajem, jak z podbitym. Umiały wyzyskać go, ale nie dorosły do tego, by rządzić, i doprowadziły ludność do energicznego a zwycięskiego oporu. Nieco podobny przykład dają nam dzieje normandzkie. W ciągu całych wieków normani rabowali bezbronny Zachód chrześćjański, lecz nie ugruntowali nigdzie swej władzy. Musieli się ucywilizować poprzednio i nauczyć obowiązków, ciążących na panu feodalnym, zanim udało się im opanować na stałe kraje, które pierwej tylko ograbiali (północno zachodnią Francję i Anglję). Ale jednocześnie zlewają się też oni z podbitą ludnością w jeden naród i przestają być obcymi przybyszami.

Trudno jednak zaprzeczyć, że gdziekolwiek władza centralna wpadała w ręce zdobywców, jej wydzielenie się rozwijało rychlej i silniej, niż w krajach, w których ona była własnością jednej z grup związkowych. Nagi zaś fakt podboju nie stworzył nigdy władzy centralnej.

Arystokracja w ucywilizowanych państwach Wschodu wraz ze swem otoczeniem, nie uważała siebie bynajmniej za coś obcego, przeciwnie, była ona krzewicielką wszelkiego życia narodowego, o ile ono w ogóle światło. Rozszerzyła ona wązkie widnokręgi gminy i umiała być nietylko panią, ale i przedstawicielką całości. Stworzyła jednolity język i literaturę narodową, filozofję i sztukę. Te jednak tętna życia narodowego drgały tylko u małej cząstki całego ogółu, jedynie u arystokracji, u mieszkańców stolicy i u wolnej miejskiej ludności. Niewolnicy byli wyłączeni, dla rolnika zaś cały świat ograniczał się, jak dawniej, do gminy wiejskiej. Aby życie narodowe w teraźniejszem znaczeniu tego wyrazu powstało, gmina musiała się wprzód rozpaść, wszystkie zaś instytucje ekonomiczne, które pośredniczyły między jednostką a narodem, ulec rozluźnieniu.

Rozmaitości

Djabej w studni. Zabawny przypadek wydarzył się niedawno we wsi Gruizor, obok Dera (Węgry), w okolicy zamieszkałej przez chłopów rumuńskich. Od dłuższego czasu w gminie nie padał deszcz. Zdaniem starej znachorki ktoś miał rzucić czary na wieś. W piątek przybył do wsi cyrk, w którym między innemi miał się pokazywać murzyn. Gdy, nie przeczuwając nic złego, wyszedł na wieś na przechadzkę, powstało okropne wzburzenie, że „djabeł“ pojawił się na wsi. Jeden chłop pobiegł do dzwonnicy i zaalarmował ludność, która z kosami i cepami wyruszyła przeciw „djabłu“. Zaczął się pościg za murzynem, który schował się do studni. Chłopi obchodzili ją w przyzwoitej odległości, aby „djabeł“ im nie umknął. Ilekroć murzyn wychylił głowę, aby się przekonać, czy oblężenie jeszcze trwa, chłopi w popłochu uciekali. Trwało to kilka godzin, aż do przybycia dyrektora cyrku, któremu po długich trudach udało się przekonać chłopów, że murzyn nie jest mieszkańcem piekła, tylko należy do personału cyrku.

* * *

Zapałki ze słomy. Zaprowadzony obecnie w Niemczech nowy wysoki podatek od zapałek wywołał w przemyśle, wyrabiającym ten niezbędny artykuł ogólnego użytku wielki ruch na polu wynalazków. Między innemi powstała myśl wyrabiania zapałek o dwóch główkach, umieszczonych na obu końcach patyczków. Ponieważ atoli takie zapałki byłyby bardzo niebezpieczne, już ze względu na to, że nadpaloną z jednej strony zapałkę trzebaby dla użycia drugiej główki znów wkładać do pudełka, co przy niezupełnem ugaszeniu patyczka mogłoby spowodować zapalenie się całej reszty zapałek, jedna z fabryk zamierza obecnie wyrabiać je nie z drzewa, lecz ze słomy i pewnych suszonych traw, ponieważ słoma łatwo i szybko wygasa po zdmuchnięciu płomienia.

Podatek ten wywołał w ostatnim czasie prawdziwy run na zapasy zapałek w Niemczech, ponieważ każda rodzina pragnęła zaopatrzyć się w największą ich ilość po dotychczasowej cenie, przed wejściem w życie nowego podatku.

* * *

Kalendarz nowego stylu w Rosji? Co jakiś czas prasa rosyjska porusza kwestję wprowadzenia kalendarza gregorjańskiego w Rosji, zwracając uwagę na te wszystkkie niedogodności, które płyną z używania kalendarza juljańskiego. Świeżo kwestję tę podniosło „Russk. słowo“, zastanawiając się nad najmożliwszą formą przejścia od starego do nowego kalendarza. Przedewszystkiem gazeta zwraca uwagę, że projektowane dawniej utworzenie „najnowszego“, jeszcze dokładniejszego kalendarza dla Rosji (w celu ominięcia gregorjańskiego, jako związanego z tradycją katolicką) utworzyłoby nowe niedogodności, a przedewszystkiem znów oddzieliłoby pod względem kalendarzowym Rosję od reszty świata cywilizowanego. Kalendarz gregorjański jest dostatecznie ścisły, ogólnie został przyjęty i do niego zastosować się należy. Tu jednak nasuwa się pytanie, jak to uczynić. Wśród prób rozwiązania tej kwestji istnieją dwie propozycje: pierwsza, aby przejście uczynić stopniowo, druga, aby za jednym zamachem skreślić różnicę tak, jak to było przy wprowadzeniu kalendarza gregorjańskiego. „Pierwszy ze sposobów przez stopniowe madyfikowanie lat przestępnych rozciągnąłby reformę na półstulecia, stwarzając już pewną plątaninę. Przejście zaś nagłe, jak to uczyniono na Zachodzie, przez wykreślenie z jednego miesiąca 13 dni, tak, żeby po 1 nastąpił nazajutrz 15, jest niemożliwe w Rosji. Pomimo wszelkich nakazów i przekonywań wszyscy następny dzień uważać będą za 2, nie zaś 15“.

Wobec tego „Russk. słowo“ proponuje powiązanie reformy z przebiegiem świąt prawosławnych, poczynając od Wielkanocy. W r. 1912 Wielkanoc według obu stylów przypada spółcześnie, więc gazeta radzi, aby do tego czasu od stycznia używać przy świętach obu dat (nowej i starej), a od Wielkanocy przejść w sposób niepostrzeżony wyłącznie do daty nowej w kalendarzu.

Gazeta moskiewska radzi nadto, aby w celu nadania reformie znaczenia szerszego porozumieć się z temi państwami bałkańskiemi, które nie przyjęły jeszcze nowego stylu, i dokonać zmiany wspólnie. W ten sposób w oczach mas cała reforma nabrałaby cechy pewnej akcji zbiorowej w świecie prawosławnym.

Tak stawia tę kwestję „Russk. słowo“, wiadomo zaś, że w sferach urzędowych istnieje w tej mierze projekt, który będzie zapewne przedstawiony Dumie i Radzie państwa.

* * *

Przerażająca statystyka. Dr. Förster przeprowadził ścisłe badania nad strasznymi skutkami alkoholizmu dziedzicznego w jednej tylko rodzinie, której historję przy pomocy władz miejscowych wyśledził w najdrobniejszych szczegółach. Pewna kobieta, urodzona w r. 1740, a zmarła na początku wieku 19, była pijaczką, złodziejką i włóczęgą. Pozostawiła potomstwo, które z biegiem lat wykazywało poważną liczbę 834 osoby. Z tych 709 było karanych sądownie, 106 urodzenia nieprawnego, 142 żebraków, 64 żyjących ze wsparć publicznych, 181 kobiet prostytutek publicznych, 76 osób karanych za różne zbrodnie, z tych 7 za zabójstwo. Jedna ta rodzina, według najściślejszych i wiarogodnych obliczeń, w ciągu 75 lat kosztowała państwo 6 mil. mk. które pobrała w postaci wsparć, wynagrodzeń, kosztów utrzymania w więzieniach i t. p.

Nakładem i drukiem J. Miniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 35. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 28 sierpnia 1909.

GEORGE COURTELINE.

SCENY RODZINNE.

U młodego małżeństwa.

Pewnego wieczora postanowił Bouloche odwiedzić swego przyjaciela Couerdeveau, który przed trzema miesiącami się ożenił.

Wchodząc do małego salonu młodej pary, stał się Bouloche świadkiem niewinnej, ale dość ostro prowadzonej rozmowy młodego małżeństwa. Pani tytułowała swego małżonka „łobuzem“, wymawiając mu, że nie chce jej powiedzieć, co robił wczoraj wieczór.

Bouloche pomyślał sobie: Ten niezręczny Coeurdeveau zapewne wczoraj wieczór lampartował. Prawdopodobnie bawił się z tą lekkomyślną Adelą, a teraz żona robi mu wyrzuty i okazuje zazdrość, aby się dowiedzieć prawdy. Ale ja mu podam linę ratunkową. (Głośno): „Moje uszanowanie! Co się tu dzieje?“

Pani Coeurdeveau: Nie wtrącaj się pan do cudzych interesów! Czego pan właściwie teraz chcesz?

Bouloche: Moja dobrodziejko, widzę, że Pan Bóg mnie tu zesłał.

Pani Coeurdeveau: Pan Bóg?

Bouloche (z uroczystą miną): Tak jest, on sam! Bóg bowiem w swej sprawiedliwości nie chce dopuścić, aby niewinnemu stała się krzywda. I dlatego podał mi myśl, abym tu poszedł i zastał państwo przy dyspucie, którą ja potrafię rozjaśnić. Posłuchaj pani prawdy: Coeurdeveau jest niewinny!

Pani Coeurdeveau: Niewinny?

Bouloche: Tak jest, zupełnie niewinny, mimo że pani powątpiewająco wzrusza ramionami. Jestem sprawiedliwy i dlatego mogę sobie pozwolić być surowym i ostro panią zganić za robienie temu biedakowi niesłusznych wyrzutów. Przed chwilą pytałaś go pani, co robił wczoraj wieczór. Ja pani to wyjaśnię: spędził wieczór ze swym starym przyjacielem Bouloche, tymsamym, który stoi przed panią.

Pani Coeurdeveau: Pan kłamiesz!

Bouloche: Nigdy nie kłamię. Posłuchaj pani prawdę, którą potwierdzam najświętszą przysięgą: Coeurdeveau przyszedł do mnie... która wtedy mogła być godzina? Nie przypominam już sobie, ale wiem, że przy kominku paliliśmy fajki, potem poszliśmy do kawiarni, gdzie wypiliśmy po trzy szklanki piwa — prawda, że to trochę za dużo — i do pierwszej w nocy opowiadał mi o pani, zapewniając mnie o swej nieograniczonej ku pani miłości. To, pani dobrodziejko jest najszczerszą prawdą, której nawet djabeł nie wymyśliłby sobie.

Pani Coeurdeveau: Doprawdy? Takich rzeczy nie można zmyślać?

Bouloche: Nigdy! Posłuchaj pani! Mężulek opowiadał mi jeszcze, a słyszało to dwadzieścia osób, których wprawdzie nie znam, ale wszyscy mogą poświadczyć, że nie byłby w stanie oszukać żony, gdyż raczej...

Pani Coeurdeveau: Dosyć! Dosyć! Jesteś pan kłamcą! O tej godzinie, w której pan byłeś rzekomo z nim w kawiarni, był ten bezczelny Coeurdeveau w domu i wogóle przez cały wieczór nie wychodził. Rozmawialiśmy o polityce parlamentarnej, a w toku dyskusji tak sie rozpalił, że mnie strącił z krzesła!

Bouloche, przerażony, mruczy pod nosem: Co za blamaż! Jak ja brzydko wpadłem!

Wyspa.

(Osoby: Paweł zwany Coco; Wirginja także zwana Coco).

Dziewiąta rano. Coco i Coco leżą w łóżku i czytają gazetę. Nagle Wirginja przerywa lekturę: Powiedz mi Coco...

Paweł: Co powiesz, duszko?

Wirginja: Powiedz mi, co to są wyspy brytańskie?...

Paweł: Co to są wyspy brytańskie? (Żywo). Pod określeniem „wyspy brytańskie“ należy rozumieć połączone w jedno królestwo Anglję, Szkocję i Irlandję. Ale doprawdy, Coco, jak ty możesz o coś takiego pytać?

Wirginja: Proszę cię, nie uważaj mnie za głupszą, niż w rzeczywistości jestem.

Paweł: Przysięgam ci...

Wirginja: Daj mi spokój, już ja cię znam. A tu kiedyś opowiadałeś mi, że są zwierzęta, które mają lewe nogi krótsze a prawe dłuższe, aby po spadzistych miejscach mogły lepiej biegać. Już mnie więcej nie oszukasz.

Paweł: Ależ...

Wirginja: Nie uda ci się! Kto raz kłamie temu już nie wierzą nawet, gdy mówi prawdę. Więc ty, Coco, chcesz we mnie wmówić, że Anglja jest wyspą?

Paweł: Naturalnie. Anglja jest wyspą.

Wirginja: Czy przestaniesz ty kłamać? Gdyby to było prawdą, już dawno byłbyś mi to powiedział.

Paweł: Gdybyś się była o to pytała. Zresztą zaraz ci to udowodnię. (Wyskakuje z łóżka, bierze atlas i pokazuje go Wirginji). Popatrz się, uparta główko!

Wirginja (już przekonana): Nigdy nie byłabym uwierzyła... (Po chwili). Powiedz mi, Coco, jeżeli Anglja jest wyspą, dlaczego nie popłynie sobie? Przecież morze zabrałoby ją, gdyby nie była przymocowaną.

Paweł (już rozdrażniony): Czasem sobie popłynie.

Wirginja; Doprawdy?

Paweł: Tak, jeżeli powstaje silna burza.

Wirginja: Ależ to głupstwo! Przecież wiatr nie zdmuchnie jej jak bańki mydlanej w umywalni. A więc to chyba bardzo silny musi być wiatr?

Paweł: Naturalnie. Zresztą Anglję trzyma silna kotwica.

Wirginja: Co to jest kotwica?

Paweł: Widzisz, to taka rzecz, którą się spuszcza na łańcuchu do morza. Używa się jej do pisania listów i do przymocowania okrętów *). Uczniowie walają sobie nim palce, a marynarze noszą ją na czapkach.

Wirginja (z zachwytem): Ten Coco wie wszystko!

*) Kotwica po francusku znaczy ancre; atrament encre, a wymawia się jednakowo.

Co to jest sen?

Wiemy o tem, że sen każdy daje nam pewien wypoczynek, daje nam dlatego, że życie podczas snu niejako obumiera. Doświadczenia i badania fizjologiczne wykazały nam, że zdolność funkcjonowania naszego organizmu (nerwy, mięśnie, komórki mózgowe i§t. d.) jest ograniczona, to znaczy, iż po pewnej pracy organizm ten odmawia nam posłuszeństwa, domagając się natarczywie odpoczynku; odpoczynek ten najpewniej daje nam sen, ponieważ funkcje mięśni, czucia, czyli nerwów i komórek mózgowych, tętno serca, oddychania i t. d. podczas snu obumierają niejako, zanikają, a temsamem dają wypoczynek. Pewne słabe funkcjonowania organizmu uwydatniają się w marzeniach sennych.

Daremne jednak byłoby twierdzenie, że genezę snu powoduje owo przesilenie organizmu i czucia, czyli zmęczenie.

Podobne twierdzenie stawia uczony Preyer, na podobnem stanowisku stoi dzisiaj fizjologja, badania jednak biologiczne doprowadziły do rezultatów zupełnie odmiennych.

Przyglądając się życiu, poddając go badaniu, zauważymy, że w sen popada nietylko człowiek, ale i zwierzęta i rośliny, od najdrobniejszych do najwyższych organizmów.

Drzewa w krajach umiarkowanych zrzucają swe liście na zimę i popadają w sen, bo zimno nie odpowiada ich warunkom życia. Tosamo dzieje się z drzewami w krajach ciepłych w dniach największej posuchy i skwaru, które to dnie nie dają im dostosowanych warunków życia. W dzień jedne zwierzęta spią, inne zaś spią w nocy. W sen zimowy zapadają także ryby w klimacie umiarkowanym, jakoteż żaby i inne zwierzęta wodne. W sen letargiczny zapada miljony mikro-organizmów, kiedy upał słoneczny, posucha, nie odpowiada ich warunkom życia, potrzebującym wilgoci do swej egzystencji. W stanie tym mogą organizmy te trwać nawet lata całe, dopóki nie natrafią na odpowiednie im warunki do życia, tj. wilgoć.

W krajach zaś, jak np. koło wyspy Ceylon i w miejscach Południowej Ameryki, gdzie cały rok trwa wiosna bez bardzo małych zmian, drzewa — jednem słowem — roślinność nigdy nie zrzuca swej szaty, a zatem nie udaje się na sen, ale kwitnie i wydaje owoce rok cały.

Wynika zatem z tego, co przytoczyliśmy powyżej, że genezę snu powodują warunki życia, że sen jest niczem innem, jak tylko koniecznością, zależną od uwarunkowania się życia u różnych organizmów.

W klimacie zimnym lub umiarkowanym pewien stopień zimna nie odpowiada wymaganiom życia roślinności i zwierząt; tosamo jest z roślinnością w krajach gorących w czasie wielkich upałów, które nie odpowiadają warunkom ich życia. Jednym zwierzętom dzień, to jest światło słoneczne, więcej odpowiada do ich uwarunkowania się, innym zaś, które mają tak bystry i silny wzrok, że noc im bynajmniej nie przeszkadza, wychodzą na żerowanie w nocy, kiedy inne znów zwierzęta spią.

Coby zrobił w dzień np. lou (stenops) i inne zwierzątka z rodziny lemurów, zamieszkujących wyspę Madagaskar, które ledwie zdolne są z listka na listek się przesuwać, gdyby nie ich wyłupiaste, bystre oczy, które im pozwalają w nocy widzieć spiącego ptaszka na drzewie? Dzień dla tychże nie jest odpowiedni na żer, a zatem chowają się przed drapieżnikami dnia i zasypiają. Podobne do tych są znane nam nietoperze i t. p.

Dla człowieka noc była niekorzystna do walki o byt dlatego zamykał oczy i popadał w pewne znieczulenie, czyli sen. Dziś człowiek kulturalny zdołał to dostosowanie się do warunków, otaczających go do pewnego stopnia opanować i nie czuje potrzeby snu, pracując w nocy, tańcząc całą noc; inna rzecz, że organizm jego domaga się wypoczynku.

F. H. L.

Szkoły żeglugi powietrznej.

Dzienniki niemieckie donoszą. iż niemiecki związek żeglugi powietrznej podjął inicjatywę założenia we Friedrichshafen szkoły fachowej, która produkowałaby monterów i sterników dla różnej kategorji statków powietrznych. Do szkoły owej przyjmowanoby kandydatów z ukończoną szkołą średnią i dwuletnią praktyką w ślusarni lub na fabryce; wiek przyjęcia do szkoły lat 18; kurs nauki dwuletni, potem wychowankowie wstępują jako ochotnicy do służby wojskowo-aeronautycznej. Praktyczne ćwiczenia polegać będą na zapoznawaniu się z jazdą statkami powietrznymi różnych typów. Co się tyczy nauki teoretycznej, ma ona zawierać meteorologję, naukę o gazach, nawigację, studja mapowe, znajomość języka francuskiego, ewentualnie angielskiego. Inżynierowie towarzystwa Zepelinowskiego zgodzili się na objęcie kursów z dziedziny nauk specjalnych. Majstrowie, zajęci przy warsztatach tegoż towarzystwa, kształcić będą uczniów w budowie poszególnych części balonów i aeroplanów. Ubiegający się winni być zdolni do pełnienia służby wojskowej, nie cierpieć na ślepotę barw i nie ulegać zawrotom głowy.

Na pierwszą wiadomość o zamierzonem otwarciu takiej szkoły zgłosiło się kandydatów znacznie więcej, niż przewidywano. Były i zgłoszenia z zagranicy, których Niemcy nie uwzględniają, mianowicie ze strony japońskiej i francuskiej. Na razie fundatorowie szkoły pragnęliby tytułem próby rozpocząć naukę tylko z 8 uczniami, przyczem istnieją już fundusze, zabezpieczające byt takiej szkoły na przeciąg jednego roku.

* * *

Wyższą szkołę aeronautyczną założono w tych dniach w Paryżu, zwie się ona „Ecole superieure d'Aueronautique" Powstaje ona jako uczelnia prywatna, gdyż tworzenie szkoły rządowej odwlokłoby całą sprawę, nad którą zastanawiaćby się musiał parlament. Tymczasem na punkcie żeglugi powietrznej panuje dziś taka nerwowość, iż dla pośpiechu postanowiło grono bogatych miłośników żeglugi powietrznej własnym sumptem założyć ową akademję, w której wykładać będą takie cenione siły, jak Renard, Mesnager i inni. Szeroki zakres studjów obejmuje nawet prawo „powietrzne" — różne kwestje sporne, mogące powstawać przy lądowaniu, nieszczęśliwych wypadkach i t. d. Nie trzeba dodawać, iż wyższy poziom naukowy tej szkoły nie będzie kolidował z czysto-fachowem przygotowaniem uczniów.

Źródło bogactwa.

Nigdy przedtem w dziejach świata nie można było wytworzyć tak wielkiej sumy bogactw przy tak małym nakładzie pracy.

Praca zastosowana do przyrodzonych środków wytwarza wszelkie niezbędne rzeczy potrzebne do życia.

Praca wydobywa węgiel i minerały z ziemi.

Praca sporządza koleje żelazne, maszyny i tramwaje.

Praca buduje fabryki, lejarnie i warsztaty.

Praca tka sukno, robi obuwie i kopie ziemię.

Praca sporządza książki i wszystkie niezbędności i udogodnienia życiowe.

W związku z tem powiedzieć należy, że we wszystkich gałęziach przemysłu, zmonopolizowanych przez trusty, praca jest najemną.

Nawet nadzorca jest najemnikiem, choć jednocześnie może być kapitalistycznym magnatem i mieć głos w sprawach dotyczących jego zajęcia, jednakże o ile osobiście przyczynia się do wytwarzania bogactw o tyle jest płatnym robotnikiem, pobiera on płacę od trustu lub korporacji dostatecznie wysoką. aby nazwać ją „pensją".

Za pracę, jaką wykonuje, pobiera kilka tysięcy koron a ponad to ściąga kilka miljonów koron dywidendy z pracy, której nie wykonywał wcale.

Ale może to dlatego, że. jak powiadają, coś innego jeszcze poza pracą przyczynia się do wytwarzania bogactw. I tak jest rzeczywiście.

To coś innego jeszcze jest kapitał. Mowią, że kapitał i praca „to mąż i żona“ i że praca nie może się utrzymać bez kapitału.

Zastanówmy się nad tem.

Pod wyrazem „kapitał“ zazwyczaj rozumiemy część bogactwa, używaną do wytworzenia więcej bogactw, lecz właściwie mówiąc, kapitał jest to część bogactwa, która jako własność prywatna służy do wyzysku pracy.

Gdybyśmy nawet pojmowali kapitał w pierwszym sensie, to jednakże musielibyśmy spostrzec, że jeżeli praca nie może utrzymać się bez tego, co zwiemy kapitałem, to wszakże praca egzystować może bez kapitalisty.

Tak więc nie kapitał i praca, ale rozum i praca to mąż i żona, a kapitał to ich wytwór, to „dziecko“ pracy.

Kapitał jest tylko pewnego rodzaju wytworem pracy, posiadającym szczególną własność społeczną, którą to własność praca zawsze zmienić może.

Praca tworzy wszelkie bogactwo i kapitał. A więc pracy należy się wszelkie bogactwo wraz z kapitałem.

Wspólność interesów.

Nigdy przedtem znachorzy kapitalizmu nie wymyślili chytrzejszego i mętniejszego pojęcia nad to, że interesy kapitału i pracy są teżsame.

Frazes ten zwykle zbija z tropu przeciętnego robotnika, ponieważ nie zdołał on jasno rozróżnić pojęć „kapitał“ i „kapitalista“.

Gdy jednak zmienimy nieco zdanie i wyrazimy je w ten sposób: że interesy pracownika i kapitalisty są teżsame, to kwestja stanie się daleko jaśniejszą i łatwiejszą do zrozumienia.

Robotnik wie, że gdyby fabryka, która stanowi kapitał, dajmy na to spaliła się, to kapitalista nie mógłby dać mu zajęcia w niej. Przykład ten stwierdza, iż robotnik odczuwa pewien wspólny interes, jaki zachodzi pomiędzy nim a posiadaczem fabryki.

Jednakże na wielu innych przykładach możemy dowieść, iż interesy kapitalisty i robotnika nietylko nie są też same, ale wprost przeciwne i wrogie.

Przedewszystkiem gdy robotnik prosi kapitalistę o zatrudnienie, to już przez to samo stwierdza, że jest upośledzonym i znajduje się w złem położeniu.

Musi on ograniczyć się ze swą niezależnością i wolnością słowa, gdyż wieleby stracił na tem, gdyby różnił się w zdaniu lub poglądzie ze swym przedsiębiorcą albo też dyrektorem reprezentującym dane przedsiębiorstwo.

A kiedy kapitalista wmawia w robotnika, że „interesy pracy i kapitału są teżsame“ i że „praca nie może istnieć bez kapitału“, to robotnik traci się jeszcze bardziej.

Klasa robotnicza może mieć niektóre interesy wspólne z interesami klasy kapitalistycznej, lecz nie są to sprawy ekonomiczne, które popychają do walki jednych przeciw drugim, króre wywołują strejki i bojkoty albo też lokauty i czarne listy.

We wspólnym interesie może leżeć to, ażeby była dobra pogoda, ażeby ustrzec się od ospy lub suchot i t. p., ale w stosunku pracodawcy z najemnikiem najważniejsze jest to, co który z nich ma otrzymać w udziale.

To jest miejsce wzajemnego kłopotu.

Jeżeli jeden otrzyma więcej, to drugiemu mniej zostanie.

W interesie klasy robotniczej leży, aby otrzymać wyższe płace przy krótszych godzinach pracy, a z drugiej strony interes klasy posiadającej domaga się niższych płac i dłuższych godzin pracy.

Interesy te są zupełnie przeciwne i zwalczają się. Klasa robotnicza nie może bronić swych interesów bez należytego uświadomienia sobie tego faktu.

Dopóki społeczeństwo dzielić się będzie na klasy kapitalistów i wydziedziczonych ze wszelkiej własności proletarjuszy, dopóty trwać będzie walka jednych przeciw drugim.

Rozmaitości

Zbrodniczość a szkoła. Z powodu polemiki o szkoły świeckie, Maurycy Faure, sprawozdawca budżetu oświaty, wystąpił w paryskim „Journalu“ z szeregiem liczb, które mają stwierdzić, iż oświata musi wpływać dobroczynnie na hamowanie instynktów zbrodniczych. Otóż statystyka ta wykazuje, że liczba małoletnich, oskarżonych o ciężkie zbrodnie w czasie od r. 1881 do 1886, wynosiła każdego roku 32, w latach 1886—1895 spadła na 31, następnie w okresie czasu do r. 1900 na 26 i od tej pory waha się pomiędzy liczbami 20 a 24. Wymowniejsze są jeszcze liczby, odnoszące się do skazanych przez policję poprawczą dzieci poniżej 16 lat życia.

Czas w latach	Chłopcy	Dziewczęta	Razem
1881—1885	5054	792	5846
1886 –1890	6017	963	6680
1891—1895	5919	984	6903
1896—1900	4985	791	5776
1901—1905	4084	578	4662

W ostatnich latach liczby te ponownie się obniżyły. Podobnie pomyślny wynik daje statystyka małoletnich, których uwolniono, gdyż działali bez świadomości, albo których po lekich wyrokach oddano do zakładów poprawczych. Oto liczby:

Lata	Chłopcy	Dziewczęta	Razem
1875	7868	1838	9706
1880	7160	1600	8760
1885	5282	1063	6345
1890	5134	1084	6218
1895	5037	1066	6103
1900	3828	754	4582
1905	2511	442	2953

W latach 1906 i 1907, co do których zjawiła się już urzędowa statystyka, nastąpiło wzmożenie się zbrodniczości, ale wzmożenie to jest tylko pozorne i wpłynęło z tej okoliczności, że wedle ustawy z 12 kwietnia 1906 r., wiek odpowiedzialności karnej posunięto z 16 na 18 lat, przez co liczba wypadków karnych u małoletnich musiała się zwiększyć. Połowę przymusowych zakładów wychowawczych zamknięto z powodu silnego zmniejszania się wychowanków. Grają tu rolę założone świeżo zakłady prywatne tego rodzaju, ale niemniejszy wpływ wywarło zmniejszenie się zbrodni wśród małoletnich.

A wreszcie najwymowniejsze są liczby, dotyczące oskarżonych, którzy stawali przed sądem przysięgłych, a którzy albo uczęszczali do szkoły, albo byli analfabetami. W r. 1881 było pomiędzy wezwanymi przed sąd przysięgłych obwinionymi w liczbie 4320 osób 459 analfabetów, w r. 1906 na 3128 obwinionych 91 analfabetów.

* * *

Niezwykłe działanie radjum. Czasopismo „Revue“ podaje szereg wyników, uzyskanych przy stosowaniu radu w różnych dziedzinach, począwszy od lecznictwa.

Na pierwszem miejscu przytacza świetny wynik użycia radu przy raku żołądka przez dra Roux z instytutu pasteurowskiego. Słynny chirurg angielski Treves podaje wyniki wyjątkowo pomyślne przy leczeniu chorób i nowotworów skórnych. W Petersburgu prof. London czynił próby radjoterapji na dziecku ślepem od urodzenia i doszedł do takiego rezultatu, iż dziecko to jest dziś w stanie rozróżniać drukowane literatury. Częściowe uzyskanie wzroku osiągnął w tenże sposób i prof. Hammer w Nowym Jorku mając 11-letnią pacjentkę, również od urodzenia ślepą. Niektórzy badacze sądzą, że radjum zdolne jest przeciwdziałać — oczy-

wiście w pewnej tylko mierze — starczemu zużywaniu się organizmu.

Interesujące są w tej kwestji badania dra Stillmana Bailey'a w Chicago. Wynalazł pewną radjograficzną substancję, którą nazwał Tho Rad x — znacznie tańczą od radu. Dla doświadczeń użył on dwu pudełek, w których umieścił pewien gatunek owadów. Jedne z nich, pozostawione w zwykłych warunkach, osiągnęły normalną długość swego życia, podczas gdy drugie, wystawione na działanie owej substancji, żyły 3 razy dłużej. Ciekawe są też doświadczenia dra Danysza, dotyczące większej barwności motyli, poddanych przedtem działaniu radu. Podobne rezultaty osiągnięto i co do roślin.

Wszystko to świadczy — konkluduje „Revue" — iż radjum odsłoniło przed wiedzą biologiczną nowe pole do badań, których zakresu w dzisiejszem, początkowem stadjum przewidzieć nie można.

* * *

Okręt nieboszczyków. Parowiec „Shimosa", który niedawno opuścił port nowojorski, udając się do Chin, wiezie na pokładzie swym ni mniej, ni więcej, tylko 8000 podróżnych. Dotychczas nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by jakiś okręt, a w dodatku tak niewielki podjął się przewozu tak olbrzymiej przesyłki ludzkiej. Mimo jednak tego przepełnienia, pasażerowie „Shimosy" nie skarżą się i nie protestują przeciw temu, wszyscy bowiem są nieboszczykami chińskimi. Chińczycy wierzą, że wówczas tylko cieszyć się będą rajem pośmiertnym, jeżeli ciało ich spocznie w ojczyźnie. Dlatego każdy chińczyk, żyjący poza granicami ojczyzny, płaci stale pewną kwotę jednemu z towarzystw chińskich, które wzamian obowiązane jest przewozić ciała zmarłych na ziemię rodzinną. Co pewien czas też towarzystwo to ekshumuje zwłoki zmarłych chińczyków i gdy zbierze się odpowiednia ilość nieboszczyków, przewozi je do Hongkongu i tam grzebie. Towarzystwo to robi świetne interesy szczególnie w Ameryce, gdzie ilość chińczyków dochodzi do poważnej cyfry. Prócz przewozu, zobowiązane jest jeszcze towarzystwo włożyć do każdej trumny funt pieczeni wieprzowej, pół ugotowanego kurczęcia i porcję ryżu w tym celu, by dusza zmarłego miała się czem żywić w czasie długiej podróży morskiej i nie znalazła się na ziemi ojczystej wyczerpana na siłach, niezdolna do odbycia zaczynającej się tam wędrówki pośmiertnej.

* * *

Skarb żebraka. W Pittsburgu (Stany Zjednoczone) odkryto w tych dniach w nędznej chacie żebraka niezwykły skarbiec. Właścicielem jego jest 80 letni starzec, nazwiskiem Piotr Labauch. Niedawno uległ on obłąkaniu, a ponieważ coraz częściej dostawał ataków, niebezpiecznych dla otoczenia, policja postanowiła go umieścić w zakładzie dla obłąkanych. Gdy policjanci przybyli do jego chaty, starzec stawił im wściekły opór, nie chcąc ich wpuścić do wnętrza. Wreszcie udało się im go skrępować, a policja rozpoczęła rewizję w mieszkaniu. Przy rewizji poczyniono niezwykłe odkrycie. Cała chata była wprost zapchana pieniądzmi. Garnki i miski były napełnione po brzegi tysiącami starych banknotów jednodolarowych; w kominku i załomach ścian piętrzyły się góry drobnych monet srebrnych i miedzianych. Nawet w szczelinach ścian były powtykane banknoty. Podłoga była zastawiona słoikami i flaszeczkami, pełnemi groszy miedzianych, które Labauch zbierał przez długie lata. Po ukończeniu rewizji musiano sprowadzić duży wóz, aby przewieźć „skarbiec" do banku. Dokonano tam obliczenia i stwierdza, że „skarbiec" przedstawia pół miljona koron. Okazało się również, że żebrak przed mniej więcej 20 laty, gdy jeszcze nie popadł w manję gromadzenia pieniędzy w domu, złożył w kilku bankach Pittsburgu kwotę przeszło 100.000 koron.

* * *

30 dni postu ukończył przed kilku dniami lekarz angielski M. Panny. Nie chodziło mu w tym wypadku ani o wygranie zakładu, ani o reklamę, jak to zwykle bywa, lecz o stwierdzenie, jak wpływa brak pokarmów na chudnięcie i wagę ciała. Przez cały czas doświadcaenia dr. Panny obserwował swój puls, wagę, proces oddychania i robił analizy krwi. Post był zupełny, ponieważ jedyny posiłek stanowiła woda destylowana. Czas schodził doktorowi na czytaniu, rozmowie i ćwiczeniach sportowych. Odpoczynek w łóżku trwał 12 godzin, ćwiczenia zaś polegały na spacerach pieszych i na rowerze od 5 do 8 kilometrów. Uczucie głodu trwało tylko podczas pierwszych dwu dni, poczem ustąpiło zupełnie; natomiast bardzo dokuczliwe było uczucie ciągłego zimna w rękach i nogach. 31-go dnia głodomór spożył funt owoców, co nie przeszkodziło, że w następnych 17 godzinach stracił jeszcze funt na wadze. Ogólny ubytek na wadze wynosił 13 kilogramów 137 gramów, t. j. około funta dziennie. Dr. Panny ma zamiar powtórzyć swoje doświadczenie i pościć dopóty, aż głód da mu się we znaki.

* * *

Skutki trzęsienia ziemi w Messynie ze stanowiska lekarskiego omawia w Münchener Med. Wochenschrift prof. Galli. Zwoki znajdowano w ułożeniu, zastygłem niejako za życia jak to wydarza się i na polu bitew tam, gdzie śmierć następuje bardzo nagle. U wielu osób spostrzegano po trzęsieniu zboczenia psychiczne (duchowe). Jak głęboko psychicznie (duchowo) oddziałać może trzęsienie ziemi, dowodzi spostrzeżenie, na prof. Parmiginni, który sam opowiada, że o ile dawniej ze stanowiska estetyki (nauki piękna) uważał za piękniejsze domy wysokie, o tyle obecnie tylko niskie i szerokie. Głód znosili mieszkańcy po trzęsieniu bardzo łatwo po dwa tygodnie i dłużej. Wśród zranień chirurgicznych przeważały stłuczenia i rany, zwłaszcza darte. Często występował tężec.

* * *

Zniknięcie jeziora. U podnóża góry Elbrus na Kaukazie, w górze rzeki Małki, zniknęły w tych dniach gorące źródła, przy których utworzyło się uzdrowisko, nawiedzane przez turystów. Było tam jezioro, które zajmowało obszar 25.000 sążni kwadratowych. Woda przerwała brzeg jeziora od strony Birdżal Gran i po zboczu długości wiorstowej spłynęła do rzeki Birdżałys, wpadającej do Małki. Wspaniały był widok wodospadu, który trwał kilka godrin. Woda z szumem spływała, zabierając olbrzymiej wielkości odłamy skał, które razem z nią wpadały do koryta Birdżałysu. Poziom wody w tej rzece podniósł się o trzy sążnie. Spływająca z zagłębienia jeziora woda, zrujnowała domy, zniosła namioty i szopy urządzone dla kuracjuszów. Zagłębienie, w którem znajdowało się jezioro, zasypane zostało odłamami skał na dwa sążnie wysoko. Ślady źródeł również zniknęły.

* * *

Otrucie mięsem. W Berlinie umarł w tych dniach 38 letni kupiec Krämer przy ulicy Spandauerbrücke 6 wskutek otrucia się nieświeżem mięsem. Zjadł on w sąsiedniej restauracji kawałek polędwicy i powrócił chory do mieszkania, gdzie po kilkunastu minutach wyzionął ducha. Władze wdrożyły śledztwo.

* * *

Niezwykłe zjawisko atmosferyczne. „Kurjer Łódzki" donosi, że onegdaj wieczorem, podczas burzy, która po dniu upalnym szalała nad północno-zachodnią częścią powiatu łódzkiego, obserwowano niezwykłe zjawisko atmosferyczne. Oto o godzinie pół do 11 na tle ogromnej chmury, rozdzieranej co chwila oślepiającemi błyskawicami, na północno-zachodniej stronie zajaśniało nagle coś w postaci wielkiej łuny pożarnej. Na razie zdawało się, iż ma się przed oczyma rzeczywiście pożar. Wkrótce jednak okazało się, że mniemanie to było mylne, gdyż zjawisko to posuwało się wraz z chmurami w kierunku północnym, przybierając barwę coraz czerwieńszą, niemal krwawą. W kilka minut później podobne zjawisko, nieco mniejsze od pierwszego, ukazało się na północy również na chmurze, na smugach deszczowych, sięgając od ziemi do kłębistych obłoków poprzedzających chmurę. Oba te zjawiska, w miarę oddalania się chmury, stawały się coraz bladsze, wreszcie przybrały kolor matowo-biały, aż nakoniec zniknęły, zanim chmura skryła się za widnokręgiem.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 36. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 września 1909.

LEONIDAS ANDREJEW.

ŁAZARZ.

(Dokończenie.)

Niektórzy tylko z wysiłkiem nadmiernym podcho dzil do skraju jego i bezdusznie spoglądali w siną, przezroczystą otchłań; może zalśnią wśród fal różowe piersi najady, lub przebiegnie, wyrzucając z pod kopyt skry wodne, szalenie i pijany centuar. Lecz morze było martwe, i martwą i niemą była bezdeń morską.

Obojętnie wkroczył Łazarz na ulice wiecznego miasta Jakby cały przepych jego, cała potęga olbrzymich gmachów, cały blask i piękno i harmonja subtelnego życia, była jeno oddźwiękiem powiewu wichru w pustyni, odblaskiem żarnych, gryzących piasków. Mknęły wozy, sunęły tłumy silnych, zdrowych, pięknych ludzi, budowniczych wiecznego grodu i dumnych uczestników życia jego; dźwięczała pieśń — śmiały się srebrzyście fontanny i kobiety swym perlistym śmiechem, filozofowali pijani, z uśmiechem słuchali ich trzeźwi, i podkowy biły o głazy bruków. I otoczony ze wszech stron wesołym gwarem, niby zimna plama milczenia, sunął poprzez miasto otyły, ociężały człowiek i rozsiewał po drodze swej smutne niezadowolenie, tłoczącą żałość. Kto śmie być smutnym w Rzymie? — oburzali się obywatele — a w przeciągu dwu dni już cały szybkojężyczny Rzym wiedział o cudownie zmartwychwstałym i lękliwie unikał go.

Lecz i tu byli śmiałkowie, pragnący doświadczyć swą siłę, i na ich bezrozumne żądania pokornie przybywał Łazarz. Zajęty sprawami państwowemi, imperator zwlekał z przyjęciem, i całych dni 7 chodził od ludzi do ludzi cudownie wskrzeszony. Oto przybył Łazarz do wesołego pijaka, i pijak śmiechem czerwonych warg go przywitał.

— Pij, Łazarzu, pij! — krzyczał. Śmiech ogarnie Augusta, gdy ujrzy cię pijanym.

I śmiały się pijane, obnażone kobiety, i płatki róż padały na sine ręce Łazarza. Lecz skoro jeno pijak w oczy jego spojrzał, wnet na wsze już czasy pierzchło wesele jego. Całe życie pozostał pijany; już ni pił nic, lecz był pijany, a miast radosnych marzeń, które daje wino, okrutne sny otoczyły nieszczęsną jego głowę. Straszne sny stały się jedyną strawą jego rażonej duszy. Okropne sny i w dzień i w nocy nie wypuszczały go z mgły swych wizji potwornych, i sama śmierć nie była straszniejszą, niźli jej dzikie zwiastuny. Oto przyszedł Łazarz do młodzieńca i dziewczyny, którzy kochali się bezmiernie i piękni byli w miłości swojej. Dumnie i silnie obejmując ramieniem umiłowaną swoją — rzekł młodzian ze smutkiem:

— Spojrz na nas, Łazarzu i raduj się wraz z nami. Azaliż jest coś silniejszego nad miłość?

I Łazarz spojrzał. I całe życie kochali się nadal — młodzieniec i dziewczyna — lecz miłość stała się smutna i ponura, jako te mogilne cyprysy, co korzenie swe karmią zgnilizną grobów i ostrzami czarnych swych wierzchołków daremno szukają nieba o cichej wieczornej godzinie. Rzucani tajemną mocą życia w objęcia swe, pocałunki mieszali ze łzami, rozkosz — z bólem i po dwakroć czuli się niewolnikami wymagającego życia i uniżonymi sługami groźnie milczącego nic.

Wiecznie łączeni, wiecznie rozłączani, wybuchali niby skry i niby skry gaśli w bezgranicznym mroku.

Oto przyszedł Łazarz do dumnego mędrca i mędrzec ów rzekł mu:

— Już znam wszystko straszne, co ty, Łazarzu, rzec możesz. Czem jeszcze przestraszyć mnie możesz?

Lecz upłynęło niewielu czasu, a już poczuł mędrzec, że świadomość strasznego — nie jest jeszcze strasznem, i że wizje śmierci — to jeszcze nie śmierć. I zrozumiał, iż mądrość i głupota są jednakowo równe przed obliczem Nieskończoności, albowiem nie zna ich Nieskończoność. I zginęła dlań granica między świadomem a nieświadomem, między prawdą a kłamstwem, między górą a niziną i w pustce zawisła jego bezwładna myśl. Wtedy w rozpaczy schwycił się za siwą, rozwianą brodę i zawył dziko:

— Nie mogę myśleć! Nie umiem myśleć!

Tak ginęło pod obojętnym wzrokiem cudownie wskrzeszonego wszystko, co być miało dowodem trwałości, sensu i radości życia. I poczęli mówić, że niebezpiecznie jest dopuścić Łazarza do imperatora, że lepiej skrytobójczo pozbawić go życia i ukrywszy gdzieś ciało, rzec, iż zginął on bez wieści. Już ostrzyły się miecze i oddani dobru ludu swego młodzieńcy gotowali się do mordu — aż August zażądał, by następnego dnia rano zjawił się doń Łazarz. I rozkaz ten zniweczył okrutne plany.

A że niemożliwem się stało zupełne usunięcie Łazarza, pragnęli przynajmniej zmniejszyć, to ciężkie wrażenie, jakie wywierała twarz jego.

Zwołali więc najzdolniejszych twórców, cyrulików, artystów i ci noc całą pracowali nad głową Łazarza. Ostrzygli mu nieco brodę, utrefili ją, uczynili ją piękną. Nieprzyjemną była martwa siność rąk i twarzy jego; farbami złagodzili ją, ubielili ręce i uróżowali policzki. Wstrętne były zmarszczki cierpień, które bruździły starczą twarz, więc je usunęli. I na oblicze mistrzowsko i pięknie wywołali uśmiech dobrodusznej, przyjemnej i beztroskiej wesołości.

Obojętnie ulegał Łazarz wszystkiemu, co czynili z nim i wkrótce przeobraził się w naturalnie tęgiego, przystojnego starca. Jeszcze nie zeszedł z warg jego uśmiech, z jakim opowiadał bajki wesołe, jeszcze w kącikach oczu była cicha, starcza pieszczota. Lecz z sukni weselnych obnażyć go — śmiałości im nie stało. Lecz oczu jego zmienić sił nie mieli; nie mogli zatrzeć lub zafarbować tych strasznych, ponurych szkieł, poprzez które spoglądało na ludzi samo niedosiężne tam.

VI.

Nie wzruszyła Łazarza wspaniałość komnat imperatorskich. Jakby nie spostrzegał różnicy pomiędzy swym zapadłym domem nędznym, a murowanym, mocnym, pięknym pałacem.

Obojętnie spoglądał na wszystko, na nic nie patrząc. I twardy marmur podłóg pod stopami jego stawał się podobny do żarnego piasku pustyni i mnóstwo przepięknie odzianych ludzi stawało się pod wzrokiem jego, niby pustka przestrzenna.

Nie patrzyli w oblicze jego, gdy przechodził przez komnaty, bali się, iż ulegną strasznemu wpływowi oczu jego; lecz gdy z dźwięku ociężałych kroków domyślali się,

że już ich ominął, unosili głowy i z lękliwą ciekawością przyglądali się postaci tęgiego, wysokiego, nieco zgarbionego, sunącego zwolna starca.

Gdyby poprzez pokoje te przechodziła śmierć sama — nie odczuwaliby lęku większego; albowiem dotychczas tak było, iż śmierć znał — jeno martwy, życie zaś — żyjący — i nie było pomiędzy nimi mostu. A oto ten niezwykły człowiek świadom był śmierci — i straszną i niepojętą była ta świadomość jego.

Zabije naszego wielkiego Augusta — myśleli ludzie lękliwie i posyłali za Łazarzem przekleństwa bezsilne. A on szedł coraz dalej, dalej, coraz głębiej, głębiej do samego serca pałacu.

Już cezar wiedział dokładnie, kim jest Łazarz i przygotował się do spotkania. Lecz był on śmiały i mężny, czuł w sobie potężną i niezwalczoną moc i w przeznaczeniowym pojedynku z cudownie wskrzeszonym nie chciał uciekać się do słabej pomocy ludzkiej. Sam na sam oko w oko spotkał się z Łazarzem.

— Nie podnoś na mnie wzroku oczu twoich, Łazarzu — rozkazał wchodzącemu. Słyszałem, iż głowa twa, niby głowa Meduzy, posiada siłę tajemną, a spojrzenie twoje przemienia w głaz każdego, kto spojrzy na ciebie. A ja chciałbym, nim się w głaz przemienię, przyjrzeć się tobie i porozmawiać z tobą — dodał z królewską żartobliwością, przez którą jednak lęk się przebijał.

Przysunąwszy się blizko, August uważnie przyjrzał się obliczu Łazarza i jego dziwacznemu, świątecznemu strojowi. I choć posiadał wzrok bystry i przenikliwy, nie zauważył sztucznego upiększenia twarzy.

— Tak. Z wyglądu zupełnie nie jesteś straszny, szanowny starcze. Lecz tem gorzej dla ludzi, gdy coś strasznego przeobleka taką niewinną i przyjemną postać. Teraz pomówim.

Wielki cezar siadł i rozpoczął rozmowę:

— Dlaczegoś ty nie przywitał mnie, gdyś wchodził do komnaty?

Łazarz odrzekł obojętnie:

— Nie wiedziałem, że tak trzeba.

— Jesteś chrześćjaninem?

— Nie.

August z zadowoleniem i pochwałą kiwnął głową.

— To dobrze. Nie lubię chrześćjan. Lecz kim ty jesteś?

Z pewnym wysiłkiem Łazarz odrzekł:

— Byłem martwym.

— Słyszałem o tem. Lecz kim teraz jesteś?

Łazarz zwlekał z odpowiedzią, wreszcie powtórzył obojętnie i szaro:

— Byłem martwym.

— Posłuchaj mnie — rzekł imperator groźnie i powoli — moje państwo — jest państwem żywych, naród mój — jest narodem żywych, nie zaś — martwych.

I ty jesteś — w państwie mem i wśród ludu mego — zbytecznym. Nie wiem, kim jesteś, nie wiem, coś widział — tam, lecz jeśli ty kłamiesz — ja nienawidzę kłamstwa twego, jeśli zaś prawdę mówisz — nienawidzę twej prawdy. W piersi swej czuję mocarny głos życia, w dłoniach swych dzierżą potęgę, a myśli me są dumne i wolne, jak orły. A tam, za plecami mojemi, pod osłoną władzy mej, pod obroną stworzonych przezemnie praw, żyją i pracują i weselą się ludzie. Czy słysysz ty oną przedziwną harmonję życia? Czy słyszysz ty ono wyzwanie wojownicze, które ludzie ciskają w tajemnicze oblicze przyszłości, na bój ją wołając?

August zbożnie rozpostarł ramiona i zawołał zwycięsko:

— Bądź pozdrowione wielkie, boskie życie...

Lecz Łazarz milczał, i jeszcze srożej i gniewniej ciągnął imperator:

— Tyś tu zbyteczny, ty nędzny odpadku przez śmierć niedojedzony, ty napełniasz serca ludzkie tęsknotą i zwątpieniem i wstrętem do życia. Jesteś niby gąsienica na polach; obgryzasz pełne kłosy radości i wesela i, jak komar, zapuszczasz żądło rozpaczy i niechęci. Prawda twa jest, niby miecz zardzewiały w rękach skradającego się nocnego mordercy. I jak mordercę, skażę cię na śmierć. Lecz przedtem chcę spojrzeć w twe oczy. Może jeno tchórze ich się boją, a w odważnych budzą one pragnienie walki zwycięstwa, wonczas nie na karę, lecz na nagrodę zasługujesz... Spójrz na mnie, Łazarzu.

I w pierwszej chwili zdało się boskiemu Augustowi, że to przyjaciel nań spogląda — tak miękkie, przyciągające, tak delikatnie czarujące, tak subtelne było spojrzenie Łazarza. Nie trwogę, lecz cichy, szczęśliwy spokój zdało się ono obiecywać, a wyglądająca zeń Nieskończoność była, niby siostra współczująca, niby kochanka miłująca, niby matka dobrotliwa. Lecz coraz silniejsze stawały się objęcia spojrzeń oczu Łazarzowych, już duch w piersi zapierał ogień rozżagwionych pocałunków, i już poprzez miękką powłokę ciała wyrywały się na zewnątrz żelazne piszczele, i czyjeś tępe, lodowe pazury objęły sercie i ospale się w nie wżarły.

— Boli, boli — rzekł boski August, blednąc. — Lecz patrz na mnie, Łazarzu, patrz!...

Jakby powoli otwierały się jakieś ciężkie, od wieków zamknięte wrota i coraz bardziej rozszerzającą się szczeliną wlewał się zimny, i okrutnie spokojny, groźny i upiorny wiew Nieskończoności: Oto, jak dwa cienie, wsunęły się ukradkiem dwa widma zabójcze: nieobjęta pustka i nieobjęty mrok i zgasiły słońce, z pod stóp ziemię wzywały zdradziecko, zdarły dach z nad głowy. I boleć przestało ścięte w lód serce.

— Patrz na mnie, patrz, Łazarzu, patrz! — rozkazywał, drżąc i chwiejąc sie, imperator.

Czas się zatrzymał w biegu swym. Początek rzeczy każdej zbliżył się do jej końca. Niedawno dopiero wzniesiony, tron Augusta runął w przepaść, i już pustka była na miejscu tronu i na miejscu Augusta. Bezgłośnie Rzym upadł, zginęła potęga jego i nowy gród wzniósł się na miejscu jego. A potem wszystko pochłonęła pustka. Jak upiorne olbrzymy, szybko padały i niknęły miasta, państwa i światy, i obojętnie chłonęła je nienasycona, czarna paszcza Nieskończoności...

— Przestań — rozkazał imperator. Już obojętność dźwięczała w głosie. Bezsilnie zwisały mu ręce, i w daremnej walce z napływającym ze wszech stron mrokiem zapalały się i gasły jego orle oczy.

— Zabiłeś mnie, Łazarzu — rzekł głucho i szaro.

I te słowa beznadziei zbawiły go. Przypomniał bowiem sobie lud, którego tarczą być winien i ostry, zbawczy ból przeszył jego martwiejące serce. Skazani na zagładę — pomyślał ze smutkiem — jasne plamy w mroku Nieskończoności — pomyślał z trwogą szaloną — kruche naczynia kryształne z żywą, burzącą się krwią, z sercem mającem tęsknotę i radość potężną — pomyślał z miłosną pieszczotą.

I tak rozmyślając i czując, przechylając szale to na stronę życia, to znów na stronę śmierci, powoli powracał do życia, aby w cierpieniach jego i radości znaleźć osłonę przed mrokiem pustki i okropności Nieskończoności.

— Nie zabiłeś mnie, Łazarzu — rzekł twardo — lecz ja zabiję ciebie. Precz!

Wieczoru tego August z wyjątkowem weselem spożywał jadło i sączył wino. Lecz chwilami zastygała nieruchomo w powietrzu wniesiona ręka i mętny blask zamieniałjarzące błyski jego orlich oczu — to lęk falą lodową przesuwał się u nóg jego.

I chwilowo zwyciężony jeno, lecz nie zabity, spokojnie oczekując godziny, jak cień ponury, stanął lęk u wezgłowia cezara i nie opuszczał go w długie noce mroczne i pokornie ustępował jasne dni pragnieniom i radościom życia.

Następnego dnia z rozkazu boskiego Augusta rozrzażonem żelazem wypalili Łazarzowi oczy i odesłali ślepego do ojczyzny. Nie odważył się go zabić przepotężny cezar..

* * *

Wrócił Łazarz do pustyni i przyjęła go ona wichrowem wyciem i żarem rozpłomienionego słońca. I znów siedział na kamiennej ławie, podniósły ku górze obnażoną, zwichrzoną głowę i dwa czarne doły spoglądały strasznie i martwo, miast oczu, w niebo. W oddali niespokojnie huczał i burzył się gród święty — dokoła Łazarza pusto było i niemo; nikt się nie zbliżał ku miejscu, gdzie dokonywał dni swych cudownie wskrzeszony. Świadomość wepchnięta rozpaloną żagwią w głąb czaski zdała się tam czyhać, niby

w ukryciu zbójeckiem i tysiącem niewidzialnych oczu wgryzała się w człowieka — i nikt już nie śmiał spojrzeć na Łazarza.

A wieczorem, gdy purpurowiejąc i rozszrzezając się, słońce chyliło się ku zachodowi, kroczył za niem powoli ślepy Łazarz. Potykał się o głazy przydrożne — padał na ziemię — podnosił się — i znów szedł — i na krwawej płachcie zorzy jego czarna postać i rozpostarte ramiona były niby dziwaczny, z ziemi wyrosły, krzyż...

I stało się, że pewnego razu poszedł do pustyni, i już z niej nie powrócił. Nigdy. Tak się skończyło drugie życie Łazarza, który przebył trzy dni w grobie w tajemniczej władzy śmierci — a potem zmartwychwstał cudownie.

Przełożył M. Sachs.

Częstowanie dzieci napojami alkoholowymi.

Matki odurzające niemowlęta alkoholem, nie należą niestety i dziś jeszcze do rzadkości. Do niedawna panowało ogólne mniemanie, że napoje alkoholowe, zwłaszcza wino i piwo, są dzieciom pożyteczne. Dzisiaj nie brak już wprawdzie rodzin, w których z zasady nie częstuje się dzieci żadnymi napojami alkoholowymi, lecz niestety zbyt często jeszcze zdarzy się spotkać rodziców, którzy albo wprost zachęcają swe pociechy do kufla i kieliszka, lub przynajmniej pobłażliwie spoglądają na to, jak dzieci przy różnych sposobnościach zaczynają naśladować starszych w przewracaniu kieliszka.

W sprawie tej wysłało „Towarzystwo przeciw nadużywaniu napojów alkoholowych" w St. Gallen (w Szwajcarji) cyrkularz do wszystkich lekarzy kantonu St. Gallen, z prośbą o wyjaśnienie sprawy częstowania dzieci napojami upajającymi. W cyrkularzu napisano między innymi: „Panowie lekarze są w pierwszej linji powołani do tego, by rozstrzygnąć pytanie, czy używanie alkoholu jest dla dzieci rzeczą szkodliwą, lub nie. Lekarze znają na mocy swego wykształcenia zawodowego i praktycznego doświadczenia najlepiej spustoszenia, jakie alkohol wywołuje u młodzieży. Dlatego należy się spodziewać, że taki wyrok uzna ludność i zastosuje się doń w praktyce". Pytanie, zastosowane w cyrkularzu, brzmiało: „Czy wskazanem jest, aby młodzież, zwłaszcza dzieci, używały napojów upajających?"

Z 71 lekarzy, którzy nadesłali odpowiedź, oświadczyli się prawie wszyscy w mniej lub więcej ostrej formie przeciw częstowaniu dzieci napojami alkoholowymi. Niektórzy warunkowo, naprzykład do ukończenia rozwoju fizycznego lub do czasu zmiany głosu, do czasu wyjścia ze szkoły, do wojskowości itp. Wielu wszakże oświadczyło się przeciw temu bez żadnych zastrzeżeń.

Przytaczamy tu niektóre z owych oświadczeń lekarskich:

„...Jest rzeczą pewną, nie podlegającą najmniejszej wątpliwości, że alkohol, pod jakąkolwiek postacią, szkodzi dziecku". — „Moja dziesięcioletnia praktyka przekonała mnie najskuteczniej, że młodzież powinna zachować zupełną wstrzemięźliwość. Alkohol jest istną klęską dla naszych szkół". „Używanie jakichkolwiek napojów alkoholowych jest dla fizycznego i umysłowego zdrowia dzieci rzeczą bardzo szkodliwą". „Co się tyczy częstowania dzieci napojami upajającymi, sądzę, że należy z całą bezwzględnością przeciw temu występować". „Zwyczaj częstowania dzieci napojami upajającymi, nawet w małych ilościach, muszę nazwać bezwarunkowo szkodliwym". „Mniemam, że używanie napojów alkoholowych u dzieci jest rzeczą bezwarunkowo szkodliwą, obojętne czy chodzi o piwo, wino lub tym podobne napoje; dzieciom alkoholików radzę zachowanie abstynencji na całe życie". „Kto daje dzieciom napoje wyskokowe jako używkę, popełnia zbrodnię względem tych dzieci i ojczyzny". „Alkohol jest dzieciom bezwarunkowo szkodliwy". „Podawanie dzieciom napojów upajających uważam za rzecz karygodną. Osobiście nie zapisuję tego dzieciom nawet w razie choroby". Rodzice powinni sobie uważać za święty obowiązek nie częstować dzieci alkoholem, który jest dla nich silną trucizną. Rodzice, którzy swe dzieci częstują regularnie wódką, popełniają zbrodnię, którą trzebaby surowiej karać, niż cielesne poniewieranie dzieci."

W podobny sposób wyrażają się wszyscy z owych 71 lekarzy szwajcarskich. Jakiż stąd wniosek dla naszych stosunków?

Ludność Szwajcarji jest bez wątpienia zamożniejszą, lepiej się odżywiającą, zdrowszą, silniejszą, aniżeli polacy. Tego zatem, co uznano w Szwajcarji za szkoliwe, należy się w naszych warunkach dziesięciokroć więcej wystrzegać.

Rozmaitości

Telegraf bez drutu. Jak donoszą pisma londyńskie, Marconi jest zajęty opracowaniem niezwykłego planu celem połączenia wszystkich posiadłości angielskich telegrafem bez drutu. Obecnie udało mu się tak udoskonalić system telegrafowania bez drutu, że funkcjonuje on doskonale na odległość prawie 13,000 mil angielskich. Plan Marconiego połączenia metropolji angielskiej z Australją obejmuje 11 stacji: Londyn-Malta 1600 mil angielskich, Malta Dairo 1050, Kairo Aden 1300, Aden Bombaj 1650, Bombaj-Colombo 600, Colombo Singapur 1550, Singapur-Perth 2100, Perth Adelajda 1200, Adelajda-Sydnej 700, Tydnej Wellington (Nowa Zelandja) 120. Singapur będzie połączony telegrafem bez drutu z Honkongiem; Australja i Indje z Afryką południową, w którym to celu urządzone będą stacje na wyspie św. Maurycego i na wyspie Nelsona. Plan obejmuje dalej połączenia Montrealu z Jamajką 1800 mil ang., Jamajki z Guajaną angielską 1300 mil, i Guajany z Bathurd w zachodniej Afryce 2700 mil.

* * *

Swiatowy ruch pocztowy. Niemieckie pismo „Postarchiv" ogłasza obecnie następujące interesujące szczegóły z ogólno światowego ruchu pocztowego. Przytoczone przez niego cyfry sprawozdawcze obejmują 97 rozmaitych państw i krajów, wchodzących w skład światowego związku pocztowego (Weltpostverein). Obszar tych państw i krajów wynosi 75 miljonów kwadratowych kilometrów (1.4 mil. kwadratowych mil), na których mieszka 1074 miljonów, a więc przeszło miljard ludności. Urzędów pocztowych na tym obszarze jest wogóle 271.000. Z tej liczby przypada 63.000 na Amerykę północną, 49.800 na Niemcy, 23.800 na Anglję, 18.000 na Rosję, 13.000 na Francję, a po 9500 na Włochy i Austrję. W ostatnim roku nadano na pocztach związku światowego czterdzieści i pół miljarda sztuk przesyłek rozmaitego rodzaju, a zatem dziennie nadawano przeciętnie 110½ miljona przesyłek. Wartość wszystkich powierzonych poczcie przesyłek pieniężnych wynosiła w tym roku przeszło 125 miljardów franków, a zatem dziennie przechodziło przez ręce wszystkich urzędów pocztowych 343 miljony marek. W tym dziale największy procent przypada na Niemcy, gdzie obrót pieniężny na pocztach wynosił w tym roku 34 miljardy. Wszystkie poczty związku światowego zatrudniały w tym roku 1,394 000 urzędników, z czego na Niemcy przypada znów niemal 25 procent — bo 314.251 urzędników. Skrzynek pocztowych było 767.898. Listów i zwykłych przesyłek, których z rozmaitych przyczyn nie można było doręczyć adresatom, zebrało się w tym roku 79 miljonów. Cyfry te illustrują wymownie obecny stopień komunikacji pocztowej w świecie cywilizowanym.

* * *

List Mikołaja Kopernika. W uniwersyteckiej biblljotece w Upsali w Szwecji uczeni odkryli własnoręczny list Kopernika, pisany 31 lipca 1516 roku z Fromborka na Warmji, do króla polskiego Zygmunta Starego. W liście tym odzywa się Kopernik do Zygmunta, jako do swego króla i podnosi imieniem kapituły warmińskiej ciężkie

skargi przeciwko niemieckiemu zakonowi krzyżackiemu, który ogniem i mieczem ciągle napada posiadłości kościoła i niszczy Warmję. Kopernik prosi o opiekę króla polskiego. List ten pisany, jak wszystkie urzędowe dokumenty owych czasów, po łacinie. Krzyżacy nazwani są „praedones, latrones et homines scelerati", to jest zbójcy, łotry i zbrodniarze. Ważny list Kopernika zabrali szwedzi za Jana Kazimierza z archiwum polskiego i wywieźli do Szwecji, gdzie leżał niezbadany pomiędzy starymi papierami bibljoteki w Upsali. Dopiero teraz świeżo list ten odkryli uczeni i ogłosili naukowemu światu.

* * *

Wystawa Darwina. W oddziale przyrodniczym londyńskiego „British Museum" otwarto wystawę na pamiątkę setnej rocznicy urodzin wielkiego uczonego. Na wystawie tej znajdują się cenne pamiątki osobiste Darwina, sprawozdania i krytyki jego dzieł we wszystkich niemal językach, jego własne notatki i t. p.

* * *

Sahara — środowiskiem kultury. Na niczem nieograniczoną możność rozwoju ludzkości wskazuje obraz przyszłości, rzucony przez słynnego, nagrodą Nobla obdarzonego fizyka i profesora uniwersytetu w Cambridge sir J. Thomsona w odczycie na kongresie „Britisch Association" w Winnipeg. Uczony stworzył obraz świata przyszłego, w którym promienie słoneczne spełniają wszelką ludzką pracę, w którym fabryki siłę swą biorą ze słońca, a w którym Sahara będzie potężnem środowiskiem przemysłowej twórczości. „Nie nazbyt dalekim jest ten dzień — rzekł prof. Tomson — w którym wyzyskanie promieni słonecznych zrewolucjonizuje życie nasze, gdy człowiek wyrwie się z zależności od węgla i siły wodnej, gdy wszystkie większe miasta otoczone będą olbrzymimi aparatami, służącymi do wyłapywania światła słonecznego i ciepła, a uzyskaną energję w potężnych rezerwoarach nagromadzać się zacznie.

Na podstawie nowych badań nad istotą elektryczności stawia uczony angielski „molekularną teorję elektryczności i teorję składu chemicznych materji", a następnie wywodzi: Zważyć należy, iż na ziemi naszej nie z własnej żyjemy siły; w każdej chwili zależni jesteśmy od tego, co nam słońce daje. Nie inna siła spełnia wszystko na świecie, tylko siła słońca, nagromadzona w węglu, w wodospadach, w środkach żywności. Jak potężna jest ta ilość siły, którą rzuca na nas słońce łatwo sobie uprzytomnić, skoro według obliczeń Langleya, to ciepło, jakie ziemia (przy wysokim stanie słońca i pogodnem niebie) odbiera, równoważy energję 700 sił koni na 1 akr. Chociaż nasi inżynierowie po dziś dzień nie znaleźli drogi, na której można wyzyskać to ogromne źródło siły, to przecież nie wątpię, iż ostatecznie im to się uda. Skoro zapasy węgla zostaną wyczerpane, skoro siły wodne nie wystarczą na pokrycie naszego zapotrzebowania, wtedy ze słońca czerpać poczniemy wszelką energję konieczną do spełnienia pracy. A wtedy centra przemysłu drzeniesione zostaną do gorejących pustyń Sahary — a wartość krajów oceniać się będzie według ich podatności do wystawiania owych wielkich „pułapek na promienie słoneczne".

* * *

Statystyka zbrodni. Pewien tygodnik francuski podaje liczby zbrodni, popełnionych w roku 1908 w niektórych krajach. Według obliczenia tego było, na 100.000 ludności, morderców: we Włoszech 8·12, we Francji 5·56, w Belgji 1·78, w Niemczech 1·11, w Anglji 0·60, w Austrji 2·24, na Węgrzech 6·09, w Hiszpanji 7·83. Włochy, Hiszpanja i Węgry liczą najwięcej morderców, Anglja najmniej. — Za ciężkie okaleczenia skazano w Austrji najwięcej osób, bo na 100.000 ludności 248. Po Austrji następuje w tej rubryce Belgja 177, dalej Włochy 162, Niemcy 122, Francja 65, Węgry 46, Anglja 7·19. — Najwięcej kradzieży według tego obliczenia zachodzi w Niemczech. Na 100.000 ludności ukarano tam 222 osób za kradzież, we Włoszech 147, w Belgji 128, we Francji 112, w Holandji 77, w Austrji 60, w Hiszpanji 56. — Najwięcej samobójców liczy Japonja. Na 100.000 ludności popełniło tam w ostatnim roku 211 osób samobójstwo. W innych krajach liczby samobójców są następujące (na 100.000 ludności): w Danji 253, we Francji 218, w Szwajcarji 216, w Niemczech 197, w Austrji 159, w Belgji 122, w Anglji 80, w Holandji 58, w Szkocji 56, we Włoszech 52. Liczba wypadków samobójstw zwiększyła się w ostatnich dziesięciu latach o 1000 procent.

* * *

Wyludnienie we Francji. Ciekawe dane statystyczne podaje dziennik paryski „France militaire". Z 318.449 młodzieńców, którzy zapisani byli do poboru w r. b., 29.607 było niezdatnych do służby wojskowej. Z liczby tej 4500 osób cierpiało na ogólne wycieńczenie organizmu, a 4800 na tuberkuły. Liczby te są przerażające z tego względu, że są trzy razy większe, w porównaniu z r. 1904, czyli za przeciąg tylko pięciu lat!

* * *

Przewrót w elektrotechnice. Problemat budowania lekkich akumulatorów, który, jak donoszą codzienne pisma zagraniczne, szczęśliwie rozwiązał profesor Gross w Chrystjanji, może wywołać przewrót w całym przemyśle dzisiejszym i jest przedmiotem ożywionych dyskusji w kołach fachowych. O osobistości wynalazcy i konstrukcji aparatu komunikują z Chrystjanji szczegóły następujące: Kurt Gross, liczący lat 25, urodzony z ojca francuza i matki niemki, mieszka w Chrystjanji od niespełna roku; z zawodu jest muzykiem i był profesorem gry skrzypcowej w akademji muzycznej w Moskwie, od dłuższego czasu studjował z zapałem chemję i elektrotechnikę, zbudował nową turbinę parową i termogienerator. Nowy akumulator ma wielkość pudełka, mieszczącego 50 sztuk cygar, i waży półtora kilograma. Poszukiwania swoje oparł Gross na ostatnich wynalazkach Edisona. Napięcie prądu, który wytwarzał akumulator dotychczasowy, nie przenosiło 2 i pół wolty, gdy tymczasem nowy daje 60 wolt, a wynalazca ma nadzieję osiągnięcia czterech set wolt.

Z literatury i sztuki

„Promyk", ilustrowany dwutygodnik dla młodzieży i dla dzieci. Treść nr. 15: Juljusz Słowacki, I. Życiorys. — Juljusz Słowacki: Godzina myśli. — J. Olszewska: Cierpienie. — Juljusz Słowacki: Ojciec Zadżumionych. — Ze świata: Uroczystości Mickiewiczowskie w Konstantynopolu. Otwarciu kolei na Mont-Blanc. Wielkie zawody aeronautyczne. Ślizgawka w lecie. — Elza Frapan: W ogrodzie babuni (przekład J. Mortkowiczowej). — Ignacy Krasicki: Wilczki (bajka). — E. Hakebeilówna: Nasz pies. — R. Minkiewicz: Imieniny Jurka nad morzem. — Rebus. Zagadik. Rozwiązania. Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Administracji: Kraków, ul. Wiślna nr. 5.

* * *

„Poradnik teatrów i chórów włościańskich", organ związku teatrów i chórów włościańskich przynosi w 5, 6 i 7 zeszycie następującą treść: Obchody Anczyca w Krakowie i we Lwowie. — Kwiat paproci przez Z. Mrozońską. — Rady i wskazowki dla teatrów włościańskich, napisał Kaz. Gabryelski. — Przegląd sztuk do grania, napisał Adam Piątek. — Kostusia (intermedjum) B. Bolesławicza. — Korespondencje (Zawada, Przemyślany, Jaworzno, Dobczyce). — Wiadomości z teatrów i chórów włość. — Sprawy Związku. — Żniwo śmierci. — Z pism książek. — Kronika. — Teatry i chóry włościańskie. — Nadesłane.

Adres Redakcji i Administrasji: Lwów, ulica Ossolińskich I. 9. parter.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 37. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 września 1909.

ANATOL FRANCE.

Pani z białym wachlarzem.

Opowieść chińska.

Tchouang-tsen z kraju Soung, którego mądrość wynosiła wysoko ponad troskę o rzeczy znikome, jako dobry chińczyk, nie wierząc w rzeczy wiekuiste, jedyną rozkosz dla ducha czerpał z przeświadczenia, że zdoła uniknąć błędów, właściwych ludziom, ządnym nadmiernych bogactw albo czczych zaszczytów.

Głęboka snać była ta rozkosz mędrca, gdyż po śmierci ogłoszony został za szczęśliwego i godnego zazdrości.

Duchy niebieskie przenosiły go niekiedy w przestworza zielone krzewów kwitnących, wierzb i bambusów. Tchouang-tsen przechadzał się zazwyczaj zadumany po tych krajach, w których żył nieświadom, ani jak, ani po co.

Pewnego ranka, kiedy błądził bez celu po ukwieconych stokach góry Ham Hoa, znalazł się niepostrzeżenie pośród cmentarza, gdzie spoczywali zmarli, pochowani, zwyczajem kraju, pod wzgórzami ubitej ziemi. Na widok mogił niezliczonych, ginących poza widnokręgiem, mędrzec zadumał się nad losem człowieka:

— Oto, niestety! — rzecze — kolisko, kędy zbiegają się wszystkie drogi życia. Z tego miejsca już nigdy nie wraca się do świata.

Ta myśl nie jest bynajmniej osobliwością, ale streszcza w sobie wymownie filozofję Tchoaang-tsena i wogóle chińczyków.

Chińczycy znają jedno tylko życie, w którem świeci słońce i rozkwitają piwonie. Równość ludzi umarłych cieszy ich lub zasmuca wedle ich skłonności do pogody lub melancholji. Zresztą posiadają oni dla rozrywki mnóstwo bogów zielonych i czerwonych, którzy czasami wskrzeszają zmarłych i płatają pocieszne figle.

Wszakże Tchouang-tsen, należący do wyniosłej sekty filozofów, nie spodziewał się pociechy od bożków porcelanowych.

Gdy tak błądził myślą wśród mogił, nagle spotkał młodą kobietę w szacie żałobnej, tj. w długiej białej sukni z grubej materji bez szwów. Siedząc u mogiły, poruszała białym wachlarzem nad ziemią jeszcze świeżą grobowego kopca.

Ciekaw poznać pobudki tak dziwnego postępowania, Tchouang-tsen powitał młodą kobietę uprzejmie i rzekł do niej:

— Czy wolno mi zapytać, pani, kto spoczywa w tej mogile i dlaczego zadajesz sobie trud owiewania ziemi, pokrywającej zwłoki? Jestem filozofem, dociekam przyczyn; zaciekawia mnie to, co widzę.

Młoda kobieta wciąż poruszała wachlarzem. Zarumieniła się, opuściła głowę i wyszeptała słów kilka, których mędrzec nie słyszał.

Ponowił pytanie swe kilkakrotnie, lecz bez skutku.

Młoda kobieta nie zwracała już nań uwagi i zdawało się, że dusza jej przeszła całkowicie w dłoń, kołyszącą wachlarz.

Starzec oddalił się z żalem. Jakkolwiek przekonany był o marności wszystkiego, z natury swej był skłonny do szukania pobudek działań ludzkich, zwłaszcza zaś działań kobiety. Te drobne istotki budziły w nim złośliwą, lecz żywą ciekawość.

Zwolna posuwał się naprzód, oglądając się za białym wachlarzem, który wachał się w powietrzu, jak skrzydła ogromnego motyla, gdy stara kobieta, której dotąd nie spostrzegł, uczyniła znak ręką, żeby za nią podążył. Pociągnęła go w cień kopca, górującego nad inne i tak rzekła:

— Słyszałam pytanie, zwrócone do mojej pani, na które nie otrzymałeś odpowiedzi. Lecz ja zadowolę pańską ciekawość przez uczucie zwykłej uprzejmości, w nadziei, że wzamian ofiarujesz mi cokolwiek na zakup u kapłanów cudownej bibułki, przedłużającej życie.

Tchouang-tsen wyciągnął z kieszeni monetę, a stara kobieta ciągnęła dalej:

— Ta, którą widziałeś u mogiły, jest panią Lu, wdową po uczonym mężu, niejakim Tao, zmarłym przed piętnastu dniami, po długiej chorobie i to jest jego mogiła. Kochali się bardzo czule. Konając, pan Tao nie mógł pogodzić się z musem rozłąki i myśl, że pozostawia małżonkę w kwiecie wieku i piękna, była dlań nie do zniesienia. Musiał jednak uledz, gdyż był charakteru łagodnego i dusza jego chętnie poddawała się konieczności. Płacząc u wezgłowia pana Tao, którego wcale nie opuszczała w ciągu jego choroby, pani Lu przysięgała na bogów, że go nie przeżyje, że podzieli z nim grób równie chętnie, jak dzieliła łoże.

Lecz pan Tao odrzekł:

— Nie przysięgaj na to.

— W każdym razie — odpowiedziała — jeżeli sądzonem mi jest ciebie przeżyć, jeżeli duchy niebieskie skażą mnie na oglądanie światła dziennego, gdy ciebie już nie będzie, to wiedz, że nigdy nie zostanę żoną innego i, jako mam jednę duszę, jednego tylko będę mieć małżonka.

Pan Tao rzekł:

— Pani, nie przysięgaj!

— Ach, Tao, pozwól mi przysiąc, że przynajmniej w ciągu pięciu lat zamąż nie wyjdę.

— Pani, nie przysięgaj. Przysięgnij mi natomiast, że nie zapomnisz o mnie tak długo, dopóki ziemia nie zeschnie na mojej mogile.

Pani złożyła wiernie przysięgę. I czcigodny pan Tao zamknął powieki po raz ostatni. Rozpacz pani Tao przeszła wszelkie wyobrażenia. Oczy jej przeżerały palące łzy. Ostrymi paznogietkami podrapała swe policzki porcelanowe. Lecz wszystko mija. Rozpłynął się potok tej rozpaczy. W trzy dni po śmierci pana Tao smutek pani Lu stał się więcej ludzkim. Dowiedziała się, że jeden z uczniów pana Tao chciałby wyrazić swoje współczucie dla jej żałoby. Słusznie uznała, że nie należy mu odmawiać. Przyjęła go, wzdychając. Młody człowiek, bardzo uprzejmy i przystojny, mówił jej trochę o panu Tao i dużo o niej samej. Powiedział jej, że jest urocza, że ją kocha, pozwoliła mu mówić. Obiecał ją odwiedzić. W oczekiwaniu na niego, pani Lu spędza cały dzień u mogiły swego męża, gdzie pan ją widział, usiłując osuszyć ziemię mogiły powiewem swego wachlarza.

Gdy staruszka przestała mówić, Tchouang-tsen pomyślał:

— Młodość jest krótka... pragnienie uskrzydla młode kobiety i młodzieńców. Zresztą, pani Lu jest uczciwą kobietą, bo nie chce złamać przysięgi.

To wzór do naśladowania dla białych kobiet w Europie.

Narodowość i jej początki.

Napisał Karol Kautsky.

(Ciąg dalszy.)

II.

Państwo narodowe jest klasyczną formą obecnego państwa. Lecz formy klasyczne istnieją przeważnie tylko, jako dążności, i rzadko są w należytym stopniu rozwinięte. Klasyczną formą nowoczesnej produkcji jest wielki przemysł kapitalistyczny, lecz obok niego istnieje mnóstwo szczątkowych pozostałości po dawnych formach produkcji. Podobnie niema dzisiaj nigdzie jednolitego państwa, któreby skupiało cały naród, lub też oprócz niego nie obejmowało całości lub odłamów innego. Zarówno powstawanie państw narodowościowych, jak i ukazywanie się nowych narodowości są sprawami, wciąż będącemi na porządku dziennym.

Mało państw w Europie opiera się na zasadzie nienarodowej. Nieliczne zaś wyjątki niekiedy nie są nawet państwami nowożytnemi, jak np. szwajcarska rzeczpospolita chłopska, nie posiadająca nawet stolicy. Weźmy choćby Austrję. Nie ekonomiczny rozwój złączył w jedno kraje austrjackie, gdyż nie wydały one nigdy jednolitego gospodarstwa wytwórczego i wymiennego. Zjednoczenie ich doszło do skutku pod wpływem najazdów tureckich w wieku XV—XVII, które zagrażały wszystkim: południowym słowianom, węgrom, czechom i południowo-wschodnim niemcom. Bez podporządkowania swoich sił pojedyńczych pod zwierzchownictwo Habsburgów, w walce przeciwko wspólnemu najezdnikowi, ludy te uległyby może zupełnej zagładzie. Habsburgowie zostali przednią strażą Europy w walce z osmańskim półksiężycem, a klęska pociągnęłaby za sobą groźne niebezpieczeństwo dla Niemiec południowych. Niemieccy książęta nie obawiali się tyle ani francuzów, ani szwedów, co turków. Trzymanie tych ostatnich na wodzy i w pewnem oddaleniu było istotnem zadaniem cesarzy niemieckich w ostatnich czasach, jedynem, jakie im pozostawili udzielni panowie kraju. Wraz ze zniknięciem grozy tureckiej w przeszłem stuleciu zgasło ostatnie zadanie, ciążące na rzymsko-niemieckim cesarzu.

Rewolucja francuska zniszczyła tę synekurę wraz z wielu innemi. Ale zniknięcie obawy przed turkami rozcięło też węzeł, który łączył kraje, wchodzące w skład Austrji. Ukazują się dążenia odśrodkowe, rozkładowe.

Austrjaccy mężowie stanu, stojący u steru państwa, starali się i starają przeciwdziałać temu rozpadnięciu się za pomocą powołania do życia jednolitej narodowości austrjackiej. Szkoła, biurokratyzm, wojsko służyły i służą dotychczas do dopięcia tego celu. Owoce jednak będą niwielkie, jeżeli, równolegle z ujednostajnieniem w tych dziedzinach, nie podążyły skupienie się w jednolity organizm ekonomiczny z ogniskiem centralnem, któreby panowało nad całem życiem narodu. A o tem w Austrji i mowy być nie może. Przeciwnie, zdaje się nawet, że związek między oddzielnymi obszarami ekonomicznymi, wchodzącymi w jej skład, słabnie. Wiedeń, który powinienby być ekonomicznem ogniskiem Austrji, traci z każdym dniem na znaczeniu. Handel produktami spożywczymi, mianowicie pszenicą, idący z Węgier i przyległych krajów do Szwajcarji, Niemiec południowych i Francji, ześrodkowywa się coraz bardziej w Peszcie, lecz nie w Wiedniu. Z drugiej strony handel ze Wschodem (wywóz produktów przemysłu austrjackiego) idzie przez Tryest lub Peszt i odbywa się bez pośrednictwa Wiednia.

Wielko-przemysłowe północne Czechy tworzą odrębny obszar ekonomiczny, złączony nietylko językiem, lecz także gieograficznie i ekonomicznie z Niemcami za pomocą drogi przewozowej, jaką jest spławna Elba. Tam też prąd „narodowo-niemiecki“ podnosi najsilniej głowę. Tymczasem, również niemieckie, ale pogrążone w średniowiecznym partykularyzmie chłopskie krainy alpejskie nie rozwinęły w sobie jeszcze dotychczas ducha narodowego — i tem mniej, im więcej są odległe od stolicy. Tyrolczyk, zarówno jak i sąsiad jego, szwajcar, znajdujący się na tym samym poziomie rozwoju ekonomicznego, pełni są dotychczas miejscowego partykularyzmu, który i w Bawarji jest jeszcze bardzo silny. A zatem nawet istotni niemcy austrjaccy nie tworzą jednolitej całości pod względem ekononomicznym. Po za nimi widzimy jeszcze Węgry, Dalmację, Galicję, gdzie interesy językowe, ekonomiczne i gieograficzne nakazują tym krajom podobnie, jak i Czechom północnym, ciążyć w kierunku odśrodkowym.

Im bardziej dzisiejsze atagonizmy ekonomiczne w Austrji zaostrzą się, im bardziej każde terytorjum ekonomiczne będzie rozwijało swój miejski lub wiejski przemysł, im trudniej mu będzie to zrobić bez powstrzymania jednocześnie rozwoju ekonomicznego swych sąsiadów jednopaństwowych, tem ostrzejsze rysy przyjmie zatarg między oddzielnymi obszarami ekonomicznymi Austrji i tem trudniejszą będzie polityka „ugodowa“ nawet wtedy, gdyby udało się rozstrzygnąć „kwestję językową“, jak to się stało w Irlandji. „Zielona wyspa“ jasno pokazuje nam, jak rozwiązanie kwestji językowej mało ma znaczenia, jeśli rozterka pomiędzy interesami ekonomicznymi nie ustaje. Od 5 wieków Irlandja należy do Angiji *) i angielski język stał się tutaj panującym. Literatura, sztuka i nauka, o ile można o tem mówić na tej wyspie, stały się także angielskiemi. Pomimo to antagonizm między anglikami a irlandczykami nie przestał istnieć, gdyż sprzeczność interesów ekonomicznych wciąż trwa i podnieca go. Irlandja nigdy nie stała się istotną częścią składową Anglji, ale pozostała zawsze kolonją, którą wyzyskiwano — rywalem, którego starano się uczynić nieszkodliwym. Wszystkimi środkami usiłowano powstrzymać rozwój ekonomiczny Irlandji, niszczono jej rękodzielnie, rujnowano rolników, utrzymywano ją w nędzy. Trzymano się wobec Irlandji takiej samej polityki, jakiej niegdyś używano względem kolonji amerykańskich. Ale Irlandja leżała bliżej i była słabszą. Nie udało jej się ani zdobyć niezależności politycznej i wraz z nią swobodnego rozwoju ekonomicznego, ani nie została ona wcieloną do życia ekonomicznego Anglji, co dałoby jej znaczne korzyści.

Przykład Austrji poucza nas, jak państwo, złożone z mozajki językowej, mało odpowiada wymaganiom współczesnym; Irlandja zaś, że dobrobyt ekonomiczny pewnego terytorjum jest ściśle związany z autonomją, odkiedy stosunki kapitalistyczne zaczynają w niem panować. Zresztą zbyteczna jest iść daleko po inne przykłady. Same Niemcy lub Włochy są żywem uzmysłowieniem tego stosunku. Rozwój ekonomiczny Niemiec i Włoch został powstrzymany w wieku XVI, ponieważ handel przeniósł się z wębrzeży moża Śródziemnego nad brzegi Atlantyku, od czasu znalezienia drogi morskiej do Indji i południowej Afryki, oraz odkrycia Ameryki. Włochy, Francja południowa i Niemcy południowe stały na czele rozwoju ekonomicznego Europy aż do końca wieku XV; odtąd ustępują Portugalji, Hiszpanji, później Francji północnej, Niderlandom i Anglji.

Zastój ekonomiczny spowodował upadek poczucia narodowego. W Niemczech i we Włoszech było ono mocniejsze w wieku XV, niż w XVII. Drobnopaństwowość i małomiasteczkowość stały się w ostatnim tym okresie cechami typowemi obu narodów. Zacofanie ekonomiczne wywołało rozbicie solidarności, spowodowało partykularyzm, które z swej strony stały się nowemi przeszkodami dalszego rozwoju ekonomicznego. Ma się rozumieć, nie należy mniemać, żeby rozwój ekonomiczny tych krajów był zupełnie wstrzymany i Niemcy zostały cofnięte do stosunków czysto patrjarchalnych i wogóle, żeby działo się zgoła inaczej, niżeli w Anglji i Francji, gdzie rozwijający się kapitalizm wywłaszczał włościan i rzemieślników, skazując najemnika z żoną i dziećmi na dożywotnią pracę przymusową w fabryce. Gdyby sprawy tak stały, można byłoby się pogodzić z uwstecznieniem Niemiec. Ale rzecz cała polega na tem, że z jednej strony niszczące skutki kapitalizmu nie występo-

*) Podbój Irlandji zaczął się w 1169 roku za panowania Henryka II. Jednakże trzeba było 4 stęleci przeszło, zanim Irlandja zupełnie została podbitą.

wały z początku zbyt jaskrawo w krajach, gdzie szybko rozwijał się przemysł; z drugiej zaś, zarówno Niemcy jak Włochy wcale nie były wolne od wpływów kapitalizmu: towary zagraniczne przenikały tutaj, współzawodniczyły z produktami krajowymi; handel towarowy zabijał coraz bardziej produkcją na własne własne potrzeby, wywłaszczenie chłopa i rzemieślnika posuwało się naprzód z tą różnicą, że wywłaszczeni nie znajdowali, jak we Francji lub Anglji, przemysłu kapitalistycznego, któryby ich zużytkował, jako najemników. Założenie fabryki uchodziło na zaraniu kapitalizmu za szczęśliwe zdarzenie, fabrykant zaś — za dobroczyńcę ludzkości. Wstrzymanie rozwoju kapitalistycznego nie znaczyło dla Niemiec np. zachowania patrjarchalnego dobrobytu. Na miejscu jego, w zamian silnej kapitalistycznej produkcji towarów, ukazywała się prawdziwie żebracza gospodarka, która zachowała właśnie tyle pozostałości feodalnych, żeby zarazem być nader wymuszoną i śmieszną. Przykładów gospodarki, która nie ustępowała wcale tak osławionej dzisiaj włoskiej lub polskiej, można było znaleźć pod dostatkiem w Niemczech wieków XVII i XVIII.

Kto cierpi, z tego kpią zwykle. Dlatego nie powinniśmy się dziwić, że ci sami sąsiedzi, którzy wstrzymywali rozwój ekonomiczny Niemiec i zmuszali je do zastoju, właśnie najbardziej drwili z tego stanu rzeczy. To, co francuzi zrobili pod tym względem dla nas, my, niemcy, oddajemy dzisiaj hojnie naszym sąsiadom, którzy mają nieszczęście być słabszymi, niż my, to jest, włochom i słowianom.

* * *

Ujęcie i zróżniczkowanie społeczeństw nowoczesnych w państwa narodowościowe było jedną z potężniejszych dźwigni nowożytnego rozwoju ekonomicznego. Doszedłszy jednak do pewnej granicy, staje się ono przeszkodą dalszego rozwoju.

Im bardziej produkcja nowoczesna rozwija się, tem państwo, które chce uczynić zadość jej wymaganiom, musi być większem. Oddzielne gałęzie produkcji muszą się rozwijać coraz szerzej i potężniej, jeżeli chcą wytrzymać konkurencję; ilość produktów, wytwarzanych przez każdego robotnika, musi być coraz większą, przemysł zaś coraz bardziej się specjalizować. Wydajność i podział pracy w społeczeństwie rosną wraz z potrzebą rozszerzania rynku wewnętrznego i z koniecznością zdobycia korzystnych umów handlowych na rynku wszechświatowym. Jednocześnie warstwy średnie społeczeństwa zamieniają się coraz bardziej w najmitów, a proletarjat inteligientny wzrasta szybko i gwałtownie domaga się utworzenia nowych urzędów, rozszerzenia państwa już to zapomocą polityki kolonjalnej, bądź to drogą podboju jakiegoś niewyzwolonego kawałeczka ziemi narodowej, wreszcie żąda wykluczenia wszelkich nienarodowych żywiołów ze służby narodowej.

Im ndród albo państwo są mniejsze, tem trudniej zaspokoić te wszystkie wymagania i tem większą jest potrzeba rozszerzenia państwa. Jeżeli państewko nie opiera się na zasadzie narodowościowej, tem gorzej dla niego. Chociaż np. fabrykanci belgijscy lub szwajcarscy prawią dużo o swym patrjotyzmie belgijskim i szwajcarskim, zawsze jednak wybiegają myślą po za swoje granice państwowe ku Francji lub Niemcom — państwom, które mają dość siły, żeby zapewnić własnym kapitalistom „obronę pracy narodowej“ oraz korzystne umowy handlowe. Tymczasem sama Belgja i Szwajcarja posiadają tak mały rynek wewnętrzny, że cła ochronne nie mają dla nich żadnego znaczenia i przyniosłyby raczej stratę, niż korzyści, ponieważ wywóz obu tych państewek jest zależny od dobrej woli sąsiadów.

Jeżeli węgrzy i czesi pracują dziś z tak gorączkowym pośpiechem na rozszerzeniem granic swego terytorjum, jest to następstwem ich położenia ekonomicznego, które stawia przed nimi dwa wyjścia: zamienić się w wielkie narody albo się wyrzec niezależnego ekonomicznego a zarazem narodowego życia. Im więcej ludzi w Austrji mówi po czesku, tem więcej przemysł czeski znajdzie spożywców; im więcej będzie czeskich szkół, urzędów i sądów z czeskim językiem urzędowym, tem więcej synowie czeskiej burżuazji mają widoków znalezienia posady.

Cholera.

Ojczyzną tej choroby są Indje wschodnie, zwłaszcza miejscowości, położone przy ujściu rzek Gangesu i Bramaputry, gdzie cholera od wieków panowała epidemicznie, głównie wśród krajowców, nie zwracała więc na siebie powszechnej uwagi. Bardzo być może, że i w dawnych czasach cholera przybierała charakter nagminny i szerzyła się kiedy niekiedy poza granicami swej stałej siedziby. Faktem jest jednak, że dopiero w XIX wieku wybuchły rozległe epidemje cholery, które już przez to samo zwróciły na siebie uwagę i zajęły cały świat lekarski, że choroba ta była mało przedtem znaną.

W nagminnem szerzeniu się cholery możemy odróżnić pewne okresy czasu, kiedy choroba opuszczała zwykłe swe endemiczne siedlisko i szerzyla się po całej prawie kuli ziemskiej. Są to tak zwane pandemje cholery; pierwsza od r. 1817—1823; druga od r. 1826—1837; trzecia od roku 1846 1863 i czwarta od r. 1865—1875. Jako piątą pandemję należy uważać okres czasu od 1883—1896 r. Obecnie bylibyśmy w okresie szóstym. Pierwsza pandemja szerzyła się głównie w Azji; do Europy dostała się cholera podczas drugiej pandemji, grasując w latach 1830 i 1831 w Rosji, Polsce i Austrji.

Cholera dostaje się zawsze do Europy trojaką drogą: 1) z Persji przez morze kaspijskie, Astrachan i dorzecze Wołgi; 2) z Małej Azji przez Konstantynopol i 3) z Arabji przez Egipt i Aleksandrję do portów morza Śródziemnego. Drogi, po których szerzy się cholera, są zarazem głównemi drogami handlowemi, łączącemi Wschód azjatycki z Europą. Prostek z tego wniosek, że szerzenie się cholery odbywa się po głównych drogach ruchu, wskutek zawleczenia zarazy przez chore osoby lub jakiekolwiek zarażone przedmioty. Szybkość, z jaką się cholera szerzy, zależy całkowicie od ruchu ludności i dróg komunikacyjnych.

Przy szczegółowem rozpatrywaniu epidemji cholery staje się widoczną inna jeszcze okoliczność, mianowicie zależność epidemji tej choroby od pór roku. W klimacie umiarkowanym widzimy, że epidemje cholery wzmagają się stale podczas miesięcy letnich, zmniejszają się zaś lub ustępują zupełnie podczas zimy. Największe natężenie epidemji cholery wypada zwykle na sierpień i wrzesień, a najmniejsze na styczeń i luty.

Trzecią okoliczność, jaka się ujawnia przy rozpatrywaniu epidemji cholery, stanowi pewna jej zależność od miejscowości, od gruntu. Miejscowości nisko położone, błotniste, doliny rzek, wybrzeża jezior i stawów, są najsilniej nawiedzane przez cholerę. Zjawisko to tłomaczymy sobie nie właściwościami gruntu, lecz tem, że do miejscowości nisko położonych spływają wszystkie nieczystości, że więc przecinkowce choleryczne (bakcyle) nagromadzają się tu w znacznej ilości, zakażając wodę i wywołując większe natężenie cholery. Zresztą i to niewątpliwie rzecz ważna, że dzielnice nisko położone zamieszkuje przeważnie ludność najuboższa, a więc wpływ warunków społecznych ma tu także duże znaczenie.

Wpływ warunków społecznych jest w cholerze bardzo wyraźny; oddawna uchodzi ona za chorobę przeważnie proletarjatu. Zawsze szerzy się najwięcej i najgroźniej wśród ubogiego ludu roboczego, żyjącego w złych warunkach zdrowotnych i społecznych; złe środki spożywcze, zła woda do picia, niemożliwość zachowania przepisów hygjeny w jedzeniu i piciu, znaczne nagromadzenie ludności w mieszkaniach, niechlujstwo, zwłaszcza u proletarjatu żydowskiego, wszystko to sprzyja niezmiernie szerzeniu się zarazy.

Płeć ani wiek nie mają żadnego wpływu na usposobienie do cholery. Oseski karmione piersią nie zapadają na cholerę. W jednej miejscowości cholera trwa zwykle niedługo, od 6 tygodni do 3 miesięcy, poczem wygasa. Usposobienie bowiem do cholery nie jest powszechne, co najwięcej 5 procent ludności zapada na nią, a odsetka ta nie powiększa się nawet podczas najsilniejszych epidemji. Wyraźny wpływ na usposobienie do cholery wywiera poprzedni stan zdrowia. Wiadomo, że osoby z przewlekłemi chorobami narządów trawienia łatwiej zapadają na cholerę. Wielki wpływ na usposobienie do cholery ma nieumiarko-

wanie w jedzeniu i piciu, przejedzenie się i upijanie się. Zdaniem wielu epidemjologów ze wszystkich ras i narodowości najłatwiej zapadają na cholerę żydzi, największa też wśród nich bywa śmiertelność.

(Dokończenie nastąpi.)

Kobiety zatrudnione w rolnictwie w Prusiech.

Dnia 12 czerwca 1907, sporządzona została statystyka wszelkich zawodów i osób w nich zatrudnionych na całą Rzeszę niemiecką. Ze statystyki tej podajemy poniżej liczby dotyczące kobiet zatrudnionych w rolnictwie.

W roku 1895 zatrudnionych było na całym obszarze Prus w rolnictwie włącznie z ogrodnictwem 1 471 746 kobiet. Liczba ta w przeciągu dwunastu lat wzrosła niemul w dwójnasób. Wynosiła więc w roku 1907 2 719 553. Na rolnictwo samo włącznie z chowem bydła i mlecznictwa, na hodowlę wina, drzew owocowych, warzywa i tytoniu przypadło w roku 1895 1 462 558 a w roku 1907 2 702 653; na ogrodnictwo 9188 i 16 900 kobiet zarobkujących. Warto zauważyć, że w tym samym czasie w którym liczba kobiet w rolnictwie nieomal się podwoiła, liczba mężczyzn się zmniejszyła z 3 170 498 w r. 1895 na 2 992 430 w r. 1907. Jeżeli więc liczba osób zarobkujących w rolnictwie wogóle wzrosła (z 4 701 642 w r. 1895 — 5 787 565 w roku 1907), to przyrost ten przypada jedynie kobietom. Dowód to oczywisty, jak szybko kobieta rozszerza swój udział w życiu zarobkowem.

Do kobiet zatrudnionych w rolnictwie należy także służba żeńska nieobjęta powyższemi liczbami. W roku 1895 wynosiła ogólna liczba służby żeńskiej w rolnictwie 243 999. Liczba ta zmniejszyła się w r. 1907 na 113 896. Na rolnictwo samo przypadało w roku 1895 240 189 osób żeńskich, w roku 1907 110 271, na ogrodnictwo 3810 i 3625. Ubytek więc wynosi co do służby żeńskiej w przeciągu lat 12 przeszło połowę i przypada w olbrzymiej większości rolnictwo. Zmniejszyła się również liczba żeńskich członków rodzin zatrudnionych w rolnictwie. Liczba ta wynosiła w r. 1895 4 068 296 — a w roku 1907 2 767 649; tylko w ogrodnictwie liczba ta wzrosła z 61 294 na 69 746.

Ogólna liczba żeńskiej ludności rolnej zmniejszyła się właśnie skutkiem ubytku służby żeńskiej i żeńskich członków rodzin. Liczba ta wynosiła w r. 1895 5 784 041 osób, w roku 1907 5 670 844. Zaznaczyć jednakże i tutaj należy, że tak samo zmniejszyła się liczba męskiej ludności rolnej z 5 326 313 w roku 1895 na 4 926 159 w roku 1907. W każdym razie liczba żeńskiej ludności rolnej jest większą od liczby męskiej ludności rolnej. Niezmiernie ciekawym jest objaw ucieczki kobiet ze stosunku służbowego: w r. 1895 — 243 999, w r. 1907 — 113 896. Przeszło połowa kobiet opuściła w 12 latach służbę, by zarobkować w inny sposób.

Wspomniana statystyka rozdziela osoby zarobkujące także według stanowiska, jakie w zawodzie swoim zajmują, a więc na samodzielnych (właściciele, dzierżawcy, kierownicy), na urzędników (ekonomowie, wolontarjusze i uczniowie) i na robotników (parobcy, dziewki i dzionkarze, do których zalicza się także członków rodzin).

Liczba samodzielnych kobiet w rolnictwie zmniejszyła się. W roku 1895 były 2 907 732 kobiety samodzielne, w r. 1907 2 010 331. Także liczba urzędników żeńskich zmniejszyła się 1895 — 73 231, 1907 — 59 417. Natomiast liczba robotników żeńskich urosła w r. 1895 2 728 786, 1907 — 3 510 825.

Podobny objaw stwierdzono nietylko w Prusiech, ale w całej Rzeszy niemieckiej. Liczba samodzielnych kobiet na całej Rzeszy wynosiła w roku 1895 5 060 055, w rokn 1907 3 558 917 osób. Liczba urzędników w r. 1895 127 587, w r. 1907 117 611! Natomiast liczba robotników żeńskich podskoczyła z 4 447 065 w r. 1895 na 5 709 452 w r. 1907.

Dla uzupełnienia tego obrazu jednakże stwierdzić należy, że ubyło także mężczyzn samodzielnych w rolnictwie tak w Prusiech jak i w Rzeszy. W Prutiech było samodzielnych mężczyzn w rolnictwie w r. 1895 2 428 708 — w r. 1907 2 311 690. Rzeszy niemieckiej w r. 1895 4 408 765, w r. 1907 4 236 481.

Przyczyną ubytku samodzielnych osób w rolnictwie nietylko kobiet lecz i mężczyzn jest fakt, że i w rolnictwie kapitał coraz więcej się skupia, koncentruje i że skutkiem tego powiększają się wielkie przedsiębierstwa, a nikną małe.

Rozmaitości

Koleje żelazne w Europie w dniu 1-go stycznia 1908 miały 317 654 kilometrów długości. Najdłuższa sieć kolejowa, bo 58 385 klm. miała Rosja, po niej idą Niemcy z 58 040, Francja z 47 823, Austro-Węgry z 41 605, Anglja z 37 150, Włochy z 16 596, Hiszpanja z 14 850, Szwecja z 13 392 kilometrami. — Zupełnie innym jest stosunek kolei żelaznych do powierzchni kraju, czyli gęstość sieci kolei żelaznych. Na 100 kilometrów kwadratowych powierzchni miały kilometrów kolei: Luksemburg 19,7, Belgja 15,9, Anglja 11,8, Szwajcarja i Niemcy po 10,7, Danja 8,9, Francja 8,8, Austro-Węgry 6,2, Szwecja 3,0, Rosja 1,1. Odmiennym jest znów stosunek kolei żelaznych do ludności i tak było na 10 000 ludności kolei żelaznych w kilometrach: w Szwecji 26,1, w Luksemburgu 21,6, w Szwajcarji 13,4, w Danji 14,0, we Francji 12,3, w Austro-Węgrzech 8,8, w Niemczech 10,3, w Rosji 5,5. Z tych cyfr wypada, że w Europie najwięcej kolei ma Rosja, najgęstszą ich sieć ma Belgja, w stosunku zaś do ludności ma kolei najwięcej Szwecja.

* * *

Samochód na szczycie Alp. Para turystów angielskich, niejacy pp. Douglas Fawett, odbyli kilka dni temu ekscentryczną wycieczkę samochodem na szczyt Montanvers, wzniesiony na 1985 metrów. Droga jest uciążliwa i bardzo stroma, a miejscami tak wązka, że dwa muły ledwie wyminąć się mogą. Podróż swoją pp. Douglas podzielili na dwie części: pierwszego dnia jechali od godz. $3^1/_2$ po południu do 7 wieczorem, na drugi dzień po $1^1/_2$ godzinnej jeździe znaleźli się na szczycie, witani owacyjnie przez liczne grono alpinistów. Jestto pierwsza tego rodzaju próba, dokonana na samochodzie, specjalnie w tym celu zbudowanym przez znaną firmę francuską „de Dion-Bouton“ w Paryżu.

Z literatury i sztuki

„Krytyka“, miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt VIII i IX na sierpień i wrzesień.

Treść: Część pierwsza: (f) Niemcy współczesne. — Z. K.: Narodowe organizacje robotnicze w Królestwie. — L. Kulczyckiego: Współczesny syndykalizm robotniczy. — J. Kwiatka: Pisma Słowackiego treści ideowo-politycznej. — H. Kozickiej: Religja w nauczaniu i wychowaniu. — Juniusa: Współcześni politycy polscy. — IX. Erazm Piltz — Przegląd: Juniusa: Z trzech zaborów — Ludwik Gumplowicz: Wspomnienie pośmiertne. — Królewiaka: Z Kongresówki. — Sprawozdania naukowe.

Część druga: T. Micińskiego: Hańba narodu. — Wincentego Brzozowskiego: Prozerpina zrywająca fijołki. Modlitwa do gwiazd. Godzina. Poezje. — Dra Bron. Biegeleisena: Filozofja Bergsona. — Rom. Minkiewicza: Dramat duszy polskiej („Róża“ Józefa Katerli). — Ewy Łuskini. Neitaker — „Piękna na różanym wozie“. — R. Zrębowicza: Dramat Staffa. — Mariona: Posłanie. — K. Kwiecińskiego: Jeszcze o „Widzeniu ks. Piotra“ i Młokiewiczowskiem 44. Przegląd: A. Zagórskiego: Teatr lwowski. — Jana Kleczyńskiego: „Tygodnik ilustrowany“ o Wyspiańskim. — Bol. Walek-Walewskiego: O muzyce słów kilka. — Wł. Bogusławski. Wspomnienie pośmiertne.

Adres „Krytyki“: Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 38. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 września 1909.

WŁ. ANDRYCHIEWICZ.

THEMIS.

Na Akropolu tłumnie było i gwarno: obchodzono tam święto bogini sprawiedliwości.

A było to za czasów cekropsowych, kiedy bogowie Grecji nie gardzili towarzystwem ludzi i chętnie zstępowali na ziemię, żeby z nimi dzielić nietylko zabawy, ale i pracę.

Mężowie ateńscy zasiedli wpółkole pod nieśmiertelnem drzewem oliwnem, mając za sobą tłumy i dzieci, i starców, i dziewic powabnych, i pięknych dzielnością młodzieńców. A drugą połowę owalnego ogrodu, jakim był Akropol, zajęli w zaróżowionych od promieni słonecznych obłokach, sami bogowie.

I nie brakło tam żadnego z nich, a nad wszystkimi panował Zeus gromowładny, którego oczy świeciły blaskiem mądrości i potęgi.

Ale nie na Zeusa zwrócona była w tej chwili uwaga obecnych.

Pośrodku bogów i ludzi, na skalistem wzniesieniu, miękkimi pokrytem wrzosami, stała Themis, a u stóp jej, przy krzewie róży jerychońskiej, widzieć można było trzy urocze jej córy: Dikę, Irenę i Eunomję, z miłością i uwielbieniem wpatrujące się w oblicze matki.

Postać bogini sprawiedliwości jaśniała wdziękiem i majestatem. Na czole jej panował spokój niebiański, oczy szeroko otwarte patrzyły w dal nieskończoną, a śnieżnej białości suknia opadała w Fidjaszowych linjach aż do ziemi, uwydatniając boskie kształty ramion i piersi.

Jedną rękę oparła bogini na mieczu, a drugą przed sobą trzymała wagi.

Tu, przy tych wagach, skupione były wszystkie myśli obecnych; tu, do tych krążków jaspisowych, zawieszonych w powietrzu, przykute były oczy i bógów, i ludzi, bo na nich miały zawisnąć i od nich zależały losy żywych i umarłych

I widziano, jak złość ludzka z jękiem głuchym opadała na jedną z dwóch szal. W miarę napełniania się szala ta przechylała się ku dołowi, a druga szala, przeznaczona na dobre uczynki, lekka, jak skrzydło jaskółki, wznosiła się w górę.

Szala występków z każdą chwilą stawała się cięższą i opadała coraz to niżej.

Nagle dłoń Themidy zadrżała.

Z szali, na której pośród jadu, krwi i żółci, kłębiły się syczące żmije złości ludzkiej, wychyliła się blada, pomarszczona, pełna boleści twarz nieszczęścia ludzkiego i z nieśmiałością i bojaźnią wielką podniosła powolnie oczy w stronę bogini.

Zrobiło się tak cicho, że żadna muszka nie śmiała poruszać skrzydłami, żaden liść nie opadał z drzewa, a wszystkie piersi powstrzymały oddech.

Themida, która dotychczas ze wstrętem odwracała się od szali występku, dostrzegła tam nieszczęście ludzkie.

Czoło jej białe pokrył cień smutku, głowa jej pochyliła się na piersi, a z oczu pypłynęły dwie wielkie łzy i spadły na szalę dobrych uczynków.

Zakołysały się szale i ku wielkiemu zdziwieniu bogów i ludzi, naprzód zrównały się, chwilę trzymały się na jednym poziomie, aż wkońcu ta, na której były łzy, opadła na dół.

— Co tam? — zakrzyknął Zeus chmurny.

Bogini milczała, ale stojące tuż obok Dike, Irena i Eunomja wyręczyły ją i głosem, pełnym słodyczy i spokoju, odrzekły:

— Panie! Panie! A oto na dnie złości mieści się nieszczęście ludzkie. I większe ono, niźli złość sama. Ale łzy matki naszej, łzy litości i miłosierdzia więcej ważą, niźli złość ludzka i nieszczęście razem!

Zeus ściągnął brwi gniewnie. Ziemia zadrżała w posadach swoich, lasy zaszumiały, a wicher wyjący rozwiał włosy obecnych i grozą przejął dusze nieśmiertelne.

Zeus skinął — wysunęły się z tłumu Erinnje, którym poruczono czuwać nad spokojem sumienia bogów i ludzi, podeszły do Themidy, zdjęły przepaskę z jej ramienia i przysłoniły nią jej oczy.

Od tego czasu bogini sprawiedliwości nie widzi, co się dzieje na szalach.

Ale, kiedy uszu jej dochodzą jęki ludzkie, chwieje się i słania, jako młoda topola w czas burzy, a wagi drżą wtenczas w jej dłoni.

Cholera.

(Dokończenie.)

Właściwą przyczynę cholery wykrył dopiero Robert Koch w r. 1883 w postaci prątków kształtu przecinka, tak zwanych przecinkowców cholery. Chorobotwórczego swoistego znaczenia przecinkowców cholery dowiódł Koch na zasadzie stałej obecności tego drobnoustroju w cholerze, a stałego jego braku w innych sprawach patologicznych, oraz na podstawie doświadczenia na zwierzętach.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że zakażenie w cholerze następuje tylko wskutek dostania się zarazka do przewodu pokarmowego. Zakażenie przez drogi oddechowe lub przez bezpośrednie przenikanie zarazka do obiegu krwi nie zdarza się w cholerze. Przecinkowce dostają się do przewodu pokarmowego z zakażonym pokarmem lub z wodą do picia; zakażeniu za pośrednictwem wody przypisywał Koch największe znaczenie. Jakość wody do picia wpływa wyraźnie na rozwój epidemji. Przytaczają jako przykład miasto Hamburg, które otrzymywało wodę niefiltrowaną z Elby i gdzie w r. 1892 panowała rozległa epidemja cholery; tymczasem w Altonie, stanowiącej właściwie przedmieście Hamburga, w której wodociągi są lepiej urządzone i opatrzone, cholera czyniła w tym samym czasie nieznaczne tylko postępy.

Z chwilą zbliżania się epidemji cholery okólniki różnych władz polecają picie wody przegotowanej. „Przegotowana woda!“ Jakie świadectwo ubóstwa wystawia sobie społeczeństwo, jeśli w chwili zbliżania się cholery wy

daje hasło, aby nie używać nie przegotowanej wody w gospodarstwie domowem! Czyż nie jest to samooskarżeniem, jeśli nasze gminy nie są w stanie dostarczyć tego najważniejszego środka spożywczego, wolnego od chorobotwórczych przymieszek i pozostawiają to każdemu poszczególnemu przez przegotowanie uczynić go dopiero zdolnym do użytku?

Przegotowana woda! Jaka ironja w ustach klas posiadających wobec niczego — lub mało — posiadających, którzy nie są w stanie zaoszędzić odpowiednich środków, nie mają odpowiedniego lokalu i czasu potrzebnego dla połączonego z trudnościami przegotowania i chłodzenia wody. Jedno z burżuazyjnych pism pruskich „Patriot" pisało w r. 1892, występując przeciw zakazowi odbycia rocznego jarmarku w Lipsku: „Wreszcie pochłania zaraza wyłącznie tylko tych, którzy nie żyją wedle przepisów hygjeny!" Nie „gotowanej wody" domaga się hygjena społeczna od socjalno działających i racjonalnie ekonomicznie gospodarujących władz, lecz zdrowej i smacznej wody, którą gmina bezpłatnie i w każdej ilości dla wszystkich celów gospodarstwa domowego dostarczać powinna. Gmina, która tego nie czyni, nie wykonuje odpowiednio swych obowiązków.

Oprócz wody do picia rozmaite środki spożywcze, zakażone przecinkowcami, mogą być również rozsadnikiem zarazka. Należą tu mleko, masło, ser, owoce, mięso i jarzyny. Zakażenie szerzyć się może jeszcze przez bieliznę, ubranie i rozmaite przedmioty, zawalane wypróżnieniami chorych. Ten sposób przenoszenia zarazka cholerycznego zdarza się bardzo często. Nieraz pościel i rzeczy, zabrane po zmarłym na cholerę i przewiezione przez krewnych do innej miejscowości, stają się źródłem epidemji.

Bardzo często zapadają też na tę chorobę praczki, piorące zanieczyszczoną odchodami cholerycznymi bieliznę; prątki, znajdujące się na bieliznie, dostają się w tych przypadkach na ręce i tą drogą, wraz z pożywieniem, do przewodu pokarmowego. Zwracano już uwagę i na to, że muchy mogą również roznosić zarazek; znajdowano bowiem żywe przecinkowce na nóżkach i skrzydełkach much, schwytanych w trupiarni, gdzie składano zwłoki zmarłych na cholerę. Możliwą jest więc rzeczą, że muchy przenoszą zarazek na środki spożywcze lub usta zdrowych ludzi.

Z danych statystycznych wynika, że śmiertelność w cholerze waha się pomiędzy 40—60 proc., liczby te jednak nie zupełnie odpowiadają rzeczywistości. Lekkie przypadki zakażenia cholerycznego usuwają się po największej części z pod kontroli lekarskiej; większość wykazów statystycznych obejmuje tylko przypadki rozwinięte i ciężkie cholery, dlatego odsetka śmiertelności wygląda tak zatrważająco.

Teatr chiński.

Chińczycy są wielkimi zwolennikami teatru i przedstawień teatralnych, czyli jak nazywają teatr historycy chińscy „rozkoszy pokoju i dobrobytu". Teatry są w Chinach bardziej popularne i częściej odwiedzane niż w jakimkolwiek innym kraju. Od gór Altalskich aż pod morze Żółte, w małych miejscowościach Mandżurji i u granic Tonkinu, niema chyba chińczyka, któryby nie zajmował się sztuką sceniczną. Podczas przyjęć na dworze nie obejdzie się nigdy bez przedstawienia na cześć gościa w cesarskim teatrze nadwornym, a gdy mandaryn obejmuje nowy urząd, urządza przed swym pałacem przedstawienie ludowe, wynajmując w tym celu jakąś trupą teatralną. Gdyby zaniedbał tego tradycyjnego zwyczaju, naraziłby się na to, że gdy ukaże się po raz pierwszy na mieście, pobiegłoby za nim mnóstwo kulisów i żebraków, którzy śpiewaliby satyryczne piosenki, sławiące jego skąpstwo. Otwarcie nowego interesu, wyzdrowienie z ciężkiej choroby, urodzenie syna, wogóle każde ważniejsze zdarzenie w życiu, staje się powodem dla każdego chińczyka do wynajęcia trupy aktorskiej i urządzenia na jakimś wolnym placu przedstawienia.

Tak więc teatr jest rozrywką, przystępną dla wszystkich i to bez opłaty, lecz dla mandarynów, którzy zazwyczaj, ponieważ należy to do dobrego tonu, utrzymują własną trupę i własną zarezerwowaną tylko dla swych gości salę, teatr jest wcale kosztowną zabawką. W Pekinie, Tientsinie, Szanghaju, Kantonie i innych większych miastach wysocy dostojnicy i bogaci kupcy uważają za konieczne przy każdem większem przyjęciu urządzać przedstawienia dla swych gości podczas obiadu. Skoro tylko zjawi się na stole pierwsze danie, ukazują się w jadalni trzej lub czterej bogato przybrani aktorzy. Jeden z nich wśród uroczystych głębokich ukłonów podaje panu domu książkę, która zawiera złotymi czcionkami drukowany ich repertuar. Na prośbę gospodarza najcelniejszy gość wybiera dramat lub komedję, który chciałby zobaczyć, poczem wśród okropnego hałasu „ku" (bębna ze skóry bawolu), dźwięków „niu kau" (rodzaj gitary), trąb i spiżowych gongów zaczyna się przedstawienie.

W niektórych większych miastach istnieją specjalne budynki teatralne, zazwyczaj jednak przedstawienia odbywają się na placach publicznych, w szopach drewnianych, na których budowę dają pieniądze kupcy, mieszkający w pobliżu placu. W głębi tego rodzaju budy teatralnej wznosi się scena wzniesiona na prętach bambusowych, zasłonę tworzą czerwone płachty bawełniane. Muzyka mieści się u stóp estrady. W widowni tylko lepsze miejsca są płatne. Mandaryni, kupcy wogóle bogatsi, siedzą na własnych stołkach, które przynoszą im ich służący. Mimo to wśród całej publiczności panuje nastrój wielce familijny. Nieraz się zdarza, że w pewnym bardziej dramatycznym momencie jakiś obdarty kulis zacznie rozmawiać w najlepsze z jakimś bogato przybranym mandarynem o sztuce, lub o grze aktorów, mandaryn zaś, aby okazać, że rozmowa była dlań przyjemna, posyła owemu kulisowi ciastko lub kawałek melona. Młodzi adepci sztuki aktorskiej opuszczają czasem swe miejsca, wdrapują się z całą swobodą na scenę i siadają obok czuwającego tam policjanta, by wypalić z nim fajkę, wypić filiżankę herbatę lub zjeść trochę owoców. Elewi sztuki scenicznej wyglądają nieraz wcale elegancko, gdy w barwnym jedwabnym stroju, z piórem pawiem u baretu powoli kroczą przez widownię.

Muzyka cieszyła się ongi w państwie środka wielkiem poważaniem. Konfucjusz zaleca studjum tej sztuki tak samo prawie jak naukę historji i literatury. Trudno więc zrozumieć, dlaczego synowie państwa niebieskiego są dziś tak marnymi muzykami, gdyż mimo najlepszych chęci nie można nazwać muzyką tej straszliwej kakafonji, którą tworzą kłócące się ze sobą i rozdzierające uszy tony skrzypiec, trąb szklanych, ogłuszających gongów, ciągłego gwizdu fletów i szczęku kastanietów.

Wszystkie bez wyjątku role, nawet kobiece, grają w teatrze chińskim mężczyźni. Datuje się to od czasów, gdy cesarz Kien Long, pojąwszy za żonę aktorkę wydał edykt, ktorym wzbronił kobietom wstępu na scenę. Należy jednak podnieść, że aktorzy chińscy tak doskonale owładnęli sztuką szminkowania się i mimiki, że tyko oko chińczyka zdoła rozpoznać, iż rolę naiwnej gra mężczyzna. Klasyczny repertuar zawiera sztuki treści historycznej i mitologicznej.

Publiczności podobają się jednak bardziej sztuki realistyczne i komedje, sceny komiczne i dowcipy wywołują zawsze hałaśliwą radość. Inscenizacja jest bardzo prosta i wzrusza swą naiwnością. Przed każdym aktem ukazują się na scenie aktorzy, którzy w nim występują, aby wytłomaczyć widzom, co przedstawiają, jaką rolę grają i co będą robili w tym akcie. Na scenie niema zbyt wiele dekoracji, wystarcza stół, łóżko i kilka krzeseł. Gdy jakiś rycerz ma dosiąść na konia, by wyruszyć na wojnę, nie przyprowadzają mu konia. Wystarcza, że podnosi poprostu prawą nogę jak gdyby wkładał ją w strzemię, a publiczność wie już dobrze, co to oznacza; uderzenie bata zaś wskazuje, że koń poszedł w cwał. Jeśli jakiś gienerał chce podpalić zdobyte przez się miasto każe przynieść sobie płonącą pochodnię, wrzeszczy jak opętany, co oznacza, że płomienie ogarnęły już wszystkie domy. Trochę tylko fantazji, a obejdzie się bez wszelkich rekwizytów.

Tym bogatsze za to są kostjumy. Aktorzy są przytem także i akrobatami; książęta występują w złoconych pancerzach i olbrzymich butach filcowych, cesarzowa w sukniach z najdroższego jedwabiu, rycerze w przedziwnych strojach, z pięknymi szablami i kołeczami, rozbójnicy w czarnych

i czerwonych maskach a nawet poważni, siwobrodzi mandaryni, wszystko to skacze nieraz sobie do oczu, stacza bójki na lance i maczugi, skacze jeden przez drugiego i wywraca kunsztowne koziołki, by nagle przerwać grę i w środku najbardziej naprężonej sytuacji uczynić pauzę i wypić szklankę herbaty, lub zjeść kawałek melona, który rzuci na scenę jakiś rozentuzjazmowany widz. Język tych sztuk jest bardzo obrazowy, to też, by zrozumieć np., że zdanie „złoty kruk zjawia się w chwili, gdy znika niebieski królik", znaczy po prostu „słońce schodzi, gdy znika księżyc" — trzeba być urodzonym chińczykiem. Europejczykowi sztuki chińskie wydają się czemś zarówno dziwacznem, jak wogóle Chiny i cała kultura chińska, lecz mimo to wiele sztuk nie jest bez wartości.



Jedna z form bezpośredniego prawodawstwa ludowego w Szwajcarji

Ideałem demokratyzmu jest wydawanie praw przez samych obywateli bez udziału przedstawicieli, czyli t. zw. bezpośrednie prawodawstwo ludowe. Jednym z niewielu krajów, gdzie ono istnieje, jest Szwajcarja, licząca zaledwie około $3^1/_2$ mil. mieszkańców. Co wiosnę odbywa się tu szereg zgromadzeń, na których ludność prawa uchwala. Zgromadzenia takie, czyli t. zw. „landsgemeinden" (gminy krajowe) właściwe są jednak tylko niektórym częściom czyli kantonom szwajcarskim. Całe państwo bowiem, którego zapoczątkowaniem był związek 3 kantonów w końcu XIII wieku zawarty „na wieczność dla wspólnego dobra", składa się obecnie z 22 kantonów i 2 półkantonów. Tworzą one razem państwo związkowe, zachowując dużą samodzielność w sprawach wewnętrznych, a poddając się centralnemu rządowi w sprawach ogólnych, wspólnych. Jeszcze Napoleon, który robiąc na początku XIX wieku „porządek" w całej Europie, nie omieszkał i Szwajcarję swoją pomocą obdarzyć, orzekł: „natura stworzyła was na państwo związkowe, żaden rozumny człowiek nie próbuje zwyciężać natury". Istnieje osobno konstytucja związkowa i osobno konstytucje poszczególnych kantonów, rada czyli parlament związkowy i rady kantonalne, sąd związkowy i sądy kantonalne itp. Do jakiego stopnia kantony w urządzeniu swoim są autonomiczne świadczy fakt, że np. w jednym kantonie (Fryburg) istnieje kara śmierci dla zabójców, a w innych nie.

Nazewnątrz Szwajcarja stanowi jednolite państwo, występuje jako jednostka w stosunkach międzynarodowych, dla tego nazywa się państwem związkowem, a nie związkiem państw. Organami prawodawczymi są obok instytucji przedstawicielskich (rad związkowej i kantonalnych), do których posłowie wybierani są oczywiście na zasadzie powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania, jeszcze i instytucje bezpośredniego prawodawstwa, gwarantujące maximum demokratyczności. Taką instytucją w samem związkowem państwie i w większości kantonów jest prawo veto, referendum i inicjatywy, które przysługuje ludowi. Referendum bywa obowiązkowe, gdy wszystkie prawa zanim staną się obowiązujące muszą być poddane pod powszechne głosowanie i fakultatywne — gdy powszechne głosowanie odbywa się na żądanie pewnej ilości (30 tys.) obywateli. Tylko jeden kanton — klerykalny Fryburg — nie posiada wcale referendum kantonalnego, mieszkańcom jego jednak przysługuje referendum w sprawach ogólno-związkowych.

„Landsgemeinde", o której dziś mamy mówić, jest właściwie pewną odmianą obowiązkowego referendum i stanowi najczystszą formę demokratycznego ustroju. Forma ta, która dawniej była bardziej rozpowszechniona w Szwajcarji, jest dziś pewnym zabytkiem historycznym, który utrzymał się w 2 całych i 4 półkantonach, posiadających od 13 do 55 tysięcy ludności każdy. Niewielkie zaludnienie tych kantonów pozwoliło na przechowanio tej formy, która w większych byłaby niemożliwa ze względów czysto technicznych. Zbiera się bowiem na jednym placu cała uprawniona do głosu męska ludność danego kantonu i głosuje jawnie nad wszystkiemi prawami kantonalnemi.

Najpoważniejszem jest to zgromadzenie prawodawcze w półkantonie Ausserrhoden (Rhody zewnętrzne — część kant. Appenzell). Odbywa się ono zawsze w jedną z niedziel, gdy wszyscy mają czas wolny, w kwietniu. Rada kantonalna wzywa ludność na „Landsgemeinde" w odezwie specjalnej, gdzie podają miejsce, porę itp. Zaprasza wszystkich mężczyzn od 20—60-letnich, grożąc każdemu nieobecnemu bez ważnej przyczyny karą 10 fr. W każdej wsi zostają się tylko kobiety, dzieci, starcy i po jednym młodzieńcu na wypadek pożaru. Ktokolwiek pozatem uchyla się od spełnienia swego obowiązku obywatelskiego, musi się chować po kątach, bo go palcem wytykać będą. Odezwa poleca wszystkim ubrać się przyzwoicie i przypasać stary, pradziadowski miecz do boku — jest to bowiem jedyny znak, którym można odróżnić uprawnionych do głosowania od licznych bardzo widzów. Zgromadzenie naznaczone na godzinę 11 rano, wszyscy zjawiają się z punktualnością nadzwyczajną: prawda, że nie mają zbyt daleko, bo cały kanton bodaj nie ma 10 kil. w promieniu. Gromadzą się oczywiście pod gołym niebem, na wielkiej łące w końcu wsi, gdzie na tę okazję zbudowano specjalną trybunę dla prezydenta kantonu i radnych. Appenzellczycy z mieczami, które zresztą śmiesznie nie pasują do ich cywilnego niedzielnego stroju, stoją zbitą gromadą pośrodku, heroldzi biorą się za ręce i otaczają ich kołem, poza którem dopiero w pewnym oddaleniu wolno stać publiczności. Każdy właściciel miecza dostaje darmo broszurkę z porządkiem dziennym „Landsgemeinde" czyli z wydrukowanemi w całości projektami praw, nad któremi ma się odbyć głosowanie; tegoroczna broszurka obejmowała 72 str. druku. Zebrało się 11 000 obywateli. Porządek i karność imponujące. Dawne obyczaje zachowane. Pyzebrani w średniowieczne stroje dobosze, w aksamitnym ubraniu o krótkich spodniach i w kapeluszu z pióropuszem, biją w bębny. Cała zgromadzona ludność intonuje pieśń patrjotyczną. Prezydent kantonu zagaja Landsgemeinde i ogłasza porządek dzienny. Cisza, wszyscy słuchają w skupieniu. Odbywa się naprzód wybór członków rządu wykonawczego: 7 do rady rządzącej i 11 do sądu. Ktokolwiek z poprzednio piastujących urzędy nie podał się zawczasu do dymisji, tego się w głosowaniu przez podniesienie rąk bądź zatwierdza bądź odrzuca. Kandydatów na wakanse może stawiać każdy, głosuje się w takiż sam sposób. Przy głosowaniu nie liczy się głosów, byłaby to zbyt duża robota — prezydent z heroldem oceniają na oko, czy jest większość czy nie, w razach wątpliwych głosują powtórnie lub nawet 3 raz. Dla znalezienia w tłumie nowowybranego, sąsiedzi jego podnoszą ręce, wówczas dobosze przecinając tłum docierają do niego, biorą go pomiędzy siebie i odprowadzają na trybunę. Po wyborach następuje głosowanie nad prawami. Niema dyskusji, tylko samo głosowanie. Ludność zapoznaje się z projektami w ciągu roku — z gazet, które przeprowadzają polemikę i z zebrań politycznych. Trzymane w ręku broszurki przypominają brzmienie projektów. Herold je odczytuje, pyta kto za, ocenia ilość podniesionych rąk, kto przeciw, znów ocenia i ogłasza rezultat.

W tym roku głosowano nad 7 projektami prawodawczymi: 1) prawo o szkołach; 2) o czeladnikach; 3) o banku kantonalnym; 4) o wynagrodzeniu rady rządzącej; 5) o popieraniu hodowli bydła; 6) o udziale państwa w budowie kolei; 7) o przyjęciu 3 szos prowadzących do dworca w Herisau do sieci kantonalnych dróg. Wszystkie te prawa były opracowane, przedyskutowane i przyjęte w głosowaniu przez radę kantonalną, złożoną 56 członków, która je obecnie przedłożyła Landsgemeinde. Nie mały one w tym roku szczęścia: nastrojeni opozycyjnie obywatele odrzucili wszystkie z wyjątkiem 7. Prawo szkolne odrzucono już po raz trzeci. Skarżył się na to pewien nauczyciel: znowu w ciągu roku sprawa szkolna pozostanie nieuregulowana. Ludność rolnicza, dość konserwatywna, a nadewszystko skąpa, nie lubi dużych wydatków. Ale lud jest najwyższą instancją, sam sobie panem. W największej ciszy i porządku odbyły się wszystkie głosowania i oto upłynęła tylko godzina czasu. Wierzyć się temu nie chce, gdy się porówna jakieś studenckie zebranie, na którym drobna sprawa administracyjna może zająć parę godzin. Tu w ciągu 1 godziny na rok 11 000 obywateli stanowi prawa. Śpiewają znowu swój hymn narodowy i dumni ze spełnionego obowiązku obywatelskiego, gawędząc, a popijając piwo w okolicznych budach, rozchodzą się do domów.

Tejże niedzieli odbyło się kilka innych „Landsgemeinde", mniej licznych i poważnych. Drugi pół-kanton Appenzell-Innerrhoden (Rhody wewnętrzne) uchwalił prawo ekonomiczne. Landsgemeinde w Nidwaldzie, składająca się z 1200 uczestników, przyjęła 5 praw: 1) o uregulowaniu pomocy ubogim, 2) o podatku państwowym $1^1/_2{}^0/_0$, 3) o zmianie prawa szkolnego, 4) o katonalnym banku i 5) o kupnie lasów; 6) wniosek o podwyższeniu pensji sekretarza sądu został przyjęty przy powtórnem głosowaniu. W Obwaldzie brało udział w Landsgemeinde 2000 obywateli. Uchwalono jednogłośnie prawo o rozszerzeniu praw ludowych i zapomogę w celu uregulowania rzeki. Ustawę o prawie na wodę odłożono, odrzucono zaś prawo o podatku państwowym $^1/_2{}^0/_0$. Następnej niedzieli, 2 maja, odbyła się Landsgemeinde kantonu Uri z udziałem 2500 uczestników. Różni się ona tem, że dopuszcza dyskusję. Tym razem na porządku dziennym była inicjatywa oberżystów o zniesieniu zakazu tańców w niedzielę. W dyskusji przeciw prejektowi występowali namiętnie przedstawiciele kleru i rządu. Po dwukrotnem głosowaniu projekt upadł, choć małą większością. Mniejszość nie daje za wygraną i chce zwołać nową Landsgemeinde.

Wreszcie 9 maja odbyła się „Landsgemeinde" kantonu Glarus. I tu dyskutowano namiętnie w ciągu dwu godzin, w rezultacie jednak przyjęto wszystkie wnioski proponowane przez radę kantonalną. — Tak się rządzi lud w wolnej Szwajcarji.

K. H.

Rozmaitości

Jubileusz skrzynki pocztowej. W bieżącym roku przypada 350 letni jubileusz skrzynki pocztowej, pojawiającej się po raz pierwszy w Paryżu, gdy urządzanie poczty listowej było prywatnem przedsiębiorstwem. We Włoszech istniały również w wieku XVI skrzynki wystawione publicznie, służyły one jednak wyłącznie policji do odbierania bezimiennych doniesień i zwały się tamburi. W Berlinie zaprowadzono pierwsze skrzynki pocztowe w roku 1766, szersze jednak jej rozpowszechnienie w Niemczech jak też i w Austrji przypada dopiero na początek XIX wieku. Początkowo wybieranie listów ze skrzynek odbywało się w sposób prymitywny, za pomocą rąk przy otwarciu wieka.

Później wprowadzono skrzynki o zamknięciu skomplikowanem i wymagającem licznej obsługi. Wyszły one też szybko z użycia, jako niepraktyczne, wyparte przez skrzynki o t. zw. systemie szwedzkim, który do dnia dzisiejszego się utrzymał. W niektórych państwach są w użyciu skrzynki stojące w formie słupa, jak np. w Anglji. W głównym urzędzie pocztowym w Londynie znajduje się skrzynka pocztowa zasługująca na wzmiankę z tego powodu, iż posiada liczne otwory podzielone wedle rozmaitych krajów, do których listy są przeznaczone, czem ułatwia odrazu mozolną pracę sortowania wybranych listów.

* * *

Trzechsetna rocznica lunety. W pierwszych dniach sierpnia upłynęło 300 lat od tego czasu, kiedy Galileusz zastosował po raz pierwszy lunetę. Opis tego nadzwyczajnego zdarzenia zachował się w notatkach prokuratora Gieronimo Priulli, który opowiada o tem, jak on w sierpniu 1609 roku razem z Gallileuszem i innymi ludźmi wszedł na Companile San Marco, żeby podziwiać cuda i niezwykłe działanie rury Galileusza, jak lunetę wówczas nazywano. Oto jak brzmi opis z dawnych czasów:

W niewielkiej rurze znajdowały się dwa szkła, z których jedno było trochę wygięte. Jak przybliżało się tę rurę do oczu to wyraźnie widziano wieżę, kopułę i fasadę kościoła Santa quistina w Padwie. Widać nawet ludzi, którzy szli do kościoła San Giacomo w Morana i stamtąd wracali, widać było jak siadali do gondoli, widać było wszystkie kościoły. Materjały dla wyrobu tej lunety sprowadzone były z Holandji.

* * *

Uniwersytety w Afryce. Dotyczczas posiadała Afryka trzy wyższe uczelnie, z których jednak tylko uniwersytet w Kairze był zbliżony do typu europejskiego. Tak zwany uniwersytet kapsztadzki spełnia tylko funkcje urzędu egzaminacyjnego dla prawników i lekarzy, a dwie niegdyś słynne szkoły wyższe w Fezie i kairskim meczecie Azhar spadły z biegiem czasu do zwykłych szkół koranu. Obecnie powstaje uniwersytet w Algierze, stolicy kolonji francuskiej, gdzie dotychczas znajdowało się kilka osobnych szkół, w których wykładano w skróconym zakresie medecynę, farmaceutykę i matematykę. Szkoły te będą teraz złączone w jedną uczelnię o poziomie i z prawami uniwersytetu. Sprawę tę rozstrzygnięto podczas ostatnich posiedzeń Izby deputowanych i niewątpliwie senat uchwały zatwierdzi. Uniwersytet będzie posiadał wydziały: lekarski, prawny, farmaceutyczny, matematyczny i przyrodniczy, tudzież instytuty: gieograficzny, gieologji afrykańskiej i specjalny do studjów nad mapometanizmem, jako też kursy techniczne i agronomiczne. Z wyjątkiem tylko wydziału filologicznego i filozoficznego, będzie można składać w nowym uniwersytecie egzaminy ostateczne i otrzymywać dyplomy. Władze kolonjalne spodziewają się bardzo licznej frekwencji tego pierwszego uniwersytetu afrykańskiego w wielkim stylu, przedewszystkiem z pośród ludności miejscowej, ale również ze strony przejezdnych, gdyż Algier stał się w latach ostatnich bardzo uczaszczaną stacją klimatyczną. Uczeni francuscy reflektujący na katedry w uniwersytecie algierskim, otrzymają bardzo wysokie wynagrodzenia.

* * *

Czyją własnością jest Anglja? Pytanie dziwaczne! Anglja jest własnością narodu angielskiego. W zasadzie tak. Ale w rzeczywistości odpowiedź wypadnie inaczej. Prawie połowa Anglji należy tylko do 4000 właścicieli. Pięciuset członków Izby gmin posiadają trzecią część ziemi w Anglji. Najpiękniejsze dzielnice Londynu należą do dwunastu właścicieli. Ci ostatni za wydzierżawieniem gruntów pod budowę domów, fabryk, magazynów, pobierają rocznie czynsz w sumie 400 mil. mk., czyli blisko pół miljarda marek rocznie.

Oto lista i dochód ośmiu największych magnatów: Książę Westminster pobiera 60 mil. mk. czynszu dzierżawnego rocznie. Howard de Waldeu ma 58 mil. mk. rocznie. Książę Belfourd ma 45 mil. mk. rocznie. Lord Portman ma 37 800 000 mk. rocznie. Lord Northamptom ma renty rocznej z dzierżawy gruntu w Londynie 32 mil. mk. Książę Norfolk, właściciel terytorjum, na którem się wznosi elegancka ulica Strand, ma 30 mil. mk. rocznie. Tak samo hrabia (eart) Cadogau pobiera 30 mil. renty dzierżawnej. Kościół angielski ma z dzierżawy gruntów w Londynie 10 mil. mk. rocznie. Właściele ziemscy wydzierżawiają grunta na 99 lat. Przez ten czas budynki, postawione kosztem dzierżawców, tworzą własność zupełną i bezsporną tych ostatnich. Ale po upływie 99 lat wszystko, co się znajduje na powierzchni i pod powierzchnią wydzierżawionego terenu, przechodzi na własność posiadacza gruntu. Nie traci on zatem nic. Przez 99 lat pobiera czynsz dzierżawny. Z początkiem roku setnego dostaje za darmo nieruchomości wybudowane na owym terenie.

Z literatury i sztuki

W numerze 16 **„Promyka"**, postępowego pisma dla młodzieży i dla dzieci, znajdujemy krótki rys twórczości Juljusza Słowackiego oraz drugą część przepięknego „Ojca zadżumionych" dalej dokończenie wzruszającego „Cierpienia" J. Olszewskiej i bardzo zajmujący i obficie ilustrowany artykuł o Mrówkach miodowych, w przekładzie znanej przyrodniczki, W. Haberkantówny. W dziale „Ze świata" umieszczono notatki o odkryciu bieguna północnego i o popisach awiatycznych w Reims. W części dla młodszych dzieci kończy J. Sokolicz Wroczyński swój cykel przygód koła, zwanego „Panną Zośką"; spotykamy też znaną bajkę Krasickiego „Przyjaciele" Stronicę zakończa ładny obrazek z podpisem: „Mała mamusia."

Nr. 16 zamyka trzy pierwsze kwartały istnienia pisemka — dodany do numeru prospekt na IV kwartał zapowiada zamianę na tygodnik od dnia 1 października b. r., przyczem warunki prenumeraty zostają te same co dotąd, 2 korony czyli 1,70 mk. kwartalnie.

Adres Redakcji: Kraków, Wiślna 5, i Warszawa — księgarnia Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 39. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 września 1909.

Podbój atmosfery.

Ostatnie lata, a jeszcze bardziej ostatnie miesiące i dni wyraźnie dowodzą, że człowiek znajduje się w przededniu epoki, w której zacznie się jego panowanie i nad tą niedostępną pozornie dzielnicą naszej planety, za jaką w oczach tylu wieków uchodziła atmosfera.

Dzieje wkraczania człowieka do tej dzielnicy, inaczej dzieje zdobywania jej są niezwykle pouczające i nowy okres życia ludzkości wróżące. Zawarta w nich jest lekcja, która się nieraz powtarzała i która niewątpliwie jeszcze się nieraz powtórzy.

Lekcja uświadomienia sobie przez człowieka potęgi swego własnego umysłu i lekcja wiary w swą wielką przyszłość.

Ludzie o ptasich mózgach i skarłowaciałej wyobraźni — ludzie, opierający całą rację swego istnienia na dogmatach i wierze w zabobony — wreszcie ludzie, którzy wskutek słabości swego tchórzliwego umysłu i papierowej woli, zawsze się bali, by ludzkość potęgą swego gienjuszu nie wyrosła ponad obłoki i nieba i nie skontrolowała, jakie to moce rzekomo obrały sobie w nich siedlisko; — ludzie ci, przez długi szereg wieków wskazywali na naszą małość, a na wielkość tych potęg nieznanych, twierdząc, że umysł człowieka jest bardzo ograniczony i lekkiego powietrza nigdy nie pokona.

Człowiek, mówiono, jest stworzony do chodzenia po ziemi, a nie do latania w powietrzu i nigdy ptakiem nie będzie. Odważnych, którzy marzyli o zdobyciu atmosfery, nazywano szaleńcami, warjatami, jeśli nie bluźniercami.

Ale głosy ciemnoty i zacofania nie zmogły parcia postępu, który dziś oto zaczyna świetne i nowe święcić tryumfy. Okazało się, że prawda stoi nie po stronie tych, którzy boją się poznania jej, lecz po stronie tych, którzy ją poznają, nie bacząc na żadne ofiary i poświęcenia. Zapatrzeni w świetlany cel, idą aż do zwycięstwa.

Nieufność względem własnych sił jest hamulcem, który zazwyczaj wstrzymuje słabych na drodze postępu. Lada błahy argument nieprzyjaciela wali w gruzy cały ich zapał i stawia pozornie nieprzebyte barykady na drodze do osiągnięcia wytkniętego celu.

Nie z tych słabych i wątpliwych rekrutują się współcześni zdobywcy powietrzni: Zeppelin, Wright'owie, Latham, Forman, Bleriot i inni wiedzą dobrze, że prowadzą w dalszym ciągu dzieło, zapoczątkowane przez setki poprzedników, i że po nich przyjdą inni, którzy udoskonalą jeszcze to, co oni stworzyli. Wiedzą, że co dziś się może wydawać niemożliwem, za lat 10, 20 lub chociażby i wiek cały stanie się zupełną możliwością.

W dzisiejszym stanie wiedzy awjatycznej (sztuki latania) chodzi głównie o motor. Zasady unoszenia się w powietrzu są już powszechnie znane i z mniejszemi lub większemi zmianami stosowane przez wszystkich wybitnych żeglarzy powietrznych. Dalszy postęp w tym kierunku wymaga przedewszystkiem udoskonalenia motoru, który wprowadza w ruch cały system rozmaitych skrzydeł, śrub i sterów. Latham spadł do cieśniny Kaletańskiej. Wright'owie mocno się pokaleczyli i wszyscy inni pjonierzy powietrzni odnieśli rozmaite obrażenia głównie wskutek wadliwego urządzenia motorów.

Ale ten właśnie fakt pozwala twierdzić z zupełną pewnością, że stanowczy podbój atmosfery jest tylko kwestją czasu. Z balonami i marynarzami powietrznymi dzieje się obecnie mniej więcej to samo, co jakieś dziesięć lat temu działo się z samochodami. Dopóki nie wynaleziono odpowiedniego typu motoru, o dzisiejszej doskonałości automobilu mowy być nie mogło. Obecne rezultaty prześcigają najśmielsze oczekiwania.

Nie ulega kwestji, że w niedalekiej przyszłości to samo stanie się ze sztuką poruszania się w powietrzu.

Umysł człowieka podbije atmosferę, zwycięży naturę.

Ale nie umysł któregokolwiek pojedyńczego człowieka, lecz człowieka jako całości, człowieka zbiorowego, człowieka — ludzkości!

Nie bracia Montgolfier, nie d'Annonay, którzy już w 1783 roku pierwsze z balonami czynili próby, nie cały długi szereg ich naśladowców, skańczywszy na Renard', Santos Dumont', Lebaudy'm, Zeppelinie i tylu innych: nikt z nich pojedyńczo nie podbił powietrza, lecz powoli każdy z nich dokładał cegiełkę swego osobistego doświadczenia do wielkiego społecznego planu umysłowości ludzkiej.

I nietylko ten długi szereg bezpośrednich pracowników na tym polu przykładał rękę do podboju atmosfery, ale pośrednio stokroć dłuższy szereg fizyków, mechaników i rozmaitych często z nazwiska wcale nieznaaych wynalazców pracował nad dziełem, które wielu z nas gotowych jest uznać za płód osobistego gienjuszu Zeppelinów lub Lathamów, a które jest w rzeczywistości płodem pracy umysłowej wielu pokoleń — całej ludzkości.

Podział pracy w przyrodzie i życiu społecznem uczynił, że każda pojedyńcza jednostka wypełnia zazwyczaj jakąś jedną, poszczególną funkcję. Błędem wszakże byłoby przypuszczać, że jednostka ta jest samodzielnym twórcą danej rzeczy. Twórcą jest zawsze cały ogół, cała społeczność — jednostka zaś jedynie wykonawcą.

Stąd też wszelkie t. zw. wynalazki z natury rzeczy powinny zostawać własnością społeczną, czyli wspólną całego ogółu. Pomysł swój wynalazca winien społeczeństwu, które umożliwiło mu wykonanie danego wynalazku, dając wiedzę i środki materjalne, bez których niemożliwy jest żaden postęp.

W ustroju kapitalistycznym wynalazki nie zostają, jak wiadomo, własnością ogółu, Dzieje się to z krzywdą dla niego. I co gorsza, wynalazki, pozostając dziś w prywatnem posiadaniu kapitalistów, zwracają się następnie swem ostrzem przeciw klasie pracującej. Patrzeć tylko, jak dzięki wynalazkowi Zeppelina lub Formana, śmiercionośne pociski spadać będą z nieba na umundurowanych i uzbrojonych proletarjuszów.

W takich warunkach zamiast błogosławieństwa, podbój atmosfery przynieść musi przekleństwo dla ludu roboczego.

Inaczej byłoby, gdyby cały ogół rozporządzał wynalazkami, dokonanymi przez jego własnych członków. Płód umysłowości społecznej, stałby się dobroczyńcą samego społeczeństwa.

Możliwem to będzie tylko w ustroju socjalistycznym, kiedy wszystkie środki produkcji i wynalazki staną się własnością ludu pracującego.

Prawdziwie dojrzałe owoce z podboju atmosfery dopiero też w ustroju socjalistycznym spożywać będziemy mogli.

Za ile sprzedawano Polskę?

Z dziejów korupcji magnackiej.

Elekcja w Polsce była zawsze momentem wichrzeń i przekupstw zagranicznych. Kiedy w długim szeregu wojen w drugiej połowie XVII wieku sam byt państwa polskiego zawisł na włosku, stało się widocznem, że jakaś naprawa jest konieczną. Gorliwiej, niż sami polacy, zachodzili koło tego francuzi, ponieważ każde dalsze osłabienie Polski wzmacniało ich przeciwnika, cesarstwo niemieckie i Habsburgów. Postanowiła wówczas Francja przeprowadzić na tron Polski ks. Condé, człowieka dzielnego i zdolnego, a tej elekcji dokonać chciała za życia jeszcze Jana Kazimierza, który plan ich popierał. Pokrzyżować te plany usiłowała Austrja, pragnąca po śmierci króla przeprowadzić swego kandydata i Prusy, w interesie których nie leżał związek Polski z potężną Francją. Obie strony rozpoczęły walkę na pieniądze i austrjackie talary pokonały liwry francuskie. Zachował się ciekawy rachunek ambasadora francuskiego z pieniędzy, wydanych na przekupstwa w Polsce za jeden rok 1661. Znamienne to, że nawet korzystne dla Polski projekty musiały sobie drogę torować przekupstwem. Wypłacono mianowicie na same przygotowania do elekcji, ktora nie doszła do skutku:

Panu Piaseczyńskiemu, wysłanemu przed sejmem do hetmana w. koronnego	1.000	liwrów
Panu Pacowi na Litwę do wydania na sejmikach	13.000	(frank.) „
Panu Morsztynowi podskarbiemu w. k. 3 lata pensji	27.000	„
Pani Morsztynowej	3.000	„
Rezydentowi kurlandzkiemu za przejęcie listów Lisoli (posła austrjackiego) do Moskwy i Kurlandji	600	„
Służącemu Lisoli za przejęcie listów, pisanych przez jego pana do Wiednia	1.200	„
Panu staroście bydgoskiemu (Zieliński Jan)	3.000	„
Panu Dembickiemu	3.000	„
Panu podkanclerzemu lit. (Sapieha Leon) tak dla jego osoby, jak do użycia na sześciu sejmikach litewskich	12.000	„
Panu podkanclerzemu lit. 600 dla dania, 3000 staroście żmudzkiemu (Chlebowicz Jerzy) 3000 dla posłów ziemi zmudzkiej razem	6.600	„
Panu Pacowi kanclerzowi w. lit.	30.000	„
Panu Leszczyńskiemu	4.000	„
Panu kanonikowi Wojeńskiemu dla kasztelana lwowskiego (Fredro Andrzej)	1.800	„
Panu Zaleskiemu, posłowi z Wielkopolski	1.500	„
Panom: chorążemu w. k., pisarzowi w. k. (Sapieha Jan), obóżnemu (Potocki Andrzej), strażnikowi (Sieniawski Mikołaj), Koreckiemu i głównym oficerom wojska koronnego po 4.800, razem	42.000	„
Panu Zielińskiemu	3.000	„
Panu Góreckiemu	1.200	„
Marszałkowi sejmowemu księciu Michałowi Radziwiłłowi	3.000	„
Kanclerzowi wojska koronnego (Prażmowski Mikołaj)	18.000	„
Hetmanowi wojska koronnego (Potocki Feliks	6.000	„
Pani Hetmanowej	3.000	(frank.)
Siostrzenicy pana Hetmana Agnieszce	1.200	„
Porucznikowi Potockiemu bratankowi hetmana	6.000	„
Innemu Potockiemu dworzaninowi J. kr. M.	600	„
Panu Cieszewskiemu adjutantowi hetmana	1.000	„
Posłowi, który odkrył, że Lisola rozdaje pieniądze	300	„
Panu Rejowi kanclerzowi królowej	3.000	„
Panu Wojewodzie wileńskiemu (Sapieha Paweł)	6.000	„
Panu kasztelanowi brzeskiemu Srudzińskiemu	2.000	„
Panu instygatorowi kor. (Żytkiewicz)	4.000	„
Panu Zielińskiemu	600	„
Panu Marszałkowi w. lit. (Zawisza Krzysztof)	1.200	„
Jednemu z oficerów związku święconego: (Czekańskiemu)	600	„
Panu sędziemu Sandomirskiemu przez p. Reja (Karwicki Andrzej)	600	„
Panu Przyjemskiemu, kasztelanowi łęczyckiemu	2.000	„
Panu Czarneckiemu (Stefanowi) dla wydania w obozie	30.000	„
Panu Czarneckiemu (Stefanowi) dla niego samego	12.000	„
Panu Stolnikowi (Branicki) i jego zięciowi (Chrystowicz) razem	6.000	„
Panu Judyckiemu pisarzowi w lit.	1.000	„
Ks. Wiśniowieckiemu (Dymitr)	3.000	„
Arcybiskupowi gnieznieńskiemu przymasowi (Leszczyński Wacław)	12.000	„
Bratu jego podkanclerzemu kor.	12.000	„
Panu Opalińskiemu marszałkowi nadw. k.	12.000	„
P. Pułkownikowi Coustiere	1.000	„
Pułkownikowi Bałabanowi	600	„
P. Chrapowieckiemu	3.000	„
Pani Pacowej	3.000	„
Starszyźnie pułk.: Bokuna	4.000	„
Sapiehy pisarza	3.000	„
Srotusa	3.000	„
koniusz. w.	3.000	„
Niemirycza	4.000	„
Buya	4.000	„
Panu Buyowi samemu	6.000	„
Panu staroście Garwolińskiemu	3.200	„
Panu Denhofowi podskarbiemu nadw. lit.	4.000	„
Pani Denhofowej	500	„
	344 700	liwr. *)

Pokazuje się z powyższego rachunku, że najwyżsi dostojnicy Rzeczypospolitej pobierali łapówki od obcych mocarstw. Brał pieniądze francuskie: marszałek sejmowy, marszałek wielki litewski, marszałek nadworny koronny, kanclerz wielki koronny i kanclerz wielki litewski, podkanclerzy kor. i lit., hetman w. kor. z żoną, siostrzenicą, bratankiem i kuzynkiem, podskarbi kor. i lit., wojewodowie i kasztelanie, wszyscy dostojnicy wojskowi z gory na dół z armji koronnej, począwszy od Stefana Czarnieckiego, dalej: obożny, pisarz, chorąży, strażnik itd., a kończąc na szarym tłumie. Ci zaś dygnitarze, których w niniejszym spisie brakuje, nie byli jeszcze czystymi: oni pobierali takie same pensje od Austrji. W austrjackich też rachunkach znajdują się wszyscy dygnitarze kościelni, którzy w liście francuskiej reprezentowani są tylko przez przymasa i jednego kanonika.

A ile w tych rachunkach spotykamy nazwisk historycznych rodów, pysznących się dziś jeszcze, że swoją krwią bronili ojczyznę. Jest tu sześciu członków familji Potockich, jeden Radziwiłł, dwóch Sapiehów, Fredro, Branicki, dwóch Paców, Morsztyn z żoną, Denhof z żoną, Korecki i Wiśniowiecki, Prażmowski, Leszczyński itd. Najbogatsi ludzie w Rzeczypospolitej Wiśniowiecki i Michał Radziwiłł, nie wstydzili się łakomić na stosunkowo niewielkie sumy

*) Waliszewski. „Polsko-francuskie stosunki w XVII wieku“ stron 102.

3 tysięcy franków, a jeden z Potockich sprzedaje się za 600 franków!

Nic dziwnego, że magnaci nasi, ciągnąc złoto z obcych mocarstw, krzyczeli tak głośno w obronie „złotej“ wolności!

Kometa Halleya.

Astronom niemiecki Wolff zawiadomił, że w nocy z 11 na 12 września ze strażnicy astronomicznej w Heidelbergu odkrył kometę Halleya, która po 75 letniej nieobecności zbliża się znów do ziemi. Obecnie widzieć ją można tylko przy pomocy najsilniejszych teleskopów.

Przybywa ona z odległości 5 miljardów kilometrów. Początkowa szybkość zbliżania wynosiła zaledwie kilka kilometrów na sekundę; wzrastając stopniowo wynosi obecnie 90.000 kilometrów na godzinę i dojdzie do 420.000.

Kometa składa się z lekkich gazów i ulega działaniu dwóch sił, przyciąganiu, które sprawia, że dąży w kierunku słońca, i sile, którą odpycha gazy w kierunku odwrotnym. Działanie tych dwóch sił często jest przyczyną rozerwania komety, jak to było z kometą Bieli.

Niestałość, skutek działania tych dwóch sił, jest charakterystyczną dla komet. Nie wiemy więc, czy kometa wróci w dawnej świetności. Ludzie oglądali ją w latach 1066, 1145, 1222, 1301, 1378, 1456, 1531, 1607 1682, 1759, 1835.

Rok 1066 połączył jej ukazanie się dla anglików ze zdobyciem Anglji przez Wilhelma, księcia Normandji. Na dywanie z Bayeaux wytkanym na cześć zwycięstwa, tkacz umieścił kosmatą gwiazdę nad głowami normandzkich zwycięzców.

Rok 1456 dał chrześćjanom zwycięstwo nad Mahometem II, sułtanem tureckim, i znów przesądna ludność dopatrywała się związku między kometą a wojennemi zdarzeniami.

Poprzedziła też ona zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem 1683 r.

Gdyby jednak wojna zawsze przez kometę zapowiadaną była, tobyśmy stale widzieli ognistą gwiazdę na niebie, gdyż ani na chwilę wojenny szczęk broni na ziemi od wieków nie ustaje. Zawsze gdzieś wojna się toczy. Starożytny filozof Seneka pierwszy uważać począł komety za ciała niebieskie, krążące po stałych drogach nieba, a nie zaś za oznaki gniewu tych lub innych bogów, w kolejnem ich panowaniu w umysłach ludzkich, raz jako Ammona, potem Jowisza, wreszcie żydowskiego Jehowy lub chrześćjańskiego Boga.

Kometę dzisiejszą nazywamy kometą Halleya, który pierwszy wykreślił jej drogę i czas obrotu wyliczył w połowie 18 wieku. I odtąd zjawia się co lat 75, posłuszna myśli uczonego, a nie rozkazom tego lub innegn boga, jako ciało niebieskie, a nie znak gniewu lub przestrogi. — Zobaczymy ją gołem okiem w r. 1910.

W odróżnieniu od lat dawnych już znaczna część ludzkości będzie na nią spoglądać bez strachu, z zasłużoną dumą z potęgi myśli ludzkiej, która coraz nowe przesądne wyobrażenia obala.

I gdy wróci 1985 r., może ujrzy ziemię urządzoną przez ludzi dla ludzi, ziemię, nie znającą biedy i nędzy, kwitnącą jak ogród dla pracującej ludzkości bez gwałcicieli i wyzyskiwaczy.

Eskimosi.

Tak Cookowi, jak Peary'emu towarzyszyli w podróży do bieguna eskimosi, zamieszkali w okolicach podbiegunowych. W sprawozdaniu ze swej podróży, ktore ogłasza obecnie „New Jork Herald“ pisze Cook w ten sposób o życiu eskimosów:

Późną nocą odwiedziliśmy miasto Oomanoi. Miasto składa się z 7 trójkątnych namiotów, pokrytych skórami, i rozłożonych malowniczo na skałach. Mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci zgromadzili się w wielkiej liczbie, szczękając z zimna zębami. Byli to zajmujący ludzie. Wysokość mężczyzn wynosiła przeciętnie 5 stóp i 2 cale, zaś kobiety 4 stopy i 2 cale. Wszyscy mieli szerokie i grube twarze, niezgrabny tułów i zaokrąglone nogi. Barwa skóry była bronzowa. Włosy czarne, oczy również czarne, nos krótki, ręce i nogi krótkie i grube. Wesołe kobiety oświadczyły gotowość otworzenia gościom namiotów i przyjęcia ich jak najgościnniej. Wstępowaliśmy do namiotów i rozmawiali krótko z każdą rodziną. Nie wiele nowości mieli nasi gospodarze do opowiadania. Dowiedzieliśmy się o ślubach i zgonach, a potem przeszła rozmowa na polowanie, jako rzecz najważniejszą.

Był to okres monogamji. Myah kilka żon zamienił za większą sforę psów. W całem plemieniu jeden tylko mężczyzna miał dwie żony. Kilku mężczyzn, mających ochotę do małżeństwa, musiało z niego zrezygnować, gdyż brakło kobiet dla wszystkich. Na podstawie obopólnego porozumienia się kilku mężów pomieniało się na żony, w innych wypadkach żony wybrały sobie innych mężów, a zmiany te były widocznie wszystkim pożądane, gdyż nikt nie narzekał. Bez praw, bez literatury, bez określonego pochodzenia, ten prosty, ale inteligientny ludek kieruje pomyślnie swoimi losami.

Przeciętnie każda rodzina miała troje pyzatych, przebiegle spoglądających dzieci. Z reguły najmłodsze, matka nosi w worku na plecach. Ziemia w namiocie jest podwyższona i wszyscy na niej śpią. Kraj podwyższonego klepiska służy do siedzenia, a po obu stronach znajdowały się lampy z gliny, w których płonął knot z mchu, zanurzony w tranie. Ponad niemi wznosi się drążek do suszenia odzieży. Innych mebli nie było. Eskimosom futrzana odzież daje wygląd dziki i dumny, kłócący się z wesołym wyrazem ich twarzy i z miłym temperamentem.

Na pokładzie jachtu odbywał się żywy handel zamienny. Przynoszono futra i zęby morsa, ażeby je wymienić na karabiny, noże i igły. Każdy marynarz, począwszy od chłopca okrętowego aż do kapitana, wzbogacił się nagle handlem spekulacyjnym na futra z błękitnych lisów. Eskimosi równie byli zadowoleni wynikiem handlu. Za kosztowną skórę z lisa błękitnego, nie mającą dla tubylca nawet wartości skóry z psa, mógł eskimos dostać scyzoryk, który mu służyć będzie przez połowę życia. Pewna kobieta oddała swoje spodnie futrzane, mające wartość 100 dolarów, za czerwoną chustkę do nosa, która lata całe będzie zdobić jej głowę. Inna oddała rękawice z futra niedźwiedziego za szpilkę i sądziła, że zrobiła lepszy interes. Jakiś gruby młodzieniec z uśmiechem tłuściocha tęsknił do dwóch mis cynowych. Nabył je za kieł morsa, mający wartość co najmniej 90 dolarów.

Śląsk moja ojczyzna.

Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców słynie:
Gdzie marny kruszec w obcych rękach płynie,
Gdzie ludek w sercu swój klejnot ukrywa,
By poń nie sięgła żadna ręka chciwa?
Tam, gdzie w tej ziemi skarb jest nieprzebrany,
Tam ma ojczyzna, tam mój Śląsk kochany!

Gdzie bystra Odra toczy swoje wody,
Gdzie schludne domki, wesołe zagrody,
Wśród ciemnych lasów i łanów złocistych,
W dolinach i też po górach skalistych?
Tam, gdzie w tej ziemi itd.

Gdzie w lasach dziki i łanie bujają,
Gdzie się po polach pieśni rozlegają,

W drogim po ojcach języku śpiewane,
Gdzie ryby w wodach, w lasach grzyby siano?
Tam, gdzie w tej ziemi itd.

I gdzie z kominów niebotycznych chmury,
A młoty w kruszec, jakby taran w mury,
Z trzaskiem ogromnym stale uderzają,
Dymy się wiją, płomienie buchają?
I gdzie w tej ziemi itd

Śląsku, ojczyzno, kraju ulubiony,
Od cudzoziemskiej chciwości wzgardzony,
Wzgardę miłością niweczą twe syny,
Kochają ciebie nad inne krainy!
Boć tu w tej ziemi skarb jest nieprzebrany,
Tu ma ojczyzna, to mój Śląsk kochany!

Tuberkuloza (suchoty), w zakładach przemysłowych.

Dr. Baldi z Wiednia w wykładzie swoim o chorobach zawodowych stwierdza, że tuberkuloza najczęściej zachodzi u piekarzy, drukarzy i krawców, oraz wogóle w zakładach, gdzie wydziela się dużo kurzu. Niestaty robotnicy nie mają zawsze dostatecznego zrozumienia dla środków zapobiegawczych i uważają tuberkulozę jako zjawisko połączone z zawodem, na które wogóle nie ma środka zaradczego. Powiększone niebezpieczeństwo popadnięcia w chorobę w poszczególnych zawodach nie zostało jak należy ocenione, względnie je się lekceważy. Jak często oddaje się słabowite i na płuca już chore dzieci jako uczni do zawodów uważanych za stosunkowo lekkie, nie wymagające silnego natężenia fizycznego, które pomimo to przedstawiają poważne niebezpieczeństwo rozwoju tuberkulozy. Tak np. w zawodzie krawieckim napotykamy wielką liczbę uczni chorych na płuca. To też w pewnem sprawozdaniu inspekcyjnem słusznie podano jako bardzo ważny środek zaradczy, aby słabowitym chłopcom doradzać przy wyborze odpowiedniego dla nich zawodu.

Często też szukać należy powodu rozwoju tuberkulozy nie w wykonywaniu pracy zawodowej, jako takiej, lecz w sposobie życia robotnika i w braku zastosowania odpowiedniego leczenia. Naprawa w tym kierunku nastąpić może jedynie, jeżeli już w szkole wpoi się dorastającej młodzieży zasady hygjeny i jeżeli otworzy się możliwie najwięcej zakładów leczniczych, w których umieścić by można przynajmniej tych chorych, których można jeszcze wyleczyć.

Także zakazy spluwania na podłogę natrafiają często na opór. Choć w wielu zakładach znajdują się hygjeniczne spluwaczki, to trudno nieraz przyzwyczaić pracowników do ich używania.

Jak szybko nieraz skonstatować można widoczną zmianę na lepsze przy zastosowaniu stosownych środków hygjenicznych, niech posłuży następujące spostrzeżenie: W pewnej miejscowości, w której w wysokiej mierze uprawiano domowy przemysł przędzalny, wśród biednych pracowników domowych z powodu niekorzystnych warunków, szerzyła się w zastraszający sposób tuberkuloza, założono mechaniczną przędzalnię, w której znaleźli pracę prawie wszyscy pracownicy domowi. W ciągu pięciu lat z powodu zastosowania nowoczesnych urządzeń hygjenicznych stosunki zdrowotne znacznie się polepszyły, a wypadki tuberkulozy były coraz rzadsze,

Rozmaitości

Wodospad „Wiktorja“: Jak donosi berlińskie „Echo“ utworzyło się wielkie towarzystwo dla eksploatacji wodospadu „Wiktorja“ w Afryce. Wodospad ten daleko więcej koncentruje w sobie energji, niż słynny wodospad „Niagary“. Podczas, gdy „Niagara“ ma szerokości 570 metrów a linja spadku wynosi 53 metry, „Wiktorja“ ma szerokości 1700 metrów a linję spadku 140 metrów. Zaprowadzona będzie eksploatacja w wielkim stylu. Energja elektryczna będzie przesyłana na odległość 1000 kilometrów (z „Niagary“ jest przesyłana na 350 kilometrów). Okolice wodospadu odznaczają się między innemi nadzwyczaj oryginalną fauną, prawdopodobnie w związku z tem, że na wielkiej przestrzeni znajdują się w sferze deszczów.

* * *

Perskie tytuły. W chwili, gdy cały niemal świat zajęty jest „zmianami“ zaszłemi w państwie „króla—królów“, nie od rzeczy będzie zapoznać się z tytułami, jakie przysługują wybitnym osobistościom perskim. Oficjalny tytuł, przysługujący szachowi brzmi dosłownie: „Cień Boga na ziemi, którego blask zaćmiewa gwiazdy“. Najzwyczajniejszy tytuł w Persji to miano „chan“. Oznacza on mniej więcej to samo, co w Niemczech i Austrji „radca rządu“. Tytuł „sułtan“ — najwyższy u mahometan w Turcji, Marokku, Sudanie, przysługuje w Persji osobom najzwyczajniejszym. Pers może nabyć tytuł za pieniądze. Jeżeli jest kupcem, kupuje tytuł: „malik“ i „tudżer“ t. zn. książe kupców. Tytuł perski nie jest dziedziczny; jeżeli ktoś ma prawo do jakiegoś tytułu z racji swego „szlachetnego urodzenia“, może jedynie nabyć sobie za pieniądze tytuł noszony przez przodka. Kto wreszcie posiada na to środki, może „z pierwszej ręki“ kupić sobie tytuł mniej lub więcej zaszczytny w miarę wysokości zapłaty, a więc: Oko królewskie, słońce państwa, klucze Persji, słup królestwa i tak podobno.

* * *

Z postępów dziennikarstwa. Z Londynu donoszą Ostatnią sensacyjną mowę Rosebery'ego, wygłoszoną w Glasgowie, spisywało równocześnie dwunastu stenografów przy stole redakcyjnym w Londynie. Nowy ten „cud techniki“ zastosował po raz pierwszy „Evening News“. Elektrofon, jak nazwano wynalazek, posiada aparat tak dokładny, że przenosi głos mówcy z wszystkiemi modulacjami na odległość 3500 mil angielskich. Przy słuchawce aparatu mogło się zdawać, że jest się wśród słuchaczy Rosebery'ego w sali ratusza w Glasgowie. Przyrząd oddawał nietylko słowa mówcy i ich barwę, lecz także uwagi z tłumu, śmiechy, przerywania, chwilową wrzawę w sali. „Elektrofon“ ustawiony był na mównicy w ratuszu. W redakcji „Evening News“ dwunastu stenografów, zmieniających się co dwie minuty, dostarczało manuskryptu wprost do maszyn zecerskich, tak, że mowa ukazała się w druku niemal już z chwilą, kiedy ją ukończył Rosebery.

* * *

Intratne zesłanie Łopuchina. Były dyrektor rosyjskiego departamentu policji Łopuchin, skazany za utrzymywanie stosunków z Azewem, zesłany został do Jenissejska, w gubernji sybirejskiej. Podług nadeszłych stamtąd wiadomości, traktuje on tam o sprzedaż fabryki platyny i kopalni złota. Oprócz tego zajmuje się założeniem drugiego banku sybirskiego, którego ma zostać naczelnym dyrektorem. Łopuchin mieszka stale w Jenissejsku, oddalonym o 12 klm. od Krasnojarska, miasta położonego na szlaku kolei sybirskiej.

* * *

Statystyka kar śmierci. Z Petersburga donoszą, że w głównym zarządzie wojenno sądowym opracowano statystyczne dane odnoszące się do kary śmierci skazanych przez sąd wojenny w przeciągu czasu od roku 1901 do 1909 włącznie.

Z danych tych okazuje się, że największa liczba skazanych przypada na rok 1908 bo aż 1330 ludzi, to jest około czterech dziennie. Ogólna liczba skazanych od 1901 do 1908 wynosi 2279, czyli średnio wypada po 325 rocznie.

Z liczby tej są wyłączeni wszyscy skazani na śmierć drogą administracyjną zarówno w warszawskim wojennym okręgu, jak i w kraju Nadbałtyckim.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 40. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 2 października 1909.

Niewolnica czy obywatelka?

Od smutnych czasów wszelkiego rodzaju uprzedzeń i przesądów, zwłaszcza prząsądów na tle społecznem, teraźniejszość nie odbiegła jeszcze zbyt daleko.

Dowodem — chociażby stosunek obecny płci „silnej“ do płci „pięknej“.

Ilekroć w cokolwiek zamożniejszem towarzystwie męskiem rozmowa zejdzie na t. zw. kwestję kobiecą i walkę kobiet o prawa polityczne, tylekroć ironiczne (jeśli nie głupkowate) uśmiechy zjawiają się na fizjonomach przedstawicieli płci panującej i słyszeć się daje rzekomo dowcipna uwaga o długich włosach i krótkim rozumie.

Na szczęście dla tych zatrważająco przenikliwych spostrzegaczy nie istnieją jeszcze dotąd przyrządy, zapomocą których możnaby mierzyć zawartość mózgownic i dowieść, że rozumy wygłaszających tak trafne uwagi mężczyzn są akurat w tym samym stosunku do rozumów upominających się o pełne prawa obywatelskie kobiet, co i długości ich włosów.

Lekceważenie sobie sprawy kobiecej jest właśnie jednym z przykrych objawów tępości mózgowej płci brzydkiej... zwłaszcza pod względem moralnym.

A tymczasem sprawa ta zosługuje na poważniejsze może traktowanie, aniżeli sprawa wyzwalającego i panoszącego się samca.

Przyczyna jest jasna: wyzwolić się w zupełności mężczyzna wówczas dopiero będzie mógł, kiedy jako dziecko wychowany będzie przez wyzwoloną matkę-obywatelkę.

Dopóki wychowanie młodych pokoleń będzie spoczywało w rękach kobiet-niewolnic, dopóty wszelkie marzenia o wszechstronnem i zupełnem wyzwoleniu się człowieka, zostaną zawsze marzeniami.

A wszak dziś kobieta-matka niewiele się różni od niewolnicy. Przestała być niewolnicą „pana“, ale została niewolnicą stosunków społecznych, które szczytną i odpowiedzialną rolę matki-wychowawczyni zamieniły na rolę lekceważonej i bardzo często maltretowanej służebnicy.

Przestała być kapłanką ogniska domowego, stając się niemal wyłącznie kucharką, pomywaczką, zamiataczką i niańką, a od czasu do czasu żywym manekinem, przybranym w przeróżne piórka ptasie i pstre łaszki.

Przestała być współtowarzyszką życia dla mężczyzny, z którym ręka w rękę ma przejść przez ciernie i chwasty, a przeżyć tysiące chwil radosnych i uniesień, a została służącą bortników, niejednokrotnie na cześć jej godzących.

Z najwyższego w społeczeństwie stanowiska stosunki społeczne spychają ją w wielu razach na dno, gdzie dla „ucieleśnionych cnót“ jest tylko „istotą upadłą“.

I oto dziś, kiedy ta nieszczęśliwa, upośledzona, przez kościół i księży tumaniona, a niejednokrotnie przez wielu wzgardzona istota chce się podnieść, chce się dźwignąć na przynależne jej wyżyny, kiedy dąży do wyzwolenia się i do zostania człowiekiem-obywatelem, przeżyci i idjociejący przedstawiciele płci „panującej“ pozwalają sobie mówić o jej długich włosach lub o jej przeznaczeniu rodzenia dzieci i pilnowania garnków!

Jest to równie potworne, jak smutne.

Potworne, bo dowodzi strasznej zgnilizny moralnej społeczeństwa kapitalistycznego, a smutne, bo jest miarą ubóstwa umysłowego śród tych, którzy roszczą pretensje do rządzenia światem.

Ale bezmyślna opozycja klasy, dziś rządzącej, nie powstrzyma naturalnego rozwoju stosunków, którego musi się wyłonić zupełna wolność kobiety.

Przyczyni się do tego sam kapitalizm: kobieta-niewolnica wyzwoli się przez kobietę-robotnicę.

Niewola kobiety współczesnej nie jest wyłącznie niewolą płci: jest to niewola proletarjusza. Kapitalizm w krwią przesiąknięte jarzmo swe wprzągł nietylko silnego mężczyznę, ale i słabą kobietę i nierozwinięte wątłe dziecko. Każe im wspólnie pracować na korzyść swych uprzywilejowanych kapłanów i ich sług. Wysysa z nich siły, kaleczy, morduje, nie pytając, kto jakiej płci. Zaraża ich suchotami, truje zgniłem mięsem, zabija nieludzkimi warunkami pracy niezależnie od tego, czy ofiarą jest mężczyzna, kobieta czy dziecko. Wyzyskuje i gnębi całą rodzinę jednocześnie. Nie widzi, ani nie stara się widzieć, nad kim się pastwi, patrzy tylko, czy ten ktoś ma zdrowe muskuły i czy może pracować.

Niech niemowlę z kołyski stanie u warsztatu tkackiego, byle tylko wysiłek jego zyski przyniósł! Co się z nim później stanie — „to nie mój business!“ — powiada ustrój dzisiejszy.

Potrzeba było tej okrutnej i zbrodniczej bezmyślności kapitalizmu, by otworzyć ludziom oczy na fakt, którego dotąd zdawali się nie spostrzegać, mianowicie, że byt obu płci jest zależny od każdej z nich, że wyzwolenie jednej nie może się odbyć bez wyzwolenia drugiej i że tylko wspólne wysiłki mogą doprowadzić do zwycięstwa.

Droga, którą idą zorganizowane szeregi robotników-mężczyzn, z natury ustroju dzisiejszego musi być drogą, którą podążać powinny robotnice i matki-kobiety.

Cel jeden, więc i walka i środki walki jedne. Robotnicy organizują się, uczą, uświadamiają, domagają się wszystkich praw, przysługujących wolnym obywatelom — to samo czynić powinny i robotnice i matki.

Bez udziału ich w walce ekononiczno-politycznej wszelkie marzenia ich zostaną tylko ułudą. Bez głosowania, stawiania i wybierania własnych kandydató, bez decydowania we wszelkich sprawach, dotyczących ogółu, bez wywierania na bieg życia społecznego swegu wpływu, kobiety nie mogą się wyzwolić.

Mają zatem do wyboru: albo zostać nadal służącymi i niewolnicami, albo stać się obywatelkami i świadomymi budowniczymi zarówno swej własnej przyszłości jak i przyszłości całego społeczeństwa ludzkiego.

Z tych samych względów nie może być obojętnym stosunek płci męskiej do kobiecej. Bez wolnej kobiety-matki, niema wyzwolonego mężczyzny: w interesie tego ostatniego leży jaknajprędsze sprowadzenie płci słabej na właściwą drogę walki o przyszłość.

Która to jest droga, nie potrzebujemy chyba zbyt długo tłomaczyć.

Na niewolę kapitalistyczną jest tylko jeden ratunek: socjalizm.

Narodowość i jej początki.*)

Napisał Karol Kautsky.

(Ciąg dalszy.)

Wydajność wielkiego przemysłu wzrasta coraz bardziej i coraz większą jest liczba narodów, u których stanowi on przeważającą formę produkcji. Minęły czasy, kiedy trzy lub cztery narody handlowe współzawodniczyły ze sobą na kilku rynkach jak to miało miejsce w początkowym okresie rozwoju nowożytnych narodowości. Teraz wszystkie narody cywilizowane wystąpiły na widownię i walczą o posiadanie wszystkich rynków świata. Nie wystarcza już znajomość jednego języka dla zapaśników, którzy biorą udział w tej walce. Im więcej kto posiada języków, tem więcej ma widoków zwycięstwa nad rywalami, mniej pod tym względem wykształconymi. Jeżeli przemysł niemiecki w ostatnich latach tak szybkie robi postępy na rynku wszechświatowym, przypisać to należy między innemi zdolnościom kosmopolitycznym niemców, choć one wywołują takie oburzenie w kołach liberalno-narodowych. Kupcy niemieccy posiadają większą znajomość obcych języków, niż francuscy lub angielscy którzy ciągle jeszcze znajdują się pod wpływem tradycji, jakoby świat cały mówił ich językami. Im zaś silniejsze są stosunki międzynarodowe, tem bardziej daje się czuć potrzeba międzynarodowego środka porozumienia się — języka powszechnego. Naturalnie, że tego ostatniego niepodobna stworzyć dowolnie, przytem niema potrzeby powiększania liczby istniejących już języków o jakiś nowy, bardzo wątpliwej wartości, lecz raczej o zmniejszenie ilości tych, które są konieczne do porozumiewania się z obcokrajowcami. Trudno przypuścić, aby volapük stał się czemś innem, niż językiem niewielu wtajemniczonych. Prędzej chyba któryś z istniejących języków stanie się powszechnym. Już dzisiaj, kto chce siebie uważać za człowieka wykształconego i brać udział we współczesnem życiu ekonomicznem i umysłowem, musi posiadać przynajmniej jeden język wszechświatowy, oprócz ojczystego. Potrzeba ta będzie wzrastała coraz bardziej; języki narodowe będą zajmowały w porównaniu z wszechświatowymi takie położenie, w jakiem obecnie znajdują się narzecza względem języków literackich. Języki narodowe coraz bardziej będą zacieśniane do użytku domowego, który, religijnie przechowany, jest już bez praktycznego użytku. Coraz więcej będzie się rozpowszechniała znajomość tych języków, którymi mówią w wielkich ogniskach ruchu wszechświatowego: w Londynie, New-Jorku, Paryżu, Berlinie. Lecz i między nimi walka będzie się toczyła. Naturalnie, dzisiaj niepodobna przewidzieć, który zwycięży, ale w każdym razie przyczyny ekonomiczne, lecz nie względy natury gramatycznej lub muzykalnej, dadzą mu zwycięztwo. U mniejszych narodów dzisiaj już istnieje dążność do wyjścia z wązkich granic swego języka, i to nietylko w życiu ekonomicznem, ale także w literackim i naukowym. Kto w Węgrzech, Czechach, Skandynawji, Danji lub Holandji chce dzisiaj puścić w świat jakąś poważniejszą pracę naukową, nie czyni tego w języku ojczystym, alew niemieckim lub francuskim.

Ale to łaknienie języka powszechnego jest tylko wynikiem potrzeby złączenia państw nowożytnej cywilizacji w jedno jedyne terytorjum ekonomiczne i obalenia granic politycznych.

Pierwotne małe gminy wystarczały sobie, wytwarzały bowiem wszystko, czego zapotrzebowały. Do pewnego stopnia to samo miało wiejsce na zaraniu narodowości nowoczesnych. Handel z zagranicą był bez wątpienia potężnym czynnikiem wewnętrznego rozwoju, ale przedmiot jego stanowiły głównie rzeczy zbytku: drogie sukna, futra, kosztowności, korzenie itd. Co się tyczy zaspakajania potrzeb koniecznych, każdy naród stanowił niezależnie wystarczające sobie terytorjum ekonomiczne. Dziś to się zmieniło. Przedmioty zbytku ustąpiły w handlu międzynarodowym towarom, które służą do zaspokojenia potrzeb życia codziennego. Jeszcze przed 50 laty nikt się nie domyślał, do jak kolosalnych rozmiajów dojdzie handel międzynarodowy zbożem i bydłem, drzewem i węglem kamiennym, metalami i wyrobami metalowymi itd.

W spółczesnym świecie cywilizacyjnym niema państwa, któreby tworzyło niezależną całość ekonomiczną. I więzy, łączące oddzielne narody, stają się coraz silniejszymi, ilość zaś ekonomicznych punktów zetknięcia i okoliczności, które wymagają wspólnego, międzynarodowego regulowania — coraz liczniejszemi. Gdy na początku siódmego dziesiątka lat wybuchł rokosz wśród właścicieli niewolników w Stanach Zjednoczonych, przerwano dowóz bawełny północno-amerykańskiej do Anglji. Angielskiemu przemysłowi bawełnianemu zabrakło materjału surowego i straszliwy kryzys był wynikiem tego. Taką zależność od zagranicy, w jakiej się przemysł bawełniany Anglji wówczas znajdował, odczuwają dziś liczne gałęzie przemysłu w dawnem państwie tegoczenem. Do tego należy dodać zawisłość państw przemysłowych od zagranicy pod względem dowozu materjałów spożywczych. Dlatego zerwanie stosunków międzynarodowych, wskutek możliwej wojny ogólno-europejskiej, pociągnęłoby dzisiaj za sobą nie tylko przesilenie, wobec którego kryzys bawełniany z r. 1862 był tylko zabawką co do siły i napięcia i które byłoby wprost bankructwem całych gałęzi przemysłu, ale nadto i głód, jakiego nasze pokolenie jeszcze nie widziało.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Patrz nr. 37 „Po Pracy".

Z dziejów korupcii magnackiej w Polsce.

Najuczciwsza z elekcji XVII wieku.

Zmarł król Michał Korybut Wiśniowiecki, wybrany sumptem Austrji, której był najżarliwszym zwolennikiem przez ciąg 4 lat swego nieszczęśliwego dla Polski panowania. Austrja pragnęła na tronie polskim osadzić swojego człowieka, ks. Karola Lotaryńskiego i sypnęła mocno pieniędzmi. Samemu Sobieskiemu, aby tylko go zjednać na tyle, aby nie głosował przeciwko Karolowi, ofiarowała 200 tysięcy talarów; Sobieski jednak odrzucił propozycję jako przekonany wróg Habsburgów. Pieniądze, nie przyjęte przez niego, dotarły zato natychmiast do wielu innych senatorów, raz już przekupionych przez Francję.

Francja stawiała kandydaturę ks. Neuburga, chcąc tym razem sprzedać tron polski za korzystne dla siebie ustępstwa nad Renem. Sobieski zaś, który był podówczas marszałkiem w. k., jedyny człowiek nieprzekupny, podtrzymywał starą kandydaturę ks. Kondeusza. Pupil francuski ks. Neuburg, ani też Kondeusz, nie cieszyli się popularnością, z tego też powodu w ostatniej chwili, już w dniu elekcji, gdy, dzięki korupcji, pewny był wybór austrjaka, wojewoda ruski Jabłonowski, w porozumieniu z stronnictwem francuskiem, niespodziewanie podniósł kandydaturę Sobieskiego, która też przeszła głównie dzięki osobistej popularności kandydata, jakoteż i dzięki temu, że wrogich mu wyborców litewskich, przekupionych przez Austrję nie puszczono przez most przemocą, kiedy chcieli zerwać elekcję.

Sytuację malują dobrze wyjątki z listów ambasadora francuskiego Forbin de Janson, biskupa marsylskiego, wysłanych w dniach elekcyjnych do Ludwika XIV, króla francuskiego. Pisze on w przeddzień elekcji:

„Nie porobiłem w Polsce ofert szczegółowych lecz tylko ogólne stosując się do zdania Marszałka w., ponieważ przeznaczone przez króla fundusze są potrzebne dla pozyskania magnatów dla exkluzji księcia Karola i na rozdanie ich w armji w razie jeśli ta exkluzja będzie zapewnioną. (17 maja 1674).

Sprawa jednak szła trudno, ponieważ „wyjazd p. marszałka, wpływy i zręczność pp. Paców, którzy forytują ks. Karola, olbrzymie sumy, które rozsypali i znaczenie królowej — wszystko to wytworzyło potężne stronnictwo z całej prawie Litwy i znacznej części Korony".

A znów dnia 18 maja śle relację: „Następnie trzeba było pracować nad ponownem pozyskaniem posłów i wielu senatorów, którzy grozili, że wezmą pieniądze od ks. Ka-

rola, który ich nie szczędzi. W. kr. M. nie może sobie wyobrazić przekupstwa haniebnego i brudnego (honteuse et sordide) — dodaje ambasador oburzony o taką zmianę frontu — które panuje nietylko między niższymi, ale i najwyższymi dygnitarzami. Otóż że elekcja ma się odbyć jutro, wydałem marszałkowi w. sumę 50.000 talarów, które W. kr. M. oddała do jego dyspozycji. On ręczy, że oderwie przeszło połowę Litwy za pomocą 30.000 talarów, z których 20.000 będą rozdane przez ks. Radziwiłła podkanclerzego i hetmana p. litew. szwagra p. marszałka a 10.000 da się p. Sapiesze (Benedykt podskarbi lit.) marszałkowi sejmowemu, którego trzeba pozyskać koniecznie, bo mógłby dzięki swemu urzędowi niszczyć wszystkie nasze plany. Aby go całkiem zjednać, musiałem mu obiecać jeszcze 10.000 tal. po elekcji załatwionej zgodnie z życzyniami W. kr. M. Reszta 20.000 talarów pójdzie między posłów wielkopolskich i małopolskich... dlatego obiecałem pensje 400.000 liwrów po dokonaniu elekcji...

Fetowałem przez dwa dni oficerów armji, którzy okazali wielką życzliwość dla Francji i krzyczą teraz w swoim kole przeciw ks. Karolowi. P. marszałek przydał mi do boku oficera nazwiskiem Niemirycz, popularnego w wojsku. Dałem mu dotychczas 3000 liwrów na libację. Rozdałem nadto 500 talarów zakonnikom, aby modlili się za pomyślną elekcję i aby nie mruczeli, bo mają oni znaczenie w tym kraju"...

Po wyborze Sobieskiego przesłał ambasador Ludwikowi XIV rachunek z sum wydanych ponad upoważnienie.

Rachunek elekcji

11 maja 1674 wysłane przez p. des Noyers aby wypłacić oficerom i szlachcicom zwanym towarzyszami, którzy biorą udział w elekcji	9.000	(frank.)
14 maja przez p. des Noyers i Fromonta dla posłów wielkopolskich	30.000	„
15 maja przez p. Balura dla p. Sapiehy marszałka sejm.	36.000	„
7. maja dla posłów małopolskich i tych, których pozyskał ks. Radziwiłł	60.000	„
t. d. wszystkim zakonnikom i zakonnicom warszawskim mającym wpływ na sejm	1.050	„
19 maja na libację oficerów i posłów	1.200	liwrów
t. d. dla oficerów i żołnierzy pułku, który stał na moście, aby nie przepuścić litwinów	900	„
t. d. p. wojewodzie ruskiemu Jabłonowskiemu	12.000	„
	150.150	liwrów

Oto jakie sumy oprócz przyrzeczonych powyżej 400 tysięcy pobrali putrjotyczni szlachcice przy samej elekcji „Piasta"! Już wówczas praktykowana była w Polsce wódka wyborcza, kiedy sama Francja na libacje wydała kilka tysięcy. A najzabawniejszy jest wpływ zakonnic na elekcję (jakiego on rodzaju mógł być?) tak silny, że również trzeba je było przekupywać razem z zakonnikami.

Rozmaitości

Prawa natury wobec pracy człowieka. Według dr. Hellpacha z Karlsruhe, istnieje pięć czynników, które na pracę wpływają korzystnie lub niekorzystnie. Najpierw dwie wielkie potęgi, t. j. ćwiczenie i znużenie, dalej zaś trzy mniejsze, mianowicie: podniecenie, natężenie woli i nawyknienie. Stosunek wzajemny tych czynników przedstawia poniekąd obraz walki pomiędzy dwoma nieprzyjacielskimi obozami. Znużenie pochodzi z dwojakiej przyczyny, mianowicie z użycia i spalenia materji pożywnych, oraz pomnożenia materji trujących. Znużenie jest cennym sygnałem natury, która woła: „Teraz już dosyć! przestań pracować!" Aby robota się udała i aby przy pracy czuć się zadowolonym, potrzeba aby praca sprawiała przyjemność. Bilans zawodowego rozwoju pracy w ostatnich stuleciach wykazuje zaś niestety coraz to większy zanik tej ochoty i przyjemności w pracy. Kwestję robotniczą, według Dr. Hellpacha, wywołuje w części właśnie ten brak przyjemności w pracy, ponieważ praca nie doznaje wynagrodzenia, leżącego w pracy samej, tylko bywa wedle jej zewnętrznej wartości taksowaną. Dlatego przystępuje się przeważnie z niesmakiem do pracy, ale na to rady już nie ma, gdyż taka przyjemność pracy, jaka w wiekach średnich panowała, dziś już nie jest możliwą. Wyrównać jednak można utratę tę przez przyjemność w ogólnem życiu. W tym też kierunku działać należy, mianowicie: aby pracę uregulować tak, żeby przyjemność do życia była wogóle możliwą.

* * *

Wykrycie mordercy po 12 latach. W lecie 1897 zrobił w Berlinie wielkie wrażenie mord popełniony na dziewczynie lekkich obyczajów Ludwice Günther. Znaleziono trupa okropnie pokaleczonego ukrytego w zaroślach, a podejrzenie padło na robotnika rzeźniczego imieniem Emil, którego nazwisko nie dało się stwierdzić. Dopiero przed kilku dniami kryminalista pewien, odsiadujący karę w zakładzie w Siegburgu, zeznał, że on jest mordercą. Policja nie chciała mu z początku uwierzyć, dopiero po dokładnem śledztwie stwierdziła, że twierdzenie kryminalisty jest prawdziwe.

* * *

Telegram Peary'ego o odkryciu bieguna. „Matin" zaznacza, że depesza, którą Peary wysłał z Indian Harbour na Labradorze do „New-York Heralda", potrzebowała 48 godzin na dotarcie do celu. Depesza ta, obejmująca sprawozdanie z wyprawy, miała około 20000 słów i była wysłana telegrafem bez drutu, który funkcjonuje daleko powolniej, niż telegraf zwykły, nadto stacja radjotelegrafu w Indian Harbour jest dosyć pierwotnie urządzona, w ciągu godziny zatem można było przesłać 350—400 słów. W ten sposób depesza wędrowała z Indian Harbour do przylądka Ray, a stąd już wprost do stacji radjograficznej, umieszczonej w gmachu „New York Heralda". Po nadejściu tamże, depesza stawała się już bardzo szybko własnością całego świata. „New-York Herald" bowiem jest wprost połączony z londyńskim „Timesem", a to pismo ma bezpośrednie połączenie z pismem „Matin", wobec czego depesza, odbierana w redakcji „New York Heralda", prawie równocześnie była odczytywana w Londynie i Paryżu.

* * *

Testament Harrimana. Zmarły amerykański „król kolejowy", Edward Harriman, pozostawił majątek, wynoszący 400 miljonów marek. Testament jego, sporządzony jeszcze w roku 1903, w tekście angielskim zawiera tylko 49 słów, a brzmi w przekładzie jak następuje: „Ja Edward Harriman, z Ardenu, w stanie nowojorskim, oświadczam niniejszem, że rozporządzeniem ostatniej mojej woli jest: Zapisuję i przekazuję cały mój majątek ruchomy i nieruchomy wszelkiego gatunku i rodzaju prawnej mojej małżonce Mary E. Harriman, która nim bez żadnych ograniczeń rozporządzać może".

* * *

Bosy parlamentarzysta. Godność sejmu finlandzkiego narażoną jest na wielkie niebezpieczeństwo z następującego powodu: Poseł Puikyala z partji agrarnej chce koniecznie brać udział w posiedzeniach boso. Napróżno darowano mu całą kolekcję obuwia i szkarpetek, koledzy ofiarowali mu pieniądze na kupno trzewików i na hojniejsze używanie mydła, — wszystko bez skutku. Nawet pouczenie, że zima finlandzka może wywrzeć zły skutek na jego zdrowie, nie zrobiło na upartym pośle wrażenia; musiano wreszcie dać mu spokój i Puikyala dalej przychodzi na posiedzenia sejmu boso.

* * *

Zemsta pisarza. Znany pisarz francuski, feljetonista i dramaturg, Jerzy Courteline, jest na bardzo złej stopie z prefekturą policji w Paryżu. Jego zjadliwe wycieczki satyryczne przeciw policji paryskiej napsuły jej wiele krwi, zwłaszcza, iż niejeż-

dnokrotnie okazywało się, że Courteline miał rację. Przez wdzięczność policja paryska szczególnie czujnie opiekowała się Courtelinem. W kilku ostatnich tygodniach otrzymał kilka mandatów karnych za to, że służąca jego trzepała dywany w pięć minut po czasie dozwolonym; za to, że samochód jego jechał nieco prędzej, niż pozwalają przepisy. Takie drobne przekroczenia spotykają się zwykle z pobłażliwością policji, lecz Courteline'owi ich nie przebaczono. Courteline postanowił się zemścić. Pewnego wieczora przebrał się w bardzo zniszczone i wytarte ubranie i udał się do jednej z pierwszorzędnych restauracji. Służba patrzyła na niego podejrzliwie. Courteline obstalował menu obfite i kosztowne. Po chwili podszedł do niego właściciel restauracji i zażądał wylegitymowania się... z posiadania potrzebnej kwoty pieniężnej. Courteline udał wielce obrażonego i pokazał bilet tysiącfrankowy. Po chwili wszedł do restauracji ajent policji i wezwał Courteline'a, aby udał się z nim do najbliższego biura policji, gdzie musiano Courteline'a jaknajgrzeczniej przeprosić. Manewr tego rodzaju powtórzył Courteline tej samej nocy 14 razy, wybierając lokale w ten sposób, że nieraz w tem samem biurze policyjnem zjawiał się po kilka razy. Wreszcie prefekt policji, zawiadomiony o tem zdarzeniu, prosił Courteline'a, aby zaniechał dalszych żartów. Courteline na to odpowiedział, że przecież nie on temu winien, iż go ciągle aresztują, a ubierać mu się wolno, jak mu się podoba, chciał zaś tylko dać dowód policji, że i on o niej pamięta tak, jak ona o nim. Podobno wynik był ten, iż zapewniono Courteline'a, że policja nadal będzie pobłażliwsza.

* * *

Olbrzymi zapis. Za kilka dni ukończone będą formalności prawne i instytut Pasteura w Paryżu wejdzie w posiadanie 30-miljonowego zapisu bankiera Osirisa. W roku 1903 Osiris ustanowił fundację, w której co trzy lata wypłacano nagrodę 100 tys. franków jednemu z najzasłużeńszych artystów, uczonych lub poetów. Pierwszą z tych nagród przyznano dr. Roux z instytutu Pasteura, wynalazcy surowicy przeciwdyfterytycznej, która corocznie ocalała życie tysiącom dzieci. Osiris nie znał osobiście dra Roux i ku wielkiemu swojemu zdziwieniu dowiedział się, że ten uczony, który wzbudza podziw całego świata, zarabia rocznie około 6000 franków, zajmuje mieszkanko z trzech pokojów, ale, co najdziwniejsze, że całą swoją nagrodę oddał na dobro zakładu, w którym pracował, mianowicie instytutowi doświadczalnemu Pasteura. Bankier odwiedził uczonego, a zachwycony jego bezinteresownością i skromnością, taką otrzymał odpowiedź: „Wszystko, co uczyniłem i co osiągnąłem, zawdzięczam instytutowi, w którym pracuję. Do niego więc należą owoce mojej pracy". Dowiedziawszy się z rozmowy, że zakład rozporządza stosunkowo szczupłymi środkami, przeważnie ze sprzedaży surowic — Osiris powziął zamiar zapewnienia instytutowi stałych podstaw istnienia. Stąd pochodzi wspaniały zapis.

* * *

Miljony w perfumach. O kosztowności i wyrafinowaniu nowoczesnych perfum poczynił ciekawe wynurzenia pewien znany fabrykant perfum w Londynie, które świadczą, że wyrób pachnideł stał się bardzo trudną sztuką. Panie są dziś w wyborze zapachu niezwykle zgrymaszone i subtelne. Zapach jednego tylko kwiatu już im nie wystarcza, pragną rzadkich odcieni i kombinacji. Dlatego też musi się wytwarzać co raz to nowe perfumy, w których delikatna skala eterycznych, subtelnych zapachów składa się na harmonijny akord. Sztuka wytwórcy perfum nie różni się wielce od sztuki malarza lub muzyka, gdyż tak samo musi on szukać zespołu wielu woni, harmonizować je z sobą tak, jak malarz i muzyk harmonizują tony i barwy. Dlatego też wielkich sum wymagają już przygotowawcze prace w laboratorjum gdyż wielu potrzeba prób, aby wytworzyć i ustalić zasadniczy ton każdej perfumy. Pół tonny fiołków daje zaledwie małą, dwucalowej wysokości flaszeczkę, w której mieści się upajająca esencja woni tego kwiatu. Flaszeczka taka kosztuje 700 mk. Lecz eksperymentuje się nietylko fiołkami, lecz różami, jaśminem, kwiatem pomarańczy itd., by otrzymać esencję ich zapachu. Prócz tych kwiatów wytwarza się esencje zapachu innych woni, jak piżma, wanilji itd. Zapachy uzyskuje się też w inny sposób, tak np. piżmo z wołów piżmowych, amberguis z wielorybów. Szczególniejszej sztuki wymaga też barwienie perfum, gdyż panie niektóre są tak wymagające, iż różową np. toaletę perfumują tylko perfumą o barwie różowej, fioletową tylko perfumą fioletową itd.

Pamiętnik Cooka.

W piątym rozdziale swoich pamiętników dr. Cook opisuje początek kampanji ku zdobyciu bieguna. W pierwszych dniach stycznia 1908 r. wysłał na brzeg amerykański kilka sanek w celu odszukania drogi i założenia stacji prowjantowych. Ponieważ jednak chmury i burze czyniły i tak już ciemną noc polarną, rozjaśnioną skąpo światłem księżyca, jeszcze ciemniejszą, przeto ekspedycje te częściowy tylko odniesły skutek.

Dnia 19 lutego wyruszyła cała wyprawa: 11 mężczyzn, 103 psy i 11 ciężko obładowanych sań opuściło wybrzeże Grenlandji i posuwało się na zachód przez lody cieśniny Smitha w kierunku przylądka Sabiny. Mrok nocy zimowej rozpraszało na kilka tylko godzin słabe światło dzienne; tdmperatura była bardzo niska. Gdy wyprawa dostała się na ląd, w dolinę pomiędzy Fllesmersland a Grinnelland, temperatura spadła na 83 stopnie Fahrenheita. Lód na Turckssundzie i Jonessundzie był równy, więc robiono wielkie marsze, polując na piżmowce, niedźwiedzie i zające. Wzdłuż brzegów wyspy Heiberga umieszczano składy żywności dla powrotnego pochodu.

Pod datą 17 marca 1908 r. zaznacza Cook, że wyprawa dotarła do krańca znanego lądu. Wyprawa zrobiła jprawie 400 mil angielskich w 28 dniach, pozostało jeszcze 520 mil zupełnie nieznanej drogi. Cook postanowił ruszyć w dalszy pochód, zabierając tylko to, co jest najniezbędniejsze. Na skałach Svartevog, stanowiących ostatni kraniec znanego lądu, urządził Cook obfity skład żywności i rynsztunku. Z pośród eskimosów zostali wybrani do dalszej podróżyEtiskuk i Ahwelsz, liczący po 32 lata życia. Dalej wybrał Cook 26 najlepszych psów i dwoje sanek z zapasami na 80 dni. Chodziło o to, ażeby wyprawa mogła się szybko poruszać.

Na obu sankach, ciągnionych przez 13 psów, znajdował się ładunek, ważący około 1000 funtów. Ładunek zawierał 805 funtów pemmikanu, to jest amerykańskiej konserwy z mięsa sproszkowanego, 50 funtów kotletów z piżmowca, 2 funty herbaty, funt kawy, 20 funtów cukru, 40 funtów skondensowanego mleka, 60 funtów sucharów, 10 funtów konserwy grochowej na zupę, 5 funtów drobiazgów, 40 funtów nafty, 2 funty alkoholu, 3 funty świec, 1 funt zapałek. Rynsztunek obozowy obejmował naftową maszynkę do gotowania, stoliczek, trzy talerze cynowe, 6 noży-ków i dziesięciocalowy nóż rzeźnicki, 1 trzynastocalową piłę, piętnastocalowy nóż, dwie strzelby, 110 nabojów, siekierę, linę, baty na psy i trzy podręczne torby. Sanki ważyły po 62 funty, łódź płócienna miała 12 stóp długości i ważyła 34 funty. Wyprawa posiadała jeszcze namiot z impregnowanego jedwabiu, 2 wory do spania ze skóry renów, śruby, gwoździe itp. Z przyrządów naukowych zabrano trzy kompasy, 1 sekstans, sztuczny horyzont, przyrząd do liczenia kroków, trzy kieszonkowe chronometry, mapy, materjały do rysowania szkiców, 3 termometry, aneroidowy barometr, kamerę z filmami, ołówki i notatniki.

Dnia 18 marca 1908, dwaj eskimosi, nazwiskiem Kalugingwah i Imegito, ruszyli jako straż przednia, resztę sześciu eskimosów odesłał Cook do domu. W kilka godzin później wyruszył Cook na saniach. Przebywszy 23 mil angielskich, wyprawa zatrzymała się i zbudowała domek z lodu. Psy legły do snu, później uczynili to samo eskimosi, ale Cook musiał zabrać się do pisania listów. A także jeszcze raz należało obmyśleć każdy szczegół planu, równie co do odkrycia bieguna, jak co do zabezpieczenia sobie powrotu.

Ponieważ co do kierunku drogi powrotnej panowała niepewność, otrzymał Franke polecenie, ażeby czekał aż do 15 czerwca 1908 r. Gdyby Cook do tego dnia nie wrócił, miał Franke dać swoje polecenie eskimosowi nazwiskiem Kuligingwa a sam wrócić na południe albo statkiem poławiającym wieloryby, albo duńskim okrętem. Te i rozmaite inne instrukcje zostały obmówione i mieli je zabrać Kuligingwah i Inugito.

Nazajutrz przejechała wyprawa 21 mil angielskich, a następnego dnia tylko 16. Zjedzono kotlety piżmowca i zupę grochową, wypito podwójną porcję herbaty, poczem Kuligingwah i Inugito ruszyli z powrotem.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 41. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 9 października 1909.

ANATOL FRANCE.

6 pięciu mieszczkach.

Brat Jan Chavaray, kapucyn, spotkawszy razu pewnego opata Coignarda, mego dobrego mistrza, miał z nim w klasztorze Młodzianków dyskurs o bracie Oliwerze Maillardzie, którego kazania, budujące a makaroniczne, dopiero był przeczytał.

— Są tam dobre ustępy — rzekł kapucyn — szczególnie w kazaniu o pięknych paniach i pośredniczce... Rozumie wasza miłość, że brat Oliwer, jako że żył za czasów Ludwika XI, innego wyrażenia użył zgodnie z szorstkością ówczesnej mowy. Lecz nasz wiek wymaga, abyśmy się grzecznie i skromnie wyrażali. Dlatego też używam słowa: pośredniczka.

— Chcesz, ojcze — odrzekł mój dobry mistrz — wskazać w ten sposób niewiastę uczynną, która w sprawach miłosnych pośredniczy. Po łacinie zowiemy ją „lena, conciliatrix, internuntiata libidinum“, zwiastunka rozkoszy. Grzeczne niewiasty te oddają najlepsze usługi, zważywszy jednak, że pieniądze za nie biorą, wzbudzają podejrzenie, że nie mają dobrego serca. Nazwijmy waszą, mój ojcze, posłanniczkę. Niewyszukane to wyrażenie, ale niepozbawione wdzięku.

— Chętnie, księże opacie — odrzekł brat Jan Chavaray — ale nie jest ona moją, lecz brata Oliwera. Posłanniczce więc pewnej, co przy moście mieszkała, złożył wizytę kawaler jeden i pierścień jej wręczył.

„Z przedniego jest złota, rzekł, i ma piękny rubin. Jeśli znasz acani damy światowe, to idź do najgładszej i powiedz, że pierścień do niej należeć będzie, jeśli zechce ku mej rozkoszy przyjść do mnie“.

Posłanniczka znała z widzenia, ze mszy, pięć pań urody wielkiej, z różnych stron pochodzących, z Pikardji, Poitou, Tours, Ljonu i Paryża, które mieszkały w grodzie i okolicy. Zapukała więc naprózód do drzwi tej z Pikordji. Sługa otworzyła, lecz pani nie chciała rozmawiać z gościem. Była uczciwą.

Posłanniczka udała siu następnie do pani z Poitou i gorąco jej pięknego kawalera poleciła. Pani zaś ta odpowiedziała:

„Proszę powiedzieć temu, który ją przysłał, że się w adresie pomylił i że nie jestem taką, jak o mnie trzyma“.

Ta jest też uczciwą, lecz mniej niż uprzednia, gdyż chciała wydać się większą.

Posłanniczka udała się wówczas do pani z Tours, temiż samemi słowy polecenie wyłożyła i pokazała pierścień.

„Zaprawdę, rzekła pani, pierścień ten jest piękny“.

„Pani własnością jest, jeśli będziesz powolną“.

„Nie chcę go za cenę, którą nań oznaczyłaś. Małżonek mój mógłby nas zejść, a byłoby to dla niego przykrością, na jaką wcale nie zasłużył“.

Ta jest cudzołożnicą w sercu swojem.

Posłaniczka pospieszyła do pani z Ljonu, która wykrzyknęła:

„Niestety, moja stara, mąż mój jest zazdrośnikiem i i obciąłby mi nos, aby mi przeszkodzić zdobywać więcej pierścieni przez tę grzeszną zabawę“.

Ta pani nic nie jest warta.

Posłanniczka pobiegła do paryżanki. Niegodziwa, odpowiedziała bezwstydnie:

„Mąż mój we środę udaje się do swych winnic, powiedz więc temu, który cię posłał, że w ten dzień go odwiedzę“.

Oto, według brata Oliwera Pikardczyka z Paryża, stopnie dobra i zła u kobiet. Co sądzisz o tem, waszmość opacie?

Na co dobry mój mistrz odpowiedział:

— Wielką jest zaiste rzeczą rozpatrywać poruszenia tych małych istot w stosunku do wiecznej sprawiedliwości. Osobiście — nie widzę jasno w tych sprawach. Przypuszczać jednak mogę, że pani z Ljonu, która się bała, aby jej nosa nie obcięto, mniej jest wartą od paryzanki, co się niczego nie bała.

— Daleki jestem od zgody w tej mierze z waszą miłością — odrzekł Jan Chaoaray. — Kobieta, która męża się boi, może się bać piekła. Spowiednik potrafi ją może skłonić do pokuty i czynienia jałmużny. Gdyż to jest właśnie naszym celem. Lecz czegoż kapucyn może oczekiwać od niewiasty, której nic nie przestrasza?

Dr. J. H. Friedlaender.

Walka o bieguny.

Na północy i na południu, dokoła obu wylotów osi ziemskiej, rozciełają się tajemnicze krainy, wiecznie pokryte śniegiem i lodem. Pomimo jednak tak niegościnnej natury, od wieków już budziły one ciekawość odważnych a przedsiębiorczych podróżników. Pierwsze wyprawy na północ miały jednak zupełnie wyraźny cel praktyczny. W roku 1527 kupiec angielki Thorne zaproponował królowi Henrykowi VIII dokonanie odkryć na północy, ponieważ, jak mówił, „wszelkie inne kraje odkryte już zostały przez hiszpanów i portugalczyków“. Miał on na celu podniesienie handlu angielskiego przez odkrycie nowej drogi morskiej. Plan był taki: po okrążeniu kraju „Tatarów“, czyli północy współczesnej Rosji, zamierzał Thorne zwiedzić Chiny, potem zaś dalej, jadąc dokoła Azji i Afryki, wrócić do domu.

Łatwiej to było pomyśleć, niż wykonać. O tę „drogę północno-wschodnią“ walczono długo i z uporem. Wiele ofiar padło w czasie tych poszukiwań, aż wrzecie, gdy w r. 1879 Szwed Nordenskjöld objechał północ Europy i Azję, przekonano się, że droga ta tak jest uciążliwa i niepewna, iż z punktu widzenia handlowego nie posiada żadnej wartości. Dodatnim rezultatem całego tego szeregu wypraw, z których niektóre szczególnie nieszczęśliwie się skończyły, było jednak zbadanie północy pod względem gieograficznym. W końcu 16 wieku holender Barents odkrył wyspę Niedźwiedzią i Szpicberg. Znacznie później, bo w r. 1872, wy-

prawa austrjacka Payer'a i Weyprecht'a ujrzała cały szereg wysp, którym nadano imię Ziemi Franciszka Józefa. W roku 1879 szwed Nordenskjöld, poparty przez rząd szwedzki, wybrał się na północ na okręcie „Vega" i, jakieśmy już nadmienili, odkrył drogę północno-wschodnią. Ponieważ jednak nie dawał znaku życia, więc tegoż roku bogaty wydawca amerykański Gordon Bennett wysłał na spotkanie okręt „Jeanette" pod wodzą kapitana de Long. Okręty minęły się ku zgubie załogi „Jeanette". Nieszczęśliwy ten statek uwięziony został w lodzie i całe dwa lata posuwał się wraz z nim ku zachodowi, aż wreszcie zgniotły go bryły lodowe. Niewielu z uczestników wyprawy zaledwie zdołało się ocalić.

Po trzech latach kry lodu wyrzuciły resztki rzeczy, należących do załogi „Jeanette", daleko na zachodzie u brzegów Grenlandji. Na zasadzie tego faktu podróżnik norweski Nansen doszedł do wniosku, że na dalekiej północy istnieje prąd wody, który unosi kry lodu od wschodu ku zachodowi. Powiedział sobie zatem Nansen: „skoro lód sam przez się porusza się ku zachodowi, więc dam mu się uwięzić i wraz z nim przepłynę ponad biegunem." W podróży na okręcie swym „Fram" („Naprzód" po norwesku) Nansen wprawdzie do bieguna nie dotarł, ponieważ droga lodu odchyliła się ku południowi, dokonał jednak, wraz ze swemi towarzyszami, wielce doniosłych odkryć. Podziwu godną jest energja i przenikliwość, z jaką wyprawa poczęta została i przeprowadzona. W celu uniknięcia smutnego losu poprzednich wypraw, w których kry lodu, będące ciągle w ruchu i prące na się nawzajem z olbrzymią siłą gniotły statki, okręt Nansena zbudowany został tak, iż boki jego tworzyły bardzo rozwarty kąt. Statek był zatym choć spiczasty ku dołowi, lecz bardzo płaski. W ten sposób najsilniejsze parcie boczne nie mogło go zgnieść, lecz unosiło jedynie w górę. Po trzech latach podróży zwycięski „Fram" powrócił do Norwegji nieuszkodzony, wioząc obfite żniwo naukowe i załogę, której nawet przybyło na wadze.

Tak doskonale udana wyprawa ta zawdzięcza powodzenie swe doświadczeniom, zebranym przez poprzedzające ją ekspedycje. Podróż w tych krainach lodu jest niezwykle uciążliwa. Bezbrzeżna biel, rozcielająca się dokoła, oślepia i nabawia podróżnika choroby oczu. Żeby tego uniknąć nosi się przyćmione okulary. Temperatura spada nieraz do 50, a nawet 80, stopni poniżej zera. Szczeliny w lodzie, zdradziecko pokryte warstwą śniegu, czyhają na życie podróżnika, wreszcie choroba, zwana skorbutem, powala, a właściwie powalała śmiałków, którzy dotarli do tych krain północnych. Po wielu smutnych doświadczeniach przekonano się, że choroba ta ma swe źródło w niewłaściwym, niedostosowanym do klimatu, sposobie odżywiania się. Przytem odkryto, że sok z cytryn jest doskonałym środkiem ochronnym przeciw skorbutowi. Że przy właściwym sposobie życia można najzupełniej przy zdrowiu pozostać tego dowiódł niezbicie Nansen na własnym przykładzie. Widząc, że droga okrętu odchyla się od kierunku północnego, zdecydował się on, we dwuch z porucznikiem Johansenem, opuścić okręt i na piechotę odbyć wycieczkę do bieguna. Otóż żeby do tej podróży się przysposobić, dzielni ci ludzie przez pewien czas karmili się surową rybą i surowem mięsem fok morskich w przewidywaniu, że inne jedzenie im się nie przytrafi. Wogóle zaś wzorowali się w swym sposobie życia na eskimosach, ludzie koczującym w tych krajach podbiegunowych. W rezultacie jednak podróżnicy musieli zawrócić, zbliżywszy się o 46 mil do bieguna, ponieważ i ich, podobnie jak i okręt, prąd skrzepłej masy lodu unosił precz ku południowi. Po wielu wysiłkach i niebezpreczeństwach dwaj badacze spotkali się zupełnie przypadkowo na Ziemi Franciszka Józefa z anglikiem Jacksonem, kierownikiem wyprawy naukowej, badającej tamte strony i wraz z niemi wrócili do ojczyzny.

Po Nansenie trzej uczestnicy wyprawy włoskiego księsia Abruzzów z olbrzymim wysiłkiem posunęli się jeszcze o 22 stopnie, czyli około 6 mil na północ.

Najnowszej wreszcie zdobyczy dokonano w roku ubiegłym. Kilka tygodni temu wrócił z podróży, podbiegunowej amerykanin dr. Cook, najpierwszą zaś rzeczą jaką uczynił zbliżywszy się do miejc zamieszkanych, było wysłanie depeszy do pisma amerykańkiego „New Jork Herald", iż 21 kwietnia roku 1908 wraz z dwoma eskimosami dotarł do bieguna północnego. Zatknął wprawdzie na nim flagę amerykańską ale na co się to zdało, skoro biegun sam leży nie na lądzie stałym, lecz na wodzie, a właściwie na lodzie. Nieco dalej od bieguna odkrył dr. Cook ziemie nieznane.

Wreszcie, nie zdążył jeszcze Cook zdobyć wiary u współczesnych, aż tu wraca z podróży inny jeszcze amerykanin Peary, również znany badacz i oznajmia, iż to on odkrył biegun północny, jednocześnie zaś podaje w wątpliwość wiarogodność Cooka. Mamy zatem w tej chwili dwuch odkrywców bieguna północnego. Świat naukowy i opinja polityczna walkę staczają o to, komu oddać palmę pierwszeństwa. Jak się spór skończy, trudno przewidzieć. W każdym razie sprawozdania obu podróżników zgadzają się na tym punkcie, iż na drodze, którą obrali, posuwać się można z tak wielką szybkością, jakiej nie osiągnęła żadna z poprzedzających wypraw.

Wobec olbrzymich trudności, jakie do niedawna nastręczała podróż po lodzie, poczęto przemyśliwać, czy też niema innej wygodniejszej drogi ku biegunowi. Droga ta w istocie jest — leży ona ponad nami, w powietrzu. Szwed Andrée w towarzystwie Strindberga i Fraenkla w r. 1897 puścili się w podróż balonem, sądząc, że przy pomyślnym wietrze w krótkim czasie odmierzą drogę ku biegunowi. Losy chciały inaczej. Podróżnicy przepadli bez wieści; sądząc z jedynej notatki, jaka do nas od nich doszła, wnosić należy, że wiatr uniósł ich wprawdzie z początku ku północy, wkrótce jednak zakreślił koło i zawrócił w kształcie wiru. Balon wpadł zapewne w śnieżycę i, obładowany śniegiem i lodem, opadł na ziemię. Jak długo jeszcze Andrée i towarzysze jego żyli po tej katastrofie — niewiadomo.

Być może, iż w niedalekiej przyszłości, dzięki udoskonalonym balonom sterowanym i maszynom latającym, podróż do bieguna spadnie do rzędu wycieczek, urządzanych przez wielkie towarzystwa żeglugi napowietrznej. Najwięcej zaś na tym rozwoju środków przewozowych napowietrznych skorzystałaby nauka. Uczeni mogliby w dowolnym punkcie opaść na ziemię w celu dokonania pomiarów, czy innych badań, podczas, gdy dotychczas warunki naturalne w postaci zwałów lodu, wybojów, szczelin bardzo ich ograniczają w swobodzie ruchów.

Jak na zasadzie wszystkich tych podróży przedstawia się gieografja krajów podbiegunowych? Nansen i dr. Cook dowiedli, że biegun północny leży na wodzie. Dokoła bieguna natomiast mamy kilka większych mas lądu: Grenlandję, Ziemię Grinell'a, Ziemię Franciszka Józefa, nieco dalej zaś, w pobliżu ostatniej, wyspę Szpicberg. Kto ma trochę pieniędzy na zbyciu, może dziś z łatwością zwiedzić Szpicberg, wielkie bowiem parowce dowożą tam rok rocznie setki turystów. Temperatura latem zupełnie znośna — około 3 stopni ciepła, zimą zato spada do 40 stopni poniżej zera. Latem w ciągu czterech miesięcy słońce nie zachodzi wcale, zimą na takiż przeciąg czasu się chowa. Ta straszna noc podbiegunowa mocno się dała we znaki podróżnikom, z chwilą bowiem, gdy zapadła, ani sposób oczywiście ruszyć dalej. Nie pozostaje im nic innego, jak tylko urządzić sobie chatę i zimować. Myliłby się jednak ten, ktoby myślał, że w ciągu nocy polarnej panują zupełne ciemności. Przedewszystkiem jest księżyc, prócz tego zaś świeci często t. zw. zorza północna. Dziwne to zjawisko, dla którego podróżnicy nie mają dość słów zachwytu, według nowszych badań, pochodzi stąd, iż słońce wyrzuca ku ziemi niezliczoną ilość drobnych cząstek naelektryzowanych, które, dochodząc do górnych warstw powietrza, wyładowują się, czyli że tracą swoją elektryczność. Stąd powstaje przecudna, czarodziejska gra świateł różnobarwnych. Na sklepieniu niebios tworzą się luki ogniste, pióropusze świetlne, co chwila zmieniające kształt i kolor, to znów niebo płonie łagodną wielobarwną łuną. Zjawisko dochodzi do najwyższego blasku, potem pomału blednie i zanika.

Na odwrotnym, południowym końcu osi, dokoła której ziemia się kręci, mamy warunki zupełnie odmienne, niż na północy. Czapka lodowa, przykrywająca bieguny, nasunięta jest na południu znacznie głębiej, niż na północy. Na odległości Petersburga rozściela się tu pełne morze polarne. Drogę ku biegunowi przegradza żeglarzom przedewszystkiem zwał kier lodowych, bardzo trudny do przebycia. Udało się to po raz pierwszy anglikowi James Clarke Ross, który poza nim odkrył wolne od lodu morze. Wyprawa Rossa (w r. 1839), żeglując dalej ku południowi, ku zdumieniu swemu ujrzała na tym zlodowaciałym krańcu ziemi dwa wspaniałe wulkany,

którym według okrętów swych nadała nazwę Erebus i Terror. Jeszcze jeden potężny wulkan odkrył w r. 1900 Borchgrewink. Naogół jednak biegunem południowym mniej się dotychczas zajmowano. Wspomnieć należy podróże Nordenskjölda, Drygalskiego i innych. Stwierdzono, że dokoła bieguna południowego istnieje wielki ląd, tak wielki, iż mówić można o szóstej części świata. Zwą tę część świata Antarktis. Wejść na ląd ten udało się jednak niewielu, pokryty jest bowiem jednolitą skorupą lodu, stromo spadającą na samem wybrzeżu. Że jednak najtrudniejsze zadania najwięcej badaczów nęcą, spodziewać się należy, iż wkrótce i biegun południowy odkrytym zostanie, kraje zaś podbiegunowe dokładnie zostaną zbadane.

Wyprawa angielska porucznika Shackletona wróciła w czerwcu z podróży w te strony. Zbliżyła się ona o 25 mil do bieguna. Wobec tego, iż biegun północny został odkryty, nie ulega wątpliwości, iż podróżnicy rzucą się obecnie na południowy.

W gruncie rzeczy jednak ważniejsze są badania naukowe w okolicach podbiegunowych, niż dotarcie do bieguna samego.

Kwestje, jakie się tu nauce narzucają, oprócz gieograficznych, są następujące. Przedewszystkiem meteorologja, czyli nauka o wietrze i pogodzie, dużo na tych badaniach skorzysta. Następnie zoologja, czyli nauka o zwierzętach, ze względu na ich rozmieszczenie i gatunki. Ciekawym jest np. fakt, że na południu niemasz białego niedźwiedzia, podczas gdy jest na północy. Niektóre gatunki ptaków znów, jak pingwiny żyją tylko w krajach podbiegunowych południowych. Następnie bardzo ważne są też badania magnetyczne. Wiadomo, że igła magnesowa pokazuje stale jednym swym końcem na północ, drugim na południe. Dziwne to zachowanie się tłomaczy się tem, iż istnieją dwa punkty na ziemi, które przyciągają odpowiednie końce igły. Tak samo na igłę magnesową działałaby sztabka magnesu. Dwa końce takiej sztabki zwą się biegunami, a ziemia też ma dwa takie bieguny. Północny biegun magnesowy znanny jest już dość dawno, południowy odkryty został niedawno przez Shackletona. Ze ziemia zachowuje się tak jak magnes, temu niema się co dziwić, wiemy bowiem, że zawiera ona dużo rudy żelaznej, ta zaś, a właściwie niektóre jej gatunki, posiada własności magnesu.

Własności magnetyczne ziemi mają tez wielki wpływ na zjawiska, zachodzące w powietrzu, a stąd na opady i pogodę.

Wreszcie niezależnie od wszelkiej nauki słusznym jest, aby człowiek zawieszony w wszechświecie na swojej kuli ziemskiej, znał dokładnie siedzibę swoją. Znajomość ta i z punktu widzenia praktycznego bardzo jest ważną — wracamy tu do tego, od czego wogóle zaczęły się podróże podbiegunowe. Na Szpicbergu np. odkryto bogate pokłady węgla, żelaza i t. d. Mieszkają już tam nawet ludzie na stałe. Nadejdzie czas, gdy człowiek korzystać będzie z wszelkich bogactw natury, niezależnie od tego, czy leżą one pod piekącem słońcem zwrotnika, czy też na obu zlodowaciałych krańcach podbiegunowych.

„Wiedza."

„Lumpenproletarjat":

Na dnie społecznem osiadły męty, osad dzisiejszego ustroju kapitalistycznego — lumpenproletarjat.

Stworzył sobie własną etykę, własną pieśń i odrębny język. Wykolejony i nieszczęśliwy, często pozbawiony jakichkolwiek szlachetniejszych uczuć ludzkich, stał się plagą społeczeństwa. Czyny tego towarzystwa, które nie posiada żadnych statutów, znajdują nieraz godnych piewców, nie mówiąc o różnego rodzaju autorach i sprawozdawcach dziennikarskich. Komisarz policyjny i prokurator poświęcają mu dużo czasu. Protokoły i akta policyjno-sądowe odzwierciadlają życie lumpenproletarjatu.

Jest on otoczony szczególną pieczołowitością władz. Dla niego budują poważne, surowe gmachy, noszące nazwę domów karnych. Dla niego zwiększa się ustawicznie liczbę policjantów. Tępią go, jako szkodnika. Ropiący wrzód na organizmie społecznym leczą kryminałami. Operatorów jest wielu. Środki, jakich używają, są nader proste: paragrafy ustawy karnej. Pomimo wszystkiego lumpenproletarjat nie słabnie.

Siedliskiem jego są przeważnie duże miasta. Wielkomiejski ruch i stosunki wytwarzają dla niego źródła zarobku i utrzymania. W mrowisku ludzkiem czuje się szczęśliwy i bezpieczny.

W każdym numerze dziennika można natrafić na ślad istnienia tego towarzystwa. Pewna część kroniki jest im stale oddana. „Poważne" pisma notują czyny jego drobnym drukiem, jakby się wstydziły, że on istnieje i działa... Napad... przebicie, awantura, kradzież — to zwykła sfera działania lumpenproletarjatu, zakres czynności, którym się oddaje z zapałem. Spokojny, przeżuwający obiad obywatel jest przywyczajony do czytania opisów tych wypadków. A jednak ma zawsze świadomość, że one źle oddziaływują na jego trawienie... Wówczas bowiem przeraża go istnienie tych ludzi, co kradną i rozbijają, strachem napawa myśl o spotkaniu się z nimi, a oburzeniem przyjmuje niedołęstwo policji i władz sądowych. „Więcej kryminałów!"...

Lumpenproletarjat posiada silną organizację. Jestto państwo, rzeczpospolita, która ma własną policję, ma sądy, dowódców i kierowników, ma „prawa zasadnicze", nie spisane wprawdzie, lecz przechowywujące się tradycją, ma swoją sztukę i poezję. Słyszymy w każdym roku nową pieśń lumpenproletarjatu. Wielbi w niej swych wybitnych członków, ich czyny, wypowiada swe smutki i cierpienia. Więc słyszymy, jak ukryty w tłumie poeta, który zupełnie zrezygnował z pretensji do sławy i rozgłosu i nie jest zwolennikiem reklamowania swej muzy, opowiada w pieśni o królu Wasińskim, co „przed sądem stawał prawie przez trzy tygodnie", o zdrajcy niegodnym i złych agientach policyjnych, o Andzi, co pokochała złodzieja, gdyż on „zawsze świeży grajcar ma" i t. d. Jedno zastanawia: lumpenproletarjat silnie zaznacza w tych pieśniach swoją odrębność od reszty społeczeństwa i jest w nich jak dziecko naiwny, jak rozmarzona dziewczyna sentymentalny. Melodje, do których stwarza słowa, są najczęściej smutne.

Lumpenproletarjat — to świat nędzy moralnej, zbrodni i upodlenia, świat dzikich, niczem nie powstrzymywanych instynktów i — przedewszystkiem — świat nieszczęścia. Ci, którzy w nim żyją, są bardziej nieszczęśliwi, niż źli.

To i owo.

Socjalizm uwolni dziecko — niewolnika.

* * *

Socjalizm uwolni niewolnika białego.

* * *

W ustroju współczesnym większość pracuje, a zaledwie mała ilość korzysta z owoców tej pracy.

* * *

Socjalizm uwolni niewolników klasy robotniczej.

* * *

Socjalizm uwolni i kapitalistę od brzemienia troski i zrobi zeń prawdziwego człowieka.

* * *

Gdyby właściciel kopalni był robotnikiem kopalnianym, chciałby mieć lepsze warunki pracy.

* * *

„Ideje czerwone" więcej rujnują twierdzę wyzysku, niż armaty. Agitacja czyni cały świat drżącym.

* * *

Gdyby właściciel domu miał płacić innym za przywi-

leje posiadania tej ziemi i pozostania na niej, byłby w opozycji przeciw „posiadaniu“.

* * *

Kapitalizm trzyma pod zamkiem nagromadzone bogactwa i zamyka też człowieka, którego się boi. Ale i wtedy nie jest bezpieczny.

* * *

Jeśli kapitalista ma prawo brać część produktu pracy robotnika, dlaczego nie ma prawa wziąć od nich części z tego, co posiadają, robotnik?

* * *

Bankowe oszczędności nie są bezpieczne przy kapitalizmie. Bank może upaść. Złe wkłady mogą uczynić was biednymi. Nigdzie niema zabezpieczenia, tylko w socjalizmie.

* * *

Dlaczego fabrykant nie ma pracować tak dużo, jak każdy inny człowiek? Dlaczego dziedzic nie ma płacić innym za przywileje pozostawania na ziemi, jeżeli ta zasada jest słuszna i dobra?

Taka sobie piosnka.

Tłum biedaków wyszedł bosy,
O porannej wyszedł porze,
Zawdzwoniły sierpy, kosy,
Zachrzęściło złote zboże.

Dzwonią sierpy, dzwonią kosy,
Pada, pada żytko złote;
A żniwiarze w różne głosy
Nucą sobie na ochotę.

Ciesz się chłopie, śpiewaj sobie,
Wesel duszę dziś przy żniwie,
Niech raz w roku zda się tobie,
Że potrafisz żyć szczęśliwie.

Przyjdzie jesień a w jesieni
Sprzedaż zboże na podatki,
Śpiew twój bracie w płacz się zmieni,
Głód zaglądnie do twej chatki!

C h a c h a r

Rozmaitości

Drogi pogrzeb. Z powodu niesłychanych kosztów, jakie pociągnął za sobą pogrzeb zmarłego cesarza chińskiego, prasa tamtejsza zdobyła się poraz pierwszy na odwagę i odsłania głęboką ranę, jątrzącą się w łonie państwa niebieskiego, mianowicie systematyczne złodziejstwo. Na pogrzeb cesarza przeznaczono było 600.000 taelów (1 miljon 500 tysięcy marek) Ale trudno sobie wyobrazić lichotę, dostarczoną za tak wielkie pieniądze. Haftów np. wcale nie wykonano podług obstalunku, tylko wypożyczono z jakiegoś drugorzędnego przedsiębiorstwa pogrzebowego; pokryte były one tłustemi plamami. To samo dotyczy sukien ponsowych dla wynajętych kulisów; parasole rozmaitych rozmiarów, rozpościerane podczas pochodu, nieraz już musiały być użyte przy pogrzebach bogatych kupców pekińskich. Wynajęcie wszystkich ubrań i ozdób, szeroko licząc, kosztowało zaledwie 10.000 taelów, 1000 kulisów za płaczliwy swój udział w ceremonji dostało drugie 10.000 a dwie trybuny, zbudowane dla cudzoziemców, mogły kosztować trzecie 10.000. Jeżeli obliczymy najdroższej uprzątnięcie dróg i ulic Pekinu, którymi przechodził kondukt, i inne rozmaite drobne kształty, to suma ta nie przekroczy 100 tysięcy taelów, pół miljona więc spoczęło w głębokich kieszeniach urzędników państwowych. Sąsiedztwo z Rosją zaraża.

* * *

Nowy system żeglugi powietrznej. Austrjacki kapitan Kuojka wynalazł nowy system żeglugi powietrznej. Według tego systemu, ponad silnym kablem, leżącym na ziemi, wznosi się balon, który połączony jest z ziemią kablem, doprowadzającym prąd. Balon tak jest urządzony, że ciągle pozostaje ponad trasą. Na wypadek, jeśli kabel doprowadzający prąd miałby się zerwać, baterje akumulatorów mogą ułatwić wylądowanie. Balon ma kosz dla podróżnych. Podczas całej drogi balon utrzymywać się będzie w wysokości 100 metrów. Wynalazca spodziewa się osiągnięcia szybkości aż do 100 klm. w godzinie. Koszta wynalazku mają być małe. Dla wyzyskania wynalazku utworzy się towarzystwo akcyjne, które już z wiosną ma budować kable na linji Wiedeń-Budapeszt.

* * *

Odkrycie grobu Menelausa i Heleny? „Times“ donosi o ważnych odkryciach archeologicznych, dokonanych w Sparcie przez angielską szkołę archeologiczną w Atenach. W r. 1906 odkryto pod rumowiskiem rzymskiego teatru, słynną świątynię Artemidy nad rzeką Eurotasem. Następnego roku rozpoznano jeszcze sławniejszy ołtarz Ateny, a roku zeszłego odkopano starożytną świątynię Artemidy pod fundamentami budowy z VI wieku przed naszą rachubą czasu. Na rok bieżący przypada odkopanie szczątków budowli z epoki homeryckiej, odsłonięcie Menelaionu i grobów, które, jak sądzą odkrywcy, są grobami Menelausa i Heleny. Dalsze roboty stwierdzą zapewne, czy przypuszczenie to jest słusznem.

* * *

Nowe odkrycia w Suzie. Uczeni francuscy, którzy od kilku lat zajęci są przy wykopaliskach w Suzie, stolicy państwa elamickiego a następnie Darjusza i Artakserksesa odkryli bardzo ciekawe materjały naukowe. Rozkopano mniejszy z dwóch wałów, które oznaczają położenie miasta i rozpoznali miejsce, gdzie niegdyś wznosiło się elamickie Akropolis. Badacze znaleźli ruiny trzech miast, które powstawały jedno nad drugiem, a z których najstarsze powstało 4000 lat przed erą chrześćjańską; niżej znaleziono przedhistoryczne osady. Do najważniejszych monumentów należą cztery słupy z czarnego kamienia, na których umieszczone są przepisy prawne króla babilońskiego, nazwikkiem Hamurabi. Z czasów tego króla znaleziono także cegły, z czego wnioskują, że budował pałac lub świątynię. Najnowsze wykopaliska dowodzą, że Suza więcej jak tysiąc lat przed Chrystusem zajęta była przez królów babilońskich. W r. 649 przed Chrystusem miasto zdobyte zostało przez asyryjskiego króla Assurbanipala, a świątynie i pałace uległy zniszczeniu. Odkrycia w Suzie przyczynią się do wyjaśnienia szerszej historji ludzkości.

* * *

Przy katastrofie w teatrze w Bielsku odniosły ciężkie rany następujące osoby: aptekarz Wladar, krawcowa Zamorska, córka jej, kupsowa Belirowa, kupcowa Mosesowa, restaurator Lindenberg i subjekt handlowy Halir. Przyczyny katastrofy podają dwie: 1) obok teatru przechodzi linja kolejowa do Żywca, a pociągi wywołują wstrząśnienia, wskutek których sztukaterja się rozluźniała, 2) na strychu teatru znajdują się pracownie dekoracyjne, a robota tam również wywołuje wstrząśnienia.

Poseł tow. Freundlich, który w sobotę przypadkiem był w Bielsku i poszedł ze siostrą do teatru, tak opisuje „Arbeiter-Ztg.“ wypadek: Około godz. 10 wieczór, w chwili, gdy Turridu kończył drugą zwrotkę pieśni o winie, rozległa się detonacja podobna do strzału armatniego, ogromna chmura kurzu napełniła widownię i rozległy się krzyki i jęki. Zawołałem na siostrę, aby wyszła najbliższemi drzwiami i rzuciłem się ku tylnym miejscom. Miałem przed sobą okropny obraz: pod rumowiskiem leżało kilkunastu ludzi ociekających krwią, a wśród nich stała może 12 letnia dziewczynka bez ruchu, widocznie nieranna. Zacząłem rękami wygrzebywać ludzi i wkrótce ręce i ubranie moje ociekały krwią. Za mną pospieszyło jeszcze kilka ludzi, poczem odgrzebanych zaniesiono do garderoby i do kawiarni teatralnej, gdzie lekarze zajęli się opatrunkiem. Widziałem okropne rany: rozbite głowy, połamane członki, rozdarte twarze. Wiele kobiet zemdlało, inne dostały kurczów, wszystkie płakały. Widziałem 35 rannych, między nimi 8 ciężko.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 42. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 16 października 1909.

STEFAN ŻEROMSKI.

Złe przeczucie.

Od godziny już ziewałem na dworcu kolejowym, oczekując nadejścia pociągu. Wytrzeszczałem z nudów oczy do kilku po kolei dam, również ziewających w rozmaitych kątach sali, doczekałem się nawet skutku „robienia oka“, gdyż jakaś młodziutka blondynka z białym noskiem, usteczkami jak listki róży, z oczami jak listki błękitnej portulaki, pokazał mi zwinięty w trąbkę język, czerwony jak listek polnego maku — i... nie wiedziałem co dalej przedsięwziąć dla zabicia czasu.

Na szczęście weszło do sali dwu młodych studentów, zabłoconych aż do bród — mierzwinek, zmęczonych drogą i roztargnionych. Jeden z nich szczególnie, jasny blondyn o przecudownym profilu, był dziwnie rozmarzony, czy zrozpaczony. Usiadł w kącie, zdjął czapkę i co chwila chował twarz w dłonie. Towarzysz kupił i wręczył mu bilet, usiadł obok i co chwila pociągał go za rękaw.

— Czegóż rozpaczasz? Jeszcze może być wszystko dobrze. Antoś, słyszysz...

— Nie... to darmo, umrze, ja wiem... ja wiem... może nawet już...

— Dajże pokój! Czy ojciec miał kiedy tego rodzaju ataki?

— Miał... od trzynastu lat na serce chory; pił... czasami... Pomyśl, nas ośmioro, małe dziewczęta, matka słabowita. Do emerytury brakuje pół roku... To dola!

— Zobaczysz, że mu przejdzie, Antek!...

Dzwonek uderzył; w sali powstał zamęt, porywanie pakunków, deptanie się nawzajem po odciskach, tłumne odpychanie od drzwi wchodowych szwajcara, gwar i zamieszanie. Wsiadłem do tego samego wagonu klasy trzeciej, w którym umieścił się bloudynek student. Kolega odprowadził go, posadził, jak chorego, w kąciku ławki obok okna i usiłował pocieszać, choć mu to nie szło i słowa więzły w gardle. Twarz blondyna drgała od czasu do czasu kurczowo i powieki zsuwały się na jego zamglone oczy.

— Antoś, bracie — mówił tamten — zobaczysz no... jak Boga kocham; przekonasz się do wszystkich djabłów!...

Zadzwoniono po raz drugi i trzeci, pocieszyciel wybiegł z wagonu i, gdy posiąg ruszył, przesyłał towarzyszowi dziwne ukłony, jakby mu groził pięściami.

W wagonie mnóstwo było ludzi prostych, żydów, dam w salopach, szerokich jak zatoka Biskajska — gadano, zdobywano miejsca kułakami, palono papierosy.

Student stanął przy oknie i patrzał, patrzał...

Za spotniałą szybą przesuwały się pasy iskier, jak rozpalone do czerwoności draty, kłęby pary i dymu, jak wielkie kłaki waty, które wiatr darł na strzępy i ciskał o ziemię. Dymy te wlokły się po małych krzakach, rosnących tam w dole na zmoczonej deszczem ziemi. Zmierzch dnia jesiennego zalewał krajobraz półświatłem, pełnem jakieś nieopisanej, posępnej melancholji.

Biedny, biedny chłopiec...

Patrzał wzrokiem zagasłym, jakim patrzy pustka smutku bez granic, który zachodzi aż w dziedzinę mądrości. Wiedziałem, że w pustce tej jest jeden tylko rdzeń stały: — niepokój. Wiedziałem, że na ten rdzeń nawija się cieniutka niteczka nadziei, bardzo długa, wybiegająca z jakichś nieznanych krosien, ukrytych poza granicami świadomości. Nikogo nie widział, nic nie słyszał, śledząc bezmyślnie kłęby dymu. Wiedziałem, jak mu jest źle, jak wolno posuwa się dlań pociąg, jaki on zmęczony, jakby chętnie teraz płakał, gdyby mógł. Niteczka nadziei łechce mu serce: kto wie? może wyzdrowieje ojciec, może się wszystko ułoży...

I nagle — zgadłem! — krew uciekła z tej twarzy, wargi zbielały i zatrzęsły się, szeroko rozwarte oczy z przerażeniem patrzały daleko, daleko. W przestrzeni, martwej dotąd i pustej — coś ożyło, jakby ręka z grożącym palcem wyciągała się ku niemu, jakby wiatr zawołał: — strzeż się!

Nitka nadziei pękła i naga, nadmiernie bolesna prawda, w którą nie wierzył do tej chwili, przeszyła mu serce, jak miecz nagi.

Gdybym się był wówczas do niego zbliżył i powiedział mu, że jestem duchem, który wszystko wie, że wiem dobre dla niego wieści, że ojciec jego nie umarł w tej chwili — byłby mi upadł do nóg i uwierzył. Wyświadczyłbym mu łaskę niewysłowioną...

Lecz nie poszedłem do niego, nie uścisnąłem mu ręki. Wolałem przyglądać mu się z pilną i nienasyconą ciekawością brata-człowieka.

St. Klimowicz.

Aeroplany.

Największy czas już zwrócić uwagę czytelników naszego pisma na niebywałą wagę obecnej chwili, na przełomowy poprostu charakter dni, które przeżywamy. Oczywiście, spokojny mieszkaniec naszego miasta, do którego uszu dalekie echa tylko o rozwoju technicznej strony życia z zachodu dolatują, nie może zdać sobie sprawy, wyrobić w sobie przeświadczenia, że rok bieżący 1909 jest początkiem nowej ery, że na kartach historji rozwoju cywilizacji rok ten tysiąckrotnie wyliczanym będzie jako otwierający w życiu narodów nową epokę, w której człowiek — po uprzedniem, dla potrzeb komunikacji, ujarzmieniu lądu i morza — potężnym wysiłkiem inteligiencji zagarnął w panowanie trzeci żywioł — powietrze, otwierając sobie poprzez atmosferę drogi bez końca i śladu!

Dziś już przewidzieć możemy, do jakiego stopnia zmaleje znaczenie granic międzypaństwowych, kiedy użytek tych wehikułów stanie się przystępnym szerszemu ogółowi. A cóż stanie się z komorą celną. Jakaż będzie wartość paszportu, kiedy poczniemy przejeżdżać granicę 200 metrów ponad ziemią i z szybkością 90 kilometrów na godzinę?

Przechodząc od ogólnego do szczegółów, każdy dzień ubiegłych ostatnio miesięcy należałoby notować, gdyż stanowi on w walce człowieka z atmosferą nowy krok na drodze do zwycięstwa. Do szeregu walczących codzień to nowi przyłączają się zapaśnicy, pomimo iż starych prawie że nie ubywa. W samej rzeczy bowiem, wbrew pesymistycznym

przewidawaniom wielu niewierzących, wypadków nieszczęśliwych okazało się do dziś dnia bardzo mało pomimo to, że doświadczenia odbywają się na maszynach coraz to nowych systemów i w żywiole, zupełnie dotychczas nieznanym człowiekowi. Oprócz wypadku z Orwilem Wright'em (bratem Wilbura Wright'a) w Ameryce, w którym postradał życie delegowany od rządu Stanów Zjednoczonych, zanotować wypada śmierć Lefévre'a i Ferbera we Francji. Właściwych powodów tego ostatniego wypadku dotychczas nie wykryto. Zauważyć należy, że Lefévre również posługiwał się aeroplanem systemu Wright'a. Złą stroną tych aparatów jest brak stabilizatora z tyłu, któryby — na wzór ogona w latawcu — automatycznie utrzymywał równowagę podłużną. Dla tego też aeroplan Wright'a nie znajdzie szerokiego zastosowania pomimo bardzo pięknych wzlotów, dokonanych przez słynnego amerykanina, pomimo że jemu to właśnie przypada honor otworzenia epoki lotu mechanicznego.

Wilbur Wright bowiem na kartach dziejów wypisał historyczną datę 31 grudnia 1908 r. Dnia tego po raz pierwszy świat oglądał w ciągu 2 godzin, 20 minut i 23 sekund, człowieka latającego ponad polami Anvers we Francji na aeroplanie, ważącym 360 kg.

Czyn ten był iskrą na proch pomysłowości francuzów. Pojedyńcze dotychczas próby poczęły się dziesiątkować. Powstały liczne towarzystwa, mające na celu awjatykę z motorem czy też bez motoru. Nowe pisma specjalnie poświęcone tej sprawie, szerząc propagandę z jednej strony a ogłaszając i centralizując wiadomości o pojedyńczych wysiłkach z drugiej, znakomicie przyczyniły się do spopularyzowania idei. Dziś już pism tych — przeważnie tygodniowych — liczymy na dziesiątki. Coraz to nowe modele aeroplanów wyrastały jak z pod ziemi. Wreszcie rozpoczęto konkursy. Z początku zamożni miłosnicy idei, potem towarzystwa sportowe, redakcje pism, właściciele wielkich magazynów, ubiegających się o nowy rodzaj reklamy, a też i rady miejskie poczęły wyznaczać nagrody, zachęcające do udoskonalenia aeroplanu w najrozmaitszych kierunkach. A więc mamy nagrodę za największy dystans, nagrodę za najdłuższy czas, przepędzony ponad ziemią, za lot w kręgu zamkniętym, za największą szybkość w przelocie oznaczonej ilości kilometrów, za lot po linji prostej, za wylądowanie na tarasie wielkiego magazynu w Paryżu za przelot od miasta do miasta i tak dalej.

Trudy każdego z wynalazców, o ile tylko wieńczone były pomyślnym rezultatem z punktu widzenia technicznego, opłacały się finansowo przez wygranie odpowiedniej nagrody. W kwietniu roku bieżącego ogólna suma wyznaczonych nagród wynosiła we Francji 840.394 fr., a na całym świecie z górą 1.700.000 fr. Od tego czasu wiele już z nich przeszło do rąk zwycięzców i wiele nowych powstało.

Ciekawym niezmiernie przyczynkiem do rozwoju awjatyki jest ta okoliczność, że z chwilą, kiedy aeroplanami latać poczęto w właściwem znaczeniu tego słowa, to do miejsc, obranych przez awjatorów za pole doświadczeń, poczęła zjeżdżać się tak duża liczba ciekawych, że pociągi należało zaopatrywać w dodatkowe wagony, hotele na miejscu okazywały się zawsze przepełnione i dla okolicznej miejscowości doświadczenia awjatorów były źródłem poważnych dochodów. Spostrzegłszy wkrótce to, rozmaite miasta poczęły przyciągać ku sobie awjatorów, dając im do rozporządzenia pola, przeznaczone zwykle dla manewrów wojskowych i organizując konkursy z nagrodami.

Dla francuskich więc awjatorów okres obojętności ogółu, w którym pokonanie wszystkich trudności pozostawione jest samemu wynalazcy, już minął. Szeroki ogół zrozumiał już własny swój interes w rozwoju awjatyki, z czego wynika, że zachęta w rozmaitych formach i rozmaitemi drogami spływa ku nowatorom.

Konkursem głośnym na świat cały był niezaprzeczenie tydzień awjatorów w Szampanji, zorganizowany staraniem miasta Reims na polach Bétheny, od 22 do 29 sierpnia.. Takiego przeglądu aparatów do latania dotychczas jeszcze nie mieliśmy. Po raz pierwszy również oczy wielu tysięcy spektatorów oglądały kilku awjatorów bujających jednocześnie w powietrzu. Do konkursu stanęło 30 awjatorów zaopatrzonych w 36 aeroplanów rozmaitych systemów. Wszystkie, oficjalnie zaregiestrowane loty ułożone razem wyniosły z górą 1000 klm. Pobito wiele dotychczasowych rekordów, zastępując je innemi.

Rozdano nagród w sumie 148.000 fr., w czem:

5 nagród za największy dystans (95.000 fr.);

4 nagrody za szybkość osiągniętą w przelocie 30 klm. (20.000 fr.);

2 za szybkość w przelocie 10 klm. (10.000 fr.);

1 za przelot 10 klm. z pasażerami (10.000 fr.);

1 za największą wysokość osiągniętą w locie (10000 fr.);

2 nagrody dla mechaników (3000 fr.).

Wreszcie puhar Gordon'a-Bennett'a za przelot 20 klm. w najkrótszym czasie.

Nagroda za największy dystans przypadła w udziale Farman'owi, który na biplanie swego systemu przeleciał 180 klm., prześcigając wszystkie dotychczasowe rekordy świata. Farman też otrzymał nagrodę pasażerów, przewożąc aż dwuch jednocześnie, przyczem 10 klm. przeleciał w ciągu 10 min 39 sek.

Największą szybkość na 30 klm. osiągnął amerykanin Curtiss, przelatując je w ciągu 23 min. 29 sek. na aeroplanie systemu Wright'a. Tenże Curtiss otrzymał w posiadanie puhar Gordona Bennett'a za 20 klm. lotu, dokonane w ciągu 15 min. 50 sek.

Największą szybkość na 10 klm. lotu wykazał Bleriot na aparacie własnego systemu, uskuteczniwszy takowy w przeciągu 7 min. 47 sek.

Nagrodę wreszcie za wysokość otrzymał Latham na monoplanie systemu Antoinette, wzlatując na 155 mtr. od ziemi.

Oto, w najgłówniejszych zarysach rezultaty oficjalnie stwierdzone. Opisowi poszczególnych systemów jako też ich ocenie poświęcimy osobny artykuł. Z punktu widzenia propagandy nowej idei, konkurs w Reims był prawdziwem zwycięstwem: wizyta prezydenta respubliki, paru ministrów jako też olbrzymi napływ ciekawych nawet z poza granic Francji najlepszym są tego dowodem. „Wiedza".

Ruch abstynencki na ziemiach polskich.

Ruch trzeźwości, będący jedną z gałęzi ogólno etycznego ruchu wszechświatowego, liczącym na całym świecie 20 miljonów zwolenników, krzewi się i w Polsce.

W Galicji towarzystwo „Eleuterja" wydaje miesięcznik „Wyzwolenie", wychodzący w Krakowie pod kierunkiem p. Golińskiej-Daszyńskiej. Wychodzi ponadto we Lwowie pismo popularne dla ludu pod tytułem „Przyszłość Ludu", redagowane bardzo żywotnie przez młodego ludowca p. Tadeusza Czapczyńskiego. „Związek księży abstynentów" wydaje też dużo ulotnych, drobnych wydawnictw dla ludu w tow. Eleuterja poważniej opracowane broszury z tej dziedziny. Z Galicji ruch abstynencki przeszedł do księstwa Poznańskiego. Poznańskie towarzystwo „Wyzwolenie" liczy 2000 członków, dało życie dwom pismom. Jedno, to miesięcznik popularno naukowy pod tytułem „Przyjaciel trzeźwości", redagowany przez ks. Niesiołowskiego, znanego z licznych prac i działalności na polu ruchu abstynenckiego, drugie — to pismo „Świt", wydawane przez młodzież szkolną abstynencką, prowadzone w duchu ogólno etycznym.

Najmłodszym co do wieku jest ruch abstynencki w Królestwie. Blisko trzy lata temu zapoczątkował go dr. A. Wróblewski, który przeniósł w tym czasie z Krakowa abstynenckie pismo „Przyszłość" i założył towarzystwo pod temże imieniem z siedzibą w Warszawie. Towarzystwo rozwija się stale, liczy 1000 członków. Do towarzystwa należą prawie wyłącznie robotnicy, między nimi dużo kobiet. Poza swoją specjalną działalnością etyczną, towarzystwo stara się prowadzić swych członków ku wyższej oświacie i kulturze.

Nasz ruch trzeźwości jest wyłącznie proletarjacki, pozbawiony prawie zupełnie dopływu sił inteligienckich.

Nie możemy się oprzeć pokusie zacytowania słów tow. E. Vandeiveldego, omawiającego stanowisko socjalistów względem kwestji alkoholizmu.

„Sądzę, że kollektywiści nie mogą nie interesować się kwestją alkoholizmu, ani nie mogą być mniej lub bardziej pobłażliwi w stosunku do tych, którzy propagują wstrzemięźliwość lub umiarkowanie w łonie organizacji robotniczych.

Nietylko propaganda ta nie może być uważaną za odwracanie myśli od innych ważniejszych lub pilniejszych zadań, ale przeciwnie — alkoholizm właśnie jest niebezpieczną siłą odciągającą od jego zadań reformatorskich. Zalkoholizowani robotnicy w chwilach przejściowego podniecenia mogą być dobrzy do rozruchów.

Ale absolutnie nie można liczyć na nich w uciążliwej trudnej pracy, mającej na celu wyzwolenie proletarjatu".

Dalej zastrzegając się, że nie zamaskowany ascetyzm kieruje nim, gdy nawołuje socjalistów do wzięcia udziału w ruchu abstynenckim, tak rozwija dalej swą myśl:

„Robotnicy pod wpływem alkoholu widzą świat innym, niż jest w istocie. My zaś pragniemy, by go widzieli takim, jakim jest, ponieważ jasne pojęcie i dokładna świadomość cierpień, niesprawiedliwości i nadużyć, które znoszą, są niezbędnym warunkiem usunięcia tych cierpień, niesprawiedliwości i nadużyć".

Tyle Vandervelde. Są to poważne słowa, nad którymi poważnie zastanowić się chyba warto.

Ochrona pracy dzieci a ruch zawodowy.

Ochrona pracujących dzieci nie ma na celu propagandy za związkami zawodowymi, lecz żąda jej się w interesie dzieci samych. To też było powodem, że szerokie koła zorganizowanych robotników domagały się przez parlament ograniczenia względnie usunięcia pracy dziecięcej. Że zaś usunięcie pracy dziecięcej w skutkach swoich spowoduje również podniesienie ogólnej świadomości w ruchu robotniczym, a w szczególności w związkach zawodowych nie da się zaprzeczyć.

Ochrona dzieci, radykalnie przeprowadzona, położy przedewszystkiem tamę wyzyskiwaniu pracy dziecięcej i pozostawi tem samem dziecku szersze pole do rozwinięcia się pod względem fizycznym, jak i duchowym. Dzieci nie narażone z powodu pracy już w latach najmłodszych, na fizyczną degienerację i zjałowienie duchowe, wyrosną bez wątpienia na zdrowych i uświadomionych ludzi. Takich zaś ludzi potrzeba w związkach zawodowych do wywalczania lepszych warunków bytu tak pod względem gospodarszym jak i politycznym. Doświadczenie uczy, że ludzie fizycznie zdrowi i duchowo rzeźcy poświęcają się prędzej i trwalej ruchowi zawodowemu, gdyż posiadają więcej odwagi, silnej woli i zapału, aniżeli ludzie fizycznie słabi i duchowo ociężali. Ochrona dzieci ma więc zachować dziecku siły fizyczne i duchowe potrzebne dla człowieka dorosłego.

Przyznajemy jednak pracy wysoką wartość pedagogiczną i dlatego, o ile żądamy usunięcia zarobkowej pracy dzieci, o tyle z drugiej strony domagać się musimy objęcia planem szkolnym pracy ręcznej, odpowiadającej indywidualności dziecka. Przez miarowe przygotowanie do pracy i przez pracę samą wzbudzi i rozwija się w dziecku drzemiące zdolności. Dziecko nauczy się samodzielnie obserwować, myśleć, sądzić i działać, i rozwijać zręczność swych palców i muszkułów; skoro przedmiot jaki wykona, czuje, że to jego jest dziełem i ma wówczas pojęcie o wartości i godności pracy, dumnem jest z zawodu swego, choćby najpodrzędniejszego i z całą świadomością o pożyteczności swej pracy domagać się będzie należytego wynagrodzenia za nią. Będąc zaś przekonanym, że w łączności siłą, dążyć będzie do solidarnego wywalczenia lepszych warunków zarobkowych.

O ile więc zastosowanie pracy u dziecka, jako środka wychowawczego, jest nieocenionym pożytkiem dla niego na przyszłość, o tyle znów praca zarobkowa jest dla dziecka niepowetowaną szkodą, choćby już dlatego, że przeważnie nie odpowiada skłonnościom dziecka i przekracza siły jego.

Ochroną dzieci, mianowicie walka przeciw wyzyskiwaniu pracy dziecięcej, przyczyni się wreszcie w dalszym stopniu do wzmocnienia ruchu zawodowego.

Robotnicy dziecięcy pracują za niższą cenę i dlatego z powodu ich taniości, popyt na nich jest wielki. Przytem w zawodach, gdzie wyzyskiwanie pracy dziecięcej jest ogólnie przyjętem, np. przy roznoszeniu gazet, w przemyśle domowym itd. przedsiębiorcy przy ustanawianiu cen obliczają zgóry pomoc dzieci, w stosunku do tego obniżają zarobek dorosłych. Skoro usuniętą zostanie praca zarobkowa dzieci zupełnie, to ustanie bezwarunkowo zniżanie zarobków, spowodowanych pracą dziecięcą. Wprawdzie ujmie się przez to niejednej pojedyńczej rodzinie robotnicej dochód poboczny, osiągnięty przez zarobek dzieci, lecz z drugiej strony organizacja zawodowa, spotęgowana w siłę, wywalczy dla dorosłych członków rodziny lepsze zarobki, które niedobór wyrównają. Każdy rozsądny ojciec rodziny wówczas chętnie zrzecze się tych marnych parę groszy, które dziecko jego zarobić by mogło i cieszyć się będzie z fizycznego i duchowego rozwoju swego dziecka.

Leży więc w ogólnym interesie dzieci samych jak i w interesie ruchu zawodowego ochrona dzieci i ograniczenie względnie zupełne usunięcie pracy dziecięcej.

Obowiązujące prawo stoi niestety pod tym względem daleko w tyle. W rolnictwie i w posługach domowych, gdzie się tak wiele dzieci zatrudnia czy nie poczyniono dotychczas nic na ochronę pracy dziecka. Przepisy zaś o ochronie dzieci i ograniczeniu pracy dziecięcej w zakładach przemysłowych, warsztatach i przy posyłkach wcale nie wystarczają. Zamiast zakazać dzieciom, podlegającym jeszcze obowiązkowi szkolnemu, pracy zarobkowej zupełnie, dozwala obecne prawo o ochronie dzieci na zatrudnianie takowych w wielu wypadkach od 12 względnie 10 roku życia. Bądź co bądź obecne prawo służyć może za podstawę do walki o zupełne usunięcie zarobkowej pracy dziecka, a mianowicie do zorganizowania lepszej kontroli nad przestrzeganiem prawa o ochronie dzieci. Dotychczasowe organa kontrolujące, mianowicie: policja, inspekcja przemysłowa i nauczyciele zupełnie nie wystarczają. Ażeby kontrolę nad przestrzeganiem prawa o ochronie dzieci, jak i wszelkich praw o ochronie robotników skutecznie przeprowadzić, konieczną jest współdziałalność organizacji robotniczych. Organizacje działałyby w dwojakim kierunku, najpierw wzbudzając w członkach swoich poczucie i zrozumienie szkodliwości pracy dziecięcej, a powtóre stwierdzając bezwzględnie wszelkie przekroczenia prawa ze strony przedsiębiorców. Bardzo praktycznemi okazały się gdzieindziej utworzone z łona organizacji zawodowych w całym szeregu miejscowości komisje ochrony dzieci, składające się z kobiet i mężczyzn. Komisje te, chociaż nie mają za sobą środków, przysługujących organom rządowym, działają nader intenzywnie przeciw wyzyskiwaniu pracy dziecięcej i przekroczeniu przepisów prawnych o ochronie dzieci.

Rozmaitości

Bohaterski pies. Dzienniki paryskie donoszą o następującym ciekawem zdarzeniu: agient policyjny Dupont w Pontoise miał psa, zwanego „Deder", który odznaczył się wiele razy przy śledzeniu i chwytaniu zbrodniarzy. „Deder", specjalnie znienawidzony przez apaszów, jest prywatną własnością agienta, policja zaś osobno utrzymuje psy do śledzenia złoczyńców. Apasze oddawna zasadzali się na „Dedera", lecz pies zawsze wychodził zwycięsko. Jednej z ostatnich nocy banda apaszów, zaczaiwszy się niedaleko dworca, napadła na przechodzącego agienta, któremu towarzyszył „Deder" i dwa inne psy policyjne; oba za pierwszym atakiem złoczyńców uciekły. Tylko „Deder" został przy swym panu i zaatakował śmiało apaszów, nie zważając na ciosy nożem i uderzenia pałek, sypiące się na niego. Po dłuższej utarczce agientowi powiodło się przebić do bramy pobliskiego hotelu, gdzie się ukrył wraz z „Dederem", który

mał trzy rany od noża i ma złamaną łopatkę. Apasze ali się do hotelu, aż spłoszyła ich żandarmerja „De- leczony troskliwie przez dwuch weterynarzy, jest bo- m dnia w Pontoise i otrzymuje niezliczone a smaczne podarki, z których na razie nie może korzystać.

* * *

Porozumienie z Marsem. Paryski „Matin" ogłasza artykuł znanego astronoma amerykańskiego Wiljama Pickeringa, dyrektora obserwatorjum i uniwersytetu Hawarda w Cambridge, w którym autor stwierdza możliwość osiągnięcia sposobu do porozumienia się z mieszkańcami Marsa, jeśli ci wogóle istnieją. Zdaniem jego szanse największe miałyby sygnały świetlane za pomocą olbrzymich zwierciadeł o powierzchni kilometra kwadratowego. Gdyby odpowiedź nadeszła, należałoby celem porozumienia podawać najprostsze problemy arytmetyczne. Gdyby pojęcia te — zrozumiano, możnaby posunąć się dalej. Koszta takiego porjektu wyniosłyby około 50 miljonów franków; dalsze jednak wydatki byłyby daleko mniejsze.

* * *

Naszyjnik pieska. W wiedeńskiem sprawozdaniu policyjnem znajdujemy ciekawą rzecz o naszyjniku pieska, którą warto przytoczyć: „Na dniu 18 z. m. złożył pewien robotnik w urzędzie policyjnym naszyjnik o 18 rzędach prawdziwych pereł, osadzonych na trzech złotych prętach, ozdobionych djamentami. Robotnik ów znalazł naszyjnik na ulicy. Dzień poprzednio doniosła już pewna dama policji, że jej piesek zgubił naszyjnik i wykazało się, że znaleziony przez robotnika naszyjnik, przedstawiający wartość 1000 mk., był właśnie owym przez pieska zgubionym naszyjnikiem. Poczciwy znalazca otrzymał 100 marek znaleźnego."

Niech żyje pies! Dobroczyńca dla biednej egzystencji robotniczej! Mowy pochwalne sypać się będą na psa, który robotnika uszczęśliwił całemi 100 mk. Jak długo pracować musi robotnik, aby zarobić 100 mk.? A tu znajduje naszyjnik pieska i otrzymuje 100 mk., o które musiałby w innym wypadku krwawo pracować. Piesek nosi naszyjnik wartości 1000 mk. Setki tysięcy robotników pracujących rzetelnie zarabia zaledwie na chleb powszedni, nie mają za co pokryć ciała swojego najpotrzebniejszą odzieżą i nie wiedzą, gdzie złożyć strudzone członki na spoczynek. Może szczęśliwy znalazca naszyjnika w ów wieczór szedł zatopiony w myślach o ciężkiej swej doli i rozważał, jakby swej biedzie zaradzić, a tu błysnęły mu perły. Podniół naszyjnik i odrazu miał 100 mk. Szczęśliwy wypadek, powiedzą ci, którzy mają wszystko, a drugim zaledwo marzenia pozostawiają; — szczęśliwy wypadek powie również robotnik ograniczony, nie zastanawiający się nigdy nad położeniem swojem. Historja z naszyjnikiem pieska powinna jednak otworzyć wszystkim oczy. Uwydatnia ona najdobitniej cechę obecnego kapitalistycznego porządku społecznego, postawiającego psa na stopie życiowej, od której wykluczone są miljony ludzi pracujących.

* * *

Jubileusz karty pocztowej. Dnia 1 b. m. minęło 40 lat, odkąd w Austro-Węgrzech zaprowadzono t. zw. karty korespondencyjne. Na tem polu państwo austrjackie wyprzedziło wszystkie inne państwa. Już w r. 1869 profesor ekonomji w akademji wojskowej im. Teresy w Wiedniu, dr. Hermann, dał projekt zaprowadzenia takich kart pocztowych, któreby razem z adresem nia zawierały więcej jak 20 słów. Ponieważ zaprowadzenie kart pocztowych zależało od ugody z Węgrami, więc rząd austrjacki wdrożył w tym kierunku rokowania, które jednakże natrafiły na znaczny opór ze strony węgierskiego zarządu poczt, obawiającego się zmniejszenia dochodów przez zaprowadzenie tej nowości. — Wreszcie dnia 1 października r. 1869 zjwiły się pierwsze karty pocztowe w Austji i na Węgrzech.

To i owo.

Jeśli robotnicy chcą być ludźmi a nie zgrają najmitów pańskich, nie powinni władzy oddawać w ręce swych naturalnych wrogów...

Robotnicy mogliby to uczynić, lecz przez nieświadomość nie chcą.

* * *

Nędza i głód są jedynem źródłem zbrodni i prostytucji Usunięcie nędzy — oto najpoważniejszy środek w kierunku usunięcia zbrodni.

* * *

Narzucona i brutalna władza siłą swego istnienia stwarza bunt który musi ją zabić... Takim jest los władz kapitalizmu...

* * *

Po obaleniu kapitalizmu nieznani będą ludzie, żyjący w śmierdzących norach i chodzący w łachmanach...

* * *

Każdy człowiek społeczeństwa będzie miał udział w ogólnym dobrobycie i szczęściu społeczeństwa i nikt nie będzie cierpiał głodu.

* * *

Dziwnym jest człowiek, który widzi niebezpieczeństwo i nie stara się przed nim bronić. Takim jest robotnik, który nie wstępuje do organizacji...

* * *

Dzieci robotników nie mają nic z tego, co ojcowie ich wytwarzają. Takim jest ustrój dzisiejszy...

* * *

Prawdziwa wolność da dopiero ludzkości wspólne, społeczne władanie produkcją...

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt X na październik i zawiera:

Część pierwsza: (f): Kataster narodowy a proporcjonalność. — St. Poraja: Poezja ludowa w Królestwie polskiem. — H. Kozickiej: Religja w nauczaniu i wychowaniu. — L. Kulczyckiego: Współczesny syndykalizm rewolucyjny. — Wł. Studnickiego: Próby restytucji państwa polskiego od 1895—1815. — Juniusa: Współcześni politycy polscy. — Przegląd: Juniusa: Z trzech zaborów. — H. O.: Ze spraw wychowania i oświaty. — R. Minkiewicz: Czyn Imci pana Podfilipskiego z Konopi. Sprawozdanie z nowych publikacji.

Część druga: Dr. M. Janika: W rok jubileusza Juljusza Słowackiego. — (I. Hołd nauczycieli szkół średnich). — W.. F; Juljusza Słowackiego Lucyfer i pierwiastek lucyferyczny. — R. Minkiewicza: Z księgi „Nad morzem mojem". Nawroty fal. Dusza mędrca.. — Nokturn księżycowy. — Cisza. — Savitri: Listy umarłych. — M. Rakowskiej: List angielski. — J. Strzemieńczyka: Z cyklu „Orząc ruiny"... — Syn marnotrawny. — Łotr konający. — Przegląd: T. Bezimiennego: Z sztuki i życia. Z prasy artystyczno-literackiej. — (x) Teatr krakowski. — Nowe powieści.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

* * *

Numer 19 **„Promyka"**, postępowego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera:

Treść: Marja Hantowerówna — Prawdziwa bajka. Odkrycie bieguna północnego. Janusz Korczak — Józki, Jaśki i Franki. Ze świata: Powódź w Meksyku. Samochód na szczycie Alp. Złamana noga. (bajka). Żarciki. Logogryf liczbowy. Rozwiązania. Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Redakcji: Kraków, Wiślna 5, i Warszawa — księgarnia Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 43. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 23 października 1909.

STEFAN ŻEROMSKI.

„Cokolwiek się zdarzy — niech uderza we mnie...“

Sofokles. „Edyp-król“.

Na łóżku, oznaczonem liczbą 24, w najbardziej ciemnym kącie sali, leżał od kilku miesięcy trzydziestoletni może parobek folwarczny. Nad wezgłowiem łóżka kołatała za każdem poruszeniem się chorego czarna, drewniana tablica z napisem: „caries tuberkulosa“... Amputowano biedakowi nogę powyżej kolana, wskutek suchotniczego gnicia kości. Chłop był bezrolny, kartoflarz, z kartoflarzów pochodził. Miał we dworze służbę, ożenił się był przed trzema laty, chłopaka o konopiastej czuprynie się dochował — aż oto, ni z tego, ni z owego, zabolała go noga w kolanie i pootwierały się ranki. Dał dobry człowiek furmankę do miasta i odstawiono chudziaka na koszt gminy do szpitala.

Tamto jeszcze pamiętał dobrze, jak jedzie w odwieczerze jesienne z kobiecina swoją w paradnym wasungu z półkoszami, jak se popłakują oboje ze strachu i żałości — i co se zapłaczą, to przegryzą jajkiem, ugotowanem na twardo — a potem to już tylko jakaś niezmierna szarzyzna, niby mgła, nie mgła...

Dnie szpitalne bez różnicy, bez odmiany, znikły mu z pamięci, tworząc jakby niezgłębioną wyrwę w życiu — tylko smutek nieodmienny przez ciąg tylu miesięcy przygniatał mu duszę z taką nieubłaganą i brutalną siłą, z jaką płyta kamienna przygniata mogiłę. Przez tę mgłę pamięta półjasno dziwne dziwy, jakie z nim wyrabiano: kąpanie, głodzenie, zapuszczanie w rany drucików aż do kości — potem operację, jak niosą go na salę, między panów, ubranych w fartuchy, krwią zbroczone — i to dziwne, nieustraszone męstwo pamięta, jakie go podparło tej godziny, niby ręka miłosierdzia.

Przed operacją, patrząc na szereg zjawisk, budzących wstręt — snuł i on z głębi prostej swej duszy nić rozmyślań, jakie snuć uczy ta największa na ziemi mistrzyni — wspólna sala w szpitalu. Po operacji wszystko zasłoniło znużenie śmiertelne i niechęć. Zimno mu było ciągle, a około południa i nad wieczorem zaczynało w czaszce coś ciążyć, niby kula kamienna, i szły od kuli do nóg strumienie mrozu. Od palców znowu zdrowej nogi ciągnęły ku czaszce fale rozmarzającego ciepła. Myśli, jak kropelki żywego srebra, chyżo zlatywały w jakiś kącik mózgu, i podczas, gdy leżał skurczony w kałuży potu, podczas gdy powieki opadały same — nie na sen, lecz na bezwładność — napastowały go dziwaczne, półsenne widziadła.

Oto znikało wszystko i zostawała tylko szara, nieujęta, przesycona zapachem chloroformu przestrzeń, napół rozświetlona przez znikome i rozproszone światło, podobna do wnętrza niezmiernego ostrokręga, jaki się tuż zaczyna i jak lej bez miary leży na ziemi. Tam, w niesłychanej oddali, gdzie się zwęża wierzchołek, istnieje biała plamka świetlista: tamtędy się wychodzi... Idzie do tej szczelinki dniem i nocą po nieskończonej linji spiralnej, obiegającej wewnętrzną powierzchnię leja, idzie przez mus, przez wysiłek, jak ślimak, choć się zrywa w nim coś, jak kwiczoł, zaczepiony nogą w sidle, choć trzepocą w nim niby skrzydła ptasie. I nie może podlecieć wyżej, jak na długość sidła i ciągle spada a spada... Wie, co z onej szczelinki widać. Tylko nogą stąpić — miedza idzie na niwce pod lasem, gdzie były jego własne cztery zagony kartofli. I śni mu się, podczas gdy się wyrywa mechanicznie ze swej próżni — czas kopania. Cicho tam pod lasem, jest jesienna przejrzystość przestrzeni, co zbliża z odległości przedmioty i daje je widzieć wyraźnie. We dwoje z kobiecina kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastusi zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali bose nogi, jałowcu suchego nanieśli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone kartofle. Dym w powietrzu pachnie, jałowcowy, wonny...

Gdy bywał zdrowszy, trzeźwiejszy, gdy go nie tak dokuczliwie męczyła gorączka, wpadał w bojaźń, w trwogę przeraźliwą zdruzgotanych i zamęczonych. Jestestwo chłopa skupiało się pod jej uciskiem w wielkość tak małą, jak ziarnko szaleju, i zlatywało, gnane przez nagłe przesądy przez jakie dźwięki przeraźliwe, roztrącając się o gzemsy próżni bezdennej.

Nareszcie zaczęła się goić rana na nodze i gorączka ustąpiła. Dusza biedaka powróciła jakby z tamtego świata do pierwotnego jej stanu, do rozmyślań nad tem, co przesuwało się przed jego oczyma. Lecz jakże się zmienił rdzeń tych rozmyślań! Dawniej była to litość, wyrastająca ze wstrętu — teraz była to nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, wściekłość, obejmująca drapieżnym uciskiem zarówno tych nieszczęśliwych, którzy leżą obok, jak i tych, co go okaleczyli. Co więcej zrodziło się i trwało, nie ustając w jego sercu, niby skowyczenie, z którem w zapamiętałym pościgu biegły jego myśli, doszukując się tej mocy, co nań wyrok wydała.

Ten stan nękania samego siebie trwał długo i wzmogło się rozjątrzenie duszy.

Aż oto pewnego razu zauważył, że zdrowa noga drętwieje mu i puchnie w kostce. Gdy chirurg naczelny odbywał codzienną wizytę poranną, chłop zwierzył mu się ze swą obawą.

Lekarz badał jego wyschnięte, zwiędłe ciało, przeciął nieznacznie nabrzmienie, zobaczył, że sonda sięga do kości, strzepnął palcami i spojrzał ze smutkiem zagadkowym w oczy parobka.

— Źle, bracie, z tobą! Trzebaby drugą nogę... uważasz także... tego. A tyś kiepski. Leż sobie tu, tu ci będzie lepiej, niż w chałupie, jeść ci dadzą...

I odszedł w towarzystwie asystentów. Od drzwi powrócił jeszcze na chwilę, nachylił się nad chorym i nieznacznie, aby nikt nie widział, przesunął pieszczotliwie ręką po jego głowie.

Chłopa zamroczyło, jakby go znienacka bijakiem cepów ugodzono w ciemię. Zamknął oczy i leżał długo — aż nastała w nim cisza nieznana.

Jest w duszy ludzkiej kryjówka zaczarowana, na siedm zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia.

Sofokles nazwał kryjówkę tę po imieniu przez usta oślepiającego się Edypa... A kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość.

Cicho leżał chłopowina ubogi na swym tapczanie i

szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę...

Odtąd przez długie noce, przez dnie plugawe patrzył na wszystko jakby z niezmierzonego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiutkie, lecz godne miłości.

— A niech-ta, niech-ta — szeptał do siebie — niech-ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się! i mnie ta niezgorzej przecie...

Prawna ochrona pracy.

(Jej wpływ na układ stosunków społecznych.)

Prawodawsto ochronne pracy — w jak najszerszem znaczeniu — jest to prawodawcze wmieszanie się państwa w umowy o pracy, mające na celu ochronę robotników przed niebezpieczeństwami, wynikającemi lub mogącemi wyniknąć z gospodarczej zależności robotnika od pracobiorcy. Ujawnia się ono w całym szeregu nakazów (jak np. nakaz wypłaty w pieniądzach, nakaz zaprowadzenia ulepszeń higjenicznych i t. p.) i zakazów (jak np. zakaz zatrudniania robotników dłużej ponad pewien określony czas maksymalny, zakaz pracy w niedziele i dni świąteczne), jednakowo obowiązujących strony obiedwie.

Dopóki system cechowy z jego dbałością o dostatek materjalny, o „przyzwoite utrzymanie“ pracujących w przemyśle był systemem panującym, dopóki w ramach istniejącego porządku gospodarczego nie było miejsca na wielką produkcję przemysłową, jednem słowem dopóki rynek nie nie stał się rynkiem wszechświatowym, zaś poszczególna jednostka gospodarcza nie stała się ogniwem wielkiego łańcucha gospodarstwa światowego — o ochronie pracy robotników w sensie współczesnym nie mogło być mowy.

Rewolucja w sferze produkcji w końcu w. XVIII, idąca ręka w rękę z społecznemi wyzwolinami trzeciego stanu, stworzyła podstawy ekonomiczne, prawne i techniczne dzisiejszej produkcji kapitalistycznej. Ostateczny tryumf liberalizmu mieszczańskiego, dając pole zastosowaniu szybko mnożących się odkryć w dziedzinie techniki (wynalezienie maszyny parowej przez Watt'a, warsztatu tkackiego przez Arkwright'a i Hargreaves'a) rewolucjonizuje wytwórczość, każe zapanować przemysłowi maszynowemu nad rzemiosłem i rękodziełem, stwarzając jednocześnie klasę robotniczą w znaczeniu dzisiejszem.

Kolebką nowonarodzonego systemu wytwórczego jest Anglja. Zmiana systemu produkcji, jakim było wprowadzenie maszyn, pochłonęła tu odrazu znaczne kapitały. Przedsiębiorcy starali się możliwie szybko je reprodukować, starając się przytem o niezwiększanie — w miarę możności — wydatków na kapitał obrotowy. Rozumując, że robotnik, będący obecnie li tylko dodatkiem do maszyny, mniej się wytęża, niż gdy wytwarzał jedynie zapomocą pracy rąk swoich, kapitaliści przeciągają dzień roboczy do granic fizycznej możliwości. Z drugiej strony kapitał wciąga do pracy przemysłowej w kopalniach i fabrykach żywioły minimalnie opłacane, najbardziej poddające się niszczącym wpływom nadmiernej pracy przemysłowej — kobiety i dzieci, i niejednokrotnie każe im pracować po nocach.

Ale na tem bynajmniej nie kończy się przewrót w stosunkach społecznych, dokonany przez maszynę pospołu z kapitałem. Produkcja maszynowa sprowadza rzemiosło i rękodzieło do poziomu anachronizmu wytwórczego i taniością swej produkcji czyni je zupełnie niezdolnemi do konkurencji. To też przestarzałe te formy produkcji ratują swój byt przez niepomierne, wprost niewiarogodne rozciąganie czasu roboczego.

Położenie robotnika w okresie, w którym proklamowano „wolność, równość i braterstwo“, niewiele różni się od sytuacji negra-niewolnika. Właściciel niewolnika, kupując go sobie na własność jako bydle robocze, starał się możliwie szybko zamortyzować wyłożony nań kapitał, każąc mu możliwie długo pracować i nie dbając bynajmniej o jego życie.

W okresie liberalizmu przemysłowego kupno osoby niewolnika zostało zastąpione przez kupno siły roboczej robotnika. W zaraniu produkcji kapitalistycznej różnica ta była li tylko formalną: kapitalista angielski stosował względem robotników swych, którzy sprzedawali mu swą pracę z musu, chociaż rozporządzali „wolną wolą“ — taką samą politykę, jak plantator z Kentucky względem swych negrów.

Lecz tak samo jak prędzej czy później właściciele niewolników zrozumieli, że praca negrów jest w najwyższym stopniu nieprodukcyjna, gdyż niewolnika zupełnie nie interesuje wydajność jego pracy, a pracuje on jedynie pod przymusem, tak samo zrozumieli poszczególni kapitaliści, że zniewelowanie robotników do poziomu obdarzonych rozumem narzędzi wytwórczych i przeciążanie ich pracą jest przyczyną obniżenia produkcyjności pracy i degradacji zdolności roboczej własnego społeczeństwa. Niewolnictwo trwoniło i tępiło zdolność roboczą i siły wytwórcze obcej rasy; zapas zużyty mógł być w każdej chwili zastąpiony przez świeże transporty, importowane z nieprzejrzanych obszarów afrykańskich. Rabunkowa gospodarka fabryczna zaś wyciskała soki żywotne z własnego społeczeństwa, degienerowała własną rasę,

Zasada klasycznej szkoły ekonomji, twierdząca, że działanie we własnym interesie jest jednocześnie działalnością dla dobra ogółu, ten kanon ekonomiki mieszczańskiej, okazał się martwą literą. Wolna konkurencja doprowadziła sama siebie do absurdu.

Uregulowanie stosunków fabrycznych, szczególnie w wypadkach aż nazbyt rzucającego się w oczy nieludzkiego wyzysku kobiet i dzieci, było rzeczą niezbędną; lecz równie jak chciwy jest kapitał, tak jest i krótkowidzący. „Après moi le déluge!“ — oto hasło poszczególnego kapitalisty i poszczególnej narodowości kapitalistycznej. Od pierwszych prób ustanowienia prawodawczej ochrony pracy w Anglji na początku ubiegłego stulecia kapitaliści wszelkiemi siłami starali się jej opierać i trzeba było powagi państwa, by nie znośny stan nie trwał w dalszym ciągu, grożąc degieneracją całego społeczeństwa.

Świadomość, że zracjonalizowanie stosunków pracy leży też i w interesie przedsiębiorców, nie odrazu stała się udziałem ogółu. W obronie stanowiska kapitału nauka mieszczańska posunęła się do takich dziwolągów, jak słynna „Ostatnia godzina“ Nassau'a W. Senior'a [tak bezlitośnie wykpiona przez Marxa], który twierdzi, że przy skróceniu $11^1/_2$-godzinnego dnia roboczego do $10^1/_2$ godz. zniknie czysty dochód kapitalisty, który robotnik właśnie podczas tej ostatniej godziny wytwarza, zaś gdy zostanie zredukowany on do 10 godzin — wytwórczość nie będzie dawać nawet dochodu brutto!

Jakżeż rzeczywistość zadrwiła sobie z tego „serca w portmonetce“ dziś, gdy przy 8-godzinnym dniu pracy przedsiębiorcy bynajmniej nie skarżą się na utratę dochodów!

Nikogo nie dziwią ewolucje mieszczańskich uczonych w obronie kieszeni kapitalistów, lecz znacznie ciekawszym jest fakt, że prawodawstwo ochronne pracy miało swych zaciętych przeciwników w Marxie i Engelsie.

W „Świętej rodzinie, czyli krytyce krytycznej krytyki“ twierdzą oni, że t. zw. „bill dziesięciogodzinny“ (napisane było w okresie przedwstępnej agitacji za tem prawem w r. 1845) sprzeciwia się dążnościom rozwojowym Anglji, gdyż podcina on handel zewnętrzny, a przez to samo naraża na szwank i system fabryczny, Engels zaś w artykule z roku 1850 w „Nowej Gazecie Reńskiej“ twierdzi wręcz, „że bill dziesięciogodzinny jest reakcyjnem zapoczątkowaniem, gdyż był on uchwalony w interesach reakcjonistów przeciwko fabrykantom, jako przedstawicielom wielkiego przemysłu, na postępie którego polega cały rozwój społeczny Anglji. Wszystkie instytucje, tamujące ten rozwój lub też go ograniczające, są reakcyjne i muszą się mu podporządkować). Nie tając, że prawo to w swych skutkach jest dobrodziejstwem dla robotników, kończy swój artykuł mniemaniem, „że kwestja dziesięciogodzinnego dnia pracy, jak i wszystkie kwestje, wynikające z przeciwieństwa pomiędzy kapitałem a pracą, mogą jedynie zostać rozwiązane przez zwycięską rewolucję społeczną“. Lecz już w pierwszym tomie „Kapitału“ (ukazał się w r. 1867) poddał Marx radykalnej rewizji swe dawne poglądy na tę sprawę, zmuszony do tego przez zwycięstwo

prawodawstwa ochronnego w Anglji i postępy jego w innych państwach, jak np. w niektórych kantonach Szwajcarji, we Francji, Austrji i Niemczech.

Na str. 446 pierwszego tomu „Kapitału“ pisze on:

„Prawodawstwo fabryczne, owo pierwsze świadome i planowe oddziaływanie społeczeństwa na żywiołowe ukształtowanie się procesu produkcji jest równie jak przędza bawełniana, selfactor'y i telegraf elektryczny wytworem wielkiego przemysłu“.

„Jeżeli rozpowszechnienie prawodawstwa fabrycznego jako środka fizycznej i moralnej ochrony robotników stało się niezbędnem, to prawodawstwo to z kolei uogólnia i przyśpiesza przemianę rozstrzelonych drobnych przebiegów pracy w przebiegi skombinowane, o wielkich rozmiarach społecznych, czyli uogólnia i przyśpiesza proces koncentracji kapitału i władzę nieograniczoną systemu fabrycznego. Niszczy ono stare i przejściowe formy, za któremi po części kryje się władza kapitału i zastępuje je przez jego bezpośrednie i jawne panowanie. Przez to samo uogólnia ono też bezpośrednią walkę przeciwko temu panowaniu. Zmuszając poszczególne warsztary do jednostajności, regularności, porządku i ekonomji, zwiększa ono — dzięki silnemu impulsowi, jaki zredukowanie i uregulowanie dnia roboczego daje rozwojowi techniki — anarchję i katastrofy w produkcji kapitalistycznej, jako całości, pomnaża natężenie pracy i współzawodnictwo pomiędzy maszynami i robotnikami. Niszcząc drobną produkcję i przemysł domowy, niszczy ono ostatnią ucieczkę „zbytecznych“ i przez to samo dotychczasową klapę bezpieczeństwa całego mechanizmu spdłecznego. Wraz z materjalnymi warunkami i skupieniem przebiegów wytwórszości każe ono dojrzewać sprzecznościom i przeciwieństwem formy kapitalistycznej tego procesu, a przez to samo — i pierwiastkom nowego społeczeństwa i siłom rozkładającym stare“.

Dążenia społeczno-demokratyczne, jakkolwiekbądź są wynikiem interesów wręcz przeciwnych interesom kapitalistycznym, są jednak zgodne z tendencjami rozwojowemi kapitalizmu i z nich samych wyprowadzają nieuniknioną jego zagładę.

Prawodawstwo ochronne jest właśnie jednym z takich istotnych cech kapitalizmu, odruchem państwa mieszczańskiego, mającym na celu zachowanie gatunku. Dla tego też zredukowanie dnia roboczego (i inne podobne reformy) po osiągnięciu przez przemysł niezbędnego po temu poziomu kultury technicznej, o ile jest nawet uczynione z własnej woli kapitalisty, nie jest bynajmniej aktem miłosierdzia, ni nadmiernym wylewem serdecznego uczucia pod adresem swych upośledzonych bliźnich robotników, lecz wypływa jedynie z poczucia własnego interesu kapitalistycznego. Na fakt ten, że prawodawstwo ochronne pracy leży na linji rozwojowej kapitalizmu zwracał niejednokrotnie uwagę Owen, sam będący fabrykantem, lecz trafiał tylko na obojętność swych towarzyszów, przekładających zawsze pewne zyski dziś, nad najpomyślniejsze wyniki „ryzykownych“ reform.

Ścisłe badania prof. Abbe'go, poczynione w zakładach optycznych Zeissa w Jenie wykazały, że racjonalne zmniejszanie dnia roboczego nie stwarza żadnych niebezpieczeństw dla potęgi industrjalnej, lecz przeciwnie jest ono — jak na to zresztą wskazuje również Anglja i Ameryka — w interesie tej potęgi pożądane: wraz ze skróceniem dnia roboczego zmniejszają się koszty produkcji (opał, światło, siła motoryczna etc.), zaś na skutek mniejszego stopnia przepracowania zwiększa się napięcie pracy robotnika. Zjawiska powyższe idą zazwyczaj w parze z wprowadzeniem ulepszeń technicznych, co wszystko wpływa na stopniowe zwiększanie się zdolności konkurencyjnej przedsiębiorstwa. „Długi dzień roboczy u obcych narodów ochrania nas przed ich konkurencją“ — powiada wielki przemysłowiec angielski, Mundelle. Jeżeliśmy się dłużej zatrzymali nad skutkami ekonomicznymi i społecznymi maksymalnego dnia roboczogo, to uczyniliśmy to dlatego, że z punktu widzenia robotnika jest on dlań najważniejszym momentem prawodawstwa ochronnego pracy, najznaczniejszą reformą jego bytu, z pośród wszystkich zmian jakie ono mu przynosi: im krótszy jest dzień roboczy, tym dłuższy jest czas, przez który może on używać życia. Dziś to prawo do minimalnego korzystania z życia zostało robotnikowi powszechnie przyznane.

Jakkolwiekbądź ochrona pracy została przez mieszczaństwo uznana i zagarnięta jako jego dorobek społeczny, to jednak ograniczenie prawne dnia pracy robotników dorosłych wogóle, zostało dotychczas przeprowadzone w kilku zaledwie państwach europejskich. Anglja, klasyczny kraj ochronny pracy, ograniczyła się tylko do ustanowienia maksymalnej pracy dzieci poniżej lat 14, względnie 16 i kobiet, co się zaś tyczy dorosłych robotników płci męskiej, to poza zakazem pracy nocnej (z uwzględnieniem wyjątków) wielkie serce kapitału nie może się zdobyć na ograniczenie „wolnych obywateli“ robotników.

Prawodawstwo ochronne pracy uznane zostało przez mieszczaństwo za społeczno-reformatorskie maximum; nie ma ono na celu zniesienia proletaryzacji — tego niezbędnego przecie warunku istnienia kapitalizmu, lecz jest jedynie środkiem zaradczym przeciwko pauperyzacji, we własnym interesie, kapitalizmu; przez proletarjat zaś zostało ono uznane za półśrodek czyniący życie robotnika znośniejszym, półśrodek, który bynajmniej nie zmniejsza jego dążenia do szerszych celów klasowych.

J. Raduski.

To i owo.

Jak długo istnieć będzie kapitalizm, kryzysy i bezrobocia muszą być częstem zjawiskiem.

* * *

Ustrój kapitalistyczny do grobu wprowadzają... sami kapitaliści. Następstwem ich gospodarki musi być kryzys ustroju.

* * *

Przeciw masom ludu, domagającym się praw do życia, kapitaliści stawiają hordy wojsk i te mają pierwszych „uspokajać“. Czyż można się jednak łudzić, że „uspokojenie“ będzie możliwe dopóki istnieć będzie głód i nędza?

Rozmaitości

Zwięzienie medjum w Berlinie. Znane „medjum“ żona magnetyzera i masażysty Pawła Abenda, Anna, została onegdaj w nocy zdemaskowanaa i uwięziona. Pani Abend znana była w berlińskich kołach spirytystycznych, urządzała codziennie przyjęcia i większe posiedzenia. Onegdaj wieczór odbywało się u niej właśnie takie posiedzenie, w którem brało udział około 20 osób, przeważnie kobiety i młode panienki, także kilku mężczyzn. Na posiedzenie to udało się także dostać się kamisarzowi policyjnemu Leonhardowi, który aresztował „medjum“, w chwili, gdy się zamieniła w ducha, aby mówić z za świata. Służył jej do tego świetlisty welon, który ukrywała w rękawie; odpowiednie oświetlenie wywoływało złudzenie „ducha“. Pani Abend zeznała, że często używału welonu, ilekroć duch nie chciał się zjawiać. Małżonków aresztowało kilku urzędników policji.

* * *

Trwałość gazet. Na odbytym w tych czasach zjeździe niemieckich historyków w Berlinie postanowiono założyć muzeum państwowe dla przechowywania wszystkich, wychodzących w Niemczech gazet.

Myśl założenia takiego muzeum pochodzi od profesora Schpana, który na każdym zjeździe niemieckich historyków uporczywie ją podnosił. Nie ukrywa on jednak trudności, wypływających przy utworzeniu takiego muzeum.

I tak, w Niemczech wychodzi przeszło 4000 większych pism i około 6000 małych i ulotnych. Rejestrowanie i porządkowanie tego materjału wymagać będzie całego zastępu urzędników i t. d.

Lecz główna trudność polega na tem, że jak wiadomo, obecne gazety drukowane bywają na tak zwanym drzewnym pa-

pierze. Papier taki, jeżeli go zupełnie nie ruszać, może przetrwać 8—10 lat, poczem rozsypuje się zupełnie.

Jeżeli zaś nie bez pewnej racji przypuścić, że komplety pism będą przeglądane, to czas musi się skrócić do połowy.

Wobec tego powstaje projekt, żeby gazety przeznaczone dla muzeum drukować na lepszym a przynajmniej trwalszym papierze.

* * *

Wpływ maszyn do pisania na organizm. „Journal für biologische Chemie“ podaje nadzwyczajnie ciekawe badania dwóch fizjologów nad działaniem pracy wykonanej przy pisaniu na maszynie na organizm ludzki. Z badań tych okazuje się, że praca ta, wymagająca silnego napięcia nerwów i muskułów, przyczynia się do szybkiej przemiany materji.

Decydujące przy tem znaczenie ma szybkość pracy. Przy szybkości 1500—1600 wyrazów na godzinę daje się spostrzec wyraźne przyspieszenie przemiany materji. Z drugiej strony praca przy maszynie do pisania podług dokładnych wyliczeń wspomnianego wyżej pisma wymaga mniejszej zatraty energji niż zwykłe chodzenie i dlatego też organizmu wyczerpywać nie może.

* * *

Rewolucjonista jako zastępca papieża. Według brzmienia buli papieża Urbana II jest król Sycylji zarazem papieskim legatem, a jako taki zastępuje papieża w kościołach, klasztorach i innych duchownych instytucjach. Gdy Garibaldi w r. 1860 objął dyktaturę w Sycylji, przeszło na niego także to wysokie dostojeństwo kościelne. Podczas uroczystości więc św. Rozalji, patronki miasta Palermo miał obowiązek brania udziału w ceremonjach kościelnych w katedrze, od czego się też nie uchylił. Tłumy ludu towarzyszyły dyktatorowi w drodze od pałacu królewskiego aż do katedry, gdzie go przyjął arcybiskup, kardynał Metelli i zawiódł do kaplicy św. Rozalji. Garibaldi przybrany podług przepisu rytuału kroczył w otoczeniu swego sekretarza stanu, Crispiego, i oficerów, i zajął miejsce pod baldachinem a naprzeciw niego na taburecie arcybiskup. Podczas ceremonji stał Garibaldi z odkrytą głową, oparłszy dłoń na rękojeść szabli. Przy końcu uroczystości obłoki dymu z kadzielnicy otoczyły zastępcę papieża, dyktatora i rewolucjonistę Garibaldiego. Największy wróg Watykanu zastępował papieża.

* * *

Nadużycia ze składkami na ofiary trzęsienia ziemi, Po trzęsieniu ziemi w południowych Włoszech wyznaczyło miasto Neapol 100 000 lirów dla poszkodowanych. Jak teraz z Rzymu donoszą, z sumy tej użyto 24 000 lirów na gratyfikacje dla służby miejskiej, którą wysłano z Neapolu na miejsce katastrofy, a w dodatku darowano służbie jeszcze 5000 lirów, które wpłynęły z ofiar prywatnych. Większa część tych gratyfikacji nie dostała się jednak strażakom pożarnym i policjantom, którzy narażali swe życie w Messynie, lecz rozdzielono je między wyższych urzędników i dziennikarzy, którzy zupełnie nie ruszali się z Neapolu. W mieście panuje z tego powodu ogromne oburzenie.

* * *

Peary contra Cook. Jak donoszą dzienniki amerykańskie, Peary miał przedłożyć dowody, na których opiera swoje twierdzenie, że Cook nie dotarł do bieguna północnego. Materjał dowodowy opiera się na zeznaniach obu eskimosów, którzy towarzyszyli Cookowi w wyprawie, oraz ich ojca, nazwiskiem Panikpah. Wedle ich zeznań, wyprawa posunęła się tylko o dzień drogi na północ od kraju Heiberga, gdzie zaraz na południe Cap Thomas-Subbard napotkała szczelinę w lodach, której nie zdołała przebyć. Wobec tego Cook zwrócił się w kierunku zachodnim od punktu wyruszenia, poszedł wzdłuż wybrzeża Arnuuf-Ringues i przezimował na Cap Sparbo. Na tym, wedle twierdzenia eskimosów, zakończyła się podróż. — Peary oświadcza, że nie wpływał wcale na zeznania eskimosów.

Narodowe Towarzystwo gieograficzne w Waszyngtonie postanowiło wezwać prezesa Naredowej Akademji nauk, dr. Resusena, aby wyznaczył komisję dla zbadania obserwacji, poczynionych przez Cooka i Peary'ego. W kołach uczonych twierdzą, że po rozpatrzeniu całego materjału łatwiej będzie wyciągnąć pewne wnioski, czy i który z badaczy zdołał dotrzeć do bieguna.

* * *

Pocałunek przez granicę. Wesoły kawał zdarzył się w tych dniach na granicy austrjacko-włoskiej koło miejscowości Ala. Redaktor dziennika socjalistycznego „Il Popolo“ w Trydencie (głównem mieście włoskiej części Tyrolu) tow. Mussolini, obywatel włoski, został za jakieś przekroczenia prasowe ukarany aresztem i wydalony z Austrji. Z aresztu w Trydencie odstawili go żandarmi wprost na granicę włoską i z tego powodu towarzysze z Trydentu i Rovereto nie mogli się z nim pożegnać. Pojechali tedy koleją do Peri, pierwszej stacji kolejowej na terytorjum Włoch i tam pożegnali się z wydalonym towarzyszem. Ale z nimi był dawniejszy włoski poseł socjalistyczny tow. Todeschino, który ścigany przez władze włoskie schronił się na terytorjum austrjackie i nie może przejść granicy włoskiej, bo we Włoszech zostałby aresztowany. Nie mógł więc pojechać do Peri. W jakiż więc sposób mieli się pożegnać ci dwaj towarzysze, z których jednemu nie wolno nogą stąpić na terytorjum austrjackie, drugiemu na włoskie? W sposób bardzo prosty. Todeschino nie udał się do Peri, lecz pozostał w Tyrolu na terytorjum austrjackiem tuż nad granicą, a towarzysze trydenccy wraz z Mussolinim, wrócili na piechotę do granicy. I tu Mussolini, stojąc na terytorjum włoskiem, i Todeschino, stojąc na terytorjum austrjackiem, pgdli sobie w objęcio i ucałowali się poprzez granicę.

* * *

Trzeci walny zjazd niemieckich profesorów uniwerteckich odbył się w Lipsku. Zjazd zajmował się głównie niesłychanie ważną kwestją, czy przekonania religijne lub polityczne mogą być miarodawcze przy powoływaniu profesorów na uniwersytet. Wiadomo, że przedewszystkiem rząd pruski usiłuje często w tym kierunku wykonywać presję, że przypomnimy tylko usunięcie docenta Aronsa z uniwersytetu berlińskiego za jego przekonania socjalistyczne. Referat wygłosił prof. Wach i po ożywionej dyskusji, w której przedewszystkiem znany prof. Maks Weber ostro zwalczał wszelkie ograniczeniu wypływające nie z czysto naukowego punktu widzenia przy obsadzaniu katedr, przyjęto jednomyślnie główne punkty rezolucji Wacha, orzekające, że religijne lub polityczne przekonania nie powinny przy dopuszczaniu profesorów do uniwersytetu żadnej odgrywać roli.

* * *

Hołd Bleriotowi. W środę po południu odbyła się w Paryżu uroczystość narodowa ku czci Bleriota, mianowicie w uroczysty sposób złożono aeroplan jego w muzeum sztuk i rzemiosł. Aeroplan ten, stanowiący epokę w dziejach awjatyki, nabyła od właściciela redakcja „Matin“ za 20 tysięcy franków i ofiarowała narodowi francuskiemu.

Z literatury i sztuki

„Poradnik teatrów i chórów włościańskich“, i organ związku teatrów i chórów włościańskich przynosi w 8 i 9 zeszycie następującą treść: W hołdzie Słowackiemu. Wiersz F. Kurasia. — Cudowny doktor. Intermedjum przez Bolesławicza. — O reżyserji. Napisał Bolesławicz. — Adam Piątek: Przegląd sztuk do grania. — Sprawy Związku. — Odezwa Zarządu głównego Związku. — Korespondencje (Prusy, Zakopane, Buczkowice, Przedrzymichy małe, Trzebinia). — Wiadomości z teatrów i chórów. — Teatry i chóry włościańskie. — Żniwo śmierci. — Kronika. — Ogłoszenia.

* * *

Nr. 10 (na październik) **„Przewodnika Zdrowia“** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera: Treść:

Jak długo człowiek żyć powinien? Podług dra Galanta. — Sztuka należytego przeżuwania pokarmów. — Nieco o koncentracji czyli skupieniu myśli przy jedzeniu. — Czystość środków spożywczych. — Lekarze w obronie języka ojczystego. — Zdrowotne wskazówki na porę obecną. — Rozmaitości.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 44. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 30 października 1909.

WSPOMNIENIE.

Szkic ten wyjmujemy z niedawno wydanego dzieła „Am Lebensquell“ (nakładem Köhlera w Dreźnie), mającego na zadanie seksualne uświadomienie młodzieży.

Syn nadleśniczego opowiadał: Kiedy miałem lat jedenaście, postrzelił młody człowiek, bawiący w gościnie u hrabiego, u którego ojciec mój był w służbie, ze swawoli brzemienną sarnę. Ojciec, ujrzawszy drżącą zwierzynę, trwożliwie skuloną pod niskim krzakiem, objął ją ramieniem, zbadał, mnie zaś polecił przynieść jaknajspieszniej wody z pobliskiego źródła. Biegłem ile mi sił starczyło. Ojciec obmył starannie ranę, poczem usiłował wydobyć kulę. Znalazł ją wreszcie, wyjął swą chusteczkę, podarł ją na kilka części, zawiązał nimi krwawiącą ranę. Zwierzyna drżała na całem ciele, a w dużych jej mądrych oczach malowała się trwoga.

— Czyż sarny nie są na to, aby do nich strzelano? — zapytałem ojca. Na to ojciec kazał mi uklęknąć koło zwierzęcia i rzekł: Widzisz chłopcze, ta sarna jest matką, tu nosi ona młode i dopóki je nosi, dopóty nie wolno jej czynić nic złego, bo wtedy jest ona taką, jak matka ludzka, która nosi dziecko w łonie. — Popatrzyłem na ojca, szeroko otwierając oczy. Wtedy ojciec małą moją ręką przesunął po łonie sarny. Poczułem, jak się tam coś ruszało i drżało.

Bystrym wzrokiem spojrzałem na ojca i zapytałem: Czy sarna rodzi, jak ludzie?

— Tak dziecię, odrzekł ojciec z powagą, i dlatego trzeba ją oszczędzać i nie czynić jej nic złego, aż wyda młode na świat i wyzdrowieje.

— W takim razie zostawmy ją ojcze w spokoju i chodźmy.

Nagle zauważył stary leśniczy, że sarna wije się w kurczach. Naraz podskoczyła, jakby przestraszona.

Uwiesiłem się szyi ojca, czego mi nie bronił, nie ruszył się jednak z miejsca.

Za chwilę rozległ się krzyk, krzyk przeraźliwy. Drżałem na całem ciele... i oto leżało na zielonej trawie drobne żywe stworzenie. Matka upadała wyczerpana na ziemię.

Podczas całego zajścia trzymałem ojca mocno w objęciach. — Widzisz dziecko — rzekł prawie uroczyście — tak każda matka wydaje dziecię swe na świat!

— Czy i ja się tak urodziłem, ojcze?

— Tak dziecko.

Zacząłem gorzko płakać i przytuliłem się do ojca — że nie mogę też nawet matce podziękować, ojcze!

Ojciec wzruszony powstał, dał mi się wypłakać, poczem rzekł:

— Dlatego chłopcze, szanuj każdą matkę.

Był to pierwszy wielki wypadek w mojem życiu, który głębokie zapuścił korzenie w młodą mą duszę.

Tłum. l. cz.

PAWEŁ KAMPFFMEYER.

Naukowe i artystyczne wychowanie proletarjatu.

Od czasu swego istnienia niemiecka demokracja społeczna wyrobiła sobie rozległe pojęcie o swej misji kulturalnej. Ponad szumnemi, hałaśliwemi walkami dnia miała ona zawsze przed oczyma wspaniały cel powszechnego podniesienia kulturalnego ludzkości, fizyczne, duchowe i obyczajowe odrodzenie społeczeństwa. Do dumnego, marzycielskiego wzlotu podniebnego podobny był jej zapał do nauki. Tam dopiero z wszechstronnego zbadania sił i praw przyrody tudzież z planowego zastosowania tych sił wyłonić się mogła wyższa kultura. Znacząco stoją u kolebki niemieckiej demokracji społecznej: mąż, zbrojny w całą wiedzę swego stulecia, i towarzystwo oświaty: Ferdynand Lassalle i lipskie „Rzemieślnicze Towarzystwo Oświaty“.

W silnem haśle: „Wiedza to potęga, potęga to wiedza“, napotykanem tak często w mowach Liebknechta, który sam siebie z dumą nazywał „nauczycielem“, tkwi cały program kulturalno-polityczny. Orężem wiedzy dzielnie wywalcza sobie demokracja społeczna potęgę, ta zaś wywalczona potęga toruje nowej epoce drogę do wiedzy. Do pracy nad pogłębieniem wiedzy ludu staje dziś rozległa prasa społeczno-demokratyczna i zawodowa, rozporządzająca setkami tysięcy abonentów. Codzienna prasa społeczno-demokratyczna liczyła w r. 1903 — 520.000 abonentów. Drobna prasa społeczno-demokratyczna posiadała około 30.000 abonentów. Dochód kasy partyjnej z prenumeraty wynosił okrągło 3 miljony, dochód z ogłoszeń 1,7 miljona marek.

Potężnej, ogarniającej masy pracy oświatowej dokonywają stowarzyszenia polityczne demokracji społecznej, które na wzór wielkiej, wielookowej sieci pokrywają całe Niemcy. Wiele z tych stowarzyszeń posiada księgozbiory, które daleko już urosły poza ciasny obręb samych tylko społeczno-demokratycznych wydawnictw partyjnych i obejmują ogół wiedzy. W szlachetnem współzawodnictwie z partją społeczno demokratyczną niemieckie związki zawodowe w licznych wielkich i średnich miastach Niemiec stworzyły sobie istotnie godne uwagi księgozbiory. Zarządy berlińskie Niemieckiego Związku Robotników Metalurgicznych oraz Związku Robotników Drzewnych posiadają wspaniałe książnice, skompletowane z subtelnym smakiem literackim. Berliński zarząd Robotników Metalurgicznych wypożyczył w r. 1903 samym tylko członkom swym 21.287 książek. Z tych 21.287 tomów do dziedziny literatury potocznej (romanse, nowele, poezje, dramata i t. p.) należało 15.075 książek, do dziedziny historji, sztuki i filozofji 1825, do dziedziny geografji, krajo — i ludoznawstwa oraz podróży 1092, do dziedziny przyrodoznawstwa i historji naturalnej 726, do dziedziny lecznictwa 467, do dziedziny wydawnictw partyjnych i gospodarstwa społecznego 404 książki.

Przeważnie dzięki prasie robotniczej oraz książnicom robotniczym masy ludowe, które w naszych szkołach ludowych przenikały tylko w świat cudów biblijnych, poznały dopiero ścisłą zależność od praw żelaznych wszelkich zjawisk przyrody. Z licznych pism ulotnych i dzieł literatury

społeczno-demokratycznej o powstaniu wszechrzeczy, o powstawaniu świata zwierzęcego i roślinnego, o rozwoju urządzeń społecznych i politycznych dowiedziały się one, że w wielkim wszechświecie nie pozostało już ani jednego miejsca dla groteskowej gry cudu, przypadku. Ujrzały one nieskończony łańcuch, opartych na prawach niezłomnych, przewrotów na niebie i na ziemi. Z dumą wskazuje Engels w swych pismach na to, że socjalizm niemiecki zaliczał Kanta i Hegla do swych praojców. Kant był to potężny duch przewrotowy w świecie myśli. Nawet do dostojnego spokoju pełnego majestatu nieba gwieździstego wnosił on rewolucję. Tam na pozór wieczny, niewzruszony system słoneczny wyprowadzał on z wirujących, obracających się w koło mas mgieł. Kant przypuszczał też przez samą naturę wymuszony rozwój obyczajowy. Pojęcie, iż niema nic stałego, nic wiecznego ani na niebie, ani na ziemi, i że wszystko, co tam żyje i działa, skazane jest na zagładę — pojęcie to coraz bardziej nabierało kształtu we wszystkich dziedzinach wiedzy. Łącznie z Kantem mógł Hegel odważyć się na to potężne przedwzięcie przedstawienia „całego naturalnego, historycznego świata — jak się wyraża Engels — jako procesu, to jest jako pojętego w ustawicznym ruchu, przemianie, przetwarzaniu się i rozwoju".

Wielki badacz przyrody Darwin skierował naszą uwagę na techniczny kształt i działalność narządów roślinnych i zwierzęcych. Darwin widział, jak ogrodnik, przy pomocy sztucznych procesów hodowlanych, przekształcał narządy roślinne, widział, jak rolnik, przy pomocy planowych czynności, zmieniał zewnętrzną postać i charakter zwierząt. Otóż przyroda, zupełnie tak, jak człowiek, była hodowcą nowych gatunków zwierząt i roślin. Przyroda posługiwała się naturalnymi środkami do swoich procesów hodowlanych. Pojęcie o zaciętej walce o byt, które ekonomista Malthus sądził iż zaczerpnąć będzie mógł z dzisiejszego świata ludzkiego, przeniós Darwin na świat zwierzęcy i roślinny.

Wielcy poprzednicy Marksa i Engelsa patrzą już na dzieje świata jako na bezwzględnie konieczny proces przewrotowy. Domyślali się oni niewyraźnie istnienia wewnętrznego związku między wielkiemi epokami dziejów ludzkości. W świecie duchowym panuje, według Fouriera, prawo ciążenia, na mocy którego ciała się przyciągają. Istnieje — pouczał on — silne, potężnie działające ciążenie między ludzkiemi popędami a pewnemi ludzkiemi rodzajami zajęcia. Od przymusu uwolnione popędy skierowują się ku pojedyńczym gałęziom wytwarzania dóbr — i oto wszystkie rozdźwięki społeczne zlewają się w cudowną harmonję. Historja, według zdania wielkiego, dalekowidzącego socjalisty, opanowana była przez prawo rozwoju. Robert Owen wskazywał w swych pismach na wszechpotężny, decydujący wpływ otaczającego świata (stosunków gospodarczych i społecznych) na człowieka. Sądził on, że przez gruntowne przeobrażenie gospodarczych warunków bytu będzie mógł duszę najnędzniejszego człowieka wznieść na wyżyny czystej moralności ludzkiej. Zmiana ludzkich warunków istnienia oznaczała, według jego poglądów, przeobrażenie duszy ludzkiej. Moralne istnienie i formowanie się duszy stoi w jak najściślejszym związku ze stosunkami materjalnymi, śród których musi się ona rozwijać. I dlatego przewodnią ideą jego życia była: zmiana ludzkich warunków życia i pracy.

Marks i Engels doszukiwali się tej siły poruszającej, która ukształtowała wszystkie epoki historyczne. We wszystkich tych epokach panuje, według ich pojęcia, jako czynnik przewrotowy, technika gospodarcza.

Techniczny rozwój narzędzi, środków do pracy modelował wszystkie formy społeczne rodu ludzkiego. Przy pomocy narzędzia człowiek się wzniósł — albo lepiej i ściślej — wyrobił się ponad świat zwierzęcy. Dotąd badacze społeczni przykładali zbyt małą wartość do wpływu przewrotowego, jaki praca wywiera na człowieka. Przy pomocy pracy i przy pracy człowiek przeobraził się całkowicie. Przez produkcję wzniosła się ludzkość do swej teraźniejszej wyżyny kulturalnej.

* * *

Jeszcze podczas dni pełnych walk, w okresie panowania prawa o socjalistach, niezłomni gladjatorzy socjalistyczni powzięli śmiałą myśl, sięgającej do podstaw, reformy sceny. Pewien młody demokrata społeczny, Dr. Bruno Wille, ogłosił w piśmie „Berliner Volksblatt" („Berliński Dziennik Ludowy") w marcu 1890 r. wezwanie do założenia „Wolnej Sceny Ludowej". W wezwaniu tem uskarżał się on gorzko na głębokie obniżenie się, kapitalistycznie zarażonego, teatru do poziomu jałowej beletrystyki salonowej i płaskiego romansu kolportarzowego. Pod wodzą takich ludzi, jak Tołstoj, Zola, Ibsen, uśmiechała się wszakże klasie pracującej możność wydobycia się z atmosfery zepsutego smaku teatru kapitalistycznego. Publiczne wystawianie sztuk, wywierających wpływ, przenikniętych duchem rewolucyjnym, rozbijało się dziś o kapitalizm i o cenzurę policyjną. Zapory te nie istniały dla zamkniętego towarzystwa; przeto założenie towarzystwa „Wolna Scena Ludowa" wydawało się sprawą palącą.

W § 1 ustawy stowarzyszenia „Wolna Scena Ludowa" jako cel stowarzyszenia oznaczono: wydobywanie na widok poezji w jej nowoczesnym kierunku oraz wystawianie, odczytywanie i objaśnianie utworów, zgodnych z duchem czasu i pełnych prawdy. Członkiem stowarzyszenia mógł zostać każdy po opłaceniu wpisowego (conajmniej 50 fen.) tudzież conajmniej 50 fen. składki. W celu odjęcia scenie charakteru klasowego nie rozróżniano członków zamożnych i niezamożnych, nie dzielono ich na posiadaczy miejsc parkietowych i stojących. Bilety były rozlosowywane między członków. Komisja, złożona z prezydjum i 6 asesorów, decydowała o utworach, mających się ukazać na scenie, jakoteż w kwestjach, dotyczących kierunku literackiego stowarzyszenia. „Wolna Scena Ludowa" rozpoczęła swą działalność dnia 17 września 1890 r. odczytem deklamacyjnym. Dnia 18 października odbyło się pierwsze przedstawienie teatralne, na którem odegrano „Podpory społeczeństwa" Henryka Ibsena.

Waśń partyjna, jaka w r. 1890 i 1891 żarzyła się w łonie berlińskiej demokracji społecznej, rozszczepiła „Wolną Scenę Ludową" na dwa odrębne obozy. Niezadługo policja nadała obu scenom „Wolnej Scenie Ludowej" i „Nowej Wolnej Scenie Ludowej" cechę przedsiębiorstw teatralnych i usiłowała poddać je cenzurze. „Wolna Scena Ludowa" rozwiązała się na krótki przeciąg czasu, poczem znowu zajęła dawne pole walki, zaznaczając wyraźniej jeszcze swój charakter stowarzyszenia. Na jesieni r. 1903 skupiło się 8000 członków w 8 oddziałach podwójnych około „Wolnej Sceny Ludowej". Przez nową ustawę stowarzyszenie starało się w 1903 r. dobitniej zaznaczyć swe dążenia, skierowane ku szerszemu i głębszemu pielęgnowaniu sztuki. Wysoki cel estetyczny stowarzyszenia ujawniał się przedewszystkiem w arcydziełach, wystawianych przez nie na scenie.

„Nowa Wolna Scena Ludowa w Berlinie" w roku scenicznym od dnia 1 września 1902—1903 powiększyła liczbę swych członków z 1500 do blizko 2600 i liczy obecnie okrągłe 3600 członków w 4 oddziałach. Według sprawozdania Katzensteina w „Socialistische Monatshefte" w ciągu tego roku scenicznego odbyły się 24 przedstawienia stowarzyszeniowe, 24 przedstawienia nadzwyczajne oraz 13 przedstawień operowych i operetkowych, 4 uroczystości, 4 wieczory poetyckie i artystyczne. Pod redakcją Dr. Willego wychodzi pismo stowarzyszenia „Die Kunst dem Volke" („Sztuka ludowa").

Hygjena i choroby zawodowe.

Praca robotnika w każdym zawodzie lub fachu mieści w sobie wiele czynników niebezpieczeństwa dla zdrowia i życia, będących wynikiem bądź to niedoskonałości maszyn i narzędzi, używanych przy pracy, bądź też będących skutkiem nieostrożnego obchodzenia się, bądź też niehygjenicznego utrzymania lokali.

Pierwsze przyczyny tych niebezpieczeństw, na które narażony jest pracujący, to jest niedoskonała budowa maszyn i przyrządów pod względem bezpieczeństwa pracy, mogą być i przypuszczam będą w zupełności usunięte przez stopniowe i ciągle ulepszanie ich konstrukcji i stosowanie przyrządów ochronnych. Drugie zaś przyczyny — nieostrożne obchodzenie się z maszynami, również będą czasem usunięte przez lepsze przygotowanie zawodowe robotników,

krótszy czas pracy, co nie wywołuje zmęczenia nadmiernego, będącego też jednym z poważniejszych powodów nieostrożnego obchodzenia się z maszynami, oraz przez szerzenie świadomości tych skutków ujemnych, jakie za sobą pociąga nieostrożne obchodzenie się z różnemi narzędziami pracy.

Ale prócz powyższych niebezpiecznych czynników pracy istnieje jeszcze jedno niebezpieczeństwo dla pracownika, niebezpieczeństwo bardzo poważne, ze względu na to, iż przyczyny jego mieszczą się poniekąd w charakterze niektórych gałęzi pracy robotników, że jest ono wynikiem sposobów produkcji w niektórych działach przemysłu, oraz dlatego, że w części tylko, części jednak znacznej, udaje się szkodliwe te wpływy usunąć przez zastosowanie środków zaradczych. Są to mianowicie tak zwane choroby zawodowe, które stanowią bardzo poważny odsetek wszystkich zapadnięć chorobowych w życiu robotnika.

Pociągają one za sobą bardzo poważne straty materjalne, gdyż przez czas trwania choroby, robotnik nie zarabiając nic, otrzymuje zaledwie zapomogi stanowiące w najlepszym razie pewną część znaczniejszą jego zarobków normalnych. Straty te są tem znaczniejsze, że choroby zawodowe trwają zwykle czas dłuższy.

Z tych też powodów na rządach państw leży obowiązek przedewszystkiem przez opracowanie odpowiednich przepisów i wprowadzenie środków zapobiegawczych, niedopuszczenie do rozszerzania się tych chorób, względnie do ograniczenia ilości zasłabnięć do możliwie najmniejszej liczby wypadków, z drugiej zaś strony — obowiązek odpowiedniego pielęgnowania chorych tego rodzaju.

Że tego rodzaju działalność sfer rządowych w krajach konstytucyjnych, w których organy władzy wykonawczej stale znajdują się pod kontrolą przedstawicieli ludu, dać może dodatnie wyniki, świadczą chociażby sprawozdania statystyczne wraz z wyszczególnieniem tych przepisów, które do celów powyższych, to jest do znacznego zmniejszenia ilości zapadnięć na choroby zawodowe prowadzą.

W przemyśle np. francuskim, najwięcej grasującemi wśród robotników chorobami zawodowemi są: zatrucie ołowiem, rtęcią, fosforem, cierpienia skórne, wynikłe na tle zatrucia organizmu przez miedź, parafinę, kreozot i wiele innych. Otóż zastosowanie całego szeregu środków ochronnych, jak używanie masek przy pracy, specjalne ubiory robocze, obowiązkowe branie kąpieli po pracy, zakaz palenia podczas pracy, złożyło się na znaczne zmniejszenie się ilości przypadków chorobowych.

Bardzo ciekawie wyglądają cyfry, wykazujące znakomite zmniejszenie się zapadnięć na choroby zawodowe w hutach w Conöron we Francji. Na 670 robotników było w r. 1901 — 26 zasłabnięć, 1902 — 42, 1903 — 9, 1904 — 3 zasłabnięcia. Takie znaczne zmniejszenie się zasłabnięć nie było wynikiem tylko stosowania wyżej wymienionych środków zaradczych, alecz zarazem miało przyczynę w zamianie pieców starego systemu do wytapiania ołowiu z rud, przy których hutnicy musieli dużymi drągami surowy materjał przerabiać ręcznie, piecami obrotowymi, w których ten materjał surowy obracany był mechanicznie.

Cyfry powyższe wykazują, że jedną z głównych przyczyn, wywołujących choroby zawodowe, jest niedoskonałość sposobów wytwarzania, uzależniona od postępów w dziedzinie nauk technicznych i z niemi związanych. Z drugiej jednak strony i zaprowadzenie całego szeregu środków ostrożności, jak ubiory specjalne, maski, zachowanie czystości itp., wpływa bardzo na znaczne zmniejszenie i załagodzenie przebiegu zachorowań.

W tych wypadkach dużą pomoc okazują stowarzyszenia bezpieczeństwa pracy, obmyślając wzory różnych masek, ubiorów hygjenicznych, wydając przepisy postępowania ochronnego itp. Parlamenty i sejmy nadają tym przepisom moc prawa i przez swe władze wykonawcze — ministerja wpływają na fabrykantów i poszczególne zarządy fabryczne, ażeby zaprowadziły pożądane zmiany w sposobie fabrykacji i zastosowały przyrządy ochronne.

To też w demokratycznie urządzonych państwach choroby zawodowe coraz mniej zabierają ofiar, coraz mniej strat materjalnych przynoszą. A ofiar tych jest dotychczas bardzo wiele; w samych tylko Niemczech około 130 tysięcy robotników rocznie pada ofiarą nieszczęśliwych wypadków lub chorób zawodowych, zakończonych śmiercią lub kalectwem lżejszem lub cięższem.

Równie bardzo poważne znaczenie pod tym względem mają lokale fabryk i warsztatów, ich urządzenie i utrzymanie, od tego bowiem w znacznym stopniu zależnem jest zdrowie robotników. I w tym kierunku państwa wywierają pewien wpływ na zarządy fabryczne, wydając szczegółowe przepisy, tyczące utrzymania lokali w czystości i porządku.

Opieka państwowa nie jest tu jednak wystarczającą, gdyż właściciele zakładów, zwłaszcza pod względem utrzymania w czystości, nie stosują się do przepisów, a tem mniej do wymagań hygieny. Z tego względu zadaniem przodowników klasy robotniczej jest rozwinięcie akcji, by życie i zdrowie robotnika było należycie zabezpieczone.

Rozmaitości

Kopalnia marmuru na dnie morza. Na ostatniem posiedzeniu paryskiej Akademji napisów zdawał po raz pierwszy sprawę dyrektor starożytności Tunetańskich Merlin z nadzwyczajnych rezultatów osiągniętych w ciągu maja i czerwca bieżącego roku przez nurków zajętych przy Mahdji.

W głębinach morskich dosięgających 40 metrów przy wybrzeżu wschodniem przy Tunisie odnaleziono przed dwoma laty nawpół zasypane pozostałości statku morskiego, który miał bogaty ładunek materjałów budowlanych oraz greckich dzieł sztuki. Dzięki kilku subwencjom zorganizowane zostało zbadanie tych zawartości. Odnaleziono tam całe skarby napisów, dzieł sztuki zarówno marmurowych jak i bronzowych, narzędzia staro-greckie i wiele innych. Z tej podmorskiej kopalni marmurów wydobyto najpierw wielką kolumnę z białego marmuru z pięknemi szaremi żyłami: kolumna ta ma długości 3,95 metr. Nurkowie skonstatowali tam blisko 60 takich kolum, które już w przyszłym roku będą wydobyte. Z otrzymanych dotychczas skarbów zwraca przedewszystkiem uwagę cały rząd jońskich kapiteli, następnie wielka ilość naczyń, pękatych waz oraz różnych ceramicznych wyrobów. Ale na tem nie koniec. Nurkowie wydobyli bardzo piękny choć nieco uszkodzony posąg Erosa Androgyny, przedstawiający bożka w biegu. W lewej wyciągniętej ręce trzyma on pochodnię; cała statua stanowi lampę. Bogaty zbiór meblowych fragmentów umożliwiają odtworzenie całkowitych łóż. Prócz tego odnaleziono figurę tańczącego amora i drugą przedstawiającą aktora w brodatej masce. Jedną z najpiękniejszych rzeczy jest głowa kobieca pełna siły i wyrazu.

* * *

Muzyka jako środek uspakajający umysłowo chorych. Pewien znakomity psychjatra powiedział, że muzyka lepiej uspakaja umysłowo chorych niż całe flachy lekarstw, jest skuteczniejsza niż kaftany bezpieczeństwa, przyczem uważał za zupełnie zbyteczne wskazywać, że środek ten jest bardzo humanitarny. Należałoby z tego wnosić, że środek ten bywa bardzo często zastosowywany i że w szpitalach dla umysłowo chorych odbywają się bardzo często koncerty. Tak niestety dotychczas nie jest, ale prawdopodobnie teraz bardzo prędko to nastąpi.

Korespondent gazety „Lancet" z Budapesztu opisuje nadzwyczajne skutki, osiągnięte przez dra Berkesa, kierownika zakładu dla obłąkanych na Węgrzech, przez zastosewanie muzyki. W zakładzie tym przed niedawnym czasem odbył się piękny koncert, którego słuchało przeszło 100 chorych, z 600, którzy się w tym zakładzie znajdują.

Przedewszystkiem mażna było od razu zauważyć, że zebrani słuchają muzyki z daleko większą uwagą, niż czynią to zwykli zdrowi ludzie. I działo się to pomimo, że niektórzy należeli do ciężko chorych. Nie potrzeba dodawać, że znajdowali się pod ciągłą obserwacją sanitarjuszy ale nie dali najmniejszego powodu do interwencji.

Od pierwszego numeru do ostatniego słuchali ci nieszczęśliwi w nadzwyczajnem skupieniu, a po każdym wykonanym numerze wyrażali swe uznanie.

Nawet stale niespokojni pacjenci zachowywali się podczas koncertu normalnie, a niewiele można było zauważyć twarzy, które na skutek muzyki nie zmieniłyby się na dobre.

Ponieważ koncert trwał przeszło dwie godziny, to sku-

tek wywołany przez niego uważać by można za dowód, że muzyka działa na umysłowo chorych uspakająco i że stanowi ona prawdziwe dobrodziejstwo dla nieszczęśliwych.

* * *

Profesor Drygalski o biegunie północnym. Znany badacz okolic podbiegunowych, profesor Eryk Drygalski, wygłosił w Wiedniu odczyt o biegunie północnym. Dr. Drygalski podniósł, że w okolicy bieguna północnego skupiają się niejako klimatyczne i magnetyczne zjawiska ziemi, które można tam lepiej badać. Biegun ma znaczenie tylko jako ognisko tych zjawisk i dlatego bezprzedmiotowym jest spór, czy Cook rzeczywiście odkrył biegun magnetyczny. Obecne wyprawy do bieguna mają cele naukowe, dawniejsze zaś były przedsiębrane w celach praktycznych, a mianowicie dla znalezienia przejazdu północno-zachodniego i północno-wschodniego. Wyprawy te nie osiągnęły celu, ale wzbogaciły wiedzę gieograficzną. Profesor Drygalski nie sądzi, żeby Cook popełnił oszustwo. Pominąwszy już tę okoliczność, że Cook do czegoś podobnego nie jest zdolny, znawca natychmiast rozpoznałby fałszerstwa w zapiskach Cooka. Trzeba czekać, aż dr. Cook otrzyma swoje zapiski. Świadectwo eskimosów nie ma żadnej wartości. Eskimosi są tak dobroduszni, że można w nich wmówić każdą odpowiedź.

* * *

Gaz bez gazociągów. „Dokumente des Fortschritts" donoszą, że obecnie można będzie dzięki wynalazkowi Hermana Blaua mieć gaz bez połączenia z gazownią. W ten sposób miejscowości odległe od centrów i niepołączone będą mogły jednak mieć oświetlenie gazowe. Gaz ten otrzymywać się będzie z olejów przy temperaturze znacznie niższej niż otrzymywano gaz z węgli kamiennych. Po wydobyciu zostaje taki gaz skondensowany w cylindrze i do domów dostarczany. Światło, które taki gaz daje, jest jasne, czyste i nieszkodliwe. Cylindry mogą być dowolnej wielkości, bywają takie, które zawierają pół kilograma gazu i zawartość ich starcza zaledwie na oświetlenie łodzi podczas spaceru lub namiotu przez parę godzin. Zwykła objętość wystarcza na oświetlenie małego domku podczas 8 tygodni. Jedyna ostrożność, którą przy oświetleniu tem zachować należy, jest umieszczenie cylindra zewnątrz domu i przeprowadzenie rur do niego. Następne napełniania nie sprawiają żadnych trudności i nie grożą eksplozją.

Wynalazek ten będzie miał dla oświetlania miejscowości wiejskich doniosłe wprost znaczenie.

* * *

Rozwój przemysłu papierniczego. Papier bywa uważany powszechnie za bardzo nietrwały i łatwo zniszczalny materjał. Ma się zwykle w myśli wiotkie kartki, w której to postaci najczęściej spotykamy się z papierem; zapomina się zaś, że w pewnej grubości posiada on zdumiewającą wytrzymałość, wskutek czego nadaje się doskonale jako materjał do fabrykacji najrozmaiszych przedmiotów. I istotnie zastosowanie papieru do celów przemysłowych, zwłaszcza w postaci papier-mache, zwiększa się coraz bardziej. W Ameryce a w ostatnim czasie także w Europie, buduje się coraz częściej z masy papierowej wagony kolejowe, przedewszystkiem wagony luksusowe. Materjał ten jest znacznie tańszy aniżeli drzewo, łatwiej go obrabiać można i nadawać rozmajte kształty, prócz tego zewnętrzny wygląd jest estetyczniejszy aniżeli z lichego drzewa. Ma też i tę zaletę, że jest bezwarunkowo nieprzenikliwy, trudniej chłonie wilgoć, gorzej przewodzi ciepło. W fabrykacji powozów znalazła masa papierowa również duże zastosowanie, służy do wyrobu kół, które impregnowane i zahartowane z wierzchu, nie wymagają już otoczenia ich obręczami żelaznymi (gdy chodzi o lepsze bruki), a które elastycznością zbliżają się trochę do kół gumowych. Dalej produkuje się z papieru skrzynie i naczynia zwłaszcza do transportu produktów chemicznych; robi się z odpowiednio przyrządzonej masy papierowej fajki, a nawet używa się jej w wielu wypadkach, gdzie potrzebny jest materjał trudnozapalny i gdzie dotychczas posługiwano się asbestem. Przed kilkoma laty amerykanie poczęli fabrykować trumny z masy papierowej. Niedawno temu przy sposobności jednej czy dwóch ekshumacji skonstatowano, że trumny te przechowywały się lepiej w ziemi aniżeli drewniane, kilka lat zakopania w wilgotnym gruncie nie uszkodziło ich nic prawie.

Mimo to jednak — jak przypomina jedno z pism fachowych, poświęconych papiernictwu — daleko jeszcze Europie i Ameryce do rezultatów, osiągniętych w innym kraju, od którego nasz przemysł i wynalazcy wiele mogliby się nauczyć. Krajem tym jest Japonja. Tam papier, względnie przetwory masy papierowej są prawie jedynym materjałem, jaki się obok metalu spotyka. Sznurek, którym japończyk obwiązuje sprzedany towar, jest z papieru. Z papieru też zrobiona chusteczka, którą odrzuca po użyciu, stosując w ten sposób hygjenę w praktyce. Z masy papierowej są zbudowane wewnętrzne ściany domu, z papieru są zrobione okna, napuszczone specjalnemi mieszaninami, by przepuszczały światło. Kapelusze przechodniów, płaszcz tragarza, ubranie rybaka, latarnie, parasole, kwiaty, zdobiące głowę japonki i setki innych przedmiotów są sporządzone z tego samego materjału, odpowiednio przerobionego i spreparowanego.

W ostatnim czasie rozpoczęto we Francji próby z masą papierową o rozmaitym składzie w zastosowaniu do rozmaitego użytku. O ile rezultat tych doświadczeń okaże się pomyślnym, kilka fabryk papieru zamierza rozszerzyć swą działalność tak, aby i u nas papier znalazł w życiu codziennem szersze zastosowanie.

* * *

Fatalna pomyłka. Pisma paryskie donoszą o fatalnej pomyłce, jaka się wydarzyła policji francuskiej. Sprawa jest tem więcej interesująca, że wmięszany w nią jest zmarły przed kilku dniami uczony kryminolog Lombroso. W r. 1888 zwrócił się Lombroso do ówczesnego szefa policji paryskiej, Gordona, z prośbą, aby dostarczył fotografji zbrodniarek paryskich do dzieła pt. „Kobieta zbrodniarka". Gordon chętnie przesłał uczonemu żądane fotografje. Gdy książka wyszła z druku, Lombroso z wdzięczności przesłał jeden egzemplarz dzieła Gordonowi, który się przekonał, że Lombroso zużytkował przesłany mu materjał. Na 50 przeszło stronicach były reprodukcje fotografji z objaśnieniami. Lombroso przy każdej fotografji dowodził, jak jedna twarz ma wszystkie znamiona zbrodniarki z urodzenia, inna znów pod wpływem alkoholu. Wówczas dopiero zauważył Gordon straszną pomyłkę: Gdy się lepiej przyglądnął ilustracjom, przekonał się, że pomylił się w swoim czasie co do szuflady swego biurka. Zamiast lewej wyciągnął prawą i przesłał uczonemu nie fotografje zbrodniarek, ale niewinnych handlarek, które do podań o koncesję dołączyły swe fotografje.

* * *

„Król powietrza": Aeronauta francuski Hubert Latham, który nieszczęśliwie współzawodniczył w locie konkursowym przez kanał La Manche, dokonał w ubiegłą sobotę w miejscowości Blackpool w Anglji niebywałego dotąd wzlotu, który wywołał entuzjazm całej prasy angielskiej. Latham wykonał wzlot podczas wielkiej burzy. Wicher pędził z szybkością 6—5 klm. na godzinę. Latham trzy razy opłynął pole wzlotu i wylądował wśród orkanu. Gdy zsiadł z aeroplanu, obecni aeronautycy rzucili mu się na szyję, a Paulhan zawołał, płacząc: „Było to wspaniałe, ale także straszne; byliśmy wszyscy przekonani, że cię już nie zobaczymy przy życiu". Latham, który odbywał swą napowietrzną jazdę na wysokości 30 metrów, płynął przeciw wiatrowi z szybkością 8 klm. na godzinę, a z wiatrem z niebywałą dotąd szybkością 145 klm. na godzinę. Były to wzloty o nagrodę. Z powodu burzy nie odbył się żaden wzlot i Latham nie mógł zdobyć wyznaczonych nagród. Natomiast otrzymał od wydawnictwa „Daily Mail" nagrodę pocieszenia w kwocie 10.000 marek. Gazeta ta pisze, że Latham przez swój wzlot wśród burzy stanął na czele wszystkich awjatyków i dowiódł, że już dziś aeroplan niezależny jest od wichru i niepogody. Tak ta gazeta jak i inne nazywają Lathama „królem powietrza", a „Daily Mail" — jak już wspomniano — zachwycona tem, dała Lathamowi nadzwyczajną nagrodę za „najpiękniejszy lot na świecie".

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 45. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 6 listopada 1909.

J. OLSZEWSKI.

NIKODEM KIEŁBIK.

I.

Nikodem już od młodych lat miał w sobie handlarską żyłkę; handlował też z chłopakami różnemi drobiazgami, ja ko to: staremi stalówkami, guzikami, ciupami, a nawet artykułami spożywczemi, które dostawał od swej matki do zjedzenia lub ukradł z jej straganu. Sprzedawał to za gotówkę albo też wymieniał na inne, zawsze z korzyścią dla siebie. Kieszenie jego były wypchane różnemi rupieciami, z któremi nigdy się nie rozstawał.

Chłopaki ze Starego Miasta, Brzozowej, Krzywego Koła a nawet i z Bugaja, znali Nikodema tak dobrze, jak ich matki znały straganiarkę Marcinową, którą powszechnie zwano „wiaruśnicą“.

Marcinowa bardzo się cieszyła z tego zamiłowania do handlu swego jedynaka i mówiła z dumą do swych sąsiadek, również straganiarek:

— Wita — ten ścierwo mój Nikodem, to ci ma do handlu lepszy łeb od żyda! — On ci kuźde rzecz, choćby najmarniejsza, sprzeda i zawsze na tem zarobi. — Niech no on tylko podrośnie, to ja go zaraz oddam do kupca, a zobaczyta, jaki z niego będzie fest kupiec!...

Miało to dopiero nastąpić za rok, gdy Nikodem skończy nauki u dominikanów i podrośnie.

A Nikodem rósł jak na drożdżach i bardzo nieregularnie chodził do dominikanów z tabliczką, na której zamiast pisać, rysował różne cudaki i grał z chłopakami w szubienicę. Do ćwiczeń kaligraficznych obrał sobie chodniki i ściany w sieniach.

Marcinowej serce w piersiach skakało z radości, gdy zobaczyła Nikodema leżącego na brzuchu i piszącego na asfaltowym chodniku kredą.

I kto wie, możeby się Nikodem w pisaniu wyćwiczył, gdyby nie to, że stróże jednomyślnie zaprotestowali przeciw używaniu chodników i ścian za miejsce do ćwiczeń kaligraficznych. Z początku bardzo grzecznie przekładali Marcinowej, że chodniki i ściany nie są odpowiedniem miejscem do pisania i mówili:

— Moja pani Marcinowa — niech ta pani zakaże swemu chłopakowi pisać na aswaldzie i na ścianach. Rewirowy nam wymyśla, że nie pilnujemy — jeżeli on ma taką enć do pisania, to niech mu ta pani kupi kajet i niech se grymzoli na kajecie, a nic na aswaldzie. — Do czego to podobne!

Marcinowa w zupełności podzielała zdanie stróży, że chodniki i ściany nie są przeznaczone do tego, by na nich pisać, choć z drugiej strony oburzało ją, że ludziom przeszkadza nawet to, że „chłopaczyna se pisze“.

— Psiakrew cholery — co? kulasy sobie połamią, jeżeli na chodniku jest napisane? — co, dół się od tego pisania zrobił abo góra? — krzyczała, zwracając się do sąsiadek.

Gdyby ów protest skończył się tylko na stróżowych gedaniach, to Marcinowa nicby sobie z tego nie robiła, ale tu występował rewirowy, którego Marcinowa bała się gorzej niż wszystkich stróży i którego nienawidziała za wymaganie łapówek. Obawiała się, by w tę sprawę nie zamieszał się rewirowy i nie wymagał od niej łapówki. To też gdy Nikodem przyszedł do straganu, wrzasnęła na niego ze złością:

— Sluchaj, Nikodem, żebyś mi się nie ważył, złodzieju więcej pisać na aswaldzie, ani na ścianach, bo ci tak pysk spierę, że popamiętasz ruski miesiąc. Zobaczysz! Stróże przychodzili ze skargą, że im rewirowy wymyśla, a mnie jeszcze do kary przedstawi przez ciebie łobuzie. — Natu dwa grosze i kup se papiru i pisz na papirze, a na aswaldzie mi nie gryzmol.

Nikodem dwa grosze wziął, lecz obrócił je na kupno towarów do swego składu i w dalszym ciągu pisał na chodnikach i ścianach.

Nie myślcie jednak, że Nikodem miał zamiłowanie do pisania i dla tego pisał gdzie się dało. Nie, Nikodem lubił się popisywać różnemi wyzwiskami i epitetami, których znał mnóstwo, a które wypisywał na chodnikach. A musiały to być bardzo piękne i budujące owe epitety, bo niektóre kobiety, t. j. te, które posiadały sztukę czytania, przeczytawszy Nikodemowe bazgroty, pluły i wymyślały, oburzone i zgorszone.

— A bodajeś nie urósł! — lub a bodajeś z kości opadł, łobuzie!

A Nikodem zeskoczywszy z chodnika na środek ulicy, pokazywał im język lub grał na nosie.

Stróże, widząc, że Marcinowa nie może czy też nie chce zabronić swemu synowi owego pisania, postanowili siłą do porządku go doprowadzić. Czatowali na pisarza z miotłami, a gdy Nikodem rozłożył się na chodniku i rozpoczął wypisywać kredą swoje ulubione epitety, wypadali z sieni z miotłami i okładając go, krzyczeli:

— A pójdzies ty, złodzieju, ścirwo pisarzu! — ja ci tu psiakrew popisze, ty hyclu! — Idź cholerniku pisać do cyrkułu kiejś taki amator pisania!...

Wobec takich represji Nikodem zmuszony był zaniechać pisania; za to ze zdwojoną energją oddał się handlowi.

Arytmetyki nie umiał Nikodem, choć przez lat pięć chodził z tablicą do dominikanów, jednakże, zawierając tranzakcje handlowe ze swoimi nabywcami, nigdy się nie oszukał, oszukiwał zato swych nabywców, i robił to tak nadzwyczaj zręcznie, że odbiorcy jego nieraz byli w tem przekonaniu, że to oni go oszukali.

Wreszcie przyszedł czas, w którym miały się urzeczywistnić marzenia Marcinowej, a częściowo i Nikodemka.

Pewnej niedzieli po południu, Marcinowa, ubrawszy się w świąteczne suknie i przeodziawszy Nikodema w nowy, cajgowy garnitur, który mu kupiła na Ordynackim, udała się do znajomego kupca na Freta.

Kupiec wysłuchał opowiadania Marcinowej o wrodzonem zamiłowaniu do handlu Nikodema, a gdy ta skończyła zapytał:

— Do szkoły chodził?

— A jakże, chodził bez pięć lat do dominikanów — odpowiedziała z dumą Marcinowa.

— E, co taka nauka u dominikanów! — machnął kupiec ręką, dodając: — on pewnie dobrze czytać nie umie!..

— Ale co też pan dobrodziej mówi — zaprotestowała

Marcinowa — on galanto czyta i pisze, sumiennie panu mówię.

— A, dobrze, zobaczymy.

Kupiec dał Nikodemowi ćwiartkę papieru i ołówek i powiedział: No napisz cokolwiek.

Nikodem wsunął czapkę w kieszeń, wziął podany mu ołówek w rękę i zapytał:

— A co mam napisać?

— Pisz co chcesz — odpowiedział mu kupiec.

Nikodem obejrzał ołówek, nachylił się nad papierem i znów się wyprostował; — wyjął czapkę z kieszeni i dał ją do potrzymania matce. — Otworzył gębę, spojrzał w górę, jakby szukał natchnienia, wreszcie ostrożnie począł stawiać litery — sapiąc przy tej robocie, jak miech.

Nie mógł się jednak dopasować, zaciasno mu było na kontuarze; — on przywykł mieć przed sobą dużo przestrzeni, gdzieby mógł się wygodnie rozłożyć, tu, na wąskim i śliskim kontuarze było mu stanowczo niewygodnie i za ciasno, przytem kupiec dał mu tylko ćwiartkę papieru; jakże tu coś porządnie napisać? Gdyby mu dano kredy i kazano napisać na podłodze, toby napisał „fajn"! Westchnął Nikodem, wytarł nos w połę, znów wziął się do pisania i z ledwością pomieścił na owej ćwiartce dwa wyrazy: „Kupiec bende".

— No, co, już napisałeś? — zapytał się kupiec.

— Ju! — odpowiedział Nikodem, podając kupcowi papier.

— Coś ty tu napisał?

— Napisałem — kupiec bende.

— Nie, mój kochany, nie będziesz kupcem. — Zwróciwszy się do Marcinowej, powiedział: nie mogę go przyjąć, on nic nie umie — oddajcie go do rzemiosła, do terminu, do handlu, trzeba więcej umieć, jak to — co on umie?

Wyszli ze sklepu na ulicę, Marcinowa dała Nikodemowi pięścią w kark i powiedziała:

— A masz ty, złodzieju pisarzu! — dam ja ci na papier, poczekaj!

II.

Smutna była i zła Marcinowa, że się tak na swym Nikodemku zawiodła. Spostrzegły to zaraz sąsiadki i poczęły ciekawie dopytywać o przyczynę.

— Co się Marcinowej stało? Co Marcinowa taka kwaśna?

— E, co mi się tam miało stać! — Nie chciał kupiec wziąć mego Nikodema do andlu i tyle — odpowiedziała opryskliwie.

— Dla czego nie chciał go wziąć? — pytały zaciewione sąsiadki i jednocześnie rade, że duma Marcinowej ucierpiała i nie będzie im suwać pod nos niesłychanych zdolności Nikodema, którego nie cierpiały za jego lichwiarskie skłonności i lizusostwo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sąd lekarzy o częstowaniu dzieci napojami alkoholowemi.

Jeżeli pijaństwo głęboko zapuściło korzenie w krajach cywilizowanych, należy przyczyn tego smutnego objawu między innemi szukać i w tem, że częstowanie dzieci napojami upajającemi stało się powszechnym nieomal zwyczajem. Liczne dochodzenia poczynione np. w Niemczech przez nauczycieli, lekarzy, księży wykazały, że w niektórych okolicach przeszło 60 procent dzieci szkolnych używa często (nieraz codziennie) piwa, wina, a nawet wódki. — W naszem społeczeństwie nie lepsze panują stosunki. Nasz lud roboczy z swem chorobliwem niemal przywiązaniem do wódki, częstuje dzieci przy różnych sposobnościach tym trującym narkotykiem, mniemając, że im to na dobre wyjdzie.

Matki odurzające niemowlęta alkoholem, nie należą niestety i dziś jeszcze do rzadkości. — Do niedawna panowało nawet w stanach oświeconych ogólne mniemanie, że napoje alkoholowe, zwłaszcza wino i piwo, są dzieciom pożyteczne. Dzisiaj nie brak już wprawdzie rodzin, w których z zasady nie częstuje się dzieci żadnymi napojami odurzającymi, lecz niestety, zbyt często jeszcze zdarzy się spotkać rodziców, którzy albo wprost zachęcają swe pociechy do kufla i kieliszka, lub przynajmniej pobłażliwie spoglądają na to, jak dzieci przy różnych sposobnościach zaczynają naśladować starszych w przewracaniu kieliszka.

Dawanie dzieciom starego wina lub nawet koniaku na lekarstwo jest u nas jeszcze nieomal regułą.

Kto ma jakie takie pojęcie o t. zw. sprawie alkoholizmu, wie, jak szkodliwie działa zwyczaj częstowania dzieci napojami alhoholowymi. Młodsze pokolenie ponosi przez to nieraz niepowetowane straty pod względem zdrowia cielesnego i umysłowego. A z drugiej strony niema widoków, abyśmy pozbyli się pijaństwa, dopóki starsi będą wzbudzali w dzieciach zamiłowanie do kieliszka.

Pożądana na tem polu reforma mogłaby być znacznie przyspieszoną, gdyby nasz stan lekarski tej sprawie jak najwięcej poświęcał uwagi. Wiemy wprawdzie, że dzisiaj żaden z postępowych lekarzy nie będzie rodzicom polecał, jak to dawniej czasem bywało, aby wątłe dzieci „krzepili" napojami odurzającymi; znamy też lekarzy, którzy chętnie objaśniają rodziców o ujemnych skutkach, jakie wywołuje alkohol w organiźmie dziecięcym, lecz to samo nie może wystarczyć. Złe zapuściło zbyt głęboko korzenie. aby dorywcza praca jednostek mogła je usunąć! Zbiorowe natomiast wystąpienie posunęłoby sprawę utwierdzenia młodszego pokolenia w zasadach trzeźwości znacznie naprzód. — Nim do tego przyjdzie, warto zwrócić uwagę na działalność lekarzy w innych krajach.

Pod tym względem mogłaby np. Szwajcarja za wzór posłużyć. Oto niedawno temu wysłało „Towarzystwo przeciw nadużywaniu napojów alkoholowych" w St. Gallen (w Szwajcarji) cyrkularz do wszystkich lekarzy kantonu St. Gallen, z prośbą o wyjaśnienie sprawy częstowania dzieci napojami upajającymi. W cyrkularzu napisano między innemi:

„Panowie lekarze są w pierwszej linji powołani do tego, by rozstrzygnąć pytanie, czy używanie alkoholu jest dla młodzieży rzeczą szkodliwą lub nie. Lekarze znają na mocy swego wykształcenia zawodowego i praktycznego doświadczenia najlepiej spustoszenia, jakie alkohol wywołuje u młodzieży. Dlatego należy się spodziewać, że taki wyrok uzna ludzkość i zastosuje się doń w praktyce".

Pytanie zastosowane w cyrkularzu brzmiało: „Czy poleca się, aby młodzież, zwłaszcza dzieci używały napojów upajających?"

Z 71 lekarzy, którzy nadesłali odpowiedzi, oświadczyli się prawie wszyscy w mniej lub więcej ostrej formie przeciw częstowaniu dzieci napojami alkoholowymi. Niektórzy warunkowo np. do ukończenia rozwoju fizycznego, lub do czasu zmiany głosu, do czasu wyjścia ze szkoły, do wojskowości itp. Wielu wszakże oświadczyło się przeciw temu bez żadnych zastrzeżeń.

Choć nie wszyscy z tych 71 lekarzy badali specjalnie ujemne skutki alkoholizmu, tak, że nie można ich posądzać o radykalizm, to przecież ostateczny rezultat wszystkich odpowiedzi jest ten, że dla wieku dziecięcego jest konieczną zupełna wstrzemięźliwość.

Dla lepszego zrozumienia przytaczamy tu niektóre z owych oświadczeń lekarskich:

„Jest rzeczą pewną, nie podlegającą najmniejszej wątpliwości, że alkohol pod jakąkolwiek postacią, szkodzi dziecku... (Dr. Asgli, St, Gallen). Moja dziesięcioletnia praktyka przekonała mnie najwidoczniej, że młodzież powinna zachować zupełną wstrzemięźliwość. Alkohol jest istną klęską dla naszych szkół. (Dr. Boletter Walkirch). — Zwyczaj częstowania dzieci napojami upajającymi uważam za wielce szkodliwy. (Dr. Cherno, Gams). Używanie jakichkolwiek napojów alkoholowych jest dla fizycznego i umysłowego zdrowia dzieci rzeczą bardzo szkodliwą. (Dr. Farner, Wattwill). Co się tyczy częstowania dzieci napojami upajającemi sądzę, że należy z całą bezwzględnością przeciw temu występować. (Dr. Fels Lachen, Vounwil). Że dzieciom nie należy dawać alkoholu, o tem nie ma dwuch zdań, gdyż wiemy, jak im to szkodzi. (Dr. Feurer, St. Gallen). Zwyczaj częstowaniaci napojami upajającymi, nawet w małych ilościach, muszę nazwać bezwarunkowo szkodliwym.

(Dr. Girhammer, St. Gallen). Mniemam, że używanie napojów alkoholowych u dzieci jest rzeczą bezwarunkowo szkodliwą, obojętnie, czy chodzi o moszt, piwo, wino lub tp. napoje; dzieciom alkoholików radzę zachowania abstynencji przez całe życie. (Dr. Haene, Rorschach). Kto daje dzieciom napoje wyskokowe jako używkę, popełnia zbrodnię względem tych dzieci i ojczyzny. (Dr. Kramer, St. Gallen). Alkohol jest dzieciom bezwarunkowo szkodliwy. (Dr. Schelling, Rorschach). Podawanie dzieciom napojów upajających uważam za rzecz karygodną. Osobiście nie zapisuję tego dzieciom nawet w razie choroby. (Dr. Schüler, Wil). Rodzice powinni sobie uważać za święty obowiązek nie częstować dzieci alkoholem, który jest dla nich silną trucizną. Rodzice, którzy swe dzieci częstują regularnie wódką, popełniają zbrodnię, którą trzebaby surowiej karać, niż cielesne poniewieranie dzieci. (Dr. Schoenerberger, Uznach).

W podobny sposób wyrażają się wszyscy z owych 71 lekarzy szwajcarskich. Jakiż stąd wniosek dla naszych stosunków?

Ludność Szwajcarji jest bezwątpienia zamożniejszą, lepiej się odżywiającą, zdrowszą, silniejszą aniżeli ludność Polski. Tego zatem co w Szwajcarji uznano za szkodliwe, należy się w naszych warunkach dziesięćkroć więcej wystrzegać. A przytem możemy lekarzom tamtejszym bezwarunkowo dać wiarę, boć wiadomo, że Szwajcarja, to kraj bardzo postępowy a oświata stoi tam wysoko.

Rodzice i wszyscy, którzy macie styczność z dziećmi, pouczajcie je, że nie powinnyużywać napojów upajających i uważajcie, aby nigdy tymi napojami dzieci nie częstować!

„Wyzwolenie".

Kobieta, jako żona, matka i wychowawczyni.

Aby kobieta mogła spełnić zadanie żony, matki i wychowawczyni, powinna przedewszystkiem dbać o swe zdrowie, gdyż tylko w zdrowem ciele mieszka zdrowa dusza. Zdrowie, to największy skarb człowieka, największa jego ozdoba; szczególnie zaś potrzebne jest kobiecie, aby do wypełnienia tak trudnego zadania miała dość siły, dość energji. Małżeństwo i wychowanie dzieci, oprócz trudów, wymaga wiele cierpliwości, wiele poświęceń. A czyż zdolną do tego byłaby kobieta schorzała, bez energji, bez zapału, bez sił żywotnych? Od kobiety-żony i matki, głównie zależy uczynienie męża szczęśliwym lub też nieszczęśliwym; ona to decyduje, jaką drogą pójdą jej dzieci i jaką będzie ich przeszłość.

Mężczyzna, niech będzie najdzielniejszy, najrozsądniejszy, nigdy nie zdoła powiększyć i zapewnić dobrobytu swej rodzinie, o ile żona nie zechce mu pomagać swoją rozumną rządnością. Od niej jedynie zależy uprzyjemnienie mu domu lub też uczynienie go wstrętnym. Ona go może podnieść na wyżyny lub zrujnować; ona moża go natchnąć gotowością i odwagą do przedsiębiorstw, lub też obrzydzić mu wszelką działalność. Wielu wybitnych mężów wskazując na swe żony mówiło: „To ona zrobiła mnie tem, czem jestem".

Ileż zresztą przykładów w naszej historji znaleźćby można, w których mężowie głównie przez swe żony zyskiwali wawrzyny i okrywali się nieśmiertelną sławą.

Natura dała wszystko kobiecie, aby spełnić mogła swe posłannictwo: dała jej wdzięki, dała jej duszę rzewną i tkliwą, dała jej serce; a dla jej bólu stworzyła nawet słodkie uczucie macierzyństwa.

Kobieta-matka, to dopiero prawdziwa kobieta. Dom, to jej państwo i w nim rządzi despotycznie. Ona jest wzorem i przykładem stale się znajdującym przed oczyma swych dzieci i te bezwiednie ją śledzą i naśladują. Wpływ matki, choćby się wydawał najlichszym z pozoru, w gruncie rzeczy jest bardzo wielkim.

Ponieważ matka więcej, niż ojciec wywiera wpływu na postępki swych dzieci, przeto dobry jej przykład posiada tem większe znaczenie. Pewien uczony, mówiąc o wpływie wczesnych przykładów, porównywa je z wyciętemi na korze drzewa głoskami, które rosną i rozszerzają się w miarę wzrostu drzewa.

Otrzymane więc wrażenia nie zacierają się nigdy, kiełkują one, równie jak nasiona w ziemi, i z czasem przemieniają się w czyny, myśli i nałogi.

Kobieta-matka posiada bardziej ludzki sposób wychowania, niż inni. Mężczyzna jest mózgiem, kobieta sercem ludzkości, on rozsądkiem — ona uczuciem, on uosabia siłę — ona wdzięk, piękno, pociechę. Gdy mężczyzna przy wychowywaniu rozwija głównie rozum, kobieta rozbudza uczucie, krzewi miłość, odwagę, piękno. Od jej wychowania głównie zależy, jakich państwo mieć będzie obywateli, i ona to decyduje o jego rozkwicie lub upadku. Patrzcie na starożytnych rzymian; dopóki kobiety były cnotliwe, dzielne, dopóty kwitło państwo, lecz gdy kobiety stały się lekkomyślne, gdy wkradło się zepsucie, nastąpiła rozwiązłość obyczajów, a z nią upadek Rzymu.

Żadna szkoła, żadna instytucja nie zdziała tyle, ile rozumna, uczciwa matka. Dzieje się to wskutek tego, że dzieci w pierwszych swych latach przywiązują się głównie do matki i od niej odbierają pierwsze pojęcia o dobrem i złem.

Pomne na następstwa, jakie zły przykład i złe wychowanie sprowadzić może, powinny matki przyświecać swoim dzieciom tylko dobrym przykładem i być im gwiazdą przewodnią i drogowskazem na drodze życia.

Dlatego też musimy my, socjalni demokraci, dążyć do tego, aby kobiety pozyskać dla naszych ideałów, aby je organizować i uświadomić, bo, gdy kobiety uchwycą w szlachetne swe dłonie czerwony sztandar, zwycięstwo socjalizmu będzie zapewnione.

To i owo.

Potęga proletarjatu tkwi w jego liczbie.

* * *

Wszystkie obecne republiki są republikami kapitalistów.

* * *

W ustroju dzisiejszym produkt pracy proletarjusza staje się środkiem jego ujarzmienia...

* * *

Celem naszym jest, by wytwórczością nie kierowała chęć zysków, lecz potrzeby społeczeństwa.

* * *

Jedyną partją, która w całości chce znieść przewileje, jest partja socjalistyczna.

* * *

Nigdy w dziejach świata nie było ruchu, któryby tak stanowczo ziszczał ideał wolności, jak socjalizm.

* * *

Robotnicy garnąć się powinni ochoczo do walki, gdyż przed nimi jest wszystko, za nimi niewola i nędza.

* * *

Ustrój socjalistyczny nie jest utopją. Jest on konsekwencją rozwoju, jest niejako dalszym ciągiem ustroju dzisiejszego.

* * *

Czyż znajdzie się wśród nas człowiek, któryby cieszył się z nędzy, ciemnoty, kryzysów i katastrof? Dlaczego jednak nie wszyscy walczą z tem?

* * *

Socjalistyczna partja jest dzisiaj jedyną partją walczącą o postęp społeczny. Powinna więc być partją tych wszystkich, którzy naprawdę dążą do postępu.

Rozmaitości

Statystyka telefonów. Europa na 400 miljonów mieszkańców ma 2 300.000 przyrządów telefonicznych. Stany Zjednoczone posiadają na 80 miljonów ludności 7 miljonów aparatów, a więc w stosunku do ludności 15 razy tyle, co Europa. W całej Francji na początku bieżącego roku było 194.159 telefonów, gdy sam Nowy Jork posiada ich 334.186. A więc jedno miasto amerykańskie posiada nieledwie dwa razy tyle przyrządów telefonicznych, co cała Francja. Chicago ma 184.922 telefonów. Cała Austrja, licząca 80.975 przyrządów telefonicznych, ustępuje pod tym względem drugorzędnym miastom amerykańskim, gdyż Boston i Filadelfja mają mniej więcej po 100 tysięcy telefonów. St. Louis, Pittsburg, Cincinnati mają więcej telefonów, niż Węgry lub Włochy. Najwyżej pod tym względem stoi pośród państw europejskich Anglja, a to dzięki okoliczności, że telefony są tam przedsiębiorstwem prywatnem. Anglicy, mimo naporu ze strony zarządu pocztowego, nie chcą bezwarunkowo zgodzić się na upaństwowienie telefonu, wiedząc, że byłby to upadek ruchu telefonicznego.

* * *

Sztuczne jaja. W Nowym Jorku isfnieje już cała gałąź przemysłu, zajmująca się fabrykacją jaj sztucznych. Ostatnie sprawozdanie departamentu rolnictwa we Waszyngtonie podaje szereg interesujących szczegółów o tej niezwykłej produkcji. Handel jajami sztucznemi rozwinął się głównie z tendencji wyzyskania nadprodukcji mąki kukurydzowej. Na fabrykację składają się cztery rozmaite fazy. Najpierw przyrządza się żółtko z mieszaniny mąki kukurydzowej, skrobi, oliwy i różnych innych ingredjencji, które sztucznemu żółtku nadają wielkie podobieństwo do naturalnego. Odpowiednią ilość tej gęstej masy umieszcza się w specjalnej maszynie, któraenadaje jej kształt owalny.

Żółtko otaza się teraz białą warstwą, która, jak w jaju naturalnem' składa się z czystego białka. Gdy albumin nieco stwardnie, produkt wędruje ponownie do maszyny, aby otrzymać kształt. Wtedy osłania się go cieniutką skórką ze specjalnie spreparowanego albuminu, a wreszcie za pomocą innej maszyny okrywa się wszystko skorupą gipsową, mało co grubszą od skorupy jaja naturalnego. Tak zbudowane jaja sztuczne poddaje się nagłemu silnemu ogrzaniu, wskutek czego skorupa natychmiast twardnie, wnętrze zaś ostatecznie się ustala. Produkt jaj, zupełnie podobny do jaja prawdziwego, ma dobry smak i jest zupełnie zdrowy. Wielką zaletą jest łatwość transportu i to, że jajo sztuczne ulega rozkładowi i zepsuciu dopiero po znacznie dłuższym czasie, niż naturalne. W Ameryce, głównie dzięki swojej taniości, jaja sztuczne znajdują licznych odbiorców i rozpowszechniają się coraz bardziej. W ostatnich czasach rozpoczęto je wywozić na olbrzymią skalę do Azji.

* * *

Nedza w Londynie. Przed kilku dniami wyszły z druku sprawozdania biur statystycznych Londynu. Okazuje się z nich wzrost nędzy; Londyn liczy dziś przeszło 150 tysięcy nie posiadających żadnych środków do życia. W stosunku do wykazów roku ubiegłego cyfra ta wykazuje trzy i pół procent przyrostu. Na 1000 mieszkańców Londynu 34 nie posiada wystarczających środków żywności i dachu nad głową. Od r. 1872 nędza w Londynie nie dosięgła tak znacznych rozmiarów.

* * *

Więcej małżeństw a dzieci mniej! Wiemy wszyscy o zmniejszaniu się ludności francuskiej. Chociaż, wskutek coraz większego dobrobytu i środków hygjenicznych, śmiertelność coraz jest słabszą, to ilość porodów spada coraz bardziej i bardziej — aż w końcu ludność zaczęła się zmniejszać.

Okazuje się, iż zjawisko to staje się powszechnem w całej Europie. A tylko Francja idzie, jak zwykle, na czele.

Więc np. w Bejgji w latach 1881—1885 na 1000 mieszkańców rodziło się 30,7 dzieci rocznie. W okresie 1901 do 1905 liczba ta zeszła do 27,7. W roku 1906 spadła do 25,7, w r. 1907 do 25,3, w r. 1908 do 25. Widzimy więc, że zmniejszanie się jest stałe i dosyć szybkie. Szczególnie w stolicy kraju, w Brukseli, proces ten idzie szybko. W latach 1881—1890 liczba urodzin na 1000 mieszkańców wynosiła tam 31,6, w roku zaś zeszłym zaledwie 16,4!

W Berlinie zachodzi toż samo zjawisko. Obecnie jeszcze rodzi się 24,6 dzieci na 1000 mieszkańców, ale ilość ta spada z roku na rok.

Jest to objaw wielkiego znaczenia dla całej Europy zachodniej i może kiedyś zdecydować o jej losach.

Osobliwą i znamienną jest rzeczą, iż jednocześnie ze słabnącą liczbą urodzin, ilość zawieranych małżeństw wzrasta!

* * *

Potworne okrucieństwa. Tygodnik londyński „Truth" opowiada o strasznych okrucieństwach, których się dopuszczają urzędnicy i służba przedsiębiorstwa, będącego pod zarządem dyrektorów angielskich i hiszpańskich.

Towarzystwo to, mające biuro centralne w Londynie, trudni się dobywaniem gumy i posiada znaczne obszary ziemi nad Amazonką i Putumajo. Znajdują się tam dziewicze lasy, zamieszkane przez indjan z plemienia Huitotos.

Funkcjonarjusze wymienionej kompanji już od dawna zmuszają indjan do zupełnie bezpłatnego dostarczania gumy. Ludzie ci pracują dniem i nocą, nie otrzymując za to żadnej zapłaty, ani nawet żywności. Co więcej, muszą dostarczać pewnej oznaczonej ilości gumy, w przeciwnym razie są bici i torturowani na śmierć. Wszyscy indjanie są wpisani w rejestry i tworzą kadry rzeczywistych niewolników. Urzędnicy w oczach indyjskich ojców i mężów gwałcą ich żony i córki, a potem ucinają im nosy, uszy i piersi. Trupy rzucają psom na pożarcie. Mężczyzn torturują w wyszukany sposób, a niemowlęta zabijają uderzeniem o ściany. Niezdolni do pracy indjanie są zabijani bez litości. Szczególniej Miguel Flores, jeden z dyrektorów towarzystwa, odznacza się szczególniejszem zamiłowaniem w tych okrucieństwach.

Podróżnik amerykański, Hardenberg, opowiada, że Flores na czele swej bandy wkroczył na terytorjum Kolumbji i tam wziął w posiadanie plantacje pewnego bogatego indjanina, którego razem z żoną kazał na śmierć zamęczyć.

Centralne biuro w Londynie musiało mieć wiadomości o tych zbrodniach, gdyż wysłało do owych posiadłości urzędnika na kontrolę; tymczasem „Truth" wystąpił z rewelacjami.

* * *

Miljon osiągnęła liczba pobierających rentę na starość i wskutek inwalidztwa. Podług sprawozdania urzędu zabezpieczeniowego Rzeszy było na dniu 1 lipca b. r. pobierających rentę inwalidową: 877,269, na starość 104.931, wskutek choroby 18,819, razem 1.001.019.

Z literatury i sztuki

Numer 22 **„Promyka"**, postępowego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera:

Treść: Janusz Korczak: Józki, Jaśki i Franki. — L. Kondratowicz (Syrokomla): Zwierzyna. — Marja Hantowerówna: Prawdziwa bajka. — Jadwiga Olszewska: Jeszcze o gościu niebieskim. — Ze świata: Niezwykła podróż. — Marcelina Kulikowska: Rak u myszy w gościnie. — Odezwa. — Łamigłówki. — Rozwiązania. — Odpowiedzi.

Adres Redakcji: Kraków, Wiślna 5, i Warszawa — księgarnia Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 46. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 listopada 1909.

J. OLSZEWSKI.

NIKODEM KIEŁBIK.

(Ciąg dalszy.)

— Djabli go wiedzą! — Powiedział, że Nikodem nic nie umie i że kupcem nie będzie. — Przecież widzieliśta, że chłopak bez pięć lat chodził do szkoły i słyszeliśta, jak galanto czyta, a że nie pisze tak piknie — to i co? jakby pobył u kupca jakiś czas, toby się i włożył. — Ale to już człowiek ma takie psie szczęście. — Niech mu tam Pan Bóg nie pamięta mojej krzywdy.

— E, macie się też Marcinowa o co martwić! — Oddajcie do sztajera i basta, chłopak nie gapa, da sobie radę i bez kupca. — Ho, ho! — ma on kiełbie we łbie...

Tak pocieszały i doradzały strapionej Marcinowej sąsiadki.

I byłby Nikodem poszedł do terminu do szewca, gdyby nie odradził jej tego daleki krewny krawiec przedstawiwszy krawiectwo, jako szlachetniejsze rzemiosło. Niewiadomo, czy przekonał Marcinową o wyższości krawiectwa nad szewctwem, ale machnęła ona ręką i powiedziała:

— A, ma być złodziejem abo mularzem, to niechaj lepiej będzie już krawcem!...

Tym sposobem Nikodem poszedł terminować do krawca.

Jednakowoż Nikodem nie zaniechał w terminie swych operacji handlowo-lichwiarskich, przeciwnie, tu miał większe pole do rozwinięcia swych zdolności. Swą usłużnością i lizusostwem potrafił sobie zjednać sympatje majstra, którego został prawem okiem; uniżonością i psią uległością zjednał sobie i czeladników; tylko terminatorzy nie cierpieli go z całego serca, lecz że go się bali i potrzebowali od niego pożyczek, więc milczeli, a nawet niektórzy zabiegali, chcąc sobie zjednać jego względy, które były im potrzebne tak przy zaciąganiu pożyczek, jak i przy stosunkach z majstrem i czeladźmi. Jedynem słowem Nikodem stał się bardzo wpływową i znaczną osobą w warsztacie.

Oprócz powyżej wymienionych zalet posiadał Nikodem umiejętność przerabiania gładkich groszy na dziesiątki. Niewiadomo, czy się od kogo nauczył, czy też własnym sprytem przyszedł do posiadania tej sztuki to jednak wiadomo, że umiał doskonale posrebrzać owe grosze, a wkrótce przyszedł do takiej doskonałości, że mógłby mu pozazdrościć niejeden „specjalista“. Srebrzył owe grosze, zeskrobawszy z lusterka rtęć; następnie potrafił sobie zdobyć ten materjał w gotowym stanie i fabrykaty miały lepszą i obfitszą powłokę srebra, przeto miały łatwiejszy zbyt. Lecz nietylko na tem polu Nikodem wykazał owe zdolności. Potrafił on bez pośrednictwa osób trzecich puszczać w obieg fabrykaty i tym sposobem nie dzielił się z nikim zyskami i zabezpieczył sobie tajemnicę.

Ofiarami jego oszustwa początkowo byli żebracy, siedzący pod kościołami; Nikodem dawał żebrakowi lub żebraczce ową niby dziesiątkę, mówiąc:

— Macie tu, dziadku (lub babciu), dziesiątkę, weźcie sobie z niej grosz i zmówcie pacierz za duszę, np. Pawła lub Jana i dajcie mi dziewięć groszy reszty.

Żebrak niedowidział i nie podejrzywał oszustwa, to też błogosławiąc litościwego chłopca, wydawał mu reszty z rzekomej dziesiątki. A że żebracy dostają jałmużnę przeważnie w groszach, przeto wydawano mu reszty takowemi.

Nikodem cieszył się w duchu, że będzie miał z czego fabrykować dychy.

Żebracy służyli mu sa wekslarzy. Na większę sumę nie puszczał się, tylko na jedną dziesiątkę, i to taką fałszywą dziesiątkę dawał żebrakom jednego dnia pod jednym kościołem, drugiego pod drugim i nie zawsze dawał jednym i tym samym; obdarzał każdego, lecz jednemu dał dziś, drugiemu jutro. W większej ilości zbywał swe fabrykaty u rzeźnika, w sklepikach i na targu. Do takiej operacji wybierał sobie porę o zmierzchu, gdy w sklepikach jeszcze nie było światła.

Jednem słowem gdzie tylko mógł pakował swoje dychy. Nie oszczędził nawet swej matki, bo gdy się dorwał do blaszanej puszki, w której matka trzymała drobniaki, wybrał prawdziwe dziesiątki, a na ich miejsce włożył swego wyrobu. Biadała Marcinowa, że jej ktoś dał fałszywą monetę i pomstowała, nie wiedząc o tem, że to jej rodzony synek zaopatrywał ją w falsyfikaty.

Oprócz wymienionych miał Nikodem inne źródła dochodu; pożyczał czeladziom i chłopcom po kilka złotych a z czasem i po kilka rubli na procent; handlował też po dawnemu różnemi rupieciami, a w miarę wzrostu kapitału, operował coraz cenniejszymi przedmiotami.

Nie było przedmiotu, którgoby Nikodem nie kupił i nie potrafił sprzedać; kufer jego był prawdziwym składem wszelkiej starzyzny i biżuterji.

Gdy przyszła niedziela, zabierał swój towar i szedł na Ordynackie, tam spredawał i kupował, jednej niedzieli ubrania, drugiej biżuterję i harmonje.

Trzeha powiedzieć i to, że Nikodem był muzykalny: grał on na harmonji, uczył się gry na tym instrumencie na gwałt, a że miał zdolności do muzyki, przeto wkrótce zasłynął jako dzielny grajek harmonijkowy.

Zdolności do muzyki Nikodem miał bezsprzecznie, lecz muzyki nie kochał dla niej samej, tylko że ona otworzyła mu jeszcze jedno źródło dochodu. Grywał on na weselach, wieczorkach i imieninach, przez co wyrabiał sobie szerokie koło znajomości i nabijał kabzę.

Jednakże z muzyki na dobre zaczął korzystać dopiero po wyzwolinach. Pomimo względów, jakiemi się cieszył u swego majstra, nie mógł on tracić całych nocy na wygrywaniu polek i mazurów, a w dzień wypoczywać. Gryzł się tem biedny Nikodem, że mu parę fajgli uciekło z przed nosa, ale cóż, kiedy na to nie było rady, a termin chciał skończyć, żeby mieć patent na czeladnika. Zawsze to z papierami inaczej cenią człowieka, w duszę ci nikt nie zajrzy i nie wie coś ty za jeden.

Handel nie pozwolił mu chodzić do szkoły rzemieślniczej, a bez świadectwa nie mógł się wyzwolić. Ale Nikodem, nie chodząc do szkoły, miał z niej świadectwo. Kosztowało go to kilka rubli, ale strata kilku rubli była bez porównania mniejszą od tej, jaką by poniósł, chodząc do niej: nie mógłby przecież chodzić na Ordynackie handlować i tem samem, nie miałby pieniędzy, wolał stracić kilka rubli na świadectwo, niż stracić kilkadziesiąt, chodząc do szkoły.

Marzeniem Nikodema było zostać bogatym, takim jak

Rotszyld, o którym słyszał, że ma pełne beczki złota. Dążył on też do bogactwa wytrwale, nie przebierając w środkach i odmawiając sobie wszystkiego, byle zaokrąglić rubla i zanieść go do kasy oszczędności.

To też, gdy po pięciu latach terminu Nikodem wyzwolił się na czeladnika, był już posiadaczem kapitału, przedstawiającego wartość 500 rubli; a zrobił ten kapitał z niczego. — „Ot miał głowę na karku“ — tak powiedział jego majster — inni mówili, że miał kiełbie we łbie.

III.

O ile majster zadowolony był z Nikodema, jako z terminatora-totumfackiego, o tyle niezadowolony, jako z czeladnika-robotnika. Nikodem był partaczem: przez pięć lat nauki zaledwie nauczył się szyć spodnie, lecz i to szło mu nie tęgo. Przytem grzebał się strasznie długo z robotą, co naturalnie nie podobało się majstrowi, który płacił mu dniówkę. Dawniejsze uczniowskie zasługi nie miały dziś wartości; dziś żądano od niego sprawności w robocie. I tu okazało się dopiero, że Nikodem minął się z powołaniem. Był on dzielnym kupcem szachrajem, znajomości jednak sztuki krawieckiej nie posiadał. W dodatku nie był on punktualnym w robocie, często opuszczał pracę dla korzystniejszego zarobku z geszeftu lub muzyki. To też w pół roku po wyzwolinach majster powiedział mu tak:

— Mój kochany — albo bądź krawcem, albo muzykantem i geszefciarzem: — nie trzymaj dziesięciu srok za ogon. Chcesz zresztą, to rób od sztuki, a nie, to machaj sobie na giełdę.

Nikodem nie chciał się zgodzić na sztukową robotę, przeto pożegnał swego lehr majstra, probując szczęścia w innych warsztatach, lecz i tam nie powodziło mu się również.

Zniechęcony ostatecznie do krawiectwa, zwinął swój patent w trąbkę, włożył do kuferka i zerwał tę słabą nitkę, która go łączyła z rzemiosłem. Odtąd poświęcił się wyłącznie handlowi i muzyce.

Póki Nikodem był krawcem, mieszkał u swej matki, nie płacąc jej ani za mieszkanie ani za jedzenie; potem, gdy zerwał z krawiectwem i poświęcił się operacjom finansowym, mieszkanie u matki stało się dla niego niewygodne ze względu na klijentelę, która omal że nie z dniem każdym rozwijała mu się. Dla większej swobody i lepszego tonu wynajął sobie dwa pokoiki na Podwalu. Dzień poświęcał sprawom finansowym, wieczory muzyce, naturalnie nie dla własnej przyjemności, tylko grywał w restauracji od godziny 6 wieczorem do północy, za co otrzymywał oprócz kolacji 10 złotych za każdy wieczór. Nikodem nie był śmirusem, ale wypić mógł i lubił byle nie za swoje pieniądze. Podochoceni i rozbawieni goście fundowali mu wódkę i piwo: pił jak smok, lecz nigdy się nie upił, zawsze był przytomny. Cieszył się opinją bardzo porządnego i miał wszelkie zewnętrzne cechy „porządności“. Przedewszystkim był uprzedzająco grzeczny ze wszystkimi, chodził ładnie i czyściutko ubrany, był bardzo wymowny, przytem miał pieniądze, a bilet wizytowy na drzwiach jego mieszkania opowiadał wszystkim, że za temi drzwiami mieszka „Nikodem Kiełbik Handlowiec“. To też niejedna matka pragnęła mieć go za zięcia, ale Kiełbik, którego odtąd tak zwać będziemy, choć lubił kobietki i prawił słodkie słówka, o małżeństwie nie myślał. Jeżeli kto ze znajomych swatał mu jaką porządną dziewczynę, mówiąc:

— Żeń się pan z tą dziewczyną, to bardzo porządna i nie głupia osoba.

Nikodem odpowiadał:

— Porządną kobietą każda jest, co ma czystą i całą koszulę. Ja potrzebuję żonę z pieniędzmi i z głową do handlu.

Przysłowie mówi: „kto szuka, ten znajdzie“. — Nie wiem czy ono we wszystkich wypadkach się sprawdza, lecz Kiełbik istotnie znalazł.

Na pewnym wieczorku, w niepewnem towarzystwie, gdzie między cywilnemi ubraniami widać było i mundury, zapoznał się Kiełbik również z niepewną, lecz bardzo pokaźną damą. Lata owej damy trudno byłoby określić nawet w przybliżeniu; mogła ona mieć lat 35, ale mogła też mieć i 45. Wysoka i monstrualnie tłusta, piersi nadzwyczajnie wydatne, brzuch jak beczka, między piersiami i brzuchem wklęsłość, przez co z przodu podobna była do dwugarbnego wielbłąda. Reszta widocznych części ciała była w stosunku proporcjonalnym do całości budowy. Twarz jej, choć tłusta, lecz nieszpetna, i widać było, że dawniej, nim się to sadło rozlało, musiała być ładną.

Ponieważ owa dama w naszem opowiadaniu gra niepoślednią rolę, przeto uważamy za stosowne bliżej zapoznać czytelnika z jej przeszłością.

Dama ta, jak to sama mówiła, pochodziła z nie bele jakiej familji, lecz z jakiej, mianowicie, nie mówiła. To tylko było wiadomem, że miała ona kiedyś złote czasy i nie zawsze bywała na wieczorkach, gdzie za orkiestrę służyła harmonja.

Kiedy nie była jeszcze taką tłustą, kochał się w niej jakiś hrabia, potem stary generał, i znów hrabia, lecz nie ten pierwszy, drugi już — ale to wszystko jedno, zawsze-ć hrabia. Po hrabim dostała się w posiadanie jakiegoś profesora, lecz na krótko; profesor był zazdrosny i skąpy, przeto puściła uczonego męża kantem i uchwyciła się za akselbanty przyszyte do fijołkowego munduru pewnego pułkownika. Ów rycerz, choć służył w kawalerji i nosił grzmiące ostrogi, jeździł zwykle dorożką, nie na wiatronogim rumaku; miał on liczne ordery za waleczność, choć nigdy na żadnej wojnie nie był. Wyjeżdżał on często, a gdy przez troskliwość pytała, gdzie i na jak długo jedzie, zbywał ją milczeniem...

Kochał on ją bardzo, zazdrosnym nie był i pieniędzy dawał jej dużo; — no, i dobrze się działo biedaczce.

Ale cóż, — stało się nieszczęście. Pułkownik wyjechał, nie na wojnę wprawdzie, ale mimo to zginął...

Płakała biedaczka, nie po pułkowniku, ale po jego pieniądzach. Przez długi czas serce jej stało pustkami, lokator się nie trafiał, lokal był za drogi, trzeba było cenę jego obniżyć, lecz i ten, co go wynajął, długo miejsca nie zagrzał: wyniósł się nic nie powiedziawszy. O lokatora było coraz trudniej, choć nie była już w wyborze tak wybredna, jak dawniej i cenę obniżyła do minimum; ale i to niewiele pomogło, gdyż były lokale nowe, czyste, świeże i bardzo tanie. Nie było innej rady tylko trzeba było oddać swój aparatement na „przytułek noclegowy“. Lecz tu znów nowa bieda, przyczepiła się policja, doktór, szpital... Eh, Boże kochany! jak się komu nie wiedzie, to i nie wiedzie.

Socjalizm, praca i użycie.

Jeden z teologów rzucił w świat, z właściwą tym ludziom przy ocenianiu znaczenia niemiłych faktów lekkomyślnością, twierdzenie, jakoby socjalizm był jedynie „filozofją“ użycia“. A ponieważ bierze on pod uwagę ludzi tylko ze strony zmysłowości, więc też i pod filozofją użycia rozumie jaknajszersze i brutalne użycie zmysłowe.

Trudno byłoby owemu pobożnemu ojczulkowi przeciągnąć granicę, gdzie kończy się użycie zmysłowe, a rozpoczyna to drugie niezmysłowe. Dotychczas nie byliśmy w stanie tej granicy nakreślić. Sądziliśmy natomiast, że nie może być mowy o użyciu bez zmysłowości, że wogóle możemy używać tylko za pomocą zmysłów i że wszelkie różneice w użyciu mieszczą się zawsze w ramach mniejszej lub większej ilości zmysłowości.

Ponieważ większość ludzi nadużywa często w bezmyślny sposób swe popędy naturalne, doszli w końcu do tego, że wstydzą się ich i okłamują siebie i innych nieuchwytną mrzonką o użyciu jakimś niezmysłowem czy nadzmysłowem.

A jednak właśnie w tych tak zwanych nadzmysłowych rozkoszach, w tych mniej lub więcej histerycznych stanach duszy, zmysłowość odgrywa daleko większą rólę, aniżeli ludzie przypuszczają, lub chcą to przyznać otwarcie.

Gdyby więc socjalizm naprawdę był filozofją użycia zmysłowego, to możnaby mu co najwyżej postawić zarzut, że nazywa po innemu to, co wszyscy znają i — co prawda często ukrycie, szczerze kochają.

W rzeczywistości jednak socjalizm jest „filozofją pracy“, a jeśli mówi o użyciu, to zawsze opiera się na zasadach nauki o rozwoju gospodarstwa społecznego i domaga się udostępienia dla jaknajszerszego ogółu wszelkich zdobyczy kultury.

Co jest wynikiem pracy ogółu, powinno też służyć dla zapewnienia szczęścia temu ogółowi.

Właściwą treścią światopoglądu socjalistycznego jest praca jako twórczyni wszelkiej wartości, praca jako podstawa cywilizacji i kultury, praca jako najwspanialsze dopełnienie człowieka i jako źródło istotnego zdrowego szczęścia ludzkiego. Bezpośrednim celem ruchu socjalistycznego jest zorganizowanie pracy na podstawach gospodarki racjonalnej, zgodnej zupełnie z naturą ludzką. Nigdy jeszcze żaden ruch społeczny o tak wielkiem znaczeniu i rozmiarach jak ma dziś ruch socjalistyczny, nie stawiał tak stanowczo zasady: „Kto nie chce pracować, niechaj także nie je, a kto nie pracuje, niepotrzebnie jest pasożytem, szkodzącym społeczeństwu".

Że ludzie, którzy żyją z pracy innych, którzy kosztem miljonów pracujących wiodą bujny żywot pasożytniczy i którzy byt swój opierają na łatwowierności, duchowej zależności i moralnem tchórzostwie mas, wychowanych w ustawicznym strachu i grozie — że ci ludzie malują socjalizm w najczarniejszych barwach, to zupełnie zrozumiałe. Walczą oni w obronie swoich uprzywilejowanych stanowisk i widzą, że socjalizm zagraża im zagładą.

LUDWIK LIBRACH.

Organizacja pomocy dla bezrobotnych.

Bezrobocie przymusowe, niezależne od dobrej woli robotnika, jest niewątpliwie jedną z najcięższych klęsk, dotykających klasę robotniczą i całe społeczeństwo, a ściśle związaną z ustrojem kapitalistycznym. Bezrobocie przymusowe istnieje już od wieków; po wsze czasy byli ludzie, którzy poszukiwali pracy i nie mogli jej znaleźć, ale zagadnienie to w miarę rozwoju przemysłu stawało się coraz bardziej palącem i dziś w okresie wielkiego przemysłu coraz ostrzej i namiętniej domaga się rozwiązania. Przemysł, by móc normalnie funkcjonować i rozwijać się, potrzebuje pewnej ilości rąk roboczych, ilość ta zwiększa się w okresach pomyślnego rozwoju przemysłu i handlu, zmniejsza się w chwilach upadku — kryzysu. Napróżno wówczas poszukują pracy, w fabrykach ograniczają ilość dni pracy, wydalają pewną ilość robotników. Ci bezrobotni tworzą t. zw. rezerwową armję pracy.

Ruch ten można najgruntowniej i najłatwiej zbadać w krajach, gdzie rozwój i koncentracja przemysłu zrobiła znaczne postępy; kiedy brak pracy sięga kryzysu — kryzys ten jest ostrzejszy w Anglji i w Niemczech, krajach o wielkim przemyśle, niż we Francji naprz., gdzie przeważa średni i drobny przemysł, lub w Rosji, kraju jeszcze w znacznym stopniu rolniczym. Nie będziemy teraz rozpatrywali wszystkich przyczyn, które wywołują tworzenie się i stały wzrost rezerwowej armji pracy, przekracza to szczupłe ramy niniejszego urtykułu. Przyczyny te są bardzo liczne i skomplikowane, począwszy od bezrobocia wywołanego z przyczyn osobistych, jak wydalanie robotnika z fabryki za jego zachowanie się lub przekonania polityczne, a skończywszy na masowem bezrobociu, obejmującem jednocześnie krocie robotników w różnych krajach i wywołanym przez przyczyny ogólne jak klęski żywiołowe, złe zbiory, wojny, ulepszenia techniczne w przemyśle i t. p. Pomijamy tu strejki i lokauty, jako bezrobocie świadome. Walka z bezrobociem i klęskami, które z niego wynikają, oddawna stanowi jedną z największych trosk zorganizowanego proletarjatu. W artykule niniejszym zastanowimy się nad środkami, stosowanymi w tym celu przez związki zawodowe, samorządy miejskie, instytucje spełeczne i państwa.

Jednym ze środków, najbardziej zalecanych przez związki robotnicze, jest zmniejszenie długości dnia roboczego, co zmusiłoby fabrykantów do zatrudnienia znacznie większej ilości robotników. Ale środek ten, choć niewątpliwie bardzo wielkiej wagi, w małym tylko stopniu przeciwdziałałby brakowi pracy, i w żadnym razie nie znosi go zupełnie, jak sądzili pierwotnie jego zwolennicy, zapominając, że ze zmniejszeniem dnia roboczego, ogólna wytwórczość w fabryce nietylko nie zmniejsza się, ale przeciwnie z biegiem czasu zwiększa się, i tem samem nie usuwa się jednej z główniejszych przyczyn kryzysów i bezrobocia — a mianowicie nadprodukcji.

Ogólnie jednak wziąwszy — skrócenie dnia roboczego i zwiększenie spoczynku tygodniowego wpływają na zmniejszenia bezrobocia i w niektórych gałęziach przemysłu, zwłaszcza w sezonowych, jak np. w budowlanym, w znacznym stopniu usunęłoby zło. Nie znoszą go również towarzystwa i instytucje filantropijne, choć w Anglji np. na ten cel poświęcają bardzo poważne miljonowe fundusze, ale filantropja zwraca się wogóle do biednych, a nie specjalnie do robotników, którzy tylko w ostatecznej nędzy decydują się uciec do niej o pomoc. Zalecane jeszcze często w chwilach kryzysu przedsięwzięcie przez miasta i państwo wielkich robót, zapewnia pracę tylko kilku tysięcom robotników, ale nie jest w stanie zabezpieczyć wszystkich bezrobotnych. Miejskie biura pracy, obowiązkowe we Francji np. dla każdego miasta, liczącego 19.000 mieszkańców, i robotnicze giełdy pracy, na których w swoim czasie pokładano wielkie nadzieje, również zawiodły, jako środek ogólny, dążący do zupełnego zniesienia bezrobocia. We Francji na 300—400 tysięcy ogólnej ilości bezrobotnych, nawet w czasach normalnego rozwoju przemysłu, zaledwie kilkadziesiąt tysięcy robotników znalazło pracę za pośrednictwem tych instytucji i to przeważnie robotnicy rolni i służba domowa.

Z kolei przystępujemy do rozpatrzenia instytucji, służących nie do zupełnego zniesienia lub zmniejszenia bezrobocta, ale zapewniających pomoc dotkniętym bezrobociem. Niewiele dotychczas zdziałały państwa lub zarządy miejskie w celu przeciwdziałania skutkom bezrobocia — kilka zaledwie miast posiada miejskie kasy ubezpieczeniowe od bezrobocia. Ubezpieczeniowe te kasy o charakterze nieobowiązkowym zajmują się przeważnie bezrobociem sezonowem. W Bernie (Szwajcarja) w 1893 r. założona została ubezpieczeniowa kasa miejska dla robotników, pracujących w przemyśle budowlanym. Robotnicy, należący do kasy, wnoszą w przeciągu całego roku stałą wkładkę miesięczną w wysokości 0,70 fr. (55 fen..); by otrzymać zapomogę w ciągu 3 zimowych miesięcy powinni pracować u jednego przedsiębiorcy przynajmniej w ciągu 6 miesięcy. Zapomoga wynosi 2 fr. dziennie dla rodzin, 1 fr. 50 dla kawalerów przez pierwsze 20 dni bezrobocia, w następne tylko 1 fr., 50 i 0,80. Kasa rozwija się bardzo powoli, liczyła w 1894 roku 354 członków a w 1903 r. zaledwie 719 członków. Druga taka kasa tegoż samego typu istnieje w Kolonji (Niemcy) od r. 1886; założona została z inicjatywy stowarzyszeń filantropijnych ze współudziałem miasta w wysokości 10.000 mk. Wkładki robotników wynoszą od 30—40 fen., wnoszonych bez przerwy w ciągu 34 tygodni, by otrzymać zapomogę w ciągu 3 miesięcy zimowych w wysokości 2 marek dziennie w ciągu pierwszych 20 dni i 1 mk. w następne. Ilość robotników, którzy mogą należeć do kasy, jest ograniczona ze względu na szcupłe fundusze.

Na tejże kasie wzorowana jest kasa miejska, założona w Lipsku. W Bazylei (Szwajcarja) w 1901 r. założona została przez związek robotniczy kasa ubezpieczeniowa, subwencjonowana przez miasto i kooperatywy wytwórcze. Wkładki są postępowe, zależne od zarobków członków i wynoszą 0,40 cent. od 40 fr. dochodu miesięcznego i 0,60 cent. — powyżej 5 fr. dziennego zarobku. Ilość członków wynosiła w 1903 r. do 2000, a subsydja, udzielone członkom, 5300 franków. Podobne kasy ubezpieczeniowe o charakterze nieobowiązkowym, założone przez miasta, istnieją jeszcze w Bolonji i Wenecji (Włochy). Rozwijają się naogół bardzo słabo i obejmują małą cząstkę robotników sezonowych.

W Szwajcarji, która dzięki swej sytuacji politycznej i rozdrobnieniu na małe i samodzielne kantony, często jest jak gdyby laboratorjum prób społecznych, powstał kilkanaście lat temu prąd, dążący do utworzenia instytucji państwowych lub miejskich obowiązkowego ubezpieczenia robotników od bezrobocia. W r. 1894 w kantonie St. Gallen uchwalono prawo, upoważniające poszczególne gminy do utworzenia przymusowych kas ubezpieczeniowych, subwencjonowanych przez zarządy gmin. W r. 1895 miasto St. Gallen pierwsze przystąpiło do założenia kasy tego typu. Do kasy powinni byli należeć wszyscy robotnicy, których dzienne zarobki przewyższały 2 fr., nie wnoszący wkładek karani byli grzywnami od 3—do 25 fr., lub więzieniem nawet od

1—5 dni; wkłaki i zapomogi podzielone zostały na 3 kategorje i odpowiednio do zarobków członków wynosiły od 15 cent. (od 3 fr. dziennego zarobku) do 30 cent (od 4—5 fr. dochodu), zapomoga była udzielana w ciągu 60 dni w wysokości 1 fr. 80 cent. do 2 fr. 40 cent.

(Dokończenie nastąpi.)

To i owo.

Gdyby nie przesądy i ignoracja, każdy człowiek byłby zwolennikiem socjalizmu.

* * *

Do czegóż więc dąży socjalizm? On chce by lud, który stwarza bogactwa, mógł je posiadać.

* * *

Kapitalizm stwarza kryminalistów, a kapitalistyczny rząd spełnia w stosunku do nich rolę kata. Nie pomyśli nikt jednak z żądzących o tym, by zapobiec wyrastaniu kryminalistów.

* * *

Dlaczego dzisiaj organy policyjne aresztują i więżą grabieżców i rozbójników na małą skalę, wtedy gdy ochraniają pałace rozbójników na dużą skalę?

* * *

Najlepszym rządem dla kapitalistów jest ten, który pomaga kapitalistom w zdzieraniu skóry z robotnika.

* * *

Celem naszego ruchu jest usunąć ten rząd od władzy i postawić nad produkcją władzę ludu. Wtedy dopiero ludzie nie będą zmuszeni do pracy dla innych.

* * *

Wspólne interesy kapitalistów zmuszają ich do godzenia się i jednoczenia w celu popłatnego kupowania siły roboczej. Interesy zaś robotników powinny pobudzać ich do wspólnego porozumienia się i połączenia siły przeznaczonej na sprzedaż.

Rozmaitości

Nowoczesny Babilon. Nowoczesny kapitalizm jest rewolucjonistą, który niszczy wszystkie zabytki przeszłości. Zmienił on w niebywały sposób oblicze ziemi i stworzył nowe prawa społeczne. Szczególnie „nowy świat" przedstawia przykłady, którym równych nie podaje historja. Takich wędrówek ludów, jakie widzimy w Ameryce północnej, nie było jeszcze w dziejach ludzkich. Legienda biblijna opowiada nam o budowie wieży Babel. W o wiele większych rozmiarach dzieje się to w miastach amerykańskich Nowym Yorku, Chicago i w San Francisko.

Urząd statystyczny miasta Chicago ogłasza statystykę, z której wyjmujemy następujące daty:

Chicago liczy obecnie 2572 835 mieszkańców. Pochodzą oni z 40 rozmaitych krajów Europy i Azji.

Urodzonych amerykanów jest tylko 699554. Niemców jest 548000. Chicago jest więc po Berlinie i Hamburgu największem miastem niemieckiem. Po Niemcach idą irlandczycy z 240000 mieszkańców.

Polaków mieszka w Chicago 173000 mieszkańców, a więc nie o wiele mniej, co we Lwowie. Chicago jest więc po Warszawie i Lwowie największem miastem polskiem.

Dalej idą szwedzi (143000), rosjanie (123000), czesi (116000). Liczba chińczyków i japończyków jest bardzo mała, bo tylko 2076.

Podobne stosunki panują też i w Nowym Yorku. Na 3 i pół miljona mieszkańców jest tylko 737000 urodzonych w Ameryce. Żydów w Nowym Yorku jest 672000.

Pierwowzór Ibsonowskiego „Wroga ludu". Krążyły dotychczas najrozmaitsze wersje co do tego jak Ibsen tworzył swego „Wroga ludu" i na jakim opierał się wzorze. Niektórzy sądzili, że Björnson i Jonas Lie swemi utworami dostarczyli Ibsenowi modelu. Obecnie jednak okazuje się, że wydawcy spuścizny po Ibsenie rozwiązują ostatecznie tę zagadkę wskazując na walki, które aptekarz Harald Thaulow, ojciec malarza Fritza Thaulowa prowadził o „Kuchnię parową" w Chrystyanji. „Kuchnia parowa" była instytucją społeczną, która powinna była dostarczać ludności taniego i zdrowego jedzenia. Thaulow był oryginałem znanym ze swej nieustraszonej bezwzględności, gdy chodziło o sprawy społeczne. To też prowadził on przez długie lata walkę z zarządem jadłodajni „Kuchnia parowa" różnemi sposobami a między innemi wydając ulotne pismo p. t. „Podpory społeczeństwa prozą". Najburzliwiej wystąpił na zebraniu ogólnem na dwa tygodnie przed swoją śmiercią przeciwko zarządowi. A gdy od przewodniczącego zażądano, aby odebrał głos Thaulowowi, to doszło do strasznej sceny, którą potem dosłownie powtórzyła gazeta „Aftenposten" i która posłużyła potem Ibsenowi do napisania wielkiej sceny IV aktu podczas zebrania ludowego.

Bardzo charakterystyczny dla starego Thaulowa był ten szczegół, że w testamencie swoim prosił, by go jak starego Wikinga spalić na stosie a gdyby to się nie dało zrobić, żeby przynajmniej spalić jego serce, a popioły schować w urnie na której będą widniały słowa Goethego: „Człowiekiem był a więc był bojownikiem".

* * *

Temperatura gwiazd. Jak wiadomo, wiadomości o temperaturze gwiazd były dotychczas bardzo wątpliwe. W tych dniach dopiero młody uczony, fizyk Normand, przeczytał w paryskiej Akademji nauk referat, w którym dane były daleko dokładniejsze cyfry, otrzymane przy pomocy wynalezionego przez Normanda przyrządu zwanego pyrometrem. Jak się okazuje Normand zmierzył nim temperaturę przeszło 60 gwiazd, a w tej liczbie i słońca. Temperatura słońca jest najniższą bo wynosi tylko 5990°, podczas gdy temperatura Delty w gwiazdobiorze Perseusza wynosi 60000°. Cyfry te w przybliżeniu zgadzają się z danemi otrzymanemi przez analizę spektralną.

Z literatury i sztuki

„Krytyka", miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Wyszedł zeszyt XI na listopad i zawiera:

Część pierwsza: 1. (f): „Mówca". — 2. Wł. Studnicki: Próby restytucji państwa polskiego. — 3. Jan Hempel: Z „Kazań o życiu i wolności". — 4. Junius: Współcześni politycy polscy. Prof. Stanisław Grabski. Dr. Ernest Adam. Pan baron Battaglia. — 5. St. Poraj: Poezja ludowa w Królestwie polskiem. — 7. Przegląd: I. Junius: Z trzech zaborów. II. L. W-ski: Z życia polskiego na Litwie. III. Dr. Z. D. G.: Z wystawy w Częstochowie. IV. H. Orsza: Ze spraw oświatowych. — 8. Sprawozdania.

Część druga: 1. St. Wyspiański: Na krakowskim zamku wesele. — Michał Sokolnicki: O Stanisławie Wyspiańskim. — 3. Jan Dąbrowski: „Chłopi" Reymonta. — Maryla Czerkawska Jeńcy. — Aleksander Naworski: Królewicz, o którym bajka zapomniała. — 6. Dr. Michał Janik: W rok jubileuszowy Juljusza Słowackiego. (II. Wydania dzieł, wydawnictwa popularne i inne). — 7 Bolesław Wallek-Walewski: Zygmunt Noskowki. — 8. Emil Verhaeren: Ruch literacki w Belgji. — 9. Przegląd: I. J. Skt: Parę uwag o krytyce sztuk plastycznych u nas. — II. Tadeusz Bezimienny: Z życia i sztuki. — III. (x) Teatr krakokwski. — 10. Nowe powieści.

Adres „Krytyki": Kraków, ul. Stachowskiego 14. Kwartalna prenumerata 4 marki.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 48.

PO PRACY

Rok III.

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 27 listopada 1909.

Z poezji Ady Negri

w przekładzie Marji Konopnickiej.

WYZWANIE.

O, świecie mieszczańskich świętoszków, karmiony,
Słodyczą i cyfr i łakotek!
O, świecie opasły, co liczysz miljony,
O, świecie zalotnic, dewotek! —

O, świecie, narkozą strawionej kobiety,
Co na mszy z kochankiem się schodzi,
O, świecie cudzołóstw i sztucznej podniety,
Gdzie wiosny nie czują i młodzi —

I tyż-to, o niski, kłamliwy a srogi,
Chcesz zakryć mi słońca blask złoty?
I tyż-to, pigmeju, zrodzony do trwogi,
Chcesz skrzydeł wyłamać mi loty?

Ty ziewasz — ja śpiewam, ty w bagnie — ja w locie;
Ty kłamstwo i jad masz — ja wzgardę!
Żar natchnień unosi me pieśni, me harde —
Ty w własnem pogrążasz się błocie.

O, świecie, ty gęsi, i gadów ty, świecie!
Przeklinam cię, nędzny, bez woli!
I z wzrokiem, utkwionym w gwiaździste zamiecie
Ulatam naprzeciw mej doli!

Ulatam bezbronna i światła spragniona —
Ty pełzniesz sceptyczny i stary...
Tem głośniej pieśń wieszcza wybucha mi z łona,
Im mniej masz miłości i wiary!

Idź dalej swą drogą i złotem zwodniczem
Wyzłacaj swe ślady i brudy!
Ja wrzących słów moich uderzam cię biczem —
O, świecie ty fałszu, obłudy!

LILLY BRAUN.

Od robotnicy do obywatelki.

Wszystkie gadania o wyzwoleniu kobiety z ekonomicznych, prawnych i obyczajowych więzów, krępujących ją od niepamiętnych czasów, pozostałyby niewątpliwie czczym i jałowym frazesem, gdyby surowy mistrz życia głód nie zesłał wielkiej wyzwolicielki — pracy. Dopóki kobieta pozostawała przykuta do domowego ogniska, dopóty duchowy jej widnokrąg nie wybiegał zazwyczaj poza cztery ściany domu. Wszystkie prądy, płynące z szerokiego świata, rozbijały się o nie — bez echa. Bałwochwalczy szacunek dla berła i pastorału, fanatyczna wiara w autorytet, zanik zupełny indywidualności — oto co się lęgło i krzewiło w ciasnym deptaku gospodarstwa domowego kobiety. Z tej stęchłej atmosfery wydarta została kobieta przemocą i rzucona w wir walki życiowej, aby wypróbowała i rozwinęła swe siły, aby stała się zdolną wziąć udział w kulturalnej pracy ludzkości.

Za dawnych czasów ogół kobiet nie interesował się zgoła życiem politycznem swej ojczyzny. Dopiero z chwilą, gdy kobiety przestąpiły próg warsztatów i fabryk, gdy mężczyźni z tancerzy, kochanków i mężów przedzierzgnęli się dla nich w towarzyszów pracy, gdy jedna bieda poczęła wszystkim dolegać — wówczas poczęły zastanawiać się nad jej przyczynami, szukać środków zaradczych, poznawać siły rządzące światem. Tak tedy, dzięki wspólnej pracy w fabryce, zetknęły się kobiety z życiem publicznem, zbudziło się w nich zainteresowanie do spraw politycznych; nie mogły one wszakże żądać dla siebie specjalnego uwzględnienia od prawodawstwa, ani też domagać się równouprawnienia politycznego, dopóki nie wyzwoliły się zupełnie z więzów domowego ogniska i jako samodzielnie jednostki nie wystąpiły do walki o byt, narówni z mężczyznami.

Dzisiaj kobiety znalazły dostęp do wszystkich prawie dziedzin pracy zawodowej. Niemal we wszystkiem, co nas otacza, co podtrzymuje i zdobi nasze życie, co ducha naszego kształci i raduje — we wszystkiem tkwi cząstka pracy kobiecej. Kobieta przędzie, tka i szyje; przez jej ręce przechodziły cegły domu, w którym mieszkamy; te same ręce, być może, heblowały deski, kuły gwoździe, szkliły okna, krajały blachę, wykonywały ślusarską i stolarską robotę, tynkowały ściany, malowały tapety i naklejały je; sprzęty i pokrycia mebli, dywany i firanki — to również dzieło pilnych rąk kobiety. Na stalówkach, któremi piszemy, na igłach, któremi szyjemy, spoczywały zamglone spojrzenia znużonych robotnic. Poranionemi palcami sortowały one gałgany i przerabiały je na papier; w zatrutych nikotyną izbach zwijały cygara, w piekielnym upale rafinerji cukrowych, w fosforowych wyziewach fabryki zapałek, w rtęcią zatrutym powietrzu fabryki luster niosły kobiety w ofierze swe siły i zdrowie. Kopią one torf, tłuką kamienie, pracują w giserniach i kuźniach, w stalowniach i fabrykach maszyn. Oprawiają nasze książki, falcują nasze gazety, pracują w zecerniach i drukarniach. Stoją za ladą sklepową i siedzą zgarbione w kantorach i biurach. Sprzątają zboże, ładują na wozy i młócą je; jako ogrodniczki hodują kwiaty i owoce. Zdobią mieszkania bogaczy wyrobami z malowanej porcelany i rzeźbionego srebra. Na łańcuszkach i bransoletach, na pierścionkach i broszkach, któremi świecą szczęśliwe kobiety na zabawach i balach, rozpoznać możnaby zaschnięte krople potu tych, co długie godziny ślęczały nad ich wykończeniem. Liczba pracujących kobiet wszędzie wzrasta: zaludniają one biura pocztowe i telegraficzne, stacje telefonów, spółzawodniczą z mężczyznami, jako chemicy i technicy, jako aptekarki i lekarki, jako litografki i fotografki. Nawet w prasie, tej potężnej dźwigni życia spółczesnego, zdobywają sobie kobiety coraz

szersze prawa obywatelstwa: jako dziennikarki i publicystki poczynają stopniowo wywierać wpływ na opinję publiczną.

Powiadają, że owocem pracy kobiecej jest tylko niedostatek i charłactwo, że praca odziera kobietę z jej wdzięku i młodości; że praca, uszlachetniająca mężczyznę, kobietę poniża. Wiele jest w tem prawdy: kurzem okryte są jej włosy i odzież w pracy bez końca — ale jej towarzysz tak samo okryty jest kurzem; zgarbione jej plecy pod ciężarem, który dźwiga — ale plecy jej towarzysza — mężczyzny są niemniej zgarbione; młodość jej więdnie, zanim zdoła rozkwitnąć — a czyż dłuższą młodość ma jej towarzysz?! Powiadają — i czyż serce kobiety nie ściska się bólem na tę myśl? — że gdzie kobiety pracują na chleb, tam dzieci marnieją na ciele, duszy i umyśle. I właśnie dla tych to dzieci tysiące biednych kobiet muszą pracować, nawet gdyby ta praca nie dawała im nic, prócz suchego kawałka chleba.

Głód i praca wyrwały kobietę z jej odosobnienia i samotności, połączyły z towarzyszami niedoli i uczyniły z niej bojowniczkę. Dla tego to dopiero w dziewiętnastym wieku powstać mógł zorganizowany ruch kobiecy. Zrazu wyrazicielkami tego ruchu były niemal wyłącznie kobiety ze sfer burżuazyjnych i lepiej uposażone pracowniczki z inteligiencji; głód i nędza bowiem czynią człowieka tępym, bezsilnym i nieśmiałym, niszczą w nim wszelką myśl walki i oporu. Nie mogło być tedy mowy o jakimś ruchu kobiecym, dopóki coraz większe postępy czyniący proletarjat męski nie wyzwolił robotnicy z ciemnej otchłani niewolnictwa spółczesnego. We wszystkich krajach przemysłowych poczęły teraz robotnice uświadamiać się, organizować w związki zawodowe, walczyć narówni z mężczyznami o lepsze warunki pracy. I dziś z dumą możemy wskazać liczne zastępy kobiet nietylko podążających wiernie za walczącym proletarjatem, ale częstokroć nawet wysuwających się na jego czoło. Dzieje walk proletarjatu zanotowały już liczne imiona robotnic, które podczas strejków zagrzewały wahających się towarzyszów i prześcigały ich w energji, wytrwałości i poświęceniu. Dzięki pracy dojrzały stopniowo kobiety nie tylko do uświadomienia sobie najbliższych swych celów i zadań, ale i do zrozumienia i do orjentowania się w zawiłych stosunkach politycznych; świadczy o tem fakt, że w Niemczech przedstawicielki proletarjatu miały odwagę wyraźnie zająć pewne polityczne stanowisko i w słowie i piśmie dać wyraz swym politycznym przekonaniom. Bo trzeba wiedzieć, że nawet dziś jeszcze kobiecie, zwłaszcza kobiecie niemieckiej, daleko więcej trzeba mieć odwagi, niż mężczyźnie, by móc publicznie wyrażać i bronić swych politycznych przekonań.

Obyczaj i prawo nie dotrzymują kroku społecznemu i ekonomicznemu rozwojowi, jeno wloką się za nim daleko w tyle. Klasycznym tego przykładem jest dzisiejsze społeczne i prawne położenie kobiety. Obyczaj wciąż jeszcze potępia wspólną pracę obojga płci, chociaż tysiące i tysiące mężczyzn i kobiet pracują codziennie wespół w warsztatach i fabrykach. Za nieodpowiednie dla kobiety uchodzą dotychczas tak zwane męskie zawody, chociaż, jak to widzieliśmy wyżej, większa ich część została już faktycznie przez kobiety zdobyta. Nieprzyzwoitością jest poprostu, gdy kobieta występuje publicznie i bierze udział w życiu politycznem, a tymczasem przecie kobiety, jako robotnice i funkcjonarjuszki wszelkiego rodzaju, od wieku przeszło wciągnięte są w wir życia publicznego. Jeszcze gorzej jest ze stanowiskiem prawnem kobiety. Według obowiązującego kodeksu (niemieckiego) mężczyźnie tylko przysługuje prawo decydowania we wszelkich okolicznościach życia rodzinnego, jakkolwiek kobieta faktycznie jest i być musi ostoją rodziny; mężczyzna może zabronić swej żonie zawierania umów, o ile mu one nie dogadzają, prawo daje mu nawet władzę zmuszania jej do natychmiastowego rozwiązania tych umów. A jednak coraz częściej się zdarza, że właśnie od działalności i pracy kobiety zależy jedynie dobrobyt jej dzieci i dlatego powinna ona mieć zupełną swobodę wyboru tego lub innego zawodu. Przy różnicach poglądu na wychowanie dzieci rozstrzyga znów opinja ojca; a jednak jakże często matka przewyższa go pod względem moralnym i umysłowym, lepiej sobie zdaje sprawę z charakteru i upodobań swych dzieci! Nieślubna matka nie posiada władzy rodzicielskiej nad swem dzieckiem, jaką posiada np. wdowa; a jakże często kobieta, która poszła odważnie za głosem serca, posiada więcej moralnych i duchowych danych do wychowania samodzielnego swych dzieci niż inna, której cnotę stwierdza niejako publicznie urząd i kościół.

Niemieckie prawo publiczne jeszcze mniej odpowiada istotnemu stanowisku kobiety w dzisiejszem życiu społecznem, a zwłaszcza wszędzie, gdzie chodzi o kobietę z proletarjatu, policja i sąd interpretuje to prawo zawsze na jej niekorzyść. Kobiety nie mogą należeć, ani tem mniej tworzyć samodzielnie związków, zajmujących się sprawami politycznemi. Liczny zastęp kobiet pracujących — mianowicie robotnice rolne i służące — pozbawione są prawa koalicji (zmowy). Dzięki zaś zbyt szerokiemu tłomaczeniu pojęcia „polityki“ istnienie nawet przez prawo uznanych i dozwolonych organizacji zawodowych jest nader utrudnione, niekiedy zgoła uniemożliwione. Rozważanie np. kwestji pracy, tak doniosłej dla klas pracujących, jest często poczytywane za wkraczanie w dziedzinę polityki. Wskutek podobnej interpretacji prawa urągającej wszelkim pojęciom spółczesnego rozwoju społecznego, rozwiązane zostały liczne i pomyślnie rozwijające się stowarzyszenia kobiet pracujących w celach samokształcenia.

Wygląda na to, jak gdyby prawodawcy przeoczyli owe 6 i pół miljonów kobiet niemieckich, samodzielnie walczących o byt; jak gdyby zgoła nie wiedzieli o tem, że tym kobietom, tak samo jak i mężczyznom, chodzi przecież o to, ile godzin, za jaką zapłatę i w jakich warunkach mają prawać; że wcale nie jest dla nich obojętnem, co rząd i parlament o ich doli i niedoli postanowią. Dla tego też muszą mieć możność zgromadzania się, aby wspólnie i jawnie interesów swych bronić. Wszelka inna droga do tego celu prowadząca, jest przed niemi zamknięta. Kobiety nie posiadają prawa wyborczego. Nie mogą, jak każdy mężczyzna — nawet pasibrzuch — liczący 25 lat wieku, głosu swego rzucić na szalę, gdy chodzi o wybór przedstawiciela ludu do ciała prawodawczego. Nawet do sądów rozjemczych (Gewerbegerichte), gdzie ich spory z przedsiębiorcami są rozstrzygane, nie mogą kobiety ani wybierać, ani być wybrane; tak samo do zarządów gminnych i miejskich, których czynności i uchwała co najmniej w równym stopniu dotyczą interesów kobiet, jak i mężczyzn. Co czynić dla podniesienia zdrowotności, jak opiekować się chorymi i ubogimi, jakie podatki podnieść — wszystko to dla kobiety są kwestje pierwszorzędnej wagi. A wszystkie kwestje, dotyczące losu dzieci, ich fizycznego, umysłowego i moralnego wychowania, czyż nie obchodzą najbliżej matek! Gdyby, prócz tych, nie było już innych kwestji, które kobieta zdolną byłaby rozstrzygać, to już ma ona dostateczny tytuł do zasiadania i radzenia w zarządach miejskich. Któż bowiem lepiej od matki rodzonej sądzić może o tem, czego dziecku brak, któż boleśniej od niej odczuje, gdy ono cierpi wskutek wadliwych warunków szkolnych, kto zdobędzie się na większą miłość, poświęcenie i rozwagę, gdy chodzi o to, aby ukochanemu dziecku zapewnić szczęśliwą, pogodną młodość?

Nie mniejszy wpływ na ukształtowanie warunków życiowych kobiety i jej dzieci wywiera działalność sejmu krajowego (Landtag). Przedewszystkiem nie może być dla niej obojętnem, czy taki sejm składa się z posiadaczy pełnej kiesy, obranych na podstawie trzyklasowego prawa wyborczego (jak to jest w Prusach), czy też nie; nie może ona również obojętnie patrzeć na to, że głos człowieka, którego jedyną może jest zaeltą jest odziedziczony po ojcu krociowy majątek, więcej waży niż głos robotnika, który od świtu do nocy w pocie czoła zarabia na chleb powszedni.

Im szerszym jest zakres władzy ciał prawodawczych, tembardziej powinienby wzrastać udział kobiety w ich składzie i czynnościach. Parlament (Reichstag) decyduje w ostatniej instancji o prawach i przepisach, o podatkach i cłach. Jedynie kobiety, które narówni z mężczyznami stwarzają bogactwa narodowe, które dzięki własnej pracy stały się samodzielnemi obywatelkami państwa, jedynie kobiety i tu są pozbawione prawa głosu. Kraje o młodszej kulturze, jak Ameryka i Australja, przyznały kobietom prawa obywatelskie. Stara Europa obawia się wszelkich nowości; śni jeszcze o kobiecie dawnych czasów: o nałożnicy książęcej, kierującej z sypialni polityką, o niewolnicy, w milczeniu i pokorze dźwigającej na swych barkach wszystkie nędze ludzkości, o dobrej gosposi, której myśli i praca nie wybiegały poza ściany spiżarni i kuchni. Trzeba, abyśmy, kobiety, obudziły

starą Europę z tego snu, aby wszczęta przez nas burza zwiała pył stuleci, przysłaniający jej oczy. Wówczas zdumiona rozejrzy się dokoła i zobaczy: na progu XX stulecia stoi kobieta, pełna sił i godności, żądająca dla siebie głosu w wielkiej radzie ludzkości, z męczeńską koroną nędzy na czole, z palmą zwycięską pracy w ręku.

MARJAN ALEKSANDROWICZ.

Kultura a ruch ludności.

Znakomity uczony dr. Roesle ogłosił drukiem rezultaty swoich ostatnich badań nad śmiertelnością i urodzeniami w Europie.

Na samym wstępie swej pracy autor podkreśla fakt znamienny, stanowiący niejako charakterystyczny moment w życiu ludzkości współczesnej. Jest to coraz bardziej się ujawniające powszechne zmniejszenie śmiertelności. — Wszakże obok tego spadku śmiertelności, niemal równolegle z nim odbywa się w większości państw nieustanny ubytek urodzeń. Przeciętna liczba urodzeń na 1000 mieszkańców wynosi 7 do 8, wszakże trzeba przyjąć pod uwagę olbrzymią różnicę, istniejącą w tym względzie pomiędzy państwami zachodnio-europejskiemi a Wschodem. Tak z tablicy przytoczonej przez Roeslego widzimy, że Rosja i Bułgarja góruje pod względem urodzeń nad Europą.

W związku z ilością urodzeń bada autor liczby zawartych ślubów małżeńskich.

Po znacznym spadku liczby związków małżeńskich, który zaznaczył się w ósmym lat dziesiątku zeszłego stulecia podczas przesilenia gospodarczego — nastąpiło w większości państw powolne, a stałe wzmożenie tej liczby, które trwało aż do końca ubiegłego stulecia. Raptowny spadek ponowny daje się zauważyć dopiero w roku 1902 — 1903. Autor uważa, że tak raptowny spadek po stałym i znacznym wzroście musiał być spowodowany przyczynami głębokiemi a wewnętrznemi. Do takich należy bezsprzecznie znaczny upadek konjunktury handlowej i przemysłowej w okresie lat 1902 — 1903. — Znacznie mniej dał się odczuć spadek liczby ślubów w krajach mniej uprzemysłowionych, w których przeważa ludność rolnicza. U ludów germańskich i romańskich ta „zależność ślubów małżeńskich od stosunków gospodarczych“ wystąpiła bardzo wyraźnie, gdyż „w krajach tych młodzież zawiera związki małżeńskie dopiero po zapewnieniu sobie materjalnego bytu“. Stąd liczby dotyczące ślubów mają znaczenie gospodarcze i mogą być wzięte za podstawę oceny rozwoju gospodarczego danego kraju. Niskie liczby państw północnych jak Norwegja, Szwecja, objaśnia Roesle małym rozwojem przemysłowym tych leżących na uboczu krajów, emigracją części młodzieży i t. d. Wszakże wyłania się kwestja: jeżeli wysoką liczbę związków małżeńskich przypisać należy dobrobytowi, to skąd tak wysokie liczby u narodów słowiańskich? Na pytanie odpowiada Roesle: „wysokie liczby krajów słowiańskich, nietyle uwarunkowane są pomyślnymi warunkami gospodarczymi, ile ubóstwem i niską stopą życiową“. Nadto małżeństwa w krajach słowiańskich zawiązują się naogół w wieku bardzo młodym.

Dalej wpływa na ilość małżeństw również wychództwo ze wsi (rurale exodus), widać to z tablicy porównawczej w miastach i na wsi. Ponieważ emigruje najczęściej młodzież, liczba małżeństw na wsi zmniejsza się na korzyść miasta.

Podobnie, jak małżeństwa, daje się ruch urodzeń również wyprowadzić z warunków gospodarczych: spadek liczb podczas kryzysu, wzmożenie po skończeniu tegoż. Wszakże istnieje tu znaczna różnica pomiędzy rozmaitymi krajami. Tak przypada w roku 1900 na 1000 mieszkańców w Rosji 48.7 noworodków, na Węgrzech — 40.6, w Niemczech — 36.1, w Szwecji — 27.91, we Francji — 22.4.

Któż jednak powie, że wysoką liczbę urodzeń w Rosji przypisać należy dobrobytowi? Musielibyśmy, logicznie rozumując, spadek liczby uzodzeń w Niemczech i we Francji przypisać postępowemu zubożeniu ludności. Podczas gdy w Bulgarji w roku 1900 na 1000 mieszkańców urodziło się 39.5 dzieci, liczba ta urosła do 40.4 w roku 1905. Natomiast spadła liczba urodzeń w Niemczech z 36.1 do 34,4, we Francji z 22.2 do 21.2. Stąd wyprowadza Roesle wniosek następujący:

„Postęp kultury burzy w coraz to szerszych kołach ludności starą wiarę w błogosławieństwo licznej rodziny, i jednocześnie udostępnia znajomość środków zapobiegawczych“. Pod tym względem Roesle najwidoczniej zgadza się z Mengerem, który różnicę urodzeń pomiędzy krajami Zachodu i Wschodu upatruje w różnicy stopnia kulturalności i dobrobytu. Sprawę ograniczenia potomstwa rozpatruje Menger ze stanowiska politycznego, twierdząc, że rozumna „polityka płciowa“ powinna polegać na ograniczeniu produkcji rąk roboczych. Klasa robotnicza powinna w tym względzie naśladować klasy posiadające, które potrafiły ograniczyć ilość swych dzieci do liczby z góry zakreślonej, i w ten sposób uwolnić się od zbytecznych ciężarów moralnych i materjalnych, nie mówiąc już o zmniejszeniu podaży rąk roboczych. Roesle stwierdza, że w gruncie rzeczy to się dzieje: w miarę tego, jak klasy niższe podnoszą się kulturalnie, naśladują one wyższe klasy w swoich stosunkach płciowych, rozumnie ograniczając liczbę swego potomstwa.

Równolegle z postępowym spadkiem urodzeń następuje ściśle z nim związany spadek śmiertelności niemowląt. Im mniej rodzi się niemowląt, tem większą rodzice otaczają je opieką. Zresztą wyższa kultura, która powoduje zmniejszenie rodzeń, sama przez się trzyma utrzymanie przy życiu niemowląt.

Rosja wykazuje najwyższą liczbę śmiertelności, mianowicie na 1000 mieszkańców 33.8 zgonów, podczas gdy Niemcy tylko — 22.2 a w roku 1905 — 19.9. Francja tylko — 19.6.

Są to różnice kultury.

Wnioski powyższe są niewątpliwie słuszne, wszakże uogólnienie ich i nadanie zbyt wielkiej wagi jest conajmniej pośpieszne. Kultura niezawodnie wzmaga się i wraz z dobrobytem przenosi się na niższe warstwy społeczne wraz z obyczajami warstw wyższych, wszelako odbywa się to znacznie powolniej niż spadek liczby urodzin, do którego przyczynia się także w stopniu niemałym nietyle dobrobyt ile nędza.

Z etapu i więzienia.

Zamieszczamy poniżej obrazek „nastrojowy“ z życia etapowego i więziennego, wyjęty z dziennika podróży jednego z niewolnych wędrowców na Wschód:

Nareszcie i dla nas, po paru tygodniach niecierpliwego wyczekiwania, w Tiumieńskim więzieniu przyszło „uaznaczenie“. Dzień, w którym przyszła „bumaga“ od gub. tobolskiego, z wyszczególnieniem poszczególnych miejsc gubernji mającej być siedzibą naszego kilkoletniego życia, był w kronice naszego więziennego życia nader wybitny i posiadał w sobie coś radosnego dla szczęśliwców, którzy otrzymali „naznaczenie“ (nie wszyscy go otrzymali; ci, co później przybyli do naszego „peresylnego“ więzienia, spodziewali się otrzymać „naznaczenie“ dopiero za tydzień, dwa lub trzy, zależnie od terminu przybycia do tiumeńskiego więzienia).

We wszystkich celach, na korytarzu, na „progułce“, zresztą wszędzie, gdzie „żyli“ lub przechodzili ludzie wycieńczeni, bladzi, zwani wysyłkowcami, w mowach, polemikach i sporach — rozlegały się słowa: Tobolskij ujezd... Bierozow... Surgut... Tara... Turyńsk....

Wszelkie inne kwestje u większości wysyłkowców — jeżeli już nie u wszystkich — na pewien czas zupełnie zamilkły, zagłuchły w myśli i słowie... Myśl każdego z nas instynktownie czepiała się żywotnej dla nas sprawy wyrwania się na „swobodną“ przestrzeń z tych ciasnych, dusznych i cuchnących murów, służących grobem dla żywych istot...

W jasnym blasku radości zjawiają się cienie refleksji. W nastroju radosnym ludzi różnych ras i narzeczy, związanych „dolą i niedolą“, wzbudzonym nadzieją „szybkiego“ wydobycia się z uprzykrzonych, woniejących śmiercią ką-

tów niewoli — dźwięczały smętne nuty rozdrażnienia i żółci, kipiące we wnętrzu duszy dławionej a tak żądnej, spragnionej życia...

Jedni gorączkowo załatwiali swe drobne sprawy, szykując się do podróży. Inni, jakby powątpiewając, że istotnie za parę dni wyruszą w drogę, — bez celu, bez myśli, automatycznie przesuwali się z celi do celi... A byli i tacy, którzy gorączkowo, przyśpieszonym krokiem „mierzyli“ korytarz, a gdy ich kto z towarzyszów, przypadkiem, przechodząc, potrącił, — złowrogi błysk tryskał im z oczu...

Nakoniec „starosta“ przyniósł pewną wiadomość od naczelnika: etap na Tobolsk wyjdzie w sobotę, etapem pójdą wysyłkowcy naznaczeni do powiatów Tobolskiego, Bierozowskiego i Surgutskiego; Tara i Turyńsk zatrzymają się do następnego etapu... Radość jednych — niebaczna na przygnębienie drugich wysyłkowców wydarła się z piersi więźniów w potężnym okrzyku: Hurrra!!! „Nadziratiel“, stojący na warcie przy bramie, niespokojnie poruszył się na swem miejscu, z zawiścią rzuciwszy okiem w stronę skąd dobiegały go głosy stłumionego okrzyku; nasępił brwi, już miał cisnąć groźbą, lecz fizjognomja jego nagle zmieniła wyraz: machnął ręką, wolną od „wintowki“, i melancholijnie utkwił wzrok przed siebie, w szary horyzont nieba zachmurzonego...

Rozmaitości

„Cudowne“ jezioro w Ameryce. W sąsiedztwie Nassau na wyspie Opatrzności, należącej do archipelagu Bahama w Ameryce, znajduje się małe, niepozorne jeziorko, mające zaledwie ósmą część kilometru powierzchni, które jest połączone z morzem kanałem, mającym około kilometru długości. Jezioro to zakryte jest od brzegu wysoką trawą, właściwą krajom podzwrotnikowym. O jezioro to nikt się w dzień nie troszczy, ale skoro nadejdzie zmierzch przybywa z miasta wiele osób, ażeby za opłatą 2 szylingów czyli około 2 mk. dostać się za kratę i podziwiać wspaniałe, a zarazem niezwykłe zjawisko przyrody. Ile razy bowiem woda się poruszy powstaje interesujące zjawisko, jakby świesenia morza, każda kropla wody, spadając, świeci mocno kolorem srebra. Na miejscu znajduje się zaraz pomysłowy murzyn, który wskakuje do wody i poruszając się w niej potęguje to wrażenie świetlne, które jest tak wielkie, że w pobliżu można odczytać godzinę na zegarku. To same zjawisko świetlne sprawiają także ryby wyskakujące dla pochwycenia owadów. To świecenie wody nie jest zależnem od pory roku, ale przeszkadza mu deszcz w takiej mierze, że nawet w parę dni po deszczu nie odzyskuje jezioro to dawnego swego światła. Światło to powoduje mikroskopowa roślinka zwana „pyrodinium bahamense“, która w wodzie tego jeziora znajduje się w ogromnej ilości. Roślina ta nadaje wodzie jeziora słony smak.

* * *

Wykopaliska pod Raciborzem. Pisma przynoszą obszerniejsze szczegóły o wykopaliskach w Ojczycach pod Raciborzem. Znaleziono tam figurkę gliniana z późniejszej doby okresu neolitycznego. Figurka ma odtrąconą głowę i nogę; pozostałość zaś ma długości 12 cm. Jest to postać kobieca naga, z silnie uwydatnionemi wypukłościami ciała. Okazuje się, że podobne posążki znane są archeologom z wykopalisk, znajdowanych poprzednio w okolicach Karpat i w krajach południowej Słowiańszczyzny, zwłaszcza w Bośnji i Serbji. Wszystkie one przedstawiają wyłącznie postaci kobiece i mają wspólną cechę, polegającą na nadmiernem uwydatnieniu wypukłości ciała. Pokrewne posążki spotykane były również w wykopaliskach krajów, leżących nad wschodnią częścią morza Śródziemnego, nawet w Egipcie. Natomiast w zachodniej Europie niema ich wcale, a obecne miejsce odkrycia — Ojczyce, są najdalej wysuniętem stanowiskiem w tym względzie na północ i zachód. Archeologowie sądzą, że posążki te mają znaczenie religijne, że wyobrażają zatem bóstwo żeńskie.

* * *

XI. zjazd lekarzy i przyrodników polskich odbędzie się w Krakowie w r. 1911. Prezydjum komitetu gospodarczego zjazdu tworzą: prof. dr. Juljan Nowak, prezes, dr. Walery Jaworski i prof. dr. Edward Janczewski, wiceprezesi, prof. dr. Stanisław Dobrowolski, skarbnik, prof. dr. Ludwik Bruner, sekretarz gieneralny.

* * *

Historja kata. „Russkija Wiedomosti“ podają kilka ciekawych szczegółów z życia kata petersburskiego, niejakiego A. Do połowy 1906 roku A. pracował jako mechanik w fabryce rządowej w Ochcie, katem został dlatego, że skusiła go wysoka zapłata 100 rubli za wykonanie każdej egzekucji. Z początku A. wykonywał wyroki „jako amator“ pracując dalej w fabryce, ale robotnicy dowiedzieli się o jego „zajęciu“ i A. musiał uciekać przed ich zemstą. Od tego czasu z amatora-dyletanta stał się katem stałym. W ciągu 1907 i 1908 r. A. powiesił 76 ludzi; 68 w Petersburgu i 8 w Rewlu, dokąd wyjeżdżał na „występy gościnne“. Czynność swoją A. spełnia zupełnie obojętnie i traktuje ją jak rzemiosło, tylko raz jeden, podczas wykonania jakiegoś wyroku, powstała w duszy kata jakaś wątpliwość i A. próbował dwa razy pozbawić się życia, ale bezskutecznie.

* * *

Żydowscy jaskiniowcy na Saharze. Do największych osobliwości piasczystego morza Sahary należy miasto jaskiniowców w południowym Tunisie. Badacz niemiecki von Hessel Warlegg, który zwiedził te podziemne miasta, nakreślił ciekawy obraz życia tych jaskiniowców. Są tysiące ludzi, całe szczepy berberów, które tam pod ziemią, w głębokości trzech do czterech pięter, założyli swoje siedziby. W głębokości tej sadzą oni nawet drzewa oliwne, figowe i palmy i od kilku pokoleń żyją w swych jaskiniach. Największym z tych berberyjskich szczepów, zamieszkujących podziemia, są małmasowie, których stolica ma prawie 2000 mieszkańców. Niedaleko od niego leży wielkie miasto Hadesz. Dziwnym sposobem, w każdej wsi małmosów mieszka także sześć do siedmiu rodzin żydowskich, które pochodzą ze starożymskich osad na wybrzeżach Afryki północnej. W Tripolisie istnieje nawet kilka większych miejscowości, zamieszkałych przez jaskiniowców, którymi są wyłącznie żydzi, a liczą około 1000 mieszkańców. Wszędzie mają oni swoje podziemne synagogi, z własnymi rabinami, osobną administrację i szkoły talmudyczne i nigdy nie mieszają się z berberami, którym zresztą są koniecznie potrzebni, ponieważ, jak wszędzie, zajmują się handlem, są siodlarzami, ślusarzami i złotnikami.

* * *

Zapis krociowy na uniwersytet warszawski. Zmarły niedawno Jerzy Narbutt — dom dochodowy i place na Mokotowie pod Warszawą, oceniony na 600 tysięcy rubli zapisał uniwersytetowi warszawskiemu z tem, żeby odsetki wydawane były na stypendja i pomoce naukowe studentom bez różnicy wyznania i narodowości. Rozdział tych stypendjów ma zależeć wyłącznie od całego gremjum profesorów. Gdyby uniwersytet przeniesiony został gdziekolwiek z Warszawy, wówczas cały zapis przypada tej instytucji, którą powołałoby społeczeństwo na miejsce uniwersytetu. Gdyby zaś kraj uzyskał autonomję, wówczas majątek ten przejść ma pod zarząd komisji edukacyjnej lub instytucji mającej tensam charakter, choć inną nazwę.

* * *

Silny żołądek. Z Żabecu w Czechach donoszą, że do tamtejszego szpitala zgłosił się członek pewnej trupy cyrkowej, t. zw. połykacz noży. Chory skarżył się na bóle w żołądku. Gdy poddano go operacji, znaleziono w jego żołądku pięć zamkniętych scyzoryków. Operacja się udała, chory żyje.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 49. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 4 grudnia 1909.

J. OLSZEWSKI.

NIKODEM KIEŁBIK.

(Ciąg dalszy.)

Handlowanie sklepami spożywczymi, jak również mydlarniami, restauracjami, pralniami i t. p. przedsiębiorstwami przybrało u nas wprost kolosalne rozmiary i stało się istną plagą dla poszukujących kawałka chleba ludzi. Różnego typu aferzyści zakładają tego rodzaju przedsiębiorstwa nie poto, by mieć z niego kawałek chleba, lecz aby niemi spekulować. Są tacy, co mają jednocześnie sklep spożywczy, magle, pralnię, piwiarnię; są też i tacy, co mają sklepów spożywczych kilka w różnych punktach miasta, a czasem dla uniknięcia konkurencji mają na jednej i tej samej ulicy dwa i trzy sklepy. Jednem słowem, zajmują wszystkie ważniejsze punkta i rozpoczynają oblężenie konkurenta; jeżeli takowy jest w pobliżu, a jeżeli konkurent okaże się słabszym finansowo, musi kapitulować, a spekulant nabywa jego sklep za bezcen lub kupuje ruchomości jego z licytacji.

Tacy aferzyści ogłaszają w Kurjerkach, lub każą mówić faktorom, że sprzedają sklep z powodu np.: słabości, śmierci żony lub męża, zmiany interesów familijnych, otrzymania posady i mnóstwo przeróżnych przyczyn. Przy opowiadaniu tych przyczyn amatorom nabycia sklepu, robią smutne miny, wzdychają ciężko, a niekiedy nawet płaczą nad nieszczęściem, jakie ich spotkało, dla którego zmuszeni są pozbyć się tak świetnego interesu. Takie sklepiki kupują przeważnie ludzie biedni, którzy nie wiedzą, czego się jąć; mają trochę zaoszczędzonego grosza, więc chcieliby zdobyć sobie środek do życia.

W jakiejś fabryce pracował robotnik, uległ on wypadkowi i został kaleką, niezdolnym do dalszej pracy. Fabrykant zmuszony był dać mu kilkaset rubli odszkodowania wzamian za wyrzeczenie się wszelkich pretensji. Nieszczęśliwy ojciec rodziny nie wie co ma począć; ktoś radzi mu kupić sklep spożywczy. Sklep spożywczy? — hm — możeby to i nie złe było — lecz gdzie tu szukać dobrego sklepu? Kupić z ogłoszenia? — niebardzo to rzecz pewna — jeżeli sprzedają, to już widać kiepsko idzie — gdyby dobrze szło, toby nie sprzedawali. — Wreszcie ktoś nastręczył mu faktora, który wie gdzie można kupić dobry sklep i niedrogo.

Przychodzi faktor.

— Mówił mi pański przyjaciel, że państwo chcą kupić sklep spożywczy? — powiada faktor, przedstawiwszy się w dalszej rozmowie jako były rzemieślnik, z powodu słabości nie mogący pracować — a żyć — powiada — trzeba, przytem mam żonę i dzieci, trzeba to wszystko żywić, a że mam dużo znajomości i znam się na handlu, przeto pośredniczę w nabywaniu sklepów, magli itd.

— Tak, rzeczywiście, chcemy kupić sklepik, ale boimy się — bo to kupić łatwo, a jak dostaniemy zły? — no to już wypadnie nam iść z kamieniem do dna — z zakłopotaniem odpowiadają oboje.

— Bardzo słusznie! i jest się czego obawiać — bo to panie dobrodzieju, można bardzo łatwo utopić ostatni grosz. Trzeba być bardzo ostrożnym! — bo to, powiada poczciwy faktor, ani się państwo obejrzą, jak was oszukają. Kto to widział kupować sklep z ogłoszenia? to jest to samo, co kupić kota w worku.

I zaczyna im opowiadać jak się złapał Jan, jak Paweł i Gaweł. — Teraz rozumie się — płaczą, ale on dobrze im radził — cóż kiedy nie chcieli go słuchać. — Teraz, rozumie się — cierp ciało, co się chciało. — Sklepik jest dobra rzecz, lecz jak który i jak gdzie; — on, naturalnie, zna parę takich sklepów, tylko nie wie, czy oni zechcą się ich pozbyć, bo doskonale idą. — No ale na upartego możnaby popróbować, kupić, nie kupić, a potargować można. Tylko ostrożnie, tylko ostrożnie!...

Robotnik lub inny jaki biedak, słysząc takie życzliwe rady rzekomego dobrodzieja, prosi go, aby mu taki dobry sklep wymacał, a on będzie umiał poznać się na rzeczy.

Dobrodziej nie przyrzeka napewno, lecz obiecuje się rozejrzeć — a nuż znajdzie? — czasem, to tak ni z tego ni z owego i jest — więc może i teraz tak być.

— Ale znajdzie się, znajdzie — bądźcie państwo spokojni. Radzi im, aby pieniądze mieli na pogotowiu, bo to w takich razach jedna godzina decyduje o wszystkiem. Zastrzega tylko sobie, żeby też bez jego rady nie kupowali nic; przecież on nic nie chce naprzód, wtenczas, jak już interes będzie zrobiony, to co innego — wtedy to i lidkup wypiją i porękawiczne można wziąć, lecz naprzód on nic nie bierze, on nie lubi tego.

Po dwuch-trzech dniach, przychodzi ów życzliwy faktor z radosną nowiną i tajemniczo szepce:

— Jest. — Ale, cyt! — Nikomu nie mówcie państwo ani słowa — bo to powiadam państwu, złoty interes! — świetny interes! Dziś trzeba kupić koniecznie; — jutro będzie już zapóźno... Ja — powiada poczciwina — wziąłem drożkę i leciałem na łeb na szyję dać państwu znać. — Fuksem dowiedziałem się o tem. — No, ale co to za interes! — Złote jabłko, jak Boga kocham! — A teraz jazda — pieniądze do kieszeni i chodźmy — bo widzicie państwo w takich interesach jedna chwila decyduje o wszystkiem.

Siadają w dorożkę i jadą. — Piczciwy faktor zatrzymuje dorożkę o kilka domów przed tem Eldorado, a dawszy jeszcze parę zbawiennych rad nowonabywcom, wprowadza ich do sklepu.

W sklepie jest mężczyzna lub kobieta, zwykle tylko jedna osoba, jeżeli przyczyną sprzedaży ma być śmierć, choroba, lub samotność. Po wypowiedzeniu sakramentalnego — Niech będzie pochwalony — następują zwykłe zapytania:

— Państwo podobno sprzedają swój sklep? — zapytują amatorzy kupienia go.

— Tak, chcę sprzedać, a raczej muszę sprzedać...

Tu dopiero rozpoczynają się skargi i żale na nieszczęście, jakie dotknęło właścicielkę lub właściciela sklepu. A w czasie tych biadań drzwi się nie zamykają, co jedno wyjdzie, to drugie przyjdzie, a to i po parę osób przychodzą na raz. — Jeden kupuje za 10 groszy, drugi za dwa złote, a trzeci to i za całego rubla. Inni oddają długi, jedni — groszowe, drudzy kilkorublowe. Biedny sklepikarz, lub sklepikarka, nie może dać sobie rady; pomagają im amatorzy nabycia sklepu, a także poczciwy faktor, podając żądane artykuły. A podczas tego rejwachu faktor, to skubnie żonę

amatora za chustkę, to jego trąci pod bok, pokazując grymasami swej poczciwej twarzy, aby się dobrze trzymali i zapytuje szeptem:

— A co — nie mówiłem, że to złote jabłko? — ho, ho!...

Oszołomieni i olśnieni przystępują do kupna.

Tu dopiero poczciwy faktor pokazuje swoją sztukę. Stara on się jednocześnie jaknajdrożej sprzedać i jak najtaniej kupić; przeto w oczach nowonabywców obniża wartość sklepu, a wziąwszy ich na stronę, szepce im:

— Warto — warto! — można dać śmiało tyle a tyle, ale więcej ani grosza!

Wreszcie, niby wymęczony i wyciśnięty jak cytryna właściciel, lub właścicielka sklepu przemawia z rezygnacją:

— A niech tam już będzie! — Widzę, żeście państwo nie bogaci, co będę z was ciągnąć.

Potem następuje akt sprzedaży, który podpisują właściciel sklepu i faktor. — Ten ostatni często zmyślonem nazwiskiem. Dawniejszy właściciel wpuszcza nowonabywców za bufet, ściska ich, całuje, życzy powodzenia, zabiera pieniądze do kieszeni, a powiedziawszy pobożnie: — Niech będzie pochwalony — wychodzi. Zaraz sprowadza furę i zabiera swe ruchomości i zmiata z Eldorado, jak z zapowietrzonego miasta.

Teraz przystępuje faktor — on już zrobił swoje; może więc śmiało wziąć porękawiczne, wziąwszy takowe powiada:

— No, bądźcie państwo zdrowi; — ja będę was tu często odwiedzał. — I... już go niema.

Zbytecznem byłoby dodawać, że już nigdy go nie zobaczą, chyba — na Józefata dolinie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LILLY BRAUN.

Obowiązki kobiety w walce politycznej.

Nietrudno jest wyjaśnić mężczyznie jego polityczne obowiązki: obowiązkiem każdego, posiadającego prawo wyborcze i mogącego przez to wpływać na taki lub inny skład ciał reprezentacyjnych, jest wyrobienie sobie stałych przekonań politycznych i dawanie im wyrazu w akcji wyborczej. Ale skoro zaczniemy mówić o tego rodzaju obowiązkach z kobietami, wnet usłyszymy od nich o tem, że nie posiadają praw politycznych — tymə argumentem usiłują one osłonić swoją ospałość duchową i obojętność. A nawet, gdy już przekonały się, jak dalece wszelka kwestja społeczna dotyczy ich osobiście, gdy zaczynają z żywem zainteresowaniem śledzić bieg wypadków, rozgrywających się daleko poza ścianami ich domowego ogniska — nawet wtedy nie poczuwają się one do jakichkolwiek obowiązków społecznych, a jeśli niekiedy myśl o nich przychodzi im do głowy, to kobieca nieśmiałość i lękliwość powstrzymują je od wprowadzenia tej myśli w czyn. Taka nieszczęsna, przeciążona pracą nad siły żona robotnika, taka przedwcześnie zgrzybiała dziewczyna fabryczna uważają siebie za zbyt słabe i podrzędne istoty, aby móc odegrać jakąkolwiekbądź rolę w wielkiej walce o wyzwolenie proletarjatu. A jednak właśnie w tej walce, bardziej niż w jakiejkolwiek innej, odgrywa rolę pojedyńcza jednostka, skuteczność zaś walki w znacznym stopniu zależy od zachowania się kobiet.

Historja nie daje nam przykładu czynnego masowego udziału kobiet w walkach politycznych i społecznych. Zwykle bywało tak — jak np. podczas wielkiej rewolucji francuskiej — że jakaś nieliczna grupa kobiet, porwana jakimś wstrząsającym wypadkiem, nagle występowała na arenę polityczną i tak samo nagla opuszczała ją. I nie dziw: wyzwolenie kobiety z domowego deptaka przez pracę zarobkową poza domem — ten niezbędny warunek wciągnięcia jej na stałe w wir życia społecznego, toć przecie zjawisko ostatnich czasów. Dopiero teraz po raz pierwszy do rozwojowego procesu ludzkości wkracza nowa, nieznana siła, i chodzi jeno o to, aby działała ona nie na oślep, lecz z zupełną świadomością spoczywających na niej obowiązków i odpowiedzialności.

Pierwszym obowiązkiem każdej kobiety jest wykształcić siebie i nauczyć się myśleć. Nie jest to łatwe zadanie dla tych, którym brak podstawowych wiadomości, brak książek i gazet, brak czasu na czytanie, a w których całodzienna ciężka praca zabija świeżość umysłu i wrażliwość. Dziś wszakże wszędzie organizują się bezpłatne lub bardzo tanie odczyty i wykłady, na których słuchacze mogą uzupełniać luki w swych wiadomościach i wykształceniu. Kobieta powinna znaleźć czas na uczęszczanie na takie wykłady, wyrzekając się gawęd z sąsiadkami, tańców i temu podobnych rozrywek, albo zostawiając męża w domu do pilnowania dzieci. Dopomaganie żonie do pozyskania wykształcenia jest politycznym obowiązkiem męża, albowiem na nim głównie ciąży odpowiedzialność za wychowanie, jakie potrafi dać jego dzieciom matka. W wielu miastach istnieją specjalne związki wychowawcze, do których należeć mogą kobiety i gdzie mają możność wzbogacania swej wiedzy i wymiany myśli. Najlepszym atoli środkiem wykształcenia i uobywatelenia kobiety są związki zawodowe. Wszystkiego, co robotnica wiedzieć powinna, najlepiej nauczyć się ona może w kole swych towarzyszów i towarzyszek pracy. Tu bowiem najłatwiej wyzbędzie się owej wrodzonej nieśmiałości, tu nauczy się przemawiać bez skrępowania, tu po raz pierwszy poczuje się cząstką większej całości, bojowniczką za wspólną sprawę. Związki tedy zawodowe, niezależnie od doniosłych zadań, które spełniają, posiadają jeszcze dla robotnicy ogromne znaczenie pedagogiczne, kształcą ją na obywatelkę — i dlatego obowiązkiem politycznym każdej robotnicy jest zapisywać się do takich związków.

Jeżeli prawo pozwala jej, jak to ma miejsce obecnie w państwach cesarstwa niemieckiego, wstępować do związków politycznych, to powinna jak najskwapliwiej korzystać z tego, o ile posiada określone przekonania polityczne. Nie powinnajej powstrzymywać przed tem ani niechęć mężczyzn (niestety, ujawnia się ona jeszcze niekiedy!), ani względy oszczędności.

Na kobiecie ciąży inny jeszcze obowiązek. Dzięki ciemnocie głównie śród kobiet, znajdują popyt głupie romansidła, zatruwające wyobraźnię i ducha i odciągające uwagę od poważnych zagadnień, szerzy się czytelnictwo świstków brukowych, karmiących swych czytelników sensacyjnemi bredniami i czyniących z nich bezkrytycznych spółuczestników kapitalitycznej polityki. Obowiązkiem kobiet jest zapobiec temu; uświadomiona robotnica powinna wszelkiemi siłami starać się o wycofanie z obiego tego rodzaju utworów i druków, które powinny być zastąpione poważnem pismem partyjnem, organem związku zawodowego, poleconemi przez prasę partyjną książkami.

Wszystko, cośmy powiedzieli wyżej, dotyczy tylko części politycznych obowiązków kobiety, mianowicie — jej obowiązków względem siebie samej. Pozostają wszakże inne jeszcze obowiązki: względem męża, dzieci, przyjaciół, partji, zbiorowości.

Wiele kobiet i to nie najgorszych, płacze nad każdym groszem, który mąż wyda poza domem. Nic dziwnego: niedostatek jest stałym gościem w rodzinie robotniczej. Inne znów uskarżają się na to, że mąż przepędza wieczory poza rodziną; toć i bez tego ograniczonym jest czas, który on może poświęcać swej żonie i dzieciom! A jednak z chwilą, gdy mąż wstępuje w szeregi walczącej partji robotniczej, powinna żona stłumić w sobie tęsknotę i łzy. Nawet więcej: wyrzekając się osobistych korzyści, powinna go do tego zachęcać, jezeli sam ociąga się z wstąpieniem do partji. Niejeden pod wpływem nieuświadomionej i samolubnej żony, śród pieszczot dzieci, w ciepłym kącie, zapomina o swym obowiązku względem towarzyszy i zdradza wspólną sprawę; niejeden zaś, przeciwnie, pod wpływem dzielnej żony przejmuje się poczuciem obowiązku i wstępuje w szeregi walczących towarzyszy. „Przez wzgląd na własne dzieci zostań w domu!“ — woła nieuświadomiona żona — „kup im chleba, baw się z niemi, wychowuj je, jeżeli masz zbywający czas i grosz!“ — „Idź tam, przez wzgląd na własne dzieci!“ — mówi przekonana socjalistka — „zdobywaj dla nich lepszą przyszłość!“

Powiadają, że dźwignią świata jest głód i miłość, rozumiejąc przez tę ostatnią miłość pomiędzy kobietą i męż-

czyzną, która od niepamiętnych czasów wzniecała wojny, pobudzała do zbrodni, była źródłem czynów bohaterskich i natchnieniem dzieł nieśmiertelnych. Z chwilą jednak gdy kobieta wstępuje w życie społeczne, dźwignią świata się jeszcze inne uczucie — miłość macierzyńska. Długą drogę rozwojową przebyła ona od instynktu zwierzęcego, ochraniającego jedynie niemowlęctwo, do miłości rozumnej, przewidującej, ogarniającej cały żywot przyszłego człowieka. Ta ostatnia, wyższa postać miłości ujawnia się z największą siłą wszędzie tam, gdzie kobieta bierze udział w walce o byt, gdzie własnem doświadczeniem poznaje, co to jest nędza i ból. Żadne zwierzę nie idzie tak mężnie na śmierć, jak lwica, broniąca swego lwiątka, żaden człowiek nie ujawnia tyle odwagi i poświęcenia, co matka, walcząca o szczęście swojego dziecka. Jeżeli matka jest uświadomiona i wie, czego potrzeba, aby ludzkość wyzwoliła się z otchłani nędzy, to najświętszym jej obowiązkiem będzie zająć swoje miejsce w szeregach walczących klasy robotniczej i wychować swe dzieci na obrońców wyznawanych przez nią zasad. Widok wybladłej twarzyczki ukochanego dziecka, jego boleściwe skargi, nie łzy bezpłodne wyciskać będą z jej oczu, lecz będą podnietą do czynu.

Matka zasiewa w sercu i duszy dziecka nasiona przyszłego rozwoju. Pokolenia niewolników z duszą niewolniczą wyrastają tylko tam, gdzie matka jest lękliwą, uległą niewolnicą. Wolne, silne, samodzielne kobiety wychowują wolnych, silnych, odważnych ludzi. Dlatego też, przez wzgląd na własne dzieci, nie powinna kobieta nadal pozostawać głuchym i obojętnym widzem tego, co się dokoła niej dzieje. Wstępując w szeregi walczących o wolność, wzmacnia je nietylko na dziś, ale i na przyszłość, albowiem za nią stoją dzieci — jutrzejsi bojownicy. Dziś dobrą matką nazwiemy nie tę, która umywa, odziewa i karmi swe dzieci, lecz tę, która je wychowuje na dzielnych bojowników i własnym przykładem uczy poświęcać się dla idei.

Przyjaźń pomiędzy kobietami bywa zazwyczaj nader nietrwała, a to dlatego, że najczęściej ma swe źródło nie we wspólności duchowej, lecz w czysto zewnętrznych okolicznościach. Młode dziewczęta powierzają sobie wzajem swe tajemnice sercowe, gosposie — swe kłopoty domowe, rzadko zaś kiedy szukają wzajemnego zbliżenia się duchowego i moralnego, rzadko dążą do wzajemnego oświecania się, uświadamiania i rozszerzania swych widnokręgów umysłowych. I tu socjalistkę czeka znów nowy obowiązek: nie uspokoi się ona dopóty, dopóki nie przekona swych przyjaciółek o słuszności swoich poglądów, dopóki nie ożywi ospałych, nie nawróci lekkomyślnych, nie porwie leniwych do walki, którą sama prowadzi. Musi być wprawdzie przygotowana na to, że straci niemało dawnych przyjaciół, ale też i pozyska wiele nowych — daleko cenniejszych, bo będą to przyjaciele na całe życie; albowiem przyjaźń, zrodzona z wspólnej nadzie i wiary w przyszłość, silniej spaja ludzi, niż węzły krwi.

Czy może jednak partja żądać czegokolwiek od bezprawnej kobiety? Niewątpliwie, i godną pożałowania byłaby kobieta, któraby się od obowiązków partyjnych uchylała. Jeżeli wyznaje bowiem przekonania socjalistyczne, to nie może nie wprowadzać ich w życie. Każda nawet najbiedniejsza i najpospolitsza kobieta może to czynić, i niemiecka partja socjalistyczna nigdy nie byłaby tak liczną i potężną, jaką jest obecnie, gdyby setki i tysiące kobiet nie wstąpiły były dobrowolnie do jej szeregów. Wszelka czynność dla niej, poczynając od rozpowszechniania socjalistycznej literatury i skromnej agitacji w fabryce, a kończąc na pracy naukowej i wystąpieniach publicznych na wiecach ludowych, równie jest ważną i cenną. Żadna siła nie jest do pogardzenia, żadna nie powinna zostać niezużytkowaną; od wzajemnego bowiem wspomagania się i skoordynowanego działania wszystkich sił zależnem jest powodzenie.

Największego wszakże wy tężenia sił potrzeba podczas agitacji przedwyborczej. Wybory powinny być wyrazem woli ludu i aczkolwiek kobiety nie mogą jeszcze brać w nich bezpośredniego udziału, to jednak mają możność wywierania na ich wynik swojego wpływu. Na każdym wiecu ludowym może kobieta wypowiedzieć się, przekonać i porwać swoich słuchaczy. Nikt nie powinien pod tym względem uważać siebie za zbyt słabego; często bowiem proste szczere słowo zwykłej robotnicy podziała na słuchaczy daleko zilniej, niż długie wywody wytrawnego mówcy. Ważniejszą jeszcze jest agitacja śród sąsiadów, śród mieszkańców tej samej wsi lub dzielnicy. Tu właśnie otwiera się szerokie pole działalności dla ludzi wszelkiego rodzaju i uzdolnienia; tu potrzeba wytężać wszystkie siły fizyczne i duchowe, nie bać się drwin, nie cofać się przed ciemnotą, pukać do każdych drzwi, rozpowszechniać literaturę odpowiednią, przekonywać, wypytywać o zdanie i pragnienia każdego i na gruncie najbliższych codziennych jego interesów pozyskać go dla sprawy proletarjatu. Dużo pracy owocnej dokonać może kobieta w sam dzień wyborów. Starca, który pozostał w domu, lekkomyślnego młodzieńca, który zasiedział się w piwiarni, wyprawi ona do urny wyborczej; stać będzie przed fabryką lub warsztatem, aby każdymu z wychodzących robotników przypomnieć jego obowiązek polityczny, a kogo podejrzywać będzie, że, miast do lokalu wyborczego, uda się chętniej do domu, tego zaprowadzi aż do drzwi — bezprawna kobieta zawstydzi obywatela swą dojrzałością polityczną. Jeżeli każda kobieta w mieście i na wsi spełni w ten sposób swój obowiązek, to owocem jej pracy będzie niechybne zwycięstwo partji w dniu wyborów.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek rozstrzygają się losy ludu. Hańba kobiecie, która lękliwie ucieka z pola bitwy. Płacz zagłodzonych dzieci, przekleństwa uciemiężonej ludzkości ciążyć będą nad jej życiem. Z uczuciem wstrętu odwróci się od niej każdy, kto cierpiał za sprawę proletarjatu. Odwróci się nietylko w dniu zwycięstwa lub porażki: kobieta bowiem odpowiedzialną jest za każdą godzinę, odwlekającą ostateczne zwycięstwo naszej sprawy. Walka nasza wymaga ofiar i ten, kto idzie pod czerwonym sztandarem proletarjatu, nie wybiera się na przyjemny spacer, po którym oczekuje go wesoły powrót do domu. O nie, wstępuje on na drogę życiową, najeżoną niebezpieczeństwami; ba, burzy on nawet mosty za sobą i powrót staje się dlań niemożebnym.

„I miecz przeszyje ci duszę“ — rzekł, według legiendy chrześćjańskiej, anioł do Marji, matki Jezusowej. To samo można zastosować i do kobiet, przenikniętych poczuciem wielkości zadania, które spoczywa na nich. Daleko łatwiej i przyjemniej jest dla dziewczyny po ciężkiej pracy dnia odpocząć w domu lub z towarzyszkami pójść na przechadzkę, aniżeli iść za głosem, nawołującym ją do poważnego życia, do trudów, cierpień i walki. Daleko wygodniej i dla słabego organizmu kobiecego pożyteczniej jest bawić się w domu z dziećmi, niż rzucać się w burzliwy wir życia politycznego; daleko lepiej zachowa się nasze zdrowie i radość życia w ciszy domowego ogniska, niż gdybyśmy wystawiali się na prześladowania i drwiny naszych wrogów i wyrzekli się osobistego szczęścia gwoli naszej sprawy.

Nietylko wszakże daleko sięgająca miłość macierzyńska, nietylko widok dzieci naszych, nietylko troska o ich przyszłość, tłumiąca egoizm i ożywiająca ducha, popychają nas na drogę walki, popycha nas tam i poczucie obowiązku i odpowiedzialności. Wypadło nam być przednią strażą; od naszej wytrwałości, ofiarności i męstwa zależy, czy reszta armji pójdzie za nami, czy ją porwiemy za sobą. Musimy dowieść, że i kobiety są siłą, w niczem nie ustępującą sile mężczyzn. I tylko wspólna zgodna praca obojga płci doprowadzić nas może do ostatecznego naszego celu.

Rozmaitości

Kiedy będzie ziemia bez żelaza. W prasie szwedzkiej toczy się dyskusja nad ważną kwestją, jak długo jeszcze znane pokłady rudy żelaznej będą mogły wystarczyć wobec wzrastającego coraz bardziej zapotrzebowania. Gieolog prof. Anderson zawiadamia tedy w „Stockholms Dagblad“, że uczeni szwedzcy opracowują obecnie na podstawie naukowej oparty pogląd zapasów żelaza na ziemi. Dzieło to wykończone będzie za kilka miesięcy i złożone do użytku kongresu gieologicznego, który ma się odbyć w roku 1910 w Sztokholmie. Jakkolwiek dzieło oparte jest na urzędowych danych statystycznych i opinjach uczonych całego świata, niemniej, zdaniem profesora Andersona, wszelkie obliczenia w pracy tej zawarte, będą miały wartość względną i czasową; trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że

rozwój nawet w tej dziedzinie postępuje z szaloną szybkością. Co do konsumcji żelaza, obliczenie obecne może objąć tylko większość istniejących pokładów rudy żelaznej i środki pomocnicze, służące do ich eksploatacji. Nie należy zapominać, że istnieją jeszcze dotychczas nieznane pokłady rudy żelaznej, niepodobna też odgraniczyć zupełnie dokładnie co, ze stanowiska praktycznego, należy na rudę żelazną uważać. Tak np. w Szwecji, w ostatnich latach, stosując nowe metody, zdołano wydobyć żelazo takiej rudy, która dawniej uważana była za pozbawioną wszelkiej wartości. Z drugiej strony jednakże zapotrzebowanie żelaza powiększa się coraz bardziej.

W tym samym mniej więcej duchu objaśnił kwestję drugi gieolog szwedzki, prof. Odelstierna. Jest on przekonany, że ludzkość, odpowiednio do postępującego nieustannie rozwoju, odnajdywać będzie coraz to nowe środki. Silny wzrost konsumcji żelaza jest wprawdzie trochę niepokojący. W ciągu lat dziesięciu od r. 1887 do 1897 konsumcja żelaza wzrosła z 49 mil. do 78 mil. ton na rok; w ciągu zaś następnego dziesiątka lat wszakże z 68 mil. na 133 mil. ton. Jedynym krajem, z którego można się spodziewać nowych zapasów rudy żelaznej, są Chiny, posiadające wielkie, niewyzyskalne jeszcze pokłady rudy żelaznej i węgla kamiennego. W razie, gdyby żelazo się wyczerpało, mógłby je do pewnych celów zastąpić glin (aluminium), o ile wynalezionoby sposób tańszego wyrabiania go.

* * *

Zagadka Marsa. Tak zwane kanały Marsa od dłuższego już czasu zauważone, rozmaicie były tłomaczone. Widziano w nich dowód przemyślności i wysokiej kultury mieszkańców Marsa, bo sądzono, że kanałami tymi nawadniali Marsyjczycy ziemię swoją ubogą w wodę. Twierdzenia te jednak dawno już zarzucono, gdyż raz szerokość tych kanałów rzekomych była za wielka, by można było przypuścić że do celów nawodniczych służyćby miały, powtóre bardzo trafnie zauważono, że wysokim nierozsądkiem ze strony rzekomych mieszkańców sąsiedniego naszego planety byłoby przy ubóstwie wody rozprowadzać ją jeszcze na szersze przestrzenie i pozwalać jej ginąć w ziemi. Wtedy poczęto przypuszczać, że kanały te służą do sprawodzania wody z topniejących lodów podbiegunwych okolic, lecz i ta teorja nie długo się utrzymała, skonstatowano bowiem, że kanały te kończą się u bieguna południowego. Stąd i innych jeszcze powodów astronom Lowell postawił nowę teorję, wznawiając twierdzenie astronoma Cerulliego z r. 1900, że kanały Marsa są niczem innem jak tylko złudzeniem optycznem, pochodzącem stąd, że my ze zbyt daleka obserwując Marsa, łączymy okiem ciemniejsze (wypukłe lub wklęsłe) przestrzenie planety sąsiedniego w całość jakkolwiek w rzeczywistości są one od siebie oddzielone. Ta najnowsza teorja tłomaczyłaby najlepiej ową olbrzymią nieraz szerokość kanałów Marsowych dochodzącą do setek a czasami do tysięcy kilometrów.

Ponadto astronomi Campbell i Albrecht porównując analizę spektralną Marsa z księżycem doszli do przekonania, że Mars posiada równie mało wodnych substancji co księżyc. Stąd wniosek, że jest wielce wątpliwą kwestja, czy na Marsie znajduje się para wodna. Tym sposobem i kwestja życia na Marsie wchodzi w nową fazę roztrząsań i pytań.

Kamil Flamarion pisze, że od dłuższego czasu powierzchnia Marsa jest widownią ciągłych zmian noszących charakter katastrofy. Już od kilku lat zachodzi ciekawe zgięcie biegunów; również zagadkową jest ustawiczna zmiana konturów t. zw. jeziora słonecznego, plamy mniej więcej wielkości Francji, otoczonej licznymi kanałami. Plama ta raz okrągła, to owalna, dwoi się i troi, równomiernie zmieniają się także kanały. Zdaniem Flammariona, dowodzi to zresztą nie bliskiego zamarcia planety, lecz owszem wybitnej jego żywotności.

* * *

Kolej jednoszynowa. W Berlinie dokonywują obecnie prób nad bardzo ciekawym wynalazkiem inżyniera Scherla. Jest to wagon, który biegnie nie po dwóch, ale tylko po jednej szynie, nie tracąc ani na chwilę równowagi, ani na prostej drodze, ani na zakrętach. Pisma niemieckie twierdzą, że ten jak go nazwano „Gyro-wagon" dokona całkowitego przewrotu w komunikacji.

Jednoszynowy wagon nie trzęsie, płynie raczej, niż jedzie po swojej jedynej szynie, a może jechać znacznie szybciej niż wagony zwyczajne, dwuszynowe. Porusza go elektryczność. Nie traci równowagi nawet wówczas, gdy pasażerowie siedzą po jednej stronie, drugą zostawiając pustą. Wynalazek wywołał wielkie zaciekawienie sfer technicznych i publiczności. Próby z modelem wagonu dokonywane są w berlińskim ogrodzie zoologicznym, w hali wystawowej.

* * *

Temperatura słońca, według najnowszych badań wynosi 6000 stopni C., a dla innych gwiazd stwierdzono jeszcze wyższą temperaturę: gwiazda północna ma 9800 stopni C., gwiazda „D" w systemie Perseusza 55,000, a gwiazda „L" w grupie Jowisza 60,000 stopni.

* * *

Aparat do widzenia na odległość. Dawno już zdołano przenosić dźwięki mowy ludzkiej na znaczną odległość zapomocą fal elektrycznych. Gienialny wynalazek telefonu i fonografu jest dziś w powszechnem użyciu i oddaje nieocenione usługi ludzkości. Natomiast do dnia dzisiejszego nie zdołano zbudować aparatu, któryby tak samo przenosił światło na odległość. Obecnie zbudował nowy aparat prof. Ernest Ruhmer z Berlina.

Przyrząd ten składa się z trzech części: wysyłacza, odbieracza i przewodu. Obraz, który ma być przeniesiony na odległość, rzuca się zapomocą aparatu projekcyjnego na szybę. Jak wiadomo, każdy obraz rozkłada się na większą ilość punktów, aby każdy z nich można telegrafować na odległość. Ilustracja portretu składa się np. z około 10.000 punktów. W przyrządzie Ruhmera każdy taki punkt wymaga przy reprodukcji osobnej komory. Szyba, na którą aparat projekcyjny rzuca obraz, mający być przenoszonym na odległość, jest również podzielona na tyle czworoboków, ile potrzeba komór. Jasnym i ciemnym punktom obrazu odpowiadają jasne lub ciemne komory.

Przez każdą barwę płynie z bakterji prąd elektryczny, służący do oświetlenia ciemnej szyby, która znajduje się przy odbieraczu. Przyrząd Ruhmera nie jest jeszcze gotowy.

Wspomnieć należy, że przed kilku laty podobny przyrząd miał zbudować Szczepanik we Wiedniu. Ale nie słyszano później nic o tym przyrządzie. Wynalazek Ruhmera miałby olbrzymie znaczenie.

Z literatury i sztuki

Numer 23 **„Promyka"**, postępowego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera:

Treść: Bronisław Piłsudzki: Z pobytu na Sachalinie. I. Polowanie na niedźwiedzia. — Marja Hantowerówna: Pamiętnik jedynaczki. — Ze świata: Król powietrza. — Marcelina Kulikowska: Rak u myszy w gościnie. — Łamigłówka. — Rozwiązanie. — Odpowiedzi od Redakcji.

Treść nr. 24: Janusz Korczak: Józki, Jaśki i Franki. — Marja Hantowerówna: Pamiętuik jedynaczki. — Z Wrightem w powietrze. — Wincenty Pol.: Do Wisły. — Ze świata: Koleją z Paryża do Londynu. — Stanisława Rutkowska: Nasz pokoik dziecinny. — Michalina Chełmońska: Polska jesień. — Łamigłówki. — Szarady. — Rozwiązania. — Zagadki. — Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Redakcji: Kraków, Wiślna 5, i Warszawa — księgarnia Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nr. 11 (na listpad) **„Przewodnika Zdrowia"** (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i za-wiera:

Treść: Jak długo człowiek żyć powinien? Dokończenie). — Na co trzeba szczególnie zważać przy każdym jedzeniu? — Wartość jabłek pod względem zdrowotnym. — Zdrowotne wskazówki na listopad. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 50. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 11 grudnia 1909.

J. OLSZEWSKI.

NIKODEM KIEŁBIK.

(Ciąg dalszy.)

Po dwuch lub trzech dniach, gdy się nowonabywcy dobrze rozejrzą po swym sklepie, spostrzegą, że w workach z mąką do połowy jest — piasek, w słojach, zamiast rodzynków i migdałów — śmiecie; zamiast ryżu i pudru cukrowego — gips lub kreda; a głowy cukru, które tak dumnie wznosiły w górę swe śpiczaste szuby — są, jak się okazuje, pustym papierem, wypchanym kamieniami. Gilzy, tylko gilzy znajdują się w obfitości, reszta jest towarem bezwartościowym: służącym do ubrania sklepu, lub na pół zgniłym i zbutwiałym. W dodatku owi tak liczni przy kupieniu klijenci, zniknęli wraz z dawnym właścicielem.

Rozpacz takich oszukanych nie ma granic.

W końcu starają się oni o pozbycie owego złotego jabłka; czasami to im się udaje, lecz bardzo rzadko i zwykle tracą na sprzedaży najmniej połowę. Częściej jednak handlarze kupują na licytacji ich ruchomości, wystawione na sprzedaż przez właściciela domu; sami oni lecą na dno nędzy i rozpaczy, z którego powstać żadną miarą nie mogą.

Ofiarami podobnych oszustw bywają tylko ludzie łatwowierni i nowicjusze w handlu; zawodowi spekulanci od podobnych wypadków są wyłączeni. Zdarzają się przykady, że i zawodowy spekulant się złapie, lecz nigdy na powyżej opowiedziane sztuczki. Oto nie przewidział tego, że np. w sąsiednim domu otworzą handel kolonjalny lub inny w tym rodzaju. Są to jednak bardzo rzadkie wypadki i bynajmniej za regułę służyć nie mogą.

. . . . . .

Pomimo tego, że Kiełbikowie nigdy sklepu spożywczego nie mieli, znali jednak owe sposobiki, jakimi posługują się przy sprzedaży sklepów, przeto na kawał z apać się nie dali. Ten, który ich chciał oszukać, musiałby bardzo rano wstać, lecz i to wątpliwe, czyby mu się to naco przydało.

Kiełbikowie oprócz sprytu mieli i szczęście; kupili wyjątkowo dobry sklep i niedrogo, który prawdziwie zmuszona była sprzedać jakaś kobiecina, nie mająca zdrowia i głowy do handlu. Kiełbikowie, oceniwszy wprawnem okiem znawców towar, urządzenie sklepowe, a także i punkt, w którym się ów sklep znajdował, po długich i męczących targach kupili go za psie pieniądze.

Okazało się, że towaru było dużo i to towaru dobrego; tylko owa kobiecina zamiast go wystawić na widoku, powtykała po kątach, jakby się nim kryła. Przytem w sklepie był nieład; — widać było, że właścicielka jego nie ma najmniejszego pojęcia o handlu.

Po upływie kilku dni ów zaniedbany sklep przybrał całkiem inny wygląd, dzięki umiejętności dekorowania, którą Kiełbikowa posiadała w wysokim stopniu. Nie kupili Kiełbikowie świeżego towaru ani za jeden grosz, a mimo tego sklep przedstawiał się bardzo okazale, tak jakby wstawiono weń świeżego towaru za 1000 rubli. Jednem słowem zrobili z niego istne pieścidelko, dobrze wypchane towarem. A uprzedzająca grzeczność, z jaką oboje Kiełbikowie obchodzili się z kupującymi, rozsławiła ich po całej ulicy, zjednywając im liczną klijentelę.

Wabikiem przytem niepoślednim, ściągającym służące omal że nie ze wszystkich okolicznych domów, była — muzyka. Jak nam wiadomo, Kiełbik był muzykalny. Codziennie wieczorem siadał w sklepie i wygrywał na trzyrzędowej harmonji różne kawałki rozmarzającego walca, wesołą polczkę lub skocznego marsza, a służące i terminatorzy hurmem biegli do sklepu posłuchać ślicznej muzyki. Sprawiedliwość każe mi przyznać, że Kiełbik grał bardzo wprawnie i z przyjemnością mogło posłuchać jego gry nawet muzykalne ucho. To też w sklepie zawsze było pełno i handel szedł całą parą.

Kiełbikowie nie byli zarozumiali, żyli oni za pan brat ze stróżami, lokajami, kucharkami i terminatorami, a to zrobiło ich popularnymi: jednakże za oczy nazywali swych klijentów bydłem, hołotą i draństwem. No ale oni tego nie słyszeli, a czego ucho nie słyszy, tego sercu nie żal. Zato w sklepie i w oczy byli nader serdeczni i przyjacielscy. Ona czytała na głos sensacyjne romanse w rodzaju „Bladej Hrabiny“, on opowiadał pocieszne dykteryjki mocno pieprzne lub też o różnych nadzwyczajnych wypadkach i cudach, które wyczytywał w jemu tylko wiadomych gazetach. A miał też Kiełbik bujną imaginację, tworzył na poczekaniu przeróżne zdarzenia i historyjki, stosownie do okoliczności i gustu swych słuchaczy.

Kiełbikowa potrafiła również pięknie mówić; słuchaczami jej była płeć piękna, choć i brzydka mogła się przysłuchiwać. Przedewszystkiem Kiełbikowa była nader pobłażliwa i wyrozumiała w sprawach miłosnych... Nigdy i nikogo nie potępiała (rozumie się w oczy), za to za oczami pozwalała sobie być bardzo surową, a jako przykład cnoty przedstawiała siebie. Ubolewała nad uwiedzionemi i potakiwała uwodzicielom, jeżeli ci należeli do jej klijentów. Ułatwiała zapoznanie, swatała, godzia zwaśnionych — nie dlatego, że miłowała zgodę, lecz że powaśnieni nie przychodzili robić zakupów w sklepie, aby się nie spotykać ze sobą. Miała ona dar słowa i mnóstwo przekonywających argumentów; zawziętszych straszyła grzechem śmiertelnym i karami piekielnemi. Wytaczała jedno działo za drugiem ze swego zasobnego arsenału, aż zwyciężała i pogodziła zwaśnionych.

Jednem słowem, Kiełbikowie na wzór swego sklepu, w którym mieli różny towar, mieli też różne zapatrywania i przekonania: — z nabożnymi — nabożni; z bezbożnymi — bezbożni; z patrjotami — patrjoci; z kosmopolitami — kosmopolici.

Zadziwiającą sztukę przystosowywania się do warunków posiadała ta zacna para i dla tego też wszyscy klijenci lubili ich i lgnęli do nich, jak muchy na lep.

Już rok minął, a Kiełbikowie jeszcze trzymali ten sklep nie dlatego, żeby dali za wygranę swym marzeniom, lecz im się nic odpowiedniego nie trafiało do nabycia, a tu powodziło im się bardzo dobrze; żal im było stracić tak prędko tę kurkę, co niosła złote jaja.

No, ale od czegoż głowa?

Po drugiej stronie ulicy na wprost ich sklepu był dom jakiegoś pana, który na drugiej ulicy utrzymywał lupanar. — W domu tym nie było żadnego sklepu.

Kiełbik zobaczywszy się z właścicielem owego domu, zaproponował mu zrobienie w nim sklepu, na co ten zgodził się. Była to jednak tajemnica, o której wiedziały tylko strony zainteresowane. Kiedy Kiełbikowie mieli kontrakt w kieszeni, puścili głuchą wieść, że już są zmęczeni handlem i radziby się go pozbyć. Nie upłynęło tygodnia a sklep, za który oni dali 450 rubli, był sprzedany za 1500 rubli; w dodatku kupili sklep z masą towaru, sprzedali zaś prawie pusty, ot — gilz było dużo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czy kapitalista „wytęża“ się nerwowo?

(Przyczynki do historji życia „nieszczęśliwych“ kapitalistów i „szczęśliwych“ robotników).

Jest to już powszechnie wiadomem, że dążności socjalizmu są do tego skierowane, ażeby zupełnie usunąć klasę przedsiębiorców, jako ucieleśniony wyzysk, a na jej zaś miejsce zaprowadzić kolektywny system wytwórczy, w którymby wprawdzie, jak po dziś dzień, byli czynnymi kierownicy zakładów wytwórczych i robotnicy, ale nie byłoby wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy. Zamiary związków zawodowych są daleko więcej skromne, zmierzają one bowiem tylko do obcięcia przedsiębiorcom pazurów wyzyskujących i do zrobienia z klasy robotniczej równouprawnionego wspólnika w produkcji. Jednem słowem: nowoczesna świadoma swego celu klasa robotnicza walczy przeciw kapitalistycznemu prawu do wyzysku i przeciw nieograniczonemu prawu wyłącznego panowania przedsiębiorców.

W przeciwstawieniu do tego bronią przeksiębiorcy, a raczej pismacy stojący na ich żołdzie, prawo dzisiaj obowiązujące, ale w podstawach swoich zachwiane, przez to, że ciągle i zawsze starają się udowodnić, jak niezbędną osobą w życiu gospodarczem jest przedsiębiorca i że jego usunięcie równałoby się ruinie ustroju społecznego. Zamiast jednak bez ogródki przyznać, że potęga i znaczenie dzisiejsze przedsiębiorcy polega na jego kapitale, na jego worku pełnym złota, opowiadają nam ci dobrodzieje, że to inteligencja przedsiębiorcy robi go niezbędnym. Z tego też powodu nazywają przedsiębiorców „pracownikami umysłowymi“, bo od ich pracy umysłowej jest zależną cała gospodarka społeczna. Myśmy takie pojmowanie sprawy już niejednokrotnie jako niewłaściwe i nieodpowiadające rzeczywistości wykazali, udowadniając, że przy dzisiejszym kapitalistycznym ustroju jest rozwój przedsiębiorstw wcale niezależny od osoby przedsiębiorców. Można to najlepiej zauważyć przy akcyjnych towarzystwach — w miarę tego, jak się z granic osobistych uwalniają i podlegają kierownictwu nieprzedsiębiorców.

Teraz jednak powstała zupełnie nowa teorja, którąby najlepiej teorją „natężenia nerwowego“ nazwać można, gdyż stawia twierdzenie, że wytężone czynności nerwowe przedsiębiorcy zapewniają mu wyższość nad robotnikiem, nadają mu wyższą gospodarczą wartość i usprawiedliwiają jego pretensje do lepszego wynagrodzenia. Z pewnością to naszych czytelników zainteresuje, gdy im damy sposobność poznać i ocenić ten najnowszy wynalazek prasy, stojącej na wysługach przedsiębiorców, kolportowany przez nią ze szczególną rozkoszą.

Autor artykułu, zawierającego to najnowsze twierdzenie, stara się udowodnić, że czynność przedsiębiorcy jest jakościowo daleko wyższą, jak czynność robotnika. W tym celu wdaje się w nadzwyczaj trudny zakres psychofizjologji (nauka badająca związek zachodzący między zjawiskami psychicznemi a zjawiskami fizjologicznemi, które stale towarzyszą różnym objawom życia duchowego) wskazując, że każda siła, a więc i ludzka siła robocza, podlega tak nazwanemu prawu ociężałości, to znaczy, że przez naturalny opór wywołany tarciem nieustannie zostaje wstrzymywana i wkońcu zupełnie ustaje. Robotnik zostaje przez swoje satrudnienie powoli wyczerpany, a w dodatku stara on się jeszcze sam o to, ażeby wydajność swej siły roboczej umyślnie wstrzymywać, gdyż nie chce, ażeby jego siła wytwórcza przewyższała miarę jego zarobku. To jest oczywiście z punktu widzenia przedsiębiorcy błędem, gdyż: „Racjonalna gospodarka wymaga możliwego przezwyciężenia prawa ociężałości, przez które produktywna siła robotnika jest powstrzymywaną w swoim całkowitem rozwinięciu. Zupełny rozwój sił jest koniecznym, chociażby z tego tylko powodu, ażeby mieć możność dać robotnikom rzetelną zapłatę, w przeciwnym bowiem razie nie otrzymałby pilny robotnik więcej od leniucha, zdolny więcej od niedołęgi. Ważenie siły roboczej będzie w każdym razie wtenczas możliwe, gdy będzie możność przekonania się o jej wydajności, to znaczy, gdy się wypróbuje, jak wielkie są opory tarcia, które siłę robotnika stępiają i ją ostatecznie zupełnie wyczerpują“.

Innemi słowy ma to znaczyć: „Przedsiębiorca, który chce z możliwie największym zyskiem wytwarzać, musi mieć możność wypróbowania, ile może z każdego robotnika wydobyć; musi jednak na to uważać, ażeby napędzanie do przezwyciężenia prawa ociężałości nie przekraczało miary koniecznie potrzebnej do ochrony tej siły roboczej, która do jej utrzymania, albo jeszcze lepiej, do utrzymania źródła siły roboczej jest konieczną. Bezustannie pracą przeciążony człowiek postradałby bardzo prędko swoje siły. Tak więc znaleźć miarę, znaleźć właściwą granicę, do której można obciążyć robotnika pracą bez obawy zaszkodzeniu jego zdrowiu, jest jedną z najważniejszych, ale i najtrudniejszych funkcji przedsiębiorcy, najtrudniejszą mianowicie z tego powodu, że wymaga bardzo delikatnego odczucia z jednej strony dla wymagań wydajności gospodarczej, a z drugiej strony dla skutków prawa ociężałości, by zarządzić odpowiednią ilość energji, potrzebną do przezwyciężenia prawa ociężałości w interesie racjonalnej gospodarki“.

A teraz przyjdzie najważniejszy ustęp: „Ta sensytywna (wrażliwa) czynność przedsiębiorcy jest przedewszystkiem tym czynnikiem, który go od robotnika odróżnia i nadaje mu daleko wyższą gospodarczą wartość. Pracuje robotnik w pierwszej linji swoją siłą fizyczną, swoją zdolnością cielesną, to w przeciwieństwie do niego pracuje przedsiębiorca siłą swoich nerwów“.

Mamy więc teorję nerwów przedsiębiorcy wyjaśnioną. Przedsiębiorca, ten tak bardzo wrażliwy człowiek, z wysoko rozwiniętym systemem nerwowym jest podobny do histerycznej baby, która każdą zmianę powietrza w swoich nerwach odczuwa. „Tak jak wszyscy inni ludzie w swoich nerwach odczuwają niedomagania swoich organów cielesnych, tak każdy przedsiębiorca odczuwa wszelki, chociażby najmniejszy nieporządek swego przedsiębiorstwa; on odczuwa każde marnotrawienie materjałów, każde niepotrzebne używanie maszyn, każdą fuszerkę itd. Jego czynność nerwowa powoduje, że robotnicy przy pracy nie szczędzą pilności, zgrabności i swojej siły roboczej. Żeby nie nerwy przedsiębiorców, toby wszystkie zakłady się nie opłacały, toby codziennie we wszystkich fabrykach setki tysięcy, ba, nawet miljony marek zostały stracone i tem samem dobytek narodowy ponosiłby niewypowiedziane szkody. Tak więc rządzi sprężystość nerwów i mięśni, wola i umiejętność, a to wszystko jest podstawową zasadą prawidłowej gospodarki“.

Potrzebujemy tylko te zdania przeczytać i trochę się nad niemi zpstanowić, a spostrzeżemy odrazu, że opis tego cudownego systemu nerwowego u przedsiębiorcy jest głupstwem i nigdzie nie istnieje, jak w fantazji jego twórcy. Albo czy już kiedy który z naszych czytelników miał sposobność poznać takiego przedsiębiorcę, z tak wrażliwemi nerwami, że odczuwał każdy nieporządek w swojem przedsiębiorstwie? Taki człowiek byłby też doprawdy pożałowania godny, szczególnie we większem przedsiębiorstwie jego nerwy nigdyby spokoju nie zaznały. W rzeczywistości nie jest sprawa wcale tak niebezpieczną, bo przedsiębiorca nie odczuwa wszystkich niedomagań itd. w swoich nerwach, tylko — „w swoim zmniejszonym zysku“.

Tu się więc mieści całe źródło mądrości: nietylko inteligiencja przedsiębiorcy, ale i jego siła nerwowa spoczywa w jego — żelaznej kasie!

Jul. Łopatka.

Kto byli alchemicy?

Chemja, nauka o przemianie substancji, o zjawiskach, towarzyszących wszelkiemu tworzeniu w przyrodzie — daje nam możność poznania każdego organizmu. W każdym organizmie, aż do najniższych żyjątek odbywają się zjawiska chemiczne. Chemja to nauka, która między naukami przyrodniczemi dominujące stanowisko wywalcza. Wszak dziś do każdej gałęzi nauk przyrody przyczynia się chemja. Znane są: chemje fizyczne, elektrochemje, fotochemje, chemje fizjologiczne, chemje techniczne, termochemje, gieochemje, biochemje, chemja lekarska, farmaceutyczna.

Ojcem chemji naukowej jest filozof i badacz przyrody Arystoteles ur. 383 przed Chrystsem. On to już nauczał o zjawiskach, elementach (pierwiastkach). Teorja jego do dziś dnia wprawdzie nie utrzymała się. Uważał on bowiem za źródło wrażeń naszych nie ciało, ale jego własności. Nauce Arystotelesa brakło bodźca cielesnego, materjalnego — nie mogła być też podstawą praktycznej wiedzy chemicznej.

Szukanie zasadniczych faktów przez odkrycie nowych ciał, chęć udoskonalenia sposobów przemiany jednych ciał w drugie — to właściwy początek chemji praktycznej i naukowej.

Bodźcem do nowych odkryć był t. zw. „kamień filozoficzny", była to ciecz (eliksir) o własnościach cudownych, leczących chorych, przemieniających grzeszników w dobrych. Ważną dla chemji własnością była jego moc przerabiania metali nieszlachetnych (żelaza, miedzi, cynku) w metale szlachetne (złoto, srebro). Poszukiwacze owego kamienia filozoficznego to alchemicy.

Arabowie — to twórcy alchemji. U nich powstały prace o przemianie metali oraz o sposobach tejże. Pierwszym badaczem na polu alchemji był Geber, profesor akademji arabskiej w Sewilli w VIII wieku. Jemu to chemja zawdzięcza znajomość substancji, bez których żadna pracownia naukowa, żadna gałąź przemysłu chemicznego obejść by się nie mogła, więc kwasów: siarkowego i azotowego, oraz rozmaitych soli. Geber — to pierwszy sumienny badacz. Nie wytrwała jednak alchemja na swem stanowisku badawczem. Przechodzi ona rozmaite fazy. H. Kopp autor 4-tomowej „Historji chemji" mówi o niej: „Wyznawcy i promotorowie alchemji rekrutują się ze wszelkich stanów. Cesarze i królowie, ubodzy, włóczędzy, duchowni i lekarze, zakonnicy i aptekarze — to konkurenci w tem zajęciu. Oszustwo i nauka — to cele alchemików".

Alchemja była to czczoną, to pogardzoną nauką. Czciciele złota otaczali alchemików ślepą czcią; miłośnicy prawdy prześladowali ich z całem okrucieństwem. Kościół posądzał alchemików o stosunki z djabłem. Stos, szubienice lub więzienie — to zapłata alchemika. Karano ich bądź za nieudałe próby robienia złota (za niezręczne oszustwo), bądź za ukrywanie tajemnic przed władcami dworów, którzy chcieli dociec do sporządzenia kamienia filozoficznego. Między „właścicielami" tego eliksiru był polak (w 17 wieku) Michał Sędziwoj. Na dworze praskim u cesarza Rudolfa II w roku 1704 „przemieniał" on metal w złoto. Sztuk swoich dokazywał tak zręcznie, że na pamiątkę jego kazał Rudolf II wyryć na tablicy (w sali gdzie pracował) napis: „Niechaj ktokolwiekbądź zrobi to, czego dokonał polak Sędziwoj" (po łacinie). Schwycono go jednak na oszustwie i wtrącono do więzienia. Umarł jednak na wolności, bo z więzienia uciekł.

Alchemja to nauka, która uganiała się za coraz nowemi dziwami — niestety na oszustwie opartemi. Jak tworzyli złoto? Brali np. srebro, zawierające złoto i, po wielu operacjach wydobytą domięszkę złota, pokazywali jako wytwór srebra na złoto.

Pomimo, że alchemja nie utrzymała się na wysokości, na jakiej postawił ją wspomniany arab Geber, to jednak doskonaliła tą gałąź wiedzy chemicznej, środki wywoływania zjawisk chemicznych, powiększała ilość otrzymywanych sztucznie związków chemicznych i stosowała je do celów praktycznych. Alchemja — to fundament chemji. Złudny cel alchemji: otrzymywanie złota z metali nieszlachetnych, dotrwał aż do XVI wieku. Wkracza on następnie w nową fazę, chemji lekarskiej; tak zwanej wówczas jatrochemji. Uczeni badacze ówczesni stawiają nowy cel chemji: zastosowania preparatów chemicznych w lecznictwie.

Bocian i żaby.

Bajka.

Stał raz bocian nad kałużą, ukryty za sitowiem i słuchał żabiego koncertu. — Pfuj, rzecze, obrzydliwe gady, te żaby! Brodzi to paskudztwo w kałuży i skacze po bagnie, jakby nie było na świecie nic lepszego. — Otrząsł się ze wsrętem i postąpił ostrożnie o krok naprzód, aby tem dobitniej okazać swą wyższość moralną. I byłby niezawodnie splunął, gdyby umiał. Gdy się poruszył, żaby skryły się w błocie i umilkły. — Chwała bogu, że się przynajmniej wstydzą — mruknął gniewnie i znów stanął w ukryciu nad brzegiem kałuży.

— Wcale się nie wstydzą — odezwał się nagle świerszcz, który podsłuchał monolog (rozmowę ze sobą samym) bociana. Nie wstydzą się, panie bocianie, lecz skryły się, bo morały twe są bardzo tanie i podejrzanej wartości. Gorszysz się bezwstydwością żab, lecz mięsko ich smakuje ci. Nie prawdaż, że ci ślinka zbiegla w dzióbie? Mój panie, gdyby żab nie było, nie mogłyby bociany tak wysoko latać, albowiem z krwi i mięsa żab powstaje wasza świetność...

Bocian zaklekotał gniewnie i uderzył dzióbem w stronę zuchwałego świerszcza. Ale świerszcz czmychnął do swej dziury — a moralista bocian czychał dalej cierpliwie, dopóki któraś żaba nie wysunęła się nieostrożnie z błota... — — — — — — — — — — — — — — —

Tak samo jest między ludźmi: strojni panowie, pachnący panie i pulchniutcy księżulkowie oburzają się na biednego robotnika, że on nieokrzesany i śmierdzi wódką, brzydzą się nim, że brudny i obyczaje jego są grube — lecz, mimo świętego oburzenia i wstrętu, chętnie tuczą się jego potem i krwią. Robotnicy, przestańcie pić wódkę, porzućcie złe nałogi, kształćcie się, wyzwolcie się z bagna nędzy i ciemnoty a — jak żaby przestaną być żabami, to bociany rychło pozdechają z głodu...

Rozmaitości

Import dziewcząt do Ameryki Północnej. Rosyjskie ministerstwo spraw zewnętrznych zakomunikowało tymi dniami ministerstwu spraw wewnętrznych sprawozdanie generalnego konsulatu austrjackiego w Chicago o olbrzymim imporcie dziewcząt europejskich do Ameryki Północnej. Szczegóły te mają być zakomunikowane wszystkim władzom politycznym w państwie, aby ludność przestrzegały przed grasującą mafją agientów, którzy ten handel zwłaszcza w ostatinch czasach postawili na stopie en gros.

Władze chicagowskie, które się handlem białych niewolnic europejskich do Ameryki północnej bliżej zajęły, stwierdziły, że import wyniósł w ciągu jednego roku około 15.000 dziewcząt. Wyśledzono, że całym tym handlem kieruje bardzo sprężyście zorganizowany syndykat z agientami i subagientami we wszystkich większych miastach. że ci agienci gnieżdżą się przeważnie w portach o ożywionym ruchu z Europą, że syndykat wysyła do Europy całą sieć „emisarjuszy", którzy grasują zwłaszcza we Włoszech, Francji, Niemczech i Austro Węgrzech.

Chwytaine dziewcząt odbywa się w sposób następujący: Agienci rozstawieni w portach wjazdowych zwracają uwagę na przejeżdżające na statkach dziewczęta zwłaszcza samotne i ułatwiają im wylądowanie, przedstawiając się jako ich „kuzyn" lub „mężowie". Czasem takie uśidlenie dziewczyny jest z góry uplanowane przez agientów i rodziców, którzy zachęceni korzystnemi „ofertami" dla ich córki, wy-

syłają za opłatą kosztów podróży swą córkę do Ameryki na posadę „kasjerki", „panny sklepowej", „nauczycielki" itp. Propozycje te wychodzą zazwyczaj od jakiejś bogatej amerykanki, która bądź przeprowadza transakcję handlową drogą pisemną, bądź też bezpośrednio na miejscu jako cicha wspólniczka lub agientka syndykatu. Czasem składa syndykat od razu „zadatek" w pieniędzach lub sukniach nadesłanych, a rodzice uszczęśliwieni „dobrodziejstwami", sami ułatwiają dziewczynie wywędrowanie do Ameryki i wprowadzają w błąd władze polityczne.

Niewola, jaka czeka nieszczczęśliwą ofiarę w Ameryce, jest ogólnie znana. Dostaje się ona do rąk „pracodawczyni", która ją przedewszystkiem ubiera na kredyt i rujnuje moralnie najczęściej przy pomocy wlewania w nią alkoholu lub użycia środków odurzających. Dług za suknie i umeblowanie, przykuwa ją do „pracodawczyni" — brak sukien własnych, które pracodawczyni starannie chowa, uniemożliwa jej ucieczkę, która zresztą nie na wiele się przyda, bo niższe organy policyjne są przez „syndykat" zupełnie skorumpowane. Po kilku latach wyrzuca się dziewczynę na bruk.

Rządowy komunikat powiada, że skuteczne zwalczanie handlu dziewczętami europejskiemi zacząć się powinno od rodziców, otrzymujących z Ameryki wyżej wspomniane oferty lub którym owe „bogate amerykanki" składają wizyty. Oferty te należy stanowczo odrzucać i zawiadamiać o nich władze, którym owe „propozycje" mogą posłużyć jako wskazówki w ściganiu agientów. Za oceanem winny dziewczęta szukać opieki w austrjackich urzędach konsularnych.

* * *

Naturalne źródło gazu. W koloszwarskim komitacie Siedmiogrodu, na gruntach gminy Kis Sarmas, już w roku 1907 gieolog Karol Papp spostrzegł, że z błotnistych gruntów wydobywa się gaz, który wieczorami często pastuszkowie zapalali, ażeby straszyć ludzi pozorem wybuchującego ognia. Dr. Papp zawiadomił o tem odkryciu rząd, a ówczesny minister skarbu dr. Wekerle, rozporządził wiercenie, które się rozpoczęło z ramienia rządu w listopadzie roku zeszłego. Już w głębokości 20 metrów wydobywały się gazy, które w głębokości 200 metrów miały taką siłę, że wyrzucały w powietrze kamienie wielkości pięści. Obecnie, po ukończeniu prac około wiercenia, gazy wydobywają się z rury żelaznej z taką siłą, że deskę, rzuconą na prąd, rozszczepiają na kawałki, a szum słychać w oddaleniu prawie 10 kilometrów. Jak stwierdzili rzeczoznawcy, wydobywają się z rury 2 metry szcześcienne gazu na sekundę, co daje siłę 20.000 koni. Jest to gaz metanowy o wyjątkowej czystości. Fachowcy krajowi i zagraniczni ze współudziałem komisji rządowej stwierddili, że ciśnienie gazu przewyższa 100 atmosfer i że niema obawy, ażeby się wyczerpał, gdyż w razie zmniejszenia się ciśnienia po szeregu lat można przez dalsze wiercenie uzyskać nowy zapas gazu. Ponieważ źródło gazu jest własnością prywatną, więc prawo używania źródła nabył rząd od właściciela za 100.000 marek. Rząd zamierza tam urządzić wielką centralę elektryczną.

* * *

Samobójstwo Bülowa. W Nowym Orleanie (Stany Zjednoczone) pozbawił się życia Edward von Bülow, bratanek księcia von Bülowa, byłego kanclerza niemieckiego.

Bülow przedtem był aresztowany z oskarżenia o przekroczenia prawa, które zabrania związków pomiędzy białymi a mulatkami.

Bülow przybył do Ameryki przed 12 laty i w roku 1902 poślubił pewną młodą kobietę, która twierdziła, że jest wdową z dwojgiem dzieci. Była ona prawie białą kobietą. Powiła mu dwoje dzieci. Mieszkał z nią spokojnie i zdawało się, że są szczęśliwi.

Nakoniec plotki sąsiadów spowodowały śledztwo i wykrycie, że kobieta ta jest mulatką. Von Bülow został aresztowany, wypuszczony pod kaucją i nakoniec znikł. Ciało jego znaleziono w rzece poniżej miasta. Znaleziono przy nim list, w którym samobójca żądał, żeby jego zwłoki oddano żonie.

* * *

Męczennicy nauki. Rok rocznie powiększa się długa lista ludzi nieustraszonej odwagi, którzy na usługach nauki tracą zdrowie, często nawet życie. I tak: uczony angielski, badacz promieni Röntgena, Harry W. Cor, skutkiem doświadczeń nad stosowaniem promieni X. naraził się na niebezpieczną chorobę skórną i dogorywa wśród straszliwych mąk. Przed dwoma laty zmarł w Londynie bakterjolog dr. Mac Fadyen, poszukując środka na tyfus i malarję, sam uległ zakażeniu, a wkrótce po nim ten sam los spotkał lekarza angielskiego Browna. W kilka tygodni później śmierć zabrała jednego z najbardziej znanych lekarzy amerykańskich dra Powella; ten znowu badał antydoty przeciwko otruciu kwasem karbolowym i, robiąc doświadczenia na sobie samym, tylokrotnie się karbolem zatruwał, iż ostatecznie prób tych nie wytrzymał. Tragiczny wypadek przejechania, który przeciął nagle żywot sławnego odkrywcy radium, paryskiego profesora Curie, prawdopodobnie przyspieszył tylko i tak niechybny jego koniec, gdy bowiem uczony zawiózł do Londynu pierwszą tubę radium, powrócił już wtedy z głęboką raną na piersiach, która przez kilka miesięcy ciężki ból mu sprawiała, gdyż promienie radium przenikły przez ubranie i spaliły mu skórę na piersiach aż do kości. Można powiedzieć, że wskutek doświadczeń swoich utracił prawie ręce, były bowiem zupełnie bezwładne i tak pokaleczone, że bez rękawiczek nikomu się pokazać nie mógł. Wielu lekarzy amerykańskich poszło tą samą drogą; uczniowie Edissona Dally, dr. Weigel, dr. Edwards, dr. Mazatier Pirrie — wszyscy padli ofiarą swojego poświęcenia.

* * *

Przędza ananasowa. Jeden z ostatnich numerów znanego pisma poświęconego tkactwu „Textilwoche" podaje interesujące szczegóły o nowym rodzaju tkaniny, który posiadać ma zupełnie niezwykłe zalety. Materjał ten jest wyrabiany z włókien rośliny ananasowej. Do głównych jego zalet zaliczyć trzeba nie tylko piękny połysk materji, ale przedewszystkiem przejrzystość, dzięki czemu sporządzone z niej przedmioty są wprost wspaniałe. Pismo podnosi, że nowy materjał odegrać może w przemyśle tkackim wybitną rolę, nie ustępuje bowiem wcale tkaninie płóciennej pod względem wytrzymałości oraz elastyczności Ale podczas gdy nitki wszystkich innych materji mają raczej charakter „zakrywający", nić ananasowa zachowuje przejrzysty wygląd, nawet po wybieleniu lub zafarbowaniu. To też autor artykułu bardzo gorąco nawołuje do rozwinięcia w kolonjach na większą skalę hodowli ananasów, dowodząc, że sama produkcja włókien może już być bardzo rentowną.

* * *

Nowy sposób zwalczania chorób zakaźnych. Znany badacz, prof. Ehrlich w Frankfurcie nad Menem, ogłasza szczegóły nowej metody zwalczania chorób zakaźnych, które może sprowadzić przewrót w tej dziedzinie. Rozchodzi się tu o działanie różnych ciał chemicznych, szczególnie takich, które zawierają arszenik. Ciała te zabijają poszczególne gatunki bakterji. Ciała te są jednak zarazem truciznami. W praktyce można więc używać tylko takich ciał, które zabijają bakterje, a pozostawiają nienaruszony organizm ludzki. Rozchodzi się o to, by wynaleźć związki chemiczne, charakterystyczne dla każdego gatunku pasożytów.

Prof. Ehrlich donosi o bardzo dodatnich rezultatach w wypadkach syfilisu u królików. Za pomocą jednorazowej dawki pewnego preparatu arszenikowego zdołano zagoić u królika bardzo wielkie wrzody syfilityczne. Już drugiego dnia nie można było w organizmie tego królika odnaleźć zarazków, które poprzednio znajdowały się tam w ogromnej ilości. Dalsze badania wykażą, czy ten nowy środek przeciw syfilisowi da się zastosować i u ludzi.

Z literatury i sztuki

Numer 26 **„Promyka"**, postępowego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera:

Treść: Hetena Witkowska: Spartakus. — Marja Hantowerówna: Pamiętnik jedynaczki. — Ze świata: Pożar w kopalni. — Wybuch wulkanu na Teneryfie. — Kolej jednoszynowa. — Cudowne jezioro. — Naród, który trzech zliczyć nie umie. — Aanrud: Ślizgawka (opr. J. Mortkowiczowa). — Janina Porazińska: W lesie. — Łamigłówki. — Rozwiązania. — Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Redakcji: Kraków, Wiślna 5, i Warszawa — księgarnia Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 51. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 18 grudnia 1909.

J. OLSZEWSKI.

NIKODEM KIEŁBIK.

(Ciąg dalszy.)

Lecz ten, co kupił od nich, nie patrzył na towar, a na obrót i targi, a te prawdziwie były świetne, jak rzadko gdzie. Nowonabywca zacierał ręce z radości, że mu się udało zrobić tak świetny interes.

Lecz krótką była jego radość: trwała ona tydzień.

Ósmego dnia, otworzywszy jakoś później niż zwykle, swój sklep, spostrzegł w domu naprzeciw jego sklepu położonym, podłużną wielką dziurę wybitą w murze...

Utkwił przerażony wzrok w widniejącą czarną przepaść, z której wyglądały, jakby krwią zbroczone zęby, świeżo wybite, czerwone cegły. — Widok tej podłużnej, czarnej dziury obramowanej czerwonemi cegłami, tak go przeraził, jak przerazić musiał Makbeta nagle ukazujący się cień Banka. Każde uderzenie oskardem w mur odbijało się bolesnem echem w jego sercu. Zdawało mu się, że już umarł, że leży w trumnie i słyszy jak przybijają gwoździami wieko jego trumny. A ta czarna przepaść — to ciemny i wilgotny grób szykowany dla niego. Nie wiedział przecież naco wybijają w murze ową dziurę i jaki tam będzie sklep; — lecz przeczucie mówiło mu, że tam będzie sklep spożywczy — więc dla niego ruina — mogiła.

I stałby tak zapatrzony w ten czarny otwór, z krwawemi zębami i wiszącą jak w paszczy strasznego potworu, białą pianą (którą imitował odłupany wapienny tynk), gdyby go nie obudził z tej zadumy głos stróża, który przyszedł kupić papierosów.

— Dzień dobry panu! — pozdrowił go stróż. — A co, prawda? Mądra sztuka z tego Kiełbika?

— Jakto mądra sztuka? — zapytał sklepikarz drżącym głosem, domyślając się wszystkiego, ale jeszcze łudząc się nadzieją — a może to nie to, co on myśli, może go stróż pocieszy i powie, że Kiełbik założył nowy sklep lub kupił dobry i tanio — lecz gdzieś, daleko od niego. Niemiałby on nic przeciwko temu — owszem niech zakłada i niech mu tam Pan Bóg dopomoże! — byleby tylko nie usadowił się w tej czarnej, ziejącej przepaści z zakrwawionemi zębami. Bo gdyby Kiełbik tam się rozsiadł — połknąłby go napewno.

— A, no, nie widzi to pan, jak nieprzeciwko tłuką dziurę w murze?

— Widzę — odpowiedział sklepikarz głosem umierającego.

— Toć on tam zakłada sklep spożywczy. — Tylko nim będzie gotowy, to oni pojechali se na odpust do Częstochowy — jak ino przyjadom, to się zaro bendom rychrować. — Wywalom śklep, co ha!

W kilka dni sklep był gotowy. Kiełbik kupił na Pociejowie urządzenie sklepowe, zawiesił pomalowane na czerwono znaki, a zasiadłszy wieczorem w sklepie, zaczął wygrywać na harmonji. Rozpoczął swój koncert pobożną pieśnią „Kto się w Opiekę“. Dźwięki tej ślicznej pieśni płynęły przez otwarte na oścież drzwi sklepu, zalewając ulicę, wdzierając się w podwórza i do mieszkań przez otwarte okna. Znajome dźwięki muzyki wprowadziły w ruch dawnych klijentów Kiełbików. Służba obojej płci płynęła do sklepu składać życzenia, posłuchać muzyki, obejrzeć nowy sklep, no — i robić w nim zakupy.

Pani Kiełbikowa z anielskim uśmiechem witała swych dobrych znajomych, ściskając im ręce i całując się w twarz z kobietami. Zaprasza do mieszkania, gdzie na stole stały wódka i zakąski. Zapraszała do stołu wszystkich, bez różnicy, z jednakową uprzejmością i życzliwością — mówiąc:

— Proszę bardzo — moi drodzy państwo — pijcie i jedźcie, jak we własnym domu, bez ceremonji — no i nie zapominajcie o nas.

Dla nabożnych miała obrazki, które przywiozła z Częstochowy; rozdając je swym klijentkom, mówiła:

— To dla panny Marjanny — cudowna Matka Boska, pocierana o welon. A to dla panny Katarzyny — święta Katarzyna Sieńska, wielka święta i męczennica — i westchnęła głęboko i z boleścią, jakby to nie świętą Katarzynę te męczarnie tak bolały, lecz ją, Kiełbikową.

A pan Kiełbik grał na harmonji i grał. Ludzie płynęli do sklepu, jak na odpust do kościoła.

Sąsiad Kiełbików siedział w swym sklepie za bufetem i gorączkowym wzrokiem śledził każdą osobę, wchodzącą do Kiełbików, a co która tam weszła, to biedny sklepikarz drgnął jakby mu za każdym razem ząb wyrwano.

Do dawnych sposobów zjednywania sobie klijentów, Kiełbikowie wprowadzili nowy, postępowy i niezawodny środek, mianowicie: zaofiarowali swym klijentom rabat w ilości 10 procent. Środek ten okazał się wyśmienitym, gdyż nietylko bezbożni i kosmopolici chętnie zgodzili się na tę inowację, lecz w innych kwestjach nader skrupulatni patrjoci i pobożni przyjęli ofiarowany im rabat z zapałem. Lecz Kiełbik zaofiarował tylko ów rabat, ale nie miał zamiaru swej propozycji w czyn wprowadzić. Był to tylko fortel z jego strony, by sobie zapewnić klijentów i zniszczyć swego sąsiada, któremu tylko co sprzedał sklep. Ów rabat miał być wypłacony po skończonym roku, a tymczasem każdy towar, kupiony przez odbiorców, Kiełbik zapisywał do książki, w której każdy kupujący (rozumie się stały) miał swoje conto. Po skończonym roku miał nastąpić ogólny obrachunek i wypłata rabatu.

— A jeżeli ja przed rokiem odejdę z tego obowiązku — pytała kucharka lub młodsza — to mam po te rabaty przyjść aż się skończy rok?

— Ale cóż znowu! — odpowiadał Kiełbik. — Jak pani odejdzie, to zrobi się obrachunek , ile pani wypadnie, tyle pani wypłacę rabatu.

Sąsiad Kiełbików nie mógł dawać swym odbiorcom żadnego rabatu, a przynajmniej nie mógł dawać tak wielkiego; a na pytanie, dla czego Kiełbik może dawać, odpowiadał:

— Nie wiem. Jak Boga kocham, nie wiem! Może on towar kupuje od złodziei lub sam kradnie. Ale ja nie mogę dawać żadnego rabatu. Jak pragnę zdrowia i zbawienia duszy dla siebie, żony i dzieci. Nie mogę dać ani grosza. Ten łajdak chce mnie puścić z torbami. — I odwróciwszy się w stronę sklepu Kiełbika, groził pięścią, wołając: — Zobaczysz ty łajdaku, że za moją ciężką krzywdę Pan Bóg ci zapłaci!...

A Kiełbik wygrywał na harmonji „Kto się w Opiekę". Nie wytrzymał sąsiad Kiełbików. Wszyscy szli naprzeciwko, a do niego ani pies z kulawą nogą nie zajrzał. Ogłaszał w Kurjerze, udawał się do faktorów, którzy wycyganili od niego kilkanaście rubli pod różnemi pozorami, lecz nikt jego sklepu kupić nie chciał. Upływał tydzeń za tygodniem, a on biedny nikł w oczach, jak wiosenny śnieg; zadłużył się za mieszkanie i gospodarz groził komornikiem. Nie mogąc dłużej wytrwać, postanowił uratować choć cokolwiek z tej strasznej dla siebie ruiny.

Pewnego poranku Kiełbik, otworzywszy swój sklep, zobaczył, że jego sąsiad, który zwykle swój sklep wcześniej otwierał, tym razem nie uczynił tego. Kiełbikowie z bijącem sercem oczekiwali, czy to już zamknięty na zawsze, czy tylko chwilowo. Ale około południa zobaczyli dwie fury — jedna zajechała w podwórze, druga — zatrzymała się na ulicy przed sklepem.

Po godzinie drzwi sklepu otworzono i żydzi handlarze poczęli wynosić ze sklepu urządzenie sklepowe, układając je na furze. Wkrótce fura z przed sklepu ruszyła wolno, jak karawan, a wokoło fury i za nią szła gromadka handlarzy w długich łapserdakach, niby żałobnicy za trumną. Zaraz też wytoczyła się z podwórza druga fura ze sprzętami gospodarskiemi. Na wierzchu tych lichych gratów sterczała koszykowa kolebka, która, gdy wóz wytoczył się na ulicę, na nierówny bruk, trzęsła się i podskakiwała.

Pierwsza fura skierowała się na lewo, na Pociejów, na owe cmentarzysko, na którem martwe sprzęty opłakują minione lepsze dni swego bytu. Druga fura skierowała się na prawo i niedaleko, bo na sąsiednią ulicę, gdzie dawniejszy właściciel sklepu wynajął mieszkanie: ciemną, wilgotną suterynę. Za tą drugą furą szła też gromadka ludzi. Eks-sklepikarz niósł w jednej ręce lampkę, w drugiej — obraz Matki Boskiej Częstochowskiej; sklepikarka niosła w ręku dziecię przy piersi; czworo starszych dzieci szło za furą, trzymając się rękami za wystające nogi stołu. Orszak zamykała stara, kulawa kobieta, — snać matka któregoś z nich. Szli jak za trumną. I wszyscy głośno płakali...

Kiełbik, zobaczywszy drugą furę na ulicy i idących za nią eks-sklepikarzy, wziął do rąk harmonję i zagrał. „Kto się w opiekę"...

W opróżnionym sklepie ulokowała się pralnia, a Kiełbikowie, pozbywszy się konkurenta, zapewnili sobie tem większe powodzenie.

W kilka tygodni po opisanych wypadkach przyszła jedna służąca po odbiór swego rabatu. Ale Kiełbikowie odkładali wypłatę z dnia na dzień dla różnych przyczyn, aż wreszcie zniecierpliwiona tylokrotnem chodzeniem służąca trzasnęła drzwiami, wołając:

— Weźcie sobie na śmiertelną koszulę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkodliwość nocnej pracy.

Ile razy robotnicy występowali z żądaniem zniesienia nocnej pracy a tam, gdzie jest to niemożliwem — skrócenia jej, zawsze wywoływało to oburzenie u naszych podżegaczy, którzy się starają w ten sposób odebrać chleb biednym robotnikom. Oni twierdzą, iż nocna praca nie jest wcale niebezpieczną tak, jak to głoszą „podjuszyciele" klasy robotniczej. Jednak dziś już świat naukowy dowiódł, jak słusznem jest to żądanie robotników. By dowieść, jak się dziś zapatrują na tą sprawę w „prawomyślnym" świecie naukowym, przytaczamy tu wywody pruskiego profesora Biermera z „Słownika gospodarki naukowej", wydanego przez profesora Elstera, tajnego wyższego radcy rządowego i referenta przy ministerjum dla spraw duchowych, oświaty i medycyny w Berlinie.

Zdaniem prof. Biermera nie podlega najmniejszej wątpliwości, że praca nocna jest dla organizmu ludzkiego bardzo szkodliwą.

Ponieważ praca nocna równa się pozbawieniu odpoczynku nocnego. Sen we dnie szczególniej dla robotnika przy warunkach jego po pomieszkania, biedoty rodzinnej i stosunku zarobkowego, nie może zastąpić w zupełności odpoczynku nocnego. Do tego należy jeszcze wziąć pod uwagę, że praca nocna daleko więcej odbija się i wycieńcza różne organy ludzkiego organizmu, aniżeli praca podczas światła słonecznego. Praca nocna przyczynia się także do większego używania alkoholu i zwiększania nieszczęśliwych wypadków podczas pracy. Wszystkie te niebezpieczeństwa odbijają się jeszcze w większym stopniu u osób młodocianego jeszcze organizmu i u kobiet, których delikatniejszy organizm wymaga większej i specjalnej pielęgnacji.

Kobiece i młodociane siły robocze, używane do nocnej pracy, narażone są na specjalne i poważne moralne niebezpieczeństwa. Życie rodzinne zostaje rozluźnione, podkopywane i zniszczone, cierpi na tem system wychowawczy i stan duchowy rodziny niweczy się. Takie są wywody profesora Biermera, są one tem charakterystyczniejsze, że pochodzą od pana tak bardzo lubiącego porządek, i że są umieszczone w wydaniu, wypuszczonem w świat przez jednego z pruskich radców rządowych. Do takiego śmiałego czynu przyczyniło się niezawodnie to, że szkodliwość nocnej pracy dla młodzieży robotniczej dziś nigdzie nie podlega najmniejszej już wątpliwości.

* * *

O walce holenderskich piekarzy przeciw pracy nocnej pisze J. Goudsmit w „Niemieckiej Gazecie Piekarskiej i Cukierniczej": Od 20 lat prowadzą już holenderscy robotnicy piekarscy agitację przeciw znienawidzonej przez nich pracy nocnej i walka ta prowadzona jest coraz goręcej. Gdybyśmy chcieli skrupulatnie opisać wszystkie formy i stadja tej tak gorąco prowadzonej walki, okazałoby się tu zbyt mało miejsca na jej opis. Możemy więc tu umieścić tylko najważniejsze jej szczegóły.

W ostatnim roku przyłączyły się do tej walki również i katolicko-kościelne stowarzyszenia piekarskie. W przeciągu at ostatnich rządy holenderskie wniosły aż trzy odnośne projekty prawne. Za każdym razem obrady nad projektami zostawały odraczane aż do nowych wyborów parlamentarnych, a później zostawały cofnięte przez powstałe nowe ministerja. Obecnie jednak odbyły się już jednak nowe wybory i ustępujący rząd chrześćjański obrany teraz został z większością 20 głosów. Obecnym jego obowiązkiem jest więc wzięcie pod obrady projekt odnośnego prawa, wniesiony przezeń w ubiegłym roku, a organizacje piekarskie powinny się poskrzątać, by nagnać rząd obecny do pośpiechu w tym kierunku.

W tym celu zwołała komisja dla zniesienia nocnej pracy w Utrecht wielki mityng narodowy na dzień 1 i 2 września b. r.. Oprócz delegatów z ramienia wszelkich organizacji byli również obecni przedstawiciele wszystkich organizacji zawodowych i wszelkich partji politycznych, jako i szef sekcji ministerjum pracy p. Micolai, jako zastępca p. minister Talma. Ogółem było zastąpionych 45 centralnych związków, 70 stacji płatniczych, 6 karteli związkowych itp; także było 6 członków drugiej Izby. W sali było wywieszonych moc chorągiew i sztandarów.

Po porządku jako mówcy występowali: tow Goudsmit i tow. Beckhorst (przewodniczący i sekretarz holenderskiego związku piekarskiego), pastor Konings, p. Diemer przewodniczący chrześćjańskiego związku piekarskiego), pastor Brumelkamp i towarzysz Szapper, obaj ostatni, jako członkowie drugiej Izby.

Wszyscy oni wskazywali na szkodliwość pracy nocnej i wyjaśnili możność zniesienia pracy nocnej, jeśli rząd będzie tylko uważać za swój obowiązek wkroczenie z przepisami prawnymi.

Na uwagę zasługuje również zachowanie się niektórych wielkich przemysłowców, z których kilku zabierało głos na tym mityngu, a mianowicie: Mr. Blanpotten, Cate i profesor Volmer.

Wszystkim tym maruderom dano słuszną odprawę, a tow. Szapper wykorzystał okazję, by w ostry sposób wystawić pod pręgierz opinji publicznej wiedzę profesora Volmera usiłującego podtrzymać chucie wyzysku kapitalistycznego.

Pod koniec mityngu przyjęto rezolucję, w której wystąpiono stanowczo z przyczyn hygjencznych i etyki moralności przeciw pracy nocnej, wskazano możliwość zniesienia

tejże i wezwano korporacje prawnicze, by możliwie jak najprędzej odnośny projekt prawny w obowiązujące prawo przeprowadzić.

Musimy słusznie przyznać, że ów mityng narodowy nie pozostanie bez rezultatu i niezawodnie w niedalekiej przyszyszłości i w Holandji praca nocna należeć będzie do do przeszłości.

E. ABRAMOWSKI.

Stowarzyszenia wytwórcze robotników przemysłowych.

Stowarzyszenie wytwórcze jest to spółka robotników do prowadzenia własnego przedsiębiorstwa — warsztatów, fabryki lub kopalni — na zasadach wspólnej własności i równego dzielenia zysków pomiędzy stowarzyszonymi. W tym celu robotnicy lub rzemieślnicy tego samego fachu organizują się w towarzystwo akcyjne, rozkupują pomiędzy sobą udziały i z kapitałem zebranym w ten sposób, przystępują do eksploatacji.

Istnieje kilka typów tych stowarzyszeń czyli kooperatyw wytwórczych. Stowarzyszenia pierwsze, które powstały we Francji, utworzone były na tej zasadzie, że każdy członek musi być zarazem akcjonarjuszem i robotnikiem, czyli, że cały kapitał ma pochodzić tylko od robotników pracujących w kooperatywie. W rzeczywistości jednak zachowanie tej zasady rzadko się spotyka. Spotyka się natomiast często akcjonarjuszy, którzy bynajmniej nie pracują w warsztatach kooperatywy, a jeszcze częściej robotników kooperatywy, nie będących jej członkami. Ta ostatnia okoliczność jest prawie niezbędną. Wobec zmienności produkcji, okresów zastoju i ożywienia, stowarzyszenie musi posiadać personał pomocniczy, przyjmowany na czas ożywienia, a oddalany na czas zastoju. Kooperatywy wytwórcze starają się jednak niekiedy zachować czystość swych zasad w ten sposób, że członkowie, którzy przestają pracować w warsztacie kooperatywy (jeżeli to nie jest z braku roboty lub z powodu choroby), przestają być także członkami i otrzymują z powrotem swój udział. Albo też postanawiają w statutach, że robotnicy używani czasowo do pomocy, mają udział w zyskach i mogą stawać się akcjonarjuszami przez nagromadzanie w kasie kooperatywy przypadającej na nich części dochodu. Stowarzyszenia takie spotykają się tylko w małym przemyśle rzemieślniczym. Jeżeli zaś rozwijają się pomyślnie i zwiększają swoją produkcję, natenczas odstępują zwykle od pierwotnych zasad; aby nie dzielić się dochodami nie przyjmują nowych członków, tylko zwyczajnych najmitów. Wtedy kooperatywa robotnicza zamienia się na zwyczajne towarzystwo małych kapitalistów, wyzyskujących pracę innych. Tak np. paryskie stowarzyszenie wyrabiających narzędzia optyczne, początkowo istniejące jako kooperatywa prawdziwa, której wszyscy członkowie byli zarazem robotnikami, obecnie ma tylko 50 członków, a 1500 robotników najemnych.

Inny typ stowarzyszeń wytwórczych są to takie, które mają na widoku nietylko interesy swoich członków, lecz wszystkich robotników pewnego zawodu, lub przynajmniej pewnego związku zawodowego. Ponieważ jednak taki warsztat kooperatywny nie może dać roboty wszystkim odrazu, więc przyjmuje się doń pewien tylko procent robotników, zmieniającycz się według potrzeby. Tak np. w warsztatach stowarzyszenia tapicerów w Paryżu pracują po kolei robotnicy potrzebujący roboty, a czas zmiany oznaczony jest na 15 dni. Są to właściwie warsztaty bezrobocia, które powstawały najczęściej wskutek strejku. Niektóre z nich należą do kilku naraz związków fachowych, jak paryska fabryka powozów, która stanowi własność pięciu różnych związków fachowych, należących do przemysłu powozowego. Dochody z takich warsztatów idą do kasy związku fachowego, a robotnicy korzystają z nich tylko jako członkowie tego związku.

Do tego typu należy także słynna huta szklana w Albi (we Francji), która stanowi własność wszystkich połączonych organizacji robotniczych francuskich. Powstała ona na skutek wielkiego strejku w hutach szklanych. Strejkujący, korzystając z obfitych zapomóg, założyli własne warsztaty. Zorganizowano emisję biletów po 25 centimów, na sumę 500.000 franków. Większość ich została zakupioną przez związki fachowe oraz przez kooperatywy spożywcze i wytwórcze. Osoby prywatne, które brały te bilety, musiały je przekazać jakiemubądź stowarzyszeniu robotniczemu, gdyż przyjęta została zasada, że akcjonarjuszami huty mogą być tylko organizacje robotnicze. Do nich należą zarządzanie hutą i dochody. Dochody, według statutu, mogą być tylko użyte na cele społeczne, ogólnego dobra. Robotnicy, pracujący w hucie, mają trzecią część miejsc w radzie administracyjnej i 40 procent dochodu (oprócz płacy), lecz pod warunkiem, że dochód ten nie będzie dzielony, lecz zachowany jako własność wspólna w kasach oszczędności. Ażeby utrzymać hutę w Albi, robotnicy okazali zadziwiającą ofiarność. Bywało tak, że całymi miesiącami nie brano prawie zapłaty, ażeby tylko huta mogła wybrnąć z kłopotów finansowych. Obecnie interesy jej rozwijają się pomyślnie, dzięki poparciu przez stowarzyszenia spożywcze, które od niej nabywają towar; dzięki także naciskowi, ze strony ogółu robotniczego, na restauratorów i kupców, aby używali tylko naczynia szklane z marką Albi.

Obok tych dwuch typów są także stowarzyszenia wytwórcze akcyjne bez ograniczeń. Członkami ich mogą być nietylko pracujący w warstacie stowarzyszenia, lecz jacykolwiek ludzie, którzy nabyli jego akcje. Ażeby zaś ustrzec się przed przewagą kapitału, w ustawach stowarzyszenia są następujące zaostzenia: 1) członkowie rady zarządzającej są wybierani przez akcjonarjuszów, lecz tylko z pomiędzy pracujących w warsztacie kooperatywy. 2) Zysk kapitału akcyjnego nie może przewyższać $7^1/_2$ proc. 3) Wszyscy robotnicy, pracujący w kooperatywie, nawet tacy, którzy, nie będąc członkami, są tylko czasowo wynajęci, mają prawo do udziału w zyskach. Ten typ stowarzyszeń wytwórczych powstał niedawno; jest ich zaledwie kilkanaście, głównie we Francji. Inicjatorzy ich mają nadzieję, że w tej formie stowarzyszenia wytwórcze będą mogły przejść do przemysłu wielkiego i rozwijać się pomyślnie, dzięki swobodnemu napływowi do nich kapitałów z zewnątrz.

Jak dotąd stowarzyszenia wytwórcze nie wykazały siły rozwojowej, ani zdolności do przeobrażania stosunków społecznych. Znaczna i większość albo ginie po kilku latach istnienia, albo też osiągnąwszy pewien stopień pomyślności zamyka się dla nowych członków i zaczyna przyjmować robotników najemnych, przeistaczając się na zwyczajną spółkę drobnych kapitalistów. We Francji opiekuje się niemi państwo; daje im stałą zapomogę roczną 140.000 franków; zapewnia im pierwszeństwo we wszystkich robotach państwowych i gminnych; oprócz tego z zapomogi rządowej i zapisu filantropijnego powstał w 1893 r. bank pożyczkowy dla kooperatyw wytwórczych, rozpożyczający rocznie około miljona franków. Wszystko to jednak nie może zapewnić tym stowarzyszeniom naturalnego rozwoju. Chorują one stale na brak kapitałów i na brak rynku dla zbycia swoich wytworów. Większość kooperatyw żyje tylko dzięki zamówieniom rządowym; innych klijentów poważnych prawie że nie mają. Już z tego samego powodu nie można ich uważać za samodzielne instytucje ludowe, rozwijające się naturalnemi siłami społeczeństwa; choduje je bowiem filantropja państwa.

Zupełnie inną drogę wybrały stowarzyszenia wytwórcze angielskie. Zamiast szukać subsydji państwowych i wieść opłakany żywot instytucji sztucznie podtrzymywanej, nie rozwijającej się i nie biorącej udziału w procesie demokratycznego przeobrażania gospodarki społecznej, angielskie kooperatywy wytwórcze znalazły punkt oparcia i siły rozwoju w połączeniu się z kooperatywami spożywczemi. Widzieliśmy już uprzednio do jakiego świetnego stanowiska dochodzą spółki wytwórcze w takiem zespoleniu. Droga do tego prowadząca jest bardzo łatwą tam, gdzie stowarzyszenia spożywcze są już rozwinięte. Stają się one akcjonarjuszami spółki wytwórczej i dostarczają przez zakupione udziały lwią część jej kapitałów zapasowych i obrotowych. Przez swoje zamówienia na towary otwierają spółce obszerny i trwały rynek zbytu; przez swoje uczestnictwo w administracji warsztatów, jako akcjonarjusze spółki, dają jej pomoc swej inteligiencji fachowej, wyrobionej długiem i wszechstronnem

doświadczeniem. W tych warunkach spółka robotnicza wytwórcza ma wszystkie przywileje ekonomiczne wielkiego przedsiębiorstwa, a co najważniejsze, przestaje być samolubnym, zamkniętem towarzystwem kilkudziesięciu spólników. Staje się ona wtedy organem wytwórczym całej federacji otwartych dla każdego ze stowarzyszeń spożywczych, a jej warsztaty stają się wspólną własnością wielo.ysięcznych mas ludu, zorganizowanego w tych stowarzyszeniach. Jest to produkcja uspołeczniona, która prowadzi się nie dla korzyści małego kółka robotników, tworzących spółkę, lecz dla interesów ogółu spożywców. Pierwsi, którzy zakładali we Francji kooperatywy wytwórcze, stali na fałszywem stanowisku, uważając, że warsztaty i fabryki powinny stanowić wyłączną własność tych, którzy w nich pracują. Gdyby nawet taka reforma udała się, społeczeństwo nie byłoby jeszcze wyzwolonem od przywilejów i wyzysku. Spółki robotnicze, posiadające fabryki jako spółki, zamknięte z konieczności rzeczy, z ograniczoną liczbą członków, prowadziłyby produkcję dla zysku swoich wspólników, tak samo jak dzisiaj akcyjne fabryki kapitalistów dbają tylko o zyski swoich akcjonarjuszy; w społeczeństwie wytworzyłaby się nowa klasa uprzywilejowana, robotnicza, oddzielona od reszty społeczeństwa swym monopolem właścicieli fabryk; istota jednak rzeczy małoby się zmieniła. Gospodarka nie byłaby zdemokratyzowana, nie byłaby w ręku wszystkich, nie rządziłby nią cały ogół zainteresowanych, tj. cały ogół spożywców wszystkich ludzi. Zadanie to — zdemokratyzowania i uspołeczniena produkcji — rozstrzyga się dopiero w kooperatywach spożywczych. Fabryki i gospodarstwa, które ich własność stanowią, nie mają już na sobie żadnego piętna przywileju. Do kooperatywy spożywczej wejść może każdy; stoi ona otworem dla wszystkich; i wszystko co posiada — kapitały, instytucje pomocy, fabryki, gospodarstwa, magazyny — jest własnością dostępną dla każdego. Interesy jej prowadzą się nietylko dla korzyści tych co administrują lub co pracują w jej zakładach, ale dla korzyści całego ogółu członków. Jest to w całem znaczeniu tego słowa rzecz pospolita, rzecz wszystkich.

Z tych to powodów kooperatyzm w każdym kraju, zaczynać się powinien od stowarzyszeń spożywczych; spółki zaś wytwórcze robotnicze, które chcą pójść drogą szerokiego rozwoju i którym ma przyświecać idea wyzwolenia społecznego, powinny poszukiwać między stowarzyszeniami spożywczemi swoich głównych akcjonarjuszy i na nich oprzeć swoją gospodarkę. Zadanie ich właściwe jest to organizowanie warsztatów dla szerszych zrzeszeń ludowych.

Rozmaitości

Prawo powietrzne. Rozwiązaniem wątpliwości prawnych, dotyczących lotnictwa i uregulowaniem ich na podstawie, czy też przy pomocy prawa międzynarodowego ma się zająć w najbliższym czasie międzynarodowa konferencja zwołana do Paryża, w której miedzy innemi mają też wziąć Niemcy. Delegaci niemieccy będą już mieli nawet przygotowane projekty, które miano uchwalić na kilku przedwstępnych konferencjach w urzędzie spraw zewnętrznych Rzeszy niemieckiej przy uczestnictwie hr. Zeppelina. Interesujące szczegóły w tym względzie podaje świeżo ogłoszona broszura, traktująca o tem, napisana przez prawnika monachijskiego dr. M. Fleischmana (wydawnictwo Ernesta Reinhardta, Monachium 1910).

Ogromne trudności przedstawia rozmaitość prawa na każdej granicy. Na liczne, przykre ewentualności narażony jest już okręt, który, zapędzony wiatrem, przybije do obcego brzegu, cóż dopiero mówić o statku powietrznym, który tem łatwiej z wysokości 2000 metrów moze spaść na ziemię, pomyliwszy się o słup graniczny. Nieuniknionem w tym względzie jest więc zniesienie granic państwowych w powietrzu a stworzenie większych, olbrzymich obwodów prawnych z równem prawem dla latającego i lądującego z powietrza człowieka. Pomyśleć tu trzeba i o takich ewentualnościach, jak przedmiot, spadający z gondoli, lub szkody na ziemi, wynikłe z upadku i katastrofy balonu.

Nowe prawo, rozciągające się na olbrzymie obwody, wymaga jednak zmieniającej się kontroli. Czy można tu sobie wyobrazić policję napowietrzną? Latarnie morskie i domki cłowe już nie wystarczą. Udoskonalająca się ciągle żegluga powietrzna wymagać będzie portów dla statków powietrznych, wielkich portów na granicach naturalnych komunikacji (góry i morza) i portów mniejszych wewnątrz wielkich przestrzeni. W portach tych funcjonować będzie musiał urząd sprawiedliwości publicznej, który z nieznaną dotąd szybkością będzie załatwiał wszelkie prawne cywilne i karne afery powietrzne; tu będą rozstrzygane kwestje cłowe, tu też — jeśli już na dobrze puści się wodze fantazji — będą urzędownie stwierdzane urodziny dzieci, które światło dzienne zobaczą w przestworach powietrznych.

Podstawową ideą obrad konferencji paryskiej ma być więc: ujednostajnienie przestrzeni powietrznej, równe prawo dla wszystkich latających, bez względu, nad jaką ziemią się znajdują, a przytem i utrzymanie i zachowanie osobistych zdolności prawnych danego osobnika.

* * *

Ubezpieczenie przeciw gruźlicy w Szwecji. Ażeby umożliwić leczenie gruźlicy płucnej w stosownych zakładach także osobom niezamożnym, oparło je szwedzkie towarzystwo ubezpieczeniowe „Trygg" na podstawie ubezpieczenia na życie. Warunkiem ubezpieczenia się przeciw gruźlicy jest posiadanie polisy ubezpieczenia na życie przynajmniej na 500 mk. i rewizja lekarska przy rozpoczęciu ubezpieczenia na życie. Dopłata na równoczesne ubezpieczenie przeciw gruźlicy stosownie 5—10 orów, a czas czekania (karencyjny) 2 lata. Jeżeli ubezpieczony po upływie owych 2 lat zapadnie na zdrowiu tak dalece, że stanie się niezdolnym do zarobkowania, to ustaje obowiązek płacenia dalszych premji, nadto otrzymuje ubezpieczony 250 mk. gotówką albo utrzymanie w leczniczy do wysokości tej sumy. Owe 250 mk. wypłaca towarzystwo w postaci zaliczki i kwotę tę przy śmierci, albo po upływie czasu ubezpieczeniowego z ogólnej sumy potrąca. Zabezpieczeni w ten sposób tworzą osobny oddział dywidendowy. Oprócz tego towarzystwo ubezpieczeniowe zawarunkowało sobie zniżenie kwoty ubezpieczeniowej na wypadek, gdyby śmiertelność wśród ubezpieczonych nadzwyczaj wzrosła. Jakie będą wyniki powyższego ubezpieczenia, dziś oczywiście określić się nie da.

* * *

Zwalczanie trachomy. Rząd Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki od kilku lat prowadzi zaciętą walkę ze straszną chorobą oczu, trachomą, która w ogromnych rozmiarach rozwielmożniła się w tym kraju przeważnie dzięki przyjezdnej z Europy biedocie. Mając na względzie to, że choroba ta nie leczona w początkach jej pozostaje u słabych limfatycznych już na całe życie, władze amerykańskie nie wpuszczają ani jednego emigranta do swego kraju z objawami tej choroby. Zobowiązały nawet wszystkie statki przywożące emigrantów badać stan ich zdrowia przed przyjęciem na statek i w razie skonstatowania trachomy właściciel statku płaci karę 100 dol. i swoim kosztem musi odwieźć chorego nazad. Środki te dały świetne rezultaty. Gdy przed wydaniem tego surowego prawa (więc przed 1907 r.) na pół miljona chorych na oczy, trachoma dawała 4 proc., po 3 latach została zredukowaną do 2 proc. Zarząd sanitarny Stanów Zjednoczonych ma nadzieję wkrótce zniszczyć ostatecznie trachomę na całej ogromnej przestrzeni kraju.

Z literatury i sztuki

Numer 28 **„Promyka"**, postępowego pisma dla młodzieży i dla dzieci, wyszedł i zawiera:

Treść: Janusz Korczak: Józki, Jaśki i Franki. — Marja Czaplicka: Wschód słońca na Besztau. — Marja Hantowerówna: Pamiętnik jedynaczki. — Aanrud: Ślizgawka (opr. J. Mortkowiczowa). — Marja Konopnicka: Choinka w lesie. — Łamigłówki. — Rozwiązania. — Odpowiedzi od Redakcji.

Adres Redakcji: Kraków, Wiślna 5, i Warszawa — księgarnia Centnerszwera i Sp. ul. Marszałkowska 143.

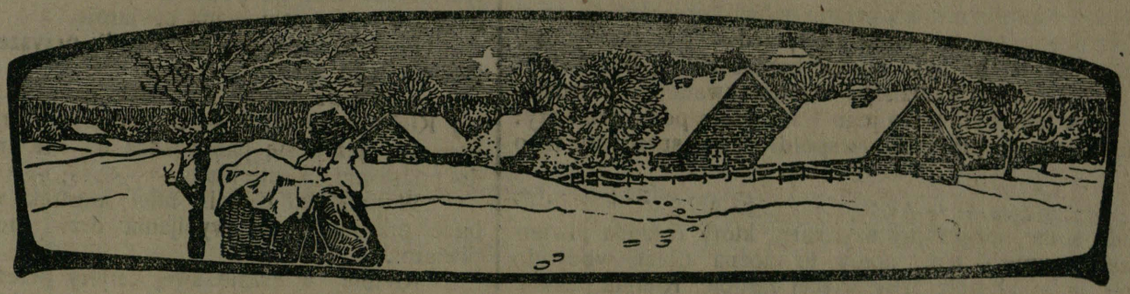
Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Nr. 52. Rok III.

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 25 grudnia 1909.



✲ ✲ GWIAZDKA ✲ ✲

(Można śpiewać na nutę: „O gwiazdeczko, coś błyszczała.“)

Ziemia w mroźnych stoi rosach
Jak w śmiertelnem gzle —
Ale gwiazdka na niebiosach
Świeci, błyska w mgle.

Za nią, za nią, w jasne dale!
Gdzie lśni gwiazda — cud —
W przyszłość płyńmy jako fale —
Robotniczy lud!

Bo wciąż jaśniej wśród zamieci,
Wśród wędrówki prób,
Nasza gwiazda płonie, świeci,
Jak Mojżesza słup.

Ach, do ziemi obiecanej
Wiedź nas gwiazdko, wiedź,
A gdzie pada brat zbłąkany
Tam najjaśniej świeć.

Bośty gwiazdą Narodzenia
Nowych świata sił,
Gwiazdą ludu wyzwolenia —
Aby w słońcu żył.

Z mroźnych dziedzin krzywd i złości
Prowadź w wiosny świat!
Gdzie zakwitnie siew równości
I braterstwa kwiat.

J. OLSZEWSKI.

NIKODEM KIEŁBIK.

(Ciąg dalszy.)

Potrzymali Kiełbikowie swój sklep jeszcze parę miesięcy i sprzedali go za 2000 rubli. Wyprowadzili się tym razem zupełnie z tych stron. Zadużo mieli już tu nieprzyjaciół. Ludzie przekonali się, że mieli do czynienia z szachrajami, a tylko brak sklepu w pobliżu zmuszał ich do kupowania u Kiełbików.

Kiełbikowie jeszcze przez 4 lata handlowali sklepikami. Naokpiwali mnóstwo ludzi; niektórych przyprowadzili do nędzy. Byliby pewnie ten łańcuch pokrzywdzonych przedłużyli jeczsze, lecz Kiełbikowi uprzykrzyło się to cygańskie życie, tembardziej, że wbrew zapewnieniom jego godnej połowicy, dalecy jeszcze byli od upragnionego celu — od majątku. Handel sklepami, mimo bezceremonjalnego oszustwa, nie dawał takich korzyści, o jakich marzył Kiełbik. Postanowił on przeto przerzucić się na inne pole. Narazie nic odpowiedniego nie trafiło się, uradzili więc oboje, żeby trochę po tej pracy odpocząć i rozglądać się za jakim nowym gieszeftem. Tak też zrobił.

IV.

Po sprzedaniu ostatniego sklepu kapitał Kiełbików przedstawiał się w sumie 25.000 rubli. Dla zwykłego śmiertelnika był to wielki majątek; dla Kiełbika było to kilka marnych groszy! Kiełbik byłby się pewnie rzucił na coś większego, ale powstrzymywała go żona, która mówiła:

— To, co mamy, jest zamało na większe przedsiębior-

two; trzeba dopędzić choć do 40.000, wtenczas będzie można prędzej o czems pomyśleć. Ja nie mam chęci znów dorabiać się na sklepikach, tembardziej, że ten interes nie daje już tego, co dawniej. Trzeba coś nowego obmyślić.

Pewnego dnia Kiełbik, powróciwszy z miasta, usiadł na otomanie, a przywoławszy swą magnifikę, począł jej szeptać do ucha; kiedy skończył, tak mu odpowiedziała:

— A widzisz — mówiłam ci, żebyś poszedł do „niego", — „on" dużo może zrobić... „On" dobrze ci radzi; na „tem" można grubo zarobić...

. . . . . .

To, co Kiełbik opowiadał szeptem swej żonie, była wiadomość, że „on" doradził mu założyć piwiarnię.

Powie czytelnik, że Kiełbik nie miał się z czem tak bardzo kryć. Mógł to powiedzieć głośno, nawet przy świadkach i niktby mu tego za złe nie wziął, a nawet niejeden możeby go i pochwalił.

Ja tezbym go pochwalił, gdyby Kiełbik miał zamiar sprzedawać gościom dobre piwo w dużych kuflach i — niedrogo. Któżby go zato śmiał ganić?

To też Kiełbik nie o piwiarni mówił szeptem do swej żony, lecz o tem, że on podjął się sprzedawać jeszcze „coś", a o tem „coś" trzeba było mówić bardzo cicho, bez świadków i osobie bardzo zaufanej i zainteresowanej w przedsiębiorstwie. A taka była tylko jego żona, która powiedziawszy: owszem, dobrze — przyrzekła współdziałać w sprzedaży tego „coś"...

. . . . . .

Taki sobie, zwyczajny szynkarz, który zakłada piwiarnię, myśli pewnie o tem, jakby to można dolać wody do piwa lub bodaj zlewek, żeby więcej zarobić. Kiełbik, zakładając piwiarnię, nie myślał o tem. On wiedział, że tą drogą daleko by nie zaszedł; jest to stara sztuka i nic nie warta; — po paru takich operacjach pies do niego by nie przyszedł. Kiełbik będzie dawał gościom dobre piwo, by sobie zjednać liczną klijentelę, a w szczególności — ich zaufanie.

Zwierzywszy się swej żonie ze swemi projektami, wybrał się on na odszukanie odpowiedniego miejsca na założenie owej piwiarni. Za teren swej działalności obrał sobie fabryczną dzielnicę miasta. Upatrzył sobie dom, w którym nie było lokalu odpowiedniego, tj.urządzonego na taki zakład, lecz mógł być. Porozumiał się z właścicielem domu i ten zgodził się na urządzenie frontowego wyjścia i odpowiednie przygotowanie lokalu. A było to tem łatwiejsze, że lokal stał pustkami, można więc było zająć go każdej chwili.

Odszukawszy mieszkanie, udał się Kiełbik do jednego z większych browarów z propozycją otworzenia we wskazanem miejscu piwiarni i osadzenia jego, Kiełbika, jako sprzedawcy. Rozmawiając z dyrektorem browaru, przedstawił, jakie korzyści mieć będzie browar, jeżeli otworzą we wskazanym miejscu piwiarnię.

— Punkt ten — mówił Kiełbik — jest najodpowiedniejszy, raz, że piwiarni w pobliżu niema. Ta zaś piwiarnia, co jest na rogu Krzywej ulicy, jest mała i brudna... My otworzymy w nowym domu, wprost fabryki giętych mebli. Są tam 4 duże sale i jeden mały pokój, który będzie służył jako gabinet dla porządniejszych gości. — Mieszkanie niedrogie i ładne. — A co najważniejsze to to, że ja mam na to sposób, by ich do siebie ściągnąć. — I ręczę panu — że ta piwiarnia, w której ja będę gospodarzył, da panu najlepsze dochody. Ja jestem w tem zainteresowany przecie; gdybym widział, że tam nie da się nic zrobić, to nie zawracałbym sobie głowy.

Dyrektor browaru uważnie wysłuchał Kiełbika. Spodobał mu się, bo był to chłop rosły i przystojny; a najbardziej podobała mu się jego pewność powodzenia. Jednakże zapytał:

— Jeżeli pan jesteś pewny powodzenia, to dla czego nie otworzysz tam piwiarni, czy restauracji na własne ryzyko? Wszak dałoby to panu lepsze zyski, niż je mieć będziesz, pracując jako nasz oficjalista; nie biorąc już w rachubę tego, że będziesz od nas zależnym...

Kiełbik przygotowany był na podobne zapytanie.

— Zapewne, że takbym postąpił — odpowiedział — tylko ja nie mam tyle pieniędzy. Mam wszystkiego kapitału około 3000 rubli, a to zamało na urządzenie, opłacenie kolmornego, patentu itp. wydatki. Tymczasem pan ma urządzenie gotowe na składzie, trudność jest tylko w przewiezieniu i ustawieniu. Oto dlaczego nie mogę otworzyć na własne ryzyko. Lecz jeżeli ja pakuję w ten interes wszystko, co posiadam, przeto muszę byc pewnym powodzenia. Zastrzegam tylko sobie pięcioletni kontrakt.

Kiełbik chciał, żeby browar założył piwiarnię na swoje ryzyko, gdyż wiedział dobrze, że na interesie, do którego się zabierał, można było grubo zarobić, ale też odrazu i klapnąć... Takiego finału Kiełbik sobie nie życzył, ale przewidywał jego możliwość; chciał przeto ręce mieć wolne, a nie miałby ich, gdyby otworzył piwiarnię na własne ryzyko. Sprzedać znów piwiarnię nie tak łatwo jak sklepik, w dodatku jeżeli grunt chwieje się pod nogami. Tymczasem on przy cudzym ogniu i w cudzym piecu chciał upiec swoją pieczeń... Miał gotowy plan, a w kontrakcie zastrzegł sobie, że gdyby z przyczyn od niego niezależnych, zmuszony był miejsce swoje opuścić, to browar obowiązany jest wydać mu jego kaucję procentami.

Dyrektor kazał się Kiełbikowi zgłosić za kilka dni, a tymczasem miał się porozumieć z właścicielem domu, upatrzonego na projektowaną piwiarnię.

Po upływie kilku dni Kiełbik przyszedł dowiedzieć się jak stoi jego sprawa.

— Zgadzamy się na pański projekt — rzekł, zobaczywszy Kiełbika dyrektor. — Oto są nasze warunki, niech pan je przejrzy; jeżeli się pan zgadza na nie, możemy przystąpić do podpisania kontraktu.

W parę dni Kiełbik miał kontrakt w kieszeni, a mularze przystąpili do wybijania drzwi frontowych w nowej piwiarni.

Kiełbik, w czasie swej karjery przedsklepikarskiej był zagorzałym demokratą, chociaż znaczenia tego terminu nie rozumiał. Nie rozumiał również co znaczy arystokracja. Dla niego każdy był arystokratą, kto miał pieniądze. Tylko on tę arystokrację dzielił na dwie kategorje, t. j. wielką arystokrację, i małą arystokrację. Do wielkiej arystokracji — jego zdaniem — należał każdy, kto miał wielki majątek, do małej arystokracji zaliczał wszystkich posiadaczy małych fortun. A do demokracji zaliczał wszystkich niemających pieniędzy. Tych nie dzielił już na wielką i niewielką demokrację.

Całem jego marzeniem było zdobyć majątek i stać się arystokratą, jeździć karetą, na drzwiach której będą wymalowane różne dziwolągi, mające oznaczać jego herb. Gdy dojdzie do upragnionego celu, to plunie na demokrację, bo trudno mu będzie oddychać tem, co i ona powietrzem. Dziś, pocichu nazywa on demokrację bydłem, hołotą; potem, gdy wedle własnego pojęcia zostanie arystokratą, to powie głośno. Teraz, kiedy otworzył piwiarnię w dzielnicy fabrycznej, stał się nawet ultrademokratą i nosił czerwoną krawatkę, wprawdzie niewielką, ale zawsze czerwoną.

Przytem przypomniało mu się, że on także jest rzez mieślnikiem, ma on wydany na dowód tego patent cechowy — „Leibrycht" — jak się wyrażał. Wisiał on u niego w domu nad kanapą, oprawiony w złocone ramy, które zrobił mu terminator od pozłotnika ram na imieniny. On ma przeto naturalne prawo nazywać się ich bratem. On przecież kocha ich i z miłości dla nich otworzył taką ładną piwiarnię. Gdyby nie on, musieliby robotnicy chodzić do tej brudnej i małej knajpy na róg Krzywej lub dalej jeszcze. Toż oni, robotnicy, będą umieli ocenić jego dobre serce, zresztą da on im to jakoś do zrozumienia. Robotnicy — to zacni ludzie, to ludzie pracy, oni nie są wymagający, tylko trzeba umieć z nimi mówić i postępować. A on to potrafi — ho, ho — potrafi.

V.

Otwarcie piwiarni nastąpiło w sobotę.

Browar na tę uroczystonść inauguracyjną ofiarował 25 antałków piwa, którem miano częstować dziś bezpłatnie każdego gościa. Tylko miód, przekąski i papierosy nie należały do bezpłatnych. O godzinie 6 wieczorem zaczęli się schodzić pierwsi goście, więcej z ciekawości, niż z pragnienia; chociaż było dużo i takich, co przyszli pić piwo aż do upadku, bo dawano darmo.

Kiełbik przewidywał na dzisiejszy dzień duży napływ gości i dla tego najął kilku kielnerów do obsługi, i sam też usługiwał. Trzeba się było dać poznać.

Przy jednym ze stołów w prawie pustej jeszcze sali usiadło czterech robotników — dwuch starszych i dwuch młodszych — i zażądali czterech kufli piwa dla siebie. Popijając musujące piwo, rozglądali się po sali i przypatrywali się zawieszonym na ścianach oleodrukom, robiąc głośne uwagi i spierając się między sobą o treść obrazów. Zainteresował ich wiszący nad ich stołem rysunek w złoconych ramach. Poznali w nim patent rzemieślniczy. Jeden z nich powstał, chcąc przeczytać jego tekst, a przeczytawszy zwrócił się do swych towarzyszy ze słowami:

— To pewnie tego knajpiarza jest ten lerbrif? To on jak widać jest robociarz — krawiec.

— Pewnie, że jego — przyświadczył drugi — zresztą zapytamy go.

Zastukali kuflem w stół, żądając nowej porcji piwa.

Kiełbik, obserwujący ich zdaleka i widząc ich zainteresowanie się jego patentem, wstrzymał idącego obsłużyć ich kielnera i sam przystąpił do stolika.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LILLY BRAUN.

Przewrót, dokonany przez maszynę.

Upłynęło z górą sto lat. Wielka rewolucja francuska, zrodzona wspólnym wysiłkiem kobiety i nędzy, zapomniała wkrótce o tych swoich życiodawczyniach; jej „prawa człowieka" były tylko prawami mężczyzny, jej wolność i równość dla pracujących niewolników nie miały prawie żadnego znaczenia. Z areny życia politycznego wycofały się tedy kobiety równie prędko, jak były na nią wstąpiły. Nie powróciły już wszakże do swych ognisk domowych. W tym czasie bowiem pociągnęła je ku sobie nowa potęga-maszyna, która na wszystkich polach produkcji poczynała zastępować siłę mięśni ludzkich i przez to umożliwiała pracę coraz liczniejszym zastępom ludzi, nieposiadających siły fizycznej. Właściciele maszyn, pragnąc wydusić z nich jak największe zyski, wybierali do ich obsługi najsłabsze — a zarazem najtańsze — siły robocze: kobiety i dzieci. Każde udoskonalenie techniczne wyganiało z warsztatów tłumy mężczyzn, a natomiast pędziło do fabryk takież tłumy kobiet. Robotnik, o ile nie chciał być wyrzuconym na bruk, musiał obniżyć swe żądania do poziomu płacy roboczej, jaką pobierała jego współzawodniczka — kobieta; z chwilą wszakże, gdy to uczynił, nie był już w możności ze swego zarobku utrzymać rodziny i przeto odtąd i żona jego i córki zmuszone zostawały również starać się o zarobek. Stwarzało się błędne koło: praca kobiet obniżała zarobki mężczyzn, niska zaś płaca mężczyzn sprzyjała rozwojowi pracy kobiecej — i tak w kółko bez końca. Rzekome prawo przyrody, które dotychczas przykuwało kobietę do domowego ogniska i w czterech jego ścianach zamykało całą jej pracę zarobkową, zdawało się być teraz naruszonem; to też z całą wściekłością, jaka ogarnia ludzi, gdy stare ich przyzwyczajenia i nałogi zostają naruszone, rozpoczęli robotnicy walkę ze swojemi współzawodnicami — walkę o pracę. Ale ani przemoc i gwałty, ani potęga organizacji zawodowych nie zdały się tu na nic. Albowiem rozwoju społecznego niepodobna zatamować, a kto mu wpoprzek drogi stanie, bywa przezeń zmiażdżony. Nie lekkomyślność ani też niechęć do spełniania obowiązków domowych oddawały zastępy kobiet na pastwę tyrana-maszyny, lecz nędza, ta sama okrutna nędza, która ongi, za czasów rewolucji francuskiej, wplotła je była w koło wszechświatowej historji.

Już w 1839 roku w przędzalniach angielskich kobiety stanowiły więcej niż połowę ogółu zatrudnionych robotników. We dwadzieścia lat później ogólna liczba mężczyzn podwoiła się, kobiet zaś — potroiła się. Po upływie dalszego trzydziestolecia liczba mężczyzn, zatrudnionych w przemyśle, zwiększyła się o 53%, liczba zaś kobiet — o 221%. We wszystkich krajach, gdzie maszyna znalazła zastosowanie w przemyśle, widzimy takie same zjawisko, które z biegiem czasu coraz bardziej się uwydatnia. Statystyka ludności i pracy zawodowej wszystkich państw cywilizowanych poucza nas, że liczba kobiet, pracujących w przemyśle, zwiększa się daleko szybciej, niż liczba mężczyzn, szybciej nawet, niż przyrost ludności kobiecej. Same Niemcy liczą 6 i pół miljona zarobkujących kobiet, z tych zaś 5 mil. należy do proletarjatu. Na każdych 100 robotników obojga płci przypada już dziś z górą 36 kobiet, t. j. więcej, niż trzecia część.

Przewrotowy wpływ maszyny jeszcze bardziej uwydatnia się w dziedzinie pracy kobiet zamężnych. Rozpowszechnionem jest mniemanie, że kobiety zamężne są zazwyczaj wolne od konieczności zarobkowania, że, jak dawniej, tak i teraz, powinien ciążyć na nich jedynie obowiązek doglądania domu i dzieci. Rozwój wszakże kapitalistyczny, ściśle związany z rozwojem techniki maszynowej — albowiem tylko kapitalista jest w możności stosowania maszyn — nie pyta o względy obyczajowe; czerpie siłę roboczą tam, gdzie mu to najkorzystniej. Razu pewnego w Ameryce urządzono wśród przedsiębiorców ankiety w celu wyjaśnienia powodów, dla których przyjmowane są do fabryk kobiety zamężne. Wszystkie odpowiedzi brzmiały jednakowo: ponieważ są pewniejsze i zręczniejsze (mają dłuższą wprawę niż młode dziewczęta); ponieważ bardziej interesują się pracą (dziewczęta uważają pracę za tymczasowy etap do małżeństwa); ponieważ mniej są wymagające (z powodu dzieci zmuszone są często pracować za byle jaką zapłatę); ponieważ mniej są skłonne do strejkowania (troska o dzieci przezwycięża w nich niekiedy poczucie solidarności względem towarzyszów pracy). Takie same mniej więcej odpowiedzi dawali inspektorom fabrycznym przemysłowcy niemieccy, kładąc przedewszystkiem nacisk na to, że przemysł nie może się pozbywać najzręczniejszych swych robotnic. Tak tedy potrzeby kobiet zbiegają się z życzyniami przedsiębiorców.

Wobec tego, że praca proletarjatu robotniczego przybiera coraz bardziej sezonowy charakter, mężczyzna coraz częściej narażony bywa na przymusowe bezrobocie, trwające tygodnie i miesiące całe. Złe czasy, jak obecne, pogarszają jeszcze ten stan. Któż w takich chwilach, jeżeli nie kobieta, ma troszczyć się o utrzymanie rodziny? Prawienie jej tedy morałów na temat obowiązków gospodyni domu i matki, oskarżanie jej o zaniedbywanie tych obowiązków, gdy idzie do warsztatu lub fabryki, miast gotować obiad lub doglądać dzieci, zakrwawa na gorzką ironję, albowiem właśnie głód dzieci i troska o nie wypędza kobietę z domu. Nietylko wszakże w ciężkich okresach przejściowych zmuszona jest kobieta własną pracą wyrównywać niedobór w zarobku męża. Większość zamężnych robotnic musi stale oddawać się pracy zarobkowej, gdyż płaca zarobna mężczyzny, aczkolwiek stale się powiększa, jednakże bynajmniej nie w tym stopniu, w jakim wzrastają ceny artykułów spożywczych, a przedewszystkiem ceny mieszkań, ani też w jakim wzrastają materjalne i duchowe potrzeby samego robotnika. Sprawozdanie niemieckiego inspektoratu fabrycznego za rok 1899 — nb. w toku tym nie było kryzysu przemysłowego — wskazuje wyraźnie na to, że niedostatek był przyczyną pracy zamężnych kobiet w fabrykach. W wielu okręgach fakt ten stwierdzono za pomocą cyfr. A trzeba pamiętać o tem, że ludzie, którym niczego nie brak, zwykle potrafią dostrzec niedostatek dopiero tam, gdzie wyszczerza on zęby z zapadłych oczu lub podartych łachmanów. Ale bywa jednak i niewidoczny napozór niedostatek, który człowiekowi, stojącemu pod względem kulturalnym wyżej od chińskiego kulisa lub niewolnika, doskwiera również boleśnie, jak głód i chłód. Spółczesny robotnik przestał już być ślepym i głuchym na wszystko, co stanowi ozdobę życia, co podnosi ducha, uszlachetnia serce. Żąda dopuszczenia go do udziału w zdobyczach kultury, które własnym potem stworzył. Pragnie poznać, rozumieć i używać wszystkich dobrodziejstw nauki i sztuki, nie zadowalają go już okruchy, spadające z pańskiego stołu. Ale żeby dostać się do owych skarbów, które ludzkość tysiącletnim trudem nagromadziła, potrzeba posiadać złoty, czarodziejski klucz, który wszystko otwiera. Albowiem niestety, nawet wolną przyrodę, lasy i łąki, góry i morza chciwość ludzka ogrodziła murami i parkanami, które przestąpić mogą jeno ci, co płacą gotówką. Płaca zaś robotnika w najlepszym razie starczyć może na zaspokojenie fizycznego głodu jego i jego rodziny.

Ropow szechnionem jest mniemanie, że aczkolwiek

pod naciskiem warunków zarobkowa praca kobiet poczyniła duże postępy, to jednak dziś osiągnęła ona najwyższy stopień swego rozwoju i na przyszłość jeżeli nie praca kobiet wogóle, to przynajmniej udział zamężnych kobiet w walce o byt musi się zmniejszyć. Ci, co tak twierdzą, nie mogą się powołać na żadne inne argumenty prócz własnych pobożnych życzeń, albowiem dopóki nie zostaną usunięte przyczyny, zmuszające kobietę do szukania pracy zarobkowej, dopóty muszą istnieć i ich skutki.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości

Co wolno odciągać od zarobku? Co pracodawca odciągać może robotnikowi od zarobku, nie wszyscy wiedzą. Dlatego kilka słów o tem powiemy.

Pracodawca odciągnąć może przy wypłacie robotnikowi od zarobku prawnie przepisane składki do kasy chorych (jeżeli robotnik do kasy chorych należy) i do zabezpieczenia na niemoc (inwalidztwo). Do kasy chorych płaci robotnik $^2/_3$ składki. Jeżeli np. składka wynosi 60 fen., płaci robotnik 40 fen. Jedną trzecią w tym przypadku 20 fen., płaci pracodawca z własnej kieszeni. Do zabezpieczenia na na niemoc (inwalidztwo) płaci robotnik połowę składki (za pół znaczka), drugą połowę opłaca pracodawca. Pracodawca obciągnąć może robotnikowi przypadające na niego składki przy wypłacie. Jeżeli jednak pracodawca robotnikowi przy wypłacie składek nie odciągnął, to później za dzas ubiegły odciągnąć mu wolno tylko składki za ostatnie pwa okresy wypłatowe. Okres wypłatowy liczy się od wypłaty do wypłaty; długość jego wynosi np. tydzień lub dwa tygodnie, zależy od umowy lub zwyczaju, bez względu na to, czy zarobek w dniu wypłaty wypłacony był lub nie.

Dalej może odciągnąć pracodawca od zarobku robotnika pewną kwotę jako kaucję, jak to przepisuje § 119 a ustawy procederowej. Kaucja ta służyć ma pracodawcy jako odszkodowanie w razie bezprawnego zerwania umowy ze strony robotnika. Kaucje wolno żądać tylko od robotników zarabiających najmniej 1500 marek rocznie i tylko od tych, którzy w pisemnej lub ustnej umowie z pracodawcą wyraźnie na to się zgodzili.

* * *

Ludożercy. Nowojorski dziennik „Tribune“ donosi, że oddział, złożony z 8 żołnierzy amerykańskich i 50 meksykańskich, wysłany przed miesiącem na wyspę Tiburon, w zatoce meksykańskiej, zginął bez śladu. Istnieje obawa, że tubylcy owej wyspy wymordowali i spożyli ów oddział. Przed kilku laty na tej wyspie kanibalowie zjedli profesora botaniki Gründerla.

* * *

Najwyższy dom mieszkalny w Europie wykończono niedawno w Warszawie. Jest to gmach towarzystwa telefonów Cedergren przy ul. Zielnej. Z parterem ma on 13 pięter. Cały gmach ogniotrwały: filary i stropy żelazno-betonowe, licowe strony ścian z cegły piaskowo-cementowej, wyrabianej maszynowo. Dom ten posiada własną maszynę do przepompowywania wody do zbiornika w wieży, gdy woda z miejskiej wieży ciśnień dosięga zaledwie do 6 piętra. Budowa olbrzyma trwała dwa lata. Ze szczytu gmachu roztacza się wspaniała panorama okolic w promieniu 30 wiorst.

* * *

Pomnik Chopina w Warszawie. Magistrat ostatecznie zatwierdził projekt pomnika Chopina, dłuta Wacława Szymanowskiego. Pomnik ten — jak wiadomo — ustawiony zostanie w parku Ujazdowskim, wprost głównego wejścia.

Jak donosi „Kurjer poranny“, miał podobno J. Paderewski niezadowolony zarówno z wyniku konkursu, jak i wyboru miejsca, cofnąć przyobiecane 20.000 fr. na budowę szopenowskiego pomnika w Warszawie.

Źródło bogactwa. Z Kopenhagi donoszą: Wielkie wrażenie sprawiło tu samobójstwo jednego z najbogatszych obywateli miasta Roskilde, właściciela dużej fabryki, niejakiego Larssena. Znaleziono go powieszonego w pobliskim lesie i z pewnością niktby się nie domyślił przyczyny tego tragicznego postanowienia, gdyby nie list, znaleziony w kieszeni samobójcy.. W ostatnim swoim liście Larssen wyznaje, że przed 10 laty podpalił swoją własną fabrykę broni i w ten sposób otrzymał bardzo wysokie wynagrodzenie ubezpieczeniowe, które było podwaliną przyszego majątku. Skrupuły religijne nie dały mu jednak spokoju i skłoniły do rozpaczliwego kroku. Larssen dodaje w liście i ten smutny szczegół, że przy podpaleniu pomagał mu jeden z rzemieślników, nazwiskiem Sommer. Nieszczęsnego spólnika odszukano z łatwością w jednem z miasteczek prowincjonalnych; złożył on podobno przy śledztwie bardzo obszerne i ciekawe zeznania.

* * *

Łatwowierność. Znany oszust amerykański nazwiskiem Goldsmith wyłudził zręcznym podstępem większą sumę pieniędzy od pewnego bogatego włościanina francuskiego. Zawarł on z nim znajomość w miasteczku Argenteul i zaczął w niego wmawiać, że piasek w rzece Oise zawiera złoto w znacznej ilości. Na eksploatację tego przedsiębiorstwa Goldsmith żądał 100.000 franków. Włościanin dość długo opierał się namowom przybysza, ale wreszcie udał się z nim pewnego dnia dla nabrania piasku rzecznego. Zręczność oszusta polegała na niepostrzeżonem wpuszczeniu do butelki pewnej ilości ziarnek złotych. Chemik, który analizował piasek, oczywiście stwierdził zawarte w nim złoto. Rozczulony kmiotek odrazu ofiarował żądaną sumę, z którą przebiegły oszust nie omieszkał się ulotnić.

* * *

Armaty na aeroplanie. Znany awiator francuski, Hubert Latham, rozpoczął w tych dniach na polu ćwiczeń w Chalons próby wzlotów, unosząc z sobą nowo zbudowany typ armaty szybkostrzelnej. Sfery wojskowe śledzą próby z wytężoną uwagą. Niebawem ma być przedsięwzięte strzelanie z góry w pełnym locie. Wtajemniczeni utrzymują, że budowa aeroplanów, przystosowanych do wyżej opisanych celów, będzie wymagała bardzo znacznych przeróbek.

* * *

Dwukrotnie niewinnie zasądzony. W Londynie umarł przed kilku dniami niejaki Adolf Beck, z którego osobą połączoną jest słynna omyłka sprawiedliwości. W 1896 r. zasądzono go jako rzekomego Smitha na 5 lat więzienia za oszustwo małżeńskie na kilku sługach. Po odbyciu kary zasądzono go w r. 1904 powtórnie jako Smitha, ale przed odpokutowaniem tej kary aresztowano prawdziwego Smitha, który przyznał się do oszustw, za które Becka zasądzono. Wypadek ten stał się przyczyną uchwalenia przez parlament ustawy o utworzenie drugiej instancji w sprawach karnych, której przedtem w Anglji nie było. Beck otrzymał od państwa odszkodowanie w kwocie 5000 funtów (100.000 marek).

* * *

„Wolność“ związków zawodowych w caracie. Gazety warszawskie donoszą, że do lokalu polskiego związku zawodowego robotników przemysłu mącznego zjawili się przedstawiciele „ochrany“ z policją. Dokonawszy rewizji, która nic obciążającego związek nie wykryła, funkcjonarjusze „ochrany“ pozostali w lokalu do godziny 12 w nocy, zatrzymując każdego, ktokolwiek się zjawił. Tym sposobem zaaresztowano 12 osób, między innymi dwóch członków zarządu. Jeżeli już z narodowymi związkami rządy moskewskie tak robią, to nie dziw, że każdy objaw życia wolnych związków zawodowych w zarodku uduszą. Kiedyż tam to barbarzyństwo się skończy?

Nakładem i drukiem J. Biniszkiewicza i Spółki w Katowicach.
Odpowiedzialny redaktor Emil Caspari w Katowicach.

Львівська бібліотека
АН УРСР